

**Biblioteka
Warszawska**

Mf 12433

Warszawa
1847 r.

t. 1-2

poz. Mf 12433

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1847 t.1-2,og.zb.25-26(m-c I-VI),
sp.rzeczy

Oryg.:ZNi0 sygn.117.152

neg. Mf 12433



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

1847.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXV.



P

117172

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

1847.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIÉRSZYM

Z R. 1847.

	Stron.
Od redakcyi.....	I

Historya.

Wybór i koronacya papieżów, a w szczególności Piusa IX. Przez <i>Edwarda hr. Łubińskiego</i>	1
Wyciąg z Pamiętników pułkownika Piotra Bazylego Wierzbickiego, ułożył i wydał <i>Leon hr. Potocki</i>	102, 583
Nieco o Świętopietrze w Polsce, zebrał <i>Tymoteusz Lipiński</i>	276
Dyaryusz podróży Zofii Jagiellonki 1556 r. z rękopismu ogłosił <i>Tymoteusz Lipiński</i>	635
O czarownicach w Polsce, przez <i>Karola Milewskiego</i>	646

Biografia.

Żywoty malarzy polskich (Czechowicza Szymona, i Smuglewicza Franciszka), przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i> (ciąg dalszy).....	123
--	-----

Nauki ekonomiczne.

O handlu zamiennym prowadzonym przez Dniepr na morzu Czarném.....	404
Wiadomość o progach dniewprowych, przez <i>M. Pawliczszewę</i>	420
Ustawa saska o banku włościańskim (Landrentenbank) 17 marca 1832 r.....	641

Administracya.

	Stron.
O kongresie pokutnym odbytym w Frankforcie nad Me- nem w końcu września 1846 r., przez <i>Fryderyka hr.</i> <i>Skarbka</i>	59

Prawo.

O odwoływaniu się od wyroków niezupełnie uniewiniają- cych, na zasadzie artykułu 23 ustawy senackiej z d. 26 v. s. marca 1842 r. co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki, przez <i>Augusta Heylmana</i>	221
---	-----

Statystyka.

Wiadomość statystyczna o szkołach i instytucjach w Król. Polskiem w r. 184 ⁵ / ₆	430
---	-----

Literatura.

Co mogą znaczyć w literaturze i krytyce pytania o cel utworów? przez <i>L. Z.</i>	196
Mysł o śpiewie słowiańskim, przez Ludwika Rittera z Rit- terberku. Przełożył z czeskiego <i>Aloizy Kuczyński</i> ...	306

Poezya.

Messyada, Fryderyka Bogumiła Klopsztoka, przekład z nie- mieckiego wierszem miarowym p. <i>Józefa Karola Ja- slikowskiego</i>	343
--	-----

Dramat.

Dymitr i Marya, dramat w pięciu aktach wierszem, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	544
---	-----

Powieści.

Łza w niebie. Fantazya, przez <i>Józefa Ig. Kraszewskiego</i> ...	87
Korrespondencya; powieść przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> ..	245
Mahmudek, powieść przez <i>Władysława Strzelnickiego</i>	482

Sztuki piękne.

Matematycy i muzyka, przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	175
Reakcyja w muzyce spodziewana, przez <i>J. S.</i>	422

Nauki lekarskie.

Rzut oka na systemata lekarskie i wykaz postępu téjże nauki w nowszych czasach, przez <i>Felixa Jabłonowskiego</i> ..	447
--	-----

Rozbiory dzieł.

	Stron.
Odpowiedź na recenzją dziełka: „O dziesięcinach kościelnych na Rusi,” przez p. F. Z. uczynioną, przez ks. <i>Jana Pocięja</i>	139
O karcie klimatologicznej miasta Warszawy, ułożonej przez p. Jastrzębowskiego, i o mało znanym sposobie kręślenia kart meteorologicznych, przez <i>S. P.</i> (Z ryciną i tablicą).....	159
Parę uwag z powodu artykułu p. Rudzkiego: „O żegludze parowej,” umieszczonego w <i>Bibl. czerw. 1846 r.</i> , przez <i>W. J.</i>	172
Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego od r. 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachtamowic Wapowskiego. Przez <i>M. Balińskiego</i>	379
Dalszy ciąg karty klimatologicznej m. Warszawy, ułożonej p. Jastrzębowskiego. Przez <i>S. P.</i>	385
Rachel, powieść ks. Ignacego Hołowińskiego, przez <i>A. T.</i> ...	390
Kompozycje na fortepian: <i>Bagatelles</i> , p. Listowski. <i>Chansons</i> , p. Szczyński. <i>Valse</i> , <i>Fantaisie</i> , p. O. Kolberg. <i>Variations</i> , <i>Caprice</i> , <i>Fantaisie</i> , p. P. Fechner. Przez <i>J. S.</i>	395
Odpowiedź p. Józefowi A. Czajkowskiemu na jego krytykę mojej <i>Grammatyki</i> , umieszczonej w <i>Bibliotece Warszawskiej</i> , przez <i>Jana Nep. Deszkiewicza</i>	609
Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława III, przez <i>Ł. Gołębiowskiego</i> . 2 tomy. Warszawa. 1846. Przez <i>M. B.</i>	628
Nauki przyrodzone.	
Rozbiór gliny z Wielkiej Woli, przez <i>S. Zdzitowieckiego</i> ..	185
Krótki opis zjawisk jakie towarzyszyły spadnięciu aerolitu, we Francji pod <i>Laißac</i>	205
Rozbiór rudy żelaznej z <i>Tychowa</i> pod <i>Ilżą</i> , przez <i>S. Zdzitowieckiego</i>	209
Ślady historii naturalnej wszechświata. (Ciąg dalszy).....	287
Oznaczenie długości geograficznej Warszawy względem głównego obserwatorium <i>Pulkowa</i> , wykonane w r. 1845 za pomocą <i>chronometrów</i> pod kierunkiem <i>O. Struwego</i> , przez <i>Jana Baranowskiego</i>	532
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia, przez <i>J. B.</i>	665
Fizyka, przez <i>S. P.</i>	207, 432
Chemia, przez <i>J. B...e.</i>	208, 425, 667
Kronika bibliograficzna.....	214, 440, 672
<i>Doniesienia literackie</i>	215, 442 674

	Stron.
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném Warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z.....	217
— — grudzień r. z.....	443
— — styczeń b. r.	675
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatorium Warszawskiem w roku 1846 robionych.	
Ostrzeżenie.	
Sprostowanie.	

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

Stron.	Więrsz.	Zamiast.	Czytaj.
355	2	z wewnętrznego	z zewnętrznego.
366	7 od dołu	otworzył radosném przestolów spojrzeniem	otworzył radosnym prze- stolów spojrzeniem.
372	8 od dołu	ostojni	ostojni.
549	9	serce	słońce.
668	7	krzywdę	krzywdą.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1847.

Historya.

	Stron
Obráz wieku panowania Zygmunta III, czyli obraz stanu narodu i kraju wystawiający, przez ks. <i>Franciszka Siarczyńskiego</i> ,	1
O przymierzu Rzymian z Sabinami. Przypis do księgi 1. rozdz. 13. Historji rzymskiej Liwiusza, przez <i>Alexego Nendzyńskiego</i>	129
Historya cywilizacyi wyspy Madagaskar i prześladowań jakich tam chrześciance doznali,	582

Biografia.

Wspomnienie <i>Alexego Nendzyńskiego</i> , przez <i>A. W.</i>	124
Wspomnienie o <i>Jerzym Bogumile Puszu</i> i pracach jego naukowych, przez <i>A. M. Pa.</i>	283
O życiu i pismach <i>Dominika Lisieckiego</i> , przez <i>F. S. D.</i> ...	355
Wspomnienie o dwóch odrębnych malarzach <i>Kopeckich</i> , jednym rodem Węgrze, innym Polaku, przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i>	373

	Stron.
Alexander Humboldt i jego Kosmos, przez <i>Józefa Sapalskiego</i>	461
Życiorys Dominika Estreichera malarza z czasów Stanisława Augusta.....	644

Nauki ekonomiczne.

O przesileniu handlowém i finansowém w r. 1847, tłumaczył <i>K. L. Wolicki</i>	561
--	-----

Prawo.

Wykład artykułu 64 kodexu handlowego, czyli o przedawnieniu odnoszącém się do wspólnki likwidacyjnej, przez <i>Augusta Heylmana</i>	233
---	-----

Literatura.

Pieśni ludu weselne, przez <i>Oskara Kolberga</i> . (Z muzyką)	188, 649
Historya starożytnj rosyjskiej literatury, przez profesora uniwersytetu w Moskwie <i>S. P. Szewyrewa</i> . Przez <i>P. Dubrowskiego</i>	402
Pisma czasowe u Słowaków, przez <i>F. Zielińskiego</i>	433

Dramat.

Dymitr i Marya, dramat w pięciu aktach wierszem, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> (dokończenie).....	79
---	----

Powieści.

Mahmudek, powieść przez <i>Władysława Strzelnickiego</i> , (dokończenie).....	32, 241
Bertha z Düsseldorfu, przez <i>Leona hr. Potockiego</i>	421
Panna postępową, opowiadanie przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	524

Sztuki piękne.

Charakterystyka tańców, przez <i>Karola Czerniawskiego</i>	293
Wspomnienia koncertowe, przez <i>J. Sikorskiego</i>	416
Pieśni bez słów na fortepian pp. Dietrich, Chojnackiego i Jenikego. Dwa Nokturna na fortepian <i>F. Miładowskiego</i> . Uwertura, przez tegoż. Marya, romans do śpiewu p. <i>Wilhelma Troszel</i> . Gołabek, i Módl się, <i>Ignacego Komorowskiego</i> . Nowe wokalizy na Mezzo-Soprano p. <i>Ant. Tejchman</i> . Przez <i>J. Sikorskiego</i>	629, 634

Rozbiory dzieł.

	Stron.
Moje wędrówki po obczyźnie. Paryż, przez Kajetana Niepowie. Przez <i>K. W.</i>	162
Odpowiedź autora na artykuł umieszczony w Przeglądzie Naukowym pod napisem: Pedagogika, czyli Nauka Wychowania, ułożona przez Teodozego Sierocińskiego.....	169
Mappografia dawnéj Polski, przez Edwarda barona Rastawieckiego. Przez <i>F. B.</i>	180
<i>Lettre à Mr. le docteur Enoch à Varsovie sur le traitement des maladies chronique par la purification du sang, au moyen d'un procédé inventé par Jean Schroth à Lindewiese près de Freiwaldau, par ***. Varsovie.</i> Przez <i>A. W.</i>	186
<i>Codex diplomaticus Poloniae quo continentur privilegia Regum Poloniae Magnorum Ducum Lithvaniae, Bullae Pontificum, nec non jura a privatis data illustrandis domesticis rebus gestis inservitura.... editus studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczowski. Varsaviae. 1847.</i> Przez <i>W. A. Maciejowskiego.</i>	377
List o Pedagogice i Odpowiedzi p. Sierocińskiego, przez <i>Hipp. Skimborowicza.</i>	389
O kosztorysach w budownictwie cywilném, czyli przewodnik obliczania kosztów na budowie lądowe, dla budowniczych, inżynierów, rękodzielników i t. d. przez Stanisława Gołębiowskiego. Kraków. 1847. Przez <i>A. Idzkowskiego.</i>	395
Geografia p. Mikołaja Pawliszczewa. Warszawa. 1847. Przez <i>J. Korzeniowskiego.</i>	399
<i>Der Starost und sein Nachbar i Die Reise ohne Ziel,</i> powieści Fr. hr. Skarbka, niemiecki przekład przez E. v. Lossow. Przez <i>Ig. S.</i>	206
Kollokacya. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1847. Przez <i>A. T.</i>	622
Zwyczajna historia. Przegląd <i>P. Dubrowskiego.</i>	661

Nauki przyrodzone.

Alexander Humboldt i jego Kosmos, przez Józefa Sapskiego.....	461
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Astronomia, p. <i>J. B.</i>	442
Fizyka, p. <i>S. P.</i>	209, 674
Chemia, przez <i>J. B....g.</i> i <i>S. Zdz....</i>	213, 215, 446, 449, 681

	Stron.
<i>Kronika bibliograficzna</i>	225, 452, 685
<i>Doniesienia literackie</i>	227, 453, 687
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatorium astronomiczném warszawskiem:	
za miesiąc luty r. b.....	229
— — marzec r. b.....	457
— — kwiecień r. b.....	693

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

<i>Stron.</i>	<i>Więsz.</i>	<i>Zamiast.</i>	<i>Czytaj.</i>
177	2 od dołu	ograniczonej	organicznej
179	17	cudnego	cudzego
475	7	1820	1829
485	1	zadać	zadań
507	2 od dołu	Geoffroy,	Geoffroy



Od redakcyi.

Pismo czasowe potrzebom czasu służy, opinią społeczną kształci, działanie jej jednoczy, i wywołanych przez siebie skutków samo wpływu doznaje. Żyjąc w czasie, musi się starać czas swój zrozumieć; ulegając jego sądowi, samo za sobą przynosi świadectwo. Nie posłuży mu żadna obrona, nie usprawiedliwią najlepsze zamiary, żadna wymówka nie okryje nagości w której staje przed trybunałem opinii.

(Winniśmy przecież sobie i drugim zdać sprawę z czynów naszych, winniśmy to uczynić publicznie, jeśli działanie nasze publiczném było. Bo myśl która się czynem wypowie, nie przestaje dlatego być myślą; oddzielnie od czynu może być ona i bywa sądzoną. Skutek nie dochodzi nieraz założenia, czasem je przesięga, a zwykle przewidzieć go nie zdołamy, choć ze świadomością przystępujem do dzieła. Burze wstrząsają wątłą ręką ludzkiej budowę, a grom uderza i w spokojnego około skromnej niwy pracownika i w tego, co sam wichry do walki wyzywa.)

Rok upłyniony zastał nas i zostawił przy zwykłych około podjętej pracy zabiegach. Nie on nie zmienił ani w układzie naszego pisma, ani w warunkach jego istnienia; a trwanie Biblioteki i jakakolwiek z niej dla ogółu korzyść, dowiodły raz jeszcze (jeżeli tego dowodu potrzeba było), że tylko na rozwadze i uczciwej pracy oparte działanie, pożyteczny owoc wydać jest zdolne.

Biblioteka Warszawska w roku upłynionym, najwięcej liczyła artykułów w oddziale nauk ekonomicznych. Nie tu miejsce oceniać szczegółowie ich zalety i niedostatki. Jakakolwiek przecie może być względna ich wartość, redakcyja wyznaje, że najchętniej w piśmie swoim

te z nich zamieszczała, które interesów materyjalnych kraju się dotyczą. Uchną prędko teoretyczne pojęcia samym sobie zostawione, jak sznie odcięta z drzewa gałązka, jeżeli się wla-orośl rodzinną nie wszcepi, życia swego z jój życiem nie złączy, i rozrośszy się i wzmógłszy, sama nowém nie stanie się drzewem.

Pracowitość Niemców, ich duch systematyczny, nie zdołały przecieź postawić nauk ekonomicznych w Niemczech na stopie, na jakiej są w Anglii i Francyi. Napróžno ich uczeni wartowali obce dzieła, na podstawie cudzych spostrzeżeń swoje wznosili systemata: martwa było praća, pozostała bez znaczenia, bez poważania u postronnych. Dopiero kiedy związek celny zjednoczył materyjalnie Niemcy, a ocknione interesa przychodząc do samopoznania, staranniejszej zaczęły domagać się pieczy, nagły ten zwrot od oderwanych pojęć do praktyki, wpłynął na rozwinięcie teoryi, i wnet imię Fryderyka Lista, stało się głośném u obcych, równie jak u swoich.

Nie doszła jeszcze do tego nasza literatura, aby pod materyjalnym przynajmniej względem, ogół, jako taki, pojęła, i raz postawiwszy się w jego stanowisku, stosunki jego rozpoznać, potrzeby wypowiedzić i o ile w jój mocy zaradzić im umiała. Co jednak w tym kierunku działa-

ném zostało, w znacznej części pismu naszemu należy się, a samo uznanie celu, już nas do niego zbliża.

Od sfery materialnych zabiegów człowieka, przechodząc do najwyższych ducha jego potrzeb, którym filozofia zaspokojenie nieść winna, musielibyśmy ze względem na stan téj nauki w piśmie naszym, powtórzyć nieledwie dosłownie to, cośmy w zeszłoroczném sprawozdaniu powiedzieli. Lecz jeśli w tym zawodzie mieć nam innej zasługi nie wolno, niech przynajmniej ta nam zostanie, że żadne wsteczne dążenie przystępu do kart naszego pisma nie znalazło, żeśmy stale odsuwali wszystkie męty pojęć, którymi niewytrawne umysły bryzgać około siebie usiłują.

Rozstrzelone w różnych kierunkach prace historyczne, nie dadzą się z łatwością pod jeden ogólny ująć widok. A przecież nauka dziejów krajowych więcej może niż inna do systematycznej uprawy wzywa, i w obfitości materiałów pod ręką leżących, środki do tego podaje. Blask bijący z łona przeszłości wtedy dopiero przyszłość oświeci, gdy zebrane w jedném ognisku promienie wiedzy historycznej, horyzont jój rozwidnią.

Badania historyczne miejscowe, do których każda niemal okolica kraju naszego sposobność

następcza, czekają na miłośników rzeczy krajowych; ich prace zawsze z chęcią w piśmie naszym umieszczane będą.

Skutkiem, nie wiemy, czy trafu, czy skierowania umysłów w tę stronę, większa nierównie część artykułów prawnych w ubiegłym roku w piśmie naszym umieszczonych, odnosi się do prawa kryminalnego. Rozwijając one w części teorią naszego kodexu, w części zaś zapoznając nas z postępami nauki, nie pozostały bez korzyści. Kilka prac odnoszących się do dziejów dawnego naszego prawa, jak z jednej strony miłym były upominkiem, tak z drugiej wskazują, jak wiele jeszcze na tém polu do zdziałania zostaje. Wreszcie o nowych zjawiskach w literaturze prawnej, ile zakres Biblioteki dozwalał, dawana była wiadomość.

Winniśmy istotną wdzięczność współpracownikom, którzy nas wiadomościami na drodze postępu nauk przyrodzonych, tak skwapliwie i wytrwale zasilają. Biblioteka jedynym jest u nas podobno pismem, z którego jakożkolwiek z postępami tych nauk obeznać się można. Zawsze przecież liczba prac samoistnych pozostaje jeszcze nader szczupłą, a rzadko nadsyłane prostrzeżenia, do których wczasy wiejskiego życia tyle dawałyby sposobności, świadczą o mało jeszcze upowszechnioném w tych naukach zajęciu.

Inne gałęzie umiejętności, redakcja starała się, ile w jej mocy było, uwzględnić.

Rok 1846 w upływie swoim zmiennie przynosząc z sobą dla nas koleje, dotknął nas i zasmucił zgonem zasłużonych mężów, którzy ręką i piórem pomoc pismu naszemu nieśli. Życie przestali w tym roku: Jan Wincenty Bandtkie, Alfons Brandt, Juliusz Brinken, Karol Frankowski, Jerzy Bogumił Pusch, Alexander This. Kilka kart pisma naszego poświęciliśmy na uczczenie pamięci pierwszego i ostatniego ze zmarłych; o życiu i zasługach reszty, dać wiadomość, będzie naszym staraniem.

Naturalnym i najistotniejszym może żywiołem pisma czasowego jest krytyka. Ona ścierając się bezpośrednio z zjawiskami czasu, szkodliwe odrzuca, pożyteczne wygłasza, wszystkim właściwe naznacza miejsce, kierunek umysłów wskazuje i od zboczeń je ostrzega. Nigdy niezaspokojona, zawsze lepszego pragnąca, krytyka z natury swój przedstawia w dzienniku element ruchu. W niej się mieszczą przyszłości płodne zarody; jej upadek, upadkiem literatury grozi. W roku zeszłym było naszym staraniem, aby kronika Biblioteki ważniejsze tylko zjawiska na polu literatury obejmowała, dając spokojnie tonąć w niepamięci pismom, które los ten od urodzenia zasłużenie spotyka.

Cztery tylko w tym roku umieściliśmy powieści; zato jedna z nich obszerniejszego jest rozmiaru. Treść wszystkich z przeszłości wzięta żałować każe, że życie obecne społeczeństwa nie znalazło malarza, któryby je na płótno obrazu swego chciał przenieść. Ani z przeszłością zrywać, ani terażniejszości zaniedbywać nie należy. Te widoki dzielając redakcyja, ile zresztą dokłada starania o dobór powieści w piśmie swoim, dowiodła ogłoszeniem w zeszytcie styczniowym r. z. zamieszczoném.

Warszawa dnia 1 stycznia 1847 roku.

WYBÓR I KORONACYA PAPIEŻÓW,

A W SZCZEGÓLNOŚCI PIUSA IX.

PRZEZ

Edwarda hr. Lubieńskiego.

Mówią, że pewien Anglik przedstawiony Grzegorzowi XVI i zapytany czy widział już wszystkie ciekawości Rzymu, rzekł: że już wszystko oglądał, tylko ciekawy jest jeszcze widzieć *Conclave*. „Bardzo dziękuję” odpowiedział Ojciec Święty. My nie pragnęliśmy na wzór tego wyspiarza być świadkami obrzędów smutnych, potem radosnych, jakie sprowadza śmierć każdego papieża i wybór jego następcy: ale gdy wbrew woli naszej, zrządzenie Opatrzności zatrzymało nas w mieście siedmiogórnym w czasie, kiedy Grzegorz XVI schyłony latami i zmartwieniem żyć przestał, a na jego miejsce wstąpił Pius IX w sile wieku i blasku nadziei; gdy mówię w tej tak ważnej dla chrześcijańskiego świata chwili, byliśmy w Rzymie jedynymi z podróżujących i piszących Polaków; sądzymy więc obowiązkiem naszym, dać o tém, oddalonym ziomkom piśmienną i szczegółową wiadomość. A gdy tu w Rzymie obok młodej nowości, ciągle sterczy staroży-

tność; gdy pośród zielonych roślin, biela się wszędzie siwe marmury, gdy kaźden zwyczaj sięga kilku, nawet kilkunastu wieków; uznaliśmy potrzebném podać początek dziejowy głównych praw i zwyczajów, o ile tego obręb krótkiej rzeczy pozwala. A zatem opis nasz będzie utkany z podwójnej nici, i kraśny wątek codziennych wypadków, przeplatać będzie złota nić dziejów, sięgająca do Boga-Człowieka i do Piotra zastępcy jego na ziemi.

W dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, 21 maja roku 1846, Grzegorz XVI dawał jeszcze błogosławieństwo ludowi z ganku kościoła św. Jana Lateraneńskiego, nie wiedząc zapewne, że w tym dniu wiosennym, pełnym słońca i nadziei, przeżegnaniem pożegnał tłumy ludu swojego, przelotny rój cudzoziemców, i te stepy zielone, i te błękitne góry co się rozciągają przed obliczem Lateraneńskiej świątyni. Już w święto Filipa Nereusza założyciela zgromadzenia Filipinów, do kościoła tych księży nowym zwanego, podług zwyczaju jechać nie mógł dla słabości zdrowia. O chorobie jego różne są zdania lekarzy; zdaje się, że róża zamieniła się w gangrenę przy wpływie późnej starości i zmartwieniach, miał bowiem lat 84; inni zaś mówią, że książka hrabiego Azeglio o wypadkach w Romanii, skróciła jego życie. Czuł, że doczesne rządy jego państwa szły coraz gorzej; długi kraju wzrastały przez nieumiejętne rządy pół-księży; Romaniale to jest mieszkańcy Bononii i państwa papieżkiego wzdłuż brzegów Adryatyki, nie korzystając w niczem z nadużyć które bogaciły rzymskich urzędników, obciążeni byli podatkami i pozbawieni dawnych przywilejów. Niechęć tego kraju wzrastała, pomimo trzech groźnych zamków napelnionych więźniami stanu, pomimo licznych wygnañców i liczniejszej siły zbrojnej.

Dnia 31 maja w sobotę, papież już gwałtownie cierpiący, spowiadał się podług zbawiennego zwyczaju, a nazajutrz przyjął Ciało Pańskie; szczęśliwy, że miał zwyczaj spowiadania się co tydzień, bo nie będąc ostrzeżonym o ciężkim stanie swoim, nie byłby już miał sposobności do przygotowania się na ostatnią przeprawę. 31 maja w dzień uroczysty Zielonych Świątek, kardynałowie odbyli mszę papieżką w kaplicy Sykstyńskiej, bez papieża: głucho przecucie śmierci rozeszło się już w tym dniu po mieście, jakoż nazajutrz 1 czerwca, o godzinie 8ej z rana, w drugi dzień świąt którego tu nie obchodzą uroczystości, Grzegorz XVI życie przestał. Stał on przed straszliwym sądem tego, którego był zastępcą na ziemi, i zdawał sprawę z rządów swoich, jak to sam przepowiadał przed kilkoma miesiącami w rozmowie z najpotężniejszym cesarzem na ziemi.

Papież umarł samotny, jeden tylko kardynał Lambruschini był przytomnym jego śmierci. Kardynał dziekan Mikara, którego obowiązkiem było dawać papieżowi ostatnie pomazanie, nie był uwiadomiony o ciężkości choroby, ani przez lekarza, ani przez kardynała Lambruschini, za co na obu sprawiedliwie się gniewał. Przedajne ręce służących opuściły pana swego w tej ostatniej chwili z obrzydłym samolubstwem, w nieochędztwie i głodzie, i rozszarpali rzeczy konającego tak dalece, że cztery koszule tylko po nim znaleziono. Widząc to nie można się dziwić, że niektórzy papieżę otaczali się osobami swęj familii, gdyby tylko ich nie byli zbyt kosztownym krajem bogacili.

Skoro głowa kościoła życie przestaje, podług odwiecznego zwyczaju, kardynał kamerling, dziś książe Riario Sforza, jedzie w osieroczone mury Watykanu, odziany

w szaty fioletowe, które oznaczają żałobę kardynałów i królów; wchodzi do sypialni umarłego i woła go trzykrotnie po imieniu, stukając w głowę złotym młotkiem. Skoro się przekonał o śmierci i rozpoznał ciało zmarłego, rozkazuje notaryuszom spisać akt zgonu; odbiera z rąk mistrza dworu pierścień z pieczęcią rybaka, o którym później, potem rozdziela klerykom pokojowym straż pałacu i rozsyła pierwsze rozkazy potrzebne dla bezpieczeństwa miasta. Dopiero daje na piśmie rozkaz uderzenia w wielki dzwon Kapitolu, który oznajmuje miastu zgon Ojca Świętego. Żałobnemu dźwiękowi tego dzwonu, odpowiadają jakoby chórem odgłosy dzwonów wszystkich kościołów; ich brzmienie przeciągłe, przerywane, powolne, wzywa wiernych do modlitwy za duszę tego, co klucze nieba dzierżąc, sam sobie wrót tych otworzyć nie może. Wreszcie kamerling idzie do straży szwajcarskiej która przed nim broń rzuca i dziękuje za służbę, jako płatna od zmarłego papieża. Znane jest przysłowie: nie ma pieniędzy, nie ma on i Szwajcara. Lecz kamerling zapewnia im zapłatę, i otoczony tą malowniczą strażą w starożytne ubiory podług rysunku Michała-Anioła odzianą, wraca do swego pałacu. Najwyższa władza przez ten czas spoczywa w ręku kamerlinga, i na znak onój, bije pieniądze bezkrólewia (*sedia vacante*) ze swoim herbem, albo godłem przez siebie obraném.

Nie czekając na uroczysty odgłos dzwonu Kapitolu, wiadomość o śmierci Grzegorza XVI rozeszła się po mieście od rana, lecz przyjęta była z obojętnością. Lud płakał po śmierci Piusa VII, bo w prześladowaniu go pokochał; radował się po zgonie Leona XII, z powodu że ten światły papież, kazał zamknąć sklepy wina i wódki, i przez kratę tylko na ulicy stojącym pijakom, po-

zwolił sprzedawać gorące napoje. Grzegorz XVI nie dokuczył rzymskiemu pospólstwu: wady rządów jego ciążyły raczej na oświecenijszej części narodu, której sama przyzwoitość nie dozwalała okazywać radości z końca niemiłych im rządów. Ludzie dalej widzący, korzyli się przed niedościgłymi wyrokami Opatrzności, że w czasie właściwym daje kościołowi różnych pasterzów, aby niezmienną naukę kościoła różnie do czasowych okoliczności stosowali, to łagodnych, to surowych środków używając do poprawy ludzkości; a potem przez anioła śmierci bierze ich z tego świata, skoro sposób ich myślenia nie zgadza się z potrzebami czasu.

Mówiliśmy, że Grzegorz XVI konając, smutnemi był obarczony myślami; lękał się aby ludzie niespokojni nie korzystali ze śmierci jego dla wstrząśnienia państwem kościelném, i dlatego zalecił kardynałom ostatnią wolą, żeby się śpieszyli z wyborem następcy. Wszelako te obawy były płonne, bo stronnicy wolności postanowili czekać na sposób myślenia przyszłego papieża, a złoczyńcy trzymani byli na wodzy przeważną siłą zbrojną. Zresztą bezkrólewie było wszędzie polem otwartém do rozruchów, a w Rzymie osobliwie winowajcy korzystali z téj pory. Naprzykład po śmierci Grzegorza XV, nie było dnia ani nocy bez pogłosek o jakich zabójstwach lub zbrodniach; na wielu miejscach znajdowano ciała bez głowy tak mężkie jak i niewieście. Tyber je także nieraz wyrzucał z głębin swoich. Domy były gwałtem w nocy otwierane i łupione, kobiety złośliwie gwałcone lub uprowadzane. Żołnierze dla straży panów i książąt użyci, sami najgorsze popełniali bezprawia, a mianowicie żołnierze kardynała Sabaudyi.

Przyczynia się do tego zapewne zwyczaj wypuszczania więźniów. Już przed śmiercią papieża przenoszą większych zbrodniarzy i zabójców do zamku św. Anioła, bo skoro jęczy dzwonnicy Kapitolu, kapitan Capotorów, czyli naczelnik miejskiego obwodu, idzie na czele żołnierzy swoich otworzyć więzienia, i wypuszcza wszystkich za małe winy karanych. Na dowód poprawy, ostatni wychodzący kradnie sznur z więzienia, i stróż musi jemu się opłacić aby ten sprzęt napowrót odzyskać. Podobnie magistrat miasta, czyli senator i konserwatorowie rzymscy, na dowód władzy swój, otwierają więzienia Kapitolu, gdzie siedzą po większej części zatrzymani za długi, a chcąc spokojność miasta zabezpieczyć, zbierają wojsko miejskie. Straż miejska i wojska obsadzają odwachy i mniej bezpieczne ulice, odbywają patrole, a w razie nocy rozruchu, mieszkańcy obowiązani są otwierać okna.

Ze zgonem głowy stanu i kościoła ustaje trybunał roty, i inne sądy świeckie i duchowne. Datorya apostołska przestaje bulle wydawać, tylko kardynał penitencyarz może pełnić obowiązki swoje w przedmiotach świeckich i mieszanych, podług bulli Piusa IV i Klementa XII, bo wrota przebaczenia nie powinny być zamknięte. Wspominany wyżej kardynał kamerling sprawuje swą władzę przez cały czas bezkrólewia, a do pomocy ma wybrane trzy głowy z rzędu kardynałów biskupów, kardynałów księży i dyakonów.

We dwadzieścia cztery godzin po śmierci papieża, ciało jego bywa balsamowane; dawniej poprzestawano na tém, że usta tylko napełniano mirrą i wonnościami a twarz mazano balsamem; ale ten sposób nie był dostateczny. Alexander VI Borgia, ów papież co zgorsze-

niem zarażał trzodę sobie powierzoną, po śmierci także wczesném ciała zepsuciem zarażał przytomnych. Twarz jego zczerniała, nos przedłużony, język wywieszony, sprawiały sprzeczność z wielką liczbą świętych jego poprzedników, którzy anielski wyraz po śmierci zachowując, wonią napełniali powietrze. Juliusz II kazał, by ciało jego dla lepszego balsamowania było otworzone; odtąd stało się to zwyczajem. Sposób Tronchiny i Gaunala wtłaczania w żyły rozczyntu arsenikowego, nie używa się jeszcze w mieście nieskorém do zmiany. Grzegorz więc XVI balsamowany był starym sposobem przez otwarcie ciała. Wnętrznosci i serce jego podług zwyczaju wprowadzonego przez Benedykta XIV, zamiast spoczywać razem ze zwłokami, przewiezione zostały w karecie i cichaczem do kościoła św. Wincentego i Atanazego na placu Trewi, jako do parafii Kwirynalu. Nie udało się balsamowanie, bo ciało popsute gangreną zczerniało, i musieli później twarz maską woskową powlekać.

Następnie ciało papieżkie odziewa się w szaty codzienne, i jeżeli śmierć nastąpiła w Kwirynale, przenosi się do Watykanu. Idzie naprzód koń papieżki czarną kapą odziany, potem straż szwajcarska i szlachecka, słudzy z pochodniami zapalonemi i penitencyarze św. Piotra mówiący modlitwy za umarłych: za nimi toczy się dział siedm, przy których idą kanoniery z lontami zapalonemi, a cały orszak przypomina raczej pogrzeb hetmana niż zaś biskupa. Tych przenosin tą razą nie było, bo Grzegorz XVI wbrew przyjętemu zwyczajowi, ostatnie lato przepędzał w zimowym pałacu Watykanu, a nie w letniém papieżów siedlisku na górze Kwirynalskiej czyli Monte-Cavallo.

Skoro zwłoki papieżkie złożone są w kaplicy Syxtyńskiej, penitencyarze św. Piotra ubierają je w szaty ko-

ścielne, i kładą mitrę złocistą na głowę. Umarły przez dzień spoczywa w téj posepnej kaplicy, gdzie główną ścianę zapelnił pędzel Michała-Anioła obrazem sądu ostatecznego. Penitencyarze nie odstępują go, lecz mówią kolejno i ciągle modlitwy za duszę co go niedawno ożywiła. W téj samej kaplicy przed dwoma niespełna miesiącami, widziałem tegoż papieża, kiedy siedząc na tronie pod baldahinem, otoczony szkarłatnym senatem kościelnym, przy anielskim śpiewaków chórze, pośród obłoków kadzidła, sprawował najświętszą ofiarę w dni poświęcone pamięci śmierci Zbawiciela. Wtedy jako największy kapłan Jehowy, miał w sobie coś nadludzkiego, dziś leżał trup śmiertelny i nadpsuty: tak chwała świata przechodzi.

Nazajutrz przenoszą się zwłoki papieżkie do kościoła św. Piotra z uroczystą processją. Zapewniała nas osoba bliżej stojąca, że z licznego grona kardynałów obsypanych dobrodziejstwami zmarłego, płakał jeden tylko minister sekretarz stanu do spraw zagranicznych, Lambruschini. Rysy niesionego na marach, przybrały surowy wyraz wieczności; wycisnęło się na nich spżowze piętno nieodmienne: już wyszedł z krainy życia i odmiany; jakim był, takim będzie na sądzie ostatecznym i przez całą wieczność. Papięż złożony został w kaplicy Najświętszego Sakramentu, za kratą zamkniętą; nogi jednak wystawały nieco za kratę, aby lud mógł je całować. W tém miejscu leżał trzy dni wystawiony, i tam tłumy ludu co dzień go odwiedzały. Pogrzeb papieża sprowadzał zawsze tłumy ciekawej ludności Rzymu; już w roku 1522, panie rzymskie miawały w kontrakcie ślubnym wymówione pozwolenie wychodzenia w te dni dla ucałowania nóg papieżkich, dziś złagodzone ich zamknięcie po-

zwala im tém bardziej zadość uczynić ich nabożeństwu i ciekawości.

Trzeciego dnia wieczorem, otwierają grób tymczasowy, leżący na lewo przy wejściu do kaplicy kanoników, w którym leżą zwłoki poprzednika aż do śmierci jego następcy. Trumnę poprzednika składają do grobu dla niej przygotowanego. Zwłoki następcy kładą w trumnę tymczasową, z niemi w jedwabnym woreczku, medale złote, srebrne i miedziane, na pamiątkę czynów zmarłego co rok bite, których tyle jest ile lat panował. Potém kardynał synowiec nieboszczyka, jeżeli się taki znajduje, kładzie na twarz stryja białą zasłonę, a całe ciało zakrywa się zasłoną karmazynową. Trumnę cyprysową pieczętują i zamykają w ołowianej, dobrze zalutowanej i pieczęciami opatrzonej, ta nareszcie umieszcza się jeszcze w trzecią zamkniętą. Trumny te składają się do tymczasowego grobu, i zostają tam jako groźba śmierci, dla następnego papieża.

Od wniesienia zmarłego do św. Piotra, nabożeństwo żałobne trwa dziewięć dni. Co dzień jeden z kardynałów biskupów śpiewa mszę żałobną w kaplicy kanoników, słuchaną przez całe zgromadzenie kardynałów; mały katafalk stoi po środku kaplicy. Trzy dni ostatnie obchodzą się z osobliwą uroczystością; w te dni, ogromny katafalk stojący pośród głównej nawy, wnosił się aż pod sklepienie kościoła. Budowniczy sadzi się na rysunek téj nie trwałej ciesiołki, powleczonej płótnem i papierem udającym siwy marmur, ozdobionej gipsowemi wyciskami i posągami. Podczas kiedy budowali ten katafalk, posąg religii stojący na szczycie spadł i potłukł się; co uważali niektórzy za godło strat poniesionych przez kościół

w ciągu tego panowania. Katafalk miał kształt świątyni opartej na 8 kolumnach i 4 filarach; oświecać go powinno tysiąc świec jedno-funtowych, i 20 pochodni cztero-funtowych. Po skończonej mszy, kardynałowie biskupi celebrujący zbliżają się do katafalku, by dać absolucyą. W ostatnim dniu kaznodzieja wybrany, ma jedyną mowę pogrzebową. Koszta pogrzebu podług ceremoniału spisane go na rozkaz Grzegorza XV, nie mogą przenosić 10000 dukatów.

Oto zmarły papież, zamknięty już w progach wieczności! lecz nie może kościół pozostać wdową. Francuzkiemu przysłowiu: król umarł, niech żyje król! odpowiada włoskie, na pociechę po stracie używane: umarł papież, będzie drugi. Jeżeli ziemskie królestwa cierpią na bezkrólewiu, to kościół od Boga także na jedynowładztwie utwierdzony, potrzebuje tém bardziej widocznej głowy. Rozbierzmy zatem, kto może obierać następcę Piotra świętego, i kto być może na ten najwyższy urząd obranym; dopiero opowiemy sposób, jakim się ten wybór skutecznia.

Wiadomo, że pierwszy pastérz trzody Chrystusowej, przez samego Boga-człowieka mianowany został na ten najwyższy stopień słowami: „Ty jesteś Piotrem czyli opoką, a na téj opoce zbuduję kościół mój, i bramy piekielne przeciwko niemu nie przemogą.” I znowu: „Paś owieczki moje, paś baranki moje.” I znowu: „Dam ci klucze królestwa niebieskiego, i cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie, a cokolwiek zawiążecie na ziemi, będzie zawiązane i w niebie.”

Święty Piotr mianował dwóch wikaryuszów: Lina w mieście, i Klemensa na przedmieściu; za następcę podobno ś. Klemensa naznaczał, ale ten odmówił go-

дноść papieżką, pragnąc, aby biskup rzymski był drogą wyboru wyniesiony. Wtedy obrany został ś. Lin; po nim ś. Klet, po nich dopiero został ś. Klemens. Na tym przykładzie opierając się, ś. Hilaryusz nakazał, by żaden papież następcy swego nie mianował. I rzeczywiście władza ta Chrystusowi właściwa, którą pierwsi jego zastępcy mogli jeszcze bez obawy wywiierać, mogłaby w późniejszych czasach zrodzić wiele nędzy: bo niejedyn wolalby naznaczyć częstokroć raczej jakiego z swych krewnych, przyjaciół lub rodaków, niż mężów najgodniejszych piastowania tak wysokiej godności. Zakaz ś. Hilaryusza nigdy nie był przestąpiony. Wprawdzie Bonifacy II lękając się żeby najazd Gotów nie przerwał porządku w obiorze, mianował następcą w r. 530 Wigiliusza; ale później się rozmyślił, i w przytomności duchowieństwa i senatu, cofnął swoje postanowienie jako przeciwne prawu. Nigdy więc papieże nie mianowali następców swoich, chociaż zdarzało się czasem, że ich zalecali wyborcom. Tak Grzegorz VII polecał Dezyderyusza opata Monte-Casino, który też był obrany pod imieniem Wiktora III; Klemens VII Medyceusz, zalecał umierając, Alexandra Farneze, obranego pod imieniem Pawła III. Niezawsze jednak wyborecy względ mieli na podobne zalecenia, i tak napróżno Innocenty XI zalecał powiernika swego kardynała Cibo. Rzadko też papieże pozwalali sobie wpływać tym sposobem na wolny wybór następców: Pius III acz. proszony usilnie, czynić tego nie chciał. Pius IV zakazał bullą, aby papieże nie wybierali koadjutorów, i zakaz ten nawet za pozwoleniem kardynałów przestąpiony być nie może.

Wybór jest zatem jedyną drogą do osiągnięcia godności papieżkich. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa

odbywał się bez kształtu przepisanego. Duchowienstwo rzymskie obierało papieża, a lud go potwierdzał okrzykami radości; ale w tém nie było stale przepisanego porządku, bo kiedy duch Boży wszystkich ożywia, nie jest trudno o zgodę i niema potrzeby praw ściśle opisanych. Duch może się obejść bez kształtu, ale kształt bez ducha jest martwy; i najlepsze prawa braku cnoty nie zastąpią. Są jednak prawa potrzebne, ale głównie dla społeczeństwa średniej cnoty. W piérwszych czterech wiekach chrześcijaństwa, prześladowanie z małemi przerwami srożyło się na młodociany kościół; pałacem papieżów, ich kościołem i cmentarzem wiernych, były podziemne pieczary czyli katakumby. Wtedy urząd papieżki był stopniem do męczeństwa, a ludzie dumni nie kusili się o dostąpienie tak niebezpiecznego zaszczytu. Rząd jawnie kościołowi przeciwny, zostawiał mu większą wolność i nie mieszał się do świętej sprawy obioru. Lecz kiedy po trzech wiekach walki, chrześcijaństwo wywróciło budowę cesarskiego pogaństwa, dusząc jak Herkules węża w kolébee; kiedy Konstantyn zwyciężył pod znakiem krzyża, kościół wyzwolony stał się mniej wolnym. Naprózno pobożny cesarz ustąpił wieczne miasto wiecznej władzy, przenosząc stolicę swoją nad brzegi Bosforu; nie odjął przez to świeckiej władzy żądzy mieszania się w sprawy duchowne. Już w roku 418 po wyborze ś. Bonifacego I, mała liczba upornych obrała antypapę (przeciw-papieża czyli fałszywego papieża) Euliusza, pod wpływem Symmaka prefekta rzymskiego. Z téj okoliczności papież rozkazał, aby wybór działał się nadal porządnie i jednomyślnie. W roku 483, Odoakr król Herulów, arianin, zabronił wybierać papieżów bez swego pozwolenia, albo bez potwierdzenia swego pre-

fekta, udając, że to czyni na prośbę zmarłego papieża Symplicyusza: sobór zaś rzymski, roku 499, za Symmaka papieża, ogłosił, że królowie ani inne świeckie osoby nie mają prawa mieszać się do wyboru. Jednak Teodoryk król włoski, który wspierał Symmaka przeciw antypapie Wawrzyńcowi, mieszał się do wyboru ś. Felixa IV. Cesarzowie Wschodni za Justyniana zdobywszy Exarchat, przywłaszczyli sobie wpływ na wybory, i kazali sobie płacić za udzielenie potwierdzenia. Wybrawszy ś. Grzegorza I Wielkiego, księża musieli dać pieniądze Maurycemu urzędnikowi cesarskiemu, aby otrzymać potwierdzenie. Konstanty Pogonat rzekł się tak niesłusznego haraczu. Później Karol Wielki dzierżył prawo potwierdzenia z wdzięczności kościoła. Otton cesarz niemiecki przywłaszczył je sobie będąc przywołany na pomoc przeciw Berengerowi królowi włoskiemu, ale ś. Mikołaj II, odjął to prawo cesarzom, a po nim Grzegorz VII był ostatni papież potwierdzony przez cesarzów. Teraz pozostało dworom chrześcijańskim jedynie i to niepotrzebne prawo wyłączenia jednego z kandydatów w chwili wyboru. Ten przywilej miały cztery dwory: francuzki, austriacki, hiszpański i portugalski; dziś służy tylko dwóm pierwszym, i to łatwo go w niwecz obrócić. Aby mocarstwo mogło na wyłączenie swój wpływ wywierać, powinno powierzyć jednemu z kardynałów w którym ma większe zaufanie, imię sobie nieprzyjemne; może nawet kilka osób wymienić, ale raz tylko tego prawa wyłączenia może użyć. Ztąd wynika, iż kardynałowie starają się wywieźć imię wykluczonych; jeżeli między nimi jest ten, którego chcą wynieść na tron papieżki, dają głosy innemu również wykluczonemu, a gdy ten wybór wyłączeniem się niweczy, dopiero wtedy nie-

podlegli są w wyborze. Trafiło się, że kardynał podobnym zleceniem dworu obarczony, zdrzymnie się w samą porę liczenia głosów, a skoro już wybór za zezwoleniem obranego potwierdzony, zniweczyć go nie można. Mówią, że podobnym sposobem pozostało bez skutku wyłączenie Austrii przy wyborze Grzegorza XVI, jednak uległość świętej pamięci papieża dowiodła, jak mało są sprawiedliwe podobne przedwczesne obawy.

Trzeba się już raz było zabezpieczyć nietylko od przemożnych cesarzów, ale jeszcze od niestałej fali ludu. Wpływ ludu nigdy nie był stanowczy, ale miał on bez wątpienia niegdyś większy udział niż teraz w obwołaniu papieży. Inic dziwnego; lud nieliczny, pobożny i wybrany, księży swoich blisko znający, mógł okrzykiem swoim większą mieć powagę w radzie duchownych niż teraz; wtedy podług przysłowia, głos ludu, był głosem Bożym: dziś przeciwnie, wszyscy chrześcian noszą nazwisko, ci nawet, co pogańskim bożyszczom przez swe namiętności hołdują. Żądać żeby głos ludu był dziś w tej mierze równie przeważny, byłoby chcieć, żeby w pierwszych czasach kościoła, poganie głosowali razem z chrześcianami. Prócz tego lud rzymski mógłby się łatwo uwodzić raczej swoją doczesną korzyścią, niżeli powodować dobrem powszechnego kościoła: z tych powodów kościół oddzielał coraz bardziej wyborców z motłochu; żądał od nich coraz większych rękojmi, cnoty i nauki. Ztąd wzrosła świetna instytucya kardynałów, którzy byli z początku proboszczami rzymskich kościołów, i pozostali ich opiekunami nosząc jeszcze tytuły głównych świątyń, lecz razem są książętami kościoła, czyli senatem kościelnym. Są zatem oborcami papieży mężowie schyleni wiekiem, których białe włosy, spo-

dziewać się każą duszy oczyszczonej od rdzy namiętności; mężowie oświeceni długą pracą i nauką, otaczający stolicę nieomylności. Nie powiemy o nich co Liwiusz o rzymskich senatorach, że zdawali się raczej podobnemi do bogów, niż do ludzi; lecz nie bez powodów uważać ich możemy za zgromadzenie świętych, którzy szkarłatne szaty swoje we krwi męczenników ubarwili. Nie tu miejsce zastanawiać się bliżej nad tą radą kościelną; dosyć będzie dodać, że wspomniany Mikołaj II postanowił, by kardynałowie biskupi, papieża obierali, potem do tego kardynałów księży używali, a nakoniec duchowieństwo i lud zezwalali na to i przystępowali do ich wyboru. Alexander III, już wyłączny wpływ kardynałów zapewnił, stanowiąc na soborze Laterańskim III, powszechnym XI, żeby papież był mianowany większością $\frac{2}{3}$ głosów kardynałów, bez udziału ludu i duchowieństwa, wyklinając każdego, któryby bez téj większości śmiał się zwać papieżem, a to dla uniknięcia schizmy, nieszczęścia zbyt częstego w dziejach kościoła. Syxtus V, powiększył liczbę kardynałów do 70, pomniąc na te słowa ksiąg Mojżesza: „Zgromadź mi siedemdziesiąt mężów ze starców Izraela.... aby podnosili z tobą ciężar ludu, abyś sam nie był obciążony!”

Nieprzyjaciele kościoła, oskarżający go o możnowładztwo, dlatego, że kardynałom wyłącznie powierzył prawo wyboru, niech wspomną, że to jest możnowładztwo nie urodzenia ani majątku, ale wieku, światła i cnoty; jestto wyższość potrójna i prawdziwa, której czas ani zaburzenia nigdy nie zatrą. Sam papież wybierany bywa w najrozmaitszych klassach towarzystwa. Święty Piotr był rybakiem, zanim dusze ludzkie poławiał. Święty Celestyn był włościaninem z Terra di Lavoro, Benedykt XI

synem praczki z Trevigi, Benedykt XII synem francuzkiego młynarza, Syxtus V synem włościanina z okolic Montalto w Marchii ankońskiej. Wreszcie ze tylu innych pomnę, ostatni papież Grzegorz XVI był synem piekacza z Belluno w stanach weneckich.

Jeżeli kościół poważa ubóstwo urodzenia, widząc Boga swego urodzonego w stajence, wychowanego w małym domku ubogiego cieśli, to ceni tém więcej ubóstwo dobrowolne i ściślejsze wypełnianie rad i przykładów Zbawiciela. Z cienia tych pokornych klasztorów, gdzie zakonnicy ślubują ściśle posłuszeństwo, występowali częstokroć jedynowładcy chrześcijańskiego świata. Bo któż najlepiej umie rozkazywać, jeżeli nie ten, co chętnie jest posłuszny? nikt lepiej nie zdoła stosować wolę do prawa Boskiego jak ten, co własnej wyrzekł się woli. Najlepiej szafuje skarbami kościoła ten, co ślubował ubóstwo i dobrowolną jedyną wolną wspólność dóbr z braćmi. Z liczby tych miłośników czystości, co w samotności celi i klauzury, i w towarzystwie pobożnych braci, nieufni sobie, szukali i znaleźli tysiączne rękojmie od pokus świata; co postem i czuwaniem podbili zbuntowane ciało, a modlitwą, czytaniem i rozmyślaniem podnieśli ducha, wychodziły częstokroć świeczniki, godne jaśnieć nadprzyrodzonym blaskiem pośród namiętnej nocy świata. Sam zakon Benedyktynów dostarczył 25 papieży, z których ostatni był Pius VII. Tęże reguły Cystersów 4 było papieżami, Kluniaków 4, między nimi Grzegorz VII. Z zakonu Kartuzów papieży było 2, Karmelici podobnie 2 papieży zpośród siebie liczyli. Dominikanie 4, między nimi święty Pius V. Franciszkanie 5, prócz tego 3 papieży w sukni świętego Franciszka grzebać się kazało. Kanoników regularnych Lateraneń-

skich 30 było papieżami. Jezuity nie było żadnego, chociaż kardynał Belarmin miał wiele głosów, a Lainez trzeci ich generał, ucieczką się od téj godności ratował.

Przez długi czas kościół téż nie miał względu na narodowość papieżów, i wybierał ich ze wszech ludów chrześcijańskich, chociaż naturalnym biegiem rzeczy, wybór najczęściej padał na Włocha, a zwłaszcza na Rzymianina. Jednak Wiktor I i Melchiel byli rodem z Afryki, Kajus i Jan IV ze Słowiańskiej Dalmacyi. Niemców było papieżów 6, z których 2 Sasów i 2 Bawarów. Syryjczyków 6, Francuzów 16, Greków 14, 2 Portugalczków, 2 Hiszpanów z rodziny Borgia, Anglik 1, Adryan IV; Polak Hozyusz, prezes soboru trydenckiego odmówił godności papieżkiej. Francuzi co najwięcej po Włochach papieżów liczyli w swoim narodzie, przez zbytne przywiązanie do ziemi rodzinnéj, zagrodzili niemal cudzoziemcom drogę do papieztwa, bo Klemens V Francuz z rodziny de Got, arcybiskup miasta Bordeaux, będąc obrany papieżem, do Rzymu nie przyjechał, lecz w Lyonie koronowany, stolicę do Avinionu przeniósł, roku 1305. Podobnież pięciu następców jego Francuzów z Avinionu Rzymem rządziło. Wprawdzie piąty z nich Urban V odwiedził Rzym, wylądowawszy w Kornecie żądał od kardynała Egidyusza sprawy z jego rządów, na co Egidyusz odpowiedział mu, przywożąc wóz kluczków miast odzyskanych. Jednak odwiedziwszy swe biskupstwo i przyjąwszy tam odwiedziny cesarza Karola IV, Piotra króla Cypru, i Joanny Neapolitańskiej, Urban V wrócił do ojczyzny swojej. Już w tym czasie wszyscy niemal kardynałowie byli Francuzi, a ci co nie należeli do tego narodu, przyzwyczajali się do łagodnego powietrza Francyi południowej. Wybrali więc na nowo Francuza

Grzegorza XI, ale ten papież, czyto na prośby ludu rzymskiego, czy dla nalegania świętej Katarzyny Seneńskiej i świętej Brygidy, postanowił powrócić do prawdziwego siedliska swego. Mówią, że ganiąc pewnego biskupa że nie przebywa w swój dyecezyi, usłyszał od niego przykrą odpowiedź, że papież także na stolicy swojej nie siedzi. Poruszony tą przymówką, tém bardziej śpieszył się z powrotem, chociaż musiał swój wyjazd kardynałom taić. Płynął Rodanem i morzem, nocował w kościele świętego Pawła za murami, i tam mszę odprawiwszy z rana wjechał do Rzymu. Na przyjęcie jego stali uradowani mieszkańcy ze świecami, od zamku św. Anicła do kościoła św. Piotra. Tym sposobem kościół był owdowiały przez panowanie 7 papieżów i przez lat 70. Przez ten czas Rzym osierocony cierpiał od wojen domowych i nieładu zwykłego w średnich wiekach: kościoły św. Jana Lateraneńskiego i św. Piotra były spustoszone. Po śmierci Grzegorza XI, jak mówi Wietrowski (*Historia magni sismatis Occidentalis*) i Bzowski Dominikan Polak, który pisał dalszy ciąg dziejów kościelnych Baruniusza, lud rzymski smutném nau czony doświadczeniem téj prawdy, że pańskie oko konia tuczy, chciał koniecznie papieża Rzymianina wołając: *Romano lo volemo*; kardynałowie odpowiedzieli, że wybiorą najgodniejszego, i byliby pewno jeszcze Francuza obrali, gdyby stronnictwo Limuzynów innych Francuzów nie zniechęciło. Wybrany został arcybiskup Barski ze stanów neapolitańskich, lecz że nie był Rzymianinem, kardynałowie bojąc się ludu, posadzili na tronie tymczasem kardynała św. Piotra in Vimoli, który miał udawać papieża i przyjmować hołd ludu, póki jego towarzysze nie ukryją się w miejscu bezpieczném; ale sprzykrzywszy so-

bie tę niewdzięczną rolę, wyznał z płaczem, że papieżem nie jest. Lud rozgniewany oblegał kardynałów w zamku świętego Anioła, ale ci oświadczyli, że papieża raz obranego odmienić nie mogą, i wysłali Agapita Kolonne, żeby umysły uspokoił. Łatwo się uśmięrzyli Rzymianie dowiedziawszy się kto był obranym, ale niektórzy z kardynałów obruszeni na papieża zebrali się w Anagni, obrali tam antypapę Klemensa VII, i ujechali z nim do Avinionu, Ta schizma oplakana trwała lat 29, i wstępował antypapież jeden po drugim, dopiero na soborze konstancyjskim papież Jan XXIII złożył władzę, przeciw-papież Benedykt XIII i Grzegorz XII złożeni zostali, a na stolicę Piotra wyniesiony został Marcin V Colonna. Działo się to w przytomności Zygmunta cesarza, który przysiągł posłuszeństwo rozkazom biskupów, i sam wymógł od nich przysięgę, że za dziesięć dni papieża obiorą. W tym wyborze miało udział 6 biskupów angielskich, 6 francuzkich, 6 hiszpańskich, 6 niemieckich i 6 włoskich. Rycina koronacyi Marcina V, znajdowała się w koadexie księgozbioru Żaluskich, przy opisie Ebercharda Dahera, sporządzonym na rozkaz elektora saskiego. Od tego czasu rzadko cudzoziemcy wybierani byli na rzymskich biskupów; ostatni był Adryan VI, rodem z Utrechtu w Belgii, roku 1522. Tkwiło zawsze w uszach kardynałów zdanie francuzkich papieżów: że kiedy Kamilus był w Wejach, tamże był Rzym; a pewien polski kardynał nie większą pokazał gotowość poświęcenia dla dobra kościoła osobistego przywiązania do ziemi rodzinnej, wyznając nieroztropnie, że jeśli będzie papieżem, Kraków będzie Rzymem. *Si ego Papa, Cracovia Roma.*

Nie masz warunku obieralności co do wieku, i kilku było papieżów 20 lub 30letnich. Jednak po większej

części wynoszą na tę najwyższą godność samych sędziwych starców. Myśl tajemna kardynałów, którzy pragną przeżyć papieża aby nawzajem mogli być obranemi, zgadza się w téj mierze z przystojnością i potrzebą kościoła. Każdy bowiem przyzna, że jeżeli starość ludzi zepsutych bywa częstokroć niedołączna, to sędziwość mężów pracowitych, zdrowych i cnotliwych, jest najpiękniejszą porą życia, jest pogodną jesienią po burzliwém lecie, niosącą błogie owoce pracy i żniwa nauki. Zwłaszcza w rzeczach kościelnych, gdzie więcej znaczy starożytność podań i nieodmienność wyznania, niż ruchoma fala codziennych myśli i wypadków; korzystna jest dla najwyższego pasterza starość, rękojmia stałości w cnocie, nauki i mądrości.

Raz się zdarzyło, że człowiek świecki był rzymskim biskupem obwołany, i po wyborze dopiero pierwsze święcenia otrzymał. Ale Stefan IV zakazał podobnych nadużyć; bo jakże arcykapłan nie ma być brany z rzędu kapłanów, z duchownego pokolenia Levi? Jakże stróż najwyższej nauki Chrystusowej, nie byłby powołany ze stanu przeznaczanego na pilnowanie téjże nauki, i na sprawowanie Najświętszych Sakramentów poświęconego? Rieczony Stefan IV na soborze rzymskim w roku 769 przeciw antypapie Konstantynowi zebrany, postanowił, aby papież był obrany z liczby kardynałów; ale ten rozkaz nigdy wyłącznie spełniony nie był, i liczymy potem 15 papieżów niekardynałów. Ostatni z nich był Urban VI roku 1378. Od tego czasu wszyscy papieże wybrani, należeli wprzód do grona kardynałów; jednak na konklawie Adryana VI i Klemensa VII, wiele miał głosów Mikołaj Leonebergh Dominikan, a na konklawie Benedykta XIV ksiądz Barberini były generał Kapucy-

skiego i św. Bonawentury przytomnego wtędy w mieście Witerbo. Z rady tego sługi Bożego, lud zamknął kardynałów w miejskim ratuszu, a gdy i to nie pomogło, zdjął dach téj budowy, aby ich swary dęszcz gasił, a słońce do zgody zagrzewało. Nareszcie wybrali 6 kardynałów na kompromis i zgodzili się, że za papieża tego wszyscy mieć będą, kogokolwiek oni obiorą. Ci 6 obrali papieżem Teobalda Visconti, archidyakona leodyjskiego, niekardynała, który przybrał imię Grzegorza X. Ten papież chcąc zapobiedz nadal tak niebezpiecznemu zgorszeniu, i przymusić kardynałów do prędkiéj zgody, użył doznanego lekarstwa, i postanowił roku 1274 na soborze lyońskim prawo o zakluczeniu. Prawo to Grzegorza X jest dotychczas podstawą zakluczenia, chociaż w niektórych szczegółach złagodzone; treść jego była następująca: W dziesięć dni po śmierci papieża, w pałacu gdzie umarł, zgromadzają się kardynałowie, biorąc z sobą tylko po jednym słudze. Wszyscy muszą razem mieszkać bez przegród i przedziałów, zamknięci ze wszech stron żeby nikt nie mógł wejść do nich. Posłuchania tylko za zezwoleniem wszystkich i publicznie przyjmują; listu żadnego odbierać ani pisać nie mogą; to wszystko pod karą wyklęcia. Jeść im przynoszą przez okno zakratowane, ale po trzech dniach tylko jedną potrawę; po 8 dniach pościć muszą o chlebie i wodzie. Nie mogą przez czas zakluczenia pobierać dochodów papieżkich ani własnych. Urzędy wszystkie prócz kamerlinga i penitencyarza ustają. Kardynałowie niezamknięci w *Conclave* głosować nie mogą. Wszyscy powinni zaniechać osobistych widoków i mieć tylko na celu dobro kościoła. Nie można dla wyboru nic dawać, obiecywać, prosić, ani brać. Mia-

sto gdzie zakluczenie się obchodzi, winno je strzedz pod karą wyklećcia i utraty biskupstwa.

Prawo to jak mówiliśmy, było w zbyt surowych przykazach złagodzone. I tak: Klemens VI pozwolił mieć dwóch, a nawet chorym trzech konklawistów, czyli dworzan kardynalskich, którzy przez samą bytność w zakluczeniu są uszlachceni, i doznają jeszcze wiele innych przywilejów udzielonych im przez Klemensa VIII, XII i innych papieżów. Rieczony Klemens VI, pozwolił przegradzać cele dywanami, i losem je ciągnąć; także jeść jedną potrawę na obiad, drugą na wieczerzę, nie licząc w to wędlinę, sałatę, sér i owoce. Klemens VII rozkazał, by wybór papieża nie odbywał się w miejscu śmierci poprzednika, ale zawsze w Rzymie. Dał ten rozkaz jadąc do Bononii na koronację Karola V cesarza, i znowu jadąc do Vienny we Francyi, by zawrzeć pokój z cesarzem i królem francuzkim Franciszkiem I, a syna jego z Katarzyną de Medicis ożenić.

Jak dalece prawo Grzegorza X było skuteczne, dowiodło zaraz zakluczenie po śmierci jego, trwające tylko jeden dzień. Adryan V Fieschi, zawiesił to prawo, ale umarł w 38 dni po wstąpieniu na tron, nieświęcony nawet na księdza. Jan XXI także je zawiesił, ztąd wybory papieżów znowu długo trwały; wybór Celestyna V, trwał 2 lata i 3 miesiące. Dopiero ten święty papież powtórném doświadczeniem nauczony, prawo Grzegorza X odnowił, Bonifacy VIII zapisał je w księdze dekretaliów, a Klemens V na piętnastym soborze powszechnym w Viennie potwierdził i zakazał kardynałom one tłumaczyć podług ich upodobania.

Niemniej ważną jest bulla Juliusza II o przekupnym wyborze, *De Simoniaca electione*, w Rzymie r. 1505 wy-

dana. Podług niej, papież przekupstwem obrany, nie ma być uważany za apostolskiego następcę Piotra, lecz owszem za apostatę i kacerza. Wybór jego nawet przez koronacyą nigdy nie może być potwierdzonym. Wolno kardynałom, całemu duchowieństwu, ludowi, rządcom miast i stanów kościelnych wyłamać się zpod posłuszeństwa papieżowi tak obranemu, chociażby przysięgę posłuszeństwa już wykonał. Kardynałowie mogą wzywać przeciw niemu pomocy świeckiej. Wymienia dalej bulla kary spadające na kardynałów przedajnych. Nie-splamieni przekupstwem, mają zebrać nowe *Conclave* i wybrać prawdziwego zastępcę Chrystusa Pana. Bulla ta potwierdzoną była przez sobór Lateraneński V, powszechny XVII i przez Pawła IV papieża. Szczęściem, nie okazała się nigdy potrzeba zastosowania tak surowego lecz sprawiedliwego prawa.

Pius IV potwierdził i pomnożył prawa Grzegorza X w roku 1562 i dodał do nich przepisy, z których najważniejsze są: że kardynałowie mogą rozporządzać skarbem stanu do wysokości 10,000 skudów; trzy głowy kardynałów biskupów, kardynałów księży i kardynałów dyakonów co dzień się zmieniające, pomagają kamerlingowi do ułatwiania bieżących spraw państwa.

Bulla Grzegorza XV jest najzupełniejsza w téj mierze: wyszła roku 1621, i zaczyna się od słów *Aeterni Patris*; lecz nie będziemy rozbiierać jéj treści by nie utrudzić czytelników, tém bardziej, że ją później w zastosowaniu poznamy, przy opisanu porządku zakluczenia. Z tegoż powodu wspomnimy tylko ceremoniał z rozkazu Grzegorza XV napisany, i od niego potwierdzony, tudzież bulle Urbana VIII i Klemensa XII *Apostolatus officium*, z roku 1732, jako téż postanowienie tegoż wy-

znaczące płace miesięczne lekarzom, pisarzom i całemu dworowi zakluczenia; z nich najwyższe nie przenoszą 100 skudów czyli 1,000 złotych polskich na miesiąc.

Stosownie do praw powyższych, kardynałowie przed zakluczeniem, w czasie żałobnego 9dniowego nabożeństwa, odbywają dziewięć posiedzeń czyli kongregacyj. Na pierwszym posiedzeniu czytają rzeczony prawa Grzegorza X, Juliusza II, Pawła IV, Grzegorza XV, Urbana VIII i Klemensa XII i przysięgają im posłuszeństwo. Potem kruszy się pierścień rybaka i pieczęć ołowiana. Pierścień rybaka jestto mniejsza pieczęć wyrażająca Piotra w łodzi, ciągnącego sieci. Ten pierścień używał się aż do czasów Kalixta III, do listów osobistych papieża; później użyty został do listów urzędowych zwanych *breve*, piszących się zwyczajnym pismem na cienkim pergaminie; pieczętuje się na laku czerwonym. Pieczęć ołowiana zawieszona na sznureczku, wystawiająca ś. Piotra i Pawła, przykłada się w sprawach ważniejszych, na bullach, które piszą się głoskami gotyckimi od czasu pobytu papieży w Awinione, na grubym pergaminie; a jako uroczysta wola najwyższej władzy duchownej, zasługują na najgłębsze poszanowanie u ludzi bogobojnych. Do listów poufanych, papieże używają herbu swój rodziny, albo jeżeliby który nie był z pomiędzy szlachty, własnego herbu przybranego. Na témże posiedzeniu składają kardynałom szkatułkę prośb zaległych w datoryi i szkatułkę brewów. Poczém wybiera się albo potwierdza gubernator Rzymu, i naznacza się dwóch kaznodziei: jeden do mowy pogrzebowej po zmarłym papieżu, drugi ma powiedzieć kazanie sejmowe przy mszy

do Ducha świętego. Wreszcie wyznaczają się trzej kardynałowie dla dozoru nad urządzeniem zakluczenia.

W następnych posiedzeniach odbywają się mniej ważne czynności, lecz koniecznie trzeba je załatwić przed zakluczeniem. I tak potwierdzają się urzędnicy miasta i stanu. Wybiera się spowiednik zakluczenia, lekarz, chirurg, aptekarz i cyrulik. Potwierdzają się konklawiści kardynałów, i pozwala się proszącym wziąć trzeciego. Wyznaczają się mistrze obrzędów, murarz i ślusarz. Te wszystkie osoby, potrzebne do usługi w zakluczeniu, licząc w to 35 posługaczy, obowiązane są do ścisłej tajemnicy i składają na to dwakroć przysięgę.

Na dziesiątym i ostatniem posiedzeniu, kardynałowie niemający jeszcze stopnia dyakona, okazują osobiste pozwolenie papieżkie, bez czego nie mieliby prawa do głosowania. Ale od ostatniego papieża, nie odziewają się szkarłatem kardynalskim. mężowie nieświęceni jeszcze na dyakonat. Na témże posiedzeniu przypuszczani bywają do posłuchania posłowie zagraniczni, chcący okazać żal dworów swoich po stracie papieża, i zachęcić kardynałów do wybrania godnego następcy. Czasem także jeden z kardynałów ma sobie powierzone podobne posłannictwo; tak przed wyborem Innocentego XII, kardynał Barberini wyraził życzenia króla polskiego, podczas kiedy książe Lichtenstein poseł austryacki, ubolewał nad ciosami temu państwu przez Turków zadanemi. Posłowie wchodząc do *Conclave* klękają trzykroć na jedném kolanie, ponieważ jak mówią kardynałowie, papież jest między nimi, acz nieobrany i nieznan: *inter nos est*.

Ukończywszy nabożeństwo żałobne i posiedzenia przygotowawcze, kardynałowie słuchają mszy do Ducha

świętego, śpiewanej w kaplicy kanoników w kościele świętego Piotra, przez kardynała dziekana; przytém wybrany kaznodzieja stosownie mówi kazanie. Tegoż dnia po południu zebrawi się w kościele świętego Sylwestra na Monte-Cavallo i po odśpiewaniu hymnu *Veni Creator*, processyą po dwóch przeszli do blizkiego pałacu Kwirynalu, pośród tłumów ciekawego ludu.

Wiadomo, że w Kwirynale odbywa się *Conclave* od czasu Piusa VII. Dawniej zakluczeni byli kardynałowie za zwyczaj w pałacu Watykańskim; czasem także w klasztorze Dominikanów na Minerwie, i po innych miejscach, ale budowa zakluczenia była za każdą razą kosztowna i mozolna: za każdą razą trzeba było urządzać cele drewniane, przegradzać je dywanami i makatami, a pomimo całego trudu, było tam ciasno i niewygodnie. Często téż kardynałowie chorowali i umierali; i tak, przed wyborem Urbana VIII, umarło czterech kardynałów i wielu konklawistów. Przypisywano to po części złemu powietrzu panującemu w Rzymie letnią porą; często śmierć papieżów podczas letnich upałów wydarzona, w tymże czasie sędziwych kardynałów zwolywała. Sąsiedztwo cmentarza, i wycięcie lasów, pogorszyło zły wpływ gorączkowych wyziewów na Watykanie. Przeciwnie pałac Kwirynalski jest w najzdrowszém położeniu z całego miasta, bo stojąc na wyniosłym miejscu, chłodzony jest wiatrem od morza wiejącym, i czyste przynosi powietrze. Ten pałac, stojący otworem dla ciekawych przed zakluczeniem, zaczęty został przez Grzegorza XIII podług rysunku budowniczego Flaminio Pouzio Lombardo; skończonym dopięro został przez Pawła V Borghese. Tenże papież zbudować kazał kaplicę pałacową, dwupiętrową narożną, a Pius VII ozdobił ją

malowidłami szaro-złotemi, naśladowającymi ozdoby budownicze i snycerskie. Posągi 12 apostołów, malowane są przez najlepszych artystów z początku tego wieku, na wzór Rafaela, znajdujących się w kościele św. Wincen- tego i Atanazego. Drzwi z kaplicy otwierają się na salę królewską, służącą za przedpokój, z kąd idzie się do zakrystyi, do zakratowanych sal posłuchania, i do korytarzów trzypiętrowych, na 457 palm długich, nakoniec wchodzi się do cel, czyli małych pomieszkań kardynał- skich. Długie skrzydło Kwirynalu mieszczące te cele, zbudowane było dla dworu papieżkiego przez Alexan- dra VII, a skończone przez Klemensa XII. Za życia pa- pieża mieszkają tam urzędnicy i słudzy dworscy, a po śmierci jego ustępują miejsca kardynałom.

Szli kardynałowie parami do Kwirynalu, poprzedzeni krzyżem przy śpiewie: „Przybądź Duchu Twórczo!” a z li- cznych widzów tego pochodu, jedni łączyli się w duchu z modłami kościoła, drudzy ciekawością zdjęci pytali się o imiona przechodzących starców, obarczonych w tej chwili niesłychaną władzą. Ale pomiędzy temi blademi, zmarszczonemi twarzami, próżno szukali siwój brody kar- dynała Mikara, Kapucyna; wyprzedził ich i zawczasu zamknął się w Kwirynale, pod pozorem słabości zdro- wia; prawdziwie zaś dlatego, aby uniknąć oklasków lu- du. Lud kochał tego najstarszego z kardynałów dla zna- nej jego oszczędności i surowości względem nadużyć pół-duchownego rządu. Mikara wyniesiony z pokornego zakonu ojców Kapucynów, tych Demostenesów ludu, jak ich Lacordaire nazywa, pozostał wierny ubóstwu i pro- stocie klasztornej. W klasztorze, nie w pałacu mieszkał w Rzymie, na dworskich obrzędach i na tajnych ra- dach konsystorza rzadko się pokazywał, bo wiedział, że

słowa jego nieobwijane w bawełnę, niemile brzmiały w uszach niektórych kardynałów. Gdy radził zbytek zmniejszyć, a pieniądze kościelne oszczędzać, odpowiadało mu, że nie wszyscy przywykli jak on, żywić się bobem. Lud przywiązany do Kapucynów, lubił tém bardziej widzieć ich, i swoje przymioty uświęcone w tak wysokim księżęciu kościoła, życzył go zatem widzieć papieżem, i zatrzymał go nawet przed kilkoma dniami samotnego za Tybrem, prosząc o błogosławieństwo. Ale mówi przysłowie: że kto wchodzi papieżem w zakłuczenie, wychodzi kardynałem; pośród licznych dowodów tego pewnika przytoczyć można wybór Kalixta III Borgia, kiedy wszyscy myśleli że będzie wyniesiony uczony Grek kardynał Bessarion. Tak téż imię Mikary napróżno było po wszystkich ulicach, we wszystkich ustach słyszane. Wiedział sędziwy starzec, że miał przeciw sobie zbyt wiele niechętnych, powiedział to wyraźnie w krótkiej lecz gorliwej przemowie przy wstępie do zakłuczenia, zachęcając kardynałów do zgody. Poczém zemdlały na siłach, zamknął się w celi swojej; a że cela jego losem wybrana była zbyt oddalona od kaplicy, dlatego pobożny kardynał Akton ustąpił mu swoją. Ta cela była jedyna zamknięta, inne były jeszcze otwarte tego wieczora odwiedzającym znajomym kardynałów. Każdy z nich przyjmował w swojej celi, mając u drzwi swoich czterech służących w liberyi z zapalonemi świecami. Po długich chodnikach Kwirynalu cisnął się tłum posłów zagranicznych, wojskowych wyższych stopni, księży i urzędników. Stosownie do większego lub mniejszego prawdopodobieństwa że będą obrani, cele kardynałów były napchane tłumem albo próżne. Lecz we trzy godziny po zachodzie słońca, za odgłosem dzwonka wszyscy obcy

muszą się oddalić, zostają się tylko sami kardynałowie i osoby należące do zakluczenia.

Zamykają się na dwa zamki z trzaskiem drzwi żelazne kratowane; klucz wewnętrzny bierze kardynał kamerling, zewnętrzny książę Chigi, dziedziczny marszałek zakluczenia. Przed nim przywilój ten miała wygasła rodzina książąt Lavelli. Marszałek nie otwiera drzwi nikomu, tylko kardynałom którzy się spóźnili z przybyciem ze stron dalekich, albo chorem co chcą wychodzić z zakluczenia, albo wreszcie posłom zagranicznym, którzy otrzymali posłuchanie od zgromadzenia. Słudzy pańscy zakluczeni jak apostołowie w wieczorniku, czekają w skupieniu myśli póki Duch święty oświeci ich nie raczy. Chwilowe i dobrowolne więzienie, równie jak post lub inne umartwienia, są doskonałym sposobem do przyspieszenia łaski Bożej; jestto śmiem się wyrazić przymus czyniony niebu, stosownie do słów Zbawiciela: „Królestwo Boże gwałt cierpi i gwałtownicy je porywają.” Od téj nocy milczące mury Kwirynału, zawierają całą nadzieję chrześcijaństwa, równie jak Arka Noego zachowywała pośród potopu plemię rodzaju ludzkiego.

Skoro zamknięte podwoje pałacu dzieli Kwirynał od świata, patrzajmy co się zewnątrz i wewnątrz zakluczenia dzieje.

W mieście księża modlą się gorliwie o łaskę Ducha świętego i w tym celu zgromadzają się co dzień w kościele św. Wawrzyńca in Damazo i ztąd processją śpiewając litanie do Wszystkich Świętych, idą do pierwszego podwórza Kwirynału i śpiewają mszę do Ducha świętego, o wybór papieża. Podobna msza ofiarowana jest po wszystkich kościołach miasta i świata wiernego. Po kościołach rzymskich wyznaczonych przez kardynała wi-

karyusza, wystawia się Najświętszy Sakrament jak na czterdziesto-godzinne nabożeństwo, i bywa odwiedzany przez bractwa pobożne. Dwa razy na dzień przed południem i przed wieczorem, zbierają się tłumy ciekawe na Monte-Cavallo i oglądają niespokojnie na mury Kwiry-nalu. Jeżeli widzą że rozwała się okno, a raczej drzwi szklane zamurowane na czas zakluczenia a idące na ganek budowy Berniniego, to znak, że już papież obrany i wkrótce będzie ogłoszony. Jeżeli przeciwnie pokazuje się dym z pewnego kominka, to dowód, że głosy niezgodne się palą i że głowa kościoła jeszcze niewybrana. Później koło południa, słudzy kardynałów niosą obiad swoim panom i podają go przez koła na wzór klasztor-nych umyślnie w tym celu urządzone, od czasu mistrza obrzędów Parysa de Grastis, który po śmierci Juliusza II pierwszy podobne koła zastosował. Takich kół jest czte-ry: przy pierwszym stoją zewnątrz zakluczenia konser-watorowie ludu rzymskiego, to jest sędziowie, którzy pod przewodnictwem senatora rzymskiego, zasiadają na Kapitolu w sądzie zwanym senatem; zbyt wielkie imię dla małej władzy! Drugiego koła pilnują patryarchowie, arcybiskupi i biskupi, dowód jak wysoką cenę przywią-zuje kościół do zerwania stosunków zakluczenia ze świa-tem; trzecie koło strzegą mistrz pałacu apostolskiego, i audytorowie roty czyli sądu duchownego; czwarte wre-zście prałaci, klerycy i pokojowi papieży. Ci wszyscy pod karą zawieszenia i krzywoprzysięstwa mają sobie przykazane od Piusa V, żeby rewidowali jak najściślej potrawy i inne przedmioty kardynałom przynoszone, aby w nich nie znajdowały się żadne listy, ani posyłki.

Ale wewnątrz zakluczenie przedstawia widok cieka-wszy i uroczysty. Od rana odgłos dzwonka zgromadza

kardynałów do kaplicy, gdzie słuchają najprzód mszy Ducha świętego i przyjmują Najświętszy Sakrament z rąk kardynała dziekana. W kaplicy urządzone są krzesła dla kardynałów pokryte baldahinem, który sznurkiem się opuszcza skoro papież obrany; krzesła i baldahiny kardynałów mianowanych przez ostatniego papieża są fioletowe, zielone zaś tych, co poprzednikom jego winni swe wyniesienie; pierwsze mają barwę żałoby, drugie nadziei: dwie barwy zgodne z sobą. Po mszy odczytują się raz jeszcze prawa papieżów wyżej wspomnianych i rozpoczyna się wybór. Dawniej wybór dźiał się przez cztery różne sposoby, tojest: natchnienie czyli okrzyknięcie, kompromis, głosowanie, albo przez przystąpienie.

Natchnieniem zowie się, kiedy oborcy jednogłośnie, jakby Duchem świętym zapaleni, papieża obwoływali. Podobnie w starożytności rzymscy żołnierze okrzykami obierali cesarzów, i kiedy im mówca dowodził, że trzeba mieć za cesarza męża uczciwego, *virum probum*, oni Probusa cesarzem okrzyknęli. Takim sposobem był okrzyknięty papieżem święty Fabian, dlatego, że gołąb zlatując z nieba usiadł na jego głowie, roku 238. Podobnie Grzegorz VII kiedy u świętego Jana spokojnie pogrzebem zmarłego papieża się trudnił, nagle papieżem obwołany został, przy okrzykach ludu: „święty Piotr obiera Hildebranda”. Grzegorz XV obostrzył ten sposób warunkami, a mianowicie jednomyślnością; teraz już wyszedł z użycia.

Kompromis jest wtenczas, kiedy kilku kardynałów wybranych, na papieża jednomyślnie głosuje, i kiedy wszyscy inni się zgodzą zawczasu na potwierdzenie ich zdania. Ten sposób użyty przy wyborze Grzegorza X, dziś już także nigdy zastosowanym nie bywa.

Teraz wybór odbywa się tylko przez głosowanie i przystąpienie. Głosowanie odbywa się dwa razy na dzień w murach Kwirynalu; rano i po południu odgłos dzwonka zbiera kardynałów do kaplicy Pańskiej, w której mistrzowie obrzędów przygotowali zawczasu ceduły czyli kartki do zapisywania głosów. Kartki te są podłużne, mają dłoń czyli palmę długości, a pół dłoni szerokości. U góry są drukowane słowa: „*Ego Cardinalis*”..... niżej miejsce na pieczęć, potem „*Eligo in Summum Pontificem Reverendum Dominum meum Cardinalem*”..... i znów miejsce dla pieczęci, a jeszcze niżej miejsce na dewizę czyli godło. W kartkach osobnych do przystąpienia, jest wszystko takie same, tylko że zamiast wyrazu *eligo* jest *accedo*. Aby nie korzystać z przezroczystości papieru, na grzbiecie tych kartek ozdoby drukarskie nie pozwalają przeczytać imienia ani godła kardynałów. Przed zaczęciem głosowania, wyciągają się losem trzej kardynałowie wyznaczeni do zbierania głosów, i tak nazwane infirmiery, którzy idą zbierać głosy chorych kardynałów. Poczem głosujący wzięwszy kartkę ze stołu, zbliżają się po jednym do stolików na których jest kałamarz, pióra i lak, i w miejscu gdzie wydrukowane na kartce: „Ja kardynał”..... pisze swoje imię, składa górną część kartki i pieczętuje: niżej gdzie wydrukowane: „Wybiéram na najwyższego kapłana przewielebnego pana mego pana kardynała”..... wpisuje imię tego, kogo chce mieć papieżem. Wreszcie u spodu kartki pisze godło z pisma świętego wyjęte, i pieczętuje znowu. Pieczętunki, jedna na górze, druga na dole, pozwalają rozłożyć kartkę by przeczytać imię osoby na papieża, tylko zasłaniają imię i godło kardynała. Pieczętują nie zwykłym swoim herbem,

ale przybranemi na ten czas umyślnie głoskami. Głosowanie na papieża jest zatem tajne, aby osobista bojaźń ani nadzieja nie miała wpływu na wydanie głosu.

Napisawszy głos swój, każdy kardynał niesie złożoną kartkę do ołtarza, i tam kładzie ją do kielicha, umyślnie na to sporządzonego za czasów Grzegorza XV, z wizerunkiem Ducha świętego, który bywa używany także czasem do mszy papieżkiej. Ale nim włoży kartkę, każdy składa następującą przysięgę: „*Testor Christum Dominum qui me judicaturus est, me eligere quem secundum Deum judico eligi debere, et quod idem in accessu praestabo.*” „Świadczę się na Chrystusa pana który mnie sądzić będzie, że wybieram kogo sędzę przed Bogiem że powinien być obrany, i toż samo w przystąpieniu uczynię.” Potém kładzie kartkę na patynę i wpuszcza w kielich, a klękawszy przed krzyżem, wraca na swoje miejsce. Jeśli który wstać z miejsca dla wieku i słabości nie może, jeden z wyznaczonych bierze jawnie kartkę z rąk jego i składa w kielich. Chorym niosą szkatułkę ze szparą jak w skarbonie; otwierają ją wprzód dla przekonania się że jest próżną i zostawiają klucz na ołtarzu. Jeżeli chory nie może sam kartki zapełnić, obiéra sobie zastępcę, który mu przysięga tajemnicę.

Po głosowaniu następuje rozbiór głosów. Piérwszy z wyznaczonych kardynałów miesza kartki w kielichu i liczy je, a jeśli liczba kartek nie równa liczbie kardynałów, wszystkie się palą. Jeżeli zgodna, otwierają się kartki w ten sposób: piérwszy z wyznaczonych rozkłada nie tykając się pieczętek i obaczywszy imię zapisane na papieża podaje drugiemu, drugi obaczywszy je podaje trzeciemu; trzeci czyta głośno żeby każdy kardynał mógł głos ten króską naznaczyć na arkuszu, gdzie są

drukowane wszystkie imiona kardynałów, potem liczą się kréski i zapisuje się ile kto miał głosów.

Jeżeli jedna osoba ma już za sobą dwie trzecie części głosów, to wybór już skończony; jeżeli nie, zaczyna się wtedy przystąpienie i odbywa się tym samym porządkiem, z tą tylko różnicą, że kto zdanie odmienia, pisze na kartce imię inne, kto nie odmienia, wpisuje *accedo nemini*. Nie wolno bowiem dawać przystąpienia temuż samemu co głos, nie godzi się także przystępować do tych kardynałów, co żadnych głosów za sobą nie mieli. Przy ołtarzu kładąc kartkę nie składa się nowój przysięgi, bo piérwsza już obejmowała przystąpienie. Przy rozbiórze otwierają się godła, dla przekonania się, czy kto nie powtórzył głosu swego w przystąpieniu. Zwyczaj ten naśladowany jest od senatu rzymskiego; senator zbliżał się do tych, których zdanie dzielił, albo téż z miejsca mówił że przystępuje: *Accedo ad idem*.

Jedno głosowanie, a po niém jedno przystąpienie, odbywa się dwa razy na dzień, rano poprzedzone mszą do Ducha świętego, wieczorem pieśnią *Veni Creator*, aż dopóki dwie trzecie części kardynałów nie zgodzą się na jednego papieża. Jeśli liczba głosów nie przewyższa $\frac{2}{3}$, otwiera się głos wybranego żeby się przekonać, czy sam sobie głosu nie dał, który w tym razie byłby nieważny; kartki palą się na kominku za ołtarzem, a dym daje poznać ludowi, że papież jeszcze nieobраниy.

Widzieliśmy szczegółowo kształt wyboru, uchylmy podobnież zasłonę co do ducha ożywiającego wyborem. Tu nam wypadnie wyznać dwie prawdy, obie nas ludzi, upokorzyć mogą: piérwsza, że kardynałowie dawali się niestety częstokroć uwodzić duchem stronnictwa, idąc za popędem przeważnych rodzin, albo zagranicznych

dworów, tém bardziej, że Włosi są z urodzenia do wszelkich podstępów przebiegli i zręczni; druga prawda, że te mozolne zabiegi zazwyczaj żadnego nie miały skutku, i w końcu obrany był papieżem prawie zawsze ten, o którym nikt pierwój nie myślał, i który sam tego się nie spodziewał. W téj mierze autor dzieła pod tytułem: *Histoire des Conclaves*, drukowanego w Kolonii r. 1694 kościołowi niezbyt przyjazny, opisywał szczegółowo aż do znudzenia wszystkie zachody Austrii, Francyi, Hiszpanii, tudzież rodzin i stworzeń papieżkich. Stworzeniami czyli kreaturami papieża zowią się kardynałowie przez niego mianowani. Otoż pisarz dowiódł tego, czego nie myślał: że zwykle jakaś niewidzialna siła, śmiejąc się z ludzkich zabiegów, podług swój woli wszystko układa. Zlicznych przykładów téj prawdy, przytoczę następujące: Pius II Piccolomini, poeta znany pod imieniem Eneas Silvius, były biskup Tryestu i kardynał Sieny obrany został papieżem w Minerwie roku 1464 pomimo intryg kardynała rueńskiego. Król polski nie był rad z jego wyniesienia, lękając się by Austrii nie sprzyjał. Święty Pius V Dominikan, wybrany został papieżem pomimo stronnictw Medyceuszów, Farnezów i Boromeów w roku 1566. Klemens VIII Aldobrandini, na którego elekcyi był przytomny kardynał Radziwiłł, a nie jawił się kardynał Batory, został papieżem pomimo zabiegów na korzyść kardynała Severino czynionych, w roku 1592; nie pragnąc téj godności, i nie myśląc o niej, kiedy mu kładli białą szatę papieżką, postrzegł, że brewiarz jego i różaniec pozostały w kieszeni od starój sukni i kazał ją sobie podać. Na zakluczeniu poprzedzającym wybór Leona XI Medyceusza i Pawła V Borghese, wszystkie niemal głosy były podzielone między uczo-

nemi kardynałami Baroniuszem, ze zgromadzenia Filipinów, i Bellarminem Jezuitą. Co więcej, oba ci sławni mężowie sprzyjali sobie wzajemnie. Jednakowo kardynałowie bojąc się surowości pierwszego, świętości drugiego, woleli obrać innych o których pierwój nie myśleli, to jest Leona XI, a po nim Pawła V; Leon bowiem XI Medyceusz żył tylko na tronie 25 dni, skarżąc się, że ta nowa godność pali go jak jasny płomień i że nie może znieść jój ciężaru. Krótkie życie wielu innych papieżów dowodzi, że ciężar władzy papieżkiej przechodzi siły śmiertelnego, i że upada pod nim kto nie jest osobliwą łaską Wszechmocnego wsparty. Alexander VIII Chigi, obrany został podobnie r. 1653 wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu; pewien kardynał zawołał po jego wyniesieniu: „Czyż widziano kiedy co dziwniejszego? Hiszpanie chcą papieża nie szukając własnej w tém korzyści; Francuzi osobę pierwój przez nich wyłączoną, młodzi kardynałowie męża prawego, starzy czerstwego, Medyceusze Sieneńczyka, Barberini nie ich stworzenie.” Te słowa wyrażają treściwie zarówno intrygi ówczesne, jak ich bezskuteczność. Toż samo Innocenty XI Odeschalchi wstąpił na tron niechcący, pośród stronniactw przeciwnych hiszpańskiego i francuzkiego, będąc obu przyjemnym: królowi hiszpańskiemu jako poddany jego bo rodem z Lombardyi, francuzkiemu dlatego, że pożyczał pieniędzy Janowi Kazimiérzowi królowi polskiemu, którego żona była z Francyi rodem. Papiież ten był przyjacielem Polaków, oni téż jaśnieli w dziejach ówczesnych, i pod królewską buławą Sobieskiego odegnali zwyciężkich Turków od niewdzięcznych murów Wiednia. Bawiący wtedy w Rzymie poseł królewski książdz Kazimiérz Denhof, Polak z Prus, mianowany został

kardynałem z woli papieża a nie życzenia królewskiego, bo król prosił o kapelusze czerwony dla biskupa Forbin, byłego posła francuzkiego w Polsce. Wiadomo, że Innocenty XI nie bogacił swój rodziny, owszem, z własnego majątkułożył 600 skudów na swoje utrzymanie, ale cesarz niemiecki darował synowcowi jego księciu Livio Odeschalchi obszerne włości w Austrii i Węgrzech, a w kilka pokoleń później, tegóż imienia książę Livio Odeschalchi, poślubił piękną i pobożną córkę bogatej polskiej rodziny. Wyżej wymienione osoby, znajdujemy znowu na zakluczeniu przed wyborem Alexandra VIII Ottoboni; to jest Denhofa kardynałem, a Liwiusza Odeschalchi generałem całego wojska.

Wybór Alexandra VIII ma to w sobie szczególnego, że sprawdził znaną przepowiednię, to jest nie wróżbę astrologa, który jadącemu na nauki do Rzymu przepowiedział, że nie będzie nawet kardynałem, ale jedną z owych znanych przepowiedni św. Malachiasza, o których wspomnieć tu powiniennem. Proroctwo o nim było zawarte w słowach: *Poenitentia gloriosa*, pokuta chwalebna; i rzeczywiście zbyt może ulegający przemożnej władzy Ludwika XIV, przed śmiercią zebrał kardynałów i oświadczył im swój żal z tego, potępił cztery propozycje kościoła gallikańskiego i wydał bullę w tej mierze gotową oddawna, ale zawieszoną w nadziei zgody.

Proroctwa przypisywane świętemu Malachiaszowi, arcybiskupowi miasta Armagh w Irlandyi, zmarłemu w roku 1148, były ogłoszone pierwszy raz przez Arnolda Vion Benedykty na roku 1595, lecz ten pisarz nie mówi z kąd je otrzymał. Święty Bernard w życiu św. Malachiasza nic o nich nie wspomina, chociaż przytacza inne proroctwa tegóż świętego. Baroniusz w Rocznikach

kościola i rodak nasz Bzowski jego dalszy ciąg piszący, lekceważą te przepowiednie. Jezuita Menestriez dowiódł, że były one wymyślone na zakluczeniu przed wybraniem Grzegorza XIV, przez stronników kardynała Simoncelli, którzy chcieli pod wróżbą „*de antiquitate urbis*” oznaczyć swego kandydata, urodzonego w Orvieto (Urbs vetus). Ale nie udało się im sztuka, bo ani na tém zakluczeniu, ani na innych, kardynałowie nie mieli względu na te wieszczce wyrazy. Twierdzenie powyższe o początku tych prorocstw, popiera uwaga, że przed Grzegorzem XIV dosyć się sprawdzają, ale od niego począwszy trudno je nakreślić. I tak przed Grzegorzem XIV były wróżby: o Celestynie II, *ex Castro Tiberis*; z Casteli miasta nad Tybrem leżącego, roku 1143. O Kalixcie III obranym roku 1455: *Bos pascens*; dom Borgia z którego ten papież pochodził ma w herbie wołu.

Po Grzegorzu XIV prorocstwa są zaraz mniej trafne, bo trudniej przyszłość zgadnąć, niżeli przeszłość określić. Naprzykład: o Klemensie XI Altieri „*de flumine magno*”, co nie mogli inaczéj wytłumaczyć jak przez konstellacją sześciu gwiazd plejad w herbie jego błyszcząca, która wielkie powodzie sprawia. Z téj sposobności jeden z przeciwników jego napisał te trzy wiersze:

<i>Altieri, le tue stelle sono fisse o erranti?</i>	Altieri, gwiazdy twe błędne czy stałe?
<i>Se son erranti non ti diran il vero;</i>	Jeżeli błędne, nie pokażą prawdy;
<i>Se sono fisse non andaran avanti.</i>	Jeżeli stałe, nie postąpią naprzód.

Na tę słów igraszkę, stronnicy jego lepiéj odpowiedzieli wierszami cechującemi władzę razem stałą i postępową papieżów:

<i>Schioccol le mie stelle non sono erranti;</i>	Szalony! gwiazdy moje nie są błędne;
<i>E mi diran il vero; sono fisse</i>	Powiedzą prawdę; a chociaż są stałe,
<i>E col moto del ciel andaranno avanti.</i>	Z obrotem nieba postępują naprzód.

O Pawle V prorocstwo: „*gens perversa*” przypomina chyba orła i smoka, drapieżne zwierzęta na herbowej tarczy

Borghezów przybite. Oprócz powyższych historycznych uwag zdaje nam się, że gdyby duch święty komu tajniki przyszłości objawić raczył, proroctwa takowe stosowałyby się raczej do cnót i przymiotów głowy kościoła, albo do losów szczęśliwych lub smutnych całego chrześcijaństwa, nizeli do herbu familijnego papieżów. Ztąd widać, że te mniemane wyrażenia przyszłości, pisane były w czasie, kiedy do możnowładnego herbów znaczenia większą niż przystoi przywiązywano wartość.

Jednak nie wierząc tym wróżbom, myślimy, że godzi się ciekawość czytelników zaspokoić, podając listę papieżów od Grzegorza XIV panować mających. Grzegorz był setnym z porządku przepowiedzianych papieżów, i powiedziano o nim: *de Balneis Etruriae*, co tłumaczą w sposób: że św. Romuald założył w Etrurji zakon Kamedulów, z którego ów papież pochodził. Po nim następuje: 101, *Cruce de Cruce*, Pius IX. 102, *Lumen de Coelo*. 103, *Ignis ardens*. 104, *Religio depopulata*. 105, *Fides intrepida*. 106, *Pastor Angelicus*. 107, *Pastor et nauta*. 108, *Flos florum*. 109, *De medietate lunae*. 110, *De labore Solis*. 111, *Gloriae Olivae*. 112, *In persecutione extrema Sanctae Romanae Ecclesiae sedebit Petrus Romanus (vel Secundus) qui pascet aves in multis tribulationibus, quibus transactis civitas septicollis diruetur et Judex tremendus judicabit (vel vindicabit) populum suum. Amen.*

Zatém podług téj przepowiedni ma być już tylko dwaście papieżów, licząc w to teraz panującego. Wiadomo jak panowanie ich bywa krótkie, w przecięciu jednak 7 lat trwać może. Podług téj rachuby, światby się skończył za 84 lata, to jest około roku 1930 po Chrystusie Panie, i nie jeden z żyjącej młodzieży mógłby mieć

nadzieję lub obawę, że dożyje straszliwej chwili opisaną przez ogniste wyrazy Apokalipsy. Co zaś oznacza wróżba krzyż z krzyża o nowym papieżu, czy prześladowanie kościoła? czy wojnę krzyżową? albo jedno z dwojga? to domysłem ciekawych zostawiam; w herbie albowiem nie da się wyrocznia zaspokoić. Ma się rozumieć, że kardynałowie nie kierują wyborów swoich stosownie do prorocत्व św. Malachiasza, ale mniej jeszcze na ich zdanie wpływa wola obranego. Jest rzeczą niesłychaną, że kiedy przystęp na wszystkie ziemskie godności ułatwiony bywa przez ludzkie zabiegi; kiedy dumni senatorowie rzymscy płaszczyli się w dzień wyborów u nóg ludu; kiedy dziś chcąc być wybranym posłem trzeba się popisywać ze swoim imieniem, przyjmować warunki, dogadzać wyborcom, czasem ich nawet przekupstwem jednać; kiedy obiéralny król polski musiał podpisywać podobne *pacta conventa*, i tą samą pełznąć drogą; sama najwyższa godność na ziemi wyłączona jest od powszechnego prawa. Rzadko ją osiągnęli ci, co się o nią starali, a jeśli kiedy do tego przyszło, było to zwykle ich nieszczęściem; jak Klemens VII Medyceusz świadek okropnej rzezi Rzymu spalonego przez wojsko cesarskie; jak opłakany Alexander VI Borgia, któremu dlatego może Opatrzność papieżem być pozwoliła, aby dowieść, że przy zepsutych nawet obyczajach, żaden papież nie skaził czystości wiary świętej. Jeżeli kardynał z możnej rodziny prowadził intrygę, to zwykle nie dla siebie. Zazwyczaj jak mówiliśmy, obiérali mężów, którzy się wcale o tę godność nie starali i o niej nie myśleli. Owszem mamy pewną wiadomość o kilkudziesięciu papieżach, że wbrew ich woli, gwałtem ich musieli do papieztwa przymusić.

Krótki zakres pracy, pozwala nam niektórych tylko przytoczyć. Już św. Cypryan pisze o św. Korneliuszu że był przymuszonym. Liberyusz Bogiem się świadczy, że niechętnie przyjął władzę. Św. Grzegorz I Wielki, całemi siłami opierał się swemu wyborowi, prosił Maurycyusza prefekta rzymskiego, żeby go nie potwierdzał w imieniu cesarza, a nie otrzymawszy tej łaski, przebrany uciekł z miasta i schował się do jaskini; ale wydany słupem ognistym, gwałtem został przywiedziony do kościoła św. Piotra i poświęcony. Benedykt III płakał i świadczył się Bogiem i świętymi, że niegodzien tego urzędowania. Św. Mikołaj czynił co mógł by nie być obranym, i krył się chcąc szukających uniknąć. Leon IX po trzech dniach namysłu spowiadał się publicznie, aby poznawszy grzechy jego nie obierali go za papieża. Wiadomy opór Grzegorza VII. Następca jego Wiktor III, już poświęcony uciekł, i zostawiwszy w Terracynie oznaki swój biskupiej godności, w Monte-Casino w klasztorze swoim się zamknął; próżno biskupi jeździli go prosić, odpowiadał, że woli pieszo pielgrzymować, niż siedzieć na stolicy Piotra; po roku dopiero na prośby soboru w Kapui dał się namówić. Innocentemu II wyklęciem kardynałowie grozić musieli aby go nakłonić do przyjęcia papieztwa; św. Pius V Dominikan mówił, że póki był w klasztorze, miał w Bogu dobrą nadzieję o swoim zbawieniu; biskupem i kardynałem będąc, zaczął się obawiać; wybrany będąc na papieża, prawie rozpaczał. Urban VIII i inni prosili Boga aby ich wnet śmiercią uprzędził gdyby mieli być złemi papieżami. Klemens X gniéwał się gdy mu o jego wyborze powiedzieli, mówiąc, że w jego wieku potrzebny odpoczynek, i z płaczem odpychał szaty, które mu kardynał Medyceusz podawał. Klemens XI przez trzy dni

plakali chorował, błagając kardynałów by go nie obierali i grożąc im sądem Bożym: radził się wreszcie czterech teologów, którzy go do przyjęcia nakłonili. Ale już lekamy się naprzykrzyć czytelnikom przytaczając tak częste dowody téj prawdy oczywistój, że gdy pokora chrześcijańska zwyciężała wrodzoną dumę ludzką, papieże rzadko się ubiegali o najwyższą władzę, zwykle niechcący, a często wbrew własnej woli bywali wynoszeni na stolicę św. Piotra. Jestto drugie twierdzenie nasze: piérwszém zarówno dowiedzioném jest, że zwykle tajemne działanie Ducha świętego, szyszac z ludzkich stronnictw i zabiegów, czyniło namiestnikiem Chrystusowym człowieka od Opatrzności na to przeznaczonego.

Widzieliśmy zatém jak papieże w ogólności są obierani, pozostaje nam dodać w krótkości, jak był podług tych praw odwiecznych obrany pan nasz Pius IX. Zakłuczenie trwało tak krótko, jak nie pamiętają od czasów Grzegorza XIII, to jest od roku 1572; bo trwało tylko dwa dni, kiedy zwykle ciągnie się przez trzy miesiące. Z początku wiele miał głosów znany sekretarz stanu byłego papieża, kardynał Lambruschini; w piérwszym dniu nawet 15 głosów liczył, lecz zgubił go pośpiech stronników jego; bo ci którzy obawiali się tego wyboru, połączyli głosy swoje na kardynała Mastai-Feretti, który otrzymał żadaną większość głosów drugiego dnia w wieczór. Idąc wtedy do kaplicy, kardynałowie widzieli gołębicę nade drzwiami. Przypadek zrządził, że kardynał Mastai-Feretti był jednym z wyznaczonych do rozbioru głosów, ale widząc ich wiele za sobą, prosił o pozwolenie wstania, ukląkł na swoim miejscu i modlił się z płaczem. Kardynał Patriéi go zastąpił; wtedy młodzi ze szkarłatnych wyborców spuściwszy baldahiny, zawo-

łali: „*Adoremus pontificem*”; ale ich starsi zatrzymali, aby rozbiór głosów był porządnie dokończony, a tym sposobem okazała się lepiej pewność wyboru. Spytano się wybranego czy przyjmuje godność papieżką; on prosił o noc do namysłu; tymczasem spalono trochę papieru na kominku aby lud do domów odesłać.

Pytając się o zezwolenie wybranego, zwyczaj jest pytać się razem o imię jakie przybrać zechce. Zwyczaj zmiany imienia jest bardzo dawny w kościele, i pierwszy Chrystus Pan odmienił imię Szymona na Piotra, ale nie wiadomo z pewnością, kto pierwszy po nim przybrał inne nazwisko. Marcin, Polak, przypisuje to Sergiuszowi II, zwanemu pierwój Świnia morda: Baroniusz owszem utrzymuje, że to Sergiusz IV uczynił przez pokorę i uszanowanie dla imienia księcia apostołów, które pierwój nosił. Godzi ich Muratori mówiąc, że ów Sergiusz mógł mieć imię Piotra a przezwisko Świnia morda; pierwszego nie śmiał, drugiego nie chciał nosić. Jednak i przed nim Oktawian przybrał imię Jana XII, dla wuja swego Jana XI; po nich zwyczaj ten nie był koniecznym prawem, bo Adryan VI i Marcelli II zachowali imiona swoje chrzesne. Czasem kardynałowie układali sami imię: tak Fryderyka Lotaryńskiego nazwali Stefanem, a Hildebranda, Grzegorzem VII, nie chcąc dzikością niemieckich imion, włoskie uszy obrażać. Zresztą księża, zakonnicy także, imię zmieniać zwykli wchodząc w nowe powołanie swoje, aby pomnieli, że nowemi są ludźmi.

Jednak już 16 czerwca wieczorem, rozeszła się po mieście pogłoska, że papież jest obrany. Bo w Rzymie jeśli dzienniki dotychczas mało znane, jeśli z urzędowego *Diario* niczego ani o kraju włoskim, ani o innych do-

wiedzieć się nie można; zato nowiny biegają po mieście szybkością błyskawicy, powtarza je każdy znajomym i nieznanym w domu i na ulicy, w mgnieniu oka całe miasto wie o nich, jak w jednej chwili kopuła świętego Piotra bywa oświetlona: i co dziwnego, że przy podobnym stanie dziennikarstwa, bardzo mało jest plotek? Lecz nie wiedziało miasto kto był obrany; tylko z małej miary obstalowanych trzewików wniósł ktoś, że papieżem został kardynał Gizzi, i za pewne rozgłosił. Nazajutrz rano poznali błąd, więc tłumy ludu zaległy plac Kwirynalu, by wiedzieć z pewnością imię nowego pana swojego, nowego władcy ziemi chrześcijańskiej. Ale zamiast czekać z niemi na skwarze dnia gorącego, wprowadzę znowu czytelników w tajniki zakluczenia. Tam kardynał Mastai-Feretti oświadczył kardynałom: że gdyby się radził ochoty swojej, nie przyjąłby władzy papieżkiej, ale zważając na szczególny sposób jakim był wybrany, widzi w tém zrządzenie Opatrzności. Przez zobopólne zezwolenie, zawarty już jest ślub papieża z kościołem; wielki ów podług Pawła świętego sakrament. Spisuje się zatém akt uroczysty wyboru przez protonotaryuszów apostolskich. Odtąd wybrany staje się papieżem, to jest ojcem; nazwa ojca, *papa*, służyła dawniej wszystkim księżom i biskupom; potem sami tylko papieże zaczęli ję używać, a mianowicie ś. Siricus I, roku 385, a po nim ś. Leon Wielki roku 440. Na soborze pawijskim zakazano Arnolfowi biskupowi medyolańskiemu zwać się papieżem medyolańskim, na skargę Grzegorza V. Odtąd zdobi prawych synów kościoła nazwa papistów, na obelgę im dana przez królewsko-angielskich kacerzy. Służy także papieżom tytuł najświętszy, wasza świętość, i najwyższy kapłan, ale ich najulubieńszy tytuł, przybrany przez ś. Grzegorza Wielkiego wtenczas, kiedy Jan patry-

archa carogrodzki przywłaszczył sobie nazwę biskupa powszechnego, jest sługa, sług Bożych.

Po zezwoleniu papieża, kardynałowie odziewają go w szaty godności jego właściwe; to jest: kontusz zwykłym księży krojem, jedwabny, z białej mory, znamię niewinności, peleryna czerwona karmazynowa, w lecie gładka, w zimie axamitna, podszyta gronostajami białymi, czapeczka kapłańska biała lub czerwona, w zimie podobnie gronostajem podszyta, kapelusz z szerokim brzegiem z mory czerwonej, stuła u szyi złotem haftowana, wreszcie trzewiki z sukna czerwonego, na których krzyżyk złotym galonkiem haftowany zwykli wierni całować.

Krzyżyk ten już od roku 590 przez ś. Grzegorza Wielkiego jest wprowadzony przez pokorę, aby zdawało się, że wierni nie nogi człowieka, lecz znak Zbawiciela całują. Zwyczaj całowania nóg papieżom trwa od czasów apostolskich. Nogi św. Piotra całował św. Klemens, i św. Korneliusz setnik w Cezarei; Prepedigna żona Klaudyusza cesarza upadła do nóg świętego Kaja i całowała je podług zwyczaju, prosząc aby ją do wiary przyjął. Konstantyn cesarz całuje nogi ś. Sylwestra, Justynian św. Agapetha, Karol Wielki Adryana I, Fryderyk Barborussa Adryana VI, Karol V cesarz Klemensa VII i Pawła III. Jednakowo komuby się to nie podobało, może się rad dowieć, że Wasil car moskiewski ganił już także zwyczaj noszenia krzyża na nodze w urzędowej rozmowie z Jezuitą Possewinem. Na co mu ksiądz Antoni Possewin nuncyusz papieża Grzegorza XIII odpowiedział: że papieże przez skromność to czynią, by chrześcianie krzyż a nie nogę całowali, pomniąc, że od krzyża zbawienie, jak i władza papieżka pochodzi, i że Izaiasz przepowiedział w rozdziale 49 wierszu 22: „*Et*

erunt Reges nutritii tui et Reginae nutrices tuae; vultu in terram demisso adorabunt te et pulverem pedum tuorum ludent"; co do Chrystusa i następców jego się stosuje. Pewien Saracen w Paryżu upadł do nóg Alexandra III, jako Boga chrześciana, lecz papież go napomniiał: „wstań, bo ja sam człowiekiem jestem.” A gdy Franciszek I król francuzki całował nogi Leona X w Bononii, mówiąc, że raduje się widząc twarz w twarz arcykapłana, zastępcę Jezusa Chrystusa, papież odpowiedział: „to wszystko na Boga przenosząc i Bogu oddając”; i wyraził w tych słowach prawdziwego ducha całej okazałości dworu papieżkiego, która tylko chwałę Chrystusa Pana i ozdobę kościoła małżonki jego ma na celu.

Gdy papież ubrany, prowadzą go kardynałowie do ołtarza kaplicy i posadziwszy na krześle, całują nogi, rękę i twarz papieżką. Kamerling oddaje mu pierścień rybaka, ten pierścień ślubny papieża z kościołem walczącym, podobny jest do ślubnej obrączki doży weneckiego z burzliwém morzem. Poczém kardynał dziekan poprzedzony krzyżem idzie do okna zamurowanego, każe je rozwalić i występując na ganek mówi głośno do ludu: „*Annuntio vobis gaudium magnum*”; oznajmiam wam radość wielką, mamy papieża kardynała Mastai-Feretti, który sobie przybrał imię Piusa IX.

Na te uroczyste słowa, zagrzmiały działa świętego Anioła, a lud przez okrzyki i poklaski radośne, używa dawnego prawa potwierdzania papieżów; powiększyły się okrzyki kiedy papież sam stanął na ganku i z płaczem dał ludowi błogosławieństwo.

Wszelako radość ludu była jeszcze niezupełna, bo chociaż nikt nie miał nic do zarzucenia nowo obranemu papieżowi, jednak świetne jego zalety skromnością po-

kryte, nie mogły być jeszcze tak powszechnie wiadome. Wkrótce wiedziano, że rodzina Mastai jest dawną szlachtą z miasta Sinigaglia nad morzem Adryatyckim, blisko Ankony leżącego. Sam papież rodem z tego miasta, miał wstąpić do straży szlacheckiej w czasie Piusa VII, ale wielka choroba nie pozwoliła mu postępować w zawodzie wojskowym. Uleczony cudem Matki Boskiej Loretańskiej, przez wdzięczność ku téj królowej naszej, postanowił być księdzem. Był naczelnikiem wielkiego szpitalu ś. Michała w Rzymie, potem towarzyszył nuncyuszowi papieżkiemu w Chili, ale był ztamtąd dla stałości od rządu rzeczypospolitej oddalony, pierwszy papież, co zwiedzał tak odległe, a jednak sobie podległe ziemie nowego świata. Chciał być przy kościele ś. Piotra, ale go kanonicy przyjąć nie chcieli; takto wiele zawodów próbował bez szczęścia, i powiedzić o nim można co pismo święte do Pana naszego Chrystusa stosuje: „Kamień który odrzucili mularze, położę za węgiel domu mego.” Wreszcie Pius VII znając dobrze zasługi jego, wyniósł go na arcybiskupstwo Spoleto, a potem na swoje dawniejsze biskupstwo Imola. W roku 1840 Grzegorz XVI mianował go kardynałem, ale kardynał Mastai otrzymawszy czerwony kapelusz, wrócił do biskupstwa swego, i nie wdając się w dworskie zabiegi, pilnował trzody sobie powierzonej, i dawał cichy przykład cnót apostolskich. Był on od kardynałów wysoko poważany, chociaż pospólstwu rzymskiemu i cudzoziemcom mniej znany: czekał więc lud z wybuchem radości póki z pierwszych czynów nowego pana, nie pozna jego sposobu myślenia.

Ogłoszenie papieża wypadło jak mówiliśmy 17 czerwca 1846 r. we środę; nazajutrz wieczorem szedł już za

processyą u świętego Piotra w oktawę Najświętszego Sakramentu. W niedzielę 21 czerwca, nastąpiła uroczystość koronacyi papieżkiej w kościele świętego Piotra. Z tym obrzędem połączona bywa konsekracya wtenczas, kiedy papież obrany, biskupem jeszcze nie jest, najwięcej bowiem papieży wstępowało na tron z rzędu księży albo dyakonów; ci ostatni przez czynności i obowiązki swoje będąc dawniej więcej w styczności z ubogim ludem i więcej wiernym znani, więcej też częstokroć głosów na najwyższą władzę liczyli. Przywilój poświęcenia jak mówi jeszcze święty Augustyn, dzierży sąsiedni biskup Ostyi, w assistencyi biskupów Porto i Albano.

Chociaż papież zazwyczaj w kościele mitrę biskupią kładzie na głowę, jednak do koronacyi inną używa oznaki, która się zowie *tiara triregnum* czyli trzyczępek. Dawniej ta ozdoba jedną tylko koroną była uwieńczona; darował ją Konstantyn cesarz świętemu Sylwestrowi papieżowi na oznakę władzy doczesnej, czy też podług innych, sam ś. Sylwester przyjął ten kształt frygijjskiej czapki, która wolność w Rzymie oznaczała, dla okazania, że kościół jest odtąd wyzwolony i oswobodzony od jarzma nieprzyjaciół. Mikołaj II, czy też Bonifacy VIII, drugą dodał koronę na znak podwójnej władzy duchownej i doczesnej, a Urban V lub podług innych Benedykt XII dodał trzecią koronę. Jest zatem trzyczępek zarówno znamieniem wolności i władzy; przypomina, że władza kościoła przysła uwolnić ludzkość z niewoli grzechu i z niewoli towarzyskiej ciężaczej nad wielką częścią ludzkości za czasów pogańskich, a dziś daleko słabszej, ale niezupełnie jeszcze zniesionej. Jakaż ziem-ska korona lub wieniec łączy podobnie oba te godła!

Dziwny jest kształt trzycządu; niby sklepienie czoła niezmiernie podniesione dochodzi do najwyższego szczytu gienialnej potęgi. Czytamy, że za Bonifacego VIII, bogaty trzycząd zakończony był na szczycie drogim rubinem. Ten rubin zginął przy koronacyi Klemensa V w Lyonie, kiedy runący mur papieża zwałił i kilka osób przy nim jadących zabił, jakby grożąc mu za to, że miasto Rzym opuścił, i stolicę do Francyi przenosił. Tyara Sylwestra posłana przez Eugeniusza IV z Awinionu do ś. Jana Lateraneńskiego, w tymże kościele skradzioną została. Klemens VII, jak pisze Benvenuto Celini będąc zamknięty w zamku ś. Anioła i uciekając przebrany, dwie tyary zepsuł i klejnoty do szat swoich wszycę kazał. Pozostałe cztery trzycządy po Juliuszu II, po Pawle III, po Klemensie VIII i Urbanie VIII, Pius VI papież bogato klejnotami i dżłutem złotnika Sartori ozdobił. Strzeżone w zamku świętego Anioła, równie jak mitry ś. Piusa V i Pawła V, wydawane bywają major-domowi i marszałkowi dworu papieżkiego za kwitem urzędowym.

W wilią koronacyi rozdaje się ubogim jałmużną po paule czyli po złotemu każdej głowie, licząc w to dzieci małe i nawet zawarte w łonie matek; korzystają z tego zebraczk i nawet baby mające z czego żyć, i nie wstydzą się dzieci pożyczac a suknie poduszkami wypychac. Dawniej w dzień koronacyi rzucały się pieniądze ludowi, ale ten zwyczaj zniesiony został przez ś. Piusa V, bo rozrywając jałmużnę, ludzie się częstokroć kaleczyli.

W uroczystym dniu koronacyi, papież w zwykłej odzieży udaje się do izby w pałacu Watykańskim, zwanój łozem stroju, na pamiątkę, że dawniej papieże piechotą chodząc, przy sędziwym wieku znużeni przychodzili do kościołów; była więc izba z łozkiem żeby odpo-

cząc i nogi umyć mogli. W tej komnacie czekają już kardynałowie, i gdy papież staje przy łożu dywanem przykrytém, dwóch kardynałów dyakonów zdejmują mu czapkę czerwoną, a kładą białą, poczem ubierają go w szaty kościelne, które równie jak ubiór arcykapłanów starego testamentu, mają swoje mistyczne znaczenia. Przepasując lnianą komżę kapłańską, białą na znak niewinności, wspomina na słowa Chrystusa pana, że go zaprowadzą tam, gdzie nie będzie chciał. Na wierzch zarzucają mu *pluviale* czyli płaszcz biały jedwabny, złotem haftowany, spięty na piersiach racyonalem. Wiadomo, że arcykapłan nosił na piersiach racyonał złożony z dwunastu drogich kamieni, na pamiątkę dwunastu pokoleń Izraela. Papież ma dwa napierśniki, jeden płaskorzeźby Benvenuto Cellini z czasów Klemensa VII, przedstawia Boga ojca unoszonego przez aniołów, na dyamencie 136 karatów; drugi darowany Celestynowi V przez Kosmę I, kiedy był ogłoszony księciem tokańskim, wyobraża Adama i Ewę pożywających jabłko, tudzież imię Chrystusa pana drogiemi kamieniami w gotyckich głosek napisane. Rzecz godna uwagi, że Klemens VII i Pius VI, którzy się oba w klejnotach kościelnych kochali, pokutowali za ten zbytek w więzieniu.

W sali książęcej papież siada na krzesło niesione przez dwunastu sług, ubranych w suknie adamaszkowe lub axamitne, i poprzedzony licznym duchowieństwem orszakiem, udaje się do kościoła świętego Piotra. Niosą przed papieżem krzyż, tę chorągiew królewską walczącego kościoła, już od czasów św. Klemensa i św. Sylwestra, aby niewidomych nieprzyjaciół rotę przed nim rozpraszał. Oblicze krzyża zwrócone jest ku papieżowi; niosą także mitry i tyary, tudzież siedm świeczników Apokalipsy

Idą przed nim różnych imion prałaci, księża nadworni, i urzędnicy duchowni, potem kardynałowie po dwóch, zaczynając od młodszych; za nimi arcybiskupi, biskupi, niektórzy z brodą poważną, należący do wschodnich kościołów połączonych z jednością powszechną: proto-notaryusze opaci infułą ozdobieni, wreszcie generałowie 9ciu zakonów. Ale w tym tłumie możnowładztwa i stopni duchownych, każdy widzi zdaleka przeważną osobę papieża, bo niesiony na wysokiem krześle, widziany jest od wszystkich, i wszystkich widzi kiedy otarłszy łzy z oka modlitwą ku niebu zwróconego, spojrzy na trzode swoją, i udziela jęj skarb nieoceniony swego błogostawieństwa. Wszyscy mogli widzieć twarz piękną, pełną słodyczy i siły Piusa IX, czoło wypukłe, nos orli, rysy wyrobione, łagodne i myślące; piękność tęg poważnej głowy pierwszą była przyczyną przywiązania ludu, zanim tylu innych sobie zjednał, i zewsząd słysząc było cichy szmer podziwienia. Rzeka ludzka wpłynęła do świątyni Piotra. Sztab główny walczącego kościoła wszedł do głównej kwatery swojej, do tego kościoła, który jeden tylko zdaje się być godnym namiotem hetmana Chrystusowego. Pod wyniosłym sklepieniem złocistym, pośród marmurowych ścian, słupów i posągów, pośród żywych obrazów wielkich mistrzów uwiecznionych mozajką, pośród kości apostołów i papieżów, tęg więcej czyniło wrażenia oblicze Piusa IX, ożywione łaską Wszehmocnego. Aby zasłonić poczęści jego majestat, niosą przy papieżkiem krześle dwa wielkie wachlarze z białych piór pawich. Dawny to zwyczaj, że przy mszy dyakon wachlarz trzymając, natrętnie muchy, jak próżne myśli i pokusy odganiał; urząd ten św. Atanazy sprawował. Dotychczas się to zachowało

na Wschodzie u Ormianów. Mogą téż oczypawie oznaczać tysiące ocz argusowych ludu na pastérza zwrócone, i tysiąc ocz jemu potrzebnych, by w wniczém zbawienia dusz ludzkich nie zaspał.

Odebrawszy u drzwi kościelnych pokłon kapituły, a sam uklękawszy przed kaplicą Najświętszego Sakramentu, odbiéra hołd duchowieństwa w kaplicy świętego Grzegorza i kończy sam przybory swój odzieży: myje ręce, do czego dawniej posłowie zagraniczni wodę podawali, ale ten zwyczaj ustał dla sprzeczek o pierwszeństwo; zdejmuje pluwiale i stułę; bierze pas złoty, krzyż na piersi, chustkę lekką z jedwabiu czterech kolorów, podobną do Ephad arcykapłanów izraelskich, gdzie cztery barwy znaczyły cztery żywioły: ziemię, powietrze, ogień i wodę; rękawiczki z krzyżem, pierścień, dalmatykę, i inne szaty których nie wyliczamy, bo nazwiska nawet nie mają w mowie naszej. Poczém zbliża się do wielkiego ołtarza a przed nim kardynał dziekan dyakonów niesie laskę ferulą zwaną. Pastorału papieża nie noszą, czyto dla tego że św. Piotr posłał swój świętemu Eucherowi pierwszemu biskupowi trewirskiemu dla wskrzeszenia następcy jego św. Materna, czy téż że pastorał jest oznaką władzy ograniczonej.

Jest zwyczaj palić przed papieżem pakuły mówiąc: „*Sancte pater, sic transit gloria mundi;*” ale niema zwyczaju śpiewać mniemane proroctwo: „*Non videbis annos Petris.*” Wszelako doświadczenie zastępuje miejsce proroctwa, bo żaden papież nie panował tak długo jak św. Piotr, to jest 25 lat, chociaż kilku było papieżów bardzo młodych i dwudziestoletnich, jak Alexander I, Jan XI, Jan XII, Benedykt IX, wszyscy jednak po kilka lat za ledwie żyli, a trzydziestoletni Innocenty III, dożył lat

22½. Jeden tylko antypapa Benedykt XIII, żył od wyboru lat 28, ale też papieżem nie był.

Już przy ołtarzu na stolikach gotowe są święte sprzęty i naczynia; pomiędzy złotymi kielichami jeden bieli się platynowy, z pierwiastków tego metalu z Ameryki przywieziony i za Urbana VIII wykuty. Już orkiestra na wyniesionym ganku stojąca, niewymownym głosów wdziękiem, zanuciła poważne starożytne Gregorykańskie śpiewy. Już zaczyna się urbczysta ofiara mszy świętej: cud miłości Stwórcy ku stworzeniu. Przy stopniach ołtarza papież otrzymuje pallium przy słowach: „przyjmij święte pallium pełność pontyfikalnego obowiązku na cześć Boga Wszechmocnego i chwalebnej Maryi Panny matki jego, i świętych apostołów Piotra i Pawła i całego świętego rzymskiego kościoła.” Ewangelia śpiewana bywa po łacinie i po grecku; dawniej w obu tych mowach śpiewana też była w Carogrodzie, dla okazania jedności szczęśliwej kościoła. Po paciérzu Ojcie nasz, nie odpowiada się amen, na pamiątkę, że raz aniołowie przy mszy amen odpowiedzieli. Tak samo św. Grzegorzowi, gdy mówił: *Pax Domini sit semper vobiscum*, anioł miał odpowiedzieć: *Et cum spiritu tuo*.

Po mszy papież odbiera 25 pieniążków giulii zwanych za mszę dobrze śpiewaną, dla pokazania zapewne, że wolno kapłanowi żyć z ołtarza i przyjmować wiernych serdeczne ofiary. Od tak pokornego uczynku przechodzi do szczytu chwały, bo niesiony na ganek świętego Piotra, otrzymuje trzyczad z rąk kardynała dziekana biskupa Ostyi, który wymawia te słowa: „Przyjmij tyarę trzema koronami ozdobioną, i wiedz, że jesteś ojcem książąt i królów, rządzcą świata, na ziemi zastępcą Zbawiciela

naszego Jezusa Chrystusa, któremu cześć i chwała na wieki wieków." Patrzyło na ten czyn uroczysty niezliczone mnóstwo ludu pieszo i powozami zgromadzonego na olbrzymim placu świętego Piotra, pomiędzy lasem kolumn, temi dwoma ramionami przysionków, co zagarną świat cały, naokoło granitowego obelisku dźwigającego teraz zwyciężkie знамя krzyża. A kiedy papież podniósłszy ręce ku niebu błogosławieństwo z tamtąd zciągnięte magnetycznie na lud przytomny, na miasto i świat rozszerzył, upadły tłumy na kolana, jak zboże powiewem wiatru pochylone. My także byliśmy w liczbie przytomnych, my niegodni posłannicy zponad brzegów Wisły, pragnęliśmy aby błogosławieństwa odpustowa łaska nie ginęła przechodząc przez nasze szczupłe naczynie pełne nieprawości, lecz aby rozlała się z blaskiem zorzy na liczną i drogą rodzinę, na ziemię ukochaną i nieprzejrzane jej pola, lasy i stepy!

Odgłos: „niech żyje Pius IX!” zagłuszył szum srebrnych wodotrysków rzesistych, ozłoconych tęczą, dzień i noc igrających przed świątynią Pańską. Jednak okrzyki ludu nie zdawały się dość głośne papieżowi; jako czuły ojciec postrzegający zaraz cierpienia dziecięcia, spytał się o przyczynę tej oziębłości. Odpowiedzieli mu, że lud miał nadzieję przebaczenia dla więźniów stanu. Leży to w przymiotach wysokich panującego, że postanowienia wspaniałomyślniej duszy swojej najprzód bierze pod dojrzałą rozwagę, dopiero potem z nieugiętą stałością wykonywa. Zebrał więc radę stanu złożoną z kardynałów Lambruschini, Mathei, Machi, Bernetti, Gizzi i Amat, żeby zastanowiła się nad przebaczeniem i nad innymi ważnymi sprawami państwa. Głosy rady były podzielone; doświadczeni ministrowie przeszłego papieża, a zwła-

szcza kardynał Lambruschini działający pod wpływem Austrii, byli przeciwni przebaczeniu, owszem stronnicy nowych postępowych zasad, a na ich czele kardynał Gizzi, radzili papieżowi by usłuchał głosu serca swojego. Tym ostatnim Pius IX, przyznał zupełne zwycięstwo, bo kardynała Gizzi mianował sekretarzem stanu do spraw zagranicznych i wewnętrznych, a Lambruschiniemu wyjechać pozwolił choćby do Ameryki. W skutek czego w miesiąc po wstąpieniu na tron wydał papież brewe, w której ubolewając nad losem rodzin pozbawionych pociechy domowej w czasie powszechnego wesela, i litując się nad młodzieżą uwiedzioną raczej w polityczne zamieszki niż uwodzącą, udzielił przebaczenie wszystkim więźniom stanu i wygnańcom, pod warunkiem żeby słowem honoru obowiązali się, że nadal téj łaski nie nadużyją, lecz owszem będą wiernymi poddanemi. Wyłączeni są z téj amnestyi tylko wojskowi i księża, których obowiązki nakazywały ściślejszą ku władzy wierność, ale tych liczba była tak mała, że można przebaczenie uważać za powszechne. Nie przestając na wypuszczeniu z więzienia winowajców stanu, papież obsypał ich dobrodziejstwami, dając jednym odzież i pieniądze na drogę, innym opatrując miejsca aby mieli przyzwoite zatrudnienie i utrzymanie, a nakoniec aby zupełnie zagoić rany ich serca, pozwolił im przystąpić razem do stołu Pańskiego. Najznakomitszych pomiędzy nimi raczył przepuścić do tajnego posłuchania, i rozmawiać z nimi o sprawach krajowych. Taka zupełna łaska, była krajowi niewymownie przyjemna, bo widziano w niej rekojmię przyszłych rządów; a jak od innych rządów panujących we Włoszech przyjęta była z oburzeniem i skargą, tak od całego narodu włoskiego a mianowicie od

Rzymian z najwyższém uniesieniem radości. Przebaczenie było podpisane 16go lipca, drukowane i przyklejone na ścianach po mieście, 17go przed wieczorem, i zaraz czytane od mnóstwa ludzi zgromadzonych po rogach ulic. Tłumy wdzięcznego ludu napełniały plac Kwirynalu wrzeszcząc: „niech żyje Pius IX!” Krzyki ludu przewyższały łoskot fali morskiej w czasie najgwałtowniejszej burzy; inni przychodzili z muzyką, chorągwiami i pochodniami, i trwał ten wybuch radości do późnej nocy. Papiież wychodził na ganek by dawać ludowi błogosławieństwo. Miasto było rześisto oświecone. Te same oznaki radości powtarzały się nazajutrz wieczorem. Trzeciego dnia w niedzielę papiież jechał do kościołka Missyonarzy z powodu święta ś. Wincentego a Paulo, założyciela tego zgromadzenia; ulice gdzie przejeżdżał były pełne ludu, a okna ubrane w bogate makaty, zewsząd rzucano przed nim kwiaty wołając: niech żyje! Kiedy wracał, wyprzęgli konie z poszóstnej karety na placu Monte-Citorio, i ciągnęli powóz przez plac Colonna, ulicę Korso aż do Kwirynalu. Dzień był pogodny a niebo tak błękitne jak we Włoszech tylko być może, i miło się od tego błękitu odbijały karmazynowe adamaszki z okien wywieszzone, i barwy herbu hrabiów Mastai, który po wszystkich domach rządowych i książęcych na tarczy drewnianej przybity, mieści dwa lwy na krzyż w polu błękitném i dwa pola czerwone z białém paskowane. Szczęśliwy kto widział ten dzień pogodny, kiedy tysiące ust brzmiało jednym odgłosem, tysiące rąk chustkami powiewało, a oczy wszystkich, oczy czarne i zapalone Włochów, jak niebieskie i zachmurzone północnych cudzoziemców, zroszone były jednemi łzami rado-

ści. Niechaj opis dnia tego oświeci rzymskim blaskiem tych, co siedzą w cieniu śmierci; niech zapali południowym skwarem tych, co marzną pośród śnieżnej pustyni.

Lecz papież cierpiąc na tych zbytecznych oznakach radości, ogłosić kazał, że życzy sobie aby się radość ludu umiarkowała, a wie że jego życzenia są dla Rzymian rozkazem. I wnet okazując posłuszeństwo miłości, wróciło morze znów do granic swoich; plac Kwirynału już był tego wieczora głuchy i milczący. Ale na pokazanie jak trwałe są jego uczucia, lud wznosił znowu łuk tryumfalny na placu Del Popolo w dzień 8 września, kiedy papież obchodząc narodzenie Matki Boskiej jechał do kościoła ś. Maryi-Ludu, i miasto bogato ustroił, a wieczorem rzesisto oświecił.



O KONGRESIE POKUTNYM

odbytym w Frankforcie nad Menem
w końcu września 1846 r.

PRZEZ

Fryderyka hr. Skarbka.

Kongres pokutny, *Congrès pénitentiaire*, taką nazwę przybrało zgromadzenie które się pierwszy raz zebrało w roku bieżącym, w zamiarze rozprawiania nad najlepszym sposobem uwięzienia winowajców i wydania stanowczych uchwał w tym przedmiocie. Niezbyt odległe są od nas te czasy, gdzie nikt nie myślał o ludziach za zbrodnie i występki do więzień wtrąconych; uchodzili oni za straceniów których losem zajmować się niewarto, i nikt nie pytał co się dzieje z człowiekiem z towarzystwa wykluczonym, a każdy stronił od niego gdy po wysiedzeniu kary do tegoż towarzystwa powracał. Howard zwrócił pierwszy uwagę rządów i ludzi myślących na więźni, bo pierwszy odważył się zwiedzić te siedliska nędzy i zepsucia, nietylko w swoim ale i w obcych krajach, a oburzenie i miłosierdzie jakie opisem tego co widział wzbudził, dały powód do tego, iż odstepując od jednej osta-

teczności chwycono się drugiej. Dobroczyńne zajęcie się losem więźni miało ten skutek, iż więzienia przestały wzbudzać wstręt i obawę w przestępcach, i że liczba tychże rosła w miarę większych wygód i osłodeń kary więzienia. Uznano wkrótce potrzebę powściągnięcia szlachetnych lecz błędnych usiłowań zle zrozumianej filantropii, i zaprowadzenia takiego zarządu więzień, któryby przy zachowaniu zasad ludzkości utrzymał więźni w surowej karności, wzbudził w nich obawę kary więzienia, i wrócił to przekonanie, że pobyt w takim zakładzie dla nikogo pożądanym być nie może.

Ta rozsądna i potrzebą towarzystwa usprawiedliwiona dążność objawiła się najprzód w Ameryce, gdzie uznano, że więzienie każde do tego zmierzać powinno, ażeby osądzony winowajca uczuł silnie wymierzoną karę, i aby przez czas pobytu swego stał się jeżeli można lepszym, a przynajmniej nie stał się gorszym, jak nim był przed wejściem do więzienia. To połączenie kary, żalu i poprawy w zamiarach uwięzienia, dało początek zasadom zarządu więziennego pokutnym *pénitenciaire* zwanego, który pod postacią dwóch oddzielnych i zupełnie różnych systematów, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej w wykonanie wprowadzony został. Jeden z nich znany pod nazwiskiem *Auburnskiego*, od miasta w którym pierwsze więzienie podług zasad jego wystawione zostało, zamierza osiągnąć cel kary i poprawy winowajców za pomocą odosobniania więźni nocną porą i przymuszonego milczenia przy spólnej robocie we dnie, obok udzielania zgromadzonym więźniom nauk religijnych i moralnych. Drugi zwany *Filadelfskim* od więzienia w Filadelfii wystawionego, poczytuje zupełne odosobnienie więźni dniem i nocą za jedyny środek wymierza-

nia kary na winowajcach i ochronienia ich od dalszego zepsucia. Auburnski systemat, największą zrazu znalazł wziętość w Europie; był czas, że wielką w nim pokładano ufność, i że wszyscy obstawali za zaprowadzeniem przymuszonego milczenia w tych nawet więzieniach, gdzie nie było możności odosobniania więźni nocną porą. Szczególniej łudzono się długo nadzieją, że nauki religijne i moralne zgromadzonym więźniom udzielane, obok ojcowskiego obchodzenia się z nimi, zdołają ludzi przewrotnych powrócić na drogę uczciwości. Obok tego odstręczała zbyteczna surowość ciągłej samotności i zupełnego wyłączenia więźni od wszelkiego społeczeństwa, zasadą systematu filadelfskiego będąca, tak dalece, że się zdawało iż zdania filantropów Europy skłaniać się będą za przyjęciem systematu auburnskiego. Lecz obok tych ludzi z najszlachetniejszych pobudek zajmujących się losem winowajców zamkniętych w więzieniach, i sądzących o nich to z powieści, to z odwiedzin niekiedy w tych zakładach odbywanych, przypatrywali się bliżej więźniom osobiście i codziennie ci ludzie, którym nadzór nad więzieniami różnych krajów był poruczony, i którzy będąc w ciągłej styczności z więźniami, mieli sposobność zbadania natury ludzkiej zbrodnią skażonej i sprawdzenia skutków osiągniętych za pomocą milczenia, ojcowskiego obchodzenia się i nauczania więźni w zakładach podług auburnskiego systematu urządzonych. Tacy ludzie, których należy uważać za biegłych w tym zawodzie, doszli po kilkunastu latach doświadczenia do zupełnie odmiennego przekonania od filantropów z ogólnych pobudek ludzkości losem więźni zajętych. Oni bowiem przekonali się, że przymuszone milczenie, które

tylko za pomocą najsurowszych i nieludzkich środków utrzymane być może, jątrzy więźni, żywi w nich ciągłą zawziętość przeciw przełożonym i całej społeczności, i nie zapobiega temu, aby się między sobą nie porozumiewali; że ojcowskie obchodzenie i najzbawienniejsze nauki, napotykają na same tylko niewdzięczne serca, i obłudę w zasadę charakteru więźni zamieniają, i że zapowiedziane skutki zbawienne tego systematu nie uściły się, bo się nie zmniejszyła liczba powracających do więzienia przestępców, których jako poprawionych z niego wypuszczano, a ogólna liczba winowajców do więzień odsyłanych, rosła ciągle w stosunku zastraszającym i groźnym dla bezpieczeństwa społecznego.

Za wpływem i radą tych praktycznych ludzi, odstąpiono w wielu krajach europejskich, od ludzkiej teorii przyjaciół ludzkości, którzy zbyt wielką siłę wpływowi moralnemu na poprawę winowajców przypisywali, i zaczęto polegać więcej na odosobnieniu więźni, aby się jedni przez drugich nie psuli, jak na moralnym poprawianiu zepsutych przez prawych i bogobożnych ludzi. Powstały w wielu odległych od siebie krajach budowy więzienne do filadelfskiej podobne; czyniono przez lat kilkanaście doświadczenia które przekonały zarazem o wyższości tego systematu nad wszelkimi innymi, i o potrzebie zaprowadzenia zmian i udokładnień, które systematowi odosobnienia dniem i nocą piętno doskonałości nadać mogą.

Po latach prób i doświadczeń nadszedł czas wyrzeczenia stanowczego w tym przedmiocie tak ważnym dla społeczeństwa, i ustalenia zasad systematu pokutnego. Ci sami mężowie, którzy wśród więzień i pomiędzy uwięzionymi pobierali nauki doświadczenia, postanowili zebrać

się razem, wezwać do zgromadzenia swego przeciwników systematu za którym ich przekonanie przemawiało, odbyć w otwartych szrankach zbawienną walkę zdań, udzielić sobie nawzajem uwag i dostrzeżeń każdy w swoim zawodzie czynionych, i po ścisłym zbadaniu i zgłębieniu całego przedmiotu wyrzec stanowczo: jakich zasad trzymać się należy w krajach europejskich, aby więzienia były zawsze karą a nigdy szkołą zepsucia; aby w tych zakładach pogodzony był ścisły wymiar sprawiedliwości karzącej ze wszelkimi względami ludzkości.

Tym sposobem zawiązał się tak zwany Kongres pokutny, który w bieżącym roku odbył pierwsze posiedzenie swoje w Frankforcie nad Menem w dniach 28, 29 i 30 upłynionego miesiąca września.

W listach zapraszających na toż zgromadzenie oświadczono: iż dlatego obrano miasto Frankfort na miejsce zebrania, że w dniu 24 września ma się zebrać w témże mieście kongres prawników, historyków i filologów niemieckich; że ścisły związek zachodzący między nauką prawa a teorią pokutnego uwięzienia, nastreczył myśl uzupełnienia działań tego głównego kongresu przez połączenie z nim kongresu specjalnego, wyłącznie reformie więziennej poświęconego. Nim przeto przystąpię do rozbioru czynności tego ostatniego zebrania, za użyteczne sądzę wspomnieć, jak dalece zamiar powyższy do skutku doprowadzony został.

Główny kongres prawoznawców, historyków i filologów niemieckich, przybrał ogólną nazwę kongresu *Germanistów*, co już oznaczało dążność jego wyłącznie niemiecką. Jakoż okazało się na pierwszym posiedzeniu, że polityczne sprawy które zajmowały całe Niemcy, przemogły nad badaniami naukowemi za cel zebrania

naznaczonemi, bo ta pierwsza sessya była wyłącznie zajęta rozprawianiem nad sprawą Szleswiko-Holsztyńską, która była właśnie najżywiej całej Niemcy zajmującym przedmiotem. Przy takim kierunku czynnościom kongresu Germanistów nadanym, musiały badania naukowe ustąpić miejsca rozprawom politycznym, a celem głównym tych rozpraw było objawienie się dążności do ujednostajnienia ducha narodowego Niemiec, dla której osobne wymyślono nazwisko: *das Deutschthum*.

Nie tutaj miejsce rozwodzić się nad tą dążnością, to tylko uważać można, iż sprawy obecnej chwili które zajmują mówców parlamentowych i polemikę pism periodycznych, nie powinnyby być przedmiotem rozpraw uczonych w naukowym zamiarze zebranych. Sąto bowiem kwestye niewyrobite jeszcze i niedojrzałe do badań historycznych, o których ludzie codziennymi sprawami i praktycznym życiem zajęci lepiej sądzą jak uczeni, którzy wtedy powołaniu swemu jako historycy najgodniej odpowiedzieć mogą, gdy zamiast czynnego udziału w sprawach czasowych, umieją patrzeć z rozwagą na rozwijające się przed nimi wypadki, aby je w całym świetle bezstronnej prawdy, do dziejów społeczności zapisać.

Nie było nawet myśli o tém aby kongres pokutny miał odnieść jakie korzyści z rozpraw uczonych prawników do Germanistów należących, bo ci poszli za ogólnym popędem, rozprawiali o potrzebie ujednostajnienia prawodawstwa niemieckiego, i nie mogli się tém samym specjalnemi kwestyami zajmować. Nie ziściło się przeto zapowiedzenie zwyż przytoczone, bo żaden z tych uczestników kongresu pokutnego, który się wyłącznie swoim zajmował przedmiotem, nie mógł między Germa-

nistami nie takiego usłyszeć coby dla niego nauką lub korzyścią było, a niektórzy Germaniści co mieli następnie udział w naradach nad reformą więzienną, przynieśli z sobą do tych tak spokojnych i obcych wszelkim politycznym względom narad, pewien rodzaj exaltacji i gorączki wymagań czasowych, który był nawet śmiesznym obok zimnych rozpraw nad środkami zasłonięcia społeczności od skutków przewrotności zbrodniarzy.

Spółczesne odbywanie się tych dwóch kongresów, wpłynęło na skład tego zgromadzenia, które się wyłącznie reformą więzienną zajmować miało, i spowodowało wejście do niego wielu krajowców, którzy się tym przedmiotem nie zajmowali i tém samém za znawców uchodzić nie mogli; a mimo to głosem swoim na uchwały pokutnego kongresu wpływali.

Do listy uczestników tego zgromadzenia zapisano osób 74, między któremi było: Niemców 44, Anglików 9, Szwedów 6, Holendrów 5, Francuzów 4, Szwajcarów 2, Belgijczyk 1, Duńczyk 1, Amerykanin 1, z królestwa polskiego 1. W téj liczbie było właściwych znawców, to jest takich którzy piastowali urzędy w związku ze służbą więzienną będące, należeli do towarzystw uczonych reformą więzienną zajętych, lub znani byli z pism swoich w tym przedmiocie, w ogóle osób 31; między któremi wymienić należy znakomitszych, jako wpływających powagą zasług i doświadczenia swego na uchwały kongresu pokutnego.

Whitworth Russel inspektor generalny więzień Wielkiej Brytanii, który spółnie z p. Crawford drugim podobnymże inspektorem, wprowadził w wykonanie postanowienia rządu angielskiego tyczące się reformy więzien-

nój. Ci dwaj inspektorowie zdają parlamentowi sprawę o stanie więzień nietylko w własnym lecz i we wszystkich innych krajach, i ogłaszają takowe drukiem wraz z planami wszelkich znakomitych zakładów tego rodzaju (1). Pisma te obszerne i kosztowne, niemało się przyczyniły do ustalenia zasad systematu pokutnego, a zwłaszcza téż od czasu wybudowania w Pentonville więzienia karnego, które stało się wzorem dla Europy. Ten projekt tego zakładu karnego ułożony przez pp. Whitworth Russel i Crawford i przez nich lordowi John Russel przedstawiony (2), otrzymał sankcją parlamentu i wszedł w wykonanie w r. 1840, a dwa lata później to jest 21 grudnia r. 1842 zaludniono 520 cel Pentowilskiego więzienia głównie przeznaczonego dla winowajców na deportacją skazanych, którzy przed spełnieniem wyroku, lat dwa i więcej w krajowych więzieniach przepędzić winni.

P. Russel ogłosił drukiem i przypisał frankfortskiemu zgromadzeniu oddzielny raport o stanie więzień angielskich.

Doktór *Julius* z Berlina, znany od lat wielu z niezamordowanych prac swoich w zawodzie reformy więziennój, wstępując w ślady Howarda, odbył on jako prywatny człowiek, dalekie podróże w celu zwiedzenia

(1) W jednym z takich raportów z r. 1839 był obszerny opis i plan głównego domu badań w Warszawie, z chlubną wzmianką o tym zakładzie.

(2) P. Russel wyznał przy kilku członkach frankfortskiego kongresu, iż to przedstawienie poparł przed ministrem przykładem rządu królestwa polskiego, w którym już w r. 1835 było więzienie celowe i okazaniem planu głównego domu badań w Warszawie, i przypisywał poczęści téj okoliczności dobre przyjęcie swojej propozycji.

zakładów karnych i dobroczynnych tak w Europie jako i w Ameryce (3). Ulegając podobnie jak wielu innych filantropów temu złudzeniu, że za pomocą ojcowskiego obchodzenia z więźniami i udzielania im nauk, można nawrócić winowajców w towarzystwie jedni z drugimi trzymanych, zmienił zupełnie przekonanie swoje przy zwiedzaniu więzień amerykańskich, i wydał obszerne dzieło o tych zakładach, w którym, przekonawszy się na miejscu o szkodliwości i bezskuteczności systemu auburnskiego, wyznaje się być zwolennikiem zasady odosobnienia więźni.

Doktor *Grzegorz Varrentrapp* lekarz naczelny głównego szpitala w Frankforcie, znany jest z pism swoich w obronie systemu pokutnego wydanych. Wydaje on wraz z doktorem Julius pismo peryodyczne wyłącznie temu przedmiotowi poświęcone, wychodzące w miesięcznych poszytach p. t. *Jahrbücher der Gefaengnisskunde*, którego głównym jest redaktorem. Konkursowa rozprawa jego o wpływie samotnego uwięzienia na zdrowie więźni, uwieńczoną została przez towarzystwo lekarskie w Bordeaux.

Moreau - Christophe inspektor jeneralny więzień paryzkich, jest głównym reprezentantem i obrońcą systemu pokutnego we Francyi, i wydaje w obronie zasad odosobnionego uwięzienia pismo peryodyczne p. t. *Revue pénitentiaire*.

Ducpétiaux inspektor jeneralny więzień i zakładów dobroczynnych Belgii, prócz nader czynnego zajmowania się służbą więzienną jako urzędnik, znany jest z licznych

(3) W roku 1840 przybył umyślnie do Warszawy aby zwiedzić tutejszy główny dom badań.

pism swoich w przedmiotach reformy więziennój; ostatnie p. t. *Mémoire à l'appui du projet de loi sur les prisons présenté à la Chambre des représentans de Belgique &c.* jest zebraniem dokładném wiadomości i dat statystycznych, tudzież dyskusyj tyczących się systematu pokutnego i zawiera praktyczny wykład wad i niedostateczności systematu auburnskiego i zalet odosobnionego więzienia.

Suringar jest prezesem holenderskiego towarzystwa więziennego, który jako prywatny człowiek, bez żadnego urzędowego powołania, poświęcił całą zdolność i część majątku swego ulepszaniu losu winowajców w więzieniach osadzonych i z nich wychodzących, i wpływał przez liczne pisma swoje, na ustalenie zasad systematu pokutnego. Dzieła jego w tym przedmiocie wytłumaczone zostały na język francuzki i niemiecki, i przyczyniły się niemało do upowszechnienia zasad odosobnionego uwięzienia, którego p. *Suringar* jest bardzo gorliwym stronnikiem.

Pastor *Ferrière* od lat kilkunastu kapelan więzienia w Genewie, odznaczył się poświęceniem z jakim nauki religijne w tym zakładzie więźniom udziela i niezmiordowaném usiłowaniem o poprawę moralną winowajców. Pomimo wpływu jaki przez wiele lat wywierał na ich ulepszenie, powziął ten godny kapłan to przekonanie: że spółnictwo więźni i przemoc złego przykładu, zacięra ślady zbawiennych nauk religijnych, i doświadczył, iż daleko więcej dobrego jako nauczyciel ewangeliczny wyświadczać może, gdy więźnie samotnie osadzeni, za natchnieniem żalu i pokuty postępować mogą.

Obermajer dyrektor więzień w Bawaryi a mianowicie w Kayserslautern, zaszczytnie znany z właściwej sobie

zdolności wywierania wpływu moralnego na więźni pod jego zwierzchnictwem zostających. Zasada postępowania jego jest ojcowskie obchodzenie się z więźniami, wzbudzenie w nich bezwarunkowej ufności, w przełożonym i poświęcenie mu nawet przywiązania, które jest rekojmią ich uległości i spokojnego zachowania się. Zwiedzanie zakładów karnych pod jego zarządem zostających, mogłoby wzbudzać nadzieję o możności prowadzenia i poprawiania występnych ludzi, za pomocą dobroci i nauczenia, gdyby ta metoda nie była wyłącznym wpływem jego osobistości, gdyby więcej podobnych Obermajerów znaleźć można było. Lecz jak dobrze powiedziano wśród narad kongresu, że jego sposób postępowania nie stanowi oddzielnego systematu więziennego, ale jest nim samym i w jego osobie, i że on poniekąd za magnezytora winowajców uchodzić może.

Podobnym do niego, lecz nie tyle szczęśliwym w osiągniętych rezultatach, jest *Lindpaintner* dyrektor domu poprawy w Eberbach, który dzieli z nim chwalebne w dążności lecz niepraktyczne przekonanie, o możności zapobieżenia zepsuciu więźni, i nawet osiągnięcia ich poprawy bez odosobnionego zamykania.

Posiedzenia kongresu pokutnego odbywały się publicznie, za kartami wejścia do sali obrad słuchaczom udzielanemi, a to począwszy od dnia 28 września przez dni trzy, po dwa razy na dzień. P. Varrentrapp jako miejscowy członek zgromadzenia, który głównie się zajmował zaproszeniem i urządzeniem kongresu, zagaił posiedzenie powitaniem przybyłych na zgromadzenie cudzoziemców, i odczytaniem listy tych, którzy mimo zapowiedzenia i chęci przybyć nie mogli: zakończył wnioskiem, aby zgromadzenie przystąpiło do wyboru prezesa.

Wybór ten był naprzód umówiony i padł na osobę prezesa izby niższej badenkiej p. Mittermajer, niegdy profesora prawa w Heidelbergu, człowieka wymownego, który przy dyskusyi prawa karnego badenkiego okazał się przeciwnikiem systematu odosobnionego uwięzienia, pomimo że ten systemat w księztwie badenkiem w skutku uchwały stanów w obowiązujące prawo zamieniony został.

Obrany prezes powołał z grona obradujących pana Den Text, członka izby deputowanych w Holandyi na vice prezesa, p. Varrentrapp na sekretarza i pp. Apia i Malz na pomocników, i ustanowił następujący porządek w obradowaniu:

1) Aby zaczęto od zdania sprawy o stanie obecnym więzień w różnych krajach.

2) Aby obok ustnych sprawozdań, złożono na piśmie raporta w tym przedmiocie, celem ogłoszenia ich drukiem.

3) Aby następnie przystąpiono do rozbiórania i zdecydowania kwestyj objętych programatem, który wszystkim członkom zgromadzenia wcześniej udzielony został; i

4) nakoniec aby każda kwestya po ukończeniu dyskusyi przez głosowanie rozstrzygniętą została.

Zdając sprawę o więzieniach krajów do których należeli, mówiły kolejnie następujące osoby:

1) Doktor Julius znany z podróży i z dzieł swoich w przedmiocie więziennym o stanie więzień w państwach pruskiem i austryackiem. Co do pierwszego doniósł, że król pruski będąc w Anglii na chrzcinach ks. Walii, powziął zamiar urządzenia więzień swego kraju na wzór angielskich, w skutku czego zaczęto w r. 1844 budowę

więzienia w Berlinie na wzór angielskiego w Pentonville, w Kolonii, dodano skrzydło z celami do starego więzienia; rozpoczęto budowy celowych więzień jednego w Prusach wschodnich, trzech w Szląsku, mianowicie: w Brunn, w Wrocławiu i w Raciborzu, w Pomeranii i Westfalii przygotowane są projekta do miast Münster i Akwisgranu. W ogóle jest 26 więzień dawnych, z których 8 w prowincjach nadreńskich i 13682 więźni na 15,500,000 ludności. Co do Austrii oświadczył mówiący, iż dotąd nic nie zrobiono w przedmiocie reformy więziennej; przedstawione są wszakże cztery plany nowych więzień cesarzowi.

2) P. Jageman urzędnik sądowy z Karlsruhe zdając sprawę o zaczętej reformie więziennej w księstwie badenskiem, mówił o nowém prawie karném tego kraju, które zawiera zasadę odosobnionego więzienia stosując ją tylko do mężczyzn i z ograniczeniem trwania kary do lat sześciu; dłużej zaś skazany, tylko na własne żądanie pozostać może w celi, w którymto razie dwa miesiące odosobnienia liczą się za trzy miesiące kary. Opisał w końcu budujące się w Bruchsal celowe więzienie ze 416 celami, które ma kosztować 500,000 złotych reńskich.

3) Lindpaitner dyrektor więzienia w księstwie nasau-skiem, mówił obszernie o zakładach karnych w tym kraju a mianowicie o dawnych zakładach które zostały poprawione, nowe celowe dopiero są w projekcie.

4) Na wezwanie prezydującego zdałem następnie sprawę o tém, co rząd Jego Cesarskiej Mości dotąd w królestwie polskiem dla reformy więziennej uczynił. Mówiłem iż trzymając się téj zasady, że tę reformę zacząć należy od urządzenia domów badań na zasadach od-

odosobnionego zamykania uwięzionych, rozpoczęto jeszcze w r. 1830 a ukończono w r. 1835 budowę głównego domu badań w Warszawie, i że następnie wybudowane zostały trzy nowe domy badań w Kaliszu, Płocku i w Siedlcach, w których zaprowadzono ulepszenia przez doświadczenie i postęp budownictwa więziennego wskazane. W końcu przytoczyłem uwagi jakie nastąpiło dziesięcioletnie zawiadywanie domem badania warszawskim, a mianowicie wpływ zbawienny odosobnienia na stan zdrowia uwięzionych i na utrzymanie porządku wewnętrznego.

5) P. Dawid z Kopenhagi oświadczył: iż podobnie jak w królestwie polskiem zaczęto w Danii reformę od więzień inkwizycyjnych, że za cztery lata wszyscy inkwizyci będą w celach, że lubo dziś żadne więzienie nie jest jeszcze skończone, w roku 1852 będzie wszakże 1,120 cel w domach badań już ukończonych.

6) P. Möinichen z Norwegii przedstawił: iż dawne więzienia tego kraju są wszystkie złe, ilość więźni wielka, to jest: jeden na 720 ludności. Od roku 1837 wyznaczona kommissya [do reformy więzień oświadczyła się już za systematem odosobnienia; budują więzienie z 240 celami w bliskości Chrystyanii, które skończone będzie w roku 1849. Nowe prawo karne Norwegii znosi wszelkie kary hańbiące i uświęca zasady odosobnienia.

7) Hr. Sparre ze Szwecyi, mówił o złym stanie dawnych więzień szwedzkich, że król zajmuje się bardzo ich reformą a stany rozbiérając projekt do nowego prawa karnego, przeznaczyły fundusze na budowę nowych więzień, których kilka już rozpoczęto podług systematu celowego.

8) P. Metzel ze Szwecyi dodaje, iż przy przyjęciu zasady odosobnienia postanowiono: że więźnie tylko na lat 2 mogą być skazani na odosobnienie; że gdy siedzą dłużej aż do lat 6, mają sobie odpuszczoną piątą część kary.

9) P. Ducpétiaux inspektor więzień Belgii utrzymuje: że systemat auburnski był dawniej zaprowadzony w Gandawie i w Willarord jak w Ameryce, lecz wnosi ztąd że rząd miał dłuższą sposobność przekonania się o szkodliwości i nieskuteczności tego systematu. Przytacza zdania wszystkich dyrektorów więzień w Belgii, którzy się oświadczają przeciw wspólnym więzieniom i obstają za odosobnioném uwięzieniem. W roku 1835 było już więzienie celowe w Gandawie i w Brugge. W roku 1845 przyjęto projekt do prawa stanowiący odosobnienie dla mężczyzn; jest przedstawiony królowi projekt na budowę więzienia z 500 celami, który już przyjęty został.

10) P. Den Text z Holandyi oświadcza: iż lubo nie masz jeszcze krajowego prawa karnego, przyjęto już systemat odosobnienia, i że w stanach podczas dyskusyi nie było ani jednego głosu przeciw celom; lecz że ta uchwała dlatego dotąd w prawo zamienioną nie została, iż nie chciano oddzielnie lecz razem z całym prawem karném rzecz tę postanowić. W Amsterdamie jest celowy dom badań. Ograniczono karę celową więzienia do lat 6.

11) Suringar z Amsterdamu dodaje do zdania ziomka swego, iż liczba więźni w 10 latach pomnożyła się o 43 na sto, a w dwunastu o 72 na sto. Powstaje przeciw klasyfikacyi więźni, utrzymuje że w Holandyi nie masz już dwóch zdań w tym przedmiocie, lecz że jeżeli postępują zwolna, to dlatego, że nie chcą ani systematu

mieszanego ani półśrodków, tylko wykonać i do całego kraju przyjęte zasady zastosować.

12) P. Witworth Russel inspektor więzień Anglii napisał, kazał wydrukować i złożył zgromadzeniu oddzielny raport o więzieniach angielskich temuż frankfortskiemu zgromadzeniu przypisany, mówił o rezultatach otrzymanych w więzieniu celowém w Pentonville. Po odbyciu kary są więźnie wysyłani do osad; dawniej obawiano się tych deportowanych, teraz zaś okazują więźnie wychodzący z zakładu w Pentonville taką poprawę, iż doszło do rządu żądanie z osad przysłania 2,000 więźni z powyższego więzienia wychodzących.

13) David z Kopenhagi popiérając zdanie poprzednika oświadcza; iż zwiedzał więzienie w Pentonville, że badał 100 więźni w tym zakładzie, którzy wszyscy wyznali, iż ulepszenie swego bytu i poprawę swoją są winni odosobnieniu; że zdanie jego jako cudzoziemca w Anglii nie może być podejrzané o przesadę.

14) P. Ardit naczelnik sekcji więzień w ministeryum spraw wewnętrznych w Paryżu utrzymuje, iż od 10 lat przyjęto odosobnienie dla badanych we Francyi, tylko niedostateczność funduszów wstrzymuje wykonanie tego środka. Potrzeba bowiem tak dla badanych jako i osądzonych więźni 18400 cel w całej Francyi, a jest ich dotąd dopiéro w 32 więzieniach 2,416 z których 1,200 w Paryżu.

15) P. Durasco z Amsterdamu zastępując hr. Perro czytał zdanie sprawy o więzieniach Lombardyi. Kongres higieniczny dał pochop do żądania ogólnej reformy celowej.

16) Prezes Mittermajer uzupełnia wiadomości o więzieniach włoskich które sam zwiedzał; oświadcza iż we Włoszech nie są za systematem celowym, lecz za au-

burnskim z modyfikacyami; w Turynie założono osadę dla młodszych przestępców na wzór osady Mettray. Ogólny jest brak i dobrych ustaw karnych i systematycznych więzień. W Sycylii obrano pustą wyspę, na którą odsyłają przestępców, chciano im przesłać ładunek kobiet, czemu się arcybiskup sprzeciwił.

17) P. Dwight sekretarz bostońskiego towarzystwa więziennego, stronnik auburnskiego systematu, zamiast wystąpienia w obronie tegoż systematu, mówi w ogólności o więzieniach amerykańskich.

18) Pastor Ferrière, z więzienia Genewy zajmuje całe zgromadzenie przytoczeniem faktów, które zmieniły jego i wszystkich w Genewie przekonanie o systemacie celowym, któremu przyznaje niezaprzeczoną wyższość nad auburnskim dotąd w Genewie chwalonym, o którego niedostateczności przekonano się po kilkunastu latach doświadczenia. Wystawione obok dawnego nowe celowe więzienie w tém mieście, nastąpiło następujące porównawcze spostrzeżenia czynione w ciągu ostatnich trzech lat w tych dwóch więzieniach obok siebie położonych. W nowém więzieniu było mniej powrotnych jak w dawném; kary są ustawicznie wymierzane w dawném, żadne prawie w nowém; w dawném są wszyscy więźnie hipokrytami, w nowém wszyscy są otwarci i okazują się takimi jak są w istocie; było kilkanaście przypadków obłąkania w dawném, żadnego w nowém. Kobiety które osadzone są tylko na 6 miesięcy w celach, chciały wszystkie pozostać dłużej, oświadczając że przy wspólnej pracy i zamknięciu nigdy się poprawiać nie mogą, bo mają zawsze powody do niechęci i drażliwości. Co do milczenia przyznali wszyscy, że nakaz onegoż jest nieznośny, i że pomimo niego wszyscy

się rozumieją i rozmawiają z sobą; w dawnym więzieniu są wszyscy w ciągłej irytacji, w nowym wszyscy uspokojeni i wszyscy żądają jako łaski przeniesienia do celi.

Po ukończeniu tych sprawozdań o obecnym stanie reformy więziennój w krajach europejskich, przystąpiono do dyskusyi pierwszój kwestyi programu: jaki rodzaj uwięzienia jest najwłaściwszy dla obwinionych?

PP. Welker i Mittermajer z pobudek politycznych silnie powstawali przeciw zastosowaniu srogości odosobnienia do obwinionych; przyznawali wszakże, iż oddzielenie ich od spółwinnych powinno być zasadą, od której przypuścić należy wyjątki na żądanie uwięzionego a za przyzwoleniem sędziego. Jeden z obecnych proponował aby ustanowić osobne jury do uznania czy kto ma odpowiadać z więzienia lub z wolności. P. Moreau-Christophe odpiéra te wnioski, dowodzi potrzebę odosobnienia obwinionych tak dla dobra towarzystwa jak dla ich własnego dobra. Zgromadzenie przyjmuje jednomyślnie następującą uchwałę:

I. Obwinieni dla badania sądowego zatrzymani, ulegać mają odosobnionemu uwięzieniu w taki sposób, aby nie mieli żadnych stosunków ani między sobą ani z innymi współuwięzionymi, wyjąwszy przypadku w którymby na żądanie samego uwięzionego sąd badaniem jego zajety uznał za właściwe, dozwolić mu pewnych stosunków w granicach prawem określonych.

Drugie a zarazem najważniejsze zagadnienie do dyskusyi podane było następujące:

Jaki systemat więzienny należy uznać za najlepszy jako karę dla przestępców osądzonych?

Prezydujący poleca odczytać list p. Aubanel, dyrektora więzienia w Genewie, który nie mogąc przybyć na zgromadzenie, przesyła na piśmie propozycją swoją

w tym przedmiocie, a mianowicie: aby przyjmując zasadę odosobnienia dla osądzonych, ograniczyć trwanie takiej kary tylko do lat dwóch, a po ich upływie przeprowadzać więźni dłużej skazanych do więzienia wspólnego, na zasadach auburnskiego systematu urządzonego. W skutku téj propozycyi podaje prezes trzy systemata więzienne do dyskusyi, tojest: *piérwszy*, odosobnionego zamknięcia dniem i nocą; *drugi*, odosobnienia nocną porą a spólnéj pracy przy milczeniu w ciągu dnia; i *trzeci* mieszany przez p. Aubanel podany.

P. Welker który mówił przeciw odosobnianiu obwionionych, przemawia z mocą za zastosowaniem tego systematu do winowajców osądzonych, utrzymując, iż przy spólném ich zamykaniu podług systematu auburnskiego, nie można wykonać przepisów więziennych bez wywierania na więźniach srogości i nawet okrucieństw przeciwnych ludzkości i niezgodnych z cywilizacją. Że kara więzienia powinna być moralną, że taką jest odosobnione zamknięcie dniem i nocą, które zarazem jest najlepszym środkiem zapobieżenia wszelkiemu zepsuciu więźni, że tém samém nie masz innego racjonalnego i nawet możliwego systematu jak ten za którym obstaie. Prezes chcąc słyszeć obrońców systematu auburnskiego, powołuje na mownicę p. Moser dyrektora więzienia tego rodzaju w St. Gallen w Szwajcaryi, który tylko skreśla historiją zakładu swego, wyznaje że liczba powracających więźni dochodzi do 50 na sto, że śmiertelność w niém jest wielka t. j. 9 na sto, ale nie broni bynajmniej zasad powyższego systematu.

P. Ducpétiaux rozbiéra obszernie trzy systemata do dyskusyi podane, dowodzi faktami z więzień Belgii wziętemi, jak dalece są złe wszelkie więzienia wspólne. Wy-

jaśnia że przez odosobnione zamknięcie tak jak je obecne zgromadzenie pojmuje, nie należy rozumieć zupełnej samotności będącej zasadą systematu filadelfskiego, lecz że ono zależy głównie i prawie jedynie na oddzieleniu więźnia od innych współwięzionych, że idzie tylko o to aby winowajca do więzienia odesłany nie uległ wpływowi szkodliwemu gorszego od siebie przestępcy i aby nie zabiérał w więzieniu znajomości, które się dla niego zgubnemi stać mogą po wyjściu z więzienia. Że tak pojęty system odosobnienia dopuszcza nawiedzanie więźni przez osoby do służby i opieki nad więzieniem należące, widywanie się jego z krewnymi i znajomymi w sposób przez prawo określony i wszelkie osłodzenia do których dobre sprawowanie się osadzonego i przepisy prawa upoważniać mogą.

Hrabia Sparre ze Szwecyi i baron Clozen z Bawaryi, przemawiają za sposobem prowadzenia więźni łagodnością i wpływem moralnym, jakiego trzyma się z pomyślnym skutkiem p. Obermajer dyrektor więzienia w Monachium i w Kayserlautern. PP. Mittermajer i Suringar oddając zasłużone pochwały postępowaniu p. Obermajer, utrzymują, że ono nie może stanowić oddzielnego systematu ani przemawiać za wspólnymi więzieniami, bo polega jedynie i wyłącznie na indywidualności p. Obermajera, który ma szczególną zdolność wzbudzania ufności w więźniach i działania na nich za pomocą własnej siły moralnej.

Po kilku jeszcze zdaniach za odosobnieniem dniem i nocą, i po powzięciu przekonania że zgromadzenie temu systematowi niezaprzeczenie pierwszeństwo przyznaje, przystąpiono do głosowania na następującą uchwałę, która obejmuje modyfikacye systematu filadelfskiego

i poniekąd nową zasadę względem sposobu wykonywania kary więzienia, i przyjęto takową jednomyślnie:

II. *Odosobnione więzienie ma być zastosowane do osadzonych więźni w ogólności ze wszystkimi obostrzeniami i złagodzeniami, które stosownie do rodzaju przestępstwa i wydanego wyroku, tudzież do indywidualności i sprawowania się więźnia, dopuszczone być mogą; z zastrzeżeniem aby każdy więzień zatrudniany był użyteczną pracą, używał codziennie ruchu na świeżem powietrzu, otrzymywał nauki religijne, moralne i szkolne, miał udział w nabożeństwie, aby odbierał odwiedziny duchownego swego wyznania, przełożonego więzienia, lekarza i członków komitetu lub rady opiekuńczej więzienia, oprócz innych odwiedzin które stosownie do przepisów porządku wewnętrznego samego zakładu, dozwolone być mogą.*

Po téj uchwale zgromadzenia przyznającój bezwarunkowe pierwszeństwo systematowi odosobnienia więźni dniem i nocą, upadły same przez się kwestye położone w programacie, a prezes ogłosił inny poczet zagadnień, które teraz pod rozstrzygnięcie zgromadzenia przyjść miały, a mianowicie:

Czy odosobnione zamknięcie ma być zastosowane do krótkich kar więzienia?

W tym przedmiocie zabrałem ja pierwszy głos i oświadczyłem, iż doświadczenie wzbudziło we mnie przekonanie, że odosobnienie w więzieniu najmocniejsze czyni wrażenie na tych, którzy pierwszy raz téj kary doznają, a zwłaszcza na młodych ludziach; że dla dobra tak towarzystwa jako i samych przestępców, obstawać za tém należy, ażeby najłżejsze nawet i najkrótsze kary więzienia, nieinaczej jak przy odosobnianiu

więźni wymierzone były, tak dlatego, aby poczynającego przestępcę odstraszyć od dalszego brojenia przez silne wrażenie przykrości więzienia, jako téż aby ochronić od zgubnego wpływu, jakiby na zepsucie jego znajomość ze współwięzionemi wyrzec musiała, co jedno i drugie koniecznié na zmniejszenie liczby przestępców wpływać powinno. Zdanie to poparte przez panów Suringar, Moreau-Christophe i Ducpétiaux nie znalazło przeciwników, i zgromadzenie przyjęło jednomyślnie następującą trzecią uchwałę:

„Zasada odosobniania osądzonych przestępców, ma być mianowicie stosowana do krótkotrwałych uwięzień.”

Następowała odwrotna kwestya: czy téż samą zasadę należy zastosować do długotrwałych uwięzień? która więcej nastęczyła wątpliwości a to témbardziej, że prawodawstwa niektórych krajów, ograniczyły czas odosobniania więźni. Prezes odczytał artykuł prawa karne go badeńskiego, który stanowi: że odosobnione zamknięcie ma być ograniczone do lat 6ciu, wyjąwszy gdyby więzień na dłuższe lata skazany, życzył sobie pozostać dłużej na osobności.

Pierwszy zabrał głos p. Suringar i oświadczył, iż poświęciwszy połowę życia i część majątku swego niesieniu pomocy więźniom w więzieniach i wspieraniu ich po odzyskaniu wolności, ma prawo obstawać przy tém co się najbardziej z dobrem samych więźni tyczy, i że w tym celu najmocniéj jest przeciwnym wszelkiemu ograniczeniu czasu trwania odosobnienia. Przyznając że długotrwałe kary więzienia są niepotrzebne i niestosowne przy systemacie odosobnienia, uważał że dopuścić aby więzień ulepszony i uspokojony pod względem moralnym, mógł powrócić po pewnym czasie do spólnego więzienia, jest

obalać samochcący zbawienne dzieło reformy pokutnej i skazywać na nowe zepsucie człowieka ulepszonogo, i niweczyć tém samém w jednej chwili prace kilkuletnich usiłowań i owoc błogich skutków pokuty na samotności odbytej. Dlatego obstaje z mocą przy tém zdaniu: że systemat odosobnienia ogólnie, bezwarunkowo i bez żadnego wyjątku w całej obszerności swojej do osądzonych choćby na dłuższe kary stosowany być winien, skoro to więzienie, podług zasady przez kongres przyjętej, dopuszcza wszelkie rodzaje złagodzenia i osłóżenia pobytu w więzieniu, i zapewnia wszelkie środki zachowania zdrowia i życia więziennego.

P. Dietz urzędujący jako dyrektor i lekarz w dwóch zakładach księztwa badńskiego, mówi za ciąglém odosobnieniem przy dłuższych karach, żąda tylko wyjątku dla niewidomych, dla kalek i dla tych więźni, których stan chorobliwy umysłu lub ciała tego wymaga. P. Julius popiera z mocą zdanie p. Suringar; wspomniawszy że dla niewidomych, kalek i innych chronicznych chorých więźni, potrzeba oddzielnych zakładów a nie spółnictwa ze zbrodniarzami, które jest dla nich bezużyteczne i niezdnośne, przytacza przykłady wzięte z więzień w Millbank w Anglii i w Wirginii w Ameryce, w których przenoszono już do spółnych więzień winowajców poprzednio przez lat kilka na osobności trzymany, i gdzie się okazało, że ten powrót do spółnictwa zatarł wszelkie ślady poprawy na osobności otrzymanej, i spowodował wrócenie wszystkich więźni do dawniej przewrotności.

P. Jageman broni ustawy badńskiej, ograniczającej odosobnienie do lat 6ciu.

Inny niemiecki urzędnik utrzymuje przeciwnie, iż nie pojmuje, jakim sposobem kwestya o ograniczeniu trwania odosobnienia, może przychodzić do dyskusyi po przyjęciu głównej zasady, bo skoro odrzucono systemat mieszanego uwięzienia, oświadczenie się za tém ograniczeniem, byłoby przyjęciem tegoż odrzuconego systematu.

P. Witworth Russel obstaje z mocą za niedopuszczeniem żadnych ograniczeń czasu w odosobnioném uwięzieniu i popiera to zdanie licznemi faktami o szkodliwości powrotu do spółnictwa więźni przez pewien czas odosobnionych.

P. doktor Varrentrapp uważając rzecz pod względem lekarskim, przytacza fakta z ostatniego raportu przez lekarza więzienia w Filadelfi sobie nadesłanego, które obejmują wypadki z lat 17 istnienia tego zakładu. Z tego się okazuje: że między więźniami na 6 do 8 lat kary skazanemi, śmiertelność równała się 17 na sto, a między tymi co na krótsze kary osądzeni byli, dochodziła do 30 na sto; że między piérwszemi ani choroby są częstsze ani śmiertelność większa jak między drugimi; że owszem największa śmiertelność okazuje się w dwóch piérwszych latach zamknięcia; że nakoniec wychodzący z więzienia po długoletniej karze, nie okazywali większego osłabienia ani władz umysłowych, ani sił fizycznych jak ci co krótkie kary odbyli.

P. Ducpétiaux uważał, iż długoletnie kary więzienia nie są stosowne przy systemacie odosobnienia, i że będą musiały ustąpić z prawodawstwa karnego w miarę upowszechnienia tego systematu, co tém pewniej nastąpi, że to zapowiada znaczne zmniejszenie wydatków skarbowych na utrzymanie więźni; lecz obok tego utrzymuje, że choćby to nie nastąpiło, kara odosobnionego więzienia

określona w sposób oznaczony drugą uchwałą kongresu, nie jest bynajmniej tak srogą, aby jej do dłuższych skazań stosować nie można. W rozwinięciu tej myśli, wylicza mówca wszystkie sposoby złagodzenia kary i osłodzenia samotności które dopuszczone być mogą, i wnosi ztąd, że odosobnienie może się stać daleko mniej przykrém jak spólny pobyt z innymi więźniami.

Vice-prezes Den Text obstaje za ograniczeniem trwania odosobnionego uwięzienia, tak jak je oznacza projekt do prawa karnego w Holandyi.

P. Lindpaitner chce tylko jednorocznego odosobnienia i powstaje przeciw dłuższemu uwięzieniu tego rodzaju.

Po zamknięciu dyskusyi przystąpiło zgromadzenie do głosowania i bardzo znaczną większością przyjęło następującą czwartą uchwałę:

„Odosobnione uwięzienie ma także mieć miejsce przy długo trwałych karach więzienia i natenczas ze wszystkimi stopniowo następującymi złagodzeniami, które się nie sprzeciwiają utrzymaniu zasady ścisłego oddzielenia winowajców między sobą.”

Zgodzono się następnie jednomyślnie i bez dyskusyi na piątą uchwałę tej treści:

„Gdy cielesny lub umysłowy stan chorobliwy uwięzionego tego wymagać będzie, może władza zawiadująca więzieniem obchodzić się z takim więźniem w sposób jaki jej zdawać się będzie najbardziej odpowiadający jego położeniu, i nawet osłodzić los jego przez dozwoleńie przebywania ciągle w jakimś towarzystwie; z tém wszakże zastrzeżeniem, aby go w tym razie nigdy z innymi więźniami nie łączyła.”

Poczém przystąpiono do rozważenia ważnego przedmiotu zapewnienia i urządzenia służby bożej w więzieniach celowych. Ksiądz *Laroque* kapelan inwalidów paryżkich, obstawał za tém, aby obmyśleć środki wykonywania w całej rozciągłości obrządków religijnych w więzieniach, a mianowicie dania duchownym sposobności przemawiania w duchu religijnym do zgromadzonych więźni. *P. Moreau-Christophe* uważał, iż nie można wymagać tego, aby w więzieniach obrządki religijne wszystkich wyznań w całej rozciągłości swojej mogły być wykonywane, że ograniczać się należy na tém, aby zapewnić więźniom możność uczęszczania na nabożeństwo właściwego wyznania, prócz nauk religijnych które im na osobności udzielane będą.

Zgromadzenie nie mogąc wchodzić w szczegóły dotyczące się sposobu sprawowania obrządków różnych wyznań w więzieniach, zgodziło się jednomyślnie na następującą uchwałę obejmującą najogólniejsze zasady, ściągające się do tego przedmiotu:

„Więzienia celowe mają być tak budowane, aby każdy więzień mógł być obecnym przy odbywaniu nabożeństwa właściwego sobie wyznania, a to w taki sposób, aby mógł widzieć i słyszeć duchownego obrządek religijny odprawiającego, i być od niego widzianym; z tém wszakże zastrzeżeniem, aby główna zasada oddzielenia więźni jednych od drugich, w niczém nadwerezoną nie została.”

W związku z czwartą uchwałą zgromadzenia i w uzupełnieniu zasady przyjętej względem dłuższych uwięzień, uznało zgromadzenie za stosowne, uchwalić na wniosek *p. Ducpétiaux* co następuje:

„Skrócenie kar więzienia przez dziś obowiązujące prawa karne naznaczanych, powinno być bezpośrednim

skutkiem przyjęcia systematu odosobnionego zamknięcia w miejscu spólnego uwięzienia winowajców.”

Nakoniec dla zapewnienia skutku uchwały drugiej, zawierającej zasady i zastrzeżenia odosobnionego uwięzienia osadzonych winowajców, które przy dziś obowiązujących ustawach karnych i urządzeniach więziennych, wykonaćby się nie dały, wydaje zgromadzenie na wniosek p. Ducpétiaux następującą ostatnią uchwałę:

„Przejrzenie i stosowne zmodyfikowanie ustaw karnych, zaprowadzenie przez ustawę organizacji służby więziennój i komitetów nadzorczych, tudzież ustanowienie opieki nad winowajcami z więzień wychodzącemi, są poczytane za konieczne uzupełnienia reformy więziennój.”

Czyniono jeszcze wnioski względem potrzeby wyrzeczenia, że kary hanbiące nie dadzą się pogodzić z zasadami pokutnego systematu, które jako przedwczesne, pominięte zostały. Poczém prezes zamknął posiedzenia publiczną i wezwał członków zgromadzenia aby się zebraли na prywatną konferencyą, celem porozumienia się względem drugiego zebrania w roku następnym.

P. Whitworth Russel uczynił wniosek, aby protokół narad i uchwał frankfortskiego zgromadzenia, wraz z głosami pojedynczych członków, został ogłoszony drukiem w języku francuzkim i niemieckim, i wezwał obecnych, aby dla pokrycia kosztów druku zapisali się niezwłocznie na pewną ilość exemplarzy: co przyjętém i wykonaném zostało.

Ja z mojej strony zamówiłem dla rządu dziesięć exemplarzy tego pisma, które oddane zostaną na ręce JW. Oubril ministra Jego Cesarskiej Mości w Frankforcie.

Na ostatniem zebraniu postanowiono, że drugie posiedzenie kongresu odbędzie się w Bruxelli w miesiącu wrześniu r. 1847, w zamiarze uzupełnienia dyskusyj nad reformą więzienną w roku bieżącym prowadzonych.

Ze przedmiotami narady będą:

1) Organizacya służby wewnętrznej więzień pokutnych.

2) Budowa tych zakładów stosownie do zasad przyjętego już systematu.

3) Urządzenie opieki nad więźniami uwolnionemi.

4) Ustanowienie domów i osad poprawczych dla młodych winowajców.

5) Rozbiór zmian jakieby w prawodawstwie karném zaprowadzić należało przy zaprowadzeniu reformy więziennój.

6) Rozważenie przyczyn pomnażania się liczby przestępców i środków ich usunięcia.



ŁZA W NIEBIE.

Fantazya.

PRZEZ

Józefa Jg. Kraszewskiego.

Było to w niebie.

A pewien jestem że nieba nie znacie: filozofowie wam je wykreślają omackiem, serce przeczuwa czy przypomina, myśl nabranemi z ziemi farby maluje i złoci, lecz któż nam opowie co niebo? Niebo, ku któremu tęsknim wszyscy żyjąc na ziemi, którego konający spodziewają się i szukają za żywotem doczesnym, niebo dla wszystkich mgłą zakryte i niedostępne.

Kto w niém był nawet myślą, marzeniem czy duszy zachwytem, jak je opisać potrafi, jak opowie widzenie straszne, cudne, niepojęte, wyrazami tyłą, a tak mdłemi gdzie jednegoby tylko a tak potężnego potrzeba! Nadto słów jest w języku, zamało myśli w głowach naszych, usta niemieją wśród poczętej mowy i nic pajęcza myśli się zrywa.

Było to w niebie.

Tam panuje cisza i spokój wieczny wśród wiekuistego żywota; niezmienny byt, byt pełny, byt jedyny, w któ-

rym drga wszystko co żyje. Albowiem w niebiosach *łączy się z Bogiem*: tam całość, tam jedność. Wszystkie barwy zbiegły się w jedną barwę niezgasłego światła, wszystkie dźwięki w jeden śpiew harmonijny, wszystkie linie w najcudniejsze kształty, wszystkie myśli w jedną ogromną myśl żywota wiecznego. Tam każdy pojedynczo żyje we wszystkich, wszyscy w każdym, duch wszelki jest ogółem i jest sobą, a myśl rodzi się jedna wszędzie i obiega koło duchów, jak dźwięk rozlewa się w powietrzu.

W pośrodku niebios króluje Bóg.

Pod nim kołami różnobarwnymi jaśnieją duchy nieśmiertelne; doskonałość do jakiej doszły, daje im miejsce bliższe lub dalsze od bóstwa, jak ciężar ciał ziemskich zawiesza je lub zanurza w wodzie. Sam tu każdy swym sędzią, bo gdy dusza wynijdzie z ciała, leci i staje gdzie ją skrzydła doniosą własne: im szersze i silniejsze skrzydła, tém wyższe miejsce.

Stopniami, stopniami od ogniska ciemnieją koła duchów aż utonęły w ciemnościach, na których dnie leżą i jęczą w bezdni ci, co żyli ciałem tylko a zabili w sobie nieśmiertelności pierwiastek. Najbliżej Boga stoją aniołowie niepokalani; promienie jego korony.

Wśród uroczystego milczenia słyhać powolną harmonią, zawsze jedną, coraz różną, będącą jakby oddechem żywota niebieskiego: ta pieśń złożyła się z tysiąca, a brzmi jednogłośnie. Każde usta dorzucają do niej słowo, a w głębi wszystkich wyrazów tak rozmaitych jak liście drzew naszych, drży myśl jedyna.

Z wyżyny niebios co za spojrzenie na światy! Miliony światła biegną i złotemi migają kręgami: jedne gasną, powstają drugie, rozłamują się inne i złotemi warkocza-

mi piszą w sinych ciemnościach głoski nieodgadnione dla nas — znikomości ciała. Ztamtąd przecież, z niebios głoski to czytelne i pojęte łatwo dla mieszkańców nieśmiertelności przytulonych do łona Bożego.

Tu i owdzie błyska słońce nieruchome, wokoło którego slizgają się kule ogniste powolnie zbliżając ku niemu. Niektóre z nich jakby z dwóch domostw nosiły wieści, chodzą od słońca do słońca miotając za sobą grzywę rozrzuconą, płomienistą, po eterycznych głębiach.

Tam rodzi się niemowlę — gwiazdeczka, blada, słaba, drgająca z początku, skupia w sobie siły, rozpala się, jaśnieje, porusza, wzlatuje, zawraca młodym tańcem i zagasa wśród biegu — na wieki. Ostygle członki światka rozlatują się w przestrzenie bezdenne, rozsypują się w proch, w pył, w lekkie pary i — w nicłość; duch co je ożywiał, uleciał.

Poniżej, ciemne tylko przepaści, kędy śpią duchy zapomniane. A karą im ich samotność wiekuista, ich odcięcie od jedności; bo na całą wieczność pozostaną same z sobą, odepchnięte od wielkiej całości. Jęki ich boleści nie dochodzą do sfery duchów żyjących i tłumią w bezpowietrznej czczości.

A w niebiosach taki spokój, takie wesele! Patrzenie jak jasne oblicza błogosławionych, jak połączone dłonie, serca, dusze tych, co nie żyli tylko sobie i dla siebie, co nie obawiali się myśli, pracy i cierpienia.

W sercu Ojca odbija się myśl ich każda, a żywotem jego żyją duchy, pod szatami przedwiecznego spoczywające. Wszyscy są jednym, każdy czuje siebie w całości, całość w sobie. I niema tam tajemnic, bo myśl rodzi się tu widomie, dotykalnie, wzlatuje nad promien-

ną głową, obiega wszystkie sfery i niema tam zmiany, bo niema nic drugiego i walki; miłość spaja złotym łańcuchem każde ogniwo nieśmiertelnej całości.

Z krain spokoju czemuż wzrok aniołów obraca się tak często na ziemie czarne, i spoczywa na drobnych zaludniających je istotkach? — Bo tam nisko widzą próby życia które zwyciężko skończyli, a serce ich boleje, lituje się i w pomoc braciom leci modlitwą serdeczną.

Jeden z duchów niepokalanych spojrział na światek mały i patrzył nań długo, długo, aż zachmurzyła mu się skroń, aż zaciemniały oczy, aż łza litości razem i zgrozy spadła z szafirowego oka na szatę białą jak śnieg.

Łza ta puściła z siebie skrzydła i wzleciała niemi w wyższe kręgi, padając u progu Bożego. Wszystkie duchy zapłakały tą łzą zgrozy i politowania i jak własne prowadziły ją dziecię.

A Ojciec poruszył ramiony świąty dźwigającemi i ozwał się głosem co zlał się z harmonią światów:

— Łzo zgrozy i oburzenia, z kąd wzleciałaś aż do mnie?

— Urodziłam się niżej Ojczy, święte uczucie matką moją, a anioł mi rodzicem.

Wtém obróciły się oczy i twarze duchów ku Ojcu i rzekły:

— Ciężkie jest życie na ziemi, ciężkie próby ciała, przecież dałeś im siły a nie walczą, dałeś im skrzydła a nie wzlatają. I oto jeden znów upadł na wieki!

A Ojciec odrzekł:

— Nie potępiajcie, nie oburzajcie się, albowiem i to dzieci moje nawet w upadku grzechu.

— Dałeś im siły, dałeś im moc a nie używają ich, przeto płaczemy i dziwim się! Możeż człowiek czują-

cy się nieśmiertelnym, sprzedawać za chwilę, może liczyć za życie co jest tylko stopniem ku niemu wiodącym? Zapłakaliśmy, bośmy widzieli upadek, a pojąć go nam trudno!

— Nie potępiajcie i nie sądzcie, albowiem wszyscy zarówno dziećmi mojami są! Nie potępiajcie, rzekł głos z góry. Ten co upadł azali się podnieść nie może? azali jeden z was nie upadłby także na miejscu człowieka?

— Nie! nie! śpiewały duchy, bo chwilą ziemskie życie i snem przelotnym tylko.

Zamilkli, a ten który piérwszy zapłakał ze zgrozy, płonił się zawstydzony, poglądając ku Ojcu.

— Dziecię, rzekł Bóg, potępiasz bo nie pojmujesz upadku, boś nie walczyło nigdy. Dusza moja rozpromieniła się w was i nie byliście w ciele i na ziemi, tylko czuciem, litością i wejrzeniem. Nie oburzaj się, albowiem grzech mażę pokuta, a za nią idzie grzechu odpuszczenie.

— Nie! nie! Ojcze, rzekł duch wejrzeniem. Nastalo milczenie, a łza leżąca u tronu Boga szeleściła skrzydły srebrnemi u podnóża.

— Znijdź więc; probuj i żyj! rzekł głos wielki, abys pojął żywot próby.

Zaledwie słowo to wyrzeczone zostało, kręgi się rozstały i anioł zsuwać się począł ku ziemi. A za nim nieodstępnym towarzyszem zbiegł drugi, skinieniem Bożem zesłany, aby mu w pielgrzymce towarzyszył, aby czuwał nad nim.

I znowu niebo jaśniało spokojne, a oczy wszech duchów zstały śledzić żywot wygnanego na chwilę brata.

Złotowłose dziecko igrało na zielonym trawniku i zadumane głęboko sparło główkę na ręce matki.

— Aniołku mój, co ci to jest? spytała kobieta.

— Matuniu, zadźwięczał głos miły, nie wiem co mi to, ale niepokój mnie ogarnia, chciałbym zasnąć. We śnie widzę drugie lepsze życie i jaśniejszy świat, ku któremu serce mnie ciągnie. Tu chłodno, tu ciemno, tu pusto.

— Przy mnie? spytała matka.

— A nawet przy tobie.

— Dziecię moje, aniołku drogi, nie świat to snów i marzeń, ale świat życia ci się uśmiecha, chcesz odlecieć ode mnie i nie powrócić więcej.

— O nie! o nie! matuniu. Boję się oddalić od ciebie i nie pragnę nic, tylko marzyć, a spać sny mojemu.

— Biedne dziecko. I zapłakała matka, ale nie nad niem, nad sobą.

Złotowłose synek stulił powieki, usnął, i znalazł się w niebie ojczystym.

— Jak ci jest na ziemi? spytały go duchy tuląc główki do niego.

— Smutno i ciężko bracia, bo jeszcze młoda dusza wciąż ku wam się zrywa. Tak tam długie chwile, gdy nasza wieczność tak krótka i szybka!

— I już, już zbrukane masz skrzydła! zawołali bracia wystraszeni.

— Tak mi one ocieęzały! westchnął wysłaniec, ledwie niemi ku wam doleciał. Rozgrzejcie mnie proszę, rozgrzejcie.

Otuliły go, owiały ciepłym tchnieniem niebios anioły, aż sen się przerwał i duch znowu na ziemię powrócić musiał. Zbudził się by ujrzeć jeszcze płynące łzy matki.

Serce ciągnęło go ku niej, a ciało odrywało do bijącej młodemi obietnicami rozkoszy natury. Od łez matki pobiegło dziecko do wonnych kwiatów, do zabawek; do towarzyski ich czarnookiej.

I bawiły się dzieci a matka płakała.

A bawiły się bardzo długo, długo, aż bawiąc się podrosły i zabawa ich zamieniła się w życie.

Naówczas stanęli przeciwko sobie ciągnieni siłą niepojętą wzajemnie i rzekli w uniesieniu: — myśmy jedno we dwojgu.

W miłości ziemskiej anioł uczuł jakby oddźwięk i wspomnienie niebieskiej, i bytu swego pierwiastkowego, a łzy matki wciąż płynęły, płynęły, aż rzeką szeroką jak morze rozdzieliły dwoje kochanków, których dłonie napróżno wyciągały się jeszcze ku sobie.

Spojrzał anioł na rzekę łez i rzucił się w nią, przepłynął ją namiętny!

A gdy usnął i obudził się w niebie, spytały go duchy, poglądając na zczerniałe od łez skrzydła jego:

— Co się stało?

On milczał a głos z góry wyrzekł:

— Pierwszy raz upadł w grzechu, nie potępiajcie go jednak, nie oburzajcie się, politowania! politowania dla niego!

Duch wygnaniec znalazł się z nim na ziemi. Wyszła rzeka łez szeroka, a zazieleniał grób: matka nie żyła. Ich dwoje pozostało z dłonią w dłoni, sami z sobą jak chcieli.

Czemuż im tak siebie mało, tak brak jeszcze wiele? Czemu uczuł anioł że mu nie dostawało całego szczęścia które marzył, na które rachował? Upadł, a upadł napróżno. Oczy towarzyski jego biegły po ziemi, gdy zrenice jego szły ku niebiosom. Nie rozumieli się i nie byli

jednym jak chcieli. Dwa serca biły w dwojgu piersi, nie jedno. On podwójny dźwigał ciężar: swojego skalanego ciała i towarzyski swój, nad którą już litował się tylko.

Lecz litość nie ratuje.

— Rozstańmy się! Rozstali, spojrzeli, zapłakali, odeszli.

Anioł spojrział w szeroki świat na ludzi i na towarzyski ich, serce poczynalo mu bić nieraz, ale zrenica widziała już lepiej przyszłość, nie marzył o miłości i zjednoczeniu dla szczęścia, bo w nic na ziemi nie wierzył.

— Tu niema dwojga jak jedno serce! zawołał z boleścią. Zjednoczmy się nie z jedną znikomą istotą, ale z duszą świata.

I dłonią ogrzaną jeszcze ręką kobiety, wziął w rękę księgę.

Księgi nie nauczyły go nic krom tego co przeczuwał. azabiły w nim wiedzę wrodzoną i wiarę. Rozum podnosił go do bóstwa, lecz razem czynił omylniejszym niż zwierzę. I zachwiał się zapominając swój przeszłości, mówiąc w sobie: — Jestem istotnie niebios wysłańcem? jestem duchem? Nie ciałożto myśli i żyje we mnie tylko samo? nie zginęz ja z ciałem?

Im dalej szedł w nauce, tém ciemniej stawało mu się i błędniej. Chwilami jak błyskawicą ogromną rozjaśniał się świat; aż zagasał znowu w pomrokach.

Gdy we śnie zaleciał do nieba, nie poznał się w niém, zwątpił azali przeszłość istotną była przeszłością, nie snem uludnym tylko, azali nie marzył iż był aniołem!

A bracia duchowie pytali go naprózno, bo im nie odpowiadał tylko jękiem lub bolesnym zwałpienia i rozpaczny śmiechem.

Wielkie a bezbrzeżne jest nauki morze, a przepłynąć je bezpiecznie tylko ten potrafi, kto się na nie puszcza ze

światłem, co je przyniósł z nieba; ci co zgasili je w sobie, płyną bijąc się z falami a nigdy nie ujrzą brzegu chyba ich wiatry nań wyrzucą.

Na suchym, kamienistym piasku leżał rozbitek długo, nim do siebie powrócił i oczy otworzył, odetchnął. Wody zielone niezgłębione oceanu jeszcze mu obmywały stopy: rzucił na nie wzrokiem tęsknym i powstał osłabły.

A w niebiosach głos wyrzekł:

— Upadł w grzechu po raz drugi! nie potępiajcie upadku!

Czemuż serce aniołów i serce ludzkie tak zawsze, tak ciągle pragnie miłości i zjednoczenia? — Bo to uczucie mówi mu o niebieskiej ojczyźnie, ono wyraża nieśmiertelność, połączenie wszystkiego, złamie się w całość! — ona jest iskierką w nas Bożką, na obraz Ojca stworzoną. Bój pochodzi z ciała, miłość z ducha.

Zraniony i złamany anioł położył rękę na sercu, podniósł oczy w niebo i spytał siebie:

— Gdzie się obróć? dokąd pójdę?

Stróż z niebios mu dodany, wyciągnął palce i wskazał na tłumy ludzi, ku nim go zwracając.

— Tak, pójdę do nich, zawołał anioł i zjednoczę się z nimi, pokocham ich sercem całym wszystkich, cierpiącym dodam odwagi, w osłabłych wleję siłę, upadłych wezmę na skrzydła i uniosę ku górze.

Poszedł więc.

Przed nim stała ciżba ciemna, wyjąca głosy tysiącami i narzekaniem, jękiem, rozpaczą i szyderstwem, aż serce się krwawiło.

— Powiedźcie mi boleść waszą, wypowiedajcie choroby, ja was ulecę.

Biédni wszyscy rzucili się nań i poczęli wołać każdy swoje wskazując ranę, a on radził, pocieszał, godził i zamięłował ich, aż do poświęcenia za nich życia.

Wtém poczęli go pytać jedni:—Czemu nas nie leczysz? Pytali go drudzy:—Ktoś ty jest żebyś niezgojone i tysiące lat krwawiące mógł zagoić razy? Szemrali inni:— To zdrajca który nas uwodzi! Krzyczeli ostatni:— Zabijmy go aby nie ważył się z nas szydzić, nas przedawać za bluszczu gałązkę. Nie jesteście szyderstwo, śmieć obiecywać nam szczęście?

A przeciwnicy szeptali:— Patrzcie, nie duchto ciemności, nie wysłanieczeto piekielny? Ukamienujmy go! ukamienujmy!

Aż wrzawa powstała i zgiełk straszny, podniosły się ręce, kamienie, i padły na piersi anioła. On, chciał wołać o pomoc z niebios, o posłuchanie u ludzi, ale głosu dobyć nie mógł tak wielkiego, aby go usłyszała ciżba namiętna.

Zaćmiło mu się w oczach łzawych, krew trysnęła niemi, gniew podrzucił piersią, a przekleństwo boleści wyrwało się przez usta sine.

Przekleństwo! przekleństwo! najstraszniejszy z upadków ludzkich, najnikczemniejszy z wyrazów, największa ze zbrodni. Albowiem nie dotyka dzisiaj tylko, ale jutra i całej przyszłości niewidzialnym sposobem.

Duch wygnaniec wyparł się ludzkości, odepchnął ją i myśląc że umrze a pragnąc już śmierci bodaj na wieki, zsunął się na ziemię chłodną.

Ciżba podniosła go, piekielnemi skoki deptając mu głowę, i piersi a szalejąc; ale on nie uczył tego, nie widział, bo spał i marzył dawno.

Duch jego ciężki przekleństwem własném, mozolnie ciągnął się ku niebu.

Ale nie stało mu siły na przebycie progów żywota, tak wielkiém brzemieniem ważyła na nim wina.

Bóg spojrział i ulitował się upadłego anioła, a duchy bracia wszyscy, jedną łzą politowania nad nim zapłakali.

— Do niebios! do niebios! na spoczynek mnie przyjmijcie! wołał upadły jęcząc boleśnie.

— Nie! rzekł głos potężny. Niebo jest miłością samą, a ty w nie niesiesz nienawiść; niebo jest spokojem, a tyś udręczony jeszcze i rozpacz dźwigasz na barkach; niebo jest wypoczynkiem i nagrodą, a tyś nie walczył z sobą i nie pokonał siebie; znijdź na ziemię i żyj jeszcze.

Przebudził się duch wygnaniec.

Głucha cisza, cisza piekieł panowała dokoła niczém nieprzerwana: na niebie miasto słońca krwawe jakieś brzaski i czarne osłony, ognie płonęły na spopielających dolinach, a gęste dymy poruszały się leniwo między niebem a ziemią. Cizby ludu już nie było przy nim; pozostał sam jeden; przekleństwo tylko kamieniem leżało na jego piersiach.

Ciężko mu było powstać i podnieść się na nogi, powietrze nieprzełknięte dusiło, zwlókł się przecie i powolnie ku świtającej słabo jutrzence posunął.

Aż ujrzał przed sobą znowu ludzi, znowu wrzawę, cierpienie i boleść. Ale już nie rzekł jak wprzód: leczycę będę, radzić wam będę, będę was wspomagać; nie wspinał się na wyżyny aby sypać obietnicami zgłodniałym; poszedł pracować w ciszy, w ukryciu, nie rachując na nagrody, owszem spodziewając się cierpienia.

A zewsząd popychano go mówiąc: — Pociś ty tutaj? Idź precz! idź precz od nas!

I szedł duch, ale powracał niepostrzeżony, błogosławiąc tym co go kamienowali.

Długie lata przeszły w nienagrodzonej pracy i pocie, aż poranku jednego znużony, zdrętwiały od otaczającego go chłodu, usiadł anioł na kamieniu i zwątpiewając o sobie zapytał w duszy:

— Jestlim ja światu potrzebny?

I tysiąc szyderskich odpowiedziały mu głosów:

— Idź precz, zawadą tylko jesteś!

Drugie tysiąc powiedziały mu:

— Jesteś zwadą i zamieszaniem; idź precz!

Duch zapłakał gorzkimi łzami w duszę swą i ręce mu opadły i zrozpaczył o sobie.

— O! ciężkie, rzekł, ciężkie jest życie ludzkie! Na cóż się ono przydało? Sobie wystarczyć nie mogę, a drugim dopomóc nie potrafię i pocóż to życie??

Mówiąc to usnął duch i powlókł się ku niebiosom, a tak był słaby, że zemdlny pochylił się na ich krańcach i upadł.

Pot ciekł strugami z jego czoła, łzy lały się z oczów, krew z ran płynęła. Towarzysz zbolałą tulił głowę i spiekle mu ocierał usta.

— Bracie, bracie, wołał chór duchów, znowu upadłeś; bo zwątpienie upadkiem jest jako przekleństwo, rozpacz słabością i grzechem. Tylko wiara i nadzieja wiodą do czynu.

A głos Boga zagrzemiał z góry:

— Zwróć się jeszcze na ziemię!

— Powrócić! Jakże powrócę, poruszając się ciężko do lotu płakał biędny wygnaniec. Siły moje wyczerpały się, duch upadł a cierpienie strawiło mnie jako trupa trawi wiekowy grób.

— Niech ten pocałunek cię orzeźwi!

I przez usta towarzysza pocałunek miłości z całych niebios siłą spłynął na anioła wygnańca. Rozjaśniło mu się oblicze, zabiło znowu serce, skrzydła podniosły, uleciał swobodnie.

A ziemia była w brzaskach różowej jutrzenki wschodzącego dnia, w jasnościach poranku, i wszystko na nią śpiewało i radowało się jakby przeczuwało pod skorupą doczesnego, jakieś inne wieczne życie.

Anioł zstąpił do nowych cierpień i pracy.

Ludzie spojrzeli na przybywającego obojętnie i pominięli go ze wzgardą. Ich obojętność zapłacił uśmiechem odważnym i szedł dalej.

Zszedł się z drugimi którzy go powitali szyderstwem a oddał im je przebaczeniem.

Inni potracili go z gniewem; gniew wywzajemnił im miłością i politowaniem.

Posilony niebieskim pocałunkiem niczem się nie zrażał, nie zniechęcał, wstrzymywać nie dał. Lecz powoli otwarły się też oczy ludziom i w chwili ciszy zawołał z nich jeden:

— Zaprawdę, wiele nam dobrego uczynił, błogosławmy go, błogosławmy!

A za tym jednym krzyknęła ciżba co go przeklinała i kamienowała: — Błogosławim! cześć ci! bądź uwielbiony, bądź wynagrodzony uczuciem naszym za to coś ucierpiał.

Biędny duch podniesiony tém wołaniem ziemskich braci, wzrósł, spotężniał, ale duma cielesna, duma niszcząca zakołatała razem do serca jego. A serce otwarło się szeroko na jój przyjęcie, wzięło ją, aby w niém mieszkała i poczęło bić żywiej na oklaski. Duch rzekł

miotany wielkością swoją:—Jam Bogu równy! jam wielki, jam najwyższy!

Wtém zciemniało, wszystko dokoła zagasło, ciżba odstąpiła go i poszła wieńczyć innego już wielkiego wygnańca niebios, kamienując nim wybranego na potępienie. Anioł sam pozostał z wielkością swoją.

Lecz téj mu nie wystarczało na życie, chłód jakiś grobowy go otaczał, żarł sam siebie i głodnym był jako wprzódy. Począł szukać lauru na skroni i suche tylko znalazł na niej gałęzie, szukał wspomnień wielkości dla pokarmienia duszy, a znalazł kości ich tylko wyschłe i zimne.

Wtém we śnie znów ujrzał niebo ku któremu podlecieć już nie mógł, najwięcej bowiem upadł dumą, co go więziła w zimnych ziemi dolinach. Jeden tylko wierny towarzysz niebieski stał mu u boku ze łzą litości na oczach.

— Bracie! bracie! spytał tęsknemi słowy anioł, nie uniesieszli mnie ztąd do kraju mego, do niebios?

— Al! pragnąłbym, lecz nie podźwignę cię. Okułeś się ciałem, skamieniałeś w dumie; zwróć oczy wyżej i proś Ojca.

Któż wypowie modlitwę upadłego? Słuchał jój Bóg i duchy, a w ciągu upokorzonej pieśni opadały brzemiona upadków z niebieskiego wygnańca. Naostatku, najleniwiej opuściła go ziemską dumą. A głos Boży mówił z góry:

— Nie sądźcie, abyście sądzonemi nie byli! nie oburzajcie się i nie potępiajcie, abyście oburzenia i potępienia nie wywołali. Upadłeś tylekroć ile razy walczyłeś, a gdyby nie miłosierdzie, nie podniósłbyś się z upadku.

Długo rozchodziły się słowa Ojca po przepaściach eteru i brzmiały tysiące lat w sercach aniołów, i wypisały się złotymi głoskami na skrzydłach duchów, i posłaniec niebieski zniósł je aż na naszą ziemię.

Łza oburzenia wylana przez ducha wygnańca, była ostatnią w kręgach błogosławionych.

Warszawa d. 12 grudnia 1846 r.



WYCIĄG Z PAMIĘTNIKÓW

PULKOWNIKA PIOTRA BAZYLEGO WIERZBICKIEGO.

WYPRAWA DO SAN-DOMINGO.

UŁOŻYŁ I WYDAŁ

Leon Potocki

Od dzieciństwa prawie będąc żołnierzem, wychowałem się, wzrosłem i zestarzałem w obozach. Przeszedłszy wzdłuż i wszerz Europę prawie całą, przez lat kilka walcząc pod skwarném niebem Antyllów, śmiało powiedzieć mogę, że wiele widział, wiele doświadczył, wiele pamiętam.

Na starość powróciwszy do rodzinnej chaty, otoczony żoną i dziećmi, opowiadając im nieraz dawną wojaczkę, gdzie człowiek był, co robił, przyszła mi myśl zebrania tego wszystkiego, co pamięcią ogarnąć mogłem; myśl napisania wspomnień moich. Nie uganiam się bynajmniej za sławą pisarską, do której żadnego prawa rościć sobie nie mogę, bo kto przez lat kilkadziesiąt był żołnierzem, ten się piórem władać nie nauczył. Piszę jednak dla dzieci moich, piszę ażeby uwiecznić pamięć

zmarłych moich współbraci, piszę nakoniec dla was współtowarzysze moi, którzy razem ze mną w domowym zaciszu, spokojnie resztę dni waszych pędzicie; dla was których liczba tak dziś małą została!

Wielkie wypadki które się przed oczami naszymi przemieły, zniknęły jak sny znikome, została po nich pamięć, którą dla potomności przechować najświętszym jest obowiązkiem! Dzieje wyprawy wojsk francuzkich do wyspy San-Domingo, mało są znane czytelnikom naszym; udział zaś, jaki w nich nasi współziomkowie mieli, grubą niewiadomością pokryty. Przedsięwzięłem zatem opisać gdzie byłem, co na własne oczy widziałem, a prostotę i że tak powiem dobroduszną opowiadań moich, niechaj mi wolno będzie okupić, najskrupulatniejszą, w najmniejszych szczegółach prawdą. Nim przystąpimy do opisanie wyprawy, która niejako wiek XIX rozpoczęła, rzućmy nasamprzód okiem na wyspę San-Domingo, przebieżmy jęj dzieje, zastanówmy się nad tęp czym była, i czym jest za naszych czasów.

Wyspa San-Domingo, nazywana dzisiaj Haïti, jest jedną z największych i najżyźniejszych z pomiędzy wysp Antylskich. Długość jęj licząc od wschodu na zachód, do stu sześćdziesięciu mil francuzkich dochodzi, szerokość do pięćdziesięciu kilku mil w niektórych miejscach.

Wyspa San-Domingo odkrytą została w roku 1492 przez Krzysztofa Kolumba, który ją przezwał podówczas Hispaniolą, od krajowców nazwana Haïti, co znaczy w ich języku górzystą; nakoniec przybrała nazwisko San-Domingo od miasta tego imienia, stolicy tęp części która do Hiszpanów należała. Do roku 1665 cała wyspa bezpośrednio była ich własnością, wtedy dopięro niektóre osady holenderskie i francuzkie, zajmwszy część

jéj północną, założyły miasto Cap-Français, które za stolicę swoją na téj wyspie obrały. Odtąd posiadłości francuzkie rozszerzać się tam zaczęły i nakoniec w roku 1697 Hiszpania traktatem ryswickim, ustąpiła Ludwikowi XIV całej zachodniej wyspy San-Domingo. Jeszcze w roku 1789 ludność osad francuzkich na téj wyspie wynosiła do 523,803 głów w ogóle, z których 30,826 białych, 27,548 mulatów wolnych, i 465,429 niewolników czarnych. W osadach hiszpańskich było w ogóle 152,640 mieszkańców, pomiędzy którymi znajdowało się tylko do 30,000 niewolników. W tymże samym roku osady francuzkie za 135,620,000 franków wysyłały kolonialnych towarów do Francyi, a za 54,578,000 francuzkich towarów wprowadzały do siebie. Zmiany zasze we Francyi zgubny wpływ wywarły na kwitnący stan téj wyspy, a postanowienie z dnia 8 marca 1790 wyłączając wolnych mulatów od praw obywatelskich i od udziału w obradach kolonialnych, zburzyły umysły, i przygotowały wypadki, które się stały powodem tylu okrucieństw i krwi rozlewu. Napróžno w roku 1792 chciano prawa mulatów przywrócić; nadciągnęła burza i nie tak prędko uśmierzoną być mogła. Mulaci połączeni z murzynami przeciwko białym podnieśli oręż. W roku 1791 cała część północna wyspy stała się pastwą płomieni, a do dwóch tysięcy białych okrutną śmierć znalazło, bez różnicy płci i wieku. Wtedy na czele murzynów znajdowali się: Jan François, i Biassou. W roku 1791 miasto Port-au-Prince, a w roku 1793 Cap-Français spalone zostały, a straty jakie wyspa w owych czasach poniosła, dochodziły do 60,000,000 franków. Ta część mieszkańców osad w San-Domingo, między którymi dużo było emigrantów francuzkich,

w ostatecznej będąc toni, wezwała pomocy Anglików i otworzyła im bramy miasta Port-au-Prince. Druga zaś część mieszkańców połączyła się z mulatami i murzynami. Ludność cała na dwa rozdzielona stronnictwa, najzaciętszy bój pomiędzy sobą toczyć zaczęła; krew lała się strumieniami i nie było okrucieństwa, któregooby obie nie dopuściły się strony. Pomiedzy naczelnikami mulatów odznaczali się Rigaut, Beauvais, Besse i Petion, oraz murzyn Toussaint-Louverture. Ten ostatni niezłomnością charakteru i wyższością gieniuszu swojego, pierwsze pozyskał miejsce w wojsku, i gdy w r. 1798 Anglicy chorobami znaglenni zostali do opuszczenia wyspy, generał angielski Maitland zawarł z nim umowę, mocą której niepodległość i neutralność San-Dominga zawarowaną została. 1 lipca 1801 roku Toussaint-Louverture zostawszy gubernatorem i dożywotnim prezydentem wyspy, jęj niepodległość ogłosił. W tym samym roku Napoleon Bonaparte nie chcąc w ręku murzynów zostawić wyspę tak wielkiej wagi dla Francyi, wysłał groźną wyprawę pod dowództwem generała Leclerc na jęj odzyskanie. Murzyni za broń chwycili, a powtórnie spaliwszy Cap-Français, cofnęli się w góry. Poczém oszukani kłamliwą proklamacyą rządu francuzkiego, na mocy której zapewniano im wolność i niezależność, dobrowolnie broń złożyli. General Leclerc korzystając ze sposobnej okoliczności, zatrzymać kazał naczelnego dowódcę Toussaint-Louverture i odesłał go do Francyi, gdzie wkrótce w więzieniu życie zakończył. Rozpoczęły się na nowo kroki wojenne z większą niż kiedykolwiek zawziętością. Po długich i morderczych bitwach, gdy w obozach naszych choroby nielitościwie grasować nie przestawały, przy

końcu 1803 roku Francuzi opuścili wyspę, pod rozkazami generała Rochambeau, który po śmierci generała Leclerc objął był naczelne dowództwo.

Na tém się zakończyła owa sławna wyprawa, w której do trzydziestu tysięcy Francuzów a przeszło 16,000 murzynów zginęło. Dnia 1 stycznia 1804 r. niepodległość wyspy San-Domingo ogłoszono na nowo i nazwę Haïti przywrócono. Murzyn Dessalines, jeden z namiestników Toussaint-Louvertura mianowany został gubernatorem dożywotnim i objął rząd kraju. Panowanie jego, gdyż się wnet nazwał cesarzem pod imieniem Jakóba I, było nieprzerwanem pasmem okrucieństw i mordów. Kąpiąc się we krwi białych i czarnych bez różnicy, gdy przebrał nakoniec miarę, w czasie buntu od swoich zabitym został.

Inny murzyn nazwiskiem Krysztof, nastąpił po nim z tytułem dożywotniego prezydenta, który wnet zmienił na godność królewską przewawszy się Henrykiem I królem wyspy Haïti. Panował tylko nad północną częścią tego kraju, nie chcąc bowiem uznać konstytucyi przyjętej 27 grudnia 1806 r. przez zgromadzenie stanów w mieście Port-au-Prince, zgromadzenie to utworzyło rzeczpospolitą z południowej części wyspy i obrało sobie za prezydenta Petiona. Gdy Krysztof wstępując w ślady Dessalina, został znienawidzony od wszystkich, Petion wszelkich sił dokładał do polepszenia bytu swoich współrodaków; wspierał rolnictwo, handel, rozpościęrał oświatę, i miłość wszystkich umiał sobie pozyskać. Krysztof zbuntowanemu żołnierstwu nie chcąc się poddać, w roku 1820 sam się zastrzelił. Petion umarł w 1818, powszechnie żałowany.

Po nim nastąpił generał Boyer, rodem mulat, który korzystając ze śmierci Krysztofa, całą wyspę w jedną

rzeczpospolitą połączył. W roku 1825 Karol X król francuzki, postanowieniem z dnia 17 kwietnia uznał niepodległość wyspy Haïti.



Po przeważném zwycięztwie odniesioném przez wojska francuzkie nad wojskami austryackimi pod Hohenlinden, zawieszenie broni podpisane zostało dnia 25 grudnia 1800 roku w Stejer, przez generała Lahorie ze strony generała Moreau i przez generała majora hrabiego Grüne, ze strony arcyksięcia Karola. Poczém nastąpiły układy i nakoniec dnia 9go lutego 1801 roku zawarty został w Luneville od obu stron pożądany pokój (a). Zaraz po zawarciu pokoju hrabia Cobenzel w imieniu swojego monarchy zażądał, ażeby w moc artykułu 15go powyższego traktatu:

„Jeńcy wojenni tak z jednéj jak z drugieój strony, oraz zakładnicy wzięci lub dostawieni w czasie wojny, którzy dotąd zwróconemi nie byli, w przeciągu dni czterdziestu od podpisania tego traktatu oddani zostali. Legiony polskie rozwiązane, a ponieważ składały się z Polaków w niewolę zabranych, aby tych jako jeńców wojennych Austryakom wydać.”

W tak krytyczném położeniu zostając, jedna część oficerów polskich, podawszy się do dymisy opuściła legiony, drudzy uważając traktat lunewilski za dłuższe tylko że tak powiem przedłużenie zawieszenia broni, Austrya bowiem, chwilowo zwyciężona, ogromny żywioł wojny w sobie tłumiała, czasu tylko do zagojenia zadanych ran i spoczynku potrzebowała; oczekiwali dalszych losu kolei.

(a) Dnia 9lutego 1801 roku zawartym został pokój w Luneville.

Napoleon Bonaparte dopełniając niby artykułu 15go traktatu lunewilskiego, zwinął legiony polskie, część ich przeszła w służbę rzeczypospolitój cyzalspińskiej, druga przejść miała w służbę króla Etruryi; lecz gdy starszyzna na to zgodzić się nie chciała, i wysłała nawet zpośród siebie deputacyą do 1go konsula protestując przeciwko temu co nastąpić miało, ogłoszono rozkazem dziennym postanowienie Napoleona Bonapartego w następujących wyrazach:

„Iż nagradzając znakomite usługi wojenne przez walecznych Polaków rzeczypospolitój okazane; 3cia pół-brygada, odtąd do wojska francuzkiego przydzieloną zostaje, z którym równych zaszczytów, praw i korzyści używać będzie i numer stu trzynastój pół-brygady przybióra.”

W ośm dni później, nadszedł drugi rozkaz, ażeby 113ta pół-brygada niezwłocznie wsiadła na okręta i popłynęła do Tulonu, Marsylii, lub tam gdzie dalsze przeznaczenie odbierze. Jednocześnie wpłynęła do przystani Livourno wojenna korweta z Tulonu, mająca polecenie konwojowania kupieckich okrętów. Zaraz po otrzymaniu powyższego rozkazu, generał Rivaud zajął się przysposobieniem żywności i wody. Pomimo rozmaitych wniosków, nikt jeszcze odgadnąć nie mógł dokąd się ta nowa wyprawa udaje, jaki ją los czeka. Nakoniec pod-inspektor popisów Soulié zrobiwszy przegląd, zamknął rachunki i oświadczył oficerom, że od téj chwili, 113ta pół-brygada zpod zarządu ministra wojny wychodzi, i odtąd od ministra marynarki zależeć będzie. Oświadczył dalej, iż czwórromiesięczny żołd zaległy, z funduszów wojska lądowego zapłacony im zostanie, z kas-

sy zaś ministerstwa marynarki, odbiorą zółd trzymiesięczny z góry na drogę.

W kilka dni później przybył z Ankony pułkownik francuzki Bernard i objął komendę 113tej pół-brygady (b). Już nakoniec wtedy tajnym nie było przeznaczenie téj nowéj wyprawy do wyspy San-Domingo. Mało czasu pozostawało do żalu, a wiadomości o niesfortunném powodzeniu oręza francuzkiego na téj wyspie, wieści o nadzwyczajnej tamże śmiertelności, po przystaniach europejskich głośno się rozchodziły. Na nic się wtedy nie przydały narzekania zawiedzionych nadziei, nie pozostawało jak spełnić do ostatniéj kropli kielich goryczy. Ostygł duch w najzaciętszych umysłach, pora nie była stosowną do podania się o uwolnienie od służby, a każdy żałował uporu swojego, żałował po niewczasie iż nie przeszedł w szeregi króla Etrury. Trzy-

(b) Pułkownik francuzki Bernard, umarł z żółtój febry w Port-au-Prince. Pomiędzy jego papierami znaleziono list generała Murata do pod-inspektora Soulié pisany, naganiający mu surowo postępek jego z oficerami polskimi, których obznajomił z prawem francuzkiem, dotyczącém wypłaty należności wojsku, na morską wyprawę przeznaczonemu; dodając, że generałowi Rivaud poleconém zostało, ażeby pół-brygadzie 113 tytułem przedpłaty dwumiesięczny zółd tylko na podróż był wypłacony, i żeby środki ostrożności przedsięwzięte zostały na wypadek gdyby Polacy na okręta wsiadać nie chcieli. Skoro ten list pokazano kapitanowi generalnemu Rochambeau, do żywego wzruszony tak czarnym postępkim, kazał obrachować zaległość zółdu i takową z kassy wojskowej w Port-au-Prince Polakom zapłacić. Pułkownik Bernard ciągle służąc przy sztabach wojskowych, żadnej nigdy nie mając pod sobą komendy, ani doświadczenia, ani dostatecznych nie posiadał wiadomości na dowódcę całej pół-brygady, i nie umiał pozyskać sobie miłości i zaufania podkomendnych swoich. Nie znając polskiego języka, chciał nasze nazwiska po francuzku przeistaczać. Przeznaczone 6 łutów tytoniu dziennie na każdego żołnierza, wydawać zakazał, a sam tytuń w Kadyxie na swoje konto sprzedawał.

naście okrętów kupieckich stało przygotowanych w przystani Livourno; zbliżał się dzień odjazdu, rozkazano mi zrobić przegląd przewozowych statków i obliczenie ładunku w miarę czego miał nastąpić rozdział całej półbrygady, którą jak zapewniano, miano przesadzić w Kadyxie na inne okręta. Na każdy okręt przeznaczono po jednej lub dwóch kompaniach, z tych granadyerska pod dowództwem kapitana Kastus i 4ta pod dowództwem porucznika Grabińskiego, płynąć miały na okręcie greckim pod flagą rosyjską. Nadszedł nakoniec czternasty czerwca 1802 roku, rozkazano 113tej półbrygadzie piechoty około południa wsiadać na okręta, a 5ta i 68ma półbrygada stanęły pod bronią, z rozkazem użycia gwałtu w razie oporu ze strony Polaków. Ta nadzwyczajna ostrożność generała gubernatora Rivaud niepotrzebną się okazała. Polacy bowiem chociaż z rozpaczą w sercu, szalupami dostawieni do okrętów, na pokładach złożyli w milczeniu i bez szemrania broń i mundurę; poczem za danym znakiem, pomimo przestróg doświadczonych żeglarzy o zbliżającej się burzy, podniesiono kotwice i puszczono się w drogę.

Zaledwo flotyla z przystani Livourno wypłynęła, okropna wszczęła się burza i okręta w rozmaite rozpędziła strony. Z tych dwa pomimo największego niebezpieczeństwa zdołały napowrót do Livourno zawinąć, trzy fale morskie zapędziły do kanału Piombino, pomiędzy lądem stałym a wyspą Elbą, okręt zaś grecki o którym wyżej wspomnieliśmy, rozbił się o skały w bliskości wieży morskiej San-Vnzenzo, i ze stu ośmdziesięciu ludzi znajdujących się na jego pokładzie, zaledwo sześćdziesięciu kilku wyratować się zdołało, z sześciu zaś oficerów jeden tylko kapitan Kastus, śmiałą przy-

tomnością żony, wraz z nią ocalonym został. Odważna ta kobieta uchwyciwszy jedną ręką męża, drugą przywiązawszy do siebie okiennicę okrętową, rzuciła się w morze i po długiej walce z żywiołami wraz z nim napół umarła, od fal morskich na ląd wyrzuconą została. Poczém kapitan Kastus zebrawszy oddział ocalałych żołnierzy, udał się z nimi napowrót do Livourno, gdzie od mieszkańców jak najlepiej przyjęci, opatrzeni we wszystko, ich kosztem na miejsce dalszego przeznaczenia byli odesłani. Reszta okrętów miotana wściekłością wyuzdanój burzy, dopiéro czwartego dnia znalazła się pomiędzy wyspami Balearskimi a brzegami Hiszpanii. Po kilkunastudniowój pomysłnój żegludze, flotyla nasza już się znajdowała pod 36tym stopniem szerokości, na wysokości przylądka Gates, gdy raptem wiatr zachodni dąć zaczął, nowa wszczęła się burza, a przez kilka dni nieustannie miotając nami, rozproszywszy nasze okręta, zapędziła je pod same skały, nazwane punktem Europy, na których się wznosi Gibraltar najeżony armatami angielskimi. Ucichła cokolwiek burza i flotyla szukając schronienia w Maladze, zawinęła tamże 27 czerwca, gdzie wnet i okręt na którym znajdował się szef batalionu Bolesta z dwoma kompaniami drugiego batalionu piechoty do przylądka Gates aż ponad brzegi Afryki zapędzony, przypłynął. Z największym zadziwieniem naszym zastaliśmy w Maladze konsula polskiego, który przywitawszy nas serdecznie, przyjął na obcej ziemi jak dzieci jednój matki.

Dnia 25 lipca 1802 roku, flotyla nasza podniosłszy kotwice z wiatrem wschodnim wypłynęła z portu Malaga, a sterując ponad brzegami Gibraltaru i Algesiras w Europie a Ceutą w Afryce, tak, że obie strony łatwo

okiem rozpoznać można było, szczęśliwie nazajutrz zawinęła do Kadyxu. Pół-brygada mająca się przesiąść na inne okręta na ten cel przez tamecznego konsula najęte, dwanaście dni na przygotowaniach straciła. Tam kapitanowie Slezyński i Geisztor, oraz kilku naszego stopnia oficerów, porzucili komendy i w Kadyxie pozostali. Podczas pobytu naszego w Kadyxie, oglądaliśmy nieraz Porto-Santa-Maria, gdzie się znajduje arsenał morski, i tam przypatrywaliśmy się owemu sławnemu okrętowi liniowemu, *la santissima Trinidad* zwanemu, o czterech bateriach i 140stu armatach, od którego wystrzału admirał Nelson pod Trafalgar rękę utracił, a sam zaś okręt w téjże bitwie rozbił się i zginął na nim admirał hiszpański Gravina.

12 sierpnia flotyla z pomyślnym wiatrem północno-wschodnim opuściła Kadyx, minęła cypel Tangeru, sterując ku południowi, przepłynęła pomiędzy wyspą Maderą i wyspami Kanaryjskimi, a zbliżywszy się ku wyspie Palma, przebyła pierwszy południk przecinający wyspę Ferroe. Pod 36tym stopniem szerokości wiatr się zmienił, i we dni kilka później weszliśmy na linię zwrotnika raka, przez którą przebywając dnia 5 września 1802 roku, wojsko nasze na nowo ochrzczone w imieniu Neptuna zostało (c). Komiczny ten obrzęd z wszelką uroczystością przez żeglarzy dopełniony, zerwał nas na chwilę. Odtąd stateczny wiatr wschodni przy pogodném niebie, dozwolił nam sterować prosto

(c) Obrzęd tak zwany Neptuna, odbywa się następującym sposobem na okrętach przepływających linią równika. Ubiierają jednego majtka za Neptuna, drugiego za księdza, i każdego z przepływających po raz pierwszy tę linią, zanurzają w kadzi napełnionej słoną wodą; ci tylko uwolnieni od tego zostają, którzy się majtkom okupić zdołają.

ku Antyllom. Upały nieznośne nie przestawały dokuczać, jedne nocy tylko, niejaka nam ulgę przynosiły, na rozpalonych leżąc poimostach. Około 20 sierpnia pod stopniem 24tym i minut kilkanaście szerokości, taka cisza nastąpiła na morzu, iż okręta zdawały się stać na czystém zwierciadle. Nie mogąc odgadnąć jak długo ta cisza trwać będzie, rozkazano dozorcóm żywności, stan zapasów złożyć, pozmniejszano porcyę jadła a témbarziej wody. Ta zaś już się psuć poczynała. Koloru żółtego, odrażającego zapachu, napełniona robactwem, chcąc ję używać, musiano ją węglami czyścić i pomimo tego, nie dawano więć na osobę bez różnicy stopnia jak po jednéj kwarcie na dzień. Męczarnia pragnienia przy upałach które do 40 stopni Reaumura dochodziły, spowodowała choroby i śmiertelność na okrętach naszych rozszerzać się zaczęła. Żołnierze w morze wyskakując, w pływaniu ochłodzenia szukali, co jednak smutne za sobą nieraz pociągało skutki. Kilku żołnierzy postradaliśmy z powodu, iż oddaliwszy się za nadto od okrętów, gdy podostawali kurczu, pomimo prędkiego ratunku w głębinach morskich śmierć znaleźli; inni zaś od rekinów i wilków morskich, towarzyszących zwykle okrętom, pożarci zostali. Nie mogąc przez żaden sposób zabronić kąpania się w morzu, przeznaczono godziny do kąpieli, w czasie których wykomenderowano straż; ta szrótem strzelając w morze, morskie odstraszała potwory.

D. 1 września podniósł się wiatr od wschodu, a okręta nasze przy rozpiętych żaglach z największą szybkością słone wody próc zaczęły. Odtąd przy sprzyjających nam żywiołach bez najmniejszej płynąc przeszkody, ujrzeliśmy nakoniec 10 października przylądek Samana, a 12 te-

goż miesiąca wpłynąwszy do zatoki Mancenilla, około 2 po południu przed samém miastem Cap-Français rzuciliśmy kotwicę.

Nim po wylądowaniu w Cap-Français 113 pół-brygady, do opisania jój działań wojennych przystąpimy, niechże mi będzie wolno przedewszystkiém rzucić okiem na wypadki, które poprzedziły jój przybycie na wyspę San-Domingo; i chociaż w téj całej wyprawie, ta tylko część w której ziomkowie nasi udział mieli najgodniejszą jest naszego zajęcia, obszerniejsze zaś dzieje ogółu, i niefortunne koleje oręża francuzkiego na téj wyspie, do pisarzy francuzkich należą; są jednak ciekawe szczegóły, rzucające światło na całą tę wyprawę i dające poznać tak niepospolitego człowieka, jakim był dowódzca murzynów Toussaint-Louverture, które czytelnikom moim udzielić przedsięwziąłem.

Po zawartym pokoju Francyi z Anglią w Amiens (d), Napoleon Bonaparte, gdy wyprawa do Egiptu niepomysłny koniec wzięła, zwrócił uwagę na opuszczoną przez Francją wyspę San-Domingo, na posiadaniu której, pomysłność handlu i potęga żeglugi polegała. Zawojowanie całkowitej wyspy, której trzecia część tylko do Francyi należała dawniej, największe korzyści obiecywało w przyszłości. Do uskutecznienia tego wielkiego przedsięwzięcia, piérwszy konsul umyślił użyć oficerów sprzyjających generałowi Moreau, a tym sposobem osłabiwszy jego partyą, zmniejszyć przeszkody jakie mu przeciwnicy stawiali w widokach do wywyższenia się wiodących.

(d) 27 marca 1803 roku, zawartym został pokój w Amiens pomiędzy Wielką Brytanią, Francją, Hiszpanią i rzesząpospolitą Batawską.

Za zbliżeniem się do brzegów San-Domingo floty francuzkiej, wyprawionej z portu Brest pod dowództwem vice-admirała Villeret-Joyeuse, kapitan generalny Leclerc (e), posłał naczelnikowi murzynów Toussaint-Louverture odezwę pierwszego konsula do mieszkańców San-Domingo w ogólności, a w szczególności do czarnej ludności tej wyspy.

Zaledwo odezwa pierwszego konsula rozeszła się po kraju, Krysztof generał murzynów jak gdyby odpowiadając na nią, dnia 3 lutego 1802, spalił miasto Cap-Français, poczem z wojskiem swoim cofnął się w góry. We trzy dni później, tojest dnia 7 lutego, wojska francuzkie wylądowawszy w Cap-Français wśród dymiących się jeszcze gruzów spalonego miasta, generał Leclerc wysłał do Ennery, plantacyi Toussaint-Louverture (f) synów

(e) Karol Emanuel Leclerc, był synem handlarza mąką w Poitouise, i w témże mieście się urodził 1772 roku. W 1791 wszedł jako ochotnik do 2go batalionu pułku Seine et Oise. Będąc już kapitanem podczas oblężenia Tulonu, tam się zapoznał i zaprzyjaźnił z tym, w którego rękę spoczywały przyszłe losy Francyi. Leclerc towarzyszył Bonapartemu w kampaniach włoskich aż do roku 1796 jako pod-szef sztabu głównej armii, i odznaczył się pod Mont-Cenis, Mincio i Salo; w wyprawie do Egiptu czynny miał udział. W r. 1797, ożenił się z siostrą Bonapartego Pauliną, która później była księżną Borgheze. Powróciwszy z Egiptu, przyczynił się czynnie do wielkiego wypadku 18 brumaire; onto przeciw reprezentantom narodu wprowadził pluton granadyerów, który ich z miejsca ich posiedzeń bagnetem rozpedził. Wynagradzając go za to pierwszy konsul, mianował go generałem dywizyi z przeznaczeniem do armii nadreńskiej pod rozkazem generała Moreau. W roku 1801 wysłanym został na uspokojenie zbuntowanej Portugalii i w tymże samym roku mianowany kapitanem generalnym wyprawy do wyspy San-Domingo, zkad po ciągłych niepowodzeniach przeniosłszy się na wyspę Tortue, w skutek cierpień moralnych i niezdrowego klimatu, umarł roku 1802, 1go listopada.

(f) Toussaint, był wnukiem Gaou-Guinou króla Arradów w Afryce. Ojciec jego w czasie wojny w niewolę wzięty i na

jego Placyda i Izaaka pasierba, wychowanych w kolegium Lamarche w Paryżu z panem Coasnon ich nauczycielem, rozumiejąc, iż ten szlachetny postępek zniewoli naczelnika murzynów do złożenia w jego ręce najwyższej władzy. Powrót dzieci na łono rodzicielskie wzruszył do żywego i ojca i matkę; serca ich nie posiadały się z szczęścia, płynęły łzy radości. Korzystając z téj chwili pan Coasnon zapytał naczelnika, czy jest przyjacielem

wyspę San-Domingo sprzedany, dostał się do osady Breda, należąc do hrabiego Noë. Tam przeszedłszy na katolicką wiarę, ożenił się z murzynką i z nią miał pięciu synów i trzy córki. Toussaint był najstarszym synem tego liczego rodzeństwa. Od dzieciństwa mając nieograniczoną chęć oświaty, ojciec jego chrzestny murzyn nazwiskiem Piotr Batiste nauczył go czytać i pisać, a pan Bayon Libertat z pastucha trzód i bydła zrobił go swoim stangretem. Z wysokości kozła na którym zasiadł, wyrzekł do siebie słowami Chrystusa Pana: „Z pastérza owiec, stanę się pastérzem ludzi!” Niezadługo potem czytając w dziełach Raynala: „Zjawi się murzyn, którego przeznaczeniem na téj ziemi będzie, pomsta za poniżenie własnego plemienia” zawołał z uniesieniem: „Raynal był moim prorokiem!” Zaprzyjaźniwszy się z murzynami Janem François i Biassou, znanymi z okrucieństw swoich, w powstaniu z roku 1791, wszedł do służby pod rozkazami pierwszego jako lekarz wojskowy. Przy końcu 1793 Toussaint wtrąconym został w mieście Valiere do więzienia przez generała François, w którym zdolności jego największą wzbudzały zazdrość. Uwolniony z więzienia przez generała Biassou, zebrawszy 600 ludzi, przeszedł z nimi do służby króla hiszpańskiego pod dowództwo margrabiego d'Almonas gubernatora śgo Rafała. Gdy w roku 1794 rzeczpospolita francuzka ogłosiła wolność murzynów na wyspie San-Domingo, Toussaint wszedł w tajemne układy z generałem francuzkim Laveaux, który mu stopień generała brygady ofiarował. W skutek czego Toussaint na czele licznój bandy, opuścił Marmeladę, w pień wyciął Hiszpanów, a przeszedłszy na stronę Francuzów, od pana Polverel kommissarza rzeczpospolitéj, przydomek *Louverture* otrzymał. Skoro pokój między Francją a Hiszpanią zawartym został, a Jan François powołany do Madrytu opuścił wyspę, Toussaint-Louverture, sam jeden, bez zawodnika zostawszy, zaczął od uorganizowania armii murzynów, poczem wysłany przeciwko Anglikom, oswobodził północną i zache-

Francuzów? — Czyż o tém powątpiewać możesz? odrzekł Toussaint uściśnawszy go z zapalem. Poczém młody Izaak opowiedział ojcu, co mu piérwszy konsul i kapitan generalny powierzył, i jakie mu do niego dali zlecenie. Pan Coasnon wystawił mu korzyści wyniknąć mogące z poddania się murzynów metropolii, starał się przekonać naczelnika o niemożności opiérania się zwyciężkim wojskom francuzkim, których sława po całym

dnia część wyspy. Gdy generał Laveaux powrócił do Francyi w miesiącu kwietniu 1796 roku, Toussaint mianowany został naczelnym dowódcą San-Domingo; a chcąc aby rząd rzeczypospolitéj francuzkiej jeszcze większą miał w nim ufność, dwóch swoich synów odesłał przez szefa brygady Vincent do szkół paryzkich. Dyrektoryat widząc czyn godny dawnych Rzymian w tym ojcu oddającym w zakład własnych synów, nazwał go zbawcą wyspy San-Domingo, i udarował kosztowną bronią i bogatym mundurem, synowie zaś jego kosztem rządu wychowani zostali. Pomimo tego, ufność którą wzbudzał we Francyi Toussaint długo trwać nie mogła; wysłano zatém generała Hedouville jako reprezentanta rzeczypospolitéj przy naczelnym dowódcy wyspy San-Domingo. W tymże samym czasie wybuchła krwawa wojna pomiędzy murzynami a mulatami, na czele których stanął Rigaud; tę wnet uspokoił Toussaint. Nastąpił rok 1799.—Napoleon Bonaparte zostawszy 1szym konsulem, w proklamacyi do wyspy San-Domingo potwierdził Toussaint-Louverture w godności naczelnego dowództwa. Rozgniewany Toussaint że Bonaparte nie pisał do niego, wstrzymał proklamacyą, rozkazem tylko dziennym zawiadomił mieszkańców o zaszyłych wypadkach we Francyi. Wyprawiwszy mulata Rigaud do Francyi, wtedy dopiero mógł się śmiało nazwać panem całej wyspy. Naśladując we wszystkiém Igo konsula. urządził swój dwór, ustanowił honorową gwardyą, miał zimowe i letnie pałace. Często o sobie mówiąc, mianował się Bonapartem wyspy San-Domingo, a do Igo konsula pisując, zaczynał listy swoje od tego: *Piérwszy czarny do piérwszego białego*. Traktat bazylejski ustąpiwszy Francyi tę część wyspy która do Hiszpanii należała, Toussaint udał się do miasta San-Domingo dla objęcia téj nowój posiadłości w imieniu rzeczypospolitéj, otoczony licznym dworem, z największą okazałością i przepychem przebiegł kraj cały, podobniejszy do władzcy onego, jak do namiestnika obcego rządu. Miał téż, nim zostać niedłu-

rozchodziła się świecie. Dodał iż rząd francuzki bynajmniej nie ma zamiaru narzucenia niewoli murzynom, nakoniec zaklinał Toussaint-Louvertura ażeby się dobrze zastanowił nad tém, iż odrzucenie uporczywe podanych warunków, może największe nieszczęście sprowadzić na jego ojczyznę, i rozłączyć go na zawsze z własnymi dziećmi. Toussaint słuchał w milczeniu opowiadania syna swojego i uwag pana Coason. Wyraz jego twarzy oka-

go. Wiadomość o zawartym pokoju między Francją a Anglią, który dla świata całego zdawał się być zakładem przyszłego szczęścia, stała się hasłem rokoszu na wyspie San-Domingo. Toussaint wydawszy proklamacyą do wszystkich mieszkańców, już czynił przygotowania do podniesienia sztandaru buntu, gdy ujrzał flotę francuzką z 54 okrętów złożoną, zbliżającą się do przylądka Samara. „Francya, zawołał, przysyła nam wojnę, a śmierć lub niewola, to nam tylko pozostaje.” Po długiej i krwawej walce, której skutek trudnym jeszcze był do odgadnienia, gdy Toussaint-Louverture zarówno Francuzom jak własnym namiestnikom stał na przeszkodzie, pozbyć się go postanowiono. Po zawartym napozór pokoju, zaproszony do głównej kwatery generała Brunet na ucztę, aresztowany, na fregacie *La Créole* do Cap-Français dostawiony, z całą rodziną na okręcie Bohatér wysłany do Francyi. Wylądowawszy w Brest, przeznaczono mu Bayonę za miejsce wygnania, wkrótce jednak zamknięty w zamku Joux, gdzie w kwietniu 1803 r., umarł w więzieniu nagłą śmiercią, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy zatruty. Tak skończył Toussaint-Louverture mając około 60 lat wieku. Wzniosłego charakteru i wielkimi zdolnościami obdarzony od natury, łączył w sobie szlachetny i nieugięty umysł. Budowy ciała miernej, niezbyt wysokiej, rysów twarzy pełnych wyrazu, wzroku bystrego i przenikliwego, wstrzemięźliwy w żądzach, lubił okazałość i przepych, gdzie tego potrzeba wymagała. Podejrzliwy z położenia swojego i stosunków w jakich zostawał, bogobojny, mało używał spoczynku, i pracował z nadzwyczajną łatwością. Toussaint-Louverture należał do téj małej liczby wyższych ludzi, którzy wszystko czerpią sami z siebie, sobie sami wszystko winni, sami czyny własne potomności podają.

Patrz: *Histoire de l'Expedition des Français à Saint-Domingue. The history of Toussaint, London 1844. Dictionnaire de la conversation. (Patrz Louverture.)*

zywał głębokie zadumanie, poczem nauczyciel jego dzieci wręczył mu list 1go konsula zawarty w puszcze złotej. Odczytał go kilkakrotnie Toussaint, czoło się jego wypo-
godziło; a gdy pan Coasnon jeszcze nalegał aby się udał do Cap-Français na wezwanie kapitana generalnego, dodając, iż do jego powrotu zostanie jako zakładnik w obozie murzynów, „nie, to być nie może, zawołał Toussaint, wojna już jest rozpoczętą, wojsko chce się bić, namiestnicy moi chciwi pożarów i zniszczenia; ale jeżeli generał Leclerc życzy sobie zawieszenia broni, ja z mo-
jój strony biore na siebie wstrzymać walkę na czas nie-
jaki.”

Toussaint-Louverture zobowiązał pana Coasnon do zawiadomienia generała Leclerc o jego niezmienném po-
stawieniu, dodając, iż sam także do kapitana general-
nego napisze. Poczem udał się do obozu Krysztofa, roz-
położonego w Gonaïves o dwie godziny drogi od plan-
tacyi Ennery. Jeszcze tego samego dnia przybył do Enne-
ry Francuz nazwiskiem Granville, nauczyciel trzeciego
syna Toussaint-Louvertura z listem do generała Leclerc,
w którym imieniem murzynów żądał zawieszenia broni.
Panu Granville poleconém było, towarzyszyć panu Coasnon
do Cap-Français i odprowadzić obydwóch synów naczelnika
murzynów do francuzkiego obozu, z którymi ojciec
wolał raczej raz na zawsze się rozłączyć, a niżeli zezwo-
lić na wymagane od niego warunki. Od pana Granville
dowiedział się pan Coasnon, że Toussaint oddalił się
z Ennery dla zakopania skarbów swoich w górach Ca-
hos, powyżej płaszczyzny Gonaïves, przestrzegł go zara-
zem o niebezpieczeństwie grożącym białym, że ich ży-
cie zawieszono na włosku mogącym być przy najpiér-
wszej okoliczności przeciętym.

Toussaint-Louverture w liście swojemu do generała Leclerc nie tuił mu bynajmniej złych swoich chęci, załił się na rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich, wyrzucił generałowi iż przybył z Europy aby mu wydrzcć z bronią w rękę naczelne dowództwo wyspy, skarżył się że mu tak późno doręczono list pierwszego konsula, i oświadczył, że obowiązki względem murzynów wkładają na niego powinność wyższą nad wszelkie uczucia natury. Dodał, że jest przygotowanym rodzinnej ziemi uczynić ofiarę z własnych nawet dzieci, których napowrót generałowi odsyła, aby nie sądzono iż wdzięczność dla narodu wśród którego wychowani byli, paraliżuje jego postępowanie; nakoniec żądał kilkudniowego zawieszenia broni.

Generał Leclerc odebrawszy list powyżej wymieniony, powtórnie odesłał dzieci naczelnikowi Toussaint-Louverture, ponowił wezwanie przybycia do Cap-Français celem porozumienia się względem utrzymania na wyspie pokoju, i zezwolił na czterodniowe zawieszenie broni; po upływie którego oświadczył, iż Toussaint-Louverture jeżeli nie przystanie na warunki podane przez rząd francuzki, ogłoszonym zostanie nieprzyjacielem Francyi i wyłączonym zpod prawa. Toussaint zostawiwszy synom swoim zupełną wolność wyboru, między ojcem a narodem wśród którego wychowani byli, Izaak oświadczył iż się nigdy nie poważy podnieść oręza przeciwko Francyi, młodszy zaś Placyd rzuciwszy się w objęcia ojca, usługom jego życie swoje poświęcić zobowiązał się, dodając, iż nigdy innej woli prócz ojcowskiej mieć nie będzie. Poczém Toussaint-Louverture powierzył mu dowództwo szwadronu swojej gwardyi, na czele którego

w kilka dni później, przeciwko wojskom francuzkim stanął na linii bojowej.

Po skończoném zawieszeniu broni, rozpoczęły się na nowo nieprzyjacielskie kroki, na nowo krwawe bitwy toczyć się zaczęły. Gdy szczęście, pomimo niektórych klęsk odniesionych z początku, zaczęło sprzyjać Francuzom, generałowie murzynów, Krysztof, Clervaux, Maurapas, a za nimi obrotny Dessalines broń złożyli. Toussaint opuszczony od swoich, widząc zamysły i widoki swoje sparalizowane, ściśniony ze wszystkich stron, posłał list do generała Leclerc w którym wyraził, iż nie był dalekim do wejścia z nim w układy, zawsze jednak, w tém krytyczném nawet położeniu wyższy od innych, dał poznać francuzkiemu dowódcy, że jeżeli warunki które mu podadzą nie zgodzą się z jego przekonaniem, zerwie wszelkie układy nie lękając się bynajmniej skutków ztąd wyniknąć mogących. Kapitan generalny składając się chętnie do zgody, cofnął poprzednie postanowienie, mocą którego Toussaint-Louverture z pod prawa wyłączonym został.

Podówczas wojska francuzkie już były do 5000 ludzi utraciły w bitwach; szpitale zalegały choremi tak, że z 23,000 przybyłych z Europy, zaledwo 12,000 pod bronią liczyć można było. Wiedział o tém dostatecznie Toussaint-Louverture, ale czuł zarazem, że dalszy upór z jego strony, mógłby sprawę murzynów na zawsze o zgubę przyprawić. Stanął nakoniec pokój dnia 1go maja 1802 roku. Na mocy nowo zawartego traktatu Toussaint-Louverture udał się do Cap-Français. Wjazd jego do miasta był prawdziwym tryumfem, ludność cała wyszła przeciwko niemu, matki padając na kolana

pokazywały go dzieciom, a błogosławieństwo ludu spływało na jego głowę. Poczém udawszy się do Marmelady rozpuścił swoje gwardyę, ze łzami w oczach pożegnał dawnych towarzyszków broni, i powrócił do Ennery chcąc używać spokoju w szczęśliwém domowém zaciszu.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ŻYWOTY MALARZY POLSKICH.

PRZEZ

Edwarda bar. Pastawieckiego.

(Ciąg dalszy).

Czechowicz Szymon.

Celujący malarz historyczny, przedmiotów prawie wyłącznie religijnych. Przyszedł na świat w Krakowie około roku 1695, i tu odbył zwykły bieg nauk. Wrodzona skłonność wiodła młodziana do poświęcenia się malarstwu; lecz pod tę porę nie było w Polsce łatwości sposobienia się w sztukach, a do wyjazdu za granicę, z ubogiej pochodzący rodziny, nie miał wcale zasobu. Przecie znalazł w tém pomoc u jednego z Ossolińskich, kosztem którego do Włoch wyprawiony został. Zawdzięczając tę doznaną opiekę, pisał się później na niektórych obrazach *Simon Czechowicz Pol. Dom. Ossol. Pictor Romae*. W Rzymie jako w siedlisku wzorów i mistrzów, oddał się *Czechowicz* z całym zapalem nauce zamiłowanej sztuki. Dwaj sławni ówczesni malarze Karol Maratti i Rafael Mengs, przyjaźnią go swoją zaszczykali; pierwszy

z nich był początkowój jego nauki przewodnikiem, i wprowadził go na tę udoskonalenia drogę, po którój następnie do wysokiój chwały doszedł. Własném uczuciem kierowany, potrafił wpatrywaniem się w arcydzieła sztuki, zgłębić onój tajniki, nabyć czyste pojęcie pięknego, i wykształcić smak w sposób który się w dalszych jego tworach tak zaletnie odznacza. Wkrótce zdołał dać dowody niepospolitej zdatności i biegłości, a płody jego pędzla przez akademią ś. Łukasza kilkakrotnie nagrodami uwieńczone zostały. Lat 18 przemieszkał w Rzymie ciągle pracując, ciągle się doskonaląc. Natężona usilność w pracy, przy klimacie gorącym włoskim, tak nadwątliły zdrowie jego, iż mu lekarze powrót do ojczyzny doradzili. Rzym więc i Włochy nie bez żalu porzucić musiał.

W 33cim roku życia powrócił do Polski i osiadł w Warszawie. Odtąd w ustronném życiu sztuce swój wyłącznie oddany, nader liczne dzieła wykonywał, i do wieku nawet podeszłego w pracy nie ustawał. Malował prawie wyłącznie obrazy kościelne i przedmioty treści religijnej. Wybór onych odpowiadał wzniosłemu *Czechowicza* pojmowaniu sztuki, czystemu wyobrażeniu pięknego, dla których rodzaj ten stawał się najwłaściwszym; zgadzał się on i z uczuciami malarza i z pobożnością w którój był ciągle zatopiony, tak dalece, iż dla zupełniejszego jój oddania się bezżenne życie prowadzić postanowił, i w niém trwał aż do zgonu. Piękne obrazy tego znakomitego artysty ozdobiły bardzo wiele kościołów w Polsce, Litwie, Ukrainie, a nawet i w Szląsku; wiele ich było i jest w prywatnych domach po kraju. W Warszawie roku 1750 mieszkał wraz ze szwagrem swym Łukaszem Smuglewiczem w domu pod Nr. 59.

(Ł. Gołębiowski, *Opis Warsz.* 1827, str. 175). Zda-
je się iż musiał i w Wilnie przebywać, kiedy tam prac
jego tyle się znajduje. Bawił jakiś czas w Podhoreckim
zamku u Rzewuskiego, i wiele tam obrazów pozostawił.
Okolo r. 1770 sprowadzony do Połocka przez rektora ks.
Czerniewicza do kollegium akademickiego jezuickiego,
dwa lata tamże blisko przemieszkał i mnogie dzieła zdo-
biące kościół i kollegium wykonał. Na starość został
tercyarzem zakonu kapucyńskiego w Warszawie. (M. Ba-
liński, *Fundacya zakonu i kościoła ks. Kapucynów w War-
szawie*, w *Alleluja* z r. 1840 str. 160, gdzie go zowie
Szymon z Lipnicy Czechowicz). R. 1778 umarł lat 83 ży-
cia licząc; ciało jego w grobach kościoła kapucyńskiego
spoczywa.

Szymon Czechowicz trzyma niezaprzeczenie pier-
wsze miejsce między malarzami polskimi przeszłych wie-
ków. Twory jego pędzla nacechowane są wielkiem
przejęciem się klassycznymi wzorami sztuki. Układ
w nich prosty, niewymuszony, lecz zawsze głęboko po-
myślany, zasada jedności ściśle zachowana, wszędzie
panuje naturalność i prawda. Rysunek jest poprawny,
koloryt niewrząskliwy, rozważny, oku przyjemny. Ogól-
ne wrażenie zajmujące, miłe, słodyczą, harmonią i wdzie-
kiem serce przenikające. Obok tylu przeważnych zalet,
nie jest wszakże *Czechowicz* bezbłędnym, i zarzucić mu
nieraz przychodzi zaniedbanie w draperyach, czasami
ciężkich i niezgrabnych. *Czechowicz* dożył czasów pa-
nowania Stanisława Augusta, pod jego niemal bokiem
pracował w Warszawie. Zadziwiająca jest rzeczą, iż
król, sztuk pięknych lubownik i znawca, nie zdawał się
oceniać wysoką zdolność malarza. Wpśród tylu arty-
stów dla Stanisława Augusta pracujących, nie był uży-

wany *Czechowicz*, nie zaszczycił go ani jeden obstalunek królewski, i ani razu podobno dworskich nie przestąpił progów. Zanedbanie to nieinaczej sobie tłumaczyć można, jak w ocenieniu rodzaju ówczesnego w malarstwie smaku, któremu przedmioty światowe i dziejowe miliej przypadały, kiedy *Czechowicz* same tylko kościelne i religijne odrabiał.

Wykaz obrazów *S. Czechowicza*.

1. *Nawiedzenie Pańskie*, w kościele panien Wizytek w w. ołtarzu w Warszawie. (Ł. Gołębiowski, Opis Warsz. 1827, str. 93, lubo A. Grabowski utrzymuje, że ten obraz T. Konicza).

2—5. *Ś. Wojciech Karmelita. Marya Magdalena. Ś. Józef. Ś. Eliasz*. W ołtarzach kościoła Karmelitów na Lesznie w Warszawie; lecz obrazy te były odnawiane. (Ł. Gołębiowski, str. 84).

6—7. *P. Jezus na krzyżu*, u spodu N. Panna i ś. Jan. *Narodzenie Zbawiciela*. W sali posiedzeń Tow. Dobroczynności w Warszawie. (Ł. Gołębiowski, str. 91).

8—11. *P. Jezus ukrzyżowany. Ś. Jan Nepomucen. Ś. Jan Kanty. Ś. Józef*. Były w ołtarzach kościoła ks. Pijarów w Warszawie. Powiada Ł. Gołębiowski st. 86, iż niektórzy te obrazy przypisywali malarzowi Mańkowskiemu; może one odnawiał.

12—13. *Przemienienie Pańskie. Ś. Wojciech*. W w. ołtarzu kościoła ks. Kapucynów w Warszawie. Ostatni mniejszy nad tamtym. (M. Baliński, Alleluja z r. 1840 str. 149).

14—18. *Opieka Matki Bożkiej. Zdjęcie z krzyża. Ś. Antoni. Ś. Anna. Ś. Jan Nepomucen*. W ołtarzach

bocznych kościoła Przemienienia Pańskiego ks. Pijarów w Krakowie. Te obrazy miały być w Rzymie jeszcze malowane. (J. Mączyński, Pamiątka z Krakowa 1845, II, 347).

19. W stallach kościoła ś. Anny w Krakowie mają być *Czechowicza* obrazy. (J. Mączyński. II, 202).

20—21. Klasztory Kapucynów w Zakroczymiu i Lubartowie posiadać mają obrazy *Czechowicza*. (M. Baliński, Alleluja z r. 1840, str. 160).

22. *Wniebowzięcie N. Maryi Panny*. W w. ołtarzu kościoła kolegiackiego P. Maryi w Kielcach. W Rzymie malowany i tamże kosztem biskupa krak. Felicyana Konstantego Szaniawskiego za 100 cz. zł. zakupiony i sprowadzony. (Opis hist. stat. m. Kielc, w Pam. Sandomierskim 1829. I, 73).

23. W kościele ks. Paulinów we wsi Leśna, w dawnym woje. Brzesko-Litewskim, mają być jego obrazy. (T. Święcki, Opis staro. Polski 1828. II, 225, tudzież K. W. Wójcicki Opis cudow. obrazu w Leśny, Alleluja 1843 str. 248).

24. *Ś. Ignacy Lojola spotykający się przed Rzymem z Chrystusem P. krzyż niosącym*. W jednej z kaplic kościoła katedr. wileńskiego, przeniesiony tu r. 1798 z kościoła jezuickiego ś. Ignacego; miary łokci $7\frac{1}{2}$ —3. (M. Baliński, Wilno.....1835, str. 175).

25. *Ś. Katarzyna*. W kościele tego imienia Benedyktynek w Wilnie.

26. *Wzniesienie do nieba archanioła Rafała, w przytomności starego Tobiasza i jego rodziny*. Przedtém w kolegium jezuickim ś. Rafała, przeniesiony do kościoła ś. Jakóba na Łukiszki. Jest tam podobno więcej robót *Czechowicza*. (J. I. Kraszewski, Wilno.... II, 354).

27. U pp. Wizytek w Wilnie są obrazy *Czechowicza*. (J. Saunders, str. 640. J. I. Kraszewski, Wilno. II, 491).

28. W kościele ś. Kazimierza przedtém należącym do Jezuitów miały być jego dzieła. (J. Saunders, str. 640).

29—30. W Wilnie takż posiadali jego obrazy prałat Dłuski i prof. Golański (J. Saunders, str. 640).

31. *Ś. Magdalena*. Posiadał w Wilnie prof. J. Saunders.

32. W kościele ks. Missyonarzów w Smitłowicach, dobrach pp. Moniuszków. (J. Saunders, str. 640).

33. W Szczorsach u hr. Adama Chreptowicza. (Alex. Przewdziecki w Athenaeum r. 1842, II, 187).

34—36. *Trzy głowy starców*. W Dobrowlanach u hr. Adama Günthera. (Alexander Przewdziecki, w Athenaeum 1842, II, 192).

37. Portret *S. Czechowicza* przez niego samego robiony. W Postawach u hr. Tyzenhauza. (Alex. Przewdziecki w Athenaeum 1842, II, 198).

38. W kościele katedralnym mińskim. (J. Saunders, str. 640).

39—40. Bawiąc w Rzymie wykonać miał obrazy dla kościołów śś. Jana i Pawła, tudzież polskiego ś. Stanisława. (Seb. Ciampi, Viaggio in Polonia. Firenze, 1831, str. 152).

41. *Czechowicz* przebywał jakiś czas w Podhorcach na Rusi Czerwonój niedaleko Brodów u Rzewuskiego. Tam kilkanaście dzieł wykonał i pozostawił. Na jedném z nich wystawiającém *ś. Franciszka*, głowa sama, znajduje się podpis malarza. (Wykaz innych jest nam przyobiecany).

42. Portret *Jana Fryderyka Sapięhy* sztychowany przez J. F. Myliusą 1741.

43. *Portret Sebastyana Debowskiego biskupa*, sztychowany przez J. F. Mylius a r. 1743.

44. *Cud ś. Jana Kantego*. Obraz przytoczony przez J. Saundersa, str. 635.

45. *Ś. Paweł po nawróceniu uleczony przez Ananiasza*. Figury wielkości prawie naturalnej. Przytoczony przez J. I. Kraszewskiego w *Athenaeum* 1846, III, 81.

46. *Ś. Tadeusz*, wielkości naturalnej. Up. T. Zielińskiego w Warszawie.

47. *Męczeństwo ś. Floryana*. U tegoż.

48. *Męczeństwo ś. Jana Nepomucena*. U tegoż.

49. *Ś. Stanisław Kostka*. U tegoż.

50. *N. Panna z synem*. U tegoż.

51. *Ś. Józef z Chrystusem P.* U tegoż.

Obrazy *S. Czechowicza* w kolegiacie akademickiej ks. Jezuitów w Połocku, około r. 1770 w ciągu lat dwóch malowane, z opisu J. E. Lachnickiego.

52. *Stefan Batory*, fundator kolegium połockiego r. 1579. Wielkości naturalnej, miara łokci $3\frac{1}{2}$ —2. W re-fektarzu.

53. *Gody w Kanie Galilejskiej*.

54. *Chrystus P. uczący w kościele doktorów*; dwaj z nich mają okulary na nosie.

55. *Chrystus P. na puszczy usługiwany przez aniołów*.

56. *Nakarmienie zgłodniałych na puszczy*.

57. *Ostatnia wieczerza Chrystusa Pana z uczniami*.

58. *Wniebowzięcie Bogarodzicy*.

59. *Ukazanie się Chrystusa P. dzwigającego krzyż ś. Ignacemu pod Rzymem*. Powtórzenie obrazu będącego w katedrze wileńskiej.

60. *Ś. Stanisław Kostka piastujący na ręku dzieciątko Jezus.* Nra 53—60 miary łokci 2—2, wszystkie w refektarzu.

61. *Chrystus Pan z sercem promienistém.*

62. *Paweł III, papież.*

63. *Grzegorz XIII, papież.*

64. *Kardynał Bellarmin.*

65. *Mikołaj Łeczycki* prowincyał lit. jezuicki.

66. *Piotr Skarga.*

67. *Wawrzyniec Ricci* ostatni generał jezuicki.

68. *Błogosławiony Franciszek de Hieronymo.*

69. *Wielebny Ludwik de Ponte.*

70. *Wielebny brat Berchmans.*

71. *Wielebny Alfons Rodriques.*

72. *Wollowicz* podkanclerzy.

73. *Żuk* dobroczyńca zakonu. Nra 61—73 owalne po 1½ łokcia wysokie, w refektarzu nad poprzedniemi.

74. *Ś. Alojzy Gonzaga* z krzyżem i lilią w ręku, głowa w promieniach. Wielkości naturalnej. Owal, około 4 łokci wysoki.

75. *Ś. Stanisław Kostka, któremu ukazuje się dzieciątko Jezus.* Głowa w promieniach. Owal, około 4 łokci wysoki.

76. *N. Matka piastująca śpiące dziecię Jezus.* Kwadratowy po 2½ łokcia.

77. *Ś. Stanisław Kostka w zachwyceniu, utrzymywany przez aniołów.* Kwadratowy po 2½ łokcia. Nra 74—77 na korytarzach.

78. *Chrystus Pan na krzyżu.* Miary łokci 1 ½.

79. *N. Matka z dzieciątkiem Jezus na ręku.* Miary łok. 1—1. Nra 78—79 w mieszkaniu księdza ministra.

80. *N. Matka z dzieciątkiem śpiącym na ręku.* Około $1\frac{1}{2}$ łok. w kwadrat. W oratoryum duchowném.

81. *Błogosławiony Jędrzej Boboli.* Owal $1\frac{1}{2}$ łok. wysoki.

82. *Ś. Borgiasz otoczony aniołami w zachwyceniu przed N. Sakramentem.* Miary łokci $3\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$; uszkodzony. Nra 81—82 w zakrystyach.

83. *N. Matka ze ś. Kazimierzem, ś. Janem Nepomucenem i błogosławionym męczennikiem Jozafatem Kuncewiczem arcyb. połockim.* Osoby wielkości naturalnej. Miary łokci $8\frac{1}{2}$ —4.

84. *N. Matka oddaje dziecię Jezus w ręce ś. Stanisława Kostki; poniżej ś. Alojzy Gonzaga i ś. Franciszek Borgiasz.* Osoby wielkości naturalnej. Miary łok. $8\frac{1}{2}$ —4.

85. *Ś. Michał archanioł pokonywający szatana.* Miary łok. $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

86. *Anioł Stróż prowadzący duszę do nieba.* Łokci $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

87. *Ś. Barbara wstępująca do nieba.* Łok. $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

88. *Ś. Katarzyna męczenniczka.* Łok. $3\frac{1}{2}$ — $1\frac{1}{2}$.

89. *Spotkanie ś. Elżbiety z N. Panną.* Owal 4 łok. wysoki. Nra 83—89 w kościele ś. Szczepana.

90. *Chrystus Pan krzyż dźwigający zachodzi drogę ś. Ignacemu przed Rzymem.* Miary łok. $7\frac{1}{2}$ —około 3. Powtórzenie obrazów w katedrze wileńskiej i w refektarzu.

91. *Ś. Borgiasz w zachwyceniu przed N. Sakramentem.* Miary ł. $3\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$, odmienny od wyżej pod nr. 82 przytoczonego. Nra 90 i 91 w kościele ś. Krzyża.

92. *Śmierć ś. Xawerego apostoła Indyj wschodnich.* Łokci $7\frac{1}{2}$ —około 3.

93. *S. Szczepan wstępujący do nieba*. Ł. 8^{1/2}—4. W wojnie 1812 roku mocno uszkodzony. Nra 92 i 93 w kościele ś. Xawerego na Mogile, 2 wersty od Połocka.

94. *Stefan Batory*, wielkości naturalnej. Był w domu wiejskim Spas pod Połockiem, spalony podczas wojny 1812 r.

95. *Piotr Skarga*, wielkości naturalnej. Tamże podobnemu uległ losowi, wraz z kilku innymi pomniejszemi obrazami *Czechowicza*.

Wiele szkiców *S. Czechowicza* należące spadkiem do Smuglewiczów, przeszły do zbiorów hr. Adama Günthera w Dobrowlanach i hr. Tyzenhauza w Postawach. Opisał je starannie Alex. hr. Przewdziecki w *Athenaeum* z r. 1842, II, 186—194. Szkice te całą gienialnością artysty nacechowane, wielkiej są wartości dla krajowej sztuki. Zebranie onych, jak niemniej upowszechnienie sztychem obrazów samych *Czechowicza*, byłoby wielce korzystnym nabytkiem dla sztuki, a pięknym pomnikiem dla sławy samego malarza.

Przypisują mu, jako też i Dolabelli, odznaczający się obraz *Zdjęcia z krzyża* u P. Maryi w Krakowie pód małym chórem na ścianie zawieszony; lecz to jest błędne, a obraz ten pewnie z Włoch dawniej sprowadzony został.

(O *S. Czechowiczu* pisali: Józef Saunders, *Wiadomość o życiu i dziełach Szymona Czechowicza* w *Dzienniku wileńskim* z r. 1815. II, 625—640. J. E. Łachnicki, *Wiadomość o obrazach Czechowicza...* w Połocku. *Dziennik wil.* z r. 1817. VI, 144—152. Ossoliński, *Wiadomość.....* w *Czasop. lwowskim* z r. 1828. I, 120—125. Alex. hr. Przewdziecki, *Wiadomość o szkicach S. C.*, w *Athenaeum* J. I. Kraszewskiego z r. 1842. II, 186—194).

Smuglewicz Franciszek.

Syn malarza Łukasza, a siostrzeniec Szymona Czechowicza, przyszedł na świat w Warszawie r. 1745. Trokliwością ojca otrzymał staranne wychowanie; w szkołach publicznych, w klassie poetyką zwaną, liczył między nauczycielami Adama Naruszewicza. Z rodu artystów pochodzący, uczuł w sobie wczesnie do malarstwa powołanie, a 17letni młodzieniec dał już zdatności dowody. R. 1763 wysłał go ojciec własnym kosztem na naukę do Rzymu, gdzie wkrótce przeszedł rodzicielskie nadzieje. W drugim zaraz roku pobytu uzyskał akademicką piérwszą nagrodę, kiedy między konkursującymi współzawodnikami, znajdował się tyle słynny później francuzki malarz Dawid; odgłos takowych postępów doszedłszy do Stanisława Augusta, zjednał malarzowi królewskie zachęcenie i dary. Znaczny przeciąg czasu przepędził w Rzymie i innych miastach włoskich, doskonaląc się wpośród sztuki wielkich wzorów i napływu celujących artystów. Uczniem zaś był Rafała Mengsa, którego stał się przyjacielem i pomocnikiem. Wykonywane we Włoszech prace, zyskiwały mu poklask publiczny, a rodacy i cudzoziemcy ubiegali się o jego dzieła. Około r. 1783 powrócił do ojczyzny wzywany przez króla sztuk opiekuna. Odtąd pozostał w Warszawie, i wykonywał liczne w wyższym rodzaju dzieła. (Do téj epoki należy zamiar wydania obrazów dziejów Polski w stu rycinach).

R. 1797 wezwany został do akademii wileńskiej na profesora malarstwa. i na téj posadzie do końca życia pozostał. R. 1800 otrzymał nagły rozkaz jechania do Petersburga, gdzie mu cesarz Paweł poruczył malowa-

nia w zamku ś. Michała. Atoli podjęte tamże prace, pomimo łożoną usilność, na niekorzyść obróciły się *Smuglewiczowi*; albowiem wilgoć murów w których wykonał roboty, zaledwie wykończone wprędce poniweczyła; splełły kolory, niknął stopniami wyraz i cała dzieł sztuka, tak, jak i wszystkie inne kosztownego gmachu ozdoby, który wkrótce jako do zamieszkania ludzkiego niezdolny, zupełnie opuszczony został. Powrócił do Wilna, gdzie w czasie całego swego zamieszkania liczne wykonywał dzieła, a roku 1807 zszedł z tego świata, w 62 roku życia.

F. Smuglewicz lubo zaiste do rzędu najpiérwszych mistrzów sztuki podwyższonym być nie może, zajmuje w niej przecie znamienity stopień. Dzieła jego znamienne przejęcie się włoskiej szkoły wzorami, wielka siła twórcza, bogata kompozycya, zręczność w grupowaniu, szczęśliwie pomyślane postawy i wyrazy twarzy, ogólny ton oko łudzający, znajomość dziejów powszechnych i kraju własnego. Twory jego lat młodszych wyższe okazują zalety, pod koniec życia talent jego coraz się pochylał i upadać zaczął. Zarzucają mu znawcy zaniedbanie rysunku w częściach nagich, ciężkość draperyi, zwykle nieradzenie się natury, wady w późniejszych pracach silniej się okazujące. W pełnieniu obowiązków profesora nie małe położył zasługi, poświęcał się cały usposobieniu w szkole jego będącej młodzieży, dopomagał jój szczerze, a przymiotem wyższymi zdolnościami właściwym, rad udzielał wiadomości wszystkim co się po nie do niego udawali. W życiu prywatném człowiek światły, obczytany i charakteru prawego, przywiązany do kraju i rodziny. Mało o zyski dbający, odmówił kilkakrotnie korzystne wezwania panów angielskich, którzy go do swe-

go kraju zamawiali. Nie dorobił się téż bogactw, pracując w zaciszu; w tych nawet miastach w których przebywał, więcéj, jak to mówi jego biograf, z zdolności szacowany, aniżeli znany z twarzy.

Dzieła wykonane przez *F. Smuglewicza*:

W Rzymie:

1. *Ś. Fulgenty*.

2. *Czas odkrywający prawdę*.

3. *Zgon Annibala*.

4. *Święci Augustyn i Hieronim w postaciach naturalnych*. Obraz ten wystawiony był na loteryą w Krakowie r. 1822, i ceniony przeszło 100 cz. zł. (Krakus z roku 1822, n. 99).

W Warszawie:

5—7. *Uśpienie N. Panny otoczonej 12 apostołami. Cudowne przerażenie cesarza Walensa na widok ś. Bazylego arcybiskupa cesarejskiego. Ś. Onufry znaleziony na puszczy przez ś. Pafnucego*. Wszystkie trzy w kościele ks. Bazylianów. (Ł. Gołębiowski, *Opisanie Warsz.* 1827, str. 88—89).

8—10. *Ś. Wawrzyniec. Ś. Jan od krzyża. Ś. Eliasz*. W kościele Karmelitów bosych na Krak. Przedm. (Ł. Gołębiowski, str. 92).

11. *Ś. Agata*, w kościele Augustyanów. (Tenże, str. 77).

W kościele ś. Krzyża na Łyséj Górze:

12—18. *Ś. Trójca w w. ołtarzu*. W sześciu innych ołtarzach takóž jego obrazy. Z nich jeden *Emeryk syn Stefana króla węgierskiego, któremu anioł z obłoków wskazuje miejsce gdzie ma wystawić klasztor*. Inny, *Helena matka Konstantyna czyniąca próbę cudowności krzyża ś. na schorzałej osobie*. (K. W. Wójcicki, opis tego

kościół w Starych Gawędach. 1840. III, 315). Obrazy te na Łysiej Górze przez wilgoć zniszczone zostały, a ich odnowieniem miał zajmować się A. Blank, lecz mu śmierć tego nie dopuściła.

19. *Ś. Augustyn*, w kościele w Trzemesznie, do lepszych dzieł jego należy. (E. Raczyński, Wspom. W. Polski, II, 378).

W Wilnie:

20—39. W katedrze: *Dwanaście apostołów* każdy na jednym z 12 filarów środkowych po łokci 6—2³/₄. *Melchizedech ofiarujący Abrahamowi chleb i wino*; z prawej strony w. ołtarza. *Rozmnożenie pięciu chlebów i nakarmienie ludu na puszczy*; z lewej strony w. ołtarza. Oba te obrazy kompozycji bogatej. *Zabójstwo ś. Stanisława biskupa*; w ołtarzu wikaryuszowskim, łokci 7¹/₂—4³/₄. *Walka z namiętnościami i zwycięstwo nad nimi*; w kaplicy ś. Kazimierza w rogach nad chórem. *Chrystus ukrzyżowany*, u stóp krzyża *N. Panna*, *ś. Marta*, *ś. Jan Ewangelista* i *ś. Marya Magdalena*; w kaplicy ś. Maryi Magdaleny. Obraz wzniosłego pomysłu, owalny, przeniesiony tu r. 1805 z kościoła zniesionego ś. Maryi Magdaleny przy Mokrej Bramie. *Ś. Jan Nepomucen przed królem czeskim Wacławem*; w kaplicy tego świętego. Łokci 6¹/₂—4¹/₂. *Ś. Piotr w okowach*; w kaplicy tego świętego. (M. Baliński, Opis Wilna. 1835, str. 164—179).

40—44. W bibliotece publicznej akademickiej, na suficie: *Świątynia sławy do której zmiierzają lub już weszli sławni kraju polskiego mężowie, a tych Minerwa uwieńcza. Gieniusz sławy głoszący dobra zasłużonych naukom. Praca gotuje uczonym wieńce. Tarcza mądrości zastania poświęcających się naukom. Nad wchodem:*

obraz mały allegoryczny. (Ks. Golański w Pam. Warsz. z r. 1809. II, 201). Kompozycje znamienite.

45. *Zaślubienie N. Panny.* (Tamże, str. 200). Obraz odznaczający się.

46. *Zgon Chodkiewicza w obozie pod Chocimem.* (Tamże, str. 200). Dzieło odznaczające się.

47. W Petersburgu z rozkazu cesarza Pawła robił malowania w zamku ś. Michała, które wilgoć ścian popsuła. W kaplicy zamkowej wystawił w wielkim obrazie ś. Michała archaniola, przed którym spadają w piekło szatani. (Tamże, str. 202).

48—50. *Akt rozgraniczenia Litwy od księstwa mazowieckiego r. 1358. Sessya trybunału lubelskiego pod laską Kajetana Olizara stolnika kor. w przytomności króla Stanisława Augusta.* Łokci 7—6. Osoby historyczne są tu nadzwyczaj podobne. *P. Jezus na krzyżu,* wielkości naturalnej. Dwa pierwsze obrazy w pałacu korosteszowskim hr. Olizara, ostatni najlepszy w kościele tamiecznym. (Alex. Przewdziecki, Podole, Wołyń.... 1841. II, 122).

51—55. *Szymon Troczanin, pielgrzym,* popiersie. *Głowa starca, włoska.* Oba obrazy malowane w Rzymie. *Portret kasztelanowej z Ogińskich Ogińskiej. Ś. Stanisław napominający Bolesława Śmiałego. Ś. Jan Jalmużnik.* Wszystkie w Dobrowlanach u hr. Adama Günthera. (Alex. Przewdziecki w Athenaeum z r. 1842. II, 192).

56. *Malarstwo, rzeźbiarstwo i budownictwo,* podają sobie ręce, w postaci trzech niewiast. U p. Tom. Zielińskiego w Warszawie.

57. *Cesarz Tytus daje prawa Rzymowi.* Tamże.

58. *Estera i Assuerus.* Tamże.

59. *Kupido grożący. Tamże.*

60. *Portret własny malarza, okrągły. U piszącego.*

Nadto zdejmował *Smuglewicz* różne *widoki krajowe*, których wiele posiadał kanclerz Joachim Chreptowicz, a jeden z nich *kościół ś. Anny w Wilnie*, sztuchował Z. Vogel r. 1807 i zamieścił w swojej *Podróży malarskiej*. Do przedsięwziętego dzieła *Obrazów historii polskiej w stu sztukach*, przygotował wiele rysunków; dziesięć z nich w sztuchu wydane zostały. Wiele jego rysunków znajdowało się w zbiorze króla Stan. Augusta, który następnie dla uniwersytetu warszawskiego nabyty został. (Ł. Gołębiowski, *Opis Warsz.* 1827, str. 89). Szkiców pozostało po nim także bardzo wiele, po różnych zbiorach przechowywane. J. I. Kraszewski, objęte jedną księgą opisał. (*Athenaeum* z r. 1841. IV, 168 — 176). Dla artysty polskiego wszystkie te *F. Smuglewicza* rysunki i szkice wielkiej są wartości, i bliższego onych poznania godne.

Nie wiadomo dlaczego Ł. Gołębiowski i E. Raczyński przeinaczają nazwisko tego malarza, pisząc go *Szmuglewiczem*, gdy się rzeczywiście *Smuglewiczem* nazywał.

(*Pisma o F. Smuglewiczu: Wiadomość o życiu i dziełach Fran. Smuglewicza z mowy pochwalnej ks. Filipa Neryusza Golańskiego, w Pamiętniku Warszawskim L. Osińskiego z r. 1809, II, 194—204. Adam Szemesz w Athenaeum z r. 1842, II, 171).*

Podając do Biblioteki Warszawskiej w drugim wyciągu z wkrótce mającego wyjść ogólnego Słownika Malarzów Polskich, żywot S. Czechowicza i F. Smuglewicza, czynię to szczególnie powodowany nadzieją, iż posiadacze obrazów tych dwóch znakomitych naszych artystów, lub mający wiadomość o jakich nieprzytoczonych przeze mnie pracach, raczą łaskawie uzupełnić w tym względzie poszukiwania moje, o co najuprzejmiej upraszam. (*Adres: w Warszawie, ulica Senatorska nr. 468).*

KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź na recenzję dziełka „O dziesięcinach kościelnych na Rusi”, przez p. F. Z. uczynioną, a w Bibliotece Warszawskiej, na miesiąc maj, 1846 r. str. 375—384, zamieszczoną.

Z zajęciem i przyjemnością czytałem uwagi p. F. Z. nad dziełkiem mojem: „*Zbiór wiadomości historycznych i aktów dotyczących dziesięcin kościelnych na Rusi.*”

Pierwszy ten plód nieudolnego pióra mojego, bardziej z potrzeby urzędowej, niż z chęci szukania sławy na trudnym do uprawy polu literackim, publiczności okazany, niewiele spodziewać mi się dozwalał pociechy, odpowiedniej trudom i mozołom, jakie tylko prawdziwi i obeznani należycie z podobnym przedmiotem znawcy, ocenić są zdolni, zwłaszcza, gdy treść jego już sama z siebie dość drażliwa, czytelników albo za zbyt gorąco rzeczy biorących, albo przelotnie tylko dotykających, zaledwie do właściwego stanowiska zbliżyć i do bezstronnego sądu skierować mogła.

Dzięki więc Opatrzności! która mi wzbudziła światłego i nieuprzedzonego recenzenta.

P. F. Z. po odczytaniu dziełka mego, z cierpliwością wytrawionego literata, równie bez złości, jak i bez pobłażania, głębokie myśli i rozległe wiadomości swoje, porządnie

i uczenie rozwinął; a tém samém dał mi dość jasno do zrozumienia, że młodocianej płonce mojej, nie wzrost tamować, ale owszem, przez uprzątnienie przyległych jęj a niewłaściwych przyrostów, takowy ułatwić i utrwalić zamierzył.

To téż właśnie stanowisko, jakie trafnie p. F. Z. zajął, spowodowało mię do skręślenia tych kilku jeszcze liter, iżby przedmiot, może więcej ważny, niżby się komuś z pozoru zdawało, przez szczegółowe z dwu stron oględy, pozyskał ile być może, dokładne i dostateczne wyjaśnienie. Łatwoto bowiem wyrzec: „*lat czterysta*”, ale nie tak łatwo, pojednoczyć wypadki w toku onych zaszłe, wysledzić ich powody, poznać wzrost, odgadnąć dążność, ocenić skutki i z rozproszonych w odmęcie kilku wieków cząstek, złożyć właściwą całość. Jakkolwiek trudném jest to zadanie, jakkolwiek wiele wymaga cierpliwości, poświęcenia się, wyrzeczenia się korzyści materyalnych i że po ewangelicznemu powiem, jakoby zaprzeczenia się samego siebie, czyli najściślej bezstronności i mienia na oku nie siebie, tylko prawdę; przecież, kto zamiłował tę drogę obsypaną eterycznym starożytności pyłem i pomknął się daleko na przód, winszuję mu tego niepospolitego szczęścia, jakiém się nieochybnie napawa jego czynna dusza, w wielu wiekach niejako jednocześnie żyjąca, i radbym z serca, w pogoni spółzawodniczój, jeśli się z nim nie zrównać, to choć brzegu szaty jego, wszak bez żadnego dlań szwanku, dosięgnąć, i z samego dotknięcia, w mocnej wierze, na wzór onęj niewiasty, która z dotknięcia kraju szaty Jezusowój uzdrowienie pozyskała, pozyskać także praktyczne pożytki nauki zdrowej, bo na prawdzie, i nauki pewnej, bo na świadectwie wieków niewzruszenie opartój.

Wszelkie utwory samęj wyobraźni, chociażby najszykowniejsze, pełne nowych i uderzających pomysłów, a nawet dążności moralnej, nigdy podobno nie wyrażą na duszy naszej tyle korzystnego piętna, ile istotne wypadki spełnionych czynów ludzkich, jakie ubiegła przeszłość w najwierniejszym obrazie, oczom potomnych przedstawia. I słowa Cycerona:

„*historya jest świadkiem czasu, posłem starożytności, życiem pamięci, światłem prawdy i mistrzynią życia*”, nigdy wartości swój nie utracą.

Aby się więc i w przedmiocie dotkniętych w dziełku mojem kilkowiekowych wspomnień, prawda coraz i coraz rozjaśniała; zachęcony jak rzekłem, recenzją nie Zoila, lecz wyrozumiałego miłośnika starożytności i prawdy, postanowiłem z okoliczności uwag p. F. Z. domieścić i moje niektóre spostrzeżenia i usprawiedliwienia.

P. F. Z. na str. 376 mówi:

„*W takiej mnogości przywiedzionych różnorodnych świadectw, niepodobna aby każda materya w należytem świetle wystawioną została, np. co do arcybiskupstwa lwowskiego*”
i t. d.

Nie obwinia mnie tutaj p. F. Z., usprawiedliwiać się tedy nie mam potrzeby. Nadmienię tylko, iż mając głównie na celu interes dziesięcin, a szczególnie w dyecezyi obecnie chełmskiej, powinienem też być głównie założenia swego pilnować. Wszakże jeślibym zamierzał przedmioty innėj treści zaledwie tam dotknięte, wyjaśniać obszerniej, nie brakłoby mi materyałów i do tego przedsięwzięcia. Dwukrotny albowiem przegląd takiego nawału ksiąg metryk królewskich, koronnych i litewskich, naprowadził mię od razu na tę myśl: *chwycać na onėj rozległej toni wszelką rybkę, iżby wielkiego nakładu usiłowań i czasu nie udaremnić*. Tym sposobem, zebrałem znaczny zapas wiadomości lub w wypisach dosłownych, lub w treści z oznaczeniem księgi i strony. I dosyć jest podobnym, że to, co w notce (na tejsze 376 str.) p. F. Z. wyraża, o wspomnionym przezemnie przywileju z r. 1423 p. Zubrzyckiemu nieznanym, dałoby się powiedzieć jeszcze i o innych niektórych, jakieby może mój zbiorek wykrył i dozupełnił.

P. F. Z. na tejsze str. 376 i 377 powiada:

„*Dwa tylko nadania wyraźnie odnoszą się do dziesięciny wytycznej.... księżny Semenowiczowėj kobryńskiėj i pisarza króla Alexandra Petraszki Chomicza Lubicza*”.

„Przywilej Świdrygajły, ogólnie tylko wymienia danie i dziesięciny i też sady i winy i rozpusty i poiemszczyzny i smirszczyzny.”

„Dokument pochodzący od księcia halickiego Lwa roku 1291, wspomina danie i dziesięciny miodowe i z winogradów i smithii (z myta).”

„Biskup przemyski Maciej r. 1406 przyznaje, że w diecezji przemyskiej i halickiej, dziesięcina snopowa nie ma miejsca: zamiast niej pobierają biskupi pewne kwoty pieniądze, proboszczowie zaś meszne, albo w zbożu, albo stosownie do układu w pieniądzech.”

Co do powyższych przytoczeń, za potrzebne uznaję, domieścić niektóre szczegółowe objaśnienia, nie dla p. F. Z. który takowych bez wątpienia nie potrzebuje, ale dla samego przedmiotu, który winien być ile można w należytem przedstawiony światle.

Ścisłe rzeczy biorąc, jedno tylko nadanie księżny Semonowiczowej kobryńskiej (O dzieś. str. 22, n. 26) do dziesięciny wytycznej z powodu wyrażenia: „z żyta i so wsich iaryn desiatuju kopu,” ma podobieństwo. Mówię, podobieństwo, bo czyli i na téj zasadzie, wyraźnie wytykano na polu dziesiątą kopę, bez dowodów osiągniętych w téj mierze z doświadczanego poboru, nie śmiałbym twierdzić na pewno. Już zaś nadanie Petraszki Chomicza Lubicza (str. 23 n. 28), wyraźnie o dziesiątej kopie nie nadmienia.

W przywileju Świdrygajły, nie wiem dlaczego stoi u p. F. Z. wyraz „sady” nie zaś „sudy”; może być myłka druku.

Nieodrzeczy byłoby zamieścić objaśnienie wspomnianych tam kilku wyrażen. Spróbuję ile zdołam; zostawiając i to, i resztę, uznaniu biegleszych w tym względzie.

Sudy i winy rozumiem sądy i kary. Już w *Prawdzie Ruskiej*, czyli w prawach z wieku XI Jarosława księżęcia Rusi, syna Włodzimierza Wgo jest postanowienie o sądach duchownych, zamieszczonych i w Skorowidzu praw rossyjskich. I jakkolwiek Karamzin (Hist. państw. Ros. t. II, przekładu Buczyńskiego), uważa toż postanowienie za podrzucone około XIV wieku, było jednak niewątpliwie przynaj-

mniéj od XIV wieku wykonywane przez duchownych. Pomienione prawa Jarosława, pozyskały i w Polsce potwierdzenie króla Alexandra w r. 1499, przywilejem metropolicie kijowskiemu Józefowi udzielonym, względnie obrządku greckiego. Oto są słowa przywileju:

„Sam Alexandr. Wo imia Bożoie amiń. Czynom znamienito sim naszym listom, ebto na nieho posmotryt, abo cztuczy ieho usłyszyt. nyniesznym i potom buduczym, komu budet potreba toho wiedati. Kłął pred Nami nareczennyi Mitropolit Kiiewskiy i wseia Rusi Episkop Smolenskiy Josyf, spisok to iest switok praw welikoho Kniazia Jarosława Wołodimirowicza: kotoryieź on prawa duchownyie wyłożył spraw duchownych Hreckich, to iest z Nomokanonu wostocznoie cerkwi, i tyi prawa w switku wypisał i zakazał aby tych dzieł i dochodow cerkownych i sudow duchownych nihto od swietskich ne smieł suditi i raditi, poletil wsi tyi dzieła duchownyie w mocy Metropolita Kiiewskoho i wseia Rusi, chto koli budet Mitropolitom, i teź w moc Episkopow tych, kotoryi sut pod Mitropoliu wysze reczennoho Kiiewskoho; ino dey nekotoryi Kniazii i Panowe Woiewody, Starosty, Namestnyki i Tywunowie naszymy, Derżawcy horodow, miest i wołostey naszymy, Cerkwi Bożoy i Mitropolitu i Episkopom krywdu czyniwali, wehody ich cerkownyie i sudy duchownyie wstupywali se, tyie sprawy ich Metropolii i Episkopskiie sami sprawiwali. I bił nam czołom Mitropolit Josyf, abychmo tuii ustawu Welikoho Kniazia Jarosława, to iest switok wypis spraw duchownych Hreckich, uchwału Duchoweństwa obyczaja wostocznoie Cerkwy, Naszym listom potverdili; i My posmotrewszy u tot switok Jarosławli ubaczyli iesmo iż on wsi sprawy duchownyie poletil w moc i sprawu Mitropolitu i Episkopom *nad poddannymi tyimi wsimi kotoryi sut hreckoho zakonu*, na wecznyi czasy z łaski Naszoie toie prawo, kotoreieź wypisano w switku Jarosławli, potwierzaiem sim Naszym listom nareczennomu Mitropolitu Episkopu Smolenskomu Josyfu i wsim Episkopom w otczynie naszoy Welikom Kniazstwie Litowskom i w Państwach naszymy Ruskich. Malet Mitropolit Josyf i po niem buduczny;

Metropolity i wsi Episkopy, kotoryiež pod Mitropoleiu Kiiewskoiu suditi i raditi i wsi dieła duchownyie sprawowati, chrestianstwo hreckoho zakonu, podle tych praw wypisu toho switka Jarosławla na wiecznyie czasy. I prikazuiem, aby Kniazi i Panowe naszoho Rymaskoho zakonu, tak duchownyie kak i swietskiie i tež Woiewody i Starosty, Namestnyki tak Rymaskoho zakonu, kak Hreczeskoho, i Tiwuny i wsi Zakazniki, Derżawcy po horodom naszym i tež po miestom naszym Woytowie, Burmistrowie i Radey, tyie kotoryie zdawna od Prodkow naszych prawa maiut Maytborskiie i tež wžo kotorym My tyie prawa Nemeckiie podawali i naperod ieszcze kotorym innym miestom naszym toie prawo z łaski Naszoie dadim, krywdy Cerkwi Božey i Mitropolitu i Episkopom ne czynili. w dochody cerkownyi i wo wsi sprawy i sudy ich duchownyie ne wstupali sia, wže tyi wyszey pisanyie Derżawcy naszy, ne maiut w tyi dieła duchownyie wstupatsia, bo iesmo prikazali Mitropolitu i Episkopom, suditi i raditi i dieła duchownyie sprawowati i ludie cerkownyie zawiedati podłuh dawnoho obyčzia po horodom i po miestom naszym. Tež kotoryi ludi Mitropolii abo Władyczyny sediat po miestom naszym, a wschotiat torhomsia obychoditi, tyi popłatki naszy maiut nam płatiti pospoł z miestom naszym po dawnomu. I tež kotoryi Kniazi i Panowie naszy Rymaskoho zakonu maiut po swoim imeniam Cerkwi zakonu Hreczeskoho i zdawna budet koto-raia Cerkow podanie Metropolie abo Władyczne, taia i te-per nechay budet Cerkow ich podania i iestližby koto-raia Cerkow była w podani zdawna Derżawcy toho imenia, ino i teper nechay tot Derżawca podaiet z błałosłowenyiem Mitropolim, nižli wžo ne maiet mocy toho swieszczennika ot toie Cerkwy ruszyti bez osmotrenyia i woli Metropoliczioie onyi Derżawca; Tež sweszczennika Ruskoho jestliby kto soromotił abo zbił, tak ot Rymaskoie wiery kak ot Hreckoie maiet toho dieła smotreti Mitropolit abo Episkop, bo to jest sud duchownyi, i inyi wsi członki kotoryi wypisany u switku Jarosławli i w sem Naszym listu potwierzaiem na wiecznost Mitropolitu Josyfu i potom buduczym

Mitropolitom i wsim pod ieho Mitropoleiu Episkopom sim naszym listom; maiut oni tyie duchownyie dieła sprawowati podle obyczaja swojeie Cerkwi po dawnomu; a na lepszu-iu twerdość i peczat' naszu kazali iesmo priwiesiti k semu naszomu listu. Pisan u Wilni Leta Bożoho Tysiecza czotyrysta dewiet desiat dewiatoho (1), Marta 20 dnia. Indykt 2. Pri tom był Ochmistr Namestnik Kowenskiy pan Woytko Janowicz." (Metr. Litew. 192 str. 140) (2).

Wszak i naszej nawet pamięci dosięgły na Rusi, może i indziej, kuny, czyli żelazne że tak nazwę łapki, przy kościelnych ścianach zewnątrz będące, w które jawnych przestępców i gorszycieli, dla publicznej ich hańby, a odstręczenia drugich od podobnego postępowania, na czas pewien, do stania w takiej kunie, zamykano. Niewiasty téż znane publicznie z nierządów, bywały publicznie sznurami od

(1) Jakkolwiek panowanie w Polsce króla Alexandra rozpoczyna się od r. 1501, w powyższym jednak przywileju z r. 1499, ani pomyłki w dacie, ani anachronizmu w czasie niemasz. Jednocześnie bowiem z bratem Janem Albertem, tak rządził Alexander w Litwie, jako Jan Albert w Koronie; tylko wydawane przez Alexandra dyplomata w chwilach panowania Jana Alberta, noszą tytuł z dodatkiem: „sam Alexandr.”

(2) Przywilej powyższy króla Alexandra, mianowicie względem sądów duchownych, zwierzchności kościelnej obrządku greckiego nadany, potwierdzali w całej jego mocy, następni królowie polscy, jakoto: Zygmunt I na sejmie walnym koronnym w Brześciu r. od stworz. świata 7019 (od nar. Chryst. 1511) d. 2 lipca; Stefan Batory na sejmie walnym w Warszawie r. 1585 d. 25 lutego; Zygmunt III r. 1605 d. 22 lutego, tudzież r. 1617 d. 27 lutego i r. 1621 d. 5 września; Jan Kazimiérz na sejmie walnym w Warszawie r. 1658 d. 29 sierpnia; Michał Korybut na sejmie koronacyi swój w Krakowie r. 1669 d. 19 października; Jan III na sejmie koronacyi swojej w Krakowie r. 1676 d. 3 marca. Wreszcie, prawa, swobody i wolności obok szczegółowych wyliczeń, w wyrażeniu ogólném: *Duchowienstwo Ruskie, osobliwie świeccy duchowni, gaudebunt omnibus libertatibus et privilegiis juxta leges canonicas et statuta antiqua regni*", zatwierdził August II w Warszawie roku 1700 d. 15 czerwca i August III w Warszawie r. 1736 d. 30 lipca. (W Metr. król. i w dziełku p. t. *Bullae et Brevia* &. Począjów 1767 an. pag. 42—59 in supplem).

dzwonów karane. Dotąd wreszcie na Rusi polskiej utrzymuje się gdzieniegdzie zwyczaj, iż nałogowi pijacy upamiętawszy się, przychodzą do swego proboszcza i proszą o przyjęcie ich dobrowolnego zarzeczenia się picia wódki, na czas pewien oznaczony. Kapłan, jak rzecz sama mówi za sobą, nie może nie przyjąć ich dobrej chęci, a nie mając do tego aktu w swym Trebniku czyli agendzie przepisanej formuły obrządku, dla skuteczniejszego wrażenia, wprowadza ślubującego do kościoła, modli się z nim chwilę, ubiera się w stółę, udziela mu stosowną nauczkę, i ułożywszy, jak mu roztropność i życzliwa gorliwość pasterska podyktuje, formułkę zarzeczenia się, przewodniczy ślubującemu w powolném odmawianiu takowej, unikając wszakże formalnej przysięgi, jakaby z łatwością przez ludzi (nałogom oddanych mogła być naruszoną; da mu ucałować krzyż Zbawcy, pokropi go święconą wodą, a na plebanii zapisze dla pamięci krótki akcik, przy którym wymienia i karę pieniężną na kościół za niedotrzymanie ślubu. Takowa kara przez ślubującego przyjęta, ze zwyczaju dawnego, dotychczas nosi miano grzywien, z których jedna odpowiada 20stu groszom.

Rozpusty i poiemszczyzny, jeżeli się nie mylę, sąto sprawy rozwodowe i małżeńskie.

Smirszczyzny, zapewnie odkazy przedśmiertne, u nieznanających pisma włościan, odpowiednie zapisom testamentowym dla kapłanów, iżby pamiętali o duszach ludzi zmarłych, w odprawianych stosownych nabożeństwach. Takowe odkazy, czyli z bydła domowych, czyli z odzieży i t. p. często praktykowały się na Rusi, a mianowicie na *sorokousty*, tojest: odprawienie 40 mszów, lub inne obowiązki duchowne oznaczone. O sorokoustach wzmiankuje i król Zygmunt I, w wyroku wydanym w sprawie duchowieństwa i mieszczan wileńskich obrządku greckiego na sejmie w Brzėsciu d. 16 lipca 1544 r. mówiąc: „a iestliby kto meł wolu dati sorokoust weczystyi i hodowyi i mešiacznyi na sobornuiu Cerkow i po okrestnym Cerkwam, za takoho powinni budut sweszczennicy Boha prositi, a chtoby ne

choteł dati niczoho, za takowych oni ne powynny budut sorokoustow służyty.” (Metr. Litew. 209 str. 408 cz. I). Smirszczyzny takowe, nie byłyto tak zwane na Rusi polskiej *odumarszczyzny* (*pensio, tributum, boum*) które nie darem, lecz ciężarem bywały dla duchowieństwa ruskiego i włościan obrządku greckiego. Było bowiem zwyczajem za Jagiellonów i później na Rusi polskiej, iż po śmierci kapłanów ruskich i włościan o. g. ściągano z sukcesorów rzeczoną odumarszczyznę; w jakim zaś sposobie lub ilości, nie zdarzyło mi się wyczytać. Wiem tylko, iż od takowej odumarszczyzny król Zygmunt I przywilejem w roku 1533 w Krakowie wydanym, kapłanów ruskich i włościan o. g. w starostwie drohobyckim uwolnił, z powodu, że mu od razu złożyli sumnę 500 ówczesnych złotych, iżby za tę kwotę, dobra jakie dla stołu swego zakupić polecił, a ich wieczyście od wspomnionej odumarszczyzny uwolnił. Takową ofiarę, król chętnie przyjął i nietylko od rzeczonego ciężaru ich z potomkami uwolnił, ale w dodatku obdarzył jeszcze trzema łaskami: a) dozwolił im wpędzać w lasy królewskie starostwa drohobyckiego nierogaciznę na żółędzie, bez uiszczania opłaty zwanj *szerowisna* (żerowizna), prócz dwóch lasów. (*Exceptis tamen duobus nemoribus seu mericis nostris Lesnensi videlicet et Isdebniczensi, in his enim duntaxat solvi nobis nostrisque successoribus szero-wisnam volumus*). b) Uwolnił ich od dawania podwód (*ductura, powosz*) dla starosty, lub kogobądź innego, prócz, jeśliby sam król tamtędy przejeżdżał, albo królewskie rzeczy przewożone były, i c) dozwolił im sprzedawać i kupować, według szacunku przez starostę oznaczyć się winnego, domy swoje prawu wołoskiemu uległe. (*Potestatem liberam curias suas juri Valachico subjectas, vendendi et emendi, juxta tamen taxam et aestimationem per Capitaneum nostrum Drohobicensem pro tempore existentem, faciendam*). (Metr. Kor. 48, str. 851.) W powyższym przedmiocie dodać można, iż Zygmuntońska odumarszczyzna, za króla Stefana Batorego zwała się *połtowszczyzną* od ja-

kowój król pomieniony, przywilejem z d. 15 lutego 1585 uwolnił kapłana o. g. w Dolinie. (Metr. kor. 133 str. 84).

Przy wyrażeniu w dokumencie księcia halickiego Lwa „*ij smithij*” p. F. Z. położył w nawiasie (z myta). Ten domysł p. F. Z. nie trafia do przekonania mego. Raczej mój domysł może p. F. Z. przyjąć zechce. Ja uważam, że „*ij smithij*”, jest to samo, co: *i z mięty*. W starym zakonie, przy mowie o dziesięcinach, wprawdzie niemasz nigdzie zgoła wzmianki o mięcie. Lecz Jezus Chrystus, wyrzucając na oczy Faryzeuszom ich przewrotność, że w małych rzeczach skrupulatnymi byli, a większe za nie poczytywali, między innymi, powiedział u Mateusza ś. w rozd. XXIII w. 23: „Biała wam doktorowie y Pharizeuszowie obłudnicy: iż dawacie dziesięcinę z *miętki*, y z anyżu, y z kminu, a opuściliście co ważniejszego jest w zakonie: sąd y miłosierdzie y wiarę. To było trzeba działać, a owego nie opuszczać.” Jest też to samo i w drugiem miejscu (a więcj nigdzie), u Łukasza ś. w rozd. XI w. 42: „Ale biada wam Pharizeuszom, iż dawacie dziesięcinę z *miętki*, y z ruty y z wszelkiej iarzyny: a opuszczacie sąd y miłość Bożą. Lecz te rzeczy trzeba było czynić, a onych nie opuszczać.” Sądzę przeto, iż te dwa miejsca ewangeliczne, nastreczyły nadawcy XIII wieku owo wyrażenie *ij smithij i z mięty*. Już zaś dochód z myta, jeśli gdzie był nadawany dla kościołów po miastach podczas jarmarków lub odpustów, tedy zawsze w całości, nie zaś sposobem dziesięciny, w części dziesiątej lub jakowej inniej, np. dla cerkwi w Piszczacu i po wielu innych miasteczkach.

W przytoczonych powyżej wyjątkach z uwag p. F. Z. gdzie jest mowa o nadaniach dziesięcin wytycznych, a następnie w cytacyi słów biskupa r. l. przemyskiego Macieja o dziesięcinie snopowej, z powodu tak blizkiego w kontekście zespolenia dziesięcin wytycznych i snopowych, poniewolnie prawie wpadam na myśl, czyli czasem p. F. Z. dziesięcin wytycznych ze snopowemi, za zupełnie jednoznaczne nie uważa. Jesliby tak istotnie było, tedybym zdania p. F. Z. żadną miarą nie podzielał. Przekonany bowiem

jestem, równie z brzmienia nadań, jak i z praktyki dotychczasowej, że dziesięcina wytyczna nie może być inną jak snopową; lecz dziesięcina snopowa po większej części, a u Greko-unitów prawie powszechnie nie jest wytyczną. Samo nazwanie rzecz objaśnia, a praktyka do czasów dozwolanych i polecanych przez rząd kompozyt czyli układów, dowodnie przekonywała, iż dziesięcina wytyczna po zebraniu zbóż w kopy, wymagała wytknienia i oznaczenia ze strony decymatora każdej kopy dziesiątej; gdy w dziesięcinie snopowej niewytycznej, uiszczano z całego pola posiadanego, kopę jedną, pół kopy lub kilkanaście snopów, które się nie wytykały, ale przez właściciela gruntu na polu w odosobnieniu zostawiały, albo przez decymatora brały tam, gdzie właściciel gruntu brać dozwalał.

Jakkolwiek rząd nasz, nie o jednostronne, lecz ogólne dobro troskliwy, uchYLENIEM dziesięcin wytycznych, przez zamianę takowych na ziarno wieczyste, lub na pieniądze na tok czasu 25-letni, dla przemiany wartości onych, stosownie do foraliów cen średnich targowych, nie mógł przez to nie umniejszyć dochodów duchowieństwa; duchowni jednak szlachetnie myślący, jako pasterze prawdziwie gorliwi o dobro i pomyślność owieczek swoich, niewątpliwie uszczerbku takowego nie żalowali i nie żałują. Bo mógłże pobór owęj dziesięciny wytycznej, zwłaszcza od włościan, którzy pracą rąk swoich przysposabiając chleb dla wszystkich, sami częstokroć, osobliwie na przednówku i w chwili zbiorów zboża, takowego najpierwój łakną, mógłże, powiadam, obchodzić się bez narzekań i cierpień, mianowicie z powodu niemożności użycia własnego zboża przed wytknięciem dziesięciny, niemniej, z powodu zwłoki i utrudzeń, jakich nie rzadko, mimo woli i wiedzy kapłanów, dopuszczali się sami wytykacze, na których zwykle nastęrczali się ludzie lekkoduszni i dokuczliwi, istna najęta dragonia, jak ją nazwał g. u. biskup chełmski Susza, mówiąc o gwałtownych w r. 1673 zaborach dziesięcin z Rusi w Hrubieszowie? (O dzies. kośc. na Rusi str. 48).

Ze istotnie takowe wytykanie dziesięcin, nieodłącznym częstokroć bywało od nadużyć, nietylko do dziś żyjący kontrybuenci z bolesnym uczuciem opowiadają, ale też i dla rządu dawniejszego tajnym to nie było, gdy w tej mierze wydawał zaradcze przepisy. Czytam np. w dekreście króla Stanisława Augusta, na sądach zadwornych referendaryi koronnej w d. 9 maja 1787 r. co do dziesięcin ze starostwa Stoleńskiego, na rzecz proboszcza *ritus latini* w Uhrusku wydanym, między innymi i takie zastrzeżenie:

„Aby się zaś przy wytycznej snopowej dziesięcinie krzywda i zatargi tak względem dających jako też odbierających dziesięcinę nie działy, ordynacją względem téjże wytyczy w ogólności ustanowioną i tu przyłączamy: 1^od aby wytykanie dziesięciny przez kogożkolwiek stosowane było do wygody i sposobności każdego gospodarza, to jest: gdy który gospodarz rekwirować będzie wytknięcia w swém zbożu dziesięciny, tedy to natychmiast powinno nastąpić bez zatrzymywania się do wytykania dziesięciny ogólnej całej wsi, bądź jarzynnej bądź oziminnnej krescencyi, jak się często trafiać zwykło; inaczéj, gdyby rekwirujący gospodarz, nie zyskał łatwości wytknięcia sobie dziesięciny, mieć będzie wolność, zostawiwszy na polu, w przytomności bądź wójta, bądź przysiężnego, bądź w niedostatku tych, dwóch sąsiadów, bądź téż za wiadomością zwierzchności dworskiej, należącej się dziesięcinę, resztę zboża swego bezpiecznie zwozić. A wytykanie dziesięciny powinno być bez przerzucania i wybierania snopków zboża i z miejsca każdego, gdzie się jakie zboże urodzi; 2^{re} gdyby wypadła potrzeba przed zaczęciem ogólnego żniwa, dla pożywienia siebie, gospodarzowi któremu użąć co zboża, to mu być powinno wolno, to jednak użęcie i wzięcie z pola snopków, powinno być z wiadomością właściciela dziesięciny, albo jego subalterna, a w czasie niebytności jego lub uporu, przy wójcie gromadzkim; a te snopki wzięte z pola ku potrzebie, przy odbieraniu dziesięciny, wrachowane być powinny w dziesięcinę.”

P. F. Z. (od końca str. 377 do 379) objaśniwszy zasadnie stan rzeczy i stosunki we względzie dziesięcin na Rusi od wieku XIII, głównie wziął na uwagę dekret z r. 1436 przyznający dziesięcinę proboszczowi o. ł. w Chełmie, o którego autentyczności jeszcze w r. 1666 wątpiła rota rzymska, i ja nie mogłem nie wątpić, z powodów na str. 41 dziełka mojego zamieszczonych. Powody te, nie mając zkadina, czerpałem z powierzchniowego obzoru, wewnętrznego układu i stosunków czasowych. Zdanie moje, jako partykularne, może być w tej mierze niedostatecznym, lub nawet mylnym. Jakoż istotnie p. F. Z. przytoczone przezemnie dowody (a raczej powody lub uwagi, gdyż rzeczy wątpliwych, nie zwykłem dowodzić, i właśnie w miejscu powołanym, wyrażenia *dowodu* bynajmniej nie użyłem), znajduje nieprzekonywającami. Nie gniewając się wcale o to, mniemam, iż równie p. F. Z. gniewać się nie będzie, jeśli powiem, że i jego uwagi nie ze wszystkiemi są dla mnie przekonującami. Dlatego, nie celem jęczącej lub daremnie czas zabijającej utarczki polemicznej, lecz celem wyjaśnienia przedmiotu, o ile to tylko stać się może, niech mi będzie wolno objawić co myślę i czuję. Przedewszystkiemi nadmienić mi wypada, iż na jeden przedmiot patrząc, gdyśmy obadwaj z p. F. Z. obrali dwa odmienne stanowiska, nie tak łatwo, bez wyjaśnienia natury tychże stanowisk, moglibyśmy się zbliżyć do porozumienia w opiniach naszych o przedmiocie oglądanym. P. F. Z. stanął na drodze sądowej; ja stanąłem na drodze administracyjnej: nie dziw przeto, iż opinie nasze, acz o przedmiocie jednym, nie są przecież jednakowe. U p. F. Z. dekret, jest to samo, co wyrok, a u mnie dekret, jest to samo, co postanowienie lub królewskie nadanie. I dotąd nie myślę, abym tak sądząc, dużo błądził; gdy i w manipulacjach rządów widzieć się daje, że wola panujących, w rozporządzenia stanowcze zamieniona, różne przybierać zwykła nazwy, jak np. u nas *ukazu*, w Austryi *patentu*, w Prusiech *edyktu*, w Saxonii *dekretu*. Zapatrując się tedy na ów z r. 1436 dekret, ani pomyślałem uważać go za wyrok sądowy; ale brałem po

prostu za nadawcze postanowienie królewskie. Alboż nawet mogłem mieć jaki słuszny powód, do uważania dekretu onego za wyrok sądowy, gdy mi się znikąd zgoła, nie następowały ślady sporów dziesięcinnych w Chełmie przed r. 1436? gdy na Rusi chełmskiej dopiero od czasów Władysława Jagiełły zaczęły się fundować kościoły obrządku łacińskiego, i myślano nie o sporach z powodu nadań, lecz zaledwie o samych pierwiastkowych nadaniach? A jeżeli p. F. Z. do uważania dekretu pomienionego za wyrok sądowy wziął assumpt z oblaty chełmskiej 1633 r. (O dzies. kośc. na Rusi str. 39), gdzie mówi się: „*decretum regium inferius insertum, inter partes infra nominatas,*” nie mogę nie nadmienić, że właśnie w téj oblacie, *in loco loci*, to jest w Chełmie, ile podówczas w samym ognisku zamierzonego wybuchu dziesięcinnego zformowanej, nie pokładam zupełnego zaufania, zwłaszcza w onych bardzo nieszczęśliwych dla Rusi polskiej czasach, za królów Władysława IV i Jana Kazimiérza, kiedyto najwięcej biskupi obrządku łacińskiego na téjże Rusi poczynili nadań dziesięcinnych, i kiedyto pobory dziesięcin z Rusi, jakoby orkanem jakim, w rozmaite miejsca nanoszone i niemiłosiernie wyciskane bywały. Wreszcie, radbym wiedzieć, gdzieżto są w rzeczonym dekrete te *strony poniżej wymienione* (*partes infra nominatae*)? jakie ich imiona, lub oznaczenia? Trudno bowiem domyślać się, a témbardziej uwierzyć, aby cztery one ogólniki „*schismatici, catholici, christiani, Rutheni*”, które się tam w chaotycznym pomieszaniu wzmiankują, miały być właśnie owe *partes infra nominatae*, i aby zarówno katolicy obrz. łac. to jest właściwi parafianie, jako i Rusini mający swoich parochów, kiedyś przed rokiem 1436, tak jednomyślnie zaprzeczyli dziesięcinę w mowie będącą proboszczowi o. ł. w Chełmie, że się aż ta sprawa (której jednak śladów niéma), aż do króla Władysława Warneńczyka wytoczyła i do wydania onego wyroku spowodowała.

P. F. Z. na str. 380 zapytuje: „*Dlaczegoby dekret z roku 1436 miał być podrobiony? Wszakże, gdyby go kto do swoich widoków dowolnie układał, byłby go niezawodnie w inszy*

i dogodniejszy dla siebie sposób ułożył. W odpowiedzi pytam się nawzajem: w jakizby np. sposób inny i dogodniejszy dla widoków swoich można było w XVII wieku dekret ułożyć, jeżeli nie w taki, iż zamiast wyrażenia w nadaniu Zygmunta I z r. 1519 (O dzies. kośc. na Rusi str. 26 n. 40) „aby mieszczanie chełmscy, jakiegokolwiek obrządku i sekty, uprawiający role królewskie i Lechitów, uiszczali dziesięcinę proboszczowi o. ł. w Chełmie, niemniej oddawali kantopory z domów Lechitów”, raczej położoném zostało w mniemanym dekrete z r. 1436 wyrażenie bezwzględne „chrześcian” obejmujące Rusinów w ogóle jako chrześcian. przynajmniej w XVIIIym wieku uważanych? Wprawdzie w obecném rozumieniu naszym, na zasadzie cytowanego przezemnie (O dzies. kośc. na Rusi str. 8) dekretu króla Jana Alberta z r. 1497 opartém, jest zupełnie jedno i toż samo, albo powiedzieć: „z ról i domów chrześcian, albo z ról i domów Lechitów”. I dawniej, w wieku XV, lub początkach XVI, niewątpliwie wiedziano, iż wyrazy: *chrześcianie* i *Lechici*, były w Polsce synonimiczne, i wyłącznie tylko wyznawcom obrz. łac. przyznawane (1). Ale w XVII wieku, gdy z jednej strony, jak sam p. F. Z. (str. 379) przyznaje „*dawnych stosunków ziemi chrześcian lub ziemi lackiej do ziemi ruskiej już nie rozumiano*”, a z drugiej strony, gdy w tymże XVII wieku, i Rusini w Polsce, niewątpliwie doci-

(1) Dla poparcia powyższego wyjaśnienia, iż w XV wieku Rusinów nie nazywano w Polsce chrześcianami, nie będzie od rzeczy przytoczyć jeszcze jeden nowy dowód. Oto: z okoliczności przedstawianych Kom. Rząd. S. W. i D. dokumentów tych kościołów, gdzie kapłani obrządku łacińskiego, pobierają dziesięciny od Greko-unitów, mam obecnie pod ręką oryginał aktu kompromissarskiego z r. 1472 na pergaminie, w którym Jan Kazimirski oficyał lubelski, jako sędzia polubowny, załatwia spór o dziesięciny między ks. Klemensem parochem (o. ł.) Parczowa i Ciołkiem dziedzicem wsi Milków i Glinnystok. W tymto starożytnym autentyku z czasów króla Kazimiérza Jagiellończyka, dwukrotnie powiedziano: „*singuli cmetones tam Rutheni quam Christiani de dictis villis Milkow et Glinnystok*” i wnet poniżej: „*praefati cmetones tam Christiani quam Rutheni.*”

snęli się do tytułu chrześcian: bez ochyby, nierównie korzystniejszém było dla proboszcza o. ł. w Chełmie, wystąpić jakoby z dokumentem z r. 1436, w którym wyrażono było: *z domów chrześcian gdzie Rusini mieszkają*, albo co w rozumieniu XVII wieku na jedno wychodziło, *z domów w ogóle ruskich jako chrześciańskich*; niżeli z dokumentem z 1519 r. gdzie tak jasno i do dziś zrozumiale powiedziano: *z ról Lechitów: z domów Lechitów*, to jest z ról i domów ludzi obrz. łac. przez Rusinów później zajętych. Dogodność tedy w tój mierze, zależała od zręcznego korzystania z wyrazu *chrześcian* już w XVII wieku do dwuznacznych liczyć się mogącego, tak, jak się działo niekiedy i z wyrazem „*omnes, wszyscy*” (O dzies. str. 25); gdy tymczasem wyraz *Lechici*, do podobnej korzyści posługiwać nie mógł.

A kto wie, czyli nadmieniony przywilój Zygmunta I z r. 1519 nie jest samém dopiéro pierwotném nadaniem dziesięcin dla proboszczów o. ł. w Chełmie? I jeżeli czas czego innego nie wykryje, domysł takowy, zdaje się być dosyć pochopnym z tego względu, iż w przywileju onym, tak dobitne są oznaczenia: „*quod omnes et singuli cives, cujuscunque ritus et sectae fuerint, includendo etiam Judaeos*”, a nadto, są zaraz dołączone objaśnienia: „*agros Lechitarum colentes, hoc est, illos agros, quos a primaeva fundatione et locutione oppidi Chelmensis possidebant Lechitae sive homines ritus Romani*”, tudzież „*quatuor tempora ex domibus Lechitarum hoc est, ex illis domibus, quas ab antiquo possidebant Lechitae, seu homines catholici*”. Na cóżby takie ostrożności i szczegółowe wyjaśnienia w rzeczonym przywileju, jeśli już uprzednio w Chełmie proboszczom łacińskim nadane i przez nich pobierane, a tém samém dla wszystkich, z samego zwyczaju i użycia, znane były dziesięciny? p. F. Z. wyłożywszy znaczenie dekretu z r. 1436 (przeciw czemu nic nie mam, bo i ja toż znaczenie w tym samym duchu pojmuję), w konkluzji twierdzi, że *na zasadzie tegoż twierdzenia, upadają wszystkie zarzuty, jakie z treści onego wywiodłem*.

Czyli wszystkie zarzuty moje upadają, o tém sądzić sam nie mogę. To tylko wiem, że nie z samój jedynie treści,

też zarzuty wyczerpywałem, ale bardziej z formy tegoż dekretu, branego przezemnie za dekret nadawczy, nie zaś sądowy, tudzież z okoliczności dość podejrzanych oblaty chełmskiej, przytém z niekompletnego wniesienia w metryki koronne, wreszcie, z niewłaściwej nazwy Krasnegostawu i t. p. Wszakże treść sama jakiego bądź dokumentu, nie może jeszcze z siebie samój dowodzić istotnego pochodzenia od tego, czyje miano tenże dokument nosi, jeśli to (mianowicie dla potomnych), stwierdzone nie zostanie przez dowody inne, jakoto: oryginał, confirmacją, oblatę formalną i sumienną i t. p. świadectwa wiarogodne.

Że zaś p. F. Z. kategorycznie przechodzi przez moje uwagi szczegółowe, celem wykazania ich upadku; niech mi się godzi, również kategorycznie przytoczyć dodatkowe w tej mierze objaśnienia, które może zdołają zapobiedz takowemu, chyba nieco za zbyt na pewno przez p. F. Z. zapowiedzianemu upadkowi. I tak:

a) Dekretu pomienionego z r. 1436, nie nazwałem wyraźnie i imiennie uciążliwym i sprzecznym z ogólnemi przywilejami Władysława Warneńczyka, w duchu rozumienia XV wieku, ale tylko zaliczyłem go do uciążliwych, w duchu rozumienia wieku XVII, w którym właśnie na jego zasadzie, rozwijano skutki dla Rusi uciążliwe, a tém samém sporne z przywilejami dobroczynnemi króla Władysława Warneńczyka, któreto skutki do procesów 40letnich w Rzymie, a sporów dwuwiekowych w kraju powód podały.

b) P. F. Z. powiada: *iz cytacya osób przytomnych na początku, niezwykłą się wydaje. Przyjąwszy jednak, że te osoby należały do wydania wyroku, takie ich umieszczenie nie będzie bez przykładu.* I właśnie dla przykładu, przytacza dosłownie dekret z r. 1399 (str. 381).

Jakkolwiek przytoczony z r. 1399 dekret, jest szacownym pomnikiem odległych czasów, i zatakowe przytoczenie, od miłośników starożytności słusznie należy się wdzięczność dla p. F. Z. jako troskliwego badacza skarbów historycznych, ukrytych w pyłe wieków i dotąd nieoddrukowanych; jednakowoż, ów akt kompromissarski, jak sądzę,

nie jest w naszej sprawie *locus parallelus*. W akcie kompromissarskim, arbitrowie nie są świadkami aktu, lecz osobami głównie działającymi, słusznie tedy są na czele aktu, tak właśnie jak i w dekrete z r. 1436, jest król i jego rada. Ależ, jak tutaj z królem i jego radą świadkowie nie są łącznikiem *et i* spojeni, lecz od nich wyrazem *praesentibus* w *pryztomności*, widocznie oddzieleni; tak témbardziej w akcie kompromissarskim, przez p. F. Z. dla przykładu przywiedzionym, świadkowie nie są wcale z arbitrami nawet wyrazem *praesentibus* bezpośrednio zetknięci, jak w dekrete z r. 1436, lecz na samym końcu przyzwocicie zamieszczeni, co wyraźnie czytać można na str. 381: „*super quo sigilla nostra apposuimus, praesentibus nobili viro Domino Alexio Dapifero Lanciciensi*” &.

Nie chcę ja tu mówić, aby forma dekretu z r. 1436 należeć miała do niepodobnych i wcale istnieć niemogących; tylkoż w kwestyi o autentyczność, gdy przykładów podobnej formy w aktach urzędowych trudno i prawie niepodobna natrafić, a i przytoczony przez p. F. Z. wcale tutaj nie posłużył; okoliczność więc taka należy do bardzo drażliwych i ledwie że nie utwierdza w domyśle, iż autor aktu w tak niezwykłej formie sporządzonego, pomimo innych ostrożności (jakich i sam fałszerz z oka spuszczać nie może), przecież się we wszelkich formalnościach dopilnować nie zdołał.

P. F. Z. na str. 382 mówi: „*imiona osób jako przytomne wymienionych, najmocniej mię skłaniają do oświadczenia się za autentycznością wyroku.*” I z trudnością przychodziło p. F. Z. wynaleźć Jana inaczéj Taszkę, jako kanclerza Jana z Koniecpola.... „*a znajdowanie się przydomku Taszka w dekrete z r. 1436, silnie (jak p. F. Z. uważa), za jego autentycznością przemawia, bo trudno przypuścić, aby fałszerz XVII wieku, posiadał wiadomość tajną wszystkim społecznym.*” (Str. 383.)

Dopiero wspomniane zdanie p. F. Z. nie trafia do przekonania mojego. Mnieman bowiem, że niezręczny nawet fałszerz, udając coniebaź na karb dawnych dziejów, nie

mógłby zapomnieć się aż do tyła, iżby z epoki na celu mia-
 néj, nie wyszukał osób istotnie podówczas żyjących, lecz
 stworzył je, niby na polu romantyczném, w wyobraźni swo-
 jój. Osoby wymienione w owym dekrete, mogły istnieć
 ówczas i rzeczywiście istniały, lecz, czyli je do aktu
 owego wprowadziła prawa i ówczesna ręka, czyli téż nie-
 prawa i późniejsza, właśnie pozostaje do zasadnego roz-
 strzygnięcia. Sama więc tożsamość osób w akcie zamie-
 szczonych, bez innych poważnych świadectw o wiarogodno-
 ści aktu, nie może jeszcze stanowić przekonania, iżby akt
 od tego pochodził, komu się przyznaje.

Ze Taszka, jest to samo, co Jan z Konięcpola kanclerz
 państwa, nawet bez wielkich trudności i dalekich poszuki-
 wań można się było o tém przeświadczyć. Sam bowiem
 Niesiecki (Korona Polska przy złot. woln. t. II, str. 580) tę
 trudność rozwiązuje, mówiąc: „*Jan Taszka z Konięcpola
 podpisał 1430 r. list Władysława króla kościółowi Wileń-
 skiemu dany*”, a nieco poniżej: „*za trzech królów Włady-
 sława Jagielly, Władysława Warneńskiego i Kazimiérza,
 przy pieczęci koronnej, mądrze i wiernie ojczyźnie służąc*”
 i t. d. Zacytowany tedy rok 1430 z Niesieckiego, na raz
 uchyla wszelkie kombinacye chronologiczne mniej pewne
 p. F. Z. w pogodzeniu pp. Bandtkiego i Zubrzyckiego, co
 do Jana Tazki z Konięcpola, który już w r. 1430 był kan-
 clerzem i umarł jako kanclerz za króla Kazimiérza r. 1455
 (Niesiecki str. 256). A kiedy dziś, we dwieście lat z górą,
 po chwili domniemywanój przezemnie suppozycyi dekretu
 z r. 1436, możemy posiadać wiadomość, iż Taszka jest to
 samo co Jan z Konięcpola; dlaczegożby to tajném być mia-
 ło dla wszystkich w wieku XVII żyjących? Lub mogłoby
 zadziwiać, że osoba interesowana, szukając w XVII wieku
 imion ludzi znakomitych przy r. 1436, rzeczywiście takowe
 znalazła i na scenę wprowadziła, gdy kto inny, nie miał
 potrzeby tego wyszukiwać, lub téż wyszukawszy, z tém się
 popisywać? Tak więc Jan z Konięcpola jest razem i Ta-
 szką, ale mimo tego, azali dekret z r. 1436 jest autenty-
 cznym, *lis sub iudice manet*.

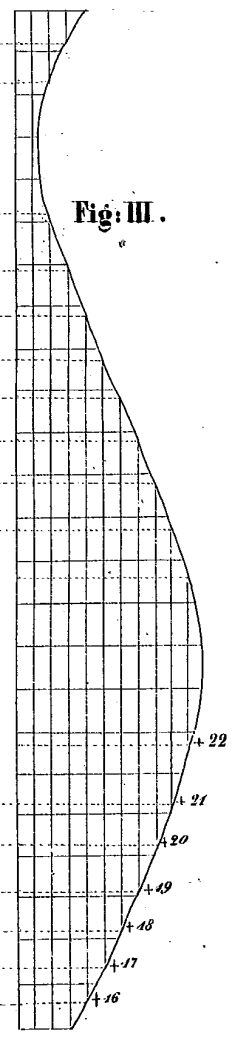
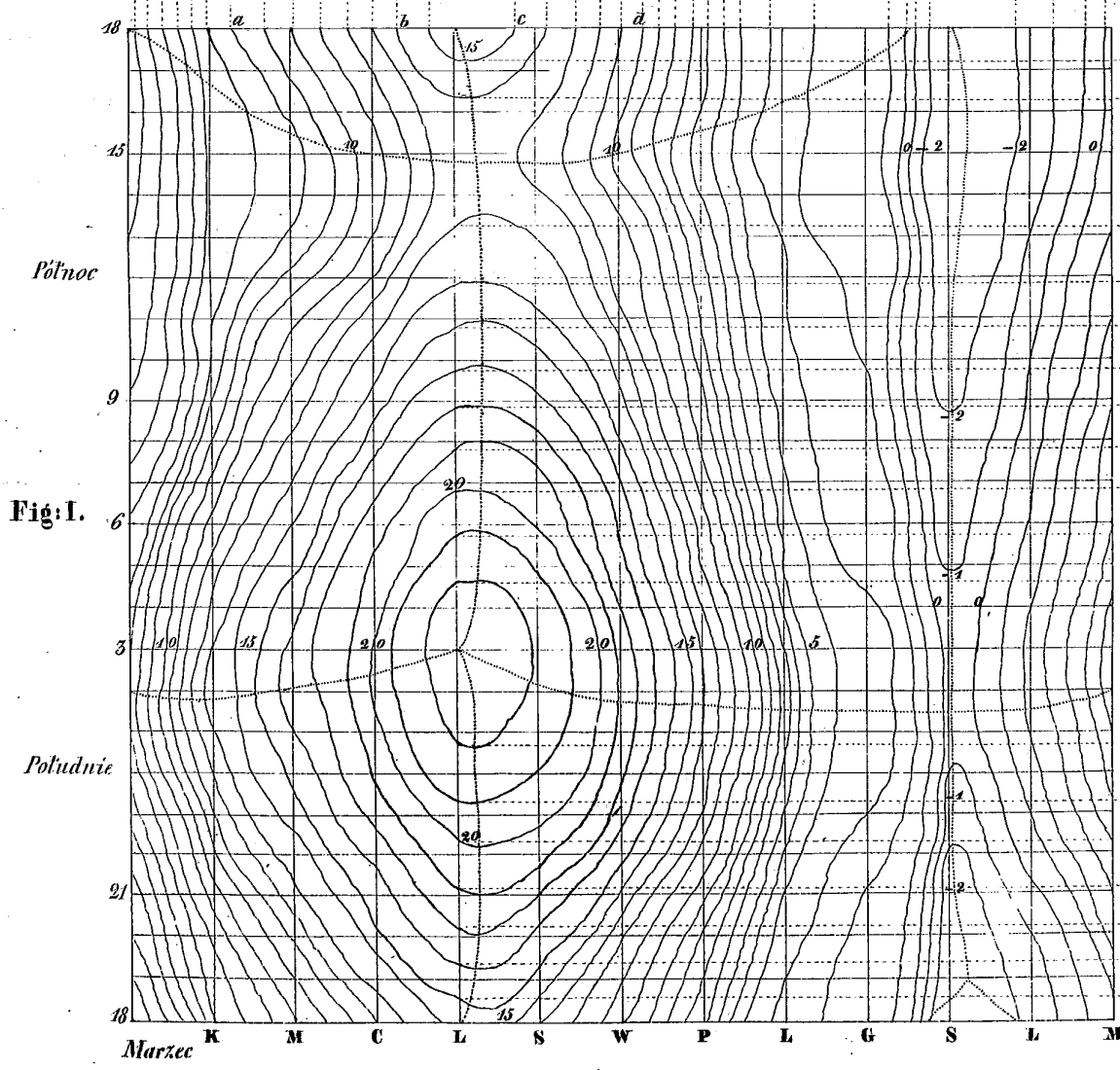
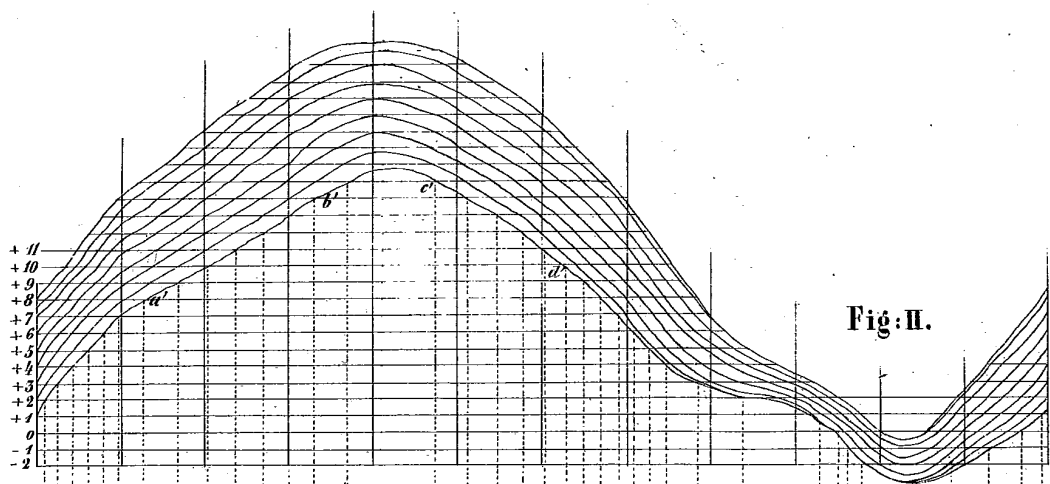
c) P. F. Z. mówi: iż *dekret nie jest nadaniem: motywów zaś czyli zasad* (których ja żądam), *nie pisano wówczas w wyrokach.*

Nadmieniłem i jak zdołałem, usprawiedliwiłem powyżej, iż dekret pomieniony, z mojego stanowiska, w drodze administracyjnej, właśnie uważałem za nadanie, nie za wyrok sądowy do wywołania którego, trzebaby było poprzedniczych przed r. 1436 sporów między stronami, których jednak najmniejszego nie ma śladu, ani prawdopodobieństwa. Motywów téż dekretu wcale nie żądałem; lecz odnośnie tylko do uderzającego i niezwykłego w nadaniach wyrażenia „*lucratus est, zyskał*” niby w jakiejś spekulacji, handlu, loteryi, i t. p. nie mogłem prawie nie sformować zapytania, z kądby takowy zysk wyniknął?

d) Przyznana mi przez p. F. Z. trafność w naznaczeniu przyczyny, dla której w XVII wieku, podano do confirmacji królewskiej, raczej dekret z r. 1436 w wyrażeniach swoich wówczas niezrozumiały, niż przywilój z r. 1519; może téż posłużyć do usprawiedliwienia opinii mojej, względem nazwania dekretu onego uciążliwym, jak i powyżej (pod a), myśl moję objaśniłem.

e) Co do Krasnegostawu, że pod r. 1436 nie Szczekocinem lub Szczekaczowem nazywał się, lecz już znany był pod nazwiskiem Krasnegostawu, p. F. Z. przytacza na dowód dzieło świeżo w r. 1844 wyszłe p. t. „*Starożytna Polska*” t. II, str. 783.

Mnie się zaś zdaje, iż kiedy przytoczyłem dowód z *Metryki koronnej* 36tój str. 677, jako późniejszy Krasnystaw, nietylko za Władysława Warneńskiego, ale nawet za Kazimierza w r. 1445 zwał się Szczekocinem, powinno by to być dostateczniejszém. Wszakże i w powołaném dziele „*Starożytna Polska*” t. II, str. 784 czytamy: „*Kazimierz Jagiellończyk potwierdzając i odnawiając piérwszy przywilój lokacyjny ojcowski r. 1462 w Krakowie, na prośbę szlacheznego Stanisława z Przybysławic wójta Szczekarzowskiego (raczej i niewątpliwie Szczekaczowskiego) i pisarza ziemskiego Lubelskiego, postanowił, że toż miasto inaczej zwane*



Średnie temperatury w rozmaitych godzinach dnia w Halli.

Godziny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Pazdziernik	Listopad	Grudzień	Godziny
Południe	1 ^o ,02	1 ^o ,91	6 ^o ,04	13 ^o ,25	16 ^o ,26	19 ^o ,01	21 ^o ,51	21 ^o ,11	17 ^o ,86	12 ^o ,45	5 ^o ,69	3 ^o ,46	południe
1	0,69	2,51	6,45	13,88	16,85	19,55	22,15	21,68	18,35	12,98	6,08	3,69	1
2	0,59	2,82	6,66	14,18	17,09	19,91	22,53	21,90	18,58	13,16	6,16	3,70	2
3	0,72	2,63	6,51	14,10	17,14	20,05	22,63	21,95	18,55	12,85	5,90	3,51	3
4	0,98	2,16	6,21	13,66	16,84	19,76	22,31	21,61	18,19	12,30	5,43	3,26	4
5	1,39	1,56	5,65	13,02	16,35	19,15	21,65	21,04	17,58	11,66	4,94	2,86	5
6	1,67	1,04	5,02	12,26	15,73	18,50	20,90	19,95	16,75	10,90	4,50	2,59	6
7	1,89	0,66	4,53	11,23	14,90	17,59	19,94	19,22	15,86	10,26	4,17	2,38	7
8	2,05	0,41	3,95	10,46	14,00	16,63	18,89	18,23	14,94	9,66	3,95	2,23	8
9	2,19	0,14	3,55	9,63	13,05	15,63	17,78	17,30	14,10	9,09	3,74	2,07	9
10	2,31	0,08	3,14	8,93	12,08	14,59	16,84	16,37	13,37	8,55	3,51	1,91	10
11	2,44	0,28	2,89	8,37	10,88	13,46	15,86	15,48	12,68	8,00	3,26	1,88	11
Północ	2,56	0,51	2,65	7,81	9,67	12,36	14,90	14,61	12,09	7,56	3,05	1,84	12
13	2,65	0,74	2,43	7,32	8,64	11,44	14,09	13,92	11,55	7,19	2,89	1,80	13
14	2,71	0,95	2,18	6,88	7,96	10,83	13,55	13,34	11,09	6,89	2,81	1,76	14
15	2,75	1,12	1,91	6,42	7,81	10,79	13,42	13,03	10,72	6,62	2,79	1,74	15
16	2,80	1,27	1,70	6,28	8,21	11,20	13,75	13,04	10,56	6,44	2,74	1,71	16
17	2,87	1,37	1,60	6,35	9,05	12,03	14,49	13,40	10,69	6,39	2,71	1,67	17
18	2,95	1,40	1,73	6,76	10,20	13,11	15,52	14,19	11,19	6,59	2,75	1,65	18
19	2,95	1,33	2,10	7,56	11,31	14,24	16,65	15,11	12,00	7,02	2,85	1,61	19
20	2,86	1,07	2,70	8,69	12,53	15,41	17,91	16,44	13,23	7,75	3,07	1,65	20
21	2,50	0,36	3,63	9,99	13,63	16,44	18,91	17,74	14,31	8,99	3,62	1,99	21
22	2,11	0,40	4,70	11,25	14,61	17,39	19,82	18,99	15,88	10,29	4,39	2,45	22
23	1,49	1,25	5,36	12,35	15,54	18,23	20,69	20,92	17,00	11,48	5,09	3,01	23
Średnie	2,05	0,30	3,88	10,03	12,93	15,72	18,20	17,49	14,46	9,40	4,00	2,34	Średnie

Crasnystaw, placilo rocznie z każdego lanu" i t. d. Z tych wyrazów wnoszę, iż „*Starożytna Polska*”, bardziej mojemu, niż p. F. Z. zdaniu usłużyła; kiedy nietylko w r. 1445 przemnie ku przykładowi przytoczonym, ale nawet w r. 1462, a więc w lat 17 później, jeszcze był wójt nie Krasnostawski, lecz Szczekaczowski, czy Szczekarzowski, i kiedy toż miasto, nawet pod r. 1462 bardziej po staremu Szczekaczowem, niż po nowotnemu Krasnymstawem nazywane bywało.

f i g) P. F. Z. powiada: „*że confirmacya nie ma nic wspólnego z dekretem.*”

Na drodze administracyjnej, którą (według powyższych objaśnień moich) wyłącznie miałem na względzie, confirmacya nietylko ma wspólność, ale nadto rzeczywistą tożsamość z dekretem, gdy zwykle dosłowne onego powtórzenie zawiera.

Kończę zapewnieniem, iż prosty upór dalekim jest odemnie. A dlatego, jeśliby czas wykrył dowody gruntownie przekonujące o autentyczności dekretu w mowie będącego, a osobliwie, jeśliby się pojawił oryginał (co przecież nie jest niepodobnym), lub wynalazła się confirmacya następnych po Władysławie Warneńczyku, królów, Kazimierza, Jana Alberta, Alexandra, lub Zygmuntoń Jagiellońskich i t. d. szacowny antyk takowy, niewzbudzający żadnego podejrzenia co do autentyczności, z należąną czcią odczytawszy, nie wahałbym się ani na chwilę, co do mniemania mojego dotychczasowego o jego autentyczności, *pali-nodiam canere.*

W Warszawie d. 10 sierpnia 1846 roku.

Ks. Jan Pocięy.

O karcie klimatologicznej miasta Warszawy, ułożonej przez pana Jastrzębowskię w roku 1846, i o mało znanym sposobie kręślenia kart meteorologicznych.

(Z ryciną i tablicą).

P. Jastrzębowski znany zaszczytnie w naszej literaturze, w tym roku przysłużył się publicznemu dobru wydaniem

pracy, dotyczącej miasta Warszawy pod wszelkimi względami klimatologii i niektórymi względami meteorologii.

Rozprawa autora o tym przedmiocie, miała być ogłoszoną pierwotnie w Pamiętniku Warszawskim umiejętności czystych i stosowanych z roku 1829, a znajdujemy ją jednak w całości dopiero w zeszycie czerwcowym Biblioteki Warszawskiej z roku 1841 pod tytułem: „Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych czynionych w Warszawie blisko przez pół wieku, tojest od roku 1779 do 1828.” W niniejszém graficzném wydaniu wypadków licznych obserwacyi, trzeciém już, lecz odmienném co do układu, za środek do przedstawienia średnich rezultatów użył p. Jastrzębowski sposobu kręślenia krzywych za pomocą współrzędnych prostopadłych, sposobu bardzo dogodnego, jako dającego bezpośrednio wyobrażenie o regularności oscyllacyi niektórych fenomenów, a co ważniejsza, pozwalającego powziąć pojęcie o peryodyczności fenomenów, których bieg z tablic, dopiero po długim śledzeniu dokładnie rozpoznany być może. Zresztą i to dodać należy na pochwałę użytej metody, iż za pomocą rysunku przemawiając do pojęcia, trwalsze pozostawia wrażenia w umyśle czytającego.

Ilości dane do swój karty, szanowny autor wyciągnął z obserwacyj przeszło półwiecznych, czynionych przez pana Karola Bystrzyckiego astronoma królewskiego, a następnie przez p. Antoniego Magiera, członka Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk; pierwszego, obserwatorium znajdowało się w zamku królewskim, drugiego, na Piwnój ulicy w własném pomieszkaniu. Nauka i tyloletnia wprawa wspomnionych uczonych, dostateczną jest rękojmią dokładności obliczanych przez p. Jastrzębowskiego wypadków.

Chcąc dać wyobrażenie o licznych wnioskach jakie z karty meteorologicznój każdy zastanawiający się czytelnik wyciągnąć jest w stanie, wypada nam tylko wyliczyć względy, pod jakimi karta traktuje miejscowość naszą, dodając przytém, iż wszystkie linie krzywe bieg rocznych fenomenów przedstawiające, pomieszczone są na jednych osiach współrzędnych według jednakowej skali. I tak na karcie widzi-

my linie wyobrażające: 1) długość dnia, 2) ciepłota średni, najwyższy i najniższy, 3) ilość wody parującej, 4) średnią ilość wody zawieszonyj w powietrzu, 5) średnią wilgotność, 6) słotę, 7) średnią ilość spadłej wody, 8) największe wezbranie Wisły, 9) panujący wiatr, 10) średnie ciśnienie powietrza.

Obok krzywych, wyobrażających bieg tych 10 zjawisk, z prawej strony umieścił autor potrzebne skale do zamiany ogólnej 100° podziałki na szczegółowe miary instrumentów, służących do obserwacyi każdego z powyższych fenomenów.

Pod kartą, znajdujemy objaśnienia i niektóre uwagi dozwalające każdemu obznajomić się, tak z metodą, małą dotąd u nas upowszechnioną przedstawiania graficznie praw wiążących dwie zmienne wielkości, jako też i ze sposobem wyciągania z niej wniosków.

Tyle dogodności i zalet, czyniących kartę klimatologiczną p. Jastrzębowskiiego wielce pomocną do poznania klimatu Warszawy i swym układem przystępną niemal dla każdego, przemawiają za jej wielką użytecznością.

Pozwoli szanowny autor uczynić parę uwag, jakie nam się nastreczyły przy czytaniu wspomnionego wyżej objaśnienia, zapewniając naprzód, iż nie piszemy je w zamiarze ubliżenia, ocenionój już oddawna zasłudze autora, ale podajemy je jedynie jako wątpliwości, wynikłe z niektórych zapewne pośpiesznie rzuconych myśli.

Autor mówi: „Dziewiąty fenomen, będący według naszego pojmowania rzeczy, bezpośrednim skutkiem przemagającego u nas, a zapewne i na całym lądzie fenomenu 7^{go} nad 3^{im}, albo właściwiej mówiąc, skutkiem ciągłego powstawania pary wodnej nad morzem i skraplania się jej w stosunku przemagającym nad lądem, jest ruch atmosfery czyli wiatr; który właśnie dla tej przyczyny wieje u nas najczęściej ze strony SW. czyli południowo-zachodniej, ku stronie przeciwniej, to jest północno-wschodniej; że w pierwszej znajdują się najobszerniejsze, najcieplejsze i najbliższe względem nas morza (Atlantyckie, Śródziemne), a przeto

najwięcej mogące wydawać pary i najpotężniej przeto ku nam popychać atmosferę, a w drugiej stronie, najobszerniejszy, najzimniejszy i najbliższy jest ląd (Azya środkowa, Syberya), a przeto najwięcej mogący skraplać téjże pary i wzmacniać tym sposobem działanie pierwsze." Powyższe tłumaczenie wiatru SW. (południowo-zachodniego) u nas szczególnie w lecie panującego, poczytujemy za niedostateczne, a samą przyczynę za zbyt ograniczoną. Przyjmując, że morze Śródziemne i Atlantyckie w połączeniu z środkową Azyą mogą być przyczyną tak ciągłego prawie wiatru szczególnie latem, należałoby przypuścić, iż deszcze lub śniegi, bardzo często na ogromnych jednocześnie panują tam przestrzeniach; inaczej bowiem trudno wytłumaczyć, dlaczego znacznie cieplejsze i wilgotniejsze powietrze, przeciwnie prawom kierującém układaniem się do równowagi ciał lotnych, zdąża po powierzchni ziemi w strefy zimniejsze. W takich tylko okolicznościach wymagających zapełnienia znacznej jakby próżni, sprawionej przez skroplenie pary, można by wnosić o gwałtowném zerwaniu równowagi w atmosferze z bardzo odległych stron. Przytém dodamy, iż przyczyna przez autora podana, nie może być tak wszechwładną, bo po skropleniu pewnej części pary, pozostaje zawsze w powietrzu jeszcze znaczna jej ilość, nadto i temperatura miejsc w które ma zdążyć wilgotne powietrze z tak dalekich stron, jest niezbyt wysoka. Tłumaczenie autora prędzej znalazłoby zastosowanie w strefach gorących po ulewnych deszczach jakie tam natrafiamy. Nakoniec i to za zarzut przeciw sposobowi zapatrywania autora poczytałoby można, że oparta na miejscowości hipoteza, nie jest w stanie wyjaśnić bytności tego fenomenu powszechnie spotykanego na ziemi w większych szerokościach północnych. Zdaje się, że z ogólnego skutku wolno wnioskować o bytności ogólnej przyczyny.

Oziębienie jak utrzymują, jest przyczyną częstego pojawiania się w Europie wiatru SW. w większych szerokościach, lecz powietrze ten wiatr stanowiące, pierwotnie nie z morza Śródziemnego i części oceanu Atlantyckiego przy-

ległego lądom Europy pochodzi. Zdaniem meteorologów, wiatr SW. panujący u nas, jest częścią ogólnego prądu powietrza ciepłego ku biegunom płynącego, wzamian za prąd zimnego powietrza zpod biegunów ku równikowi napływającego.

Prąd pierwszy jako cieplejszy od drugiego, blisko równika zajmuje górne warstwy atmosfery, a przeto w mniejszych szerokościach czuć się nie daje; posunawszy się zaś dalej ku północy i straciwszy przez to w znacznej części swą prędkość i temperaturę, zniżać się musi i wtedy dopiero objawiać na powierzchni ziemi. Bytność tego wiatru SW., szczególniej natrafiamy na otwartém morzu (oceanie Atlantyckim), gdzie nie istnieją przeszkody, podobne do tych, jakie natrafiamy na ziemi.

Poniżej autor mówi: „Dziesiąty i ostatni fenomen, który mamy uważać na karcie i którego zmiany są skutkiem zmieniającej się rozprężliwości i gęstości pary wodnej, a następnie prędkości i rzadkości powietrza, jest stan barometryczny powietrza. Ciśnienie to jak wskazuje kręsa 10ta i wypadki zawarte w kolumnie 10tej, jest najmniejsze w kwietniu z rana, największe we wrześniu i wieczorem; a zatem zmiany tego fenomenu, przynajmniej roczne, podobnie jak zmiany wiatru, nie przedstawiają żadnej widocznej wspólności z takimi zmianami wszystkich wskazanych dotąd 9 pojawów klimatologicznych i są wyraźnie najzawikłańszym ich skutkiem. Ztąd się okazuje, że fenomen ten, to jest ciśnienie powietrza uważane co do swoich odmian, winno zajmować nie pierwsze jak dotąd, lecz ostatnie miejsce w rzędzie fenomenów będących przedmiotem klimatologii praktycznej.” Wprzód nim uczynimy uwagi nad myślami w tym ustępie zawartemi, przypomnieć wypada, że p. Magier zapisywał swe obserwacje nad barometrem zawieszonym w pomieszkaniu posiadającym średnią w ciągu całego roku temperaturę + 14° R. i wzniesioném na 103 stóp p. nad poziom Wisły (*).

(*) Nie wiadomo z pewnością, czyli i obserwacje p. Bystrzyckiego weszły w skład średnich wypadków barometrycznych, oblicza-

Podobne obserwacje w tym stanie w jakim autor podaje, to jest niepoprawne ani co do temperatury, ani co do kapilarności, nie są właściwe do wyciągnięcia z nich tak pewnych wniosków o prawach, którym podlega to zjawisko, a ztąd do ocenienia ważności samego fenomenu w nauce. Wprawdzie w czasach czynionych przez pp. Bystrzyckiego i Magiera obserwacji, zaniechano powszechnie poprawek obserwowanej kolumny merkuryusza w barometrze; dziś jednak konieczność podobnych redukcji jest dowiedziona, skoro cel naszych obserwacji nie ma się ograniczać na zaspokojeniu ciekawości pod względem wznoszenia i opadania merkuryusza w barometrze, lecz jeżeli zamierzamy użyć barometru do porównywania parcia powietrza w różnych porach roku, różnych godzinach dnia i różnych miejscach kuli ziemskiej. Wpływ kapilarności jako bardzo mały, często bywa pomijany, lecz o redukcji wysokości barometru do 0° temperatury, zapominać nie wolno.

Naszém zdaniem, chcąc uczynić więcej pożytecznemi obserwacje barometryczne p. Magiera, jeżeli już nie poprawiać szczegółowo (co zresztą dziś zbyteczną byłoby pracą), to przynajmniej co do średnich wypadków miesięcznych. Linia krzywą nakreślona z tak przybliżenie poprawionych średnich wypadków, zapewne wyraźniejsze, może regularniejsze a niezaprzeczenie pożyteczniejsze wskazałaby wypadki dla ciśnienia powietrza u nas. Możeby wówczas nie wolno było wyrzec tego, co autor powiedział opierając się na obserwacjach p. Magiera brutto uważanych. Podobny wniosek o braku wspólności między zmianami ciśnienia powietrza i innemi fenomenami, nie ma odpowiedniej podstawy. W każdym nawet przypadku, jedna miejscowość rzadko kiedy upoważnia do wyrokowania, a co większa, wprost

nych przez p. Jastrzębowskię. Jeśliby to rzeczywiście miało miejsce, wtedy pomnąc, iż barometr p. Bystrzyckiego bez poprawek zapisywanym był w temperaturze zmieniających się co do pór roku i dni w miejscu wyniesioném na 131 stóp, zwiększałaby się nieufność średnich wypadków. Dlatego nie śmiemy na tém opierać naszej wątpliwości.

przeciwnie inném na dokładnych obserwacjach opartych mniemaniom, o niezależności i względnej ważności zjawiska w nauce.

Trudno się także zgodzić na zdanie w przytoczonym ustępie zawarte: „że zmiany ciśnienia powietrza, są skutkiem zmieniającej się rozprężliwości i gęstości pary wodnej, a następnie prędkości i rzadkości powietrza.” Jako przeciwny dowód, przypomniemy znane wypadki obserwacji barometrycznych czynionych nad suchém powietrzem w Kalkucie, Halli, Appenrade i t. d., z których jawnie się okazuje, że ciśnienie powietrza uwolnionego od pary ma swe maximum w zimie, a minimum w lecie i że przejście z jednego do drugiego stanu, odbywa się regularnie, a ztąd, że temperatura jest główną przyczyną zmian ciśnienia powietrza, sprawiając większą lub mniejszą jego rzadkość. Drugą więc już pośrednią, chociaż także znaczne działanie wywierającą szczególnie w większych szerokościach, jest rozprężliwość pary wodnej. Dlatego zdaje się, iż powyższa myśl przypisując naprzód parze, a następnie dopiero rzadkości powietrza wpływ na oscyllacye oceanu atmosferycznego, jest błędną.

Nakoniec zrobimy tę uwagę, iż dodatkowa myśl (poniżej powyższego ustępu znajdująca się), jakoby dotąd nikt ani w meteorologii praktycznej, ani teoretycznej nie uważał łańcucha przyczyn i skutków zachodzących między fenomenami meteorologii i klimatologii, nie jest w swoim miejscu, jeżeli tylko ma na celu upomnienie się o pierwszeństwo uwag przez autora przywiedzionych. I te bowiem i wiele jeszcze innych o łączności głównych zjawisk meteorologicznych i klimatologicznych, teoretycznie i praktycznie dowiedzione już zostały. Z życzliwością wolelibyśmy widzieć wspomniony nawias odnoszącym się do pierwszeństwa przedstawienia graficznie zmian niektórych pojavów meteorologicznych i klimatologicznych dotąd (o ile nam wiadomo) tym sposobem niewyrażanych, jak również do pierwszeństwa pomysłu kręślenia wypadków z obserwacji elementów meteorologii jednej miejscowości dotyczących, na jednej karcie i na jedną skalę. Te dwa pomysły ze wzglę-

dów powyżej już przywiedzionych, chlubę naszemu autorowi przynoszą.



Sposób kręślenia praw łączących między sobą wielkości zmienne, użyty przez p. Jastrzębowskiego, oddawna z wielkiem powodzeniem praktykowanym jest w matematyce (szczególniej w rachunku prawdopodobieństwa) i w meteorologii. Zamierzaliśmy w dalszym ciągu opisu karty klimatologicznej nadmienić o zasadzie, na której opiera się ta metoda, o zadaniach jakie przy jój pomocy graficznie rozwiązywać można; w końcu dać krótką wiadomość o sposobie przedstawiania na jednej płaszczyźnie praw wiążących trzy zmienne wielkości, zastosowanym do meteorologii.

Zacznijmy od dwóch zmiennych.

W tym celu na linii głównej stałego położenia (osi odciętych), od pewnego punktu (początku współrzędnych), odcinają się części proporcjonalne do wartości, jakie zamierzamy nadawać jednej a dwóch zmiennych wielkości np. części równe dla równych przerw czasu; następnie w punktach podziału wyprowadzają się linie prostopadłe lub pochylone pod pewnym kątem (rzędne, przystawy), do głównej linii i na nich odmierzają się długości ze skali, odpowiednie drugiej zmiennej wielkości np. stopniom termometru.

Punkta zakończające linie rzędne, łączą się ciągłą linią krzywą, i ta wyobraża prawo istniejące między uważanemi wielkościami np. prawo zwiększania się temperatury w ciągu roku. Odjemne wielkości którejkolwiek ze zmiennych, odcinają się w kierunkach przeciwnych powyższym przyjętym dla dodatnich wielkości. Dla przykładu opiszemy konstrukcyą krzywej, dla ciepłostanu średniego, zamieszczonej na karcie p. Jastrzębowskiego. Na téj karcie współrzędne są proste, czyli kąt pochylenia rzędnych do osi odciętych jest prosty. Oś odciętych podzieloną jest na 12 równych części przedstawiających miesiące, z tych każda część zawiera jeszcze trzy podziały, stanowiąc terminy dziesięciodniowe każdego miesiąca. Rzędne, brane są z podziałki 100stopniowej będącej ogólną skalą dla wszystkich podziałów. Zero

termometru Reaumura odpowiada $47\frac{1}{2}$ podziałowi. Na 1wszej rzędnej, to jest odnoszącej się do 1 stycznia, od podziału $47\frac{1}{2}$ w dół (gdyż temperatura w tym czasie jest odjemną), odcięta jest odległość wyobrażająca na skali 3° R., na drugiej rzędnej należącej do 10 stycznia, odcięta jest odległość przedstawiająca $3,^{\circ} 1$ R., na trzeciej rzędnej 20 stycznia, odległość równa $3,^{\circ} 2$, na czwartej odległość równa 3° R. i t. d., na dwunastej rzędnej odpowiadającej 10 kwietnia, od podziału $47\frac{1}{2}$ skali 100stopniowej w górę (gdyż temperatura jest dodatnia), widzimy odległość wyobrażającą 4, 5 R., na trzynastej rzędnej, czyli należącej do 20 kwietnia, odległość równą $6,^{\circ} 1$ i t. d. Wierzchołki rzędnych połączone, wydały krzywą linią dla ciepłostanu średniego w ciągu roku w Warszawie.

Mając nakręsloną za pomocą znacznej liczby punktów linią wyobrażającą zmianę jakiego fenomenu uważanego względnie do innej wielkości, można użyć jej do rozwiązania niektórych zadań. I tak, trzymając się przyjętego raz przykładu t. j. linii ciepłostanu średniego, jeżeli chcemy oznaczyć średnią temperaturę jakiegokolwiek dnia roku, wyprowadzić należy z punktu (na osi odciętych) odpowiadającego żadanemu dniowi rzędne, i przedłużyć aż do przecięcia z linią krzywą; długość jej wzięta na skali, oznaczy szukaną średnią temperaturę w téj epoce.

Za pomocą takiej krzywej, można wynaleźć graficznie średnią roczną temperaturę, czyli średnią ze wszystkich miesięcy. Dlatego przypomnieć potrzeba, iż długość rzędnej wyobrażającej średnią temperaturę roczną, jest to samo, co w geometrii średnia odległość od osi, wszystkich punktów składających linią krzywą, ta zaś średnia odległość punktów krzywej, zlewa się z odległością środka ciężkości obwodu téjże krzywej. Jeżeli więc mechanicznie oznaczymy środek ciężkości obwodu linii krzywej ciepłostanu w Warszawie, przez ten punkt poprowadzimy prostą równoległą od osi odciętych aż do przecięcia z krzywą, a z punktów przecięcia spuścimy prostopadłe do osi, to długość tych rzędnych wskaże średnią roczną temperaturę, odcięte

zaś im odpowiadające, dni w ciągu roku, w których ta średnia temperatura ma miejsce.

Pierwszy pomysł przedstawienia graficznie wypukłości znajdujących się na kuli, za pomocą przecięć płaszczyznami równoległymi w równych odstępach poprowadzonymi, winniśmy p. Du Carla (z Genewy); w 1771 r. proponował on akademii nauk w Paryżu użycie tego sposobu do kręślenia kart geograficznych.

A. Humboldt, którego imię przywiązane jest do wszystkich wielkich prac i ulepszeń w fizyce kuli ziemskiej, pierwszy podał myśl łączenia za pomocą ciągłych linii punktów na kuli przedstawiających, pewne zjawisko w jednym stopniu. Jego linie jednakowej temperatury (isotherme), tyle dogodnie przy badaniu rozkładu temperatury na kuli ziemskiej i na tak wiele wniosków naprowadzające, są dowodem użyteczności tego sposobu.

Upowszechnienie metody którą w krótkości opisać mamy, a którą nazwaćby można uogólnieniem sposobu Humboldta, gdyż służy do przedstawienia graficznie wszystkich praw łączących trzy zmienne wielkości, obowiązani jesteśmy p. Lalanne inżynierowi dróg i mostów w Paryżu. Podobną jest ona do używanego sposobu rysowania w kartach typograficznych pochyłości gruntu.

Wiemy, że dwie współrzędne, oznaczają położenie punktu na płaszczyźnie, odwrotnie, każdy punkt na płaszczyźnie odpowiada wartościom dwóch zmiennych. Jeżeli w znanym punkcie wyprowadzimy prostopadłą do płaszczyzny współrzędnych np. poziomej, i nadamy jej długość wyobrażającą wartość trzeciej zmiennej wielkości, wówczas wierzchołek tej prostopadłej oznaczy punkt w przestrzeni. Przypuszczając iż takich punktów znaleźliśmy bardzo wiele, to powierzenia z nich złożona, wyobrażać będzie prawo wiążące uważane trzy zmienne wielkości. Wykonywanie tym sposobem konstrukcyi, niedogodnym byłoby w praktyce; idzie więc o to, aby na jednej płaszczyźnie przedstawić kształt i zagięcia tej płaszczyzny. Dlatego poprowadźmy szereg płaszczyzn równoległych od płaszczyzny głównej współrzędnych w ró-

wnych od siebie odstępach, płaszczyzny te przetną powierzchnią z punktów ułożoną według linii krzywych. Chcąc zachować o ile można względne położenia i dokładnie wystawić kształt tych przecięć, zrobmy ich rzut poziomy na płaszczyznę główną. Tym sposobem z przecięć poznamy nieforemną powierzchnię.

Dla przykładu założmy sobie przedstawić powierzchnię krzywą, którejby pionowe rzędne (prostopadłe do płaszczyzny poziomej), oznaczały średnią temperaturę o pewnej godzinie dnia w pewnym miesiącu w Halli. Tabelę wypadków w podobny sposób czynionych i obliczanych, obserwacji przez p. Kaemtza, zamieszczamy poniżej; potrzeba więc przerysować tę tablicę.

Na osi odciętych (fig. I), oznaczmy 12 równych podziałów wyobrażających 12 miesięcy; na osi rzędnych (poziomych) prostopadłej do pierwszej, odetnijmy 24 długości przedstawiających tyleż godzin dnia. Przez punkta podziałów poprowadzone linie równoległe od osi, utworzą na płaszczyźnie szachownicę o 288 prostokątach.

Z wierzchołków tych prostokątów, wyprowadzone linie prostopadłe do płaszczyzny poziomej i posiadające długości (według pewnej skali) wzięte z tablicy, utworzą szukaną powierzchnię. Do otrzymania przecięć użyjemy płaszczyzn równoległych od płaszczyzny poziomej poprowadzonych w równych między sobą odstępach i wyobrażających temperatury $+ 1^{\circ}$, $+ 2^{\circ}$, $+ 3^{\circ}$ — 0° — 1° — 2° — 3° R. Przecięcia ztąd wynikłe, będą liniami jednakowej temperatury w różnych godzinach dnia każdego miesiąca.

Aby nakręślić te linie jednakowej temperatury, przesunmy szereg płaszczyzn prostopadłych do płaszczyzny poziomej przez linie wyobrażające godziny, t. j. przez linie oznaczone na figurze I cyframi 18... 15... północ 9... Dwadzieścia cztery linie krzywe z tyłu przecięć powierzchni otrzymane, wskażą zmiany temperatury w ciągu roku uważane o pewnej godzinie dnia. Te linie łatwo z tablicy narysować można, odcinając na rzędnych (fig. 2) według pewnej skali liczby brane kolejno z poziomych kolumn tablicy załączonej.

Na fig. 2, mamy tym sposobem oznaczone kilka linii należących do różnych godzin; linia krzywa najniższa, odpowiada zmianom obserwowanym o 18tój (6 z rana). Te linie krzywe spotykając się z liniami (będącemi rzutem pionowym płaszczyzn wyobrażających stopnie termometru R.), (*) wydadzą punkta które rzucać się muszą poziomo na liniach szachownicy (fig. I), przedstawiających odpowiednie godziny. Aby otrzymać rzuty poziome tych punktów, należy rzuty pionowe (na fig. 2 będące), odnieść za pomocą prostopadłych na linie im odpowiednie na płaszczyźnie poziomej, to jest szachownicy. Na figurze za pomocą kréskowanych linii odniesione, znajdujemy punkta a, b, c, d, dla godziny 18tój.

Niektóre linie krzywe jednakowej temperatury w ciągu roku są zamknięte; chcąc dokładniej poznać punkta ich zagięć, wypada przeciąć powierzchnię, płaszczyzną poprowadzoną przez linią wyobrażającą na szachownicy miesiąc stosownie wybrany. Krzywa otrzymana z przecięcia płaszczyzną przechodzącą przez linią miesiąca lipca, czyli bieg dzienny temperatury w lipcu (pionowa 8 kolumna z tablicy), narysowaną została na fig. pierwszej po prawej stronie; punkta jój spotkania z różnemi temperaturami, odniesione za pomocą linii kropkowanych równoległych od linii godzinowych na linie szachownicy, wyobrażają miesiąc lipiec. Zasada kréślenia krzywój i wynajdywanie rzutów poziomych jest też sama, co powyżej opisana w konstrukcyi fig. 2.

Tym więc sposobem na szachownicy otrzymaliśmy dokładnie zagięcia krzywych, odpowiadających jednakowej temperaturze w całych stopniach termometru Reaumura. Krzywe ponumerowane odpowiednio stopniom termometru przez nie wskazywanym, ułatwiają użycie. Na karcie dla wyraźności rysunku, liczby umieszczone są tylko na krzywych przedstawiających temperatury

$$- 2,^{\circ} - 1,^{\circ} 0, + 5 + 10 + 15 + 20.$$

(*) Dla krótkości, opuściliśmy potrzebne może dla dokładności opisu, lecz bardzo proste objaśnienia z geometryi wykréślnój, a ztąd zbyteczne.

Nakręslona karta w użyciu jest wielce dogodną, chcąc np poznać temperaturę średnią miesiąca listopada o godzinie 8 z wieczora, należy posuwać się linią ten miesiąc przedstawiającą w górę aż do spotkania drugiej linii godzinę 8mą oznaczającą; przecięcie tych linii zbliżając się więcej do krzywej 4° , aniżeli 3° wskaże, iż temperatura środkuje między $+ 3^{\circ}$ i $+ 4^{\circ}$ R., części zaś dziesiątne na oko przybliżenie łatwo można ocenić. Daleko większą przedstawia dogodność tą metodą kręslona karta przy badaniu zmian temperatury.— Większe lub mniejsze odległości krzywych między sobą, oznaczają raptowniejsze przejścia z jednej do drugiej temperatury w kierunku prostopadłym do ich zagięć. Skoro linie krzywe zamykają się około pewnego miejsca, to wskazuje bytność pewnego punktu największego wyniesienia lubniżenia powierzchni; przeciwnie, jeżeli linie jednakowej temperatury, zamiast zamykania, skręcają się w przeciwnym kierunku, objawiają przez to wklęsłość lub równiny powierzchni. I tak widzimy na karcie, że maximum wzniesienia powierzchni, czyli maximum temperatury w ciągu roku przypada o 3ciej godzinie po południu w lipcu, największe zaś wklęsnięcie wyobrażające minimum temperatury, w styczniu między 18tą a 19tą godziną (między 6 i 7 z rana).

Łącząc za pomocą linii krzywej, punkta dotknięcia krzywych jednakowej temperatury ze stycznymi równoodległymi od osi rzędnych i odciętych, otrzymamy rzuty poziome dwóch linii spadku powierzchni idących w kierunkach prostopadłych do osi współrzędnych. Pierwsze z tak oznaczonych linii, wyobrażać będą następstwo w ciągu roku tych godzin dnia, w których mają miejsce maxima i minima temperatury, drugie zaś linie spadku, wskażą chwile w ciągu roku, w których przypadają maxima i minima obserwowanych temperatur dla każdej godziny. Te linie na załączonej karcie oznaczone są kropkami.

S. P.

Parę uwag z powodu artykułu p. Rudzkiego: „O żegludze parowej &.” umieszczonego w Bibl. czerw. 1846 r.

W zeszycie czerwcowym Bibl. Warszawskiej z 1846 roku, zamieszczonym został artykuł p. Rudzkiego, inżyniera machin przy wydziale górnictwa krajowego pod tytułem: „O żegludze parowej a mianowicie o zastosowaniu w niej śruby Archimedes’a.” Przy czytaniu téj rozprawy, nasunęło nam się parę uwag wprawdzie nie dotyczących się głównej treści, lecz historii wynalazków w niej traktowanych.

Uwagi te, bacząc na wielkość odkryć tak obfitych w zastosowaniu i tak wielkie jeszcze rokujących nadzieje, zdały mi się dość ważnemi: może téż one posłużą do sprostowania myśli objawionych przez autora.

P. Rudzki wzmiankując o początku parostatków i poczytując głównie Fultona Amerykanina za ich wynalazcę, mówi dalej: „Takie było powszechne mniemanie co do historii wynalazku statków parowych, gdy w roku 1841 odkryto ważne dokumenta w archiwum biblioteki królewskiej w Salamance (w Hiszpanii). Wprzejeździe mym przez Bezières w południowej Francji w 1843 roku, otrzymałem z uprzejmości tamecznego bibliotekarza królewskiego następujący wyciąg z bardzo ciekawego zachowującego się tam dokumentu, który później miał być podobno drukiem ogłoszony.” Niżej następuje wyciąg z dokumentu hiszpańskiego.

Przy czytaniu powyższego ustępu, nasunęła nam się następująca wątpliwość: czyby autor *w swym przejeździe* przez Francją otrzymał od bibliotekarza w Bezières wyciąg z rękopismu w treści podobnego do rękopismu hiszpańskiego chroniącego się w tém mieście, czyli téż prosto od bibliotekarza w Bezières wyciąg z dokumentu hiszpańskiego, zamieszczonego w całej rozciągłości przez autora.

Zastanowiliśmy się w tém miejscu jedynie dlatego, że według powyższego tłumaczenia myśli autora, znajdowałby się w Bezières duplikat rękopismu z Salamanki, a ztąd po-

dejrzana autentyczność tego ostatniego, tyle sławnego rękopismu, powiększonaby została; według zaś drugiej okoliczności prawdopodobniejszej, bibliotekarz udzieliłby tylko autorowi wyciągu ze znanego rękopismu. Jeżeli więc to jest tylko niejasność wysłowienia w tak ważnym miejscu, o co zresztą z pewnością autora nie śmiemy posądzić i dlatego nasze mniemanie w formie wątpliwości, podajemy, wtedy zapewnić możemy, że obszerny wypis cytowany przez autora jako nowy i jemu tylko udzielony w 1843 r., to jest w czasie jego pobytu w południowej Francji, był oddawna wszystkim znany. Albowiem dokument hiszpański, któremu autor rozprawy nadaje tak wielką wartość, nie w roku 1841 jak autor utrzymuje, lecz już w roku 1826 był odkryty przez p. Gonzalez bibliotekarza, i w tymże roku ogłoszony przez p. Navarette w *Correspondence astronomique*, barona Zach (1826). Jestto ważny szczegół, na nim bowiem opierając się, niektórzy chcą cofnąć początek statków parowych o półtrzecia wieku w tył i przypisać ich wynalezienie Hiszpanii.

Po wyluszczeniu myśli o budowie statków parowych łopatkowych, ich korzyści i niedogodności, p. Rudzki przechodzi do opisu statków parowych śrubą Archimedesą poruszanych. W tém miejscu na str. 158 utrzymuje, iż pp. Smith i Sauvage padli na myśl użycia silnika śruby Archimedesą, lecz że pierwszy pomysł w tym względzie przypisują p. Sauvage, drugiemu zaś należy się jedynie sława ulepszenia.

Historja tego tak obfitego w szczęśliwe rezultata wynalazku, jest już dziś stanowczo rozpoznana i wielce nauczająca; dlatego postaramy się sprostować podane mniemanie pana Rudzkiego.

Ani p. Sauvage ani p. Smidt nie należy się sława pierwszeństwa téj myśli.

Pominąwszy bowiem zastosowanie śruby do wyciągania wody, przypisywane powszechnie Archimedesowi, użycie tego środka za silnik do poruszania statków, natrafiamy w 1727 r. W tymto roku p. Duquest ciągnął z jego pomo-

cą statki. Następnie Paucton znany ze swych pomysłów, proponował w dziele „*Théorie de la vis d'Archimède*”, drukowaném w 1768, śrubę Archimedesesa poruszaną siłą ekwi-
pażu do pędzenia statku w prostym kierunku. W roku 1805 p. Dallery przez wzięcie przywileju przywłaszczył sobie my-
śli powyższych uczonych; w tym przywileju wyrażone jest, iż za pomocą maszyny parowej, poruszane mają być dwie
śruby, z których jedna na ruchomój osi na przodzie statku
umieszczona, służyć ma za rudel (podobnie do tego urządze-
nia, jak to później w Anglii Haut wynalazł), druga zaś z tyłu
statku przyczepiona, działa wyłącznie na sprawienie ruchu
postępowego. Od téj epoki użycie śruby Archimedesesa sta-
ło się przedmiotem licznych poszukiwań i przywilejów;
głównymi zaś którzy swemi pomysłami wpłynęli na upo-
wszechnienie i wprowadzenie w praktykę tego motora, są
p. Sauvage Francuz, Smith Anglik i Ecrisson Amerykanin.
Według systematu tego ostatniego autora, w 1845 w Ame-
ryce istniało już 60 statków parowych ze śrubą Archime-
desa.

W. J.

ROZMAITOŚCI.

Matematycy i muzyka.

Nietylko w naturze, ale i w umiejętnościach, naukach i sztukach wszystko ma z sobą związek, bo wszystko z jednéj twórczej pochodzi myśli. Przecież przy oglądaniu pojedynczych konarów wiedzy i styczności ich z sobą, muzyka przedstawia się nam jako tkwiąca tyłoma korzeniami w naturze i rozwiniętych podług niéj umiejętnościach stosowanych, że nie wiele jest przedmiotów umysłowych, o których obszerniej nieco traktując, muzyki dotknąćby nie wypadało. Ztąd niezmierny ogrom wiadomości koniecznych artyście jak i każdemu uczonemu we właściwéj gałęzi, i ztądto jeszcze niezmierne bogactwo literatury muzycznej, nie téj (rozleglejszój jeszcze), którą stanowią dzieła sztuki, ale téj, która się przygotowaniem do niéj, jéj rozświecaniem teoretyczném zajmuje. Pomnąc, że w starożytności muzyka znaczyła niemal wszystko czego się uczyć wypadało od filozofii do gimnastyki, nie będziemy się dziwić, spotykając wszystkie prawie imiona filozofów, poetów, mówców, polityków i t. d. znane w literaturze starożytnej, pod rozprawami o muzyce (w dzisiejszém nawet jéj ścieśnioném znaczeniu) podpisane; nie będziemy się dziwić, spotykając mnogie o niéj rozprawy pisarzy średniowiecznych, którzy z jakiegokolwiek powodu starożytności się czepili; wszakże niedawno zabytki starożytne przestały być wyrocznią dla prac umysłowych, chociaż nie wszystkich. Ale szczególnie część

muzyki matematyczna obszernie opracowaną została jako najściślej związana ze spekulacją filozoficzną, chociaż dopiero blizkie nas czasy do jakkolwiek pewnego rezultatu doszły, i badania naukowe podstawą teorii sztuki uczynić zdołały. Począwszy od Pitagoresa, który muzyką sposobił swych uczniów do potężnego rozmyślenia i wiele o niej pisał, a nawet pierwszy matematycznej jej części zasady położył; od Euklidesa, zwanego ojcem matematyków, którego pisma muzyczne gruntownością i jasnością przodkują innym i najlepsze rzucają światło na muzykę starożytną; od Archimedesza, tego ojca mechaniki i wynalazcy narzędzia muzycznego *Hydrauliczn* (rodzaj organów wodnych), opisanego przez Witruwiusza, aż do głośnych i dzisiejszych w matematyce imion, można mnóstwo wymienić ludzi, obie te umiejętności traktujących. Ograniczymy się tutaj na niektórych nowszych i znakomitszych, których prace matematyczne nowe ery w tej nauce stworzyły.

Zaczynamy od pamiętnej w dziejach muzyki i matematyki epoki, którą prace Galileuszów uświetniły. Wincenty Galileusz bowiem, ojciec sławnego astronoma, był jednym z tych, którzy najsilniej przyłożyli się do reformy muzyki w XVI wieku. Historyi muzyki obowiązkiem jest obszernie o tej reformie rozpowiedzieć, tutaj tyle tylko powiemy, że muzyka wyłącznie choralna i podług zasad kontrapunktu tworzona, w tamtym czasie poczęła się w solową przemieniać; pojawiał się śpiew na jeden głos z towarzyszeniem jakiegokolwiek instrumentu, i odtąd datuje cudowne prawie wykształcenie śpiewu, jakiego przykłady znały wieki XVII i XVIII, a obecny coraz rzadziej poznaje. Od tamtej epoki datuje rozwinięcie narzędzi muzycznych na miarę głosu ludzkiego, ztąd bogate ich zażycie w kompozycjach mianowicie instrumentalnych. Mamyż tu przypominać zmianę w pojęciach naukowych o ruchu ciał niebieskich, męczeństwo prawie wielkiego człowieka, który pierwszy potwierdził odkrycia naszego Kopernika? Galileo Galileusz wychowany w domu miłującym muzykę, sam ją także miłował; grał na kilku instrumentach i nad jej teorią pracował. Jego *Discorsi e demonstrationi mathematiche* (1638) rzu-

ciły wiele światła na naturę i rozchodzenie się dźwięku, drganie strún, stosunek wzajemny (matematyczny) tonów i inne kwestye matematyczno-muzyczne.

Współczesny Galileuszowi Jan Keppler, teoretycznie i praktycznie obeznany z muzyką swego czasu, stara się dowieść w swoim: *Harmonicon mundi*, że ruch ciał niebieskich i muzyka, na jednych wspierają się prawach. Było to powtórzeniem myśli Pitagorejczyków, bez błakania się jednak po hipotezach i przywidzeniach. Któż zaprzeczy Kepplerowi, gdy dowodzi, że porządek rytmiczny po całej naturze nieci ruch, życie i spoczynek sprowadza? Z pięciu ksiąg które dzieło powyżej przytoczone obejmuje, trzecia wyłącznie poświęcona jest rzeczom muzycznym; pod ogólnym nadpisem: *de ortu proportionum harmonicarum, deque natura et differentiis rerum ad cantum pertinentium*, w 16tu rozdziałach traktuje autor różne części muzyki z wielką znajomością rzeczy.

Do połowy XVIIgo wieku kwitnął Deskartes a raczój de Cartes. W swoim *Compendium musices* (Utrecht 1650), piérwszy, oparty na rachunku matematycznym dowodzi, że jeden z interwallów muzycznych, tercya wielka, jest dobrze brzmiącą (consonans), co téż po krótkim oporze teoretycy muzyczni przyjęli (*). Jakkolwiek sam autor do téj pracy mało przywiązywał wartości i dopiéro po śmierci jego drukiem ogłoszoną została, przecież niespełna w lat 10 po wyjściu na widok publiczny, przełożono ją naprzód na język angielski, dalej niemiecki a w końcu na francuzki pod tytułem: *Abrégé de la musique par Mr. Descartes, mis en français avec les éclaircissements par Poisson*. Sam oryginał nawet wiele doczekał się

(*) Odróżnianie interwallów muzycznych jako dobrze i źle brzmiące (consonantes et dissonantes), w dawniejszych czasach dawało pochop do przepisów w harmonii i kompozycji bezwarunkowo obowiązujących. Obszérniej rozwinięta muzyka coraz mniej owym przepisom ulegała, i dziś nazwy owe rutyną teoryi starój uświęcone, są tylko próżném bałamuctwem, jednym z kolców jeżdzących jeszcze naukę muzyki i utrudzających przystęp do jój jądra wszystkim, którzy z mniejszym zapasem talentu zdobyć je usiłują.

wydań. W traktacie Descarta: *de homine* i w listach (Amsterdam 1682. 4to), wiele także znajduje się spostrzeżeń matematyczno-muzycznych o dźwięku, jego powstaniu i strónach.

Do siedemnastego wieku należy wynalazca praw ciężenia Izaak Newton. Że pisał o muzyce, znać z tytułu broszury: *Letter to Mr. Harrington on the harmon: rat: (1693)*, którą Hawkins w swojej historii muzyki wspomina. (str. 142 tom III).

Imię Bernoullich, zaszczycało prawie cały wiek XVIII. Z trzech osób tu należących, Bernoulli Jan, jeden z największych matematyków swego czasu i członek niemal wszystkich uczonych towarzystw Europy, wsławił się pismem: „O drganiach strón wyprężonych, obciążonych w równej długości, ale różnej wagi ciężarami”, zamieszczoném w tomie 3cim pism akademii petersburskiej. Daniel Bernoulli synem był poprzedniego. Z licznych pism jego zamieszczonych w rocznikach akademij paryzkiej, berlińskiej i petersburskiej, dotyczą muzyki: „Badania o drganiu sztab, równocześnie wydobywających się z nich tonach rozmaitych i różnych drgań kierunkach i o drganiu powietrza w piszczałkach organów.” Jakób Bernoulli syn Daniela, pracował także nad akustyką: przecież jego badania we względzie drgania powierzchni płaskich, zapewne tylko z fantazyi czerpane i na prawdopodobieństwie oparte były, bo w praktyce potwierdzenia nie znalazły.

Żaden jednak z matematyków tak daleko się nie posunął w swoich pracach muzykę obchodzących, jak współczesny Bernoullemu Leonard Euler; proponuje bowiem nowy systemat muzyczny. W dwudziestu dwóch mniejszych i większych pismach treści muzykalnej, traktuje muzykę tylko jako matematykę stosowaną. Wiele jego prac wielkiej są wagi dla akustyki, np. *de motu aëris in tubis*, w której mieszczą się szczegóły ważne dla budowy narzędzi muzycznych dętych i nauki o przeprowadzaniu głosu. Często jednak wdaje się w spekulacye abstrakcyjne i tworzy hipotezy niezdatne do praktyki. Tu przedewszystkiém należy: *Tentamen novae theoriae musicae, ex certissimis harmoniae principiiis dilucide expositae*. Petrop: 1739. (Próba nowój teoryi muzyki z najpewniejszych praw harmonii wywiedziona). Jeden z lexykografów muzy-

cznych Gerber, mówi o tém dziele, „że ono jest metafizyką muzyki i wymaga wielkiej znajomości matematyki by było zrozumiane i że wiele gruntownych i prawdziwych spostrzeżeń w tém piśmie rozsypanych żałować każe, że autor nie był większym praktycznej muzyki znawcą.” To samo wnosić trzeba z listu Jana Bernoullego do autora (ucznia swego i przyjaciela), pisanego z powodu wyżej wymienionego dzieła. Przytaczamy tu krótki jego wypis:

Bazylea 11 sierpnia 1731 r.

..... Miło mi było dowiedzieć się o będącym już na ukończeniu nowym systemie muzycznym; nie wątpię, że będzie to coś wybornego i znakomity umysł autora dowodnie pokaże i przekonany jestem, że nieprędko drugie podobne pojawi się dzieło, całkiem na matematyce oparte, bo niewiele jest piszących o muzyce (a może ich wcale niema) w tak rozległe wiadomości matematyczne zaopatrzonych. Przecież trudno mi było odgadnąć prawo, z którego wywiedziona przyczyna wytłumaczyłaby, dlaczego ten w pewnej muzyce smakuje, inny nie, czemu nas jedno pociąga, drugie odpycha (1). Wprawdzie mamy ogólne pojęcie, że harmonia jest miłą, gdy jest zręcznie ułożona i konsonanse trafnie są wprowadzone; wiadomą bowiem jest rzeczą, że i dyssonanse w muzyce się używają, aby tuż następujące konsonanse tém lepiej się wydały podług znanego przysłowia: *opposita juxta se posita magis elucescunt*, (sprzeczności obok siebie leżące, wzajemnie się wyświecają); to samo dzieje się z cieniami w malarstwie, podnoszą one światło. Jak mi się zdaje, w muzyce praktycznej wyrokuje rodzaj i modyfikacye do których jesteśmy przyzwyczajeni, a to wiele zależy od właściwości i temperamentu ludzi, z których jedni to, drudzy tamto za przyjemne uważają: tak więc muzyka włoska różni się od francuzkiej, ta znów od angielskiej (2), słowem: *de gustibus non est disputandum*. Jeśli urok

(1) Przypominamy, że Bernoulli mówi o prawach matematycznych nie estetycznych.

(2) Nie wiadomo czemu autor listu mówi o muzyce angielskiej, która nigdy znakomitą nie była, ani posiadała cechy charakterystyczne; raczej muzykę niemiecką przytoczyć należało.

muzyki na prawach z natury wywiedzionych ma się opierać, trzeba by piérwój zdefiniować co jest urok, nie zaś mówić: to jest piękne bo mi się podoba, bo to samo innemu się może nie podobać. Przecież Midas dał piérwszeństwo organkom Pana nad lyrą Apollina. Mówisz pan, że wyrok o przyjemném lub nieprzyjemném brzmieniu kilku razem odzywających się tonów, da się wywieść ze względnej ich dla siebie wysokości, czyli stosunku liczby drgań między sobą dla każdego interwalle potrzebnych (3); ztąd bierzesz pan przepisy, podług których tony sprzągnięte być powinny, by znające się na rzeczy ucho zadowolniły. Dla mistrza, który więcej zważa na *akuratność* w muzyce, niż na wpływ na słuchaczów, może to być dobre; dla niego dosyć szczęścia widziéć tylko na papierze, że wszystko podług przepisów zrobiono. Że jednak muzyka przeznaczona jest do słuchania, i to po większej części dla osób nie-mysłących o drganiu strón, tém mniej liczyć je zdolnych, zatem muzyką podobać się im będzie o tyle tylko, o ile do takiego jój rodzaju są przyzwyczajeni (4). Zresztą pomysł pański dosyć mi się podoba; udoskonali on przynajmniej teorią muzyki i pokaże, że matematyk do każdej umiejętności wziąć się może, gdy przeciwnieinni uczeni, tylko na praktyce wsparci, o własnym nawet przedmiocie piszą jak ślepi o kolorach.”

Że w téj ostatniej myśli Bernoullego wiele jest prawdy, trudno zaprzeczyć; że jednak sama tylko matematyka nie zawsze wystarczy, dowodzą już zdania w przytoczonym wypisie z listu zamieszczone. Inne prace Eulera muzykę obchodzące, mieszczą się w listach jego pisanych do jednéj z księżniczek niemieckich (1763—1773) o różnych przedmiotach fizyki i filo-

(3) Ratio intervallorum pulsuum.

(4) Nie jest tu mowa o jakimkolwiek rodzaju muzyki na jednym i tym samym systemacie zbudowanym, ale o muzyce do różnych systematów należącój. Inny bowiem był system wieków średnich, inny dzisiaj; a większe jeszcze zachodzą różnice między systemem w świecie po europejsku cywilizowanym przyjętym, a systemem ludów azjatyckich, lub innych części świata, które albo nie mają żadnej cywilizacji, albo mało lub inaczej rozwiniętą.

zofii, w których między innymi rozprawia o podobieństwie tonów i kolorów, o dziwach ludzkiego głosu, o dźwięku, jego szybkości, o konsonansach i dyssonansach, o *unisono*, oktawie i innych interwallach i rozkoszach muzycznych.

Wprowadzając teraz Franklina między matematyków, którym i muzyka coś zawdzięcza, niewiele zdaniem naszym błędzimy. Odkrycia jego w elektryczności do dziedziny nauk przyrodzonych a mianowicie fizyki ściśle z matematyką złączonęj należące, pomieścić go tu pozwalają. Jednak Franklin nie był muzykiem, a nawet część teoretyczna i praktyczna sztuki obcemi mu były; przecież w pismach jego są dowody, że część jęj akustyczna i estetyczna nie była mu obcą. Świadczą o tém jego rozważania śpiewu i miary więrsza najstosowniejšzj do piosnek i spostrzeżenia nad mylną deklamacyą textu, podłożonego pod muzykę najulubiejšzych aryj. Główną jednak jego dla muzyki przysługą jest wynalezienie narzędzia, które sam nazwał harmoniką i które opisał z historią wynalazku w liście do X. Becaria. Dziwnie przejmujący ton tego instrumentu, powszechny zapal jaki wkrótce po wynalezieniu w Europie obudził, wysilenia mechaników nad udoskonaleniem jego budowy, a może i romantyczne szczegóły życia jednęj z kuzynek Franklina, która padła ofiarą przejmującego tonu tego narzędzia, były powodem, że do znanego: *eripuit coelo fulmen sceptrumque tyrannis*, którem d'Alembert przedstawił Franklina (wówczas ambassadora we Francyi) wchodzącego na posiedzenie akademii umiejętności w Paryżu, Chladni, znakomity akustyk dodał pentametr: *substituit Phaebi vitra sonora* (lyrę Apollina szkłem brzmjącém zastąpił). Że harmonika dziś mało już komu jest znana mimo (a może i dla) bardzo silnego wrażenia, jakie na słuchaczach jęj ton wywięra, opisujemy ją tu pokrótce. Pomysł doń powziął Franklin słysząc kogoś wygrywającego piosnkę na szklankach różną ilością wody napełnionych. Główną częścią harmoniki są dzwony szklane stosownych do rozmaitości tonów wymiarów, zachodzące jedne na drugie (niedotykające się jednak) i na jednęj osi osadzone, obracanej za pomocą mechanizmu kołowrotkiem do przedzenia właściwego. Dzwony te w przedłużonęj umie-

szczone skrzyni, obracając się razem z osią, są do drgania zmuszone naciśnięciem palców ręki wodą zwilżonych. To bezpośrednie zetknięcie się człowieka czującego z ciałem tony wydającym, niezmiernie ułatwia expressyą i pod tym względem na równi stoi z narzędziami dętymi; w tém od nich i od innych wszystkich wyższe, że się nigdy nie rozstraja, Właściwy i nieopisany urok tonu tego narzędzia, nie dozwala go zapomnieć nikomu, kto go raz posłyszał (1).

(1) Piszący to przynajmniej nigdy nie zapomni wrażenia, jakiemu uległ słysząc tony harmoniki zdolną dłonią zmarłego niedawno Franciszka Lessla wydobyte (*). Niewysłowioną ich władzę podwajały jeszcze okoliczności. Było to w Wielki piątek i w kościele wiejskim tak ubogim, że organu nawet nie posiadał. Pospępny mrok zaległ całą jego przestrzeń i tylko kilka lamp migotnym błyskało światłem w miejscu gdzie grób Zbawiciela był urządzone. Ciche modły i głośne westchnienia biednego wiejskiego ludu, same tylko znać dawały o natłoczonej świątyni, bo dla oka zebranych na chórze osób dla wykonania stosownego do okoliczności śpiewu ci tylko byli widoczni, których światło od grobu Chrystusowego idące otaczało. Było to niejako obrazem wielkiej tajemnicy odkupienia i dziwnie nastroiło umysły już i tak poważnie usposobione. A gdy się odezwał śpiew żałobny, tonami harmoniki jakby całunem pokryty i nieprzyzwyczajone do kościelnej muzyki serce wiejskich słuchaczy przeniknął, gdy coraz głośniejsze ich łkanie mieszać się ze śpiewem poczęły, to i muzyka omdlała, a chór powszechnego płaczu ją godnie zastąpił. Po obliczu wychodzących z kościoła, lały się łzy skruchy, boleści i wiary w lepszy żywot, a byłyto łzy rozkoszne, bo jeszcze po ich oschnięciu ten i ów poczuł wstręt od świata rzeczywistego, do którego zwolna powracał. Takich chwil mało w życiu i zapomnieć ich niepodobna.

(*) Fr. Lessel był najznakomitszym z trzech uczniów wielkiego Hajdena; jego dzieła muzyczne drukiem ogłoszone, znakomite między kompozytorami polskimi dają mu miejsce. Pozostałe w rękopiśmie, niektóre rozległego rozmiaru, wyszczególniono w pismach zagranicznych dla wiadomości wydawców. Jaki to ogłoszenie miało skutek, nie jest nam wiadomo. Jeśli jednak, jak się zdaje, w kraju naszym pozostały, niech je troskliwa zachowa opieka do chwili, w której pojęcia muzyczne u nas się rozszerzą. Niech prace zasłużonego współziomka, zaszczyt pewnie nam przynoszące, nie zginą dla historii, jeśli dla użycia upowszechnić je niema nadziei. Dla tego rodzaju pozostałości umysłowych, w braku ludzi umiejących je cenić, najstosowniejsze jest miejsce w księgozbiórce publicznym.

Diderot, samym już pomysłem do encyklopedyi, a więc do opracowania i upowszechnienia rzeczy muzycznych się przyłożył. Główną przecież jego zasługą we względzie muzycznym są zasady akustyki, zawarte w *Mémoires sur différens sujets de mathématique*. Stara się dociec przyczyn, dla których tak zwane konsonanse i dyssonanse odmiennie na słuch ludzki działają. W tychże pamiętnikach znajduje się jego rozprawa o chronometrze, zblizka muzykę obchodząca. Ważniejsze jeszcze mają być liczne jego prace drukiem nieogłoszone, przesłane przezeń w rękopiśmie Bourneyowi, autorowi historyi muzyki, z których tenże obficie czerpał. Inne prace Diderota nie tu należą, lubo często w nich spotkać można myśli wyłącznie do muzyki należące, a nawet wykończone rozprawy o niektórych jój szczegółach.

Z pism matematycznych d'Alemberta, wymieniamy tutaj jako w obręb rzeczy muzycznych wchodzące: Badania nad linią krzywą (la courbe), jaką opisuje strona wyprężona wprawiona w drganie; akademii berlińskiej podane, i poszukiwania o ciałach brzmienych i szybkości głosu. Świadkiem rozległych w muzyce wiadomości i jój zamiłowania są: *Elémens de musique théorique et pratique, suivant les principes de Rameau*, które chociaż podług zeznania samego d'Alemberta są tylko wypisem ze wspomnionego autora, z taką jednak krytyką są zrobione, tak w nich zręcznie oddzielono co zbyteczne i co ciemnie objaśniono, że z téj pracy widać myślącego muzyka, i dlatego prócz wielu wyciągów, doczekało się ono kilku wydań coraz polepszanych. Inne jego prace tu należące są: Historya muzyki we Francyi i Traktat o początku, rozwijaniu się, o związku sztuk i umiejętności. Do encyklopedyi dostarczył szereg muzycznych artykułów, a wiele tego rodzaju myśli, rozstrząsał w listach do Rousseau, Rameau i la Grange, z których niektóre w Merkurym są drukowane.

Przechodząc do najbliższych nas czasów, wspominamy sławnego astronoma Herszla. Był on synem muzyka, i do trzydziestego roku życia swego, sam jadł chleb muzyką zapracowany. W piętnastym roku służył już jako oboista w wojsku hanowerskiem, w dziewiętnastym do Anglii się udał. Zapisał do

muzyki był mu powodem do zgłębiania matematyki. Zajmując się osobiście strojeniem organu przy kościele (w Bath) którego był organistą, oddał się akustyce i pierwszy wynalazł węzły akustyczne w strónach. W podrózach swoich po Francyi i Włoszech, dawał się słyszeć publicznie na arfie.

Szereg tych imion znakomych w dziedzinie umiejętności ścisłych, niech zakończy Chladni, twórcą akustyki przezwany, jako ten, który ją z błędów poprzedników oczyścił, mnóstwem odkryć z bogacił, i tym sposobem przeważnie się przyłożył do utwierdzenia muzyki na prawach natury. Spostrzeżenie, że między wszystkimi przedmiotami fizyki, teoria dźwięku najuboższą była w opracowania dostateczne, i zamiłowanie w muzyce, której znajomość teoretyczną i praktyczną w wysokim posiadał stopniu, były mu powodem do prac całego żywota. Chcąc niektóre ze swoich odkryć w zastosowaniu pokazać i rzeczywistość ich poprzeć, wynalazł narzędzie dla miłego tonu *Euphon* zwane (*), podobne w składzie do harmoniki Franklina, w tém jednak od niej różne, że gdy w harmonice ciałem brzienném są dzwony szklane do jednéj przytwierdzone osi, euphon ma cylindry także szklane, oddzielnym sposobem pocierania w drganie poprzeczne wprawione. Inne narzędzie muzyczne jego pomysłu klawicylinder zwane, różni się od poprzedniego dodaną klawiaturą (na której *granie* podobne jest zupełnie dotknięciu w organach), a główniej tém jeszcze, że ciałem pocierającym nie jest ręka ludzka, ani smyczek pobudzający euphon do działania, ale także szkło, co do innego rodzaju tonu jest powodem. O budowie tych dwóch narzędzi mało upowszechnionych ale ciekawych dla akustyka, obszerniejszą powziąć można wiadomość z własnego wynalazcy opisu w dziele: *Beiträge zur praktischen Akustik und zum Lehre vom Instrumentalbau etc. Leipzig bei Breitkopf u. Härtel.*

Podane tu szczegóły o ludziach, którzy albo zamiłowaniem w muzyce wiedzeni, nad matematyczną jój częścią pracowali,

(*) Euphonia, każdy miły dźwięk pojedynczy, lub zgodność kilku, mile techcaca ucho.

albo z matematyki do muzyki się posunęli, najlepszym są dowodem powinowactwa obojga. Dziwna rzecz jednak, że żaden z nich w praktycznej kompozycji sił nie doświadczał. Ciekawą np. byłoby rzeczą słyszeć muzykę Eulera, choć z góry zapowiedzieć można, że nie znalazłaby zwolenników: chyba jak słusznie Bernoulli mówi, przyzwyczaiłoby się do niej należało, co przecież prawie niepodobienstwemby było, oswojonym z muzyką istniejącą. Któżby dzisiaj zdołał się przyzwyczaić do malowideł stariej szkoły niemieckiej, niemających stosownego oświetlenia i perspektywy, a uchodzących kiedyś za arcydzieła? Z muzyką trudniejby jeszcze było, bo pominąwszy sam system, pamiętajmy, że tony na rachunku matematycznym oparte i tylko podług niego wysnute, оголоconeby być musiały z fantazyi sztukom pięknym istotnej. Tento brak fantazyi w umysłach do ścisłości matematycznej nawykłych, tłumaczy poniekąd, czemu żaden z pomienionych ludzi kompozytorem nie był, (wyjąwszy może Herszla, z urzędu organisty do improwizacji, a więc już kompozycji zmuszonego), bo ścisłość i fantazyja, sąto dwa żywioły mało z sobą zgodne. Badanie nauk przyrodzonych, pokazując trudniącemu się niemi, wielkie tajemnice natury, aż nadto są dostateczne do nasycenia jego wyobraźni. Umysł własnymi siłami prawd dochodzący a choćby tylko błędzący po hipotezach, łatwo wyrzec się może innych rozkoszy. Zrozumienie bowiem praw odwiecznych, dziwny związek wypadków i wpływ ich wzajemny jakie wtajemniczonemu w jądro rzeczy są widne, poją duszę szczęściem równym temu, jakie dla innych z arcydzieł sztuki tryska. Bo wszystko jeden ma początek, i choć różnemi drogami, do jednego zmierza celu.

Rozbiór gliny z Wielkiej Woli.

Do płodów surowych, które się w kraju znajdują i warte są bliższego badania, niewątpliwie należy glina. Jest ona

z liczby niewielu materiałów surowych, które w przerobieniu, podobnie jak żelazo nadzwyczajnie wielką wartość swoją podnoszą, a tym samym otwierają bogate źródło zarobkowania ludności pracującej.

Zadziwiający tego przykład, podaje fabrykacja naczyń glinianych w Anglii do tak wysokiego stopnia posunięta. Weddwood zmieniając rozmaicie skład masy, namnożył mnóstwo odmian fajansów i naczyń kamiennych, i rozwinięciem ich fabrykacji przyczynił się do pomyślności mieszkańców Staffordshire; wioski o kilka mil od siebie odległe prawie się z sobą połączyły; w niewielkim okręgu około wioski Etruria przez Weddwooda założonej, liczą 140 pieców, których wyroby do 50,000 osób zajmują.

Składy gliny znajdują się we wszystkich formacjach ziemi, leżących powyżej skał pierwotnych; niekiedy zajmują obszerne przestrzenie. Lecz jaki jest jej początek, potrzeba było wielu doświadczeń, ażeby to pytanie z jaką pewnością rozwiązać. Rozbiór chemiczny okazuje, że glina jest krzemianem glinki, że pochodzi z rozkładu ciał związek ten zawierających; jednak nie mamy wyraźnych śladów, któreby w badaniach do pierwszego jej źródła doprowadziły. Z jakiej skały mogła się utworzyć? jakim sposobem została przeniesiona na miejsca w których się teraz znajduje? jedna tylko glina porcelanowa czyli kaolin, w pierwotnym swoim pokładzie leżący, obok skał w których się utworzył, daje nam sposobność do odgadnienia, jakie mogły nastąpić przemiany chemiczne feldspatu gdy się w ziemię porcelanową przemieniał.

Proces tej przemiany objaśnili Malagutti i Brogniart. Według ich doświadczenia część zasadnicza kaolinu jest: $=\text{Al}^{1/2}\text{O}_3 + \text{SiO}_3 + 2\text{A}_2\text{O}$, a zatem feldspat $=\text{Al}_2\text{O}_3, 3\text{SiO}_3 + \text{KOSiO}_3$. rozdziela się na $\text{Al}_2\text{O}_3\text{SiO}_3 = \text{kaolin}$ $3\text{SiO}_3\text{KO} = \text{krzemian potażu nierozpuszczalny}$, gdy feldspat jest zwyczajny albo $3\text{SiO}_3 \text{NaO}$ gdy jest albitem.

Lecz obadwa te krzemiany alkaliczne temi samymi działaniami rozkładowymi dalszej zmiany doznają. Krzemian sody $=3\text{SiO}_3 \text{NaO}$ wydaje SiO_3 krzemionkę i $\text{NaO} + 2\text{SiO}_3$ krzemian sody rozpuszczalny. Z krzemianu potażu $3(\text{SiO}_3 + \text{KO})$

= $9 \text{ SiO}_2 + 3 \text{ KO}$ tworzy się krzemionka (SiO_2) tudzież $3 \text{ KO} + 8 \text{ SiO}_2$ krzemian potażu, taki sam z jakiego szkło rozpuszczalne powstaje.

Podobne zmiany następują w gruncie zawierającym domieszane szczątki skał feldspatowych; wyjaśnienie ich tłumaczy, jakim sposobem rola po niej jakim spoczynku w czasie ugorowania, bez zasilenia nawozem, do pierwiastkowej żyzności powraca; na czem zależy żyzność, którą się grunta gliniaste odznaczają.

W skutku zmian wspomnianych, musi nastąpić zupełna desagregacya cząstek feldspatu. Ciało to w budowie swojej tak wyraźnie krystaliczne, traci związek fizyczny między cząstkami; zamienia się na materią proszkowatą, w dotknięciu delikatną, która w najwyższym stopniu posiada urabialność; to jest z wodą tworzy ciasto miękkie, dające się z największą łatwością w najdelikatniejsze wydrażenia form wcisnąć; tak pozbawione sprężystości, z zupełną powolnością poddaje się działaniom mechanicznym i każde wciśnienie zachowuje, bez zmiany.

Własność ta wszystkim gatunkom gliny wspólna, szczególnie ją odznacza.

Lecz pomimo podobieństwa w charakterach fizycznych, skład chemiczny gliny, może być bardzo zmienny. W kaolinie znajdować się mogą cząstki minerału jeszcze nierozłożone, które się dadzą oddzielić przez szlamowanie; nadto stan krzemionki w glinie zawartej może być rozmaity. Z objaśnienia procesu zamiany feldspatu na kaolin widocznie się okazuje, że krzemionka może być w stanie odosobnionym, połączona z glinką, i jako krzemian alkaliczny rozpuszczalny, którego część może być działaniem wody wprowadzona; dlatego glina porcelanowa nawet z tego samego pokładu w rozmaitych miejscach wzięta, miewa skład odmienny.

W kaolinie z Limoges, znaleziono: 43% krzemionki, 40% glinki (*Berthier*); w późniejszym rozbiorze, Brogniart i Malagutti otrzymali 42% krzemionki, 34,6 glinki.

Tym samym sposobem i z takich materiałów zapewne, tworzy się glina zwyczajna czysta, lecz nie tak łatwo odga-

dnąć jej pochodzenie, znajduje się bowiem w innych geognostycznych stosunkach; składy jej zwykle są odległe od okolic zawierających skały, które dostarczyły mogły materiałów do wyrobienia jej służących. Rozwiązanie tego przedmiotu, należy do badań geognostycznych; pod względem zaś przemysłowym więcéj nas zajmuje poznanie składu chemicznego.

Glina zwyczajna, podobnie jak porcelanowa, jest krzemianem glinki; lecz oprócz niego zawierać może inne pierwiastki, pochodzące ze związków, które razem z krzemianem glinki wchodziły do składu minerałów, tworzących skałę na glinę zamienioną, albo domieszały się jako materje obce, w przenoszeniu cząstek gliny z miejsca w którym się wyrabiały, do dzisiejszych jej składów. Dlatego pod wspólnemi własnościami fizycznemi, ukrywają się odmienne przymioty chemiczne; szczególniej zachodzi różnica co do zachowania się w wysokich temperaturach. Wiadomo, że z tego powodu rozróżniamy glinę ogniotrwałą i topliwą. Ostatniej własności nabywa od kwasorodków zasadowych, mianowicie od żelaza, wapna i magnezyi. Jeżeli ich w swoim składzie nie zawiera, lecz z samej krzemionki i glinki powstaje, wówczas nie topi się ogniem pieców naszych i z tego względu wartość jej wiele w przemyśle wzrasta. Glina ogniotrwała jest poszukiwana do budowy przystawy (Gestell) pieców wysokich hut żelaznych, na naczynia ogniotrwałe w fabrykach stali, na tygle do topienia szkła w hutach szklanych i t. d. Nakoniec może być użyta na wyroby garncarskie, których tak wielka jest różnorodność zaczynając od cegły, aż do najwytworniejszych i kosztownych naczyń porcelanowych. W takim zamiarze ocenienia wartości przemysłowej, przedsięwzięto rozbiór gliny nadesłanej przez Wgo Skorkowskiego, ze wsi Wielka Wola, w gubernii radomskiej, powiecie opoczyńskim.

Glina z Wielkiej Woli jest zupełnie biała, w dotknięciu tłustą; z wodą łatwo się rozrabia i długo w zawieszeniu zostaje.

Przez szlamowanie, bardzo mało zostawia materj grubszych (=0,877%). W narysie nabywa blasku, w tygielku platynowym wypalona, zatrzymuje kolor zupełnie biały; na-

bywa wysokiego stopnia twardości; traci 12,42—12,78% wody.

Z kwasami nie okazuje wzburzenia. Z powyższych własności wnosić można, że nie zawiera kwasorodków metalicznych; nie okazuje bytności węglanu wapna.

Dla przekonania się o składzie, przedsięwzięto rozbiór chemiczny, używając zwykłego postępowania.

Glinę mialko utartą, wypaloną, topiono z potrójną ilością mieszaniny węglanu potażu i sody w tygielku platynowym, który umieszczono w tygielku heskim. Rozrobienie tej gliny jest dosyć trudne, chociaż w piecu ciągowym wystawiono ją przez czas dosyć długi na ogień białości. Materią stopioną rozpuszczono w kwasie solnym rozwolnionym; odparowano do suchości; masę suchą skropiono kwasem solnym; po jakimś czasie ługowano wodą. Krzemionkę zebraną na filtrze, wysuszono, wypalono, probowano czy jest zupełnie czysta.

Roztwór od krzemionki strącono ammoniakiem.

Glinka oddzielona, była zupełnie biała, bez śladów żelaza; w czasie zbierania się glinki i filtrowania, utrudniano przystęp powietrza, dla zapobieżenia strącaniu się węglanu wapna. Z roztworu od glinki odcedzonego, strącono wapno szczawianem potażu; mały osad wapna na filtrze wymyty, spalono wraz z filtrem, pozostałość obłano węglanem ammoniaku, i po 24, god. odparowano i lekko wypalono. Roztwór od szczawianu wapna gotowano z węglanem sody, dopóki się zapach ammoniaku wywiązywał.

Tą drogą otrzymano następujące wypadki:

	a)	b)	c)
gliny palonój.	1 ^{gr} 213	1,878	1,198
krzemionki	0,719	1,121	0,706
glinki.	0,470	0,719	0,466
wapna	0,01	0,015	0,008

W analizie a) glina nie była dobrze rozrobiona; przy rozpuszczaniu w kw. solnym, część materji została nierozpuszczoną, krzemionka więc zawierała glinę, dlatego wypadki tej analizy odrzucamy.

Nowsze doświadczenia chemików okazały, że prawie wszystkie gatunki gliny badane, zawierają małą ilość materij alkalicznych. Dla przekonania się czy glina z Wielkiej Woli zawiera alkali, wzięto 4^{gr}.749 gliny surowej = 4^{gr}.134 gliny palonej, pomieszano z feldspatem i kw. siarczanym; przez ogrzanie mieszaniny w naczyniu platynowém uszedł fluorek sylicium; wypalając zaś do czerwoności, oddalono nadmiar kw. siarczanego.

Pozostałość wylugowano wodą, roztwór strącono węglanem ammoniaku, odparowano do suchości, pozostały siarczan alkaliczny rozpuszczono w wodzie. Strącono chlorkiem barium, nadmiar barytu oddalono węglanem ammoniaku, rozciek odparowano, pozostałość wypalono dla odpędzenia soli amoniakalnych, pozostały chlorek alkali rozpuszczono w wodzie, do roztworu dodano chlorniku platyny; w kąpeli wodnej odparowano do suchości. Pozostałość obłano alkoholem który pozostawił 0,169, chloro-platynianu potassum = 0,0326, potażu czyli 0,686% potażu w glinie surowej, albo 0,788 w palonej.

Z powyższego rozbioru, skład gliny z Wielkiej Woli w stu częściach będzie następujący:

	1.	2.	w glinie wypalonej
Krzemionki	59,744	58,938	51,308
Glinki	38,291	38,898	33,866
Wapna	0,800	0,668	0,580
Potażu	0,788	0,788	0,686
Wody	—	—	12,780
	<hr/> 99,623	<hr/> 99,284	<hr/> 99,220

W rozbiorze 2, stosunek kwasorodu, wody, glinki i krzemionki jest, 4. 5,6. 9,4 — co prowadzi do wzoru: $2Al_2 O_3 + 3 Si O_3 + 4 aq$. Wzór ten empiryczny jest z tego względu godny uwagi, że przedstawia 2at kaolinu = $2 (Al_2 O_3 Si O_3 + 2 aq) + 1a$ krzemionki = $Si O_3$. Czy część plastyczna, to jest krzemian glinki, w rozmaitych gatunkach gliny ogniotrwałej jest jednakowego składu, i taki jak w kaolinie, okazały późniejsze doświadczenia, gdy zbierzemy większą liczbę wzorów racjonalnych, jakie Malagutti i Laurent na glinie porcelanowej wykonali.

Uważając rozbiór powyższy pod względem technicznym, można z niego wnioskować: że glina z Wielkiej Woli należy do gatunków w wysokim stopniu ogniotrwałych; szczególnie zaś będzie przydatną na przystawy w piecach wysokich, służących do topienia rud żelaznych. Zawiera więcej glinki niż glina z Przysuchy, której w Sielpi używają; jest uboższa w krzemionkę (*), a tém samém więcej może się opierać działaniu krzemianów otrzymywanych przy topieniu rud żelaznych. Dla téj samej przyczyny można ją zalecić na tygle i na budowę pieców szklanych, na tygle do topienia stali. Najkorzystniejsze zaś byłoby zastosowanie do wyrabiania porcelany; ta bowiem gałąź przemysłu, dotąd u nas nieznana, powinna zwrócić uwagę ludzi przemysłowych. Wszystkę porcelanę nabywamy za granicą, chociaż wątpić nie można, że w kraju znalazłoby materiały do téj fabrykacyi przydatne. Dlatego bliżej zastanowimy, się czy glina z Wielkiej Woli może być w tym celu użyta.

Wiadomo, że do wyrabiania porcelany zwykle używają kaolinu. Czy może go zastąpić glina plastyczna, która po wypaleniu zatrzymuje swój kolor biały? Nad tém pytaniem zastanawiał się Laurent i Brogniart, lecz wypadki ich doświadczeń niezupełnie przedmiot rozstrzygnęły.

Na porcelanę sewrską biorą:

63,5 kaolinu użytego z Limoges;

10,5 piasku kwarcowego z Aumont;

5,2 krédy z Bugival.

21,0 piasku zostającego od mycia kaolinu, któryto piasek (petunze) jest mieszaniną kwarcu i feldspatu.

Porcelana z téj mieszaniny jest nadzwyczaj ogniotrwała; w składzie zawiera:

	a)	b)
Krzemionki	60,00	58,0
Glinki	35,30	34,5
Potażu	1,80	3,0
Wapna	2,50	4,5
	<hr/>	
	99,60 (Berthier)	100 (Brogniart i Malagutti).

(*) Glina z Przysuchy zawiera średnio 67° krze. 33 glinki 1,5% węgla wapna.

W próbach które Brogniart i Malagutti robili używając gliny białej ogniotrwałej, z dodatkiem materyj brakujących, kierowali się stosunkiem pierwiastków w analizie znalezionym, ażeby otrzymać skład zupełnie z porcelaną sewrską jednakowy. Tak np. używając gliny z Dreux wzięto;

	krzem.	glinki	wapna	potażu
69,75 gliny bezwodnej	41,64	27,89	—	—
20,71 frytty	16,36	—	0,89	3,00
6,61 czystej glinki	—	6,6	—	—
6,60 krędy	—	—	3,61	—

Stosunek normalny

massy porcelany sewrskiej 58,0 — 34,5 — 45 — 3,00.

Mieszanina dawała się łatwo urabiać, lecz w moenym ogniu nabyła gęstości i twardości naczyń kamiennych angielskich; przytém mocno się paczyła, była trudną do emaliowania, nawet w ogniu gaarowym mało przezroczystości nabyła. Ściągnęła się o 16% i była pełną pęcherzów.

Liczne inne doświadczenia okazały, że glina według sposobu przysposobienia, mocno żarzona albo tylko surowa, co do koloru, ściągania się, wydawania pęcherzów i paczenia, daje rozmaite wypadki.

Podobne doświadczenie robiono z mieszaniną mającą skład porcelany sewrskiej tojest:

z 79,31 gliny plastycznej z Dreux;

4,51 piasku z Aumont;

12,40 frytty w piecu porcelanowym palonej;

7,98 krędy.

Naczynia z tej masy sporządzone, już w zarzewiu nabyły twardości i gęstości naczyń kamiennych; były pęcherzowate, spaczyły się i około 16% ściągnęły; lecz były białe, mniej spaczone i pęcherzowate niż poprzedzające, okazały nawet pewien stopień przezroczystości.

Nierównie lepsze wypadki otrzymano, gdy do gliny z Dreux, dodano leucytu w ilości jakiej potrzeba ażeby 3,00 potażu do masy porcelanowej wprowadzić. W jednym z doświadczeń, dla zmniejszenia zbytnej plastyczności, użyto połowę gliny palonej. Mieszanina w której nie było gliny palonej wy-

dała prawdziwą porcelanę, lecz pełno pęcherzów; druga zaś dała porcelanę doskonalszą lub nieco pęcherzowatą, która się w paleniu nie paczyła, miała przezroczystość prawdziwej porcelany i w zupełnym wypaleniu ściągnęła się o 12%.

Z tych doświadczeń Brogniart wnosi, że w materyach plastycznych, stan części składowych wywiera wpływ nadzwyczajny na urabialność, i inne najważniejsze własności w miarę jak się używa materyałów w stanie odosobnionym lub połączonych, albo się bierze w stanie proszkowatym lub krystalicznym, w związku z wodą, albo po jej wypędzeniu przez prażenie.

Zdanie Brogniarta w tym przedmiocie niezaprzeczenie wielką ma powagę, jednak można uczynić uwagi nad jego doświadczeniami. We wszystkich wziął za правило, wyrabiać mieszaninę mającą skład pierwiastkowy porcelany sewrskiej, gdy tymczasem analizy Berthiego przekonały, że dobra porcelana może mieć skład rozmaity, bez uszczerbku własności fizycznych. We Francyi i Niemczech zwykle używają kaolinu, pomieszanego z roztopami alkalicznymi lub wapiennymi, przeciwnie w Piemontcie i w Anglii, służy do tego mieszanina gliny białej i materyj magnezjalnych. Tak np.

Porcelana z Worcester: z Piemontu zawiera:

Krzemionki	82,0	69,8
Glinki	9,1	10,4
Wapna	1,3	2,0
Magnezyi	7,4	17,6

Podstawą porcelany piemontskiej jest magnezyt z Baldissero. Każdy wyrób garncarski mający tło białe, ziarno delikatne, mogące w wypaleniu doznać takiego odmiękczenia, że nabywa pewnego stopnia przezroczystości, wyda porcelanę i można ją tysiącznymi sposobami złożyć.

Lecz niewątpliwie stan pierwiastków do złożenia masy porcelanowej użytych nadzwyczaj wiele wpływa, i zwrócenie nań uwagi jest ważniejszem, niż ściśle zachowanie tego samego składu. Gdy Brogniart użył czystej krzemionki, glinki i innych pierwiastków w takim samym stosunku, jak w porcelanie sewrskiej, otrzymał masę stopioną do emalii podobną,

napełnioną pęcherzami. (Journal für prakt. Chem. 1844. Heft 3 i 4 k. 147). Wypadek ten był koniecznym, ponieważ wszystkie pierwiastki jednostajnie rozdzielone, łącząc się w wysokości temperaturze, tworzyły krzemian glinki, wapna i potażu, to jest wydały krzemian złożony, który jak wiadomo jest łatwiej topliwy niż krzemiany pojedyncze. „Zdaje się nawet, mówi Berthier, że topliwość krzemianów wielorakich (Silicates multiples) jest większa, niż topliwość średnia krzemianów je składających; ponieważ wiele krzemianów nietopliwych albo trudno-topliwych, przez łączenie się z sobą tworzą krzemiany podwójne bardzo topliwe, np. krzemian wapna i magnezyi, wapna i glinki i t. d. (Traité des essais par la voie sèche. T. 1, k. 430).

W materiałach użytych do robienia porcelany, mamy w glinie porcelanowej gotowy krzemian glinki, oprócz tego dodaje się piasku kwarcowego, wapna i piasku od użycia kaolinu zostającego, który zawiera cząstki feldspatu. Gлина jest częścią plastyczną, kręda i feldspat częścią roztopową, piasek służy do zmniejszenia plastyczności.

W kaolinie jest krzemian glinki = $Al_2 O_3 + Si O_3$ nadto kwas krzemieny w stanie odosobnionym i krzemian potażu $3K O + 8Si O_3$. Według doświadczeń Berthiego krzemiany: $3KO_2 Si O_3$, $KO Si O_3$, $KO_2 Si O_3$, $KO_4 Si O_3$, wszystkie się łatwo topią, krzemiany glinki we wszystkich stosunkach są nietopliwe, krzemiany wapna z nadmiarem zasady są trudno-topliwe; pomiędzy stosunków: $C_4 S$, $C_2 S$, $C_4 S_2$, CS tylko ostatni okazuje ślady stopienia; lecz w miarę jak się ilość krzemionki powiększa, topliwość ich wzrasta, krzemian $3 Ca O_2 Si O_3 (C S_2)$ i $Ca O Si O_3 (C S_3)$ daje guzik zuzłowaty, pięknego białego koloru, przeświecający, do porcelany podobny, krzemiany podwójne są łatwiej topliwe; w naturze jest wiele tego składu minerałów łatwo się topiących, tak np. granat $3 Ca O Si O_3 + Al_2 O_3 Si O_3$; piętacyt = $3 Ca O Si O_3 + 2 Al_2 O_3 Si O_3$. Same topią się w ogniu lettoru, mieszanina zaś mająca skład granatu, w tygielku topiona wydaje guzik doskonale stopiony, białości porcelany, bardzo twarde, nieprzezroczysty, z rozłamem nierównym, bez blasku (Berthier l. c. k. 436).

Doświadczenia Brogniarta i Malagutti przekonały, że mieszanina zrobiona z materyałów czystych w takim stosunku jak w porcelanie sewrskiej, wydaje masę stopioną, zuzłowatą, gdy sama porcelana téj fabryki odznacza się wytrzymałością na działanie ognia. Widocznie przeto w paleniu masy porcelanowej, między jęj częściami składowemi zachodzi zupełnie inne działanie. Rzeczywiście to nastąpić powinno. W glinie porcelanowej część plastyczną stanowi krzemian glinki, którego cząstki już z sobą połączone, nie tak chętnie wchodzi w doskonały związek z krzemianem wapna i potażu, który się tworzy z krzemionki w stanie wolnym będącej i materyi alkalicznej dodanej; lecz ta część plastyczna kaolinu jednostajnie rozdziela się w krzemianie topliwym, który jęj cząsteczki wiąże. Nie można jednak powiedzieć, ażeby cząstki kaolinu pozostały tu bezczynnie. Otoczone krzemianem topliwym, w wysokiej temperaturze użytej do wypalania porcelany, wchodzi z nim w związek i odstępując mu swęj glinki i krzemionki, czynią go z tego powodu trudniej topliwym (*). Około każdej przeto cząstki kaolinu tworzy się krzemian alkali i glinki, tem trudniej topliwy, im jęj bliższy. Długo trwająca wysoka temperatura, ułatwia tworzenie się takiego związku; wszelako każda cząstka kaolinu rozchodząc się w krzemianach łatwo topliwych, nie zupełnie w nich zostaje rozpuszczona; dla téj przyczyny porcelana nie odmięka do tego stopnia, ażeby naczynia swoję postać traciły, nabywa pewnego stopnia przezroczystości, lecz nigdy nie jest przezroczystą, w rozłamie zaś okazuje się zbita, nadzwyczaj drobnego ziarna.

Uważając jakie może nastąpić działanie między częściami składowemi masy porcelanowej, nie można wątpić, że glina czysta, ogniotrwała, jest zdolna zastąpić kaolin w fabrykacyi porcelany; w takiej bowiem glinie, stosunek pierwiastków może być inny, lecz znajdujemy w nięj też same części składo-

(*) Krzemiany glinki i wapna najtopliwsze, mieszczą się między $(C, A) S$, i $(C, A) S_{\frac{1}{2}}$ — im więcej część zasadowa zbliża się do $C_2 A$, tém też stają się topliwszemi. Jeszcze się dobrze topią, gdy zasada jest CA ; lecz stają się trudno topliwemi, gdy zasada jest CA_2 (Berthier l. c. p. 439).

we także co do formy, w składzie jęj nięma istotnej różnicy od kaolinu. Znajdujemy w nięj krzemionkę wolną, dającą się wyciągnąć przez gotowanie z węglanem sody; glinę, którą kwas solny rozpuszcza podobnie jak z kaolinu. Gлина z Wielkiej Woli, ma skład odpowiadający 2as kaolinu + 1at krzemionki, jest więc blizką w składzie ziemi porcelanowej.

Ważną tylko byłoby rzeczą, gdyby bliżęj poznano bogactwo jęj składów i położenie geognostyczne; gdyby nakoniec który z fabrykantów przedsięwziął próby, jak dalece wnioski nasze urzeczywistnić się dają.

S. Zdz.

Co mogą znaczyć w literaturze i krytyce pytania o cel utworów?

Są niektóre pytania w życiu, w nauce, w literaturze, z którymi znamy się oddawna, które powtarzamy prawie co dzień i odpowiadamy na nie stanowczo mniej lub więcej, albo nie odpowiadamy już wcale, przypuszczając, że odpowiedź wszystkim wiadoma, tyle razy powtarzana, stara. Spójrzjmy tym pytaniom, tym odpowiedziom nieco mocnięj w oczy, przekonamy się, że nie wytrzymają wzroku naszego, będą się mieniły co chwila: i im więcej wpatrywać się w nie będziemy, tém trudnięj będzie określić ich fizyonomię, uchwycić ich rysy. Jestto coś niby słońce. Któż nie zna słońca? a kto mi powie jak ono wygląda? Tak się między innymi rzecz ma z pytaniami o *celu* literatury, o *celu* krytyki. Rzecz to stara, oklepana; ale i człowiek na świecie nie młody, i życie jego nie minuta, a kto mi rozwiąże zagadkę jego istnienia? kto odważy się powiedzieć, że co było, jest i będzie, w jeden nierozzerwany łańcuch połączył, w jedną zgodną całość?

O znaczeniu literatury i krytyki, o stosunku ich do innych odrostków wiedzy a tém samém i do wiedzących ludzi, naczytaliśmy się, nasłuchali, namysłili niemało. Dlaczegoż jednakże po tém wszystkiém, ozwie się tu i owdzie głos ja-

kiś nowy, nieharmonizujący zupełnie z tém wszystkiém, co już niby rozstrzygnięte było? dlaczego znowu zdaje się jakbyśmy się nie rozumieli z sobą wcale? Spyta się kto, jaki jest cel poezyi? dlaczego, albo dla kogo istnieje? gdzie istnieje? otworzycie ciekawe oczy i śmiać się będziecie, okrzyczycie go za Wandala, za barbarzyńca! Powie wam, że sztuka istnieje dla sztuki, i chcecie mu zaraz głowę złocić; a wszak to są przekonania szczególne, przekonania nie z wiatru uchwycone: może mylne, ale ludzkie, a przekonania bronią śmieszności odbijać się nie godzi. Pokażcie mi gdzie przykład, aby prawy rycerz z arlekinem kopiją kruszył? Na wszystko jest broń właściwa, a myśli toporem z głowy nie wyrąbiesz; zranisz i nic więcej. Chociaż nieraz gapiąca tłuszcza huknie ci chórem tryumfu. Niech i tak będzie. Wszakże na dnie każdego przekonania, w dobrej wierze wyrzeczonego, bodaj najfałszywszego, leży zaród prawdy, zakład prawdy, choćby ujemny. Śmieszno jest pytać o cel poezyi w ogóle, a nie śmiesznaż będzie pytać o cel szczególnych jój utworów? Wreszcie czyż pojęcia nasze o poezyi są tak jeszcze ciasne, abyśmy je tylko do wierszowanych utworów stosowali? Czy podział na poezyą i prozę, i to jeszcze pod względem formy, może być teraz w literaturze pięknej przyjęty, w literaturze prawej, która jest słowem narodu? Poezja w świecie jest zawsze, w utworach ludzkich jest, albo jój niéma; literatura niemniej przeto istnieć może. A jeżeli ten gość rzadki, niebieski, zejdzie na ziemię i zamieszka wśród ludzi, to wszystko duchem swym ożywi; na wszystkie utwory ducha ludzkiego pieczęć swą położy, bo wieje gdzie chce.

I jakież może być cel poezyi; jaki cel beletrycznych utworów, jeżeli nie wyjawienie, wystowienie myśli żyjącej ludzkości, albo ożywienie w przeszłość zapadłych już wieków, wedle twórczej potęgi ducha? Życie ma cel. Jaki? kto stanowczo odpowie? ale go ma. Życie ma myśl, a więc utwór mistrza wzięty z życia artystycznie pojętego, będzie miał myśl, nie próżny będzie celu. Wiemy już co to jest zdejmować z natury. Wiemy, że nie idzie tu tylko o najwierniejsze

do szczegółów drobiazgowych posunięte podobieństwo i o nic więcej. To będzie podobieństwo maski woskowej, trupie, nieżywe. Życie w ogóle, w całości dopiero ma myśl skończoną; na kawałki rozczłonkowane, cóż dziwnego, że nam się wyda niepojęte zupełnie, niezrozumiałe? Życie w szczególe, ma także drobniejsze swoje całości, pojedyncze doby, i jest jak łąka kwieciami zdobna, na której można nie na jeden wianek kwiatków zebrać, i nie jedno czoło nim okolić; ale nie trzeba z kosą wybierać się na kwiaty, nie trzeba goździami wianków do czoła przybijać. To też dodajemy, że natura, że życie ma być artystycznie odtwarzane.

Nie podobało się, że ktoś powiedział, że sztuka istnieje dla sztuki; i w samej rzeczy, to zdanie jest nieco za zwietrzałe, za niemieckie, a przecież był czas kiedy nie urągano mu. Jabym raczej powiedział: sztuka istnieje dla sztuki ale i dla ludzi, tak ludzie są dla ludzi i dla sztuki, a to znowu jak wszystko ludzkie i nie ludzkie, ma cel wyższy, jeden, gdzie się schodzą promienie tysiączne, z tysiąca punktów strzelające. Niech więc twory literatury tchną życiem, niech będą zdjęte z natury, niech będą całe, prawdziwe, a i myśl się znajdzie i o cel pytać się nie trzeba, ani się troszczyć o niego. Utwór literacki każdy ma cel, jeśli tak już chcecie, orzeczenie myśli w twórczej głowie zrodzonej. Mistrz co tworzy, nie z nieba zszedł na ziemię. To co było i jest, warunkuje go i znowu układa się przed sądem ducha jego, wedle potęgi jego. A jeżeli zdarza się czasem, że w głowie jakiej, błysnie myśl niewczesna, co za późno lub za wcześnie światło boże ujrzała, cóż z tego? utwór taki, nie wejdzie w literaturę swjej epoki i odtracony od poświęconych i profanów, chyba poczeka na sąd potomności. Utwór mówicie, nie ma celu; jabym powiedział nie ma myśli, a wtedy nie tworem jest ale zlepkiem różnorodnych części zerwanych ze wszystkich czterech stron świata, to nie twór żywy, to nie będzie prawe dziecko ducha narodu. Ma myśl fałszywą? to nie bięda. Fałszywą? ale dla nas, a może i dla nas tylko. Bo jako w historii politycznej, tak w historii literatury ściśle

z nią złączonój, za ledwo zdanie wyrzec możemy nawet w epoce całej, a témbardziej o pojedynczych jój przedstawach, kiedy już przeszła, zamarła. Jakby potrzeba było, aby odstąpiła na pewną odległość, by ją oko słabe jak należy obejrzyć i osądzić mogło. Żywego ciała nie pokrajesz, nie rozbierzesz, zabijesz tylko. Dlatego utwory historyczne w literaturze pięknej daleko z większą prawdą oceniane być mogą i są. Bo możemy je związać z epoką właściwą, możemy żądać, aby w nich wiał wiatr tamtych czasów, aby błyszczała myśl tamtoczesna, choćby w maluczkiej swój dobie jak ją teraz pojmujemy. Ale utwory czasu naszego, kiedy sami nieświadomi znaczenia prac naszych, na każdym kroku przekonywamy się aż nadto, że cele przez nas zakładane, oznaczone za pewne, były marzeniem tylko, kiedy co chwila nowe teorye walą stare; stare nie wiekami, ale minutami, a wir życia tysiącem sprzecznych dążności w oczy bije. Czyż utwory te mogą być przez nas ocenione z taką pewnością choćby, jak tamte?

Czyż mamy przeto rzucić zupełnie krytykę i na wszystko w indyjskiej obojętności poglądać? Bynajmniej! ale brać za to co jest, nie naginać do szczególnych widoków, nie kłaść na barki jój ciężaru od którego kościby popękały. Tylu utworów spółcześni nie poznali słuchacze! to rzecz zupełnie naturalna, zrozumiała: oni pojęli po swojemu. W utworach czasu naszego jaką skalę mamy? Kodexy krytyczne, już dawno obowiązującą moc straciły. Wtedy to błogie były czasy: zacytowałeś artykuł i koniec. Teraz mierzymy myślą, ale nie abstrakcyjną, ale objawioną, która stała się ciałem i mieszka w pośrodku nas. To też wyroki te nie z trójnoga się ogłaszają, ale w prostocie ducha, w dobrej wierze na świat posłane; i dlatego nie są ciemne, dwuznaczne. I nie idzie im o to, aby czy tak, czy inaczej się stanie, na obie strony nagiąć się dały. I autorowie téż, których nieraz taka krytyka mimo woli dotkliwiej drasnąć musi, nie powinni tego tak brać do serca, nie powinni tak głośno krzyknąć. Ich dzieła mogą jeszcze kiedyś jaśnieć jak słońce, teraz pozostaje im oburzać się na ciemnotę społ.

czesnych. To też nie biorą! powiecie. Ba! a jeżeli wam szepnę, że widziałem na własne oczy, jednego z tak zwanych autorów, co ubiczowan biczem krytyki nie mógł na miejscu usiedzieć, i gdzie tylko znalazł tę nielitościwą kartę na której jego szlacheckie imię figurowało, darł konwulsyjnymi rękami, i gniótł zaciekle! Albo ten drugi, co świętokradzkie palce zapuścił w cudzą kieszeń, aby ułować pismo w którym o nim bardzo nawiasowo mówiono!! Żart! krzykniecie, szykana! Ależ dalibóg u nas nieraz najpoważniejsze rzeczy do ucha wchodząc, jakby na przekór usta do śmiechu krzywią, choćby do śmiechu gorzkiego. Ot na przykład: literatura, filozofia! co może być świętszego nad te imiona, jeśli nie dla myślącego, to przynajmniej dla pragnącego myśleć? Patrzcie przecie do czego imion tych użyto nadaremnie: toć my mamy cały nieledwie dwór, całą podlegszą służbę filozofii, literatury. Mamy chirurgów filozofii, mamy terminatorów, pacjentów literatury, mamy literackie pacholeta!! Pióro naciskać, silniej naciskać, bo drga oburzeniem pisząc takie dzieciństwa. Jeden z tych arcydowcipnych tytułów, przypomina nam małą scenę, która się niedawno przed naszymi oczyma odegrała. Że nie jest zupełnie od naszej rzeczy, może raczycie posłuchać. Napisano dwie powiastki i pobłogosławiwszy jak przystoi, puszczone w świat. Krytyka przyjęła je, jak przyjmuje wszystko, co przed jej trybunałem staje, chętnie, bez miłości i gniewu, a wysłuchawszy całej sprawy, sąd wydała, że obie te powiastki niewiele warte. Dotąd nie ma nic dziwnego, nadzwyczajnego. Sąd ten nie wszystkim się podobał, i to jeszcze rzecz zwykła. Ale co dziwna i nadzwyczajna to to, że mąż zdaje się, czy krewny autorki, zanadto poczuwając się do obowiązków małżonka czy krewnego, bronić niby, obrażonej zamyslił. I cóż z tego wypadło? Doprawdy, wypadło niewiele a mianowicie to, że kwestya zakrawająca na literacką, zmieniła się na nie wiem jaką, dość, że nieliteracką. I między główniejszemi rzeczami rzucono kość o to, czy kobieta mająca lat 25 albo mężczyzna 40, jest młody czy nie? Szło o to, czy Julka ma serce? Argumenta przytaczano mo-

ene, a między innemi znalazło się i to zapewnienie, że choćby krytyk sto razy powtórzył, że Julka nie miała serca, to broniący sto razy odpowie, że miała! Miły Boże i wartoż było choć éwiarteczkę bibuły na to zepsuć? Co na tém zyskała lub zyskać mogła literatura, co czytający, co krytyk, co wreszcie sam broniący i broniony? Radzono téż krytykowi, żeby nie tak pośpiesznie sąd wydawał. Rada prawdziwie przyjacielska; ale jak każda rada, mianowicie téż przyjacielska, ma tę wadę, że z niej korzystać w żaden sposób nie można. Możeby chciano, żeby na długie wieki pograżyć się w głębokiej zadumie, i nie nie jedząc, nie pijąc, uduchowniwszy się w ten sposób, przewartowawszy foliały, dopiero odważyć się usta otworzyć? Zaprawdę takby się téż należało. Otóż tedy mnie się to wszystko tak wydaje: nowe dzieło wychodzi, weźcie już literackie w ściślejszem pojmowaniu wyrazu każde pismo peryodyczne, czy nie peryodyczne, jako organ pewnej opinii albo raczej pewnych opinij, przez usta swojego krytyka wyjawia zdanie swoje o niém; powiada jak je rozumie w związku, ze *status quo* myśli i czynu, jak dalece widzi spełnione wymagane warunki albo ich nie widzi. I rzecz skończona. Pismo każde wzbudza mniej więcej rozległą, mniej więcej wyraźną sympatyą albo antypatyą; a przynajmniej wzbudzać ją będzie, jeśli odłoni jasno swój kierunek. I tak być musi. Gdzie jest *za tam* i *przeciw*. A jako herezye i odszczepieństwa w religii wcale nie dowodzą obojętności, tak téż chęć rozpowszechnienia zdań naszych i obalenia przeciwnych, jasno pokazuje, że do nich jakąkolwiek cenę przywiązujemy. Na wszystko z jednaką obojętnością pogląda, wszystkiego z jednaką spokojnością słucha tylko trup, albo mędrzec bogopodobny, dla którego nikną różnice, który wszystko pojmuje w zgodnej całości jednej, ale nie ogół, bodaj myślący. Daléj, każdy z czytających, czytając już tworzy sobie zdanie o tém co czyta, albo nie tworzy. W pierwszym razie porównywa je ze zdaniem krytyków i jakie może wyciąga wnioski, w drugim chwyta się cudzego oburącz. I już spr-

wa zupełnie załatwiona. Poco się bronić, apellować i do kogo? Gdzie treść tego warta, gdzie kwestye poważniejsze mogą być dotknięte, gdzie z powodu utworu jakiego rozbija się pytanie filozoficzne, estetyczne i t. d. rozumiem pożytek szermowania. O dziele zapomną łatwo, a rozwinięte poglądy mogą światło rzucić daleko naprzód i postępującym później oświecać będą nieprzechodne dotąd zakręty. Rozumiem także kilka recenzyj jednego i tegoż samego dzieła, bodaj lichego, a tém bardziej lepszego; i to się zdarza, i dowody świeże mamy, chociaż mówiąc nawiasem, to dla czytających niektórych wielkie żniwo, ale i kłopot nie mały. Ależ potrzeba nieco więcej ufać czytającym, boć nie wszyscy do tego drugiego rodzaju należą; potrzeba nie sądzić, że krytyk z samych śpilek złożony, że na głowie zamiast włosów węże fryzuje, że żyły mu jadem wzbierają a on sam gorszy Saturna, karmi się nowemi dziełami, dziełmi cudzemi. I w naszym téż przypadku, krytyk jak każdy domyślić się powinien, zdania się swego nie wyrzekł, nie odmienił go. Boć on nie chorągiewką na dachu. Nie chcę ja tu nikomu kadzidła palić, ani mię kto słusznie obwini, że cennym rzeczom wartości z umysłu odejmuję. Piszę jak widzę; czy widzę jak jest, osądzicie. Wiém ja, że mniejsza lub większa nauka, bystrzejszy pogląd, zręczne wzięcie się i świadomość stanowiska rozbiéranego przedmiotu, jednego krytyka od drugiego całém niebem przegrodzić może. Ale i to wiém także, że kto *pro virili* sąd sobie o czém wyrobi dla jakichś tam uwag w ten moment go nie rzuci. Jeżeli sumiennie postępował, to sąd jego podparty będzie tém wszystkiém, co mu jego zapasy naukowe dostarczyć mogły; jeżeli jest nieco łatwiejszego sumienia, to jeszcze trudniej z nim dojść do ładu. Wszelkie więc takie obrony na nic się nie zdadzą.

Pan J. I. powiedział niedawno w Athenaeum, że krytyk powinien wykazać piękności dzieła i powiedzieć dlaczego to piękne co jest. Zaiste to byłby za trudny obowiązek dla sumiennego człowieka. A nie wszyscy znowu tak się roz-

bratali z sumieniem, jak się to wydało panu J. I. kiedy pisał.

Chcąc ocenić tłumaczenie, któż nie wie, że trzeba mieć w ręku oryginał? Zabiérasz się do zdania sprawy o dziele historyczném, studujesz źródła, patrzysz jak je autor ocenił, pojął, jak dalece umiał z nich skorzystać; jaka jest jego myśl i jak ją rozwinął? To przecie wszystko wiemy już dawno. A jeżeli masz przed sobą obraz życia ci społecznego? tak samo; zaglądasz do źródła, do życia samego, porównywasz obraz z pierwowzorem, szukasz prawdy, pojęcia życia, całkowitego rozwinięcia. Patrzysz jaki moment wybrał autor i jak go artystycznie odtworzył.

Może tu miejsce będzie napomknąć, że rodowód utworów podobnych dwojaki jest. Raz, autor wśród ludzi, jeśli nie z ludźmi żyjący, patrząc na różnobarwny dramat życia, uderzony jednym wybitniejszym charakterem, jedną jego stroną, poczuwa w sobie chwile poczęcia, myśl odtworzenia go w powieści, dramacie i t. d. i to co z początku było za ledwo punktem świecącym, zarodkiem, dużej pomatu, nabiera siły, żywotności i t. d. Drugi raz, ktoś dla myśli swój teoretycznej, stwarza ludzi, tak ich przynajmniej nazywa, kładzie im w głowy i w usta myśli swoje, a raczej sam przez ich usta przemawia, i broni się i zarzuty czyni, a wreszcie, naturalna, tryumfuje. Jestto fakt nie nowy. Literatura paryzka dowodów dostarczyć może. Wedle mnie to ma fałsz w sobie, ale jestto powiecie, jeden ze środków edukacyi narodu. Dobrze, wszakże jeśli cel téj edukacyi ma być osiągnięty, czego naturalna czeka się, to czyż na scenę nie trzeba brać ludzi raczej, ludzi żywych, aniżeli widma powoływać do życia *ad hoc*, aby oddeklamowawszy nasze tyrady, do grobu zstąpiły?

Myśli zupełnie nowój, nieczekanój teoryi co do przeszłości nie przystaje, organicznie z niój nie płynie, nikt z nieba na ziemię nie sprowadzi, w głowy ludzkie siłą nie wszczepi. I Bóg sam prawa sobie przepisawszy, nie łamie ich. Przedstawiciele więc myśli żyją, idzie tylko o wyrobienie takiej lub innój większości. Zresztą i dążność ta edukacyjna

jest wyłączną własnością tworców drugiego rodzaju. Bo przedstawiając ludziom ludzi, z różnych stron, a niekiedy oświecając najciemniejsze zakątki ich głowy i serca, jaśniej aniżeli oni sami chcą lub mogą, ułatwia się im zastanowienie się nad sobą, pojęcie się w sobie, poczucie się we własnym jestestwie. A czyż to nie edukacya? Ten więc zamiar, cel wreszcie, godzić się musi z tém cośmy na początku o znaczeniu literatury wspomnieli, ale przy ogólniejszym poglądzie błednie, maleje, na drugie usuwa się miejsce, o niektórych tylko odłamkach czasu, głośniej świadczyć może. Myśl zaś w czyjś głowie wylęła, przepuszczona przez usta dziwolągów, niby ludzi, nie bóje się! nie wielkiego nie robi. Co najwięcej błysnie i zgaśnie. Niemniej przeto świętym obowiązkiem jest grubą maskę z twarzy aktorom zerwać, ich oblicze na jaw ukazać. *Il mondo va perse stesso* mówią Włosi, rozumiejąc zapewne, że świat, że życie jak wulkan wiecznie gorący, bucha i sił swoich nie trawi, ma swoje prawa i słuca ich, ale narzuconych z zewnątrz nie przyjmie. Tak wpośród zgodnie śpiewających, niechaj kto puści fałszywy ton, wszyscy zdziwieni śpiewać przestaną, rozbiegą się na wszystkie strony, a on zostanie i jego tony, nie wzruszą serc, bo będzie śpiewał dla pustych miejsc. Takie myśli nasunęły mi się, kiedyś czytałem, w grud. Bibliot. Warsz. recenzją ostatniej powieści p. Szyrmer; recenzją według mnie rozumnie i treściwie napisaną, w której nieprzyjemnie uderzyły mnie te wyrazy: „autorka założyła sobie w każdej powieści mieć cel” i t. d... Co do samej recenzji jeszcze, warto było więcej uwagi zwrócić i zanalizować rozdział *jad we krwi*; myśl ta już była w jednej powiastce tegoż autora rozwijana, chociaż nie tak dotykalnie jak tutaj.

L. Z.

Krótki opis zjawisk jakie towarzyszyły spadnięciu aerolitu, które w dniu 21 października 1844 r. we Francyi w departamencie Aveyron pod Laissac spostrzeżono.

Ciekawe zjawiska spadania z atmosfery naszej kamieni *aerolitami* zwanych, dotąd nie są wyjaśnione. Jakim sposobem tworzą się te ciała po największej części z metalów złożone, i zawsze cechę topliwości której uległy na sobie noszące? Czy się tworzą z pierwiastków w atmosferze naszej zawieszonych, a w takim przypadku, zkąd te pierwiastki wziąć się mogły? lub czy ciała te są małemi urwiskami obcych ziemi naszej ciał niebieskich? Jak ciekawém byłoby rozwiązanie tych zapytań, tak niemniej interesującemi są zjawiska które spadaniu aerolitów towarzyszą. Sądzimy przeto, że przyjemném będzie dla naszych czytelników, opisanie szczegółów spadnięcia aerolitu, które w dniu 21 października 1844 r. miało miejsce pod Laissac w departamencie Aveyron we Francyi, a które nam pan Ad. Baisse udzielił. Kamień ten spadł między 6tą i 7mą godziną z rana; atmosfera była jasna, temperatura łagodna przy lekkim północno-wschodnim wietrze. Kilka małych tylko chmurek, które lekkimi plamami pogodne niebo zasłaniały, w kierunku wiatru poruszały się zwolna. Przy takim stanie atmosfera nagle gwałtowną eksplozyą, mocno wstrząśnioną została, i to było jedynym znakiem poprzedzającym spadnięcie kamienia aerolitowego: eksplozya ta czuć się dała w okręgu przeszło 12stomilowym, wrażenie jój jednak na słuch było stosownie do miejscowości rozmaite. Podróżni którzy się znajdowali na górach Lagniolle pod Lacalm w odległości 55 kilometrów od miejsca w którym kamień upadł, słyszeli jakby przytłumiony odległy turkot który z turkotem towarzyszącym trzęsieniu ziemi porównywali. Na polach w okolicy Rhodéz wiele osób uważało odgłos podobny do odgłosu wystrzału broni palnej, inni porównywali odgłos ten z odgłosem bębna, innym znów wydawał się podobnym do grzmotu i turkotu wielu wozów. W dolinie Aveyron mię-

dzy Sévirac i Laissac około 5 mil odległości od miejsca spadnięcia kamienia, słyszano odgłosy te daleko wydatniej. Naprzód spostrzeżono 10 do 12 detonacyj, które tak szybko po sobie następowały, że je zaledwo zliczyć można było. Potém uważano świst podobny świstowi kuli armatniej wyrzuconej z działa lub innego ciała, które z wielką szybkością powietrze przecina; świst ten zakończył się odgłosem podobnym do głosu dzwonek. Kilka osób zdumionych takim zjawiskiem, zbliżyło się do miejsca w którym uważali, że z atmosfery jakieś ciało spadło, i spostrzeżono zaraz świeży otwór w ziemi, głębokości 14 centymetrów i w nim ciało zbite przy dotknięciu gładkie. Aerolit wtoczył się mocno między inne kamienie, które w tém miejscu się znajdowały, a po odkopaniu wydobyto go. Waży on 3 funty, ciężkość gatunkowa 3,55, przyciąga bardzo mocno igłę magnesową, przy uderzeniu wydaje zapach siarki. Kształt jego jest nieregularna czterościenna piramida z zaokrąglonemi kantami, kilka kawałków małych zdają się być oderwanemi od niego. Powleczony jest cienką, czarną, metaliczną, połyskująca skorupą. W złamie jest popielato-szary, ziarnisty, w dotknięciu szorstki. Przez szkło powiększające dają się rozróżnić 4 części główne składowe.

1) Ziemia jasno-szara masa, która jest masą główną wiązarkową.

2) Części zeszkłone jasno-żółtego koloru, podobne do oliwinu.

3) Jasno-żółte, cokolwiek w czerwony kolor wpadające metalowe części, które zdają się być siarczkiem żelaza.

4) Małe, białe, połysk mające, metalowe ziarna, które połączeniem żelaza z niklem być się zdają.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Regnault przedstawił akademii paryzkiej ważną pracę, w której zamierzył zbadać, czyli zasada ściśliwości płynów sprężystych wiadoma w fizyce pod nazwaniem prawa Mariotta, stosuje się w zupełności do wszystkich gazów. Wypadki téj wielkiej co do liczby doświadczeń, różnaitości użytych metod i aparatów pracy, są następujące:

Ściśliwość powietrza atmosferycznego nie odpowiada w całej dokładności prawu Mariotta, zżyma się ono bowiem więcej anizeliby powinno według téj zasady; podobny fenomen przedstawia saletroród; dla kwasu zaś węglowego. prawo Mariotta nie może być uważaném nawet jako przybliżone, skoro ten gaz obserwowanym jest pod znaczniejszymi ciśnieniami.

Wodoród jak i powietrze nie podlega dokładnie zasadzie przez Mariotta odkrytej, w tém jednak różni się od niego, że zboczenia mają miejsce w przeciwném znaczeniu. To jest że skoro powietrze i inne wspomniane gazy pod pewnym ciśnieniem więcej się skupiają anizeliby powinny według tego prawa, wodoród przeciwnie w miarę zwiększanego ciśnienia mniej się skurcza. Wodoród pod względem sprężystości porównać można do sprężyny, która jak wiadomo

tém większy przedstawia opór zewnętrznej sile, im pod znaczniejszém już znajduje się ciśnieniem.

Dotychczas przywykliśmy uważać prawo Mariotta za wyrażenie matematyczne dokładnego stanu gazowego ciał; jeżeli jaki gaz usuwa się widocznie zpod tego prawa skupiając się więcej aniżeli tego teorya wymaga, mówimy że ten gaz nie jest zupełnie sprężysty. Z powyższego przekonywamy się, iż do znacznej liczby dawniej już poznanych niedokładnie sprężystych gazów, doliczyć należy powietrze i saletroród. Wychodząc z tego punktu zapatrywania się na sprężystość gazów, skoro jakowy gaz przekracza w przeciwném znaczeniu prawo Mariotta, będące matematyczném wyrażeniem doskonałej sprężystości stanu gazowego, wówczas wypadaloby przyjąć taki gaz za więcej jak doskonale sprężysty; takim więc płynem byłby wodoród.

Daléj z doświadczeń Regnault'a wypada, że temperatura wielki wpływ wywiera na sprężystość gazów, tak np. w wyższych temperaturach sprężystość powietrza więcej się przybliża do prawa Mariotta, aniżeli w niższych temperaturach, i że różnice ztąd wynikające stopniowo zmniejszają się w miarę zwiększania temperatury, a w znacznie wysokich temperaturach te różnice przyjmują przeciwny kierunek. Podobne zjawisko Regnault spostrzegł na wodorodzie. W ogóle zdaje się, iż dla każdego gazu uważanego pod pewnym ciśnieniem istnieje odpowiednia temperatura, przy której ten gaz ściśle podlega prawu Mariotta, a niżej i wyżej téj temperatury następują zboczenia od dokładnej sprężystości lecz w przeciwnych kierunkach. (*L'Institut, nr. 669, Octobre 1846*).

S. P.

CHEMIA.

Cukier mleczny w jajach kurzych. F. L. Winkler otwierając dwa jaja kurze na miękko ugotowane, które poprzednio zdawały się być zależone, znalazł w nich białko zna-

laż w nich białko znacznie wodniste i posiadające smak słodki. Po skrzepnięciu tegoż białka przez zagotowanie z wodą, i wyparowaniu cieczy otrzymanej, z wytrawiania wodą obudwóch jaj, wydobyto z niej około 8 gran cukru mlecznego. Nie rozstrzygnięto jednak, czy cukier mleczny zawsze się tworzy przy zaleganiu jaj, czyli téż jest to stan niezwyčajny. (*Journal für praktische Chemie* nr. 20, z r. 1846).

J. B...a.

MINERALOGIA.

Rozbiór rudy żelaznej z Tychowa pod Itzą.

Na rudzie żelaznej z Tychowa do *brauner Thoneisenstein* należącej, znajdują się cienkie warstewki, z rozłamem promienistym budowy jak w *glasskopf*, własnościami różne od reszty masy rudy zbitéj, bez jakiegokolwiek krystalicznego wykształcenia (*dichter Thoneisenstein*).

Dla przekonania się, czy te części mają skład jednakowy lub różny, poddano je rozkładowi chemicznemu, który zwykłą drogą był wykonany.

a) 100 cz. rudy w + 100° suszonej, dają 87,956 rudy palonej, a zatem 12,044% wody.

b) 1,2297 rudy w + 100° suszonej, dają 1,0816 rudy wypalanej, a zatem 0,1481 wody = 12,043%.

Rozbiór:

1) 1,9347 rudy w + 100° suszonej, dały:

0,1018 krzemionki,

1,5801 kwasorodniku żelaza,

0,2331 wody.

2) 2,028 rudy suszonej = 1,770 palonej, dały:

0,107 krzemionki,

1,6605 kw. żelaza,

0,258 wody.

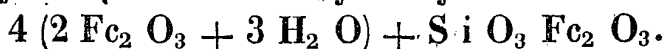
Ztąd wypada skład procentowy:

	1) Kwasoród.		2) Kwasor. Atomy. Oblicz.		
Krzemionki	5,2618	2,734	5,276	2,743	1 5,378
Kwasoro. żelaza .	81,6710	25,00	81,875	25,10	9 82,046
Wody	12,0440	10,7	12,299	10,93	12 12,576
	<u>98,9768</u>		<u>99,450</u>		<u>100,000</u>

Niema więc wątpliwości, że ruda promienista z Tychowa, zawiera krzemionkę, która jest w związku chemicznym, ponieważ przy rozpuszczaniu w kw. solnym, oddziela się w postaci materii galaretowej. Ilość jej wynosi około: 5,4% (*).

Według zdania *Breithaupt*, glasskopf brunatny, zawiera kilka p. c. krzemionki, którą on w Brauneisensteinie włóknistym za część istotną uważa, lecz zdaje się, że mogą być gatunki glasskopfu brunatnego, bez krzemionki związkowej. *Kobbel* np. w Brauneisensteinie z Kamensk w gub. permskiej, znalazł tylko 1,61%. *Daubuisson* w odmianie z Viedessos, otrzymał tylko 1%; może więc będzie potrzeba odróżnić wodnian żelaza czysty, od wodnianu krzemionkę zawierającego, a przynajmniej niema żadnej wątpliwości, że *Lepidokrokit*, którego *Breithaupt* i inni mineralogowie Brauneisensteinu liczą, jest gatunkiem zupełnie różnym.

Skład rudy brunatnej, włóknistej z Tychowa, można wyrazić przez wzór racjonalny:



Mniej byłby podobnym do prawdy wzór: $6 (\text{Fc}_2 \text{O}_3 + 2 \text{Ag}) + \text{S i O}_3, 3 \text{Fc}_2 \text{O}_3$, chociaż w nim przyjmujemy wodnian $= \text{Fc}_2 + 2 \text{Aq}$, który otrzymał *Gmelin* w osadzie z chlorniku żelaza przez amoniak strąconym i w $+100^\circ$ wysuszonym.

Część zbita, na której ruda promienista osiadła, okazuje skład odmienny. Kwas solny zostawia pozostałość piaskowatą, bez śladów krzemionki galaretowej.

(*) 2,817 rudy suszonej w $+100^\circ$, dały 0,1555 krzem. = 5,408%
 1,282 — — — 0,06639 — — 5,52%

1) 2,874 rudy surowej, dają:
 2,542 — palonej,
 0,332 strata wody = 11,55%.

2) 2,029 rudy, dają:
 1,403 $\text{Fc}_2 \text{O}_3$,
 0,2343 $\text{H}_2 \text{O}$,
 0,3820 mat nierozpuszczalnej.

Ztąd wynika skład procentowy:

$\text{Fc}_2 \text{O}_3 = 69,147$ 21,00 kwasorodu 2 atomy,
 $\text{H}_2 \text{O} = 11,550$ 10,268 — 3 atomy.
 18,837 mat nieroz. (piasku).
 99,524

Odliczając materye obce w 2,09 rudy, zostanie 1,647—
 w nich:

$\text{Fc}_2 \text{O}_3 = 85,185$,
 $\text{H}_2 \text{O} = 14,815$.

Wyrażenie dla rudy zbitej jest:

$2 \text{Fc}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$. Taki sam skład z bardzo małą różnicą
 w tysięcznych częściach, *Berzelius* podaje dla rdzy żelaznej.

Mamy więc w rudzie Tychowskiiej wodnian żelaza: $2 \text{Fc}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$, który w części promienistej jest połączony z krzemianem zasadowym ($\frac{1}{3}$ krzemian żelaza); część zbita powstaje z samego $2 \text{Fc}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$ z domieszczeniem piasku. Piérwszą rudę należałoby odróżnić nazwiskiem: *krzemiano-wodnian żelaza*.

Byłoby rzeczą ciekawą badać inne rudy krajowe, czém zapewne współpracownicy Biblioteki w oddziale chemii, zając się nie zaniedbają.

2. Węgiel brunatny.

We wsi Biernik, w obwodzie rawskim o $\frac{3}{4}$ mili od stacyi kolei żelaznej Radziwiłłów, pod warstwą ziemi na 3 łokcie i więcej grubą, znaleziono 5 warstw materyi do węgla brunatnego, mianowicie do Blatt, albo Papier-Kohle zbliżonej. Niektóre kawałki są podobne do torfu, i okazują niezupel-

nie rozłożone szczątki roślinne. Wszystkie te warstwy razem wzięte, składają pokład 6 łokci gruby, i według czynionych przez właściciela poszukiwań, dosyć znaczną rozległość zajmują.

Nie mamy jeszcze podań, jakie jest jego geognostyczne położenie; lecz ze względu przemysłowego, ta masa materiału zdolnego do opalania, blisko drogi żelaznej leżąca, może być ważnym odkryciem dla uboższej klasy Warszawy, ponieważ zastąpi drzewo, nateraz wysokiej ceny. Może nawet będzie przydatny do opalania kotłów parowych, w fabrykach i lokomotywach, jeżeli ilość popiołów które zostawia, w użyciu jakich niedogodności nie okaże.

Doświadczenia z tym materiałem przedsięwzięte, okazały następujące wypadki:

Węgiel brunatny świeżo wydobyty, urobiony w kostkę 17,^{c. s.}424, waży 13,^{gr.}129, a zatem 1^{c. s.} waży 0,^{gr.}753. Po wysuszeniu w + 100° zmniejszył swą objętość na 10,^{c. s.}830 ważył 4,^{gr.}102, czyli 1^{c. s.} waży 0,^{gr.}378.

Taż sama kostka objętości 10,^{c. s.}830 w naczyniu zamkniętym zwęglona, wydała węgla 5,^{c. s.}400, wazącego 1,^{gr.}544, to jest daje węgla 50% objętości 14,35% wagi.

Spopielenie 4,^{gr.}102 węgla w + 100° suszonego, dają 0,^{gr.}240 czyli 5,85% popiołów.

Rozbiór ostateczny:

1) 0,^{gr.}310 węgla brunatnego w + 100° suszonego, z kwasorodnikiem miedzi w aparacie Liebiga spalone, dały:

wody 0,175 = 6,2724% H

kw. węglan... 0,633 = 56,153% C.

2) Dla skontrolowania powtórzono spalenie z chromianem ołowiu 0,^{gr.}301 materyi w + 100° suszonej dały:

0,172 wody = 6,349 H.

0,609 kw. węglan. 55,639 C.

Nie oznaczano ilości azotu; mała bowiem ilość jego nie ma wpływu na wartość techniczną.

Z powyższych rozbiorów, wynika skład następujący:

	I.	II.
Popiołów	5,850	5,85
Węgla	56,153	55,639
Wodorodu	6,272	6,340
Kwasorodu } Azotu }	31,725	32,155
	<hr/> 100,000	<hr/> 100,000

Zamieniając ilość wodorodu zbytkową na węgiel, wypada obliczyć w I) węgla 63,075, w II) 62,624.

Jeżeli według tych danych, ogrzewalność węgla brunatnego z Biernik, porównamy z drzewem sosnowém, okaże się wartość równych wag jak 1 : 1,135,

równych objętości jak 1 : 0,959.

a zatem w takim samym stosunku przyjąć można wartość, jaką mieć może jako materiał opałowy (*). Lecz wartość ta byłaby zbyt wysoka, ponieważ węgiel brunatny w paleniu wywołuje zapach nieprzyjemny, podobnie jak torf; nierównie więcej niż drzewo zostawia popiołów. W ogóle, wartość jego nie może być wyższą od torfu, a nawet nie wyrównywa niektórym jego gatunkom. S. Zdz.

(*) Zasady takiego obliczenia wyjaśniłem w rozprawie „Badania torfu i innych materiałów opałowych”, która w najbliższym numerze Roczników gospodarstwa krajowego będzie ogłoszoną.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1845.

K I J Ó W.

435. *De mechanismo implicationis pilorum in Plica Polonica disquisitiones microscopicae auctore A. de Wather. Kioviae. 1845.* (Pamiętnik lekarski Warsz. T. XVI z. 1. 1846.)

1846.

WARSZAWA.

158. Homilie o meście Pańskiej Wilhelma de la Luzerna Kardynała i Biskupa Lingoneńskiego, w przekładzie z Francuzkiego na język Polski przez X. P. Rzewuskiego, dla użytku wiernych. zwłaszcza kapłanów, na dwuletnie kazania passyjne przerobione. 8ka. Warszawa. 1846. Druk XX. Missyonarzy. Kart 4 i str. 240. Złp. 3 gr. 10.

159. Prawdziwy Judaizm, czyli zbiór religijno-moralnych zasad Izraelitów czerpanych z klassycznych dzieł rabinów, zebrał i ułożył A. Buchner, nauczyciel języka Hebrajskiego i wykładu biblii w szkole rabinów. Godło:

Opinionum comenta delet dies,
Naturae judicia confirmat.

Cicero L. II. de nat. Deorum 5.

8ka. Warszawa. 1846. Druk J. Jaworskiego. Str. LVIII i 167. Napisów i listy pren. kart 6. Omyłek karta 1.

1847.

WARSZAWA.

14. Dzieje Jána III Sobieskiego króla Polskiego, Wielkiego księcia Litewskiego, przez Leona Rogalskiego. 8ka wielka. Warszawa 1847. Nakład G. L. Glücksberga. Druk St. Strąbskiego. (Z ryciną). Str. 535. Złp. 20.

15. Kodex Dyplomatyczny Polski, obejmujący przywileje królów Polskich, Wielkich książąt Litewskich, Bulle Papieżkie jako téż i wszelkie nadania prywatne, mogące posłużyć do wyjaśnienia dziejów wewnętrznych krajowych dotąd nigdzie niedrukowane, od najdawniejszych czasów aż do roku 1506. Wydany za staraniem i pracą Leona Rzyszczewskiego i Antoniego Muczkowskiego, adjunkta Arhiwum Głównego Królestwa Polskiego, wzbogacony przypisami aż do nr. CVII, przez Antoniego Zygmunta Helcel. Obojga Prawa Doktora. (Obok tenże tytuł po łacinie). Tom I. 4ka. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. Napisów kart 2, str. XXIII i 367. Indexu str. LXXII, dodatków i pomyłek str. 8. (Z 5 podobiznami dyplomatów). Złp. 36.

16. Miljon Posagu, powieść przez Józefa Ignacego Kraszewskiego. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Tom. I, str. 203. II, 260. W każdym napisów kart 2, i rejestru karta 1. Złp. 13 gr. 10.

17. Młoda Pszczółka. Pierwsze myśli — pierwsze pojęcia, przez Marcellego Skotnickiego. Z godłem:

Mała naśladuje człowieka, którego się boi; ale nie naśladuje zwierząt, któremi gardzi.—*J. J. Rousseau.*

8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Jaworskiego, Str. XIV i 190. Rejestru karta 1. Złp. 6 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni i składu nut Ię. Klukowskiego, wyszło nowe dzieło na fortepian przez Józefa Sikorskiego. Cena w Warszawie i na wszystkich urzędach i stacyach pocztowych Królestwa złp. 10. Szkoła ta, jest zastosowana do stopniowego postępu uczniów i tak ułożona, że i osoby mało z zawodem nauczycielskim w muzyce oswojeni, mogą podług niej ucznia poprowadzić. Przykłady są po większej części z muzyki polskiej czerpane.

E. Bogusławski ma zamiar wydać romans obyczajowy w 8 tomach pod napisem: *Daguerotypy Warszawy.*

Stanisława Jachowicza dziełko p. t. „Pamiętka dla Eryczka”, będąc wciągu jednego roku rozkupione, wyjdzie wkrótce w powtórzonem wydaniu.

Filip Romanowski naucz. rysun. ogłosił prospekt na: „Teoryą pierwiastkowych zasad nauki rysunków, uważanej z punktu widzenia artystycznego”.

L W Ó W.

(*Nadesłano*)

Z pierwszym styczniem r. 1847 rozpocznie się rok ósmy „*Dziennika mód Paryzkich.*” Pismo to wychodzi we Lwowie regularnie co dni czternaście. Do każdego numeru załączona jedna rycina z kilku osób składająca się, przedstawiająca mody paryzkie starannie wypracowane. Oprócz tego, najmniej co kwartał będą w tym roku dodawane z najpiérwszych pracowni paryzkich, formy w naturalnej wielkości najmodniejszych sukni damskich i dla dzieci, peleryn, mantylek, czépków, kapelusów, kołnierzyków, wzorków do haftów i rozmaitych innych robót damskich. Za po-

mocą tych form i rysunków, można będzie łatwo przykrawywać suknie lub inne stroje najświeższej mody i skutecznie roboty. W pierwszym zaraz numerze na rok 1847, będzie kilkanaście wspomnianych przedmiotów umieszczonych. Formy sukni męzkich w zmniejszonej lub czasem w naturalnej wielkości, będą i nadal dla krawców męzkich do każdego numeru Dziennika mód dołączane. W dzienniku samym, oprócz opisów wszystkich nowości mody, mieszczą się powieści oryginalne, rysy obyczajowe, opisy kraju i podróże, poezye, rozprawy odnoszące się do życia społecznego i sprawozdania z teatru. Stałą przytem rubrykę Dziennika mód będzie nadal stanowić przegląd i rozbiory ważniejszych dzieł z pięknej literatury polskiej, oraz przegląd sławniejszych utworów muzycznych swoich i obcych. W tych zawodach zapewniła sobie redakcyja stałą pomoc pisarzy.

Pismo to osobliwie polskim kobietom poświęcone, co tylko przyjemne i pożyteczne w domowym zawodzie kobiety być może a zmieści się w zakres tego pisma, podawać ma płci pięknej; kobiet więc opiece najlepiej będzie poruczyć przyszłość tego pisma.

Pomimo dodawania w następującym roku rozmaitych wyżej wspomnianych rysunków, dla Cesarstwa Rossyjskiego i Królestwa Polskiego dawniejsza cena zniża się na rok 1847. Z opłatą pocztową aż do granicy, ustanawia się roczna prenumerata na złp. 40. Prenumerować można na wszystkich pocztach Cesarstwa Rossyjskiego i Królestwa Polskiego. gdzie roczna opłata pocztowa od granicy jest już wyznaczona w roku 1840.

Ostrzeżenie.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej uprasza swych prenumeratorów, którzy chcą odbierać jój Pismo w Cesarstwie, aby racyli wprost od siebie przesyłać stosowną należytość do Urzędu Pocztowego w Wilnie, bez odnoszenia się do niej, gdyż nie stojąc w żadnych stosunkach z tamtejszą władzą pocztową, przymuszona jest odsyłać napowrót nadsyłane kwoty pieniężne do Wilna, przez co jest narażoną na ponoszenie podwójnych kosztów portoryi, a prenumeratorowie na niepotrzebną zwłokę, która ztąd koniecznie wyniknąć musi.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Listopad 1846.

Listopad 1846.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza
czyli w łuku 18^o41'45", na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o				TERMOMETR stusstopniowy				wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1		762.53	763.04	762.16	762.10	— 4 ^o .0	— 0 ^o .7	+ 4 ^o .3	— 2 ^o .5	81.0
2		762.07	762.24	761.19	760.98	— 5.8	— 0.2	+ 3.1	— 2.5	88.0
3	☉	760.53	760.66	761.10	761.82	— 5.9	— 2.5	+ 3.4	— 2.8	86.2
4		762.80	763.18	763.44	764.47	— 5.0	— 1.4	+ 2.9	— 2.0	83.5
5		765.57	766.31	765.98	766.10	— 5.7	— 1.4	— 1.8	— 1.5	94.5
6		765.86	765.86	765.41	764.30	— 1.6	— 1.3	— 0.8	— 0.4	100.
7		763.00	763.28	762.15	761.40	— 3.6	— 2.4	— 1.3	— 2.8	98.7
8		761.52	762.02	762.04	762.66	— 5.4	— 2.4	+ 1.5	— 0.9	93.5
9		763.41	764.02	764.20	765.33	— 4.0	— 3.0	— 2.8	— 2.6	100.
10		766.40	767.12	766.67	765.73	— 2.1	— 0.9	— 0.3	— 0.3	100.
11	☾	763.26	762.66	760.03	757.87	— 0.8	— 0.5	+ 0.1	+ 0.8	98.0
12		756.37	758.91	760.77	762.22	+ 2.1	+ 4.1	+ 0.9	— 1.1	88.5
13		760.84	759.71	756.31	753.33	— 1.8	— 0.1	+ 0.7	+ 1.1	90.0
14		749.41	748.83	746.80	747.33	+ 3.4	+ 4.5	+ 5.5	+ 5.9	95.5
15		748.42	749.18	750.08	754.63	+ 2.2	+ 2.5	+ 1.2	— 2.5	95.2
16		757.62	759.11	762.21	764.14	— 3.3	— 1.8	— 3.3	— 7.3	87.7
17		763.81	764.02	763.24	762.42	— 3.3	— 1.0	— 1.6	— 4.5	87.5
18		760.17	760.00	758.83	758.17	— 10.0	— 6.3	— 3.0	— 6.9	94.2
19	☉	758.18	757.90	756.69	756.28	— 10.1	— 4.3	— 1.8	— 5.0	89.5
20		756.74	757.30	756.30	755.15	— 2.9	+ 0.7	+ 2.4	— 2.6	88.5
21		753.04	753.31	752.30	752.13	— 5.2	— 1.4	+ 2.0	— 0.6	83.0
22		751.84	751.32	748.73	745.25	— 0.5	+ 0.9	+ 1.5	— 0.4	89.2
23		741.97	742.54	743.14	744.73	+ 0.8	+ 3.1	+ 3.4	+ 2.1	97.5
24		746.19	747.69	749.00	750.49	+ 1.1	+ 1.7	+ 1.6	— 0.1	95.7
25	☾	750.46	750.90	749.49	747.21	— 0.6	— 0.8	+ 0.9	— 0.9	97.7
26		743.79	743.11	740.45	740.29	+ 1.2	+ 3.0	+ 6.6	+ 6.9	92.7
27		739.08	738.88	736.67	734.59	+ 4.9	+ 6.0	+ 6.6	+ 8.0	93.5
28		734.50	735.47	737.33	740.74	+ 7.8	+ 7.5	+ 6.8	+ 2.9	90.5
29		740.33	740.06	740.55	743.12	+ 1.8	+ 2.1	+ 2.6	+ 3.9	95.0
30		745.03	745.03	743.16	746.35	— 1.2	+ 0.9	+ 0.8	+ 0.1	90.0
Sre.		755.192	755.455	754.881	754.944	—1 ^o .92	+0 ^o .12	+1 ^o .44	—0 ^o .63	92.2

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^s. 14^m. 47^s.

względem południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 godz. r.	10 godz. r.	4 godz. w.	10 godz. w.	dé-szczu	śniegu
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pogd. mgła	pogodny	pogodny	smugi	—	—	W.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	W.	PdW.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
pogodny	pochmurny	pogodny	pogodny	—	PdW.	PdW.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
mgła	mgła	mgła	mgła	—	—	PnW.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdZ.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
dészcz	pochmurny	chm. podz.	pochmurny	Z.	PnZ.	PnW.	Pn.	1.20	
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	dészcz b. dr.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	dészcz b. dr.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.80	
napól pog.	pogodny	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		0.72
pochmurny	pr. pochm.	pr. pogodny	zamglony	Z.	Z.	Z.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
dészcz	pochmurny	dészcz b. dr.	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.	2.80	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	mgła gruba	Z.	Z.	Z.	—		
mgła	mgła	pochmurny	pr. pochm.	—	Pd.	PdW.	PdW.		
pochmurny	napól pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PdZ.	0.50	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	chm. podz.	chm. podz.	napól pog.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
lek. zamgl.	pochmurny	pochmurny	dészcz	Pd.	Pd.	Z.	Z.	1.20	
napól pog.	napól pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
								6.50	0.72

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	755.119	27	10.740
Najwyżej barometr dochodził d. 10 o g. 10 r.	767.12	28	4.061
Najniżej barometr dochodził d. 28 o g. 6 r.	734.50	27	1.601
Średnia zmiana dzienna barometru	3.60		1.60
Największa zmiana dzien. d. 13—14 o g. 6 r.	11.43		5.08
Średnia wysokość barometru miesięczna			
jest wyższa o	4.996		2.215
od stanu normalnego z 20 lat poprzed.	750.123	27	8.525
Średnia temperatura Listopada wynosi	— 0° 25 C.		— 0° 20 R.
i ta jest niższa o	1.65		1.32 „
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 1.40 „		+ 1.12 „
Największe ciepło dochodziło d. 27			
o g. 10 w.	+ 8.0 „		+ 6.4 „
Najmniejsze			
d. 19 o g. 6 r.	— 10.1 „		— 8.1 „
(Termometrograf wskazał Maximum:			
d. 27 wiecz. + 7° 0 R.; Minimum			
d. 19 rano — 9° 1 R.			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.33 „		1.86 „
Największa zmiana dzienna tempera-			
tury d. 14—15 o 10 g. w.	8.4 „		6.7 „

Średnia wilgotność miesięczna atmosfery wynosi 92,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną; albo 4,87 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 8; napół pogodnych 7; pochmurnych 15.

— deszczu 7 (d. 12, 13, 14, 23, 26, 27, 29).

— śniegu 2 (d. 10, 16).

— mgły 5 (d. 3, 7, 9, 24, 25).

Wody z deszczu spadło wysoko na 6,50 millim. czyli 2,92 linii par.; z śniegu na 0,72 millim. czyli 0,32 lin. par., razem z deszczu i śniegu 7,22 millim. albo 3,24 lin. par. co wynosi tylko trzecią część tej ilości wody, jaka zwykle w tym miesiącu spada.

Listopad r. b. był pogodny, lecz zimniejszy o 1,32 stop. R. jak zwykle. W stanie średnim w listopadzie, stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest, jak 3 : 6 : 21; w r. b. dni pogodnych było 8; napół pogodnych 7, pochmurnych 15, co pokazuje że stan nieba w listopadzie r. b. był pogodniejszy niż zwykle. Deszcze były rzadkie i nieobfite. Stan powietrza spokojny, wiatrów ani razu nie było.

Wiatr panujący był Południowo-Wschodni, a po nim najczęstszy Zachodni.

D. 1 wieczór, koło białe otaczało księżyc.

O odwoływaniu się od wyroków niezupełnie uniewinających, na zasadzie artykułu 23 ustawy senackiej z d. 26 v. s. marca 1842 r. co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki.

Kwestya o możności odwoływania się od wyroków niezupełnie uniewinających, czyli tymczasowo uwalniających, rozbiéraną już była przed ogłoszeniem ustawy senackiej z dnia 26 marca 1842 r., w rozprawie umieszczonej w poszycie Biblioteki Warszawskiej z miesiąca lutego t. r. (*) pod napisem:

„Czy od wyroków pod formą tymczasowego uwolnienia zapadłych, a mianowicie od wyroku, którym obwiniony *ab instantia* lub dla braku dowodów uwolnionym, albo którym inkwizycya dla niedostatku prawnych dowodów przerwaną została, rekurs w drodze kassacyi ma miejsce lub nie?”

Z wyjaśnienia kolei historycznej, jaką zachodząca kwestya w praktyce sądowej, od r. 1808 aż do ogłoszenia

(*) Tom I, str. 338.

ustawy senackiej przebiegła, okazało się: że sąd kassacyjny przyjmował i rozpoznawał rekursa od wyroków tymczasowo uwalniających, bądź że uwolnienie według ordynacyi kryminalnej pruskiej, z mocy § 409 *ab instantia*, lub z mocy § 413 w związku z § 414 dla braku dowodów nastąpiło, bądź że według procedury kryminalnej austriackiej części I, § 428, lub części II, § 386 inkwizycya dla niedostatku dowodów prawnych przerwana została.

Sąd apellacyjny przeznaczony w r. 1814 do zastępstwa sądu kassacyjnego, z władzą ostatecznego wyrokowania, początkowo w tym samym duchu postępował; później zaś praktykę swą zmieniwszy, rekursa od wszystkich tego rodzaju wyroków, nie wyłączając uwolnienia z mocy § 409 procedury pruskiej, za niemające miejsca czyli za niedopuszczalne uznawał.

Z rozbioru teoretycznego tak przepisów proceduralnych jak ustaw organicznych sądownictwa okazało się, że jurysprudencya sądu kassacyjnego w przyjmowaniu rekursów od wszelkich wyroków tymczasowo uwalniających, odpowiednią była systematowi organicznemu prawodawstwa obowiązującego; czyli innemi słowami, że odwołanie się od wyroków tymczasowo uwalniających czyli niezupełnie uniewinających, obwinionym służy i służyć powinno.

Zachodzącą dotąd kwestyą, przez niejednostajną praktykę sądu apellacyjnego wywołaną, rozstrzygnęła ustawa senacka z d. 23 marca 1842 r. co do sposobu zanoszenia skarg na wyroki, stanowiąc w artykule 23:

„Odwołanie się do senatu od wyroków sądu apellacyjnego, równie jak odwołanie się od wyroków sądów niższych instancyj, służyć będzie skazanym,

czyto na karę, czyto jedynie na ponoszenie kosztów, jak równie i *niezupelnie uniewinionym*."

W sądownictwie kryminalném tutejszém, wszelkie wyroki zapadają na podstawie procedur kryminalnych pruskiej lub austryackiej. Ustawa więc senacka pozwalając skazanym bądź na karę, bądź jedynie na koszt, jako téż niezupelnie uniewinionym odwołania się do wyższych instancyj, miała oczywiście na celu wszelkie kategorie wyrokowania, jakie w pomienionych procedurach są ustanowione, a nie zawierają w sobie zupełnego uniewinienia.

Procedura austryacka zna trzy tylko kategorie wyrokowania, a mianowicie:

skazanie na karę;

uniewinienie; i

przerwanie inkwizycyi dla niedostatku prawnych dowodów.

Procedura pruska, w istocie pięć kategorii wyrokowania ustanowiła, a mianowicie:

skazanie na karę zwyczajną;

skazanie na karę podzwyczajną;

zupełne uwolnienie dla wykrytej niewinności;

zupełne uwolnienie dla braku dowodów;

uwolnienie *ab instantia*.

Co do kosztów, procedura austryacka w części I § 536 i 537, w części II § 440 rozporządza, że uniewiniony wolny będzie od kosztów; uwolniony zaś przerwaniem inkwizycyi dla braku dowodów, na koszt skazany być winien.

Procedura pruska w § 617 wkłada obowiązek ponoszenia kosztów na uwolnionego *ab instantia*, w § 609 zaś uwalnia od ponoszenia kosztów zupełnie uwolnione-

go, chyba gdyby sam dał powód do inkwizycyi nieprze-zorném i nierzetelném postępowaniem.

Zupełne uwolnienie, podług § 413 i 414 jest dwo-jakie: jedno dla wykrytėj niewinności, drugie dla braku dowodów. Ztąd więc uwolniony dla braku dowodów, który z tėj właśnie przyczyny, raz na zawsze za dające-go powód do inkwizycyi uważa się, zawsze skazaniu na koszta ulegnie.

W miarę wyobrażeń i skutków prawnych, procedu-rami tak austriacką jak pruską ustanowionych, za zu-pelnie uniewinionego daje się tylko uważać obwiniony, który według procedury austriackiej na zasadzie czę-ści I § 427 lub części II § 385, stosownie do wymie-nionėj powyżej kategorii drugiej, według ordynacyi zaś pruskiej, na zasadzie § 413 ustępu pierwszego, stoso-wnie do kategorii trzeciej za uniewinionego jest uzna-ny, gdy w tym wypadku wszelkie poszukiwanie prze-ciwko niemu raz na zawsze jest przecięte (*).

Za niezupełnie zaś uniewinionego uważany jest ob-winiony, który podług procedury austriackiej, stoso-wnie do kategorii trzeciej, na zasadzie części I § 428 lub części II § 386, otrzymał wyrok inkwizycją prze-rywający; podług ordynacyi zaś pruskiej, który sto-sownie do kategorii czwartej i piątej bądź na zasadzie § 413, zupełnie dla braku dowodów, bądź na zasa-dzie § 409 tymczasowo, *ab instantia* jest uwolniony, gdyż w dwóch tych wypadkach, ma miejsce odnowie-nie inkwizycyi, za następczeniem się poszlak lub do-wodów, które w pierwszym śledztwie nie były wiadome.

(*) Na mniej ściśłą konsekwencyą procedury austriackiej w tym względzie, zwrócono uwagę w powołanej rozprawie w Bibliotece Warszawskiej z r. 1842, tomie I, str. 342.

Ustawa więc senacka wyrzekła, że odwołanie się do wyższej instancyi, służyć będzie w wypadkach kategorycznych następujących; a mianowicie:

skazanym na karę, nie wyłączając kary podwyższonej podług ordynacyi pruskiej;

tym, którzy otrzymali wyrok przerywający inkwizycją dla braku dowodów;

tym, którzy *ab instantia* są uwolnieni;

tym, którzy otrzymali wyrok na zupełne uwolnienie dla braku dowodów;

tym, którzy na ponoszenie kosztów są skazani.

Odtąd więc w zakresie sądownictwa krajowego, wszelka kwestya *in jure* co do możności i wypadków odwoływania się od wyroków niezupełnie uniewinniających, zdawała się być na zawsze przeciętą.

Tymczasem nowa powstała kwestya co do możności odwoływania się od wyroku stanowiącego zupełne uwolnienie dla braku dowodów, na zasadzie ordynacyi pruskiej § 413 ustępu drugiego.

Co do téj kategorii uwolnienia, oddawna używane są w praktyce sądowej krajowej, następujące wyrażenia i cytacye prawa, a w szczególności: że sąd, z mocy § 413 w związku z § 414, albo z mocy § 413 ustępu drugiego, obwinionego zupełnie dla braku dowodów, albo dla zupełnego braku dowodów, albo dla nieudowodnienia mu czynu karygodnego, od zarzutu i kary, albo od zarzutu, albo od kary, albo téż bez ostatnich tych wzmianek, uwalnia.

Wszystko to, na jedno i toż samo wychodzi, i żadnej w niczém różnicy nie robi, a zwłaszcza uwolnienie obwinionego dla nieudowodnienia mu czynu karygodnego, oznacza uwolnienie dla braku dowodów i pociąga za

sobą zawsze podniesienie inkwizycji przeciwko uwolnionemu, gdy się nowe następują poszlaki lub dowody, które w pierwszym śledztwie nie były wiadome.

Pomimo tak uciążliwego skutku, i pomimo wyraźnego brzmienia artykułu 23 ustawy senackiej, chce się w praktyce sądowej ustalić opinia za niedopuszczalnością odwoływania się od wyroku z mocy § 413 dla braku dowodów uwalniającego.

Pobudką do tej nowej kwestyi, do uznania niedopuszczalności odwołania się w tym wypadku, stał się re-skrypt ministeryalny pruski, jeszcze w r. 1817 pod dniem 24 kwietnia jednemu z wyższych sądów pruskich *Ober-Landes-Gericht*, w objaśnieniu § 413 wydany (*), którego osnowa w przekładzie polskim tak brzmi:

„Lubo podług §§ 413 i 414 między uwolnieniem dla wykrytej niewinności, a uwolnieniem dla braku dowodów, zachodzi różnica we względzie *skutków*, jednakże w miarę przepisu § 413, *zasada* téjże różnicy w sentencji wyrażoną być nie powinna.”

„Mylną wcale jest opinia, jakoby zupełne uwolnienie dla braku dowodów w duchu § 517, stanowiło wyrok uciążliwy, od któregoby wolno było uwolnionemu odwoływać się; gdyż wynikająca z natury rzeczy możność podniesienia inkwizycji za nastąpieniem się nowych dowodów, nie jest bynajmniej taką uciążliwością, którąby prawa, odwoływaniem się do wyższej instancyi, odwracać pozwalały.”

„Dla podniesienia inkwizycji przeciwko uwolnionemu, zaprojektowana formuła sentencji, sama z siebie nie

(*) Umieszczony w dziele A. J. Mannkopffa: *Preussische Criminal-Ordnung, mit den ergaenzenden, abaendernden und erlaeu-ternden Verordnungen. Berlin. 1839. ad § 413.*

byłaby dostateczną, gdy jedynie tylko z motywów wyroku i z aktów śledczych przekonać się można, czy następczone nowe okoliczności lub nowe dowody, dotąd nie były wiadome, a upoważniają do podniesienia inkwizycji.”

„Objawienie w sentencji, na jakiej zasadzie zupełne uwolnienie nastąpiło, nietylko nigdzie przepisaniem nie jest, ale oraz jest bez celu i mogłoby nadto pociągnąć za sobą ten zły skutek, iż uznany za zupełnie uwolnionego, który wszakże nie był w stanie wykazać zupełnej swój niewinności, zawszeby w publicznej opinii uchodził za podejrzanego, niemogącego inaczej odzyskać utraczonego dobrego imienia, tylko wyprowadzeniem zupełnego dowodu niewinności.”

Przedewszystkiém nadmienić przychodzi, iż reskrypt ten, ani żadna inna decyzja interpretacyjna pruska po roku 1807 nastąpiona, mocy obowiązującej w sądownictwie tutejszém nie ma. Jeżeliby się więc miała okazać kollizya teoretyczna między powyższą interpretacją pruską a artykułem 23 ustawy senackiej, zawszeby téjże ustawie wyłączna moc obowiązująca służyła.

Lecz rozbiór krytyczny okaże, że nietylko powyższa interpretacja ministryalna, nie we wszystkich punktach jest usprawiedliwioną, ale że nawet sama ordynacya w rozporządzeniu swém co do odwoływania się od wyroku z mocy § 413, zupełnie dla braku dowodów uwalniającego, jest niepewną, wahającą się; że jeżeli redaktorowie ordynacyi, pomimo głębokiej swój mądrości w rozwijaniu systematu dowodów zewnętrznych, sami wątpliwymi pozostali względem wyraźnego dozwoleń apellacyi w zachodzącym wypadku, tedy było zadaniem późniejszej jurysprudencyi praktyką sądową za-

silanej, wątpliwość tę rozwiązać w duchu żywotnych dążeń ordynacyi, w miarę najwyższego celu wszelkiego śledztwa kryminalnego, przez ordynacyą w § 4 i 5 uznanego, polegającego na ścisłym dochodzeniu bądź winy, bądź niewinności obwinionego, i na wydaniu w tej mierze bezstronnego wyroku. Jakoż z odpowiedzi w reskrypcie ministeryalnym objętych wykazuje się, że spostrzeżenia i propozycje wyższego sądu ziemskiego, *Ober-Landes-Gericht*, które reskrypt ten wywołał, zgodniejsze były z sterującymi zasadami ordynacyi, z postępowaniem jurysprudencyi i potrzebą praktyczną. A nawet, co jest nader ważnym, tak z stanowiska krytyki, jak we względzie ustalenia pewnej w zachodzącym wypadku zasady, że znajduje się późniejszy reskrypt ministeryalny z d. 12 listopada 1831 r. do § 515 odnoszący się, który opinią reskryptu z r. 1817, w punkcie niemożności odwoływania się, z wyższych zasad ordynacyi zbija.

Zaczynam od rozbioru samej ordynacyi co do § 413 w związku wszakże z § 409, dlatego, że w dwóch tych paragrafach objęte są trzy kategorie uwolnienia obwinionego, i że przez ich zbliżone porównanie, zasady i różnice między niemi zachodzące, jaśniej na wierzch wystąpią, a tém samym kwestya co do odwołania się od wyroku z mocy § 413 dla braku dowodów uwalniającego, z gruntu się wyświeci.

Zgodnie z reskryptem z r. 1817 przyznać należy, iż ordynacya, podług brzmienia § 413 w rzeczy samej rozporządziła, aby bądź w razie uwolnienia obwinionego dla wykrytej niewinności, bądź w razie uwolnienia go dla braku dowodów, *zupełne uwolnienie* wyrzeczonóm było; bez objawienia w sentencyi istotnej zasady uwolnienia,

czy dla wykrytej niewinności, czy dla braku dowodów nastąpiło.

Lecz domniemane pobudki tegoż rozporządzenia, jakoby objawienie zasady uwolnienia w sentencji, nie miało celu i mogło szkodzić uwolnionemu, który nie był w stanie wykazać zupełnej swój niewinności, tamując mu możność odzyskania w publicznej opinii dobrego imienia, oczywiście są wątle i nieodpowiednie duchowi ordynacyi. Sentencya bowiem jest odbiciem zdania sędziów, wyrazem myśli i celu wyroku. Sentencya więc żadnej dwuznaczności pozostawiać nie powinna. Szukanie zasady uwolnienia po motywach wyroku, w wielu wypadkach wymagałoby zwoływania sądu dla rozwiązania następczo z motywów wątpliwości, czy uwolnienie zupełne dla wykrytej niewinności, czy dla braku dowodów nastąpiło. Byłby to nowy wyrok, bez względu na to, czyby ciż sami sędziowie czy inni sądzili, a wyrok ten, dla przecięcia dalszej wątpliwości, musiałby w sentencji objawić zasadę uwolnienia. Tym sposobem upadłby pierwszy wyrok, jako zastąpiony drugim wyrokiem, a nadto rozporządzenie § 413 co do nieobjawienia zasady uwolnienia, we wszystkich tego rodzaju wypadkach okazałoby się niewykonalnym. Ztąd więc cel objawienia w sentencji zasady uwolnienia leży w potrzebie praktycznej.

Punkt względem szkodliwości objawienia zasady uwolnienia w sentencji, jest naciągany, jednostronny i niezgodny z bezwzględną sprawiedliwością: albowiem przychodzi w pomoc tylko obwinionemu, który dla braku dowodów uwolnionym został, a szkodzi w istocie obwinionemu, który dla wykrycia niewinności jest uwol-

niony, gdy ostatni w miarę sentencji pozostawiającej wątpliwość względem istotnej zasady uwolnienia, dotknięty będzie, tak jak pierwszy, wątpliwą opinią. Obwiniony który wykazał swą niewinność, nigdy w żadnym przypadku i pod żadną formą nie powinien być poświęcony dla korzyści obwinionego, który nie zdołał usprawiedliwić się zupełnie z zarzutu. Między uniewinionym a podejrzanym, żadnego nie ma przymierza ani materialnego ani formalnego. Dlatego wyrok uznający pociąganego za uniewinionego, ogłaszać to powinien w sentencji, tak na cześć obwinionego jak na cześć bezwzględnej sprawiedliwości.

Lecz nadto, niepodobna przypuszczać, ażeby przezorny redaktorowie ordynacyi, kojarząc z sobą w § 413 dwie niesforne kategorye uniewinienia i uwolnienia dla braku dowodów, nie mieli w tém innéj ważniejszej pobudki nad ułatwienie tym którzyby dla braku dowodów byli uwolnieni, możności odzyskania dobrego imienia w publicznej opinii.

Przyczyna połączenia dwóch tych kategoryj i nazwania ich bez różnicy *zupelném uwolnieniem*, leży w czém inném, a mianowicie w wrodzonej niedoskonałości teoryi dowodów zewnętrznych, w systemacie, który z jednej strony przepisuje, co stanowi samo w sobie dowód zupełny, lub pół dowodu, lub zbieg poszlak do wymierzenia kary bez przyznania się obwinionego dostateczny, z drugiej krępuje zdania sędziów, oddając je martwym prawdom tychże przepisów dowodowych. Taki system pomimo wszelkiej przezorności prawodawczej, nader łatwo i nader często do mylnych lub uciążliwych rezultatów wyrokowania prowadzić może. Potrzeba więc szukać środka zapobiegającego, ile możności, błędnemu według

wyłącznych przepisów dowodowych wyrokowaniu. Potrzeba obok samowładności dowodów *in abstracto* nadanych, usamowolnić zdanie sędziego, zwłaszcza że niema granicy ani oznaki nieomyłnej, gdzieby krępująca moc dowodu zaczynać się lub ustać powinna: że nadto funkcja umysłowa sędziego, w robotę mechaniczną przejść się nie da, i indywidualne, sumienne przekonanie sędziego, nie powinno być narażone na szwank sprzeczności z domniemanym dowodem prawnym.

Zaradczy w tej mierze środek, redaktorowie ordynacyi upatrywali w logiczném pomnożeniu prawnej skali dowodów, w ustanowieniu pięciu, zamiast trzech kategorii wyrokowania.

W procesie inkwizytoryjnym, systemat dowodów zewnętrznych przypuszcza z konieczności trzy kategorie, a mianowicie: pewność prawną co do winy, pewność prawną co do niewinności, i niepewność prawną łącznie co do winy i niewinności.

Lecz pewność lub niepewność, czerpana z nadanych prawem prawideł dowodowych, dopuszcza z istoty i natury swój, zmniejszenia się bądź pewności bądź niepewności, tak w miarę większego lub mniejszego zbiegu poszlak prawnych mniej więcej uzasadnionych, mniej więcej dowodzących, jako też w miarę indywidualnego domniemania sędziego.

Ztąd wyróżniło się i wywiązało pięć kategorii następujących, a mianowicie:

1. Affirmacya, czyli uznanie zupełnego dowodu prawnego co do winy, a skutkiem tego, skazanie na karę zwyczajną.

2. Uznanie dowodu prawnego acz niezupełnego co do winy, a skutkiem tego skazanie na karę podzwyczajną, z mocy § 391.

3. Negacya dowodu prawnego, czyli niedostatek dowodów co do winy, a skutkiem tego, uwolnienie *ab instantia*, z mocy § 409.

4. Affirmacya, czyli uznanie zupełnego dowodu prawnego co do niewinności, a ztąd zupełne uwolnienie, z mocy § 413 ustępu 1go.

5. Negacya zupełnego dowodu prawnego co do *niewinności*, a ztąd zupełne uwolnienie, z mocy § 413 ustępu drugiego.

Różnica więc przedmiotowa kategorii negacyjnych trzeciej i piątej na tém polega, że pierwsza, do § 409 odnosząca się, oznacza uwolnienie obwinionego *dla braku dowodów winy*, druga zaś w § 413 ustępie drugim objęta, oznacza uwolnienie obwinionego *dla braku dowodów niewinności*. W pierwszym przypadku zachodzi większe podobieństwo winy, w drugim większe podobieństwo niewinności. Ostatnia kategoria przypuszcza nie tylko odparcie poszlak winy, ale *początek dowodu niewinności*, i jest tym sposobem zbliżona do kategorii czwartej, wyrażającej uznanie zupełnej niewinności: i z téjto przyczyny redaktorowie ordynacyi, obie te kategorie w jednym i tymże samym § 413 połączyli, dozwalając, aby brak dowodu niewinności pokryty był wysłowieniem *zupełnego uwolnienia*, czyli tą samą formułą uwolnienia, jaka służy uwolnionemu dla wykrytej niewinności.

Kategoryczny układ ten znajduje swe usprawiedliwienie w niemożności ustanowienia nieomylnych reguł i prawideł dowodu zupełnego, czerpanego z zbiegu poszlak i okoliczności; w potrzebie odwoływania się zawsze do indywidualnego domniemania sędziego, do dowodu czerpanego w świetle i doświadczeniu sędziego;

w krzyżowaniu się domniemań prawa i sędziego: zgola w radykalnej trudności oznaczenia *in abstracto*, i ocenienia *in concreto*, co dowód, co poszlakę, co pozór stanowić powinno.

Sędzia, acz wiązany obowiązkiem wyrokowania podług domniemania prawa, mając w każdej sprawie pozostawioną wolność wyrokowania podług własnego domniemania, z powodu możności rozważania, które z pięciu kategorycznych różnic dowodu, wyprowadzonemu śledztwu najwłaściwiej odpowiada, która z nich z toku całej sprawy mimowolnie się wyłuszcza i na utwierdzenie wyrokiem zasługuje, stoi tym sposobem i pod dozorem i na straży systematu dowodów zewnętrznych; uniknie sprzeczności między samowładną mocą dowodów prawnych, a swém indywidualnem przekonaniem, i wyda wedle najwyższego prawdopodobieństwa wyrok wolny od uciążenia lub pobłażania.

Rozwinięty przez redaktorów ordynacyi system, stanowi poniekąd przymierze i równowagę między domniemaniami prawa a domniemaniami sędziego.

Gdyby zakaz podniesienia inkwizycyi rozciągał się do całej treści § 413 i tym sposobem z jednej strony była uzacnioną cześć położona w sumieniu i powadze sędziego, z drugiej utwierdzoną konsekwencyą zupełnego uwolnienia opartego na początkowym dowodzie niewinności, natenczas nie byłoby nic do zarzucenia przeciw połączeniu w jednym i tymże samym paragrafie dwóch kategorij zupełnego uwolnienia; lecz przywiązanie groźby podniesienia inkwizycyi do jednej z nich, to jest do zupełnego uwolnienia dla braku dowodu niewinności, znowu je rozrywa, jest sprzecznością względem sterującej zasady w zaprowadzeniu dwóch różnych kategorycznych uwol-

nień, jednego dla braku dowodu winy, drugiego dla braku dowodu niewinności; zamieniło zupełne uwolnienie dla braku dowodu niewinności w § 413 ustępie drugim objęte, w subtylizacyą, w prostą formalność prawnego znaczenia pozbawioną, i zrównoważyło je w zupełności co do skutku prawnego z uwolnieniem *ab instantia* według § 409. Cała różnica prawna między jednym a drugim sposobem uwolnienia w miarę §§ 411 i 414 znika, stawszy się prózną grą teoretyczną z domniemaniami sędziego i domniemaniami prawa.

Jedna sprzeczność lub inkonsekwencya zwykle drugą większą za sobą pociąga. W dalszych bowiem rozporządzeniach ordynacyi, w których ustanowione trzy różnice uwolnienia, koniecznie powinnyby były być wytknięte, znajduje się wzmianka tylko o dwóch sposobach uwolnienia, a mianowicie o zupełném uniewinieniu i o tymczasowém *ab instantia* uwolnieniu. Toż w szczególności zachodzi w § 288 co do przygotowania sentencji (*Erkenntnisformel*); w § 506 co do różności zdań sędziów i ustanowienia większości głosów; w §§ 534 i 535 co do wymotywowania wyroku bez opłaty lub za opłatą kosztów; w §§ 609 i 617 co do skazania na ponoszenie kosztów sądowych; nadewszystko zaś w § 515 wkładającym obowiązek na ogłaszającego wyrok, aby objaśnił obwinionego iż mu służy możność odwołania się bądź od wyroku na karę skazującego, bądź od wyroku *ab instantia* uwalniającego.

W § 506 wyrażenie *ganz unschuldig* nie pozostawia żadnej wątpliwości, że pod tém wyrażeniem uwolnienie z mocy § 413 dla braku dowodów nie jest objęte: a ztąd potrzebaby je uważać za objęte pod wyrażeniem *vorläufige Freisprechung*.

Odnosnie do wysłowień § 413, wynika z wyrażenia w § 488 *dass der Angeschuldigte gaenzlich oder nur vörlaeufig freizusprechen* wątpliwość, do której z tych dwóch kategorii należy uwolnienie z mocy § 413 dla braku dowodów.

W § 534 i 535 jako téż w § 609 i 617 przy uwadze na boczne napisy, jeszcze większe powstaje zamieszanie wysłowień, myśli i celu: tak, że niepodobna dojść, pod którym wyrażeniem redaktorowie ordynacyi, uwolnienie z mocy § 413 dla braku dowodów objąć zamierzali.

Takaż sama wątpliwość towarzyszy wyrażeniu w § 515 co do *Lossprechung von der Instantz*, gdy się zważy, że z powodu groźby podniesienia inkwizycyi, jaka na uwolnionym z mocy § 413 dla braku dowodów ciąży, tenże za uwolnionego *ab instantia* uważany być powinien. Samo wysłowienie wszakże sprzeciwia się wcieleniu tego ostatniego do § 515, a w takim razie nie pozostawałoby jak przypisać redaktorom ordynacyi inkonsekwencyą następującą: że temu który za sobą ma początek dowodu niewinności i bliższym jest do zupełnego oczyszczenia się w wyższej instancyi, możności odwołania się odmówili, a dozwolili jej owszem temu, który będąc tylko dla braku dowodu winy uwolnionym, nie tak wielkie wzbudza domniemanie co piérwszy, za możnością zupełnego oczyszczenia się z zarzutu.

Zgłę, najpewniejszy wniosek interpretacyjny jest ten, że redaktorowie ordynacyi, utworzywszy w § 413 sposób zupełnego uwolnienia dla braku dowodu niewinności, sami nie wiedzieli, jakie mu dać znaczenie prawne w zastosowaniu i skutkach.

Atoli *ratio legis*, we wszelkich wątpliwościach prawa przeważać powinna. Dlatego mylną wcale jest opinia reskryptu z r. 1817, jakoby zupełne uwolnienie dla braku dowodu niewinności, nie było wyrokiem uciążliwym, w duchu § 517 głoszącego za stanowczą, niczém nieograniczaną zasadę: „iż każdemu wolno odwoływać się od wyroku kryminalnego uciążliwego.”

Reskrypt ten wprawdzie twierdzi, że możność podniesienia inkwizycyi, nie jest taką uciążliwością, dla którejby prawo odwoływania się dozwalać miało: lecz twierdzenie to żadnym argumentem nie jest poparte, niczém zgoła nieusprawiedliwione, a nawet widocznie prawu przeciwne, gdy owszem prawo w § 515 dozwala apellacyi w celu odwrócenia groźby podniesienia inkwizycyi.

Wyrok uwalniający pod groźbą podniesienia inkwizycyi, a tém samém pod zarzutem występku pozostawiający, jest w duchu § 517 wyrokiem uciążliwym (*ein nachtheiliges Urtheil*), jest wyrokiem uszczerbek na sławie obwinionego czyniącym, jego dobre imię na złą opinią narażającym, a to tém bardziej, gdy przepis następnego § 518, chce mieć uważane za apellacją wszelkie nieukontentowanie (*Unzufriedenheit*), względem zapadłego wyroku przez obwinionego objawione.

Gdyby np. obwiniony o krzywoprzysięstwo, wyrokiem z mocy § 413 dla braku dowodu niewinności uwolniony, oświadczył, że nie jest kontent z wyroku, bo będąc niewinnym spodziewał się uznania zupełnej swój niewinności, bądź w sentencji, bądź w motywach wyroku: czy w skutek objawionego tym sposobem nieukontentowania wolnoby było, wbrew przepisów §§ 517 i 618, odmawiać mu apellacyi albo takową za niedopuszczalną uznawać? — zaiste, nie.

Oczywiście więc reskrypt z roku 1817, pominął się z duchem, a nawet z wyraźnemi przepisami ordynacyi.

Jakoż w reskrypcie późniejszym ministeryum pruskiego z d. 12 listopada 1831 przepis § 515 objaśniającym, znajduje się ustęp tak brzmiący (*):

„*Najwyższą jest owszem zasadą ordynacyi, ażeby obrona i wykazywanie niewinności, niczém nie były ograniczonemi; ażeby obwiniony o wszystkiém co za nim i przeciw niemu przywiedziono, jako téż o zasadach zapadłego przeciwko niemu wyroku, zupełną otrzymał wiadomość, w celu postawienia go w możności przytoczenia wszystkiego, coby zasady wyroku osłabić i jego niewinność wykazać mogło.*”

Wywód ten, dostatecznie usprawiedliwia naszą teorią, że podług ducha samej ordynacyi, odwołanie się od wyroku zupełnie dla braku dowodu niewinności uwalniającego, ma miejsce.

Już wyżej nadmienilo się, że żadna interpretacya autentyczna pruska, po roku 1807 nastąpiona, w kraju tutejszym obowiązywać nie może. Z epoką tą bowiem, ordynacya kryminalna pruska, wcieloną została w kraju tutejszym do nowego organicznego porządku administracyi krajowej, i w nim tylko, dalszą swą interpretacyą znaleźć mogła, w miarę artykułu 2 uchwały, sankcyą króla saskiego z d. 18 marca 1809 objętej (**).

Otóż możność odwoływania się od wyroku, zupełne uwolnienie dla braku dowodu niewinności wyrzekającego, do wyższych instancyj, znajduje poparcie i swe

(*) Umieszczony w dziele Mannkopffa powyżej w nocie powoływaném ad § 515.

(**) Dziennik księstwa warszawskiego Tom I. 223.

utwierdzenie, tak w porządku organicznym sądownictwa krajowego, jak w ustawach oznaczających skutki do tego rodzaju uwolnienia przywiązane; a to bez względu na teorią z samego toku ordynacyi wyłamana, jako też bez względu na reskrypt ministeryalny pruski z roku 1831.

Przedewszystkiém nadmienić należy co do punktu nieobjawiania zasady uwolnienia w sentencji, że w sądownictwie tutejszém, zacząwszy od r. 1808, przeciwna temu zachowywała się praktyka, gdy zawsze wymienioną bywa w sentencji zasada uwolnienia, przez wyraźne zacytowanie odpowiednich paragrafów i użycie odpowiednich w téj mierze wysłowień, jak się to już wyżej rzekło.

Zwyczaj ten, *usus fori*, niewątpliwie przeszedł do nas z pierwiastkowej praktyki, jaką sądy pruskie w kraju tutejszym aż do r. 1807 wykonywały, i znalazł później swe poparcie wśród właściwego sądownictwa pruskiego w doświadczeniu praktyczném owego wyższego sądu ziemskiego, który wedle reskryptu z r. 1817, usprawiedliwiając potrzebę objawienia zasady uwolnienia w sentencji, stałe w téj mierze formuły wyrokowania, ministrowi pruskiemu zaproponował.

W naszym zaś sądownictwie, zwyczaj ten czyli sposób zredagowania sentencji, opiera się na porządku organicznym, na potrzebie niezbędnej. Wiadomo, że forma wprowadzania spraw, wydawania i *wygotowywania* wyroków kryminalnych, urządzoną jest na wzór postępowania sądowego cywilnego. W miarę tych form, wygotowanie motywów wyroku, nie poprzedza sentencją, jak się to dzieje w procesie pruskim bądź cywilnym, bądź kryminalnym, lecz po niej następuje. Motywa wy-

roku, przez pisarza sądowego wygotowywane, ściśle do treści sentencji zastosowane być powinny. Ztąd wypada, że w każdej sprawie, bądź cywilnej, bądź kryminalnej, sentencya wyrażać powinna jasno i dobitnie uchwalone przez sąd zdanie, żadnej nie pozostawiając dwuznaczności. Jak we wszelkich wypadkach skazywania na karę zwyczajną lub podzwyczajną, powoływane są w sentencji właściwe artykuły prawa, tak w razie uwolnienia obwinionego, bądź dla wykrytej niewinności z mocy § 413 ustępu pierwszego, bądź dla braku dowodu winy z mocy § 409, bądź dla braku dowodu niewinności z mocy § 413 ustępu drugiego, sentencya objawić to powinna odpowiedniem wystowieniem i powoływaniem się na właściwy przepis prawa. Inaczej mogłaby po ogłoszeniu wyroku zupełne uwolnienie stanowiącego, zająć wątpliwość, z jakiej zasady uwolnienie to nastąpiło, czy dla wykrytej niewinności, czy dla braku dowodu niewinności, a nawet w razie niewyrażania zasady uwolnienia w sentencji, sędziowie nie mieliby żadnej kontroli sprawdzenia wygotowywanych przez pisarza motywów, i sam pisarz mógłby być nieraz narażony na wątpliwość przy wyrabianiu motywów, zwłaszcza w natłoku zapadających licznie wyroków.

Zatajenie w sentencji zasady istotnej uwolnienia, przeciwnie jest żywotnym i organicznym zasadom sądownictwa tutejszego. Administracya i wymiar sprawiedliwości nie cierpi żadnej tajemnicy. Dlatego wyrok czyli sentencya, jako urzeczywistnienie wynalezionej przez sędziów sprawiedliwości, powinna być wyraźną i zrozumiałą dla wszystkich. Sam uwolniony, nie chciałby śledzić po motywach wyroku i z nich wyrozumić jaką była i jest istotna myśl ogłoszonej sentencji.

Zachowywana od r. 1808 praktyka sądowa wyrażania w sentencji, czy obwiniony z mocy § 413 dla wykrytej niewinności, czy z zasady § 409 *ab instantia*, czy z zasady § 413 w związku z § 414 dla braku dowodów uwolnionym został, wcieliła się we wszystkie ustawy, mocą których skutki tego rodzaju uwolnień oznaczono. Uwolniony z mocy § 413 dla braku dowodów, uważany był zawsze *za pozostawionego pod zarzutem występku lub zbrodni*, dlatego, że ordynacya pruska w § 414, zagraża mu podniesieniem inkwizycyi na przypadek następczenia się nowych poszlak.

Ustawy i wypadki tego rodzaju wyłuszczone są w rozprawie na początku powoływanej (*). Teraz więc nie pozostaje, jak uzupełnić je przytoczeniem późniejszego w tym względzie rozporządzenia z roku 1845, według którego nie mogą być przypuszczeni do urzędów ci, którzy pod sąd oddani, wyrokami *zupełnie nieuniewinieni*, ale jedynie dla *braku dowodów od kary uwolnieni*, tém samém *pod zarzutem pozostali*.

Rozporządzenie to wprawdzie nie stosuje się do przewinień mniej ważnych, i ma jedynie na celu zarzuty zbrodni lub występku hańbiącego, a nadto znajdzie swe zastosowanie jedynie względem tych, którzy na służbie rządowej swój sposób do życia zakładają. Ztąd przecież nie można wyprowadzać wniosku, iż urzędnikowi w zarzucie zbrodni lub występku hańbiącego pod sąd oddanemu, a z mocy § 413 jedynie dla braku dowodów wyrokiem I instancyi uwolnionemu, odwołanie się do wyż-

(*) W Bibliot. Warszaw. r. 1842. Tom I od str. 362 do końca rozprawy. Na stronnicy 363 w ustępie drugim, poprawić należy omyłkę drukarską, gdyż zamiast *zastosowanie*, powinno być *zostawanie* zaś pod zarzutem...

szęj instancyi nie służy. Owszem przeciwnie, skoro bądź urzędnik pod sąd oddany, bądź osoba prywatna do odpowiedzialności pociągana, nie mogłaby być przypuszczoną do urzędu dlatego, że ciąży na niej wyrok w zarzucie zbrodni lub większego występku, jedynie dla braku dowodów uwalniający, przypuszczać należy, że powyższe rozporządzenie, nie chciałoby w téj mierze bynajmniej poprzestać na wyroku I instancyi, lecz wymagałoby raczej wyroku wyższej instancyi, to jest zdania stopniami instancyj sądowych wykrytego. Jakoż w rzeczy samej, samo wysłowienie, sama litera rozporządzenia powyższego, zgadza się w zupełności z brzmieniem artykułu 23 ustawy senackiej i do tego wprost się odnosi. Artykuł zaś ten, zgodnie z wewnętrznym duchem ordynacyi pruskiej i reskryptem ministeryum pruskiego z r. 1831 zredagowany, żadnej nie robi różnicy między uwolnieniem dla braku dowodów winy z § 409, a uwolnieniem dla braku dowodów niewinności z § 413, a to tém mniej, że w obu tych wypadkach, śledztwo przeciw uwolnionemu za odkryciem nowych poszlak, podniesione być może.

Nakoniec nie można pominąć téj uwagi z wieloletniej praktyki sądowej czerpanej, że jak niepodobieństwem jest poprzestać na wyroku piérwszej instancyi, winę uznającego i karę wymierzającego, tak niepodobieństwem jest poprzestać na wyroku piérwszej instancyi, niezupełnie, czyli dla braku dowodów, bądź z § 409, bądź z § 413 uwalniającego.

Sama niedoskonałość systematu dowodów zewnętrznych powyżej wyjaśniona, trudność w ocenieniu rozmaitych poszlak i dowodów śledztwem objętych, i różne inne okoliczności sążeniu towarzyszące, wymagają dozwoleń appellacyi od wyroków niezupełnie uniewinia-

jących. Dla tych właśnie przyczyn ustanowione są instancje sądowe, a ich konieczność w każdym sądownictwie jest uznana.

Liczne znachodzą się w praktyce sądowej przykłady urojonych przestępstw, a wśród walczących i krzyżujących się między sobą poszlak i dowodów lub pozorów, wśród nastęrczających się wątpliwości w ocenieniu przedmiotowém zarzutów lub czynów; w ścieraniu się domniemań prawa i domniemań sędziego, zdanie i wyrok sędziego pierwszej instancji, bez rozbioru i sprawdzenia pozostawionym być nie może.

Ztąd widoczna, że opinia obstawająca przy niedopuszczalności odwoływania się od wyroku w zarzucie przestępstwa na zasadzie § 413 jedynie dla braku dowodów uwalniającego, nie odpowiada ani duchowi ordynacyi pruskiej, ani interpretacyi ministeryum pruskiego z r. 1831, ani ustawie senackiej, ani ustawom skutki uwolnienia dla braku dowodów oznaczającym.

Z rozbiieraną dotąd kwestyą prawną, łączy się druga kwestya: czy niedopuszczalność odwoływania się, przez *prostą decyzją ekonomiczną*, mogłaby być postanowioną? Kwestyą tę rozwiązuje zasada z ogółu postępowania sądowego tak cywilnego jak kryminalnego czerpana: że wyrok sądowy do wyższej instancji zaskarżony, w żadnej innej drodze i przez żadną inną formę rozpoznawanym być nie może, tylko za pośrednictwem wyroku, w wyższej instancji, po odczytaniu relacyi, obrony, jako też wysłuchaniu wniosków prokuratora, zapadłego, a następnie ogłoszonego.

Lubo zasada ta w ogólnych ustawach organizacyi sądownictwa wyraźnie postanowioną nie jest, jednakże łatwo szczegółowemi prawami da się usprawiedliwić. Al-

bowiem ordynacja pruska w § 478, zgodnie z procedurą austryacką w części I § 415 i w części II § 378 stanowi: że w każdej sprawie, w której *osoba pewna* do odpowiedzialności jest pociągana, ma być wydany *wyrok formalny* względem jej winy lub niewinności. Ztąd wypływa, że i w wyższej materji, za odwołaniem się obwinionego, formalny wyrok wydany być powinien. Prosty ten wniosek wyraźnie jest utwierdzony rozporządzeniami ordynacji pruskiej w §§ od 525 do 528 i w § 531, jako téż procedurą austryacką w części I § 437.

Wydawanie wyroku zamiast decyzji, nie jest próżną formalnością, lecz rękojmą rzeczywistego wymiaru sprawiedliwości.

W miarę artykułu 11 organizacji sądownictwa kryminalnego z dnia 26 lipca 1816 r., proces kryminalny dzieli się na *instrukcyę sprawy* i na *osądzenie sprawy*. Instrukcyja sprawy kieruje się prostemi decyzjami. Osądzenie zaś sprawy, w którejkolwiek bądź instancyi sądowej i z *jakiejkolwiek* bądź *zasady prawnej* inaczéj nastąpić nie może, tylko po wprowadzeniu sprawy na audyencyą, za pośrednictwem formalnego wyroku. Ztąd więc wszelkie odwołanie się obwinionego lub warunkowo uwolnionego od wyroku niższej instancyi, tylko mocą formalnego wyroku rozpoznawane i ocenione być może, chociażby się okazało, iż jest bezzasadne lub nawet niedopuszczalne.

Dopóki nie będzie zniesiona możność podniesienia inkwizycyi przeciwko uwolnionemu z mocy § 413 dla braku dowodów, i uwolnienie to nie będzie uważane za zupełne uniewinienie, tylko za pozostawienie pod zarzutem, dopóty na zasadzie artykułu 23 ustawy sena-

ckiej, w związku z procedurami kryminalnymi pruską i austryacką, odwołanie się od wyroku pierwszej instancji dla braku dowodów uwalniającego służyć powinno, a odwołanie się to, w wyższej instancji za pośrednictwem formalnego wyroku rozpoznawać należy.

August Heylman.



KORRESPONDENCYA.

Powieść.

PRZEZ

Josefa Horzeniowskiego.

Na wzgórzach lewego brzegu Teterowa rozciąga się miasteczko K.... Niewielki dom właściciela leży bliżej rzeki w ogrodzie dochodzącym do samego jej brzegu. W témto skromném i tymczasowém mieszkaniu, będzie temu lat dziesięć, zebraliśmy się raz w towarzystwie niezbyt liczném, ale ożywioném wesołym humorem i dowcipem gospodarza, i wzorowém ukształceniem gospodyni. Około godziny siódmój zawołano nas do herbaty. Przez parapetowe drzwi salonu wyszliśmy na balkon niedawno przybudowany i ubrany z prostotą i gustem. Trzy jego ściany zawieszono były białym i zręcznie sfałdowanym perkalem, czwartą, otwierającą się na ogród, rzekę i leżące za nią bory, podpięrały proste i czysto wyheblowane słupy, wokoło których wił się bluszcz i przeskakując w zielonych arkadach od jednego słupa do drugiego, gubił się w bogatėj grupie najrzadszych krzewów, zdobiących jeden z kątów galeryi. Przed wschodami rozcią-

gał się plac czysty, ubity i usypany żwirem; po jego brzegach stały kłaby z kwiatów wyniesionych z oranżeryi, a dalej gałęziły się ulice po całej przestrzeni ogrodu. Na prawo była oficyna gościnna, na lewo stary lamus, świadek zamożności dawnych dworów naszych, i starożytnie ruiny wielkiego niegdyś mieszkania ojca i dziada terażniejszego właściciela. Było to przy końcu czerwca. Wieczór był ciepły i cichy, niebo czyste, powietrze pełne świeżości i woni. Zdaleka słyszeliśmy turkot wozów chłopskich i ryk trzód wracających z pola, przed nami cicho pluskał Teterów, rozbijając się o stérczące gdzieniegdzie kamienie, a dalej głucho szumiała puszcza sosnowa głęboka i posępnie rozłożona po całym prawym brzegu téj pięknej rzeki.

Zasiedliśmy wokoło stołu i wszyscyśmy z początku umilkli. Bo gospodyni zajęta była herbatą, gospodarz poglądał na ruiny domu swych przodków, inni goście ucieszeni świeżością powietrza, przypatrywali się pięknemu widokowi, a ja patrząc zdaleka na uciekające fale rzeki, zadumałem się pomyślawszy, że jedyne serca mego życzenie, życie wiejskie, rozbija się i rozbryzguje jak te płynne i unoszące się masy, o nieruchome i twarde kamienie.

Wkrótce jednak wesola rozmowa na nowo toczyć się poczęła.

Przechodziliśmy od jednego przedmiotu do drugiego, od pszenicy do winogrodu, od pochyłych brzegów Teterowa do południowego brzegu Krymu, od batu kołyszącego się na niewielkich falach rzeki do okrętu miotanego bałwanami, na którym niedawno nasza gospodyni zwiedziła Palermo i Malte; niekiedy dowcipne lub chcące być dowcipnemi uwagi, przerywały opowiadania; za-

czał się i kalambur gdy rozmowa nasza, jak mieniąca się materya, przelała się z polskiego języka na francuzki. Wśród tak wesołego i swobodnego gwarzenia, oddano saméj pani list dosyć gruby. Rozpieczętowała go i wydobyla dwa półarkusze na wszystkie cztery strony niezmiernie drobno i ściśle zapisane. Nie patrząc na podpis, poznała widać rękę, uśmiechnęła się i zasunawszy list w kopertę, położyła go spokojnie na stole.

Był między nami mężczyzna mający przeszło lat trzydzieści. Z łątwością przyjemną i niewymuszoną należał do naszej rozmowy, i zdawał się być w dobrym humorze. Ale na widok tego listu, zmieszał się widocznie, ściągnęły się jego brwi, pocięrał ręką czoło, jakby sobie co przypomniał i wyraźnie się zasmucił. Byłto niedawny sąsiad naszego gospodarza, powierzchowności ujmującej a nawet okazałej. Czoło otwarte i wyniosłe, wejście pewne i ze śmiałością łączące skromność, uśmiech łagodny, przez który przebijał się lekki smutek, nadawał twarzy jego wyraz pełen rozumu i wdzięku. Ubiór zupełnie czarny i staranny, podnosił jeszcze przystojną powagę jego ułożenia i ruchów.

Postrzegłszy zmianę w jego licu, gospodarz zapytał z zajęciem: — Co ci to panie Antoni?

— List ten, odpowiedział p. M... przypomniał mi wiele z upłynionych dni mojej młodości.

— Czy znasz tę rękę?

— Bynajmniej, rzekł p. M... i schylając oczy dodał: znałem podobną.

— Od kogożto? zapytał znowu nasz gospodarz obracając się do żony.

— *C'est de la femme de trente ans*, odpowiedziała ścisnąwszy misternie piękne swe usta, jakby na znak lekkiego wstętu.

— Zostawże te depesze na jutro, rzekł mąż. Ani teraz, ani przy świetle decyfrować ci ich nie pozwolę. Zresztą musisz się domyślać treści. Zapewne się unosi nad nowym romanssem Balzaka i jego wyborne i żywe obrazy w martwój i nudnój treści opisuje.

Działo się to w tym czasie, kiedy jeszcze Balzak był w rękę wszystkich, wszczęła się więc rozmowa o różnych płodach tego autora, o ich zaletach i wpływie; od ogółu przeszliśmy do szczegółów i anatomizując różne stworzenia jego imaginacyi, naturalną koleją wróciliśmy się do trzydziestoletniej kobiety.

— Balzak, rzekł jeden z obecnych, tém interesującym stworzeniem wiele złego narobił. Pod ten typ nie podchodzą wprawdzie damy, chociażby się rzeczywiście znajdowały w tym krytycznym wieku, jeżeli mają mężów których kochają, jeśli mają córki którym potrzeba dać dobry przykład, jeżeli mają synów, nad których wychowaniem czuwać i których serca dobrém zasiać potrzeba nasieniem. Żeby być kobietą trzydziestoletnią, trzeba mieć czas i żyć bez celu, a święte obowiązki matki, żony i pani domu, zwracając myśli ku tym istotom, które społeczność i natura opiece matki i żony powierzyła, wypełniają cały byt ustawiczną przemianą czystej radości, dojmujących trosk, nieraz śmiertelnój obawy, tak dalece, że życie nie jest nigdy czcze i pozbawioné wysokich celów. Nawet stara panna jest złą trzydziestoletnią kobietą.

— A toż znowu dlaczego? rzekł gospodarz.

— Przyczyna tego bardzo prosta, odpowiedział pan Ignacy. Stare panny są dwojakiego gatunku: jedne natura zasłoniła przeciw wszelkim pokusom nieprzebitym puklerzem szpetności, i te oczywiście do téj kategorii

nie należą; drugie chociaż przez jakieś przypadkowe przyczyny doszły do téj nieszczęsnej pełnoletności, są jednak ładne, są przyjemne. Te ostatnie nie są wolne od kokieteryi; ale zawsze w ich zabiegach jest cel pozyskania ręki tego, którego serce podbijają. Cel taki jest pozwolony, jest uczciwy. Chcą one wyjść z dwuznacznego położenia w którym je przypadek postawił, chcą zająć pewne miejsce w społeczności, chcą przestać być ni tém ni owém.

— Cóż więc jest trzydziestoletnia kobiéta? zapytała śmiejąc się gospodyni.

Spojrzał orator po otaczających go osobach, i jakby się zapewnił że żadnej z nich nie obrazi, przysunął się do stołu, oparł się obiema rękami, jak professor zaczynający lekcją i tak dalej mówił: — Trzydziestoletnia kobiéta jestto seperatka, rozwódka lub wdowa, między dwudziestym siódmym i czterdziestym rokiem życia. Prawie zawsze bezdzietna, lub jeżeli ma dzieci to oddane opiece i staraniom męża. Jest powabna, sentymentalna i nie bez rozumu. Nigdy prawie nie pisze rejestru swych wydatków, ale ma niezawodnie album, w które wciąga różne tkliwe wyjątki z poezyi i prozy, i zachowuje pierwsze próby młodzieńczego natchnienia tych, których serca starała się rozwijać. Nie jestto jawna kokietka, zimna i śmiejąca się, ale ofiara nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nosząca na swém licu ślady przeszłych cierpień. Już wprawdzie jéj serce przeboleło, ale oczy patrzą jeszcze tak, jak gdyby chciały płakać, a usta śmieją się tym wątpliwym uśmiechem, w którym więcej wspomnień niż terazniejszej radości. Trzydziestoletnia kobiéta nie myśli bynajmniej iść za mąż i dlatego nie może się jéj podobać mężczyzna nawet czterdziestoletni,

mający serce i rękę wolną. Była ona w przeszłych związkach nieszczęśliwą, dlatego się ich lęka i kłaść na siebie kajdan nie myśli. Jeżeli więc przywiązuje się dla ozdobienia swojej samotności, dla nadania jakiegokolwiek celu swemu życiu, to wybiera takie istoty, z którymiby łączył ją tylko związek serca: owe dusze anielskie i niewinne, któreby można rozwijać, poetycznie kształcić, z którymi zaś łączyć się prozą małżeństwa zabrania i sumienie, aby im (jak mówią) niezawiązać świata i przyzwoitość, aby uniknąć śmieszności.

— Jakieżto są te istoty? zapytała jedna z dam obecnych.

— Studenci, pani dobrodziko, odpowiedział orator prędko, dwudziestoletnie dzieci, które tkliwa opiekunka przybięra za synów, i którą oni z początku zwykle nazywają mamą. Dawniej te niebezpieczne dla niedoświadczonej młodzieży panie, doszedłszy do lat trzydziestu były tego przekonania, że już zeszyły z pola; zaczynały lubić spokojny kącik swojej kanapy, gdzie rozmyślały o przeszłości; zaczynały przywykać do skromnych czepeczków i zakrywających gors szlafroczków; uczyć się wiska, brać się do warcabów, do szachów i nieraz nawet w woreczku ich można było znaleźć małą jaspisową lub szyldkretową tabakierkę; dziś jakby ze snu ocknione pięknym utworem swego protektora, wystąpiły na plac czynnie, zbrojno, z całym rynsztunkiem elegancyi, tajemnej i zagazowanej kokieteryi, z całą artyleryą łzawych spojrzeń, melancholicznych uśmiechów i ran zadanych ręką losu i ludzi, tylko co zabliznionych. Cóż dziwnego, że młodzież niedoświadczona, pełna imaginyi i wiary, ulega téj strategii, traci czas i zdrowie i nieraz nie odpowiada celom i nadziejom rodziców? Dla-

tego więc, chociaż z wielką przyjemnością czytałem i czytam powieści Balzaka, wolałbym aby téj szczególnie, o której mówimy, chociaż prawie najpiękniejsza ze wszystkich, wcale nie było, tak mi się szkodliwą wydaje.

— Za surowo, za surowo, panie Ignacy, rzekł gospodarz.

— Jeżeli to prawda, odpowiedział orator, że przeczytawszy Wertera jakiś Niemczyk się zastrzelił, to pewnie sam Goethe nieraz żałował że go napisał.

— To co innego, Niemczyk stracił życie, rzekła ta sama dama, która i wprzód zapytywała.

— Pani dobrodziko! odwieść studenta od nauki rzeczy użytecznych, nauczyć go tego, czego wiedzieć nie powinien, rozmarzyć jego głowę, rozkołysać serce, zwichnąć karierę, nie jestżeto narazić go na stratę połowy życia?

— Bez wątpienia, rzekła dama i twarz jéj okrył lekki rumieniec. Dowiedziałem się potém, że to była wdowa.

— Zdanie twoje, panie Ignacy, nie jest (rzekł nareszcie p. M. który dotąd milczał), zbyt surowe; pomyliłeś się tylko, że pokazanie się romansu Balzaka naznaczasz za epokę, od której owe damy, mające dziś techniczne nazwanie, zaczęły być niebezpieczne dla młodzików bez doświadczenia. Zawsze tak było i Balzak nic nowego nie stworzył. Na sobie mam najoczywistszy dowód. Wszakże mogę zapewnić, że chociaż namiętność tego rodzaju bywa silna i głęboka, rozsądni rodzice mogą zapobiedz skutkom téj choroby i z niéj uleczyć chorego. Sposób jakiego użył mój dobry ojciec jest dosyć oryginalny; zostaje nam jeszcze do spaceru, dodał nieśmiało patrząc na zegarek....

— Godzinka czasu! a jakżem ci wdzięczny, chcesz nam opowiedzieć, rzekł gospodarz uradowany, biorąc uprzejmie za rękę swego sąsiada.

Chętnie przyjęliśmy wszyscy jego propozycją, szczególnież sama gospodyni domu, która czémprędzej kazała zebrać przybory do herbaty, i gdy stół był już czysty, i każdy z nas poprawił się na krzesle tak, aby lepiej słyszeć, z uśmiechem zachęcającym rzekła:

— Teraz nam nikt nie przeszkodzi.

— „W roku 1820, zaczął pan M... skończyłem szkoły. Było czas poetyczny i mojego wieku i tego zakładu który opuszczałem z żalem. Wróciłem do domu. Z początku zajmowała mię swoboda i niezależność zupełna. Miałem swoich parę koni, na moje rozkazy oddanego człowieka, oprócz tego wierzchowca, strzelbę, dobrego psa i zdawało mi się, że mi nic nie brakło. Mój ojciec, chociaż nieuczony, lubił jednak czytać; po łacinie lepiej umiał odemnie, a polska literatura była mu daleko gruntowniej niż może dziś mnie znajoma. Pozwoliwszy mi pobujać bez żadnej kontroli, zaczął mię zwolna zapytywać o różne przedmioty z historyi, z geografii, udawał czasem że zapomniał co ten lub ów autor pisał; prosił żebym mu objaśnił jakie miejsce z Liwiusza lub Horacego: słowem zawstydział mię, wykrywał moje nieznanomość z taką dobrodusnością i cierpliwością, że nareszcie stanął przed nim z gorącą prośbą aby mię wysłał do uniwersytetu. Tego właśnie czekał mój ojciec. W kilka dni wszystko było gotowe do drogi; pożegnałem moich rodziców i wkrótce stanąłem w Wilnie. Przyjechałem tam z własnej ochoty i nie było zapewne żadnego z kolegów, któryby bardziej pragnął, niż ja wówczas, postępować i gromadzić skarby nauki, której brak tém więcej dawał mi się uczuć, im więcej korzystałem.

Wkrótce, nie moje sposobności, ale moja pilność i akuratanność, zwróciły na mnie uwagę wszystkich profesorów których słuchałem. Szczególniej polubił mię Grodek, który poznał się był z moim ojcem dawniej w Puławach, przyzywał mię do siebie, dawał książki, objaśniał wszystkie trudności i mogę powiedzieć, że się mną cieszył, jako przyszlą kolumną filologii. Wspominam o téj okoliczności, bo ona później na mój los wpłynęła. Kończył się rok, nadchodziły wakacje; mój ojciec pozwolił mi zostać w Wilnie i ja nie przestawałem czytać, pisać, tłumaczyć i uczęszczać do Grodka i do biblioteki. Nigdy nie byłem tak spokojnym, tak wesołym jak w ciągu tego roku. Bo praca jest jedyném, czystém powietrzem, którém człowiek może oddychać swobodnie i zdrowo. Rozrywki sąto zapachy, które czasem przyjemnie drażnią nerwy, ale gdy są zbyt silne, zbyt zagęszczone, odurzają i duszą. Tu pan M... dobył zegarek, i spuszcżając oczy skromnie, położył go przed sobą na stole. Ale gospodarz przysunął go z wolna ku sobie, schował do kieszeni i rzekł: — Oddam ci go wtenczas, jak skończysz.

Uśmiechnął się pan M... i tak dalej mówił:—Litwini w ogólności nas nie lubią. Był jednak między kolegami moimi jeden młody człowiek wielkich zdolności, z którym łączyły mię blizkie związki zażyłości i przyjaźni. Przy sobie siadywaliśmy zawsze w audytoryach, wspólnie wypracowywaliśmy skrypta, najczęściej razem łamałiśmy się z trudnościami Sofokla i Tacyta. Z początkiem wakacyj wyjechał mój towarzysz do domu niezbyt odległego od Wilna i brak jego dawał mi się żywo uczuć. Ale nie przeszło dwóch tygodni, gdy raz zszedł mię niespodzianie, zamknął leżącego przedemną Xenofonta

poodrzucał dykcyonarze, potem uściskawszy serdecznie oddał list, który przywiózł. Był to uprzejme zaproszenie od jego ojca, abym parę tygodni wolnych od nauk w ich domu na wsi przypędził i rozerwał się cokolwiek po całorocznych trudach. Wieś mojego przyjaciela nie była odległą od Wilna. Nie dałem się więc długo prosić i już trzeciego dnia o godzinie czwartej z rana stałem w lesie sosnowym, z okiem wyteżonem na drożynę, która obok mnie przebiegała, z wykierowaną tamże strzelbą, i słuchałem z coraz mocniejszém biciem serca muzyki ogarów, w jej harmonijnym *crescendo*. Dom pana marszałka W. ojca mojego przyjaciela, gdzie mnie przyjęto z ową gościnnością szczerą i otwartą, jaką tylko w naszym kraju znaleźć można, odwiedzali dość często sąsiedzi dalsi i bliżsi. Poznałem ich tam niemało, ale wszystkie te znajomości nie zostawiły we mnie żadnych śladów nadal. Tam wszakże zrobiłem jedną, która przyspieszyła uderzenie pierwszej ważnej godziny w mojem życiu. Było to 20 lipca.”

— Błogosławiony ten dzień, ta godzina, rzekł gospodarz śmiejąc się.

— „Pamiętam dobrze ten dzień, tę godzinę, odpowiedział pan M... rumieniąc się zlekka, bo wszystkie chwile trosk i cierpień, nieskończone godziny nudów i oczekiwania, gdy miną, znikają bez śladu, a na nici życia nawlezione są tylko brylantowe paciorki chwil rozrzewnienia, wzniosłych lub tkliwych uniesień, chwil radości i szczęścia. Z takiego to różańca składa się cała nasza przeszłość. Dwudziestego więc lipca, całe poobiedzie przepędziłem w lesie, chodząc samotnie po najukrytszych ścieżkach, leżąc i marząc pod wyniosłym i chłodnym sklepieniem związanych nad głową moją wysokich gałę-

zi, przypatrując się rozmaitym kształtom roślin i listków, słuchając świergotliwych i swobodnych mieszkańców tego najrozkoszniejszego dla mnie ogrodu. Gdy upał minął, wracałem do domu i wyszedłszy na piaszczystą drogę, postrzegłem zbliżający się ku mnie ładny koczyc. Konie szły stępo, a w odkrytym powozie leżała niedbale rzucona, uderzająca nawet zdaleka, choć nie piérwszój młodości kobiéta. Zwolniłem krok, żeby się jój dłużej przypatrzeć i postrzegłem że i ona ze mnie nie spuszczała oczu. Rysy jój twarzy były piękne, ubiór letni pełen gustu, ułożenie chociaż miękkie, niedbale, ale pełne wdzięku. Spotkanie to zostało w mojej myśli. Gdym odszedł kilkadziesiąt kroków, obróciłem się nagle i postrzegłem, że opiérając się łokciem na drzwiczkach koczycy, i położywszy na dłoni piękną swą głowę, ciągle za mną patrzała. Odwróciłem się natychmiast i gdym potém drugi raz ukradkiem spojrział, postrzegłem że bynajmniej nie zmieniła pozycyi. Dziś, rzekł p. M. po chwili, możebym to nazwał roztrzepaniem, efronterją, lub czém podobném. Wówczas miałem lat 21, wierzyłem w sympatyę, we wszelkie atrakcyje dusz, i ztąd zaczął się szereg marzeń, nadziei, chęci, zupełnie dla mnie nowy i nikt się dziwić nie będzie gdy dodam, że poważny i miły. Gdym wrócił do domu, spotkałem mojego kolegę na dziedzińcu, wyrzucał mi żem się błakał samotnie pół dnia, dodając z uśmiechem żem wiele stracił. Zapytał mnie potém czym kogo nie spotkał? Nie wiem dlaczego skłamałem i odpowiedziałem, że nie. Dziesięć razy potém miałem na ustach zapytanie, ktoby była owa nieznajoma? ale to występne *nie* które rai się z początku wymknęło, któregom się wstydział, któreby było pociągnęło za sobą Bóg wie jakie tłumaczenia, zawsze mnie

wstrzymywało. Wieczór przeszedł mi smutno i źle spałem. Nazajutrz w parę godzin po obiedzie zaszły powozy i zapowiedziano mi, że jedziemy do pasieki na podwieczorek. Chociaż uważałem że cała familia była starannie ubrana niżby takiego rodzaju przejażdżka wymagała, nie przyszło mi jednak do głowy, dokąd jedziemy. Minęliśmy o małą milę odległą sąsiednią wioskę i wkrótce stanęliśmy przed pięknym, foremnym gajem wokoło rowem obniesionym. Na prawo rozciągały się pola okryte zbożem, na lewo były folwarczne zabudowania przytykające do gaju, w środku były gustownie plecione wrota, przez które widać było niezbyt szeroką, ale czystą ulicę ciągnącą się wzdłuż tego dość obszerne-go parku. Gdym zapytał jak się to piękne miejsce nazywa, odpowiedziano mi że to pasieka. Wjechaliśmy we środek. Było gaj brzozowy, przemieszany gdzieśgdzie grupami klonów, lip, młodej dębiny. Trawa chociaż już raz zcięta, podnosiła się zielono i bujnie; kwiatów było mało, ale powietrze było pełne woni, chłód miły, ci-chość uroczysta. Wkrótce powozy zawróciły się na lewo po szerokiej wysypanej piaskiem ulicy, i jakież było moje podziwienie, gdym postrzegł przed sobą wielkie ko-ło najpiękniejszej murawy, mające w środku kłęb z krze-wów i kwiatów, a za nim niewielki o pięciu parapeto-wych drzwiach domek, pięknej architektury. Ani oficyn-y, ani żadnego gospodarskiego budynku nie było widać; las tylko szumiał wokoło tego samotnego mieszkania, i okrążała go wonia roślin i kwiatów. Śmiał się mój to-warzysz postrzegłszy moje podziwienie. „Widzisz, rzekł, jakeśmy cię za wczorajszą włóczęgę ukarali. Byłbyś dziś jechał do znajomej, a tak będziesz musiał rumienić się i kłaniać, gdy twoje nazwisko wymawiać będą. Ześ nic

nie wiedział dokąd jedziemy, toś winien mojej swawolnej siostrze, która uprosiła nas wszystkich aby ci nic nie mówić. Wreszcie niebardzośmy cię oszukali, bo to miejsce rzeczywiście nazywa się Pasięka, i jest własnością pani Hieronimowej P. która u nas wczoraj była." Środek domu odpowiadał jego powierzchowności; wszędzie czystość, elegancya i wygoda: miękkie sofy pod ścianami, miękkie kobierce na podłodze, zielone zasłony u okien dla cienia i chłodu. Przyjęcie było uprzejme, niewymuszone, rozmowa naturalna i zwyczajna, podwieczorek prosty wiejski, słowem we wszystkiém com tego dnia widział, postrzegłem ten ton, który okazywał dobre wychowanie i znajomość świata. Pani Hieronimowa żadnym słowem, żadnym wejrzeniem nie okazała że mnie widziała kiedykolwiek, że mi się tak ciekawie przypatrywała. Wszakże, gdyśmy po podwieczorku wyszli obejrząc czarujący gajek tej dryady, małe zdarzenie ożywiło na nowo marzenia przyspione gładkiém i zimnym jej obejściem się. Była w jedném miejscu dolina, której oba boki podnosiły się stromo. Dla przebycia jej mój towarzysz podał rękę matce, córka uchwyciła się ręki ojca, a ja ofiarowałem moje usługi gospodyni domu. Już pierwsze dwie pary były na dole, gdyśmy zaczęli się spuszczać; ale moja towarzyszka schodziła tak zwolna, jej mała nóżka stąpała z taką bojaźnią usliznienia się, żeśmy znacznie zostali za drugimi.

W tej ciągłej trwodze zwiesiła się silniej na mojem ramieniu i w pół cichym głosem rzekła: „Ach! przepraszam pana, jam tak niezgrabna i ciężka.” Nic nie odpowiedziałem, ale bojąc się aby do prawdy nie upadła, rękę jej silniej do siebie przycisnąłem. Zwróciła wtenczas głowę ku mnie, spojrzała mi w oczy przenikającym wej-

rzeniem i rzekła: „*Je vous ai vu hier n'est ce pas?*” Zrozumiałem się. Postrzegła to i na górę weszliśmy prędko, krok jój był śmiały, szybki i pewny.

W historyi téj pani, rzekł mi mój towarzysz, gdyśmy wracali do domu, są dwie wersye: jedna z przyjacielem domu, który był przyczyną rozłączenia się jój z mężem, druga bez przyjaciela; która z nich prawdziwa nie wiem, to pewno, że mąż jój był kartownik i grubianin, mieszkał dawniej w Wilnie, a dwa lata temu umarł w Petersburgu, gdzie czas niejaki dla interesów i dla dokuczenia żonie siedział. Pani Hieronimowa mieszka zwykle w Białostockiem, gdzie ma ładną majątność, a niekiedy tylko lato przepędza w Pasiece. Moja matka niebardzo jój ufa i boi się żeby albo mnie głowy nie zawróciła, albo nie była w czém złym przykładem Karolinie. Obie obawy próżne, bo ja takich sentymentalnych pań nie lubię, a moja siostra jest nadto żywa i pusta, aby p. Hieronimowa mogła być dla niej szkodliwą.

— „Teraz pozwólcie mi państwo, rzekł dalej p. M... zrobić jedną uwagę. Gdybym do opowiadania tych nieznaczących zdarzeń był przymuszonym, opowiadałbym śmiało, bez obawy znudzenia moich słuchaczy, którzy sobie tylko winę przypisaćby musieli; ale ja sam państwu narzuciłem się i bardzo tego żałuję. Spodziewałem się być krótkim, tymczasem widzę, że niebezpiecznie jest wywoływać dawne wspomnienia, i że one za daleko unoszą. Rozgadałem się i stracimy spacer.”

— Pozwól mi pan, rzekł gospodarz z udaną powagą i pogładając na żonę, zapytać się nawzajem, czy ja tu mam prawo dać jaki rozkaz?

— Ten rozkaz, rzekła żona, ja wydam. To mówiąc pociągnęła taśmę od dzwonka, wszedł lokaj i pani O.

rzekła: odprządz konie, już nie pojedziemy. Teraz jesteś pan przymuszonym.

— „Poddaję się woli pani, rzekł po chwili pan M. i tak mówił: W ciągu mojego przebywania na wsi, miałem sposobność widzieć jeszcze raz kilka panią Hieronimową i coraz bardziej mię zajmowała. Wprawdzie postrzegłem wielomówność, którą jój wyrzucał mój kolega, ale ta wada była okupiona tak wdzięcznym, tak melodyjnym głosem, łączyła się z wejrzeniem tak przenikliwém, że ja słuchając téj muzyki i patrząc w jój czarne oczy, słyszałem nieraz, zupełnie nie to co mówiła, podkładałem swoje własne myśli i rojenia, i gdyby mię wówczas był kto zapytał o czém mowa? byłbym nieraz w wielkim kłopotcie. Jednego razu gdy jój podawał szal w przedpokoju, a mój kolega wybiegł aby pośpieszono z powozem, zapytała mię prędko kiedy wyjeżdżam do Wilna? Po jutrze, odpowiedziałem. — Miałabym komis, ale nie śmiem pana prosić. — Będę pani jutro służył, rzekłem. Podziękowaniem, było lekkie ściśnienie ręki, pierwsze w mojem życiu i do dziś pamiętne. Nazajutrz o godzinie trzeciej jechałem do Pasieki. Droga była piaszczysta i otwarta, dzień parny i koń mój niosący bezwzględno na siebie, niecierpliwego i rozmarzonego jeźdźca, stanął cały spieniony i zadyszany u wrót pięknego gaju. Gdy wjechał w jego środek i odetchnął chłodem, opamiętałem się cokolwiek i postępowałem zwolna szykując myśli i hamując rozbujające nadzieje. Przed gankiem był człowiek, który wziął mojego konia, odprowadził go na lewo i wraz z nim zniknął. Ja zostałem jeszcze chwilę na ganku w zupełnej samotności i głębokiej ciszy. Wszedłem nareszcie. Dom zdawał się pusty. Zwolna i cicho postępując po miękkim kobiercu pierwszego

pokoju, zatrzymałem się we drzwiach w niepewności, czy iść dalej, czy poczekać póki się ktoś nie zjawi. Nareszcie przytłumione dźwięki instrumentu, wydobyte biegłą ręką, powołały mnie naprzód. W następnym pokoju obaczyłem panią Hieronimową siedzącą przy fortepianie i przebiegającą niedbale jego klawisze. Oparty o drzwi stanąłem w milczeniu i przypatrywałem się jej nadobnym formom. Czarne jej włosy gładko przyczesane, lśniły się jak krucze skrzydła; biały szlafroczek okrywał ją skromnie, ale wyjawiał figurkę zgrabną i wciętą; dzikiego koloru lekki szalik wił się jednym końcem po jej piersiach, a drugim opadał po za krzesło na ziemię. Sądziła się samą i całe jej ułożenie miało to opuszczenie się domowe, które tylko wyrafinowana kokieterya naśladować potrafi. Przeszło kilkanaście minut; tony instrumentu stawały się coraz cichsze, nareszcie schyliła głowę i zakryła sobie twarz obiema rękami. Zdawało się że płacze. Serce się we mnie rozrywało; podszedłem ku niej, wziąłem jej rękę i patrzyłem jej w oczy z rozrzewnieniem i współczuciem. Niezmieszana, niezadziwiona podniosła głowę spokojnie; ręka jej została w moich dłoniach i łza potoczyła się po jej twarzy. „Zszedłeś mię pan niespodzianie, rzekła po chwili, i w momencie słabości i niemęztwa. W tej zupełnej samotności w której żyję, zdarza mi się to często. Taka cichość mię otacza, tak do niej przywykłam, że gdy tu siedzę, gdy zapomnę że moje palce wałęsają się po klawiszach instrumentu, przestraszam się temi dźwięki które sama wydobywam, i wtenczas łzy mimowolne puszczają mi się z oczu. Dziękuję panu za ten udział jaki zdajesz się przyjmować w mojem położeniu. Młode serca są lepsze, szlachetniejsze, wspanialsze.” Całowałem jej rękę z roz-

rzewniem. Ona usuwała ją z wolna, i ja nie wiem jakim sposobem przypadłem na kolana. Lekki rumieniec wystąpił na jej lica; kładąc drugą rękę na mojej głowie nachyliła się i pocałowała mię w czoło. Potém poważnie powstawszy zapytała wiele mam lat?—Dwadzieścia jeden, odpowiedziałem.—Za lat pięć, rzekła, będę miała dwa razy tyle, mogłabym być matką pana. Siądźmy i pogadajmy. Rozmowa nasza była długa. Pytała mię o rodzinne strony, mówiła o uniwersytecie, o profesorach. Zapytywała o nauki które lubię, które słucham. Czulem żem był zmieszany, niezgrabny, żem odpowiadał źle, niezręcznie, że język mój plątał się i odmawiał swęj posługi. Przeciwnie, ona mówiła wiele i dobrze, szczególnie o sobie, o swoich zajęciach, o trudnościach i próbach przez które przeszła, o cierpieniach i smutku z którymi się już oswoiła, jak z przyjaciółmi.

Wymowa, dodał po chwili pan M... nie jest nigdy bezwarunkową. Wiele w niej zależy od daru mówcy, ale wiele także od usposobienia słuchacza. Słowo jest ziarno, słuchacz jest rolą. Nic się nie urodzi i z najzdrowszego ziarna, jeżeli pada na nieprzygotowaną ziemię. Nie wiem jakbym dziś znalazł to wszystko co pani Hieronimowa mówiła, ale wówczas wydawała mi się prawdziwie wymowną. Tak przeszło godzin parę, wreszcie spojrziała na zegarek i rzekła powstawszy:— teraz jedź pan szczęśliwie. Ludzie są źli, szczególnie sąsiedzi. Mam znajomych w Wilnie, mam i takich których lubiłam, zobowiązywałam i którzy mię szarpią. Powiedz im pan gdy się zdarzy sposobność, żeś mię poznał i opowiedz jakąś mię widział. Po młodém sercu twojem spodziewam się prawdy. Oto jest komis jaki panu dać chciałam. Drugi zwyczajniejszy jest ten, abys mi pozwolił do siebie kilka słów napisać

i nie odmówił swój posługi gdy potrzebować będę czasem książek lub nut. *Maintenant adieu, partez.* To mówiąc podała mi rękę; odurzony ucałowałem ją, wyszedłem zwolna do drugiego pokoju, i gdym się obrócił chcąc jeszcze raz na nią spojrzeć, znalazłem drzwi zamknięte. Koń mój stał już przed gankiem; ledwiem miał dosyć sił dosiąść go, i rzuciwszy cugle na jego szyję, puściłem go powoli i zatopiony w myślach przyjechałem do domu.

Gdym w kilka dni potém nad Xenofontem siedział, kształty liter greckich dziwne mi się wydały. Nie mogłem się przenieść w tak odległe wieki i zdarzenia, nie mogłem nadać téj swobody myśli, jakiej wymaga nauka, z obecném życiem niemająca żadnego związku. Nieraz szukając wyrazu jakiego w dykcyonarzu, zapominałem porządku alfabetu greckiego; gdym go sobie przypomniał, zapominałem jakiegom wyrazu szukał, i często zmęczony przewracaniem daremném nabitych słowami ćwiartek, obłąkiwałem się do reszty, wpatrywałem się w wyraz i nie mogłem go przeczytać, papier przemieniał się w aksamitny gazon, słowa zbiegały się w kłąb roślin i kwiatów, brzozy i klony zaczynały koło mnie szumić, wesole sikory świegotwały skacząc po gałązkach, a dalej lśniły się szyby pięciu czarownych okien, zpoza których wyglądała twarz z lekkim rumieńcem, z wejrzeniem pełném duszy, z ustami pełnemi harmonii i wymowy.

Z początkiem roku szkolnego zbiegali się towarzysze z nowemi siłami do pracy, a ja straciłem dawne; wszakże zachęcony ich przykładem, orzeźwiony ich świeżą i niezmezoną jeszcze ochotą, zacząłem powracać do dawnego porządku i akuratności. Wtenczas właśnie odebrałem pierwszy list pani Hieronimowój. List ten pisany jeszcze po polsku, nie mógł być niebezpiecznym, za-

jął mi jednak dwa dni czasu nim załatwiłem czego po mnie wymagał, nim odpisałem. Moja odpowiedź była długa. Wymowniejszy byłem z piórem w rękę, w pokoju zamkniętym na klucz, gdy przedemną był tylko papiér, a wokoło wspomnienia chwil upłynionych, niż w przytomności tych ocz przenikliwych i pod czarami tego słodkiego głosu. Drugi jój list już po francuzku, był prawie tak obszerny jak ten, który pani trzymasz w rękę i bodaj czy nie drobniej i ściślej pisany. Odtąd zaczęła się korespondencya coraz częstsza, coraz obszerniejsza, coraz pełniejsza wylania i uczucia, ale niewychodząca z granic prostej życzliwości i form grzecznych. Trawiłem nieraz pół dnia na decyfrowaniu jednego listu, noc przechodziła na odpisywaniu: a tak wpółsenny i rozmarzony przychodziłem na lekcye, których nie słyszałem, straciłem nic we wszystkich prawie przedmiotach i nie mogąc już związać jednej materyi z drugą, zacząłem coraz rzadziej uczęszczać do uniwersytetu. Postrzegł to Grodek, zaczął się na mnie krzywić, ale jam go unikał bojąc się jego wymówek. Przeszło parę tygodni bez żadnego listu. W tym czasie wychnienia, żarciki mojego kolegi, wiadomość odebrana z domu, i niespokojność rodziców do których dawno nie pisałem, obudziły we mnie postanowienie nie poddawać się czarom już rozwiniętego uczucia. Gdym w takiej walce przechadzał się raz po pokoju i coraz bardziej się ukrzepiał, wszedł służący Grodka prosząc w imieniu pana, abym do niego przyszedł. Rad byłem temu zdarzeniu sądząc, że sam widok dobrego staruszka, jego rada, jego upomnienie jeszcze bardziej mię umocni i uzbroi. Ubrałem się prędko, lecz wyszedłszy na ulicę, postrzegłem człowieka w ele-

ganckiej choć niebłyszczącej liberyi, który decyfrował numer kamienicy gdzie mieszkał.

— Fatalność, nieszczęście, zawołał pan Ignacy, poprawiając się na krzesło i uderzając o stół palcem. Najlepsze chęci pójdą w niwecz.

Uśmiechnęliśmy się wszyscy, nawet p. M... który tak dalej mówił: Twarz tego człowieka zdawała mi się znajoma.—Kogo szukasz kochanku? zapytałem. Spojrzał na mnie i zawołał.—Aha! zdaje mi się że pan jesteś pan M... Na znak potwierdzenia oddał mi bilecik. Rozerwałem go chciwie i szedłem naprzód żeby skryć przed lokajem pomieszanie i radość. Kilka słów tylko było ołówkiem napisanych. „Przyjechałam dla interesów, jestem zmęczona i chora.” Niziej były te słowa: „Pozwolicie mi pan kilka chwil udzielić? A potem niziej: „*Ne suis-je pas une vieille folle de croire, que vous viendrez à l'instant?*” Zapytałem człowieka gdzie jego pani mieszka. Nazwał mi dom, i wkrótce znikłem z jego oczu. Zapomniałem o Grodku, o wszystkich klasykach starożytnych i nowych; uniwersytet ze wszystkimi gmachami, z całą mądrością, jaką z pięćdziesięciu ust wylewał, zakrył się przed moimi oczami mgłą nieprzejrzaną.

Tydzień przeszedł szybko, a gdy przeszedł, gdy wyjechała, pierwszy list którym odebrał, zaczynał się od tych słów: „*Antoine! cher ange!*” Jak szły potem moje studia, łatwo się domyśleć. Akuratnym tylko byłem w odpisywaniu na jej listy. Jeżeli chodził do uniwersytetu, to machinalnie, bez energii, bez przygotowania, bardziej aby się czemkolwiek rozerwać, niż żeby się czego nauczyć, żeby postępować za ciągiem rozwijających się prawd i zdobywać trudem i usilnością jedną po drugiej te piękności, które się tają w księgach starożytnych pisarzy.

Dobry nasz filolog starał się jeszcze zwerbować mię pod swój sztandar. „Gdzie to się wasyndzi tak absentuje? rzekł mi raz, jak mi żal że wasyndzi zupełnie się zaniedbał.” Słuchałem ze spuszczonei oczami tych wymówek nieocenionego staruszka. Wstyd oblewał moje blade lica, ale gdym wrócił do domu, zastałem list, rzuciłem się nań z chciwością i tęsknota nieopisana opanowywała moje duszę.

Gdy się sanna ustaliła, widywałem ją każdego tygodnia. Dzień, dwa dni przepędziłem z nią razem. Raz zastałem ją chorą i nie szcędząc ani jój ani siebie, bez względu coby powiedziano w sąsiedztwie, nie odstępowałem od jój łóżka. Z moich rąk przyjmowała lekarstwa, na moich rękach zasypiała. Tak nas raz zastał lekarz miejscowy; widziałem na jego twarzy podziwienie i wtenczas zrodziła się we mnie myśl, oddać rękę téj kobiecie, która mi z takim wylaniem oddała swój honor i serce. Tak przeszło blisko trzy tygodnie. Postrzeżono moję nieobecność w Wilnie, i gdym wrócił ukarano mię tygodniowym aresztem. Wspomnień miałem wiele i każdój poczty odbierałem list niemniejszy od tego, który stał się przyczyną, że państwo tu siedzicie gdy wieczór tak cichy i niebo tak pogodne. Nie było więc to więzienie karą tak surową jak mniemali ci, którzy mię na nią wskazali. Ale przyczyna téj kary stała się głośna. Dowiedział się o niój mój uczony opiekun i szczerze się zasmucił; mój towarzysz, gdym mu objawił postanowienie żenienia się z panią Hieronimową, gdy spojrzał na moję twarz bladą, oczy zapuchłe od płaczu, postać stanowczą, nie śmiał się, nie żartował, ale zamysłony wyszedł. W ogólności stan mój był przykry; uczucia moje zdawały mi się głębokie, a jednak niekontent z siebie, wstydzilem się ich prawie, zwłaszcza wówczas,

gdy mi przychodził na myśl mój rozsądny ojciec, który nie mógł pochwalić mojego postępowania i zezwolić na spełnienie moich życzeń. W takiej walce i zdrowie moje ucierpieć musiało. Szczęściem nadeszła wiosna i ja całe dni przepędzałem na wzgórzach otaczających miasto, nad pięknymi jego wodami i oddychając świeżym i balsamicznym powietrzem rozkwitającej natury i sam przychodziłem do siebie. W tym czasie odebrałem list od mego ojca, krótki ale stanowczy. Kazał mi uwolnić się z uniwersytetu i przyjeżdżać natychmiast, dodając, że moja matka chora, żebym pośpieszał, jeżeli ją chcę zastać. Krótka trwała walka, czy mam pojechać pożegnać kochankę. Obrazy które mi nasunęła zatrwożona imaginacja, blask pogrzebowych pochodni, głos księży i dzwonów, poważna twarz ojca, smutek i groźny wyrzut na jego czole, pokonały moje synowskie serce. Napisałem więc list krótki ale malujący stan mojej duszy, przyłączyłem swój adres i list ojca i wyprawiłem sztafetą, sam zaś w kilkanaście godzin już byłem w drodze do domu.

Nieszczęściem, czy może szczęściem dla mnie, różne przeszkody zatrzymywały bystrość mojego biegu. Ledwie jedenastego dnia po wyjeździe z Wilna zbliżyłem się do domu. Z niecierpliwością i trwogą obaczyłem wznoszący się wśród topoli dach rodzinny. Wspomnienia dzieciństwa, nadzieja obaczenia tak dobrze znajomych twarzy, szum drzew, których wszystkie kształty tak mi były pamiętne, łoskot młyna przy którym usypiałem w dzieciństwie, cała ta przeszłość mieszała się z obawą zastania smutku i żałoby w tym samym domu, gdzie znalazłem tylko radość. Konie leciały szybko, dzwonek rozlegał się wokoło; zapewne odgłos jego wywołał mego ojca na ganek, gdzie go już zastał. Wskoczyłem z po-

wozu i rzuciłem się do nóg jego płacząc. Podniósł mnie z powagą i dobrocią.—Twoja matka zdrowsza, już wstaje, uspokój się, nie płacz, rzekł i uściskawszy poprowadził mnie z sobą. Któż nie doznał i nieszczęśliwy kto nie doznał tego uczucia bezpieczeństwa, jakiem oddycha serce dziecka pod dachem rodzinnym? Jeżeli nawet byt indywidualny każdego członka rodziny już zaczyna się rozwijać, mniej cierpi gdy się tuli pod skrzydło, pod którym się wylągł, gdy się ucieka pod obronę tego ducha opiekuńczego domu, któremu Rzymianie stawiali ołtarze, a którego reprezentantem w każdej rodzinie jest ojciec. Gdym się rozgościł, z pierwszych wrażeń uspokoił, mój ojciec oddał mi list pani Hieronimowej, patrząc mi w oczy z powagą. Zaczerwieniłem się i przeklinałem w duszy wszystkie przeszkody, które mi nie pozwoliły stanąć wcześniej i przedsięwziąć środki do utajenia mojej korespondencji.

— To ręka kobiety? rzekł surowo.

Potwierdziłem cichym, ledwie słyszonym głosem. Nic nie odpowiedział i wyszedł. Za każdą pocztą oddawano mu wszystkie listy do rąk (taki był jego rozkaz); on mi moje zawsze sam wręczał. Trwało to przeszło półtora miesiąca. Moja matka wyzdrowiała zupełnie, ale była smutna i unikała prawie, rozmowy ze mną. Nie byłem szczęśliwym. Obejście rodziców moich było zimne, kochanka była daleko i w tęsknocie za mną, zajęcia nie miałem żadnego, słowem, nie wiedziałem co z sobą począć. Jednego ranku dla rozerwania się zacząłem porządkować swoje papiery. Między innemi przyszła kolój i na serdeczną korespondencyą. Otworzyłem więc szkatułkę gdzie były listy pani Hieronimowej. Leżały one wprawdzie każdy w swojej kopercie, ponumerowane,

z nadpisem którego dnia, o której godzinie który z nich był odebrany. Wysypałem je wszystkie na kanapę chcąc według numerów uszykować. Tylko co się ta nieszczęsna operacya zaczęła, gdy wszedł mój ojciec. Nie było czasu sprzątnąć, skryć téj kieszonkowej biblioteki, tak jawnie przeciwko mnie świadczącej. Spojrzał mój ojciec na tę gromadę kopert pełnych i wyciągając rękę w milczeniu jeszcze jeden list mi podawał. Nie miałem siły wziąć go i rozpieczętować. Z głową schyloną, z sercem miotaném dziwnymi uczuciami stałem w milczeniu i bez ruchu. — Nie chcesz! rzekł po chwili, przydaje więc złoto do złota, i rzucił list do innych. Nie śmiałem powiedzieć Habdank. Żal niewypowiedziany mię ogarnął gdym postrzegł, że wszystkie uczucia, całe serce téj kobiety, którą kochał, leżało tu rozlane w tysiącznych ćwiartkach pod surowém okiem zimnego i mającego nas sądzić człowieka. Gdym przyszedł do siebie i podniósł oczy, postrzegłem, że mój ojciec usiadł przy moim skarbie i założywszy ręce patrzył na mnie spokojnie i poważnie jak gdyby czekał objaśnienia. Gdym milczał, rzekł nareszcie: — Więc ten cały szereg listów od niéj?... i to w przeciągu kilku miesięcy? Masz, mój synu, korespondentkę zawziętą i niezmordowaną.

— Jestto kobiéta, mój ojcie, pełna rozumu, pełna uczucia, która mię kocha, żyje w zupełnej samotności, i nie dziw, że pisze do mnie wtenczas, gdy mię nie widzi.

— I ty ją kochasz? zapytał mię łagodnie.

Rzuciłem się do nóg jego; przyznałem się. Kazał mi usiąść i zaczął ze mną rozmowę, nie jak ojciec surowy i niewyrozumiały, ale jak przyjaciel pełen życzliwości i rozsądku, wchodzący w moje położenie i dzielający jego trudności. Nadzieja okrasiała moje twarz rumieńcem

i nadała żywość moim słowom i opisom. Staralem się wystawić panią Hieronimowę z najpiękniejszej strony, opisywałem jej poświęcenie się, jej szlachetność w nieprzyjmowaniu mojej ręki, obowiązki moje dla niej malowałem tak, iż nie było dla mnie innego środka jak dotrzymać danego jej słowa, do którego przyjęcia skłoniłem ją długimi prośbami, płaczem i smutkiem, który mi zagroził zupełną utratą zdrowia.

— O związkach twoich, rzekł mój ojciec, dowiedziałem się wtenczas gdyś był w areszcie. Nie dziw się mój synu, mojej trwodze. Pani Hieronimowa P... nie była mi wystawiona tak jak ją ty malujesz. Odwołałem cię z Wilna i nie żałuję tego. Nie przykazuję ci abyś o niej zapomniiał, władza ojcowska nie rozciąga się tak daleko. Wreszcie zanadto cenię twoje szczęście, abym ci zagradzał do niego drogę, ja, który z obowiązku i z popędu serca usłać ci do niego ścieszkę powinienem. Nie mówię tu o różnicy waszego wieku. Tyś młodzieniec, ona kobiéta i kobiéta niemłoda. Gdy ty będziesz mężczyną, ona będzie starą. Śmiać się z was będą, ale mniejsza o sądy ludzkie, możesz ją kochać, szanować, możesz mieć z nią pokój w domu i być szczęśliwym. Najgłówniejszą jest rzeczą dla rodziców, charakter téj osoby, której mają powierzyć szczęście swojego dziecka. Nim ci więc stanowczo pozwolę, lub położę moje niecofnione *veto*, muszę wprzód z gruntu poznać panią Hieronimowę. Grodek, donosząc mi z żalem o twojem obłąkaniu, wspomniiał o niektórych zdarzeniach całemu Wilnu znajomych.....

Zerwałem się z krzesła.—Siądź mój synu, rzekł dalej mój ojciec z powagą, nie powinienes się dziwić, że sprzyjający ci i uczony staruszek, z żalem pisał ileś czasu

stracił. On, który umie tak wiele, który wie z jakim trudem nabywa się każda gruntowna wiadomość, wie także najlepiej jakim nieocenionym skarbem jest czas, i nie może patrzeć bez smutku na tych, którzy ten drogi dar Boży marnują i garściami wyrzucają za okno. Nie mógł się on stać adwokatem p. Hieronimowej, która była przyczyną tego z twojej strony marnotrawstwa. Chociaż więc i ty pewnym jesteś, że taki człowiek nic od siebie nie przydał a powtórzył tylko powszechne pogłoski, ja jednak ostrożnie je rozbięram i ślepo im nie wierzę. Drugi list odebrałem od twojego przyjaciela. Nie masz potrzeby czerwienić się. Było to jego obowiązkiem mnie uwiadomić i powinienes w tém widzieć dowód jego przyjaźni. Serce jego bez grzechu. On nie aprobuje twego wyboru. Że zaś mógł się unieść przyjaźnią dla ciebie, że się mógł pomylić w zdaniu o kobiecie, której może nie pojął; że, jako młody, mógł za lekko osądzić jej obyczaje i charakter z przypadkowych okoliczności, które często jak połamane zwierciadło w bezkształtnej postaci odbijają najpiękniejsze lice, dlatego i jemu przez pół wierzę. Ty znowu, mój synu, odmalowałaś mi ją zupełnie inaczej, ale i ty nie jesteś bezstronnym i ciebie zaślepia namiętność, dlatego i na twojem zdaniu zupełnie polegać nie mogę. Zostaje więc nam rodzicom, pragnącym twego szczęścia, jeden środek. Tu, dodał pokazując na stos listów, maluje się pewnie serce twojej kochanki, tu odbija się jej charakter, jej skłonności, tu ona przelała się sama z ciałem i duszą. Jakkolwiek praca będzie wielka, ale jakaż ofiara jest dla rodziców za trudna! Te listy nam powierzysz, przejrzymy je z matką i wtenczas...

— Mój ojcze! rzekłem zmieszany, te listy były do mnie pisane, sąto tajemnice, sąto szepty duszy w duszę, dla ucha postronnych niedosłyszane, niepojęte.

— Tém wierniej mi usłużą. Może z początku jest w nich cokolwiek hipokryzyi, jak we wszystkich początkowych listach zakochanych i kobiet i mężczyzn; jestto dym który zwykle poprzedza wybuchnienie płomienia, dalej będzie on czysty, i przy jego świetle rozpoznam wszystkie zakątki jój serca.

— Mój ojcze! rzekłem błagającym tonem.

— Chyba że się boisz, abym w nich nie znalazł potwierdzenia tego, co mi napisał Grodek i twój przyjaciel. W takim razie nalegać nie będę, zbytbym cię żałował, żeś się dał wyprowadzić w pole.

— Nie, mój ojcze, rzekłem powstając, tego się nie boję; możesz zimną ręką grzebać w jój sercu, wszędzie znajdziesz tylko najszczęśliwsze żądanie mojego szczęścia.

— Więc pozwalasz?

— Z tym warunkiem, mój ojcze, że mi pozwolisz pojechać do Wilna i tam skończyć uniwersytet.

— I po skończeniu uniwersytetu wrócić do domu z synową. Zgoda. To powiedziawszy zaczął z powagą zbierać moje listy, porządkować je według numerów, liczyć z największą akuratnością, i gdy to wszystko było skończone, kazał sobie przynieść serwetę, zawiązał je i wyszedł. W ciągu téj długiej operacyi stałem bez ruchu oparty o ścianę, nie miałem żadnej myśli, żadnej obawy, żadnej nadziei. W tém odrętwieniu machinalnie spojrzałem na kanapę. Mój ojciec delikatny i litościwy zostawił tam ów list ostatni, jeszcze zapieczętowany. Upadłem przed nim na kolana, jakby przepraszając nieobecną kochankę, że dopuścił podjąć tajemniczą zasłonę

jój myśli i uczuć. Zacząłem czytać, lzy rzewne puściły się z moich oczu i przyniosły mi ulgę.

Cały ten dzień nie widziałem moich rodziców; naza-jutrz wszedł mój ojciec z całym pakietem zawiązanym w serwetę, a za nim człowiek, który przyniósł pół rzyzy czystego papieru. Gdy patrzałem na to wszystko z podziwieniem, rzekł mój ojciec: — Wzięliśmy się kochany synu nie do swojej rzeczy. Twoja matka słaby ma wzrok, a ze mnie nieszczególny Francuz. Niczego więc dojść nie mogliśmy. Masz więc twój skarb napowrót. Oryginały niech zostaną przy tobie; ale oto masz papier, przepisz je wszystkie czytelnie dla matki, a dla mnie przetłumacz po polsku, i wtenczas, dodał stanowczo, pojedziesz do Wilna. Nie czekając mojej odpowiedzi, wyszedł.

Spojrzeliliśmy po sobie z uśmiechem, a pan M... który im dłużej mówił, tém bardziej twarz jego przybierała wyraz melancholiczny i smutny, jakby nie dostrzegając naszego poruszenia, tak mówił dalej: — Długo myślałem jakiby miał cel mój ojciec w tém osobliwszém zdarzeniu? nakoniec wpadłem na myśl, że mi chce dać czas do zastanowienia się, chce znużyć moję cierpliwość, i tém samym lekarstwem które zdrowemu dało chorobę, wyleczyć chorego. Gdy sobie przypomniałem całe jego postępowanie ze mną, jego rozmowę tak niemiłosiernie loiczną, jego udaną powagę, a nadewszystko to lekkie usunięcie różnicy wieku, com ja we własnem przekonaniu poczytywał za niezwykłą przeszkodę; przekonałem się, że cel mojego ojca nie inny, że żartował sobie z moimi uczuciami, które były tak głębokie i szczere. Postanowiłem więc zniweczyć jego plany i natychmiast wziąłem się do roboty. Z tém postanowieniem wrócił mi dobry humor i wszystko wokoło mnie okryło się da-

wnemi kolorami. Przy obiedzie śmiałem się, rozmawiałem o różnych rzeczach, ale o mojej korespondencji, o tym trudzie herkulesowym, który miznaczono, nie było żadnej wzmianki. Przed wieczorem wziąłem się znowu do pracy. Okno mojego pokoju, przy którym stał stolik, wychodziło na ogród. O kilka kroków, szła uliczka samotna i przez nikogo nieuczęszczana. O godzinie drugiej po północy jeszcze siedział i pisał. Noc była ciepła, okno otwarte, cisza tak zupełna, że nawet płomień mojej świecy się nie migał. Wtém, zdawało mi się że usłyszał kroki przechodzącego człowieka, wyrzuciłem chwilę przez okno i poznałem postać mojego ojca, który poważnie przesuwiał się między drzewami i w bocznej ulicy zniknął. Mój ojciec niespokojny o mnie, nie śpi dotąd, pomyślałem, sumienie mię tknęło i w ten moment zagasiłem światło. W pierwszych dniach, praca szła mi dość żywo i nie psuła humoru. Gdym był z rodzicami, naciągałem do niej niekiedy rozmowę; raz nawet wspomniałem o Biblii, o Jakóbie, który siedm lat pasł owce dla pozyskania ręki Racheli. Mój ojciec zawsze udawał że nie rozumie moich aluzyj i zwracał rozmowę do innych przedmiotów, niekiedy wszakże we dnie, a w nocy najakuratniej przechodził pod moim oknem i spozierał, czy piszę. Dwudziestoletni filozof chciałem omylić doświadczenie starego i znającego serce ludzkie człowieka. Im więcej wczytywałem się w listy pani Hieronimowej, tém bardziej zacząłem postrzegać w nich nadzwyczajną monotonią. Te same myśli, te same uczucia powtarzały się co moment; jednostajne obrazy, niekiedy w odmienniej a często w téjże samej postaci, jawiły się natrętnie. Z początku to postrzeżenie było myślą przelotną, którą odpędzałem jak niemiłe wi-

dziadło; stopniami, stopniami zamieniło się w przekonanie i stanęło przy mnie jak mara niezbędna, która kładła zimną rękę na mojem sercu, i z drzewa mojej miłości zrywała listek po listku, kwiatek po kwiatku. Tu wstyd mię oblał, tu niewdzięczność taka gryzła i dręczyła. Dla pokonania się pisałem noc całą, i gdym rano wszedł do pokoju rodziców, zastałem ojca siedzącego smutno z założonemi rękami, a matkę we łzach. Ten widok znowu mię przeraził i sumienie moje obudził. Odtąd rzadkom się pokazywał, ale rzadziej także siadywałem przy moim stoliku. O godzinie dziesiątej już było w pokoju moim ciemno. Niekiedy znużony mechaniczną robotą, do której przysiadłem się czasem, nie przewidując jej końca, odsuwałem ze wstrętem papier wpół zaczętego peryodu. Potem wstydząc się uczucia tak krzywdzącego kobietę, która może w tej samej chwili duszą i myślami unosiła się nademną, wybiegałem z domu, dosiadałem konia i błąkałem się bez celu po polach i lasach. W takim stanie, w takiej walce przeszło blisko trzy miesiące. Tu pan M. schylił głowę i zamilkł zupełnie.

— I nie przepisałeś wszystkich listów? zapytał po chwili gospodarz.

— Było ich przeszło dziewięćdziesiąt, rzekł pan M. nie patrząc na nas.

— Zostałeś więc pan w domu? rzekłem.

— Skończyłem uniwersytet w Berlinie, odpowiedział.

— A pani Hieronimowa? zapytał pan Ignacy.

— Odbierałem jeszcze od niej coraz rzadsze listy, zaliła się na moje milczenie, nakoniec i sama umilkła. Szanowałem tę dumę obrażonego serca. Co się zaś z nią stało, dotąd nie wiem. Nie chciałem się dowiadywać; bałem się aby cokolwiek nie zepsuło moich iluzyj. Pragną-

łem i pragnę dotąd, dodał z lekkim westchnieniem, aby w myśli mojej została taką, jaką ją widział i znał w Pasiece.

To rzekłszy, powstał i poszedł ścieżką ku Teterowu. Zostaliśmy w milczeniu i patrzyliśmy nań z interesein. Długo widzieliśmy go błakającego się nad brzegami rzeki, nikt z nas nie śmiał pójść za nim; nakoniec zmrok wieczora zakrył go nam zupełnie. Do wieczerzy pan M. nie przyszedł, a gdyśmy się nazajutrz na śniadanie zebra- li, powiedziano nam, że o godzinie czwartej rano wy- jechał.

Wtenczas rzekł pan Ignacy: — Jak dziwnie los czło- wieka zależy często od drobnych okoliczności! Gdyby pani Hieronimowa była pisała wyraźnie, gdyby pisała po pol- sku, miałaby dziś młodego męża, który ją dotąd kocha.



NIECO O ŚWIĘTOPIETRZU W POLSCE,

ZEBRAŁ

Tymoteusz Lipiński.

Tempora mutantur.

Do wielu niedostatecznie jeszcze wyjaśnionych faktów w dziejach polskich, należy i pobożna danina zwana *Świętopietrze*, czyli *grosz świętego Piotra*. Zastanawiał się nad tém z właściwą sobie gruntownością Naruszewicz, nagromadził ze źródłowych pisarzy ważne wiadomości, i przekazał je nam tu i owdzie rozproszone, w nieoszacowanej swój pracy; drugim był Czacki, który zamieścił w *Litewskich i Polskich prawach 1800 roku*, obszerniej zaś w rozprawie 1802 r., o dziesięcinach, zajmujące a nieznane Naruszewiczowi o *Świętopietrze* szczegóły (1). Po tych dwóch niezmordowanych badaczach, nikt się nie zajął dokładnym obrobieniem tego historycznego ustępu, i nie przedstawił go w należyłym świetle, ale co większa: nikt po nich kroku nawet na tém ciekawém nie postawił polu. Sądzę, iż nie będzie

(1) O dziesięcinach w powszechności, a szczególnie w Polsce i Litwie i t. d., ob. *Roczniki Tow. Przy. nauk I*, 360, i *Nowy Pam. Warsz.* 1802 r. T. V, s. 80.

od rzeczy, gdy zbiorę w jedną całość i ponowię dla odświeżenia w pamięci to, co wzmiankowani dwaj uczeni nasi w tym przedmiocie wyrzekli, tak w samym texcie dzieł swoich, jak i w przypiskach; pechop zaś do niniejszego przedsięwzięcia nastęrcza mi nader ważny z tego względu przywilej miasteczka *Główna* pod 1427 r., że znajduje się w nim wzmianka: ażeby mieszczanie wnosili denar ś. Piotra.

Podatek, czyli grosz ś. Piotra, wyraża Naruszewicz, stanowią kronikarze nasi za czasów Kazimiérza I, syna Mieczysława II i Ryxy (Reginy), córki falcgrafa reńskiego. Ustąpiwszy z kraju Kazimiérz, miał zostać mnichem w klasztorze Benedyktynów w Kluniaku czyli téż Leodyum we Flandryi (1). Uwclniony od ślubów zakonnych przez Benedykta IX, wrócił do Polski 1040 r. dla objęcia rządów, lecz wprzód przystać musiał na następujące warunki: że Polacy mieli głowy golić obyczajem zakonników, nosić przepaski białe w przedniejsze święta, nakształt stuły z ramienia lewego do boku prawego, i płacić pewną daninę pieniężną, którą Gallus, albo raczej jego fałszerz zowie Szwantopetrze, *solidus B. Petri*. Kadłubek, jako o mnichostwie, tak i o podatku zamilczał; Bogufał nazywa ten pieniądz *denarium*, dając po jednym od każdój głowy bez braku; przypisnik Kadłubka, słowo w słowo przepisał z Bogufała. Jan kronikarz, żyjący około 1355 r. powiada: że ten pieniądz miał na sobie wyrażoną głowę ś. Jana; umniejsza on pogłównie, mówiąc: iż dawano *singulis annis de singulis familiis unum denarium*, ale przydaje do pieniędzy owies: *duas*

(1) Upowszechnioną baśń o mnichostwie Kazimiérza, pierwszy zbił z wielką pracą i dokładnością Naruszewicz.

mensuras avenae S. Petro Romae pro lurine. Anonim, pisarz dziejów szląskich, poszedł za Bogufałem względem pogłównego; Długosz nazywa tę monetę *nummum usua-lem* (w kraju używaną), stanowi pogłównę, ale od niego szlachte uwalnia: *nobilium capitibus circumscriptis.*

Zwyczaj wnoszenia wzmiankowanej daniny do skarbu papieskiego, nie za Kazimiérza I, lecz z wprowadzeniem u nas wiary wziął początek. Nietylko zaś Polacy, ale i inne świeżo nawrócone narody, jakoto: Węgrzy, Angli-
cy, Duńczykowie, Czesi, przez wdzięczność i uszanowanie głowy kościoła, postępowały często ś. Piotrowi daninę coroczną w pewnych summach. Królowie i książęta chrześcijańscy, czynili to czasem dla względów prywatnych i zjednania sobie protekcji Rzymu, lub dla nabożeństwa i potrzeb politycznych. Znajdujemy ślad w Dytmarze, iż Polacy od chwili zaszczerpienia wiary, dawali pewną składkę pieniężną papieżowi, i że Bolesław Chrobry zwał przyczynę na cesarza Henryka II, jakoby dla jego zasadzek nie mógł przesłać *promissum census S. Petro.* Znajdujemy także w życiu ś. Romualda, pisaném przez ś. Piotra Damiani spółczesnego Chrobremu: iż ten monarcha dla otrzymania korony od papieża, chciał posłać do Rzymu *copiosum auri pondus.* Nie wiadomo, czy Bolesław Chrobry wykonał obietnicę swoje po 1014 r., i czyli syn jego Mieczysław II to uczynił. Papieże, którzy naówczas od wielu innych książąt chrześcijańskich tę pobożną odbierali daninę, utrzymywali zawsze do niej swoje prawo. Pobożność dała mu początek, czas i okoliczności odmieniły dobrowolną w pierwiastkach ofiarę w zwyczaj, a z tego wywiązał się niejakiś obowiązek. Kazimiérz pan pobożny, mógł wskrzesić, co przodkowie jego obiecali i zaniedbali: wszakże uczynił

to, nie za uwolnienie swoje od kaptura, ale z wrodzonej pobożności i poszanowania stolicy świętej, z obyczajów innych narodów, jako też dla zjednania pomocy głowy kościoła przeciwko Czechom. Grosz więc ś. Piotra, musiał być we zwyczaju przed Kazimiérzem, lecz pobór onego domowemi wojnami, nierządem kraju i zuchwałstwem mnogiego jeszcze pogaństwa będąc zatarty, przez tegoż króla został odnowiony. Ściągnięte corocznie z mieszkańców i do Rzymu przesyłane pieniądze, nie były bynajmniej znakiem hołdownictwa, ale przysługą pobożną na budowę kościoła ś. Piotra i na utrzymywanie lamp przy jego grobie.

Pod 1045 r., wspomina Długosz o wysłanym przez Benedykta IX do Polski nuncyuszu, z przypomnieniem Kazimiérzowi I obiecane go podarunku: i że król zwoławszy na ten koniec radę, ogłosił powszechnym wyrokiem, wybieranie pogłównego po jednym *groszu* ze wszystkich wsi, miast i miasteczek, w metropoliach gnieźnieńskiej i krakowskiej, oraz dyecezyach im podległych (1). Walka między trzema papieżami wszczęta, zakryła przed nami nazwisko tego, który się u nas o danię ś. Piotrowi upominał. Innocenty III w liście piśanym 1207 r. do duchowieństwa, przykazuje Polakom: aby grosz ś. Piotra (*Apostolo censum debitum*), dobrą i kurs mającą monetą krajową, nie brakowaną wyplacali; papież zaś Innocenty IV wyprawił 1245 r., legata Opizona

(1) Nie po groszu, ale po obolu (*obulus* to samo co denar) od głowy pisze Długosz: *decreta et innovata est solutio unius usualis obuli de capite in provinciis Gnesnensi et Cracoviensi, et dioecibus eisdem subnectis, videlicet: Posnaniensi, Plocensi, Crusviciensi, Wratislaviensi, Lubieccensi, Culmensi et Camenecensi*. Grosze dopiero za Wacława (1300 — 1305) w Polsce nastąpiły, a denarów 18 szło na grosz.

dla wybierania świętopietrza. Władysław Łokietek, w nadziei pozyskania u Jana XXII sprawiedliwości z Krzyżaków, a razem otrzymania korony, odnowił około 1317 r., wybieranie groszów ś. Piotra. Bo lubo z dawnych lat, z każdego domu i rodziny placono na fabrykę i na światło kościelne po trzy denary i przetaku owsa, chybiał atoli częstokroć ten podatek dla wojen, niedostatku, owszem i dla niechęci dopełniania postanowień rzymskich, jako dla kraju uciążliwych. Lecz Łokietek dla tém łatwiejszego dokonania swoich zamiarów, przywrócił zwyczaj starożytny z tą odmianą: iż odtąd od każdej głowy jeden denar kursującej monety miał być statecznie wypłacany, wyjąwszy szlachtę. Mieli wprowadzić Polacy zawsze tę darowiznę za uciążliwą, wszelako jak świadczy Długosz, trwał ów podatek nieprzerwanie za jego czasów (1).

Posłuchajmy teraz, co w tymże przedmiocie pisze Czacki. Księga zbioru funduszów dyecezyi krakowskiej, zwana *liber beneficiorum*, przez Długosza sporządzona, zachowała nam wielość dani, którą wówczas będące wsie płaciły do Rzymu (2). Zygmunt I wyjednał u Leona X, iż dochód z Świętopietrza, przeznaczony został z woli papieża na poprawę zamku kamienieckiego, który uważany był za przedmurze przeciw potędze tureckiej. Co do wielkości summy z tego źródła, dwa niemal zupełnie zgodne znane są dowody, jakoto: w aktach Drzewickiego kanclerza W. K. na s. 174, zaświadcza król 1510 r.,

(1) Jan z Niedzielska Długosz kanonik krak. zmarł 1480 r. nominatem na arcybis. lwowski.

(2) Ze zlecenia bis. Zbigniewa Oleśnickiego, ułożył Długosz 1448 r. spis funduszów i posiadłości kościołów. Wielce szacowny ten zabytek, pięknie na pergaminie pisany, przechowuje się w archiwum kapituły krakowskiej.

że z rąk Jana Konarskiego bis. krak., odebrał 420 grzywien rocznego dochodu; akta zaś kapituły krak. zawierają kwit króla 1538 r. dany Stan. Borkowi kolektorowi za pięć lat z summy 4200 zł. ówczesnych. Ustąpienie grosza ś. Piotra, ponawiano ze strony papieża co lat dziesięć, i takie jedno *breve* pod 1513 r., posiadał Czacki w oryginale. Z instrukcyi 1539 r. przez Zygmunta I, Wilamowskiemu bis. kamieniec. do Pawła III danój, a w zbierze Stan. Górskiego, czyli raczej w aktach Piotra Tomickiego będącej, okazuje się: że Stan. Czarnkowski poseł w Rzymie, wyjednał dla królów polskich ustąpienie rzeczonój daniny bez oznaczenia czasu.

Do tego podatku należała za rządów Władysława Łokietka: Polska, Mozowsze, księstwa Zatorskie i Ówieczimskie (*Hanow: Preussische Sammlung I, 403*). Arcybiskup gnieźn. oskarżył mistrza krzyżackiego, że grosza ś. Piotra nie daje ⁽¹⁾; ten zaś oświadczył: że go Prussy nie dawały, i dawać nie powinny, lecz wszyscy co kujawskiego biskupa duchownej władzy są podległymi, płacić mają. Archiwum sekretne królewieckie, zawiera liczne dowody, jak papieże żądali tej daniny z Prus, a jak się mistrze krzyżacy jej opierali. W bibliotece zamkowej w Warszawie *fasc. 1*, mówi Czacki, równie jak i w archiwum, jest protestacya 1321 r. przeciwko natrętnemu wymaganiu tej opłaty, a ja mam oryginalne z 1445 r. *breve* Eugeniusza IV, w którym zbierania z Prus grosza ś. Piotra i odesłania do Rzymu żądał. *Grunow* w swojej kronice pisze pod 1521 r., że Prussy płacą do Polski grosz ś. Piotra. Płaciła tedy Polska, wyłączając nawet wrocławską dycęzyą, nie rachując Prus

(1) Po niemiecku: *der Petersphennig*.

książęcych i malborgskiego Wtwa, nakoniec nie obejmując ziem i województw ruskich, w przestrzeni 5,175 mil kwadr., podług obrachunku za Zygmunta I, na lat pięć złp. 4200, czyli na rok 840 złp. ówczesnych (1). Łany poddane téj summie opłacały po 2 grosze, niektóre po jednym. Już za Zyg. Augusta, nierównie mniejszą ilość pieniędzy wnoszono do skarbu; ostatnie zaś pokwitowania wydał król z odebrania téj daniny za lat 14 (od 1536 do końca 1549 r.), kolektorowi Borkowi 1553 r. i za tyleż lat wicekolektorowi Walent. Brzostowskiemu d. 20 marca 1564 r. Okazuje się: iż od 1550 do końca 1563 r., z całej metropolii gnieźnieńskiej, jako téż i z dyecezyi wrocławskiej, było przychodu w ogóle złp. 5,246, gr. 15, den. 14 (2). Z czego:

	zł. 895, gr. 10
na wydatki wybierania.	zł. 351 — 5, den. 14
	ogółem zł. 1246. — 15. — 14.

Dla króla przeto z lat 14, zostało zł. 4000 (3).

(1) Ob. o dziesięcinach Roczn. P. N. I, 360; w téjże zaś saméj rozprawie umieszczonej w Nowym Pam. Warsz. 1802 r. V, 80, czytamy: „Łatwo czytelnik może poznać, jak była mała liczba łanów znoszących ten ciężar, kiedy do téj składki należały województwa i ziemie, mające płaszczyny mil kwadr. 4725.”

(2) Na dzisiejszą monetę, przeszło 10 razy więcej.

(3) Rachunek ten podany przez Czackiego, lecz błędnie wydrukowany w I tomie Roczn. P. N. sprostowałem, czerpiąc dowody z samego źródła w arch. główném. Również mylnie przytoczona jest księga i stronica pierwszego kwitu, który wraz z drugim pokwitowaniem, dosłownie tu wypisuję.— *Quitatio vnrbilis Stan. Borek, de pecunia ex denario S. Petri collecta—Sig. Augustus etc. Significamus tenore praesentium quorum interest universis. Quia venerab. Stan. Borek iuris utriusque doctor, Decanus Cracov., Cantor. Gnezn., Cancellarius et Canonicus Vratislaviensis, Custos Sandomir., Secretarius noster, ac denarii S. Petri*

Jan Albertrandy (Dzieje król. pols. lat porządkiem opisane, 1768 r.) napomknąwszy o Świętopietrze (s. 12), wyznaje: „którego roku ustało i z jakiej przyczyny, nie wiadomo.” Lecz co jemu i innym nie było wiadomém, wyszedł pracowity Czacki, i taką nam w swych badaniach nad Świętopietrzem podał ostateczną wiadomość: Kardynał Commendoni nuncyusz w Polsce, w korespondencyi urzędowej z Rzymem 1565 r., szczególnie w listach do Karola Boromeusza, poczytując jeszcze tę daninę za własność stol. apostol., ob staje: aby ten poda-

in provincia Gnesnen. a sede Apostolica serenissimo olim bonae memoriae parenti nostro Sigismundo regi primum, denique nobis donati, collector generalis fidelis dilectus, fecit nobis veram, exactam et sufficientem rationem de denario S. Petri praedicto per annos quatuordecim continuos, incipiendo videlicet post priorem ejus rationem ab A. D. 1536 inclusive, usque ad A. Dni 1549 etiam inclusive exacto et collecto, in qua quidem ratione demonstravit sufficienter, quantum pecuniarum ex eo ipso S. Petri denario, per hoc temporis collegerit et perceperit, quantum deinde ad praefati seren. olim parentis nostri, ac nostra mandata in manus generosi olim Severini Boner Castellani....., Burgrabii, Zuparii et magni Procuratoris nostri Cracov. dedit et consignavit, quantum ad inaurandas imagines summi altaris ecclesiae Cracoviensis majoris, ac in cursores cum processibus missos exposuit, quantum item archivio Romano singulis annis missit, et quantum denique thesauro nostro regio intulit. Ita quod comperimus nos ex ratione praedicta cum nobis serenissimoque olim Domino parenti nostro nihil mansisse debitorem, quare commendantes fidem eius et diligentiam singularem, ipsum una cum successoribus suis, ex denario S. Petri praedicto per hoc totum temporis quo collectorium eius gessit officium, quietamus perpetuo, et liberum pronunciamus. Harum quibus manu nostra subscripsimus, et sigillum nostrum appendi iussimus testimonio literarum. Datum Cracoviae sabbato post fes. exaltat. S. Crucis proximo A. D. 1553. (Księga metr. Z. S. 84, s. 246) — Quietatio Valentini Brzostowski ratione praestitionis denarii S. Petri. Sig. Aug. etc. Quia honorabilis Valentinus Brzostowski Mansionarius ecclesiae maioris et Notarius capituli Cracov. fecit atque reddidit nobis sufficientes rationes ex officio vicecollectoriae denarii S. Petri, quod ex

tek był wybierany. Cele jego są widoczne, gdy o hołdownictwie mniemaném Polski, i władzy nad nią papieża, *samemu królowi namienić zlecił. Kiedy coraz bardziej pomnażali się dyssydenci, a bojaźń surowości kościelnych ustawała, Polaków zaś łagodzić Rzym żądał, upadł sam z siebie podatek. Odtąd o opłacie Świętopietrza, zupełne w aktach jest milczenie.

Otóż wszystko, co z pism Naruszewicza, Czackiego i z archiwum głównego królestwa, dało się wyczerpnąć o Świętopietrze w Polsce; a że wspomniałem na czele o przywileju Główna, przytoczę więc z tego zabytku pra-

commissione venerabilis olim Stan. Borek Decani Cracov., Secretarii nostri, denarii S. Petri gnalis collectoris ab A. D. 1550, usque ad annum 1563 inclusive administravit: demonstravitque nobis clare per medium venerab. Simonis Lugowski Canonici Posnan. et thesauri nostri Notarii, quantum pecuniae ex omnibus decanatus, archidiaconatum Cracovien., Sandomirien. et Curzelovien., et item quantum seorsim ex archidiaconatibus Gnesnen., Lancicien., Lovicien. et Unieiovien., Calissien. et Vielunen., nec non Posnan., Varsevien., Wladislavien., Plocen. seu Pulthovien., Wratislavien. seu Culmen. episcopatus per hos vicecollectoriae suae quatuordecim annos percepit et exegerit, videlicet florenos 5246, grossos 15, denarios 14, quantum denique pecuniae thesauro nostro, hoc est in manus Magni. Spithek Jordan de Zakliczin Palatini moderni Cracov. et protunc regni Thesaurarii, ac deinde venerab. olim Raphaëlis Wargawski Praepositi Cracov. et thesauri nostri Notarii, florenos videlicet quatuor millia intulerit et consignaverit. Item, quantum officio archivistarum Romanae curiae florenos 895, gr. 10, ac item in salarium vicecollectoriae cursores, et processus per diocesim saepius missos, florenos nempe 351, gr. 5, den. 14 expenderit et erogaverit. Itaque de omnibus et singulis eisdem suprascriptis summis, praenominatum Valen. Brzostowski, cum ipsius successoribus quietandum duximus et quietamus, ac ipsum nihil omnino nobis eo nomine debere pronuntiamus perpetuo et in aevum, et ita occasione eiusmodi pecuniarum, eundem ubique indemnem reddere, evincere, tueri et intercedere, contra quascunque personas. verbo nostro regio pollicemur ac promittimus.— Datum in conventionem gnali Varsseviensi 20 marcii 1564. (Ks. metr. X. B. 96, s. 336.)

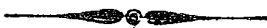
wodawstwa krajowego niektóre miejsca, z tém nadmienieniem: iż lubo krocie nadań i przywilejów miejskich przewertowałem, po raz wszakże pierwszy zdarzyło mi się znaleźć wyrażenie nadawcy, obowiązujące mieszczan do wnoszenia Świętopietrza.

Początek owego przywileju, jest taki: „In nomine Domini amen. Quoniam cunctorum memoria perit factorum, nisi veridicis, realibus et publicis scriptis fuerint roborata, proinde nos Jacobus heres, dominusque oppidi Głowno, Subpincerna Sochaczov. de speciali donacione seren. Principis et Domini, Dni Ziemoviti D. G. Ducis Masovie noviter erecto, in iure solito et consueto civium civitatis Ravensis, quo uti consueverunt, ad noticiam tam presentium, quam futurorum perpetuam, deducimus per presentes.” Poczém następuje 5 artykułów, w których objęte są powinności i daniny pieniężne przez mieszczan uiszczać się mające. Trzeci artykuł opiewa: „*Denarium vero S. Petri, cui expedit semper importare tenebuntur.*” Zakończenie: „In cuius rei testimonium, sigillum nostrum est apensum. Datum et actum in Głowno in nostra curia, feria 6 in vig. S. Crispini A. D. 1427, presentibus strenuis, nobilibus et honorabilibus viris: Dno Thoma de Walewice Vexil. Sochaczov. et Nicolao de Trassow Vexil. Ravensi terrarum, Joanne de Osse, Stanisłao de Domaradzyn, Paulo de Domaradzyn heredibus, Stanisłao de Strykow Plebano, et Bartholomeo Plebano de Brathoszewicze, ac aliis plurimis fide dignis hec sunt finaliter completa (1).”

(1) Kopia urzędowa zdziałana 1823 r. z oryginalnego przywileju, znajdującego się w Głównie.— Miasteczko to nad rzeką Mrogą, leży na gościńcu idącym ze Strykowa do Łowicza. Już na początku 16 wieku, należało do rodziny Miszewskich, z tych Sta-

Zniknęło, jakieśmy wykazali Świętopietrze od lat przeszło 280, pamięć tylko po sobie zostawując w przysłowiu: *podrwił Świętopietrze*, które zamieszczone jest w zbiorze przysłów 1619 r. pod tytułem: *Przypowieści polskie* przez Salomona Rysińskiego zebrane. Znaczenie tego przysłowia, stało się dla późniejszych pokoleń zagadką; przytaczając je w swój olbrzymiej pracy uczony Linde, położył przy niém znak zapytania; dawne zaś wyrażenie, *podrwić co*, objaśnia: przez głupstwo co popsuć, pogorszyć. Zajrzyjmy do dzieła 1830 r. wydanego: *Przysłowia narodowe* przez K. W. Wojcickiego t. II, s. 243, gdzie znajduje się następujące wyjaśnienie: „przysłowia tego używamy, gdy chcemy wyrazić: że się kto wydrwi lub wykręci z jakowej powinności włożonej na siebie, np. jak widzę, umiesz podrwić Świętopietrze, boś się gracko wywinął. Ty mnie podrwisz Świętopietrze, nie dam sobie zamydlić oczu”. Szanowny autor upewniał mię: iż przytoczone tu, i inne tym podobne sposoby mówienia, słyshał z ust ludu pochodzące.

niślaw, wyjednał u Zygmunta I bawiącego w Wilnie przywilęj 1522 r., uwalniający świeżo zgorzałe miasto od opłaty wszelkich podatków publicznych do lat 10, od czopowego zaś tylko na kwartał. (Ks. metr. 35, s. 813). Przychylając się August III do prośby dziedzica Baltazara Ciecierskiego Stolnika ziemi drohickiej, udzielił mu pod d. 9 stycznia 1745 r. przywilęj, zaprowadzający jarmarki: na M. B. Gromniczną, w wigilią B. Ciała, w wigilią ś. Piotra i Pawła, i na ś. Mikołaj. (Ks. kancl. 102, s. 156.) — Podług taryfy 1775 r. Główno w Wtwie i ziemi rawskiej, własność sukcesorów Ciecierskich, liczyło 60 domów opłacających po 5 zł. podatku podymnego.



ŚLADY

historyi naturalnej wszechświata.

(Ciąg dalszy).

II. *Materyały składające ziemię i inne ciała przestrzeni.*

Hypoteza obłoczków prawie koniecznie przypuszczać każe, że materya tworzyła pierwotnie jedną masę. Widzieliliśmy, iż jednakowe prawa fizyczne rządzą całością; mamyż przyjąć że i skład całości był jednostajny, czyli że się składała z podobnych pierwiastków? Trudno jest nie wpaść na ten wniosek, przynajmniej z tém ograniczeniem, że pod wpływem zapewne szczególnych okoliczności, towarzyszących utworzeniu się ciał niebieskich, jedne z nich zawierają pierwiastki brakujące w innych i wzajem pozbawione są takich, które się w tamtych znajdują, lub nawet że niektóre ciała składają się całkowicie z pierwiastków niewchodzących do składu innych.

Co są pierwiastki? nazwanie to zastosowali chemicy do pewnej ograniczonej liczby substancyj (54 do 55), które kojarząc się z sobą, tworzą wszystkie przedmioty znajdujące się wewnątrz i zewnątrz naszej ziemi. Zowią się one pierwiastkami albo prostemi substancjami, ponieważ dotąd niepodobna jest rozłożyć je na inne, dla-

czego zachodzi domniemanie, że są pierwotną podstawą wszech rzeczy. Wprawdzie nasunięto myśl, że mogą one być tylko modyfikacjami pierwotnej formy materji, które powstały pod pewnemi warunkami; lecz jeżeliby nawet tak było w istocie, małoby to obeszło sposób nasz zapatrywania się na układ świata. Analogia naprowadziłaby nas na wniosek, że skojarzenia materji tworzące tak zwane pierwiastki, są równie powszechne, równie gdziekolwiek zdarzyć się mogące, jak działanie prawa ciężenia i siły odśrodkowej. Musimy ztąd powziąć domniemanie, że gazy, metale i inne proste znane nam substancje (a nadto te wszystkie których nie znamy), istnieją lub zdolne są dostąpić istnienia pod właściwemi warunkami, tak dobrze w systemacie gwiazdowym 35,000 razy więcej od nas oddalonym niż Sirius, jak w granicach naszego systematu słonecznego lub naszej ziemi.

Materia, czy ją uważać będziemy za złożoną z około 55 pierwiastków, czy tylko z jednego, może się znaleźć w położeniach nieskończenie urozmaiconych, pod wpływem różnych okoliczności, albo wyrażając się więcej filozoficznie, pod rządem różnych praw. Znajomy tego przykład stawia nam woda; w temperaturze niżej 32° Fahrenheita (0° Reau.) zamienia się w lód, podniósłszy temperaturę do 212° Fahr. (80° Reau.), przechodzi w parę, zajmując daleko obszerniejszą przestrzeń niż w poprzednim stanie. Gazy poddane ciśnieniu stają się cieczami; gaz kwasu węglanego ciśniony ciężarem równającym się kolumnie wody na 1230 stóp wysokości, w temperaturze 32° Fahr. przyjmuje kształt cieczy; inne gazy wymagają rozmaitych wysokości ciśnienia do tej przemiany; lecz wszystkie, zdaje się, doświadczają jej, jeżeli

zarządzimy ciśnienie zastosowane do przypadku (*). Ciepło jest potęgą wielki wpływ mającą na objętość i inne własności materji. Chemik może obliczyć z dość wielką dokładnością, jakiej potrzebaby dodatkowej ilości ciepła, aby zamienić w parę wszystkę wodę naszego planety; jak wiele więcéj ciepła uwolniłoby kwasoród rozlany po połowie blisko w ciałach stałych, a nakoniec jaka jeszcze dodana ilość ulotniłaby całość, co można uważać za równoznaczne z przywróceniem jéj do pierwotnego stanu obłoczkowego. Z równą pewnością może chemik wyrachować, jakie byłyby skutki znacznego zmniejszenia się temperatury ziemi, jakie zmiany zaszłyby w każdéj z składających ją substancyj i o ileby objętość całości zmniejszyła się.

Ziemia ze wszystkimi swemi substancjami, ma obecnie pewną objętość zależącą od temperatury teraz istniejącej; wiedząc przeto, że materja ziemi i planet z nią stowarzyszonych była kiedyś rozlana po całej przestrzeni opisanéj drogą Urana (**), nie możemy wątpić potém co znamy o potędze ciepła, że obłoczkowa forma materji, miała za warunek bardzo wysoką temperaturę. Materja obłoczkowa przestrzeni, przed utworzeniem się ciał gwiazdowych i planetarnych, musiała być powszechną ognistą mgłą. Tę ideę zaledwie ogarnąć zdołamy, chociaż niepodobna się oprzéc rozumowaniu wiodącemu nas do jéj uznania. Formacya systematów z téj materji, niesie z sobą jakowąś zmianę pod względem stanu ciepła.

(*) Dotąd jeden wodoród stale się opiera wszystkim doświadczeniom czynionym w celu zamienienia gazów w ciecze.

Przyp. Tł.

(**) A raczéj nowéj planety Le Verriera.

Przyp. Tł.

Gdyby ta siła działała dalej z pełną swoją pierwotną energią odpychania, skupienie skutkiem przyciągania nie mogłoby było nastąpić. Nie znamy dosyć praw ciepła, abyśmy byli w stanie podać, w jaki sposób zaszła potrzebna zmiana pod tym względem, lecz możemy odszukać ślady kilku kroków i następstw tego procesu. Uranus powstał zapewne kiedy materya naszego systematu była najgorętszą, Saturn przy cokolwiek mniejszym cieple i t. d. Doskonale to przypada do miary z nadzwyczajną rzadkością materyi starszych planet. Saturn np. nie jest gęstszy ani cięższy od substancji korkowej. Być może, że jeszcze się dosyć ciepła pozostaje w tych planetach, aby wynagrodzić im to, co tracą przez odległość od słońca i szczupłą ilość ciepła czerpaną z jego promieni. Być może również, gdy Merkury jest dwa razy tej gęstości co ziemia, że materya jego znajduje się w stanie zimna, które tylko zrównoważa większy udział tej planety w promieniach słonecznych. W ogóle przeto wszystkie dzieci słońca równego może doświadczać ciepła. Lecz gdzież się podziało ciepło rozlane niegdyś po całym systemacie a teraz nieznajdujące się już w planetach? Mamy zasadę mniemać, że ciepło owe składa świetną powłokę słońca, w której mieści się według zdania obecnie przyjętego jego ciepłodawcza potęga. Albo może składa ono zapas dający środek do utrzymania rozmaitych działań, których widownią planety przeznaczone były zostać.

Wszystkie poprzednie uwagi zmierzają do przekonania nas, że kula ziemską jest exemplarzem innych tego rzędu ciał przestrzeni, pod względem materyi składowej, jako też pod względem praw fizycznych i chemicznych, które nią rządzą, z tém ograniczeniem wszakże,

że w różnaitości materyałów składowych przytrafić się mogą odcienia, a nawet niewątpliwie przytrafiają się, w warunkach działania praw, a tém samém w skutkach przez nie sprawionych. Tak np. mogą być na ziemi substancje nieznanające się w innych ciałach; substancje będące u nas w stanie stałym, mogą być gdzieindziej ciekłe lub lotne. Tém większą mamy zasadę do uczynienia takich wniosków, widząc, że niéma nic szczególnego lub właściwego tylko ziemi w jój astronomiczném położeniu; jest ona trzecią w szeregu planet, w szeregu stanowiącym tylko jeden systemat z niepolichzonej ilości innych tworzących pojedynczą grupę. Jeżeli tak wyrazić się wolno, powiemy, że ziemia przedstawia wszystkie cechy zaliczające ją do gminowładztwa. Ztąd nie możemy przypuszczać, żeby miała coś sobie właściwego, coby nie było własnością mnóstwa innych ciał, tych wszystkich które mają podobieństwo do niój pod względem kosmicznych stosunków. Jest tedy wielce interesującym pytaniem poznać, jakie są materyały tego exemplarza ciał przestrzeni, jaki jest zasadniczy charakter przedmiotu pozostawionego naszej bezpośredniej obserwacji, jakby na próbę tłumy światów tak licznych, jak drobne ziarnka chmury piaskowej wzbitej na pustyni, i których rozpostarciu się nic nie stoi na przeszkodzie.

Ciała stałe, ciekłe i lotne kuli ziemskiej, dają się wszystkie sprowadzić do 55 substancyj zwanych elementarnemi. Z tych czterdzięci przedstawia wszystkie cechy metalów, 12 jest niemetalicznych, a trzy pozostałe są substancjami pośrednimi, sprzęgającemi z sobą dwie wielkie grupy. Pomiędzy niemetalicznemi pierwiastkami, cztery, mianowicie kwasoród, wodoród, saletroród i chloryna znajdują się w stanie gazów: brom jest w zwy-

klój temperaturze ciecżą; inne (oprócz fluoru, który nie daje się odosobnić a ztąd fizycznych cech jego rozpoznać nie można), są ciałami stałemi.

Kwasoród jest najobfitszym ciałem na kuli ziemskiej; stanowi on $\frac{1}{5}$ część naszej atmosfery, $\frac{8}{9}$ ciężaru wody, i wchodzi w znakomitym stosunku do wszystkich rodzajów skał natrafianych w skorupie ziemi. Wodoród składający z kwasorodem wodę i wchodzący w skład niektórych mineralów, obfitością swoją najbliżej może do kwasorodu przystępuje. Saletroród tworzący $\frac{4}{5}$ części atmosfery, jest również szeroko rozpostartą substancją. Metal silicium który połączony w równych częściach z kwasorodem tworzy krzemionkę będącą zasadą połowy prawie skał w skorupie ziemi, wielce znakomitą gra rolę. Aluminium, zasada metaliczna aluminy, materiału obficie w wielu skałach znachodzącego się, ważne także zajmuje miejsce. Nie ustępuje mu węgiel w małym stosunku wchodzący do składu atmosfery, lecz stanowiący główny pierwiastek substancyj zwierzęcych i roślinnych, i wszystkich ciał kopalnych należących do ostatniej kategorii, pomiędzy którymi węgiel ziemny wydatne zajmuje miejsce. Pospolite metale, żelazo, cyna, miedź, srebro, złoto, są pierwiastkami stanowiącemi stosunkowo nieznaczną część dotąd zbadanej wierzchniej skorupy.

Zasługuje na uwagę, że substancje proste powszechnie się znajdują w kształtach złożonych. Tak, kwasoród i saletroród, chociaż zmieszane tworzą powietrzną powłokę ziemi, nigdy się same nie znajdują w naturze. Węgiel jest czysty tylko w dyamencie. A nawet metaliczne zasady ziemi, chociaż chemik w stanie czystym wydać je zdoła, rychło zawierają związki, paląc się od

wilgoci. Kojarzenie się ciał prostych i złożonych jest zasadą szeroko władającą w naturze. Mało jest skał np. któreby nie były złożone przynajmniej z dwóch rozmaitych materij, a każda z tych ostatnich znowu jest związkiem elementarnych substancyj. Jeszcze bardziej zadziwiającém jest w zasadzie powinowactwa to, że wszystkie pierwiastki łączą się z sobą w stosunkach matematycznych. W stanie gazowym jedna ich objętość łączy się z jedną, dwoma, trzema lub więcej objętościami drugiego pierwiastku, zostawiając nietknięty wszelki, jeżeliby jaki był, nadmiar. Pod względem wagi, związki chemiczne podlegają także stałym i niezmiennym prawom najwyższej piękności i prostoty. Ztąd niektórzy wnoszą, że materya jest złożoną z nieskończenie drobnych cząstek czyli atomów, z których każdy do swego należy pierwiastku i (ulegając w tém ukrytemu dotąd prawu), może kojarzyć się tylko z oznaczoną ilością atomów drugiego pierwiastku. Mają téż substancye szczególne upodobania jedna w towarzystwie drugiej. Zostaje się jedna skojarzona z drugą, aż póki trzecia się nie zbliży, wtedy pierwsza opuszcza drugą i przywiązuje się do trzeciej. Gdy czwarta się przymiesza, trzecia częstokroć porzuca pierwszą i łączy się z nowym przybyszem.

Taki jest zarys wiadomości jaką udziela nam chemia co do materyałów składających kulę ziemską. Lecz nieskończenie większego interesu nabiera ta wiadomość gdy zważymy, że prawdopodobnie jednakowe są materyały wszystkich ciał przestrzeni i prawa pod któremi wszędzie wchodzą z sobą w związki, z taką odmianą jedynie, jaka pochodzi z miejscowych i przypadkowych różnic.

Zapatrując się na kosmogoniczne urządzenie kuli ziemskiej, uwagę naszą szczególnie ściąga na siebie księżyc. Według hipotezy obłoczków, księżyc uważają się jako masy zrzucone ze swoich ciał głównych w ten sam sposób, w jaki te ciała były zrzucone ze słońca. Droga księżycy uważaną być winna za stanowiącą granicę masy ciała głównego w czasie zrzucenia; podobnie prędkość jego obiegu równa się prędkości obrotu ciała głównego w epoce oddziału. Najdalszy np. z księżyców Jowisza krąży wkoło tego ciała w odległości 1,180,582 mil (*), okazując nam że planeta miała kiedyś około 3,675,501 mil obwodu, zamiast co teraz średnica jej wynosi tylko 89,170 mil. Ta wielka masa potrzebowała cokolwiek więcej nad 16 dni 6 1/2 godzin (dzisiejszy peryod obiegu skrajnego księżycy), aby raz jeden obrócić się około swój osi; księżyc najbliższy musiał się utworzyć kiedy planeta ścisnęła się już do 309,075 mil obwodu i wirowała w 24 1/12 godzinach.

Podobne rozumowania naprowadzają nas na wniosek, że masa ziemi w pewnej epoce po zrzuceniu ze słońca, miała 482,000 mil średnicy, czyli była 60 razy większą niż dzisiaj.

W tej epoce masa potrzebowała więcej cokolwiek czasu niż wynosi peryod obiegu księżycy czyli dni 29 1/2 do wirowego obrotu, kiedy obecnie ziemia obraca się około osi w niecałych 24 godzinach. Czas jaki upłynął między utworzeniem się księżycy a ściśnieniem się ziemi do terażniejszej objętości, zapewne dochodzi jednej z tych liczb, któremi astronomia szczerze szafuje, lecz pod których ogromem umysł nasz upada.

(*) Mile zawsze rozumieją się tu angielskie. *Przyp. Tł.*

Obserwacya powierzchni księżyca ziemskiego przez teleskop wiele zmierza do utwierdzenia hipotezy, że wszystkie ciała przestrzeni składają się z podobnych materij z niejakiemi tylko odmianami. Nie widać aby nasz księżyc był zaopatrzony gazową powłoką, która na ziemi spełnia tak ważne funkcye. Niéma nigdzie śladu wody na jego powierzchni, a jednak powierzchnia ta podobnie jak powierzchnia kuli ziemskiej, nacechowana jest nierównościami i śladami działań wulkanicznych. Nierówności owe i działania wulkaniczne daleko są większego rozmiaru jak te, które obecnie istnieją na powierzchni ziemi. Jakkolwiek zaś z powodu większej siły ciśnienia na części zewnętrzne, można było przypuszczać, iż góry na księżycu, przy równych zkadinał okolicznościach, muszą być o wiele mniejsze niż na ziemi, to jednak w wielu miejscach dochodzą one wysokością najwynioślejszych Andów. W ogólności góry na księżycu są niezmiernie strome i ostre w zarysach, czego można było oczekiwać po planecie, której zbywa na wodzie i powietrzu, czynnikach niszczących chropowatość powierzchni naszej ziemi.

Działania wulkaniczne odbywają się na zdumiewającą skalę. Oncto powodują jasne miejsca na księżycu; niedostatek ich wyróżnia części ciemniejsze, zwykle, lubo błędnie, zwane morzami. W niektórych stronach jasna materya wulkaniczna nietylko zalega duże pasy, ale nawet promieniuje w długich potokach, w których znowu widzimy podrzędne ognisko siły tego samego rodzaju. Inne jeszcze przedmioty zwracają uwagę: są to góry obrączkowe, góry podobne do krateru wulkanów ziemskich, okolone bezpośrednio obszernymi i głębokimi rowami, zstępującymi niżej poziomu, któ-

re znowu są otoczone wałem gór wznoszącym się wysoko nad górę środkową i mającym wewnątrz tarasy téj saméj wysokości co środkowa wyniosłość. Znane dobrze jasne miejsce w południowo zachodniej stronie, zwane od astronomów *Tycho*, dające się z łatwością rozpoznać gołym okiem, jest jedną z tych gór obrączkowych. Jest na księżycu góra mająca 200 mil średnicy z rowem na 22,000 stóp głębokim czyli dwa razy wysokości Etny. Rzeczą jest zastanowienia godną, że mapy Humboldta wulkanicznego okręgu w południowej Ameryce i mapa wulkanicznego niegdyś okręgu Owernii we Francyi przedstawiają rysy mające uderzające podobieństwo do wielu części powierzchni księżycowej, jak ją widzimy patrząc przez mocne szkło.

Takie znamiona księżycy nie pozwalają nam mniemać, aby obecnie mógł być widownią życia, tak jak ziemia, i zdają się nieledwie zaświadczać, że nigdy nią zostać nie może. Lecz nie powinniśmy zbyt nagle tworzyć podobnych wniosków. Księżyc może tylko znajduje się na wczesniejszym stopniu postępu przez który ziemia już przeszła. Pierwiastki na których zdaje się że mu zbywa, znajdują się może tylko w innych związkach niż na ziemi, i mogą się jeszcze w równy sposób rozwinąć. Morza mogą jeszcze wypełnić głębokie wydrążenia na jego powierzchni; atmosfera może jeszcze rozpostrzeć się naokoło. Jeżeliby te wypadki zaszły, fenomena meteorologiczne i życia organicznego rozpoczną się, i księżyc podobnie jak ziemia stanie się zielonym i zamieszkanym światem (*).

(*) Pomiędzy najbardziej nadzwyczajne fenomena umiejętności natury, policzyć należy spadanie kamieni meteorycznych. Okoliczność ta o której długo powątpiewano, jest obecnie stwierdzo-

Przynosi to mocny dowód na korzyść jakiegokolwiek hipotezy, jeżeli wszystkie odnoszące się do niej zjawiska, zostają z nią w harmonii. Taki przypadek zachodzi z hipotezą obłoczków, a nawet zjawiska z nią sprzężone, nie dają się wytłumaczyć przez żadne inne przypuszczenie. Widzieliśmy jakie powody skłaniają do uczynienia wniosku, że materya pierwotnie zostawała

na nagromadzeniem świadectw stanowczych i wiarogodnych. Widziano jak spadały kamienie i podnoszono je jeszcze gorące; nie może już zachodzić wątpliwość co do rzeczy, lubo tłumaczenie jest niezmiernie trudne. Uważając te kamienie, znajdujemy że wszystkie są do siebie podobne w ogólnych znamionach; zwykle składają się one z materyału ziemnego mającego rozpięchłe między swoją substancją kulki i małe masy metalicznego żelaza, zawierającego nikiel. Kamienie często bywają pokryte cienką, szklistą powłoką, jakby częściowe stopienie już się zaczęło. Wiadomo także, że wielkie kawały miękkiego kowalnego żelaza, również zawierającego nikiel, bywają znajdowane w różnych miejscach daleko od siebie odległych, pojedynczo na ziemi leżące; jak np. w południowej Ameryce i w Syberyi, i nie można mieć wątpliwości o meteorycznym pochodzeniu tych mass. Czyniono domniemania, że kamienie meteoryczne pochodzą z księżyca; z kąd były z taką gwałtownością wystrzelone z wulkanów iż dosięgły sfery przyciągania ziemi. Obecnie upowszechnił się sposób widzenia, przypuszczający istnienie w przestrzeni licznych ciał drobnych krążących po mniej lub więcej regularnych drogach około słońca i większych planet, i podlegających w pewnych okresach takim peturbacyom, że ruch ich zostaje zupełnie zwichniętym i że naostatek spadają na powierzchnię ziemi lub innych planet, których przyciąganie było przyczyną sprawiącą zwichnięcie ich obiegu. Jakiegokolwiek przecie może być ich pochodzenie, za ogólną zgodą uważane są jako obce ziemi; fizyczny ich skład jest zupełnie różny od wszelkich znanych minerałów, lecz nadewszystko zwraca uwagę i szczególnie godną jest zastanowienia jako umacniające to cośmy przytoczyli na dowód twierdzenia, że wszystkie członki systemu słonecznego, a może i innych systematów mają skład podobny, okoliczność, iż żadne nowe pierwiastki nie znalazły się w tych ciałach, zawierających zwyczajne materyały ziemi, tylko skojarzone w sposób zupełnie nowy, niepodobny do wszystkiego co znamy w mineralogii ziemskiej.

w stanie masy rozlanéj, której składowe części trzymane były w rozdziale przez działanie ciepła; że różne jej bryły skupiły się w słońca, które zrzuciły z siebie planety; że też planety z początku ogromnéj objętości, stopniowo, skutkiem oziębienia, ścisnęły się do dzisiejszych wymiarów. Co do naszej ziemi, ujrzymy zastanawiający dowód, że znajdowała się w stanie ciekłym w czasie ostatecznym stwardnienia swego, w tém, że jest obrzękła przy równiku, to jest, że ma kształt, jaki zlekka obracające się ciało przyjmuje i przyjąć musi nieuchronnie, pod wpływem siły odśrodkowéj. Ta obrzękłość daje stosunek średnicy ziemi w kole równika, do średnicy między biegunami jak 230:229; a takie właśnie zboczenie od kształtu regularnéj kuli powinno było zajść, jak dowiedziono, w skutku wielkości masy i prędkości ruchu wirowego. Równie wyraźny dochował się nam pomnik wysokiéj pierwotnéj temperatury w zapasie ciepła dotychczas istniejącego w wnętrzu ziemi. Temperatura powierzchni ziemi zależy tylko od działania ciepła słonecznego na składające ją materiały. W punkcie cokolwiek niższym, lecz różnym według różnicy klimatów, ustaje wszelkie działanie promieni słonecznych. Tu dopiero zaczyna temperatura zostawać pod wpływem zupełnie innéj przyczyny; widocznie ma swe źródło we wnętrzu ziemi, i wzrasta w miarę jak głębiej i głębiej zstępujemy, w stosunku 1 stopnia Fahrenheita ($\frac{4}{9}^{\circ}$ Raum.) na każde stóp sześćdziesiąt. Téj wysokiéj temperatury jeszcze inne są dowody w fenomenach wulkanicznych i źródłach gorących, równie jak w zbadanéj gęstości całej masy ziemskiéj. Gęstość ta wynosi, jak już nadmieniliśmy, $4\frac{1}{2}$ ciężkości wody, waga zaś głównych substancyj stałych, składających zewnętrzną

skorupę, jest dwa i pół raza większa od ciężkości wody. Waga ta, gdyby kula ziemską była ścisłą i zimną bryłą, wzrosłaby mocno ku środkowi; woda nabyłaby gęstości żywego srebra już o 362 mil pod powierzchnią, inne materiały w proporcji, a gęstość ich jeszcze mocniejby się zwiększyła w większych głębokościach.

Zostaje nam tedy jedynie do przypuszczenia, że materiały ziemi wewnętrzne są, w jakikolwiek sposób, wielce rozrzedzone i rozpostarte: cóż zaś innego takby je rozrzedziło jeżeli nie gorąco? W istocie istnienie wewnętrznego ciepła, resztki tego które na początku wszystkę materją trzymało w stanie lotnego chaosu, liczy się do najmocniej uzasadnionych odkryć nowoczesnej umiejętności, i utwierdza w wysokim stopniu teorią Herszla o tworzeniu się światów (*). Zobaczymy później jakie ślady pozostawiło działanie tego ciepła na powierzchni ziemi w czasach odległych, działanie które przecież oddawna całkowicie ustało. Ciepło środkowe doszło przed wiekami punktu stałego, w którym prawdopodobnie pozostanie się przez wieki, gdyż oziębiona skorupa, będąc złym przewodnikiem ciepła, nie dopuszcza jego zmniejszenia się.

III. *Ziemia utworzona. Czasy skał pierwotnych.*

Jakkolwiek dotąd nie zapuszczono się pod ziemię głębiej nad trzy tysiące stóp, w wielu razach przecież możemy przez inne środki obserwacyi wnioskować, jaka jest natura jęj substancji w głębokości mil wielu. Widzimy

(*) Badania w tym przedmiocie były czynione głównie przez niegdy barona Fourier, sekretarza akademii nauk paryżkiej.

np. górę złożoną z pewnej substancji; do jej nachylnych boków przypierają warstwy czyli łóżyska innych skał, z kąd naturalnie wyciągamy wniosek, że substancja góry zagłębia się pod warstwy do niej przypierające; oddalając się od góry przechodzimy przez wystające kanty skał warstwowych, dalej idąc napotykamy różne inne skały warstwowe, wszystkie w podobny sposób ułożone, aż nakoniec dochodzimy do miejsca gdzie zaczynają się przeciwne kanty tychże samych łóżysk; przebywamy potem wszystkie te skały w odwrotnym porządku i wreszcie przychodzimy do innej rozległej góry, złożonej z podobnych materiałów co pierwsza i w podobny sposób ginącej pod przyległymi warstwami.

Z tych okoliczności wyprowadzić możemy wniosek: że skały warstwowe zajęły wydrążenie utworzone przez skałę obu tych gór, i rachując grubość na prost przez skały warstwowe, moglibyśmy powiedzieć do jakiej głębokości skała góry dochodzi. Tym sposobem można dojść z znaczną pewnością, jaki rodzaj skały znajduje się o wiele mil niżej powierzchni ziemi.

Wnętrze ziemi zostało już rozpoznane w ten sposób na wielu punktach, i powzięliśmy dość dokładną wiadomość o jego ogólnym układzie. Zdaje się, że zasadnicza skała ziemi jest twardej budowy i krystaliczna w swoim układzie. Tej skały, granit, rzecz można, jest typem, jakkolwiek rozbiega się na wiele odmian. Ponad tą skałą, wyjąwszy małą stosunkową ilość miejsc, gdzie występuje ona nad poziom, tworząc góry, inne skały są ułożone w warstwach mających pozór pierwotnego osadzenia przez wodę. Lecz te ostatnie skały nigdzie nie mogły spokojnie pozostać w pierwotnym swym ułożeniu.

Silne wstrząśnienia ze spodu połamały je w wielkie pochylone massy, a przez szczeliny wielokroć wyrzuciła się materya skalna mniej lub więcej podobna do pierwotnej spodniej krystalicznej massy. Ta materya skalna musiała zostawać w stanie roztopionym od gorąca w czasie swojego wyrzucenia, bo często znajdujemy, że wplynęła do bocznych szczelin i wypełniła je. Są nawet przykłady, że skutkiem wstrząśnień rozpekła się i że nowa tego samego rodzaju materya roztopiona, wyrzuciła się na wierzch przez otwór. Naostatek, w skorupie tak ułożonej są kotliny zawierające żyły metalu. Tak więc natknaliśmy naprzód wielką spodnią massę złożoną z krystalicznej skały i bezpośrednio zapewne spoczywającą na roztopionej materyi wypełniającej wewnątrz; dalej pokłady czyli warstwy wodnego pochodzenia, potem nieregularne massy roztopionej skały spodniej, różnemi czasy wulkanicznie wyrzucone na wierzch i zamieszane między skały wodne, które przez nie połamane zostały w massy i gwałtownie wyparte z pierwotnego poziomu.

Taki jest rys układu skorupy ziemskiej, o ile zbadać ją możemy. Na pierwszy rzut oka uderza nas w tej scenie sam nieład, lecz przypatrując jej się staranniej, łatwo odkrywamy w niej regularność i porządek, z których wiele korzystać możemy do odszukania śladów historii ziemskiej kuli.

Osadzenie skał wodnych i wyrzucenie wulkanicznych, zaszły niezaprzeczenie po ustaleniu się ziemi w teraźniejszym kształcie. Należą one do rzędu wypadków powtarzających się do dnia dzisiejszego pod wpływem przyczyn z których zdołamy sobie zdać sprawę. W ogólności są to stosunkowo niedawne wydarzenia. Wyoso-

bniając je z powyższych badań, możemy wyobrazić sobie ziemię w pierwszym jój stanie, jako kulę tych co dzisiaj wymiarów, jako masę z wierzchu przynajmniej składającą się z krystalicznego rodzaju skały, otoczoną wodami terazniejszego oceanu i gazami terazniejszej atmosfery, różniącemi się wszelako znakomicie od stanu w jakim się obecnie znajdują tak pod względem temperatury, jak pod względem składających je materyałów. Wypada nam dalej przyjąć, że wielka massa ciał stałych naszej ziemi, istniejąca naprzód w formie obłoczków czyli pary, skupiła się bezpośrednio w skałę krystalicznój budowy, jakiej przykład przedstawia nam granit. Stan ten jest w wysokim stopniu stanem skojarzenia, bo skała ta zawsze się składa z dwóch lub nawet czterech substancyj, krzemionki, miki, kwarcu i hornblendy, które łączą się z sobą w kształcie ziarn lub kryształów i z których każda składa się z związku prostych czyli elementarnych substancyj. Sądząc z wypadków i dotąd trwających stosunków musimy przypuścić, że ciepło uwieżione we wnętrzu ziemi było więcéj natężone, lub miało więszą wolność działania w pewnych miejscach niż w innych. Pierwsze stały się widownią wulkanicznych działań i uwydatniły położenie swoje wybuchem zpod spodu trapów i bazaltów t. j. skał złożonych z materyi krystalicznój, roztopionój przez natężenie gorąca i rozpostartój na powierzchni w rozmaitym stanie stosownie do okoliczności pod któremi wypartą była; część jój np. wyrzuconą została pod wodą, reszta w otwarte powietrze, które to okoliczności sprawiły znakomitą różnicę w jój budowie i powierzchowności.

Wielkie zapasy podziemnego ciepła, znakomitój także były wagi w utworzeniu skał wodnych. Te skały we-

dług Sir Johna Herschel mogły uleść działaniu gorąca w następujący sposób:

Kiedy powierzchnia pewnej masy skalnej tworzy dno morza, ciepło trzymane jest w pewnej odległości od tej powierzchni skutkiem zetknięcia się jej z wodą; mówiąc językiem fizyki, masa skalna, promieniuje ciepło w morze, i przez to znacznie się oziębia. Lecz jeśli nowa warstwa osadzi się na dnie morskiem, ciepło wewnętrzne ogarnia skałę poprzednio dno tworzącą; za przybyciem warstwy następnej, ciepło przejmie warstwę pierwszej osadzoną i sprawi w niej te wszystkie zmiany, które od temperatury są zależne. Dzieje się wówczas zupełnie tak samo, jak gdy wdziewamy na siebie kilka sukien jedna na drugą; wewnętrzne ciepło przejmuje wtedy odzież naszą po kolei. Suknia trzecia z rzędu (przypuszczając że mamy ich na sobie cztery), zagrzewa się tak mocno jak może z początku była rozgrzana pierwsza.

Mówiąc w tém miejscu o skałach osadowych, uprzedzamy właściwą kolęj. Należy naprzód okazać jak takie skały zostały utworzone, czyli jakim sposobem zaczęło się warstwowanie. Geologia zaświadcza nam jak najwyraźniej, że pierwotna masa krystaliczna nie była doskonale gładką kulą, około której igrałyby woda i powietrze. Były nierówności na powierzchni, nierówności drobniagowe zapewne jeżeli je przyrównamy do całej bryły ziemskiej, lecz prawdopodobnie większe niż te, które obecnie na niej istnieją. Te nierówności zostały może spowodowane przez niejednostajne stygnięcie masy, lub przez przypadkową i miejscową ociążałość materyałów, lub wreszcie przez miejscowe działania skupionego

ciepła wewnętrznego. Jakąkolwiek przecież damy temu przyczynę, dość, że były na powierzchni granitowe góry, pomiędzy które morza wpadły głęboko, okrywając je nawet w całości, lub w części.

Jest znowu faktem, o którym pierwsze zasady geologii nas zapewniają, że ciała stałe na naszej ziemi znajdujące się, nie mogą na chwilę być wystawione na działanie wody lub atmosfery bez doświadczenia zmiany; zaczyna się natychmiast ich zwietrzenie.

To działanie, możemy być tego pewni, odbywało się z równą co obecnie nieochybnością w pierwszych wiekach naszej ziemi, lecz prawdopodobnie na daleko wspanialszy rozmiar. Materje zwietrzone naniesione w sąsiednie głębie i tam złożone, utworzyły najdawniejsze skały warstwowe; pierwszym z kolei był systemat łupku gnejssu i miki, napotykanym w górnej krainie (highlands) Szkocji i na wschodzie Anglii.

Mamy jasne świadectwo, że najwcześniejsze warstwy zostały utworzone pod wpływem daleko mocniejszego ciepła niż te, które działało w późniejszych epokach świata; albowiem blaszki schistów gnejssu, miki, chloritu, są skrecone w sposób, który tylko bardzo wysokiéj temperatury mógł być skutkiem. Zdaje się, że morza w których te osady zostały utworzone, znajdowały się w wzburzonym stanie kotła napełnionego wodą wrzącą. Taki ich stan niemało zapewne powiększał rozkładającą się oceanu.

Najwcześniejsze skały warstwowe, nie zawierają w sobie części któreby nie znajdowały się w pierwotnym granicie. Materyał ich jest ten sam, lecz formy i zpowinowacenia odmienne, zkad zostały nazwane przez p. Lyell skałami metamorficznymi (przetworzonymi). Dlaczego nie-

które z nich składają się prawie wyłącznie z jednego tylko z materyałów granitu, schist miki np. z miki, skały kwarcu, z kwarcu i t. d.? Przyczyny tego są dwojakie: chemiczne i mechaniczne. Dajmy że rzeka niesie z sobą pewną ilość materyału, widoczną jest rzeczą iż grubsze cząstki najpierw osadzi, lżejsze zabierze dalej. Temuto przypisać należy, że niektóre materyały zwietrzonego granitu osadzone zostały w jedném miejscu, inne w innym (*). I znowu przyjąć wypada, że niektóre z tych materyałów były w stanie chemicznego rozpuszczenia w morzach pierwszych wieków. Zgodnie z prawami chemicznymi, jedne z tych materyałów zostały stracone osobno lub w odmienném zpowinowaceniu na dno, tak, iż oddzielne utworzyły skały.

(*) Patrz poszukiwania geologiczne (Geological Researches przez De la Beche).



MYŚLI O ŚPIEWIE SŁOWIAŃSKIM

PRZEZ

Ludwika Pitterera z Pitterberku.

Gdy daleko posunięta oświata Południa, wpływem swym przyczyniła się do podniesienia małej za czasów pogaństwa cywilizacyi narodów Europy północnej, wpływ ten nie działał jednostajnie na wszystkie gałęzie oświaty, ani téż na wszystkie części narodu w jednym i tymże czasie i jednakim sposobem. Piérwsze oznaki téj oświaty Południa, objawiły się na Północy z przyjęciem wiary chrześcijańskiej, za którą tuż poszło wyższe rozwinięcie sztuki wojennej, jako warunek dalszego bytu politycznego. Obok tego, duchowieństwo opiekowało się spuścizną nauk i piśmiennictwa po Grekach i Rzymianach, bardziej je przechowując tylko, aniżeli samodzielnie uprawiając w języku umarłym i dla narodu niezrozumiałym. Piérwszą dla narodu korzyścią z owego postępu, było w ogólności wydoskonalenie nabożeństwa, które przez długi czas bardziej na uczucie, aniżeli na ducha działało, tudzież lepsze obeznanie się z użyciem

broni i niektórych przyrządów mechanicznych. Pismo nowe, powstałe po niedokładnych runach, przechodziło powoli od książąt do panów, w części do szlachty i szczupłej liczby uczonych, a z niemi języki stare, umarłe, wraz z dochowaniem skarbami ducha. Pośród takich żywiołów oświaty, wystąpiło także na jaw umnictwo, ale ono we własnej swojej ojczyźnie tak już upadło z dawniej wysokości, że mogło tylko służyć za zarody, które dopiero na obcym gruncie i zupełnie innym trybem miały się w kwiat silny i zdrowy rozwinąć. Ten nowy rozkwit rozumu, czyli to jego odrodzenie, nierozzerwanie związane było z poprzedniem powszechniejszém i wyższém rozwinięciem ducha i życia rodowego. Wtedy dopiero, gdy zaczęto uprawiać myśl nie w językach umarłych lecz w żyjących, gdy tą drogą znajomość pisma stała się przystępniejszą dla ogółu, gdy z językiem ojczystym i jego właściwa narodowość zaczęła nabierać wyższego ukształcenia, a mianowicie na poezji utwierdzać swoje prawa, wtenczas dopiero umnictwo i poezya w formach lub dźwiękach, bujno i plennie rozkwitły. Zjawisko to nie odnosi się do pewnego czasu lub danego narodu; spostrzegamy bowiem zarówno u Egipcyan, Greków, Rzymian, Indyan i Arabów, że umnictwo wtedy dopiero zbliżyło się do doskonałości, gdy religia, poezya i nauka wiekuista głęboko zapadły do żywota narodu, i z nim się ściśle połączyły.

Dlatego umnictwo w całym rozgałęzieniu swoim, gdziekolwiek na wyższy pomknęło się szczebel, nosi na sobie niestarte piętno charakteru narodu, z kąd powstały tak nazwane *szkoły*, np. szkoła włoska, francuzka, niemiecka.

To się szczególnie objawia w muzyce, która w wieku niniejszym i poprzedzającym tak znakomitego i zadziwiającego nabyła wzrostu, że właśnie narody, najwięcej z uprawy téj sztuki słynne, zdobytą sławę zawdzięczają umyślnemu i wytrwałemu postępowaniu z dążnością narodową, i że w szkołach najznakomitszych wirtuozów Francuzów, Włochów lub Niemców wydatnia się jak najdokładniej cecha narodowa. O żadnej jednak gałęzi muzyki nie można tego z większą słuszością powiedzieć, jak o śpiewie, który bezpośrednio zależy od języka i poezyi narodu, który bez ćwiczenia i nastroju, stanowi przyrodzoną własność i najprostszego człowieka, a w ustach każdego narodu, dla téjże przyczyny, jest odgłosem jego ducha, jakby pradziadem owego późniejszego umnictwa, które dopiero jako potomek oświaty i cywilizacyi, weszło do żywota narodu.

Jakkolwiek dotąd pod względem wyższej, systematycznej umiejętności śpiewu, żaden szczep słowiański nie może się pochlubić takimi znakomitemi utworami, któreby go mogły godnie postawić obok starszych świetnie wzrosłych szkół narodowych Włochów, Francuzów i Niemców; przecież w wielu już miejscach rozłogich krajów słowiańskich poczynione są godne uwagi początki, które zaiste rokują powstanie i to snąc rychłe, szkoły nowéj z cechą wybitną, bogatęj i narodowo artystycznej. Rękojmią tego jest ożywianie się zarodków, które uzdolniają język do śpiewu, przechowując niewyczerpane bogactwa melodyi i właściwości pieśni narodowych, wypiastowanych własną myślą i czuciem Słowian pod niebem dzielnic słowiańskich. O ożywianiu tych zarodków w naszych czasach, przemawia najbardziej pełne i szczytne rozwijanie się poezyj lirycznych, obudzo-

na wzajemność obszernych i rozmaitych pism literackich, popęd gorliwy do zbadania przeszłych wieków i losów, troskliwe usiłowanie w wynalezieniu i zachowaniu początków dawniejszej cywilizacji odwiecznej oświaty słowiańskiej. Słowianie, w powszechném wiele rokującém dążeniu, ażeby przez dopełnienie i rozszerzenie cywilizacji, którą w minionych stuleciach wstrzymywały liczne a straszne pogromy polityczne, mogli znowu stanąć obok najpiérwszych narodów świata, muszą szukać wzmożenia we wszystkich gałęziach oświaty, i zaiste nie pominą jednej z najszlachetniejszych, śpiewu i muzyki. Dla nabrania wszakże pewnego sądu, czém w części jest obecnie śpiew słowiański, i czém w większej części ma być w przyszłości (a nieochybnie takim będzie), potrzeba przedewszystkiém szczegółowo roztrząsnąć i wyświecić: *język, pieśni narodowe, liryczność, tegoczesne utwory muzyczne* i pozostałe *szczytki z wieków średnich*.

Chociaż z żalem wyznać muszę, że niedostateczne wiadomości może nie pozwalają mi dokonać téj pracy ze wszelką ścisłością i dokładnością, w śmiałości przecież swojej tę znajduję otuchę, że inni, którym bardziej sprzyja miejscowość i okoliczności, błędów moich prostować nie omieszkają.

A. *Język.*

Język, uważany jako narzędzie poezji i śpiewu, to jest bez względu na wysłowienie myśli, słuchem tylko oceniany, dwojakim sposobem na tenże słuch działa: akustyką i rytmem.

Pod względem *akustyki*, język dzieli się na spółgłoski i samogłoski. Spółgłoski języków słowiańskich mają tę

szczególność, że wymówienie ich z trudnością cudzoziemcom przychodzi. Ta okoliczność u większej części cudzoziemców, a nawet u wielu zwolenników słowiańskich, będących pod kierunkiem obcych nauczycieli, i którym wygodniej się zdawało iść po drodze już ubitej i szerokiej, aniżeli własnem usiłowaniem nową sobie utorować, zrodziła takie twierdzenie, że języki słowiańskie niezdolne są do śpiewu i nie mają wartości pod względem muzyki. Opieszałość w nauczaniu się nowego przedmiotu, przy rozpoczęciu nowego zawodu, przesady narodowe i uporczywe uprzedzenie, miały wielki wpływ na wydanie powyższego wyroku. Dla okazania jego bezzasadności, przytaczamy następujące uwagi:

Słowianin, w wymówieniu swoich spółgłosek, żadnej nie doznaje trudności, a zatem i przeszkody; wszak cudzoziemca i bez tego nikt nie będzie zmuszać, ażeby śpiewał w jakim języku słowiańskim. Że naprzykład język niemiecki w ustach Niemca jest narzędziem do śpiewu zdolnym i stosownym, temu chyba tylko nierozsądek i złe chęci zaprzeczyćby mogły; niemniej atoli pewną jest rzeczą, że narody obce z wielką trudnością nabywają niemieczyny, i że spółgłoski niemieckie wymawiają po największej części twardo i chropawo. Znam Francuzów i Włochów, którzy łatwiej i rychlej nauczyli się języka słowiańskiego, aniżeli niemieckiego. To przecież nie przeszkodziło temu, że wielka, wyborna szkoła niemiecka zakwitła i wciąż kwitnie, i że Niemiec w żadnej obcej mowie tak dobrze nie śpiewa jak w swojej własnej. W końcu zbyt mało dotąd zważano na to, że właśnie w tych spółgłoskach słowiańskich, które tak dalece pod względem śpiewu zrażają cudzoziemca, dla Słowianina wszakże żadnej rzeczywiście przeszkody nie

stanowią, spoczywa silne poparcie cechy charakterystycznej. Co do dźwięczności śpiewu, spółgłoskom można zaiste przypisać podrzędne tylko działanie, dlatego, że w ustach dobrego śpiewaka służą one bardziej do kojarzenia a nigdy do tworzenia dźwięków, gdyż cała siła głosu na samogłoski uderza.

Co do dźwięku samogłosek, między językami słowiańskimi, język czeski brzmi najcieniżej i najostrzej, wielkoruski najgłębiej i najpełniej. Pomiedzy temi dwoma narzeciami, spostrzega się niby stropniowanie światła, czyli przejście od cieńszego do szerszego głoskowania w językach słowiańskich, które pod tym względem w następującym idą porządku: czeski, illiryjski, małoruski, polski, wielkoruski.

Narzecze czeskie ma wprawdzie tyleż samogłosek co i ostatnie: *a, e, i, o, u*, oprócz właściwej sobie nadto dwugłoski *ou*, która w śpiewie równa się głosce *o*, ponieważ głos wytrzymuje się na pierwszej głosce tej dwugłoski; ale stosunek w używaniu głosek ostrzejszych *i, e, a*, w narzeczu czeskim tym głoskom dosyć sprzyjający, stanowi przyczynę cieńszego brzmienia. Krótkowanie samogłosek, przez co one się przedłużają w śpiewie gdzie nuty wskazują długość dźwięku, nie tyle ważne jest co do akustyki, ile co do rytmu. Jedyną wadą w czeskim zgłoskowaniu zależy na tém, że się niekiedy wydzarzają sylaby bez samogłoski pisane, lecz brzmienie ich rzeczywiście odpowiada *e* niememu u Francuzów, które u Niemców wprawdzie się pisze, ale tém częściej się nie wymawia. Gdy przecież ta trudność ani Francuzów, ani Niemców nie odstraszyła od śpiewania w języku własnym, więc i Czech namyślać się nie powinien, zwłaszcza, że w porównaniu z obudwoma, znakomite jeszcze

ma pierwszeństwo pod względem zgłoskowania. Łatwo się na to zgodzimy zważając, że naprzód, te niewyraźnie słabo brzmiące sylaby, którym i bez tego żaden uważny kompozytor nuty przedłużonej nie da, w czeszczyźnie daleko rzadziej się napotykają, aniżeli w niemczyźnie lub francuzczyźnie (*), powtóre, że nader przykre w śpiewie głoski *ü* i *ö* w języku czeskim wcale się nie napotykają.

W illiryjszczyźnie znajdujemy wprawdzie wszystkie sylaby z samogłoskami, jeđnakże niekiedy ta samogłoska się nie wymawia, to jest, ma wtedy brzmienie *e* niemego albo raczej przytłumionego, jak w owych sylabach, które Czech pisze bez samogłoski. Pięć samogłosek języka illiryjskiego *a, e, i, o, u*, wchodzą też do składu języków: małoruskiego, polskiego i wielkoruskiego. Polskie głoski nosowe *a, e*, nie stanowią tu wyjątku pod względem śpiewu, gdyż w nim mają brzmienie głosek *o, e*. O tém jeszcze napomknąć tutaj wypada, że Polacy i Rosyianie wyraźnie odznaczają wysokie i głębokie *o*. Używanie miękkiego *i* i twardego *y* nie jest ważne w muzyce, dlatego dalszy tu wykład na nic się nie przyda.

Po rozważeniu wszystkiego co się wyżej przytoczyło, okazuje się, że pod względem zgłoskowania, języki polski, wielko i małoruski z zupełną słusnością mogą stać obok włoskiego, to jest najłagodniejszego i najdźwięczniejszego ze wszystkich znanych języków, gdyż czeszczyzna i illiryjszczyzna ustępują im w zgłoskowaniu, z powodu owęj półgłoski przytłumionego *e*; przed niem-

(*) Tak np. nie jest wcale rzadkością napotykać w zbiorach lirycznych czeskich wiele poezyj po sobie idących, w których niema ani jednę sylaby bez czystej pełnej samogłoski, co równie i o pieśniach narodowych powiedzieć można.

czynną przecież i francuzczyzną zawsze na szczególne zasługują pierwszeństwo.

Rytm (akcent), ten najważniejszy żywioł w muzyce, jój dusza i twórca charakterystyki, w narzeczach słowiańskich zupełnie odmienne przybiéra postaci. Widzimy, że rytm Czecha i Polaka od stałego ogólnego zależy prawdziła z nielicznymi od niego odstępami. Lecz gdy prawdziło to u Czecha i Polaka, odwrotnie sobie jest przeciwnie, tedy język czeski i polski rządzą największe i najwybitniejsze opaczności w rytmie słowiańskim. Illiryszczyzna z małemi wyjątkami przyłącza się pod względem rytmu do czeszczyzny; małoruszczyzna znacznie zbliża się do polszczyzny, wielkorusczyzna zaś, niemająca żadnego stałego rytmu i nie lubiąca żadnego wymiaru, zajmuje poniekąd środek pomiędzy innemi narzeczami słowiańskimi. One, stosownie do tego co się wyżej powiedziało, pod względem rytmu, do następującego uszykować się mogą porządku: czeski, illiryjski, wielkoruski, małoruski, polski.

W czeszczyźnie, z wyjątkiem niektórych końcówek na *ský* lub *cký*, (*ovský*, *iuský*, *ecký* i t. d.), akcent kładzie się zawsze na pierwszej syllabie. Niekiedy wprowadzie ostania albo która z pośrednich sylab przedłuża się za pomocą kréski ('), co przypomina ruszczyznę, która na takie sylaby cały akcent kładzie; dobrze wszakże zważyć powinniśmy, że takowe kréskowane sylaby w czeszczyźnie przeciągle się tylko wymawiają, a obok tego cały przycisk głosu pada na pierwszą sylabę, chociażby ona jak najkróciój wymówioną była. To niezależne zachowywanie przeciągań obok akcentu w brzmieniu słów czeskich, niemało przydaje charakterystyki rytmowi cze-

skiemu. Rozmiary rytmiczne tego języka przemawiają za szczególném jego powinowactwem z ogólném prawidłem co do podziału taktu muzycznego, gdy pojedyncze słowa obok liczby ich sylab, będziemy uważać i badać tak, jak pojedyncze takty. Tak np. niektóre słowa czeskie dwu, trzy lub czéto-syllabowe, brzmią zupełnie jakby dwu, trzy lub czéto-taktowe.

Pod względem rytmu, illiryjszczyzna bardzo się zbliża do czeszczyzny; nadmienić tylko wypada, że pojedyncze podnarzeczka illiryjskie w rytmie nieco się różnią pomiędzy sobą.

Wielkoruszczyzna, która przycisk głosu kładzie na przemian, to na pierwszój, to na środkowój lub ostatniej syllabie, wiele się tém przyczynia do swobody i różności, przez co ma pierwszeństwo przed wielu językami, a do świetnej sprawy muzyki, wiele bogatych nastęca środków.

Małoruszczyzna, cechuje się również silnie odzywającymi się końcówkami, lecz w całości ma wiele rytmicznego podobieństwa do polszczyzny.

Polak z nader rzadkimi wyjątkami przedłuża sylabę przedostatnią. Ztąd pochodzi, że koniec każdego zdania, każdego wiersza, jeżeli tylko nie zatrzymuje się na wyrazie jednozgłoskowym, tworzy *trochaeus*. To trocheiczne uderzanie na końcówki tak już u Polaków weszło we zwyczaj, albo raczej tak gwałtowną stało się dla nich potrzebą, że w poezjach swoich bardzo mało używają rymów męzkich, a przeciwnie samych żeńskich. Ta okoliczność wymaga od twórcy polski znakomitego wyćwiczenia, by nie wpadł w jednodźwięczność rytmiczną; czego się niéma obawiać w czeszczyźnie, gdzie się przedłużają zgłoski początkowe; w cze-

szczyźnie téż, wyrazy jednakowój liczby zgłosek wydają rymy żeńskie, nierównój liczby, męskie. Należy wszakże mieć na uwadze, że *trochaeus* słowiański w porównaniu do końcówek trocheicznych wyrazów francuzkich, które prawie zawsze, i niemieckich, które bardzo często kończą się na *e* nieme lub przytłumione, o wiele jest wyższy; ostatnia bowiem w nim zgłoska prawie zawsze (w polszczyźnie i ruszczyźnie bez wyjątku) zwykła miewać samogłoskę dźwięczną; dlaczego także do przekładania śpiewów włoskich, gdzie ostatnia zgłoska rymu żeńskiego wymaga częstokroć w muzyce tonów pełnych, wyższych, każdy słowiański język nierównie jest zdatniejszy, aniżeli francuzki lub niemiecki. Jako materiał do muzyki, język polski ze względu na głoskowanie, odznacza się szczególną dźwięcznością, a przytém rytm jego znakomite przedstawia zasoby dla sprawy muzycznej. W użyciu spółgłosek, Polak wpada w ostateczności; w żadnym albowiem innym narzeczu słowiańskim, nie wydatnia się tak dobitnie owa sprzeczność pomiędzy największą miękkością i twardością. Zgodzić się przecież musimy na to, że w tworzeniu tych spółgłosek, spoczywa godna podziwienia Ioika, najwielostronniejsza i najwyrazistsza charakterystyka.

Małoruszczyzna przy całej niegiętkości w zgłoskowaniu, ma przyjemny, bardziej miękki, niż twardy układ spółgłosek i rytm dość ustalony.

Wielkoruszczyzna, z tém pełnym i szerokim głoskowaniem, z miękkiem po największej części brzmieniem spółgłosek, z tym rytmem tak swobodnym i rozmaitym, jest niezaprzeczenie wytwornym materiałem dla bujnie krzewiącej się wszechstronnej szkoły umniczej.

Narzecze illiryjskie, pod łagodnym niebem, w sąsiedztwie plemion greckich i włoskich, przyswoiło sobie piętno ducha południowego. Ztąd powstała w nim mieszanka zalet północnych i południowych, słowiańskiej i włoskiej dźwięczności, słowiańskiej i rzymskiej siły; to mu nadaje wdzięk właściwy i nadzwyczajną wartość pod względem poezji i muzyki. Rytm również korzystnie działa jak i czeski.

Język czeski odznacza się przed wszystkimi współzawodnikami słowiańskimi, brzmieniem nieco ostrym ale jędrnym, i niedościgną a jemu najwłaściwszą energią i charakterystycznością w rytmie. Burze gór pogranicznych i Tatrów słowiańskich, szumiały nad tym plemieniem, i odgłos w jego piersi znalazły. Dlatego też wieśniacze, bohaterские śpiewy rękopisu Króloworskiego, w nową także szacie teraźniejszej czeszczyzny nie tracą swego prawego wdzięku.

B. *Pieśni narodowe.*

Zdolność i wielka snadność w wyrażeniu myśli i uczuć w pieśniach z serca idących, jaką obdarzeni są w ogólności Słowianie, zwłaszcza wieśniacy ściśle połączeni z przyrodzeniem, u wszystkich plemion tego wielkiego narodu od najdawniejszych czasów zrodziła niezmierną obfitość takich pieśni gminnych. Jakkolwiek pieśni nie mogą odpowiedzieć wszystkim wymaganiom ukształconego umnictwa, przecież już sposób ich powstania dowodzi, że się w nich najczystiej i najwyraźniej odbija wpływ, jaki na śpiew narodowość wywiera. Przy bliższym zastanowieniu się, znajdujemy w nich nadto tak znaczne zasoby melodyi, uczuć, humoru, oryginalności

i różnaitości, że troskliwe zajęcie się ich śledzeniem, bez względu już na narodowość, musi dla wiedzy muzycznej przynieść wieloraki i ważny pożytek. Wiadomo powszechnie, że melodye narodowe słowiańskie przez cudzoziemskich także kompozytorów bardzo często używane bywają, jako wyborne temata, a polonez zajął już stałe miejsce w muzyce europejskiej.

Położenie geograficzne, niejednakięj barwy charakterystyka słowiańskich narodów, nareszcie rozdział rytmiczny ich narzeczków, musiały zaiste rozmaicie skutkować na ich melodye narodowe. Pomimo tego, dają się dostrzegać pewne i stałe zarysy rodowe, które mówią o pierwotném, wspólném ich pochodzeniu z jednego źródła, i na podobieństwo szeroko rozwijającej się wstęgi, nieobejrzaną gromadę pieśni narodowych słowiańskich wiążą w jedną olbrzymią całość.

U wielu narodów słowiańskich, spostrzegamy jednostajne melodye, chociaż z różnym textem. Jakkolwiek nie można wątpić, że niektóre z tych melodyj dopiero w późniejszym wieku przejść mogły od jednego narodu do drugiego, niemniej jednakże ze słusznych przyczyn da się wyprowadzić ten wniosek, że wiele ze wspólnych melodyj nie dopiero później przez drugi szczepl słowiański przyswojone zostały, lecz że obu są wspólną, pierwotną własnością. Sądzimy, że pod tym względem wyrokuję stanowczo rytm i miejscowe upowszechnienie. Jeżeli jaka pieśń powszechną jest u jednego narodu z właściwym jego narzeczu rytmem, i melodia téjże u ludu sąsiedzkiego rzadziej się napotyka z nieprawidłową intonacją pojedynczych zgłosek textu, możemy wtedy nieomylnie utrzymywać, że ta pieśń jest pierwotną

własnością pierwszego ludu, a przez drugi przywłaszczoną została. W krainach, gdzie dwa ludy słowiańskie sąsiadują z sobą, napotykanne bywają u jednego ludu liczne melodye narodowe, które przez rytm swój bardziej zbliżają się do melodyi drugiego ludu; u tego zaś gdzie pierwotnie powstały, już dawno w zapomnienie poszły albo się przynajmniej zmieniły. Lecz gdy pewna melodia zarówno jest znaną dwóm narodom słowiańskim, zarówno przypadającą do textu i w ogólności czysto-narodową, należy ją uważać jako ich wspólną, odwieczną własność. Tak np. melodia pieśni polskiej narodowej: *Stała się nam nowina, pana pani zabiła* i t. d. oczywiście wzięta jest z pieśni słowiańskiej *cerne oci, poid'te spat* i t. d., ponieważ nie przypada do rytmu polskiego textu, i cała tchnie bardziej duchem pieśni węgiersko-słowiańskich aniżeli polskich. Przeciwnie melodia polskiej pieśni biesiadowej: *Pije Kuba* i t. d., z pominięciem przydanego zakończenia, w zupełności zgadza się z czeską melodyą do pieśni: *Já mám kone* i t. d.; ale melodia ta tak dalece ma jednego ducha i ogólne piętno słowiańskie, a obu językom tak jest właściwą, że wcale nie za śmiały byłby domysł, jeżelibyśmy chcieli w niej widzieć śpiew najpierwotniejszy, który stokroć już text swój przemienił. Ze wszech miar nader ważną byłoby rzeczą, gdyby zbieracze pieśni, o ile możności wiernie oznaczali, w jakich stronach ta lub owa pieśń się śpiewa.

Te okoliczności stwierdzają domysł, że chociaż śpiewy narodowe zarówno z językiem ulegały powszechnemu i nieustannemu odnawianiu i przerabianiu, przy czém wiele starych melodyj na zawsze zaginęło; jednakże nuta wielu pieśni może być pierwotną pomimo wie-

lokrotną zmianą swego tekstu. W pieśniach narodowych, obok wspólnego początku, spostrzegać się daje i późniejszy wpływ na siebie rozmaitych plemion słowiańskich.

Wpływ sąsiednich narodów niesłowiańskich i ich melodyj narodowych na melodye słowiańskie, uważam za mało znaczący, gdyż z jednej strony pieśni w języku obcym, niezrozumiałym, same już przez się nie mogły być bardzo przystępne, z drugiej znowu strony istniejąca między cudzoziemcami a Słowianami już to nieszczerłość, już to nietajona nieprzyjaźń, stawiały tamy wszelkiemu zbliżeniu się.

Trzy szczególnie wydatne rytmy narodowe spostrzegać się dają w niezliczonych pieśniach słowiańskich, a ich bogata śpiewność niezaprzeczony stawia dowód, jak dalece język i umysł narodów pochopne są do muzyki. Do tych trzech rodzajów rytmów używam nazwiska *mazura*, *łrakowiaka* i *poloneza*, bez względu na to, że te trzy rodzaje pod wspomnionymi nazwami oddzielnie już się wykształciły w narodzie polskim; powodowani zaś do tego byliśmy tą myślą, że pod temi nazwami najłatwiej i najzupełniej wyświeтли się główny charakter wspomnianych rodzajów pieśni. Jakkolwiek pod te trzy główne nuty nie dadzą się podciągnąć wszystkie słowiańskie pieśni narodowe, trudno atoli byłoby przydać do nich czwarty jeszcze rodzaj, któryby przez rozciągłość swoją i cechę wybitną a dawną, jednakową z tamtymi miał znaczenie. Teto trzy nieomylnie od początku już narodu słowiańskiego trwające nuty zasadnicze, przy rozejściu się plemion, pod rozmaitym wpływem, uległy pewnym zmianom; ztąd pochodzi jedność co do głównej formy, różnica co do wyrazów.

Czech, który wiele ma pieśni na nutę mazura, zwykł je wszakże śpiewać wolniej aniżeli Polak; ponieważ Polak przy każdej takiej nucie zarazem tańczy, do czego Czech inne nuty obiera, i ztąd pieśniom mazurowym nadaje cechę elegiacko-naiwną.

Melodya krakowiaka przelewa niejako zapał do skoku. Na tę nutę Czechowie mnóstwo też mają tańców, rażno przeto na nią i wesoło śpiewają, wybierając ją do textów lekkich i żartobliwych.

Nuta polonezowa, która zresztą w śpiewie prostsza jest aniżeli w muzyce instrumentalnej, podlega o ile mi wiadomo u narodów słowiańskich, niewielu charakterystycznym zmianom, i w ogólności nie jest tak powszechna jak nuta mazura lub krakowiaka.

Jakkolwiek pewną jest rzeczą, że każdy naród w szczególności właściwy sobie charakter przenosi także na swoje pieśni, musimy przecież wyznać, że bliższe oznaczenie tego charakteru u Czechów jest najmniej snadne; u nich to bowiem szczególną jest własnością, że charakter ich nie leży jak na dłoni i nie daje się przeniknąć od razu. Moznaby go słusznie przyrównać do łaski Brutusa, która zewnątrz drzewem, wewnątrz złotem była. Chociaż bezpieczna szczerota częściej się u nich istotnie objawia, jednak równie często pod tą pozornie dziecinną niewinną szatą, ukrywa się surowa prawda, wytrwałość w postanowieniu, jakby dlatego, ażeby obcego spostrzegacza w błąd wprowadzić i z niego się naigrawać.

Pieśni narodowe węgiersko-słowiańskie, zupełnie zgadzające się z duchem czeskich, tém właśnie się cechują, że najczyściej i najdobitniej zachowały charakter prawoczeski, a ztąd najpierwotniejsze i najprzenikliwsze mają melodye. W Czechach, gdzie zmiany trybów życia

politycznego i domowego bywały nierównie częstsze, gwałtowniejsze i prędzej, aniżeli na górach węgierskiej Sławonii, więc téż i pieśni narodowe częstszym zmianom ulegać musiały. Czech oddawna już zapomniał o bojach z ducha narodowego wynikłych, sławionych ustami śpiewów narodowych, a z niemi i śpiewów natchnionych wieszczów; rzadko się już napotyka pieśń, któraby wojny szwedzkie pamiętała. Nadmieniam tu mimochodem, że jedna z nich: *Zle mamicko, zle, Brandeburci zde* i t. d. przypadkiem przeszła i do Słowaków. Lecz Słowak pamięta jeszcze o zapasach z Turkami i śpiewa o nich.

Polak najczęściej razem śpiewa i tańczy. On jest nawskróś sangwinikiem, i mało snadź posiada pierwotnych pieśni, których melodye nie mogłyby zarazem służyć do tańca. Jego śpiew narodowy nosi sobie tylko właściwą cechę, zależącą na owój szalonej burzliwości melodyi, która od śpiewu natychmiast do nóg przechodzi, i dlatego nie może słyszeć dobrego mazura, ażeby przytém zaraz piętami *holubca* nie wybijał i o podłogę nie stukał; a jeżeli niezawsze zmienia nutę podług życzenia, umie jój przecież nadać jakąś wyrazistą giętkość, przez co każda pieśń w jego ustach przybięra zupełnie innego ognistszego ducha aniżeli u innych Słowian. Jego pieśni w ogólności tchną wesołością. W pieśniach polskich rym żeński tak dalece przemaga, że męzki do osobliwości należy, i zwykle świadczy o ruskiem lub czeskiem pochodzeniu melodyi, w której się okaże. Chociaż jednak z powodu rymu żeńskiego *trochaeus* panuje, Polak przecież właściwemi obrotami umie uniknąć jednodźwięczności. To się dzieje mianowicie przez to, że pierwsza nuta się skraca i zamienia jakby na przednutę (*Vorschlag*),

gdy druga przedłużona wnet ostro po niej następuje. Jest jakaś rytmiczna dowolność, która będąc użyta pomiędzy sprzecznie brzmiącemi nutami, silny i wyrazisty skutek sprowadza. Mazur przez Polaków wyrobiony, odznacza się wytwornością, elektryzującą rzeczywiście do tańca, do wypitki i wybitki, staje się jednak prawym rycerzem gdzie potrzeba; także grzecznym i pieszczotliwym, gdy idzie o płeć piękną i miłość.

Krakowiak śmiały i odważny jak mazur, nieco mniej od tego miewa natchnienia a więcej żywiołu prozai cznego.

Pieśni małoruskie nie tyle się odznaczają cechami zewnętrzными, ile głównie panującym w nich głębokim uczuciem, i są zaiste najtkliwsze pomiędzy słowiańskimi. Małorossyanie, naród z przyrodzenia łagodny, spokojny, dumający przez wiele wieków, zmuszeni byli mimowolnie powołanie swoje zamienić na burze krwawych bojów; ztąd też melodye ich, tchną niewypowiedzianą rzewnością. Najlepiej nas o tém przekona porównanie rozmaitych *kołomyjek* (t. j. melodyi małoruskiego krakowiaka) jak je na rozmaitych miejscach grają i śpiewają. Dalsze mniej lub więcej dobitne własności pieśni małoruskich są: częste użycie rymu męskiego, przeciąganie końcówek albo całych rymów żeńskich, charakterystyczny *rozstrój* (dissonance) w melodyi, skracanie pierwszej zgłoski, a przeciąganie drugiej, co wszakże nie jak w polskich pieśniach dobitność, lecz przeciwnie rozwlekłość nuty sprowadza. Właściwym rodzajem pieśni małoruskich są *dumy*. Jestto śpiew opowiadający, treści historycznej, jednodźwięczny, nuty przedłużonej, nieforemnej. Te śpiewy sąto krajowe *improwizacye*, śpiewane przez wędrownych bandurzystów czyli lirników,

ukraińskich bardów. Niektóre pieśni, mówiąc nawiasem, Małorossyanie mają wspólnie z Czechami. Posępny, żalósny wyraz melodyj małoruskich, nadaje im właściwy charakter melancholiczny, o którym niektórzy błędnie utrzymują, jakoby u *wszystkich* Słowian był panującym. Czech np. ma również tkliwe ciężkiej myśli śpiewy, ale to stanowi tylko podrzędną, nie zaś główną cechę całości jego uczuć. Polak jest wyłącznie sangwinikiem; Illiryjczyk pije wiele dobrego wina, które zaiste nie da się zakorzenić wszelkiemu smutkowi, a Wielkorus, który i owszem ma także pieśni tkliwe, przecież w ogólności uchodzi za żywego, dobrodusznego, wesołego chłopka, i prócz smutnych, jeszcze więcej wesołych pieśni śpiewa.

Z pieśni narodowych wielkoruskich, niewiele poznać mogłem, a te mają dźwięk przyjemny, ujmujący, zupełnie słowiański. Z obcych źródeł wyczerpnałem to, że Wielkorus ma we zwyczaju do każdej pracy, do każdego położenia i okoliczności w jakich się znajduje, słowem przy każdej zręczności, pieśni sobie układać i śpiewać, które częstokroć noszą na sobie piętno życia zewnętrznego i czystej loiki. Rozsadowienie się na nieobejrzanej przestrzeni tego słowiańskiego plemienia, samo przez się domyślać się każe o posiadaniu najrozmaitszych pieśni bez liku. Sąto pieśni męża, który się natrzęsa z burzy Lodowatego morza, który białemu i leśnemu niedźwiedziowi śmiało w oczy zagląda. Wéimy, że Wielkorus jest dobroduszny i zarazem chytry; dwa te przymioty rozdają myśl dobrą, która się we wszystkich jego pieśniach przebija.

Takoż o pieśniach illiryjskich nie mogę dokładnej zdać sprawy. Najśmielsze i najodważniejsze awanturnictwo

w oddzielnych niesfornych bojach i wspaniały zamęt bitwy, to stanowi treść narodowego bohaterskiego śpiewu Illiryjczyka; a jako bohater występuje w nich bądź hajduk zaskoczony i wypatrzony w swojej kryjówce, przekładający śmierć z bronią w rękę nad śmierć z głodu, i w rozpaczliwej utarczce wyziewający ducha na stosie trupów tureckich, bądź śmiertelnie raniony młody wojownik, nad którym trzyma się w równi wierny, biały orzeł i w smutku pośród gradu kul, nie opuszcza umierającego pana. Widać, że wiele pieśni illiryjskich powstało przy huku dział i szczęku pałaszy. Po zważeniu wszelkich okoliczności, nie bez przyczyny robię tu wniosek, że pod względem *słowiańsko-narodowej romantyczności*, illiryjskim śpiewom narodowym należy się pierwszeństwo przed innemi.

Jeszcze mi pozostaje jedną zamieścić uwagę, że kto chce badać pieśni narodowe z pewnym zamiarem, powinien tak o nich trzymać, jak o samym kmiotku, który je śpiewa. Jakkolwiek ten ostatni występuje często niepozornie i niezdobnie, jakkolwiek rychło wyjawia nieukryte wady swoje, przecież nie można zaprzeczyć jego nieocenionych przymiotów. Siła, jędrność, nieustraszonosc i miłość są mu wrodzone, a niema na świecie żadnej cnoty, któraby nie powstała pierwotnie w piersi człowieka, czyto prostego, czy wykształconego. Prosty człowiek czuje radość i smutek, i umie je wywnętrzać; to jego poezya. W zakresie swych wiadomości i pojęć umie przetrwać myślą to, czego w życiu doświadczył, i myśli te czasem bardzo trafnie jednoczy; to jego loika. Cnota i gienialność nie są przywilejem pewnej klasy; podają ręce człowiekowi nie pytając się o jego stan, i z tego stanowiska trzeba się zapatrywać na *pieśni naro-*

dowe. Kto w nich pilnie śledzić będzie prostactwa i grubości, ten je znajdzie; lecz kto ma ochotę i wolę poznać w nich jedrność i poetyczność, nie dozna w poszukiwaniach zawodu. Jak możemy prostego i rażnego chłopka poważać i potrzebować nie oblekwszy go wprzód w jedwabne rękawiczki, tak również nie strońmy od przyswojenia sobie świeżej, śmiałej melodyi narodowej, dlatego tylko, że nie ma obłudnej szaty salonu.

C. *Liryka*.

Ponieważ doskonale uprawianie śpiewu, które zadość ma czynić pojęciom i potrzebom klas wyższych, dalej postępowym wymaganiom społeczeństwa, jego rozciąglejszym wiadomościom i rozwiniętej wiedzy umniczej, nie może się nie opierać na dostatecznie wykształconej tym wymaganiom odpowiadającej lirycy, ponieważ następnie liryka jako używana przez muzykę do jej utworów, wzajemnie także działa na śpiew jej dodany, tedy w rozprawie o śpiewie narodowym, w żadnym razie nie może być obojętną rzeczą pogląd na jego materialną podstawę, na niezbędnie poprzedzającą go lirykę narodową.

Liryka może być narodową co do języka, co do przedmiotu i co do ducha.

Narodowość co do języka, jakkolwiek ważna, sama przez się dostateczną być nie może; nie można bowiem zaprzeczyć, że bez względu na język, przedmiot i duch, mogą być niezastosowane do narodu albo wręcz mu przeciwne.

Co do języka i przedmiotu, liryka może być narodową; obok tego przecie można przedmiot narodowy sko-

jarzyć z myślami i uczuciami, których naród za swoje nie uzna.

Co do języka, przedmiotu i ducha, narodowemi są pieśni ludu, lecz i w liryce wyższej może nastąpić zjednoczenie tych wszystkich własności, które sprowadzają najwyższy polot, charakterystykę najdobitniejszą.

Chociaż narodowość przedmiotu bezwarunkową wartość swą zachowuje, niemniej wszakże jest pewna, że narodowość ducha nie łączy się z nią koniecznym, nierozzerwanym związkiem; jedne bowiem i te same przedmioty, choćby i obce były, u różnych narodów różne też myśli i uczucia obudzać mogą. Gdy np. Szyller pisał swą Maryą Stuart, Dziewicę Orleańską, Don Karłosa, wybrał przedmioty obce, lecz jego pogląd na nie był niemiecki, natchnął je niemieckim uczuciem, niemieckim duchem. To samo powiedzieć można o wielkim synu Albionu (Shakspeare), który się uwiecznił przez Otella, Romea i Julię i wiele innych dzieł mistrzowskich.

Narodowość co do przedmiotu i co do języka jest więc plastyczną, przedmiotową; co do ducha zaś, podmiotową. Następnie możemy rozróżnić dwa stopnie liryki narodowej: najwyższy, gdy język, przedmiot i duch są narodowe, co przedstawia stanowisko liryki najważniejsze, godne wszelkiego usiłowania do jego osiągnięcia. Lecz że w ogólności cywilizacja naszego wieku musi osiągać przedmiotów daleko za granicą naszego kraju i narodu będących, liryka więc musi (pozostając wierną językowi i duchowi), dla udokładnienia i uzupełnienia siebie, oprócz ojczystych, zajmować także i inne powszechnie przedmioty, jeżeli w obliczu cywilizacji nie ma się wydać jednostronną i ograniczoną.

Te uwagi zdają się być szczególnie przydatne do wytknięcia granic, za jakie użycie melodyj narodowych w śpiewie wyższym przekraczać nie powinno. Skoro więc przedmiot liryczny jest narodowym, lub za takowy uważany być może, niema w tém niestosowności, jeżeli kompozytor do głównego wątku muzyki, wtrąci z wyborem i smakiem napomknienie z pieśni narodowych. Gdy wszakże przedmiot poezyi za narodowy uważany być nie może, wówczas użycie melodyj narodowych zwłaszcza noszących oddzielną charakterystykę, musiałoby się wydać niezwykłym i nienaturalnym; śpiew jednak przy prawém brzmieniu języka narodowego i wyrażeniu własnych uczuć, mógłby jeszcze nadać barwę narodową szkole umniczej.

Podług obecnego stanu, liryce polskiej należy się pierwszeństwo pomiędzy wszystkimi słowiańskimi. Kompozytor posiada już bogaty zasób wszelkiego rodzaju. Czyniąc w zupełności zadość trzem wspomnionym warunkom, wystąpiła ona z mocą i świetnością, a w dążeniu do innych celów mających rozszerzyć i uzupełnić sferę umniczą, znaczne już zrobiła postępy. Odznacza się ona fantazją ognistą, językiem kwiecistym i pełnym obrazów, który co do formy, w szalonym niekiedy polocie, wpada w koleje zadziwiające, nadzwyczajne. Przy takiej poezyi, kompozytor powinien być bardzo oględny i wyćwiczony; bo jak z jednej strony ma się strzedz, aby zbyt widocznym brakiem jedności i symetryczności planu, nie nadwerężył układu całej kompozycyi, tak znowu z drugiej strony, poezye takowe nastreczają mu zręczność do obrotów śmiałych i zdumiewających formą, przez co częstokroć toż piętno genialności przybrać jest w stanie.

Liryka także Wielkorusów na znakomity wzniosła się szczebel i pomyślnie użyła do poezji żywiołu narodowego. Dotąd wszakże stanowisko jój jest bardziej uniwersalne, odległe, anizeli domowe, narodowe. Lecz liryka wielkoruska we wszystkich rodzajach tak dalece postąpiła, że żądania kompozytorów muzycznych wielostronnie zaspokoić i do utworzenia jędrnych poematów silnie zachęcić ich może.

Cel liryki Małorusów z rozważenia tylko stosunków miejscowych i politycznych należycie pojęty być może. Z tego wypływa, że poezya Małorusów, co do mnogości i uniwersalnej wszechstronności, nie wyrówna wielkoruskiej, lecz zato w swych dobrowolnie wytkniętych granicach, zachowuje czystszy duch narodowy, bardziej pierwotną i swojską charakterystykę.

Czesi, którzy od niejakiego czasu z jędrniejszemi i bogatszemi siłami zmierzają naprzód, z przemienném szczęściem pracują nad tém, ażeby z jednej strony liryce swojej zjednać prawdziwą, czystą narodowość, z drugiej znowu, ażeby w duchu najgłębszą i najskrytszą stronę podnieść do najwyższego szczytu poezyi. Występują uzbrojeni, nie ażeby zdobywać i niszczyć twory innéj dążności, lecz aby swe własne utrzymać i ochronić. Duch czeski zawsze się takim okazywał. Jeszcze przed niedawnym czasem ubogi stan poezyi mógł zrzędzać to, że i czescy kompozytorowie, którzy zkądinąd nie byli objętymi dla rzeczy krajowej, kiedy niekiedy tylko dawali do textów czeskich nader skromne kompozycye, jakby jałmużnę dla żebraka, gdy tymczasem w językach obcych skupiali stosy utworów wielkich i znakomitej wartości. Lecz dzisiaj, gdy czeska liryka kwitnąć radośnie z każdym dniem coraz piękniej się rozwija, możemy oczeki-

wać, że niejednen kapłan boskiego umnictwa niepodzielone siły swoje na powiększenie utworów narodowych obróci.

Illiryjska także mowa nie jest nieczynna. Jakkolwiek nie doszła jeszcze do tego stopnia, ażebyśmy mogli dojrzyć w niej pewien cel charakterystyczny, przecież wolno się tego spodziewać, tém bardziej, że wielki zapal do ukształcenia się duchowego, jakim każdy Illiryjczyk jest przejęty, słuszną czyni nadzieję, że liczne braki tym rychlej i chlubniej w przyszłości zapełnione zostaną.

D. Stanowisko śpiewu.

Jakkolwiek kształcenie śpiewu, jako sztuki, u żadnego jeszcze plemienia słowiańskiego w kompozycji i wykonaniu nie postąpiło dotąd tak dalece, ażeby mogło już stanowić szkołę narodową na godnym stopniu, niemniej przecież blizkim jest tego stanowiska, aniżeli by temu chętnie uwierzyć chcieli ludzie nieświadomi i naszej sprawie nieżyczliwi. Dla zachowania należytego porządku, musimy nadmienić przedewszystkiem o kościelnym śpiewie słowiańskim ze starożytności dochowanym. Tak zaiste, słowiańska muzyka w starożytności pomknęła się była na taki szczebel ukształcenia, na jaki tylko w ogólności można było przy ówczesowym stanie nauk, pcezyi i umnictwa. *Umnictwo słowiańskie* w całej wschodniej strefie Europy rozszerzone, w czasie swego rozkwitu, żadnemu iście w całej Europie nie ustępowało, a nawet tylko nie chcę rozstrzygać, czy Słowianie w owej epoce, pod względem śpiewu kościelnego, przodkować i za wzór służyć nie mogli.

Rozważmy wartość owych starodawnych chociaż nie bez skazy zachowanych śpiewów kościelnych polskich i czeskich, które od wnuków do wnuków i aż do nas w puściznie przeszły: owych niezliczonych uszłych zagłady w trzydziestoletniej wojnie szczątków kancyonałów czeskich, z których najstarszy mnie znany, z czasów hussyckich pochodzi; nakoniec całej niniejszej liturgii wschodniego słowiańskiego kościoła, zawierając twierdzeniom ruskich kapłanów, którzy pisane w języku kościelnym pieśni za również dawne uważają, jak i swoje obrządku; zastanówmy się przytém, że jednoczesne zaprowadzenie chrześcijaństwa pomiędzy większą częścią narodów słowiańskich, przy jednostajnych okolicznościach, poszło ze stolicy cywilizacyi umniczego Carogrodu, a wzdry się mocniej przeświadczymy, że starosłowiański śpiew kościelny kształcił się na byzantyńskim, jedno z nim ma źródło i też pierwotną formę, jednostajnym trybem i w jednéjże epoce rozszerzył się pomiędzy słowiańskimi na chrześcijaństwo nawróconemi plemionami. Tutaj upatrujemy wspaniały, wszelkiego poważania godny związek, który daleko mocniej, aniżeli prostoduszne pieśni narodowe, najrozległej kojarzył żywot duchowny starego słowiaństwa. Równie jak pieśni narodowe i formy języka, duchowny ten żywioł w późniejszym czasie różnym podlegał losom i przygodom.

Wspomniony kancyonał czeski z czasów hussyckich (zbiór arcybogaty), okazuje nam tę gałąź umnictwa na stopniu tak doskonałym, że go na ówczesne czasy pod względem technicznym, a jeszcze bardziej duchownym, za nader wysoki uznać musimy. Muzyka ta co do najistotniejszych cech swoich, opiera się na zasadach ogólnego starosłowiańskiego śpiewu kościelnego, lecz zara-

zem wydatnia się w niej samodzielność, daleko posunięty rozkwit, który wielebne śpiewy ojców naszych nacechował siłą mężką i wzniosłością nadziejską. To rozwijanie się sztuki muzycznej, zdaje się, długi czas odbywało się z wytrwałą gorliwością; przecież śnać nie można już było wyjaśnić należycie rzeczy, gdybyśmy chcieli śledzić nici umniczego postępu, pod gruzami zapadłych wieków.

Ten skarb umnictwa narodowego, wraz z językiem starosłowiańskim kościelnym, zachował się nienaruszony do dnia dzisiejszego w pieśniach nabożnych ruskich, serbskich i bułgarskich. Wyłączanie muzyki instrumentalnej w obrządku wschodnim, oraz zupełna niemożność użycia innego języka i form obcych, stanowiły przez tyle wieków silną oporę przeciw wpływowi wszelkiej obczyzny. O ile poznałem starosłowiańskie śpiewy liturgiczne, mają one więcej łagodności, lecz mniej jedności aniżeli wspomniane śpiewy staroruskie. Muzyka kościelna Europy zachodniej, która dotąd troskliwie przywłaszczała sobie wszelkie postępy w technice i teorii, przewyższa pod tym względem słowiańską; ta bowiem ostatnia przez tyle wieków tradycyjnie tylko się zachowując, wcale się nie rozwijała; zato wszakże współczesnemu umnictwu które się zrosło w znamienitą szkołę, sprawiedliwie zarzucić można, że nietylko często odznacza się duchem świeckim, zmysłowym, ale jeszcze częściej przez niepożyteczne i niewczesne popisywanie się uczonością szkolną i ćwiczeniami artystycznymi, takie wywiera działanie, które myśli do nabożeństwa wcale nie podnosi. Śpiew cerkiewno-słowiański potrzebuje teraz odnowienia co do techniki i teorii, przyczem wszakże z najbaczniejszą przezornością postępować należy; nie-

chaj śpiew ten tchnie takim duchem pobożności, taką myślą głęboką, ażeby mógł być uważany za ogólną zasadę, przy każdym usiłowaniu poprawienia śpiewu słowiańsko kościelnego.

Przy tej zręczności przychodzi mi na myśl, zbiór nowoczeskich śpiewów kościelnych wydanych przed kilku laty w Pradze, do których dołączono także część dawniejszych. Nowe te śpiewki podane z chwalebną skwapliwością przez wielu szanownych kompozytorów, zawierają rzeczywiście trochę dobrego. Ale jakimże duchem tchnie większa część tych utworów? Tu wdzięcznie odzywa się Spohr i Weber, tam dynda resztką niemieckiego harbeutla z przeszłego stulecia. Weźcie Kozaka, Czarnogórcę albo Krakowiaka, dajcie mu na głowę pudrzastą perukę z harcapem, a na to wsadźcie trójgraniasty doktorski birecik, a będziecie mieli figurę, nie wiele co śmieszniejszą jak owe teksty czeskie w tém germańsko-muzykalném przebraniu. Chociaż przypuścim, że to porównanie nieco przesadzone, przecież zawsze pozostanie prawda, że na tej drodze nie możemy oczekiwać nic zbawiennego.

Z przyczyn także zasługujących na uwagę możemy się na to zgodzić, że śpiew w dawnych wiekach będąc połączony z obrządkami, nie pozostał także bez wpływu na wybrańsze klasy narodu, a nawet po dobrym namyśle możemy twierdzić z pewnością, że Minezengerowie niemieccy i Trubadurowie francuzcy, pomiędzy liczném, mocném i niezbyt rzadko cywilizowaném rycerstwem słowiańskiem, musieli mieć także braci swoich za pośrednictwem sztuki spokrewnionych.

Było to nawet w duchu średnich wieków, śpiew cerkiewny, jako ważniejszy, podawać do potomności za po-

mocą pisma, a inne pieśni miłosne i biesiadowe, jako owoce natchnienia chwilowego i przemijającego, zostawić pamięci pojedynczych piewców. Zdaje się to być następstwem wieku, że te ostatnie śpiewy, odpowiadające w ogólności powadze pieśni narodowych, przewyższały je pod względem formy, wyrobioniej nie bez wpływu śpiewu kościelnego. Trudno wątpić, ażeby płody liryczne doszły do nas z owych czasów, jak np. Królodworski rękopis, nie miały być *śpiewane*. Na poparcie tego twierdzenia, mam jeden tylko pewny, to jest piśmienny dowód, a mianowicie staroczeską pieśń używaną przy picciu, którą przed kilku laty poznaliśmy pod nazwaniem *pieśni hussyckiej*, a z której wirtuoz Liszt ułożył koncertową sztukę na fortepian. Czy pieśń ta pochodzi z czasów hussyckich lub nie, niech kto inny rozwiąże, zawsze jednak pozostanie dobrą, i jedną z tych pieśni, która w głównej swjej myśli zachowuje charakter słowiański, to jest praczeski.

Jeżeli zwrócim uwagę na utwory muzyczne z czasów najnowszych, spostrzeżemy przedewszystkiém, że szczególnie w Rosyi znakomite już poczyniono kroki w uprawie nowożytnego śpiewu słowiańskiego. Teatr narodowy, wzrastająca tam poezya liryczna, podróże i kształcenie się ruskich artystów za granicą, ustawiczne wędrówki największych wirtuozów zagranicznych do Petersburga i Moskwy, wszystko to musiało się stać wielką podniętą, po której zaczynają już okazywać się wszelkiego poszanowania godne owoce. Lecz wpływ ten różnorodnych żywiołów obudza w nas obawę, że jedność charakteru w téj nowo powstającej szkole będzie narażona na wiele przeszkód. Ruskie zastępy własnych mają śpiewaków, którzy chociaż obecnie są samoukami tyl-

ko, do ulepszenia wszakże śpiewu niemniej znacznie się przykładają.

Rossyanie nareszcie odznaczają się obszernym głosem; w całej Europie najgłębsze głosy, zwłaszcza basowe, pomiędzy nimi znajdziesz.

Polak sam do wytrwałego i zmuonego przykładania się do teoryi (niezbędnie potrzebnej do wzniesienia się w świecie muzyki), rzadko ma ochotę. Wrodzony zmysł do muzyki i śpiewu, pysznie wzrastająca poezya liryczna, nie jeden już piękny kwiat wypiastrowały w sferze umnictwa, i jeszcze więcej wypiastrują ich w przyszłości. Dotychczasowe usiłowania do polepszenia śpiewu przez scenę, z powodu braku sił, nie zaprowadziły daleko; w przyszłości przecież nie bez przyczyny można od tego więcej oczekiwać. Utwory wszakże śpiewne lepszych polskich kompozytorów tę mają zasługę, że są czysto swojskie i pod tym względem najwięcej zajmujące.

Najstosowniej postąpię, umieszczając tu w skróceniu własne słowa zdolnego artysty polskiego.

Stanisław Moniuszko, w ogłoszeniu o wychodzącym w Wilnie *Śpiewniku domowym* mówi między innymi: „Jeżeli piękna poezya z piękną skojarzona muzyką, mogą zachwycać najmniej muzykalne serce i ucho, tedy i słabsza i mniej szczęśliwa muzyka przy wyborniej poezyi musi być mile przyjęta. Od pół stulecia przeszło zjawiają się pojedyncze śpiewy swojskie, które różnego doznają szczęścia na scenie w operetkach, a obok tego badacze prozody i języka polskiego, wydają ważne rozprawy o *metryczności* i *rytmiczności*, i zaprawiają go do wszelkich potrzeb muzyki; słowem, dla miłośników śpiewu i artystów, z każdym dniem ułatwia się możność uprawiania pomyslnie téj świeżej niwy, która dotąd nie przyniosła

jeszcze bogatego plonu. Zewsząd slyszymy narzekania na brak śpiewu domowego, chociaż rzeczywiście artystów z powołania o to obwiniać nie można. Według możliwości środków i bodźców, starają się oni jak najusilniej uchylić brak takowy. Że pomnę wielu innych dawniej zasłużonych, *Nowakowski* (*) w Warszawie, a *Wojkowski* w Poznaniu, wydali śpiewy w których się wyraźnie przebija nauka, lekkość, a także wielka zgodność muzyki z myślą i prozodyą wyrazów; dar najznakomitszy, jakim tylko wirtuoz muzyczny chlubnie odznaczyć się może w swoim zawodzie. Nie śmiemy tedy powątpiewać, że po tak szczęśliwych początkach, snadniej już będzie po téjże drodze dalej postępować" (**).

„Piękne i wzorowe te przykłady staną się zapewne mocną pobudką dla każdego, kto w sobie czuje zdolności, aby na téj drodze sił swoich doświadczył. Mniej więcej szczęśliwe usiłowania, utworzą z czasem zbiór przykładów czyli materyał, z którego pomału powstanie szkoła, rozwinie się krytyka rozsądna, na znajomości rzeczy oparta, a z upowszechnieniem pojmowania kompozycji, znajdą już artyści narodowi ochotę do wdzięcznej pracy. Możemy owszem spodziewać się tego ze względu na to cośmy powiedzieli, zwłaszcza, że teraz okazało się już kilka śpiewów wyższego stylu w muzyce. Świadczą one o przyjmowaniu się u nas poezji muzycznej; potrzeba jój czucia, które już się wyrabia w wirtuozach narodowych.”

(*) Moniuszko ma tu na myśli przedwczesnie w Warszawie zmarłego młodszego brata artysty dramatycznego Nowakowskiego, który oddawha już do ozdób teatru polskiego we Lwowie należy i tam także dobrym jest kompozytorem. *Przyp. Tł.*

(**) Z liczby innych kompozytorów, których można było tutaj przytoczyć, przypomnę, oprócz starszego Nowakowskiego, tylko Wysockiego, Syrewicza i Wielhorskiego. *Przyp. Tł.*

Gdyby Polacy mieli takie zapasy dokładnie wyrobionych sił muzycznych jak Czesi, gdzieżby już zaszli z tym swoim duchem! Przy wielkiem rozgałęzieniu należy- cie ukształconej sztuki muzycznej w Czechach, nietylko w miastach i miasteczkach, ale także w niezliczonym mnóstwie wiosek (*), przy tym ogromie zdolności muzycznych, co sprawia, że od tylu lat mnóstwo artystów ustawicznie rozchodzi się po wszystkich częściach Europy, oddawna posiadali Czechowie w swoim ręku środki do prześcignienia najzaszczytniej reszty pobratymczych plemion, przez założenie nietylko dobrej, ale sławnej i świetnej słowiańsko-narodowej szkoły śpiewu wyższego.

Przed niewielu dopiero laty przystąpili do wykonania tej sprawy. Niemniej przecież to co dotąd uczyniono, godne jest wszelkiego poważania i ocenienia. Od początków już tego stulecia, wydawane były niektóre pojedyncze kompozycje pieśni czeskich, po największej części drobiazgowe, lecz poczet ich był tak szczupły, a forma jakkolwiek w sobie częstokroć szczęśliwa, tak niepozorna, że nie wyrwały się za obręb przyjaciół swojego artysty, i tém bardziej nie mogą być uważane za podstawę do nowej samoistnej szkoły. Znakomitszy poczet utworów, który już prędzej mógł oznaczyć i ustalić charakter narodowy i wyraźną samoistną dążność, okazał się zaledwie, kiedy zawczasie zmarły *Chmieleński* począł wydawać zbiór śpiewów czeskich pod nazwą *Wieniec*. Ale i wtedy jeszcze większa część mężów, używających największego zaufania w kraju dla rozciągniętego ich wykształcenia muzycznego i dowiedzionych zdolności, i wię-

(*) Mało wiadomą jest rzeczą, jakie skarby dokładnych wiadomości muzycznych znajdują się u większej części nauczycieli wiejskich w Czechach, i jak wielki ztąd pożytek dla młodzieży.

ksza część naszej arystokracji muzycznej, w czysto narodowej dążności bądź żadnego, bądź bardzo mały przyjęła udział, i owszem wyłącznie obcej tylko szkole swe usługi poświęca. Dziwném więc może się wydać zdanie, że ta właśnie okoliczność przyczyniła się do *znacznego wzrostu* nowo powstającej szkoły. Gdyby nasza narodowa szkoła muzyki, zależała tylko od popędu i rządu artystów mających wpływ przeważny i sławę ustaloną, wieleby z nich przeniosło do niej ducha ulubionych mistrzów swoich; do śpiewu mającego być narodowym, wtrącałiby pożyczone obce formy: byłiby Francuzów, Włochów i Niemców ubrali w skórę czeską i tym sposobem naszej muzyce narodowej dali odzież pstrokatą mięsopostnego rycerza, znanego pod nazwą arlekina. Lecz inaczej się stało. Najczynniejszymi stronnikami nowego ojczyzstego przedsięwzięcia, byli mężowie młodzi, zaledwie rozpoczynający swój zawód, którzy dopiero musieli obierać cel swego dążenia i przybrany charakter utrwaląć. Mieli oni przed oczyma przykład pięknie budującej się literatury narodowej, widzieli jak żywioły wszystkiego co jest swojskiém, były przez mężów czcigodnych i wysoce uczonych śledzone, badane, i na świat boży na widok wszystkich narodów wystawiane; a ta bohaterska czeska myśl, która język i ducha przodków naszych wydarła niegodnemu zaniedbaniu dwóch wieków, natchnęła poświęcające się ręce do wzniesienia narodowego śpiewu czeskiego na miejsce dostojne, odpowiednie duchowi narodu. Jakkolwiek przewaga narodowych sił czeskich wzdry jeszcze na drugiej została stronie, przecież od téj pory nowo powstająca szkoła, stale coraz świetniej się rozwijała, bo jój zwolennicy nie byli to ludzie, coby się zwracali z połowy drogi, albo dopytywali o nagrodę za podjęte prace.

Początkowe te usiłowania, dzielne znalazły poparcie w założonej w Pradze akademii ś. Zofii. Zasłużony jój przewodnik p. *Aloizy Jelen*, sam wyborny kompozytor, dla młodzieńczego zakładu swego wydał wiele pięknych czeskich śpiewów męzkich, które co do układu i wykonania wolne od wszelkiej przygany, a nawet świetne co do treści, silnym wpływem swoim zniweczyły wiele niewczesnych napadów na śpiew czeski, i niejedną nędną myśl w samym zarodku stłumiły. Zbadanie ducha, który ten zakład jawnie ożywia, obeznanie się z treścią tych mistrzowskich czeskich zbiorów, które od początku do końca tchną miłością i czcią dla ziemskiego pana i jego wysokiej rodziny, naprowadzić musi bezstronnego sędziego do wyznania, że kształcenie sztuki śpiewu nie mogło być skuteczniej i dzielniej połączone z krzewieniem tych uczuć, co dla panującego domu zadowolenie, a dla dążności terażniejszego ducha w narodzie zbawienie przyniesie. Czy rozumny bowiem człowiek mógłby pomyśleć, ażeby na Czechów można było głębiej i przenikliwiej działać *śpiewem niemieckim*? Przychylna troskliwość władzy z jednej strony, a wdzięczność Czechów z drugiej, są tak nieomyślne, że ztąd najlepsze mogą wypłynąć skutki.

Również korzystnym być może dla téj nowéj szkoły, rozszerzenie teatru czeskiego i przedstawianie oper w języku czeskim. Jeżeli publiczność dotąd na tłumaczeniach oper przestawać musi (*), to przecież potrzeba tylko dobrej woli do tego, ażeby wkrótkim czasie w Pradze wystawionych było więcej *dobrych* oryginalnych oper czeskich, na pociechę przyjaciół naszéj muzy.

(*) Dotąd znam tylko trzy oryginalne opery czeskie.

W ogólności u nas, Czechów, nie idzie o to, ażebyśmy dopięro pozyskali środki i siły, lecz bardziej o to, ażebyśmy tych w istocie *dostańcanych* sił, jakie mamy, nie marnowali dalej na rozdzielaniu, a kojarzyli je ku społecznemu celowi. Co dla nas za pożytek, że chętnie się przyczyniamy do wzrostu obcej szkoły, iście bogatęj, ale bliżkiej przekwitu? Ażali obcy potrzebują naszego wsparcia w umniczej dążności swojej? — Bynajmniej! Czy cudzoziemcy będą nam wdzięcznymi za takową pomoc? — Bynajmniej! Ażali nas samych, by z najlepszych utworów, tak ocenią w obczyźnie, jakbyśmy mogli spodziewać się tego w swoim własnym narodzie? — Bynajmniej! Czy wreszcie na tęj niwie, gdzie nas nic prócz oderwanęj pobudki artystycznej nie podnieca, możemy wystąpić z tąż siłą i z tymże skutkiem, jak tam, gdzie nas napełniają natchnieniem i z sobą unoszą wspomnienia błógiego dzieciństwa? — Bynajmniej i jeszcze raz bynajmniej!

Juliusz Cezar wolał być pierwszym na wsi, niż drugim w Rzymie. A my, którym potrzeba tylko połączyć swoje siły, abyśmy w rodzinie największego narodu w Europie, w dziedzinie najszlachetniejszego umnictwa, na długo pierwsze zajęli miejsce, dlaczegóżbyśmy woleli w szeregu obcych obojętnych ku nam narodów, jako towarzysze dzierżyć trzecie lub czwarte miejsce, albo snąć wyglądać, jak piąte koło u woza? Zaprawdę, jeżeli nam po zaspokojeniu własnych potrzeb zbywa jeszcze sił na inny użytek, lepiejbyśmy postąpili wspierając nimi pokrewne, słabsze plemiona, zamiast co marnujemy je bezpożytecznie w cudzych krainach, w usiłowaniach, z któremi nic nas nie wiąże.

Illiryjczycy wydali także na świat niektóre śpiewy oryginalne, chwalone jako szczęśliwe prace. Z serca ży-

czymy, ażeby te próby się krzewiły, doskonaliły i utworzyły własną szkołę narodową. Niechaj tylko Illiryjczycy pilnie budują swoje melodye narodowe, i dobrze się przypatrują postępom u drugich Słowian, ażeby się ustrzedz na tój drodze ducha obcego, np. włoskiego, i nie wydawać na świat nienarodowych, i tём samém martwych płodów.

Przypuszczając także, że starsza szkoła muzyczna w *chwili obecnej* większą przynosi korzyść, anizeli szkoła słowiańska zaledwie w zawiązku będąca, przypuszczając, że tam chciwemu zabawy rzkomo do ust padają dojrzale (i przejrzałe) owoce, które tutaj dopiero potrzeba doglądać, szczepić i pielęgnować; wtedy zgodźmy się również i na to, że wpływ umnictwa zagranicznego jest chwilowy, przelotny, i na wybrane tylko klasy ludzi działanie swoje wywiéra. Z kształceniem własnej szkoły narodowej połączona jest nadzieja, że na *przyszłe* także pokolenia skutecznie działać możemy, a w potomności z miłością dla kraju obudziłoby się uwielbienie i wdzięczność dla twórców i ojców tój szkoły, za tak wiele cenną ich ducha i siły pamiątkę. Owoce podobnych usiłowań nie byłyby snąć tak późne, ażeby się ich doczekać nie mieli mężowie, którzy takowe z pracą zaszczepiali, wytrwale i z miłością pielęgowali.

Porównajmy okoliczności, przy których dojrzały szkoły umnictwa obcego, z okolicznościami, jakie się przedstawiają później idącym Słowianom i zobaczmy, na którą stronę przechyla się większa korzyść. Kiedy się stare szkoły tworzyły, sztuka drukarska była jeszcze w kolebce, z nader małym wpływem i nieświadoma swojej mocy. Żyjące języki z których uszczerbkiem martwe się kształciły, były zaniedbane, surowe; ich niewidoczny

wzrost do najwyższego stopnia niejednostajny, w piśmiennictwie każdej krainki, a nawet każdego miasta były tak nieprawidłowe i rozerwane, jak to dzisiaj w najprostszych tylko i najbardziej skażonych narzeczach widzieć się daje. Narodowość działała wprawdzie na umnictwo, ale to jej działanie było przygodne, bez żadnego celu, od artystów pogardzone, którzy rzadko tylko rzetelnie ją poznawali, a więc za przedmiot umyślnego, dobrze pojętego badania nie obierali. Teorya wówczas była prawie nieznaną, i musiała się z mnóstwem dokonanych już utworów układać, porządkować i doskonalić. Teraz zmieniły się te okoliczności; druk jest najczynniejszy, narody słuchają jego głosu, stomilowe przestrzenie nie mogą już jak dawniej rozrywać związku duchowego. Języki słowiańskie, co do własności i czystości, żadnemu innemu w Europie nieustępujące, dosięgły już szczytu żywota duchowego, podług obecnego układu świata, i jako języki piśmienne, skoncentrowały się już także stosownie do potrzeby czterech głównych plemion. W poznawaniu narodowości, w jej dokładnym i gorliwym śledzeniu, w jej użyciu do wyższych celów duchownych, w tej chwili *żaden inny naród z nami mierzyć się nie może*. Teorya umnictwa udoskonaliła się, na równi z naukami najbardziej rozwiniętymi. Przyjdziemy jeszcze do tego, że z powodu podobieństwa między sobą języków słowiańskich, śpiewy jednego plemienia, z zatrzymaniem taktu oryginalnego, bez wielkiej trudności, będą mogły być używane od innych także Słowian, jak się o tém z doświadczenia przekonałem (*). A że dla zaspokojenia pierwszych potrzeb, li-

(*) Prosiłem kilku śpiewaków polskich, ażeby chcieli spróbować niektórych pieśni czeskich zebranych przez Jelenia. Acz

czne próżnie mogą być tymczasem zapełnione przekładami dzieł obcych, dopóki miejsca ich wszechstronnie nie zajmą własne utwory, widzimy w tym przyjazną wieszczbę, pod którą śmiało przystąpić możemy do tworzenia narodowych szkół umnictwa, cechując je ogólnym słowiańskim znamieniem.

Dotąd sztuka służy tylko do zabicia wolnych godzin, do pokazania dobrego tonu, lub do zaspokojenia próżności, jest igraszką czyli przedmiotem mody; jeżeli służy do gromadzenia pieniędzy jest rzemiosłem; ale wtenczas dopiero staje na swojej wysokości i godna jest, ażeby człowiek poświęcił dla niej swój żywot i siły, kiedy w słowie wynurza najgłębsze uczucia, najwznioslejsze i najszczytniejsze myśli swoje.

Byłoby to pocieszne zjawisko, gdyby Słowianin w upojeniu swojego uczucia chciał arją Donizettego ulżyć sercu swojemu. Czyż ci obcy śpiewacy znają naszą sławę?

Przełożył z czeskiego, *Aloizy Kuczyński.*

z początku przez grzeczność tylko dla mnie to uczynili, potem przecież tak się im to podobało, że z własnego już natchnienia powtarzali.

Przyp. Tł.



MESSYADA, FRYDERYKA BOGUMIŁA KLOPSZTOKA.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO, WIERSZEM MIAROWYM

przez

Józefa Karola Taślikowskiego.

Wstęp.

Myśli, jakie lat temu cztery rzuciłem w jednym z pism czasowych (*), o potrzebie miarowości dla naszego języka i jej ważności w piśmiennictwie naszym, zasługują na powszechniejsze uznanie. Istotnie, czas zdaje się nadzedł, aby arcydzieła pierwszego rzędu pisarzy z różnych wieków i narodów, miarowym wierszem pisane, mogły się na nowo ukazać naukowemu światu, okryte szatą polskiej mowy w takiéjże formie, lecz zasadzonej na duchu naszego języka i prawidłach dzisiejszej muzyki.

(*) Obacz list mój do redakcyi Pielgrzyma, umieszczony roku 1842 w *Pielgrzymie* za miesiąc grudzień na stronnicy 264—269, a napisany z okoliczności podania do tegoż czasopisma, próby mojego przekładu Przemian Publiusza Owidyusza Nazona, który wypracowałem z pierwowotworu łacińskiego wierszem miarowym według własnej teoryi.

W wyborze jednéj z żądanych prac moich, nie wahałem się i na chwilę podać nateraz do Biblioteki, próby mojego przekładu Messyady Klopsztoka, com go wypracował z pierwotworu niemieckiego, wierszem miarowym według własnej teoryi. Nie wahałem się mówić i na chwilę, albowiem Messyada nie ukazała się dotąd w naszym języku nawet prozą. A przecież dzieło to jest jedném z najoryginalniejszych, jakie kiedy wzniósł gieniusz i bujność wyobraźni wydały. Nastrecza dla naszego języka bogate źniwo: bo opiewa rzeczy, jak się wyraża nasz wiekopomny Krasicki, zpod obrębu zmysłów wyjęte, rzeczy w duchowym świecie wydarzone; bo wprowadza istoty nadprzyrodzone, bo wreszcie rozrzewnia czułością i na podziw zachwycającą smętności barwą. Nie sąż w niém porównania Homera godne? Nie jaśniejeż w niém mowa blaskiem świetnym, wspaniałym? nie utrzymujeż się ciągle na stopie godności i szlachetnego wytworu? a poezya, okazała a nawet śmiała dla świętości, którą w swych szrankach stawia, nie nosiż na sobie pieczęci boskiego natchnienia? Słowem, Messyada nie umieszczaz Klopsztoka w poczecie twórców epepei? Ztąd téż trudno opisać, jak wielkie wrażenie uczyniła na umysłach ta poezya nowa, tak pod względem przedmiotu, jaki ośmieliła się wziąć w swe ramy, jak dla niezwyčajnej harmonii sześciomiar (hexametrów), co taką swobodę nadają wyobraźni. Owionęła ona niby szalem całe Niemcy, i zjednała wielkiemu wieszczowi podziw wszystkich uczonych w Europie. Nie na zwoźniczém spółczuciu, lub wątych zasadach gruntowało się to uniesienie. Owym poematem, jedynym w swoim rodzaju, zaćmił Klopsztok, choć zrazu trzy piérwsze pieśni tylko wyszły na widok publiczny, zaćmił mówię,

wszystkich pisarzy swój epoki, których usiłowania i spółzawodnictwo ograniczały się jedynie na mniej więcej wierném odbiciu płodów umysłowych Francyi i Anglii, i stanął niespodziewanie na czele szkoły, z której później wyszli Goethe i Szyller.

Nie tu jest miejsce przytaczać chlubne świadectwa mężów, mających powagę w powszechném piśmiennictwie, o wartości *Messyady*. Nie mogę atoli milczeniem pominąć trafnego zdania pani Stael, zdania wiele mówiącego, aczkolwiek treściwego. „Gdy zaczynamy czytać ów poemat”, powiada ta uczona i myśląca kobiéta, „zda się nam, żeśmy weszli do wspaniałego kościoła, wśród którego obijają się o nasze ucho poważne tony organów, i to wzruszenie i zebranie ducha, jakie wlewają w nas świątynie pańskie, ogarniają duszę podczas czytania *Messyady*.”

Wielocenném jest także porównanie Klopsztoka z Miltonem, ręką pani *Karlowitz* skreślone. Oparte na gruntownej znajomości głośnych w nowoczesném piśmiennictwie poematów obu tych znamienitych wierszopisów, godne zaiste jest starożytnego rylca Kwintyliana lub pióra wymownego Laharpa.

„*Messyada* jest poniekąd dalszym ciągiem *Raju utraczonego*. Idąc za najpowszechniej przyjętém mniemaniem, należałoby ją uważać jako naśladowanie tego sławnego poematu; ale to mniemanie jest mylne, albowiem lubo z jednego punktu wyszli oba ci wielcy poeci, różną przecież udali się drogą, i do innego przybyli kresu.”

„Milton maluje tryumf ducha złości, i upadek rodu ludzkiego; Klopsztok opiewa zwycięstwo Boga miłosierdzia i pojednanie rodu ludzkiego z swoim twórcą. Milton, urodzony i wychowany wśród wojen domowych,

włożony do sporów religijnych, roztrząsań politycznych i wszelkich burz życia publicznego, wystawia w szatanie uosobienie ducha niepodległości, a w Przedwiecznym obraz tych łagodnych jednowładzców, którzy stają się nieubłagani, a niekiedy nawet okrutni, gdy ich lud nie przestaje na szczęściu w takim kształcie, w jakim się im podoba go mu udzielić. Dlatego też nie można się wstrzymać od uwielbienia szatana; kochamy go niemal, ponieważ czujemy, że wielkość jego i szlachetność nie pozwalają mu być posłusznym Panu, co mimo całej swojej dobroci i większej nadeń mocy, nie ma owych śmiałych rzutów myśli, które wznosząc umysł, wprawiają go w obłąd, i które nas zawsze zachwycają, ponieważ są w pełnogodzie z naszymi własnymi dążnościami. Klopszok, który w całym ciągu życia swojego te tylko znał burze, jakie wzniecały w nim wzruszenia co je sam w sobie czerpał, co je, niby świętą tajemnicę w obrębie własnego serca mieścił; dał szatanowi tę jedyną rolę, jaką filozofia religii winna i może mu nadać: wystawił go jako istotę złośliwą, którą bezrozumna pycha i miłość nieporządku popchnęły do buntu przeciw sprawiedliwości Bożej, co ją nienawidzi, nie dlatego, że ona chce ją ujarzmić, lecz że chce na ziemi królestwa pokoju, swobody i wszelkich cnót zdążających w ślady obu tych córek niebios. Wierszopis ten zarazem i zdrowym obdarzony rozsądkiem i pełen zapału, wstrzymuje się ile możności od ukazania obrazu bóstwa jako istoty oderwanéj; a gdy natura przedmiotu do tego go zmusza, otacza ją świętymi pomrokami: albowiem czuje, że gieniusz ludzki, jakożkolwiek wzniosły, chcąc odmalować to bóstwo, zniża je w drobnych wymiarach skali ziemskiej. Nie tak się rzecz ma z Bogiem, który

się stał człowiekiem; wzięwszy na siebie ciało ludzkie, chciał się uprzystępnić naszym zmysłom. Tegoto Boga obrał Klopsztek za bohatera swojego poematu, i właśnie rozwijając wcielenie tego źródła miłości i miłosierdzia, wznosi duszę czytelników do wysokości, która będąc prawie idealną, nie przechodzi granic pojętności ludzkiej. Taż sama różnica, jaka zachodzi między zasadniczą myślą *Raju utraconego* a pomysłem *Messyady*, przebija i w szczegółach. Równie jak Milton, zadziwia i przeraża Klopsztek okazałością i śmiałością opisów okolic niebieskich, w których wyobraźnia wielkich poetów ma zawsze upodobanie. Lecz u Milтона, niebo winno swą zdumiewającą piękność odbłaskowi olbrzymiego światła, jakie bunt szatana rzuca na nieskończoność; u Klopsztoka, stworzenie świata, niby ujęte w siatkę pełnozgody niebieskiej, jest niezmiernym obrazem, którego każdy szczegół przedstawia widok wspaniałego i spokojnego szczęścia, jako przyrodzonego wpływu królestwa sprawiedliwości; a ta sprawiedliwość, u Milтона władza samowolna, jest u poety niemieckiego następstwem doskonałości, którą dobroć nieskończona przechyla ku pobłazaniu tego wszystkiego, co jest słabością i błędem. Jakoż myśl tę rozwinął z podziwu godnym talentem w scenach sądu, wniebowstąpienie Chrystusa poprzedzających, a mianowicie téż w charakterze upadłego anioła, który w *Messyadzie* gra rolę pod imieniem Abdyjela - Abbadony. Utwór ten jest jednym z najbar- dziej pocieszających, jakie kiedy głowa poety-filozofa wydała; umieszcza on żal nawet w piekle, i rozciąga działanie litości Bożej aż do otchłani potępienia. Milton celuje w malowidle namiętności, wszakże ogranicza się na ukazaniu ich w sposób okazały i upajający, bo czaro-

wać i wzruszać jest jego najwyższém zadaniem. Klopszok i jednego wiersza nie pozwolił sobie napisać, któryby się miął z celem uczynienia ludzi lepszymi i szczęśliwsiemi. To téż całkiem przeciwne farby widać na paletach tych dwóch wielkich malarzy serca ludzkiego. U Milтона, miłość jest bóstwem uwieńczoném różami, którego rozkoszny uśmiech przeobraża życie ziemskie w chwilę uroczystego wesela i błogiego szczęścia: i taką miłością kochają się Adam i Ewa, a ich rozmowy, słusznie podziwiane, podnoszą wyobraźnię i sprawiają bicie serca. U Klopszoka, miłość jest wypływem Bóstwa, co przypominając nam nieustannie zacność naszego pochodzenia, wznosi nas i uświęca: i taką miłością kochają się Cydli, córka Jaira, i Semida, sierota z Naim, oboje wskrzeszeni przez Chrystusa. W téj młodej dziewicy, którą nam przedstawia obdarzoną niebiańską pięknością, dobrocią i niewinnością anielską, maluje swoje drogą Mette, gdy jeszcze nie śmiała mieć nadziei, że kiedyś może zostać jego żoną: i każe się nam domyślać, czego wówczas sam doświadczał, gdy kręśli namiętność niemniej czystą, lecz silniejszą, Semidy. Ten ustęp, który zdaje się być wziętym z życia aniołów, jeszcze większego przyczynia rozrzewnienia, skoro znane jego źródło; skutek jego słodki, dobroczynny, gdy tymczasem ustęp innej Cydli i Giedora, w pieśni piętnastój, obudza bolesne uczucie, ponieważ poeta opowiada w nim śmierć Metty, którą prawie we wszystkich swych poematach opiewał pod imieniem Cydli. Czujemy, że tworząc ten ustęp, skrapiał łzami papier: płaczemy razem z nim, lecz nie śmiemy go żałować: boleść bowiem, kiedy tak szlachetnie jest religijną, odpycha litość, aby nas całkiem zostawić podziwowi i poszanowaniu. Przyjaźń nie mogła zna-

leżć miejsca w *Raju utraconym*; w *Messyadzie*, jak we wszystkich utworach Klopsztoka, to uczucie jest hołdem świętym a niepamięć na jego obowiązki, największym występkiem.”

„Czynić dalsze porównanie, byłoby to rozbiierać *Messyadę*, a ten poemat każe się czytać; rozbiór dałby o nim niedokładne, a często nawet mylne wyobrażenie.”

W naszym piśmiennictwie, niejedyn rys znamieny *Messyady*, ukazał autor rozprawy: O literaturze romantycznej, umieszczonej w N^{rac}h od 38 do 42 Dziennika Warszawskiego, wydawanego przez Jana Kazimiérza Ordyńca. Ciekawych odsyłam do téjże rozprawy. Przytoczę tu tylko jedną z niéj uwagę, która zasługę Klopsztoka położoną dla całego świata przez napisanie *Messyady*, w jasnym wystawia świetle.

„*Messyada* mniej może rozmaita anizeli poema Milto-
na, niemniej jednak zdaje się być pod względem jedno-
ści natchnienia, wysokości pomysłów ciągle utrzymanej,
najpiękniejszym podobno hołdem, jaki poezya nowożytna
oddała kiedy chrystyanizmowi (*).”

Teto wszystkie wyżej wyliczone powody skłoniły mnie, żem się zajął lat temu dziesięć przekładem rzeczzonego poematu, i żem się dla uczynienia przysługi naszemu językowi i piśmiennictwu, nie dał odstreczyć od pracy trudnościami, jakie bez końca w nim napotykamy. Aby się nie zdawał przesadzać w namienieniu téj ostatniej okoliczności, i chcieć powiększać wartość méj za-

(*) Obacz w wyżej namienionej rozprawie osobno poświęcony artykuł Klopsztokowi, na stronicy 11 tomu XIV Dziennika Warszawskiego.

sługi, posłuchajmy co o trudnościach owych mówi (*), w podanej przez siebie Wiadomości o Klopsztoku, baronowa *Karłowitz*, najnowsza tłumaczka francuzka *Messyady*.

„Aby się zapoznać z duchem i stylem Pisma Świętego starego i nowego przymierza, słuchał Klopszok kursów teologicznych, i nie troszcząc się bynajmniej o to, czy go rozumieją tacy czytelnicy, którzy podobnych nauk nie odbyli, zda się, iż chciał nastęrczyć teologom przyjemność w wykładaniu osobom świeckim owych miejsc, które przejął z pism świętych, a które objaśnić przypisami nie sądził za rzecz niezbędnie potrzebną.

„Dlatego téż nietrudno słyszeć w Niemczech szczerę wyznanie osób, nawet rzeczywistą wartością zaleconych, że nie miały odwagi i wytrwałości postępować za myślą zawsze szlachetną i wzniosłą tego poety, wśród zastosowań do miejsc biblijnych, gdy ją świetna budowa okresów, liczne przewroty szykowe, i mnogie wyrażenia i wyrazy nowe, czynią częstokroć całkiem niezrozumiałą. Bardzo mało zresztą jest wierszy w *Messyadzie*, któreby czytelnik nawet znamienicie wdrożony do tego rodzaju poezyi, mógł za pierwszym ich czytaniem zrozumieć. Jest ich znaczna liczba, z których każdy wiele mnie godzin rozmyślenia kosztował, nimem zdołała uchwycić myśl prawdziwą.”

O tych trudnościach, mówi także autor wyżej rzeczonyj rozprawy *O literaturze romantycznej* jak następuje:

(*) Obacz stronicę III dzieła: *La Messyade, poème en vingt chants, par Klopstock. Traduction nouvelle par Madame la Baronne A. de Carlowitz; précédée d'une Notice sur l'auteur. Paris, Charpentier, éditeur, 29, rue de Seine-Saint-Germain. 1842.*

„Zarzucają Klopsztokowi, że niedosyć ściśle połączył jego (poematu Messyady) części, że w swoich pomyślach zbyt surowych, za nadto zaniedbywał przyjemności imaginacyi; nakoniec, że niezawsze unikał w wysokich krainach, do których się podnosi, styczności z subtelnosciami teologicznemi. Lecz te błędy, które są tylko przesadą piękności jego dzieła, nie przeszkadzają wcale, abyśmy nie cenili głębokich znajomości ducha chrześcijaństwa, uczucia religijnego studyowanego pod wszelkimi jego formami, i języka poetycznego najswobodniejszego, że tak rzekę, co do warunków materialnych bytu. Klopszok w ciągu swojego długiego poematu, nie popadł w żadną z tych wad, które zarzucaliśmy Miltonowi.”

I w inném miejscu tenże autor tak mówi: „Można wprawdzie zarzucić poezyi jego zwyczajną ciemność; myśl autora niknie w śmiałości przekładni, i zdaje się niekiedy, że nie mógł inaczéj znaleźć mocy wyrażenia, jedno poświęcając mu jasność myśli; lecz ta wada zaledwie jest wadą w oczach ludu nawykłego do rozwagi, który lubi napotykać abstrakcyje metafizyczne pod szatą poetyczną.”

Jeżeli niełatwo rozumiéć Messyadę Klopsztoka, jakże nierównie trudniéj oddać ją w obcej mowie! Niezbity niemyłności tego twierdzenia dowód, skoro usiłowania tylu tłumaczów francuzkich pomyslny nie uwieńczył skutek. Istotnie, te przekłady, które wyszły jeszcze za życia Klopsztoka, tak są dalekie od pierwowotworu, że je on sam poczytywał za największą klęskę w swém życiu.

Jakoż pp. *Anthelmi* i *Junker*, którzy roku 1772 wydali przekład pierwszych dziesięciu pieśni Messyady, niaby uwzięli się, aby pod ich piórem owa wzniosła, wspa-

niała i śmiała w niej poezya zniknęła. Zamiast owego zadziwiającego, porywającego poematu, ukazali jego przestroj w jakieś płaskie i dziwaczne narzekania.

Nie był szczęśliwszym i *Petit-Pierre*, który w trzy lata później ogłosił drukiem w *Neufchâtel* nowe tłumaczenie tychże samych pieśni.

Oba te przekłady takiego kłopotu, że nie powiem zgrozy, nabawiły Klopsztoka, że z obawy, iż go może nigdy nie zrozumieją Francuzi, sam dla nich przełożył swój poemat prozą łacińską, poświęciwszy lat niemało tak mozolnej pracy.

Co do pani *Kurzrock*, która pierwsza w Akwizgranie roku 1801 wydała na widok publiczny wszystkie dwadzieścia pieśni Messyady, pracę téj tłumaczki, posiadającej może wszystkie potrzebne zdolności do zrozumienia i ocenienia Klopsztoka, lecz nieznającej ani ducha, ani mechanizmu języka francuzkiego, sam Klopszok osądził. Gdy opuściła prasę, przeczytał ją siedmdziesięcio siedmioletni naówczas starzec, i oburzony, że się widział, on, poeta, najboleśniej być dotkniętym w swych najmilszych upodobaniach, zawiedzionym w najśłodszych nadziejach, rzekł w poufałym gronie przyjaciół, zbywając igraszką słów zdanie o pracy pani *Kurzrock*: „Prawdziwa to *kurzrock* (krótkostrojna) ta pani *Kurzrock*! Niedarmo ma to nazwisko: miara jój talentu jako tłumaczki, zupełnie przypada do długości jój spodniczek.” Ztąd i baronowej *Karlowitz* słuszny sąd o pani *Kurzrock*, że jój przekład jest jedynie zbiorem grubych błędów przeciw pierwszemu prawidłom grammatyki, zbiorem niezrozumiałych wyrażen, śmiesznych obrazów i wyrazów dziwacznie nagromadzonych.

Roku 1825, wydał pan Horer w Paryżu swoje tłumaczenie Messyady. Dość jest przeczytać kilka jego stronnic, aby powziąć przekonanie, że niema nic z nią spólnego.

Wszyscy ci tłumacze francuzcy zapomnieli istotnie o obowiązkach, jakie czekają każdego, kto w szlachetnej walce z swym pierwowtórcą na krok mu nie chce ustąpić, kto w trudnej przekładania sztuce chce głośne pozyskać imię, bogacąc język własny darami uszczknionemi na niwie obcej mowy. Dobrze te obowiązki skreślił pan *Pongerville* w przedmowie do swego przekładu Raju utraconego Miliona. „Nie dosyć to, powiada on, że tłumacz gruntownie obeznanym jest z obu językami. Musi on jeszcze pilnie śledzić i zgłębiać język poetyczny, przedewszystkiém jemu dogadzać i wiernie służyć. Biada tłumaczowi, jeżeli na swą sztukę wkłada więzy mechanicznego postępowania! Jego przekład będzie naówczas tylko przerysem pozbawionym życia.... Ścisła sumienność tłumacza wiedzie go po wąskiej ścieżce, na której najmniejszy usterk strąca go ze szczytności w śmieszność. Podając się każdemu tonowi obcej mowy, nie powinien nigdy spuszczać z oka tych warunków, jakie na niego wkłada jego własna mowa.”

Najnowszą, jak już powiedziałem, tłumaczką Messyady, jest baronowa *Karlowitz*. Poczytuje ona prace swych spółzawodniczych poprzedników za niebyłe, za żadne, i wyznaje, że to właśnie jej przekonanie, iż ów poemat można dotąd uważać jako wcale nietłumaczony po francuzku, skłoniło ją do pracy ciernistej, olbrzymiej. To pewna, że o baronowej *Karlowitz* nie można tego powiedzieć, co Klopsztor wyrzekł o pani *Kurzrock*: wątpię atoli, czy opuszczać (niekiedy po kilkanaście wierszy), do-

dawać, skracać i zmieniać, jestto wiernie tłumaczyć, czy to wszystko wchodzi w liczbę warunków sumiennego tłumacza. Wszakże baronowa *Karlowitz* za samo przysłużenie się piśmiennictwu francuzkiemu swą pracą, otrzymała wielką nagrodę Montyona.

Cóż powiem o swojej pracy? Zostawiam jój ocenienie światłu naszych uczonych i znawców obu języków. Wspomnę tylko, że jeżeli baronowa *Karlowitz*, najlepsza tłumaczka Messyady u Francuzów, miała tyle do pokonania trudności, choć ów poemat przełożyła prozą; jakież mnie się dostały w udziale, com go przełożył takimże wierszem, jaki zaleca pierwotwór, to jest miarowym? Nie wiem także, dlaczegobym i to miał zamilczyć, że gdy przekład pani *Karlowitz* doszedł rąk moich, i gdym go porównał z moim i pierwotworem, nie zmieniłem i słowa w własném tłumaczeniu. Korzystałem tylko z jój przypisów i dodałem treść każdej pieśni, którą naśladując wydawców starożytnych epików, w swoim przekładzie umieściła. Podobny zwyczaj zdaje mi się być chwalebny, bo ze wszech miar naukowo użyteczny. Tym sposobem czytelnik może za jednym niemal rzutem oka ogarnąć związek, jaki zachodzi w układzie całego dzieła.

Redakcja *Pielgrzyma* w r. 1845 we wrześniu, umieściła w swym czasopiśmie wyjątek z czwartej pieśni Messyady przekładu Jana hrabiego Tarnowskiego wierszem rymowym. Czytałem także początek czwartej pieśni Messyady, przełożony wierszem rymowym przez Michała Kołpaczkiewicza, a umieszczony lat temu przeszło trzydzieści w Nrach 19 i 20, tomie IV *Dziennika Wileńskiego* z roku 1816. Zostawiam wyrzeczenie zdania o téj pracy światłu naszych uczonych. Powiem tylko, że po-

mijając wewnętrzne moje przeświadczenie, iż miarowe wiersze, miarowo przekładać należy, jeżeli i z wewnętrznego wierszopistwa, jakie pierwotwór zaleca, chcemy się polskiemu czytelnikowi wyliczyć, wątpię, czy szczególnież téż Messyady przekład udać się może w formie rymowój. Będą to, mówiąc w duchu pani Stael, tony brzękliwego klawikordu, zamiast poważnych, uroczystych organów.

Kończę wstęp ten uwagą, jaką pani *Karlowitz* zakończyła swoje *Wiadomość o Klopsztoku*, a co chciałbym mieć zastosowaném do polszczyzny i Polaków. „Jeżeli mi się udało przelać choć część piękności Messyady w język francuzki, winna mieć we Francyi to samo powodzenie, jakie miała w Niemczech, i wtedy moralność publiczna uzyskała niemało. *Męczennicy Szatobryanda* (Chateaubriand), *Rozmyślania Lamartyna*, niejednego zapaleńca obłąkaną głowę naprowadziły na drogę rozsądku. Dzieło Klopsztoka tenże sam sprawi skutek; i nigdy zaiste bardziej jak dzisiaj, nie dała się czuć potrzeba dzieła, któreby posłużyć mogło za przeciwtruciznę na obłądy piśmiennictwa tegoczesnego. Wszystkie umysły mniej więcej zostały oburzone lub spaczone, wszystkie serca mniej więcej zranione lub zepsute temi niebezpiecznemi płodami, które pod pokrywką wzniesienia się nad przesady i nadużycia, uważają występki jako nieuchronne następstwo naszych instytucyj socyalnych, a zbrodnią jako najpotężniejsze i niemal najszlachetniejsze użycie siły moralnej.”

Mam nadzieję, że jeżeli pani *Karlowitz* przekład tak dobrze był przyjętym, że ją publiczną zań nagrodą uczczono, chociaż wykonała swą pracę prozą; to ziomkowie moi usiłowań moich nie zechcą przyjąć obojętnie, a to tém bardziej, że mój przekład dokonany został wierszem miarowym.

Pisałem w Warszawie, dnia 6 października 1846 r.



PIEŚŃ PIÉRWSZA.

TREŚĆ PIEŚNI PIÉRWSZEJ.

Zbawiciel oddala się od ludu chcącego ogłosić Go królem i wstępuje na górę Oliwną, aby ponowić Ojcu swoje przyrzeczenie, że dokona dzieła odkupienia. Jego męki zaczynają się. Gabryel, Jego sługa na ziemi, wraca do niebios z Jego modłami. Przebywszy słońce i drogę napowietrzną, co niegdyś łączyła ziemię z niebem, przybywa ów anioł do przybytku. Wprowadza go Eloa, największy z Serafów, a Gabryel kładzie kadzidło na ołtarzu odkupienia. Przedwieczny zapala ofiarę, i daje rozkazy Eloj, który je udziela wszystkim nieśmiertelnym, aby obchodzili drugi sabat stworzenia świata. Gabryel odbywa posłannictwo do aniołów stróżów ziemi, zamieszkujących słońce we wnętrzu kuli ziemskiej. Zastaje tam dusze zmarłych dzieci, które w tej tajemnej siedzibie uczą się, jak zasługiwać na szczęśliwość niebieską. Udaje się potem Gabryel do słońca, gdzie dusze patriarchów zgromadziły się wokoło Uryela na szczycie świątyni słonecznej.

Śpiewaj, bezśmiertna duszo, grzesznych ludzi zbawienie,
Co go w Swém człowieczeństwie na ziemi dokonał Zba-
wiciel;

Co niém ród Adamowy Bożej wrócił miłości,
Gdy zań cierpiał, śmierć poniósł, i w chwale odszedł do
Ojca.

Tak Przedwiecznego spełniła się wola. Napróżno wzniosł
głowę 5.

Przeciw Bożemu Synowi szatan; daremnie Judea
Przeciw Niemu powstała: zgotował On wielkie zjednanie.

Ale, o dzieło! co Sam cię zna tylko Wszechmiłosierny!
Zdołaż z ciemnej oddali do ciebie się zbliżyć myśl wieszczą?
Poświęć ją, Duchu Twórczy, którego tu kornie przyzy-
wam, 10.

Spraw, by Cię naśladowała, boskich pełna uniesień,
Pełna bezśmiertnej mocy, niebiańską rozkwitła pięknnością.
Ogniem ją swoim zapal, Ty co Boże przepaści
Widzisz, co kościół Swój święcisz w zdziałanym z prochu
człowieku!

Czyste bądź serce! a zdołam chociaż chwiejącym się głó-
sem 15.

Śmiertelnika, Bożego Pojednawcę opiewać,
I z odpuszczonym usterkiem przebiedz zawód straszliwy.

Ludzie, jeśliście zdolni tę szczytność ogarnąć umysłem,
Ze Stworzyciel świata był pojednawcą; słuchajcie
Pieśni méj: wy przedewszystkiém, o szczupły szlachetnych
poczecie, 20.

Wy miłośnicy serdeczni Pośrednika drogiego;
Z przyszłym sądem świata, duszo otuchą zażyła,
Słuchaj mnie, wtóruj Wiecznemu boskiém życiem Synowi.

Blisko świętego miasta, co teraz ślepotą skalane,
Co koronę wybranych w niewiadomości rzuciło, 25.

Co było niegdyś miastem Pańskiej chwały, kolébką
Świętych ojców, dziś ołtarz krwią od morderców zboczony;
Tuto, Odkupiciel od tego się ludu oderwał,

Co Go uczył wprawdzie, ale nie z takim uczuciem,
Jakie od zmayı wolne przed okiem Boga wszechgłówném. 30.

Ukrył się Jezus skalanym. Leżały tu różczki palmowe,

Co je lud słał orszakowy; brzmiało i głośnie Hozanna;

Lecz nadaremnie. Nie znali Tego co królem Go zwali;

Zbyt na wzroku upadli, nie dojrzeli w Nim Bóstwa.

Bóg Sam zstąpił z niebios. To przeważne wołanie: 35.

„Otom Go ubłogosławił, i jeszcze ubłogosławię!”

Było przepowiednią obecnego im Boga.

Ale grzechem zmazani, nie mogli pojąć w Nim Bóstwa.

Zbliżał się Jezus tymczasem do Ojca, co z ludu przewiny,

Dlań bowiem głos ten stał się, wstąpił gniewny do nieba. 40.

Bo raz jeszcze Syn uroczyście chciał Ojcu obwieścić

Postanowienie przymierza, by swych ludzi ocalić.

Leży góra ku wschodniej Jerozolimy stronie,

Która na swoim szczycie już nieraz Bożego Jednawcę,

Jakby w świętym przybytku kryła, gdy noce samotne 45.

Z okiem w Ojca wlepioném na modlitwach przepędzał.

Na tę górę szedł Jezus. Pełen Jan pobożności,

Postępował za Nim aż do grobów proroków,

By jak przyjaciel Jego Boski, na modłach noc przetrwał.

Ztamtąd wzniósł się Pośrednik na sam góry wierzchołek. 50.

Tam z wysokięj Moryi opasał Go wkoło blask ofiar,

Co Przedwiecznego Ojca aż dotąd jednały w obrazie.

W chłody Go wzięły palmy. Wiewy co łagodniejsze,

Tehom obecności Boga podobne, obiegiły twarz Jego.

Seraf zaś, co Jezusowi ku służbie zesłany był ziemskiej, 55.

Gabryel zowie się w niebie, stał w uroczystej postawie

Obok otchnionych dwóch cedrów, i myślał o ludzkim zba-
wieniu,

I o tryumfie wieczności, gdy mimo niego Zbawiciel,

Naprzeciwno Ojcu idąc, przeszedł w cichości.

Wiedział Gabryel, że już czas odkupienia się zbliżył. 60.

Tą zachwycony rozwagą, rzekł głosem pełnym korności:

„Chceszli, o Synu Boży, tu na modłach noc przebyć?

„Lub czy Twe ciało znużone żąda krzepiącej orzeźwy?

„Mamli Twój głowie bezśmiertnej nagotować przychyłek?

„Oto cedrowa latorośl już ramię wyciąga zielone, 65.

„Toż balsamu krzew miękki. Przy grobowisku proroków

„Mech spokojny, tam niżej rośnie na ziemi chłodzistęj.

„Mamże Ci, Synu Boży, z niego łożę przyrządzić?

„Ach jakżeś, Zbawco, znużony! Jakież trudy ponosisz

„Tu na ziemi, z gorącej do rodu Adama miłości!” 70.

Rzekł. Błogosławnym go wzrokiem Pojednawca obdarza.

Stawa z prawdą w obliczu, kędy szczyt niebu poblizszy.

Tam był Bóg. Tam się modlił. Brzmi pod Nim ziemia od-
dźwiękiem,

A rozgłośna pochutń przez bezdna przedziera się bramy,

Skoro od Niego w głębie, głosu potęgę zachwyca. 75.

Boto już nie był głos przekleństw, głos w grozie burzy zwie-
szczony,

W piorunującej gromami głos wyrzeczon nawalnicy.

Głos, który ziemia słyszała, było głos Błogodawcy,
Co w nieśmiertelnój piękności przedsięwziął ją kiedyś od-
świeżyć.

Wokół leżały pagórki zmrokową tchnące łagodą, 80.

Jakby na obraz rajski, urokiem wdzięków rozkwitłe.

Jezus mówił. On i Ojciec w głąb' poglądali

Snowy bezkresnej: to tylko wyrzec człowieka głos zdoła:

„Boże Ojczy, dni zbawcze, dni wiecznego przymierza,

„Już się do mnie zbliżają, dni do dzieł większych wybra-
ne 85.

„Nad stworzenie samo, coś go z Swym Synem dokonał.

„Świecą mi one wspaniale i tak pięknie, jak niegdyś,

„Kiedyśmy w czasów kolój wglądali, widzieli świetniejsze

„Dni przyszłości, mém Bożem naznaczone spojrzeniem.

„Tobie tylko wiadomo, jak jednozgodniemy wtedy, 90.

„Ty, mój Ojczy, i Ja, i Duch zakręśliłi zbawienie.

„W odwieczności ciszy, samotni, i okrom stworzenia,

„Byliśmy razem. Pełni naszój Bożój miłości,

„Poglądali na ludzi, których jeszcze nie było.

„Błogie raju dzieci, ach twór nasz, jak nędzni się stali, 95.

„Niegdyś bezśmiertni, a teraz proch, i grzechem zmazani!

„Ojczy, jam widział ich nędzę, a Ty łzy moje. Tu rzekłś:

„Stwórzmy na nowo naszego obraz Bóstwa w człowieku!

„Więc tajemnica nasza stanęła, krew przejednania,

„I stworzenie człowieka na obraz Przedwiecznego wznos-
wione. 100.

„Tu własnowolniem się obrał na czynu Bożego spełnienie.

„Ojczy Przedwieczny, Ty wiész, to widzą niebiosy, jak
z serca

„Megom poniżenia pożądał od chwili zamiaru!

„Ziemi, jak często byłaś, w swój otchłannój oddali,

„Mym ulubionym, wybranym przedmiotem! O Chanaano,

105.

„Święta ziemi! jak często me oko było wlepione

„W ten pagórek, com go przymierza krwi pełnym już wi-
dział!

„O jakże serce mi bije, z przepelnionych w niém pociech,

„Zem już tak dawno człowiekiem, że sprawiedliwych już
tylu

„Wkoło mnie się gromadzi, że wkrótce wszelki ród ludzki
110.

„Mnie się poświęci! Oto tu leżę, Boży mój Ojczy,

„Jeszcze na obraz Twój w rysy człowieczeństwa przybrany,

„W modłach do Ciebie: lecz wkrótce, ach wkrótce sąd Twój
morderczy

„W krwawej mnie stawi szpetności, i w prochu umarłych
pogrzebie.

„Już, o Sędzio świata, już słyszę, jak zdala sam jeden, 115.

„Idziesz, i niezblągany swoje niebiosa przebiegasz.

„Już mnie przeszywa dreszcz całemu duchów rodowi

„Niepojęty, tak, choćbyś w Bożym je gniewie miał stracić,

„Niepojęty! Oto widzę nocny ogrójec

„Przed mém okiem leżący, na marny proch padam przed
Tobą, 120.

„Leżę, modlę się, Ojcze, sprężam się w pocie śmiertelnym.

„Patrz, tu jestem, mój Ojcze. Oto gniew Wszechmocnego,

„Oto Twe sądy chcę nosić z posłuszeństwem bez granic.

„Tyś Przedwieczny! Żaden stworzony duch nie jest zdolny

„Pojąć i uczuć gniewu Bożego, co Nieskończonego 125.

„Śmiercią karze wieczną. Bóg tylko mógł Boga przejednać.

„Powstań o Sędzio świata! Skarz mnie! Oto tu jestem.

„Przyjmij mą wieczną ofiarę w hołdzie Swego zjednania.

„Jeszcze wolny, jeszcze mogę Cię prosić, a niebo

„Z Serafinami się dla mnie otwiera i wiedzie w pokrzykach,
130.

„W tryumfalnej świetności na wzniosły Twój przestół (*),
mój Ojcze!

„Lecz ja chcę cierpieć, co żaden nie ogarnie Serafin,

„Ni wzniosłomyślny Cherub w głębokiej przejrzy rozwadze,

„Cierpieć chcę, najstraszliwszą śmierć chcę ponieść Przed-
wieczny!”

Daliej mówiąc rzekł: „Mą głowę wznoszę ku niebu, 135.

„Rękę w obłoki, i przez Siebie Samego przysięgam,

„Com jest Bóg jak Ty, że rodzaj ludzki wybawię.”

Rzekł i powstał. Gdy stał przed Bogiem, jaśniała w obliczu
Szczytność, pogoda duszy, powaga i miłosierdzie.

Niestyszalny aniołom, li sobie z Synem pojęty, 140.

Rzekł Przedwieczny Ojciec, pogłędne zwracając oblicze

Ku Pojednawcy: „Moje głowę w niebiosach rozciągam,

„W nieskończoności prawicę, i powiadam Ci Synu,

„A na Moje Przedwieczność przysięgam, że grzechy odpu-
szczę.”

Rzekł i umilkł. A gdy z sobą mówili Przedwieczni, 145.

Całą wskroś przeszło przyrodę z głębokiej korności wstrzą-
śnienie.

Dusze podówczas wszczęte, myśleniem jeszcze niezbrojne,
Drżały i czuć poczęły. Straszliwy dreszcz zdjął Serafa,

(*) Tron.

Biło mu serce, a w jakiej ziemia ciszy przed burzą,
 Takie wokół niego wszechświata było milczenie, 150.
 Błogość zachwycenia i życia wiecznego uczucie
 Słodko pojące, wstąpiły w przyszłych chrześcian dusze.
 Ale zmartwiały i tylko jeszcze rozpaczy przystępna,
 Przeciw Bogu buntowi zmarłe duchy piekielne,
 W przepaść runęły z przестоłów. Gdy każdy przepadł się,
 w bezdno, 155.

Przytłoczyła każdego opoka, werwała się głębia
 Z gwałtownością pod każdym, i grzmotem ryknęły podpie-
 kła.

Stał jeszcze Jezus przed Bogiem; i odtąd początek mak
 Jego

W sprawie zbawienia, przecucie które w straszliwej pobliży
 Graniczyło z pewnością, że z wysokości swych niebios 160.
 Sąd miał ponieść, nędzników wyrokiem dźwigać przewinę,
 I w strumieniach krwawych umrzeć śmiercią krzyżową

Na Golgocie. W oddali Gabryel leżał na twarzy
 W kornych modłach, nowemi wysoko wzniesiony myślami.
 W czasie, który przeżył, jak tylko dusza wystawić 165.

Może sobie wieczność, gdy się myślnie rozłącza
 W szybkim locie z ciałem, w tylowiekowym przeciągu
 Jeszcze tak wzniosłych myśli nigdy w sobie nie uczuł.
 Bóg, pojednańcy, przedwieczna miłość Bożego Rozjemcy,
 Wszystko się przed nim rozjaśnia. Bóg utworzył te my-
 śli 170.

W nieśmiertelnika duszy. Widzi on teraz w Przedwiecznym
 Skarb nieprzebran miłosierdzia istotom stworzonym
 otwarty.

Powstał, stanął zdumiały, i modlił się: drżało mu serce
 Z niewymownego wesela, a ćmiącej światłości strumienie
 Wylewały się z niego. Pod nim w blasku niebieskim 175.
 Rozpłynęła się ziemia. Ujrzał to Boży Pośrednik,
 Że jasnością nappełnił całej góry wierzchołek.

Rzekł: „Gabryelu, osłoń się, wszakżeś mym sługą na zie-
 mi!

„Pośpiesz zanieść tę modłę przed Ojca mego oblicze,
 „By najzacniejsi z ludzi, błogosławieni ojcowie, 180.
 „By zgromadzone niebiosa spełnienie się czasów poznały,
 „Co z serdeczném, gorącym za niem tęskniły pragnieniem.
 „Tam świeć blaskiem anioła, jako poseł Jezusa.”

Z boskopogodną postawą, w milczeniu wzniosł się Serafin.
 Patrzył za nim Jezus z góry Oliwnój. Już widział 185.
 Co u przestolu Bożej wielkostojsności (*) uczyni,

(*) Majestat.

Zanim tenże słońce niebios mocen był dosiędz w pośpiechu.

Terazto zaszły nowe, pełne tajemnic rozmowy,
Między Nim a Przedwiecznym, rozkrywającój los treści,
Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzy-
gnięń, 190.

Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach co miały,
W oczach wszystkich stworzonych Boży okup uwielbić.

A tymczasem Serafin jako poranek pośpieszał
W mroczne niebios kończyny. Tu krąg wypełniają li słońca;
I by osłona usnuta z promieni pierwotnej światłości, 195.
Blask ich przeciąga wkółniebie. Żaden zwierzchny krąg
ziemi

Wypalnemu niebios nie nastęcza się oku.

W dali, przelotnie potacza chmurna przyroda. Tam śpieszą
Ziemie niedojrzane, jak pod stopą wędrowca
Błachy kurz, czerworojny, co wzbija się i znów upada. 200.
Wkoło nieba tysiączne stoją drogi otworem,
Drogi bezmierne, nieścigłe, opasane słońcami.

Świetnobłystą drogą, przeciw ziemi idącą,
Płynął niegdyś do raj, zaraz po jej stworzeniu,
Strumień pogody niebiańskiej u stóp przestołu wytrysły. 205.
Nim lub jego pobrzeżem wyniesionóm barwami,
Spółzawodnemi tęczy lub rozświtowi jutrzeńki,
Przychodzili wówczas ku zażyłości poufnój
Bóg i anieli do ludzi, Lecz szybko on wrócił do źródła,
Gdy już w widzialnej piękności nie chcieli bezśmiertni
oglądać 210.

Strony, która im śmierci spustoszenie stawiała.

Odwrócili się wtedy ze zgrozą. Cichych gór pasmo,
Kędy był ślad Przedwiecznego; szeleszczące gaiki,
Co obecności Bożej tchnienie lało w nie życie; 215.

Błogie, spokojne doliny, z rozkoszą niegdyś zwiedzane
Od niebiańskiej młodzi, cieniste chłodniki, gdzie ludzie
Pierw rozpływając się z pociech i słodkich uczuć, płakali,
Że ich wiecznemi Bóg stworzył; —ziemia nosiła nateraz
Brzemie przekleństwa, została dla dzieci jej, wprzód nie-
śmiertelnych, 220.

Wielkim grobem. Lecz kiedyś, gdy odmłodzone jutrzeńki
Wyjdą w blasku tryumfu z dnia sądnego popiołu;
Wówczas kiedy Przedwieczny wszechobecnym poglądem
Wszystkie światów okręgi z Śwemi niebiosy połączy:
Wtedy i strumień żareczny (*) ze swojej niebieskiej stu-
dnicy 225.

W okazalszej świetności do raj, nowego się spuści.

(*) Eteryzny.

Ujrzy znów jego pobraże zstępujących na ziemię
Niebios mieszkańców, spółników nowego zboru bezśmier-
tnych.

Tąto świętą drogą postępował Serafin,
I do nieba się zbliżał Bożej wielkostożności. 230.

Pośród słońce zgromadzenia, promienieją niebiosą,
Krańce, nieogarnione, wszechświata pierwowzór, pełnia
Wszelkich widzialnych piękności, co jak pierzchliwe potoki,
Rozlewają się wokół po nieskończonej przestrzeni.

Gdy postępują, brzmi na skrzydłach wiatrów z ich głę-
bi 235.

W ciąg słonecznych krańców pełnozgodą dźwiękowa.
Pieśni Bożych lutnistów w czarownym życia rozkwicie
Rozlegają się z mocą. W takiej zjednoczeń rozkoszy
Dźwięki i chwała przed Tym się unoszą, co ucho udziałał.
Jako radosny wzrok Jego, dzieł swoich weseli się kształty,
240.

Tak dowolą słuch Jego, czarowne niebios śpiewania.

Ty co mię pieśni niebieskich uczysz, co żyjesz z anioły,
Patrzysz na Boga, co słyszysz głosy górne, bezśmierne,
Wskaż mi, Syonko, pieśń, co ją teraz śpiewali anieli.

„Bądź pozdrowiona, święta Bożej pojawy dziedzino! 245.

„Tu my Boga widzimy, jakim jest, jakim był, jakim będzie.

„Oto Błogosławion bez zasłony, a nie w pomroce

„Zdalea śledzącym Go światom! Na Ciebie patrzym w zgromadzeniu
Twoich Wybranych, a Ty błogosławnym szczyścisz je wzrokiem.

„Tyś doskonały bezkresnie! Masz imię w swoich niebiosach: 250.

„Niewysłowionego zowią u siebie Jehową!

„Śpiew nasz ożywczy siłą pierwotnego natchnienia,

„Na Twój się obraz zdobywa, lecz próżno; na blask Twój zwrócone,

„Ledwie myśli zdołają wznieść się do pojęć o Tobie.

„Samaś Ty w Swojej wielkości doskonały, Przedwieczny!
255.

„Każda myśl, co się Sam w niej, Pierwsza Przyczyno, prze-
glądasz.

„Jest wznioślejsza, jest świętsza, niż pogodna rozwaga,

„Którą stworzone rzeczy z Swój górnej siedziby rozbiérasz.

„Przecież i prócz Siebie widziéć jestestwa masz wolą,

„I zostawić na nich ożywiające Swe tchnienie. 260.

„Naprzódéś stworzył niebiosą, potém nas, ich mieszkańców.

„Jeszcze was wtedy nie było, Ty młodszy ziemi okręgu,
 „I wy słońce, księżyce, wy ziemi spółtowarzysze.
 „Pierwszy płodzie stworzenia, czegoś doznał w swój zjawie,
 „Gdy wśród nieścigłej wieczności, Bóg się do ciebie nachylił, 265.

„Obrał za miejsce Swojej wielkostożności, widoku?
 „Twój niezmierny okrąg wywołany do bytu,
 „W kształt się udzielał Jego; głos twórczy unaszał się jeszcze
 „Razem z pierwszym szumem zatopów mórz zwierciadlanych;
 „Krańce ich, co się jak światy, w góry pospołu zebrały, 270.
 „Usłyszały go; ale nie było jeszcze bezśmiertnych!
 „Wtedyś stanął, Twórczo, na wzniosłym Swym nowym przestole

„W siebie pogłębny, samotny. O radujcie się Panu!
 „Wtenczas stworzył was, wtenczas, Serafy, twory duchowe,
 „Płodnomyślne, wielmożne, pełne myśli Utwórcy, 275.
 „Które Sam z Siebie w was szczepi, byście je kornie zgłębiali.

„Chwałogłos, uroczysty Chwałogłos, pierwsza Przyczyno,
 „Niechaj Ci od nas brzmi bezprzestannie! Do samotności
 „Rzekłeś: nie bądź!—do istot: stańcie się!—Chwałogłos Panu!”
 Pośród pieśni, którą zawsze śpiewają niebiosa 280.

Po Trójświątnicy, święty Pośrednika posłannik
 Stanął rozświetlony na słońcu nieba najbliższém.
 Wszędy milczą teraz Serafy, święcą pojrzenie,
 Co promieniało na nich z Boga za Chwałośpiew Pański.
 Ponad słońcowém morzem ćmiącego je ujrzą Serafa. 285.
 Bóg nań poglądał, z Bogiem niebo. On modlił się klęcząc.
 Dwakroć w tym czasie, w którym Cherub imię Jehowa,
 I Trójświątnicę wieczności w strzelistej modlitwie wymawia,
 Darzy go Bóg wejrzeniem. Tu Pierworodny przestołom,
 Wraz pośpieszy, przed Boga uroczyście go zawieść.
 Bóg go nazywa wybranem, niebo Eloa. Nad innych, 290.
 Których Bóg stworzył, jest większy, najbliższy Niestworzonego.

Jakże jest piękną myśl Bożego wybranicy Eloj!
 Piękną jak cała człowieka dusza, Bogu stworzona,
 Kiedy nieśmiertelności godna zatapia się w myślach. 295.
 Wkołogłębny wzrok jego piękniejszy nad ranek wiosenny,
 Milszy od gwiazd, gdy się przemkną przed Stworzyciela obliczem
 W krasie młodzieńczej i światła pełności, z urokiem dni swoich.
 Bóg go stworzył najpierw. Udzielał mu ciało żareczne

Z zorzy porannej. Gdy się stał, obłoczyste niebiosa 300.
Opłynęły go wkoło. Z otwartemi ramiony
Bóg go wychylił z obłoków, i rzekł błogosławiąc: „Stwo-
rzeniec,

„Otom jest!” I ujrzał przed sobą Stwórcę Eloa,
Patrzył nań z zachwyceniem, i stał i w natchnień wylewie
Patrzył znowu, i zachwiał się gubiąc się w Boskiem spojrze-
niu. 305.

Wreszcie przemówił, powiedział Przedwiecznemu swe
myśli,

Wszystkie myśli i wszystkie nowe, wzniosłe uczucia,
Co przenikały jego wielkie serce. Wprzód światy
Wszystkie przeminą, wprzód z swego na nowo wynurzą się
prochu,

Wprzód jeszcze mnogie setnice w bezmierną zapadną się
wieczność, 310.

Nim najwznioślejszy z chrześcian, uczuć domierzy wielkości.
Na świeżowstałych promieniach, w całym piękności swój
blasku

Spuścił się teraz Eloa do posłanniczego anioła,
Aby go zawieść przed ołtarz Jednawcy. Jeszcze był zdala,
A Gabryela już poznał. Rozpływał się Seraf z zachwyceń
315.

Gdy bezśmiertnego zobaczył, z którym dawniej oglądał
Każdy zakres stworzeń Bożych, i jego mieszkańców,
Co nienaśladowniejszych razem z nim czynów dokonał,
Niż się na nie zdobył, przez swoich najlepszych, ród ludzki.
Pełni miłości ku sobie uwielbili się teraz. 320.

Rąco, z otwarciem ramion, strzelistém, serdeczném poj-
rzeniem,

Pospieszyli do siebie. Drzenie ich zdjęło z radości,
Gdy uścisnęli się oba. Takie ogarnia dwóch braci,
Co cnotliwi, śmierci za Ojczyznę pragnęli,
Gdy bohaterskiej krwi pełni, po czynach się ujrzą wieczy-
stych, 325.

I w objęciu się rzucą przed Ojcem większym od siebie.
Widzi ich Bóg, błogosławi. Przyjaźni urokiem wspanialsii,
Postępowali oba przed przestół wszechświata Rozkazcy.
Więc zbliżyli się tam gdzie najświętszy Boży przybytek.
Obok wielkostożności Pańskiej, na górze niebieskiej, 330.
Jest Prześwietni osłona. Za nią wkoło tajni Wiecznego,
Oblask stróżuje prześwietny. Święty pomrok li wewnątrz
Kryje oku aniołów. Tę mroczystą obłogę
Widzów niebieskich wzrokowi Bóg roztwiera niekiedy,

- Wszehmoc zwiastującemi pioruny. Patrzą i wielbią. 335.
 Oto na Przeświątnicy wstępie stanął w ognieniu
 W góry kształt, bezobłocznie, przed Gabryela obliczem
 Oltarz Jednawcy. Widzi go, idzie w uroczej piękności,
 I z kapłana godnością, niesie dwie czary ze złota
 Pełne świętego kadzidła, i przed nim stawa zdumiały. 340.
 Przy nim stanął Eloa, i Boskich łał dźwięków strumienie
 Z arfy, by Seraf ofiarny, do górnej zagrzał się modły.
 On go słucha, więc arfa, pani serc wielowładna,
 Wznosi duch jego płomienniej. Rozgrzały wre jak wszech-
 morze,
 Kiedy w burzy zwieszczony po niem głos Pański przecho-
 dzi. 345.
- W Boga patrząc Gabryel, śpiewał głosem przemożnym.
 Teraz słyszy Ojciec Przedwieczny, słyszą niebios,
 Twą, Pośredniku, modlitwę. Sam Bóg zapalił ofiarę
 W sposób cudowny; a święty dym z modlitwą pospołu
 Wzniósł się i coraz się wznosił, i w kłębach wił się do Bo-
 ga, 350.
- Jako kiedy z gór ziemnych całe niebo pokraża.
 Dotąd zwrócone ku ziemi miał Jehowa oblicze.
 Bo aż dotąd jeszcze Syn z głębokości Swój duszy
 Z Ojcem prowadził rozmowy, rozkrywającą los treści,
 Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzy-
 gnień, 355.
- Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach, co miały
 W oczach wszystkich stworzonych Boży okup uwielbić.
 Teraz wzrok Przedwiecznego na nowo niebios nappełnił,
 Z uświęceniem, w cichości każdy ten Boży wzrok spotkał.)
 Wszyscy na głos czekają Pański. Głębokiém milczeniem 360.
 Cedr niebieski był zdjęty, milczało wszechmorze u brzegu;
 Stał śród kruszcowych gór ożywczy wiatr niewzruszenie
 Na wysokościach, i czekał z rozpostartemi skrzydłami
 Na Bożego głosu zstąpienie. Do czekającego
 Po Przeświątnicy piorunne zlekka spuściły się burze, 365.
 Lecz Bóg jeszcze nie mówił. Święte burze piorunne
 Li zbliżającą się Bożą oznajmiały odpowiedź.
 Gdy umilkły, otworzył radosném przestołów spojrzeniem
 Bóg w swój zjawie Przeświątnią, by do myśli wysokich
 Przedwiecznego, spragnione-przygotować przestoły. 370.
 Wtedy boskomyślny z powagą obrócił się Urym,
 Cherub Urym, bliższy Wiecznego Ducha powiernik,
 Do wielkiego Eloa, i rzekł: „Co widzisz, Eloo?”
 Seraf Eloa powstał, postąpił na przód, i mówił:

- „Tam u złotych słupców, są myślogubne wierzchnice (*) 375.
 „Opatrzności pełne, więc księgi żywota, otwarte
 „Tchom przemożnych wiatrów, co przyszłych chrześcian
 mianom,
 „Nowym nagrodnym imionom, niebios otworzą bezśmier-
 tność.
 „O jak się księgi sądu, podobne powiewnym chorągwiom
 „Wojujących Serafów, otwierają straszliwie! 380.
 „Jakiż zabójczy wzrok dla dusz przeciw Bogu powstałych!
 „O jak się Bóg rozkrywa! W jak świętej cichości, Urymie,
 „Błyszczą świeczniki w srebrzystych obłokach; tysiące ty-
 sięcy
 „Błyszczą tych nawzorów gromad z Bogiem zjednanych!
 „Zlicz tę świętą liczbę, Urymie.” „Światy, Eloo, 385,
 „Czyny aniołów zwieńczone, pociechy ich, zliczyć możemy:
 „Lecz miłosierdzie Boże, skutki wielkiego zbawienia,
 „Nie są dla nas liczebne!” Tu rzekł Eloa: „Tam widzę,
 „Jego sądczą stolicę! Straszliwyś, Zbawco i Sędzio!
 „Patrz na wzniosłą Jego stolicę. Zdała zabija! 390.
 „Patrz na pomsty żar! Oto w piorunujących obłokach
 „Wicher Go wznosi okropny. Przebacz o Zbawicielu,
 „Przebacz, sędzio świata, śmiercią zbrojny wieczystą!”
 Taką Eloa i Urym wiedli z sobą rozmowę.
 Siedm kroć razy piorun pomrok święty otworzył, 395.
 I w łagodnym pokręgu głos Przedwiecznego się spuścił:
 „Bóg jest miłość. Byłem nią przed mych jestestw bytnością.
 „Kiedym światy stwarzał, byłem nią także. Spełniając
 „Czyn najtajniejszy, czyn najwznioślejszy, i dzisiaj nią jestem.
 „Ale macie przez śmierć mego Syna, światów Sędziogo, 400.
 „Całkiem mię poznać, i nowe Straszliwemu dać modły.
 „Gdyby was w dzień ów, Sędziogo ramię nie wsparło, prze-
 minać
 „Musielibyście przy śmierci tak sławniej: bo byt was skoń-
 czebny.”
 I Przebłagalny unilkł. Podziwienie głębokie
 Święte ręce złożyły przed nim. Tu na Eloę 405.
 Skinął, a Seraf zrozumiał mowę w obliczu Jehowy,
 Ku niebieskim się widzom zwrócił, i do nich przemówił:
 „Patrzcie na Przedwiecznego, wy sprawiedliwi wybrańcy,
 „Dzieci święte. Poznajcie serce Jego: najmiłszą
 „Byliście Jego myślą, gdy okup Boży rozważał. 410.
 „Ogień was zajął święty, sam Bóg wam da to świadectwo,
 „Dni odkupienia, i jego Zbawiciela oglądać.
 „Błogosławienie wam, Paną dzieciom, z Ducha zrodzonym!

(*) Tablice.

- „Dzieci, radujcie się, w Ojca patrzycie, w jestestw Jestestwo!
 „Ono Początkiem, On Końcem, On Miłosierdziem jest wie-
 cznym! 415.
- „Ten co zprzed wieków jest, co Go żaden twór nie ogarnie,
 „Bóg, Jehowa, do was po ojcowsku się chyli.
 „Ten posłannik pokoju, od Jego Syna przybyły,
 „Do górnego ołtarza gwoli waszój przybieżał.
 „Gdyby was nie obrano świadkami wielkiego zbawienia; 420.
 „Byliby w' ciszy dalekiej, w niewybadanej tajności,
 „Porozumieli się z sobą. I wy, o ziemscy rodzeńcy,
 „Macie dni spełniać radośnie, w wieczystych wesela pokrzy-
 kach,
 „A my z wami! Przeglądać cały ten rozciąg zakryty
 „Zbawy waszój będziemy, ujrzymy te tajemnice 425.
 „Z rozpogodniejszym wzrokiem, niż Zbawiciela waszego
 „Przyjaciele pobożni, rzewliwi, w ciemnościach obłądni!
 „Lecz przesładowcy przepadli!... Tych dawno Przedwieczny
 wymazał
 „Z świętych ksiąg żywota! Ale swym wybawieńcom
 „Ześle Boże światło! Krwi przejednania nie będą 430.
 „Oni łzawém okiem oglądali. O ujrzą,
 „Jako zdrój jego przed nimi w wieczny się żywot przetoczy.
 „Będą oni tutaj w pociechach na łonie pokoju,
 „W tryumfie obchodząc święta wiecznego spoczynku i świa-
 tła.
 „Wy zaś Serafy, i dusze, zbawieni Rozjemcy przodkowie,
 435.
 „Rozpocznijcie święta wieczności. Z nieskończonością
 „Odtąd ich trwanie. Ziemskie dzieci jeszcze śmiertelne,
 „Do was, w rozrodów rozrody, wszystkie gromadzić się
 będą,
 „Póki kiedyś skończone, nowemi ciałami odziane
 „Po dokonanym sądzie do chwały niebieskiej nie dojdą. 440.
 „Teraz zaś idźcie od nas, wy święte przestołów anioły,
 „Bożych stworzeń władzcom oznajmcie, aby na obchód
 „Dni tych wybranych, dni pełnych tajemnic byli gotowi.
 „Wam téż z rodu ludzkiego pobożnym, wam przodkom
 Rozjemcy,
 „Bo z téjże kości śmiertelnej, któraście w prochu złożyli
 445.
 „Na dojrzałość wstania z martwych, pochodzi Zbawiciel,
 „Bóg i człowiek!—wam także ta pociecha jest dana,
 „Co ją Bożém Swém sercem czuje li Bóg w zupełności.
 „Nieśmiertelne dusze, pośpieszajcie do słońca,

„Które okrąg zbawienia oświeca. Tam patrzcie z oddali 450.

„Na pojednawcze czyny waszego Zbawcy, i Syna.

„Na tę świetną drogę zstąpcie. Ze wszystkich obrębów

„W szacie ponownej piękności wygląda was bezmiar przy-
rody.

„Bo po tych wieków obiegu, chce Sam obchodzić Jehowa

„Dzień Bożego pokoju, drugi wznioślejszy spoczynek. 455.

„Jest on szczytniejszy, niżeli dzień ów sławny, dzień przez
was,

„O wzniesione jestestwa, seraficzne zastępy,

„Świętém głoszony pieniem, coście go w święto stworzenia

„Po dokonaniu światów święcili. Wiadomo wam, duchy,

„Jako świeża przyroda w godnej miłości nadobie 460.

„Wzniosła się wtedy, jak w waszém towarzystwie jutrenki

„Dały pokłon Stwórcy. Lecz teraz jego Zbawiciel,

„Syn nieśmiertelny, daleko większych czynów dokona.

„Spieszcie, oznajmcie stworzeniom. Dzień Jego spoczynku
się wnosi,

„Z dobrowolną teraz, wzniosłego Zbawcy pokorą. 465.

„Bóg Jehowa go zowie Spoczynkiem wiecznego przymierza.”

Umilkł zdumiony Eloa, a niebiosa w milczeniu

Na Prześwietnią pojrzały. Na posłannika Chrystusa

Skinął Bóg: on wstąpił kędy przestół najwyższy.

Tam względem cudów przy śmierci Syna, tajne rozkazy 470.

Do Uryela i ziemi orędowników otrzymał.

A tymczasem z swych stolic zeszli niebiescy władnicy.

Szedł i Gabryel. Gdy do ołtarza ziemskiego się zbliżał,

Uderzyły słuch jego pojęki, co z górnych szły sklepień,

I płaczącym głosem ludzkiego pragnęły zbawienia. 475.

Lecz nad inne głosy głos pierwszego człowieka

Pełnobrzmienne się szerzył. Myślał o wiecznym upadku.

Tento jest ołtarz, kędy nowego, krwawego przymierza

Prorok ujrzał na Patmie wyobrażenie niebieskie.

Tamto gdzie górny sklep, męczenników wzniosły się gło-
sy 480.

Narzekalnie, tam dusze łzy ronіły anielskie,

Aby światów Sędzia odwlekl dzień pomsty straszliwy!

Kiedy już zstąpił Seraf do ołtarza ziemskiego,

Przeciw niemu widzialnie uspieszyl z goracém pragnieniem

Adam: napowietrzne, z pogody ciało zdziałane, 485.

Błogosławnego ducha osłoną kryło wielebną.

Pięknój był postaci, jako Boży ów obraz

W myśli Stwórcy, gdy stał wielomysłny na utwór Adama,

I w błogosławném łonie rajy życiem tchnącego,

Święta się pod Nim ziemia werwała na przyszły byt człeka.

490.

Tak udziałany zbliżył się Adam. Uśmiech miłości
 Bosko twarz jego okraślił; on głosem rzekł upragnionym:
 „Bądź pozdrowion, błogostawny Serafie, pokoju zwiastu-
 nie!

„Gdy nas twego wzniosłego doszła wieść posłannictwa,
 „Wzniósł się mój duch w radości. O drogi Wybawicielu,
 495.

„Gdybym Cię także tutaj, jako ten Seraf, mógł widzieć
 „W stroju człowieczej piękności; w owiej postaci litości,
 „Którąś obrał, by w niej upadłe me plemię pojednać!
 „Wskaż mi Serafie, ślad, gdzie nim poszedł mój Wybawie-
 ciel,

„Zbawca mój i przyjaciel; chcę tylko zdala iść za Nim! 500.

„To modlitwy miejsce, gdzie nasz Pośrednik oblicze
 „Wzniósł i poprzysiągł przez Siebie, że dzieci Adama wy-
 bawi,

„Niechaj pierwszy grzesznik ze łzami radości ogląda.
 „O ojczyznó moja, ziemio! jam niegdyś był twoim
 „Pierworodnym mieszkańcem! jakże tęsknę za tobą! 505.

„Łany twe rozburzone na głos piorunowy przekleństwa,
 „Byłyby dla mnie milsze, w towarzystwie Wybawcy,
 „Uwinionego w śmiertelne ciało, com w prochu je złożył:
 „Anizeli twa niwa wzorem niebieskim stworzona,
 „Raju, niebo stracone!” Tak rzekł pełen zapału. 510.

„Twoje upragnienia, o pierwiastku wybrańców,
 Rzekł przyjaznym głosem Seraf: „przełożę Rozjemcy.
 „Jeśli Boża wola Jego, rozkażę Adamie,
 „Byś w unizonój Go ujrzał Boga wielkostojności.”
 Teraz Cherubi w milczeniu opuścili niebiosą, 515.

I rozpierzchli się chyżo po wszystkich świata okręgach.
 Sam tylko Gabryel zmierzał do ziemi błogostawionój,
 Którą sąsiedni okrąg gwiazd bliżej przemijających
 Swém wszechobecném zaraniem w pełni zacisznej pozdra-
 wiał.

Naraz zabrzmiały wokoło nowe ziemi imiona. 520.

Gabryel słyszał te miana: „Tyś między ziemiami królowa,
 „Tworów rozwaga, niebios przyjaciółka najmilsza,
 „Druga siedziba Wszechmocy Bożej, tyś świadkiem bez-
 śmiertnym

„Tajemniczój a wzniosłój sprawy wielkiego Wybawcy!”
 Tak anielskiemi głosy napełniony brzmiał okrąg. 525.

Słyszy je Gabryel wždy lot swój nagli, stanął na ziemi.
 Jeszcze się Sen pochylał, chłód jeszcze w dolinach uge-
 szczał,

Ciche zaś, ciemne i tłumne obłoki kryły gór pasmo.
 Gabryel szedł w pomroku, i wzrokiem szukał tęskliwym
 Boga, Pośrednika. Znalazł Go w niskiej dolinie, 530.
 Co wśród wierzchołków niebieskiej zwieszała się góry Oli-
 wnej.

Tu ponurzony głęboko w myślach Boży Rozjemca,
 Zasnął. Opoczny skłon, Bożego Syna był łozem.
 Widzi Go Gabryel snem zjętego słodkim i lekkim,
 Stał w cichości zdumiony, i patrzy jak wryty na piękność,
 535.

Obrazowi ludzkiemu Bóstwa złączeniem nadaną.
 Miłość pogodna, rysy uśmiechu Bożego, łask pełne,
 Dobroć, łagodność, nieoschłe łyzy miłosierdzia wiecznego,
 Ducha przyjaciela ludzi skręśliły w obliczu;
 Ale senna postawa odbicie stawiała w zacieniu. 540.
 Tak napółpoznalne ziemi rozkwitłej oblicze
 Seraf wędrowny widzi w zmrokach pory wiosennej,
 Kiedy gwiazda wieczorna wejdzie w niebios zacisze,
 I przez zamierzchłe poliście mrugnie na mędrca, by wlepił
 W nią swe oko. Nakoniec po długim dumaniu rzekł Seraf:
 545.

„Ty, którego wszechwiedność niebios zapełnia przestrzenie,
 „Co mnie słyszysz, choć Twe ziemne ciało snem zjęte,
 „Z troskliwością skwapliwą spełniłem Twoje rozkazy!
 „Z ich dokonaniem, z ludzi pierwszy, o wzniosły Rozjemco,
 „Odkrył mi, jak gorąco pragnie Tve widzieć oblicze. 550.
 „Teraz ztąd pośpieszam, tak wielki Twój Ojciec rozkazał,
 „Dzieło Bożego zjednania uroczyście spółświetnić.
 „Wy zaś, pobliskie twory, milczcie! Mgnienia najszybsze
 „Upłynęło czasu, gdy jeszcze wasz Twórca jest tutaj,
 „Są wam droższe niechybnie, aniżeli te wieki, 555.
 „Coście w nich ludziom służyły z czujnym i pilnym stara-
 niem.

„Milcz, powietrzna wrzawo w tej grobowiska samotni,
 „Albo się wznies łagodnie z wdzięcznolotnemi poszepty.
 „I ty, z łona swojego, okoliczny obłoku,
 „Szerzój cichości lój zdroje na chłodniste ocienia. 560.
 „Ukój szmer, cedrze, ukój gaiku gdy we śnie Stworzyciel!”

I z troskliwą brzmiennością zgasł głos Nieśmiertelnika.
 On na zebranie pośpieszał świętych orędowników,
 Którzy, wiernicy Boga i Jego pieczy zakrytszój,
 W potajemnej ciszy ziemią z nim razem władają. 565.
 Tym miał donieść jeszcze, nim na słońce się wzniesie,
 O błogostawnych duchów pragnieniu, o blizkim zjednaniu,
 I o drugim, wielkiego Darzyciela Spoczynku.

Ty co po Gabryelu rządzisz okręgiem zbawienia,
 Boski stróżu matki tylu dzieci bezśmiertnych, 570.
 Które jak swe towarzysze, pierzchliwe wieki, pośpiesznie
 I w nieprzebraną pełności górnym dziedzinom posyła,
 Wieczystego ducha zgruchotaną chałupkę
 Grzebiąc pod wzgórek, co na nim przebieżny nie spocznie
 wędrowiec;

O ty uwielmożnionej kiedyś ziemi obrońco, 575.
 Przebacz, Serafie Eloo, przyjacielowi przyszlęmu,
 Jeśli twoją siedzibę od Raju stworzenia ukrytą
 Na wskaz Syonu śpiewaczki śmiertelnikom ukaże.
 Jeśli on w głębiach myślnych, pełen zacisznej rozkoszy,
 I w prześwicie obrębu pogodnych natchnień się gubił; 580.
 Jeśli myśl jego z myślami zespoliła się duchów,
 I rozkrytą duszę przejął mowy niebianów:
 O to go słuchaj, Eloo, gdy jako młodzież niebieska,
 Śmiało i wzniosłe nie śpiewa wielkości człowieka przepadłej,
 Lecz poddanych śmierci, zmartwychwstaniu święconych
 585.

Na zgromadzenie niebianów, na radę stróżów prowadzi.

W cichym niezględnym obwodzie północnego bieguna
 Leży północ pustelna, zcieżała; a z niej obłoki
 Płyną bezprzestannie, jako morskie opady.
 Tak wśród Bożych ciemności, co je Mojżesz przywołał, 590.
 Niegdyś nurt leżał Egipski, w czternaście krawędzi ujęty,
 Toż wielkostupia (*) odwieczne, królów groby dumiące.
 Żadne jeszcze oko nie widziało tych łańców
 Cieśnią niebieską okólnych, co w nocnym zagrzeszy zamarcu
 Niezamieszkałe, gdzie nie brzmi człowieczego głos dźwięku,
 595.

Gdzie żaden zmarły nie leży, i żaden z martwych nie wstanie.
 Ale je myślom głębokim święceni, i wzniosłej rozwadze,
 Uwielebniają Serafy, gdy po górach tamecznych,
 Jak gwiazd gromady się snują i w cichości proroczej
 Słodko osłojni, w przyszłą śmiertelną zbawienną wglą-
 dają. 600.

Pośród owych smugów wznosi się brama anielska,
 Orędownika ziemi do jego przybytku wiodąca.

Jako czasu zimy silniejszej, dzień święty
 Na śnieżyste góry wchodzi po dniach osępiatych;
 Chmury i noc pierzchają przed nim, niwy zlodniałe, 605.
 Bujne, przejrzyste lasy swą twarz odemgła i błyszcza:
 Tak szedł Gabryel ninie po wierzchowiskach północnych,

(*) Piramidy.

I bezśmiertnika stopa stanęła przy bramie prześwietej,
 Co się jak chrzestne Cheruba skrzydło, przed nim rozjęła,
 I znów z rękością za nim zawarła. I idzie Serafin 610.
 W ziemi przepaściach. Tam przetaczają się wokół wszech-
 morza

Do bezczłecznych brzegów, wolnobieżnym przeciągiem.
 Wszyscy ich synowie, nieukrócone zatopy
 Za nim płynęły grzmiąc z głębi, jako gdy burza się zerwie
 Z łona pustyni. Szedł i przybytek jego już zbliżka 615.
 Przed nim się jawi. Brama udziałana z obłoków
 Umkła się jemu i przysła przed nim, w niebnego kształt bla-
 sku.

Pod śpieszącego się stopą zmierzch ustępował pierzchliwy
 W mknieniach rozścielnych. W bliskości za nim w ślady stóp
 jego,
 Wkraczał u czerni brzeźnej, jak powiewy płomienne. 620.
 I nieśmiertelny przyszedł na zgromadzenie aniołów.

Tam gdzie zdala od nas do środka pochyła się ziemia,
 Sklepnny się okrąg pojawia pełen niebieskich powiewów.
 Tam łagodniejsze słońce, lśniącym się blaskiem zwieńczone,
 Ruchem unasza się wolnym. Z niego życie i ciepło 625.
 W żyły ziemi spływają. Z tym pomocnikiem poufnym
 Górny krąg promienisty tworzy wiosnę kwiecistą,
 I ogniopelne lato, schyłemi kłosa ciężne,
 I winogradną jesień. W właściwych sobie obrębach
 Nigdy wschodem nie błysło, i nigdy zapadem nie gasło. 630.
 Wieczny z rumieńcem obłocznym wokół niego uśmiecha się
 ranek.

Tamże niekiedy Ten, co wszystkie niebiosy napełnia,
 Głosi swe myśli aniołom cudownie znakami w obłokach,
 I przed nimi się jawią Opatrzności następstwa.
 Tak rozkrywa się Bóg, gdy po burz dobroczynnych prze-
 chodach, 635.

Na ukojonych obłokach tęcza rozbłyśnie wspaniała,
 Tobie, ziemio, przymierze i bujność Bożą zwieszczając.
 Seraf Gabryel ninie na to słońce się spuścił,
 Co niewidziane od nas, wewnętrzne ziemi pokłady
 I żywotne w niej tchnienie statecznym promieniem za-
 sila. 640.

Takim księżycu naszego towarzysz. Nie widzisz, jak krąży;
 Bo zeń wytryska tylko blask mroczny, wrychle rozpierzchły,
 Także niemierzchnie: tak spojona jego wysoba (*).

(*) Materya.

Lecz Wenusowe istoty, toż na Jowiszu go widzą.
Także wysoki Saturn. Niebnego kłosu mieszkańcy, 645.
Oksiężyconej gwiazdy nie widzą biegów dalekich.

Wokół Serafazebrali się ludów orędownicy,
Aniołowie wojny i śmierci, co w losu zakretni (*)
Aż do Bożej prawicy wiodącą nic uspołeczniają;
Co w zakrytości dostojnie królów czynom panują, 650.
Gdy oni tryumfem je święcąc, by z czynów swych rosną
w podniosłość.

Więc i stróże cnotliwych, szczupłego grona szlachetnych,
Myślącemu mędrcom w ustronie towarzyszący,
Gdy z społecznego koła przed ziemską chwałą ucieka,
I wiekuistej przyszłości księgi w modłach rozkrywa. 655.
Są oni także tajnie na owém zebraniu obecni,
Gdzie chrześcianin żarliwy, Boże zstąpienie uczuwa,
Kiedy naród bratni krwią uświęcony przymierza,
Przed Pojednawcą w cnych pieniach, ducha gorącość wy-
lewa.

A gdy dusze pośnionych chrześcian martwość swój twa-
rzy, 660.

Znojny pot, i żalodne zwyciężkiej śmierci zarysy,
I zmożoną przyrodę na swoim trupie obaczą:
Tak z pocieszliwem wejrzeniem te towarzyski przyjmują:
„Drogie, kiedyś my wszystkie zgromadzimy oszczałki!
„Równie i to śmiertelności pomieszkanie, te kości 665.
„Co je przemożnej śmierci tak smutnie ręka zgwałciła,
„Ma się z porankiem Sędziego na nowe stworzenie ocucić.
„Oto, przyszli niebianie, jaśniejsze rzeczy pojęcie,
„Oto pierwszy Zwycięzca czeka was, o cne dusze!”

Dusze téż, co rzuciły swe ciała drobnouchne w kształt
pędów, 670.

Zgromadziły się wokół Serafa. Wzleciały niemowne,
Z tklivym rzewliwej młodości płaczem. Ich oko lęklive,
Ledwie szczupły smug ziemski dostrzedz zdołało w zdu-
mieniu:

Przeto na straszliwą światów widownią nie mogły,
Nieukształcone jeszcze, tak rychło wystąpić z śmiało-
ścią. 675.

Ich obrońcy do siebie je wzięli i uczą ponętne,
Przy ożywym arf dźwięku, w piosenkach wdzięcznonu-
tliwych;

Jak powstałi i zkąd, w jaką wielkość duszę człowieczą
Najdoskonalszy Duch przybrał; z jak młodzieńczą rzeźwością

(*) Labiryntie.

Po urodzeniu swém słońca, księżyce do Stwórcy pobiegły. 680.

„Na was czekają skończeni Ojcowie! Pańskie spojrzenie „Miłosiernego, czeka was u wiecznego przestołu.”

Tak nauczają oni tych uczniów godnych mądrości,
Owój wznioślejszej mądrości, za której cieniem polotnym,
Ćmiącym jój blaskiem olśnieni, gonią śmiertelni obłudni. 685.

Wszystkie te dusze nateraz błyszczących odbiegły poliści,
I zgromadziły się u swych poufnych, ziemi strażników.

Gabryel ninie ogłosił całemu duchów zebraniu

Wszystko to, co mu Bóg o Zbawcy rozkazał obwieścić.

Stało jak w zachwyceniu przy boskim nauczycielu, 690.

Ponurzywszy pogodnie w głęboką rozwałę swe myśli.

Ale miłości godne dwie dusze powinowate,

Benjamin i Jedydda, ścisnąwszy się z sobą mówiły:

„Czy to, Jedyddo, nie o przystępnym Nauczycielu,

„Nie o słodkim Jezusie mówił to wszystko Serafin? 695.

„W żywój mam zawsze pamięci, jak czułem nas darzył objęciem,

„Jak do bijącego serca z tkliwością przyciskał!

„Łza miłosierdziu wierna, co zawsze ją mam przed oczyma,

„Lice raz Jego skropiła, jam pocałunkiem ją otarł!”

— „Wtedy to, Benjaminie, do naszych stojących rzekł mattek: 700.

„Bądźcie jak dzieci, chcąc Ojca osiągnąć królestwo.”

— „Tak jest, rzekł to, Jedyddo. Onto jest naszym Wybawcą;

„Przezeń nam szczęście zakwitło! Uściskaj swego miłego!”

Tak rozmawiały z sobą te dusze pełne tkliwości.

Wówczas na nowe poselstwo Gabryel wznosił się. Blask
światny 705.

Uroczystej jasności, do stóp bezśmiertnego opłynął.

Taki blask sieje dzień ziemski oku mieszkańców księżycy,

Gdy z wilgotnego mroku wychyliwszy się w zacisz,

Zstąpi na gór ich wierzchołki, aby ich nocom przyświecać.

Tak rozblyszniiony Gabryel wznosił się i w brzmieniach weselnych 710.

Dusz i aniołów, w powietrzokrąg otworzysty się puścił.

Z szumem, jak strzały srebrnych łuków, zwycięztwu skrzydlate,

Mimo gwiazd leci z radością pośpieszając do słońca,

I już na jego świątynią z powietrznych przestworów opada.

Na owierzchu świątyni zastał dusze cnycych Ojców, 715.

Co niezachwianie śledzący wzrok zespoliły z promieńmi,
 Dzień rozbudzony ślącemi w Chanaany doliny.
 Między Ojcami był jeden wzniosłój, myślącój postawy,
 Adam, syn ziemi ocknionój, Bożym dostojny obrazem.
 Gabryel, on, i słońca panownik czekali tęskliwie, 720.
 Pośród rozmów o ludzkim zbawieniu na widok ogrójca.

PRZYPISY

do pieśni piérwszój Messyady.

W. 35. To przeważne wołanie:

„*Otom Go ubłogostawił, i jeszcze Go ubłogostawię!*”

Było przepowiednią obecnego im Boga.

Patrz ewangelią według śgo Jana w roz. 12, w. 28. W tymto samym rozdziale mowa jest o tryumfalnym wjeździe Jezusa do Jerozolimy, właśnie w taki sam sposób, w jaki go tu Klopsztok opisuje.

W. 105. „O Chanaano,

Święta ziemo, jak często me oko było wlepione

W ten pagórek, com go przymierza krwi pełnym już
 widział!”

Zrazu Palestynę nazywano Chanaaną, dlatego, że ją zamieszkiwali Chananejczycy, tojest potomkowie Chama, trzeciego syna Noego. Zwano ją także *Ziemią Obiecaną*, ponieważ Bóg zapewnił jój posiadanie Abrahamowi i jego potomstwu. Poraziwszy Chananejczyków i inne ludy, podówczas osiadł w Ziemi Obiecanój, podzielił ją Jozue na dwanaście pokoleń, i wtedy przybrała nazwisko *Ziemi Hebrajczyków*. Grecy i Rzymianie nazywali ją *Palestyną*, gdyż z Palestynami czyli Filistynami zawiązali piérwsze swoje stosunki handlowe. Wróciwszy z niewoli babilońskiej Hebrajczykowie, którzy prawie wszyscy pochodzili z pokolenia Judy, nadali dawnój ziemi Chananejskiej nazwisko *Judei*. Chrześciance nazwali ją *Ziemią Świętą*, albowiem w niejto narodził się i umarł Jezus Chrystus. Podług Piśma Świętego, sławny ten kraj dwa razy był kolóbką rodu ludzkiego, bo w nim znajdował się raj ziemski, i w nim zatrzymała się arka Noego po potopie.

W. 242. „Ty co mię pieśni niebieskich uczysz, co żyjesz z anioły,
 Patrzysz na Boga, co słyszysz głosy górne bezśmiertne,
 Wskaż mi, Syonko, pieśń, co ją teraz śpiewali anieli.”

Syonka oznacza tu muzę syońską, czyli Syonu. Syon zaś była to mała góra w Palestynie, na której leżała Jerozolima. Wszakże powszechnym niemal u proroków i ewangelistów było zwyczajem, nazwisko góry przenosić i do miasta, a ten ich zwyczaj naśladował Klopszok,

W. 454. „Bo po tych wieków obiegu, chce Sam obchodzić

Jehowa

„Dzień Bożego pokoju, drugi, wznioślejszy Spoczynek.”

W pierwwozorze zamiast wyrazu *Spoczynek* jest wyraz hebrajski *Sabat*, mający to samo co polski znaczenie. Wiadomo zaś, że się tak nazywał u Izraelitów, siódmy dzień w tygodniu, dzień, który sam Pan Bóg pobłogosławił ukończywszy dzieło stworzenia, jak o tém jest wzmianka w pierwszej księdze Mojżeszowej zwanój *Genesis* czyli Księgą Rodzaju.

W. 477. „Myślał o wiecznym upadku.”

To miejsce w pierwwozorze jest:

..... *Er dachte den Fall Aeonen herunter.*

Użył tu Klopszok wyrazu *Aeonen* utworzonego przez siebie z greckiego przymiotnika *ἀείνας* albo *ἀέννας* lub *ἀείων*, który znaczy toż samo co *ἀείνας*, przez skrócenie *ἀείων*, lub *ἀείνας*, *ἀείνας*, *ἀείων*, a po polsku: *wiecznie płynący*, przenosić zaś *ciągły*, *wieczny*, *trwający bez końca*. Klopszok ten przymiotnik kładzie rzeczownie zamiast wyrazu *wiek*, którego wtedy tylko używa, kiedy chce oznaczyć czas w jego stosunkach ze światem i jego mieszkańcami. Wyrazem zaś *Aeonen*, napotykanym bardzo często w jego poemacie bohaterskim, oznacza rozmaite postaci stworzenia, w sposób, w jakim je ogarnia myśl Boża, i jak je mieszkańcy nieba pojmują i mierzą. Ile razy więc wyraz ten *wiek* będzie w ustach istot do niebieskiego świata należących, potrzeba go brać w tém znaczeniu, jakie do niego Klopszok przywiązuje.

W. 478. „Tento jest ołtarz, kędy nowego, krwawego przymierza Prorok ujrzał na Patmie wyobrażenie niebieskie.”

Patmos jest to mała wyspa na archipelagu greckim. Śty Jan ewangelista, którego Klopszok nazywa często prorokiem nowego przymierza, był na nią wygnany przez cesarza Domicjana roku 95 po Jezusie Chrystusie. Właśnie gdy przebywał na téj wyspie, napisał swoje Objawienie, w pieczarze położonój nad brzegiem morza. Niedaleko téj pieczary wybudowali później chrześciance klasztor, który i dziś jeszcze nosi nazwisko *klasztoru Objawienia*.

W. 480. „Tamto gdzie górny sklep, męczenników wzniosły się głosy

Narzekalnie; tam dusze łzy ronity anielskie,

Aby światów Sędzia odwlekł dzień pomsty straszliwy.”

Jestto alluzya do rozdziału 6 Objawienia, w którym śty Jan ewangelista mówi o ołtarzu odkupienia, co mu się w jego prorockim widzeniu objawił takim, jakim go tu Klopszok opisuje.

W. 700. „Wtedyto, Benjaminie, do naszych stojących rzekł matek:

„Bądźcie jak dzieci, chcecieli Ojca osiągnąć królestwo!”

Patrz ewangielią według śgo Mateusza, w rozdziale 18.



KRONIKA LITERACKA.

*Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księztwa Litewskiego, od roku 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachta-
mowic Wapowskiego, ze świeżo odkrytego spółczesnego
rękopismu, z języka łacińskiego na ojczysty przetłóma-
czył, przypisami objaśnił, poczet rzeczy i osób dodał
Mikołaj Malinowski. W Wilnie, nakładem i czcionkami
T. Glücksberga księgarza i typografa szkół Białoruskie-
go naukowego okręgu. 1846. Tom Iszy, stron 491.*

Jeszcze tak umiejętnie i z taką usilnością wykonanej pracy, nie mieliśmy w literaturze historycznej kraju naszego. I dla- tego też poczytujemy za obowiązek zwrócić na nią uwagę czytelników Biblioteki, chociaż dotąd pierwszy tom tylko ukazał się w druku. W roku 1845, p. Kazimiérz Stronczyń- ski zasłużony badacz starożytności krajowych, a wkrótce mający zasłynąć ważnym dziełem o Numizmatyce Piastów, stał się właścicielem nieznanego dotąd rękopismu łacińskiego, charakterem XVI wieku pisanego, który po mozolnym wyczytaniu, pokazał się być znakomitą ową kroniką Wa- powskiego, jakiej fragment tylko znany dotąd, umieszczony był w Kolońskim wydaniu Kromera dziejów polskich. Od- krycie to nader zajmujące i wielkiej wagi dla historyi, spr- awdzone porównaniem fragmentu drukowanego z okresem też same wypadki zajmującym w rękopiśmie, obudziło chęć

w p. Mikołaju Malinowskim obecnym wówczas w Warszawie, do z bogacenia tém nowém źródłem dziejów naszych. Powierzony mu rękopism znalazł w tym uczonym i głębokim znawcy historii krajowej nie tylko wydawcę łacińskiej kroniki Wapowskiego, ale przedewszystkiém wybornego jej tłumacza. Pomysł szczęśliwy, i na tém większą pochwałę i wdzięczność zasługujący, im trudniejszy był do wykonania, im pracowniej i uczeniej został wykonany. Pan Malinowski wzorowie językiem polskim władający, przełożył to dzieło wybornie, a nawet prawdę mówiąc, nowe mu życie nadał, urządzając treść jego w okresy i księgi; bo w oryginalnym łacińskim rękopiśmie niema nawet śladu nie tylko podziału jakiegokolwiek, ale nawet zwykłej punktuacji; trudność zaś w wyczytaniu pisma z początku wieku XVI pochodzącego, nowych mozołów przyczyniała. Ale do wielkiej zalety w przełamaniu takich przeszkód i w podjęciu się samego przekładu, dodał szanowny tłumacz inną nieocenioną, która podnosi tę pracę około kroniki Wapowskiego do wysokiej wartości. Pan Malinowski w przypisach swoich objaśniających i prostujących autora, napisał drugie tyle o historii kraju naszego w epoce, jaką przedsięwziął skrócić Wapowski, a napisał z tak głęboką krytyką i z taką nauką, która mu jest właściwą i którą okazał wydając *Źródła do dziejów polskich* (*). Wszystko co mówimy na zaletę tłumacza, nie są to czeże pochwały. Czytelnik zamierzony w dziejach swojej ziemi, zajrzawszy w karty historii Wapowskiego, łatwo zaraz uzna, że samą tylko sprawiedliwość oddajemy tłumaczowi.

Księga pierwsza, zaczyna się od krótkiego wstępu przez p. M. ułożonego dla powiązania ciągu powieści, ponieważ rękopism niema początku. Opowiadanie autora zaczyna się zaraz na stronnicy drugiej, od opisu wypadków w Litwie zaszłych (r. 1380), poprzedzających wybór Jagiełły na tron

(*) *Źródła do dziejów polskich* wydawane przez Mikołaja Malinowskiego i Alexandra Przezdzieckiego. T. II. Wilno, u Zawadzkiego. 1844.

Polski. Zawieszając zdanie nasze o pracy i zdolności samego Wapowskiego, oraz porównanie jego z Długoszem i Kromerem, które aż przy skończeniu druku całego dzieła, ostatecznie wydaném być może; to tylko winniśmy powiedzieć, że tłumacz wybornym swoim przekładem textu łacińskiego i komentarzami, zatarł wszelkie jakie się tylko znalazły błędy i usterki autora. Język p. M. czytaniem Zygmuntofskich pisarzy wykształcony, pełen prostoty, jasności i powagi, nie małej jest zaletą pisarza historycznego, w którego charakterze, p. Malinowski ma wkrótce objawić się, jako spodziewany pisarz historii domu Jagiellońskiego w Węgrzech. Obecnie nad tém ważném dziełem, mającém wyjaśnić znakomitą część dziejów naszych pracując, korzystał p. M. ze wszystkich źródłowych materyałów jakie w tym celu zgromadził, do zbogacenia przekładu Wapowskiego najciekawszemi przypisami. Wszędzie w nich znajdujemy nieznanne polskiem czytelnikom fakta i sprostowania, któreśmy winni głębszej jego znajomości historii węgierskiej i cesarstwa niemieckiego; wszędzie napotykamy najsumienniejszy przytaczane dzieła głównych tego rodzaju dziejopisarzy. Ztąd czerpając p. M. oswaja nas z wielu wypadkami, które dla czytelników polskich nie mogą być obojętne. Takim jest na przykład na stronie 85, przypis zawierający wiadomość o nieszczęściach Elżbiety węgierskiej, tylekroć wspominaanej w naszych dziejach, która była matką królowej Jadwigi; takim również (str. 149) opisanie zatargów Zygmunta króla węgierskiego szwagra Jadwigi z Węgrami i wpływ na ich sprawy Władysława Jagiełły i t. d. Wypadki w Litwie zasze, do 1414 roku, zapasy z Krzyżakami i chytre zabiegi Zygmunta Luxemburczyka do rozerwania jednościi w państwie Jagiełły, stanowią główną treść początkowych trzech ksiąg kroniki Wapowskiego. W pierwszych dwóch przedmiotach, p. Malinowski posuwa krytyczność uwag swoich do wysokiego stopnia, wzywając na pomoc wszystkie autentyczne skarby, do dziejów litewskich, po raz pierwszy z tajnego archiwum królewieckiego wydobyte przez Voigta,

Kotzebue i Napierskiego, i porównywając je z tém co Długosz, Naruszewicz i Dogiel, a po nich Raczyński w swoim Kodexie dypl. lit. ogłosili. Lecz i tu za każdą zręcznością, dziejopisowie węgierscy, jak Katona, Mailath i t. d., i niemieccy, jak Pelzel, Aschbach i inni, stają na poparcie objaśnień wzbogacających tę szacowną pracę. Między innymi ciekawé są, a dotąd nam nieznané, w przypisie na str. 197 szczegóły zjazdu cesarza Zygmunta z Witowdem w Kesmarmku r. 1410, i wyliczenie podarunków od W. księcia cesarzowi i żonie jego złożonych. Dla historyi wszakże krajowej, najważniejsze jest odparcie stanowcze i dowodne (str. 62—68) dziwnego twierdzenia Teodora Narbutta pisarza dziejów narodu litewskiego, jakoby Jagiełło przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej w Krakowie r. 1387, był już chrześcianinem obrządku wschodniego pod imieniem Jakóba. Przytoczywszy p. M. wszystkie a wszystkie wyrażenia Narbutta dotyczące się téj rzeczy, wykazuje oczywiście nie tylko bezzasadność takiego zdania, ale co większa, niewierne przytaczanie przez Narbutta słów Karamzina i latopisca Rostowskiego, którym nigdy na myśl nawet nie przyszło dowodzić tego, co się Narbuttowi podobało utrzymywać. W dalszym ciągu, tłumacz Wapowskiego chociaż prostuje w wielu miejscach Narbutta, zdaje się jednak jakby usiłował wynagrodzić dowiedziony mu fałsz, bo nazbyt często powołuje się na tego pisarza, i tam nawet, gdzie źródłowi dziejopisowie jak Długosz i Voigt, a nawet Karamzin, wystarczyłoby mogli. Owszem, gdybyśmy mieli co do życzenia od p. M. w tym jego wzorowym przekładzie kroniki Wapowskiego, żądalibyśmy chyba, żeby więcej w nim było porównań krytycznych z Długoszem w przypisach, pod względem sposobu uważania wypadków jednoczesnych. Uznajemy, że to byłoby za wiele wymagać od przekładu, już i tak nadzwyczaj pracowitego i bogato pomnożonego; ale głęboka nauka p. M. pociąga nas mimowolnie do coraz większej sposobności korzystania z niej na polu dziejów krajowych, na którym tak zaszczytnie pracuje. Jedna tylko omyłka którąśmy dostrzegli w przekładzie tego tomu na str. 405, jest ta, że *Wigry* gdzie

Władysław Jagiełło r. 1418 bawiąc się łowami, mało co nie był schwytany podstępnie przez Krzyżaków, wzięto za *Węgry*. Jest bowiem w tłumaczeniu: „potém przebywszy Niemen zapuścił się do *Węgier*, gdzie jak mu doniesiono miała znajdować się ogromna ilość żubrow.” Błąd ten, skutek jakiegoś niepostrzeżenia w ciągu mozolnej pracy, a z trudnego wyczytania rękopismu zapewne pochodzący, powinien być przy końcu dzieła sprostowany (*). Do zalet tłumacza-wydawcy Wapowskiego, któreśmy dotąd wyliczyli dodać i to wypada, że p. Malinowski nie zaniedbując niczego coby nietylko do objaśnienia i sprostowania dziejów opisanych przez Wapowskiego, lecz i do rozszerzenia ogólnych wiadomości o historii naszej posługiwać mogło; starał się umieszczać gdzie tylko wypadało ważniejsze traktaty, umowy i listy przełożone na język polski, które Dogiel i Raczyński w kodexach swoich, a Długosz, Pray, Łojko, Katona, Aschbach i inni w swoich dziełach historycznych ogłosili. Do tych ważnych i ciekawych a na polski język dotąd nietłumaczonych aktów, policzyć należy przywilój królowej węgierskiej Elżbiety matki królowej Jadwigi, dany r. 1383 Janowi książęciu mazowieckiemu na tytuł dworzanina królewskiego i pensją roczną zł. 2,400, warując, żeby się na każde zawołanie przyszlój królowej polskiej a jój córki stawil ze 30 zbrojnemi kopijnikami (str. 45); postanowienie Władysława Jagiełły w Wilnie r. 1387 wydane, względem rozkrzewienia wiary katolickiej (str. 74); list w. mistrza pruskiego Konrada Jungingen r. 1397 pisany do królowej Jadwigi, z oświadczeniem, że się będzie dopominał u Władysława książęcia opolskiego o wykupno ziemi Dobrzyńskiej (str. 129); list biskupa płockiego Kurdwanowskiego r. 1410 z Pułtusa datowany, z prośbą do w. mistrza, ażeby w grożącej wojnie z Polską nie dozwalał niszczyć dóbr kościelnych (str. 206); dyplomata Bogusława książęcia pomorskiego tyjący

(*) Wigry albo Wygry, dawniej puszcza naokoło jeziora tegoż nazwiska, w województwie trockiém, dziś klasztor po-kamedulski w gubernii augustowskiej. Ob. Staroż. Pols. T. III. str. 382.

się wyzwolenia Kazimiérza księcia szczecińskiego, pojmanego przez Polaków w bitwie pod Grünwaldem, wydany r. 1410 (str. 246); odezwa królewska po témże zwycięztwie do miast krzyżackich, żeby mu się poddały dobrowolnie (str. 253); poddanie się w skutek tego wezwania Henryka biskupa sambijskiego (str. 255); piękny list Władysława Jagiełły do w. mistrza Henryka Plauen w tymże czasie pisany, wyrzucający mu niegodziwe postępowanie zakonu z jeńcami polskimi (str. 281); zawieszenie broni między w. mistrzem a Władysławem Jagiełłą r. 1410 w Nieszawie zawarte (str. 293 — 97); traktat pokoju między nimi w Toruniu r. 1411 zawarty (str. 299); prawo zastawne na ziemię Spiską od Zygmunta króla rzymskiego i węgierskiego królowi r. 1412 wydane, a przez żadnego z dziejopisów naszych dotąd nieogłoszone (str. 329); akt rozejmu między Polską i Litwą a zakonem pruskim, uczyniony r. 1414 przez Jagiełłę, i list króla pols. z Grodna r. 1416 do cesarza Zygmunta pisany z wyjaśnieniem przyczyn, dla których zjazd z wiarołomnemi Krzyżakami nie przyszedł do skutku (str. 381 — 89); odezwa króla Władysława Jagiełły do ziemi Chełmińskiej przy rozpoczęciu wojny z zakonem r. 1422, pełna ludzkości i łaskawego serca (str. 480) i t. d. i t. d. Wreszcie niepodobna jest w tym ogólnym rysie nieoszacowanej pracy uczonego Malinowskiego, wszystkich jego ważnych i nowych postrzeżeń do tego dzieła dodanych przytoczyć. Musielibyśmy je chyba wszystkie tu wyliczyć. To tylko jeszcze powiemy, że gdyby każda ważniejsza kronika polska, takim sposobem była w nowém wydaniu ogłoszona publiczności; wkrótcebyśmy posiadali najdoskonalszy zbiór dziejopisów, któregooby nam pozazdrościć można było. Krytyczny pogląd na dzieje polskie, zyskałby wiele na tém; ale do takiego przedsięwzięcia trzeba wytrwałej pracy i sumiennosci niezachwianej, do czego niekażdy z tych nawet którzy nad dziejami pracują, ma powołanie i ochotę. Tłumacz kroniki Wapowskiego umieścił wybornym zwyczajem treść rzeczy u góry na każdej stronnicy, a przytém rok w jakim się wypadki działy, co niezmiernie jest dogodnym dla

czytelnika. Pan Malinowski obiecuje nam po skończeniu swojego przekładu, wydać autentyk łaciński téjże kroniki, jeżeli się potrzebna liczba prenumeratorów znajdzie. Życzymy tego z serca, a tymczasem w gorącym oczekiwaniu ukazania się dalszych tomów dzieła Wapowskiego po polsku, nie wątpimy, że książka ta umieszczoną zostanie w księgozbiorze każdego miłośnika dziejów krajowych.

M. B.

Dalszy ciąg opisu Karty klimatologicznej miasta Warszawy, ułożonej przez p. Jastrzębowskiego.

W zeszyte styczniowym Bibl. War. r. b. pod tytułem: „O karcie klimatologicznej miasta Warszawy”, pomieściliśmy wiadomość o nowém wydaniu obrazu klimatologicznego Warszawy i jój okolic. Przycém dołączyliśmy parę uwag z powodu zamieszczonego pod wspomnioną kartą objaśnienia, wychodząc ze stanowiska naukowego (może nam właściwszego); stronę zaś praktyczną téj pracy, stanowiącą zapewne główny cel jaki sobie szanowny autor założył, zupełnie pominęliśmy pozostawiając jój ocenienie innym. Obojętność jednak téj części publiczności, dla której karta klimatologiczna p. Jastrzębowskiego niezaprzeczenie jest najużyteczniejszą, pobudziła nas do powtórnego przemówienia w tymże przedmiocie, w celu udzielenia dokładniejszego jój opisu, a ztąd wskazania na użytki, jakie w codzienném prawie życiu z niój wyciągnąć można.

Wyłuszczone już gdzieindziej, korzyści jakie spływają na ogół z ogłaszania graficznym sposobem wypadków, treści nauk; tą drogą niezaprzeczenie najprędzej osiągnąć można cel do jakiego każda prawie umiejętność dążyć winna, upopularyzowania wiadomości naukowych.

W meteorologii, nauce chociaż dopiero w zawiązku będącej, wcześniej użyto téj metody do przedstawiania wypad-

ków licznych i mozolnych obserwacji tak w ciągu kursów dla pojedynczych pojavów, jako też na oddzielnych kartach dla głównych elementów meteorologii pewnej miejscowości. Za świeży przykład tego drugiego rodzaju, przytoczymy kartę przedstawioną towarzystwu londyńskiemu przez p. Hopkins i przez niego ułożoną z licznych obserwacji półkownika Sabine, czynionych w Bombay (*). Warszawa posiada podobną kartę klimatologiczną ułożoną staraniem p. Jastrzębowskiego, zalecającą się (jeżeli niezupełną dokładnością obserwacji niektórych pojavów), to swą wielostronnością, a szczególnie układem. Układ ten o którym dawniej tylko wzmiankę uczyniliśmy, zasługuje na bliższe poznanie ze względu swój nowości i praktyczności. Opiszemy go szczegółowo.

Rok widzimy najprzód rozdzielony na dwa półrocza: letnie i zimowe; granic tych okresów, różne, są od przyjętych w astronomii, zasadą bowiem tego nowego podziału jest temperatura, a to w taki sposób. Półrocze letnie zaczyna się w epoce średniej rocznej temperatury i w takiejże epoce się kończy, t. j. trwa od 20 kwietnia do 20 października. Tym sposobem, do letniego półrocza wchodzi dni posiadające temperaturę wyższą nad średnią roczną (według karty $+6^{\circ}$ R.), do półrocza zimowego dni mające niższą temperaturę od średniej.

Daliej każde z tych półroczy rozdzielone zostało na dwie równe części; lato zajęło środkową część półrocza letnie-

(*) Tabelle i graficzne wypadki doświadczeń p. Sabine, kosztem kompanii Wschodnio-Indyjskiej zostały wydrukowane, wylitografowane i przez nią na wszystkie strony obficie rozdane. Słyszeliśmy, że p. Jastrzębowski znaczną liczbę egzemplarzy swjej karty (z francuzkim textem), rozesłał do różnych ważniejszych ognisk uczonej Europy. Podwójną z tej ofiary osiągnąć możemy korzyść: główną z porównania tych wypadków (choć przybliżonych), z rezultatami innych miejscowości; tą bowiem drogą dochodzimy do ważnych wniosków meteorologii, i pośrednią, przez wskazanie innym na istnienie u nas przed pół wiekiem czynionych meteorologicznych obserwacji.

go t. j. porę roku najcieplejszą od 5 czerwca do 5 września; podobnie zima obejmuje środek półrocza zimowego, czasu nas najzimniejszy od 5 grudnia do 5 marca. Ztąd dla wiosny pozostał czas od 5 marca do 5 czerwca, a dla jesieni od 5 września do 5 grudnia. Dogodność podobnego podziału roku, szczególnież może się dać uczuć w gospodarstwie wiejskiem, w niem bowiem wszelkie prace kierują się stosownie do ożywczego działania słońca; tam nie tak długość dnia, jak raczej temperatura będąca bezpośrednim i najważniejszym jego skutkiem, obchodzi gospodarza. Lato, według podziału p. Jastrzębowskiiego, przedstawia okres dojrzałej roślinności, zima, chwile obumarłej natury; dwie zaś epoki wiosny i jesieni, są przejściem z śmierci do życia i z życia do śmierci ciał organicznych.

Nadto z karty się okazuje, iż w tak określonym lecie przypadają właśnie epoki, w których bardzo ważne zjawiska w gospodarstwie dosięgają swego maximum. Wtedy górują linie długości dnia, parującej wody, ilości wody w powietrzu zawartej, pogody, i ilości spadłej wody. Słowem, wszystkie żywioły potrzebne do życia i dojrzewania roślin, najsilniej się rozwijają. Przeciwnie zjawisko w oscyllacji tych fenomenów, przedstawia czas zimy.

Oprócz tego podziału na cztery pory roku fizyczne, na karcie znajdujemy jeszcze inny, na tak zwane pory gospodarskie, czyli ludowe. Często obijają się o nasze uszy nazwania niektórych przeciągów czasu np. godów, przednówka, różnych, siewów późnej jesieni i t. d.; za ich dawnością i upowszechnieniem świadczą nasze przysłowia. Dotąd, przynajmniej dla niektórych z nich nie oznaczono granic. Jakkolwiek dokładne oznaczenie (rozumiejąc pod tém nazwaniem określenie początku i końca) trudne a nawet jest niepodobne, gdyż te chwile z każdą miejscowością a niemal z każdym rokiem się zmieniają, niemniej przeto zgodzenie się na określenie choć przybliżone, powszechnie w mowie natrafianych nazwań, nie może pozostać bez korzyści. Niezaprzeczenie za zasadę do utrwalenia tych nazwań, posłużyć może tylko kilkonasto a tém bardziej kilkudziesięciole-

tnie obserwacje fenomenów klimatologicznych. Na pracy pp. Bystrzyckiego i Magiera oparł p. Jastrzębowski swój podział roku na ośm pór gospodarskich. Te okresy, oddzielne posiadające nazwania u naszych rolników, mają się rozciągać w taki sposób:

Gody od 5 grudnia do 20 stycznia.

Zapusty od 20 stycznia do 5 marca.

Roztopy od 5 marca do 20 kwietnia.

Siewy jare od 20 kwietnia do 5 czerwca.

Przednówek od 5 czerwca do 20 lipca.

Żniwa od 20 lipca do 5 września.

Siewy ozime od 5 września do 20 października.

Późna jesień od 20 października do 5 grudnia.

Taki jest podział roku na dwa półroczy, cztery pory fizyczne i ośm pór gospodarskich; podział chociaż oparty na obserwacjach w Warszawie czynionych, mogący wszakże bez wielkiej odmiany służyć i dla bardzo znacznej przestrzeni naszego kraju, tak mało nastroszonego górami, wielkimi zbiorami wód, słowem, kraju pozostającego w tychże samych okolicznościach względem klimatu.

Mówiąc dawniej o wszechstronności karty klimatologicznej p. Jastrzębowskiego, wyliczyliśmy dziesięć pojawów przez szanownego autora nakreślonych w porządku, jaki na karcie znajdujemy. Wspomnimy tu o systemacie, jakiego autor się trzymał w powiązaniu tych napozór niezależnych zjawisk. Dotąd w meteorologii brak stałego porządku; pierwsze miejsce w układzie fenomenów, zachowują powszechnie dla temperatury w ogóle, na drugiem, niektórzy mieszczą wiatry z barometrem, a na trzecim, zjawiska wodne; inni po wiatrach kładą fenomena wodne, dalej rozdział temperatury na powierzchni ziemskiej, a na końcu barometr. Wszyscy jednak, dopiero po wyżej przytoczonych pojawach, traktują inne tak zwane niestałe, jakoto: fenomena światła, elektryczne magnetyczne, czyli właściwie meteorologiczne. Jak wszędzie tak i w meteorologii każdy systemat opierać się winien na większej lub mniejszej ważności; na wzajemnej

zależności porządkowych przedmiotów, lub też na ogólnej myśli kierującej autorem w ciągu dzieła.

Śmiałe przyznanie pierwszeństwa niektórym pojawom, tak dla braku dostatecznej liczby obserwacyj w różnych punktach kuli ziemskiej, jako też dla niewykrytej dotąd (a może istniejącej) zawisłości niektórych zjawisk meteorologicznych, w tej nauce miejsca mieć nie może, a ztąd trudno wyrzec, który z praktykowanych układów jest lepszym. Meteorologia dotąd nie jest jeszcze nauką, dopiero zbiera i porządkuje swe materyały. P. Jastrzębowski w uporządkowaniu pojawów trzyma się tej zasady:

Na pierwszym miejscu widzimy linie krzywe dla długości dnia w ciągu całego roku, za nią jako bezpośrednią wynikłość, znajdujemy umieszczoną linią zmian temperatury średniej, największej i najmniejszej. Parowanie będące najważniejszym skutkiem temperatury, pomieszczone zostało na trzecim miejscu, wraz z średnią ilością pary w powietrzu i wilgocią powietrza. Naturalnym następstwem poprzednich jest pogoda, słońce, ilość spadłej wody, a ztąd wezbranie Wisły. Dwa nakoniec ważne w meteorologii phenomena, wiatr i ciśnienie powietrza, przez innych wyżej w szeregu zjawisk kładzione, pan Jastrzębowski na końcu ustawił, zapewne z powodu nieregularności krzywych, te pojawy przedstawiających, jako też i zależności ich od wielu z powyższych fenomenów.

Oprócz powyżej przywiedzionych powodów umieszczenia wiatrów i barometru na końcu szeregu zjawisk meteorologicznych, zdaje nam się, iż niemniej ważną odgrywał rolę sposób zapatrywania się szanownego autora na powstawanie wszystkich wiatrów. Autor bowiem jak to już w zeszytynie styczniowym Bibl. War. wspomnieliśmy, za główną przyczynę wiatrów na stałym lądzie wiejących, podaje większe powstawanie pary wodnej w jednej i większą sposobność skraplania się jój w innych miejscach kuli ziemskiej.

Co się tyczy ogólnej przyczyny przez autora przywiedzionej, jak to każdy zresztą osądzić może, ta jest na gruntownej

oparta zasadzie i prawdziwą. Raptowne skraplanie wody w niektórych miejscach, szczególnie w znacznej rozległości, winno i rzeczywiście sprawia zerwanie równowagi w atmosferze, a ztąd jęj prądy zwane wiatrami.

P. Jastrzębowski opierając się na tęg przyczynie, przy pomocy lądu zimnego środkowej Azyi i ciepłych mórz Śródziemnego i Atlantyckiego, usiłuje wytłumaczyć przemagającą bytność u nas wiatru południowo-zachodniego; poczytuje więc ten wiatr jako skutek sprzyjającej miejscowości.

Czyniąc uwagi nad tęg tłumaczeniem autora, uważaliśmy wiatr południowo-zachodni u nas i w całej Europie najczęściej wiejący, jako część ogólnego prądu powietrza w większych szerokościach północnych, zniżającego się ku ziemi, i z tego głównie stanowiska wychodząc poczytaliśmy tłumaczenie autora za niedostateczne. Trudno jest rozstrzygnąć nieposiadając wypadków obserwacyj meteorologicznych ze środkowej Azyi, które z tych przypuszczeń jest prawdopodobniejszém; zdaje się jednak za drugim więcej przemawiać dowodów.

Z powyższego opisu szczegółowego karty p. Jastrzębowskiego przekonywamy się, że ta i swym układem i wielością przedstawionych pojavów bardzo może być w praktyce użyteczną.

Gospodarze wiejscy, których szczególnie obchodzą zmiany i rozmaita obfitość światła, ciepła, wody i kierunki wiatru, znajdą w niej na pierwszy rzut oka odpowiedzi na wieloliczne pytania.

S. P.

Rachel, powieść Żegoty Kostrowca (ks. Ignacego Hołowińskiego). 1847. Wilno.

Żyd Abramek był dzierżawcą karczmy *Wygody* i ojcem *Racheli*. Hucznym był dzień zaręczyn *Racheli* ze ślicznym Dawidkiem. Grono starozakonnych winszowało i zazdrościło młodej parze. Rachel z pogodnym uśmiechem, w ten

dzień pożegnała rodziców udając się na spoczynek, i w nocy — znikła.

Koło karczmy Wygody była kapliczka, a przy niej posąg N. Panny, przedmiot czci i pielgrzymki całej ludności chrześcijańskiej z okolicy. Rachel była jeszcze dziecięciem, kiedy ten posąg który codziennie widziała przed sobą, stawał jój w oczach i we śnie; umiłowiała nad wszystko ten posąg i nad wszystko to imię Marya; figurze jój razem z innymi cześć oddawała i śluby święciła. Raz kiedy się bawiła na wzgórkach z towarzyszkami które przносиła pięknoscia i mowa twarży, ujrzal ją *Karol*. Ten Karol bylo młody, mazaący chłopiec, syn pp. marszałkostwa z sąsiedztwa; raz ujrzawszy Rachel, umiał odtąd widywać ją często ukradkiem; nauczał ją zasad wiary chrześcian, do przyjęcia tej wiary skłonił, i razem z *ks. Tomaszem* przeorem z *Białokoń*, ucieczkę jój ułatwił.

Niedaleko Białokoń, był też dom pp. podkomorstwa z Nasówki. Ci pp. podkomorstwo mieli dwoje ulubionych sobie dzieci: p. *Ludwika*, który świezo z zagranicy powrócił i pannę *Jadwigę*, która lubiła tańce; druga ich córka *Klara*, która osobno była chowana, przeznaczoną była do klasztoru. Głową domu tego była pani podkomorzyna. P. podkomorzy ulegał swój *żonie modnej*, i porządne niegdys dochody Nasówki zamieniły się w dlugi; jedyną nadzieją domu był teraz p. *Ludwik*, mający na oku córkę pp. marszałkostwa *Ewelinę*.

Rachel znalazła schronienie w klasztorze zakonnicy, do którego właśnie w tym czasie odwieziono i Klarę. Rachel i Klara połączyły się wkrótce przyjaźnią, lecz smutne dalej miały je spotkać wieści i dzieje. Panna Jadwiga która lubiła tańce umarła z tańców. Panna Ewelina poślubiła pustego i wietrznego pana *Ludwika*, lecz poślubiwszy go i poznawszy że wietrzny, umarła. Umarł i *Gabryel* w wojsku, wychowaniec pp. podkomorzostwa, jedyny i rzetelny przyjaciel Klary.

Tymczasem uwiadomieni żydzi o schronieniu Racheli, porwali ją, osadzili w więzieniu i wymierzali już przeciw niej cios śmiertelny, ale *Pleśniak* (niegdys *dziad kościelny*,

dalej *stuga* w Wygodzie, dziś *żebrak* i wykonawca woli ks. Tomasza), rozrzucił z towarzyszami kraty więzienia i oswobodził uwięzioną.

Oswobodzona Rachel przyjęła chrzest, ale nie przyjęła oświadczeń p. Karola. Przez ucieczkę swą stała się najprzód przyczyną śmierci matki, dalej ojca, i ślub uczyniła resztę życia poświęcić pokucie klasztornej. Wiadomość wszakże iż obudziła miłość w Karolu, obudziła w niej wzajemną: przemogła ją, lecz ta walka przemogła jej siły, i życie jej wkrótce zgasło.

W lat 10 p. Karol był mężem Klary (która po śmierci Jadwigi wróciła do domu rodziców) i ojcem ślicznych dzieci; ks. Tomasz umarł z cholery, p. Ludwik w Niemczech z pojedynku.

W takiej treści rozwija się powieść ks. Hołowińskiego *Rachel*; lecz zdaniem naszym, nie sięga swego celu artystycznego. Artystycznym celem powieści jest sprawić efekt, a zdaniem naszym, powieść *Rachel* nie sprawia efektu. Że ogół i szczegóły tej powieści nie sprawiają wrażenia, jestto, jak się nam zdaje, skutkiem dwóch przyczyn:

Najprzód: Za wiele mamy wypadków, za wiele bohaterów i bohaterek w ramach nieobszerniej powiastki; w kilku rozdziałach jej, spotykają nas (pomijając już rozwinięcie głównego charakteru bohaterki) pięć par zakochanych, cztery uwięzienia, z piętnaście śmierci i t. p. Dla powieści w formie opowiadania, żadna objętość nie jest za szczupłą; ale przygody, charaktery i sytuacje w powieści *Rachel*, rozwijają się w obrazach i dyalogach, dyalogi te musiały więc zostać niepokonczone, i obrazy niedomalowane.

Powtóre: Czujemy *brak złudzenia* w sposobie wykonania powieści; w rozwinięciu jej nie tyle widzimy rękę twórczą harmonii wypadków ludzkich, ile raczej samego autora, osoby prowadzące dyalog w powieści, mówią zwykle nie z potrzeby sytuacji, nie do siebie, ale do czytelnika. Takimi są np. zaraz przy początku opowiadania przed Karolem swojej historii przez nieproszonego *Pleśniaka*, rozmowa *Gabryela* i *Klary* o swojej przeszłości; wykład przez Abram-

ka i jego żonę obrzędów żydowskich, swym starym służącym zapytującym (dopiero teraz) o ich znaczenie; wykład drugi tychże, przez rabina *Echaim*, żydom oczekującym niecierpliwie na wyrok w sprawie Racheli, i takiem jest wreszcie (oprócz miejsc innych) samo *zakonczenie* powieści, w którym osoby powtarzają przed sobą ze szczegółami wypadki wiadome im od lat dziesięciu, o każdej znajomej figurze czytelnikowi. Brak złudzenia, prostą drogą wieść musi do braku efektu. Bohaterowie powieści nie obudzają w nas ani trwogi, ani wesela, ani gorszą ani budują, czujemy bowiem, iż dalszy ich los leży w dobrej woli autora.

Dodać winniśmy, że cieszymy się iż los Racheli nie robi efektu; figura ta, wychowanica nocnych schadzek, przyczyna śmierci rodziców, nieprzyjaciółka siebie i ludzi, nietyle wydaje się nam w powieści jako mogącą pociągać swoim przykładem niebios ulubienicą, jak raczej jakiegoś złośliwego ducha męczenniczką.

Zarzuty te wyrazić przeciw powieści Racheli, poczytywalibyśmy za powinność; w niejednym jej bowiem pomysle i rysie postrzegamy znakomitszą rękę pisarską. Niektóre figury jej, jak ks. *Tomasz, Pleśniak* i t. p. są nawet oryginalne; niejeden charakter kobiecy, jak np. *Eweliny*, wszędzie trafnie zeszkicowany.

Treść powieści, przeplatają też licznie opowiadane w kształcie anegdotek (przez nieukładnego, lecz powszechnie szanowanego ks. Tomasza) legendy i tradycyjne powiastki o różnych miejscach w okolicy. Zarzuty które mogły spotkać powieść z tej strony, uprzedził autor zaraz przy początku książki słowami ks. Tomasza, obróconemi do Ludwika śmiejącego się z legend i wiary krajowej. Przytaczamy tu ten urywek dyalogu, jako charakteryzujący jeden z celów książki.

„Widzisz kochany Ludwiku (mówił ks. Tomasz do p. Ludwika, buntującego do szyderstwa niebroniącą się wcale p. Ewelinę z legendy z czasów Bolesławowskich o założeniu *Białokoń*), ludzie wiary zapatrując się na wszystko jako na dzieła rąk Bożych, widzą dokoła same cuda, które ustawi-

cznie wszechmocna ręka wywodzi przed naszymi oczyma: tym sposobem odnosząc wszystko do Boga, muszą mieć pociąg ku cudowności, bo ta właściwie mówiąc, stanowi główny ich żywioł. Przeciwnie ludzie *samego tylko* rozumu, przywykłszy we wszystkiém widzieć nie tak Stwórcę jak samo stworzenie, muszą tracić z oczu tę cudowną rękę Boga, i na wszystko oglądać jako rzecz zwykłą i mogącą się wytłumaczyć, a ztąd mają wrodzony wstręt ku wszelkim cudom, bo w nich działanie Stwórcy nie daje się w żaden sposób usunąć. Kiedy więc człowiek wiary marszczy się na zaprzeczenie jakiejś tradycyi, którą i sam nie uważa za prawdziwą, wtedy nie idzie rzecz o ten marny szczegół, ale po prostu ściągają się dwa sprzeczne żywioły, dwa pryncypia, nie o rzeczywistość, ale sam sposób imaginacyi."

P. Ludwik zrobił na to uwagę; iż z tolerowania podobnych imaginacyi taka wynikła mieszanina, iż dziś choćbyśmy nawet chcieli, nie możemy z żadnej książki dowiedzieć się czego się mamy trzymać w katolicyzmie.

„O kochany Ludwiku, odpowiedział mu ks. Tomasz, jakże znacznie że przerobili cię Niemcy. Jestem pewny, że mimo twój skargi na brak książek czysto religijnych, nigdyś ich nie szukał: bo w takim razie pewnieby ci wpadła w ręce jeśli już nie inna, to przynajmniej ta malutka, cieniutka i bardzo pospolita książeczka, w której na początku A. B. C. a w końcu najczystszy i najdokładniejszy wykład nauki katolickiej.”—Autor jak samą treścią swój książki, tak i w pojedynczych zdaniach, objawia tę wiarę, iż nauka skuteczna dla ludzi winna stawać nie zewnątrz, ale wewnątrz życia towarzyskiego. Tenże ks. Tomasz który potępiał Ludwika miłującego jedynie świat, potępiał i Karola, który zaczynał czuć wstręt do świata. „Bo widzisz, mówił do niego, w mętnej wodzie nie ujrzysz swojej twarzy, tylko w cicho płynącej; ale kiedy znowu zupełnie stoi, wtedy spleśnieje i tak zarośnie, że w niej się nie przejrysz jakby w mętnej. To samo i z duszą, która w roztrzępaniu nie może siebie poznać, a w pomiarkowaniu widzi siebie dokładnie, lecz w zupełnej i ciągłej samotności tak się napłodzi pleśni, że znów niepodobna zbadać stanu swój duszy.”

Cecha ta, iż każdy prawie charakter, każde zdanie w powieści Rachel ma za cel: udzielenie nauki religijnej, mówienie, że tak powiemy kazania, ustami romansu, nadaje téj powieści odrębną barwę od innych u nas wychodzących. Powaga jednak i surowość autora, nie zdołały w nią wcielić się w giętkość i żywość towarzyskiego opowiadania.

T.

Kompozycje na fortepian: *Bagatelles par* Listowski. *Chansons sans mots, par* Szczęsny. *Valse brillante; Fantaisie sur un thème polonais, par* O. Kolberg. *Variations brillantes sur une Cracovienne favorite. Premier Caprice i Fantaisie et Variations brillantes sur un motif favori de l'opéra Lucie de Lammermoor de Donizetti, par* Pauline Fechner.

Stan sztuki lub nauki jakiegokolwiek, niezaprzeczenie najlepiej się objawia płodami we właściwych gałęziach; ich ilość i jakość pokazuje liczebnie wyższe zdolności, choćby tylko we własnym twórców rozumieniu, a ztąd znać dążności, pojęcia ogólne o rzeczy przeważające, choćby niekoniecznie na dobrą stronę. Bo łatwo stać się może i dzieje się nawet, że prosto widząca mniejszość nie zdoła słabym swym głosem zwyciężyć wrzawy mass, którym się zdaje, że równie prosto widzą i po łupinie sądzą, że zawsze w środku orzech znajdują. Dla tych zostaje doświadczenie; ostrzedz ich, jest przecie obowiązkiem. Ale cóż zrobić z ludźmi, którzy widząc owoc odległy i piękny, choć może tylko pozornie, nie raczą nawet zwrócić uwagi na padające wokoło nich owoce? Taką była nasza publiczność dawniej w wielu względach, taką i dzisiaj jest w wielu, szczególniej co się sztuk pięknych dotyczy a mianowicie muzyki. Podobna do owych wykwinnych ogrodników, coto pielęgnują zamorskie rośliny a o własnych krzewach nie wiedzą, publiczność nasza obojętną jest na mogące z jéj łona

wypłynąć talenta. Spytajcie w handlach muzycznych niech wam powiedzą, czy kto się pyta o pracę rodaka artysty, czy ją kto kupi? powiedzą ci i owi, jak to kupować gdy nic nie warto? sądzą jednak na ślepo, ze zwyczaju, bo prawie nikt poznać się nie stara; swego, może i nieosobliwego nie chce, ale obce ramoty kopami sprowadza. Chce dobrego, a nie umie zachęcić, pomódz, nagrodzić; czeka aż za granicą ludzie się poznają na tém, co ma u siebie, albo mu zginąć dozwoli. Dawnieźto czasy, gdy wszyscy co pisali krzyczeli na obojętność ziomków? i niedaremne były ich głosy; dziś wielu kupuje choć nietylu ileby powinno; mamyż płody naszych kómpozytorów tym samym sposobem polecać? Czyż rzecz sama niedosyć za sobą przemawia? Ci oto wdzierając się do przewodniczenia kierunkowi ogólnemu, pragnąc zyskać powagę i wziętość, imię swe publicznie jako autorów ogłaszają; ci chcieliby święte dla nich chwile natchnienia uwiecznić, inni głupstwu szemrzącemu cisnąć w oczy dowód własnych prac i zdolności; toć należy wesprzeć ich starania gdy tego są godni, albo je odrzucić w przeciwnym razie. Ale do tego znać naprzód potrzeba. Aby więc chętnym zaznajomienie się podobne ułatwić; zbieramy tu prace wyżej wymienione i niewielką liczbę mających nastąpić, by je przedstawić publiczności niech się wstydzi, że ich tak mało, niech się wstydzi jeśli coś dobrego nie znała, i niech się wstydzi jeszcze, jeśli mierne tylko lub złe napotka.

Pod nadpisem *Bagatelles* pokazały się u nas dwa małe numera, poświęcone młodzieży płci żeńskiej, o których treści sprzedają charakterystyczne wyrazy: *Candeur* i *simplicité*. Muzyka bez charakteru nie jest, o tém wiadomo każdemu, kto słuchając jój czuł się raz smutkiem, drugi raz radością przejęty. I nie tylko te dwie różnice tonami tłumaczyć się dają, wszelkie odcienia uczuć jakim serce ludzkie ulega, jój języka używać mogą korzystniej nieraz, jak innych sposobów. Inaczej rzecz się ma z rysami charakteru, które się poznają raczej po zjawiskach umysłu dotyczących jak uczuć, bo muzyka tylko sposobem dramatycznym pierwsze tłumaczyć może, co widocznie wymaga innych sztuk pomocy. Liryczność za-

słaba jest na to, tém bardziej, im podobne wspomnianym rysy charakteru więcéj są do siebie zbliżone. Do tego potrzeba dokładnego zbadania delikatnych różnic i podobieństw, oraz zręczności w przedstawieniu. Ile z muzyki w mowie będącéj widzimy, brakło autorowi obojga. Niezalecające się nowością pomysły muzyczne, dane bez opracowania charakterystycznego, dowodem są lekceważenia przedmiotu i niezrozumienia znaczenia i władzy technicznych muzyki środków, gdy silnych czasem działaczy (jak synkopy, zmiana ruchu, gwałtowne akcentowanie) użyto na przedstawienie łagodnych rysów. Wprawdzie zrobiono to nierozlegle, ale to tylko dla krótkości. Łatwość faktury, czyni te drobiazgi przystępnymi młodemu pokoleniu, któremu je autor poświęcił; brak jednak sposobności do kształcenia się na nich naukowo i poetycznie, niezdołnemi je czyni do celów pedagogicznych.

„Pieśni bez słów”, podobało się także autorowi ich, objaśnić wyrazami: *melancolie* i *chanson d'amour*. Pieśni bez słów, sąto krótkie pomysły muzyczne na instrumenta, najczęściej na fortepian przeznaczone. Ich styl zastosowanym być powinien do skromnego stylu piosnek pod wyrazy podłożonych; nie zabrania jednak sutéj czasem przygrywki instrumentalnéj; bo jéj i rodzaj pierwiastkowy nie odrzuca, biorąc z niéj podporę i dokładność, jakiej nie może mieć głos ludzki w żądanym przez kompozytora stopniu. Pieśń bez słów, nie jest nową formą kompozycyi instrumentalnéj, ale samoistnie przedstawiającym się rozleglejszych form urywkiem, ozdobionym nowém nazwiskiem przez Mendelsohna Bartholdy, którego sześć poszytów „*Lieder ohne Worte*” (Breitkopf i Härtel w Lipsku) są zarazem najgodniejszym naśladowania wzorem. Forma sama z siebie prosta i łatwa do utoczenia, równie jak do pojęcia, zyskała licznych przyjaciół, i dziś niéma kompozytora, któryby w tym rodzaju nie pracował a wielu od niego zaczyna. Przecież nadużycie wciska się wszędzie; kompozytorowie wirtuozi niezdołni dojść prostoty i wdzięku połączonych z istotném znaczeniem, usiłują brak ten zapełnić właściwemi sobie wybrykami instrumentalnemi, i skromne utwory na koncertowe

zamienili, zyskując tym sposobem jeden więcej środek urozmaicenia swych przedstawień formą nierozległą, a więc mniej nudzącą słuchaczy, psując jednak co pięknego, jak to dosyć jest ich zwyczajem. Co w podobnym rodzaju lepszego się znajduje, pochodzi z wynalazku melodyi, która tém rzadziej się udaje, im prostszą być powinna, i z obmyślenia stosownych przygrywek, któreby urozmaicały myśl pierwszą i jedyną, a znaczenie jej głębszém uczyniły. Jeśli więc znajdziemy pieśni bez słów, których melodia po znanych oddawna zaulkach się tuła, a do niej przygrywkę powszednią sto razy już słyszana, nie możemy sumiennie tego kompozycją nazwać, ale lepianką. Takimi są właśnie pieśni pana Szczasnny. Wzdrygnie się ciekawy spojrzawszy na nie, tak czarno i najeżone wyglądają, i zadziwi się poznawszy, że tyle hałasu dla niczego, że dziewięć dziesiątych nut odrzuciwszy, zostanie melodia tak naga i cieudatna, żeby się za nią dyllentant zarumienieć powinien. Tém gorzej, że podobało się autorowi lotność i rozgłos na karb cichój a rozważnój melanchelii położyć. Pieśń druga *chanson d'amour*, jest w pierwszym przedstawieniu walcem znośnym jakó muzyka taneczna, choć już z użycia wywołanym dla zbytniego spospolitowania; przedstawienie drugie i trzecie, chociaż raz w sieć biegaczy (tych samych co w pieśni poprzednój ale pełniejszych) uwikłane, drugi raz potężnemi akordami obłożone, tym samym słowo w słowo jest walcem. Kto chce bliżej z przedstawieniem się poznać, niech sobie przypomni zakończenie fantazyi Thalberga z Mojżesza, a w miejsce wszystko uszlachetniającej melodyi Rossiniego, niech położy trywialnego walca, a będzie miał pieśń miłosną! Tytuł trafny nadano dwom tym kompozycyom: „*chansons sans mots*”, zamiast *sans paroles*, bo są rzeczywiście bez znaczenia. Odmawiając autorowi zasługi wynalazku i poetycznego pojmovania uczuć, nie możemy mu zostawić mniejszój, równie jednak ważnój zasługi, technicznego wykończenia. Szczególniej pieśń pierwsza pod tym względem zawiniła. Nie wdając się już w rzeczy rutynie wiadome, przytoczymy tylko zakończenie części pierwszój akordem (sextowym), niezdolnym kończyć dla swego charakteru; to jedno uchy-

bienie w logice muzycznój (a jest ich więcej) tak jest ważne, że dla znawcy niewątpliwą jest przepowiednią tego co nastąpić może.

Jeśli teraz z kolei wspominamy o innój kompozycji tegoż autora, pod tytułem „*Valse brillante*”, to tylko dlatego, by dowieść, żeśmy w niej szukali korzystniejszych dlań spostrzeżeń; przecież i o niej to samo powtórzyć należy co o poprzednich powiedziano: wynalazku ani iskry, znajomość muzyki powierzchowna i pretensyi wiele. Bo czyż się godzi nazywać świetnym, walca całkiem jakby do tańca przeznaczonemu; u czynią go takim zamieszczone na końcu kształtowane akorda?

Tytuł kompozycji pana Kolberga „*Fantazyja*” tak jest dzisiaj sponiewierany, że stosowną zdaje się nam rzeczą zastanowić się nieco nad nim. Fantazyja w główném znaczeniu, jest to swobodna gra myśli nieogłędnej na utartą już drogę, na przyjęte formuły, któremi powoduje się nawet wyobraźnia. Są to zjawiska wyjątkowego kierunku myśli, którym chwilowa impulsja za logikę służy; ich bieg i kolój zależą prawie od kapryśnego wypadku sprowadzonego niepowściąganém marzeniem, co w jednej chwili od ziemi do nieba przeskoczyć umie, zatrzymując się wszędzie ile mu się podoba. Dzieła chwil takich mają wyłączne każde dla siebie prawa, których obejrzenie rozważne drugi raz już zastosować nie zdoła, pojąć ich związku nawet nie będzie w stanie. Gdybyśmy mieli tylko płody w podobném usposobieniu umysłu stworzone, nie mielibyśmy dzieł sztuki, których zadaniem jest dążność do jednego celu; byłoby to coś jak owoc ciągłego natchnienia, które tylko chwilami dla śmiertelnych błyska; byłaby to zawsze improwizacyja, nie jak owe pisane, oblane potem i ujuczone rozważą autora, ale jak płód poetycznego wybryku, pojmującego się dopiero w chwili działania, niewiedzącego dokąd zabiegnie i jak długa będzie droga jego. Fantazyja taka jest podobna do szału, w tém od niego różna, że nie jest obłędem i dlatego mniej ceniona. Że rzadka, nieujęta a więc niepożyteczna; a jednak takie wirowe umysłu chwile są mu wypoczynkiem i szczęściem. Fantazyja przestaje być fantazyją, gdy w materialne pochwyconą jest formy: nie wytrzyma roztrząsania, bo bez niego pracowała;

jój początek natchnieniem zwany w skok porwała wyobraźnia i do pewnych kierując się celów, utworzyła dzieło sztuki. Ale zawsze ustępuje miejsca fantazyi jako swój rodzicielce, ilekroć tamtéj powracać się zdarza i ztądto pochodzi, że takim dwostym stęplem naznaczone dzieła sztuki, potrzebują częstego oglądania by pojętemi być mogły. W témto znaczeniu pojmany wyraz fantazyja i do kompozycyi muzycznój zastosowany, znaczy utwór mniej więć wydzierający się z obrębu formy, służący mu za osłonę i rodzajowi zakreślonej: może mieć wiele swobody, dowolności prawie, niewykraczającej jednak z granic prawdopodobieństwa i przypuszczenia dlatego, że się materją odziewa. Dzieło sztuki pod mniej szczęśliwemi okolicznościami zrodzone, wymaga pewności, skrupulatnej loiki. Fantazyja w muzyce jest jeszcze nazwiskiem upowszechnionych między wirtuozami dzisiejszemi kompozycyj potwornych, w których pokazują się coraz nowe pomysły, najczęściej komu innemu wzięte i przedrzeźniające fantazyją, która przecież wybierać nie umie. Pomysły te niekiedy dla zaznajomienia się, do wstępu zwołane bywają, a w dalszym ciągu różnie obok siebie posadzone lub poprzegradzane, co wszystko zależy od *savoir faire* mozolącego się kompozytora. Niéma potrzeby opisywać bliżej tego rodzaju, bo znany jest wszystkim co ile tyle muzyki słuchali; lubiony od wszystkich, którym się w głowie pomieścić nie może, że muzyka to sztuka i nie godzi się jój na tandetę oddawać.

Rzecz jasna, że kompozycya p. Kolberga pod jedno z tych dwóch ostatnich znaczeń wyrazu fantazyja, podciągniętą być mogła, ale pod żadne podciągniętą być nie może. Dla pierwszego za mało ma polotu a raczej wyskoku, dla drugiego jój szkoda; ani się ono do niej ściąga. Jestto po prostu kujawiak (obertas) na obszerną miarę rozwinięty, stosowny: i w duchu późniejszych tematów wstępem poprzedzony, to smętnych, to rześkich a zawsze powabnych, rozmaicie przemienianych a zawsze ze smakiem, często z niezaprzeczoną wdzięką, albo z właściwą rodzajowi rubaszością. Rozmaitość cierpi nieco na zbyt uciukowym stylu, w którym wyłącznie prawie autor wiązała tematów utworzył, a okoli-

czność że niemal wszystko do głównych myśli się ściąga lub z nich wynika, jak z jednej strony świadczy o jedności wszystkie części kompozycji wiążącej, tak z drugiej jest dowodem zbyt drobiazgowego opracowania przedmiotu. I toć to jest najwięcej, co nazwę fantazyi do kompozycji w mowie będącej, niestosowną czyni. Autor ledwie niekiedy opuszcza myśl z której wyszedł lub do której dąży, ale zato rozwinął dosyć wyobraźni umiejaczej bogactwo w jednej myśli wypatrzeć i dowiódł zręczności w ciągłym utrzymaniu płynności i życia. Jednak życie to, jakby umyślnie podniecone sztucznymi środkami nam się złaje; dysze burzliwością, którą za głębokość i siłę zrazu ucho przyjmie, w końcu nazwie gwałtem i szorstkością. Pochodzi to ze zbyt częstego używania twardych akordów, czasem z niezwykłego i jakby wyszukanego prowadzenia harmonii i zbytnej ufności w naturę fortepianu, zdolnego za pomocą pedału nie tylko przetrzymać uderzone już tony, ale i masę innych niedotkniętych ręką obudzić. To daje pochop do zaniedbanego prowadzenia głosów, niedopełniania akordów co do liczby tonów i tym podobnych uchybień, dziwiących zrazu efektem, nużących w końcu nadużyciem. Łatwo się tego ustrzedz, poddając się od czasu do czasu surowym pracom na głosy ludzkie, mające zakreślony obręb działania i dźwięk ciągły. Tego rodzaju studye nie tylko uczą wywijania się z trudności bez ich przeskakiwania, mnożą siłę władania materiałem, uczą skrupulatności, ale nadto chronią od jednostajności w pracach artystycznych, ułatwiając wzięcie się do innego rodzaju. Błędem jest bowiem mniemać, że zdolności w jednym tylko rodzaju rozwijane doprowadzą w nim do mistrzostwa. Jeden zawód, a w nim wszechstronność, to człowieka umacnia, a rozliczniejszemi pracą jego czyniąc, zasłania go od zgubnej manieri w którą się przedzierzgnie nawet istotna oryginalność w jednej stronie więziona. Tę ostatnią myśl nasuwają nam dziesięć mazurów tegoż autora nie do tańca przeznaczonych, o których powiedziawszy że są prawie wszystkie wyborne, dodamy tylko, że duch kujawiaków bardzo silnie w nich się przebija. Ścisłe rzeczy biorąc, mamy prawo żądać w mazurach siły i wdzięku

skocznego, w kujawiakach rubaszości i prostoty. Jednak przeważny przykład Szopena mieszającego dwa te rodzaje tak zresztą blisko zpowinowane z sobą, wiele usprawiedliwia.

Dylletantom wszędzie i zawsze więcej się wybacza, niż ludziom z zawodu przedmiotowi jakiemuś się poświęcającym. Tak też i my zrobimy, wspominając tu o utworach pani P. Fechner, u Hoffmeistera w Lipsku na widok publiczny wyszłych (*) Wymieniamy je z krótkimi nad nimi uwagami: 1) Waryacje z ulubionego krakowiaka; początek wstępu hałaśliwy i bez symetrii; dalszy ciąg miłą rozpoczynający się myślą, niema dla niej równoważnej, sam krakowiak znany powszechnie, przeznaczony niekorzystnie; waryacje z niego bez znaczenia, bez jedności w swych cząstkach i wykończenia pomysłu: słowem, całość się nie udała; 2) „Piérwszy kaprys” we wstępie zaraz uderza zbyt zbytecznym naśladownictwem znanego powszechnie Kaprysu Herza co do zmian ruchu i rodzajów taktu. Pomysł podobny choć tytułem usprawiedliwiony być się zdaje, jest tylko pozorną kaprysu oznaką; ma on być w myśli a nie w jej odzieniu. Osobliwość podobna raz użyta, może za oryginalność uchodzić ale powtórzyć się nie da. Są jeszcze inne szczegóły dowodzące, że autorka ów *Caprice* Herza, uważa za coś bardzo godnego naśladowania, na co się nie zgadzamy. Mimo to ten właśnie Kaprys najlepszy jest z prac pani F.; tak więc pilnującym ładu wstępem, dobrym i oryginalnym tematem w rytmie krakowiaka (którego jednak drugiej części zarzucić trzeba zbyt wyszukania na temat), jak i waryacjami niemającymi wprawdzie cechy oryginalnej przecież dosyć udatnemi. 3) Fantazya i waryacya na temat z Łucyi z Lammermooru niemają potoczności i pod względem pomysłów niższe są od piérwszej nawet z prac autorki tu wymienionych, a równie liczne ma wady. W ogóle mówiąc, nie brak autorce talentu skoro tyle sama przez się zrobić zdołała, bo widocznie brak wszelkiego usposobienia naukowego, koniecznego nawet dla

(*) Wszystkie prace poprzednio wymienione, wydane są w Warszawie.

drobiazgów, jeżeli one do dzieł sztuki policzone być mają. Wprawdzie trudno wymagać nauki od płci żeńskiej, gdy męzka o oświecenie się nie stara: nie brak przecie przykładów. Klara Wieck (dziś Schuman), głośna jest w Europie ze swych kompozycyj świadczących o gruntownej i rozległej nauce; w Belgii imię pani Farrenc stoi zaszczytnie obok imion zasłużonych na polu kompozycyi instrumentalnej (jak kwartet, symfonia i t. p.), że inne przykłady pomijamy. Na znakomitych talentach między kobietami w różnych rodzajach prac artystycznych i nam nie brakowało; sama tylko kompozyca muzyczna prócz Szymanowskiej nie ma drugiej reprezentantki w kraju naszym. Czy p. F. nią będzie, przyszłość pokaże. Tymczasem radzimy jej odrzucić daleko nie już niewolnicze, ale odległe nawet naśladownictwo Herza, Hüntena i wszystkich im podobnych; ich czas już minął, wkrótce minie czas Lisztów, Thalbergów i t. d. Przecież muzyka nie upadnie, gdy bez nich tak długo istniała. Uczucia i potrzeba ich wylania tonami na zawsze pozostaną; one niech będą bodźcem i wzorem, jak są prawdą; przykładów nie brakuje.

J. S.



ROZMAITOŚCI.

*O handlu zamiennym prowadzonym przez Dniepr
na morzu Czarném.*

H*andel zamienny.*

Dniepr posługuje do spławiania na morze Czarne z nadbrzeżnych okolic, tudzież z przyległych rzekom doń wpadającym, wielu produktów w handlu poszukiwanych, a głównie: drzewa do budowli domów i okrętów, oraz opału, dziegciu, smoły, piku, potażu, węgla, przedziw lnianych i konopnych, żelaza, łoju i skór.

Odessa w której wszystkie te produkta łatwy i korzystny odbytek znajdują, ma na handel zamienny. jak dotąd jedną sól, w którą obfitują limany odeskie i dniestrowe, a która z nawiązką może odpłacić wszystkie produkta dla jej nabycia na sprzedaż dostarczane. Dodać zaś do rzeczonoego handlu zamiennego możnaby jeszcze towary kolonialne, wina francuzkie a nawet krajowe, i wiele innych produktów zagranicznych, któreby miejscowa potrzeba w rozciąglejszych wskazała stosunkach, i które często w Odessie na zyskowną spekulacyą nabyćby można (1).

Dotąd cały obrót wzmiankowanych robót zostaje w ręku niedoleżnym, utrzymuje one tylko sama konieczność sprzeda-

(1) Lecz autor powinien pamiętać, że Odessa jest wolnym portem.

ży produktów stron obu, a kierują niemi, że tak wyznać należy, jeno podstępne a zawodne wybiegi mitrężonych wzajemną niewiarą przekupni (1).

Gubernie Dnieprem handel wiodące.

Ziemie mogące korzystać z powyższego handlu z Odessą, zajmują gubernie: chersońska, kijowska, mińska, mohylewska, czernichowska, połtawska, ekaterynosławska i taurycka.

Gubernie: mińska i kijowska dostarczają obficie produktów leśnych, jakoto: maszty, kłody, wańczozy, knice, łaty, krokwie, drzewo opałowe, węgiel, potaż, dziegieć czysty, pik i smoły tak zwane wozową podradową; tudzież na sprzedaż różdrobową, wyroby drewniane do rolnictwa i gospodarstwa, szkło, i inne mniejszej wagi produkta, okolic lasowych.

Mohylewska dostarcza głównie przedziwa konopne, lniane, płótna różnej tkaniny, parusinę i w niewielkich partjach wyroby drewniane do rolnictwa i gospodarstwa, szkło, rohoże, i tym podobne produkta leśne mniejszego obiegu w handlu.

Czernichowska i połtawska spławiają w wielkich ilościach także przedziwa lniane i konopne, płótna niższych wyrobów, oraz jak ekaterynosławska, taurycka i chersońska łoje, skóry, wełny i zboża.

Sprzedaż produktów w handlu dniewnym obieg mających.

W każdym rodzaju sprzedaży, im sprzedawca więcej się zbliży do ostatniego spożywającego jego produkt, tém zyskowniejszy i pewniejszy znajduje odbył. W handlu dniewnym tym punktem głównym i niejako ostatniego spożycia jest Odessa; stąd téż jedynie prawie w tém miejscu pewną sprzedaż i najlepszą cenę otrzymać można. Kijów i Kremieńczuk są tylko portami przekupniemi, gdzie jak spekulanci tak i targ rzadko jest pewny i stały. Mikołajew z powodu ustanowionej tam admiralicyi rządowej, jest miejscem znakomitego potrzebowania drzewa do budowli okrętów.

1) Są przekupnie lecz więcej kupców. Domy handlowe odeckie znane są całej Europie, bo Odessa prowadzi handel z całą południową-zachodnią Europą.

Zastanowimy się nad tak oznaczonym ważniejszymi produktami Dnieprem spławianych odbytem, o ile nam tego zebrane wiadomości, wśród przeszkód kwarantany, w punktach najbardziej interesujących dozwolą; zwracając uwagę głównie na produkt, leśny, handel za nie zamienny i żeglugę dnieprową.

Drzewo używane do budowy okrętów, domów i opałowe.

Maszytę sprzedają na morzu Czarném, acz taniej, ale daleko łatwiej niż w porcie rygskim, gdzie kupcy bardzo są wymyślni w ich brakowaniu, i te które tam nie były przyjęte, mogą być poszukiwanymi na morzu Czarném.

W Kijowie i Kremieńczuku kupują maszytę długie od 12, do 14 sążni, a grube na 7 werszków; używane są one do barek, bajdaków i łódek. Ceny średnie a bliższe minimum (1), tak uważać można:

W Kijowie od r. as. 22 do 25.

W Kremieńczuku — 30 — 35.

Maszytę prowadzone przez Cherson do Mikołajewa i Odessy, bywają oprócz wyżej wskazanego rozmiaru długości od 60 do 90 festów (fest znaczy 12 decymów czyli cali angielskich), a grubości uważanej w dwóch miejscach, raz od koma i ta powinna być od 20 do 28 d.

Drugi raz u wierzchu 12 — 20 d.

Cena średnia, hurtowa na sztuki, oznaczonych rozmiarów, w partyi złożonej z większej części mniejszych, bez wielkiego doboru gatunku r. as. 128, 25 za sztukę.

Maszytę zaś od 75—78 do 90 festów długie i stosownie grube z dobrego sosnowego drzewa, płacą hurtownie, uważając cenę bliższą minimum od r. as. 400 do 450.

Sprzedaje wedle tych cen hurtowe odbywają się w Mikołajewie; częściowo zaś i drożej zbywać można w Chersonie i Odessie, gdzie najwięcej maszytę do statków tak zwanych łódki, są potrzebowane. Płacą je od 50 do 80 i 100 r. as. za sztukę; rozmiar ich wyżej oznaczony.

(1) Wszystkie ceny produktów średnio tu obliczane, są brane z bliższych minimum.

Spodziewane wolne wyprowadzanie drzewa przez morze Czarne za granicę, wpłynie zapewne na podniesienie tak tego, jak i innych materiałów leśnych.

Kupcy chętniej kontraktują las usposobiony do sprzedaży przez obdarcie na wiosnę z kory, i tak zostawiony przez lato a jesienią rąbany.

Kłody sosnowe są używane następujących rozmiarów:

Ceny na minimum:		w Kijowie	w Kremieńczuku.
Dł. 10 ar. gr. 10 do 11 i 12		w r. as. 4 do 5½.	r. as. 6
— 12 — 8 — 9		— 3,50 do 4.	— 4,50
— 12 — 10 do 11 i 12		— 5,25.	— 6,50
— 18 — 8 — 9		— 6	— 6,50 do 7
— 18 — 9 — 10		— 6½ do 7	— 7 do 7,25
— 24 — 7 — 8		— 6½ do 7½	— 7,50 do 8
— 27 — 6 — 7		— 7½ do 7¾	— 8 do 8,25

Grubość kłód bierze się rozmiarem średnicy w końcu cieńszym.

W Mikołajewie i Odessie kłody sprzedają na sążnie.

W Mikołajewie cena r. as. 1,80 bliż. minimum.

W Odessie..... 2½.

Sosny najlepiej płacone zowią po rusku łutycia, a ze wszystkich kłód wyżej oznaczonego rozmiaru, najposzukiwańsze są, zwane szesteryk, to jest, mające arsz. 18.

Wiele zależy na doborze gatunku kłód, bo to i ułatwia sprzedaż, i zyskowniejszą ją czyni. Jestto powszechną uwagą, której zawsze można trzymać się w handlu, iż na jakim bądź produkcie lub towarze spekulując, najbezpieczniej jest, acz droższych w kupnie, trzymać się pierwszych gatunków.

Nie można zakładać dobrej spekulacji na kłodach mniejszego rozmiaru jak od 9 do 10 ars. dł., bo takie mało są potrzebowane.

W formowaniu partyi kłód czyli pletów, uważać należy żeby sztuki mańróżnej wielkości łączyć, bo chybając temu warunkowi, zwykle się traci na sztukach większego rozmiaru.

Wańczosy (spycku) i knice spławiają na nich dębowe nieobciesane kłody, trzymające tylko żądane rozmiary. Odbyt

na nie dopiero w Odessie a więc w Mikołajewie, stałym uważać można. Rozmiary żądane są następujące:

Dł. 22 do 30 festów, sz. 16 do 20 d. gr. 12 do 14 d.

— 24 — 30 — — 14 — 18 — 12 — 14 —

to są wańczosy pospolitsze i hurtownie przedawane.

Drugi rozmiar:

Dł. 30 do 34 festów, sz. 18 do 20 d. gr. 14 do 15 d.

— 20 — 30 — — 14 — 16 — 12 — 14 —

sąto gatunki w mniejszej potrzebowane ilości.

Ceny wańczosów, wyżej wzmiankowanego i ostatniego rozmiaru, w Mikołajewie uważają hurtowo, i razem w partyach kupują od r. as. 1,40 do 1,60 za fest.

W Odessie sprzedaż mniej hurtowa. Wańczosy pierwszego rozmiaru mają cenę na minimum r. as. 1,50 do 1,60 za fest, a drugiego rozmiaru r. as. 1,80 do 2, za fest.

Kupują często w Odessie licząc długość na sążnie, i stosując do tej miary cenę: w Mikołajewie zaś zwykle na festy.

Trzeci rozmiar jedynie w Mikołajewie, wraz z pierwszymi dwoma w partyach do budowli wielkich statków wojennych potrzebowany jest.

Dł. 32 do 44 f. sz. 35 do 40 d. gr. 20 do 26 d. poguba 12 d.

— 20 — 30 — 20 — 25 — 16 — 20 — 3 do 15.

Jeżeli tego ostatniego rozmiaru wańczosy wchodzi do party zakontraktowanój, cena cali stosowana zawsze do ogólnej ilości festów, drożeje znacznie i uważać ją można bliższą minimum r. as. 1,70 do 1,75.

Knice mają ten rozmiar:

Dł. w stopie 12 do 18 fest. sz. 18 do 24 d. gr. 16 do 18 d.

Gałąż (wiet.) dł. 5 do 9 fest. gr. 14 do 16 d.

Dł. 7 do 15 fest. szer. 16 do 20 d. gr. 11 do 13 d.

Gałąż (wiet.) dł. 4 do 6 fest. gr. 10 do 12 d.

Płacą za nie w Mikołajewie, gdzie jedynie na nie do wielkich statków pokup r. as. 1,40 do 1,60 za fest.

Drzewa opałowe zwykle są używane olszowe i jesionowe; drugie mają wielką wyższość nad pierwszymi w cenie i łatwości sprzedaży; im są z grubszych sztuk klute, tym poszukiwansze.

Ceny na nie uważane w lecie, bliższe minimum są:
za sążęń olchowych w Kijowie r. as. 8 do 11½ w Kremień. r. as. 14
— jesionowych — — 9 do 12 i 13 — — 15.

Odessa wielką ilość spożywa. Ceny tam dochodzą niekiedy (sprzedając rozdrobno po sążniu) w środku i pod koniec zimy do r. as. 100. Średnie zaś hurtowniejsze, pod jesień uważać można za sążęń drzew jesionowych r. as. 40 — 50
— — olchowych — 20 — 35.

Pomienione dotąd materiały, stanowią handel hurtowy, a z nich największą ilość kłód sosnowych spieniężać można.

Nie należy spławiać drzewa obrobionego czyli przygotowanego do użycia, bo trudno bardzo w tém dogodzić woli kupca i to jest przyczyną, że lepiej spławiać kłody jak tarcice. Ten przeciwny obudwóch stron dogodności rachunek praktykowany dotąd, pochodzi jedynie z wybiegów przekupni, którzy handlem władną, i sami zakładają zyskowną spekulacją na rozpiłowywaniu kłód. Właściwie zaś rzecz uważając, łatwo dostrzedz, że jak wyrobnik tak i wyrób mniej kosztują w ludniejszych lasowych guberniach, niżeli w stepowych ten las spożywających. Pomimo to jednak, podstępny przekupni potrafią pozbawiać korzyści z tego względu i pierwszego właściciela produktu, i ostatniego takowy spożywającego. Powinnyby te uwagi przynaglić niejako właścicieli ziemnych do nadania nowego i pewniejszego kierunku przemysłowi, w którego pośrednictwie ze sprzedaży swoich produktów jedyne mają źródło dochodów.

Odbyt mniejszej skali tylko znajdują następujące materiały drewniane:

Krokwie następujących rozmiarów:

Dł. 9 ar. gr. 3½ w. Cena w Kijowie za sztukę					
	kop. as. 40 do 45,	w Kremieńczuku	kop. as. 50		
— — — 4	— 55	— —	— 60 do 65.		
— 12 — 4 do 5	— 85 do 90	— —	r. as. 1.		
— — — 3½ do 4	— 65 do 70	— —	k. as. 70 do 75.		

Łaty następujących rozmiarów:

Dł. 9 ar. gr. 1½ do 2. Cena w Kijowie za sztukę				
	kop. as. 16 do 20,	w Kremieńczuku	k. as. 18 do 20	
— 12 — —	— 30	— —	— 30 — 35.	

Klepka dosyć jest hurtowego obiegu w handlu dniewrowym, atoli dotąd na spożycie tylko szła krajowe, nie mając jak inne materyały drewniane, odbytu za granicę, któryby znacznie podrożył jej cenę.

Rozmiary żądane są:

Dł. 2 ar. 3 w. gr. $\frac{1}{2}$ w. sz. 4 w.

— $2\frac{3}{4}$ ar. — $1\frac{1}{2}$ w. 4 do $4\frac{1}{2}$ w.

Przedaż w Kremieńczuku jako i w Kijowie liczy się zwyczajnie na beczki; 20 klepek jednego z powyższych rozmiarów do których trzeba dodać 2 dna i 14 obręczy, zowią beczką.

Beczka taka klepek pierwszego rozmiaru, ma cenę w Kijowie r. as. 3 w Kremieńczuku 4,50 do 5.

W Odessie przedaż beczki pierwszego rodzaju r. as. 4,50 do 5

— — — drugiego rozmiaru — 5 — 7

Węgle spławiane Dnieprem zsypywają w dwie wielkie rohoże zszyte, mieszczące $1\frac{1}{2}$ cz. Dwa są gatunki, jeden tak zwany samopał, drugi majdannoj lepszy.

Kul $1\frac{1}{2}$ cz. samopału, cena w Kijowie k. as. 95 do r. as. 1

— — w Kremieńczuku r. as. 1 — — 1 k. 10.

Kul $1\frac{1}{2}$ cz. majdannego, cena w Kijowie k. as. 1,45.

— — w Kremieńczuku 1,50 do 1,55.

W Odessie na krokwie, łaty i węgle odbył także daleko zyskowniejszy niż w Kijowie i Kremieńczuku.

Ceny w Odessie na *krokwie*:

Dł. 9 ar. gr. $3\frac{1}{2}$ w. sztuka k. as 65 do 85 i r. as. 1.

— 9 — 4 — — 70 — 90 — 1,10

— 12 — 4 do 5 — r. as. 1,25 — 1,50 — 1,70

— — $3\frac{1}{2}$ do 4 — k. as. 85 do r. as. 1 — 1,20

Na łaty:

— 9 — $1\frac{1}{2}$ 2 — k. as. 70 do 80.

— 12 — — — — 80 — 85.

Krokwie i łaty powinny być na miejscu w miarę obcieszane. Ceny w Odessie na węgle które przedażą ua czętw. dochodzą od r. as. 2,50 do 3 i 4 stosownie do gatunku.

Rozdrobówce zaś tylko przedaże, i powolniejsze niż na wszystkie inne materyały leśne, znajdują następujące wyroby drewniane:

Obody berestowe. Stan. Cena.

W Kijowie r. as. 2,50, w Kremieńczuku r. as. 2,50 do 3.

Osie jesionowe sztuka.

W Kijowie k. as. 20 do 55, w Kremieńczuku k. as. 25 do 30.

Drążki brzożowe.

W Kijowie k. as. 20, w Kremieńczuku k. as. 20 do 25

Łuby.

Dł. 3 1/2 ar. sz. 16 w. Sotko. r. as. 28 do 30 r. as. 35 do 37.

— 4 — — — — 35 — 40 — 45 —

W Odessie te wyroby drewniane następujące mają ceny przy częstkowej i powolnej sprzedaży:

Obody berestowe stan r. as. 3 do 3 1/2

Osie jesionowe sztuka k. as. 30 do 35 i 40.

Drążki brzożowe sotko r. as. 45 do 55 i 60.

Łuby dł. 3 1/2 ar. sz. 16 w. sotko 45 do 60.

— — 4 — — — 60 do 70.

Potaż. Potaż byłby pokupniejszym, gdyby w małych szczelnie spojonych beczkach był pakowany, tak, żeby od przystępu powietrza był ochroniony, a beczki nie przenosiły wagą 20 pudów.

W Kijowie i Kremieńczuku niema prawie na ten przedmiot spekulantów; dostawiony do Odessy znajduje średnią cenę od r. as. 6 do 9. Wyrabiany z drzewa ma zawsze pierwszeństwo nad wyrabianym ze smoły, i różnica w cenie do r. as. 2, dochodzi. Dobroć gatunku oceniają tak w miejscach wyrobu, jak w Odessie po większej części przez smak ostry i kolor seledynowy; używają jednak niekiedy w Odessie i przy sposobionego narzędzia do okazania stopni ile trzyma potaż.

Smola wozowa, rodówka, dziegieć czysty i pik.

Smolę wozową sprzedają na beczki 18to werszkowe, która ma długości 36 w. a gr. czyli średnicy dna 18 w. środkowa grubość bywa różną i w miarę jak wskazuje ilość smoły, zmniejsza lub powiększa cenę beczki.

W tym roku ceny smoły tak wozowej jak rodówki, piku i dziegiu czystego, bardzo podrożały z powodu wielkiego potrzebowania.

Ceny te które dochodziły maximum, były: na *smołę wozową* w Kremieńczuku za beczkę 18 w. r. sr. 25½, w Kijowie r. sr. 18 do 19; średnie zaś ceny są, za beczkę 14 do 15 r. sr. w Kijowie r. sr. 11 do 11½.

Na *rodówkę* za pud r. as. 1,25 do 1,30, w Kijowie r. as. 1. średnie ceny za pud r. as. 1, w Kijowie r. as. 0.60.

Na *dziegieć czysty* za beczkę 16 w. w Kremieńczuku r. as. 250, w Kijowie r. as. 180 do 200.

Średnie ceny w Kremieńczuku r. as. 150 do 200, w Kijowie r. as. 120 do 140.

Na *pik*, w Kremieńczuku r. as. 6—6½ do 7, w Kijowie r. as. 2½ do 4½.

W Odessie ceny były:

Pik za pud r. as. 7, średnie zaś są r. as. 3,50 do 4½ i 5.

Dziegieć czysty 5½ do 6½ i 6¾ — 4¾ do 6.

Smola wozowa 2½ do 3 — — 1,80 do 2 i do 2,25.

Rodówka 2¼ do 3 — — 1,50 — do 1,80.

W Mikołajewie ceny podradowe niższe były od praktykowanych wolnych sprzedaży.

Pik za pud r. as. 2,50.

Dziegieć czysty — 2,40.

Ikrianka — 1,78.

W Odessie znaczne ilości wyżej wzmiankowanego produktu spieniężać można, ale w odbycie powolnym kupna hurtowe są rzadsze. Ceny zaś zwykle dogodniejsze niż w innych wyrażonych punktach, gdzie także bez zawarcia poprzedniczo kontraktu trudno mieć hurtowego kupca.

Płótna. W Kijowie sprzedają się po większej części proste o 10, 12, 13 i 14 a niekiedy 16 pasmach; dostarczają onych z gubernii czernichowskiej, kijowskiej i mohilewskiej. Ceny na te płótna jedne są prawie zawsze w Kremieńczuku i Kijowie. O pasmach 10 arszyn k. as. 20 do 21.

12 — — 24 —

14 — — 26

16 — — 32 do 34.

Do Kremieńczuka dostawiają *parusinę* najwięcej z gubernii mohilewskiej, z kąd ona przychodzi do Mikołajewa i Odessy. Sprowadzają też ją do tych portów i z jarmarku w Romnym na *Ilja*.

W Mikołajewie odbył na podrad w Odessie, na spożycie miejscowe i znaczny wywóz za granicę, do którego też dołączają płótna proste, mające tę cenę w Odessie:

o pasmach 10 arszyn, k. as. 24 do 26

— 12 — — 26 — 29

— 14 — — 29 — 32

— 16 — — 34 — 40

W sprzedażach hurtowniejszych cena *parusiny* w Kremieńczuku. Nr. 1 sztuka dł. 50 arsz. sz. 16 w. r. as. 54 do 57

— 2 — — — — 53 — 56

— 3 — — — — 43 — 45

— 4 — — — — 42 — 43

Brezenduk (Rawentuch) — — — — 18 — 19

Flamandzkie płótno (Flamskoie połotno) 24 — 33 — 34

W Odessie.

Nr. 1 sztuka dł. 50 arsz. sz. 16 w. r. as. 59 do 60 $\frac{1}{2}$

— 2 — — — — 55 $\frac{3}{4}$ — 58 $\frac{1}{2}$

— 3 — — — — 47 — 48

— 4 — — — — 44 — 46

Brezenduk — — — — 22 — 25

Flamandzkie — — — 24 — 35 — 36

Przędziwa konopne, lniane i liny, dostawiają w wielkich partyach z czernichowskiéj, a bardziej z mohilewskiéj i półtawskiéj gubernii. Liny nie mają tyle hurtowego w handlu obiegu, bo raczej tylko na krajowe idą spożycie a za granicę z Odessy przedziwa najwięcej konopne wywożą.

Ceny bliższe minimum są:

w Kijowie

Za pud konopi r. as. 2 $\frac{1}{2}$ do 3 $\frac{1}{4}$

— lnu — 3 do 5

Liny nie smolone r. as. 3 do 3 $\frac{1}{2}$

— smolone — 3 $\frac{1}{2}$ do 4

w Kremieńczuku.

r. as. 3 do 4.

— 3 $\frac{1}{2}$ do 6.

— 4 do 5.

— 4 $\frac{1}{2}$ do 5 $\frac{1}{2}$.

W Odessie ceny średnie bliższe minimum:

Pud konopi r. as. 3 $\frac{1}{2}$ do 7.

— lnu — 4 do 8 $\frac{1}{2}$.

Lin niesmolonych r. as. 5 do 6.

— smolonych — 6 do 8 $\frac{1}{2}$.

Łoje i skóry dostarczają gubernie: półtawska, taurycka, ekaterynosławska i chersońska; stanowią one główny ich dochód, a prowadzą niemi hurtowy handel z Odessą. W Kremieńczuku zawsze wielkie ich zapasy znaleźć można, które wiosną splawiają do Odessy. Po większej jednak części po ukończeniu sałhanów, dostawiają łoje i skóry łądem: i to jest czas w którym najtaniej je na miejscu można kupować. Kijów w tym względzie jest tylko punktem miejscowego spożycia, a ceny rzadko się tam różnią od kremieńczuckich.

Blizsze minimum ceny są: w Kremieńczuku, w Odessie.

Pud łożu wołowego.....	r. as. 5 $\frac{1}{2}$ do 6 $\frac{1}{2}$	6 $\frac{1}{2}$ do 9.
— wołowego z krowim —	4 $\frac{1}{2}$ — 5 $\frac{1}{2}$	6 — 8.
— owczego.....	4 — 4 $\frac{1}{2}$	6 — 7;

Skóry suche sprzedają na pudy, świeże na sztuki; kupowane na sztuki zwykle są z czterołatek i ważą od funtów 30 do puda.

Ceny w Kremieńczuku:

Za pud wołowych i krowich w hurt, r. as. 5 $\frac{1}{2}$ do 6.

— — za sztukę — 5.

W Odessie robią więcej doboru: wołowe osobno, i krowie osobno kupują. Cena wołowych za pud r. as. 7 do 12 $\frac{1}{2}$, krowich r. as. 6 do 10.

Żelazo. Kijów, Kremieńczuk i Odessa, są trzy punkta gdzie zawsze zamożne znajdują się składy tego produktu; pierwsze dwa są miejscami krajowego spożycia, trzeci zaś ma oprócz tego wielki odbyt za granicę. Ceny we wszystkich trzech często prawie nie mają różnicy; w Odessie atoli bywają niekiedy droższe w czasie wielkiego potrzebowania za granicę, a odbyt zawsze jest najhartowniejszy.

Co do gatunków najwyżej kładą żelazo sybirskie; dostarczają zaś onego mianowicie z rud sybirskich, z Brańska nad Desną i z fabryk rządowych w Rostowie i Bachmucie.

Średnie ceny żelaza w sprzedażach hurtowych są:

W szynach *położnoie* pud r. as. 5 do 6.

W zbitkach *riežnoie*. — — 4 $\frac{1}{2}$ do 5.

Używane do statków <i>baltowe</i> pud r. as. 4½ do 6.	
W blachach na dachy	— — 9.
— kotły	— — 10.
Ćwieki	— — 8 do 10.
Czuhun	— — 3 do 4.

Kotwice przedawała admiralicya w tym roku w Mikołajewie i Chersonie ważące pudów 5 po r. as. 70 k. 60, a większej wagi kotwice w stosownej proporcji.

W fabrykach rządowych rozdzielają żelazo na dwa główne gatunki i liczą cenę w rządowych rachunkach:

Za pud położnego	r. as. 2.
— sortowego	— 4.

Transportują zwykle zimą żelazo łądem do Kijowa, Kremieńczuka i Odessy z fabryk tym miejscom najbliższych; wiosną spławiają niekiedy żelazo Dnieprem do Kremieńczuka i Odessy.

Sól odeska, akiermańska i krymska. Odeską zbierają na limanach pod Odessą, akiermańską na limanie dniestrowym pomiędzy Akiermanem i Owidyopolem; pierwsza lżejszą jest od drugiej; wychodzi jęj na korzec 32 garn. pudów 7¼, akiermańskiej pudów 7½ do 7¾. Oba te gatunki soli można mieć zawsze tanięj, uważając jednoczasowe ceny, niżli sole krymskie dostarczane z Perekopów. Najdogodnięj odeską i akiermańską albo zbierać na limanach, lub co snadniejsza nabywać z pierwszjęj ręki; pud tym sposobem wyniesie kosztu pierwotnego w średnim rachunku k. as. 8, do których należy dodać 6 k. as. podatku.

Niema podobne zyskownego rachunku na kupowaniu soli w Perekopach, którą rząd sam zbiera i sprzedaje na miejscu pud po k. as. 80 którego bądź gatunku, luboć kuatka niżęj jest uważana od starozierki i krasnosierki. Najlepięj kupować sól w Odessie w końcu lata, w Perekopach zaś jedna zawsze cena.

Transport lądowy do Kremieńczuka, łatwiejszy jest zpod Odessy dla znajdującęj się tak znacznej ilości podwód, które dostawiwszy do Odessy pszenicę, szukają najmu. Średnio ceniąc koszt dostawy zpod Odessy do Kremieńczuka wyniesie

k. as. 30 do 40, z Perekopów do Kremieńczuka 40 do 60, z Odessy do Kijowa k. as. 60 do 80, z Kremieńczuka k. as. 25 do 35 i 40, a z Perekopów k. as. 80 do r. as. 1,20. Transportując sól bądź z Odessy bądź z Perekopów do Kremieńczuka, odliczają czumakom na ubytek $\frac{1}{2}$ %.

Jeżeli sól z wozów na bajdaki ładują, wówczas nie się nie odlicza na ubytek, i pospolicie ładujący ją znajduje jeszcze przy oddaniu zarobek.

Jeśli sól z magazynów na bajdaki ładują, zostawia się na ubytek na spławianiu, stosownie do umowy najwięcej 2%.

W Kremieńczuku najmują pospolicie magazyny do składu soli z drugiej strony Dniepru w Krukowie. Termin najmu zwykle bywa półroczny i roczny. Magazyn mieszczący sto tysięcy pudów, może kosztować rocznie średnio ceniąc r. as. 125 do 150. W Kijowie podobny najem magazynu będzie kosztował r. as. 150 do 180.

Uwaga o Kijowie. Handel soli zyskowniejby było obrócić na Kijów, bo do Kremieńczuka dwa razy tylko na rok, a do Kijowa trzy razy mogą iść bajdaki; a że każda od schodka puda soli liczona przynosi k. sr. 77 frachtu, więc każdy bajdak dałby zysku na frachcie $\frac{1}{3}$ więcej, jak zwykły posyłając go do Kremieńczuka: co już wynagodziłoby powiększenie kosztu transportowego lądem około werst 150, a oprócz tego na kupno lub pobudowanie bajdaków i opłatę flisów, o $\frac{1}{3}$ zmniejszyłby się kapitał wkładowy, a następnie hurtowniej większymi partjami odbywałyby się spekulacye, do czego posługiwałoby ustanowienie magazynów soli w Kijowie, przez co ten punkt możnaby zrobić niejako pośredniczym w handlu zamiennym.

Zegluga dniewprowa, aż do pierwszego proggu zwanego Starokajdak o 12 werst poniżej Ekaterynosławia nie doznaje żadnej przeszkody. Od Czerkas lubo zaczyna się dno skaliste, ale nie zagraża niebezpieczeństwem.

Progi dniewprowe zaczynając się jak wyżej powiedziano od Ekaterynosławia, ciągną się werst 65, a od ostatniego liczą werst 380 do chersońskiego limanu. Można je rozdzielić na dwa rodzaje: jedne właściwie zwane progami, gdzie skały na znacznej pochyłości rzeki nadają wodzie bieg wirowy i kręty;

drugie mniejsze, które są raczej spadami wody (1). Jest takich zawad w żegludze zwanych progami trzynaście: 1. Starokajdak. 2. Surskoy. 3. Łachanckoy, są właściwemi progami; 4. Strieleza jest tylko spadem wody (2). 5. Żwaniecki, 6. Nienasyteć, progi. 7. Kriwaja, 8. Woronowa, spady wody. 9. Budiławskoj. 10. Wolnigskoj, 11. Lichny, 12. Wilny i 13. Dwa rozbojnika, progi (3). Największej przytomności sternika wymagają *Nienasyteć* i *Dwa rozbojnika*. Zrobiony kanał na omijanie Nienasytecia, zaledwo małym barkom służyć może; tak jest wązki i trudne jest do niego wejście, z powodu, że nie jest do niego nakierowany bieg wody. Dwa rozbojnika jestto nagłe załamanie rzeki na znacznej pochyłości pośród skał w kącie prostym (4). W Starokajdakach są włościanie skarbowi Łozmanie, których jedynym obowiązkiem jest pilnować bezpieczeństwa przeprawy przez progi. Tak wszelkim spławom partykularnych jak rządowym powinni dawać pomoc; są nad nimi mianowani od korony dozorecy, których dyrektorem jest podpułkownik mieszkający w Starokajdakach. Ci Łozmanie są bardzo zręczni i znają doskonale położenie wszystkich skał progowych; powinni towarzyszyć spławom partykularnych bezpłatnie, atoli zwykle dają im gratyfikacye i starają się obowiązać dyrektora nadzoru, aby ludzi trzeźwych i doświadczonych przeznaczył do steru przeprawy.

Przy zachowaniu właściwej a wyżej wzmiankowanej ostrożności i w czasie wód w miarę wysokich, żegluga nie przedstawia niebezpieczeństwa nie do uniknienia; pora dla niej przyjaźniejsza najczęściej bywa w czerwcu i lipcu. W tym czasie Katarzyna II, w towarzystwie Potemkina przebyła progi bez najmniejszego przypadku. Jeden z Łozmanów, który statkiem tę monarchinią niosącym sterował, dotąd jest między

(1) Właśnie na większych progach daje się widzieć spad wody, na mniejszych sterczą tylko skały. M. P.

(2) Nie spad, lecz zapora. M. P.

(3) Liczba i nazwiska progów są mylne, jak nota przy końcu tego artykułu położona wyjaśnia. M. P.

(4) Takie załamanie podług mapy daje się widzieć u progu Budyłowskiego. M. P.

dozorcami przeprawy w stopniu oficera od Katarzyny otrzymanym. Barki i bajdaki ładowane różnemi produktami, przebywają bezpiecznie (1) progi przy zachowaniu właściwej ostrożności.

Utrzymywano dotąd, że dla uczynienia Dniepru spławnym, potrzeba koniecznie siłą prochu wszystkie progi oczyścić, co jak trudną do przedsięwzięcia pracę, tak nadzwyczajny koszt przedstawia. Od czasu założenia w Rosyi korpusu inżynierów wodnej komunikacyi, dowódcy takowej, generałowie Derolant, Bethancour i terazniejszy k. Wirtemberski próżno szukali sposobów, załatwiających oczyszczenie wszystkich skał progowych siłą prochu, i zawsze zrażali się niezmiernym na to nakładem; podpułkownik Sziszof przedstawił teraz w tym celu następujący projekt, potwierdzony przez cesarza.

Naznacza on za jedyną przyczynę niebezpieczeństwa przebycia progów wiatry, bez których zręczny sternik potrafiłby wszystkie ominąć skały. Dla zaradzenia téj niedogodności i zapewnienia żeglugi, doradził on zrobić groblę ze skał teraz progi składających, a pierwój siłą prochu z wody wyrwanych, z prawego brzegu rzeki o 8 sążni od ziemi odległą, szeroką u podstawy na sążni 14, u wierzchu sążni 2, a wysoką sążni 4. Ta wysokość w czasie najwyższego wezbrania, o pół arszyna będzie wodę przenosić i zastaniać od wiatru. Z obu stron téj grobli na sążni 8, wszystkie skały w rzece będą siłą prochu oczyszczone, a przed nią będzie druga z nią złączona, służąca do skierowania pędu wody w miejsce żądane. Grobla taka ma być na każdym progu i ubezpieczyć żeglugę w dół.

Dla zapewnienia zaś żeglugi w górę Dniepru przez progi jest projekt zrobienia z lewej strony rzeki kanału przy każdym progu (2), opatrzonego w śluzy, a przed każdym takim

(1) Nie życzyłbym nikomu takiego bezpieczeństwa. *M. P.*

(2) Takie kanały już są oddawna zrobione przy kilku progach. Przy Nienasyteckim wykopano kanał jeszcze za cesarzowej Katarzyny. Lecz niestety! sposób ten niewiele temu zaradził. Na tym kanale stoi teraz młyn. *M. P.*

kanalem grobli kierującej doń pęd wody, koszt ułatwienia żeglugi w dół ma wynosić r. as. 1,200,000, na ułatwienie zaś żeglugi w dół i górę razem 4,500,000. W spławianiu dniewnym uważać należy najprzód na dobór biegłych i trzeźwych flisów: zalecają pospolicie białoruskich. Przybywszy do progów, trzeba, uzyskać od dyrektora téj przeprawy rozkaz, przeznaczający do niéj, w pomoc swoim flisom biegłych i trzeźwych łozmanów, których osobno ująć należy nagrodą, po przeprawie zapewnioną (1). Powszechnie jest zdanie, iż niebezpieczeństwo téj żegludze dalekoby mniej zagrażało, gdyby sternicy w czasie jéj trwania byli trzeźwi.

Spławiając drzewo w płotach; trzeba pilnować aby wiązanie było jak najporządniej i jak najmocniej wykonane, bo często jest to przyczyną, tak straty drzewa, jak narażenia życia sterników, czego mianowicie doświadczoneo niedawno.

Przeznaczając statki do przeprawy progów, należy zawsze przekładać bajdaki nad barki, albowiem pierwsze cenniejsze są w użyciu za progami. Toż samo zajmujących się dotąd handlem dniewnym, czasowych więcéj, niż ciągle spekulujących przekupni statki, przeprowione przez progi, zdają się tracić swoją wartość, albowiem zbywają je za bezcen. W tym roku choć lepiej niż dawniej były płacone, przedawano nie drożej barki liczące od 5 do 10 tysięcy pudów, jak za r. as. 80 do 100, a bajdaki od 10 do 20 tysięcy pudów za r. as. 400 do 700; co w spekulacjach stałych i ciągłych, do jakich wzmiankowany handel zamienny prowadzi, inaczejby być powinno. Bajdaki przeprowione za progi, byle dobrze były zbudowane, mogą być używane do transportowania z Chersonu do Mikołajewa i Odessy produktów leśnych, takiego transportu wymagających, tudzież do dostawiania zboża do tychże punktów

(1) Żaden z flisów nie siedzi w barce czyli bajdaku; wszyscy uciekają. Zostaje tylko sam łozman czyli sternik z Kajdaku lub Kamieni, jak bohater jaki. Siedzi lecz nie kieruje, ponieważ statek w mgnieniu oka przebiega spadek kilkuset sążni, pędzony gwałtownym pędem wody. Z początku tylko potrzebuje on kierunku, żeby natrafić na *farwater*, a potem już trzeba się spuścić na los szczęścia.

M. P.

z portów dniewprowych poniższych progów, a mianowicie Nikopola. Bywają jeszcze przeznaczane do żeglugi do poblizszych Odessy portów morza Czarnego, a fracht w tych miejscach daleko więcej daje zysku, niżeli powyżej progów (1). Jeżeli zaś spekulant mogący odnieść taką z bajdaków korzyść, zażąda je sprzedać, inną otrzyma cenę, niżeli czasowy przekupień, który nie mogąc mieć lepszego użytku, musi brać co mu dają.

W handlu zamiennym, sprzedaż produktów leśnych i nabycia za nie soli wielką jest posługą dla spekulanta; prócz innych korzyści i z tego względu są swoje bajdaki, że nie mając tych, niepodobnaby mu było prawie znaleźć wolnych do najęcia na przeprawę produktów w dół przez progi, a prowadząc znowu sól na podwodach powyżej progów do ładowania na bajdaki, musiałby cały obrót swój spekulacyi do czasu w którymby takowe wolnemi do najęcia zastał, stosować: coby nie raz mitrężyło jego roboty. Mając zaś własne bajdaki, oprócz uniknienia powyższych niedogodności, możnaby jeszcze i na tém korzystać, że przeprawiwszy je raz przez progi, za ich pomocą zmniejszaćby można transport lądowy soli z Odessy dostawiając ją aż pod Kiczkas, gdzie jest ostatnia zawada w żegludze, a transportując lądem tylko przez rozległość progów, to jest werst 65, pod Ekaterynosławiem na nowe ładować bajdaki.

*Wiadomość o progach dniewprowych, udzielona przez
M. Pawliszczewa.*

O progach dniewprowych mamy nieprzerwany szereg wiadomości, zaczawszy od X wieku. Konstantyn Porfirogenit pierwszy je opisał; później wspominają o nich różni latopisarze małosyjscy. W XV wieku opisane są w książce zawié-

(1) Fracht ten często wraca w jedném lecie kapitał wkładowy bajdaków i łódek.

rajacéj najdawniejszą hydrografią rossyjską. Beauplan zaś mówi o nich w 17 wieku. Od tego czasu wiadomości te zostały już zupełnie wyjaśnione. Najdokładniej wszakże i ze wszelkimi szczegółami opisano je w Zarządzie komunikacyi dróg i wyobrażono na karcie hydrograficznój, którą i ja także otrzymałem zwiedzając w roku 1843 wspomniane progi.

Progi, sąto gromady skał, przegradzające wpoprzék rzekę Dniepr od jednego brzegu do drugiego. Niektóre z nich co zajmują tylko część koryta rzeki, tojest sterczą nie na całej szerokości rzeki, nazywają się przegradami.

Spad wody, jest na każdym proggu, na większych silniejszy, na przegradach małoznaczący: w ogólności Dniepr w przestrzeni 65 wiorst i 276 1/2 sążni, spada czyli zniża się do 20 sążni i 2 stóp. Wołospadów czyli kaskad niemasz. Na największym proggu, Nienasyteckim, Dniepr zniża się prawie na dwa sążnie, nie odrazu jednakże, lecz na przestrzeni 400 sążni.

Podług karty hydrograficznój, na miejscu przemennie sprawdzonój, taka jest liczba i nazwisko progów dniewprowych:

- I. Staro-Kajdacki, lub prosto Kajdacki.
 1. Wołoszynowa przegrada.
- II. Surski.
- III. Łochański.
 2. Strzelecka przegrada.
- IV. Zwoniecki.
- V. Techniński.
- VI. Nienasytecki, największy prawie na połowie całego ciągu progów.
 3. Woronowa przegrada.
 4. Krzywa przegrada.
- VII. Wołnicki lub Wownicki.
- VIII. Budziłowski.
- IX. Liszny (t. j. zbytuczny).
- X. Wilny (t. j. wolny).

Tu z jednój strony wieś Łanowa, z drugiej zaś wąwóz Gadiucza-batka, i progi się kończą: o 7 wiorst dalej, leżą po obu brzegach Dniepru wsie Kiczkas i Pawło-Kiczkas.

Jeżeli będziemy liczyć przegrody, a liczyć je należy bo istotnie są one równie progami, mianowicie Wołoszynową, wcale nieustępującą Surskiemu progowi, w takim razie wszystkich progów będzie 14; bez przegród zaś, jest ich tylko 10.

Nazwiska Dwóch rozbójników nie znalazłem w źródłach historycznych; być może, że je wzięli z jakiegokolwiek dumy zaporożskiej lub hajdamackiej, w które jest tak bogatą Ukraina. Jednakże nie jest ono wcale znanem teraźniejszym tamtejszym mieszkańcom.

Reakcja w muzyce spodziewana.

Tyle już rozprawiano o wpływie muzyki na ludzi w ogóle i na kształcenie człowieka z jej pomocą w szczególe, że powtarzać to wszystko byłoby zbyt rzeczą. Kto z uprzedzeniem do przedmiotu, do rozważania jego się bierze, temu zawsze wypadek badań, zgodny z pierwszym usposobieniem się okaże, bo niema ślepszyc nad tych, którzy widziéć nie chcą. Rzecz jednak uderzająca i bolesna zarazem, słyszeć wyrazy lekceważenia jednéj ze sztuk z ust ludzi ukształconych, innym sztukom winny hołd niosących. Według nich malarstwo, snycerstwo, poezya, stanowią tryumwirat w wyłącznym posiadaniu środków zawładnięcia sercami ludzkimi będący; a w potocznej mowie, artysta, znaczy malarza tylko, rzadziej snycerza; za to w zastosowaniu szczegółowym i dentystę znaczyć może. O architekturze niewiele powiedzieć umieją; wprawdzie nie śmieją odmawiać jej miejsca między sztukami pięknymi, bo świat podziwia jej płody, a potrzeba ludziom koniecznie domów do mieszkania; zcicha jednak sobie szepcą: że to matematyka stosowana, a co piękniejsze wiele winno pomocy sztuk innych. Najgorzej jednak dzieje się z muzyką; mimo największego upowszechnienia jej między ludźmi, mimo najłatwiejszego jej w życiu zastosowania, najmniej jest znaną ze swojej istotnej natury

i dlatego najmniej cenioną. Uważaną bywa tylko jako środek do zabicia czasu, podżegania zmysłu słuchu, a najwięcej jako sposób uprzyjemnienia owych chwil próżniaczych, *far niente* umysłu i ciała. Owo rozkoszne użycie sztuki, wynikające jedynie z głębokiego w nią wniknięcia sercem i wyobraźnią, mało komu jest znane; o możliwości jego przekonanych, mniej jeszcze znajdziemy. I nic dziwnego: Napoleon, ów wielki człowiek, co tak znał ludzi i rzeczy, co obdzięrał narody z pomników sławy i sztuki by niemi swój Paryż ustroić, ten sam Napoleon nie miał wyobrażenia zdrowego o muzyce. Wyrzekł bowiem do Cherubiniego (jak zapewne wiadomo), jednego z najznakomitszych tego wieku kompozytorów (†1844): „Lubię muzykę Paesiella, słodko mnie kołysze”; odpowiedź artysty cesarzowi, „chcesz muzyki któraby ci nie przeszkadzała do myślenia o sprawach państwa,” jest wyznaniem wiary muzycznej pierwszego i dowodem zrozumienia pojęć drugiego. A pojęcia te grasują straszliwie między ludźmi; artyści z zawodu działaniem swoim upowszechniają je jak mogą, bo dogadzać ogółowi korzystną jest rzeczą, i słodko zyskiwać łatwo zdobywane poklaski, czytać opłacone w gazetach pochwały i bez pracy zostać na lat kilka wielkim człowiekiem, cóż dopiero bogatym! Ztąd prawie wszędzie gdzie się obrócisz ku muzyce brzmiaćcej, napotkasz zawód mniej więcej dokuczliwy. Niech każdy kto te wyrazy przesadnie nazwie, wejdzie sam w siebie i sumiennie policzy opery które dla samej tylko muzyki rad słyszy (nie mówimy to o ustępach z natchnieniem często wylanych, ale o całości jaką dzieło sztuki mieć powinno), koncerta na których nie ziewa, muzykę salonową którą sercem rozumie, kościelną nawet, która mu rozpowiada o Bogu i do niego podnosi; niech policzy swoje wrażenia i powie czy skutek odpowiada zachodom i krzątaniom jakie świat muzyczny zatrudniają? Nie zaiste, to każdy przyzna ale razem zapyta, czy muzyka zdolną jest więcej i stosowniej zajmować, gdy przy takim rozwinięciu nie może tego dokażać? Przecież na podobne pytanie odpowiadać nie potrzeba; zna świat z rozgłosu i doświadczenia co ma wartość, ale

mu brak często sposobności, częściej żądzy posłyszenia czegoś lepszego; obywa się tём co mu dają, albo nieraz i tego brać nie chce, wynagradzając sobie inaczej. Bo śmiało powiedzieć można, że większa część muzyki dzisiejszej da się porównać do tój prozy rymowanej, którą mają niekiedy za poezyą, albo do tych piosnek hulackich i dwuznacznych, w których tylko pewne usposobienia i nizkie ukształcenie smakuje; dla ludzi z lepszym smakiem i wyższą oświatą nie mają one powabu. Dające się czuć ogólnie i głośno wyznawane odstręczenie od muzyki bieżącej, pocieszającą dla niój przyszłość rokuje. Bądź potrzeba użycia artystycznego którego szczupłe dozy muzyka dzisiejsza wydziela, bądź szlachetna żądza podniesienia sztuki tak spodlonój, kazały ludziom przyjrzyć się lepiej terażniejszości i ratunku dla niój od przeszłości zażądać, zapytać się jój o owe cuda z powieści niemal tylko dziś znane. i szukać ich pod kurzawą kilku wieków. Dowodem tego jest coraz gęstsze wznawianie na scenach europejskich, dzieł muzyczno-dramatycznych, które przeszłemu pokoleniu znane tylko były, a z dziś żyjących tylko ludziom fachowym i to niewielkiej ich liczbie nie są obce. Dotyczy się to szczególniej Glucka i Mozarta, jako kompozytorów na polu dramatycznём dotąd najznakomitszych, obok których wiek bieżący dwóch także postawić może: Rossiniego (który przeciw pierwszemu nadszkwacił publiczności i śpiewakom zaczął) i Meyerbeera, i mniej dla ciągłej powagi i surowości ulubionych, Spontiniego i Cherubiniego. Obok tych świeczników pierwszego rzędu, stoi znaczna liczba ludzi z wielkim talentem, co niekiedy nakształt gieniuszu błyskał, ale się na zdobytём stanowisku utrzymać nie umiał; takimi są między innymi: Donizetti i Auber.

Ale co przed Gluckiem i Mozartem z muzyki dramatycznej istniało, nie da się dzisiaj wznówić jako bardzo ubogie w przygrywkę instrumentalną, albo na instrumenta niedoskonałe i dziś zarzucone, choć nieraz oddycha prawdą uczuć i sytuacji i uroczym pociąga śpiewem: więcej jednak dla pewnego wahania jakie zwykle cechuje epoki przechodnie. Kto więc chce dotrzeć badaniem do poprzedniego a stałego

stanu, z któregoby korzyści dla przyszłości wydobyć się dały, musi się cofnąć aż do czasów Palestryny (1524—1594) oraz współczesnych, chociaż i poprzednicy jego należący do panującej wtenczas w całej Europie szkoły niderlandzkiej nie byli bez wielkich zasług. Jemu przecież należy się sława wykształcenia nowego muzycznego stylu, od swego twórcy stylem *à la Palestrina* zwanego (*), stylu pełnego sztuki i prostoty zarazem, głębokości i natchnienia prawdziwie religijnego. Niema tam wprawdzie samoistnej i z harmonią swobodnie płynącej melodyi, jaką w sto lat później Leo tworzyć umiał; ale jest wzniosła wielkość i siła uczucia którym się żadne uprzedzenie oprzeć nie zdoła. Styl ten na zawsze wartość znakomitą mieć będzie, póki drażliwość serc ludzkich na wrażenia muzyczne nie zniknie, co oczywiście nigdy miejsca mieć nie może. W nim muzyk spotka niezmiernie bogactwo środków swój sztuki i znać go powinien gdyby nawet całe życie tylko piosnki pisać zamierzał. Cóż mówić o kompozytorach w rozleglejszych rodzajach muzyki pracujących? Z tamtego tylko źródła płynący źródło nieskażony, obmyć zdoła grzechy muzyki dzisiejszej. Słuchajmy co z tego powodu mówi Francuz, członek narodu, na którego karb Europa zwykła składać wiele przewinień swojej cywilizacji i w Paryżu z którego wędrujący wirtuozi rzucają nam w oczy zapłacone recenzje koncertów i kompozycji. „Istnienie, wytrwałość i pomyślny skutek prac towarzystwa złożonego pod kierunkiem ks. Moskwy (syn marsz. Ney) dla wykonywania muzyki klasycznej, godne są uwagi. W czasie gdy muzyka trywialna i zużyta zdaje się panować bez udziału we wszystkich salonach, w chwili gdy gust zepsuty, zdaje się być dalekim od godnego ocenienia dzieł klasycznych i poważnych; w tym samym czasie wybór towarzy-

(*) Dostyć upowszechnioném jest mniemanie, że prace Palestryny w tym stylu do znajomości papieża Piusa IV doszły, uratowały muzykę od klątwy jaką na nią ojcowie kościoła na soborze trydenckim (1562) zebrani rzucić chcieli. Błąd ten zbił dowodnie Bainsi w swoim *Memorie storico-critiche della vita e delle opere di Giovanni Pierluigi da Palestrina*. Roma 1828.

stwa, kobiety ze swego położenia w świecie najwięcej podleżące kaprysom mody, zrzucają z siebie jój jarzmo, gardzą pociskami płochego żartu, i zrywają wszystkie węzły łączące je dotąd z Rossinim, Bellinim, i Donizettim *e tutti quanti*, aby część wyłączną oddawać muzyce poważnej, starożytniej, uroczystej i budzącej tylko uczucia słodkie, spokojne i pobożne. Zapewne nie błędzę mniemając, że tego rodzaju koncerta jasno wskazują zbliżającą się epokę reakcyi, i niewielkim trzeba być prorokiem by przewidzieć, że wkrótce powszechny zapał zwróci publiczność do muzyki czasów upłynionych z pogardą większej części muzyki dzisiejszej. Pierwszy ku téj reakcyi popęd dał Choron; on pierwszy dał poznać Francyi dzieła Palestryny i Marcella, oswajając publiczność z myślą, że niekażda muzyka należy do czasów bieżących. Dalej Fetis w swoich koncertach historycznych utworzył rodzaj przeglądu arcydzieł muzycznych dawnych czasów, a towarzystwo wspomniane niezawodnie do przyspieszenia biegu téj reformy się przyłoży i t.d." (*).

W Niemczech reakcyja w mowie będąca mocno już podkopała panowanie muzyki obecnej; publiczność coraz obojętniejszą się staje na jój produkcye, ledwie kiedy niekiedy zdoła podziwiać wirtuoza wymagając od niego nie sztuczności ale sztuki. Same nakłady kosztowne dzieł muzyki już niedzisiejszych, rozrywane co prędkiej, najlepszym są dowodem kierunku ogólnego pod tym względem. Bo téż w Niemczech tylko muzyka jest popularna w całym znaczeniu tego wyrazu, a to z powodu udzielanych lekcyj przy każdej szkole, i zastosowania nauki do śpiewu kościelnego. Śpiew główną jest muzyki każdej ozdobą, a muzyka jaką jest dzisiaj, ze śpiewów kościelnych wynikła i najświetniejsze swe czasy religii winna. Połączenie więc religii z muzyką a raczej wspieranie jednej przez drugą, bardzo jest stosowne do rozprzestrzenienia i oczyszczenia obojga. Zapatrując się na rozszerzony we wszystkich krajach protestanckich system łączenia nauki religii z nauką śpiewu i porównywając wzajemne ich na siebie działanie, trudno nie

(*) Gazette musicale.

spotkać się z myślą, że jak kiedyś reformacja silną znalazła podporę w śpiewaniu przez gminy całe chorałów, tak dziś mocno się przykłada upowszechnienie tego rodzaju pieśni do religijnego ducha i koniecznie płynącej zeń moralności, jeśli jeszcze pod rozwagę weźmiemy reflexyjny charakter textu.

Z tego stanowiska zapatrywać się należy na postanowienie ministra oświecenia we Francyi, Salvandego, z r. 1845, którego główny ustęp jest następujący:

„Zważając że rozprzestrzenienie nauki śpiewu w szkołach publicznych ma przedewszystkiém na celu przyłożenie się do polepszenia moralnego i intelektualnego młodego pokolenia; że ta nauka nie przyniesie wszelkich korzyści jakie pod tym względem przynosićby mogła, jeśli nie będzie zastosowaną do poprawy języka i wyobrażeń ludu po miastach i wsiach zamieszkałego, za pomocą śpiewu na zawsze w pamięci pozostać mających; że zatem wielkiej wagi jest rzeczą nadać tym śpiewom użyteczność, do jakiej są zdolne, łącząc formy literackie proste lecz poprawne ze wszystkimi warunkami jakich muzyka wymaga; że już od dawna i zewsząd żądają zbiorów któreby tym potrzebom zadosyć czyniły, i przydatne były do nauczania wszelkich stanów młodzieży i dzieci, miłości i czei dla Boga, kraju i obowiązków; stanowią się trzy kommissye których zatrudnieniem będzie:

1) zebrać ze wszystkich poezyj klassycznych francuzkich, nie wyłączając poezyi współczesnej piérwszego rzędu wszystko, co da się podłożyć pod muzykę a ściąga się do Boga, religii, jój podań i przepisów;

2) zrobić ten sam wybór z poezyj dotyczących świetnych czynów z historyi narodowej, a mogący, się okazać brak, zapełnić podaniem przedmiotu do opracowania sposobem konkursu;

3) tym samym sposobem postarać się o muzykę do poezyj wyżej wymienionych i innych, któreby w formie stosownej w poezyi i muzyce łatwo popularnemi stać się mogły, i niszczyły przesady, nałogi i zwyczaje szkodliwe wszelkie-

go rodzaju, o których wykorzenienie coraz usilniej starać się należy (*).”

Z postanowienia tego widać, że nie muzyka, ale poprawa moralna ludu jest celem jego. Mimo to nic trafniejszego nad powierzenie muzyce starania o wpojenie i zachowanie w pamięci nauk i przepisów w formie poezji zebranych. Wszakże wyznaczenie samo ministra publicznego oświecenia, że muzyka do moralności ludu przyłożyć się może, jest uznaniem jój wpływu. Wpływ ten znany był starożytnym Grekom, a w połączeniu muzyki z poezją i zpopularyzowaniu obojga, leży tajemnica tych cudów muzyki, o jakich nam starożytność głosi. I rzecz uderzająca, że Francuzi, których tylokrotnie nowożytnymi Ateńczykami nazywano, jakby dla utwierdzenia tego nazwiska pierwsi dzisiaj idą drogą przez dawniej Grecyi ludzi utworowaną. I znów rzecz uderzająca, że Francuzi z łona których wyszli encyklopedyści, nauką swoją gwałtowny cios religii i moralności zadający, najpierwsi doświadczają reakcyi i propagują ją między sobą, z kąd niewątpliwie jak tyle idei reszcie Europy się udzieli. Z Francyi to jeszcze przemiana rzeczy muzycznych do innych krajów się dostanie, bo z niej takie zepsucie wyszło od czasu jak Paryż odebrał Wiedniowi moc wyrokowania w tym względzie. I jeśli, jak się spodziewać należy, raz zaprowadzona nauka po licznych Francyi szkołach wszelkiego rodzaju, z wytrwałością prowadzona będzie, wtenczas i muzykalność całego kraju za lat pięćdziesiąt daleko przesięgnie najmuzykalniejsze dotąd Niemcy. Kompozycye bowiem jakich ministerstwo żądało, są zawsze na kilka (od dwóch do czterech) głosów, a w takiej liczbie że ich mechanicznie uczyć niepodobna i przygotowawczych wiadomości muzycznych wprzód udzielić potrzeba; co zresztą nie jest trudnym ani nowym we Francyi, gdzie upowszechniona metoda Wilhema (oparta na metodzie Lankastra), oddawna jest w użyciu i w samym Paryżu corocznie kilka tysięcy dzieci, a przeszło tysiąc rzemieślników kształci. Tym sposobem utworzy się nowy rodzaj muzyki, środkujący mię-

(*) Journal de l'instruction publique.

dzy dwoma ostatecznościami: surowością i komplikacją muzyki dawniej, a wyszukaniem i czczością dzisiejszej. Smak muzyczny powoli w całym narodzie zakwitnie i przygotowuje do pojmowania arcydzieł, których dziś nie rozumieją ci nawet, co odebrali kosztowne i niby świetne, a rzeczywiście jednostronne a ztąd niedołeżne wychowanie muzyczne.

Czas téż już było pomyśleć o przypuszczeniu całych mass ludu do uczestniczenia w dobrodziejstwach cywilizacyi, mianowicie co do szczegółów, których udzielanie jest wsparte zdolnością naturalną człowieka i stanie się kanałem przez który inne ważniejsze ulepszenia pójdą. Pod względem sztuk i zysk będzie w takim razie niezmierny. Dzisiaj dosyć dziwnie brzmią rozprawy o muzykalności tego lub owego narodu, gdy muzyka jak ją rozumieją bynajmniej popularną nie jest, tém mniej narodową, bo nie wspólnego niema z duchem i pojęciami ludu i nieprzystępną jest dla niego. Narodowość w muzyce do zewnętrznych znamion przywieziona, przedstawia się w formach prawie zawsze tancyznych, co jest miarą raczej charakteru narodu, nie zaś pojęć i wiedzy o sztuce, bez których sztuki niema. Jéj cechy wewnętrzne chociaż istnieją, trudne są do wypowiedzenia i nie nie określającami ogólnikami zbywane bywają. Formy muzyczne ludu do niewielu tylko zadań artystycznych się przydadzą, a duch tych form z trudnością chwytny bywa przez ludzi, którzy swoim położeniem w świecie, zbyt wielki zrobili rozbrat z temi, których sobie za wzór biorą. Tak z jednej strony marne widać zapędy, z drugiej pączki niemożące nigdy rozkwitnąć chyba tchnieniem gieniuszu rozbudzone, o który trudno. Ale częstszymby bywał, gdyby miał zawsze sposobność wydobyć się z tłumu przez ogólne a szlachetne kształcenie. Co jest w narodzie estetycznego pojęcia, uzacniłoby szorstką pierwiastkową siłę, a taby dała życie istotne nerwom, dzisiaj najczęściej galwaniczném drganiem poruszanych. Wtenczas dopięro muzyka byłaby prawdziwie narodową; nie mogłaby być inną. J. S.

Wiadomość statystyczna o szkołach i instytucjach w Królestwie Polskiem w r. 184⁵/₆.

Rozkład szkół na gubernie.

	W gubernii					O g ó l e m.
	w Warszawie	Warszaw.	Radomskiej	Lubelskiej	Płockiej	
Instytutów specjalnych.....	4	2				6
Gimnazyów.....	3	1	1	3		11
Szkół powiatowych.....	3	9	4	5	2	25
Szkół niedzielno-rzemieśnicz.	7	27	20	22	8	90
Szkół elementarnych.....	26	613	152	113	133	1,093
Instytutów prywatnych.....	74	39	12	8	9	147
Razem....	117	691	189	251	153	1,372

Rozkład uczących się na gubernie.

Z instytutów specjalnych....	456	293					749
Z gimnazyów.....	1,811	381	530	889	486	608	4,705
Z szkół powiatowych.....	443	1,220	537	456	263	99	3,015
Z szkół niedzielno-rzemieśn.	2,652	2,447	792	823	516	174	7,404
Z szkół elementarnych.....	2,134	36,233	9,596	6,087	6,874	3,842	51,766
Z instytutów prywatnych.....	3,272	1,242	331	258	214	95	5,412
Razem....	10,768	41,816	11,786	8,513	8,352	4,818	86,051

W jednej gubernii Warszawskiej jest szkół 808, uczących się 52,578.

W czterech innych guberniach jest szkół 564, uczących się 33,573.

Rozkład uczących się podług wyznań.

	Katolickiej	Prawosławnej	Greko-Unickiej	Ewangelickiej	Mojżeszowej	Mahometan.	O g ó l e m.
W instytutach specjalnych....	457	3	2	31	256	„	749
W gimnazyach.....	1,294	67	54	232	58	„	4,705
W szkołach powiatowych.....	2,681	28	5	103	52	7	3,015
W szkołach niedzielno-rzem.	6,268	15	106	836	179	„	7,404
W szkołach elementarnych...	49,133	89	900	12,357	2,287	„	64,766
W instytutach prywatnych...	4,167	96	4	896	229	„	5,412
Razem....	67,057	298	1,120	14,537	3,031	7	86,051

Rozkład pod względem ludności.

	Ilość.		Stosunek.
	Uczących się	Ludności	
W gubernii Warszawskiej	52 578	1,508,821	1 : 20
„ „ Radomskiej	11,789	961,832	1 : 82
„ „ Lubelskiej	8,513	999,309	1 : 124
„ „ Płockiej	8,352	539,252	1 : 67
„ „ Augustowskiej	4,818	625,730	1 : 131
W całym kraju	86,051	4,798,658	1 : 56

Stosunek pod względem stopnia szkół.

	Ilość uczących się	Stosunek do ludności.
W stopniu szkół gimnazjalnych	1,712	1 : 4800
„ „ „ powiatowych	9,368	1 : 600
„ „ „ elementarnych	74,971	1 : 65

Stosunek pod względem wyznań.

Wyznania.	Ilość		Stosunek.
	Uczących się	Ludności	
Rzymsko-katolickiego	67,057	3,740,818	1 : 56
Prawosławnego	298	4,211	1 : 14
Greko-unickiego	1,120	241,363	1 : 240
Ewangelickiego	14,537	255,799	1 : 18
Mojżeszowego	3,031	550,197	1 : 180
Mahometańskiego	7	288	1 : 41

KRONIKA ZAGRANICZNA.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Sławny meteorolog Dove ogłosił rozprawę, w której rozbięra przyczyny dziennych zmian w wysokości kolumny merkuryusza w barometrze. Główne wypadki téj obszernej pracy są następujące:

1) Zmiany dzienne na barometrze obserwowane, są wynikiłością prądów powietrznych w górę się wznoszących; nie zależą więc wcale od prądów powietrza poziomych. Pod zwrotnikami, gdzie te ostatnie prądy prawie czuć się nie dają, zmiany dzienne kolumny merkuryusza w barometrze, następują prawie jednocześnie w czasie dziennych peryodów temperatury.

2) Wszystkie przyczyny dynamiczne przez Laplace wskazane, jakoto: działanie słońca i księżyca na atmosferę, wznoszenie się i opadanie oceanu będącego ruchomą podstawą oceanu powietrznego, przyciąganie morza, razem wzięte, winny być uważane jako przyczyny drugiego rzędu, podrzędne.

3) Według Dove, przyczyny fizyczne ze względu na ich ważność, mogą być także podzielone na dwa stopnie.

Do pierwszych należą: a) gęstość powietrza zmniejszająca się z wrostem temperatury i jednocześnie zwiększająca

wysokość słupa powietrznego nad barometrem zawieszono. Ta przyczyna odbywa całkowity swój peryod w 24 godzinach. b) Parowanie wody, wzrastające z większą temperaturą. I ta przyczyna odbywa swój peryod całkowity w 24 godzinach, lecz co do natury swego działania tém się różni od piérwszej, że przyczynia się do zwiększenia całkowitego ciśnienia, wtedy, gdy poprzednia w tychże samych okolicznościach usiłuje je zmniejszyć.

Do podrzędnych przyczyna fizycznych, Dove liczy wszelkie ruchy i prądy powietrzne; te przepływy powietrza z jednego miejsca w drugie, przez swą długotrwałość, będącą skutkiem bezwładności, najwięcej przyczyniają się do nieregularności zmian dziennych barometru.

4) Im silniejsze jest działanie temperatury, tém większy objawia się jój wpływ na ciśnienie suchego powietrza: dlatego téż działanie téj przyczyny w jednej miejscowości wzrasta od zimy do lata, uważane zaś na całej kuli ziemskiej zmniejsza się postępując od równika ku biegunom.

5) Jeżeli dostateczna jest ilość wody w pewnym miejscu, wtedy sprężystość pary przez ciąg dnia, graficznie wyobrażona, przedstawia linią krzywą wypukłą; w miejscach zaś oddalonych od zbiorowisk wody słodkiej, linia krzywa sprężystości pary, okazuje wklęsłość.

6) Z kombinacji działań dwóch atmosfer przez barometr wskazywanych otrzymać można trzy przypadki: a) albo następuje zupełna kompensacya tych dwóch przeciwnie na barometr działających przyczyn; b) albo wyniknie przewyżka sprężystości pary wodnej nad zmniejszoną gęstością powietrza; c) albo téż działanie przeciwne z poprzedniém. Dlatego téż w różnych miejscach maxima i minima dziennych oscyllacyj barometru mogą być albo skutkiem interferencyi tych dwóch przyczyn, jak to ma miejsce na morzu, albo ich zgodności (coincidence), jak to spostrzegamy w środku wielkiego ładu stałego (Syberyi).

7) Wielkość zmian dziennych barometru zależy zupełnie od wielkości zmian termometru w ciągu dnia, a ponieważ téż same zmiany temperatury pod wpływem różnych miej-

scowych okoliczności mogą rozlicznie działać na obie atmosfery, dlatego w miejscach należących do téjże samój strefy, bardzo często natrafiamy na wielce różne oscyllacye barometru. Rezultata powyżej przytoczone, poparte są obserwacyami z różnych punktów kuli ziemskiej. (*L'Institut. Septembre 1846*).

* Wiele jest sposobów w meteorologii do mierzenia prędkości wiatru; można jednak powiedzieć, co już zresztą praktyka okazała, że po większej części nie są odpowiednie celowi albo dla zbyt skomplikowanego składu aparatów, albo dla małej dokładności otrzymywanych wypadków. Do liczby istniejących sposobów, p. Philips projektuje jeszcze następujący, zdolny według niego usunąć błędy, jakie w innych anemometrach mają miejsce.

Zasadą sposobu p. Philips jest szybkość parowania wody na wiatr wystawionój, a ztąd prędkie oziębianie ciał jój przyległych. Bańka termometru obwinięta bawełną gręplowaną i po zmoczeniu wystawiona na wolne powietrze, jak wiadomo w skutek parowania wody, zniża swą temperaturę; parowanie to, a ztąd i zniżanie temperatury, następuje tém szybciej, im prędziej termometr poruszany bywa. Oznaczywszy dokładnie szybkość oziębiania termometru, wystawionego na wolne powietrze i poprzednio ogrzewanego ciepłem ręki, Philips powtarzał te doświadczenia z termometrem w rozmaity ruch wprawianym i ztąd wyciągnął zależność czasu ostudzenia termometru od różnej prędkości prądu powietrza.

Probując na kolei żelaznej South-Western swego aparatu, umieszczonego w odległości dwóch stóp od powozu pędzącego z szybkością 36 *milles* na godzinę, przekonał się, że anemometr jego pomysłu dokładnie okazał prędkość biegu lokomotywy. Zdaje się więc, że na téj zasadzie zbudowane anemometra, po dokładném poprzednio wyprobowaniu każdego, dla łatwości w użyciu i swój prostoty, między różnemi sposobami do tego celu służącemi, jedno z pierwszych zająć będą mogły miejsce. (*L'Institut. Decembre 1846*).

CHEMIA.

O nowym kwasie siarkowym zawiadomia Wackenroder, iż tenże powstaje z działania gazu siarkowego-wodorodnego na kwas 2 siarkowy (schweflige Säure). Znamię jego ma być $S_5 O_5$. (*Journal für praktische Chemie* n. 15).

* Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu, czytał w dniu 7 września r. z. p. Payen zawiadomienie o bytności olejku, który ma nadawać zapach krochmalowi. Dwa doświadczenia dotyczące się powyższego przedmiotu, wykonał on w następujący sposób:

Wziąwszy odbieralnią szklaną objętości 6 kwart, wlał w nią 3 kwarty wody zaostrożonej 5 tysięcznemi kwasu siarkowego, i tę ciecz zagotował; poczem dodawał do niej raz po razie przez urządzone stosownie lejek, pół kilogramu krochmalu rozmoczonego. Przez przyzwoite zgęszczanie, otrzymano zaledwie półkwarty cieczy w dwóch pierwszych odbieralniach; do trzeciej przy końcu roboty przeszło kilka centymetrów sześciennych wody, w czwartej zaś rurce otoczonej lodem, znalazło się zaledwo kilka jej kropeł. Po zdjęciu zastawy (aparatu), okazała się w dwóch pierwszych odbieralniach ciecz, zbliżona zapachem do krochmalu, pływała zaś ona po wierzchu. Po odłączeniu jej eterem i następnym odparowaniu tegoż, pozostała się istota mająca podobieństwo do tłustości, krzepnąca, miękka po oziębieniu. Trzecia odbieralnia zawierała około 20 centymetrów sześciennych wody mieniającej się (opalizującej), posiadającej mocny zapach krochmalu, po której pływał olej ciekły, żółtawy, wyziewający tenże sam właściwy zapach, tylko nieco mocniejszy. Ostatnia rurka zanurzona w lodzie, mieściła w sobie obadwa ciała rozproszone w drobnych kropeczkach na jej ścianach.

Zlewając razem wypadki z obudwóch robót, otrzymano przez proste ściąganie z wierzchu, w rurce wyciągniętej włoskowato, 8 centygramów olejku ciekłego, żółtawego, posiadającego w wysokim stopniu woń właściwą kro-

chmalowi. Z cieczy wodnistej, otrzymano jeszcze 18 miligramów tegoż olejku; krochmal przeto, oprócz istot oleistych, zsiadłych, mniej lotnych od wody, zawiera jeszcze najmniej 0,0001 swęj wagi oleju ciekłego śmierdzącego.

Tak więc, kończy p. Payen, niema już żadnej wątpliwości względem tego przedmiotu, nowo przyswojonego nam; z niego rozwinąć się mogą inne pytania: być np. może, że krochmale ziemniaków patatów, zbóż i t. p. winny swój, smak właściwy, właściwym także olejkom; być nawet może, że wiadomości te posłużą do wyświeccenia jaki onę wpływ wywierają przy rozwijaniu się zapachu win, woni wódek, jużto gdy będą uważane same, już téż gdy te olejki ulegną zmianie pod wpływem powietrza i fermentu.

Pewna ilość tego olejku, została złożona akademii. (*L'Institut* 9 Sept. 1846).

* W dniu 26 października 1846 r. czytał p. Dumas w akademii umiejętności rozprawę, tyczącą się przemiany gazu siarkowego wodorodnego na kwas siarkowy; treść jęj jest następująca:

Wszyscy podróżni, którzy zwiedzali Popayan i wodospad utworzony przez Rio-Vinagre w niejakięj odległości od otworu wulkanu Purace będący uważali, że z wody spadającęj powstają daleko pryskające kropelki kwaskowate. PP. Humboldt i Boussingault okazali, że ta woda kwaśna zawiera kwas siarkowy i kwas solny, wolne. P. Dumas zajął się zaś wybadaniem przyczyn tworzenia się kwasu siarkowego w powyższych okolicznościach; zwrócił on uwagę, że tenże sam przypadek spostrzega się w wyziewach wychodzących z jezior Toskańskich. Również z dołów wykopanych dla wydobywania kwasu borowego, z których nieustannie wychodzi para wodna, unosząc z sobą tenże kwas borowy, wywiązuje się w małej ilości gaz siarkowy wodorodny. Doświadczenie przeto naucza, że te pary, lub woda z niemi wychodząca, chociaż nie zawierają kwasu siarkowego wolnego, spadając na ziemię tworzą niebawem siarkan wapna przez rozkład węglanu wapna zawartego w gruncie.

Z tego się pokazuje, że wodoród siarkowy tworzy kwas siarkowy, z którego znowu powstaje siarkan wapna, tak pospolity przy miejscach wydających wyziewy powyżej wspomniane, i oprócz tego wykryty w błotach owych jezior, w ich wodzie, i w kwasie borowym otrzymywanym w rzeczonych szczególnych okolicach.

Oprócz tego p. Dumas znalazł tak utworzony siarkan wapna, albowi téż siarkany mataliczne, w kąpielach siarczanych w Aix w Sabaudyi. Izby z których woda przechodzi do kąpeli, po większej części wystawione są z kamienia wapiennego. Powoli ich ściany się wzdymają i pokrywają się kryształami gipsu; a to nawet tak prędko następuje, że trudno było zastąpić cegłą kamień wapienny w budowach nowych. Żelazto we drzwiach i oknach gwałtownie zmienia się w siarkan żelaza, i ztąd téżto drzwi w ogólności bywają opatrzone zawiasami i zasuwaniami miedzianymi, które się opierają lepiej, ale i te po pewnym przeciągu czasu zmieniają się w siarkan miedzi. Oprócz tych zjawisk, spostrzegano jeszcze i inne właściwe tylko tym okolicom, to jest, że zasłony płócienne służące do przegradzania chorych kąpiących się w sadzawkach, z łatwością napawają się kwasem siarkowym wolnym, i po kilku tygodniach, już kwas ten widocznie się na nich okazuje; w skutek tego, płótno powyższe mocno zostaje uszkodzone i jeżeli go bez wyprania przechowują, za lekkim potarciem rozsypuje się na proszek. Pomimo tego wszystkiego przekonano się, że pary wód w Aix nie zawierają w sobie kwasu siarkowego wolnego, ztąd więc osądził p. Dumas, że tenże kwas siarkowy tworzy się tam przez wodoród siarkowy, pod wpływem przyczyn szczególnych, do których liczy się bytowanie tamże płótna. Nie wchodząc w szczegóły doświadczeń przytaczamy jedynie, że p. Dumas przyszedł do uznania téj prawdy, iż wodoród siarkowy zmieszany z powietrzem, przy wpływie ciała dziurkowatego a w szczególności płótna i temperatury nieco podwyższonej, zmienia się powolnie w kwas siarkowy (witryol).

Powyższy sposób palenia, jak widzimy, różni się zupełnie od palenia wodorodu siarkowego z płomieniem przy przystępie powietrza. W tym bowiem drugim przypadku, jak wiadomo, tworzy się woda, kwas 2gi siarkowy, prawie zawsze osad siarki i ślady kwasu siarkowego. W przypadku zaś opisywanym przez p. Dumas, to jest w gorenium powolném wodorodu siarkowego, tenże chemik nie spostrzegł ani kwasu 2go siarkowego, ani siarki, ale tylko witryol. Przeciwnie jeżeli wodoród siarkowy jest rozpuszczony w wodzie, i skoro zostawiamy ten roztwór przy przystępie powietrza, powolne zagęszczenie następuje, a ztąd tworzy się woda i opada siarka. Wiadomo, że ten osad siarkowy odznacza głównie wody mineralne siarkowe, z których przy przystępie powietrza opada.

Następnie p. Dumas zawiadomia, że w oddzielnéj rozprawie okaże, w jaki sposób metale wpływają na tworzenie się siarkanów w zetknięciu swém z wodorodem siarkowym i powietrzem; kończy zaś swe pismo dwoma następnemi uwagami:

„W wielkich miastach, a w szczególności w Londynie, uważano, że masy żelaza lub surowcu wystawione na powietrze, psuć się zaczynały, co przypisywano bytności kwasu 2go siarkowego w powietrzu, który miał powstawać z palenia węgla ziemnego; wartoby jednak się zastanowić, czyli wodoród siarkowy wyziewany przez liczne kloaki nie wpływa na to psucie się, i tworzenie ztąd siarkanów któreby mu towarzyszyło. Wywiązywanie się wodorodu siarkowego w ogólności powszechnie równie w Paryżu jak w Londynie widocznie się okazujące, może stanowić przyczynę powolnego tworzenia się kwasu siarkowego; a jeżeli znajdują się zasady solne do jego nasycenia, nawet i siarkanów. Z doświadczeń pp. Chevreul, Vogel i Lewy wiadomo, że wszędzie, gdziekolwiek tylko znajdują się siarkany alkaliczne w zetknięciu z istotami organicznemi, mogą te sole tworzyć wodoród siarkowy; z drugiej zaś strony, wszędzie, gdzie wodoród siarkowy i powietrze stykają się z szczątkami wilgotnemi roślin, powstaje kwas siarkowy (witryol)

i siarkany. Siarka więc może się przenosić przez powietrze z siarkanów w których się znajduje (te zaś znowu bytują w wielkich massach wody), do ziemi która jęj potrzebuje dla zachowania przy życiu roślin i zwierząt. W ogólności bowiem zważać należy, że siarka ważne zajmuje miejsce przy tworzeniu wszystkich istot usaletrorodnionych tak roślinnych jak zwierzęcych, które jęj zawierają średnio setną część ich wagi. Tak więc 10 kilogramów istoty suchęj, czyli mniej więcej to, co zawiera człowiek średniego wzrostu, zawierają 100 gram siarki; ta przeto ilość jest już znakomitą. Ztąd także wypływa, że ludność Francyi wyobraża około dwa miliony kilogramów siarki. Gdyby więc chciano wiedzieć o prawdziwęj ilości siarki zawartęj w roślinach i zwierzętach żyjących we Francyi, możnaby bez przesady dziesięć razy zwiększyć powyższą liczbę.

Ruch umiarkowany na kuli ziemskiej, sprowadzający nieustannie dla roślin i zwierząt tak znaczną ilość siarki, musi podlegać pewnym prawom, godnym uwagi wszystkich przyjaciół filozofii naturalnej. Nie śmiejąc utrzymywać, czyli te prawa wykryłem, spodziewam się (kończy p. Dumas), że zwracanie ciągle uwagi na tę okoliczność, przyczyni się do ich wyjaśnienia, lub przynajmniej do ich bacniejszego uważania." (*L'Institut* z 28 Octobre 1846).

J. B...c.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

RZESZÓW.

160. Grammatyka języka Polskiego przez Jana Nep. Deszkiewicza. Z godłem:

....Jedno wy mili Polacy! rozmiłujcie się języka swego. Ten niech przodkuje, ten niech dziedziczy. — *Flor. Unglerius*,

8ka, Rzeszów. 1846. Druk Franciszka Skielskiego. Str. XII, VI i 464. Złp. 13 gr. 10.

POZNAŃ.

161. Ohrazy z życia i podróży. 8ka. Poznań. 1846. Nakład J. K. Żupańskiego. Druk W. Deckera i Spółki. Str. 184, i napisów kart 2. Złp. 7.

1847.

WARSZAWA.

18. Niezapominajki. Noworocznik na rok 1847, wydany przez Karola Korwella. (Rok ósmy). Ozdobiony (3) rycinami. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Kom. Rz. Sprawiedliwości. Napisów kart 2, str. 346 i rejestru karta 1. Złp. 18.

19. Nowa metoda nauczania się łatwym sposobem pierwszych zasad języków Polskiego, Rossyjskiego, Francuzkiego i Niemieckiego, dla młodzieży praktycznie ułożona w wokabułach, rozmowach i przykładach, wraz z wzorami przypadkowania i czasowania w tychże językach, oraz z zadaniami do podanych prawideł zastosowaniami przez J. M. Elkanę. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Napisów kart 2 i str. 240. Rejestru i omyłek kart 2. Złp. 3 gr. 15.

20. Opowiadania Historyi Polskiej dla dzieci przez Zenonima Ancyworowicza. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Str. 243, i kart 2. Złp. 5.

21. Ostatnie chwile Michała Korybuta i Elekcyja Jana III, powieść historyczna, napisał Roman Laskowski. 2 tomy. 12ka. War-

szawa. 1847. Druk Kommissyi Rz. Sprawiedliwości. (Nakład autora). Tom I, str. 254. II, 234, i w każdym kart napis. 2. Złp. 13 gr. 10.

22. Pani Orzelska, obraz z domowego życia Polaków w pierwszej połowie XVIII wieku, przez autora Starosty Rabsztyńskiego i Zborowskich (Józef M. Wiślicki). 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Druk J. Kaczanowskiego. Tom I. Str. 226. II 258. Złp. 10.

23. Pan Hilary, przez Marcellego Skotnickiego. Godło:

Qu'on destine mon élève à l'épée, à l'Eglise, au barreau, peu m'importe.—Avant la vocation de parents, la nature l'appelle à la vie humaine. Vivre est le metier, que je lui veux apprendre. — *J. J. Rousseau.*

12ka. 3 tomy. Warszawa. 1847. Druk J. Jaworskiego. Tom. I, str. 259. II. 257. III, 251. Złp. 15.

24. Położnictwo Domowe czyli jasne i proste sposoby ratowania ciężarnych, rodzących, położnic i dzieci nowonarodzonych, dla osób zamężnych wszelkiego stanu, przez Dra J. K. Pietrzykowskiego. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Kart 4, str. 215 i X. Złp. 6.

25. Przepowiednie pogody. słyty, wiatru i innych zmian powietrza. Wzięte z uważania słońca, chmur, barometru, roślin, robactwa, pajaków, ryb, płazów, ptastwa, zwierząt, ludzi i innych t. p. martwych oraz żyjących rzeczy. Zebrał i ułożył Wojciech Jastrzębowski, professor Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Marymoncie. 8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Glücksb erga. Str. 15, i napisów karta 1.

26. Tajemnice Berlina, z pamiętników urzędnika sądu kryminalnego. 4 tomy, 8ka. Warszawa. 1847. Nakład S. H. Merzbacha. Druk J. Ungra. Tom 1, str. 276. II 190. III. 208, IV. 196. W każdym kart napisowych 2. Złp. 18.

27. Teatr Fryderyka Hr. Skarbka. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. (Nakład księgarni Ig. Klukowskiego). Tom I. str. III i 365. II, 419, i w każdym napisów kart 2 i rejestru karta 1. Złp. 12.

28. Upominek Ojca dla dobrych dzieci, przez D. Puchalskiego. 16ka. Tom 1. Warszawa. 1847. Druk J. Kaczanowskiego. Str. 260 i rejestru kart 2. (XI tablic rycin z 39 fig.) Złp. 6.

W I L N O.

29. Rachel, powieść Żegoty Kostrowca (x. Ignacego Hołowińskiego). 12ka. Wilno. 1847. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Wydanie Adama Zawadzkiego. Str. 396. Złp. 11.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Zapowiedziane dzieło J. Majorkiewicza: *Historya, Literatura i Krytyka* w ozdobnej edycji wyszło z drukarni Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości.

Kraszewskiego nową w 4 tomach powieść *Sfinx*, księgarz Merzbach drukuje swoim nakładem. Pierwszy tom już skończony.

Professora Jana Szwaynica, trzeci i ostatni tom: *Historji narodu i państwa rzymskiego* od kilku dni znajduje się już w rękach czytelników.

W tych dniach wyszły z druku: Mazury kompozycyi Oskara Kolberga, dzieło 8me, i są do nabycia w składach muzycznych Warszawskich. Cena Złp. 5.

Zapowiedzianego dzieła profes. Woj. Jastrzębowskiego p. t. „*Układ świata zastosowany do potrzeb powszechnych*” wyszedł poszyt pierwszy.

Powieść H. Kock'a przełożona z francuzkiego przez J. W...cką pod tytułem: *Podejrzenie*, nakładem redakcyi *Gaz. Codziennój* wyszła na widok publiczny. Składa się z 19 głównych scen życia społecznego, obejmujących 217 stronnic na pięknym papierze. Exemplarz po złp. 5 sprzedaje się we wszystkich księgarniach Warszawskich. Skład główny w biurze redakcyi *Gaz. Codziennój* przy drukarni Banku Polskiego.

L W Ó W.

Wincenty Pol objął redakcyą *Biblioteki imienia Ossolińskich*. Józef Dzierzkowski, znany powieściopisarz, napisał powieść „*Życie jednego poety*.” Przedstawia w niej zmarłego zbyt wczesnie Dominika Magnuszewskiego.

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Grudzień 1846.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 114,06 metrów nad poziom morza
czyli w łuku 18°41'45'', na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				Wzrost na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1		746.43	747.71	748.32	748.42	— 4.1	— 3.2	— 0.8	— 3.7	96.
2		746.70	745.93	742.56	738.87	— 6.2	— 4.8	— 2.3	— 0.6	95.
3	☉	735.29	734.63	736.60	739.12	0.0	+ 0.8	+ 2.0	+ 1.6	96.
4		744.58	746.19	747.56	748.23	+ 0.1	+ 0.5	+ 0.6	— 0.2	93.
5		744.29	745.06	746.66	750.15	— 1.5	— 2.1	— 3.4	— 3.1	100.
6		752.07	753.46	753.65	754.03	— 3.1	— 1.6	— 4.6	— 6.4	99.
7		753.59	754.46	753.19	753.12	— 8.3	— 5.6	— 4.1	— 3.4	96.
8		750.98	751.36	750.54	752.28	— 2.9	— 1.8	— 0.3	— 1.5	100.
9		754.52	755.39	754.04	750.36	— 2.6	— 1.6	— 1.3	+ 0.2	99.
10	☾	746.49	745.74	743.90	742.21	+ 0.1	+ 0.5	+ 0.3	— 0.0	96.
11		739.11	739.10	739.40	741.69	— 0.5	+ 0.7	+ 1.8	+ 1.2	89.
12		741.29	740.03	731.17	724.96	— 1.3	— 0.2	+ 2.5	+ 2.6	98.
13		731.04	734.37	737.57	738.81	— 0.2	— 0.4	— 1.3	— 6.2	95.
14		738.45	740.37	740.75	740.87	— 8.5	— 10.0	— 11.2	— 11.7	96.
15		740.67	740.73	740.18	741.76	— 13.4	— 10.8	— 9.3	— 12.1	97.
16		740.05	739.75	737.64	737.59	— 12.6	— 11.0	— 9.2	— 13.6	99.
17		738.61	740.30	740.44	741.80	— 11.0	— 8.0	— 8.3	— 9.1	100.
18	☉	743.28	745.41	747.70	751.35	— 12.9	— 10.9	— 9.3	— 13.0	100.
19		752.04	751.71	748.61	745.43	— 9.7	— 7.1	— 7.3	— 10.5	100.
20		744.12	744.44	743.37	740.21	— 5.4	— 1.8	— 0.2	+ 0.5	97.
21		741.73	742.63	741.73	737.25	+ 1.6	+ 2.0	+ 1.8	+ 1.2	93.
22		730.95	730.67	729.67	728.47	+ 2.0	+ 2.3	+ 2.4	+ 1.1	84.
23		727.41	728.43	728.94	727.75	+ 2.2	+ 2.6	+ 2.3	+ 0.3	88.
24		726.90	727.14	727.26	729.20	— 0.6	+ 0.5	+ 1.4	+ 2.2	93.
25	☾	738.34	741.75	745.62	749.41	— 4.1	— 4.9	— 5.0	— 7.0	90.
26		748.58	748.95	749.44	751.91	— 5.9	— 4.5	— 2.3	— 3.7	92.
27		753.31	754.61	756.43	758.59	— 7.8	— 6.5	— 4.4	— 4.6	95.
28		760.13	761.04	762.42	764.60	— 7.8	— 5.8	— 4.9	— 6.4	97.
29		765.89	767.18	767.61	768.63	— 8.8	— 7.7	— 8.1	— 8.8	94.
30		769.31	770.27	770.46	770.81	— 10.8	— 10.2	— 10.8	— 12.0	91.
31		769.08	758.74	765.43	762.16	— 12.3	— 11.4	— 10.8	— 11.1	93.
Śre.		745.62	746.37	746.09	746.20	— 5.04	+ 3.94	+ 3.47	— 4.47	95.5

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^g. 14^m. 47^s.
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				K I E R U N E K W I A T R U				wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdZ.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	dészcz	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	Z.	Z.	2.8	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnW.		8.8
śnieg	śnieg	pół pogodny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	—		
pochmurny	pochmurny	mgła	mgła gruba	Z.	Z.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
pochmurny	dészcz	dészcz	dészcz	W.	PnW.	PnW.	Pn.	3.0	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	—		
mgła	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	—	PdZ.	Z.	PdZ.		
pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	dészcz	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	PdW.	5.4	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PdW.	PdZ.		
pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pr. pogodny	lek. zamgl.	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pochmurny	pochmurny	napół pog.	pochmurny	Z.	PdZ.	Z.	PdZ.		
pochmurny	śnieg pruszy	śnieg drob.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.	4.0	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	PdZ.	Z.	PdZ.	Z.	2.8	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. zamgl.	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Pd.		
pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdW.		
pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Pd.	PdZ.	0.8	
pr. pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdZ.	Z.		
pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	śnieg pruszy	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.		
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
Pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. zamgl.	PdW.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
								12.0	15.6

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.070	27	6.730
Najwyżej barometr dochodził d. 30 o g. 10 w.	770.81	28	5.697
Najniżej barometr dochodził d. 12 o g. 10 w.	724.96	26	9.372
Średnia zmiana dzienna barometru	5.0		2.216
Największa zmiana dzienna barometru d. 24 — 25 o g. 10 w.	20.21		8.959
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 20 lat poprz.	5.61		2.486
Średnia temperatura Grudnia wynosi	-4° 23 C.		-3° 38 R.
i ta jest niższa o	1.86	„	1.48 „
od stanu normalnego z 20 lat poprz.	+ 2.37	„	+ 1.90 „
Największe ciepło dochodziło d. 12 i 22	+ 2.6	„	+ 2.1 „
Najmniejsze d. 16 o g. 10 w.	-13.6	„	-10.9 „
(Termometrograf wskazał Maximum: + 3° 2 R., d. 12 i 22. Minimum: - 11° 2 R. d. 19 rano).			

Średnia zmiana dzienna temperatury	2.48	„	1.98	„
Największa zmiana dzienna d. 19—20	11.0	„	8.8	„

Średnia wilgotność powietrza wynosi 95.5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; czyli 4.18 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

- Dni pogodnych było 4; napół pogodnych 2; pochmurnych 25.
— deszczu 4 (d. 3, 8, 12, 24).
— śniegu 8 (d. 4, 5, 12, 18, 20, 28, 29, 31).
— mgły 3 (d. 6, 9, 10).

Dnia 8 przez cały dzień żłódź padała.

Wody z deszczu spadło wysoko 12,0 millim. czyli 5,32 linij par., z śniegu 15,6 millim. czyli 6,92 lin. par., razem z deszczu i śniegu 27,6 millim. czyli 12,24 lin. par.

Grudzień r. b. był niepogodny, suchy, o półtora stopnia zimniejszy jak zwykle; środek i koniec miesiąca były mroźne, jednak mrozy nie były mocne, gdyż zaledwie 11 stopni dochodziły. Dni najcieplejsze były d. 21, 22, 23; najzimniejsze d. 14, 15, 16, 17, 18 a osobliwie d. 29, 30, 31.

Wody z deszczu i śniegu spadło o 4 linie paryżkie mniej jak zwykle.

Wiatr panujący był Zachodni; często były także: Południowo-Wschodnie, i Południowo-Zachodnie.

Wichrów było 4, to jest Z=3; PdZ=1.

D. 2, 25, 31, wieczór, koła białe otaczały księżyc.

Sprostowanie.— W rozbiórce gliny z Wielkiej Woli, umieszczo-
nym w zeszycie styczniowym Biblioteki Warszawskiej na r. 1847,
zaszły błędy druku następujące:

K. 186, wiersz 10. Cały ten ustęp powinien być w ten sposób
wyrażony:

Proces téj przemiany objaśnili Malagutti i Brogniart. Według
ich doświadczeń, część zasadnicza kaolinu jest:



a zatem feldspat = $\text{Al}_2 \text{O}_3, 3 \text{SiO}_3 + \text{KOSiO}_3,$

rozdziela się na: $\text{Al}_2 \text{O}_3, \text{SiO}_3 =$ kaolin

i $3 \text{SiO}_3 \text{KO} =$ krzemian potażu nierozpuszczal-
ny, gdy feldspat jest zwyczajny

albo: $3 \text{SiO}_3 \text{NaO},$ gdy jest albitem.

Lecz obadwa te krzemiany alkaliczne, temi samemi działaniami
rozkładowemi dalszej zmiany doznają.

Krzemian sody = $3 \text{SiO}_3 \text{NaO}$

wydaje: $\text{SiO}_3 =$ krzemionka

i $\text{NaO}, 2 \text{SiO}_3 =$ krzemian sody rozpuszczalny.

Z krzemianu potażu = $3 (\text{SiO}_3, \text{KO})$

czyli = $9 \text{SiO}_3 + 3 \text{KO},$

tworzy się: $\text{SiO}_3 =$ krzemionka

i $8 \text{SiO}_3 + 3 \text{KO} =$ krzemian potażu, taki sam
z jakiego szkło rozpuszczalne powstaje.

K. 189, wiersz 8 od dołu

zamiast: gliny palonéj

powinno być: z gliny palonéj.

K. 190, wiersz 17

zamiast: w glinie palonéj

powinno być: w glinie niepalonéj.

K. 194, wiersz 16 od dołu

zamiast: $3 \text{KO}_2 \text{SiO}_3 \text{KO SiO}_3 \text{KO}_2 \text{SiO}_3 \text{KO}_4 \text{SiO}_3$

powinno być: $3 \text{KO} 2 \text{SiO}_3, \text{KO SiO}_3, \text{KO}, 2 \text{SiO}_3, \text{KO}, 4 \text{SiO}_3.$

K. 194, wiersz 11 i 12 od dołu

zamiast: krzemian $3 \text{CaO}_2 \text{SiO}_3 (\text{CS}_2)$

powinno być: krzemian $3 \text{CaO} 2 \text{SiO}_3 (\text{CS}_2).$

K. 194, wiersz 13 od dołu:

zamiast: $\text{C}_4 \text{S}, \text{C}_2 \text{S}, \text{C}_4 \text{S}_2, \text{CS}$

powinno być: $\text{C}_4 \text{S}, \text{C}_2 \text{S}, \text{C}_4 \text{S}_2, \text{CS}.$

K. 194, wiersz 6 od dołu

powinno być: granat = $3 \text{CaO SiO}_3 + \text{Al}_2 \text{O}_3 \text{SiO}_3,$

i pistacyl = $3 \text{CaO SiO}_3 + 2 \text{Al}_2 \text{O}_3 \text{SiO}_3,$ same to-
pią się w ogniu letroru, mieszanina zaś i t. d.

W rozbiórce rudy żelaznej z Tychowca:

Na k. 210 wiersz 22 od góry

zamiast: Brauneisensteinu

powinno być: do brauneisensteinu.

Na karcie 210, wiersz 7 od dołu

zamiast: 2 Ag

powinno być: 2 Aq.

K. 211, wiersz 17 od dołu

zamiast: $\text{Fe}_2 \text{O} + 3 \text{Ag}$

powinno być: $\text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Aq}$.

K. 211 wiersz 13 i 14: 12

zamiast: $2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Ag}$

powinno być: $2 \text{Fe}_2 \text{O}_3 + 3 \text{Aq}$.

We wszystkich wzorach chemicznych zamiast Fc_2 powinno być Fe_2 .



Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w Obserwatorium Warszawskim w roku 1846 robionych.

i wzniesione jest 114,05 metrów nad poziom morza, jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^s 14^m 47^s, czyli w łuku 18° 41'45", na wschód względem południk

Ć BAROMETRU sprowadzona do 0°			TEMPERATURA podług termometru stustopniowego							Psychometr. Wilgotność średnia biorąc zupełne nasycenie za 100					STAN NIEBA							Wysot spadają:			
			ś r e d n i a					najwyższa	najniższa	ś r e d n i a					Dni pogod.	Dni pół. pog.	Dni pochm.	Dni deszczu	Dni śniegu	Grudów	Mgły	Grzmotów	Błyskawic bez grzmotu	Wichrów	dészczu
średnia	najwyższa	najniższa	6 go. rano	10 go. rano	4 go. wiecz.	10 go. wiecz.	średnia			6 g. r.	10 g. r.	4 g. w.	10 g. w.	mie. sięc.											
749. 33	763. 59 d. 15	730. 60 d. 23	- 3°. 62	- 2°. 80	- 1°. 93	- 3°. 09	- 2°. 86	+ 7°. 3 d. 23	- 18°. 0 d. 29	92.5	89.9	91.5	92.5	91.7	5	4	22	8	5	9	21. 3
745. 21	759. 67 d. 22	726. 53 d. 18	- 2. 86	- 1. 03	- 0. 34	- 2. 26	- 1. 63	+ 6. 2 d. 27	- 18. 3 d. 17	91.9	89.0	87.7	93.1	90.5	2	4	22	5	14	14	10. 2
747. 47	759. 96 d. 11	728. 10 d. 15	+ 2. 45	+ 5. 41	+ 7. 48	+ 3. 98	+ 4. 83	+ 14. 0 d. 18	- 0. 9 d. 31	95.0	83.8	73.2	88.7	85.1	3	16	12	15	4	2	35. 4
746. 23	753. 91 d. 25	731. 80 d. 7	+ 5. 88	+ 10. 68	+ 12. 68	+ 7. 78	+ 9. 23	+ 17. 1 d. 23	+ 0. 8 d. 1	99.5	64.1	56.9	82.5	73.3	6	14	10	14	1	1	32. 1
749. 84	756. 96 d. 12 i 23	740. 69 d. 17	+ 8. 41	+ 12. 35	+ 14. 79	+ 9. 82	+ 11. 34	+ 26. 1 d. 23	+ 0. 6 d. 2	92.8	64.6	54.0	77.4	69.4	6	12	13	19	1	6	45. 1
750. 08	755. 89 d. 22	738. 15 d. 25	+ 13. 13	+ 17. 35	+ 20. 55	+ 14. 99	+ 16. 50	+ 28. 1 d. 20	+ 6. 5 d. 2	99.1	75.1	70.6	81.4	79.0	11	14	5	11	7	29. 9	
749. 87	755. 65 d. 24	739. 02 d. 18	+ 17. 02	+ 21. 42	+ 23. 53	+ 18. 28	+ 20. 06	+ 30. 9 d. 20	+ 12. 7 d. 27	80.9	64.1	58.2	77.9	70.3	6	18	7	11	2	50. 3	
750. 29	756. 19 d. 31	745. 44 d. 24	+ 18. 12	+ 22. 88	+ 25. 22	+ 19. 76	+ 21. 49	+ 30. 5 d. 3	+ 12. 2 d. 28	86.6	68.9	51.6	80.6	73.8	5	22	4	9	1	45. 4	
751. 06	761. 44 d. 10	738. 78 d. 18	+ 9. 91	+ 15. 97	+ 18. 45	+ 12. 85	+ 14. 29	+ 27. 2 d. 2	+ 2. 9 d. 24	80.6	65.6	56.8	78.9	73.0	11	12	7	7	1	19. 8	
750. 49	763. 49 d. 31	742. 89 d. 15	+ 8. 58	+ 12. 48	+ 14. 03	+ 10. 01	+ 11. 27	+ 21. 3 d. 3	- 2. 0 d. 31	96.8	81.9	73.2	91.7	85.9	5	15	11	8	1	19. 0	
755. 12	767. 12 d. 10	734. 50 d. 28	- 1. 92	+ 0. 12	+ 1. 44	- 0. 63	- 0. 25	+ 8. 0 d. 27	- 10. 1 d. 19	97.4	89.0	85.4	96.8	92.2	8	7	15	7	2	2	6. 5
746. 07	770. 81 d. 30	724. 96 d. 12	- 5. 04	- 3. 94	- 3. 47	- 4. 47	- 4. 23	+ 2. 6 d. 12 i 22	- 13. 6 d. 16	97.2	94.8	93.5	96.8	95.5	4	2	25	4	8	2	12. 0
749.255	770. 81 d. 30 Grudnia.	724. 96 d. 12 Grudnia.	+ 5. 80	+ 9. 24	+ 11. 04	+ 7. 25	+ 8. 33	+ 30. 9 d. 20 Lipca.	- 18. 3 d. 17 Lutego.	90.8	77.6	71.7	86.5	81.6	72	140	153	118	32	6	33	22	4	43	327. 0

c. 1. Średnia temperatura roczna wynosi: + 8°.33 C. = + 6°.66 R.
 27 8.142 i ta jest wyższa o 1.00 „ 0.80 „
 od stanu normalnego z 20tu lat poprzed. + 7.33 „ + 5.86 „
 28 5.697 Największe ciepło dochodziło d. 20 Lipca + 30.9 „ + 24.7 „
 26 9.372 Największe zimno. d. 17 Lutego - 18.3 „ - 14.6 „
 1 8.325 Zmiana roczna temperatury 49.2 „ 39.3 „
 1.094 Zmiana średnia miesięczna 4.55 „ 3.63 „
 1.592 Średnia zmiana dzienna 2.42 „ 1.94 „
 Największa zmiana dzienna d. 16—17 Lut. 17.3 „ 13.8 „
 9. 03 Uważając miesiące: Grudzień (1845 r.), Styczeń, Luty za
 0. 31 miesiące zimowe; Marzec, Kwiecień, Maj, za wiosenne; Czer-
 wiec, Lipiec, Sierpień. za letnie; Wrzesień, Październik, Li-
 stopad, za jesienne; wypada:
 17 8.452 Temperatura zimy - 1°.61 C. i ta jest wyższa o 2°.12 C.
 w mie- wiosny + 8.47 „ „ wyższa 1.32 „
 rpnia.— lata + 19.35 „ „ wyższa 1.25 „
 styczniu, jesieni + 8.44 „ „ wyższa 0.63 „
 23 Grudniu: od średniego stanu tychże pór.
 24 a a oszo-
 25 hże mie-
 26 ty mie-
 27 Wrzesień
 Miesiące cieplejsze od stanu normalnego były: Styczeń o 2°.45,
 Luty o 1°.89; Marzec o 4°.42; Kwiecień o 1°.77; Lipiec o 1°.31, Sier-
 pień o 3°.54; Wrzesień o 0°.29; Październik o 3°.25. Miesiące zim-
 niejsze: Maj o 2°.25; Czerwiec o 1°.12; Listopad o 1°.65; Grudzień
 o 1°.86.

Rok 1846 pod względem ciepłotanu należy do lat gorących;
 wszystkie bowiem pory roczne, osobliwie zimowa, miały tempera-
 turę wyższą niż w stanie normalnym.
 Wilgotność powietrza średnia roczna wynosi 81.6, biorąc li-
 czbę 100 za zupełne nasycenie powietrza parą wodną, albo 7.17
 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta
 jest o jedną setną mniejsza jak zwykle. Wszystkie pory roczne,
 osobliwie lato i jesień były bardzo suche. Miesiące najsuchsze
 były: Lipiec i Wrzesień; najwilgotniejsze Maj i Grudzień.
 Ilość wody z deszczu wynosi: 327.0 milim. czyli cali 12 lin: 0.96
 „ z śniegu „ 78.3 „ „ 2 „ 10.71
 razem wody z deszczu i śniegu 405.3 „ „ 14 „ 11.67
 to jest o 5 cali 8.5 lin. par. mniej od ilości wody jaka zwykle w ca-
 łym roku u nas spada. Najwięcej wody spadło w Lutym i Lipcu;
 najmniej w Wrześniu, Październiku i Listopadzie. Rok ten należy
 do lat bardzo suchych.
 W całym roku było dni pogodnych 72; napółpogodnych 140;
 pochmurnych 153; dni słotnych 118; śnieżnych 82; mglistych 33;
 gradów 6; grzmotów 22; błyskawic bez grzmotu 4. Wichrów 43.
 Wiatry panujące hyły: Zachodnie i Południowo-Wschodnie.

Jeżeli rok cały uważać będziemy jako całość podzieloną na
 100 równych części, i w tych częściach wyrazimy dni pogodne,
 napółpogodne i pochmurne; wypadnie w średniem przecięciu
 z 20 lat poprzednich stosunek dni pogodnych do napółpogodnych
 i pochmurnych jak 16: 33: 51. W roku 1846 stosunek tych dni
 jest 20: 38: 42, co pokazuje że rok ten był pogodniejszy niż w sta-
 nie normalnym. Miesiące: Kwiecień, Czerwiec, Lipiec, Sierpień,
 Wrzesień, Październik i Listopad były pogodniejsze jak zwykle;
 przeciwnie, Luty, Maj, i Grudzień niepogodne.
 Zima, była bardzo łagodna, niestała i niepogodna, o 2,12
 stopnie C. cieplejsza jak zwykle. Wody z deszczu i śniegu spadło
 blisko dwa razy tyle jak w stanie normalnym. Początek tej pory
 był ciepły i słotny, środek więciej słotny jak śnieżny, koniec odzna-
 czał się obfitymi śniegami, częstymi wichrami i zadymkami śnie-
 żnymi. Nagłe zmiany temperatury, barometru i wiatru sprowa-
 dzały częstą odwilż, i zmianę stanu atmosfery.
 Wiosna, ciepła, dość pogodna, o 1.32 stopnie C. cieplejsza jak
 zwykle; dni słotnych było dwa razy więciej jak w stanie średnim.
 Początek tej pory był bardzo ciepły i w deszcz obfity. Środek
 gorący, grzmoty były wczesne, gdyż w początku Kwietnia dały
 się już słyszcć. Węgielactwa roślin o jeden miesiąc była wcze-
 śniejszą, w końcu Kwietnia drzewa owocowe już kwitły. Koniec
 tej pory był chłodny i słotny.

Lato, p-
 jak zwykle.
 średnim. —
 Koniec nadz-
 runy i btysek
 rza, i te był
 Jesień, p-
 Wody z desz-
 Początek tej
 niec pogodn-
 D. 2 Sty-
 Wista p-
 Lody na
 D. 4 Mar-
 żne za
 Piérwszy
 Paździ-
 Koła świ-
 Koła bia-
 d. 1 Li-
 Stup świ-
 Zorza zo-
 Zorza pó

RZUT OKA

na systemata lekarskie i wykaz postępu téjże nauki
w nowszych czasach.

PRZEZ

Felixa Jabłonowskiego.

Kto sposobu leczenia chorób tak wyuczyć się chce jak tego wymagać można po prawdziwym lekarzu, ten niezbędnie poznać musi teorye, systemy i metody leczenia przez wszystkie czasy; z tego tylko stanowiska widzieć można cały ogrom przeszłości i w całym swym blasku terażniejszość: tym tylko sposobem rozróżni się starą prawdę od nowych błędów, jak i stare błędy od nowój prawdy; słowem, do dojścia do tego stanowiska, potrzebna jest znajomość historyi medycyny. Wszystko co istnieje w przestrzeni, należy do natury, wszystko co istnieje w czasie, należy do historyi; jak w naturze cały łańcuch tworów harmonijnemi łączy się ogniwami, tak w historyi wszystkie wypadki czasu łączy jedna, nieprzerwana, chociaż różnobarwna wstęga. Natura i historya jednym podlegają prawom; przeznaczeniem natury jako

materyi, mającój w sobie samój ziarno rozplodzenia, jest ciągle tworzenie się do jój utrzymania potrzebne; przeznaczeniem historyi, jest ciągły postęp do doskonałości i w niój także jest owo ziarno rozplodnienia, ale nie materjalne, tylko duchowe. Co tu powiedziałem w ogóle o historyi, ściąga się i w szczególę do historyi medycyny; postępuje ona równym krokiem z historyą świata całego; los bowiem i powodzenie nauki medycyny ściśle jest połączony z losem narodów i państw, stopień ich oświaty wielki wywióra także wpływ na postęp téjże nauki. Niemniej' łączy się medycyna z historyą filozofii, która jako najwyższe pojęcie wiedzy człowieka, służyła zawsze za przewodniczącą gwiazdę w każdym jój nowym systemie; filozofia prowadziła ją to na dobrą, to już częściej może na złą drogę, bo do samowoli i jednostronności. Nakoniec historya religii i prawa w ściśłym pozostaje związku z medycyną. Obrządki religijne rozmaitych narodów wielki miały wpływ na postęp i jój wykształcenie, tak jak i prawodawstwa państw, dobroczynne lub nieprzyjemne wywiórały na nią skutki; albowiem niemałą to jest rzeczą, jaki stopień zajmować winni lekarze w społeczeństwie, gdyż poważanie i godność ożywia i podnosi sztukę, lekceważenie i pogarda tłumi ją i niszczy. Historya medycyny tak jak i historya filozofii nie samą przeszłością się trudni, wnętrzem obudwóch są naukowe owoce rozumu ludzkiego, a te nigdy nie przemijają; objawiając nam prawdę, tém samym są wieczne: ciała bohaterów historyi naszej z doczesném ich życiem, ale dzieła ich myśli nie zagięły, czyny ich jako obrazy przeszłości nietylko w świątyni wspomnienia są złożone, są one i teraz równie obecne, równie żyjące jak w czasie objawienia się, bo ich żywiołem nie jest materya, tylko myśl,

pojęcie, nieginąca istota ducha, która z pokolenia w pokolenie przechodząc, wiecznie żyje; do historyi zatem przeszłość, terażniejszość i przyszłość należy. Nie jest bynajmniej celem moim wdawać się w szczegółowe opisy historyczne, wspomnę tylko pokrótce o początkach sztuki lekarskiej, dotknę głównych jej epok i zastanowię się nad nowszemi systematami i postępem nauki naszej. Medycyna tak samo jak religia, filozofia i historia bierze swój początek w podaniach, w tradycjach; powstała ona równocześnie we wszystkich narodach, a obrazy bajeczne starożytnych ludów dowodzą jej dawności bytu. Najstarszą ona jest niezawodnie ze wszystkich nauk, nawet i od filozofii. Arystoteles bowiem już powiedział: że po zażyczeniu pierwszych potrzeb życia zaczęto dopiero filozofować, a niezawodnie ludzie pierwsi chorowali niż filozofowali. Jak wszystko czego sobie starożytni wytłumaczyć nie mogli, uważali za coś nadprzyrodzonego, Boskiego i rozmaite zjawiska miały u nich swoich bożków, tak też i medycyna u każdego z tych narodów, pod najrozmaitszemi postaciami i nazwami czczoną była. Ludzie pierwsi, jako najściślej połączeni z przyrodą i równie jak ona będąc blizkiemi bóstwa, mogli sami wprost żądać od niego rady i udzielenia tajemnic; gdy zaś później przez wielokrotne wykroczenia, nie czuli się być dość godnymi tak blizkiej styczności, używali do tego wybranych, którzy odosobnieni, wyłącznie tylko żyjąc z bóstwem, do niego zawsze zbliżyć się mogli, ażeby być pośrednikami pomiędzy zagniewanym bożkiem a ludźmi przeciw niemu wykraczającymi, lub też potrzebującymi jakiejś rady. Tymto sposobem kapłani stali się i lekarzami, gdyż będąc posłannikami Boskiej jakiejś istoty, pocieszali chorych proszących o radę, ogłaszając im wyroki

bóstwa, usty swojemi. W takim stanie była medycyna u Indyan, Persów, Egipcyan, Izraelitów, Fenicyan i początkowo u Greków. Z postępem oświaty która najsilniejszego doznała popędu w Grecyi, i medycyna coraz bardziej rozwijać się zaczęła: teorye filozoficzne w walce z wykształceniem jój praktyczném, dużo się przyczyniły do jój wzrostu. W tym czasie kiedy Perykles politykę uszlachetnił do ludzkości, kiedy Sokrates mądrość z cnotą łącząc uczył niebiańskiego szczęścia przez ziemską pielgrzymkę, a wkrótce Plato i Arystoteles swój świętny rozwinęli sztandar; kiedy muzy szczyliły się Aeschylesem, Sophoklesem i Arystophanem, kiedy Pindar swą lirą pod niebiosy sięgał, Herodot i Thucydides niezatar-te karty historii kreślili; kiedy Fidiasz i tylu innych kamieniom życie nadawali a pędzel Apellesa urzeczywistniał ideały piękności, wtedy i sztuka lekarska poszczy-ciła się mężem, który wyższém obdarzony natchnieniem, czerpiąc naukę z łona natury, stał się mistrzem po wszy-
stkie czasy: i dlatego Hippokrates najskuszniej ojcem sztuki lekarskiej nazwany. Na 430 lat przed narodzeniem Chrystusa urodził się Hippokrates z rodziny Asklepiadów i był uczniem sławnego sofisty Gorgiasza i Herodika gimnastyka. On pierwszy połączył rozdzielone wiadomo-ści lekarskie; nie wdając się w żadne abstrakcyjne speku-lacye, uważał on organizm ludzki jak naturę za jedną ca-łość. Do czterech elementów Empedoklesa które były ogień, powietrze, woda i ziemia, dodał jeszcze ciepło, zi-mno, suchość i wilgoć; tym odpowiadają cztery kardy-nalne soki ciała ludzkiego, tojest: krew, szluz, czarna i żółta żółć. Źródłem organicznego życia jest ciepło wro-dzone (ἔμφυτον Δερμόν), powietrze (πνεύμα) i pierwia-stek pobudzający (ενορμῶν). Równowaga i doskonałe

zmieszanie ($\chi\rho\delta\sigma\iota\varsigma$) elementów i soków ciała stanowi zdrowie, brak lub zbytek tychże stanowi chorobę. Naukę o przebiegu chorób i o dniach krytycznych jemu winniśmy, jego semiotyka w formie prognostyki jest wzorem i w dzisiejszych czasach. Terapia jego była bardzo pojedynczą; głównie licząc na siły natury, zalecił ścisłą dietę, używał kąpeli, kataplazmów, puszczania krwi, łagodzących odwarów i środków przeczyszczających. Co się tyczy chirurgii, znane mu było leczenie ran, złamań i zwichnięć członków, równie jak i operacya kamienia i trepanacya. Anatomii bardzo mało znał, z powodu, że obrządki religijne i przesady Greków zabraniały sekcji; uczył jęj się tylko na zwierzętach. Od niego to nauka nasza poczyną swój pierwszy system, zróciwszy więzy uczoneści szkolnej i tyranii kapłanów, zutworzeniem własnej teoryi medycznej, zaczęło się jęj samodzielne istnienie, które najbardziej przez natchnienie Hippokratesa do natury zbliżone było. Zaraz po śmierci Hippokratesa w jego następcach ukazuje się duch spekulacyi i dogmatyzmu, dowodem czego utworzenie szkoły dogmatycznej, później, Alexandryjskiej, nareszcie Empiryków. Jak w życiu indywidualnym człowieka, po szczęściu następuje nieszczęście, po wielkich usiłowaniach zupełna bezczynność, tak samo się rzecz ma i z życiem narodów, ducha i nauk. Polityczne życie Grecyi w konwulsyjnych drganiach w bitwach pod Leuktrą i Mantineą wyzionęło ostatnie tchnienie, a Rzym tryumfującą przyjął na się rolę, ażeby znowu później się z nią pożegnać, jak aktor który zestarawszy się na scenie, ustępuje miejsca młodszym ulubieńcom publiczności. Grecya skończyła swoje posłannictwo, rzuciwszy jasne promienie światła, nauki, poezyi i sztuk pięknych po całym starym świecie; zwycię-

żona przez Rzym, ze wszystkimi swemi żywiołami które ścisłym węzłem z jój politycznym życiem związane były, przeszła w element rzymski, którego przeznaczeniem było dalej reszcie świata przewodniczyć. Co się tyczy medycyny, Rzym pierwiastkowo nosi na sobie cechę ciemnoty i zabobonu, czego dowodem przepowiednie z przebiegu ptaków, zapytania Sybilli, wyroczni, nauka gwiazdziarska i t. p. Nie mając własnych bożków lekarskich, pożyczyli ich sobie od Greków, świadkiem czego świątynia dla Apollina lekarza; czcili Rzymianie Juno i Dyanę jako Lucina, Hygeę, Dea salus, a Minerwę jako Medica. Zdrowi i herkulesowój budowy ciała jak byli pierwsi Rzymianie, mało potrzebowali lekarstw i lekarzy, dlatego téż sztuka lekarska była u nich w pogardzie; pogarda ta i w późniejszych jeszcze zachowała się czasach, wtedy nawet, kiedy zbytek zniszczył siły żywotne i lekarze stali się potrzebnymi. Stan ten łatwym jest do wytłumaczenia: pierwszymi lekarzami Rzymian byli Grecy, po największej części posługacze kąpielowi, jatrolipci lub farmakopole, którzy dla spekulacyi do Rzymu udali się, ażeby tam swoją niewiadomość drogo sprzedać mogli; dlatego dziwić się nie należy, że pierwszym lekarzy zwano szyderczém imieniem *vulnerarius* albo *carnifex*; później dopiero, kiedy i inne światła Grecyi do Rzymian przeszły, wtedy i medycyna rzymska przybrała barwę greckiej. Pierwszym lekarzem rzymskim był Asklepiades z Pruzy w Bitynii, 128 lat przed Chrystusem zrodzony. Zarzucając naukę Hippokratesa, utworzył nową teorię atomistyczno-mechaniczną i stał się twórcą szkoły metodystów, po której następuje szkoła encyklopedystów, do której należą: Aulus Cornelius Celsus i Cajus Plinius Secundus: za nimi idą pneumatycy i eklektycy, którzyto

ostatni, łącząc nauki wszystkich poprzednich szkół, tém samém nową utworzyli; szkoła ta utrzymywała się aż do Galena. Galen w 131 lat po narodzeniu Chrystusa, wspierając się na doświadczeniu swych poprzedników, rozrzucone ułamki nauki naszej zebrał w jedną całość i stał się twórcą nowego systematu ze go nazwę filozoficzno-fizyologicznego; zbyteczną byłoby rzeczą wchodzić w szczegółowy rozbiór, gdyż system jego wszystkim nam dobrze jest znajomym, stanowi on bowiem pierwszą epokę w medycynie ad czasów Hippokratesa.

Teraz widzimy całunem pokrytą starożytność, a stanęliśmy u kolebki nowszych czasów; pogańska starożytność skończyła swoje przeznaczenie, chrystyanizm gotuje nam nowe walki, stary świat blizki skonu chwyta się najróżnorodniejszych środków ale bezskutecznie; czas jego przeminął i musiał ustąpić nowemu światłu. Chrystyanizm w walce z poganizmem ucierpiał pierwiastkowo dużo na swój czystości, albowiem pierwsi prozelici jego nie byli w stanie zupełnie się otrząsnąć z dawnych przesądów i chcieli go połączyć z filozofią Platona i wschodnimi marzeniami; z tego ostatniego źródła pochodzi nauka o Demonach, która i w późniejszych nawet czasach, bo jeszcze za Lutra, w wyobrażeniu djabła przedstawia nam pierwiastek złego. Magia zaczęła się rozszerzać, która później na rozrzutnym dworze cesarzów rzymskich, potrzebujących złota, w alchemią się zamieniła; miała równie swój udział i w medycynie, dowodem czego wiara w cudowne siły pewnych kabalistycznych nazwisk, formuły przeciw słabościom czyli zamawiania, exorcyzmy przeciwko najrozmaitszym chorobom. Z tego powodu jak w starożytności medycyna pierwiastkowo była w ręku kapłanów, tak i tu przeszła w ręce mnichów; trzeba było

dla nauki naszej nowój emancypacyi, ażeby mogła dalszy uczynić postęp; jak całe wieki średnie, tak i medycyna tych czasów nosi na sobie piętno religijne. Po Galenie zaczyna się upadek medycyny; z jednej strony walki religijne, despotyzm cesarzów rzymskich, zbytek mieszkańców, z drugiej strony wędrówki narodów były tego przyczyną. Przez ten czas niejako że tak powiem znalazła przytułek nauka nasza u Arabów, wszyscy jednak byli po większej części zwolennikami Galena i zaden z nich nie stał się twórcą osobnego systematu, chociaż wielu zasłużonych między nimi mężów naliczyć można. Znaczne oni mają zasługi w chirurgii, równie jak i w zastosowaniu wielu przedtém nieużywanych środków lekarskich: najbardziej kwitnący stan medycyny arabskiej był od VII do XIII wieku.

Kiedy niezgody religijne, wojny i zbytek wyгнаły nauki do Arabów, schroniły się one w Europie za mury klasztorne, i medycyna szukając przytułku znalazła go u mnichów. Ogrody ich zasiane zostały użytecznemi w chorobach roślinami, a przeznaczenie ich dostąpiło wyższego celu jaki na nich obowiązek religii włożył, to jest litości i miłości chrześcijańskiej.

W dziewiątym wieku, na zwaliskach stariej świątyni Apollina, w klasztorze Benedyktynów w Monte-Cassino, który jeszcze 541 r. po narodzeniu Chrystusa przez Benedykta Nurcia był założony, Bertharius, członek tego zgromadzenia, przez swoją znajomość w medycynie, pierwszy dał hasło do jej emancypacyi z rąk mnichów; mnóstwo albowiem ze wszystkich stron zaczęło się do niego zjeżdżać, aby z jego nauki i światła korzystać. Prawdziwą jednak i pierwszą szkołą lekarską w Europie była szkoła w Salerno tak zwana *Civitas Hippocratica*, do

której nietylko żydzi, Grecy, Włosi i Saraceni zgromadzać się zaczęli, ale nawet i udający się ze wszech stron na wyprawę krzyżową, słabi i zdrowi z powodu bardzo zdrowego położenia, wypoczynku szukali. Z temi dwiema wspomnionemi szkołami w XII jeszcze wieku rywalizować zaczęła szkoła w Montpellier, która co do geograficznego położenia swego nie ustępując tamtym, miała doskonały szpital, a w XIII wieku szkoła ta zamieniła się w uniwersytet i wielu znakomitych liczyła mężów. Jak w Grecyi medycyna wyemancypowała się z rąk kapłanów, tak i tu nadszedł jój czas wyzwolenia się z rąk mnichów, do czego niemało przyczynili się sami księża; uważając bowiem chirurgią za coś ubliżającego stanowi lekarskiemu, obawiali się ażeby tém samém nie ściągnąć pogardy na stan duchowny, dlatego zbór w Reims 1131 roku zakazał księżom praktyki lekarskiej, a z powodu niezadośćuczynienia temu rozkazowi, późniejsze zbory w Lateranie 1139, w Montpellier 1162 i w Tours 1163, a nakoniec w Paryżu i Lateranie 1212 i 15, ten sam zakaz powtórzyły i wyjątkowo tylko laikom czyli księżom młodszym niewyświęconym, obowiązki lekarskie pełnić dozwolono, zakazując wszakże używania noża i żelaza rozpalonego. Zakaz ten leczenia mnichom, wywołał nowe korporacye, które trzymały środek pomiędzy świeckimi a zakonnikami, a które wyłącznie tylko pielęgnowaniu chorych poświęciły się.

Jeszcze przed wojnami krzyżowemi w Palestynie, utworzyły się bractwa dla pielęgnowania chorych pielgrzymów; takimi były ś. Jana, Maryanie i ś. Łazarza. Od czasu wojen krzyżowych, za przykładem Wschodu a jeszcze bardziej z przyczyny pomnożenia się chorób, podo-

bne bractwa i w Europie okazały się niezbędne i wtedyto powstałi Templaryusze, Hospitalici czyli Johannici tak zwani *Hospitalarii sancti spiritus* i Czarne Siostry. Piérwsze urządzenia szpitali datują z roku 1181 od Rogera de Moulins, gdzie wyraźnie o nadaniu takim zakładom prawdziwych lekarzy jest mowa; potrzeba prywatnych i publicznych szpitali pokazała się niezbędną, ale księza długo z rąk swoich wypuścić ich nie chcieli, aż dopiéro zbór w Wiedniu 1312 roku ostatecznie im tego zakazał i na przyszłość tylko lekarze takim zakładom przewodniczyć mieli. Odtąd datuje się zupełna emancypacja nauki naszój z rąk mnichów, która od czasów Galena przez tyle wieków prawie żadnego nie uczyniła postępu. Z jednéj strony nadanie praw lekarskich przez cesarza Fryderyka IIgo jeszcze w roku 1140 potwierdzonych potém 1365 przez Johanę Neapolitankę, z drugiéj strony zakładanie uniwersytetów a szczególnie w Włoszech, z których najslawniejsze były w Bolonii, Ferrarze, Pawii, Medyolanie i Piazencie, równie jak i we Francyi, Niemczech i Anglii, a z niemi wznoszące się biblioteki, stały się rękojmią postępu nauki, która już od tak dawna odłogiem spoczywała. Na nieszczęście powtórna emancypacja nauki naszój nie napotkała drugiego Hippokratesa, znalazła się ona z filozofią scholastyczną, która ująwszy ją raz w swe sidła długo nie popuściła. Chociaż wiek XV, odznacza się postępem z przyczyny dwóch ważnych wypadków, to jest odkrycia Ameryki i wynalezienia druku, wypadki te na medycynę mały bardzo wpływ wywarły; prawdziwy postęp medycyna uczyniła dopiéro w XVI wieku. Paracelsus zrzuciwszy niewolnicze naśladownictwo, stał się twórcą nowego systematu. Pałac publicznie Galena i Avicenny pisma, a swój

system ogłaszając za nieomylny, nie mógł jak tylko mnóstwo sobie narobić nieprzyjaciół; sam jeden wystąpił do walki przeciwko szkołom i ich odwiecznemu naśladowaniu, dlatego ogłoszono go szarlatanem, człowiekiem bez obyczajów, zrobiono go nawet pijakiem. Dziwna że i nowsi pisarze jakim jest Sprengel podobne brednie powtarzają, a za nim wielu krytyków chcąc się popisać ze swoją erudycją co do słowa z niego odpisują, ażeby szklić drugim w oczy jakby pawiami piórkami. Paracelsus żyjąc w wieku mistycyzmu i rozmaitych przesądów, system swój duchem owych nacechował czasów: przyznać jednak należy, że zwrócenie medycyny ku praktycznemu celowi jemu winni jesteśmy. On pierwszy naprowadził nas na lekarstwa specyficzne, on pierwszy zaczął używać tynktur i essencji jak nierównie mnóstwa lekarstw mineralnych, które przed nim wcale znanymi nie były, a pokazały się skutecznymi w wielu chorobach mianych za nieuleczone. Pomimo wszelkich nienawiści, szkalowania i krzyku przeciw Paracelsowi, historia, ów bezstronny sędzia, oddała mu jedna należną sprawiedliwość; od niego bowiem datuje epokę powstania naszej nauki i nazwała go twórcą szkoły chemiczno-fizjologicznej.

Odznaczającym się jest wiek XVI dla medycyny; wszystkie gałęzie tej nauki zaczęły się rozwijać a szczególnie anatomia. Dość jest wspomnieć imiona w tym przedmiocie zasłużonych mężów jakimi byli: Jakób du Bois, Vesalius, Eustachii, Gabryel Falopia, Aranzi, Varoli i Fabricius ab Aquapendente. Z postępem anatomii i chirurgia podnieść się musiała, a szczególnie przy czynili się: Jan de Vigo, Mariano Santo, Franciszek de Arce, Ambroży Pare, Jakób Guillemau, Amatus Lusita-

nus i Tagliacozzo. Okulistyka i akuszerya równie miała swych reprezentantów: Grzegorz Bartisch piérwszy wykonał *extirpatio bulbi oculi*, w akuszeryi obrót dziecięcia na nóżki zaleconym został przez Rösslina, *accouchement forcè* przy *placenta praevia* i konwulsyach przez Guillemau, sztuczne wyjęcie placenty przez Franko, równie jak i piérwsze cięcie cesarskie zrobione na żyjącej kobiécie opisał Karol Etienne 1546 roku. Dziwić się należy, że w XVII wieku pomimo zaburzeń politycznych nauka jednak ciągle postępowała. W Niemczech wojna trzydziestoletnia, w Anglii walki religijne biskupów z purytanami, Stuartów ze stanami, które dopiéro ze śmiercią Karola i zupełnym upadkiem Stuartów a panowaniem domu Oranii skończyły się, w Hiszpanii inkwizycja tłumiy wszelkie wzniesienie się ducha. Włoskie państwa z upadkiem władzy papieżkiej coraz bardziej niknąć zaczynały, a we Francyi bigoterya i zbytek, który pod Ludwikiem XIV do najwyższego doszedł stopnia, do postępu nauki pewnie się nie przyczyniły.

W tymto jednak czasie, wszystkie nauki i sztuki wyzwołone wzięły zamiast transcendentalnej dążności, więcéj praktyczną. W Niderlandach zakwitło malarstwo. Muzy szczyły się Kalderonem, Cervantesem, Lope de Vega, Szekspirem i Miltonem; matematyka, nauki przyrodzone i historia zaczęły się podnosić, bo dogmatyzm porzucono, a więcéj na doświadczenie rachować zaczęto. Wszystkie prawie narody współubiegały się w tém szlachetném przedsięwzięciu: we Włoszech widzimy Galileusza, Toricellego i innych; we Francyi Dekarta, Gassendiego, Pascala; w Anglii Gregorego i Newtona; w Niemczech Praetoriusa, Keplera, Goerikego, Leibnitza; w Hiszpanii historyków Mariana i Herrera. W tymto dopiéro

czasie uczeni wszyscy zaczęli się koncentrować i nawzajem udzielać sobie swych myśli i doświadczeń; od tego czasu datuje się początek uczonych towarzystw i akademij, które piérwój przez kościół prześladowane, teraz w całym świecie się ukazały, a między innymi: Academia de Lincei, del cimento, Leopoldina i inne.

Jak filozofia nosi na sobie piętno czasu, tak samo medycyna tchnie duchem filozofii; mistycyzm i sceptycyzm zamienił się w racjonalizm Kartezjusza i empiryzm Bakkona, a uboczne drogi materjalizmu Hobbesa i sensualizmu Lockego doprowadziły do filozofii natury. Po śmierci Paracelsa i system jego upadać zaczął; jak to zwykłą bywa na świecie kolejną, że po wielkich ludziach cały rój małych nastąpić musi, zanim się znowu gieniusz ukaze; stronnicy Paracelsa nie rozumiejąc go stali się po większej części prawdziwymi szarlatanami, byli i tacy którzy naukę jego połączyć chcieli z nauką Galena. Potem widzimy chemiatryków, którójto szkoły twórcą był Sylvius; przyjął on za podstawę swego systemu choroby kwasów i choroby alkaliczne, i jak w retorcie tak w organizmie chciał burzyć, mieszać, fermentować i dystyllować. Po chemiatrykach następują jatromatematycy, u których fizyka i matematyka jak u tamtych chemia miała tłumaczyć wszystkie fenomena życia; założycielem téj szkoły był Jan Alfons Borelli, uczeń Galileusza, a którento system przygotował już Sanctorius Sanctori w swojej *Medicina statica*. Chociaż w téj walce systematu fizyologiczno-chemicznego Paracelsa z chemiatrykami i jatromatematykami, powaga starożytnych zdawała się być zaniedbaną, było to jednak tylko pozorném; właśnie owa chemią przeladowana metoda potrzebowała upojedynczenia, a widząc potrzebę połączenia teoryi z praktyką, doprowadziła ją

do prawdziwie Hippokratesowskiej metody, która więcej na obserwacji jak na teorii zakłada, to jest do patologii humoralnej. Nie odmawiając zasług Bagliwiemu i Ramaziniemu, cała jednak chwała należy się Sydenhamowi, który przez wielu drugim Hippokratesem nazwany został; ale właśnie dlatego że był drugim, usiłowanie jego było więcej restytuujące jak produkcyjne. Nieprzyjaciel hypotezy, ograniczył on wpływ chemicznej teorii na praktykę, nadając wartość indukcyjnej metodzie; uważał on bowiem za daleko pewniejsze używać jakiegoś środka, który w podobnych wypadkach był pomocnym, anizeli dlatego, że z tych a nie innych pierwiastków się składa; utrzymywał, że choroba jest wegetacją pasorzytną w organizmie, który krytycznym jakimś objawieniem stara się ją pozbyć. Szczególniejszą położył on zasługę w obserwacjach epidemii, poznał on ich wpływ na przechodzące słabości, i tego właśnie z natury czerpane postrzeżenia konstytucyj epidemicznych, każą nam go jako prawdziwego mistrza podziwiać.

Wiek XVII szczyti się jeszcze jednym z najważniejszych odkryć w fizyologii, to jest odkryciem krążenia krwi przez Harweja ucznia Fabrycyusa ab *Aquapendente*; z tym nowym promieniem światła znikło wiele fałszywych teoryj fizyologicznych i patologicznych, a indukcyjna metoda zyskała nowy punkt oparcia się. Anatomia wzbogaconą została przez Pecqueta, Bartholina, Stenona, Peyera, Brunera, Wirsunga, Whartona, Leuwenheka, Williama, Cowpera, Asellego, Schneidera, Haigmora, Malpighiego i wielu innych. Drugim również ważnym zjawiskiem w tymże wieku, było sprowadzenie chinu z Peru do Europy przez Juana del Vego lekarza vicekróla Cinchony. Corazto nowe postrzeżenia, nowe od-

krycia z bogactw pole doświadczenia i wszystkie nauki corazto więcej do praktycznego się zbliżały życia; jak w polityce i filozofii, tak samo w naukach i sztukach wyobrażenia średnich wieków w XVII skończyły się stuleciu; z wiekiem XVIII zaczyna się urzeczywistnienie i czynne działanie, a germański element wsparty filozofią Leibnitza, wielki miał w nim udział. Pomimo tego ciągłego postępu i dążności praktycznej, żaden wiek może nie był tak bogaty w systemata medyczne jak wiek XVIII. Zaraz z początku napotykamy Stahla, Fryderyka Hoffmana i Boerhawego; pierwszy narzucając swój trudny do pojęcia czysto psychiczny system, a pogardzając fizyką, chemią i anatomią, ogłaszając je za zupełnie niepotrzebne do teoryi, z powodu tego nie znalazł wielu stronników. System Fryderyka Hoffmana właściwie nie jest żadnym systematem; przyjmuje on jako pierwiastek ożywiający organizm jakiś eter i na nim całą swoją buduje teorią, i chociaż wyraźnie powiada, że wszystko co się na anatomii i fizyce nie opiera jest tylko czczym marzeniem, zapomina o tém, że jego eter ani jedną ani drugą wytłumaczyć się nie da. Mimo niedorzeczności swjej teoryi, Fryderyk Hoffman ma tę wielką zasługę, że teorya jego żadnego nie miała na nim wpływu co do praktyki i pod tym względem był zupełnym eklektykiem; dlatego téż był jednym z najszcześliwszych praktyków swego czasu. Jeżeli teorią Fryderyka Hoffmana z trudnością uważa się za osobny system, to Boerhawego wcale za taki uważać nie należy. Wielki ten mąż sławę która nawet granicę Europy przeszła, winien tylko swjej osobistości, którą sobie jako człowiek, lekarz i nauczyciel zjednał, gdyż podobna cześć od współczesnych i uczniów rzadkim jest przykładem. Boerhawe, profes-

sor w Lejden, był uczniem Sydenhama, Belliniego i Pilcairna; połączył on widoki jatromatematyczne z metodą Hippokratesa w praktyce, był pośrednikiem między dynamiczną, mechaniczną i chemiczną nauką, a nie chcąc ani ducha, ani materji, przyjął Hippokratesa *ενορμῶν* a z nim ideę mechanizmu i chemizmu Sylviusa, słowem, że sposób widzenia rzeczy przez niego nie jest eklektyzmem, ale mieszaniną tych trzech systematów. Jednym z najwięcej zasłużonych mężów w historii medycyny XVIII stulecia, jest Albrecht Haller; popierając Glissona i Gortera wyobrażenia własnymi doświadczeniami, stał się twórcą nowój nauki o drażliwości. Haller rozróżniając drażliwość od czucia, uznał tém samém siłę nerwową, Unzer posunął ją dalej rozróżniając duszę od siły nerwowój, Cullen dopiero przyjął ją za pryncipium i podniósł do teoryi, uważając nerwy za podstawę życia i odbywania funkcyi w zdrowym i chorym organizmie i za przyczynę uleczenia.

Do tych^{tu} wyliczonych systemów XVIII stulecia, należy jeszcze teorya gastryczna, czyli tak zwana szkoła wiedeńska i system Browna. Maxymilian Stoll mimowolnie stał się twórcą nowój teoryi. Doskonałym będąc obserwatorem, postrzegł, że charakter epidemicznie panujących wówczas gorączek był natury gastrycznój i z najpomyślniejszym skutkiem używał środków sprawujących womity i przeczyszczających; to powodzenie jego w praktyce zyskało mu ze wszech stron uczniów, którzy naukę jego po całym prawie roznieśli świecie, i onito właściwie byli twórcami metody gastrycznój, którą do najwyższego stopnia posunął Filip Kämpf w swojój nauce o infarktach, a później syn jego wprowadził użycie wisceralnych klisimatów. Metoda gastryczna, lubo dużo miała

zwolenników, ze zmianą charakteru epidemii upaść musiała. Pobudzalna teoria, Browna zasadzająca się na sthenii i asthenii z przyczyny łatwego do niej przystępu, z największym entuzjazmem przyjętą była, ale nadużycie środków pobudzających przez stronników téjże metody, widzących prawie wszędzie asthenią, a ztąd niepomysłnym skutkiem uwieńczone kuracye, pokazały wkrótce bezzasadność téj teoryi. Zaprzeczyć jednak trudno, że teoria Browna chociaż fałszywa, była przyczyną postępu nauki; ogłaszając wszystko cokolwiek przedtém istniało za nieprawdziwe, wywołała tym sposobem walkę, która się skończyła jój własną śmiercią.

Sądziłby kto mógł, że te ciągłe walki teoretyczne wieku XVIII wstrzymały praktyczną dążność nauki naszej: otóż bynajmniej, wszystkie jój gałęzie owszem uczyniły postęp, jakim się żaden z poprzedzających wieków poszczycić nie może. Anatomia wzbogaconą została przez Winsłowa, Garangeot, Verdiego, Disdier, Antoniego Petit, Sabatier, Albinusa, Lieberkühna, Hallera, Seomeringa, Coopera, Cheseldena, Huntera, Alex. Monro, Jana i Karola Bell, przedewszystkiém jednak przez wielkiego Morganię i nieśmiertelnego Franciszka Xawerego Bishata. Z postępem anatomii i fizylogia postąpić musiała, do czego niemało w poprzedzającym wieku zrobione odkrycie Harweja, a w ósmnastym olbrzymi postęp chemii przyczyniły się. Nietylko fizylogia, ale i materya medyczna z powodu postępu chemii wzbogaconą została. Środki mineralne, ów podarek Paracelsa, zaczęły być coraz używanszemi, a szczególniej: 1) bismuth, antimon, sulphur auratum, kermes minerale, calx antimonii, cynk, cyna, ołów, miedź, saletrzan srebra, arszenik; 2) roz-

maite sole ziemne i potażowe w użycie wprowadzone były, jak np. magnesia sulphurica, wapno, woda wapienna i mydło; 3) sole neutralne, baryta muriatica, kali tartaricum, cremor tartari, kali aceticum; 4) kwasy mineralne; 5) środki roślinne także zwiększonemi zostały, a szczególnie środki narkotyczne z użyciem belladonna, hyoscyamus, datura stramonii, nux vomica, kwasu pruskiego jako aqua laurocerasi; z pomiędzy środków ostrych (acria), rus toxicodendron, pulsatilla, aconitum, colchicum, digitalis, senega, viola tricolor, gratiola, rhododendron chryzanthum; ze środków tonicznych zaczęto używać polygala amara, quassia, simaruba, columbo, angustura. Dzięki jeszcze postępowi chemii, wszystkie prawie znane wody mineralne zaczęto rozbierać i z jej pomocą nowe odkrywać; kąpiele morskie zaczęły także wchodzić w użycie.

Nietylko chemia, ale nawet i fizyka przyczyniła się do wzbogacenia środków lekarskich. Elektryczność tak często wówczas używana do doświadczeń fizyologicznych i w praktyczne weszła użycie, równie jak i galwanizm; elektryczność doprowadziła do użycia magnesu, który jeszcze przez Paracelsa zaleconym został.

Szczególniejszém jednak zjawiskiem było ukazanie się magnetyzmu zwierzęcego, od jego wynalazcy Antoniego Mesmera, mesmeryzmem nazwanego, który później przez braci Puysegur do jasnowidzenia posunięty został. Rozróżnić jednak od tego należy epidemiczne konwulsje na cmentarzu świętego Medarda w Paryżu, exorcyzmy Józefa Gassnera, nekromancyą Schöpfera i sztuki czarodziejskie Kagliostry; wszystkie te były tylko czystą szarlataneryą, byłto haracz XVIIIgo stulecia zabobonowi opłacony.

Pomimo wielu sprzeczek, pomimo decyzji dwóch kommissyj wyznaczonych w Paryżu, że magnetyzm zwierzęcy należy także do szarlataneryi, dziś o exystencji istotnej jego mało kto wątpi, ale i to jest pewna, że na karb' magnetyzmu wiele się dzieje niegodnych spekulacyj.

Jeżeli anatomia, fizyologia i materya medyczna znaczny uczyniły postęp, to chirurgia i sztuka położnicza także nowemi postrzeżeniami i zastosowaniami rozmaitych metod wzbogacone zostały. Cała jednak zasługa postępu chirurgii należy się Francuzom, a szczególniejszy udział mieli: Marechal, Louis, Petit, de la Peyronie, de Lamotte, Mesnard, Ant. Louis, Pouteau, Desault, Sabatier, Percy; zpomiędzy Hiszpanów Ribera i Gimbernat; w Niemczech zaczyna się także nowa epoka dla chirurgii, najzasłużeńsi są: Hejster, Platner, Kalkschmid, Richter, Siebold, Schmuker, Theden, Mursinna, Mohrnheim, Brambilla, Plenck i Barth; w Anglii najslawniejsi anatomowie byli zarazem i chirurgami, jakoto: Cheselden, Alex. Monro, Bromfield, Pott, Arnauld, Hill, Aikin i Abernetty; wszystkich tych jednak przewyższyli swą zasługą John i William Hunter i Benjamin Bell.

Sztuka położnicza wzbogaconą została przez użycie dźwigni i kleszczy; pierwsze instytuta położnicze założone zostały w Niemczech, w Berlinie 1751, w Wiedniu 1752, a w Anglii dopiero 1765.

Zpomiędzy Francuzów szczególniej przyczynili się do postępu nauki położniczej: de Lamotte, Mesnard, Levret, Baudeloque; zpomiędzy Anglików: Smellie, Burton, Hamilton i Osborn; zpomiędzy Niemców: Röderer, Wrisberg, Ossiander, Böhmer, Stein, Stark, Zeller, Boer; zpomiędzy Hollendrów; wynalazca kleszczy Roonhajzen, Ruysch i Roëll.

Doszliśmy nareszcie do XIX stulecia, owego wieku pełnego w wypadki, które się jeszcze w końcu przeszłego zaczęły we Francyi, a potem jakby drugą, ale niestety krwawą wędrówkę wszystkich narodów Europy wywołały. Pomimo tak burzliwego stanu politycznego, nauka nasza nic nie ucierpiała; wszystkie jej gałęzie wzbogacone zostały nowemi postrzeżeniami, które niejako tylko były dalszém rozwinięciem zaczętej dążności przeszłego wieku. Nim jednak przystąpimy do wykazania tego postępu, zastanówmy się nad systematami które w naszym wieku się nam objawiły. Wiek XIX ściśłym jest połączony węzłem z poprzedzającym stuleciem; system Röschlauba który się nam najpierw przedstawia, jest prawie niczém inném tylko przetłumaczeniem na język niemiecki teoryi Browna i dalszém téjże rozwinięciem. Kiedy teorya Browna po Niemczech i Francyi rozszerzać się zaczęła, we Włoszech z téjże wyrodziła się nauka kontrastymulizmu, której twórcą był Giovanni Rasori. Wychodząc z téj zasady, że osłabienie jest łudzającym i że może być nawet przy sthenii, a bezpośrednia asthenia jest właściwie sthenią, zamiast więc Browna sthenii i asthenii przyjmuje dwa inne stany, to jest *diathesis di stimulo* w której jest powiększenie życia z naprężeniem albo skurczeniem włókien organicznych i *diathesis di contrastimulo* w której jest zmniejszenie życia i relaxacya włókien organicznych. Z powodu przyjęcia tych dwóch stanów, system Rasorego bardzo jest podobnym do Browna, różni on się jednak głównie od niego przyjęciem chorób miejscowych, upojedynczeniem środków i zastosowaniem lekarstw specyficznych. Największa jednak zachodzi różnica w zastosowaniu terapii; jak tamten widział wszędzie asthenią i pobudzających używał środ-

ków, tak ten znowu swoje *diathesis di stimulo* i nadużywał puszczania krwi i środków deprymujących, dowodem czego upuszczenie 25 funtów krwi i zapisanie 220 gran *digitalis* w zapaleniu płuc; z całego systematu Rasorego zostało się nam użycie *tartari stibiati* w dużych dozach. Jak Röschlaub był w Niemczech propagatorem systemu Browna, tak jedyną podporą Rasorego we Włoszech był Giacomo Tomasini, którego całą zasługą są doświadczenia robione na zdrowych co do działania lekarstw. Daleko ważniejszym i w ścisłym pozostający związku z postępem patologii najnowszych czasów jest systemat Broussego; jegoto system był pierwszym bodźcem do uznania chorób miejscowych, zaprzeczając Pinelowi jego gorączek essencyalnych. Broussais utrzymywał tak jak Brown, że życie jest zależne od bodźców zewnętrznych, które czucie i kontrakcja powiększają i przez to sprowadzają irytacją, która zarazem na wielu miejscach sympatycznie objawia się. Assimilacja podług niego jest działaniem chemii żywotnej. Przyczyną chorób jest irytacja, przedrażnienie i osłabienie, które najczęściej jest tylko następstwem irytacji; usposobienie organów jest często w stosunku antagonistycznym, tak, że tu osłabienie a gdzieindziej irytacja być może. Drażnienie przenosi się za pomocą nerwów i ztąd powstają sympaty chorobyliwe, które albo są organiczne, albo też z przyczyny związków (*sympathies de relation*), ale najczęściej równocześnie objawiające się. W skutek irytacji następuje przypływ krwi, który jeżeli się coraz zwiększa, wtedy powstaje zapalenie; gorączka powstaje z przyczyny przejścia irytacji na serce, albo też z przyczyny pierwotnego drażnienia serca. Z takiego wyobrażenia o irytacji przyszedł Broussais bardzo łatwo do zapale-

nia i dlatego wszędzie takowe widział; ponieważ najłatwiej podług niego każda irytacja na żołądek a potem na kiszki przenosi się, ztąd swoją *gastro-enterite* jako przyczynę wszystkich tak zwanych gorączek essencyalnych uważał równie jak hypokondryą, dyspepsyą i t. d. za skutki chronicznej *gastro-enterite*. Wszędzie widzi irytacją, akutne albo chroniczne zapalenie, kongestją albo podzapalenie (*subinflammation*), a najczęściej gastritis albo gastroenteritis; tym wyobrażeniom odpowiednią jest i terapia; powtarzane upuszczenia krwi, ogólne lub miejscowe środki chłodzące i t. d. nawet w chorobach chronicznych. Chociaż w tym śmiałym reformacyjnym systemie postrzedz można jednostronność systematu Browna w jego wyobrażeniach o chorobach *sthenicznych* i w odpowiedniej temu systematowi nadzwyczaj szkodliwej i ograniczonej terapii, pomimo że *excentryczność* reformatora uderza każdego w oczy, trzeba mu oddać należną sprawiedliwość, albowiem zwracając uwagę na zmiany patologiczne organów, wskazał nam drogę miejscowości chorób, zamiast niepewnego i ogólnego pojęcia gorączek; i te to jego poszukiwania dały dążność prawdziwie fizyologiczną nauce naszej. Wśród tych walk ciągłych teoryj patologicznych, terapia rzucaną była na wszystkie strony już to podług zasad chemików, gastryków, kontrastimulistów, lub *antiflogistyków* stosowaną była. Taki stan rzeczy z przyczyny postępu fizyologii i anatomii patologicznej długo trwać nie mógł, i dla terapii znalazł się reformator, który specyficznój idei Paracelsa podając prawdziwie fizyologiczną podstawę, przez probowanie lekarstw na zdrowym organizmie, stał się twórcą nowój nauki *homeopatją* nazwanój. Samuel Hahnemann chociaż jest twórcą *homeopatyi*, nie był jednak *piérwszym*

który obrał tę drogę poszukiwania; od Hippokratesa aż do jego czasów, kiedy niekiedy byli lekarze w tój samój pracujący myśli, ale żaden tak daleko jak on nie doprowadził i z tójto przyczyny w początku przez bardzo wielu lekarzy system jęgo przyjętym został. Dopiero kiedy później umocniony w swych zasadach *similia similibus*, po użyciu wielkich doz do małych się uciekał i właśnie w tęp zmniejszeniu zwiększenie działania chciał widzięc, kiedy później jeszcze swój Organon wydał, w którym na stare szkoły z uszczypliwą polemiką wystąpił a swoje metodę homeopatyczną jako jedynie racjonalną ogłosił; w tymto dopiero czasie powstała owa niegodna walka, która jak dla jednęj tak dla drugięj strony niekorzystnie skończyła się. Wdawać się w szczegółowy rozbiór tego systemu równie jak i rozwozić się nad skutkami jakie teoria ta na stan medycyny wywarła, wcale nie będę, albowiem sąto rzeczy za nadto dobrze wszystkim znane. Opuszczając rozmaite inne mniejszėj wagi teorye i systemata, wspomnięc jeszcze muszë najprzód o systemie tak zwanym Schönlejna, a który jak to zaraz zobaczymy, właściwie nie stanowi żadnego osobnego systemu. Schönlejn, tak jak każdy wielki lekarz nie będąc zadowolnionym z systematów które go poprzedziły, chcąc jednak podciągnąc pod pewien porządek swe wyobrażenia, podzielił choroby na familie, gromady i rzędy, i tym sposobem wykazał stosunek medycyny z naukami przyrodzonemi. Sam uczeń nowszych czasów, umiał zastosować postęp nauk przyrodzonych do medycyny; obdarzony szczególniejszym talentem, zwłaszcza w dyagnostyce, jak i darem kombinacyi stanu fizyologicznego z chorobliwym, zgłębienia przyczyny choroby, uporządkowania symptomatów i nadania im ich wa-

żności, równie jak i rozpoznania stosunków choroby ze światem zewnętrznym i zresztą samego organizmu, dlatego zyskał sobie przywiązanie swych uczniów i sławę wielkiego mistrza, jaki od czasów Boerhawego nie istniał. Wyjąwszy nowego podziału chorób, nic w Schönleynie nowego niéma; stara się on pogodzić wyobrażenia patologii solidarnéj z humoralną. Podział jego naturalny jest tylko więcej pomocniczym, czystą formą, główną zaś podstawą jest fizyologia i dlatego stał się tak świetnym reprezentatem nauki naszéj.

Mówiąc o tylu rozmaitych systematach, niech mi wolno będzie powiedzieć jeszcze słów kilka o jednym z ostatnich, który zupełnie osobno poza szkołą wyrodził się, a o którym nietylko lekarze, ale i publiczność już się dowiedziała; chcę mówić o Rademacherze. Lekarz ten, 70letni starzec, po 46 latach praktyki a po 25 podług wyobrażeń Paracelsa, ogłosił nam swoje z niéj rezultata. Przyjmuje on jak Paracelsus specyficznosc lekarstw, utrzymuje jak tamten, że praktyka nie z teoryi, ale teorya z praktyki wpływać powinna, przyjmuje choroby ogólne i choroby organów, stara się rozróżnić ważność jednych nad drugimi, to jest, stara się wykazać któren z nich pierwotnie cierpi, zastanawia się nad stosunkiem chorób ze światem zewnętrznym, to jest, zwraca uwagę na epidemie, na konstytucye chorób; podaje nam niektóre lekarstwa przez siebie używane i zachęca do dalszych w tym rodzaju postrzeżeń. System ten skręślony stylem zupełnie oryginalnym, chcąc go zrozumieć, trzeba sobie zadać wszelką pracę; powiem nawet więcej, trzeba użyć całej cierpliwości, ażeby pojąć w niektórych miejscach ducha autora, co dowodzi, że piszący więcej był zajęty rzeczą anizeli czytelnikiem; a ponieważ wyraża się często językiem który

sobie sam utworzył, ponieważ jego myśli nie zgadzają się z wyobrażeniami czytelnika, trzeba więc jakiegoś czasu ażeby je zrozumieć. Głos mój poprzedziła już krytyka tego dzieła w pamiętnikach naszego towarzystwa, a potem krytyka krytyki, przez szanownego prezesa; nie mając bynajmniej zamiaru odpowiadać teraz na krytykę, gdyż przytaczam tu system Rademachera tylko jako *factum* historyczne, a dzieląc zupełnie zdanie prezesa, że czas wykaże nam wartość środków przez Rademachera używanych, nie mogę wszakże się wstrzymać od zrobienia kilku uwag. System ten wywołał u nas wielką opozycją; dlaczego? czyż on nie zgadza się z widokami nauki naszej nowszych czasów?—bynajmniej. Rademacher przyjmując choroby lokalne, wchodzi zupełnie w ducha dążności anatomii patologicznej, która nam zmiany tych organów przedstawia; główny zarzut przeciw Rademacherowi jest ten, że znalazłszy lekarstwo specyficzne na jakiś organ, nie dba już o przyczynę choroby, ale zarzut ten jest tylko pozornym dla opozycyi; właściwa przyczyna która wywołała opozycją jest ta, że Rademacher zwracając uwagę na *genius epidemicus*, przyjmuje takie konstytucje chorób które puszczenia krwi wcale nie znoszą. Zwolennicy Broussego wszędzie widzą irytacją, wszędzie zapalenie, nawet w tyfusie, a chociaż anatomia patologiczna dowiodła różnicy natury owrzodzeń od stanu zapalnego, chociaż chemia dowiodła rozkładu krwi, im się przecież zdaje, że przez upuszczenie jój, zmniejszając ilość, przywrócą przez to pierwotny jój skład. Postępowanie to jest zupełnie podobne do tego, jeżeliby ktoś chcąc zapobiedz dalszemu zepsuciu się wina, które w kwaśną fermentacją przeszło i w ocet się zamienia, chociaż-

by i półbeczki go upuścił, to jeszcze tym sposobem octu nie zamieni w wino.

Zarzucają jeszcze Rademacherowi brak znajomości anatomii patologicznej, oskultacyi i perkussyi. Pierwszy zarzut jest zupełnie niesłusznym, gdyż Rademacher przyjmując choroby organów, musiał niezawodnie zmiany w nich patologiczne sam widzieć, gdyż on nie jest z tego rodzaju ludzi, co zwykli *jurare in verba magistri*; co się zaś tyczy oskultacyi i perkussyi, niech mi się godzi powiedzieć, że od Hippokratesa aż do Auenbruggera i Laenneka nauka ta nieznaną była, a przecież ilużto było sławnych lekarzy! Co więcj, od czasów Laenneka aż do dnia dzisiejszego, ilużto jest reputacją mających lekarzy którzy oskultacyi wcale nie znają, a nawet i ci którzy się mają za Laenneków i Schönlejnów, ileżto razy widzą i słyszą co innego jak to co jest do widzenia i słyszenia? Fakta mógłbym zacytować. Rademacher chociaż sam oskultacyi i perkussyi nie zna, jednakowoż wcale jój nie potępia, owszem powiada on wyraźnie, że lekarze powinni się starać wszelkimi sposobami do wydoskonalenia dyagnozy. Dzięki postępowi chemii, dzięki oskultacyi i perkussyi, doszliśmy do pewności dyagnozy, ale cóżemy przez to zyskali poznając chorobę i jój naturę? wieleżto jest takich, których chociaż doskonale znamy naturę, czyż mamy przeciwko nim pewne środki do ich wyleczenia? Francuzi doszli dziś do tych rezultatów, że w podobnych chorobach, gdzie dawniej *calomel*, *digitalis*, *plumbum aceticum* i t. p. zapisywali środki, dziś ordynują *eau d'orge*, albo *potion gommeuse*, cóż to dowodzi?—nie innego tylko to, że się przekonali o bezskuteczności tych środków w podobnych słabościach.

System Rademachera skoro tylko przez Francuzów poznany zostanie, niezawodnie z entuzjazmem przyjętym, a wtedy może i u nas łaskawszém będzie widziany okiem. Francya uświęca dopiéro, że się wyrażę, passuje na ryce-rza każde towarzyskie i umysłowe przejście, i Michelet chociaż ze zwykłą dumą swego narodu słusznie jednak powiada: „Kaźda społeczna lub umysłowa zmiana, dopóty jest dla Europy bezowocną, dopóki przez Francją niezostanie wytłumaczoną, zpopularyzowaną. Reforma-cya Lutra dopiéro przez gieniusz Kalwina została zdemo-kratyzowaną. Reakcyja katolicyzmu stulecia Ludwika XIV, zapowiedziana została światu przez dumny dogma-tyzm Bossueta. Jak dawniej Grecya Azji, tak teraz Fran-cya Europie przewodniczy. Przez cóż Francya zasługuje na takie posłannictwo?—dlatego tylko, że w niej tak dla teoryi jak i praktyki, pojęcie towarzyskiej ogólności prędzéj anizeli w każdym innym narodzie się rozwija.” Wracając się jeszcze raz do Rademachera powiedziéć muszę, że skoro kilka środków, co mówię, skoro je-den tylko z jego środków przez wszystkich za specyfi-czny uznany będzie, wtedy ludzkość zyszcze tyle, ile zy-skała z odkryciem specyficznosci chiny i krowianki.

Zanim ostateczne wyrzeknę słowo o systematach, zobaczmy postęp szczegółowych gałęzi nauki naszej w XIX stuleciu.

Zacznijmy od anatomii i fizyologii, owych dwóch głów-nych fundamentów medycyny. Zaczęte poszukiwania upłynionego stulecia, posunięte zostały do wysokiego stopnia doskonałości; anatomia ogólna poszukując budo-wy tkanek i odkrywając pierwotne formy tychże, stała się podstawą fizyologii i patologii, równie jak i głównym punktem oparcia się w tworzeniu jestestw organicznych,

a szczególnie człowieka. Jéjto winni jesteśmy najważniejsze odkrycia o budowie mózgu, mlecza, nerwów i t. d. postęp mikroskopii i techniki, a chirurgia, dzięki anatomii topograficznej prawdziwą zyskała przysługę. Przeszłoby to zakres celu mego pisma, chciéć wyliczyć postęp szczegółowy każdéj gałęzi anatomii, dosyć jest powiedzieć, że wszystkie wzbogacone zostały, a przytoczone tu zaraz imiona dostateczną tego dają gwarancją, jakoto, we Francyi: Bischat, Cloquet, Beclard, Chaussier i inni; we Włoszech: Caldani, Rolandi, Grimaldi; w Niemczech: Loder, Hildebrand, Soemering, Rosenmüller, Meckel, Langenbek, Bock, Hesselbach, Weber; Trewiranus, Burdach, Johannes Müller, Remak i inni a nawet i w Turcyi wydaném zostało dzieło anatomiczne, przez Chani-Zadeh-Mechmet-Aba-Oullach. Fizyologia, jako pośredniczka wszystkich gałęzi medycyny, musiała znaczny uczynić postęp, i co tyle wieków nie było w stanie dopiąć, ten krótki przeciąg czasu naszego stulecia dokazał, a to tylko przez to, że potrafił się otrząsnąć z czczych marzeń filozofii spekulacyjnej, a udał się drogą racjonalnego empiryzmu, która najprzód przez Francuzów wskazana była, a którą potém i Niemcy udali się. Fizyologia wspierając swoje doświadczenia skalpelem i mikroskopem, równie jak i wiwisekcyami na zwierzętach, wiawszy w pomoc najnowsze odkrycia fizyki i postępy chemii, wsparłszy się na anatomii porównawczej i w ogóle na wszystkich naukach przyrodzonych, a nie pomijając zboczeń patologicznych, starała się poznać życie we wszystkich jego stosunkach, i tymto sposobem stała się punktem centralnym nauki naszéj, która słusznie zyskała imię medycyny fizyologicznej. Niepodobieństwem byłoby prawie wykazać postęp szczegółowy téj nauki, dlatego ogra-

niczam się na ogólnym tylko wykazie. Postęp fizyki przyczynił się do postępu nauki o świetle i głosie przy organach zmysłu, w poszukiwaniach o wpływie elektryczności i galwanizmu w rozmaitych chorobach, jak również o powstaniu ciepła i jego działaniu, o wpływie powietrza, wiatrów i t. d.; fizyce winniśmy także oskultacją i perkusją. Chemia medyczna przez wydoskonalenie analizy części organicznych, a którą szczególnie Liebigs przez genialne zastosowania do wysokiego stopnia posunął, rozebrawszy krew, kości, urynę, mleko, żółć, ślinę, pot, tłuszcz, mózg, połączenia proteinowe, szluz, ropę i t. d. i połączywszy tę analizę z doświadczeniami fizyologicznymi, przyczynił się dużo do wyjaśnienia nauki o trawieniu, oddychaniu i sekrecjach. Fizyologiczne poszukiwania krwi i jej ruchu, jak i ruchu serca, kapilarności naczyń i wyżywienia, jak nierównie doświadczenia o absorbcyi, endosmozie i exosmozie, należą do najświetniejszych odkryć naszego wieku. Dzięki poszukiwaniom Ehrenberga nad infuzoryami, Bera nad rozwinięciem się jajka u zwierząt ssących, dzięki odkryciu pęcherzyków zarodkowych (Keim-Bläschen) przez Purkiniego, nauka o zapłodzeniu znaczny uczyniła postęp. Ze wszystkich jednak gałęzi najmniej znajoma część fizyologii, w naszym wieku doszła do najwyższego stopnia doskonałości, to jest fizjologia nerwów. Takito jest postęp, jaki fizjologia w naszym uczyniła wieku, a do którego przyczynili się pomiędzy Francuzów: Bischat, Dumas, Richerand, Chaussier, Cuvier, Adelon, Cloquet, Fourcroy, Vauquelin, Virej, Magendie, Prevost, Flourens, Braschet, Gerdy i wielu innych; pomiędzy Anglików: Gordon, Abernethy, Lawrence, Home, Flemming, Charl Bell, Mayo, Thomson, Blundel, Philip, Brodie, Cooper,

Johnson, Parry, Milne Edwards, Marechal Hall i inni; z pomiędzy Włochów sławniejszymi są: Scarpa, Gallini, Sementini, Rolando i Fodera. Liczba zasłużonych w fizyologii Niemców jest od wszystkich innych narodów przewyższająca, a wymienię tylko znaczniejszych: Blumenbach, Hildebrand, Rudolphi, bracia Trewiranus, Soemering, Pfaff, Gruithuisen, Lenhosek, Wrisberg, Purkinie, Siebold, Baumgärtner, Walther, Strohmejer, Szultz, Bischoff, Weber, Carus, Wagner, Vogel, Arnold, Henle, Rathke, Berres, Eberle, Remak, Arneman, Tiedemann i Gmelin, a szczególnie Johannes Müller i Valentin na wspomnienie zasługują.

Chirurgia która na początku przeszłego wieku w Anglii i Francji więcej zaczęła wchodzić w poważanie, a w końcu i u Niemców, w naszym wieku z przyczyny nauczania jej na uniwersytetach, w klinikach i szpitalach przez najgienialniejszych i najwyższe miejsca piastujących lekarzy, którzy ją naukowo i manualnie do wysokiego stopnia doskonałości posunęli, stała się dziś jedną z najlepiej wykształconych gałęzi nauki naszej. Jak mało chorób czysto zewnętrznych istnieje, tak samo i środki przeciwko tymże, tak zwane chirurgiczne, bez rozpoznania funkcji organicznych zastosowanemi być nie mogą, dopiero porównywając doświadczenia patologiczno-chirurgiczne z etyologią i symptomatologią, ze stosunkiem zewnętrznych zjawisk z wewnętrznymi, a mając uwagę na cierpienie pierwotne, dochodzi się tym sposobem do pewnych wskazań. Oskultacya i perkussya przyczyniła się dużo nietylko do dyagnostyki, ale i do indykacyj chirurgicznych, i pomimo całej śmiałości z jaką niektóre operacye są wykonywane, dążność chirurgii nowój, jest więcej za uratowaniem i upiększeniem organizmu, aniżeli

za pozabawieniem go jakiejś cząstki. Cały postęp części operacyjnej chirurgii, to jest nadania metod wynalazku instrumentów, jak i wykonania najśmielszych operacyj, po większej części Anglikom i Francuzom winni jesteśmy, a część jej fizyologiczną, oznaczenie wskazań i upojedynczenie metod, daleko więcej Niemcom.

Rzućmy okiem na poszukiwania anatomiczno-patologiczne i fizyologiczne o powstaniu i przebiegu, przyczynach i symptomatach zapalenia z których odpowiednia dla nich nastąpiła terapia, równie i na zpowinowacone z zapaleniem róże. Traktowania złamań, zwichnięć, jak i wszystkie stany chorobliwe stawów upojedynczone i pod pewne zasady podciągnięte zostały, do czego się wiele przyczynił opatrunek gipsowy i krochmalny. Ortopedyja i operacye podskórne, zbawienne dla ludzkości przyniosły korzyści. Wrzody, rany i choroby skórne chroniczne, uważając za cierpienia miejscowe z przyczyny ogólnego usposobienia organizmu zyskały tém samym racjonalną terapią, do czego helkologia Rusta znacznie się przyczyniła. Operacye fistułów zyskały wielkie ulepszenia.

Nauka o aneurysmatach, telangiektazyach, nowemi metodami i postrzeżeniami wzbogacone zostały. Operacye kił z powodu postępu anatomii, nie dają dziś nic do życzenia. Leczenie zwężeń, a szczególnie kanału moczowego, z wielką łatwością się skutecznia; operacya episoraphii niedawno dopięro zaleconą została. Cała przysługa anatomii patologicznej dla chirurgii, pokazuje się w nadnormalnych utworach i degeneracyach. Wielki postęp a szczególnie we Francyi zrobiła choroba kamienia, a oprócz operacyi przez cięcie, wynalezienie kruszenia kamienia wewnątrz pęcherza. Do wynalazku XIX stulecia należy exartykulacya i resekcya szczęki; opera-

cye plastyczne wznowiono. Od czasu jak oko zaczęto uważać jako część organizmu, w którym podług praw fizjologii cierpienie ogólne może się tylko miejscowo w nim odbijać, i skoro zastosowano terapię ogólną a nie poprzestano na miejscowém leczeniu, okulistyka stała się nauką samodzielną, mającą związek z całą medycyną. Długi byłby nadzwyczaj szereg imion, chcąc wszystkich tych wyliczyć, którzy się przyczynili do postępu chirurgii i okulistyki, dlatego najzasłużeńszych tylko wymienić pozwalam sobie: Delpech, Boyer, Recamier, Larrey, Dupuytren, Alibert, Biette, Richerand, Brechet, Cruveilhier, Sanson, Seutin, Begin, Lisfranc, Roux, Gerdy, Guerin, Amussat, Civial, Leroy, D'Etiolles, Lallemand, Velpeau, Jobert de Lambale, Malgaigne, Blaudin, Ricord i inni. Zpomiędzy Anglików: A. Cooper, Amesburg, Earle, Wardrop, Wilson, Thomson, Bell, Copeland, Brodie, Hodgson, Hall, Liston i wielu innych. Zpomiędzy Włochów: Scarpa, Binelli, Assalini i inni. Zpomiędzy Niemców: Zang, Klein, Richter, Walther, Kern, Jaeger, Jüngeken, Rust, Gräfe, Wathmann, Langenbek, Blasius, Textor, a zpomiędzy wielu jeszcze sławnych wspomnieć należy genialnego Dieffenbacha.

Nauka akuszeryi, która już w przeszłym wieku rozpoczętą była, z postępem fizjologii zyskała wiele w praktycznym swém zastosowaniu co do dyetetyki, terapii i części operacyjnej. Mówiąc już wyżej o postępie fizjologii, wspomnieliśmy o poszukiwaniach płodu, ztąd nauka o zmianach miesiący i postępie ciąży. Wspomnieć także należy poszukiwania anatomiczno - patologiczne o wielkości, formie, rozmiarze, nachyleniu i połączeniu miednicy w stanie normalnym, równie jak i w zboczeniach od tegoż, jakoto: exostozy, wyrośla, rachitis i osteo-

malacyi: poszukiwania fizyologiczne stosunku płodu do matki i świata zewnętrznego, rozmiar głowy dziecięcia, klasyfikacya monstrów, opisanie anomalii sznurka pępkowego, choroby macicy i jajeczników. Najważniejszym jednak jest rzut oka na stan kobiet we względzie somatycznym i psychicznym, to jest, wyświecenie formacyi kobiety, stan dojrzałości, funkcyj płciowych i zapłodnienia, jak równie ciężarności, rodzenia, po porodzenia i karmienia. Oskultacya i perkussya nietylko patologii i chirurgii się przyczyniła, ale nawet i akuszeryi; z jój pomocą możemy zdecydować o życiu lub śmierci embryona, o położeniu, ilości, przyczepieniu się miejsca płacenty i o macicznej lub zamacicznej ciąży.

Do postępu akuszeryi należy jeszcze dyagnostyka rozmaitych położzeń, która w ostatnich czasach przez Naegelego i panią Lachapelle znacznie zmodyfikowaną została. Terapia także uległa znacznym zmianom, a zwłaszcza indykacye do założenia kleszczy, zrobienia obrotu, na stałych oparte zostały zasadach. Dodać tu należy wynalezienie rozmaitych a niezbędnie potrzebnych instrumentów.

Do postępu akuszeryi, Niemcy daleko więcej jak Francuzi przyczynili się. Wspomnę tu znaczniejszych z obudwu tych narodów: Siebold, Puchelt, Busch, Hüter, Jörg, Meissner, Kluge, Naegele, Kilian, Carus, Weiss, d'Outrepont, madame Boivin, Lachapelle, Dubois, Bouillaud, Velpeau, de Cazeaux i wielu innych.

Medycyna sądowa i policya lekarska z postępem chemii, fizyologii i anatomii, w wielu punktach zyskała świetną pomoc. Chemia wydoskonalila naukę o truciznach, lepsza znajomość anatomii przyczyniła się wiele do robienia obdukeyi, fizyologia uzupełniła poszukiwania nad

wiekami, nad znakami *virginitatis*, zapłodnienia, pogwałcenia, nad możebnością życia nowo narodzonych; postęp dyagnostyki doprowadził nas do rozróżnienia chorób udanych od prawdziwych; terapia rozwiązała pytanie możliwości lub warunków wyleczenia, chirurgia śmiertelności obrażeń, a najwięcej można powiedzieć ze wszystkich przyczynił się postęp akuszeryi; ona bowiem rozstrzygnęła kwestyą ciężarności, monstrów, moli dojrzałości płodu, spóźnienia porodu, znaków śmierci przed porodem, wątpliwe przyczyny śmierci dzieci; i wady pomocy sztuki.

Naszemuto jeszcze wiekowi przynależy lepsze zastanowienie się nad epidemiami, rozróżnienie *contagium* od miasma, zaprowadzenie kwarantanny; brak jednak wiadomości przyczyn które te epidemie sprowadzają, jest powodem wielu nierozwiązanych dotychczas kwestyj.

Wykazawszy postęp wszystkich gałęzi nauki naszej, przychodzi mi jeszcze mówić o najgłówniejszej, to jest o patologii i o losie systematów. Od czasu utworzenia anatomii patologicznej przez nieśmiertelnego Morganię, a wzbogacenia téjże przez Cruveillhiego i Huntera, część ta stała się prawdziwą i osobną nauką. Onato pierwsza nie troszcząc się o teoryę i systemata, za podstawę swoje obrała czyste fakta i tym sposobem inną nadała dążność patologii; z jéjto przyczyny wszystkie sztuczne i naturalne podziały runąć musiały; onato dowiodła, że natura ludzka nie da się ująć w niewolnicze karby jednéj formy, nie różniąc się bowiem niczem od reszty przyrody tak jest rozmaita i niepodobna, jak liście chociażby z jednego drzewa. Wszystkie systemata tak przeszłych jak i naszego wieku, zacząwszy od Piotra Franka, Sprengla, Pinela, Baumege, Hildebrandta, Conradiego, Troxlera,

Himlego, Bonordena, Hufelanda, Rejmana, Chulanta, Bischoffa, Harlessa, a skończywszy na Schönlejnię, nie wytrzymały, że się wyrażę, próby patologicznej. Nauka nasza musiała szukać innej drogi, a tę wskazali nam Francuzi, a szczególnie Andral, wprowadzając swoje kazuistyczno-kliniczną metodę, która zasadza się na obserwacji podobnych, a jednak różniących się pomiędzy sobą wypadków, do której przyłączyła się statystyczno-numeryczna metoda Loujego. Wolni zatem dziś od wszelkich więzów systematyki, unikając zgubnej i nader szkodliwej jednostronności, postrzeżenia nasze zasadzać powinniśmy na podstawie anatomiczno-fizyologicznej, wsparci wiadomościami nauk przyrodzonych; a indywidualizując o ile można zjawiska chorobliwe i bacząc na wpływ epidemii i konstytucyi chorób, zmierzać tym sposobem do całości którą nam dopiero przyszłość ukaże.

Przejrawszy jak w zwierciadle całą przeszłość, a mając przed oczyma terażniejszość, łatwo nam wnosić o przyszłości; jej zadaniem jest połączenie dogmatyzmu z empirją, idealizmu z realnością; jej zadaniem jest zapelnienie tej ogromnej przepaści między patologią a terapią. Przyszłości dziełem będzie nie tylko systematyczne uporządkowanie, ale utworzenie jednej i niczem nierozdzielnej całości. Ufni nadzieją, wdzięczni przeszłości, puśćmy śmiało nasz okręt na burzliwe przyszłości morze, a choć się zżymać i pnieć będzie, choć silne bałwany weń uderzać nie przestaną, możemy być spokojni o los jego, bo zbudowany z żelaznych prawd doświadczenia, a kierowany kompasem historii, po burzy wśród najpiękniejszych światła promieni, do pożądanego portu pewności zawinie.



MAHMUDEK.

Powieść

PRZEZ

Władysława Strzelnickiego.

I.

Pochodzenie Mahmud-Bega i pierwsze jego losy.

Mahmud - Beg urodził się w Lenkoranie, mieście perskiem (podówczas), roku od ucieczki proroka tysiąc dwieście trzynastego. Ojca miał Abdullę, a matkę Seknę; o dalszych jego antenatach niczemu się nie mógł dowiedzieć. I to także zostało niedocieczonem, jakim sposobem wiele znacząca zgłoska Beg (szlachcic) przyrosła do jego imienia? Szlachta perska nie zaprowadziła jeszcze u siebie herbarzy, nie nosi spadkowych, całe rody obejmujących nazwisk, o pargamiay heraldyczne ani ich pyta; zgola w tém wszystkiem co służy za podstawę rodowodom, zupełnie jest ciemna. Begów u nich mnóstwo, powierzchnia Iranu jeży się, jak przed-potopowym lasem temi dębami ludzkości, ale cóż to za nędza, beg bez pargaminów, dąb bez korzeni! Lada powiew krytyki może

go obalić.... Zaledwie dziesiąty pokaże jaki wyszarzany szpargał z pieczęcią któregoś tam chana, a i ten nie potrafi przekonać, że swojego szpargału nie znalazł gdzieś na drodze; tytułuje się begiem, i kwita. Ty mu wierz albo nie, jak sobie zechcesz, ale nie wąż się jawnie zaprzeczać; jeśli zaś sam, z worka i urodzenia należysz do tłumu niższych ziemian, to jeszcze i ukłonić się musisz.

Rzecz jasna, że w takim oplakany stanie heraldyki, jak prawność nie może mieć żadnego punktu oporu, tak nadużycia muszą być częste. Pytam się tedy co ma począć biograf muzułmański? dokąd za źródłami pójdzie? Własne świadectwo zainteresowanej osoby i plotki miejscowe, oto są jedyne dwa źródła, jedno drugiego warte, a najczęściej jedno drugim się zbija. Tak też się miało i z Mahmud-Begiem. On sam utrzymywał stale, że jest starym jak świat szlachcicem, a tymczasem sąsiedzi jego i przyjaciele co innego prawili. Byli nawet tacy, którzy wręcz zbijali jego prawo do przyrostka. Nie mogąc pokonać tych trudności, musiałem je całkiem ominąć i przestać na datach świeższych, do jakich mię własne, na miejscu wykonane poszukiwania, doprowadziły.

Ojciec naszego rycerza był w początkach pastuchem na lenkorańskim stepie. Dochody z tego rzemiosła wystarczały mu na spokojne i skromne życie, ale Abdulla czuł w sobie wyższe popędy; tęsknił i szukał jakby się z téj sfery na obszerniejsze pole wydobyć. Między właścicielami owiec, co pod jego buławą znajdowały się, był jeden daleki krewny żony kuchcika chańskiego. Abdulla postanowił zaskarbić sobie protekcją téj szanownej osoby. Nikomu tak gorliwie nie służył, nikomu nie kłaniał się tak nisko, jak krewnemu żony kuchcika; upewniał go po kilka razy na dzień, że jest najpodlejszym

z jego niewolników. Owce krewnego żony kuchcika były nieśmiertelne, nawet kiedy inne mor niszczył, używały najlepszego zdrowia. Niejedna gosposia po powrocie trzody z pastwiska musiała opłakiwać zgon swojego ulubionego jagnięcia, kiedy w tym samym czasie żona krewnego żony kuchcika cieszyła się niespodziewanym jak gdyby z nieba spadłym przypłotkiem. Jój matki rodziły, nie będąc w ciąży; zasługi i pokłony nie poszły marnie. Abdulla został wzięty do dworu i policzony między *faraszów*. Ten ogólny tytuł obejmuje rozmaite stopnie posługaczy, począwszy od liktorów i tych co ścielą kobierce pod stopami pańskimi, do coraz niższych i niższych; na Abdullę przypadło wymiatać śmiecie z pałacowego podwórza.

Wiadomo całemu światu, co to urząd w Persyi: chyba głupca albo poczciwego nie ogrzeje. Abdulla nie był z łaski Ałaha ani tym ani owym, i tak dobrze uwijał się, że dostawszy po dziesięciu latach dymissyą, mógł uchodzić za jednego z bogatszych mieszczan Lenkoranu. Ale nigdy nie widziano tych bogactw, *ex* + wymiatacz śmieci krył się z niemi jak ze śmiertelnym grzechem. Chodził w zebranych łachmanach, mieszkał w ciemnej, ciasnej, błotnistej izdebce, której całą ozdobą i sprzętem był jakiś pozaprzeszło wieczny kilimek i dzban z nadtłuczoną szyjką; pokarm jego codzienny składały czarne placki, ledwie w dni bajramu pozwalał sobie urozmaicić je słonym sérem i kilką główek cebuli. Tak samo karmił żonę Seknę i syna Mahmuda. Nadeszła starość; przeczuwając że już go niezadługo Azrael ma powołać do raju, poszedł z żoną i synem zwiedzić święte miejsca: Kerbelaj, Meszedi, grób Mohammeda. Całą tę pielgrzymkę odbyli o zebranych chlebie. Z powrotem rzeczywiście za-

padł ciężko na zdrowiu, a że lekarstw bez pieniędzy w Lenkoranie nie dają, polecił się woli niebios i wyglądał śmierci. Przed skonaniem kazał się wynieść na śmieć, zwalone w kącie zagrody. — Gdzie pieniądze, gdzie pieniądze! wołał w rozpaczy syn, widząc że już stula powieki; — gdzie pieniądze! powtórzyła ze łzami żona, tuląc się do piersi umierającego. On milczał jak ta zimna mogiła której miał zostać mieszkańcem. — Umarł? Nie jeszcze! Zaczęli mu trąbić w uszy, Sekna w jedno, Mahmud w drugie, i póty trąbili, aż nareszcie ożył, otworzył oczy, usta, i słabym, przygasłym, ledwie dosłyszalnym głosem, głosem który już zdawał się należeć do lepszego świata, wyjąknął: — *jok*, niéma! Po tym łabędzim śpiewie znowu zamknął oczy i usta, do pierwszej trąby Izrafila. Był to moment uroczysty. Wdowa i sierota spojrzeli po sobie w milczeniu jak najgłębszém, ale ich spojrzenia były wymowne. Te spojrzenia jednogłośnie wyrzekły *niéma*.

Miesiąć świecił, gwiazdy świeciły, wietrzyk uwijał się mrużąc po świeżo zasypanej mogile, może śpiewał sobie po swojemu, może odmawiał paciérz za duszę Abdullę, któż to odgadnie. Abdulla zdawał tymczasem rachunek przed strasznym Munkirem ze spraw żywota. A w jego dawném mieszkaniu taki smutek, taka cichość, jak gdyby w drugiej mogile. Strapiona wdowa wyszła na podwórze, żeby snadź strumienie łez swoich gorących wypłakiwać przy romansowym blasku gwiazd i księżyca. Mahnud obrócił się do ściany, zawinał głowę w urywek stariej burki, ale daremnie: ta gorzka myśl, że od jutra trzeba będzie własnymi rękami zarabiać sobie na słony sér i na placki, spędzała sen z jego powiek. Przewróciwszy się kilka razy to na ten bok, to na drugi, wstaje,

odchyła drzwi od podwórza, i postrzega matkę grzebiącą w śmiecisku. O widoku! odgrzebała jakiś pękaty worek, i drugi. — Aha! krzyknął chwytając ją za rękę zniecka.

— *Aj badzi!* krzyknęła złapana (*).

Tak żył i tak skończył Abdulla. Kto świadomy cywilnej organizacyi perskiego państwa, gdzie urzędnik zamiast honorarium otrzymuje prawo ssać krew podwładnych i ludu, tego nie zadziwi jego prędkie wzbogacenie się, ale nie słyszano nigdy żeby imię swoje ozdabiał szlacheckim przyrostkiem. Dlaczego? ze zbytnej skromności, czy że prawa nie miał? — Jest to zagadka do odgadnienia. Wiadomo tylko, że syn jego i następca dopóki mieszkał w Lenkoranie, nie był także niczem więcej jak prostym Mahmudem; dopiero przeniosłszy się do Baku, zagranicznego miasta, bo już wówczas należało do Rosyi, dał się tam poznać pod grzmiącym tytułem: Mahmud-Beg, Abdulla-Beg ohły, co znaczy dosłownie: Mahmud szlachcic, Abdullę szlachcica syn. Oficerom i urzędnikom tamtejszym z którymi zabięrał znajomość, rekomendował się jako Mahmud Abdullowicz, nazwiskiem Abdullow.

* * *

Prawne czy nieprawne to było wyszlachcenie się, ale syn Abdullę niewiele na niém zyskał. Nie miał on ani dowcipu, ani maniery, ani znajomości świata, jakiej stan szlachecki wymaga; zgoła nie miał téj szaty pstrój a błyskotnej, co choć na gminne barki narzucona, daje niejaki pozór wyższości i przynajmniej ku sobie samój uszanowanie jakiejś obudza. I cofnąć się już niepodobna by-

(*) T. j. aj siostról! zwyczajny u kobiet okrzyk przestachu.

ło, więc zawisł między dwoma warstwami ludności bakińskiej, jak między niebem a ziemią, i do żadnej przyjąć się nie mógł, bo obie go odpychały. Został pośmiewiskiem begów, celem pogardy u gminu. Przykre zaiste położenie! Ale ku końcowi fortuna w czém inném mu dopisała.

Słyszałem utrzymujących, że w krainach Islamu, na owym czarownym *Wschodzie*, do którego tak ogniście wdychamy i takie ogniste piszemy wiérse, przyjaźń bezinteresowna jest równie rzadkim klejnotem, jak prawdziwa miłość, jak każde pocziwe uczucie. Jeżeli to prawda, to możnaż nie zazdrościć synowi Abdułły? Przyjaźń sama, bez szczególnych z jego strony zabiegów, rzuciła mu się w objęcia i to jaka jeszcze! najczulsza, najczystsza! A za nią przyszła i miłość. Przyjaciel nazywał się Ali-Aga. Byłto człowiek niebogaty wprawdzie, ale z wielkiej rodziny, pochodził bowiem w prostej linii od dawnych szachów Szyrwanu, jak sam uroczyście zapewniał Mahmud-Bega. Spotkali się przypadkiem i zaraz do siebie przylgnęli, i świat się zdumiał ujrawszy podupadłego szlachcica w ścisłej komitywie z parweniusem.

Odtąd Mahmud - Begowi wszystko poszło inaczej. Przestano go wyśmiewać, bo nikogo nie widywał, z jednym Ali-Agą czas przepędzał. I mniej niż we dwa miesiące tyle interesów zrobił: ożenił się z siostrą cioteczną Alego, cudnej urody dziewczyną, kupił u niego, za bezcen prawie, dwóch niewolników z Arabii wywiezionych, sprzedał nieruchomy majątek jaki posiadał w Baku, i wybrał się w drogę do Szamachy, gdzie z porady przyjaciela miał zamieszkać. Potomek szyrwańskich szachów nie mógł się rozstać z Mahmud-Begiem, serce mu pe-

kało, ale ważne, bardzo ważne interesa zatrzymywały go... Co tu robić! Wahał się jakiś czas między przyjaźnią i potrzebą; przyjaźń zwyciężyła, pojechał.

Nazajutrz po przyjeździe do Szamachy, przyjaciel wyszperał piękny dom w mieście i dwa ogrody za miastem, które były do sprzedania. Mahmud-Beg zapłacił.

Na trzeci dzień ku wieczorowi, siedzieli już oba w głównej sali kupionego domu. Przypatrzmy się téj sali.

Ściana od podwórza składa się z dużych tafel drewnianych, wyłożonych szkiełkami różowemi, błękitnemi, zielonemi, żółtymi, w koła, gwiazdy i najrozmaitsze wzory. Tędy wchodzi światło, dla ludzi i dla powietrza, tafle wysuwają się w górę. Trzy inne ściany zdobi sztuka malarska, są tam koniki czerwone i żółte, osły w derwiszowych czapkach, wielbłądy z uśmiechającemi się buziami odalyk, słonie skrzydlate i t. d. Te istoty z głównych tylko, charakterystycznych znamion poznać się dają: tak, wygięta szyja oznacza konia, osła zdradzają długie uszy, zpod czapki wysuwają się wielbłąda garby, słoń ma trąbę za godło, i na przekor fizyce latają sobie po powietrzu w romantycznym nieładzie. Ziemi artysta nie odmalował, bo ziemia nic pięknego w sobie nie ma, i nie mogłaby się przyczynić do świetności obrazu. Natomiast próżne pola zappełnił bukietami złotych kwiatów z pąsowym liściem, mnóstwem zwierciadełek. Cudackie te utwory, olśnione pryzmatyczną grą światła przez szkiełka przeciskającego się, składają jakiś świat nietutejszy, coś dziwnie zamglonego, coś czarodziejsko usypiającego, jak fantazyja Szeherazady. W jednym kącie stoi kominek marmurowy z pozłotą, z drugiego bije źródło przezroczystej jak kryształ wody, spadając w koryto przez które wycieka na podwórze. Z wierzchu przy-

murek, ciągnący się przez całe trzy ściany, jaśniej rzedem naczyń fajansowych suto ozłoconych.

W takimto przybytku, na pysznych perskich kobiercach, siedzieli założywszy pod siebie nogi dwaj przyjaciele. Ali-Aga milczał i dumał, Mahmud-Beg milczał i przesuwiał, w palcach koralowe ziarna różańca. Po długim, długim milczeniu, ostatni poziewając zabrał głos:

— Nikt nie jest Bogiem, oprócz Boga. Znowu długie milczenie i znowu Mahmud-Beg ziewnął i zagaił:

— Niemasz mądrości ani potęgi jak w jednym Bogu. Mohammed prorokiem jego.

I znowu przerwa. Nareszcie Ali-Aga, jak gdyby z twardego snu obudzony, odezwał się:

— Ej, gdzie tam, czy on do tego zdatny?

— Do czego, do czego? A? Mówże! o kim ty myślałeś Ali-Ago?

— O kimże mam myśleć jeśli nie o tobie. Bogatyś, masz wiele, ale ten Chadzi Jusuf.

— Cóż ten Chadzi Jusuf?....

— Słyszałeś o nim?

— Od ciebie samego. Więc on bogatszy niż ja?

— Dziesięć razy. A wiesz ty jak on przyszedł do tego?

— A jak?

— Handlował. Wielka to rzecz handlować.

— Hm, ale trudna. Bo to trzeba gdzieś po morzach pływać. Co?

— Niekoniecznie. Do Tebryzu naprzykład mógłbyś dojechać i na osle, a ztamtąd nakupiwszy towarów, wróciłbyś najętami wielbłądami.

— Więc jedźmy do Tebryzu. A? Jak ci się zdaje?

— Właśnie o tém myślałem. Oj! dobrzeby to było. Nabralibyśmy tam u Frengów, za bezcen prawie, ró-

znych rzeczy, wróciwszy sprzedali, i tybyś został bogatszy od jakiego chana.

— Od jakiego chana? Oj wtenczas niktby nie ośmielił się powiedzieć że ja nie beg. Jedźmyż moja duszo. Ale jeżeli zgubimy worek (*)?

— Ej nie, to interes prosty. A zresztą, nie trzeba wszystkiego ryzykować, dosyć będzie czwartą część gotówki zabrać z sobą, a resztę zakopie my gdzie w pewnym miejscu. Rób jak myślisz, ale moja rada taka.

Przyszły magnat szyrwański nie posiadał się z radości.

— Cudowna rada, zawołał ściskając przyjaciela, mój drogi Ali! Sam Sulejman, ojciec mądrości, lepszych rad nie dawał Maszałach; w imię Boże jutro wyjedziemy, po co zwlekać? Alé ja o tobie nie zapomnę. Zarobek rozdzielimy.

— Nie chcę ja zarobku. Dosyć mi na tém, jeżeli ty będziesz szczęśliwy.

Nim nadeszła godzina wyjazdu, Mahmud-Beg ochłonał z pierwszego zapалу; wrodzone lenistwo i zamiłowanie kiejfu wróciło do swoich praw, ale zręczny przyjaciel potrafił go znowu na swój ton nastroić. Widać że ta podróż do Tebryzu była już zapisana w księdze przeznaczenia. Zakopali jeden duży worek, a z drugim mniejszym pojechali. Żona Mahmud-Bega, Maleka, odebrała niewielkie quantum na rozchód dwumiesięczny, bo tyle mieli zabawić.

Po kilku dniach podróży potomek Szachów zachorował i został w jednej wsi na drodze. Mahmud-Beg odebrawszy od niego dokładną instrukcją jak ma prowadzić interesu w Tebryzie, pojechał dalej w towarzystwie jednego tylko nukiera (**).

(*) T. j. jeżeli się oszukamy, zawieziemy w rachubie.

(**) Sługi.

II.

Mahmud-Beg zastaje sam siebie w domu.

Minęły lata. Prowincye muzułmańskie z tój strony Araxu doczekały się ważnych wypadków: widziały najście wojska perskiego, jego klęski i haniebny odwrót. Stary chan Szyrwanu, Mustafa, objął był rządy nad Szamachą, ale po kilku tygodniach wątpliwój władzy, musiał ustąpić; stolica sławnych Szyrwan-Szachów wróciła pod berło Rossyi. Te wstrząśnienia choć drobne w historyi nie mogły zostać bez pewnych śladów; przemieszała się trochę ludność prowincyi i miasta, zaszły nowe stosunki indywiduów ze zwierzchnością, niektórzy ze starych begów, co się trzymali chana, ustąpili z nim razem, inni, którzy wiernie trwali przy rządzie, w nagrodzie odnieśli różne korzyści. Tymczasem oszuści, partya jak zazwyczaj neutralna, żywili się okruszynami politycznego bankietu.

* * *

Pewnego pięknego poranku, Mahmud-Beg wracał ze swojej podróży. Ale przebóg, w jakimże stanie! sam jeden, piechotą, bosi i obszarpany. Zbliżywszy się o parę agaczów (mil polskich) do miasta, zboczył na stronę w jarek porosły krzakami, odwalił duży kamień i zaczął grzebać. Grzebał długo, widać że czegoś szukał, ale nic nie znalazł. Zbladł, drzączka go napadła, jął się rzucać na wszystkie strony, poodwracał wszystkie kamienie jakie były w jarku, pod każdym grzebał, i nadaremnie.

Upadł na murawę i zakrył twarz rękami. Długo, długo w takiem położeniu zostawał, nie dając znaku życia ani ruchem ani głosem, w tém błoga myśl zaświtała mu w głowie.

— To Ali-Aga musiał pieniądze wygrzebać, powiedział sam do siebie wstając, może przeniósł na inne miejsce, a może zachował u siebie do mego powrotu. Tak, zapewne tak, bo komużby innemu przyszło do głowy szukać pieniędzy tu pod tym kamieniem? A mnie głupiemu zdawało się że przepadły.

Orzeźwiony słodką myślą, że wkrótce z przyjacielem i dukaty swoje uściska, przysporzył kroku. Słońce tylko co weszło, pogodny ranek usposabiał do marzenia, i Mahmud-Beg marzył, o wielkiej radości jaką sprawi kochanej Malece swoim zjawieniem się, o przyjacielem, o worku, a więcej jeszcze niż o tém wszystkiém, o dobrym obiedzie. Wymawiał sobie że porzucił skarby które posiadał, biegnąc za niepewnemi.

— Głupiec ze mnie, tak rozpamiętywał nasz pielgrzym, brałem się nie do swoich rzeczy. Poco mi było zachciewać bogactw, kiedy i tak mam dosyć i pieniędzy i wszystkiego, i jeszcze jestem sobie begiem z łaski Boga, choć temu oprócz Ali-Agi nikt nie wierzy.

Wstąpił na górę, z kąd cała Szamacha ukazała mu się jak na dłoni. Ileż w niej odmian zobaczył! Wysoko nad miasto i jego meczety wyskakiwała świątynia chrześcijańska ze złocionemi krzyżami, dalej mieszkanie komendanta, białe jak płótno z pochyłym dachem, z oknami; główna ulica niby nie ta: gdzie nic nie było, tam teraz sklepy, gdzie były domy, tam także sklepy. Wśród tych przemian, ledwie własny swój dom rozpoznał, ale i w nim postrzegł odmiany; mur naokoło podwórza dwa razy wyższy, na podwórzu coś naksztalt fontanny, której przedtém nie było.... Zkąd się to wzięło? Kto na to łożył pieniądze? Ani wątpić że Ali-Aga, ten kochany Ali-Aga musi być w Szamasze....

Zeszedłszy z góry, udał się ulicą oddzielającą dwa duże ogrody, z których jeden był jego własny, a drugi darowany przezeń Ali-Adze.

— *Aj babaj!* (hej staruszk), zawołał spostrzegłszy w pierwszym człowieka zajętego podpieraniem winnych latorośli, komu ty służysz?

— Mahmud-Begowi.

— To dobrze, bardzo dobrze. Na, oto masz *peszkesz* (podarunek), i wyrzucił mu jedyny swój abaz; a gdzie Mahmud-Beg?

— U siebie w domu.

— Kłamiesz, jeszcze go tam niéma, ale zaraz będzie.

— Jako niéma, jest.

To jakiś głupiec, pomyślał Mahmud-Beg, i obrócił się do drugiego ogrodu, gdzie także spostrzegł człowieka.

— *Aj ohlan!* (hej chłopcze), czyj to ogród?

— Mahmud-Bega?

— Kłamiesz, to ogród Ali-Agi.

— Ali-Aga umarł w Persyi, już i kości spróchniały.

— Drugi głupiec, pomyślał Mahmud-Beg i poszedł dalej. Dziwna rzecz że ci ludzie nie wiedzą kumu służą?

Zrobiwszy kilka kroków, stanął. Ogromne przemiany miały go spotkać za chwilę, po wielu latach tułaczki i ciężkiej biedy, miał zobaczyć własny dom swój, żonę, służących. Z żebraka zostać panem! i to zaraz, mniej jak za pół godziny! Są ludzie, których straszy każda przemiana gwałtowna, choć i na lepsze, szukali jój, znaleźli, a nie śmieją przystąpić. Mahmud-Beg był taki. Trzeba mu było oddalić trochę stanowczą chwilę, żeby tymczasem odżywić ducha, bicie serca uciszyć.... Wrócił do staruszka i usiadł koło niego na darni.

— To ty nie wiesz kto ja taki?

— Zkąd mam wiedzieć? Może *Chadzi* (pielgrzym Mekki) a może prosty żebrak.

— Ani to ani owo. Jestem Mahmud-Beg.

— Mahmudów dużo na świecie, i begów bosych także niemało. Więc nic dziwnego że ty się nazywasz Mahmud-Beg.

— Ale słuchaj dalej. Ten dom narożny do mnie należy i ten ogród mój.

— Czy tak? Teraz wiem kto jesteś.

— A przecie. Trzeba było pierwój się domysleć. Ale to nie... powiedz mi, jak dawno służysz u mnie?

— U ciebie?

— To jest, jak dawno jesteś ogrodnikiem w moim ogrodzie?

— W twoim?

— A, psi synu, z tobą jak widzę trudna rozmowa. Za kogoż ty mię masz?

— Za waryata.

— Aha, otóż do czego ja dożył, mój własny sługa nazywa mię waryatem. Upamiętaj się stary, ja nie waryat, ja Mahmud-Beg, właściciel tego ogrodu i tego domu. Mówno prędzej, co się tam dzieje w moim domie?

— Hm.... Djabeł w nim gospodaruje. O! strasznyż bo nieład w tym twoim domie. Jedni szaleją ze zbytków i rozkoszy, drudzy za życia niosą męki Dzehennemu; jedni umierają z niestrawności, drudzy z głodu. Twój dom, to jaskinia mądrości i kościół głupstwa. O! obszerny to dom! Sklepienie raju jego sufitem, a podłogą ziemia od morza do morza. To nasz wspólny dom, i nasz i ojców naszych i potomków. My teraz na górnym piętrze, ojcowie dolne zajęli, kilka łokci pod ziemią, zimno im

tam i ciemno, a jednak bodaj czy nielepij. Ale pociesz się bracie, wkrótce i my do nich przejdziemy, tułaczka niedługa.

— Stój, stój! Ty widzę mnie masz za waryata, a sam od rzeczy gadasz. Ot, słuchaj, opowiem ci swoje wypadki, to może przyjdiesz do rozumu i uwierzysz.

— Słucham.

— Dawno, bardzo dawno, nie pamiętam wiele lat temu, może pięć albo i więcej, wyjechałem ja ztąd do Tebryzu mając handel rozpocząć, w towarzystwie Ali-Agi i jednego nukiera. Czy nie znasz Ali-Agi?

— Słyszałem że umarł w Persyi.

— Ej nie, on i nie był w Persyi, zachorował w drodze jeszcze z tej strony Araxu, i miał powrócić. A nukier zemknął nazajutrz po przebyciu granicy. Zostałem sam jeden. Przyjeżdżam do Tebryzu. Ty nie byłeś w Tebryzie. O! wielkie to miasto, większe od Szamachy, gdzie zaś, cztery razy większe. Trzeba mi było tam nakupić naczyń wyłaczanych i szkieł różnych, jak zalecał Ali-Aga, i to u Frengów, co tam sklepy mają. Ale jak ich znaleźć? Błądząc, szukam, pytam się, na to kilka dni przeszło. Nakoniec końców, znajduję tych Frengów. Poprowadzili mnie do swego sklepu. A co za sklep u nich! aż mi się oczy przymrószyły kiedym spojrzeł. Niemasz mądrości ani siły, jak w jednym Allahu, powiedziałem wchodząc, jak ja tu co kupię, kiedy tu samo złoto i diamenty? Ale wyobraź sobie: za parę set dukatów, nadawali mi tyle różnych rzeczy, że czterech ludzi ledwie mogło odnieść. Porozkładał ja to wszystko na stole, wtém przychodzi mój kunach (gospodarz). Ile to warto? pytam. Tyle a tyle. A ja zapłacił trzy razy więcej, więc

zjadłem błoto. Kunach kiwnął głową..... Ha giaury, damże ja wam. Biegnę do magazynu, zamknięty, biegnę po wschodach na górę, i zastaję w pierwszej izbie śpiącego na ziemi Ormianina. Było, jak się potem pokazało, ich służący. Ormianin czy Freng, myślę sobie, to jedna wiara. A spał twardo, bo wejścia mego nie usłyszał, i broni żadnej nie było przy nim. Więc skradam się na palcach, cichutko, dobywam kinzala, i szach obcinam mu nos. A sam w nogi. Gdyby się na tém skończyło, nie żałowałbym już straconych pieniędzy, ale Frenghi zanieśli skargę do Beglar-Bega, od niego sprawa się wytoczyła przed samego Szach-Zadę (królewicza), a mnie tymczasem zatrzymano. Trwało to parę dni, nakoniec dostałem dwieście żył bawolich w gołe pięty, i oprócz tego musiałam oddać Frengom towary, a sędziom resztę pieniędzy. Zostawili mi osła i siodło. Niéma co robić, jadę nazad, już się zbliżam do granicy, wtém napada na mnie jakaś hołota. Chwytają mię, wiążą, wiozą do Turcyi i sprzedają w Karsie jednemu Ormianinowi. Służę rok, dwa, trzy, nareszcie uprzykrzyło mi się, zmykam. Ale jak tu znaleźć drogę, wypytuję się któredy do Szyrwanu, jeden mówi na prawo, drugi na lewo, trzeci śmieje się i nic nie mówi. Spotykam jakieś wojsko. Jeden szarbaz (piechur) zbliża się do mnie. *Selam alejkium, Alejkium selam* (*). Zapewnie zdaleka idziecie mówię.—Z Gandzy i z Szyrwanu.—Chwałaż Bogu, myślę sobie, aż teraz się dowiem któredy do Szyrwanu. Miałem się rozpytywać, wtém mój szarbaz, syn grzechu, chwyta mię z tyłu za ręce, obala na ziemię i krępuje.

Krótko mówiąc, dostałem się znowu do niewoli. Było tam ze mną innych wiele i Ormian i Muzułmanów;

(*) Pokój z tobą. Zwyczajne pozdrowienie muzułmańskie.

mieli nas przyprowadzić Padi-Szachowi i pochwalić się, że my, nibyto jeńcy ruscy, nałapani w czasie wojny. Na jednym noclegu ktoś tam chciał podkopać się i uciec; odkryto, złożył na mnie. Za karę odcięli mi jedno ucho. Widzisz, nie mam ucha....

* * *

— Czego ty chcesz? spytał wyciągając się jeden z nukierów obudzony przez Mahmud-Bega.

— Jaktó czego, to ja, twój pan, jak się masz, wstawajże barani synu; znowu zasnął... A, to ty coś mi z drogi czmychnął i mnie samego zostawił. Dańże ja tobie. Hej, Mahmud-Beg się budzi.

— Mahmud-Beg nie wstaje tak rano. Idź sobie.

— Kto tam nie wstaje, słyszysz, ja Mahmud-Beg, syn Abdullę-Bega!

— A a a a!...

Nukier obudził drugiego nukiera, który spał z nim razem i zaczęli szeptać między sobą przypatrując się z podębła przybylcowi.

— I cóż, poznajecie mię, czy nie?

— Poznajemy, żeś się spił jak Ormianin. Idźże sobie, bo jak się Mahmud-Beg przebudzi....

— Co? Mahmud-Beg? A ja kto?

— Ty? jakiś obszarpaniec. Co nam do tego.

— A nie Mahmud-Beg?

— Ma się rozumieć że nie.

— I ten dom nie mój?

— Nie.

— A czyjże?

— Mahmud-Bega, tego co jeszcze śpi.

— I wy nie moi?

— Nie. Ale pókiż tego. Precz pijaku bo kijem dostaniesz....

Mahmud-Beg traci cierpliwość, podnosi swój kostur pielgrzymi, uderza nim po głowie jednego z nukierów, drugiego zmusza do ucieczki, sam bieży po wschodach prosto do téj izby, co w niej kiedyś, przed pięcią laty, parę rozkosznych nocy przepędził na łonie swój Maleki; otwiera drzwi i staje jak wryty. Był tam Ali-Aga i Maleka..... Oboje krzyknęli.

III.

Przyjaciół.

Na ulicy spotkali się derwisz Mustafa z golibrodą a raczej z goligłową Weli.

— Pokój z tobą, zagabnął pierwszy, co tam słyhać w mieście?

— Alboż nic nie wiiesz? Dziwne rzeczy słyhać! złodzieje byli u Mahmud-Bega, zacny to pan, niechaj prorok nie przestaje opiekować się nad nim, i nad jego brodą, która mi niemało abazów przynosi. Tak, tak, i to kiedy, w biały dzień, kiedy nikt już nie spał w mieście.

— Wiém ja o tém.

— Zrobił się hałas, nadbiegło kilku essaułłów z policy, ale jednego tylko schwytali, reszta rozbiegła się.

— Cóż się z tym jednym dzieje?

— Siedzi w więzieniu. Rozповідаł mi o nim jeden mirza (pisarz) z dywanu. Chce się nieborak wywinać, udał waryata.

— Waryata?

— A tak, namawiali go żeby się przyznał, ale gdzie tam, o niczém słyszeć nie chce. Krzyczy na całe gardło że on nie złodziej, zadaje fałsz żonie Mahmud-Bega i nukierom, co świadczą przeciwko niemu; utrzymuje że to jego żona, jego nukierzy, że nawet ten dom jego, co go w nim złapali. Siebie nazywa Mahmud-Begiem, a Mahmud-Bega jakoś inaczej. Słowem bredzi jak prawdziwy waryat.

— I dobrze robi, bo zawsze lepiej zostać waryatem niż powieszonym. Ale czasem w bredniach waryata kryje się szubienica dla rozumnych, o tém wiedzą derwisze.

Ostatnie wyrazy zwrócił do trzeciój osoby, co niepostrzeżona od golibrody, z boku przysłuchiwała się rozmowie, i dodał po cichu:

— Nie marszcz brwi wspaniały Ago, derwiszowi można usta zawiązać, byleby nie innym sznurkiem jak szczero-złotym.

— Albo takim, jeżeli tamten się przerwie, odparł trzeci biorąc się za kinzał.

* * *

Mahmud-Beg leży w kącie podłużnej izby, ciemnej, wilgotnej, a gęsto zaludnionej i patrzy na sufit. Zdaje się być obojętnym, nie narzeka, nie przeklina, ale w głowie u niego taki gwałt, jak na bazarze w dzień targowy; płaczą się myśli, obrazy, zachodzą jedno za drugie, to pierzchają, to znów występują. Czasem zdaje mu się że śpi, i pobrząkuje kajdanami żeby się przebudzić. Jego towarzysze, synowie siedmiu grzechów głównych, śmieją się, gwarzą, złorzeczą to swemu losowi, to prawom, to sobie nawzajem. Mahmud-Beg tylko milczy, nie wtrąca się do nich, nie zważa na ich rozmowy. Jedno go tylko zajmuje, kiedy usłyszy o karach, jakie spotykają zbro-

dniarzy, wyteża ucho. Nie jesteście on zbrodniarzem, przynajmniej ile pamięta, nigdy nie miał złej woli, ale któż to wie, wszakże i w Tebryzie miał się za niewinnego, kiedy Ormianinowi słudze Frengów co go oszukali, obciął nos, a przecie inaczej osądzono. Kto wie, mruzczał sobie po cichu, czy mię szatan nie prowadzi do złego mimo wiedzy mojej? Czy to wszystko prawda, co mnie się zdaje, czy ten dom, niechby się zapadł na cały agacz w ziemię, był kiedy moim domem, a Maleka moją żoną, czy ja sam jestem Mahmud-Beg, a nie biędny głupiec?

Gdyby mu nie przerywano tych dumań, syn chańskiego Ferasza byłby stopniowo doszedł do zupełnego zwątpienia o siebie i swoim rozumie. Ale inaczej się stało.

— Wpuść nas, odezwał się ktoś za drzwiami złamanym pół tatarskim, pół ruskim językiem, chcemy widzieć tego co to dziś posadzony. Oto jest na tytuń, a oto pismo z dywanu.

— Dobrze, ale niedługo się bawcie.

Stuknęły rygle, drzwi rozwarły się ze skrzypem, i Mahmud-Beg ujrzał wchodzącego Ali-Agę, a za nim derwisza. Na ten widok odzyskał całą moc umysłu.

— A, i tuś mię znalazł! zawołał zrywając się z ziemi i z ust jego jak kipiący strumień popłynęły przekleństwa, (zostawiamy je domysłom czytelnika). Precz mi z oczu, pókim ci głowy temi łańcuchami nie rozstrzaskał. Potém obróciwszy się do żołnierza który trzymał straż wewnątrz więzienia:— Weźno tego oszusta, on tu chce bunt zrobić, więzienie podkopać, weź go, weź, pchnij bagnetem!

— Uspokój się, powiedział obojętnie Ali-Aga, wszyscy tu wiedzą żeś waryat, a ten żołnierz nie rozumie twego krzyku. Usiądź lepiej i posłuchaj co ci powiemy.

— Nie chcę ja słuchać, ani siadać, ani patrzeć na ciebie! precz, precz, zatykam uszy.

— Jak ci się podoba. A my tu przyszli dla twego dobra.

— Dla mego dobra? I dla mego dobra wysłałeś mi krew, gadzino! Dla mego dobra posłałeś mię do Tebryzu, żeby zacapić wszystko co tylko miałem, i majątek i żonę? Ale doczekam ja się że ci napluję w brodę i skalam mogiłę twego pradziada, tak, tak, doczekam się! Oj będzie tobie!

Więzień wykrzyczał swój zapamiętał i ochłonął nieco. Ali-Aga zauważywszy to, udał że się zbiera do wyjścia.

— Bądź zdrów kiedy tak. Ale pamiętaj że będziesz żałował.

— Idź do swego ojca szejtana, czego ja mam żałować, że mię już drugi raz nie będziesz mógł oszukać czy co? Idź, idź... Albo zresztą, no mówcie co tam mieliście mówić, mnie to wszystko jedno byleby krótko.

— Najprzód trzeba ci wiedzieć, że ja tu mam znaczenie i wpływy. Najpiérwsi urzędnicy dywanu są moimi przyjaciółmi. Kara-Beg (burmistrz) w każdym zdarzeniu zasięga méj rady, i sam komendant nie ma tajemnicy przedemną.

— I sam komendant?

— Niech derwisz powie.

— Oj co prawda to prawda, potwierdził derwisz, nie jeden potępiony odzyskał wolność za wdaniem się twojém, jak ten Chadzi-Geraim, coto swego chłopca zastrzelił, albo ten Kerim-Sułtan co udusił żonę; ich krewni przybiegają do ciebie, ratuj Mahmud-Begu! abyś jedno słowo powiedział, i obu wypuścili, albo...

— Ale za to iluż nieprzyjaciół swoich sprzątnąłem! przerwał Ali-Aga.

— I to prawda, wszystkich sprzątnąłeś po jednym, co ci źle życzyli.

— Owoż tedy, ciągnął dalej potomek szachów, postrzegłszy że więzień zaczyna patrzeć na niego wielkimi oczami, los twój jest u mnie w pantoflu. Jak ja zechcę to zginiesz, a jak zechcę to cię uwolnię.

— Zginę? A za co?

— Nie wiesz za co? Patrz jego, jakie niewiniątko! A kto zabił nukiera dziś rano?

— Jakto, na śmierć?

— Na śmierć.

— No i cóż, zabiłem bo był mój, albożem go nie kupił u ciebie za czyste pieniądze? Jeszcze i drugiego zabiję, żeby się nauczył swojego pana poznawać. Żałuję żem i ciebie tak nie przywitał, i kochanój Maleki, jak tego psa.

— Cha! cha! cha! ty widzę głupszy jesteś jak ja myślałem. Zabijasz i zabijasz, i zdaje się tobie że można. Ależ to przecie ludzie a nie muchy. Najprzód nie dowiedziono jeszcze, czy masz jakie prawo do nukierów.

— Dowiodę, dowiodę. I tego dowiodę żeś ty oszust, nie Mahmud-Beg.

— Nie tak ci to łatwo przyjdzie. Alboż zapomniałeś jak dzisiaj jeszcze śmieli się w dywanie z twoich dowodów? Myślą że alboś waryat, albo udajesz waryata. A gdyby i przyszło do tego, żeby usłuchali twoich bredni, cóż ztąd, posłają zapytanie do Lenkoranu, czy był tam jaki Mahmud-Beg i syn bega? i odbiorą odpowiedź że był tylko Mahmud syn wymiatacza śmieci przy dworze chańskim. Więc posłają do Baku. Ale w Baku i ja także nazywałem się Mahmud-Begiem, tyłkom tobie je-

dnemu powiedział, mając na to szczególne przyczyny, że się nazywam Ali-Aga. Otóży po dowodach. Bo tu w Szamasze nikt ciebie nie znał.

— Nikt nie znał? Hm, a ten co u niego kupiłem dom i ogrody?

— Ten wyjechał razem z tobą, a potem przystał do Persów i zginął na wojnie. Wracając do zabitego niewolnika, choćby on był twoim bez żadnego sporu, to ciebie nie usprawiedliwia. Tu teraz nie tak sądzą jak za chańskich czasów, tu mówią że i niewolnik nie niewolnik. Gdybyś mu był tylko rękę uciął, albo oczy wylupił, to i za to byłbyś powieszony.

— Gdybym był tylko... Co? i to swemu własnemu niewolnikowi? A jeżeli zabiłem?

— To tém bardziej, takie tu teraz prawa, niechaj derwisz powie.

Derwisz zaczął wyliczać przykłady, ale więzień przerwał:

— A jeśli odwołam wszystko, jeżeli powiem że to Ali-Aga prawdziwy Mahmud-Beg a nie ja?

— Niewolnika nie wskrzesisz, zarzucił Ali.

— Więc niema ratunku, więc zginąłem, będę wisiał?

— Taka twoja kolój.

— Oj! oj! Trzebąż mi się było urodzić!

Mahmud-Beg upadł na słomę i gorzko zapłakał. Przez kilka minut trwało milczenie, przerywane tylko jego szlochami, wreszcie potomek szachów zabrał głos.

— Bądź zdrów Mahmudzie. Niosłem tobie pomoc, a tyś mię odepchnął, nazwał oszustem, wydziercą twojego dobra, Bóg wie czem, bądź zdrów.

— O nie, ty mię nie opuścisz! zawołał syn Abdully chwytając go za połę czuchy (*). Przebacz mi, ja cię niewinnie posądzałem. Przebacz! Ty zawsze byłeś moim przyjacielem, dobroczyńcą i teraz jesteś, ty mię nie opuścisz Ali-Ago. Źle mówię Ali-Ago, Mahmud-Begu, prawdziwy Mahmud-Begu, co ja za pies żebym cię inaczej nazywał!

— A, jeżeli tak, jeżeli mi ufasz, to ja nie zapomnę o tobie. Dopóki nie nadejdzie twoja ostatnia godzina, choćby to miało trwać tydzień i więcej, będę ci co dzień przysyłał placki i inną żywność.

— Nie chcę ja żywności, nie chcę téj ostatniej godziny! Ratuj, ratuj Ali.... Mahmud-Begu duszo moja, światłości oczu moich! Wszystko co mam, co miałem chcę mówić do ciebie należy! Wszystko do ciebie, ktoby śmiał temu zaprzeczyć? Ratuj tylko!

— No, no, uspokój się, zobaczę co będzie można zrobić. Bądź cierpliwy.

Odkąd rozmowa stała się głośniejszą, wszyscy więźniowie słuchali, ale nikt nic nie rozumiał, bo nie wiedzieli o co rzecz idzie. Mimo tego ostrożny Ali-Aga wychodząc nie zapomniał powiedzieć w głos do derwisza.

— Trudna z nim sprawa. Widać że oddawna ma pomieszanie.

Goście wyszli, Mahmud-Beg towarzyszył im do samych drzwi, czołgając się u nóg Alego.

* * *

Wziętość i wpływy, jakimi się chelpił potomek szachów, nigdy nie miały miejsca, jednakże nietrudno mu było wyrobić uwolnienie Mahmud-Bega, ile że w téj sprawie on sam był powodem. Poszedł do dywanu i powiedział że człowiek mieniący się Mahmud-Begiem jest

(*) Czucha, zwierzchnia suknia z wylotami.

żebrakiem ze wsi, a do tego cierpiącym pomieszanie zmysłów i że przez omyłkę został zatrzymany i wzięty, przyszedłszy do niego po jałmużnę w tym właśnie czasie, kiedy złodzieje wkradli się z innej strony. Derwisz poparł interes zapewnieniem, że zna oddawna tego żebraka.

Ale nie było zamiarem Alego, wrócić Mahmud-Begowi wolność bezwarunkową. Miał on inne widoki. Mahmud-Beg był niebezpieczny dla niego tak w więzieniu jak i na wolności, trzeba było odjąć mu sposoby szkoda. Kiedy oddano rozkaz uwalniający, potomek szachów poszedł z nim sam do kazamatów.

Tymczasem Mahmud-Beg siedzi przy drzwiach, wyęcza słuch, każde stąpanie, każdy szmer mocniejszy na korytarzu, wprawia go w gorączkę. Zawiedziony kilka razy, już traci nadzieję, już ma z podsłuchów odstąpić i rzucić się na swój barłóg, ale słyszy stąpanie kilku ludzi, słyszy i rozmowę coraz wyraźniejszą, coraz bliższą, wreszcie odróżnia głos Ali-Agi. Wierci się klucz w ogromnym zamku, ale tak długo, tak nieznośnie długo odskakują rygle, raz, dwa... Mahmud-Beg chce dopomóc, podiera drzwi plecami, drzwi otwierają się nagle, Mahmud-Beg pada na łono przyjaciela z głośnym powitaniem.

— Ciszéj głupcze, możesz wszystko zepsuć....

— Alboż.... co tam słyszać?... Straszno synowi Abdully, jak gdyby już stał pod szubienicą, nie śmie zapytać się wyraźnie.

— Milcz i uważaj co powiem. Ten żołnierz z młotkiem rozkuje ci kajdany. Siadaj i wystaw nogi.

— A potém?

— Potém uciekniesz.

— Ucieknę? Oh straszno, Ali-Ago!

— Robiłem co mogłem, ale komendant nie chce słyszeć o twojem uwolnieniu. Utrzymuje, że dla przykładu koniecznie trzeba cię stracić.

— Koniecznie? więc ucieknę?

— Ciszéj, mówię że uciekniesz, niech tylko kajdany rozkują. Przekonaj się z tego Mahmudzie jak ciebie Kocham.

— Ty mój zbawca, dobrodziej! O! ja zawsze tak myślałem. Ale cóż powiedzą ci ludzie, i ci co u drzwi stoją z karabinami, i co na korytarzu.... Oj, wiele ich tam!...

— Wszyscy przekupieni, co było pieniędzy oddałem im. Teraz mnie samemu czureka nie będzie za co kupić. Ale mniejsza o to, cieszę się przynajmniej że cię ocalił. Słuchaj, trzeba żebyś uciekał daleko, jak najdalej, i nigdy nie wracał do Szamachy, bo przepadniesz.

— Do Szamachy? nie wrócę póki życia. Co mi po téj suce? Tfu, tfu, tfu, pluję jéj w brodę.

— No, teraz pójdziemy.

Mahmud - Beg skradał się przez korytarz jak kot do myszy. Litościwy przyjaciel chciał go opatrzyć kilką abazami (*) na drogę, zapewniwszy że je pożyczył na wielki procent u lichwiarza, ale Mahmud-Beg nic już nie słyszał jak skrzyp zawiasów i sztuk ryglów za sobą, nic nie widział jak czyste pole przed sobą. Podkasał poły, strzasnął z nóg pantofle, i dalej w nogi.

IV.

Mahmudek.

Nie mamy dokładnych wiadomości, jak sobie radził nasz bohater na wygnaniu; jestto najciemniejszy peryod

(*) Abaz szyrwański, piętnaście groszy.

jego historyi, i on sam nie lubił o nim wspominać, trzeba jednak domyśleć się, że niebardzo mu się źle powodziło, bo do samego końca zachował wyrzeczony obojętności na twarzy, rumieniec, i figurę znacznie naprzód wystającą. Takim go zobaczyła Szamacha, kiedy po kilku latach zjawił się na jej ulicach, pędząc przed sobą dwie krowy objuczone wiązками chróstu. Był to dzień targowy, rynek kipiał ludnością, z kąd wygnaniec powziął nadzieję że nieczyjś uwagi nie zwróci na siebie. Tak się też stało, sprzedał swój towar i szczęśliwie powrócił. Ośmielony tym pierwszym krokiem, zaczął odwiedzać miasto ledwo nie co tydzień, mając zawsze coś do sprzedania, drwa, mąkę albo owoce. W początkach ostrożny i lękliwy, mijał o kilka ulic dom Ali-Agi, nie ogłaszał krzykiem dobroci swoich produktów, jak to zwykli robić inni przekupnie, drżał i odwracał się kiedy mu się zdawało że ktoś z przechodzących dłużej na nim wzrok zatrzymał, ale potem stopniowo oswoił się z tém wszystkiém. Kiedy pierwszy raz zobaczył w tłumie Alego, zachwiały mu się nogi, tylko co nie przykląkł, za drugim razem spojrzął na niego z podełba, za trzecim pozdrowił i zapytał: czy nie łaska winogradu kupić? Potem często spotykali się, ale żaden nie wspominał o przeszłych wypadkach.

Ale po niejakiem czasie zbrzydła Mahmud-Begowi praca i tułaczka, postanowił wrócić do dawnego sposobu życia. Co mi po tém, myślał sobie, że mię te chłopcy karmią suchemi szurekami, co ich sami nie mogą przełykać, kiedy za to pracować muszę. Ot, zostanę ja w mieście, Ali-Aga nic nie powie kiedy dotąd nic nie powiedział, i zacznę sobie po dawnemu próżnować; enszał-

łach, jeżeli się tak Bogu podoba. A co do czureków, to zawsze znajdzie się ktoś taki co mię nakarmi.

Zrobiwszy to mądre postanowienie, syn wymiatacza śmieci wziął staranie około swój powierzchowności; chciał bowiem uchodzić za porządnego człowieka, za szlachcica. Przy jego wytartym kontuszu wisiał jeden tylko rękaw, drugi kiedyś tam w przedhistorycznych czasach miały psy oderwać; obwinął ten jeden około ramienia, i z pozostałym kawałkiem drugiego to samo zrobił: nikt nie postrzeże niedostatku. Większo było by nieszczęście gdyby kuszaka (pasa) nie dostawało, ale kuszak jest, i to jaki jeszcze! ten kuszak z Bagdadu ród swój wywodzi, a że stracił barwę i zewnętrzne błyskotki młodości, to za to pamięta świetne czasy Chalifów, czém, żaden nowy kuszak nie może się pochwalić.

Przystrojenie głowy nie było tak łatwe, a to rzecz także niemałej wagi! Wszystkie dostojne głowy Szyrwanu nakrywają się śpiczastymi czapkami z drobnym kędzierzawym barankiem, zwykle zagranicznym; one, to jest czapki nie głowy, są najlepszą wskazówką kto czego wart, tak, że jeśli chcesz ocenić człowieka, przypatrz się tylko jego czapce. Czapka Mahmud-Begowa mogłaby go wystawić w niekorzystnym świetle, nie miała śpiczastej formy, i uderzała ogromem swoich rudych kudłów. Syn chańskiego wymiatacza śmieci w tej swojej czapce podobny był do grzyba. Bięda! jednak zrobił co można było, ostrzygł i poczernił.

Nie zapomniał też o kinzale. W Szamasze w owym czasie nikt nie mógł nosić kinżałów jak tylko begowie niezaprzeczonej rodowitości; noszone nieprawnie, ulegały konfiskacie, to też zaraz na początku jakiś sługa policyjny zagabnął Mahmud-Bega o jego kinzał; ale nasz

rycerz wywinął się nie odwołując się nawet do swego szlachectwa, bo dowiódł, że straszna broń co ją nosi u pasa, składa się tylko z pochwy i rękojeści, a żelaza niéma, i że zatem kinżalem właściwie nie jest.

Może kto ciekawy jak wyglądał syn Abdully co do własnej osoby swojej. Brzuch był jego osobą. Kiedy wchodził we drzwi, brzuch pokazywał się naprzód, za nim szły ramiona spadziste, opatrzone parą rąk długich po kolana i wiszące niedbale jak gdyby niepotrzebny dodatek, nareszcie głowa i popach (czapka). Twarz miał okrągłą, wiecznie czerwoną i w głodzie i w dostatkach, oczy jasno-siwe, kolor niepospolity w jego ojczyźnie! Miał brodę i wąsy, ale niekażdy ich dostrzegał, bo były czerwone jak twarz i tak rzadkie, że każdy włoszek rósł sobie po swojemu nie ocierając się o sąsiadów. Nie potrzebujemy przypominać, że jedno ucho stracił w niewoli perskiej.

Przyprowadziwszy do porządku toaletę, zaczął pielgrzymować z ulicy na ulicę, od domu, do domu, dając pierwszeństwo tym ulicom i domom, w których postrzegał więcej dymu z kominów. Nie uszło to jego uwagi, że Rosyjanie i w ogólności Europejczycy gościnniejsi są od wyznawców koranu, i nadto że jadają zawsze o jednej porze; częściej téż ich odwiedzał. Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że przy takim sposobie życia, nigdy żołądkowi swemu nie robił ofiary z sumienia, nie trzymał się taktyki zwyczajnych pasibrzuchów, która zależy na pochlebstwie, ogadywaniu, roznoszeniu nowinek, i tak dalej. O, bynajmniej! Mahmud-Beg przyszedłszy z wizytą, siadał sobie, uśmiechał się i milczał, a w jego uśmiechu, postawie, w jego twarzy zawsze jednakowej, niedostępnej żadnemu wyrazowi, było coś tak

i głupiego i wesołego razem, że wszystkich ucieszało. To téż obecność Mahmud-Bega niemal wszędzie była pożądana. Prawda że czasem miewał małe przykrości, gdzie się tylko zjawił sypały się żarty bez końca, a między temi żartami bywały i bolące. Nikt mu zaś nie dawał się tyle w znaki jak dziatwa na ulicach, nieraz galopem musiał umykać od małych łotrów, co go szarpali i trącali na wszystkie strony. Ze starymi łotrami miewał także dużo kłopotu. Ale znosił to wszystko ze stoicką rezygnacją, i nigdy na los nie sarkał.

Do téj epoki należy jedno ciekawe faktum. Jest zwyczaj u ruskiego gminu, zdrabniać imiona osób, w których coś pociesznego widzi, szczególnie cudzoziemskie; tak na przykład: Niemiec Johan staje się Johaszką, żyd Abraham Abramką, Tatarzy przemieniają się w Abdulków, Dżafarków, Jusufków. Tym samym sposobem żołnierze garnizonu szamachańskiego przechrzcili Mahmud-Bega na Mahmudka. A Mahmud-Beg rozumiał, że to jest wierny przekład jego imienia z przyrostkiem, i zaczął się tak rekomendować swoim nowym znajomościom ruskim. Potém to przeszło i do krajowców, i skończyło się na tém, że Mahmud-Beg na zawsze już pozostał Mahmudkiem. Tak go téż nazywać będziemy w dalszym ciągu niniejszej biografii.

V.

Tragedya o Szachu Hussejnie. Mahmudek hetmanem.

Przeszła zima, nastąpił miesiąc moharrem, w którym Muzułmanie Szyici obchodzą pamiątkę jednego ze swoich męczenników Szach-Hussejna. Trzeba tu o tém Hussejnie parę słów powiedzieć.

Ali piérwszy wezyr Mahammeda i czwarty po nim chalif (następca) miał dwóch synów, Hassana i Husejna, którzy po jego śmierci powinni byli objąć chalifat. Ale Moawia, wódz z pokolenia Safi, otruł Hassana i tron sobie przywłaszczył. Po Moawie nastąpił syn jego Jezyd. Ten lękając się zemsty Hussejna, który został przy życiu, wysłał przeciwko niemu wodza swojego Ibu-Zjada, i prawy dziedzic chalifatu znalazł śmierć na polu bitwy, razem z dziećmi i całą rodziną swoją. Byłoto w Kerbelaju nad Eufratem. Odtąd Kerbelaj jest celem pobożnych pielgrzymek, a rocznica śmierci Hussejna obchodzoną bywa z należytą wystawą.

Uroczystość trwa dziesięć dni (*), zamyka się widowiskiem teatralnym, dawanym bezpłatnie na czystym polu, misteryą, w której bezbożny Ibu-Zjad pojedynkuje się kolejno z synami Hussejna, ich żonami i dziećmi i wszystkich zabija bez żadnej litości. Po każdym zabójstwie powietrze napełnia się głośnym, chóralnym szlochaniem kilkunastu tysięcy widzów, ale kiedy kolój dochodzi do samego Hussejna, widzowie wpadają w zapamiętałość, lecą tłumem na zabójcę, ten zmyka do miasta, widzowie za nim, tu ich spotyka grad kamieni puszczony z piąter i płaskich dachów przez Sunnitów, zawziętych wrogów Hussejna i jego sekty, rozruch się sroży, wzmagą, już i krew widać miejscami, aliści wojskowych z koszar występuje trzecia sekta, bierze udział w wojnie religijnej i kolbami karabinów bez trudności tamte dwie rozprasza.

(*) Ile mi się zdarzyło czytać opisów tego święta w podrózach, żaden nie zgadza się z tem co sam widziałem, i nawet jedne z drugimi nie zgadzają się. Trzeba więc wnosić, że w różnych miejscach różnie obchodzone bywa, chociaż jednakowo co do głównej osnowy.

Udający Ibu-Zjada, odbiera znaczną zapłatę ze składek miejskich.

Środki przedsięwzięte przez policją szamachańską zmniejszają stopniowo efekt tego widowiska; dziś nie inaczej ono się dozwala, jak za poręką znaczniejszych obywateli z Sziitów, że rozlewu krwi i zamieszek nie będzie. Sam hetman Izyda nie ulega już tak wielkiemu niebezpieczeństwu, ale za to na długi czas staje się celem nienawiści i pogardy u swoich. Zaproponowano ją synowi Abdulły. Pieniądze, ale pogarda! pomyślał naprzód Mahmudek, a potem, pogarda, ale pieniądze i zgodził się hetmanić przeciwko następcy chalifatu.

Odebrawszy honorarium z góry, schował je głęboko w zanadrze, uzbroił się od stóp do głowy, wsiadł na dzielnego rumaka i wystąpił w szranki. Niedaleko od miejsca na którym miał staczać pojedynek, wznosiło się rusztowanie, a na rusztowaniu siedział Izyd otoczony swoim dworem, i jakiś poseł europejski, Frenk-Elezi, Tatar z dużą brodą i ogoloną głową, na której miał stosowany kapelusz z piórem, przy szpadzie, we fraku, szerokich tatarskich hajdewerach i papuciach. Nieprzyjaciel zajmował przeciwną stronę; tamto się odbył prolog i pierwsza scena tragedji. Wśród nieskończenie długich tyrad, jakichby się nie powstydzil najwymowniejszy z Rasynowskich Rzymian, Szach-Hussejn, wysyłał kolejno synów swoich na boje. Ten, na kogo kolój padała, po długich pożegnaniach, lamentach, dosiadł konia, spotykał przygotowanego już na wszystko Mahmudka i zaczynał do niego przemowę, czy go nie wzruszy; ale Mahmudek odpowiadał tylko monosyllabami albo zupełnym milczeniem; był on nieugięty jak opoka. Następowaly gonitwy. Po kilku obrotach, Mahmudek strzelał z pistoletu w górę. przeciwnik spadał na ziemię nieżywy. Kiedy mężczyzn

nie stało, przyszła kréska na kobiety. Nadaremnie każda otuliwszy się czadrą (*), a to raz ze skromności, a powtóre żeby nie pokazać brody i wąsów, piskliwym, drapiącym, gwizdzącym, zgoła prawdziwie kobiecym głosem wzywała litości. Syn Abdudy nie miał żadnego względu na pleć, bo tuchodziło o dobro jego pana, Szacha-Izyda. Potém dziatwę wymordował.

Po każdym pojedynku przychodziła żałobna processya z kilkunastu Sziitów w zakrwawionych sukniach, z poranionemi głowami i piersiami, wołając chórem: Szach-Hussejn! Waj Hussejn! wyniosła trupa za szranki. Naród płakał i przeklinał zabójcę.

Osierociały Imam nie mając już kim się wyręczyć, wystąpił sam. Mahmudek zdrzał: pamiętał on, jakie prowadzi następstwa ta ostatnia scena, mógł się stać ofiarą wściekłego gminu, za udane zabójstwo nieudaną śmiercią zapłacić.... Kiedy święty zapaśnik stanął przed nim i zaczął swoje długie wyzwanie, Mahmudek nie doczekawszy się końca zawrócił konia, chciał drapnąć; na nieszczęście tuż zaraz złapano za cugle, koń się wspina, Mahmudek spada na ziemię, a przywalony ciężką kolczugą podnieść się nie może. Obskakują go zewsząd.....

Nie zginął hetman Izyda w téj ciężkiej potrzebie, ale zginęły jego abazy, co je miał w zanadrzu, a za cały zarobek kilka ogromnych sińców zostało.

* * *

W tym samym czasie przejeżdżali tamtédy komendant z naibem (**). Kiedy się zbliżyli, wszystko wróciło do porządku, Mahmudka uwolniono.

(*) Czadra, zasłona kobięca biała albo w kraty pąsowe z czarnemi.

(**) Do 1841 r. prowincye muzułmańskie dzieliły się na magaly, nad któremi przelożeni byli naibowie, z krajowców obierani.

— Jak się ty nazywasz, ty, ty, co cię tam szarpali? zapytał komendant.

— Mahmud-Beg.

— Jakto, jesteś Beg i najmujesz się za błazna?

— Chciałem zarobić na czureki.

— Dobrze — odejdz.

Mahmudek ledwie wyjąkał swoją odpowiedź! Piérwszyto raz zdarzyło mu się stanąć oko w oko przed rządcą Szyrwanu. Ale odszedł pełen dumy, że go ten zaszczyt spotkał.

Komendant spytał naiba:

— Co to za człowiek? czy się dobrze prowadzi?

— Jak najlepiej (naib nigdy nie słyszał o Mahmudku), prowadzi się jak najlepiej.

— Ale biédny?

— Jak najbiédniejszy.

— No, to daj mu jaki przytułek u siebie; zrób go tam *essaułem*, czy co; niechaj ma żoździk jaki taki i nie potrzebuje rzucać się na podobne zarobki.

Urząd *essauła* (dziesiętnika) zajmuje najniższe miejsce w hierarchii policyjnej, ale u Tatarów, którzy pamiętają chańskie rządy, nie jest bez znaczenia. Wszakże Abdulla był tylko wymiataczem śmieci!

VI.

Dzisiejsze obyczaje. Derwisz. Huczny wjazd Mahmudka na bazar.

Słońce chyli się i blednie, zawisło nad Achsuńskimi górami i patrzy ztamtąd na Szamachę i zdaje się mówić: ludu proroka, porzuć sprawy światowe, oto godzina

namazu! Mollowie wlaższy na meczety, rozbijają powietrze hymnami. Słyszą to ludzie, widzą że słońce zachodzi, a o namazie nie myślą. Bazar nie przestaje kipić ruchem i gwarem. Takie to dziś czasy, takie obyczaje, ledwie gdzieniegdzie zawarty się drzwi jakiego ciemniejszego sklepu, ledwie kilku starców znajdziesz nad sadzawką w Kerwan - Saraju, zajętych pobożnym opłukiwaniem pięciu członków. A dzisiejsi ludzie pomędrzeli: dawaj im pieniędzy, dawaj uciech wyklętych, dzisiejsi kłaniają się rozpuście jak ich ojcowie kłaniali się czarnemu kamieniowi Mekki. Ot na przykład ten młokos co sobie podgolił brodę naśladując giaurów, i czapkę na prawe ucho zawiesił—patrz go—z jakim on pośpiechem omija drzwi meczetu—a dlaczego?—pilno mu do tancerek.... Jak ten drugi zdaje się szukać czegoś... nie może iść prosto, bo w nim wina więcej jak w armeńskim burdiuku (*). Zapytaj tego handlarza gałganów jedwabnych, z kim on się tak serdecznie ściska: pewnie z Ormianinem albo z żydem co mu dopomógł w szachrajstwie! Gotów psa uściskać i nazwać bratem, gotów rozprzedać, głoskę po głosce, wszystkie księgi koranu. Gdzież są dawne czasy! Gdzież te czasy kiedy w dniach Bajramu pełne bywały świątynie nasze, przedsionki ich i podwórza, kiedy w godzinach nabożeństwa prawy Muzułmanin zapomniiał o wszystkiém, i śpieszył na brzeg wody, i po należytém oczyszczeniu się, klęcząc na rozścielonym kobiercu odprawiał modły i marzył o rozkoszach siódmego raju! Kiedy nikt nie zdradzał ustaw proroka, nie bratał się z niewiernym, nie jadł z jednego z nim naczynia! O gdzież są poczciwe dawne czasy!

(*) Burdiuk, worek ze skóry zdjętej całkiem z barana albo z wołu.

Tak gdérzą szamacheńscy *babaje* (starcy), patrząc na młode pokolenie, i kiwają głowami. Ale gdzież *babaje* nie gdérzą! Ludzkość idzie w górę, doskonali się, ogłędza, jak tego nasi mędracy Frengistanu jasno dowiedli, a tymczasem ci co przeżyli swój postępi i cofają się już, radziby przekonać świat, że i on się cofa razem z nimi. Byłóć im lepiéj przed laty, ale im tylko samym, wówczas żyli życiem nie wspomnieniami, mieszkali w czarnoksięskim pałacu młodości i nadziei: wiatr powytłukał okna ich pałacu, opadły sztukaterye ze ścian i krużganków; nudno im teraz, chłódnó; to i gdérzą sobie na pociechę. Przyjdzie do tego mój czytelniku, jeżeli dla ciebie już nie przyszło, że i my narzekać będziemy na zgórszenie wieku jak ci *babaje* i kiwać głowami. Tymczasem zobaczmy co się dzieje na bazarze.

Bazar szamachański jest osią miasta, jego *sensorium commune*, jego duszą, jego i głową i żóładkiem. Tu się krzyżują, potracają, roztracają wszystkie sprawy; tu znajomy szuka znajomego, przyjaciel przyjaciela, wróg wroga; tu handel, przemysł i rękodzielnictwo, wzięwszy się za ręce tańcują kółkiem aż do zawrotu głowy, jak stambulscy derwisze. Tu wszystko masz na wierzchu czego tylko do zaspokojenia ciała i duszy potrzebować możesz. Głódnýs? Oto te kłębiące się w górę wyziewy pochodzą z kotłów płowu (*), ten baran jeszcze żywy, za dwie, trzy minuty, zmieni się w kawalki soczystego *kababu*. Cierpisz niemoc jaką? Udaj się do hakima (lekarza), poznasz go po lancecie z którym stoi u drzwi swojego kramiku czyhając na praktykę. Nie powiadaj mu co cię boli, siądź tylko, wystaw rękę, nogę, nos albo ucho, bo to

(*) Płow, piław, kasza ryżowa sypka.

wszystko jedno, i natychmiast ozdrowiejesz kocztem pary funtów krwi wypuszczonej. Chcesz mieć nowe pantofle, czuchę albo szarawy? W tym oto rzędzie sklepów pracuje cech krawiecki, w tamtym szyją się pantofle. Chcesz mieć rozum? Ten wrzaskliwy przybytek jest właśnie przedsionkiem meczetu, gdzie wśród tłumu drobnych i dorosłych adeptów ujrzysz Minerwę wschodnią w inkarnacyi rudobrodego mołły, trzymającego w jednej ręce koran, a w drugiej pęk żył bawolich.... Ciekawys' nowinek zagranicznych? Oto ciągnie karawana perska, oto arby (*) tyfliskie, a ten jeździec z chorągiewką w dzikim pstryim ubiorze, jestto *czousz* (woźny) zwiastujący powrót pielgrzymów z Mekki.

Albo stań i słuchaj. Ludność bazaru składa się z aktorów i figurantów; ostatni gwizdzą sobie albo śpiewają pieśni improwizowane; o tych mniejsza, ale posłuchaj aktorów. Każdy obwołuje się całą potęgą piersi swojej. Za jednym razem usłyszysz i odę pochwalną gorącym czurekom, i legiendę o talizmanie, mającym własność chorych uzdrawiać, zdrowych w zdrowiu umacniać, rozweselać smutnych, zgoła zapobiegać wszelakim klęskom tego padolu, i sto i oko bajek o świeżych towarach, tak świeżych, że wielbłądy, co je przywiozły, jeszcze dotąd sapia; i elegie oszukanych, nad przepadłeni pieniędzmi, i tysiąc powieści w scenach... A obok tego brzęk dzwoneczków karawany, ryk wielbłądów i osłów, skrzypienie arb nigdy niesmarowanych.

Wśród téj ruchomej, migotnej mozaiki stworzeń przesuwających się w różnych kierunkach jak cienie fantazmagoryi, oko zawadza jednak tu i owdzie o stałe

(*) Ogromne woziska o dwóch kołach.

gruppy, na których może wypocząć. Są to kółka ciekawych ściągnięte jakim widowiskiem. Pierwsze miejsce zajmuje monomachia baranów. Najniewinniejsza w świecie zabawa: stronom nigdy nie chodzi o to, która którą zabije lub okaleczy, ale która pierwsza zwinie chorągiewkę. Dalej monomachia kogutów. Tu już wcale co innego! Tu tyle zaciętości, oporu, tyle rycerskiego animuszu! Słowo słowo jak między ludźmi. Dalej małpeczka rokiąca przedziwne grymasy. Dalej figlarz z bębenkami. Dalej figlarz na linie. Dalej figlarz z kinzałem, którym ot ot przebija się na wylot.

Ale najwięcej gawiedzi zastaniesz przy bajarzu, derwiszu. Obsiadłszy go naokoło kilką rzędami, w pewnym jednak oddaleniu, żeby i mimice, jakiej wymaga opowiadanie, dosyć pola zostawić, połykają uszami jego wyrazy, oczyma gięsta najmniejsze. Kupiec odbiegł swoich towarów, rzemieślnik warsztatu, kucharz garnków i kotłów, podróżny stanął niebaczny ani na drogę, ani na konia swego który stęka pod ciężarem jeźdźca i tłómków, nawet kilka obładowanych wielbłądów zatrzymało się.... I wszystko to zapomina o bożym świecie, i jakby zaczarowane, kilka godzin nieruchomie przepędza. Czasem tylko wyraźniejsze ruchy i wykrzyknienia bajarza, odbijają się machinalnie w kole słuchaczy.

Rycerzem powieści jest na ten raz Iskender dwurożny (Alexander W.). Miał ten sławny szach szczególniejsze upodobanie w derwiszach; wszystkie im pieniądze oddawał i klejnoty na nieprzyjaciółach zdobyte, ziemie tylko zostawując sobie. Ale też niedarmo. Oni byli jego pochodniami, w każdej ważniejszej sprawie zasięgał ich światła. Nigdy zaś nie pomogli mu tyle, jak podczas pamiętnej po wszystkie wieki wojny z olbrzymami

Jadzudź i Modzudź. Kilkakrotne natarcia zostały odepchnięte, fortele żadne nie udawały się, już się był nieprzyjaciel okopem z narzuconych jedna na drugą gór ubezpieczył. Widząc że to nieprzelewki, wojak o dwóch rogach zwołuje derwiszów. Zbierają się świeczniki Islamu. A był między nimi jeden, jak księżyc między gwiazdami, jak piątek między dniami, imię jego Alisker (czy nie Kalisten?). Onto piastował urząd pierwszego wezyra. Owo ten gospodarz mądrości usiadł na poduszce z najdroższego złotogłowiu, poprawił pasa, pogłaskał się po długiej, czarnej, aż do ziemi sięgającej brodzie i przebiirając palcami dyamentowe paciorki, tak przemówił: „O Padi-Szachu, ognisko świata! Niemasz Allahów, jak jeden Allah, a Muhamed prorokiem jego.” Monarcha kiwnął głową na znak że i sam nieinaczéj myśli, co spostrzegłszy mówca nabrał otuchy i rzecz dalej poprowadził, ale już w niezrozumiałym ani dla nas, ani dla reszty słuchających języku *farsi*. Nie wiemy więc co uradzili derwisze, i jaki był koniec wyprawy.

* * *

Niejednego zadziwi ten Alexander W. na szamacheńskim bazarze. Ale pasowanie się starego Wschodu z *czouszem* greckiej kultury, jest jednym z tych granitowych faktów, nad któremi czas nadaremnie tępi sobie zęby. Wié o tém każdy bez ksiąg i bez szkoły, nie znajdziesz Muzułmanina, któryby nie potrafił czegoś zabawnego powiedzieć o Iskender-Szachu. Coto za bogaty połów dla miłośnika podań, ile tu szczegółów ciekawych jakich nie znajdzie ani w Aryanie, ani w Plutarchu, ani nawet w Kwincie Kurcyuszu! Bez wątpienia więcéj takich, co je czarownica, poezya, ta druga Cyrce, przetworzyła

w dziwolągi, na niektórych jednak musiał charakter historyczny pozostać, i te czekają tylko głębszej krytyki, żeby zająć w historii właściwe sobie miejsca. Może też doczekają się kiedyś: jednemu Ałlachowi nie tajno, jakie nam niespodzianki przyszłość gotuje.

* * *

Derwisz jest w nadzwyczajnej wnie; z ust jego leją się muzykalne dźwięki poetów, te same, na które śpiewak Giulistanu swoje *perły nizał*; podnosi głos coraz wyżej, już na hymn zarywa; gawiedź przytomna nic a nic nie rozumie, jednak patrzy mu w oczy i daje oklaski. Bo też miło patrzeć na derwisza, jakie on robi grymasy, jak się zwinnie wykręca, i przysiada i podskakuje. A jak wywija tą paleczką żelazną! Oto widać uśmiech na jego twarzy, pewnie coś wesołego opowiada, cha! cha! cha! słuchacze chórem się śmieli. Ale cóż znowu, zachmurzył się, ręce załamuje? Oj, widać źle z Iskenderem. Waj! waj! waj! krzyknęli słuchacze.

Kiedy skończył, dészcz abazów i szajów lunął mu pod nogi. Nauka nie poszła w las, hojność Iskendera znalazła naśladowców. Ale trzeba będzie powtórzyć, bo on coś nowego zaczyna. Zebrawszy pieniądze, zawołał do rozchodzących się:

— A może chcecie świeżych nowinek o Kanly-Harunie (krwawym Harunie)? Ale słowik nie śpiewa na suchu, trzeba mu rosy. Wtenczas dopiéro, co nowa kropelka na piersiach róży, to nowy ton u śpiewaka....

Wszyscy wrócili, obsiedli go znowu, i każdy pośpieszył nowym datkiem kupić sobie materyą do wieczornej pogadanki. Kanly-Harun było najezdnik, czyli jakby u nas powiedziano rabuś tych okolic. Podobne figury nabiérają zwykle w imaginacyi ludzkiej jakiegoś poetycz-

nego namaszczenia; lubimy słuchać o ich śmiałych czynach, o ich życiu nieskrępowaném żadną ugodą społeczną, a zatém najdobitniej pierwiastek osobistój woli wyrażającém, o niebezpieczeństwach i trudach jakie przełamać umieją, radzibyśmy usprawiedliwić ich gdzie można, a byleby nas samych zostawili w pokoju, przebaczymy im z całego serca, że komuś tam z bliźnich naszych wydarli worek albo życie. O Harunie powiadano, że był synem uczciwego domu w Karabagu czy w Persyi i najlepszym w świecie chłopakiem, ale że miał brata łotra, który się trudnił przemycaniem towarów; że broniąc tego brata napadniętego od straży pogranicznej, zabił jednego strażnika, kilku innym pozadawał rany, i że to go zmusiło prowadzić takie nieporządne życie.

Między drobną monetą spadającą zewsząd na derwisha, znalazł się złoty dukat.

— Rozumiém, rzekł podejmując go, i ciebie rozumiém, coto srogo patrzysz, nie bój się. Słuchajcież, opowiem w kilku słowach bo już zmrok zapada.

Znacie wszyscy tego opasłego Bała-Bega, coto koczował w zimie na saliańskim stepie. Otóż słońce go przypiekło, więc ciągnął sobie w chłodek między góry. Wczorajszy wieczór zastał go w dolinie nad Každy-Czajem. A krwawy Harun był wtedy na jednej z bliższych gór. Patrzy, tabor duży, jak spędzili bydło do rzeki, to omal wszystkiój wody nie wypiło. A nuż, mówi sam do siebie, wypuszczę ja swoje harty ze smyczy! Nie dla łupów, bo od tych pastuchów trudno co wycisnąć, ale tak, chciał spróbować jak mu się uda przeciwko zgrai cztery razy liczniejszej. Daje znak wystrzałem, zbiegają się dzigity (najeźdźniki) i znieńska dwadzieścia kulek świsnęło ku taborowi. Oj, oj, oj, jakież tam hałas powstał! Co ży-

wo wrzasnęło jednym głosem, ludzie, baby, dzieci, psy, wielbłądy, osły. Jedni klną, drudzy płaczą, inni dają rozkazy a nikt nie wypełnia. Trzeba było zaraz przy pierwszym popłochu wrzasnąć i natrzęć, ale głęboki jar dzielił napadniętych od napadających. Musiał Harun górę objechać. A ci tymczasem ochłonęli, przyszli trochę do ładu, porobili sobie zasięki. Trudna sprawa. Harun szykuje się, wzywa Allaha i naciera. Chmury dymu buchają z zasadzek, grad wystrzałów spotyka go na połowie drogi. Zuchy nasze mieszają się niby war trącony podwodną skałą. Ale nie miesza się gospodarz odwagi, wypalił w łeb pierwszemu co zwrócił był do ucieczki, szykuje się, i znów naciera, wciska się w same serce taboru, rąbie, niszczy, trątuje. Wszystko pierzcha przed nim; tłusty Beg szuka ochrony w swoim namiocie. Wpada za nim, chciał zemsty za długi opór, podnosi chandżał i już ma ugodzić, wtém słyszy głos kobiecy, ktoś go chwyta za rękę. Odwraca się?... Czém są cuda Diwistanu, czém błękitne Peri o rubinowych warkoczach?....

Tu derwisz znowu zaczął językiem Hafiza. Ale wkrótce inny przedmiot zajął powszechną uwagę.

* * *

W główną ulicę wtoczył się jeździec na osle. Jeździec był wysoki, dorodny, a osioł malutki; burka wiązająca na tamtym, zakrywała obu, tak, że zpod jój skrzydeł kosmatych, dwie tylko głowy wyglądały, osle uszy, i sześć nóg, cztery z kopytami a dwie w pantoflach. Mniej biegły zoolog mógłby to wziąć za jedno sześcionożne zwierzę, ale niedługoby w błędzie pozostał.

Ulica ta ciągnie się w prostym kierunku przez całe miasto, a przerznawszy rynek, niedaleko od niego w pole wychodzi. Ściany jój składają się z samych sklepów.

Z pierwszego zaraz sklepu, jak tylko zrównał się z nim ów jeździec, wyrzało kilku ludzi; jeden, przypatrzwszy mu się włożył w usta dwa palce i gwizdnął. Toż samo powtórzono w sąsiednich sklepach, dalej w dalszych, a wkrótce cała ludność ulicy wystąpiła ze sklepów, i każdy pośpieszył swoim sposobem, gwiznięciem, krzykiem albo klaskaniem w ręce przywitać podróżnego. W miarę jak ten posuwał się naprzód, sklepy co zostawały w tyle, ucichały, a te co do nich dojeżdżał, rozpoczynały powitalny koncert; słowem, chałas posuwał się z nim razem, podobny do prądu, który na sobie łódkę unosi. Z początku nasz paladin nie zważał na nic, i patrzył przed siebie z niezachwianą powagą, ale osioł wyraźnie dawał poznać, że to mu nie do smaku, spozierał niespokojnie na obie strony, wyszczerzał uszy, to prawe, to lewe naprzemian, wreszcie zaczął zlekka podrygiwać tylnymi nogami. Tu jeźdźcowi cierpliwości zabrakło.

— Z kogo wy sobie żartujecie, synowie grzechu! dam ja wam!

To powiedziawszy chciał coś wydobyć z zanadrza, zapewne jaki talizman przeciw swawoli motłochu, ale odwijając burkę, uderzył połą osła po głowie, zakrył mu oczy. Przestraszone bydlę traci rozum do reszty, stula uszy, wierzga i puszcza się cwałem. Jeździec robi woltę z siodła na szyję wierzchowca. Tymczasem wrzawa rośnie, powiększona brzękiem naczyń i stukiem młotów w pobliskich kuźniach. Gdzieniegdzie strzelają na wiwat z pistoletów, życząc szczęśliwej podróży *Mahmud-Begowi*.

Mahmud-Beg grozi i przeklina, a pędzi jak wiatr. Chętnieby się wycofał na siodło, ale go nie puszcza przednia kula, wysoka i stercząca; jako jedyny środek bez-

pieczeństwa, ma przed sobą parę długich uszu, chwytając się ich obiema rękami i trzymając z całej mocy swojej, i pędzi a pędzi, nakoniec wtłacza się w środek tłumu zebrałego koło derwisza, wywraca kilku, innych roztrąca, a sam traci równowagę i wali się na ziemię jak góra.

I, o dziwy! wszystko umilkło. Kto chciał klasnąć spuścić z wolna ręce i schował do kieszeni; kto chciał gwiźnąć przez palce, zostawił je w ustach jako znak zadumania; kto chciał wrzasnąć, otworzył gębę i oniemiał. Co większa, niektórzy przytomni po kilku minutach uroczystego milczenia, rzucili się nagle po osła, który pozbywszy się swojego ciężaru, bujał sobie wesoło po rynku; inni spadła czapkę Mahmud-Begowi przynieśli, a najbliżsi dopomagali mu jeden przed drugim podnieść się z ziemi i garderobę do porządku przywrócić. Zkądże ta przemiana? — Oto Mahmud-Beg upadłszy, w tém samym okamgnieniu wydobył i podniósł najwyżej jak tylko ręka sięgała, swój talizman. Był to talizman czworoboczny, biały, z czerwoną na środku pieczęcią.

Syn Abdullę drżał ze złości. Ale możnaż było nie ułagodzić się, kiedy mu okazano tyle dowodów głębokiego szacunku? Chybaby głazem był a nie człowiekiem. Przestał tedy na złorzeczeniach i nikogo nie obił. Nawet niezadługo odzyskał spokój, wysapał się i patrzącego nań z uśmiechem derwisza, słowem pozdrowił pokoju.

— *Alejkium selam.* Dokądto Mahmud-Beg o téj późnej porze wyrusza? zapytał derwisz wymawiając zgłoskę beg ze szczególnym przyciskiem.

— At zwyczajnie z mocy urzędu. Wiész co Mustafa, ciężkato rzecz być urzędnikiem; zawsze to to, to owo. Najazdy zageściły się po wsiach, jadę przywracać porządek.

— Proszę, czy aż do tego doszło, żeby taka ważna i niepospolita osoba musiała sama się fatygować?

— Alboż nie słyszałeś, że napadli wczoraj na Bała-Bega? Te łotry, gotowe i do Szamachy zawitać. Ale niech-no ja się wezmę do nich!

Derwisz odwrócił się i zakrzywił usta szydersko; niewiele on trzymał o władzy Mahmud-Begą, a jeszcze mniej o jego zdadności do podobnych spraw. Ale jeden z obecnych, jakiś obszarpany żebrak, pilnie przysłuchiwał się rozmowie, i na urzędnika patrzył z ciekawością. Pomógł mu potem wleźć na osła. Kiedy Mahmudek pożegnawszy derwisza ręką, a innych poważném skinieniem głowy, ruszył, żebrak udał się za nim.

VII.

Mahmudek w strasznej tarapacie.

Ów talizman, który takie wrażenie sprawił na miejskim motłochu, było list szamacheńskiego naiba do jednego z okolicznych begów. Onego czasu w Szamasze mało jeszcze uprawiano tak nazwaną sztukę obcowania z nieobecnyimi, a czerwony lak i koperty ledwie osobom wyższej arystokracji były znajome. Prosty człowiek ustępował z drogi każdemu listowi, tém bardziej zaś takiemu jak naiba, na którym pieczęć połowę koperty zajmowała.

Idźmy za Mahmudkiem. W każdym innym czasie, samotna i daleka droga, przy spóźnionej porze, byłaby mu nasunęła ponure myśli o wilczyśkach i rozbójnikach; nie należał on bowiem do tych szaleńców, *deli baszów*, co to lubią niebezpieczeństwa, a nawet sami ich szukają.

Ale mógłże wczorajszy essauł myśleć o czém inném jak o swoim urzędzie i nieodłącznych peszkeszach (kubanych)? Nie, wilki i rozbójnicy nie mieli miejsca w tym czarownym obrazie co się rozwijał przed nim. Tam wszystko tchnęło taką pogodą, takiem szczęściem! Długie rzędy chłopstwa spotkały Mahmudka z niskimi ukłonaми, gdzie tylko spojrzął, tłuste barany cisnęły się nawałem do jego żołądka, a do kieszeni abazy, kochane abazy, jak do skarbcu Padi-Szacha. Syn wymiatacza śmieci, lekkim skinieniem odpowiadał na ukłony, pożerał barany, napełniał kieszenie abazami, kupował sobie nową czuchę, nowy kuszak, nowy papach, kupował i dom, lepszy od tego co go miał kiedyś. Ale ten dom? czyby nie można teraz rozprawić się z Ali-Agą? Piérwszy raz myśl taka nawiedziła go od ucieczki z więzienia, odpędził ją zaraz jak wroga kusiciela; za nową jeszcze była, za straszna dla niego.

Słońce zaszło, droga była pusta. Mahmudek jechał powoli i pochyliwszy głowę ku piersiom, budował sobie plány prędkiego z bogacenia się: list z czerwoną pieczęcią zdawał mu się pierścieniem Sulejmana! Kiedy doszedł do zenitu swych żądań, nie mogąc iść dalej, dał spocząć sercu na przedmiotach bliższych, pewniejszych, i zaśpiewał sobie.

Muzułmanie zakaukazcy są jednym z najśpiwniejszych narodów świata; niemi tylko nie śpiewają. Ale to warto uwagi, że słowa ich śpiewek bywają najczęściej składane *en promptu*. Oto jest dla próbki.

Improwizacya Mahmudka.

„A, a, a, aj! głodnym i zmęczony, burczy mi w żołądku, bom głodny.”

„W piérwszój wsi zajadę do Juz-Ba zi (setnika) i powiém mu że mam papier.”

„A potém powiém Juz-Baszi, Aga, dawaj mi czém-prędzój kunacha (*) bom głodny i zmęczony, a mam papier.”

„A Juz-Basza powié, dobrze, i każe mié zaprowadzić do najbogatszego chłopa jaki jest we wsi.”

„A a a aj! przyjdę ja do tego chłopa, a on będzie mié musiał przyjąć i nakarmić, choć niechętnie.”

„I powiém jemu: aj ty wyskubana brodo, dawaj mi płowu, psi synu, dawajze prędzój bom głodny.”

„A on przyniesie mi pełną miskę płowu.”

„Pełniuchną misę z wiérzchem i postawi przedemną.”

„A ja siądę i zacznę zajadać obiema rękami.”

„A a a aj! masło mi pociecze po brodzie, ale nie będę obciérał póki się nie najem.”

* * *

— *Selam alejkium.*

Mahmudek obejrzał się i zobaczył jeźdźca na pięknym kasztanowatym koniu, w swój czerkiesce, uzbrojonego od stóp do głowy.

— *Alejkium selam.* Dokądto jedziesz?

— Naprzód.

— A, to jest do Fit-Dahu? A zkąd?

— Z tyłu.

— A, to jest z Szamachy? Rozumiém.

Na widok uzbrojonego jeźdźca, o takiéj porze i w takiém miejscu, Mahmudek powziął z początku pewne podejrzenia, ale uspokoił się słysząc jego odpowiedzi, szcze-

(*) Kunach, właściwie przyjaciel; ale domownik albo gość i gospodarz domu, są także względem siebie kunachami.

gólniej ostatnią, bo naprzód, gdyby to był rozbójnik, toby mu nie odpowiadał na zapytania, a powtóre, jechałby z jakiego lasu, a nie z Szamachy. A przytém nie było nic rozbójniczego w jego twarzy, ani wąsów ogromnych jak ogony końskie, ani rozkłaczonej brody, ani oczu krwią zabiegłych. Podróżny miał minę młokosa, *tuksusa*, który pierwszy raz z miasta się wychylił.

Jechał jakiś czas w milczeniu, ale Mahmudka świerzbiał język, chciało mu się pogadać o swoim urzędzie, o celu w jakim podróż przedsięwziął, nie wiedział tylko od czego zacząć żeby zająć towarzysza, który jak się zdawało, cały był oddany swojemu koniowi; to go wspinał, to w cwał wypuszczał, to znowu osadzał na miejscu i trzepał po szyi.

— Wiész co, zaczął Mahmudek, zmrok zapada a do wsi mamy dobre dwa agacze. Wartoby przyspieszyć kroku.

— Alboż się boisz? Tu rozbójników niéma.

— Ej nie, nie o rozbójników mi chodzi. Ale mam w zanadrzu bardzo ważny papier, który od wilgoci wieczornej mógłby ucierpieć. Może pokazać? oto jest. A co do rozbójników ja sam ich poszukam.

— Alboż oni potrzebni tobie?

— Nie, ale ich cielska potrzebne szakalom i krukom na strawę. Bo widzisz ja jestem essauł. Naib wiedział komu dać takie polecenie. Przychodzi do mnie i powiada: wiész co kochany Mahmud-Begu, żadnemu essaułowi nie mogę tego polecić, jak tylko tobie, tobie jednemu ufam, oto siadaj zaraz na swego turkmeńskiego ogiera, albo na tego co ci chan karabadzki podarował, albo na tego co masz od komendanta, albo.... Nie, mówię, moje ogiery nieokute, a przytém coś mi niedobrze, na ośle spokojniej będzie. — No, to jedź sobie na ośle, ale

żebyś zrobił co ci powiem: zbierz w moim Magale stu zbrojnych nukierów, albo ile będziesz uważał, a to pismo z pieczęcią pokaz każdemu żeby wiedzieli od kogoś posłany, i staraj się wytropić rozbójników.

— Otóż im dasz pieprzu.....

— Mam nadzieję pokazać tym psom kto ja taki, za dnemu nie przepuszczę, a samego Kanly-Haruna, enszał-łah złapię i żywego przyprowadzę.

— Oho! A więc do roboty, ja się nazywam Harun.

— A? Ha. Jak?

— Harun.

— Ha, Ha, Jak?

— Harun.

— Tojest Ha, Har. Jak?

— Powiedziałem.

— Har, Harun? Tojest Harun-Beg, Harun-Aga? Ja ciebie znam, ty poczciwy człowiek, znakomity człowiek, wszyscy o tém wiedzą., a ja nie, twój niewolnik.. obcas twojego pantofla. Czémże mam być więcej?

— To złapać mię nie chcesz?

— Ja, złapać? Nikogo ja nie chcę złapać! Niechaj in- ni łapią, mnie nic do tego.

— A cóż Naib powie?

— Wielki mi człowiek ten Naib. Pluję mu w brodę, niechaj sobie sam jeździ i łapie.

— Czy tak? Dobry z ciebie essaul! Zobaczymy co powie na to mój starszy brat, Naib szamacheński, jak się dowie że ty mu plujesz w brodę.

— Twój starszy, wasz starszy brat, Ago? tojest ten, ten zacny i wielki człowiek? prawda jakie uderzające podobieństwo rysów....

Mahmudek tą razą nie wiedział już co myśleć o swoim towarzyszu drogi, bo że i rozbójnik i brat Naiba mogli mieć jednakowe imiona, nie nad to naturalniejszego. Radby się pozbył dwuznacznej kompanii, ale nie było sposobu; ile razy zatrzymywał się albo zwalniał kroku żeby pozostać w tyle, tamten robił to samo, a wyprzedzić tém bardziej nie mógł. Tak ujechali znaczny kawał, nie spotykając nikogo.

Harun obejrzał się za siebie; wstrzymał trochę konia i rzekł:

— Ciekawym, cobyto byli za ludzie?

— A gdzie?

— Oto za nami. Raz, dwa, trzy.

— Za nami? A gdzie?

— Cztery, pięć, sześć.... oj, coś wiele, a wszyscy na koniach, siedm, ośm.

— Za nami? gdzie? ja nic nie widzę, tam nic niéma a może co i jest, powiedz prawdę, ku nam jadą, czy nie? aj, aj, doprawdy coś tam szarzeje.

— Wprost na nas pędzą. Czy to nie oni tylko? Bądź co bądź lepiej zemknąć póki jeszcze niepóźno. Żegnam.

Zagadkowy koleżka poprawił się na siodle i pojechał klusem, a Mahmudek, który przed chwilą szukał sposobu wydobycia się z jego towarzystwa, terazby ze skóry wyskoczył żeby zdążyć za nim. Jął się miotać na siodle, tłukł osła rękami i nogami, szarpał za cugle, ale widząc że przedział między nim i Harunem coraz się powiększa, zeskoczył i pobiegł piechotą.

— Ratujcie! ratuj Harun-Begu, duszo moja, stój, zaczekaj! coś ci powiem, coś ważnego mam powiedzieć.

— Masz teraz pole do popisu, odezwał się tamten, pokaż tym psom, kto ty taki. Wszakże ci powiedział Naib...

— Ej gdzie tam powiedział, nie powiedział! Harun-Begu, światłości oczu moich, zatrzymaj się, coś ci powiem, oj zginąłem! Patrz, nie mam się czém bronić, kinżała nawet nie mam, zobacz, pochwa próżna!

— No, no, siadaj za mną z tyłu, pędzój, pędzój!

Mahmudek z niewypowiedzianą lekkością wskoczył za Haruna, koń przestraszony tym nowym ciężarem wierzgnął parę razy, ale ręce i nogi Mahmudkowe tak dobrze pracowały nad jego bokami, że się wnet pomknął jak kula. Siedzący na przodzie Harun czyto z wielkiego pośpiechu, czy dlatego żeby pogoń oszukać, skierował w bok z ubitej drogi. Potykali się co moment na skibach, przesadzali burzany. Minęli duże drzewo, dalej o kilkaset kroków paś się wielbłąd, a obok leżały dwa wory pełne czegoś, postronki i burka. Harun zatrzymał konia.

— Wiész co, my tak nie ucieczem przed nimi, pędzój czy później dogonią. Schowaj się ty w jeden z tych worków.

— Nie, nie, uciekajmy, wory małe, nie wlezę.

— Mówię ci że tak nie ucieczem, koń nie wytrzyma. Czy ty chcesz żebym i ja z twojej łaski dostał się im w łapy? Aha, słyszysz? już niedaleko. No, żwawo z konia i w wór.

Wory napełnione były mąką. Uczynny Harun wybrał większy, wypróżnił, upakował weń syna Abdułły skurzonego we troje, z wierzchu włożył burkę i dla lepszego ukrycia mąką przysypał. Niebawem i pogoń nadbiegła. Mahmudek usłyszał nad sobą rozmowę, zatamował oddech, ale nic usłyszeć nie mógł, bo wiatr unosił wyrazy. Wkrótce uczuł że go ruszają z miejsca, podnoszą, położyli na wielbłąda, krew mu głowę zalała.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Oznaczenie długości geograficznej Warszawy
względem głównego obserwatorium Pulkowa,
wykonane w r. 1845 za pomocą chronometrów
pod kierunkiem O. Struwego.

PRZEZ

Jana Baranowskiego.

Różnica długości geograficznej dwóch miejsc, jest łuk równika zawarty między południkami przez te miejsca przechodzącymi, albo jestto różnica w rachubie czasu, w chwili tego samego zjawiska uważanego w dwóch miejscach, jakim jest np. zaćmienie słońca, lub przejście téj samej gwiazdy przez południk. Jeżeli miejsce położone jest o 15 stopni na wschód względem drugiego, gwiazda przechodzi przez jego południk o 1 godzinę wcześniej; w miejscu o 30 stopni oddaloném na wschód, widzimy górowanie téjże gwiazdy o 2 godziny wcześniej i t. d. Ztąd długość geograficzną można dwojako wyrażać: w łuku, albo w czasie, na mocy tego związku, iż jednej godzinie odpowiada 15 stopni łuku; jednej minucie 15 minut łuku; jednej sekundzie czasu 15 sekund łuku.

Długość geograficzna zwykle odnosi się do południka pierwszego, przez wyspę Ferro przechodzącego, albo do południka przez obserwatorium Paryżkie prowadzonego, który jest o 20 stopni na wschód względem Ferro położony; można ją także odnosić do południka obserwatorium Greenwich, pulkowa i t. d.

Wyznaczenie różnicy długości geograficznej, polega na tém: ażeby czas, jaki w pewnym miejscu zegar astronomiczny dobrze idący wskazuje, przenieść na drugie miejsce, którego położenie względem pierwszego poznać chcemy. Wyobraźmy sobie, że mamy tak dokładny zegar przenośny, że ten w ciągu podróży żadnej zmiany nie ulega; zapiszmy czas, jaki ten zegar wskazuje w chwili przejścia gwiazdy przez południk pierwszego miejsca; przenieśmy zegar ten na drugie miejsce, i uważajmy górowanie téjże gwiazdy co wprzód; różnica czasu w chwilach przejścia gwiazdy na tymże zegarze, pokaże wprost różnicę długości geograficznej dwóch miejsc. Zamiast liczenia czasu na zegarze przenośnym w chwili górowania gwiazdy, zwykle czas ten liczy się na zegarze astronomicznym wahadłowym, stale przy narzędziu zostającym, a z tego dopiero przenosi się czas do chronometru; tak samo postępuje się i w drugim miejscu.

Sposób oznaczania długości za pomocą chronometrów, powszechnie na morzu używany, i dawniej na lądzie był znanym; ale wypadki niemi otrzymywane, nie były tak dokładne jak tego wymagano, z przyczyny iż wprzód nie miano tak dokładnych jak dziś chronometrów i nie zachowano wszystkich warunków i ostrożności potrzebnych. Znaczne udoskonalenie zegarów morskich pospolicie chronometrami zwanych, stało się dziś wielce użytecznym dla geografii i żeglugi, przy oznaczeniu wzglę-

dnem położen miejsc na powierzchni ziemi. Pomiedzy znakomitymi artystami dzis̄ żyjącymi, pierwsze miejsce zajmuje zegarmistrz angielski *Dent*; zegary jego, a osobliwie chronometra, dla dokladności w wykonaniu i nizkiej ceny, pierwszeństwo przed innymi trzymają. Jednostajność ich biegu jest tak dokladna, iż niektóre w ciągu kilkomiesięcznej podróży lądowej, na jedną sekundę biegu dziennie nie zmieniły, i taki bieg prawie zachowały, jak regulatory astronomiczne, stale w obserwatoryach używane.

Główne obserwatoryum pulkowskie pod Petersburgiem, uposażone w kosztowne środki naukowe, posiada znaczną liczbę chronometrów różnych artystów, osobliwie Denta; jedne z tych są własnością obserwatoryum, a drugie złożone przez artystów do rozpoznania i wyregulowania ich biegu. P. Struwe dyrektor obserwatoryum, przekonawszy się z podróży lądowej odprawionej z 12 chronometrami przez syna jego Ottona do południowej Rosyi w r. 1842 dla uważania zaćmienia całkowitego słońca, i z dwóch podróży morskich, odbytych w roku 1843 i 44 do Altony i Greenwich, o dokladności wypadków na różnicę długości otrzymanych chronometrami, przedsięwziął w r. 1845 połączyć obserwatoryum pulkowskie z dwoma punktami, tojest: Moskwą i Warszawą, odległemi na 674 wiorst (96 mil geogr.) i 1081 wiorst (154 mil geogr.), przez czterokrotne przewiezienie tam i napowrót chronometrów z Pulkowa do tych dwóch punktów.

W tym celu w miesiącu maju i lipcu 1845 r. pod kierunkiem Ottona Struwego (syna), odbyto do Moskwy cztery podróże tam i napowrót z 40 chronometrami, częścią w oddzielnym do tego powozie extrapocztą, czę-

ścią pocztą wozową. Pośrednim punktem, między Pulkowem a Moskwą było miasto Waldai. Oznaczeniem astronomiczném czasu w Pulkowie, zajął się sam Struwe, dyrektor obserwatoryum; w mieście Waldai oznaczał czas Liapunów, adjunkt obserwatoryum z Kazania; w Moskwie czynił postrzeżenia i porównywał chronometra z zegarem Döllen, adjunkt obserwatoryum Pulkowskiego. Z czterech podróży odbytych, otrzymano wypadki bardzo zgodne dla każdego chronometru. Ostateczny wypadek, na różnicę południków między Pulkowem a Moskwą znaleziono:

28 minut 58,2 sekund w czasie na wschód względem Pulkowa, czyli $7^{\circ} 14' 33''$ w łuku.

Ponieważ Pulkow względem Paryża leży na wschód o $1^{\text{g}} 51^{\text{m}} 56^{\text{s}},97$ w czasie, zatem długość geograficzna Moskwy względem Paryża wynosi:

$2^{\text{g}} 20^{\text{m}} 55,^{\text{s}}17$ w czasie

albo $35^{\circ} 13' 47,^{\text{''}}55$ w łuku;

względem zaś południka Ferro $55^{\circ} 13' 47,^{\text{''}}55$.

W miesiącu maju 1845 r. wezwany został do Pulkowa, adjunkt tutejszego obserwatoryum, dla ułożenia się względem planu, wykonywać się mających obserwacyj odpowiednich w Warszawie; jako téż dla oznaczenia różnicy osobistój co do wzroku między nim a p. Struwem, dyrektorem obserwatoryum pulkowskiego. W połowie lipca t. r. Otton Struwe mający sobie oddany kierunek wyprawy naukowej wraz z Baranowskim, przybyli do Warszawy, gdzie ten ostatni zajął się obserwacjami potrzebnymi do oznaczenia czasu przed przybyciem chronometrów.

W Pulkowie tymczasem czyniono przygotowania do podróży; jakoż d. 25 lipca, po porównaniu chronometrów z zegarem normalnym Kessla, takowe wysłano w drogę z oficerem z głównego sztabu i konduktorem.

Pierwsze połączenie nastąpiło d. 31 lipca, w którymto dniu, przywieziono do Warszawy 40 chronometrów, i te z zegarami obserwatorium porównano (*); następnego dnia 1 sierpnia, po powtórnym ich porównaniu z temiż zegarami, o godzinie 2, minucie 12 po północy, Otton Struwe, wyjechał z niemi napowrót do Pulkowa. Chronometra w Warszawie zostawały w spokojności, to jest wolne od ruchu powozowego przez 23 godzin i 12 minut.

Dnia 5 sierpnia t. r. powrócił O. Struwe z chronometrami do Pulkowa i tam je zaraz porównał z zegarem normalnym; w dniu 7 t. m. wyprawiono je znowu w drogę.

Powtórne przybycie chronometrów do Warszawy, nastąpiło d. 12 sierpnia o godzinie 6, m. 30 wieczór, gdzie je porównano z zegarami wahadłowemi, a w dniu 13 t. m. o godz. 11, min. 10 wieczór, wyprawiono je napowrót. Chronometra tą razą bawiły tutaj przez 28 godzin i 40 minut.

Dnia 18 sierpnia, powrócono z niemi do Pulkowa, a następnego dnia, po porównaniu ich z pendulem normalnym, wysłano je w drogę.

Trzecie połączenie z Warszawą, miało miejsce d. 25 sierpnia, w którymto dniu o godz. 3 z rana, chronometra tu przywieziono; dnia następnego o godz. 11, min. 10 z rana, po porównaniu ich z zegarami, do Pulko-

(*) Porównywanie chronometrów z zegarami wykonywał p. Prażmowski.

wa z niemi się udano. Tą razą chronometra zostawały w Warszawie przez 32 godzin i 10 minut.

Powrót do Pulkowa nastąpił d. 30 sierpnia, a d. 1 września, wyprawiono je w drogę.

Czwarta i ostatnia podróż w tym roku do Warszawy, miała miejsce d. 7 września, a d. 8 t. m. po ostatniem porównaniu chronometrów z zegarami tutejszego obserwatoryum, wyjechano z niemi do Pulkowa. Tą razą chronometra bawiły najdłużej w Warszawie, bo 33 godzin i 50 minut.

Pośrednim punktem między Pulkowem a Warszawą, było miasto Wiłkomierz w Litwie, w gubernii wileńskiej, gdzie oznaczeniem czasu i porównaniem chronometrów zatrudniał się Alexandrów, oficer z głównego sztabu, zajmujący się podówczas pomiarami trygonometrycznemi na Litwie.

Połączenia powyższe, miały jeszcze i ten ważny użytek, iż przez ściśle oznaczenie położenia Warszawy względem Pulkowa, i punktu pośredniego jakim jest Wiłkomierz, otrzymano środek, dla sprawdzenia pomiarów trygonometrycznych, poprzednio w Litwie, a teraz w królestwie polskiem pod kierunkiem JW. generała Tenner prowadzonych (*).

Chronometra nie były przewożone w szkatułkach w jakich je artysta z zakładu swojego wydaje, ale każdy chronometr był wyjęty z osady i pierścienia, i umieszczony w wydrążeniu okrągłym, wysłanem sukniem, a potem wszystkie rzędem umieszczono w dużych skrzynkach, a te następnie w powozie starannie na poduszkach ma-

(*) Koszta na podróże chronometryczne do Moskwy i Warszawy, ponosił główny sztab w Petersburgu.

teracowych ułożono; ułożenie takie, do dalekiej podróży, bardzo korzystnym się okazało, zabezpieczając chronometra od nagłych i szkodliwych wstrząśnień, mogących zmieniać jednostajność ich biegu.

W ciągu każdej podróży, towarzyszył chronometrom jeden z oficerów głównego sztabu, który codziennie o pewnym czasie nakręcał chronometra i te między sobą porównywał. Nadto porównywanym był jeden chronometr bez kompensacyi, którego bieg zmieniał się z odmianną ciepła, i był skazówką do ocenienia wpływu temperatury na bieg każdego chronometru. Porównania te podczas podróży dlatego wykonywano, ażeby poznać, czy który z chronometrów przez nagłe wstrząśnienie nie doznał zmiany w swym biegu.

Najważniejszą czynnością przy powyższych połączeniach, było oznaczenie ściśle czasu bezwzględnego, to jest do południka miejsca odniesionego za pomocą obserwacji astronomicznych; dlatego też w stacjach tak końcowych jako i pośrednich, to jest w Pulkowie, Warszawie i Wilkomierzu, szczególną na to zwracano uwagę. Oznaczenie czasu uskutecziano przez uważanie przejścia gwiazd stałych przez południk miejsca, za pomocą lunet południkowych w dwóch odmiennych położeniach; czas liczony był na zegarze astronomicznym do biegu gwiazd urządzonym, a za pomocą tego, inne zegary stałe porównywano. Ścisłość w oznaczeniu czasu miejscowego posuniętą była do jednej setnej sekundy. Tak oznaczony czas, czyli stan zegaru normalnego, przenoszonym był do chronometrów, tak przed wysłaniem ich w podróż, jako i po ich powrocie.

Cztery podróże z Pulkowa do Warszawy odprawione, dały dla każdego chronometru siedm wypadków czyli

oznaczeń, na różnicę długości geograficznój: odległość między punktami połączeń wynosiła 154 mil geogr. i ta ośm razy z chronometrami przebieżoną została, a pomimo nierówności drogi i wstrząśnień powozu, osobliwie w czasie przepraw przez rzeki i przy zjeździe z gór, niektóre chronometra zadziwiającą jednostajność biegu zachowały, gdyż w całej tej podróży blisko dwa miesiące trwającój, na jedną sekundę dziennie biegu nie zmieniły, i bardzo zgodne wypadki na różnicę długości dały, jak to następujące dwa chronometra pokazują.

Różnica długości geograficznój między Pulkowem a Warszawą wyrażona w czasie, otrzymana:

Chronometrem Denta N. 1941		Dent N. 1630	
37 ^m	11. ^s 27	37 ^m	11. ^s 52
—	11. 14	—	11. 52
—	11. 81	—	10. 62
—	11. 90	—	11. 22
—	11. 11	—	11. 93
—	11. 12	—	11. 86
—	11. 44	—	11. 64
<hr/>		<hr/>	
średnia 37 ^m	11. ^s 40	37 ^m	11. ^s 47

dwa te chronometra dają wypadki na 7 setnych jednej sekundy, albo na $\frac{1}{14}$ sekundy zgodne między sobą (*).

Podróże lądowe odprawione z chronometrami do Moskwy i Warszawy w przeciągu czterech miesięcy, porównane z podróżami morskimi w r. 1843 i 44 z temiż chronometrami do Altony i Greenwich odbytemi. poka-

(*) Piérwszy z tych chronometrów nabytym został przez Wielkiego księcia Konstantego i użytym był do podróży morskiej w r. 1845, odbytej przez niego wraz z wiceadmirałem Lütke. Drugi chronometr oznaczony numerem 1630, nabyto dla tutejszego obserwatoryum astronomicznego za 2000 złp.

zały w biegu chronometrów ten osobliwy i napozór sprzeczny wypadek, że chronometra przewożone lądem po drodze zwyczajnej daleko regularniej idą i zgodniejsze wypadki dają, niżli też chronometra przewożone okrętem na morzu, a to dla téj przyczyny, że ruchy i wstrząśnienia, jakim chronometr na lądzie w powozie podlega, są bardziej jednostajne i w kierunku z góry na dół się odbywają, przez co tylko czopy i osi kółek chronometru pionowo bywają wzruszone, a na kółko oscyllacyjne nie działają; gdy przeciwnie w podróży morskich, gdzie okręt kołysaniom bocznym i nierównym podlega, wstrząśnienia na kółko kołyszące chronometru są szkodliwsze i zmiany w jego biegu pociągają większe. Zgodność wypadków na różnicę długości między Pulkowem a Warszawą większa, aniżeli w podróży morskiej między Pulkowem a Altoną i Greenwich, temiz samemi chronometrami otrzymana, potwierdza ten wniosek. Nadto z tychże podróży poznano, że zgodność wypadków dla tego samego chronometru, zależy od dokładności kompensacyi kółka wahadłowego; najlepsze wypadki dają te chronometra, w których kompensacya zupełnie jest zachowana, jak to potwierdzają dwa powyżej przytoczone chronometra Denta. Zrobimy tu jeszcze uwagę, że pomiędzy chronometrami do podróży użytymi, a które do nakręcania różnego przedziału czasu potrzebowały, te które były średniego wymiaru i co dzień się nakręcały, jednostajniejszy bieg okazały, niż chronometra wielkie co ośm dni nakręcane.

W końcu przytoczymy tu wypadki średnie, na różnicę południków między Pulkowem a Warszawą z siedmiu oznaczeń dla każdego chronometru w ciągu czterech podróży otrzymane.

Różnica długości geograficznej między Pulkowem
a Warszawą wyrażona w czasie.

Chronometr:

1.	Kessla N.	1276	daje	37 ^m	10. ^s 17
2.	— —	1290	—	—	12.08
3.	Hautha N.	18	—	—	11.53
4.	— —	26	—	—	11.86
5.	— —	30	—	—	11.82
6.	— —	31	—	—	11.62
7.	— —	32	—	—	10.90
8.	— —	52	—	—	11.00
9.	Denta N.	1613	—	—	12.27
10.	— —	1630	—	—	11.48
11.	— —	1635	—	—	10.07
12.	— —	1636	—	—	11.88
13.	— —	1637	—	—	10.52
14.	— —	1687	—	—	10.60
15.	— —	1730	—	—	10.40
16.	— —	1739	—	—	11.43
17.	— —	1747	—	—	11.70
18.	— —	1774	—	—	11.40
19.	— —	1776	—	—	12.70
20.	— —	1787	—	—	11.50
21.	— —	1789	—	—	11.99
22.	— —	1798	—	—	11.52
23.	— —	1799	—	—	11.78
24.	— —	1807	—	—	12.07
25.	— —	1808	—	—	11.25
26.	— —	1821	—	—	11.03
27.	— —	1827	—	—	10.88
28.	— —	1901	—	—	11.47
29.	— —	1910	—	—	10.21

30.	Denta N. 1913	daje	37 ^m 11. ^s 65
31.	— — 1941	—	11.40
32.	— — 1978	—	10.76
33.	— — 1979	—	13.50
34.	— — 1983	—	10.17
35.	— — 1985	—	11.78
36.	— — 1986	—	10.37

Wypadek średni 37^m 11.^s32

Obserwatorium zatem warszawskie (*) leży na zachód względem obserwatorium Pulkowskiego o 37 minut 11.32 sekund w czasie albo o 9° 17' 49."8 w łuku.

Ponieważ Pulkow względem Paryża leży na wschód o 1^g 51^m 56,^s97 w czasie, zatem długość geograficzna obserwatorium warszawskiego względem Paryża jest:

1^g 14^m 45.^s65 na wschód w czasie,
albo 18° 41' 24,"75 w łuku;

względem zaś południka Ferro 38° 41' 24."75.

Wypadek otrzymany na długość geograficzną Warszawy za pomocą chronometrów, jest mniejszy o 1,5 sekund w czasie, od długości znalezionej poprzednio z zakrycia gwiazd stałych przez księżyc (**).

Druga wyprawa chronometryczna do Warszawy, wykonaną była w r. 1846 dla połączenia Pulkowa z niektórymi punktami południowej Rosyi. W tym celu Otton Struwe wraz z oficerem z głównego sztabu, wzięwszy z sobą 41 najlepszych chronometrów, w dniu 24

(*) Środek lunety południkowej.

(**) *Connaissance des Temps pour l'an 1846. Additions, pag. 30 — 31.*

czerwca t. r. rozpoczął podróż z Pulkowa przez Moskwę, Tułę, Orel, Kursk, Charków, Pułtawę, Krzemeńczuk, Elisawetgród, Nikolajew, Odesę, Kijów, Żytomierz, Dubno, Brześć Litewski do Warszawy. Głównymi punktami, w których czas oznaczano i chronometra z zegarami porównywano, były: Pulkow, Moskwa, Charków, Nikolajew, Kijów, Żytomierz i Warszawa. Dnia 23 lipca t. r. o godzinie 12 w nocy przybył O. Struwe do Warszawy z chronometrami i takowe porównał z zegarami astronomicznymi, do czego poprzednio oznaczony był czas przez adjunkta obserwatorium. W dniu 29 t. m. po powtórném porównaniu chronometrów z zegarami o godzinie 10 z rana, wyjechał Struwe napowrót do Moskwy, zatrzymując się w tych miejscach co i wprzód, dla porównania chronometrów z zegarami. Podróż z Moskwy do Warszawy, łącząca między sobą punkta pośrednie południowej Rosyi, dała jedno oznaczenie na różnicę długości geograficznej dla każdego miejsca; podróż powrotna z Warszawy do Moskwy, dała drugie oznaczenie dla tychże samych miejsc i służyła za sprawdzenie pierwszych wypadków.



DYMITR I MARYA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM.

PRZEZ

J. Horzeniowskiego.

Napisany r. 1828.

OSOBY.

WOJEWODA.

DYMITR, syn wojewody.

SZLACHCIC.

MARYA, córka szlachcica.

ANNA, jój krewna.

CYGANKA.

STEFAN, faworyt wojewody.

DWORZANIN, przyjaciel Stefana.

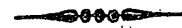
ŻOŁNIÉRZ.

ŻOŁNIERZE wojewody.

(Rzecz dzieje się w dobrach wojewody).

DYMITR I MARYA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH.



AKT I.

(Teatr wyobraża otwarte miejsce pod lasem; widać zamek wojewody).

SCENA I.

WOJEWODA (wychodzi), STEFAN (za nim).

Stefan (śpiesznie).

Prawdaż to panie?

Wojewoda.

Koń mój zbił się z drogi,
Nie słuchał głosu, wędzidła i ręki.
Widok cyganki dał mu tyle trwogi,
Że padł podemną.

Stefan.

Lecz bez szwanku? Dzięki
Niebu! Mój blisko, racz go dosiąść panie.

Wojewoda.

Powóz przybywa. Dlaczego bezkarnie
Przy zamku moim włóczę się cyganie?
Czemu ich dawny wyrok nie ogarnie?
Wszak od lat tylu ścigać ich kazałem.

Stefan.

Twój rozkaz zawsze wiernie dopełniano;
Otwarte ucho i słuch baczny miałem,
Wioski, gościńce, lasy przezierano,
Lecz ślad ich zginął.

Wojewoda.

Tylko ja znajduję
 Na drodze swojej tę cyganke starą.
 Dziś, śród zarośli gdy się przesunęła,
 Zdała się cieniem nie cielesną marą,
 Tak szybko przeszła, tak cicho zginęła;
 Jój groźna postać, zawsze mię przenika.
 Wiele mi razy zejść się z nią wydarzy,
 Niespodziewana klęska mię dotyka,
 I wróżby gorszej czytam na jój twarzy.
 Dawne to widmo! — czasem mi się marzy,
 Żem ją znał kiedyś. W głąb się duszy wdziera,
 Gdy obumarłą zrenicą poziéra.

Stefan.

Dziwne zdarzenie!

Wojewoda.

Każ ją szukać wszędzie.

Stefan.

Panie! jeżeli w ziemię się nie skryje,
 Jeżeli w jój żyłach krew nieskrzepła bije,
 Więcej ci drogi zachodzić nie będzie.

Wojewoda.

Gdzież to jest syn mój? nadto często gości
 W swoim ustroniu, jakby zapominał
 Że ja dni całe pędze w samotności.

Stefan.

On nie samotny.

Wojewoda.

Widzę uśmiech złości!
 Może jest winnym, lecz przypomnij sobie!
 Że on mój dziedzic, że mój włos bieleje,
 Że on zamieni w skutek twe nadzieje,
 Gdy stary pan twój twardo zaśnie w grobie.

Poślij wszelako — niech nie zapomina
 Że cieszyć ojca, obowiązek syna. (*Wychodzi, Stefan za nim*).

SCENA II.

(Ogród. Zdale z lewój widać domek Maryi).

MARYA, DYMITR.

(*Marya przykleklszy wśród kwiatów zrywa je. Dymitr oparty o drzewo patrzy na nią*).

Marya (*powstając, opuszcza kwiaty*).

Jużem znudzona kwiatów tych widokiem.
 Dawniej inaczej, żywiej mię bawiły.

Dymitr.

Mnie dziś to miejsce weselszém się zdaje;
 Wyższego nieba świecą mu promienie,
 Żywsza zieloność osłoniła gaje,
 I miłsze uszu mych dochodzi pienie.

Marya.

I głębsze także z piersi mych westchnienie.

Dymitr.

Maryo! ty moich nie dzielisz radości.
 Czy ślub oziębił duszy twój płomień,
 Czy już tak prędko zwiędnął kwiat miłości?

Marya.

Czy już tak prędko nieporozumienie?
 Wstydz się mój mężu! związek nasz tak młody.

Dymitr.

Nigdy on, nigdy nie zrodzi niezgody;
 Ale nie lubię posępności cienia,
 Który oblewa twoje piękne czoło.

Marya.

Twoja to wina, że mi niewesoło.

Czemużeś pojął żonę bez imienia?
Czemuś sam możny....

Dymitr.

Maryo! tyś bogata.
Chociaż pod niską wychowana strzechą,
Piękności droga odziewa cię szata;
Ona cię czyni serc i ocz pociechą.
O! złoty promień twój anielskiej duszy,
I ojca mego rozbroi i wzruszy.

Marya.

Słodki pochlebco! pragniesz mię ukoić
Cackiem próżności, jakbym go nie znała?
Gdybyś mógł ojca mego uspokoić,
Możebym jeszcze więcej cię kochała.
Chociaż to trudno—zabrakłoby siły.

Dymitr.

O! przybądź prędko, osiwiiałe mury,
Pustynią ojca mego uweselić.
Gmach ten jak jesień, tęskny i ponury,
Tam nic ustawnéj nie rozbija chmury.

Marya.

Nie mów mi o nim. Na samo wspomnienie
Twojego zamku, radość mię odbiega!
Ściska się serce, dziwne czuję drżenie,
Gdy myślę, jak tam echo się rozlega
Po głuchych salach. Dla mnie to więzienie.
Pod strzechą moją lepiej mi, weselój,
Tu pełniój żyje, tu cię kocham śmielój.
Jak tu szczęśliwa byłam, o mój drogi!
Pókim imienia twego nie nosiła.
Miłości naszéj był to ranek błogi.

Byleś przyjechał, byłem z tobą była,
 Świat znikał z myśli. Teraz chimura trwogi,
 Niebo mych rojeń cieniem zarzuciła;
 Teraz się lękam.

Dymitr.

Kogo? póki żyje,
 Niechaj bezpiecznie serce twoje bije,
 Bije dla szczęścia, dla przyszłych nadziei;
 Smutek i radość idą po kolei,
 Dziś lekki obłok serce nasze kryje,
 Jutro je może odsłonić pogoda.

Marya.

O! nie, Dymitrze! Możny wojewoda
 Jest twoim ojcem; a mój ojciec stary,
 Za granicami wioski tej nieznanym.
 Nie maż on słusznój się obawiać kary,
 Że był niewdzięcznym, że ukołysany
 Twoją namową i twemi prośbami,
 Oddał ci córkę? O! nas miłość mami.
 On lepiej widzi, on mój los poznaje;
 I choć mi często dziwnym się wydaje,
 Lecz on mi klęskę zapowiada — łzami.

Dymitr.

Jeżeli kochać jest tak wielka wina,
 Że w sercu ojca mego gniew roznieci,
 Ta myśl, że we mnie ma jednego syna,
 Rozbroi rękę. Z słowami uleci
 Najpiérwszój burzy groźne uniesienie,
 A czas występny zjedna przebaczenie.
 Znam mego ojca. On nad wszystko w świecie
 Trwałość i wziętość rodu swego ceni,

Nie zniszczy drzewa swego w bujnym kwiecie,
 I sam nadziei swoich nie wypleni.
 Nie trwoż się próżno; przyjdzie nasza pora,
 I my cichego dożyjem wieczora.

Marya.

Patrzaj—mój ojciec—smutek go obciąża.
 Ach! ile razy słodki sen mię złudzi,
 Jego mię widok wstrząśnie i rozbudzi.

SCENA III.

MARYA, OJCIEC i DYMITR.

Dymitr.

Dobry dzień ojcie.

Ojciec.

Synu wojewody!

Dymitr.

Jestem i twoim.

Ojciec.

Nie z mojej to woli.

Błogosławieństwo przysposabia dziecię,
 Jam was nie żegnał.

Dymitr.

Bóg nas błogosławił,

Ty ojcie szczęściu memu dałeś życie.

Ojciec.

A tyś mię synu mojego pozbawił.

Dymitr.

Wstydź się téj myśli!

Ojciec.

Ja się tego wstydzę,
 Żem ci otworem swoje drzwi zostawił;

Że teraz w domu rozgoszczone widzę
 Ustawne troski, bojaźń, niepokoje,
 Co zewsząd łoże już obsiadły moje.

Dymitr.

Czegoż się lękasz? jest już moją żoną.

Ojciec.

Maszże ty ojca swego zezwolenie?
 Cóż na to powie gdy ją przeszczepioną
 Ujrzy pod drzew swych starożytne cienie?
 Ten lichy kwiatek zdeptany nogami,
 Który staranie moje wychowało,
 Odeśle do mnie, bym go oblał łzami,
 By na ten widok serce me pękało
 Że mu niewdzięcznym się okazać śmiało.

Dymitr.

Miej litość starcze, spojrzysz jak pobladła.

Ojciec.

To suknia strachu, niech się nią okrywa,
 Ze łzami owoc grzechu się spożywa;
 Z jej oczów także zasłona opadła,
 I dla méj głowy kara już dojrzéwa.
 Przy drzwiach twojego ojca posiwiałem,
 On mnie do siebie przykuł łask ogniwem,
 Z jego rąk dach ten i tę rolę miałem,
 Lichy swój żywot, karmię jego żniwem,
 Teraz mu syna w hańbę uplątałem!
 Niechże ramieniem mnie dosięga mściwém,
 Przed ciosem jego nie szukam obrony;
 A ty sam czuwaj nad całością żony *(odchodzi)*.

SCENA IV.

MARYA i DYMITR.

Marya.

Słyszałeś?

Dymitr.

Maryo! nie dziw się staremu,

Bojaźń jest zwykłą starości chorobą;

Na mnie polegaj, ufaj sercu memu,

Żadna mię siła nie rozdzieli z tobą.

SCENA V.

CYGANKA, MARYA i DYMITR.

Marya.

Któż się tu zbliża?

Cyganka.

Czy mię nie poznajesz?

Marya.

Nigdyś podobno nie była mi znaną.

Dymitr.

Kto jesteś? że tak dziwną się wydajesz?

Jakżeś tu weszła że cię nie dojrzano?

Cyganka.

Dla was gościńce i obszerne bramy,

Bo zwykle z wami wasza wielkość idzie;

Cyganki żadne nie wstrzymują tamy,

My swoje drogi, swoje wnijścia mamy.

Dymitr.

Po cóżeś przyszła?

Cyganka.

Wasze serca w trwodze,

Wy ślepém okiem jutra nie widzicie,
 A ja znam przyszłość; odkryć ją przychodzę
 I powiem wiele jeśli pozwolicie,
 Jeśli mi dobrém słowem zapłacicie.

Marya.

O! jak mię ona trwoży i przejmuje!

Cyganka.

Cóż tak dziwnego oko tve znajduje
 W licu cyganki, że poglądasz z drzeniem?
 Nie nowém jestem dla ciebie zjawieniem;
 Znam cię oddawna—jam cię wtenczas znała,
 Gdyś jeszcze matki kochać nie umiała.
 Dziś insza miłość serce tve zajęła,
 Inném cię odtąd przezwaano imieniem;
 Czy ci i pamięć z dawniejszém zginęła?

Dymitr (*do Maryi*).

Znałaś ją kiedy?

Marya.

Nigdy.

Cyganka.

Nie pamięta.

Wstyd mi niewdzięcznej. Jeszcze w tym ogrodzie,
 Do brzegu rzeki wierzba przyrośnięta
 Pniem poczerniałym chyli się ku wodzie;
 Jeszcze się w falach jój gałązki myją,
 Jeszcze jój listki szybką wodę piją.

Marya.

Ty znasz to miejsce?

Cyganka.

Znam miejsc wiele, wiele;
 Niedawno pod tym cieniem spoczywałam,
 Co się na miejscu twego grobu ściele.

Marya.

Cyganko! teraz sobie przypomniałam,
Wznowiłaś pamięć dzieciństwa przygody,
Tyż mnie tonącą wydobyła z wody?

Cyganka.

Swywolne dziewczę! rączkami małemi
Ujęłaś gałąź pnącą się wysoko;
Już wtenczas chciałaś odlecieć od ziemi,
I jak perelka wpadłaś tak głęboko,
Że cię wnet żadne nie dojrzało oko;
Woda nad tobą zamknęła się zdradnie,
Wszyscy przytomni przerażeni stali,
Ja poskoczyłam, ja cię wzięłam na dnie,
I z bladém licem wydobyłam z fali;
Rodzice twoi już cię oplakali.
Teraz się pewnie cieszą?

Marya.

Nieszczęśliwa!
Dymitrze, każ jój odejść.

Dymitr.

Precz cyganko!
O dawnych czasach jużes dość mówiła,
Weź to i obacz czy ci dobrze płacę.
Chcę ci być wdzięcznym, cenię twoję pracę,
Tyś mi największe dobro ocaliła.

Cyganka.

Ślepym jest człowiek. Dobrem swém nazywa
Napój zdradziecki co go słodko truje;
Z chwili rozkoszy, niedola wypływa,
Co gmach nadziei tajnie podkopuje;
Ścieszka do zguby gładka i zdradliwa,
Wonnym ją kwiatem żądza usypuje;

Mądry kto zdradę i ponęty minie,
Kto widzi jutro w dzisiejszej godzinie.

Dymitr.

Zkąd się ty wzięłaś? Te rozumne słowa,
Lepsze niż stan twój, starsze niż tve lata.

Cyganka.

Idę zdaleka, idę z końca świata.

Dymitr.

Któż jesteś? Przebóg!

Cyganka.

Daj mi twoje dłonie.

Pytania twoje płocze i niebaczne;
Poznasz kto jestem gdyć przyszłość odsłonię,
Gdy w sercu twojem myśl twą czytać zacnę.
Drzysz moje dziecię? Stoisz tak zdaleka,
I tobie także powiem co cię czeka.

Dymitr.

Jużes ją dawném strwożyła wspomnieniem,
Nie chce twój wróżby.

Cyganka.

Niech mi rączkę poda
A skroń jój grubszym się otoczy cieniem,
Bo jeszcze jedna czeka ją przygoda.

Marya (prędko podaje jój rękę).

Masz, powiedz.

Dymitr.

Na to pozwolić nie mogę.
Z własnych urojeń przyszłość ci usnuje,
Ciemnemi słowy twą powiększy trwogę,
I kwiat nadziei zmrozi i zepsuje.
Oddal się — znam ja waszych wróżb widziadła.

Cyganka.

Drzysz, bym zamiarów twoich nie odgadła.

Dymitr.

Ja drzę o ciebie cyganko zuchwała,
Byś na dnie Bugu wróżb swych nie sprawdzała.

Cyganka.

Szybki pęd Bugu, woda w nim głęboka,
Dna jego twoja nie dojrzy żrenica;
Księżyc w nim kąpie srebro swego lica,
I gwiazd iskierki patrzą weń zwysoka.
Lecz ja przechodzę fale nieprzebyte,
Jak ty na brzegu piaski sfałdowane;
A jak twe chęci tajne i ukryte,
Równie dno Bugu widne mi i znane.
Daj mi swą rękę.

Dymitr.

Cóż jest w mojem łonie,
Coby się oka twojego lękało?
Nie trwóż jój próżno. Oto moje dłonie:
Co w nich wyczytasz, to wypowiedz śmiało.

Cyganka.

Dumny młodzieńcze, ciemném patrzysz okiem.
Nie rządzisz losem i nie władasz sobą,
Jak nie kierujesz posepnym obłokiem
Który wiatr zmaca i pędzi nad tobą.
Wiészże gdzie pójdzie? Kiedy, jakie błonie,
Ta błędna chmura swoim dęszczem zmoczy?
Wiészże gdzie jutro serce twe utonie?
Do jakiej twarzy przylgną twoje oczy?
I ja mam mówić co na twojej dłoni
Widzę i czytam, na toż, by z jój skroni

Krew ustąpiła? by u nóg twych padła
Jak liść jesieni zwiędła i wybladła?

Dymitr.

Szalona! Czemuż się unoszę gniewem?
W tém wasza mądrość! Zastraszać lubicie,
Bo nasza trwoga karmi wasze życie.
Dalej, odzywaj się puszczyka śpiewem,
I jeśli umiesz, powiedz co mnie czeka.

Cyganka.

Nim słońce w ogniach zachodu utonie,
Nim gwiazdy w morzu niebios utajone,
Wypłyną blade na wschodowej stronie,
Nim księżyc srebrne wydobędzie skronie,
Ty, synu pychy! opuścisz swą żonę.

Dymitr.

I prędzój będą wróżby tve sprawdzone,
Jadę za chwilę.—Mocno się dziwuję
Mądrości twojej!

Cyganka.

Ona mnie pojmuje,
Bo dalej widzi i prędzój zgaduje
Serce kobiety, niż mężczyzny głowa.

Dymitr (do Maryi).

Tyżbyś do słów jej wiarę przywiązała?

Marya.

Ach! gdybym kiedy cię utracić miała!

Dymitr.

Łzy w twoich oczach? mówisz z takim drzeniem?
Kto cię tu przysłał? byś piekielném tchnieniem
Truła nam pokój? i jak wąż zjadliwy,
Po kwiatach naszych pierś swą przesuwiała?

Precz ztąd potworze! Prorok nieszczęśliwy,
Co się zdradziecko w mgłę przyszłości wdziera,
Gorszą od wróżb swych nagrodę odbiera.

Cyganka.

Gniów twój niebaczny. Grózb się twych nie boję,
Nie dla mnie kary i nagrody twoje.
Nad głową moją wiele lat minęło,
Dziwne na ziemi przebyłam koleje,
Lecz moje słońce już się zasunęło;
Z siły się waszój i grózb waszych śmieję.
Już się te brzozy dawno w proch zmieniły,
Których się różeczki we krwi méj pławiły.
Niekiedy tylko po zamglonej drodze
Przybywam w nocy, lub się zbliżam we dnie,
I biada temu do kogo przychodzę,
Jeśli nie wierzy w moje przepowiednie.
Ty za cygankę masz mię pospolitą,
I ja cię nie chcę wyprowadzać z błędu;
Lecz wróżbę moję w sercu méj wyrytą,
Bo się dopełni....

Dymitr.

Gdy to serce zdoła
Na jaki powab, dla jakiego względu
Zdradzić, i tego opuścić anioła,
Niechaj trucizna szybka jak to słowo
W proch je obróci.

Cyganka.

Grzeszysz płochą mową.

Dymitr.

To wola moja.

Cyganka.

Zadość jój uczynię.

Dymitr.

Teraz zejdz z oczu—opusć nasze progi.

Cyganka.

Pójdę, lecz w myśli waszej nie zaginie
Pamięć cyganki i ta chwila trwogi.
W cięższej się jeszcze obaczym godzinie.

Dymitr.

Zapomnij Maryo, o złowieszczym głosie
Téj nędznej wróżki. On jak śpiew puszczyka
Jest tylko brzmieniem. Nic on w naszym losie
Zmienić nie zdoła, choć duszę przenika.
W te ciemne słowa pozbawiane treści,
Nasza myśl własna, nasze trwogi mieści.
Nie wierz im Maryo! Umysł mój niezmienny,
Sprzecznych mi losów prózne wysilenia.
Dotrzymam burzy nie jak liść jesienny
Co z tchnieniem wiatru trzęsie się i zmienia,
Lecz jak gład, co się od fali zapienia.

Marya.

Już poszła.

Dymitr.

Maryo! gdzie twa myśl ulata?

Marya.

Za wróżką! Daruj serca mego drzeniu.
Słyszę w jéj głosie głos innego świata,
I coś wyższego widzę w jéj zjawieniu;
Kto wie co będzie? Nasze tajemnice
Już może wydał ten Stefan zdradliwy.
Zazdrość mój mężu orle ma zrenice,
I wspaniałości nie zna umysł mściwy.
Lecz bądź spokojny. Choć w niewieściém łonie,

Znajdzie się jeszcze siła i odwaga.
 Bojaźni sercu, oczom łez zabronię,
 By cię nie smucić gdy się burza wzmaga.
 Już łódka nasza dąży w pełnym biegu
 Bez wiosła, gniewna ją unosi fala;
 Daremnie płakać, próżno wołać brzegu,
 Gdy brzeg zdradziecki coraz się oddala.
 Ulżyjmy nawie, ciebie niech ocala.
 Uczyn, jak inni, co morzem pływają:
 Słyszałam nieraz, że gdy maszt złamany,
 Podarty żagiel, liny popekają,
 Choć drogi ciężar, w wodę go rzucają,
 By uszli cało, by w okrętu ściany
 Łakome łupu nie tłukły bałwany.
 Czemuż się marszczysz, posłuchaj mój luby!
 Jeśli twój ojciec już uwiadomiony,
 Idź, błąd swój wyznaj, odstąp swojej żony;
 Przykry mu węzeł zerwij bez wahania.
 Ja z téj ofiary szukać będę chluby;
 Bolesną będzie godzina rozstania,
 Lecz wierz mi, trwogą nie zdrzę nikczemną,
 Gdy się ta przepaść otworzy przedemną.

Dymitr.

Bądź zdrowa Maryo! nie dla mnie twe rady,
 Nie myślisz szczerze, bym ja mógł tak snadnie
 Wyrzec się ciebie i dopuścić zdrady.
 Bądź zdrowa! Niebo naszym losem władnie.
 Jadę do ojca. Nim słońce zapadnie,
 Wrócę. Tymczasem w méj nieobecności,
 Myśl o mnie, dokończ szarfę obiecaną;
 Może niedługo darem swéj miłości,
 Ujrzysz rycerza swego pierś ubraną;

Jeśli to prawda że Tatarów tłuszcza
Po kraju naszym zagony rozpuszcza.

Marya.

Ach! oby nigdy się nie przybliżyli!

Dymitr.

Gość to gwałtowny i niespodziewany.
Często, nim jeszcze zbrojęśmy włożyli,
Już niezgojone zadawał nam rany.
Często nim przyjdzie o nim wieść straszliwa,
Już się jęk starców, płacz dziewic odzywa,
Kurzą się wioski, wznoszą miast pożary.
Dziś wieść tak głośna.

Marya.

Pójdiesz więc do boju?

Dymitr.

O moja droga! Czyż mój ojciec stary
Nie ma po długim odpoczywać znoju?
Bądź zdrowa Maryo! *(Ścisła żonę, i podawszy rękę wchodzącej
Annie wychodzi.)*

SCENA VI.

MARYA i ANNA.

Anna.

Gdzież twój mąż pośpiesza?

Marya.

Do ojca.

Anna.

Maryo! czemuś tak zmieszana?

Marya.

Niechaj cię trwoga moja nie rozśmiesza;
Była tu wróżka. O Anno kochana!
Dziwną istotę zdradza postać cała;
Jaka w niej mądrość!

Anna.

Cóż przepowiedziała?

Marya.

Że mnie mój Dymitr opuści.

Anna.

O biada!

Marya.

Śmiejesz się Anno?...

Anna.

Wróżba wielkiej treści,

I już sprawdzona. Już na konia siada
Srogi niewdzięcznik! Kochankę porzucił,
By do niej ledwie przed zachodem wrócił.

Marya.

Inne znaczenie w jej się słowach mieści.
Ach Anno! dawniej i mnie żart był miły,
Teraz do śmiechu utraciłam siły.
Czy ty co słyszysz? (*Słychać śpiew za sceną*).

Anna.

Słyszę słowa twoje,

I szelest liści.

Marya.

Tak się teraz boję!

Cień który obłok na murawy rzuca,
Groźne widziadła w myśli méj ocuca.
Pójdźmy nad rzekę: tu mi głowa płonie,
Powietrze wody może mię ochłodzi.
Znowu coś słyszę.

Anna.

I ja.

Marya.

W bliższym tonie,
Jakaś pieśń dziwna uszu mych dochodzi;

Czy słowa wróżki drzewa zatrzymały?
Czy mnie wzywają groźne Bugu wały?

Anna.

To coś dziwnego, któż te głosy godzi?

ŚPIEW (za sceną).

Do nas, do nas, Nimfo młoda!

Do nas Bugu żono!

Tu obejmie jego woda

Twoje śnieżne łono.

Do nas, do nas, gościu nowy!

Wśród szumiącej fali,

Znajdziesz pałac kryształowy,

I pierścień z korali.

Tu odbiera cześć uroda,

I tu wdzięki swemi,

Władać będziesz Nimfo młoda,

Zapomnij o ziemi.

Marya.

Syszysz ostatnie słodkich tonów brzmienie?

Traz już cicho, już ustało pienie.

Idźmy ztąd Anno, pójdźmy jak najdalej,

Wkrótce się poznam z temi co śpiewali.

(KONIEC AKTU PIÉRSZEGO).

AKT II.

(Sala w zamku wojewody).

SCENA I.

STEFAN i DWORZANIN.

Stefan.

Mogę się zwierzyć, ale tylko tobie.

Dworzanin (*kładąc rękę na sercu*).

Tu sekret milczy jak umarły w grobie.

Stefan.

Choć różni krajem, ale sercem zgodni,
Byliśmy zawsze bracia jednorodni.
Słuchaj mię zatem. Chceszże mi dopomóż
W zamiarze trudnym, wielkim, niebezpiecznym
Lecz tak mi słodkim jak lip gęste cienie
Dla głowy skwarem przejętej słonecznym;
Tak pożądanym jak źródła mruczenie,
Dla piersi którą spaliło pragnienie?

Dworzanin.

Czegoż chcesz?

Stefan.

Zemsty!

Dworzanin.

Nad kim?

Stefan.

Nad Dymitrem.

Dworzanin.

Zwiierz to za gruby; może odbić strzały,
I w piersi strzelca odrzucić pociski.
Chciałbym twych łowów dzielić trud i zyski,
Aleś ty widzę za nadto zuchwały.

Stefan.

Nie dbam o siebie.

Dworzanin.

Gniów się twój zacieka.

Stefan.

Wiész co to krzywda? Znajdź mi gdzie człowieka
Coby zapomniał gdy mu kto wydziéra
Co miał najdroższe?

Dworzanin.

Cóż? kochankę?

Stefan.

Czemu

Ze śmiechem pytasz? Czy to dojrzałemu
Kochać nie wolno? Włos mój już siwieje,
Wiosna już przeszła, jesień się natrąca;
Lecz jeszcze ciało młodym ogniem grzeje,
Krew niezepsuta i dusza gorąca.
Na co ci mówić; wszak nie tajemnica
Gdzie oko moje, do czyjego lica
Przystało serce. Nim się rozwinęła
Jużem ją kochał. Gdym wesołe dziecię
Pieścił i bawił, w pęta mię ujęła,
Których przez całe nie potargam życie.
Každy dzień wdzięki w niej rozwijał nowe,
Serce rozmarzał i zapalał głowę.

Dworzanin:

Siwą.

Stefan.

Lecz młodą. Tajną miłość długo
Karmiłem w duszy, kryłem się z swym celem;
Byłem jój domu wsparciem, przyjacielem,
Niejedną ojca zniewolił przysługą:

I pótym czekał aż mój czas przeminął,
 Aż kwiatek dojrzał, pięknie się rozwinął
 I zwabił oczy. Przyszła ręka śmiała,
 I com dla siebie pielęgnował, chronił,
 Bez trudu wzięła, dla siebie zerwała.
 Młodzik mię ubiegł, chociaż krótko gonił.
 Przecież do walki jeszcze się ośmieleg;
 Jeszcze nadzieja serce moje ludzi,
 Jeśli ta zniknie, łoże jój zaścielę,
 W którym gdy zaśnie, nie wiem czy się zbudzi.
 Nic, albo wszystko. Połówek nie lubię,
 Ni pół przyjaźni ni pół nienawiści
 Nie znam, i własnej nie patrząc korzyści,
 Chętnie z tym ginę, kogo z serca gubię.
 Wziął mi kochankę, odebrać ją muszę.
 Żywa czy martwa już dla mnie stracona.
 Lecz niech on moje zrozumie katusze,
 Niech się o ból mój spyta swego łona.
 To cel mój.

Dworzanin.

Jeszczem nie znał cię z téj strony;
 Wiész gdzie najgłębszą można zadać ranę.
 Czy wojewoda już uwiadomiony?

Stefan.

Dotąd mu jeszcze związki ich nieznanę;
 Dziś je odkryję, trudno tacić dłużęj.

Dworzanin.

Powiedz, najlepij on ci sam usłuży,
 Gniew jego prędki.

Stefan.

Zemstę w nim zapalić
 Łatwo, lecz żeby nie zląkł się rozpaczy

Syna, potrzeba syna ztąd oddalić.
Nieobecnemu pewnie nie przebaczy.

Dworzanin.

Cóż mam uczynić?

Stefan.

Stwierdzić wieść straszliwą

O najściu pogan. Zaraz się co żywo,
Zamkowy żołnierz w szeregi ustawi,
A z mojej rady ojciec go wyprawi.
Gdy dam znak, wtenczas wejdz do wojewody,
Opisz rabunki, spustoszenia, szkody,
I bliskość wrogów. Wszak to nie pomnoży
Nieprzyjaciela, że się coś przyłoży.
Ty sam wyprawy będziesz przewodnikiem,
Pod twoją wszystko wyruszy opieką,
Ale rozumiesz!.... prowadź ich daleko,
Drogą niepewną, obłądnym wężykiem,
Byśmy czas mieli uprzętnąć synowę.

Dworzanin.

A co wypadnie.....

Stefan.

Biorę na swą głowę.

Dworzanin.

Niech i tak będzie.

Stefan.

Ale któż to zgadnie,
Jaka trucizna, jaka słodycz na dnie
Tęj pełnej czary? co wypadków fala
Dziś niewyraźna, błyskająca zdala,
Na mój brzeg rzuci? Jeśli ją zatrwożę,
Podanej ręki uchwyci się może.

Przejdziem Karpaty; wszak zna miłość moję....
 Śmiejesz się, prawda, niedorzeczy roję....
 Trudno odzyskać, com na zawsze stracił;
 Chwastem zarosłe szczęścia mego pole
 Nie wyda kwiatu. Myśleć raczej wolę,
 Abym się zemścił; abym mu odplacił
 Krzywdę za krzywdę i bólem za bóle.
 Precz!... wojewoda. Bądź na pogotowiu.

SCENA II.

WOJEWODA (*z pismem*) i STEFAN.

Wojewoda.

Cieszyć się muszę, gdy rozważam w sobie
 Jak mi los służy: i szczodremi dary
 Myśli ubiega, uprzedza zamiary.
 Teraz spokojnie mógłbym spocząć w grobie.

Stefan.

Laskawy panie! światło co twą głowę
 Otacza, w części na tve sługi spływa.

Wojewoda.

Z tēm pismem nowa możność mi przybywa,
 Mienie się moje mnoży o połowę.
 Pan na Tarnowie do związku mnie wzywa,
 Młodą i piękną dając mi synowę.
 Razem związane nasze dwa imiona,
 Szeroko w kraju rozciągną ramiona.

Stefan.

Szczęśliwy związek jeśli się uści.

Wojewoda.

Czy wątpisz?

Stefan.

Panie, dotąd los przychylny

Większe od życzeń dawał ci korzyści;
 Cośkolwiek zasiał miałeś plon niemylny.
 Dobra to wiara. Lecz fortunę zdradną
 Trudno uwięzić, zmienne jój koleje.
 Kości szczęśliwe czasem źle wypadną,
 Bez skutku mogą zstarzeć się nadzieje.

Wojewoda.

Nigdyś podobnym nie mówił językiem,
 Dawnoż złowróbnym zostałeś puszczykiem?

Stefan.

Odkąd uważam lepiej co się dzieje.

Wojewoda.

Czemuż nie mówisz? czyliż mię uwodzi,
 Łudząc jak dziecię cackiem zakazaném?

Stefan.

O! nie! Lecz syn twój jest swój woli panem,
 Nie wiem czy z twoją tak się łatwo zgodzi.

Wojewoda.

Cóż to u Boga! zkąd ci to przychodzi?

Stefan.

Rumak to młody, ułować się nie da
 Na bujnym stepie, gdzie ma paszy dosyć.
 Za trochę siana w jarzmo się nie przeda,
 Wstrząśnie wędzidłem które nie zwykł nosić.
 Daruj mi panie, lecz ja mówię śmiało,
 Że wątpię by ci teraz się udało.

Wojewoda.

Co to ma znaczyć? gdzie ta ścieżka kręta
 Wyjdzie. Słów twoich nie potwierdza lice,
 Wzrok twój wydaje jakąś tajemnicę.
 Prawda, pamiętam, ponoś mię ostrzegał,

Że go ujęła gładka twarz dziewczyny
 O którą dawniej i tyś się ubiegał.
 Wierzę, do strachu słuszne masz przyczyny,
 Drzysz, by ta młoda pszczołka nie wysała
 Wszystkiój słodyczy z serca twego kwiatu.
 Nie bój się, całej woni nie zabrała,
 Całego z listków nie starła szkarłatu,
 Dość ci zostanie. Co będzie brakować,
 To można dobrą wioską powetować.

Stefan.

Żal mi że przyjąć darów tych nie mogę.
 Nikt mojej straty wrócić mi nie zdoła;
 Kościół do szczęścia założył mi drogę,
 Odkryć ją może tylko głos kościoła,
 Lecz i to ciężko.

Wojewoda.

Coś wyrzekł? szalony!

Stefan.

Bolesną prawdę. Panie! cudzej żony
 Nie mogę pragnąć.

Wojewoda.

Żony mego syna!

Co, ona żoną jego? Nieba! Nieba!
 Córka żebraka, co z rąk moich chleba
 U mych drzwi czekał? Jeśli ta nowina
 Tchnie złością, jeśliś skłamał, wszystkie bogi
 Wezwij na pomoc, zda ci się ich ramię;
 Mógłbyś niebaczny za tę chwilę trwogi
 Swój język ujrzyć na zamkowej bramie.

Stefan.

Gniw twój, o panie, słuszny, lecz niewczesny.

Wojewoda.

Toż ma być prawda? mógłże mię tak zdradzić,
W pierś ojca rzucić pocisk tak bolesny?

Stefan.

Już nie czas wątpić, ale czas zaradzić.

Wojewoda.

Właśnie w tój porze, kiedy szczęście nowe
Do progów moich wpływało potokiem,
Tak pięknych myśli potargać osnowę,
Pole nadziei zamknąć przed mém okiem!
Nadużyć zdradnie ojca zaufania,
Bez mojej wiedzy, bez mojego zdania,
Ślubem się związać! Gdzież ten ksiądz zuchwały
Co ich śmiał złączyć? powiedz, wiészże który?
Powiesić zdrajcę, przybić go na wały
Zamku. Niech zeni wron i kruków chmury,
Gdy im na ucztę pójdzie jego ciało.

Stefan.

Wyrok twój serce jego przeczuwało,
Wiedział co zrobił i drogi tajemni
Uszedł bez wieści.

Wojewoda.

Lecz nie uszedł z ziemi.
Znaléć go trzeba. A ten żebrak stary,
Co mém ramieniem podniósł się nad ziemię,
Także mi płaci ręki mojej dary.
Że w moje gniazdo rzuca własne plemię?
Słuchaj! Tój nocy pošlesz mi tam ludzi;
Plac jego domu popiół niech zaściele,
Płomień wsi całej niech go ze snu zbudzi,
I córki jego oświeci wesele;

Każesz zaorać to siedlisko zdrady,
Zboże niech rośnie gdzie się kryły gady.

Stefan.

Łatwo wykonać coś rozkazał panie,
Bo kogoż ramię twoje nie dosięże?
Lecz syn twój przeto wolnym nie zostanie,
I zemsta związków jegó nie rozpręże.
Z dymem wzniesionym nad pożarem wioski,
Ani synowa, ani twoje troski
Zniknąć nie mogą.

Wojewoda.

Z kamieniem u szyje,
Niechaj się w Bugu z winy swój obmyje.

Stefan.

Choćbyśmy kamień jój uwiązać chcieli,
Racz wspomnieć panie, kto jest jój rycerzem;
Któryż z nas na nią targnąć się ośmieli
Gdy ją zasłoni piersi swych puklerzem?

Wojewoda.

Więc niéma środka? więc już nie masz głowy?
Dziś, jutro, wolnym go obaczyć muszę;
Zbyć się jakkolwiek niegodnej synowy,
Odrzucić trwogę co mi dręczy duszę.
Z ocz twych postrzegam że masz plan gotowy.

Stefan.

Honor imienia twego się ocali,
Jeśli twój rozkaz syna ztąd oddali.
Panie, pogłoska właśnie się rozchodzi,
Że się zbliżają do tych stron Tatarzy;
Wieść to niepewna, ale nie zaszkodzi
Korzystać z trafu, którym los cię darzy.

Dla bezpieczeństwa już się wojsko twoje
 Co żywo zbiera. Niech na jego czele
 Syn twój dziś jeszcze pośpiesza na boje,
 A gdy odjedzie, wtenczas się ośmielę
 Spełnić twój rozkaz, wtenczas miłość moję
 Przypomnę pięknej którą z nim rozdzielę.

Wojewoda.

Przygotuj wszystko.

Stefan.

Wszystko już gotowo,
 Czekałem tylko, panie, na twe słowo.

Wojewoda.

Niema co myśleć, wahać się nie mogę.
 Ród mój i godność prędkiej rady wzywa.
 Tajemnym ślubem zamknął sobie drogę,
 Tajemny rozwód niech zapory zrywa.
 Zdrada za zdradę; niech Tatarów goni,
 A ty rób swoje.

Stefan.

Lecz chciéj zważać panie,
 Jeśli cokolwiek zamiar twój odłoni,
 Skoro się wydasz, w domu pozostanie.
 Pragnieszli skutku? musisz zwalczyć siebie.
 Utaj połowę co ci jest wiadomém,
 Nie drażnij syna gniewnych piersi gromem,
 I żal niech na czas w sercu się zagrzebie.

Wojewoda.

Trudno to będzie, łatwiéj ci tak radzić.
 Syn cię nie zdradza, zwykłeś się ukrywać.
 Ja burzy piersi swych nie umiem gładzić,
 Cichém zwierciadłem wrzących fal odziewać,

Co zawre w łonie, wnet się do ust ciśnie,
 Co się tu zatli, to i w oku błysnie.
 Jednak obaczym. Kiedym musiał dożyć
 Tak ciężkiej chwili, tak ciężkiego sromu,
 Wolę się zwalczyć, wolę się ułożyć,
 Niżli dopuścić hańby mego domu.
 Ród mój wzniesiony, już pierwszeństwa blizki;
 Przez całe życie szerzyłem swe ziemię:
 Ten dom dla córek królów nie za nizki,
 Z krwi namaszczonej mógłby chować plemię,
 I gdy wiek późny z siły mię obnaża,
 Gdym się na szczycie odpocząć spodziéwał,
 Na tożem zbierał, aby plód nędzarza
 Plonem mych trudów nagość swą odziéwał?
 Nie, licha sowo! ślepe oczy twoje
 Nie zniosą słońca. Skrzydła twe za małe;
 Nie zdołasz wzbić się na wysoką skałę,
 Gdzie sokoł siedzi, gdzie ma gniazdo swoje.
 Rzucona z góry szpony potężnemi,
 W skrwawionych szczątkach dolecisz do ziemi.

Stefan.

Miarkuj się panie, słyszę jego kroki.
 Niech umysł mężki zapęd krwi oddala.
 Pomnij, że chwila, że dzień jeden zwłoki,
 Dom twój poniża, synowę ocala.

Wojewoda.

Na ile siły stanie serce moje
 Użyję wszystkich. Ty naszej rozmowie
 Będiesz obecnym, aby w jakimś słowie
 Nie wyszły na jaw gniew i niepokoje;
 A gdy żalowi górę wziąć pozwolę,
 Gdy ujrzysz burzę blizką wybuchnienia,

Niechaj przestroge znajdę na twém czole
I w twojém oku słowo upomnienia.

SCENA III.

WOJEWODA, DYMITR i STEFAN.

Wojewoda.

Witam cię synu, dawno niewidziany!

Dymitr.

Mój ojcze! nie mam się czém wytłumaczyć,
Czuje się winnym.

Wojewoda.

Wierzę.

Dymitr.

Racz przebaczyć!

Wojewoda.

Przebaczyć?

Dymitr.

Przebóg! Ojcze mój kochany!

Widzę gniew w licu i spojrzeniu twojém.

Wojewoda.

Nie mam się czego cieszyć. W swój ustroni
Przebywasz ciągle z płonnych marzeń rojem;
Tam myśl zbłąkana nie wie za czém goni.
Serce odwykły od wysokich chęci
Łatwiej się znizy, łatwiej złém przynęci.

Dymitr.

Nie trwoż się ojcze! serce moje czuje
Co mu przystoi. Prawda, lubię marzyć
W zaciszu, którym chciałeś mię obdarzyć;
Lecz ja tam obraz matki méj znajduję,
Tam się mém sercem duch jój opiekuje.

Wojewoda.

Czcze to myślenie, pajęcza osnowa,
Jeżeli ręka myśli nie wykona.
Bez wieńca zchodzi zapomniana głowa,
Kiedy żądź wielkich nie ma w głębi łona.
W bitwach, u dworu, w senatorów kole,
Tam nie plac marzeń, lecz czynności pole.

Dymitr.

Lot twój, mój ojcze! tak wysoko wzbity,
Że powiém łaski wzniesić go już nie zdoła.
Czas przygotuje laur dla mego czoła,
I same wkrótce znajdą się zaszczyty.
A jeśli bez nich młodość mi uleci,
Jeśli jój żadnym nie rozślwiąę czynem,
Dość, że me czoło twoim blaskiem świeci,
Dość mam honoru, że jestem twoim synem.

Wojewoda.

Nikczemna skromność. Tę świetność, to imię,
Ten plon mych trudów, zyskałem daremnie.
Zajdzie to słońce, gdy twe serce zdrzymie
W cieniu budowy wzniesionej przezemnie.
Największe gmachy czas zawzięty spożył,
Gdy syn nie wzmagał, co ojciec założył.

Dymitr.

Ostre to słowa, za ciężkie wyrzuty!
Jeżelim dotąd kraju nie zasłaniał,
Takżem już ojcze! z honoru wyrzuty
Bym się rzekł sławy, lub się pracy wzbraniał?
Mam silną rękę wprawioną za młodu.
I choć mój oręż dotąd w pochwie leży,
Ręcę, że w meztwie nikt mię nie ubieży:
Chcę cię przekonać że jestem wart swego rodu,
Że wiem kto jestem.

Wojewoda.

Tak jest, chcę dowodu.

W téj chwili wiele na tém mi zależy.

Wojna mój synu jest rzemiosłem naszym.

W cieniu sztandarów serce się sposobi,

Krwią wypisany, wyryty pałaszem

Herb, który czoło naszych zamków zdobi,

To droga twoja. Śmiałość ci przyznaję,

Tam gdzieby trzeba, nie drży twoja ręka.

Odważnie serce twoje się oddaje,

I nawet gniewu ojca się nie lęka.

Wiém.

Dymitr.

Ojczy!

Stefan.

Panie! daruj śmiałej mowie,

Krew twa i serce w synu twym uderza.

Byłem sam świadkiem, włos mi wstał na głowie,

Kiedy z oszczepem na wściekłego zwierza

Rzucił się śmiało, by strzelca ocalił.

Wojewoda.

Cóż cię tak dziwi?

Dymitr.

Próżnoby się tał

Jak mię zdumiewa głos tu podniesiony.

Jeszcze ja uszów swych nie przyzwyczaił

Do twego gniewu, do jego obrony.

Tak nagła zmiana nie jest bez przyczyny,

Radbym jój dociec.

Wojewoda.

Nie znasz się do winy?

Ale nie teraz pora. Wieści głoszą,

Że dzicz rozpuszcza po kraju zagony,

Pożary wiosek, ognie miast się wznoszą;
 Bez matek dzieci i bez mężów żony
 Idą spętane. Jeśli pragniesz sławy,
 Lepszego pola i godniejszej sprawy
 Znaléć nie zdołasz. Wojsko już gotowe,
 Czas już mój synu zająć miejsce moje;
 Weź ten miecz stary, okryj hełmem głowę,
 I dzisiaj jeszcze wyruszaj na boje.
 Chceszże?

Dymitr.

Tyż ojciec wątpisz?

Wojewoda.

Gdy powrócisz,

Do wieńca, którym imię tve zasłynie
 Przydam i drugi. Na czole młodziana,
 Mirt się rozkrzewia chętnie przy wawrzynie;
 Gałązka szczęścia słodką łą polana,
 Śmielój się wije i dłużej zieleni
 Przy męzkim liściu co się krwią rumieni.
 Tve lice w ogniu! Lubię ten rumieniec.
 Sławie i szczęściu młody wiek należy.
 Twardą ma duszę, dzikito młodzieniec,
 Gdy twarz i oko krwią mu nie zabieży
 Na samą wzmiankę chwały i kochania.
 Wkrótce się ze mną udasz do stolicy;
 Pan na Tarnowie chętną wolę skłania
 Do związku z nami. Rękę swęj dziewicy
 Tobie oddaje; warta jest starania.
 Piękność i dobroć, imię i dostatki,
 Wszystko posiada. Takięj chcę synowy,
 Takięj dla wnuków swoich pragnę matki,
 To ręki twojéj godne są okowy.
 Aleś ty poblądł?

Dymitr.

Nie dziw się mój ojcze!
Dajesz mi żonę której nie znam, żonę
Któręj nie kocham.

Wojewoda.

I cóż cię ośmiela
Pogardzać darem ręki i urody
Piérwszěj dziedziczki w kraju? przyjaciela
Mojego córki?.....

Dymitr.

Nie sam ród i mienie,
Budzi mojego serca uderzenie.
Daruj mi przeto, jeśli wyznam śmiało,
Że do téj szali gdzie me losy ważysz,
Trzeba by serce moje coś przydało.
Inaczěj próżno w myśli swéj kojarzysz
Wielkie imiona; do podania dłoni
Nie wiem czy nawet gniew twój mię nakłoni.
Wolę lot zniżyć....

Wojewoda.

Czyś go już nie zniżył,
Mnie nie zasmucił, sobie nie ubliżył?
Czy myślisz że ja z murów mego domu
Nie widzę wszystkich śladów twojéj nogi?
Wiém, gdzie twe serce dąży pokryjomu,
Jakie myśl twoja przestępuje progi.
Wiém zkąd ten upór.

Dymitr.

Ach! mój ojcze!....

Stefan.

Panie!

Wojewoda (do Stefana).

Milcz! (Do syna) A ty słuchaj. Jeśli to kochanie

Płocze i tylko zmysły twoje łechce,
 Gdy ją chcesz uwieść, ja i tego nie chcę.
 Nie dla rozpusty piękność jój wstydliva.
 Jój ojciec stracił dla mnie wiek i zdrowie,
 Niechaj nagrody za swój trud używa,
 Daj cicho spocząć jego siwej głowie;
 Mógłbyś go zabić sromotą dziecięcia.
 Lecz jeśli inne miałbyś przedsięwzięcia,
 Namysł się wcześniej, pomnij co ją czeka.
 Byłem ich słońcem póki niżej stali;
 Za śmiała bliskość strawi ich i spali.

SCENA IV.

WOJEWODA, DYMITR, DWORZANIN i STEFAN.

Wojewoda.

Cóż tam?

Stefan.

Złe wieści. Dzicz już niedaleka.

Wojewoda.

Prędzej opowiedz, z której idą strony?

Dworzanin.

Trzema oddziały dążą ich zagony.

Jednym pustoszą żyzne Rusi niwy,

Drugim Halickie, trzecim nasze plony.

Widać płomienie, słychać jęk płaczliwy,

Stoją zwaliska niejednego miasta,

I zgroza zewsząd szerzy się i wzrasta.

Lud zwykłym strachem napastników liczy,

Lecz ci co śmielszém rachują ich okiem

Mówią, że zagon téj zuchwałój dziczy

Niezbyt potężny. Naszych dzid widokiem

Łatwo się ztrwoży, odstąpi zdobyczy,
I za Boh szybkim przeniesie się krokiem.

Wojewoda.

Tak i ja myślę. Lecz nie traćmy chwili,
Wojsko gotowe niech zaraz wychodzi.
Powiedz tym wszystkim co się zgromadzili,
Że odtąd w boju mój syn im przywodzi.

Dymitr.

Ojcze! na głos twój wszystkie krew przeleje,
Ale cię błagam, racz twój zamiar zmienić.
Zgubioną sercu memu wróć nadzieję,
Co nową siłę w moje piersi wleje,
Nowém je meztwem zdoła rozplomienić.

Wojewoda.

Nie łudź się próżno. Wybij sobie z głowy
Wszystkie nadzieje, wybór mój zrobiony.
Inszéj nie zniosę w domu mym synowy,
Pókim żyw, inszéj mieć nie będziesz żony.

Dymitr.

Jeśli tak ojcze! życia twego syna
Nie zwierzaj ślepo téj niewiernéj dłoni.
Twojeto dzieło, twoja będzie wina
Jeśli go zdradzi, jeśli nie zastłoni.
Rozpacz mój ojcze, zły towarzysz broni.

Wojewoda.

Próżno mi grozisz, ja się grózb nie boje
I znam tę rozpacz. Jeśli serca sprawę
Przenosisz płócho nad swój ród i sławę,
Zostań. Twój ojciec zajmie miejsce twoje.

Dymitr.

Dosyć mój ojcze, śpieszę choć zraniony.
Ujrzysz czy obcych skrzydeł mi potrzeba.

Młody twój orzeł z gniazda wypuszczony,
 Za twoim śladem w twoje pójdzie strony,
 I jeśli spadnie, to spadnie zpod nieba. (Odchodzi)

SCENA V.

WOJEWODA, STEFAN.

Wojewoda.

Odszedł, i w porę. Bitwa całodniowa,
 Nigdy mi takiej męki nie zadała.
 Ciężko ściśnione piersi, płonie głowa;
 Wstydem i gniewem lice moje pała.
 Czegoż tak patrzysz? czy ci się podoba
 Kłamstwo w poważnych ustach senatora?
 Chytrość, obłuda, godnaż to ozdoba
 Tych włosów? pięknież mi przystoi zdrada?
 Nie chęć to moja, twoja to jest rada.

Stefan.

Panie! jeżeli....

Wojewoda.

Dosyć, już się stało.
 Śpiesz uskuteczyć zamiar przedsięwzięty.
 Zaciągnij sieci by nie uszli cało;
 Niech mię poznają. Łuk już jest napięty;
 Niech się rozłączy z wymierzoną strzałą.

(KONIEC AKTU DRUGIEGO).

(Dokończenie nastąpi).

WYCIĄG Z PAMIĘTNIKÓW
PUŁKOWNIKA PIOTRA BAZYLEGO WIERZBICKIEGO.
WYPRAWA DO SAN-DOMINGO.

UŁOŻYŁ I WYDAŁ

Leon Potocki.

(Dalszy ciąg).

Zaledwo pokój na wyspie San-Domingo przywróconym został, ucichły mordy i pożogi, a murzyn któren był za oręż uchwycił i od lat kilku krwawą wojnę toczył, powrócił do roli i spaloną chatę na nowo odbudowywać zaczął. Już z nieostygłych jeszcze popiołów wsie i miasta powstawać zaczynały, produktami krajowemi napępniały się spichrze, a okręta różnych narodów, cisnęły się do portów wyspy, niosąc wzamian za kolonialne płody, europejskie bogactwa.

Kapitan generalny Leclerc, chcąc ustalić zawarte przy mierze i pozyskać zaufanie i miłość krajowców, najważniejsze urzęda powierzył naczelnikom murzynów: i tak, zarząd policji północnej części wyspy oddany został Kryzstofowi, zachodniej zaś części Dessalinowi. Kiedy wszystko rokować się zdawało długie pasmo błogich dni dla mieszkańców San-Domingo, nikt nie mógł przypuszczać

nawet, iż zerwanie pokoju było tak blizkiém, i niezaga-
sły, lecz przysypany tylko popiołem ogień, miał wnet
znowu wybuchnąć jaskrawym płomieniem.

W tymże samym czasie, okropna i zaraźliwa choroba
grasować zaczęła na wyspie. Pod wszelkimi oznakami
żółtej febry, której zjadliwość w owych stronach nigdy
do tego nie była doszła stopnia, pośród wojska francu-
zkiego i na flocie największy wpływ wywarła, najwięcej
dotknęła ofiar.

Choroba ta bez najmniejszych poprzedzających oznak,
częstokroć jak piorun zabijała na miejscu, czasami zaś
wolnym postępem i długiem konaniem pastwiła się nad
swoją ofiarą. Zaczynała się zazwyczaj od zapalenia mu-
zgu, przy najsilniejszej gorączce, największém pragnie-
niu, darciach w żołądku i ciągłym zbiéraniu się na wy-
mioty. Ogień zdawał się płynąć w żyłach, a lica ciemną
purpurową przybięrały barwę. Bywały przykłady, iż
chory zachowywał całą przytomność umysłu i mowę aż
do ostatniej chwili, częściej jednak zostawał w ciągłym
prawie i niespokojnym śnie, przerywanym konwulsjami.
Przy postępie choroby, czerwoność twarzy, zmieniała się
w brunatno-żółty kolor, i gdy wtedy zbawienna nie na-
stąpiła kryzys, w oddechu czuć się dawała korrupcyja,
usta lodowaciały, twarz nabrzmiała, niebieskie plamy
okrywały ciało, oko gasło, a z ust płynęła piana, spiekłą
krwią czarną zafarbowana; wtedy toczyła się ostatnia
walka śmierci z życiem, a skonanie następowało zwykle
dnia trzeciego, czasem jednak do siódmego i jedenaste-
go nawet dnia przedłużone zostawało (*).

(*) Description de la maladie, par Gilbert, médecin de l'armée
de l'expédition.

Choroba ta objawiła się nasamprzód w mieście Cap-Français. Przypisywano jój poczęcie, wyziewom pochodzącym ze źle utrzymywanych cmentarzy i bagien otaczających miasto; gdy jednak przeszła do Port-au-Prince i na całej wyspie grasować zaczęła, pokazało się, że była w powietrzu, a jój przyczyną, nie mógł być jak tylko zdrażliwy klimat wysp Antylskich.

Napróżno wyczerpano wszystkie sposoby lekarskie; co jednym pomagało, szkodziło drugim, a sztuka ustąpić musiała téj pladze, którą Bóg zesłał jako przestrożę lub karę. Demoralizacya największa opanowała wojsko; opuszczony w ubiorze, smutny i zniechęcony żołnierz, choć jeszcze niedotknięty chorobą, przeczuwał zego nie minie, że daleko od rodzinnéj ziemi przyjdzie mu kości położyć, i ojczystéj strzechy więcéj nie obaczy. Jedni oddawali się wyuzdanéj swawoli i bezprawiom, drudzy gotowali się na śmierć. Szpitale napełnione były choremi, którzy często leżąc na ziemi, bez najmniejszego zostawiali opatrzenia. Subordynacya wszelka ustała; żołnierz był równym generałowi, nikt już nie marzył o sławie i wygranych bitwach. Przyjaźń zamilkła, zlodowaciało serce, nie słyszano więcéj ani wojennéj piosnki. ani szczéku oręza. Odgłos nawet dzwonu już nie zwoływał wiernych na modlitwę, ani godzinę śmierci zwiastował; każdy się podle lękał, nikt nie śmiał westchnąć do Boga (*).

(*) Podczas grasującej żółtój febry w San-Domingo, zawiął okręt z Bordeaux, a z 48 passażerów na nim przybyłych, we dni kilka ani jeden nie został przy życiu. W przystani Cap-Français, na okręcie szwedzkim, cała osada nie wylądowawszy nawet na brzeg wymarła, tak, iż okręt niemający już właściciela, przez licytacją sprzedanym został. (*Précis de l'expédition à Saint-Domingo, par Laujon*).

Podczas gdy śmierć nieubłagana, nie przestawała zabiierać napiętnowane przez siebie ofiary, Paulina, siostra 1^{ego} konsula a małżonka kapitana generalnego Leclerc, przeniosłszy się z miasta Cap-Français do wiejskiego mieszkania, wśród zabaw, uczt i balów, starała się zapomnieć o niebezpieczeństwie, zarazie i śmierci. Huczna muzyka tłumiła głośne jęki konających; nieraz wśród balu wyniesiono umierającego, a tańce przerwane na chwilę, rozpoczynano na nowo.

Korzystać z zawartego przymierza i pozbyć się Toussaint-Louverture, którego widokom rządu francuzkiego stawał na przeszkodzie, ten był jedyny cel pierwszego konsula, do dopięcia którego, każdy sposób zdawał mu się godziwym.

Generał Leclerc idąc za poradą generała Dugua, swego szefa sztabu, postanowił zwinąć gwardyą narodową, złożoną z samych murzynów, i oddziały tychże, wraz z ich naczelnikami wcielić do francuzkiego wojska. Ten krok nierozważny najgorsze uczynił wrażenie. Na energiczne przedstawienia mieszkańców żadnej nie zwrócono uwagi, a w uporze ich w wykonaniu woli rządu, uważano tylko nowy zaród przyszłego buntu, którego zawczasu przytłumić postanowiono.

Generał Leclerc zaprosiwszy do siebie Dessalina, wyraził mu wdzięczność za stanowcze przyłożenie się do ukończenia tak zaciętej wojny. Generał rzekł do niego: „Przedstawiłem pierwszemu konsulowi wierność i przychylność twoją do Francyi, wspólnej naszej ojczyzny, oczekuję co chwila z niecierpliwością stosownego dla ciebie wynagrodzenia za nieocenione twoje zasługi; miło mi będzie zadowolenie pierwszego konsula tobie osobiście oznajmić.” Na co chytry murzyn temi odpowiedział

słowy: „Znam ja bardzo dobrze nieudolność moją, my murzyni służyć tylko białym winniśmy, żadnej innej nie żądam nagrody nad tę, ażebyś generale, kiedy powrócisz do Francji, wziął mnie z sobą, i przyjął do usług swoich za stangreta.” Podobna mowa zamiast otworzyć oczy generałowi Leclerc i dać mu poznać całą przewrotność murzynów, wzbudziła w nim nieograniczoną ufność. Tymczasem chciwy znaczenia i wyniesienia się Dessalines, wszystkich środków używał do dopięcia swoich zamiarów. Groźnym mu był jeszcze spokojnie mieszkający w Ennery Toussaint-Louverture; i chociaż zamysłał o rychłym powstaniu, zazdrościł temu, którego wyższe zdolności i wzniosły charakter duszy, zawsze go przed nim stawiały, i zgubić go przedsięwziął.

Powiedzieliśmy wyżej jaki los spotkał Toussaint-Louverture. Zaproszony na ucztę do generała Brunet, tam podstępnie aresztowany, wysłany został do Francji, gdzie w zamku Joux, w roku 1803 smutnie dni swoje zakończył. Generał Leclerc chcąc się z podobnego postępku wytłumaczyć, oskarżył Toussaint-Louverture o tajemne spiski przeciwko francuzkiemu rządowi, opierając zaskarżenie swoje na znalezionym liście, niby pisanym do adjutanta Fontaine murzyna, w którym wszelkie zamiary swoje odkrywał. Pomimo, że podług podobieństwa do prawdy, rzeczony list był podrobionym, Fontaine razem z żoną śmiercią ukarani zostali.

Okło połowy miesiąca sierpnia 1802 roku, rozeszła się na wyspie San-Domingo wieść o zdobyciu Guadalu-py przez generała Richpanse, o uśmierzeniu tamecznych mieszkańców i zaprowadzeniu na nowo pomiędzy murzynami niewoli. Podobne postanowienie rządu francuzkiego powszechną zgrozę wzbudziło, dało poznać mu-

rzynom wyspy San-Domingo jaki los ich czeka, stało się hasłem przyszłego powstania! W jednej prawie chwili, na kilku punktach wyspy wybuchły pożary buntu. W górach San-Domingo, murzyn Lamour de Rance, stanął na czele rokoszan, Sans-Souci, zbuntował się w Valière. Noël w Dondon, Sylla w Plaisance, Macaja w okolicach Port-de-Paix. Najgroźniejszym jednak pomiędzy naczelnikami zbuntowanych murzynów był Karol Belair, któren niedostępne góry Cahos obrał sobie za siedlisko. Chcąc się pozbyć tak niebezpiecznego nieprzyjaciela, generał Leclerc wysłał przeciwko niemu Dessalina, któren nie z orężem w rękę, lecz zdradą pokonać go zdołał. Udając że przechodzi na stronę zbuntowanych, Dessalines wciągnął Karola Belair wraz z żoną w zasadzkę, z kąd okutych w kajdany dostawił generałowi Leclerc. Oddani przez tegoż pod sąd wojenny złożony z samych murzynów, śmiercią ukarani zostali.

Już prawie cała ludność murzynów na wyspie San-Domingo była chwyciła za oręż, a wojna przybrała postać tak groźną, iż Francuzi znagleni zostali poprzestać zaczepnych kroków, broniąc się tylko od napaści, wszędzie waleczny stawiając opór.

Murzyni opanowali Port-de-Paix, gdzie 25,000 funtów prochu zdobyli, poczem cały departament północny, wyjąwszy kilku małych miasteczek powstał i połączył się z rokoszanami. Natenczas generał Leclerc, podszczuwany przez naczelników murzynów, którzy jeszcze w szeregach francuzkich służyli, a w których, że tak powiem ślepe miał zaufanie, zamiast iść do boju, i siłę siłą odpięrać, najokrutniejszymi morderstwami chciał postrach w szeregach nieprzyjacielskich rozszerzać. Pastwiono się na jeńcach wojennych, kaźden konać musiał wśród naj-

cięższych tortur, kaźden murzyn złapany czy z bronią czy bez broni w ręku, winny czy niewinny, śmiercią był karany.

Murzyni téż ze swojej strony na francuzkich jeńcach srogą zemstę wywiérali. Przymót choroby coraz się wzmagaly, śmiertelność dziesiątkowała kaźde świeżo przybywające posiłki z Europy, tak dalece, iż z wojska francuzkiego, przybyłego do wyspy San-Domingo, zaledwo trzecia część była pod bronią, a dwudziestu generałów śmierć znalazło pod skwarném niebem Antyllów.

W tak niepomyślnéj chwili dla oręża francuzkiego, zarzuciły kotwice w przystani Cap-Français okręta przewożące z Kadyxu 113 półbrygadę. Skoro o przybyciu naszym dano znać kapitanowi generalnemu Leclerc, po kilkogodzinnej naradzie, w czasie której nikomu nie wolno było na ląd wysiadać, nastąpiło wylądowanie 1^{go} batalionu w Cap Français, drugi batalion wylądował w Môle St. Nicolas, trzeci w Port-au-Prince.

Pierwszy batalion 113tej półbrygady przyłączony do dywizji zostającej pod dowództwem generała Clervaux, a złożonej z 10^{tej}, 13^{tej} i części 6^{tej} półbrygady wojsk kolonialnych, w których sami byli murzyni, w ośm godzin po wylądowaniu ruszył w pochód w okolice l'Alcul, gdzie się zaraz z powstańcami spotkał. W nocy z 13 na 14 września, generał Clervaux, tenże sam, któren przydował w sądzie przeciwko Karolowi Belair, przeszedł do powstańców ze wszystkimi murzynami pod jego dowództwem będącymi. Polacy spostrzegłszy się wczesnie, schronili się do kościoła, gdzie się zatarasowawszy, mężny nieprzyjacielowi dawali odpór. Nim jednak połączeni murzyni całymi siłami zdołali uderzyć na kościół, kapitan Wodzyński, dowódzca batalionu, korzystając z chwili na-

mysłu lub wahania się przeciwnéj strony, śpiesznym pochodem wycofał się z okropnego stanowiska swojego, a utraciwszy ze sto kilkadziesiąt ludzi, tak w zabitych, rannionych, jako i wziętych w niewolę, schronił się do twierdzy Jeantôt, pod Cap-Français, w której szef brygady Anhouil dowodził na czele szczątków 7^{méj} półbrygady liniowéj. Murzyni 17 września, o piérszéj godzinie po północy, przybyli pod Cap-Français, a spędziwszy przednie straże Francuzów, zajęli zamek Pierre Michel, lecz śmiały odpór jaki doznali pod twierdzą Jeantôt, a do obrony którój niemało się przyłożyliśmy, istotnie uratował miasto Cap-Français. Powstańcy znali dokładnie słabe siły, które generał Leclerc mógł przeciwko nim stawić, pewni zatém zwycięstwa uderzyli na nas, nie spodziewając się bynajmniej, że przez walecznego Anhouil odpędzeni zostaną.

Po odniesionéj porażce, dorozumiewając się, iż posiłki przybyłe z Francyi, już się połączyły z wojskiem generała Leclerc, cofnęli się śpiesznie, pozostawiwszy nawet na placu bitwy znaczną liczbę poległych. Oswobodzone od napaści miasto Cap-Français, dało na chwile odetchnąć Polakom. Wypoczynek ten atoli zbyt był krótkim! Czylito w skutek trudów poniesionych podczas długiej przeprawy przez morze, czy w skutek pokarmów do których przyzwyczajeni nie byliśmy, choroby zaczęły pomiędzy nami panować, a gdy się do nich żółta febra przyłączyła, okropna śmiertelność przerzadzać zaczęła ziomków naszych szeregi. Z piérszego batalionu naszego, któren przy wylądowaniu liczył 984 ludzi, w przeciągu miesiąca zaledwo ośmdziesięciu kilku żołnierzy zostało pod bronią.

Drugi nasz batalion, pod dowództwem starszego Bolesty, zostawiwszy jedną kompanią na załodze w Môle St. Nicolas, ruszył z Dessalinem dowodzącym dywizją murzynów ku Gonaïwom. Po przeprawie przez rzekę tegoż nazwiska, przy słabym oporze powstańców, dywizya dążyła ku rzece Exter. Powstańcy uchodzili przed nami po mało znaczących utarczkach, gdzieśmy kilkunastu ludzi stracili. Przeprawiwszy się przez rzekę Arbonite czołnami z drzewa mahoniowego, wyrobionemi każde z jednego kłoca, a w kreolskiej mowie zwanemi *piroque*, przeszliśmy przez płaszczynę także Arbonite zwaną, na mil piętnaście długą, a szeroką do mil pięciu w niektórych miejscach, i przybyliśmy nakoniec do St. Marc. Dessalines oswobodziwszy pozornie tę część departamentu od Môle St. Nicolas aż do St. Marc, pozostawało mu tylko przerwane dotąd związki z miastem Port-au-Prince na nowo otworzyć i rozdzielone siły skoncentrować.

W kilka dni po przybyciu naszym do St. Marc, Dessalines z całą dywizją murzynów, przeszedł w nocy na stronę powstańców, będących pod dowództwem naczelników Krysztofa i Pawła Louverture, brata Toussaint-Louvertura, w okolicy Verates. Nie zdążył jednak batalion jeden złożony z czterechset murzynów udać się w pochód za Dessalinem, którego zdrada dopiero za nadjeściem dnia spostrzeżoną została. Niepodobna było jednemu batalionowi naszemu utrzymać w karności kilkuset murzynów; nie pozostawało jak tylko wytepić ich aż do ostatniego. Wykonanie podobnego zamiaru, wymagało śmiałego i szybkiego działania. Generał Fressinet, nasz dowódzca, rozkazawszy wystąpić murzynom do apelu, jak zwyczajnie bez broni, gdy na placu stanęli, ba-

talion Bolesty z bronią w ręku otoczył ich niespodzianie, i co do jednego bagnetami wykłuł. Po tak morderczym postępku, batalion nasz opuściwszy St. Marc wsiadł na okręt i popłynął do Port-au Prince.

Śmiertelność zarówno tam jak w Cap-Français panując, co dzień po kilkadziesiąt ludzi sprzątała z tego świata. Z batalionu drugiego, któren do tysiąca ludzi liczył, w krótkim czasie zaledwo 100 ludzi zostało. Tam pochowaliśmy szefa batalionu Bolestę, oraz kapitana Osękowskiego i Rębowskiego kapitana grenadyerów. Podobny los jaki spotkał pierwsze dwa bataliony, spotkać miał i trzeci batalion naszej 113tej półbrygady. Po przybyciu do wyspy San-Domingo, wylądowawszy w Port-au-Prince pod dowództwem generała Baudet, batalion rzeczony zajmował w departamencie zachodnim la Croix des Bouquets, Leogane, i Mirbalais. Często staczając utarczki z czarnemi, póty się trzymał, póki choroby szeregi walecznych przerzadzać nie zaczęły, wtedy utracił przeszło 600 ludzi. Tym sposobem w przeciągu niespełna pół roku, nie orężem, lecz śmiertelną zarazą zwyciężeni, z 3,700 ludzi, których 113 półbrygada liczyła pod bronią przy wylądowaniu na wyspę San-Domingo, zaledwo trzystu doliczyć się mogła, a ze stu kilkadziesiąt oficerów w czynnej służbie będących, lub nadkompletnych, zaledwo trzecia część przy życiu pozostała.

Gdy resztką naszych już osobnej komendy tworzyć nie mogła, generał Rochambeau, po śmierci kapitana generalnego Leclerc objąwszy naczelne dowództwo, rozkazem dziennym 113tą półbrygadę do 84tej półbrygady wcielił. Rozkaz ten jednakże skutecznym być nie mógł, z powodu niepodobieństwa połączenia rozrzuco-

nych po całej wyspie oddziałów z 84tą półbrygadą. Tym sposobem, oficerowie po większej części pozostali bez wojska, a wielu z nich, chociaż z trudnością, dostawszy pozwolenie odpłynienia do Europy, wrócili do Francyi. Gdy jednak liczba opuszczających wyspę San-Domingo coraz się powiększać zaczęła, generał Rochambeau wydał rozkaz wstrzymujący nadal pozwolenie wracania do Europy, wyjąwszy dla tych, których kalectwo raz na zawsze niezdatnymi do służby wojskowej czyniło.

Powiedzieliśmy już wyżej, jakie niepomysłne skutki wynikły dla oręża francuzkiego ze ślepego zaufania, jakie kapitan generalny Leclerc pokładał w swoim szefie sztabu Dugua. Słuchając we wszystkiém rad jego, oburzył przeciwko francuzkiemu rządowi całą ludność murzynów, stał się przyczyną buntu, i oderwania od metropolii wyspy San-Domingo. W owym prawie czasie, generał Dugua trucizną, jak wieść niesie, odebrał sobie życie.

Wkrótce po nim, to jest w nocy z dnia 1go na 2gi listopada 1802 roku, kapitan generalny Leclerc, dni swoje zakończył. Przed skonaniem, mocno ubolewał nad smutnymi wypadkami zaszłymi na wyspie, ubolewał nad losem straconego wojska, albowiem z 34,000 ludzi składających armią francuzką, zaledwo 3000 żołnierzy zostawało pod bronią. Tak skończył Leclerc, wódz niewielkich wojennych zdolności, polityk nieznający serca ludzkiego. Nie odgadł charakteru murzynów; zjednać ich sobie nie potrafił. W czasie wojny, obok największej czynności, wahający się, niemający swego własnego zdania, nadto niewolniczo był podległym woli 1go konsula, nadto ufał drugim, za mało sobie! Ciało jego na-

balsamowane, na wojennym okręcie francuzkim Szweicborne, małżonka nieboszczyka wraz z szefem brygady inżynierów Bachelu (*), przewieźli do Francyi (**).

Po śmierci kapitana generalnego Leclerc, generał Rochambeau, jako najstarszy stopniem, objął po nim tymczasowe dowództwo. Gdy na utrzymanie go przy tém dostojenstwie, prośba do pierwszego konsula od mieszkańców wyspy przesłaną została, Napoleon Bonaparte zaciągnął w téj mierze rady starego Rochambeau, którego jako ojciec, najstosowniejsze w téj mierze mógł zdanie udzielić. Zapytany waleczny towarzysz i przyjaciel Waschingtona odpowiedział, iż kto był złym synem, złym mężem, złym ojcem, nie może być zdolnym aby mu powierzono tak ważne dla Francyi dowództwo, gdyż bez cnót domowych, cnót publicznych posiadać nie można.

Pomimo tego, generał Rochambeau mianowanym został kapitanem generalnym wyspy San-Domingo. Skoro objął dowództwo, sprowadził z wyspy Kuby gromady psów wprawionych do wytropienia zbiegłych murzynów. Psy te większe od naszych kundlów, węchem wytropiwszy uciekającego, zmuszały go do zatrzymania się w ucieczce, a w razie oporu żywcem go pożerały. Gdy

(*) Antoni Mitral, w dziele swoim: *Histoire de l'expédition des Français à St. Domingue, sous le Consulat de Napoleon Bonaparte*, utrzymuje, że nie szef inżynierów Bachelu, ale Humbert, jeden z najprzystojniejszych oficerów wojska francuzkiego, towarzyszył Paulinie do Francyi. (*Nota wydawcy*).

(**) Skoro Paulina z ciałem męża swojego przybyła do Marsylii, na widok siostry Igo konsula okrytą grubą żałobą, idącą za trumną męża z małym dziecięciem na ręku, całe miasto przywdziało żałobę, a przystań i domy przystrojono czarnym kolorem. Napoleon przyjął siostrę w Paryżu ze łzami w oczach, i rozkazał z największą okazałością złożyć śmiertelne szczątki szwagra swojego w Panteonie.

psy rzucone już do Port-au Prince przybyły, użyto ich na próbę do rozszarpania murzyna wydobytego z więzienia. Potrzeba tu nadmienić, iż w owój epoce liczba uwięzionych bardzo była znaczną; więziono bowiem tych, na których padało podejrzenie należenia do buntu, a sami zaś mieszkańcy miasta, dla osobistego bezpieczeństwa, własnych niewolników pod straż miejscowej władzy oddawali.

Wybrano pomiędzy więźniami najsilniejszego murzyna, sprowadzono go do rządowego pałacu, wysokim murem obwiedzionego, poczem w przytomności generała Rochambeau, otoczonego licznym sztabem, puszczono psy, które na komendę, biędną ofiarę rozszarpały na miejscu. Po tak nieludzkiej próbie, generał Rochambeau wzięwszy psy z sobą, poszedł przez Leogana w celu opanowania małego i dużego Goave. Miejsce to, ponad samém morzem położone, połączone wzgórzami z Jacmal, gdzie się jeszcze załoga z 2go batalionu 113 półbrygady trzymała, było że tak powiem kluczem całego departamentu południowego, i ważnym strategicznym punktem dla francuzkiego wojska. Znali murzyni całą ważność tego punktu, mężnie zatem stawivszy się Francuzom, odparli ich ze znaczną stratą. Przy natarciu na to stanowisko, generał Rochambeau, rozkazał psów użyć, lecz skutek bynajmniej nie odpowiedział zamiarowi. Dobosz francuzki, ranny na placu bitwy pozostawszy, gdy psy krew poczuły, z taką zażartością rzuciły się na niego, iż pomimo prędkiego ratunku, obronić go nie zdołano. Odtąd już więcej psów nie używano do wojny.

Po téj nieszczęśliwój wyprawie, ośmieleni murzyni wymordowawszy załogę w Leogane, gdzie kilkudziesiąt Polaków śmierć znalazło, posunęli się aż pod mury miasta Port-au Prince.

Z początku murzyni obchodzili się jak najokrutniej z jeńcami polskimi. Dostyc będzie jedno przytoczyć zdarzenie, aby dać poznać czytelnikom moim, jakich męczarni ziomkowie nasi doznawali. Porucznika Madejskiego wzięwszy w niewolę, wsadzili go pomiędzy dwie deski i wzdłuż przepiłowali. Podobne pastwienie się nad nami pochodziło ztąd, iż Francuzi ciągle Polakami straszili murzynów, nazywając nas potworami karmiącemi się jedynie mięsem ludzkim. Później gdy się murzyni dowiedzieli z jakiego powodu wysłani zostaliśmy do San-Domingo, zmieniło postępowanie swoje z nami, i odtąd z jeńcami naszymi z największą ludzkością obchodzić się zaczęli. Paweł Louverture, dowódzca murzynów, zgromadziwszy pewnego razu Polaków zabranych w niewolę, ofiarował im ażeby pozostali w San-Domingo z wolnym używaniem wszelkich praw obywatelskich. Pomimo tego żaden Polak nie opuścił sztandarów narodu pod któremi walczył i nie korzystał z podobnego dobrodziejstwa. Po oswobodzeniu wyspy przez murzynów, gdy w nadanej konstytucyi zawarowano, iż cudzoziemcom nie wolno będzie posiadać żadnej nieruchomości na wyspie, wyłączono jednak od tego zakazu Niemców i Polaków. Skoro generał Rochambeau potwierdzonym został w stopniu kapitana generalnego, z Port-au-Prince przeniósł się do Cap-Français.

Śmierć generała Leclerc powiększyła obawę mieszkańców sprzyjających metropolii, a wszystkich oczy zwrócone były ku Francji. Spodziewano się przybycia nowej floty i wojska, czekano na nie, w nich bowiem ostatni spoczywał ratunek, zbawienie!

Tymczasem powstanie doszło do granic departamentu południowego, w którym dowodził generał La-

plume murzyn; ten piérwszy wykonawszy przysięgę wierności rządowi francuzkiemu, dotrzymał jój aż do ostatniej chwili istnienia kolonii. Płaszczyzny Cul-de-sac, okolice Mirbalais, i Grand-Bois, były jeszcze w posiadaniu francuzkiém; Port-au-Prince, Saint-Marc, Saint-Nicolas i Cap-Français; miały dostateczne załogi do odparcia napadu murzynów. Część hiszpańska opierała się jeszcze rokoszanom.

Po śmierci generała Leclerc, Krysztof i Dessalines, przez czas niejaki w nieczynności zostawali, poczém połączywszy siły swoje, na Cap-Français uderzyli i opanowali wzgórze wznoszące się nad miastem. Generał Rochambeau pomimo krytycznego położenia w którym zostawał, nie tracąc głowy, wystawił baterję w plantacyi Vertière, z której dobrze wymierzonym ogniem działowym wielką klęskę zadał murzynom i do cofnięcia się zmusił. Dotąd pomimo często niepomyślnie staczanych bitew, departament zachodni po większej części był jeszcze w mocy Francuzów, departament zaś południowy utrzymywany w posłuszeństwie przez walecznego Laplume, w kwitnym zostawał stanie. Nierozsądne, a bardziej jeszcze nie do pojęcia złośliwe obchodzenie się generała Rochambeau z mulatami, stało się wkrótce przyczyną utraty wyspy San-Domingo i reszty francuzkiego wojska. Leclerc uważając, że mulaci bardziej białym niż murzynom sprzyjają, wiele na nich polegał, sprzyjał im widocznie i umieścił ich w wojsku francuzkiém w tych samych stopniach, jakie posiadali wprzódy. Tém postępowaniem miał ich w każdym zdarzeniu na swoje usługi, gdyż był przekonany o ich niezachwianej wierności dla francuzkiego rządu.

Rochambeau przeciwnego zupełnie był zdania, a pierwszy krok jego po objęciu dowództwa generalnego, nader szkodliwe przepowiedział skutki. Przed wyjazdem swoim do Cap-Français, dał w Port-au-Prince bal na pożegnanie tamecznych obywateli, na któren wszystkich mulatów i murzynów obojęd płci, znajdujących się w mieście, zaprosił. Skoro goście weszli do pałacu rządowego, przejęci zostali strachem na widok pokoi, których ściany pokryto czarném suknem i oświecone były tysiącem świec z żółtego wosku. Dziwny ten pomysł sprawił na umysłach trudne do opisanie wrażenie. Zdawało się każdemu, że się nie na balu, lecz na obchodzie grobowym znajduje. Nazajutrz po owęj osobliwszój zabawie, Rochambeau udał się do Cap-Français, dowództwo w Port-au-Prince i w departamencie zachodnim zostawiwszy generałowi Quentin. Kiedy generał Leclerc przybył do wyspy San-Domingo, mulaci, prześladowani przez Tous-saint-Louverture, przeszli niezwłocznie na stronę Francuzów. Rochambeau nastąpiwszy po generale Leclerc, powinien był korzystać z przywiązania mulatów do sprawy metropolii. Wprawdzie Petion mulat, wiele przyczynił się wpływem swoim, że Clervoux przeszedł z wojskiem na stronę rokoszan, jednakże należało użyć z niemi obchodzenia się względnego, i nie obrażać ludzi tak pożytecznych w wojnie przeciwko murzynom. Generał d'Arbois dowodził w mieście Jeremie, położoném w departamencie południowym, w którym zamieszkała wielka liczba zamożnych mulatów, bardziej Francuzom niż murzynom sprzyjających. Generał d'Arbois, szukając niecnymi sposobami łatwego z bogacenia się, pod pozorem jakoby mulaci nie sprzyjali rządowi francuzkiemu, bez litości ich

obdzięrał. Więzienia napełnione były niewinnemi; póki kto co miał, do ostatka oddawać musiał, a skoro już nie miał do dania, z rozkazu generała zaprowadzony na okręt, niby w celu przetransportowania do Cap-Français, na pokładzie zamordowany, do morza wrzucony został. W tymże samym czasie, generał d'Arbois, przybyłego z Cap-Français do Jeremi bogatego mulata nazwiskiem Bardet, tymże samym sposobem uwięzić, ze wszystkiém go złupić, a potem jako podejrzanego utopić rozkazał.

Przebrała się nakoniec miara, a okrutne postępowanie francuzkiego dowódcy, stało się hasłem do ogólnego powstania mulatów w całym departamencie południowym. Położenie generała Rochambeau codziennie było krytyczniejsze; powstanie rozszerzało się we wszystkich trzech departamentach, a liczba wojska użytego do przytłumienia zbuntowanych coraz się zmniejszała. Jeden tylko generał Laplume, wszelkiemi sposobami chciał departament południowy w posłuszeństwie utrzymać, lecz gdy po dokonanych czynie z mulatem Bardet, wszystkie umysły wzburzone zostały, już trudno było dawną spokojność przywrócić. Wtém, podobny do powyższego postępek oficera, któremu Laplume podczas wyprawy swojej do Cayes dowództwo zostawił, pogorszył jeszcze sprawę Francuzów. Oficer ten wtrąciwszy do więzienia kilkudziesiąt mulatów z korpusu żandarmeryi kolonialnej, wszystkich potopić rozkazał. Chociaż za powrotem swoim Laplume popełnione nadużycie skarcił, a sprawcę onego ukarał, poczem rokoszan aż do zachodniego departamentu zagnał, przywrócić jednak dawny stan rzeczy nie zdołał, już bowiem było za późno!

Mulat nazwiskiem Ferrou, majątny właściciel wyspy, stanął na czele mulatów połączonych z murzynami, a za-

łożywszy główną swoją kwaterę w plantacyi Drouet, wywiesił sztandar rokoszu. W krótkim czasie liczba powstańców tak się powiększyła, iż Laplume zażądał od kapitana generalnego bezzwłocznych posiłków. W téj właśnie chwili, Rochambeau pozostawiwszy generałowi Clauzel dowództwo w Cap-Français, przybył do Port-au-Prince na czele tysiąca dwóchset ludzi wyborowego wojska. Natychmiast wysłał znaczny oddział złożony z Francuzów i-Polaków w pomoc generałowi Laplume. Tymczasem naczelnicy rokoszu, Ferrou, Cangé i Jeau-froid, zajęwszy Miragoane, Aquin, St. Louis i Cavaillon, zapędzili szefa brygady Hurto do l'Anse à Veau, oblegli miasto Cayes i wezwali do poddania się generała Laplume. Przybycie generała Sarrasin z oddziałem przysłanym przez kapitana generalnego, dozwoliło generałowi Laplume odeprzeć na chwilę murzynów. Lecz gdy powstania ze wszystkich trzech departamentów połączyły się z sobą, znikła nadzieja przywrócenia spokojności na wyspie San-Domingo, a na nieszczęście zabrakło nawet Francuzom potrzebnych środków utrzymania się w obronnym stanie.

W tymże prawie czasie, kiedy panowanie Francyi na wyspie San-Domingo już dogorywało, a z licznej niegdyś armii, gdzieniegdzie słabe tylko szczątki pozostały, oddawna spodziewana flota francuzka przepływała morza, niosąc ziomkom swoim pomoc i nadzieję.

Jużeśmy wyżej powiedzieli, iż po zawarciu pokoju w Luneville, część legionów polskich, wcielona do francuzkiego wojska, wysłaną została do San-Domingo, a druga część przeszła w służbę rzeczypospolitęj cyzalpińskiej.

Generał Murat naczelnie dowodzący włoską armią, wysłał generała dywizyi Chabot dla przyłączenia do swo-

jego dowództwa Polaków. Przybył z nim razem były minister wojny rzeczypospolitej włoskiej Vignolle, pod prezydencją którego, szef brygady Grabiński i szefowie batalionów Małachowski Kazimiérz, Zawadzki, Jasiński, Chłopicki i Białowiejski, wszyscy przez generała Murata na członków komitetu nowej organizacyi wybrani, mieli pierwszą legią przeistaczać, podług danej im instrukcyi. Tym sposobem sześć batalionów piechoty i artylerya piesza, podzielone zostały na dwie półbrygady. Każda półbrygada składała się z trzech batalionów, każdy batalion z ośmiu kompanij, każda kompania liczyła 220 ludzi pod bronią. Skoro organizacya tych dwóch półbrygad dokończoną została, pierwszą wcielono do pierwszej dywizyi, a drugą do drugiej dywizyi włoskiej. Pułk zaś ułanów, pod dowództwem pułkownika Alexandra Roznieckiego, pozostał przy generale Muracie.

W owym prawie czasie wybuchnęły zaburzenia w niektórych prowincjach i miastach włoskich. Pomimo że oficerowie drugiej półbrygady włoskiej, żyli zupełnie odosobnieni nie wdając się z krajowcami, zostając tylko w zażyłości największej z niektórymi oficerami z dawniej legii neapolitańskiej, pomiędzy którymi znajdował się szef brygady Aurore, gdy wszyscy znając dobrze szefa swojego Axamitowskiego od niego stronili, ten chcąc dać dowód swojego przywiązania do rządu, udał się czempredzėj do Medyolanu, celem zawiadomienia generała Murata o odkrytym przez niego spisku przeciwko Francyi i pierwszemu konsulowi. W skutek czego wysłane zostały śpieszne rozkazy aresztowania szefa brygady Aurore, dwudziestu zaś oficerów Polaków, przywieziono dla indagacyi do Ferrary i Bononii, gdzie w tymże samym czasie zaburzenia wybuchnę-

ły. Gdy się wnet pokazało, że do nich oficerowie polscy nie należeli, natychmiast wypuszczono wszystkich na wolność. Nie poprzestał na tém Axamitowski, a uskarżając się przed generałem Muratem na prześladowanie jakie od swoich doznaje, za przychylność do rządu francuzkiego, dodał, że z jego komendy wielu oficerów podało się do dymisyi, pomiędzy zaś żołnierzami nadzwyczajna panuje dezercya (*). Skoro Murat doniósł o tém raportem piérszemu konsulowi, we dni kilkanaście wyszło najwyższe postanowienie, mocą którego nieszczęsny los moich współziomków zawyrokowany został. Półbrygada będąca pod dowództwem Axamitowskiego, do czterech tysięcy ludzi licząca pod bronią, składała część dywizyi włoskiej pod rozkazami generała Pino.

Z początkiem 1802 roku, rzeczona półbrygada rozłożoną była w departamentach Crostolo, Panaro i Reno. Piérszy batalion stał w Reggio, 2gi w Modenie, 3ci wraz ze sztabem półbrygady w Bononii; tamże znajdowała się również główna kwatera dywizyi. Od końca maja cała półbrygada zgromadzoną była w mieście Reggio, kiedy 3go grudnia przyszedł rozkaz od generała Murata, ażeby miała się w pogotowiu do marszu. Rozkaz ten wprost przysłany szefowi brygady Axamitowskiemu, bez poprzedniego zawiadomienia o tém rządu rzeczypospolitój włoskiej. 6go grudnia Polacy już byli gotowi do marszu, tego samego dnia Axamitowski wezwany został do Parmy, gdzie zjechał sam Murat, a generał Ottavio za oddzielnym rozkazem generała Pino, przybył do Reggio, dla zrobienia przeglądu półbrygady,

(*) Był to fałsz największy, gdyż podczas wojen włoskich w oddziałach złożonych z Polaków najmniejszej nie było dezercyi, na to się nigdy Francuzi sami nie uskarżali.

wydania jój rozporządzeń potrzebnych, i karty dróżnej do Genui. W tymże czasie rozeszła się wieść, iż Polacy są przeznaczeni do San-Domingo! Nadszedł nakoniec dzień 10 grudnia 1802 roku przeznaczony do pochodu. W wilią dnia tego, Axamitowski powróciwszy z Parmy wieczorem, ogłosił, że generał Murat czeka na przybycie 2giej półbrygady, której przegląd osobiście chce zrobić. Wymaszerowali nakoniec Polacy z Reggio i naza-jutrz o godzinie 8ej z rana, weszli do miasta Parmy. Kiedy przednia straż jedną wchodziła bramą, drugą Murat do Mantui wyjeżdżał. Druga półbrygada tymczasem uszykowała się na placu wielkiej przechadzki na przeciwko książęcego zamku. Wnet potém przybył adjutant naczelnego wodza z ekspedycją do szefa półbrygady Axamitowskiego, któren zgromadzonym oficerom przeczytał co następuje:

„Pierwszy konsul, nagradzając zasługi i czyny waleczne drugiej półbrygady włoskiej, wciela ją do wielkiego wojska francuzkiego, nadając jój nr. 114^{tej} półbrygady liniowej francuzkiej; a chcąc ją do dalszych podobnych czynów zachęcić, przemaszerowuje ją do San-Domingo, gdzie zawsze najbardziej odznaczające się pułki francuzkie, za nagrodę wysyłane bywały. Nakoniec skoro tylko 114 półbrygada stanie na miejscu przeznaczenia swojego, oficerowie i żołnierze zostaną naturalizowani synami Francyi, z używalnością wszelkich praw i przywilejów obywateli francuzkich.”

Po odczytaniu tego postanowienia, „niech żyje 1szy konsul!” wykrzyknęli wszyscy, poczem półbrygada udała się do koszar. Gdy pierwszy szal przeminał, a zimna nastąpiła rozwaga, omamienie znikło i naga rzeczywistość przed oczami stanęła. Już wiadomym był los jaki spot-

kał 113 półbrygadę na wyspie San-Domingo, nie tajem więc było każdemu co go czeka (*).

Dnia 11 grudnia 1802 roku, 114 półbrygada wyruszyła z Parmy. Lecz skoro wyszła za miasto, przyłączył się do niej pułk strzelców konnych francuzkich ze 400 ludzi złożony, któren podzieliwszy się na przednią i tylną straż, dostał rozkaz eskortowania Polaków. Ten postępek dotknął wszystkich do żywego, był bowiem oznaką niedowierzania, na które nie zasługiwali bynajmniej ci, którzy tyle dowodów wierności i poświęcenia ciągle dawali Francuzom.

23 grudnia 114 półbrygada przemaszerowała do miasta Novi, gdzie otrzymała rozkaz zatrzymania się, dopóki w Genui przygotowania do przeprawy ukończonemi nie będą. Zkąd wyruszywszy, 30 grudnia przybyła do Genui, i zajęła obszerne zabudowania kwarantanny, lazaretto zwane, leżące pomiędzy morzem a przedmieściem Albano. 6go stycznia 1802 roku, podczas gdy półbrygada odbywała przegląd przed generałem Gardanne, naczelnie dowodzącym w Liguryi, zawięły do genueńskiego portu trzy okręta liniowe, które przywitawszy zwyczajną salwą miasto Genuę, na którą gdy ogniem działowym z nadbrzeżnych szanców odpowiedziano, wywiesiły banderę francuzką. Była to eskadra pod dowódz-

(*) Powiedzieliśmy już wyżej, że Napoleon Bonaparte wszystkich którzy mu byli na zawadzie w dopięciu jego zamiarów, lub którym nie ufał, oddalał z Francyi, a najczęściej wysyłał do San-Domingo. Pomiędzy temi znajdował się generał Władysław Jabłonowski. Pełen zdolności, wielkich nadziei, mianowany został dowódcą legii naddunajskiej. Znał go dobrze Bonaparte, z nim bowiem razem w szkole wojskowej w Brienne nauki pobięrał, i dlatego może wysłał go po za morza. Jabłonowski zginął w San-Domingo, w wyprawie przeciwko miastu St. Marc.

twem kontradmirała Bedout z Brest wysłana, a przeznaczona do San-Domingo.

Piętnaście dni upłynęło na przygotowaniach do przeprawy, i na zrobieniu dostatecznego zapasu żywności i wody. Przez ten czas, ukończono obrachunki półbrygady 114 z rządem włoskim, sprawiono dla oficerów i żołnierzy ubiory z kitlu drelichowego i kolorowe koszule, mundury zaś i broń w pakach przetransportowano na okręta.

Szef półbrygady Axamitowski, otrzymał tymczasem rozkaz zostania we Francyi i utworzenia zakładu z żołnierzy mniej zdatnych do morskiej podróży i wojennych trudów; chcąc jednak takowy zakład zapełnić, przymusu użyć musiał, gdyż żaden podoficer ani żołnierz nie chciał pozostać we Francyi, każdy chciał z braćmi swojemi dzielić dobre i złe koleje; chorzy nawet i ranni, opuszczali szpitale, cisnęli się na okręta, wołając, że chcą do San-Domingo płynąć!

Dzień 20 stycznia 1803 roku naznaczonym został przez kontradmirała Bedout do wsiadania na okręta, a tysiące ludu okrywając nadbrzeża przystani świadkami byli, z jaką uległością, z jakim porządkiem, poświęceniem się, bez najmniejszego szemrania, Polacy opuszczali ziemię, którą mała ich tylko liczba jeszcze oglądać miała.

21 stycznia ogłoszono rozkazem dziennym, iż generał Axamitowski za upoważnieniem naczelnego wodza zostaje w Europie z niektórymi członkami rady gospodarczej utworzonej przez niego, w celu odebrania od rządu włoskiego zaległego żołdu dla 114 półbrygady. Poczém Axamitowski zdawszy dowództwo szefowi batalionu Za-

górskiemu, pożegnał się z nami, a my z owym zaległym żołdem, którego już więcej oglądać nie mieliśmy.

Tegoż samego dnia wypłynął z genueńskiej przystani okręt liniowy *le Héros*, o 74 działach, przewożący siedm kompanij drugiego batalionu pod dowództwem Jasińskiego; za nim szedł okręt *l'Argonaute*, także o 74 działach, z banderą kontradmirałską, na którym znajdował się generał Spital dowódzca wyprawy, Zagórski zastępca szefa półbrygady, sztab, muzyka, i siedm kompanij z trzeciego batalionu pod dowództwem kapitana Tyssona. Dalej okręt o 74 działach *le Fougueux*, z siedmiu kompaniami 1go batalionu, pod dowództwem Kazimierza Małachowskiego; za nim fregata *la Pique*, o 36ciu działach, z dwoma kompaniami; fregata także o 36ciu działach *la Sagesse* z jedną kompanią, i okręt przewożowy *la Serpentine*, naładowany żywnością.

Zaraz po wypłynieniu z przystani, gwałtowna burza w różne kierunki rozpędziła flotę. 26 stycznia morze uspokoiło się cokolwiek, a nazajutrz okręt liniowy *le Fougueux*, odłączony od reszty eskadry, sam jeden płynął ku brzegom Hiszpanii, pomiędzy Katalonią, Walencyą, a Balearskimi wyspami. Pominąwszy przylądek Gates, już się do cieśniny Gibraltarskiej zbliżał, do przebycia której wiatr lubo pomyslny, nie był dosyć silnym. Pięć dni minęło, nim okręt *le Fougueux*, zdołał cieśninę przebyć. Przez ten czas malownicze widoki rozwijały się przed oczami ziomków moich. Z jednej strony miasta i zatoka Algiziras, gdzie portugalska flota na kotwicach stała, dalej miasto, przystań i warownia Gibraltaru, u nóg której na równinie świętego Rocha, załoga angielska odbywała wojskowe ćwiczenia; z drugiej zaś strony, skaliste wybrzeża Afryki, królestwo Fezu, Małpia góra, zatoka i twierdza Ceuta do Hiszpanii należąca.

27 stycznia, *le Fougueux* przepłynął cieśninę, nie widząc reszty floty; kapitan okrętu mniemał, że go o kilkanaście godzin wyprzedziła, i korzystając z pomyślnego wiatru, przed nim cieśninę przebyła i na ocean wpłynęła. Poczém z powodu że rząd francuzki w nieporozumieniu zostawał z Anglią za niedotrzymanie zobowiązań traktatu zawartego w Amiens, wiedząc że lada chwila rozpoczną się nieprzyjacielskie kroki, rozkazał aby wszystko było w pogotowiu do boju. Otworzono na okręcie strzelnice, zatoczono działa, amunicją w składach prochowych przygotowano, załoga zaś wraz z artylerją morską, codziennie na pokładach odbywała manewra. Siódmego dnia po przebyciu cieśniny, nastąpiła cisza na morzu, poczém nazajutrz pomiędzy godziną 10 i 11 przed północą, zerwał się wiatr gwałtowny północno-wschodni. Okręt próbł szybko oceanu wody blisko brzegów Afryki, kierując się potem ku zachodowi pomiędzy Maderą a wyspami Kanaryjskimi, obok wyspy Teneryf przepłynął, na której łatwo dostrzedz można było wierzchołek góry *pic de Tenerif* zwanój.

Od téj chwili zmierzając ku zwrotnikowi raka, podróż coraz się przyjemniejszą stawała, z powodu umiarkowanych wiatrów, wiejących ciągle od wschodu.

Skoro tylko okręt *le Fougueux* wstąpił w skwarną strefę, kapitan rozkazał porozciągać żagle ponad pokładem dla zasłonięcia ludzi od upałów słonecznych. Znając z doświadczenia szybkość biegu swojego okrętu, płynął nadzwyczajnym pędem po linii zwrotnikowój, a gdy pomimo tego nie spostrzegął reszty floty, wtedy dopiero przekonał się, iż w tyle za nim pozostać musiała jeszcze na Śródziemném morzu. Wtedy kapitan, odosobniony od dowódcy eskadry, zostawszy sam jeden pa-

nem swojej woli, kazał wydawać żołnierzom po całej porcy żywności, która dotąd stosownie do rozporządzenia kontradmirała, w trzech częściach tylko wydawaną była. Wesolą była chwila przepływu przez linię zwrotnika. W tym dniu dozwolono majtkom różnych zabaw i odbyto chrzest Neptuna. Pod samą linią zwrotnika, spostrzeżono wielką liczbę ryb unoszących się ponad powierzchnią wody za pomocą skrzeli, jak gdyby latały; łowiono także wędami ryby *galera* zwane, bardzo delikatnego smaku. Pomędzy wielu innemi gatunkami ryb znajdującemi się pod linią zwrotnikową, jest tak nazwana *la dorade*, wydająca się w morzu jakby najdroższemi wysadzana kamieniami, złotem i srebrem; wyciągnięta z wody, siedm przybięra kolorów, po zabiciu, staje się fioletową i jest dobrą do jedzenia.

Pomędzy morskimi rybami, jest wiele szkodliwych, któremi łatwo się otruć można, od czego chcąc się ustrzedz, trzeba wrzucić w rondel w którym się ryba gotuje, jakikolwiek kawałek srebra, któren skoro zezernieje, dowodem że ryba jest jadowita i jeść ją nie można.

Po przepłynieniu przez linią zwrotnika, okręt otoczony został rośliną wodną, podobną do winnego grona, która się ciągnie pasmami na pół mili długimi. Powiadają, że pokazanie się téj rośliny zwiastuje bliskość lądu, czego doświadczył okręt *le Fougueux*, gdyż tego samego dnia, tojest 11 marca 1803 roku przed wieczorem, spostrzeżono wierzchołek góry i poznano przylądek Samana, czyli wyspę San-Domingo.

(Dokończenie nastąpi).



KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź p. Józefowi A. Czajkowskiemu na jego krytykę mojej Grammatyki umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej.

Od czterech lat zostałem autorem w najważniejszym dla nas zawodzie, i pomimo zaręczeń i szumnych słów recenzentów o ważności krytyki (a), przekonałem się z ich rozbiórów, że powołania swego niepojmują. Ażeby ziomkowie lepiej zrozumieli co nastąpi, pozwolą mi w krótkości przedstawić dzieje mojego pisarskiego zawodu. W roku 1842 zacząłem wydawać moje *Rozprawy o języku polskim i jego grammatykach*. Zaraz najpiérwszy wystąpił niby recenzent i powiedział krótko a węzłowato: że one są *śmiesznym panegirykiem naszego języka*. Drugi nazwał *najniższem dziełem*, trzeci zaczął coś pisać, żartować, przyrzekł dalej rozbiierać, ale nie dotrzymał i chorągiewkę zwinął. Nie mogę powiedzieć, aby mi szczerze i sumiennie pracującemu, te łajzące wzmianki nie były bolesne: ale przecież *Orełdownik*, *Tygodnik Petersburski*, *Bujnicki*, *Mickiewicz* i *F. Jezierski*, oraz dwa pisma naukowe niemieckie, uwolniły mię od odpowiedzi. Po wyjściu *Grammatyki* w tym roku już i Galicya się odezwała: losem albowiem z grona

(a) Np. i samego p. J. A. Czajkowskiego we wstępie jego recenzji.

pewnego wybrany na harcérza p. *St. Pilat* wystąpił aż we dwu pismach: *Dzienniku m6d Kulczyckiego* i *Rozmaitoœciach* we Lwowie wydawanych. Nie wypadalo zamilcz6c: odpowiedzialem w tych¿e pismach chocia¿ na blahe zarzuty mi uczynione. Wkr6tce p. *J. N. Kamiński* w swoich *Rozmaitoœciach* umieœcił *Pogadankę*, w któr6j przez mrok i dymy przebijała się niechęc6 ku mojemu dziełu. Ale ¿e tego pewno nikt nie zrozumiał, od kl6tni daleki, zostawiłem rozdmuchom wiatr6w te mroki i dymy. Wkr6tce pot6m wysła recenzja p. *Czajkowskiego* w Bibliotece Warszawskiej œpiesznie do tych¿e *Rozmaitoœci* przez p. *Pilata* przesłana, na dow6d, ¿e gadanina jego ma swoj6 wa¿noœc. Szkoda tylko, ¿e zarzuty p. *Czajkowskiego* i *Pilata* zupełnie sã innego rodzaju! *P. Kamiński* za patriarchę w zawodzie językowym miejscowo okrzyczany, ju¿ œmiel6j za plecami p. *Pilata* i *Czajkowskiego* występuje, robi mi choć w przypisku przycinki, ka¿e do mojego dzieła dać *wymowne orzeczenie, indukcyã*, zaleca mi szukać *podstawy w metafizyce* (zapewne *osowiat6j* przez niego nazwan6j), *tak zwanych predykamentach, kategoriach* i ka¿e mi *wydemontrować ich byt szczeg6łowy, wzgl6dny, z bytu og6lnego, bezwarunkowego*. Na to nie odpowiedzialem i nie odpowiem, boby p. *Kamiński* mo¿e jeszcze kazał wejœc w jakã *zawisloœc magnetycznã z uczniem, kołem wiadomoœci moich w punkt ciasny sluchacza zamierzyć i ugodzić*, aby pot6m *punkt jasny, nieciasny ucznia roziskrzył się miłoœciã*, skorobym *nacelowal ani wysoko ani nizko, ale w srodek*. Mo¿eby mi wreszcie kazał *budować wie¿ę babilońskã*, powiedzi6c: *unum versum sum universum* i po t6m wszystkim *wywr6cić koziołka* przed publicznoœciã (b).

(b) Niech czytelnik, mo¿e nie ka¿dy wi6dzący o głębszych badaniach p. *Kamińskiego*, odmiennie drukowanych wyraz6w za ¿art z siebie nie bierze: znajdzie je w *Haliczaninie*, pod napisem: *O filozoficznoœci języka*. *P. Pilat*, jako uczeñ wdzi6czny, przy swoim artykule i p. *Czajkowskiego* *zawsze kadzi p. Kamińskiemu* na t6j zapewne zasadzie, a rzeczywiœcie szło o wa¿nã rzecz, o umieœzczenie w *malutkich Rozmaitoœciach* na dzieło naukowe recenzji.

Tak wielka liczba krytyków, którym niewiele miałbym rzeczywiście do odpowiedzi, zmusza mię jednak do usprawiedliwienia się przez szacunek dla dobrze myślącej publiczności i Biblioteki Warszawskiej, której wiele przedmiotów było pożywnym pokarmem dla ducha. Ale odpowiadać na ladajakie zarzuty rzecz jest niełatwa, muszę więc użyć sposobu podobnego, jaki w grze szachów się używa: aby podjazdami wywołać przeciwników do otwartzéj i rozumniejszéj walki i tak zapędzać do matni. Że p. *Czajkowski* liczę w rzędzie powyższych krytyków, muszę się usprawiedliwić.

1. I tak, p. *Czajkowski* z góry na mnie powstaje (w tém jedném zgodnie z p. *Pilatem*) za *cofanie języka o trzy wieki*, nazywa *śmieszłą rzezęą przywracać dawne formy*. Nie będąc z przyrodzenia gadułą, nie będę powtarzał, com w moich Rozprawach, w Grammatyce i później jeszcze dodatkowo p. *Pilatowi* odpowiedział w *Dzienniku mód i Rozmaitościach*. Ponieważ jednak p. *Czajkowski* śmielszy recenzent od p. *Pilata* pochwyił berło krytyki, a obowiązku uczenia się zaniechał i przyznaje się: że nie czytał moich Rozpraw, przeto trudniej z nim do czynienia. Przyznać wszakże muszą czytelnicy, że gdybym nawet jakąś powiastkę napisał mającą związek z piérwéj odemnie wydaną, zdaje mi się wedle mego rozsądku, że krytyk i tę piérwszą choć najnudniejszą przeczytałby musiał, bo inaczej dobrego osądu o drugiey wydaćby nie mógł. Cóż dopiéro w mojej pracy, w której Rozprawy są podwalinami, a Grammatyka dalszym ciągiem i rozwinięciem téj nauki zastosowaném? P. *Czajkowski* chcąc zburzyć ściany mojej budowy, szturmuje do niéj pod tarczą Mrozińskiego. Chcąc więc całkowicie znieść mojej pracy budowę, powinien skończyć na zburzeniu podwalin, ażeby ani śladu ich nie pozostało.

Mroziński piérwszy odważył się powiedzieć: że przyjaciele XVI wieku naszego, są największymi przeszkodnikami w doskonaleniu języka; za nim p. *Czajkowski* powtarza: a więc burzy wszystko, niech i ślady przeszlej narodowej

wielkości nie pozostaną! *Mrozińskiemu* (c) cośkolwiek odpowiedziałem; jego naśladowcom, gdy się upamiętają i po swój rozum do głowy pójda, odpowiem jeszcze kiedyś gruntowniej.

P. *Pilatowi* w pismach lwowskich wyżej wyliczonych dałem nauczkę: co krytyk pod utratą swój sławy wiedzieć i umieć powinien? Ale p. *Czajkowskiemu* boję się powtarzać tego: bo on sam z góry zdaje się coś rozumnego o krytyce chciał powiedzieć. W dalszym ciągu odzywa się p. *Czajkowski* do czytelników: co by oni powiedzieli, *gdyby mistrz zamiast tonów wyliczał oktawy?* a drugi mistrz *gdyby liczył tyle kolorów, wiele jest odcieni i kombinacyj każdego koloru?* Ja się zaś do niego tylko odzywam: co by on powiedział o sędzi, któryby potępił stronę przed przejrzeniem jej wszystkich dowodów? Otóż! ja tą stronę potępioną jestem i błagam o miłosierdzie, ale piérwój o przeczytanie moich dowodów, oraz ich zrozumienie i zbicie.

2. Gorszy się p. *Czajkowski* z takiego, wedle niego, mnóstwa brzmień naszego języka: ale nie raczy przekonywać ich fałszywości, czy narzutu, i oczekuje *wyroku od wszystkich ludzi mających jakiegokolwiek o języku i jego grammatyce wyobrażenie*. Bardzo wygodną drogę sobie obrał p. *Czajkowski*: aby za niego i do tego jeszcze krytyka, inni uczeni mówili! Zapomniał o tém, że niwyszyscy znają ten przedmiot, że choć go nieco rozjaśnił *Mroziński*, przecież go nie dokończył. Potrzeba więc nad tém pracować i ziomek oświecać. Kto będzie mówił do przekonania dowodami, ten u rozsądnych wyrok pozyska przychylny: ale i tu p. *Czajkowski* wystąpił jako nauczyciel uzbrojony tylko we wskazówkę i wyznacza nią uczniowi przedmiot do pracy.

3. Mówiąc o *dwógłoskach, trójgłoskach* przezemnie podanych, tak tylko rozumuje: *wstyd pisać dziś o tém*, i odkrywa przyczynę błędnego mego mniemania w tém, że m

(c) *Mrozińskiego* z asługi i błędy wymieniłem w Rozp. str. 156, 159, 161, 165, 166, 170, 173, 174, 183, 185, 196, 186, 201, 202, 209, 212, 213, 215, 218, 220, 330, 233.

j za samogłoskę (d) poczytał. Ja zaś jego mniemania o mnie błędnego przyczynę w tém odkrywam, że prócz *Mrozińskiego* i to tylko z nazwiska (jak się niżej pokaże), nikogo w piśmiennictwie gramatykalném nie zna, bo i *Kopczyński*, który zatrzymał język najpotężniej od zepsucia, dwugłoski i trójgłoski uznaje. *Mrozińskiego* zasługi wymieniłem w moich Rozprawach: ale dowiodłem i jego wpływu szkodliwego na zawrót główek. Jeżeli p. *Czajkowski* odpisze na moje niżej umieszczone zapytania, dokładniej mu jeszcze dowiodę téj rzeczy.

4. Mówiąc o moim układzie *przypadkowania* (e), śmieje się p. *Czajkowski* z ilości wzorów, i z wyliczania końcówek, które wskazują wzory, nawet wystawia wypadki w liczbach, wyjątków na setki liczy, odkrywa przyczynę tego w *braku wszelkiego systematu głoskowego*, uważa za niepotrzebne moje uwagi i objaśnienia, powiada, że pochodniki do gramatyki nie należą i t. d. Tak wiele zarzutów napozór tak ważnych, dla odkrycia nieznamomości i niesumienności p. *Czajkowskiego* pokrótce rozbiore.

a) Dziewięć wzorów przypadkowań rzeczowników podaje: a *Mroziński*, za którym tak garłuje p. *Czajkowski*, wiele podaje? Oto! na męzki rodzaj trzy wzory, na żeński cztery, na nijaki trzy. Dodawszy więc wszystko, wyniesie dziesięć wzorów. Już nie chcę wchodzić w obszerniejsze wykazanie nieładu tych wzorów: bo po co sławiony *Mroziński* zrobił swój trzeci wzór rzeczowników męzkich? dlaczego zamieszał swój wzór pierwszy rzeczowników żeńskich? a wszystkie wzory rzeczowników nijakich? Czyto do jednego wzoru należą np. *cielę* i *imię*? *Mroziński* więc zrobił więcej odemnie wzorów, a co gorsza zamieszał je prze-

(d) Tu także malutką nierzetelność p. *Czajkowski* popełnił: bo nie dodał tego, że ja nazywam *j* *graniczną* samogłoską. A dlaczego tak nazywam? znajdzie w moich Rozprawach od str. 26. Dodać jeszcze muszę i to, że o téj głosce najobszerniej napisałem, jako o takięj, o której różni różnie pisali i dotąd piszą.

(e) Dla pojęcia łatwiejszego, używam wyrazów grammatycznych *Kopczyńskiego*.

ciw własnemu układowi głosek. Jakiem przeto czołem może się naśmiewać p. *Czajkowski* z podziału moich wzorów? Powinien był raczej dowieść ich zbytku lub zamieszania, i to naocznie przekonywającemi przykładami.

b) P. *Czajkowski* wyliczył 82 końcówek rzeczowników z mojej Grammatyki: cóż ja temu winienem, że nasz język obfity tyle ich ma w imionach? a co gorsza, że kto się chce po polsku wyuczyć, powinien je mieć w głowie? Ale i tu dla pojętniejszych nie tak jest rzecz trudna, jak p. *Czajkowski* przedstawia, bo robiąc podziały wzorów powiadam np. „Wzór Iszy na imiona męzkie o twardych spółgłoskach” i wyliczam te spółgłoski. Wyliczenie więc tych spółgłosek nie jest utrudzeniem, bo je czytelnik poznał na str. 3 mojej Grammatyki, ale tylko jest dokładnością. Toż się stosuje i do innych wzorów.

c) Wyjątków na setki liczy; wypadki z dodania przypadków i wzorów w liczbach przedstawia. Gdyby policzył sumiennie, znalazłby w całym przypadkowaniu zaledwie kilkanaście wyjątków. Nie mogą się albowiem nazwać wyjątkami 2go wzoru imiona, które dla rozumowstwa naszego języka i jasności końcówkę z wzoru 1go przyswoiły do 2go przypadku. Niech uczeni tylko takie rozumne wyjątki robią, a nikt im braku natchnienia rodzinnego nie zarzuci. Wyliczam je dla dokładności, dla poszanowania zwyczaju powszechnego, wskazuję bezzasadne wyjątki i rozumowaniami nawracam na drogę narodową. W *Mrozińskiego* grammatyce, którą za największą doskonałość p. *Czajkowski* uważa, kiedy zechcę, tysiąc wyjątków wyliczę zupełnie tam opuszczonych.

d) Przyczynę wyjątków przezemnie podanych p. *Czajkowski* widzi w braku systematu głoskowego, że u mnie *niczém* system głoskowy *Mrozińskiego*, zem tego autora, zdaje się p. *Czajkowskiemu*, nie czytał. Tymczasem podział moich wzorów cały jest oparty na miękkich, zmiękczonych i twardych spółgłoskach. Niech mi wytknie p. *Czajkowski* miejsce, gdzie tego odstąpiłem? A jeśli tak nie jest, kto z nas czytał i zrozumiał lepij *Mrozińskiego*? Krytyka p. *Czajkow-*

skiego tak jest powiérzchowna, że nawet nad moim układem nie raczył się zastanowić, tylko się wprawiał w dodawaniu i mnożeniu moich zakończeń. Nie powtarzam tylko za *Mrozińskim* podziału głosek na *płynne, syczące, głosowe, odbite* i t. d. bo to niczego nie objaśnia, niczego nie ułatwia. *Mroziński* bystry, widząc niedostateczność i zamieszanie swoich wzorów, udaje się do wybiegu: że *prawidła*, a nie *wzory* w naszym języku panują, a obok tego przecie, jak widzieliśmy pod a) dziesięć wzorów stanowi. PP. krytycy nie przetrawiwszy dobrze téj nauki, a podobno niewiele nią posiliwszy się, zapewne mi także powiedzą: że *prawidła*, to zasada! Obaczmyż czytelniku tych prawideł ważność, kilka ich przytoczę. Tak np. *Mroziński* mówi: „jeżeli w jedném miejscu podniebienia wyrabiamy literę głosową odbitą, a po niej zaraz literę syczącą nieodbitą, na ówczas i pierwsza zamieni się na syczącą.” W drugiem miejscu powiada: „słowo wtenczas pomnaża liczbę swych sylلاب przybraną jedno-syllabną cechą, kiedy swój samogłoski nie odrzuca.” W trzecim miejscu: „słowo, które nie odrzuca swój samogłoski, przybióra po niej spółgłoskę, która samogłoskę nieodrzuconą przedziela od zakończenia cechowego” (f). Takich tysiące prawideł stanowi. Pytam się teraz was ojcowie i matki! czy wasze dzieci lepiej zatrzymają w pamięci podobne *prawidła* i te niby *przyczyny filozoficzne* w dziwne rusztowanie naukowe przystrojone, czyli prosty przyrodzony przechód wzorów opartych na zakończeniu i znaczeniu wyrazów? Dobrze to jest ubrawszy się

(f) Przyznać się jednak muszę, że choć czytałem *Mrozińskiego* i lepiej może jego wywód od p. *Czajkowskiego* pojąłem, zawsze *Mrozińskiemu* za podobne *prawidła* przeciwny byłem i za najwyższą doskonałość jego dzieła nie poczytałem. Nawet i do wypadków ostatecznych inaczéj doszliśmy. *Mroziński* pochwyił abecadło i z niem się ciągle bawi, zrównania podobne jak wyżej przytoczone, wyprowadza nieprzeliczalne, bo i odmian w naszym języku niemała liczba. Ja szczęśliwym losem zacząłem układać spisy wyrazów zakończeniami, a z tych porównania pokazało się, że tyl-

w szlafrok krytyka, za stolikiem sędziowskim zasiadłszy, pisać nagany i łajań nie skąpić! ale mój zawód zaczął się od uczenia dzieci języka polskiego. Czytałem im prawidła podobne powyższym *Mrozińskiego*: biędne nie rozumiały i doskonale zasypiały; z *Kopczyńskim* daleko lepiej poszło, ale gdy później na mój układ trafiłem, nowego ucznia we trzy miesiące więcej nauczyłem, niż pierwszych w półtora roku. Przekonałem się więc dotykalnie, że na najlepszą drogę dotąd trafiłem, i niech tylko nauczyciel weźmie moją Grammatykę w rękę i z niej wszystkie przykłady naprzód krędą na tablicy, później na czysto na papierze każe przepisać, po upływie czasu na przepisaniu tych przykładów potrzebnego przekona się: że uczniowie i odmiany i pisownią pojęli i głęboko w pamięć wrazili. P. *Czajkowski* powiada: że ja nie pojąłem, czego dziś wymaga się po grammatyce? Ciekawy jestem, czego możemy więcej wymagać po grammatyce, jak wyuczenia się języka? Niech mi p. *Czajkowski* objaśni. Jeżeli on, przejąwszy się głębokością obcą w tym zawodzie, chce tę głębokość niepojętą dla Polaków odkryć, to niech sam się potrudzi! Ja piszę, jak rozumiem, i chcę aby mię rozumiano: głębokość ciemną zostawiam p. *Czajkowskiemu*, *Kamińskiemu* i t. p. Ale niech ziomkowie będą na baczności, ażeby zamiast światła, dymów obcych nie pochwycili.

e) P. *Czajkowski* powiada: że moje uwagi i objaśnienia są niepotrzebne: nawet tak jest dobrodusznym, że jedną moją uwagę przytacza. Czytelnik może się przekonać, kto z nas powtarza słowa bez myśli.

f) Mówi p. *Czajkowski*, że i *pochodniki* do grammatyki nie należą, zapewne tylko dlatego, że ja starałem się je dokła-

*ko spółgłoski ostatnie i znaczenie wyrazów na odmiany ich wpływają, zboczeń zaś od wzorów jest przyczyną jasność mowy, jej dokładność i niecierpienie dwuznaczników. Możeż być zasada krótsza, jaśniejsza i odpowiedniejsza naszemu rozumowemu językowi? Natchnieniem zatem szczególniejszém (bo nie czytał Rozpraw moich) odgadł p. *Czajkowski* odstępstwa mojego ogólnego od zasad *Mrozińskiego*; ale grubo się pomylił nie dostrzegając niczego wspólnego z *Mrozińskim*.*

dnie wyprowadzić. Ale tą mową podnosi rokosz przeciw ubóstwionemu swemu *Mrozińskiemu*: bo wszakże i on prawidła podaje tworzenia przymiotników z rzeczowników! Moja wina zapewne dlatego wielka, że ja i o innych pochodnikach nie zapomniałem. Lubo tępe mam pojęcie, wedle zdania p. *Czajkowskiego*, o wielu rzeczach, pozwoli sobie powiedzieć, że i on wzrok nienadto bystry dostał w odgadnieniu moich zamiarów. W obu moich dziełach, w mowach dwa razy mianych w zakładzie Ossolińskiego, i w odpowiedzi p. *Pilatowi* dotknąłem; na jakiej drodze jest nasz język? Dziś wszyscy widzą, czy to co nas otacza, do kształcenia języka dopomaga? wszystkiego więc dotykam, wszędzie wskazuję wedle méj przemożności drogę, na której cokolwiek postąpiłem, o niebezpieczeństwach, o fałszywych (choć w todze uczonój) prorokach ostrzegam. Nie wiem zatem czy tak wielka jest moja wina, abym w pismach poważnych zamiast dowodów łajania spotykał? Lepiejby zrobił p. *Czajkowski*, gdyby, poznawszy język ludu prostego i swoich przodków, wyszukiwał błędów moich, które, ile ułomny, popełnić mogłem, i te błędy w miłości braterskiej i oświecaniu prawdziwém prostował. Gdyby tych poznał lepiej, z których się naśmiewa, gdyby historycznie przedmiot zgłębił, z przesądów i zarozumiałości dzisiejszym niektórym uczeńcom pospolitej, się otrząsł; przekonałby się, jakim krokiem nasz język dziś postępuje, i do czego zejść może?

g) Powiada p. *Czajkowski*: że ja 12 wzorów przymiotnikom naznačzam. Kto ma moję Grammatykę lub Rozprawy, niech raczy obaczyć, jak sumiennie mój krytyk postępuje? Bo wiem z pewnością, że cztery wzory postanowiłem. Chyba p. *Czajkowski* dostał exemplarz mocą *Belzebuba* pofałszowany! Oprócz tego dodaje: że *tępy* i *głupi* są jednego zakończenia. To już nie wiem czego jest skutkiem? Bo każdy widzi, że w pierwszym przymiotniku jest *p* twarde, w drugim miękkie! Ten podział także jest zgodny z zasadą *Mrozińskiego*. Niech więc powie otwarcie p. *Czajkowski*: czy to jest drugim jego rokoszem przeciw *Mrozińskiemu*?

czy jego niewyrozumieniem? To tylko niezawodna: że gdyby zmartwychwstał ten prawodawca głoskowy, pewnoby za ucznia swego p. *Czajkowskiego* nie uznał.

5. P. *Czajkowski* w rozbiórce mojego czasowania utrzymuje, że ja powiedziałem: iż zaczynać od trzeciej osoby uważam za *przyrodzeńszy porządek*. U mnie zaś na str. 265 jest tak: „uważam za porządek przyrodzeńszy *zaczynania od trzeciej: bo na oko łatwiejsze jest pojęcie tworzenia się od niej pierwszej i drugiej osoby.*” Nie widzę więc potrzeby zbijania p. *Czajkowskiego*, kiedy twierdzenie swoje osnuł na tak sfalszowanej mojej myśli. Każdy bowiem jasno widzi: że tu położyłem dlatego tylko *trzecią* osobę, iż tworzenie się z niej innych jest łatwiejsze. Powinienby raczej dowodzić p. *Czajkowski*: że ja źle wyprowadzam od tego pierwotnika.

6. P. *Czajkowski* zmieszawszy wszelki ład, wraca się do tego, co ja wyprowadziłem na początku Grammatyki i gniewa się za przemianę porządku przypadków. Jeżeli się myśłą zagłębimy, przyznać musimy pierworodztwo czwartemu przypadkowi nad drugim. Uczony *Jordan* nieco później w tém się ze mną zgadza. Pozostaje więc p. *Czajkowskiemu* dowieść swojego twierdzenia przeciwnego: a w tém dowodzeniu spodziewam się, że zechce pójść za zdrowym rozumem, a nie za innych języków grammatykami.

7. Żartuje też p. *Czajkowski* z tego: że od *przeszłego* czasu zaczynam w słowach, a nie od czasu *teraźniejszego*. Powiedziałem wyżej: że zasadą odmian naszego języka jest zakończenie i znaczenie wyrazów. Do rzeczowników i przymiotników łatwo było tę zasadę przystosować, ale do słów nikomu się nie udało: bo ich zakończenia pierwotkowego nie odkryto. Ja w czasie przeszłym odkryłem to zakończenie i ztąd tego czasu trzecią osobę liczby pojedynczej na rodzaj męzki *pierwotnikiem słowowym* nazwałem i od niego jasno i zrozumiale cały rozród odmian w słowach wywodzę. Powinien więc był pokazać p. *Czajkowski*: że nie czas przeszły jest *pierwotnikiem*, ale czas *teraźniejszy* i tego zaraz dowieść przykładami: a pokazał-

by, że jak wypada na osądzcę rozumnego postępuje. Radzę mu jednak aby się do téj rzeczy nie brał, bo widocznie o niej żadnego nie ma wyobrażenia.

Że słowo *być* inaczéj tworzy swe odmiany, o tém dokładnie podałem 266 — 269, i niepotrzebnie p. *Czajkowski* tu się kilką językami popisuje: bo każdy wie o tém i bez niego.

8. Z liczby *podwójnej* się śmieje, przytacza nawet na pośmiewisko swój przykład. Na to czyż mam odpowiadać? nie, bo to nie jest pokrzywdzeniem mojem osobistém, ale całego narodu, jest naśmiewaniem się z całej świetnej przeszłości, jest jéj zdeptaniem równie, jak żyjącej dotąd mowy ludu, jest prawdziwém *plwaniem w oczy* (jak pięknie się wyraża mój krytyk) *w dzień biały*. Ludzie cnotliwi, do rzeczy krajowych przywiązani, zbierają z troskliwością nawet odłamki pamiątek z ziemi wykopanych, pieniążki, na których oblicze swego dawnego króla zobaczą. P. *Czajkowski* naśmiewa się z tego piętna dawnéj naszéj mowy obfitości, lekceważy odgrzebane piękne wzory liczby *podwójnej*!

9. *Jakubowicz*, którego zdaje się jakotako poważać p. *Czajkowski*, nazwał czas od tego ostatniego wytknięty *zaprzeszło-przeszłym*. Nie chciałem więc przemieniać niepotrzebnie téj nazwy. Że nie okrzyłem tego czasu znaczenia, to może być skutkiem mojego zapomnienia, skutkiem i tego, że każdy Polak przeczytawszy przezemnie przywiedzione przykłady, zrozumie co one oznaczają? Ale przecież nigdybym się nie odważył za p. *Czajkowskim* nazwać ten czas *wyrażeniem omówném*, co daleko jest ciemniejsze od pierwszego.

Że p. *Czajkowski* żartuje z powtarzania dwa razy *byli* *byli* dla oznaczenia zaprzeszłości, od całego narodu i dobrych pisarzów używanego i tu się popisuje dzikim australskim językiem, to mié bynajmniej nie zadziwia.

10. P. *Czajkowski* powiada, iż dosyć było podać prawdziwa: że *t* zamienia się na *c*, *r*, na *rz*, *d* na *dź* i t. d. Ale przejrzyjcie czytelnicy! wszystkie odmiany rzeczowników, przymiotników, przysłówków i słów, a przekonacie się ja-

kiej ważności jest to prawidło? Nie będę przytaczał tu przykładów: bo moja Grammatyka każdemu na oko to pokaże. Woląłem więc częściej prawidło przemiany powtórzyć przy zdarzonej sposobności, aniżeli je niedołącznie, choćby za *Mrozińskim*, uogólniać.

11. Powiada p. *Czajkowski*: że ja na wzór czasowania słowa *daję, dajesz* i t. d. odmieniam słowo nijakie. To niesłychane z porządku już podobno *czwarte* fałszerstwo, fałszerstwo wszakże niezłośliwe, ale nieumiejętne, bo on nie pojął tego, co o słowach nijakich od str. 367 mówię, że i znaczenie słów, w skutek ogólnej języka zasady, na odmiany ich wpływa.

Przeciw *é* ściśnionemu za przykładem *Mrozińskiego* powstają zgodnie pp. *Pilat* i *Czajkowski* i zawsze mają słuszną przyczynę; bo trzeba się wyuczyć, gdzie ono być powinno? potrzeba przymusić usta do wydania tego pięknego półtonu, potrzeba przyzwyczaić ucho do tego narodowego brzmienia. Ale względem *e* otwartego zupełnie mają zdania przeciwne: p. *Pilat*, zatkawszy uszy na moje dowody, chce aby było *widzimy, musimy*; p. *Czajkowski* przeciwnie i słowom czynnym chce to *e* narzucić jak np. *czyniemy, życzymy, robimy, dziwiemy się*. Otóżto jest zgoda krytyków na rozumnych powodach, to jest na każdego *widzi-mi-się* oparta, w imieniu postępu głoszona! Oto są zasady pewne dzisiejszej krytyki! Jak tych dobrowolnie, podobno nawet i gwałtownie narzucających się przewodników nazwie naród? czy ślepemi, czy jedno-okowemi? ja nie chcę uprzedzać, a moję odpowiedź co do tego zachowam na zarzuty sumienniejszych spadkobierców drogiej spuścizny. Tu tylko to dodam: że jak usta dobrze ukształcone *é* ściśnione łatwo (jak i we francuzkim języku) wymówią, tak ucho nasze łatwo je rozróżni. Nadto to *é* jest potrzebne dla jasności mowy, Gram. str. 431 potrzebne w odmianach rzeczowników str. 28, 29, 54, potrzebne i dla rozwinięcia przyrodzonego odmian w czasowaniu, str. 367 i t. d.

12. Moje wyobrażenie o *składni* wielu uczonych ustnie i listami pochwaliło, a *Kraszewski* w Tyg. Petersb. publicz-

nie ważność moich myśli uznał. W Grammatyce *wyrazy* ze swemi odmianami są jakby ciałem ze swemi członkami: *składnia* jest duszą poruszającą temi członkami, jak narzędziami. Dopóki te członki, te narzędzia są w stanie nierozwiniętym, swemu przeznaczeniu nieodpowiadającym, dopóty mogą, owszem powinnyby być doskonalone i wykształcane. Lecz skoro odpowiadają już swemu przeznaczeniu, bardzo ostrożnie w odmienianiu i przeinaczeniu iść potrzeba, ażeby całej maszyny nie popsuć. I dlatego wystąpiłem z moją Grammatyką, w której nie tak prawidła i prawa z siebie stanowią, jak raczej przyrodzone językowi i użyciem wieków ustalone wzory wskazują, jakby jakie granice na rozhukanych, bez wędzidła żadnego *postępowców*. Ale składnia, jako dusza ująć się nie da w więzy, oprócz w więzy rozumowstwa, którego, jeżeli kto nie ma, prawidła nie stworzą. I dlatego o składni tak oględnie piszę. P. Czajkowski powstający na to nie zastanowił się, jak dziwnych rzeczy po grammatyce polskiej wymaga? i chce bym okuwał w kajdany istotę niepochwytą, istotę, której sam swobody największej zaprzeczyć nie może.

13. Przytoczywszy p. Czajkowski z mojej Grammatyki okres powiada o mnie: *więc u niego ile będzie słów, tyle okresów, a ile okresów, tyle zdań*. Kiedy u mnie jest tak: „jeżeli w okresie jest więcej niż jedno słowo, pospolicie spójnikami powiązanych, okres jest *złożony*, a od liczby słów oddzielnych nazwę przybierający *podwójnego, potrójnego* i t. d. Kiedy więc powiedziałem *złożony*, to ma się rozumieć z części, a nie z *okresów całkowitych*. Oprócz tego dwa razy tu użyty jest wyraz *okres*, a zawsze w liczbie pojedynczej.

Wyżej zaś powiedziałem: „jeżeli tylko myślę o jednej rzeczy, przedmiocie, osobie, bez porównania i stosowania jej do drugiej, bez robienia wniosków, taka myśl nazywa się *sądem*, słowami zaś oddana w mowie, lub na piśmie zowie się *zdaniem*.” Gdzież tu porównałem *okres* ze *zdaniem*? Jest to więc *piąte* z porządku fałszerstwo p. Czajkowskiego. Wybacz czytelniku! że takie błahе zarzuty zbijam; bo tu nietyl-

ko o obronę mojej Grammatyki idzie, ale też i o pokazanie złościwości krytyka.

14. P. Czajkowski przytacza myśl moją: że dla Polaków wskazanie rzędu słów przyimkami jest niepotrzebném. Rzeczywiście tak powiedziałem: ale widząc często wymijaną drogę narodową i w tym przedmiocie, więcej zrobiłem aniżeli moi poprzednicy, więcej objaśnień dałem. P. Czajkowski w to nie zaglądawszy, tylko uchwyciwszy za słowa zdrowej przestrogi, przeciw niej piorunuje. Czy wypada krytykowi pisać recenzje nie przejrzawszy wszystkiego?

15. Na uwagi humorystyczne nad moją *pisownią* nic nie odpowiem, bo i tu widać wszystkiego p. Czajkowski nie przeczytał. Proszę go tylko, aby pokazał, gdzie znalazł w mojej Grammatyce te wyrazy: *dyń, dryń, trzeń, zarańna, alexandryński*? Widać że p. Czajkowski *improvizować* bardzo lubi, co nie powinno mieć miejsca w takiej krytyce. Z tych jednak mnie narzuconych przykładów pokazuje się szkodliwe p. Czajkowskiego dążenie, wyrzucenia z naszego języka miękkich spółgłosek; wyraz tylko *ciełęcina* uważa on za najmiekszy wyraz, bo mu tak Francuz jakiś powiedział. Zwietrzały to wyskok dowcipu nieznających języka!

16. P. Czajkowski dalej naśmiewa się z *Kochanowskiego*, ze *Skargi*, z *mowy ludu* (g) i *Kopczyńskiego*, a nie wie, kto język od złego kierunku najsilniej powstrzymał? Naród też czoło *Kopczyńskiego* wieńcem, a jego imię czcią otoczył. Czy godzi się tak urągać ludziom znakomitym? Gdyby p. Czajkowski przeczytał uważnie wszystkie dzieła *Kopczyńskiego*, nie odważyłby się na pisanie takich krytyk. Ale on chętniej czyta o języku dzikich ludów Australii i poprawy podobne naszemu narzuca.

(g) W krytyce grammatyki *Srzeniawy* był p. Czajkowski w lepszym humorze, bo nawet cokolwiek pochwalił *Kopczyńskiego*, a o mowie ludu tak powiedział: „prostaczkowie nie doskonałą mowę ojców, ale też nie psują jej.” W tém ostatniém zgadzam się z p. Czajkowskim i dlatego w moich badaniach mowę ludu za drugie czyste źródło uważam i uważać będę, kiedy p. Czajkowski co pół roku swe zdanie odmienia.

Tak tedy gruntownie rozbióra moje Grammatykę p. *Czajkowski!* na takich mocnych dowodach się opiera! używa też i mocniejszych, to jest nierzadkich przycinków i dowcipkowań, bez którychby się obeszło w tak poważnej rzeczy pisząc. P. *Czajkowski* zapomniał: że krytyk dość dokuczyć może pisarzowi wyliczeniem i wykazaniem jak na dłoni błędów. Ponieważ tego ostatniego, najważniejszego osądźcy obowiązku p. *Czajkowski* nie dopełnił; przeto i ja nie widzę potrzeby dłużej się rozpisywać. Ale w obec wszystkich przyrzekam na nowo dokładnie mojemu obowiązkowi wyjaśnienia rzeczy odpowiedzieć, skoro mi p. *Czajkowski* bez żadnych wykrętów, ogólników, samowładnych postanowień, następne pytania rozwiąże:

I. W czym ja cofam język o trzy wieki?

Uwaga. P. *Czajkowski* w tym zarzucie zgadza się z ogólnikami p. *Pilata*. Temu ostatniemu w *Dzienniku mód Kulczyckiego* N. 19 i 20, oraz w *Rozmaitościach lwowskich* N. 39 ter. roku odpowiedziałem. Ale ponieważ chciałbym dowodnie wiedzieć i w szczegółach: w czym nasz język cofnąłem? przeto niech dobrze się p. *Czajkowski* zastanowi.

II. Które przezemnie stare *formy* podane gorsze od dzisiejszego wieku?

Uwaga. Ma się rozumieć: że p. *Czajkowski* dla przekonania rodaków, umieści obok przezemnie podanych i tegoczesne *formy*. Bo jeżeli tylko tę część wyrazów: *słowikowie, koniów, rodzaja, zmija, wzorowo, afryczański* jak *dandy* w robronie, wedle p. *Czajkowskiego* wyglądają, to mogą na to i dziś odpowiedzieć.

a) *Mroziński* powiada: że *słoń* ma 2 przyp. licz. mnog. *słoniów*, a koń, *koni*. Już pomijam nawet użycie dawne, dzisiejsze u pospólstwa dobrze mówiącego, a przez *Kopczyńskiego* w pośmiertnej grammatyce w prawidło wzięte; ale pytam się jakim prawem mógł *Mroziński* połamać wzory przyrodzone naszego języka? Wszakże *słoń* i *koń* są zupełnie jednego rodzaju, jednego zakończenia! Oprócz tego imiona żeńskie np. *broń, pogoń* i t. p. mają ten przypa-

dek *bronі, pogoni*. Proszę mi więc powiedzieć bez ogródki: czy zamieszanie to wzorów i rodzajów przeciw mowie dawniej i ludu, dowodzi postępu i potrzeb cywilizacji jakiejś? U mnie wyjątku podobnego nigdzie p. *Czajkowski* nie wskaze!

b) *Mroziński* powiada: że rzeczowniki na *a* zakończone, w których przybierającą głoską jest miękka spółgłoska, mają 4 przyp. na *a*, np. *stajnią, studnią*, i t. d. A że wyraz *źmija* ma przybierającą miękka spółgłoskę; cóż dziwnego, że toż zakończenie nadałem stosownie do użycia wieków i ludu? Czy tu p. *Czajkowski* nie *trzeci* rokosz przeciw *Mrozińskiemu* podnosi? Nadto może znaleźć w samym *Mrozińskim* jeszcze inną przyczynę, znajdzie i w moich Rozprawach od str. 173 zacząwszy. Jeżeli sumiennie i dla dobra języka p. *Czajkowski* chce ze mną walczyć, powinien i moje Rozprawy choć w tém miejscu przeczytać, pomimo wyraźnego z góry odmownego postanowienia.

c) Dlaczego używam *rodzaja* w 2 przypadku? objaśniłem w Grammatyce na swoim miejscu, w Rozprawach od str. 220. A teraz zapytuję w czém samogłoska *u* daleko później od nieznaności w ten wzór wprowadzona, ma być lepszą od *a* przedwiecznej? i czy p. *Czajkowski* dowodzi jakiegoś wyobrażenia zdrowego o postępie, skoro sprzeciwia się końcówce przedpiśmiennej jeszcze, a co większa jasności mowy tyle dopomagającej? Kto z nas prawdziwie cofa język?

d) *Słowikowie* objaśniłem w Grammatyce na swoim miejscu, a teraz tylko p. *Czajkowskiego*, także za *Mrozińskim* powtarzającego zapytuje: czy postęp dzisiejszy tak jest wielki, jak mu się marzy, kiedy odcieniowanie zakończeniem wyrazu jego znaczenia, własność zaszczytną naszemu tylko językowi właściwą odrzuca, i ułomne języki naśladować usiłuje?

e) *Wzorowo* przysłówek od *wzór*, kolejną przyrodzoną naszemu językowi utworzony i odemnie zamiast *foremnie* użyty, dlaczego ma być gorszy od tego ostatniego z obcego wyrazu *forma* utworzonego? Czy na używaniu obcych wyrazów *foremnie, rekomendacyjny, hipoteka, dank, fenomen,*

realny, utilitarny zależy także postęp języka naszego, dlatego tylko: że p. *Czajkowski* je powtarza bez potrzeby? Bo wszakże tego znaczenia mamy pewne i ustalone swoje wyrazy!

f) Nasze wyrazy np. *Łąka, Wisłoka* (h) stosownie do zasad samego *Mrozińskiego* tworzą przymiotniki *Łączkański, Wisłoczański*, lub przez skrócenie *Łączki, Wisłocki*. Dlaczegoż tak śmiesznym się wydaje p. *Czajkowskiemu* przymiotnik *Afrykański*, a przez skrócenie *Afrycki* od *Afryka* pochodzący? Czy tu w natchnieniu narodowym jest za przymiotnikiem wyższych stanów *Afrykański*?

IV. Raczy p. *Czajkowski* swoje abecadło wyliczyć: abym się dowiedział, które moje głoski, dwugłoski, i trójgłoski są dziwolągami? a które chińskimi z *pazurkami* głoskami? Nakoniec i to raczy powiedzieć, czy *au, eu* są dwugłoskami, czy czemś inném?

Uwaga. Ja tego w Rozprawach od str. 25 oraz na str. 145 i 146 wywód zrobiłem. Nie chcąc dziś powtarzaniem nudzić, czekam na zbiecie zamieszczonych tam przyczyn.

V. Gdzie u mnie niczém jest system *Mrozińskiego*?

Uwaga. Ma się rozumieć co do podziału tylko głosek na twarde, miękkie i zmiękczone; bo to tylko jedno za najważniejszą zasługę (choć o tém i pierwiéj wiedziano) *Mrozińskiemu* przypisuję. W innych rzeczach odstąpiłem dla ważnych powodów.

VI. Jeżeli moich dziewięć wzorów na rzeczowniki jest za wiele, to zapewne któryś z nich niepotrzebnie się dołączył. Proszę więc p. *Czajkowskiego*, aby raczył wskazać:

Który mój wzór, z którym ma być połączony dla zmniejszenia ich liczby, dla skrócenia nauki, jak powiada p. *Czajkowski*, dziś tak potrzebnego? a oraz niech doda:

Którą liczbę, który przypadek dzisiejszy postęp wyrzucić lub odmienić zaleca?

Uwaga. Jeżeli p. *Czajkowski* mniejszej liczby wzorów *przykładami* dowiedzie; pozwolę mu zatrabzić na zwycięztwo i uznam swoje nicość. Pewny jednak jestem: że ta

(h) Nazwy wsi.

ilość wielka wzorów właśnie stanowi naszego języka rozmaitości zaletę, której powierzchownym krytykom naród odebrać nie pozwoli.

VII. Powiada p. *Czajkowski*: że u mnie niemasz żadnego układu, proszę więc jego o nauczanie mnie:

Coto jest układ dzieła naukowego i na czém zależy?

A przytém niech przytoczy:

Które są moje prawidła bez związku? a myśli bez użytku?

Uwaga. Dotąd jeszcze rad byłem z mego układu: bo na wszystkie zarzuty krytyków, których szereg p. *Czajkowski* kończy, znajdują się odpowiedzi przewidziane i na swoim miejscu, a dzisiejsza jest powtórzeniem rzeczy w Grammatyce dowiedzionych, których p. krytyk albo nie czytał, albo nie chciał rozumieć. Co większa, przepowiedziałem zawczasu w przedmowie do Grammatyki: jacy recenzenci najpierwsi się pokażą? i prosiłem ich o uzbrojenie się w naukę.

VIII. Niech raczy p. *Czajkowski* zawyrokować:

Czy w naszym położeniu pracować można nad językiem bez podstawy historycznej? bez porównania języka dawnego i dzisiejszego? bez zajrzenia do mowy ludu? bez znajomości złotego piśmiennictwa? Czy tylko doś jest usiąść za stolikiem i piórkiem bujające samopas myśli zebrać i te za prawidło nieomyślne narodowi narzucić?

Uwaga. PP. *Pilat* i *Czajkowski* mając mętne o postępie naszego języka wyobrażenie, nazywają *gładzeniem* języka obcinanie jego dawnych rozłożystych konarów, *obfitością*, powtarzanie obcych wyrazów, choćby nawet były własne, *cywilizacją*, wskazanie na wygnanie wieczne starych wyrazów.

IX. W czém zależy postęp języka biorąc go tylko w granicach Grammatyki mojej?

Uwaga. Chcąc dać zdanie o jakimś autorze postępie, powinien krytyk sam się naprzód pomykać, a nie około grobu *Mrozińskiego* się błąkać. Wreszcie przywiązywać się do jednego *Mrozińskiego*, czyto już jest być postępowym?

Ja odkryłem otwarcie szkodliwość *fabryki* tak zwanéj *postępowej* przez niektórych uczonych założonej na psucie

języka stopniowe: po części spełniłem sumiennego przestrzegacza obowiązki, i jeżeli Bóg pozwoli, wypełniać będę.

X. P. *Czajkowski* przybrał względem mnie ton nauczycielski, często dość dotkliwie swoją przewagę czuć daje, pytam się:

Na czém tę przewagę zasadza? na jakich swoich dziełach? Niech raczy wymienić swoje prace naukowe w tym zawodzie zapewne ważne: bo do mnie parafianina, żadne dzieło jego nie doszło, oprócz grammatyki *Srzeniawy* rozbioru.

Uwaga. Ten rozbiór humorystycznym jest więcej po dobrym obiedzie listem (bo i sam autor pisze: *zacząłem w dobrym humorze*) niż krytyką. Przy końcu tego listu przyznaje się otwarcie: że przeczytać tego dzieła całkowicie nie ma ochoty, a obok tego głębokie myśli *Srzeniawie* duchem wieszczym przyznaje. Mnie się zdaje: że i moja Grammatyka również uważnie jak *Srzeniawy* była czytana i tak głęboko rozważana, tylko już w gorszym *humorze*.

Jeżeli mi na to wszystko (od odpowiedzi na liczbę X p. *Czajkowskiego* uwalniam, bobym mu zrobił wielki kłopot) odpowieć mój krytyk jak należy na uczonego i poznającego choć późno swoje powołanie, będę się starał moją sprawę jakkolwiek przed rodakami bronić. Wyrok na nas obu zapewne naród wyda, co do mnie choć na spóźnionym poprzestane, bo mię nie osobista jaka korzyść, lecz wyższe cele których p. *Czajkowski* nie dostrzega, do pracy tej zaprzęły. Może w moich dalszych odpowiedziach i ważniejszych się rzeczy dotknę, może i przyczynę wycieczek wielu dzisiejszych uczeńców na wiek nasz świętyn XVIty przed ziomkami odkryje.

Jeżeliby w odpisywaniu p. *Czajkowski* uczuł napad mnie połajania, niech się powściągnie, ręczę że najwięcej mię upokorzy, jeżeli moich błędów dowiedzie. Łajania same niczego nie dowodzą, ale są zawsze *niedorzecznością*. Niech dowody odkrywają krytyka rozum i naukę, a nie uroszczenie do nich niesłuszne, bez zasady: piórkiem trudno omaić tak rozum, jak kuglarze laseczką łudzą patrzących oczy

Mając tyle rzeczy do powiedzenia, nie chciałem ich okraszać powiastkami i odezwami (apostrofami) jak p. *Czajkowski*. Skoro jednak rozwiąże moje zapytania, dowiódłszy jeszcze dokładniej jego nieznamomości rzeczy, będę miał sposobność i większe prawo i tego po jednej sztuce przynajmniej w upominku mu złożyć.

Niektóre rzeczy i w mojem dziele chwali p. *Czajkowski*, upewniam jednak: że jego nagany większą mi chlubę i zasługę u rozumnych ludzi przyniosą, niż pochwały.

Nieodpisanie na powyższe moje pytania, zda mi się dość ważne; nietylko ja, lecz zapewne i wszyscy ziomkowie wezmą za ucieczkę p. J. A. *Czajkowskiego* z pobojo-wiska.

Pisałem w Łancucie, 1 listopada 1846 roku.

Jan Nep. Deszkiewicz.

Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława III, przez Ł. Gołębiowskiego b. czynnego członka i sekretarza b. Towarzystwa Kr. Warszaw. Przyjaciół nauk. Warszawa, druk Orgelbranda, r. 1846. Tom I, str. XXV. 573. T. II, str. 478 in 8vo.

Epoka Jagiełły, ostatniego apostoła wiary chrześcijańskiej w Europie, nietylko nas obchodzi, lecz i dla niej nie może być obojętną. Owszem, jest ona żywotną częścią dziejów całej ludzkości. Jagiełło dokonywając w XIV wieku obalenia jedyne-go już poganizmu między chrześcianami europejskimi, stał się rozkrzewicielem nowej cywilizacyi i głównym narzędziem zupełnego przekształcenia i przemarodowienia licznych i rozległe posady zajmujących pokoleń. Syn jego Władysław III, był rycerzem i obrońcą téj samej sprawy, i téj samej cywilizacyi, na inném polu i z innemi przeciwnikami. Oba pod względem potęgi i znaczenia zewnętrznego wysokie zajeli stanowisko w Europie. Ztąd łatwo

jest pojąć jak wielkie jest powołanie tego, który się odważy na skręcenie tak wspaniałego obrazu, który ściągnie śmiałą rękę do przedstawienia w właściwem świetle owój przeszłości tylu wypadkami brzemiennej, onych mężów czynu, co silną wolą swą i duchem czasu uniesieni, wywołali sprzeczne z sobą żywioły, do zbratania się na długie wieki. Do takiej pracy w swoim czasie zdolny był Naruszewicz, i dał tego dowód zostawując po sobie dzieło wielkiej wartości, którego los przeciwny znużenie dokonać nie pozwoliły. Czacki, ów niezmordowany w enocie i pracy Czacki, miał być jego następcą, miał doświadczoneń piórem w nowe księgi wpisać dalsze dzieje, wielkimi burzami kołatanego narodu. Ale Czacki nie był jedynie pisarzem, jak Naruszewicz; czas jego był rozdzielony między czynem a piórem. Zamiast historyi, zostawił olbrzymiej nauki i ceny monografie i materyały, może ważniejsze i chlubniejsze dla niego jak tamta, gdyby ją wykonał bez takiego talentu pisarskiego jaki był udziałem Naruszewicza. Po takich próbach i usiłowaniach, p. Gołębiowski spoglądając jak sam powiada w przemowie, ze smutkiem na pozostałe zbiory, w tej chwili właściciela któryby z nich mógł użytkować, pozabwione, postanowił z treści szacownych dokumentów, zebranych w bibliotece poryckiej, której był przełożonym, ułożyć dalszy ciąg dziejów polskich, zajmujący epokę panowania domu Jagiellońskiego. Tam gdzie nic niéma, dobrze jest że się coś robi, i że się nie opuszcza zręczności do zrobienia tego co można. I dlatego też p. Gołębiowski zasługuje na wdzięczność czytelników, że się odważył dla zaspokojenia sumienia swego i przez miłość nauki, ponieść pracę, mając wzgląd nie na siły własne i okoliczności swoje, lecz jedynie na skarby około siebie zgromadzone. Autor czyniąc wielką przysługę dla dziejów krajowych; raz, przez opisanie obszerniejsze okresu dziejów naszych, którego nikt przed nim nie dotknął w języku krajowym, drugi raz, przez ogłoszenie wiadomości autentycznych a mało komu znanych, nie dopiął jednak tego co zamierzył. Lecz i nie mógł dopiąć pomimo najlepszych chęci, bo nie czyniąc nawet porównania

zdolności jego z talentami poprzedników, zakładał wiele nie tylko co do sił swoich, ale co do rozległości pola, na którym przed zaczęciem uprawy, trzeba było zarośle i korzenie uprzętać. Najpiérwszą wadą w pracy autora jest sam układ, sama myśl naśladowania pisarza historyi angielskiej z przeszłego wieku, Roberta Henry, który podzieliwszy całą przestrzeń życia narodu angielskiego na osobne przedmioty, oddzielnie opowiedział historią polityczną, oddzielnie administracyjną i kościelną, oddzielnie nakoniec naukową i wojenną swojego kraju, a jednakże opowiedział to w jedném wielkiém dziele, stanowiącém całość. Henry tak zrobił jak malarz, coby chciał zamiast poważnego obrazu wystawującego czyn pamiętny bohatera, porozdzielać pędzlem przestrzeń ramami objętą, na mniejsze obrazki, i w nich odmalować sceny wyrażające uczucia i postęпки które miały pobudzić tegoż bohatera do heroicznego i godnego pamięci dzieła. Zniknęła wielkość przedmiotu z całością, zmałał bohater, a twórca obrazu stracił czas i zasługę. Wreszcie co innego pisać monografie historyczne, co innego nawet tak dziwacznym sposobem skręślać dzieje narodowe dla Anglików, gdzie już tyle pracowano w tym przedmiocie. Ale u nas tak ubogich w dzieła historyczne, niemających nawet ciągłego zarysu swojej historyi, czyż podobna chcieć rozrywać i utrudniać uwagę czytelnika, a nawet gubić go w odmęcie niespolonych z sobą wiadomości o życiu narodowém jego przodków? Henry pracowity kompilator, niemający wyższego talentu, obrał sobie drogę, jaką nie powinien był postępować pisarz polski, choćby był tak odległy w zdolnościach swych od Naruszewicza, jak tamten od Hiuma. Za tym jednak przykładem poszedłszy p. Gołębiowski, zaczął pisać dzieje wiekopomnych dla nas Jagiellonów, ale siły wiekiem stargane, nie dozwoliły mu dokonać zamierzonego dzieła. Dwóch za ledwo królów tego wielkiego rodu, opowiedział autor znamienite czyny, a i te skończył tylko w zupełności podług obranego systematu, co do polityki i wojen: reszta wiadomości pozostała w rozprawach, sięgających nawet dalszych panowań ich następców, do których zdaje się że miał pó-

źniej ostatnią rękę przyłożyć. Nie dotknął autor żadnych faktów poprzedzających wstąpienie na tron Jagiełły, nie wystawił stanu kraju przed tym wielkim wypadkiem, spuszcza-
jąc się w tej rzeczy na Naruszewicza, którego chciał być kontynuatorem. Wyniknął ten niedostatek z samego układu dzieła, bo dopiero przy końcu jego (T. II. str. 149) znajdujemy uwagi o kształcie rządu i władzy królewskiej, ale i tu pominięta epoka Jagiełły, i mowa tylko o synie jego Władysławie Warneńczyku. Rozdział I, obejmuje same zapasy z Krzyżakami na Litwie; o Polsce zapomniano zupełnie. Dopiero w rozdz. II, opisana walka z księciem Opol-
skim; pasowanie się zaś króla z arystokracją wielkopolską, odzyskanie Rusi Czerwonój i urządzenie stosunków z książętami szlązkiemi, uważane przez autora jako *pomniejsze wypadki rządowe*, opowiedziane są sposobem kronikarskim. Tymczasem wypadki te, z których się rozwinęły później nowe losy dla Polski, wymagały głębszego zastanowienia i wyłuszczenia. Objasnienia zwłaszcza co do usamowolniania się szlachty i nabywania coraz większej przewagi w rządzie, trzeba znowu szukać w T. II, od str. 158, pod artykułem *kształt rządu, duchowieństwo, szlachta*. Tym sposobem rozerwana uwaga czytelnika, gubi wątek całej powieści. Najlepiej obrobiona ta część dzieła p. G, która wystawia stosunki Polski i Litwy z zakonem teutońskim w Prusiech. Oprócz bowiem ogłoszonych już w owym czasie wiadomości o tej epoce przez Kocebugo, oprócz wydanej kroniki Lindenblatta, szacowne rękopisma biblioteki puławskiej, pomnożonej skarbami zebranemi w Porycku przez Czackiego, dostarczyły autorowi obfitych źródeł do tak ważnego przedmiotu. Długosz był przewodnikiem co do dat i ciągu wypadków zaszłych w panowaniu i działaniach Jagiełły w obu krajach jego państwa. Karamzina pilnował się nieodstępnie wtenczas, kiedy szło o wyłuszczenie wypadków zachodzących z państwami ruskimi. Podobnież stosunki króla z Witowdem, rozwinął autor szerzej niż dotąd je znano, bo miał dostateczne o nich wiadomości z autentyków i kopij

tak biblioteki puławskiej, jako i metryk koronnej i litewskiej. Wreszcie Dogiela Kodex był mu wielką pomocą. Nie możemy tego powiedzieć o sprawach Jagielly z Węgrami i Zygmuntem Luxemburczykiem. Na samych niemal dziejach węgierskich Praya, oparł p. G. wszystkie swoje podania, nie zasięgając głębszych w tym ciekawym przedmiocie wiadomości. Zygmunt cesarz gra wielką rolę w historii polskiej za czasów Jagielly, jego wpływ przeważny na politykę polską, potrzebuje rozciąglejszego wykładu i bystrego poglądu na ówczesny stan wschodniej Europy. Niedostatek ten również czuć się daje w tomie drugim, gdzie autor w sześciu rozdziałach (str. 1—145) opisuje panowanie Władysława III, nie wdając się w bliższe rozpoznanie tego, co było szkodliwem dla narodu w tém połączeniu dwóch koron węgierskiej i polskiej na jednej głowie, i w koniecznym ztąd zaniedbaniu spraw Litwy, bliższych i pożyteczniejszych dla Polski, od nowych stosunków z Węgrami. Główną część tomu drugiego stanowią: *Uwagi i wiadomości o stanie kraju, jego rządzie, prawodawstwie i sądownictwie, o dochodach, duchowieństwie, oświeceniu* i t. d. za Jagiellonów. Istotnie wiele tu jest rzeczy ciekawych i nauuczających, zwłaszcza tam, gdzie autor sięga do nieznanych źródeł, to jest do rękopismów. Jednakże sąto pojedyncze rozprawy, niepowiązane z całością, i stosują się raczej do epoki Kazimiérza Jagiellończyka i synów jego, jak do samego założyciela téj dynastyi. Rozprawa o miastach, prócz kilku faktów w przypisach umieszczonych, jest tak szczupłą i powierzchowną, że żadnego wyobrażenia czytelnikowi dać nie może o swobodach municypalnych, jakie królowie z rodu tego, w Polsce i Litwie ciągle starali się upowszechniać i mnożyć. Wreszcie takie oddzielne traktaty i w taki sposób napisane, same przez się małej są pomocy dla historii, bo już inni rozciąglój je wyłuszczyli; byłyby zaś ważniejszymi, gdyby autor też same wiadomości rozsiał w ciągu swojej powieści, albo je ściślej i systematyczniej z nią połączył. Do wymienionych tu usterków autora, dodać musimy zaniedbanie zupełne geografii litewskiej, którą

jednakże pisząc tyle o Litwie, należało bliżej poznać. Tak zawsze p. G. Wielonę, miejsce sławne w dziejach litewskich i pruskich, mianuje Wieluniem, nie starając się poprawić błędu Długosza; Gartnę, to jest Grodno, umieszcza na Żmudzi; rzekę Dubisę, nazywa Dubiszą; Mińsk miasto, Menesk i t. p. Ale pomimo tylu wad, któreśmy znaleźli mianowicie w układzie samego dzieła, i niewykończeniu jego należytem, wypada nam wyznać z całą sumiennością bezstronnego recenzenta, że ogłoszenie tej pracy p. Gołębiowskiego jakkolwiek przedawniałej, jest ważnym zjawiskiem w literaturze naszej historycznej. Bo naprzód, nie mieliśmy dotąd żadnego obszerniejszego rysu panowań obu tych królów w języku polskim, gdyż to co Albertrandi, zostawił po sobie o kilku latach rządów Jagiełły, jest jakimś szkicem żadnej prawie wartości niemającym; potem na zaletę p. G. powiedzieć możemy, że wszelkie fakta w jego książce są po większej części ze ścisłą krytyką oddane. Błędy i uprzedzenia Kocebuego, pomyłki Karamzina, znalazły w nim ścisłego rozpoznawcę i sędziego. Autor nie swoim tylko rozumowaniem, ale powagą autentycznych świadectw, wszędzie prostował ich uchybienia. Najgłówniejszą jednak zaletą dzieła p. Gołębiowskiego, są po większej części nowe zupełnie, albo mało dotąd znane wiadomości i akta, w mnogich przypisach poumieszczane. Do takich mianowicie należy ciekawy dokument Władysława Jagiełły razem z W. ks. Witowderą i panami polskimi, w Przemyślu 23 października r. 1412 wydany, i zaświadczający o przyjęciu w zastaw od Krzyżaków Nowej Marchii, na mocy wyroku polubownego cesarza Zygmunta; także list W. ks. lit. Zygmunta Kiejstutowicza do króla (str. 549, T. I) z Lipniszek r. 1433 datowany, z odrzuceniem rozejmu z Krzyżakami i Świdrygajłą; przywilej Witowda żydom r. 1408 w Łucku dany, zupełniejszy od tego transumptu, który został ogłoszony u Czackiego. W tomie drugim zaś zasługuje na uwagę, treść zbioru praw ormiańskich w Polsce, w przypisie pod lit. *f* umieszczona, i to wszystko, co autor o kopalniach soli i kruszców w na-

szym kraju, tak w texcie od str. 361 do 380, jako téż w notach str. 467—470 napisał. Jedném słowem, możemy powiedzieć ostatecznie, że praca p. G. jest nader ważną dla badacza dziejów krajowych, bo daje poznać wiele nieznanych dotąd faktów; wystarcza zaś do zaspokojenia ciekawości czytelnika, bo jest pierwszą w swoim zakresie, nim się doczekamy znakomitego a bardzo pożądanego pióra, któreby zdołało wystawić w jednym wielkim obrazie całą ośnowę dziejów dawnéj Polski.

M. B.



ROZMAITOŚCI.

Dyaryusz podróży Zofii Jagiellonki 1556 r. z rękopiśmu ogłosił: Tymoteusz Lipiński.

Długiem pasmem jadą: wozy, telegi, kolebki, rydwany.

Mając mówić o podróży królowej Zofii, wypadaloby wprzód obeznać czytelnika ze szczegółami jéj życia; lecz prócz wiadomości: iż była jedną z czterech córek Zygmunta I i Bony Sforcyi księżniczki Medyolańskiej, że wydana została za Henryka księcia na Brunświku, i że zmarła 1575 r., nie więcej z naszych dziejopisów nie da się wyczerpnąć. Współcześnie piszący Marcin Bielski, ani słowa o niéj nie wyrzekł, lubo innych córek Zygmunta podaje rok, dzień, a nawet godzinę urodzenia i datę ich zamęścia; w Gornickim zaś pod 1556 r. czytamy: „rada koronna celnieysza do krola się ziechała, dla postanowienia krolewny Zophiey w stan święty małżeński o którą książę Brunświckie przez posły swe czynił staranie. Jakoż doszło to małżeństwo, y niż krolowa Bona odiechała z Warszawy (do Włoch), krolewnę wielki poczet celnieyszych dworzan y paniąt, do Brunświka odprowadził, gdzie te ceremonie z strony małżeństwa z wielką czcią korony polskiej są odprawione.” W krótszych wyrazach powtórzył to samo Neugebauer: *Sophia regis soror, Henrico duci Brunsvicensi a rege nuptui data, et Wolffenbutelum splendido cum comitatu*

ad sponsum deducta est (1). Nie pierwszej to już była młodości dziewica, gdyż przeszło lat 30 licząca, kiedy weszła w śluby małżeńskie z owdowiałym i w podeszłym wieku ksiądzem, potomstwa też z nim nie zostawiła (2).

Jakie były warunki przedślubne, ile wynosił jej posag, jakie pożycie z mężem? te i tym podobne okoliczności, zupełnie są niewiadome. Szczęśliwy traf podał mi w ręce rękopism z owej epoki, zawierający prowadzone rachunki na wydatki kuchni, piwnicy i stajni dworu królowny Zofii, udającej się do Wolfenbüttel, stolicy przyszłego swego małżonka (3). Z tych małoznaczących na pozór zapisek, przekonać się można o liczonym i świetnym orszaku towarzyszącym królownie. Każdodziennie umieszczane najdrobniejsze wydatki, wymienione osoby dwór składające, miejsca które przebywano, gdzie i kto podejmował dostojną panią, słusznie poczytane być mogą za rodzaj pamiętników, którym brakuje tylko więcej dykcji i barwy.

Rzeczony rękopism ma kształt wązkiej, z połowicznych stronic złożonej księgi (4); na samym czele taki jest napis tytułowy: *Rationarius perceptarum pecuniarum ex thesauro*

(1) *Historia rerum Polonicarum* o Salomone Neugebavero 1618, str. 593.

(2) Henryk Młodszy ks. Brunświku ur. 1498 r., człowiek żywego i niespokojnego umysłu, pałający duchem rycerskim, żarliwy obrońca rzyms. kościoła, staczał boje z wyznawcami Marcina Lutra. Pojmany w niepomyślniej bitwie, gdy 1547 r. uwolniony został, z większą jeszcze walczył zaciętością. R. 1553 stanowczo odniósł zwycięstwo, lecz drogo je przypłacił śmiercią dwóch swoich synów; pozostał mu tylko syn Juliusz, którego z powodu sprzyjania nowowiercom chciał wydziedziczyć; zmarł 1568 r. Obszerniejsze o nim szczegóły ob. w *Conversations-Lexicon: Heinrich der Jüngere*. Biograf nie raczył wspomnieć, iż Henryk miał za żonę królownę polską, o ubocznych zaś jego miłostkach rozprawia.

(3) Brunświk (*Braunschweig*) nad rzeką Oker, położony w obrębie ks. Brunświcko-Lunenburgskiego, szczycił się wtedy prawem wolnego miasta i należał do związku hanzeatyckiego; dopiero 1754 r. począł być stolicą kraju.

(4) Takiego kształtu księgi zwano *dudkami*, i dotąd służy im ta nazwa w archiwach przechowujących dawne akta.

regni Polonie, in sumptum coquine, cellarii et stabuli Illme Virginis Regie Dne Zophie sponse Illmi Principis Ducis Brunsvicen. et Luneburgen. in itinere e Warshavia Brunsvicium ac iterum Warshaviam, factus A. D. 1556. Registr ten wydatków pieniędzy ze skarbu koronnego danych, zaczyna się z dniem 24 stycznia, na kilka dni przed wyjazdem z Warszawy, i prowadzony jest aż do chwili powrotu dworzan do stolicy.

Najznakomitszą figurą, której jak wnosić można, poruczono przez czas podróży opiekę nad królowną, była Kościelecka Wojewodzina sieradzka (1). Inne towarzyszące matrony (*Magnifice et Generose matrone*): Kasztelanowa przemęcka (niewymieniona z nazwiska), Lwowska kasztel. kowska (2), Tarłowa starościna pilzneńska, i Mnichowska przełożona nad pannami dworskimi. Dygnitarze dworu królowny: Zygmunt Wolski Podczaszy (*Pocillator*), Jan Tarło Krajczy (*Incisor*), Krzysztof Sobek Krajczy (*Incisor dapum* (3), Marcin Fałęcki Podskarbi (*Thesaurarius*); Stolnicy (*Dapifferi*): Stanisław Leszczyński, Walenty Kościelski, Stan. Wąsowicz, Stan. Zimnicki; Wielki Kuchmistrz (*Coquine Magister*) Stan. Dembiński, Skarbnik czyli przełożony nad powozami (*Curruum Prefectus*), Dymitrowski (4). Niewymienieni po urzędzie: Maciej Podelski i Stan. Broniewski; starsi pokojowcy (*Cubicularii majores*): Kozłowski i dwaj Mikołajewscy. Do orszaku po-

(1) Katarzyna z Górków, żona Janusza czyli Jana Kościeleckiego.

(2) Lwowscy herbu Nałęcz, pisze Niesiecki, od Ostrorogów linią swoją prowadzą, potem od Lwowska (za Poznaniem) Lwowskiemi nazwani.

(3) Po raz pierwszy, zdarza mi się czytać o takim urzędzie wzmiankę. Czy to nie będzie Krajczy mniejszy, albo Podkrajczy, pomocnik Krajczego? *Dapes* znaczy potrawy; *dapes instituere, dapibus mensas onerare*: podawać, nosić na stół potrawy, zastawiać stół potrawami.

(4) W każdym powiecie był Skarbnik, którego obowiązkiem było, w czasie przejazdu króla lub jego rodziny, dostarczyć pod dwór i sprzęty, potrzebną ilość powozów. Skarbniczkami zwano powozy, mające z tyłu skrzynkę czyli skarbonkę na schowanie rzeczy.

dróżnego należeli także: szafarz (*dispensator*), *komornik*, *staffierze* (lokaje), *mastalierze*, kucharze i ich pomocnicy (*coadjutores*), stelmasi (*redarii*), woźnice (*vectores*) i trzy praczki (*ablutrices*). Znaczniejsi dworzanie, mieli po 6, 8 i 12 własnych koni; szafarz jechał zawsze dniem wprzód, dla urządzenia stacyi, gdzie oraz i noclegowano.

Przystępuję do właściwego dyaryusza podróży, z którego się okaże, jak krzywym dyszlem jechała królowna przez obcą ziemię. Być może, iż omijano kraje protestanckie, a obracano drogę na takie miejsca, gdzie jeszcze istniał katolicyzm.

Dnia 29 stycznia we środę, nastąpił wyjazd N. królowny z Warszawy.

Błonie. Podejmował Stan. Grudziński Ssta błoński (1).

Łowicz 30 stycz. czwartek. Podejmował przewielebny arcybiskup gnieźnieński. (Mikołaj Dzierżgowski).

Kutno 31 stycz. piątek. Dziedzic Jerzy Kuciński (*Jeorgius Kuczienski*) dostarczył: ryb, piwa beczek 3, grochu korzec, jagiel korzec, część drzewa i owsa. Wszystkich koni było 236, z tych królewskich 63, dworzan 105, furmańskich 68.

Koło 1 lutego, sobota. Podejmował Łukasz hrabia Górka (*Lucas Comes de Gorcka*) Wda brzeski-kujawski.

Kleczów 2 lut. niedziela.

Września 3 lut. poniedziałek.

Poznań 4 lut. wtorek. Podejmował Jan Kościelecki (*Janusius de Cosszieliecz*) Wda sieradzki (2), dnia zaś 5 lut. Łukasz hr. Górka Wda brzeski-kujawski

(1) W rękopiśmie *statio data est per* i t. d., w innych miejscach *statio dabatur*. Nie wszystkich dworzan musiano raczyć, gdyż zapisywane są wszędzie wydatki: na piwo, mięso, pieprz, ocet, jarzyny, świece i t. d.

(2) Był on oraz i Generałem Wielkopolskim. (Tytuł ten służył Starostom poznańskim). Niesiecki przytacza o nim ciekawy szczegół, dotyczący się i męża królowny Zofii: „Już go był król August wielkopolskich województw hetmanem deklarował 1563 przeciwko Erykowi Brunświckiemu xiążęciu, i on pospolitem ruszeniem Wtwa poznańskie i kaliskie w pole wyprowadził; ale tymczasem

Kościan 6 lut. czwartek. Podejmował Czarnkowski Ssta kościański.

Wschowa 7 lut. piątek. Koni JO. księżny pani jest 73, dworzan 125, furmańskich 68, inne nie nadeszły dla złej drogi.

Niemcy (*Germania*).

Glogow (Glogau) 8 lut. sobota (1).

Bączel (Bunzlau) 9 lut. niedziela.

Gierlicza (Görlitz) 10 lut. poniedziałek i 11 lut. wtorek. Na tych czterech noclegach, podejmowano kosztem JO. ks. Brunświckiego.

Budishin (Bautzen) 12 lut. środa.

Camiez (Kamenz) 13 lut. czwartek. Tu podejmowano JO. księżną panią, kosztem JO. ks. Brunświckiego.

Han (?) 14 lut. piątek.

Thorga (Torgau) 15 lut. sobota.

Julioberga (Eilenburg) 16 lut. niedziela mięsopustna.

Lipsiae (Leipzig, Lipsk) 17 lut. poniedziałek. Przez te cztery dni czyli noclegi, cały dwór podejmowany był kosztem JO. Augusta ks. Saxonii i państwa rzyms. Elektora.

Hal (Halle) 18 lut. wtorek.

Asziersliewe (Aschersleben) 19 lut. środa. Na tych dwóch noclegach samą tylko JO. księżną panią podejmowano.

Alberstatt (Halberstadt) 20 lut. czwartek. Część potrzeb dostarczył przewiel. młodszy Margrabia Brandeburski biskup halski.

Ostrowig (Osterwick) 21 lut. piątek. JO. księżną panią podejmował JO. ks. Brunświcki, dworzanom zaś zaliczono ze skarbu królestwa polskiego.

Wolfembitel (Wolfenbüttel) 22 lut. sobota.

Eryk zpedzony pod Czczewem, wrócił się z wojskiem do domu.' O wkroczeniu Eryka do Prus, ob. Albertrandego: Dzieje król. pol. 1768 r. na s. 117.

(1) Nazwy miast zachowując jak są w rękopiśmie wymienione, położyłem w nawiasie terażniejsze ich nazwiska.

Zdaje się, iż Kościelecka Wdzina sieradzka z częścią dworzan i fraucymeru pozostała przy swojej pani (1), gdyż w powrocie wzmiankowane są głównie kasztelanowe przemęcka i kowalska, z wyszczególnieniem ile na ich potrzeby dziennie wydawano pieniędzy. Powrót odbywał się prostszą drogą, jakoto: na Helmstadt, Magdeburg, Czezer (*Ziesar*), Brandenburg, Spandel (*Spandau*), Berlin, gdzie przybyto 11 marca. Wszystkich potrzeb dla całego orszaku, dostarczyć kazał Margrabia Brandeburski (2); nazajutrz biesiadowały matrony z pannami i dworzanami w zamku, służba zaś w gospodzie. *Magnifice Dne matrone cum virginibus ac pedisequis in castro prandebant, officiales vero in hospitio*. Dnia 13 marca wyjechawszy z Berlina, przebywano miasta: Minichberg (*Münchenberg*), Frankfurt, Krosno (*Krossen*), Grynberg (*Grünberg*), Bledzewo, Lwowko, Buk, Poznań, Wrześnią, Kleczów, Koło i t. d., nakoniec po dwumiesięcznej wędrówce, powitano Warszawę 27 marca. Koszta tej wyprawy do Wolfenbüttel i ztamtąd napowrót do Warszawy, same tylko kuchenne, piwniczne i stajenne, wykázane są rachunkiem na złotych ówczesnych 1687, groszy 21, denarów 15, co na dzisiejszą monetę wynosi przeszło dziesięć razy więcej.

Przy tej sposobności, podamy tu ważny jeden szczegół, odnoszący się do Zofii Jagiellonki. Przeżywszy ona męża, zaczęła się chwiać w wierze, jak tego znajdujemy dowód w liście kardynała Stan. Hozyusza (*Hosius*) biskupa warmińskiego, który donosząc jej z Rzymu 1574 r. o przypadającej na nią części pieniędzy z tak zwanych summ neapolitańskich po król. Bonie, wyraża: „Tego się niepomału obawiam, aby się pierwaj nie chcieli pilnie wywiadować (w Neapolu), jeśli WXM.

(1) Fraucymer, także froncymmer, z niemieckiego *Frauenzimmer* osoby dwór paniński składające. Współczesny Górnicki mówi o froncymmerze królowej Bony.

(2) Był nim Joachim II i miał za żonę Jadwigę, córkę Zygmunta I i Barbary Zapolya. Jadwiga urodziła się w Poznaniu 1513 r., wydana za mąż 1535 r., zmarła 1573 r.

przy jedności kościoła ś. powszechnego rzyms. mocno stoisz. A o WXMci nie wiem jakie było powieści roztrzęsiono, żeby się WXM. nie we wszystkim z nauką powsz. koś. krześcijańskiego zgadzać miała. Co żeby tak było, jako tego nie życzę, tak mi się też wierzyć nie chce, aby WXM. pierwszą chciała być, któraby takim postępkim sławny dom Jagiellonów miała pomazać. Nie daj to panie Boże! gdyby to była prawda, co tu niektórzy o WXMci wstrząsają. A tak ja WXMci prze miłego Boga proszę, nie racz się WXM. dać uwodzić, ani kościoła powszechnego krześcijańskiego puścić. Potrzeba tego będzie, aby WXM. jawnie to wszystkim po sobie dawała znać, żeści WXM. w namniejszej rzeczy od tej jedności w koś. Bożym oderwać się nie dopuściła; zatem ja bezpieczniej tu będę mógł WXMci służyć, cobym czynić żadną miarą nie mógł, by się co takowego miało ziścić, co tu powiadają." (1).

*Ustawa saska o banku włościańskim (Landrentenbank)
z dnia 17 marca 1832 r.*

Dla ułatwienia zamiany pańszczyzny i innych powinności włościańskich na opłatę pieniężną, po naradzeniu się z stanami naszymi w r. 1831, postanowiliśmy i stanowimy co następuje:

§ 1. W królestwie saskim będzie założony bank włościański.

§ 2. Bank włościański zostawać będzie pod rękojnią rządu.

§ 3. Do banku włościańskiego wnoszone być winny wszystkie czynsze pieniężne, przypadające z posiadłości obciążonych powinnościami, ulegającymi według ustawy z dnia 17 marca 1832 r., zamianie na pieniądze, w przypadkach w których wierzyciele czynszu korzystając z służącego sobie wyboru, zamiast sami czynsz podnosić, takowy stosownie do

(1) Ambroży Grabowski: *Starożytności hist. polskie* II, 260.

przepisów w §§ 37 i 38 pomienionej ustawy zawartych, bankowi włościańskiemu przekażą.

§ 4. Czynsze przypadające na każdą posiadłość w skutek zamiany powinności na pieniądze, będą wpisane do miejscowego wykazu (kadastru) czynszów, zaraz po zatwierdzeniu zawartej o zamianę umowy.

§ 5. Na zasadzie miejscowego wykazu czynszów, poborca skarbowy będzie ściągał czynsze w czterech ratach, mianowicie: dnia 31 marca; dnia 30 czerwca; dnia 30 września; dnia 31 grudnia każdego roku.

Oddzielne postanowienie obejmie szczegółowe urządzenia co do poboru czynszów przez kassy skarbowe.

§ 6. Bank włościański przyjmuje przekaz takich tylko czynszów, które najmniej 12 d. gr. (pół talara, 3 złp.) rocznie wynoszą, i dadzą się wyrazić w talarach całych lub półtalarach, tak, aby kwartalne raty wynosiły najmniej 3 d. gr. albo też kwotę dającą się przez pierwszą ilość podzielić. Ztąd 12 talarów 12 dob. gr. stanowi najmniejszy kapitał czynszowy bankowi przekazać się mogący; kapitały zaś wyższe, muszą być przez tę ilość bez ułamku dzielne.

§ 7. Do czynszów wynoszących mniej niż 12 d. gr. rocznie, oraz do podobnej przewyżki nad ilość 12 d. gr. pojedynczo lub wielorako wziętą, stosuje się przepis § 38 ustawy powołanej, stanowiący iż opłaty podobne bezpośrednio na ręce wierzyciela czynszu wnoszone być mogą.

§ 8. Każdy dłużnik czynszu ma prawo za półrocznym poprzedniem zawiadomieniem upłacić całkowicie lub częściowo kapitał czynszowy w ilościach dzielnych przez 12 tal. i 12 d. gr., a tém samym czynsz dłużny umniejszyć lub umorzyć.

§ 9. Opłaty podobne na kapitał, następować winny w terminach 31 marca i 30 września, i czynione być mogą nie w kassach poborców miejscowych, lecz w kassach władz wyższych przez późniejsze rozporządzenie oznaczyć się mających; wszakże poborecy miejscowi w obowiązku są przyjmować zawiadomienia o chęci upłaty kapitału, półroczem naprzód czynić się winne i donosić o nich władzom wyższym.

§ 10. Za okazaniem kwitu na upłatę kapitału, uczynioną zostanie o tém wzmianka w księgach konsensowych i hipotecznych. Odpisaną także zostanie upłata, w wykazie czynszowym z nadmienieniem, jakiej wysokości odtąd czynsz wnoszonym być ma.

§ 11. Czynsze płatne do banku włościańskiego, będą ściągane pod exekucją tak jak podatki. Stosują się do nich wszelkie przepisy wydane w przedmiotach ściągania podatków, przywilejów służących podatkom przy klasyfikacji szacunku, oraz wynagrodzenia za uszczerbki zrządzone w poborze przez osoby, na które z mocy prawa włożona jest za to odpowiedzialność.

§ 12. Na zasadzie zatwierdzonej umowy o zamianę powinności na pieniądze, bank włościański wystawi dla każdego wierzyciela czynszu listy czynszowe, w stosunku do przypadającej dla niego, i bankowi do poboru przekazanej kwoty czynszu, rachując po dwadzieścia pięć za 1 na kapitał. Listy te, wygotowane przez siebie, bank prześle jeneralnej komisji do zamiany powinności ustanowionej.

§ 13. Listy czynszowe są obligacyami wystawionemi przez bank włościański na okaziciela. Wyrażoną będzie na nich kwota na którą list jest wystawiony; zobowiązanie do zapłaty kapitału w pół roku po wylosowaniu, i do uiszczenia procentu po $3\frac{1}{3}$ od sta w dwóch półrocznych terminach t. j. na Wielkanoc i na ś. Michał, a to pod rękojmnią rządową.

§ 14. Listy czynszowe wystawione będą na kwoty 1000, 500, 100, 50, 25 i $12\frac{1}{2}$ tal. wraz z talonem i kuponami.

§ 15. Zarząd banku opatrzy swoim podpisem wydane przez siebie listy, talon i kupony, które według różnicy kwot różnemi literami oznaczone, w każdej zaś z sześciu klass bieżącym numerem zaliczbowane zostaną.

§ 16. Listy czynszowe mogą być wygotowane i wydane tylko na zasadzie istotnie nastąpiętego przekazu czynszu, dla czego téż decyzja jeneralnej komisji z daty swój na każdym liście czynszowym powołaną być winna.

§ 17. Dwie trzecie od sta, które bank zyskuje pobierając od dłużników czynszu po 4%, w stosunku całego kapitału

na jaki wystawione będą listy czynszowe, przynoszące tylko $3\frac{1}{3}$ procentu, przeznaczone są na pokrycie kosztów administracyi, strat doznawanych przez opóźnienie w opłacie czynszu, tudzież zaległości niewymagalnych. Przewyżka zaś obróconą zostanie na umorzenie czynszu ciężącego posiadłości zamianie uległe, według później ogłosić się mających przepisów.

§ 18. Przepisy prawne wydane co do papierów długu rządowego saskiego, stosują się do listów czynszowych; a ztąd:

a) Według mandatu z dnia 26 stycznia 1775. (II Const. Cod. Aug. 1. str. 339) nie ulegają one windykacyi.

b) Opiekunowie małoletnich i zawiadujący funduszem kościelnym, edukacyjnym i dobroczynnych zakładów, mocni są summy pod zarządem ich zostające umieszczać w listach czynszowych równie jak w innych rządowych saskich papierach.

c) Procenta od listów czynszowych przedawniają się upływem lat trzech, kapitały upływem lat 31, tygodni 6, dni 3, licząc od dnia w którym po wylosowaniu wypłata ich nastąpić winna; przedawnione procenta i kapitały stają się własnością banku.

d) Jeżeli listy czynszowe, talon lub kupony zginą posiadaczowi, przed wydaniem mu duplikatów, dla sprekludowania wszelkich rozszczeń osób trzecich, zarządzone zostanie postępowanie edyktalne (obwieszczenie przez gazety i t. d.) a to bezzwłocznie, wraz jeżeli dowód zguby wyprowadzony został, albo zupełny, albo w połowie, albo z dopełnieniem go przez przysięgę; po upływie zaś terminu trzechletniego, co do talonu i kuponów, 10 letniego co do samych listów, jeżeli dowód zniszczenia nie był o tyle dostateczny aby na mocy jego przysięga dopełniająca naznaczoną być mogła.

Przedawnienie to zachodzi również we wszystkich przypadkach straty, w których nowy posiadacz listu, talonu lub kuponu nie jest wiadomy. Upływ przedawnienia uważać należy za ukończony co do listu czynszowego, gdy od czasu zguby, lub jeżeli czas zguby udowodnionym być nie może, od zawiadomienia o niej zarządu bankowego, upływie lat 10, a w przeciągu tym nikt oprócz zguby poszukującego nie zgłosi się o podniesienie kapitału, jeżeli ten już jest wypłacalnym, lub po odbiór

procentów, jeżeli w chwili zguby kapitał jeszcze wypłacalnym nie był. Przedawnienie niezostaje przerwane, chociażby termin wypłaty listu czynszowego zgubionego przez posiadacza w tym czasie przypadł, lub list wylosowanym został.

§ 19. Pierwsza rata czynszu powinna być przez dłużników do banku wniesiona na d. 31 marca lub 30 września każdego roku; od tegoż terminu płyną dla wierzycieli czynszu należne im od banku procenta. Jeżeli zaś w umowie o zamienną powinności na pieniądze, inny termin dla wprowadzenia jej w wykonanie naznaczonym został, strony do umowy wchodzące, winny się z sobą ułożyć co do bieżącego czynszu, aż do terminu najbliższej Wielkiéjnocy lub ś. Michała (31 marca i 30 września).

§ 20. Od najbliższego terminu wielkanocnego lub ś. Michałskiego, dłużnik czynszowy zostaje obowiązany czynsz w kwartalnych ratach do banku uiszczać.

§ 21. Zarząd banku włościańskiego prowadzonym będzie oddzielnie od zarządu wszelkich innych kass.

§ 22. Bank włościański rozpocznie swe działanie z d. 1 stycznia 1834 r. Czynsze które zostały nałożone i przyjęte za umowami przed tym terminem przez kommissyą generalną zatwierdzonemi, dopiero począwszy od przypadającój w d. 30 marca 1834 r. raty, bankowi przekazane być mogą; dotąd zaś bezpośrednio wierzycielowi opłacone być winny.

§ 23. Osobnemi postanowieniami oznaczone zostaną bliższe szczegóły urządzeń banku włościańskiego (*).

(Następują podpisy).

(*) Instytucya, której ustawę zasadniczą tu podaliśmy, weszła w wykonanie z obustronném zadowoleniem tak właścicieli ziemskich jako téż oczynszowanych włościan. Pierwszym dała w ręce kapitał rozrządzalny którego potrzebowali, drugim odkryła nadzieję zupełnego uwolnienia się od opłaty czynszu. *F. Z.*

O czarownicach w Polsce.

Czarownica, czary, oczarować, oczarowany, urok i t. d. byłyto wyrazy powszechnie używane, nietylko w kraju naszym, ale i w całej prawie Europie. Od czasu jak krzyżownicy wracali już z wypraw odbytych do ziemi świętej i przyjmowali ze Wschodu nauki i umiejętności, na badaniu rzeczy przyrodzonych oparte, których nieoświecona podówczas jeszcze Europa nie znała; zdawało się, że człowiek dochodząc, szperając i zgłębiając pod każdym względem, odniósł pewną korzyść nad przesądem i niewiedomością. Zwracając uwagę na historią, nikt tego zaprzeczyć nie zdoła, że ród ludzki po błędach wprzódę postępował, nim natrafił na drogę prawdy, i piérwój téż u kapłanów chaldejskich istniała astrolatrya i astrologia (*), nim badania astronomiczne wyjaśniły porządný system téj nauki, przynoszący największy zaszczyt rozumowi ludzkiemu. Wprzódę trudniono się alchimią, niżeli nauka chemii wydzierając tajemnicę naturze, przyniosła tyle ważnych korzyści przemysłowi ludzkiemu. Marzyło się oprócz tego ludziom o lekarstwie powszechném (uniwersalném) na wszystkie choroby, mogącém im zapobiedz, a nadewszystko oddalić i opóźnić starość, którój powszechnie uniknąć pragniono, dlatego jedynie, że ta zwykle rodziła cierpienia, i wiodła do przybytków śmierci. Obadwa te usiłowania połączyły się w jedno, które okryto tajemnicami allegoryi i stały się powszechnym przedmiotem badań ludzkich. Miłość życia i chęć posiadania złota, kazały do nich pewną przywiązywać wiarę, a nawet drogo je opłacać. Alchimiści posuwali swoje poszukiwania na drodze ciągłych i tajemniczych doświadczeń. Topili metale, uważali z ich połączenia okazujące się massy innego koloru,

(*) W czasach grubój ciemnoty, spodlono szlachetny cel astronomii. Przymieszał się do niój zabobon z biegu gwiazd i planet, zaczęto wnioskować o wypadkach pospolitych i mało znaczących. To było osnową tak nazwanój astrologii i astrolatryi, które późniejsze wieki oświecone, z rzędu umiejętności wykręśliły.

mniemano zatem, że z połączenia posledniejszych, szlachetniejsze wydobędą. Niepojętą była wytrwałość, z jaką alchimiści przedsiębrali swoje poszukiwania. Przez kilka lat utrzymując ciągly ogień w piecach, topiąc kruszce, niszczyli majątki i zdrowie. Wielu nawet z nich szczyćło się, że są panami kamienia filozoficznego (*). Po ich jednakże śmierci, przetrząsano i burzono domy, lecz w nich w miejscu poszukiwanego skarbu, tak pożądanego dla ludzkości, znajdowano tylko popiół i węgle. Prace jednak alchimistów, walcząc ciągle z trudnościami, przyłożyły się do wydoskonalenia wielu odkryć i wynalazków, które później przyspieszyły wzrost chemii. Skutkiem ówczesnych wyobrażeń, działania alchimistów, tudzież czarowników lub czarownic, poszukiwaniom nawet sądowym ulegały, a na tej drodze zapadły różne wyroki. Lecz i prawodawstwo i postępowanie sądowe dopóty nie osiągnęły udoskonalenia, dopóki światło filozofii nie rozjaśniło tej umiejętności, przez co dlugi czas ludzkość na uposledzenie, cierpienia i męczarnie wystawioną była. Nie mogąc częstokroć trafić w badaniach sądowych na dojście prawdy, używano różnych prób, dla rozstrzygania sporów sądowych (**): w owych zwłaszcza wiekach, kiedy we wszystkich zachodnich państwach Europy, prawa po większej części oparte były na przesądach, wiara, że istność najwyższa, na cnoty i występki ludzkie zawsze baczne rozciąga oko, upowszechniła to fałszywe przekonanie, że gdzie sądy ludzkie winy, lub niewinności, z dostateczną pewnością odkryć nie zdołają, tam odwieczna sprawiedliwość cudownym sposobem, zwykła objawiać ludziom prawdę. Ztąd powstały tak nazwane w wiekach średnich sądy boże. Nie

(*) Główną własnością kamienia filozoficznego, miało być powrócenie pierwiastkowej młodości.

(**) Próby takowe powszechnie znane były pod nazwiskiem ordaliów, czyli sądów bożych. Wyraz ten ordalia, wywodzą od języka saxońskiego Ordella, co znaczyło próbę oczyszczenia. Ustanowienie to dowodzące ciemnoty owych wieków, bardzo jeszcze dlugo utrzymywało się w Europie, zwłaszcza téż w Hiszpanii, Francji i Niemczech.

zwracano na to uwagi, że jakkolwiek mnóstwo mamy przykładów, że sprawiedliwość odwieczna różnemi sposobami karząc zbrodnię, niewinność zaś ocala, dlatego nie czyni cudów na każde żądanie śmiertelnych, sama bowiem w niezgłębionej swojej mądrości, upatruje ku temu czas i potrzebę. Ztąd łatwo wnieść można, że odgadywanie cudów wśród ciemnoty owych wieków, omamieniom i nadużyciom ulegać musiało, których ofiarą stawało się mnóstwo pudzi. Prawom dopiéro rzymskim, z któremi coraz więcej obeznawano się, a później zaś prawom kanonicznym (*) należy się zasługa, że sądy takowe zniosły, kiedy do wykrycia prawdy, różne środki a mianowicie przysięgę i świadków nakazywały. Ze wszystkich narodów, Niemcy i Francuzi najwięcej tak nazwanych sądów bożych w zawitych prawach używali, do czego dołączyły się najwięcej upowszechnione pomiędzy niemi zarzuty o czary i czarodziejstwo. Od nich dopiéro wyobrażenia te rozszerzyły się po całej Europie. Z wielu rodzajów takowych sądów bożych, czyli prób znaczniejsze tylko tu przytoczymy, jakoto.

1. Pojedynki sądowe, w których zwyciężony zawsze był za winnego uznawany.

2. Próby ognia. Obwiniony powinien był chodzić po rozpaloném żelazie, po żarzących się węglach lub trzymać w rę-

(*) Prawa te ułożone zostały na soborze trydenckim, na którym w imieniu Piusa IV papieża i wyraźnej woli jego, przewodniczył obradom ziomek nasz kardynał Hozyusz arcybiskup gnieźnieński, wysłany przez Zygmunta Augusta króla polskiego. Papież ucieszony pomyslném ukończeniem tego soboru, ciągnącego się przeszło przez lat 20, ustawy jego zatwierdził i rozesał dekretalia do wszystkich państw chrześcijańskich, wydawszy bullę, ażeby wszyscy wierni kościołowi, posłusznymi byli tym ustawom. Ziomek zaś naszego w dowód najwyższego swego zadowolenia, obdarzywszy papieżkiem błogosławieństwem, udarował go kosztowną kropielnicą, wyrobioną z jednej sztuki korala, którą przez długi przeciąg czasu w Sybilli w Puławach (dziś Nowej Alexandryi), pomiędzy historycznemi pomnikami widzieć i podziwiać było można.

ku rozgrzane do czerwoności żelazo. Każde zaś oparzenie tém samém już usprawiedliwiało winę (*).

3. Próba wody gorącej. Zamaczano ręce lub nogi we wrzącej wodzie, a kto ich bez uszkodzenia z niej nie wyciągnął, za winnego uznany zostawał (**).

4. Pławienie w zimnej wodzie, czyli kąpiel czarownic. Używaną była wyłącznie dla obwinionych o czary.

5. Waga czarownic. Wazono obwinioną, a gdy ta przypadkiem lekką się okazała, a tém samém sposobną do unoszenia się w powietrzu, dowodziło to jej winy.

6. Wytrzymałość. Obwiniony musiał stać przez czas oznaczony z rękoma w górę rozciągniętymi; jeżeli zaś ręce opuścił, ten już tém samém przyznawał się do winy.

7. Wyciąganie kartek losem. Oskarżony kartki dla niego przygotowane, spod zasłony wyciągał, a jeżeli z nich krzyżkiem oznaczoną wyciągnął, tém samém już z zarzutu oczyszczony został.

8. Poświadczenie umarłych. Ciało zabitego kładziono na mary; pomówiony o morderstwo, musiał zwykle dotykać się jego, a niekiedy do samej rany rękę przykładac. Jeżeli z niej przypadkiem krew płynęła, lub się usta zmarłego

(*) Przejeżdżając przez Frankfort nad Odrą, widziałem publicznie występującego kuglarza, który pomiędzy innymi sztukami zręczności, chodził bosemi nogami po rozpalonej do czerwoności szynie żelaza, tudzież wchodził w rozpalony piec, bez żadnego jednak na zdrowiu uszkodzenia.

(**) Że w Polsce były w użyciu ordalia tak zwane Sądy Boże, możemy się łatwo przekonać; z nadania Bolesława V Wstydliwego z r. 1252, Klemensowi z Ruszcy, *jure haereditario* w którym pozwalając mu sądów, nadaje mu *potestatem judicandi, ad omnem sententias juxta formam curiae nostrae, videlicet ad aquam et ferrum candens, ad duellam baculorum et gladiatorum homines suos.*

Obacz dzieło: Początkowe prawodawstwo polskie cywilne i kryminalne do czasów Jagiellońskich, kar. 130.

Prócz tego przywilój z r. 1284 Przemysława I księcia wielkopolskiego, nadany Żegocie, wojewodzie krakowskiemu, przy nadaniu mu dóbr: *Omnibus etiam ibidem utantur juribus, prout nostra consuevit, ferro, duello, aqua in mittendum.* Przywilój ten znajduje się w archiwum główném w Królestwie, pod nr. XVII.

go zapieniły, jeżeli tenże twarz zmienił, lub zadrzał, wtedy obwiniony pospolicie uznawany był morderca.

Tymto sposobem w owych wiekach ciemnoty, siła i zrzeczność zastępowały częstokroć miejsce sprawiedliwości, przesady, zabobony zagłuszały zdrowe o rzeczach wyobrażenie, niewiadomość i ciemnota tryumfowały nad rozumem, a występki i zbrodnie brały przewagę nad niewinnością.

Powody, które upoważniały niejako sądy ówczesne do pociągania czarownic do surowej odpowiedzialności w obliczu prawa, a następnie użycia przeciw nim praw powyżej wymienionych, jeżeli te zwłaszcza miały na celu wyjaśnienie prawdy, było wyrzekanie się przed djabełm (*). Chrystusa Pana, Najświętszej Matki jego, anioła stróża, sś. pańskich, przyjmując natomiast złego ducha za swego towarzysza, prosząc go o wymazanie ich z księgi żywota, a razem zapisanie w księgę potępienia, odstępując mu zarazem duszę i ciało po zejściu z tego świata, za udzieloną im przez niego pomoc, w przywiedzeniu do skutku niecznych zamiarów, lub przez złość, albo też dla zysku jaki sobie założyć mogły w szkodzeniu bliźnim. Zamiary zaś te były:

a. Sprowadzenie gradu, burzy i piorunów, lub nieurodzaju w polu.

b. Zadawanie wszelkich uroków, niemocy, chorób, wspanięciu nieszczęść i klesk różnorodnych.

c. Czarowanie bydła, owiec, ich pomor, lub odejmowanie krowom mleka.

d. Przynęcanie napoju truciznowego, lub napoju do wzniesienia zalotności.

e. Usposabianie do nieplodności niewiast zamężnych.

f. Przyspieszenie śmierci.

g. Zamawianie myśliwym strzelby.

(*) Podania ludu polskiego i kroniki zwykle przedstawiają diabła w postaci niemczyka we fraczku, w długiej kamizelce, i rogatym kapeluszu, z kopytkami kozłemi; kroniki zaś niemieckie w kontusiku i czapce.

„Ale czarownice polskie,” jak utrzymuje nasz badacz rzeczy krajowych uczoney Wójcicki (*) „ukształcone wyobraźnią właściwie rodową, rodzinne też przybrały postacie, a ta ich rodzinność bardziej się i wydatniej odbija przy wielu zwyczajach szczególnych, co żywcem do nas z przedchrześcijańskich wieków, przeniesione zostały.”

U nas po większej części czarownicą musiała być stara baba, lub przynajmniej brzydka kobieta, pospolicie wyschła, mająca twarz wielolicznemi marszczkami zoraną, oczy zarpiałe i zacerwienione, brwi wylazłe i włosy kudłate, słowem, odrażającej postaci. Przynosiła ona czary z różnych roślin w czasie biesiad na Łysiej górze, na którą zwykle leciały we czwartek po nowiu księżycowym, z odległych stron Polski, na łopacie lub miotle, po namaszczeniu się poprzednio maścią, którą przyspasabiały smażyć tam zioła, w tłustości z dzieci przed chrztem uduszonych. Lecząc, nie były one widzialne, bo miały posiadać sztukę niewidzialności (**).

W nadpowietrznej tej podróży, śpiewały zwykle:

Płot, nie płot, wieś, nie wieś,

Biesie mój, ty mnie nieś!

Niekiedy czarownice według mniemania gminu, miały mieć moc użycia do jechania na Łysą górę ludzi, których gdy wysmarowały we śnie maścią, zdolni byli przemieniać się w konie (**).

(*) W dziele: Zarysy domowe, tom 3, kar. 133.

(**) „Jest podanie ludu (mówi Karadzicz w dziele swoim o czarach), że kto przed uroczystością Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny ubije węża i o głowę jego nieco białego czosnku potrze, i takowy ma przy sobie, zdolny jest widzieć leącą w powietrzu czarownicę.”

(***) Będąc jeszcze w klasie Iszėj w szkołach, między innymi mieliśmy podeszłego wiekiem i poważanego nauczyciela, który dając kilka godzin w tygodniu łaciny, w nagrodę uwagi i pilności naszej, czasem też pocieszne opowiadał nam dykteryjki; te zawsze się nam prawie, z powodu swojej nadzwyczajności podobały, i dlatego młodociana wówczas wyobraźnia, będąc niemi uderzoną, po dziś dzień wiernie je jeszcze we wszystkich szczegółach w pamięci dochowała. Miało się to stać w jedném z kolle-

Czarownicom przypisywano moc łudzenia nawet zmysłów, jakoto: wzroku, słuchu, smaku i powonienia. Dowodzi tego podanie, że jedna z czarownic przynosiła regularnie do pewnego klasztoru świeże masło. A że wioska z której przychodziła, znacznie była odległą od klasztoru, za ledwo więc w południe do furty przybywała. Wypytywała się braciszka, czy księża obiad zjedli? Kiedy zaś w czasie obiadu trafiła, troskliwieypytywała się, czy już było po błogosławieństwie? Uderzyła braciszka ta ciągła troskliwość wiejskiej kobiety; uprzedziwszy o tém przełożonego, umówili się czekać z obiadem i błogosławieństwem, a utudziwszy wieśniaczkę, kazali przynieść masło do refektarza i one poświęcić. Stało się jak uradzono, ale jakież podziwienie ogarnęło zakonników, kiedy w miejsce świeżego masła, po błogosławieństwie gnój krwi ujrano? Domyślono się że to sprawa szatana i czarownicy, przytrzymano ją i w ręce zwiérzchności oddano.

giów naukowych ówczesnych, za czasów Augusta III króla polskiego. Dwóch synów jednychże rodziców, pomieszczonych było u pewnego dyrektora na stancyi; obadwa odznaczali się czerstwą młodością i zdrowiem, gdy nagle starszy, mający lat 13, widocznie mizerniał i niszczyć zaczął. A ponieważ nie narzekał na żadne cierpienia i nie dostrzeżono jakich bądź symptomatów choroby, przeto też nie wzywano do pomocy lekarza. Lecz gdy jednak chłopaczek coraz więcej na siłach upadał, co mu nawet w naukach było przeszkodą, przezorny dyrektor, uderzony nadzwyczajnymi jego snami, które zwykle opowiadał, powziął jakoweś podejrzenie, które się wkrótce w pewność zamienić miało. Dyrektor skrycie śledząc odtąd śpiącego chłopczykę, pewnego razu na samym nowiu księżyca dostrzegł, jak gospodyni podniósłszy się cichuteńko z swego postania, zbliżyła się do łóżka młodzieńca i odbywszy nad nim jakoweś szepty, wysmarowała go pod pachami maścią. Dyrektor udając śpiącego widział, że ów chłopczyzna na karego zamienił się konika, a gospodyni wsiadłszy na niego, następnie kominem wyleciała. Dyrektor uważając gdzie garnuszek z ową maścią postawiła, takowy obok łóżka swego ukrył, a zwoławszy miejscowego kowala, przeprosił, że o północy zbudzić go musiał, ale skoro świt, konno do pobliskiej wsi jechać musi i dlatego kazał mu śpiesznie podkowsy do okucia konia przygotować. Jeszcze kur nie zapał, kiedy gospodyni na małym ru-

„Czarownice mnóstwo wszędzie bywało (mówi Gołębiowski) (*), oneto w nabiale, drobiu i zdrowiu, szkody zrzędzają. Gdy jedzenie było przez nie zaczarowane, poznać było można po ogniu, lub kipieniu wody. Zabezpieczając się od skutku czarów, dość było obrócić wtenczas garnek uchem do ognia, co tak miało szkodzić czarownicy, że musiała przybiedz do tego domu, któremu złe zrzędzić zamierzyła. Dla oddalenia czarownicy od domu, dosyć było przybić do progu końską podkowę.”

Czarownice wykopawszy kości zmarłego i odbywszy nad niemi szepty i zaklęcia, a potem takowe kości spaliwszy w ogniu na popiół, mieszały go z napojem, i dawszy komu go wypić, przez to samo śmierć mu przyspieszały.

maku napowrót kominem wróciła. Dyrektor znowu widział, że za odczynieniem przez gospodynię czarów, chłopczyna już spokojnie śpiący na łóżku leżał, a gospodyni wróciła do czeladnej izby na swoje postanie. Dawszy jej czas do zaśnięcia, wstał, wziął masę z garnuszkim, udał się do izby czeladnej, a usłyszawszy tęgie chrapanie śpiącej i znużonej nadpowietrzną podróżą, cichuteńko zbliżył się do niej, wysmarował ją tąż samą mascią, a gdy zamieniła się w kłacz, na chustce wyprowadził do kowala i podkuć ją kazał; ztamtąd odprowadził do stajni i zamknął. Kogut miejscowy pierwsze pianie rozpoczął. Doczekawszy się poranku, zbudził obu braci i dopytywał się troskliwie, jaki też w tej nocy sen mieli? Starszy z nich opowiadał, że mu się zdawało, iż latał po powietrzu i że aż się gdzieś oparł na wysokości górze i ujrzał tam grono kobiet i kawalerów Niemców, biesiadujących, przy których przysiadła się ich gospodyni. Później gwarzono i płasano. Młodszy zaś oświadczył, iż miał znowu sen, jak z panem dyrektorem i bratem swoim, byli razem na wakacyach u rodziców i grali w piłkę i palcaty. Dyrektor później udał się do miejscowego urzędu, i opowiedziawszy mu nocne przygodę oskarżył gospodynię o współnictwo ze złym duchem, oddał ją podkutą w ręce sprawiedliwości, którą według ówczesnych zwyczajów, po wybadaniu i osądzeniu, w sześć niedziel za wyrokiem sądu, jako czarownicę, publicznie na stosie spalono. Takie to były podania i powiastki z owych wieków, które najlepiej dowodzą, grubych zabobonów i powszechnej ciemnoty.

(*) W dziele: Lud Polski, jego zwyczaje i zabobony, kar. 158.

„Sprawiedliwość sądowa w rozpoznawaniu i sądzeniu tego rodzaju excessów (mówi ks. Kitowicz) (*), nie zawsze była sprawiedliwą. Nie przeważała czystość sprawy, ani moc prawa, ani wierność dokumentów, a wyrok wypadł ślepo według danego rozkazu; kto według takiego miał sprawę przegrać, chociażby była najlepszą przegrał, kto zaś miał wygrać, wygrał by też była najgorszą, bo te rzeczy jeszcze przed sessją były już ułożone. W sądach takowych, wyrokowano w sprawach o bluźnierstwo przeciw religii katolickiej, o życie jawnie gorszące, o zaniedbanie przez kilka lat przystępowania do spowiedzi wielkanocnej, o przeżycie przez rok i niedziel sześć w kłątwe kościelnej, z jakiegokolwiek przyczyny rzuconej. Sądono tu także czarowników i czarownice. W razie kiedy obwiniony lub obwiniona nie chcieli się dobrowolnie przyznać do winy, używano na nich tortur. Tortury te miały miejsce w sprawach gardłowych lub też czarownic. Kiedy winowajca albo przez inkwizycją, nie był dostatecznie o występku przekonany, albo też chociaż już przekonany został, ale jeszcze nie chciał przyznać się do niego, co jednak według zwyczaju we wszelkich sądach przyjętego, koniecznie po winowajcy wymagano, wtenczas brano go na tortury, których żaden kryminalista uniknąć nie mógł, wyjąwszy, jeżeli się do występkę przyznał dobrowolnie. Jeżeli zaś w czasie męczarni na torturach przyznał takowy, a potem znowu zapierał, wtenczas męczono go powtórnie. Jeżeli silnemi były podejrzenia, a winowajca tortury wytrzymał bez przyznania się, wówczas stowczo uwolniony zostawał. Lecz i strona oskarżająca, wolna była od kary za udrczenie winowajcy, zwłaszcza kiedy walczyły przeciw niemu mocne podejrzenia. Tortury te czyli sposoby męczenia, zniewalające do wyznania winy, w miastach znaczniejszych były następujące: przed ratuszem była tak urządzona piwnica, że w ścianach jój osadzony był hak żelazny gruby z kołkiem wysoko od ziemi na pół trzecia ło-

(*) Opis obyczajów i zwyczajów polskich, wydanie ś. p. Edwar-
da Raczyńskiego, w Poznaniu r. 1840. Tom 1szy, kar. 233.

kecia do posadzki w środku piwnicy utwierdzony, tam stawiano stołek. Na nim kat sadzał więźnia, wiązał mu w tył ręce jednym powrozem, drugim wiązał nogi, końce zaś powrozu przywiązał mocno do kółka niższego; przez powróż u rąk przełożył inny postronek, przez kółko wyższe pojedyncze przewleczony, raz drugi około ręki okręciwszy trzymał, aby mu się w ciągnięciu nie wymknął. Przywiązawszy tak więźnia, stanął przy nim w pewnej odległości. Na boku przy ścianie naprzeciw więźnia, stawiano stolik i stolki, kałamarz, pióro i papier, za którym zasiadał wójt z dwoma ławnikami. Gdy tak już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, imieniem skarżącego w krótkiej przemowie upraszał owego sądu, że ponieważ więzień dobrowolnie wzbrania się przyznać do występku popełnionego, aby go wskazał na tortury, podług praw krajowych. Poczém wójt przystępując do zwykłej formy badania obwinionego, mówił wprzód do niego łagodnie, zachęcał go do szczerego wyznania prawdy: „Nie daj się męczyć, przyznaj się raczej. Wzbranianie się w wyrzeczeniu prawdy, na nic się nie przyda; nie wybiegasz się od śmierci, bo wależą przeciw tobie nader silne dowody, żeś ty, a nie kto inny popełnił tę zbrodnią. Nie będziesz zaś mąk przygotowanych cierpieć, przez dobrowolne wyznanie winy. Sąd cię przynajmniej łaskawą śmiercią ukarać może, przez sam wzgląd na okoliczności, dla których dopuściłeś się tego występku. Przyznaj się więc, a może cię nawet sąd za twój żal i pokorę życiem udarować raczy” (*). Jeżeli więzień na te łagodne rady nie przyznawał się jeszcze, wówczas wójt zaklinał go na wszystkie świętości religii, na zbawienie duszy jego, którą dobrowolnie podaje na niebezpieczeństwo jój utraty, przez zacięty upór grzeszne ciało swoje na męki dobrowolnie oddając. Gdy i te przełożenia nie mogły jeszcze na więźniu wyrzec wyznania, wówczas wójt na instygatora zawołał. „Mów więc mistrzowi sprawiedliwości, niechaj postąpi sobie z nim według prawa.”

(*) Tamże.

Instygator zaś zawołał donośnym głosem: „Mistrzu! postąp z winowajcą według prawa.” Kat jeszcze nim przystąpił do zadawania mu męczarni, wołał po trzy kroć „Mości panowie zastolni (*) i przedstolni (**), czy z wołą to waszą, czy nie z wołą”? Instygator odpowiadał za każdym razem „Z wołą.” Dopiero kat silnie pociągnął za powróż, wtenczas ręce więźnia poczęły się wylamywać ze stawów, ramion, podnosić się w górę tyłem głowy, postać zaś więźnia poddając się wyższą częścią ciała za sznurem, znajdowała się na stoliku, nogi zaś wyciągnięte i do haka przywiązane wisały jak na powietrzu. Wówczas więzień przerażającym głosem krzychał nadzwyczajnie: „Nie jestem winien, nie poczuwam się do niczego! nie męczcie mnie! zaklinam was na straszny sąd Boga! puście mnie!” albo też przyznawał się do winy, opowiadał różne występki, których się dopuszczał w życiu. Po takim wyznaniu, nie bywał już męczony. Lecz jeżeli jeszcze trwał w zaciętym uporze, kat przyzywał wówczas swego pomocnika, i obadwa co tylko mieli siły za sznur ciągnęli. Wówczas więzień wyciągnięty był jak strona, ręce wykręciły się tyłem i stanęły w prostej linii z ciałem nad głową, w piersiach zrobił się dół, w który tłoczyła się głowa, cały człowiek wisi na powietrzu. Wszystkie żebra, kości, stawy i żyły stały się wydatne. Jeżeli zdarzyło się, że więzień na torturach skonał, wszystko się natenczas kończyło i zmarłego pochowano, a sprawa upadła. Niekiedy obwinionemu kładziono na nogi ostre żelaza, karby nakształt zębów, kształt piły mające, z dwóch sztuk złożone, przez które przechodziły z obu końców śruby; temi śrubami ściągano żelaza zębate na wierzch piszczeli nóg, które pod spodem przymocowane były. Te więc coraz bardziej gniotąc i kalecząc nogi, nieznośny ból sprawiały. Mistrzowie żelaza podobne dybom, po swojemu nazywali butami hiszpańskimi (***). Utrzymywano powszechnie, że nie

(*) Za stołem siedział wójt z ławnikami.

(**) Przed stołem stał instygator i pacholcy miejscy.

(***) Śmiało utrzymywać można, że rodzaj ten tortur rodzinne ma nazwisko, gdzie ludzkość zawsze na najokropniejsze cierpie-

było zbrodniarza, któregooby obuwie to do przyznania winy nie przymusiło. Kropienie gorącą siarką, przykładanie do boków blach rozpalonych, nie było tak bolesne, jak buty hiszpańskie. Kiedy miano czarowników lub czarownice torturami probować, golono im zwykle włosy na głowie, utrzymując, że we włosach kryje się djabeł i nie dopuszcza czarownicy sumiennego wyznania prawdy, i że ukryty we włosach, za niego, lub za nią, znosi męczarnie, biorąc za powód owe spokojne wytrzymywanie tortur wyżej wymienionych, co zapewne z omdlenia, lub opuszczenia sił pochodziło, nie zaś z pomocy szatana. Żydom pospolicie (jak to utrzymują pisarze), o jaki bądź występki obwinionym i na tortury skazanym, regularnie to uskutecziano. Choć nieraz winowajca jak żyd bez mydła ogolony tortury wytrzymał, i nie chciał przyznać się do winy, kat udawał wówczas, że mu jakiś wielki czarownik tortury oczarował, iż swego skutku osiągnąć nie mogli. Skoro zaś przyznał winę, zdejmowano mu z nóg buty hiszpańskie, sadzano na stołku, wzięwszy potem za ręce powykręcane, odkręcano je napowrót z nowym bólem, potem złożywszy je na krzyż, przed piersi więźnia, kolanem między łopatki tłocząc, tym sposobem naprowadzono w stawy; co było nierównie boleśniej-szém niż same tortury. Takowe męczarnie były niekiedy powtarzane do trzeciego razu, po kilkodziowym jednak odpoczynku. Poczém dopięro następował wyrok śmierci, lub uwolnienie, a to podług okoliczności. Tortur jednak nie nakazywał sąd szlachecki, ale jeżeli sądy wójtowskie, albo gród skazywały kogo na nie, wtenczas odsyłało go na wykonanie onych do urzędu miejskiego. Toż samo czyniono z wyrokami kryminalnemi, w których na końcu po wyroku już śmierci, zwykle dodawano: *pro cuius modi executione reum ad officium scabinale civitatis praeventis remittit* (*).

nia wystawianą była. Nie dziwną to nawet jest rzeczą, gdyż naród, tak jak Hiszpanie, na niskim zawsze stopniu cywilizacji będący, blizkim téż był barbarzyństwa, a tém samém obfity zawsze w najokrutniejsze wynalazki.

(*) Tamże, tom II, kar. 38.

Nader ciekawemi i zajmującemi są indagacye sądowe przedsiębrane przeciw czarownicom, a razem wyroki w tych sprawach przez sądy na nie wydawane. Umieszczamy tu wyjątki z księgi miasta Turka, położonego w powiecie Koniskim gubernii warszawskiej, znajdującej się w archiwum akt dawnych w Kaliszu z r. 1648, to jest w końcu panowania Władysława IV króla polskiego, syna Zygmunta III (*).

In Kosmin Maleficia.

*Actum in Kosmin Sabbatho ante Dominicam Rogationum (**)* Anno Domini 1648.

Będąc wezwani z urzędu wójtowskiego Turkowskiego na instancją p. Jakóba Ponętowskiego dzierżawcę dóbr Kozmińskich, sławetni (***) Grygier Kropidło subdelegat wójtowski, Stanisław Sojewicz, Piotr Słaby, ławnicy, Wojciech Jerzykowicz pisarz, z Maciejem Podwójkiem, przysięgli, przed którymi *ex delatione prefati Domini tenutarii* były postanowione białogłowy niżej opisane, do której sprawy osądził jurydykcyą swoją jegomość pan Alexander z Budziszławia Wysocki, z szlachetnemi pany Łukowskim i Podstarościm Janiszewskim, i innemi, w sprawie niżej opisaniej.

Najprzód: Anna Jedynaczka *benevole* pytana, co ją do tych złych uczynków przyprawiło? odpowiedziała, że to żem pływała (****), ale nie wiem czemu; kokosz téż tam w ogrodzie znalazła Jagna Wscibidurzyna, i ta mię téż do pana odniosła i Bogdajka mię prosiła, żebym nic o téj kokoszy niekleciła; powiadają, że tam w ogrodzie ta kokosz na jajcach siadała,

(*) Wyciągi te z dawnych akt winniśmy W. Walentemu Hubert archiwście głównemu, archiwum głównego w Królestwie, który z polecenia rządu rewidując obecnie archiwa w kraju dla powzięcia przekonania w jakim one znajdują się stanie, "w urzędowej drodze sporządzając spisy takowych, w wolnych od czynności rządowych chwilach, powodowany zamiłowaniem nauk, powypisywał z dawnych akt ciekawe te indagacye i dekreta na czarownice w różnych miejscach wydawane.

(**) W sobotę poprzedzającą dni krzyżowe.

(***) Tym tytułem oznaczano dawniej mieszczan.

(****) Co przekonywa, że ją poprzednio pławić musiano.

a kiedy jój jajca pobrano, były robaki jakieś pod nią, z czerwonymi łbami (*). Co jój oczywiście wymawiała też Wscibidurzyna: „żeś Anno zakrywała te robaki liściem kapusty i gdyś ty z ogrodu wyszła, jam to zaraz ludźmi oświadczyła. Widziałaś djabła, *e converso allegavit* żem widziała. Odpowiedziała Jedynaczka niechże tak będzie i to znowu rzekła: O wodo!wodo! tyś mię niesprawiedliwie osądziła!

Anna Bogdajka z Koźmina zeznała *benevole*: dlatego pływała, bo mię na bok wrzucono, a insze mężowie puszczały na nogi i nie chciały pływać, inszym moim towarzyszkom mówiłam w spichrzu siedząc, żeby nie kleciły lada czego, ja nic nie umiem i nic nie powiem, ale moi panowie kiedyby mię jegomość kazał wypuścić, dałabym krowę, jużto próżno, by nas było osobno posadzono, tedybyśmy były się nie namawiały.

Zofia Kaliścina zeznała *benevole*: żem dlatego pływała, bom na sobie miała grzech o dziecię, którém była u Bożej męki zakopała. Jedynaczce mówiła Bogdajka: miła Anno! nie powiadajże nic, bo ciebie najpiérwój wezmą.

Anna Strzeżyduszyna zeznała: Z téj przyczyny mię wzięto, żem pływała, ale niejednakowo rzucano w wodę, jedno z ochroną, a drugie jako mogło być, tom téż od ludzi słyszała, że kiedy która czarownica, chociaż ją pogrążają, tedy ona przecie pływa jako kaczka, ale jam tylko głowę z wody wyscibiała.

Anna Jedynaczka po południu zeznała dobrowolnie: że nic nie umiem, tylko wróżenie; kiedy komu co zginęło, tom położyła na talerzu dwa kąski chleba rzanego (*), a dwa węgle, a kąsek chleba wetchnąć na igłę, a tak on chléb będzie biegał i jeżeli stanie nad chlebem, tedy się zguba powróci, a jeżeli nad węglem, tedy się już trudno powróci ma. Takimże sposobem w powietrzu mór; gdy mnie kto prosił, tom wspomniała śś. Piotra i Pawła, to kiedy stanęło na rozpalonym węglu, ten już umarł, a kiedy nad chle-

(*) Nowy przedmiot do badania dla entomologów!

(**) Razowego.

bem, to żyw został i jest ich dość żywych com im wróżyła. Nagrodę od nich miewałam dobre. Tegom się nauczyła od nieboszki Rebaskiej.

Agnieszka Wscibidurzyna przy prezencyi urzędowej i innych osobach wymawiała w oczy Annie Jedynaczce, że na jej łożu siedziała kokosz czarna, a kasek popielata, i znalazła na tém miejscu robaki białe długie, na pół palca, łby miały czerwone i widziałam, że je Jedynaczka pogrzebła potajemnie i liściem kapuścianym to miejsce przyłożyła. Jedynaczka odrzekła, widziałas djabła, o co się długo kontrowertując rzekła Jedynaczka, niechże tak będzie jako ty mówisz, a choćby tak było, a zatym ja biegła do téj kokoszy, kiedy-bym była czarownica.

Taż Wscibidurzyna téż twierdziła, że nieraz w swojej kapuście jaja znajdowała kokosze i schła od tego, a kiedy je wyjęła, tedy się poprawiała i to wszystko pod poprzysięgą. Ciebie Anno żeś wielka czarownica (*Ad haec allegata obmutuit*).

Po odejściu Wscibidurzyny, taż Jedynaczka zeznała, że przed nią, użyła mię w tym jedna białogłowa i dała mi groszy siedm i obrus, w którym mi dziury kazała poczynić, prosząc mię abym kupiła trucizny w Kole na szczury, udawając, że ten obrus pogryzły, alem szła do sąsiad inszych na poradę i nie radziły mi tego, wszak wiedzą o tém Łaszczykowa, Kuźmiaka, Srackowa i z synową.

In torturis et post torturas immutabiliter fassa est.

Anna Jedynaczka o kokosz pytana, która pomiędzy kapustą siadała, powiadała, że kokosz niosła się w kapuście, robaków jest tam dosyć takich.

Młynarka Kwiatkowska dała mi na truciznę i dziewczka o tém wiedziała Zofka Kuzniczem mówiła, trzeba wam o tém wiedzieć, że wasza siostrzenica myśli źle o zdrowiu mężowi swemu, dała mi kukielkę w drogę, abym biegła do Koła miasta, a tę truciznę miała dać mężowi. Dlaczego by mężowi jej o tém niepowiedziała? *Odpowiedziała*: nie miałam rozumu po temu i gdy mi od tego odradzono, powróciłam jej te siedm groszy, a kiedy mię najmowała, te-

dy mi dała obrus i kazała mi go podziurawić, żeby mi wiara była dana, że to szczury pogryzły. Gdyśmy chodziły na chmiel do lasa, znalazłyśmy miejsce okrągłe za łąką Maćkową, i mówiły inne, że tu czarownice tańczą i niedługo wzięły mię z sobą na toż miejsce Bielicka i Kotwaska i niosło nas coś wszystkie, nie chodziłyśmy piechotą i tańcowałyśmy tam i innych dosyć było, ale nieznajome, bo miały kaptury na gębie. Grywał nam chłop nieznajomy, czarną gębę miał, na długim drewnie pijałyśmy piwo, ale nie wiem kędy je brały, zbierają się tam na Boże Wstąpienie. Kotwaska i Bielicka i były już u mnie, namawiając mię z sobą; te co były w kapturach były grzeczne, plecyste, biedrzyste, tańcowały z pany, Kotwaska świeczkę trzymała, a szklanicę ja nalewając innym paniom.

Na Łysėj górze bywa nas tam ćma, że okiem nie przejrzy, już się smarowała u Kotwaskiej, kiedy się smaruje pod pachą, to zaraz kominem wyleci, mam też towarzysza Wcieutowskiego, ale ze mną żyć nie chce, bom nie *warowna* (*), kazał mi sobie młodziej szukać. Z Kotwaską Słupecki nie chce żyć, bo stara. W Kozubowie Anuleczka umie czarować. Chrzanowska IP. Wysockiemu tak czyni, żeby miała łaskę, ale sama nie ma przystępu, tylko jēj szatan. Zakopie trupi gnat i już się źle będzie miał, a gdy na szkodę ludzką czyni, te złości używają słów: „Boże byś skruszał, albo skruszała jako ten gnat skruszał.” Jadwigę Kazimierzową na Łysėj górze poznałam po pasku srebrnym kręconym, miała pachotka swego Laskowskiego i innych dosyć z nią było nieznajomych. Odczyniać te złości tak: wzięwszy wódki przed słońca wejściem i ułomie bzu mówić: Pomagaj jēj Panie Boże, daj zdrowie. Kiedy się mléko zepsuje, tedy je cedzę przez wianek z monstrancyi. Ktoby się chciał dowiedzieć czarownicę około Bożego Wstąpienia, w wiliją ś. Filipa i Jakóba, która się uczyni kotką, albo psem białoszyjnym, trzeba się ukłaść pod broną, a na nie włożyć darń ziemię i spyta: jest tu kto? odpowie jest, ale pod ziemią. Kie-

(*) Warowna, nie była już dziewicą.

dyby się inaczej miał ozwać, tedyby zakłóła nożem, bo go ma zawsze przy sobie. W Dąbrowiem téż sama była i uczyniłam się kotką. Chrzanowska odbierała mléko, odczyniać trzeba grabiną, brzezina i wylać na wódkę.

Wozna z Turka, zwałyśmy ją królową, służyliśmy jój, kłaniałyśmy się jój ubogie, miała kaptur na twarzy, była w kozuchowym minderaku a w palendorze i inne z nią miały kapturki czarne na gębach.

Anna Bogdanka na torturach zasnęła, a gdy jój pytano: a śpiesz Anno? odpowiedziała a śpie djabła. Bywałaś na Łysój górze? bywał tam djabeł, kędy jest ta Łysa góra? kędy urosła. Mlékom téż brała u Salwy w skorupę, uczyniłam się koteczką i Kaliścina ze mną bywała najczęściej we czwartek i u włodarza żony byłyśmy, bywając na Łysój górze, miały kapturki czarne na gębach nieznajome panie, tylko dziurką przez kapturek piły, a ci zdrajcy, oszukańce szatani, po jednéj dziurze w nozdrzach mieli, a nogi jak bociany; ta Łysa góra jest pod Poznaniem i te starsze dostatnie panie, to pijały wino, a my ubogie wsianki piwo i my im nalewamy i kłaniamy się, za każdym razem, niziutko, z wielkim strachem.

Dekret.

„W sprawie kryminalnej, która się wносиła ze złych uczynków przeciwko Annie Jedynaczce, Annie Bogdance, któreto pomienione towarzyszkki, niepomne na wokacyą chrześcijańską, odrzekłszy się na chrzcie ś. czarta przekłętego i mocy jego, z szatanami przymierze do złych uczynków poczyniły, niepomne na przykazanie Pańskie i miłość bliźniego i na surowość prawa pospolitego i t. d. Tedy prawo surowe magdeburgskie, przez sąd wójtowski Turkowski, one spólnie godnemi śmierci spalonej być osądziło i do spalenia przez podwójskiego sądowego podaje.”

Pomijamy inne indagacye, ponieważ te tak co do formy, jako téż zeznań mało co różnią się od siebie, ale nie możemy

pominąć dwóch wyroków sądowych, gdyż takowe oznaczone oryginalnością, zasługują aby przytoczonymi były.

Dekret z r. 1664.

Pan Bóg wszechmogący od początku świata stworzył Adama i Ewę, przodków rodzaju ludzkiego, zostawił ich w raju, w roskoszach opływających, pod posłuszeństwem swoim, jednakże przykazanie jego przestąpili. Także i ta białogłowa, nie pomnąc na przykazania Boskie, która podpadała pod moc sądu niniejszego, będąc w jurysdykcyi JMPP. Imiłkowskich, udała się do złych spraw i czartowskich konwersacyi z innymi towarzyszkami swemi, na miejscu niezwyčajném, z duchami Majestatowi Boskiemu przeciwnemi, biesiady zażywała i domowi zacnemu JMPP. Imiłkowskich na zdrowiu szkodziła, co ona nie będąc mękami żadnemi przymuszona, dobrowolnie przyznała i wiele innych excessów, które w procesie téj sprawy wpisane są. Tedy sąd niniejszy przychylając się do prawa i artykułów opisanych na takie złoczyńcę, też Agnieszkę Podgolanekę na postrach innym, osądziło prawo na spalenie, która jest podaną do ostatniej exekucyi administratorowi ś. sprawiedliwości, miasta Kaliskiego. Cokolwiekby się *sukcessu temporis* na inne pokazało, takowej exekucyi surowej podlegać będą.

Dekret z r. 1719.

Actum in Jarocin Seria sexta post festum s. Mathaei Apostoli proxima, anno Domini 1719.

Wiadomo to jest każdemu, co dawno całemu światu jest ogłoszono, *pereat mundus, fiat justitia*, a to dla świętej sprawiedliwości mając pobudkę z pisma Ś. *Maleficos ne patiaris vivere super terram*, a najbardziej rzecz samą na tym texcie *auferes malum de medio vestri*, zgładzisz tego z pośrodka was. Tedy będąc wy oskarżeni przed sądem wójto-

wskim J. K. M. miasta Pызdr, a za rekwizycją poważnego urzędu Jarocińskiego za wasze czartowstwa, pana Boga odstępowanie, jakoście uznawały, takowy na was dekret feruje.

(Tu wymienia przestępców i przestępstwa).

Za takowy tedy występek przeciwko Bogu samemu, nie-pamiętając na przykazania pana Boga, „Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną”, a wyście się czarta chwyciły, a to dla czartostwa wielkiego, którém pana Boga ciężkoście obrażały i ludziom szkodziły, za co abyście były od mistrza spalone, na drogach rozstajnych, skazujemy.

Zakończymy ten cały artykuł tą uwagą: że nienależy się dziwić babom, ale sądom ówczesnym, pomijając nawet przesąd wieku, iż nie zwrócił na to uwagi z naturalnego rozumu wynikłej, że jeżeli te czarownice, miały istotnie moc nadludzką w którą jak się to z całego toku indagacyi i zapadłych wyroków okazuje, toby się pewno męczyć nie dozwoliły, a nawet użyłyby téj mocy czartowskiej przeciw samemu sądowi.

K. Milewski.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

Pomiędzy niezliczoną liczbą gwiazd drobnych, któremi niebo jest zasiane, znajduje się jedna siódmej wielkości, położona między konstellacją Niedźwiedzia Wielkiego a Psami myśliwskimi, oznaczona numerem 1830 w katalogu gwiazd Groombridge, a przez Argelandera w r. 1841 pilnie uważana tym się różniąca od innych, że podlega ruchowi własnemu bardzo znacznemu, bo aż 7 sekund łuku rocznie wynoszącemu (*). Ponieważ ruch téj gwiazdy z ziemi widziany, jest większy niż gwiazd innych, z tego wnosić można, że jest względem nas najbliżej położona, a następnie do dochodzenia parallaxi najdogodniejsza. Ta okoliczność dała powód p. Faye astronomowi paryzkiemu, obrania téj gwiazdy za cel swych poszukiwań. Po wykonaniu wielu ścisłych obserwacyi i rachunków, otrzymał na parallaxę (tojest na kąt pod jakim wydawałby się oku z téj gwiazdy, promień drogi rocznej ziemi 21 milionów mil geograficznych wynoszący) wielkość równą 1,08 se-

(*) Położenie téj gwiazdy w r. 1840 było: wznoszenie proste $175^{\circ} 56' 0''$; zboczenie północne $38^{\circ} 52' 0''$.

kund. Z tój parallaxy wypada: że odległość gwiazdy od ziemi wynosi przeszło 190 tysięcy promieni drogi rocznej ziemi, czyli blisko 4 triliony mil geograficznych. Światło przebiegające 42 tysiące mil na sekundę, dla przyjscia od tój gwiazdy do nas, potrzebuje trzech lat. Gdyby ta gwiazda znikła, jeszczebyśmy ją przez trzy lata widzieli. W tój odległości w jakiej się gwiazda znajduje, zmiana roczna w jój położeniu 7 sekund łuku, w przestrzeni na drodze własnej gwiazdy wynosi 13 milionów mil geogr: (*Comptes rendus N. 23, 7 decembre. 1846*).

* *Areolit.* Dnia 25 grudnia r. z. w Mindenthal w Bawaryi w cyrkule Szwabskim i Neuburg, szczególne zjawisko widziano, tojest spadnięcie kamienia meteorycznego, które mieszkańców poblizkich okolic podziwieniem i przestraczeniem napełniło. W sam dzień Bożego Narodzenia o godzinie 2 po południu, w wspomnioném miejscu i w obwodzie blisko 18 mil, słyszano naprzód grzmot do huku odległych dział podobny, który po kilku uderzeniach przeszedł w odgłos bębnów i kotłów, a następnie przedłużonym brzękiem się zakończył. Całe zjawisko trwało 3 minuty i wszędzie zarówno było słyszaném, gdzie wydawało się każdemu, jak gdyby tuż nad głową swoją grzmot słyszał. W poblizkiej wiosce Schönenberg w zachodniej stronie Mindenthal położonej, zjawisko to postrzegło kilka osób, w postaci kuli czarnej szybko ponad domami wioski przelatującej. Jedna z tych osób widziała, jak ta czarna kula, która mu się tylko jak pięść wielka wydawała, spadła do ogrodu poniżej domu położonego i na dwie stopy głęboko w ziemi się zagrażyła. Wydobyty kamień tworzył piramidę uciętą i nieforemną z czterema ścianami węższymi, a jedną szerszą i jednym zaokrąglonym kantem. Powierzchnia tój bryły, była nierówna i czarnymi plamami pokryta. Areolit ważył 14 funtów i 17 łutów. Co do wymiaru zawierał: 8 cali w wysokości, 7 cali szerokości, a 5 cali grubości. Ciężkość jego gatunkowa była: od 3,7—3,8 razy większa od wody.

J. B.

CHEMIA.

Rozbiór chemiczny wody słonej (solanki), oraz ługów macicznych Ciechocinka, przez Dra Edwarda Stieren.
(Treść z pisma: Repertorium für die Pharmacie v. Dr. Buchner N. 129. Nürnberg. 1846).

I. Źródło słone.

Przysłana do rozbioru woda, była przy świetle dzienném przezroczysta i niezafarbowana, za zamęceniem mieniła się (opalizowała), a skoro w spokoju ją zostawiono, osadzała męty czerwone, będące niedokwasem 2gim żelaza (Eisen-oxyd). Według więc tego, w ciągu drogi rozkład ję nastąpił, a to jak się zdaje przez utratę kwasu węglowego. Powyższa woda działała alkalicznie; w temperaturze 14,5° R. miała ciężar gatunkowy = 1,035.; za zagotowaniem w kolbie szklanej nad płomieniem lampy wysokowej. osadzało się z nięj cokolwiek żółtawego osadu, który zawierał niedokwas 2gi żelaza bez wapna. Po odcedzeniu cieczy od osadu, w wodzie znaleziono następne zasady solne: potaż, sodę, wapno i magnezją, a z kwasów lub z ciał mogących je zastąpić, kwas węglowy, kwas siarkowy, chlór i brom. Kwas krzemionkowy, k. źródłowy (Quellsäure) i żywica ziemna w małej ilości w nięj zostały wykryte. Jod, lityna i glinka wcale się w nięj nie okazały.

100,0 grammów wody mineralnej, wyparowane do suchości w naczyniu szklaném, i w temperaturze wyższej nad 100° C. wysuszone, wydały 4,65 gram. części zsiadłych.

Następnie wydzielał autor każde w szczególności ciało w skład wody wchodzące, poczem dopiero:

Z węglanu baryty wyrachowany kwas węglowy, połączył z sodą na pojedynczy węglan, chociaż nie ulega wątpliwości, że w zupełnie świeżęj wodzie, soda w postaci dwu węglanu a również znaleziony niedokwas 2gi żelaza w postaci dwu węglanu niedokwasu 1go i źródłanu znajduje się. Potaż obliczono z kwasem siarkowym na siarkan potażu, a co zaś pozostało nadmiaru kwasu siarkowego, dodano go do sody na siarkan

sody. Brom połączył autor z magnezynem, co się zaś z magnezji pozostało, utworzył z tego chlorek magnezynu przez zjednoczenie jej z chlorem; znalezione wapno obrócił z chlorem na chlorek wapna, a pozostały chlor z sodem obrachował jako chlorek sodu.

1) Wypadki rozbioru:

w 1000 częściach solanki.

Chlorku sodu.....	37,63593
Chlorku wapna	3,90510
Chlorku magnezynu.. ..	2,12692
Bromku magnezynu.....	0,04460
Siarkanu sody.....	0,50195
Siarkanu potażu	0,14600
Niedokwasu 2go żelaza.....	0,01250
Węglańu sody (pojedynczego)	0,41366
Kwasu źródłowego)	
Żywicy ziemnej) ilość nieoznaczona.	
Krzemionki)	
Wody.....	955,21334

1000,00000

2) Przypuściwszy że powyższe sole mają w sobie wodę krystaliczną, i że niedokwas 2gi żelaza jest w stanie węglanu niedokwasu pierwszego, a węglan sody pojedynczy, w postaci dwu-węglańu, będzie:

w 1000 częściach solanki:

Chlorku sodu.....	37,63593
(+) Krystalizowanego solanu wapna	7,67723
(+) Krystalizowanego solanu magnezji.....	5,91496
(+) Krystalizowanego wodo-bromianu magnezji	0,09280
(+) Krystalizowanego siarkanu sody (soli Glaubera).....	1,13477
Siarkanu potażu	0,14600
Dwu węglanu (Zweifach) nied. 1go żelaza..	0,02563
(+) Krystalizowanego dwu-węglańu sody	0,50379
Kwasu źródłowego)	
Żywicy ziemnej) w ilości nieoznaczonej	
Krzemionki)	
Wody	946,86889

1000,00000

II. Ług maciczny (*Mutterlauge*).

Ług maciczny w temperaturze 14,5° R. okazywał ciężar gątkowy = 1,295, był zupełnie przezroczysty, jasno żółty i całkowicie obojętny. Smak zaś miał mocny słono-gorzki, bez odznaczającego się zapachu.

1. Wypadki rozbioru:

w 1000 częściach ługu macicznego:	
Chlorku wapna	140,3870
Chlorku magnezytu	105,3614
Chlorku sodu	47,7260
Bromku magnezytu	2,9302
Chlorku potasu	3,9358
Siarkanu sody	0,3140
Żywicy ziemnej lub organicznych istot ilość nieoznaczona.	
Wody	699,3456
	1000,0000

2. Przypuszczając w solach wodę krystalizacji, byłoby:

w 1000 częściach ługu macicznego.	
(+) Krystalizowanego solanu wapna	275,98001
(+) Krystalizowanego solanu magnezytu	293,00982
Chlorku sodu	47,72600
(+) Krystalizowanego wodo-bromianu ma- gnezytu	6,09691
Chlorku potasu	3,93580
(+) Krystalizowanego siarkanu sody (sól Glaubera)	0,70987
Istot organicznych w ilości nieoznaczonej.	
Wody	372,54159
	1000,00000

Oprócz solanki i ługów macicznych, otrzymał jeszcze autor, dwie istoty stanowiące odpadki w warzelnii Ciechocińskiej, to jest osad z panwi (*Pfaunenstein*) i muł solny (*Salzschlamm*).

Podług udzielonego objaśnienia, do solanki w Ciechocinku na 22% zgeszczonej przed zawrzeniem dodaje się niegaszo-

nego wapna; po dwóch warach, czyści się panwie, a część ostatnia pozostała, stanowi ten, o którym mowa muł solny.

Należy tutaj zwrócić uwagę, że ług maciczny rozbiérany, pochodził z niewapnionój właściwie do tego celu w panwi wygotowanej 22 procentowój solanki.

III. Osad panwiowy (*Pfannenstein*).

Był w wilgotnych szaro-białych kawałkach, te zagotowane z wodą przepędzoną, zostawiły wiele osadu, który nalany kwasem solnym burzył się mocno, i pozostawiwszy gips, wydał ciecz ciemno-żółtą, zawierającą w sobie wapno, magnezję i znaczną ilość żelaza. Po zagotowaniu osadu panwiowego z wodą, i odcedzeniu ztąd cieczy, taż ciecz miała kolor brunatno-żółty, działała mocno alkalicznie, po wyparowaniu zostawiała powłoczkę, która kazała się domyślać o wolném wapnie gryżącym, a po rozpuszczeniu tego w kwasie saletrowym dla otrzymania obojętnego roztworu, odczynniki wykryły co następuje:

Saletran srebra i chlerek barytu utworzyły biały w kwasie saletrowym nierozpuszczalny osad.

Potaż gryzący i amonia gryząca, węglan sody, i węglan amonii utworzyły także osady.

Szczawian potażu wydał widoczny osad, a po odcedzeniu od niego cieczy, i dodaniu do niej fosforanu zasadowego amonii, powstały ztąd mocne męty powoli się osadzające.

Siarczyk wodorodny amoniaku dawał kolor nasamprzód czarniawy, a wyciąg galasu takiż, lecz mniej widoczny. Sinek żelazisty potasu żółty i czerwony nie zmieniały wcale jój koloru.

Chlerek platyny i kwas winowy wykryły w steżonym roztworze, ślad soli potażowych.

Okazało się, że w 100° C. wysuszony osad panwiowy, zawiera około 38 do 39% chlorku sodu. Pozostałość składa się z węglanu wapna, wapna gryżącego, gipsu, niedokwasu żelaza, chlorku wapna, chlorku magnezynu, oraz chlorku potasu. Związków bromu wcale w nim nie znaleziono.

IV. *Muł solny (Salzschlamm).*

Muł solny Ciechociński jest w postaci wilgotnej białawej masy, rozpuszcza się prawie zupełnie w cieplej wodzie, a ciecz ztąd powstająca jest żółtawa, i działa alkalicznie. Część w wodzie nierozpuszczalna, składa się głównie z wodoru wapna, gipsu, nieco węglanu wapna, niedokwasu żelaza, krzemionki i glinki. Ciecz zobojętniona kwasem saletrowym, dochodzona została właściwymi odczynnikami, z kąd się pokazało:

Że w 100 częściach w 100°C. wysuszonego mułu solnego znaleziono.

Chlorku sodu.....	63,34
Chlorku wapna.....	15,20
Chlorku magnezyanu.....	4,21
Chlorku potasu.....	0,90
Siarkanu wapna oraz wodoru wapna.....	6,94
Nierozpuszczalnego w wodzie osadu, składającego się z wodoru wapna, węglanu i siarkanu wapna, niedokwasu 2go żelaza i t. p. }	9,41
	<hr/> 100,00

* *Oddzielanie bromku potasu od jodku potasu.* Sposób do powyższego celu podany przez p. Personne jest następujący. Dodaje się do roztworu jodku potasu, rozpuszczonego koperwasu miedzianego (siarkanu miedzi) w nadmiarze, i następnie tyle kwasu 2go siarkowego (Schweflige Säure), ażeby wszystko nabrało mocnego zapachu. W skutku tego opadnie wszystek jod w postaci jodku miedzi $Cu_2 J$, a brom w cieczy zostanie; ten jodek miedzi, odcedzono się, opłukuje, i z jego wagi obrachowuje się jod i jodek potasu. Do pozostałej od jodku miedzi, cieczy, dodawszy nową ilość koperwasu miedzianego i kwasu 2go siarkowego, i zagotowawszy to wszystko, opadnie brom w postaci bromku, a z jego wagi obliczyć można ilość bromu i bromku potasu. (Tenże sam numer powyższego pisma).

J. B...a.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1846.

W I L N O.

162. Athenaeum. Pismo zbiorowe, poświęcone historii, filozofii, literaturze, sztukom i t. d. Wydawca J. I. Kraszewski. 6 tomów. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I str. 205. II. 220. III. 257. IV, 227. V. 235. VI. 257. W każdym tomie rejestru karta I. Złp. 40.

163. Biblioteka Kaznodziejska, zawierająca kazania niedzielne i świąteczne, przez ś. p. Jakóba Falkowskiego Z(gromadzenia) K(aznodziejskiego) P(rowincyi) L(itewskiej) ułożone. Wydanie nowe, poprawne. 6 tomów. 8ka. Wilno. 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Tom I. str. XVI i 461. II, 443. III. 451. IY. 405. V. 376. VI. 382. Złp. 45.

164. Złoty Oltarzyk, czyli krótkie zebranie różnego nabożeństwa. Wydanie nowe, przez jednego gorliwego kapłana przejrzone, poprawione i pomnożone. (Z edycyi oryginalnej najpoprawniejszej) 12ka. Wilno. 1846. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. Str. XXX i 654. Złp. 2.

G R O D N O.

165. Poselstwo Lwa Sapiehy w roku 1600 do Moskwy, podług Dyaryusza Eljasza Pielgrzymowskiego, Sekretarza Poselstwa, z rękopisu trafem odkrytego przez Władysława Trębickiego opisanego. 8ka. Grodno. 1846. W drukarni Rządowej. Nakład wydawcy Ondyny Druskienickich źródeł. Str. 44. Złp. 2.

P O Z N A Ń.

166. Życie świętej Gerowefy, napisane dla matek, dzieci i poczciwych ludzi, którzy w swych cierpieniach szukają pociechy w Bogu i swiej niewinności. Z niemieckiego powtórnie i poprawnie przełożone. 16ka. Poznań. 1846. Druk i nakład księgarni Nowej. Str. 118 i rejestru karta 1. Złp. 1 gr. 10.

1847.

W A R S Z A W A.

30. Historia, Literatura i Krytyka. Pisma Jana Majorkiewicza. 8ka. Warszawa. 1847. Druk Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. Str. 349 i rejestru karta 1. Złp. 10.

31. Kilka prac literackich Teodozyusza Leliwy. 16ka. Warszawa. 1847. Druk St. Nowakowskiego, Str. 98.

32. Nauczyciel ze stanowiska moralnego i naukowego. Dzieło dla rodziców i nauczycieli, przez Felixa Jezierskiego. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Kart napisowych i rejestru 5, str. IX i 276. Złp. 6 gr. 20.

33. Nocy na cmentarzu, przez Leona Gozlan, przełożył z francuzkiego S. P. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Józefa Tomaszewskiego. Tom I, str. 208. II. 164. III. 163. Złp. 13 gr. 10.

34. O piękności w sztuce ze szczególnym do praktyki zwrotem, napisał Julian Ankiewicz. 8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Ungra. Kart napisowych 2 str. IV. i 228. Złp. 6.

35. Podejrzenie, powieść Henryka Kock'a, przełożona z francuzkiego przez J. W...cką 12ka. Warszawa. 1847. Nakład Redakcyi Gazety Codziennój. (Druk Banku Polskiego). Str. 219. Napisów i rejestru kart 3. Złp. 5.

36. Przypadki Robinsona, przez J. H. Kampe. Wydanie piąte. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Str. 218, i kart napisowych 2. Złp. 4.

37. Typhus po polsku Dur, pojmovany i opisany przez Wilhelma Malcza, Doktora medycyny i chirurgii. 8ka. Warszawa. 1847. Druk St. Strąbskiego. Str. VI i 135. kart napisowych 2. Złp. 5.

38. Wychowanie Macierzyńskie, czyli podręczna biblioteczka naukowa dla dziatek płci obojój od lat 6 do 12. Tłumaczenie z francuzkiego Pani Amable Tastu. Polskie wydanie wielu przedmiotami pomnożone. 14 tomów. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład G. Sennewalda. (Druk J. Ungra). Tom I, str. 164. II. 104. III. 153. IV. 141. V. 309, 91 i kart 2. VI. 178. VII. 188. VIII. 249. IX. 146. X. 102. XI. 191. XII. 321. XIII. 96. XIV. 263. W każdym tomie kart napisowych 2. Złp. 50.

39. Wydoskonalona kucharka, zawierająca w sobie opisanie potraw i różnych napojów oraz sekreta toaletowe, nowe sposoby prania bielizny i szali. 8ka. Warszawa. 1847. Druk J. Jaworskiego. Str. 289, i spisu rzeczy str. 17. Napisów kart 2. Złp. 13 gr. 10.

W I L N O.

40. Dzieje Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego od roku 1380 do 1535, przez Bernarda z Rachtamowic Wapowskiego, ze świeżo odkrytego społecznego rękopismu, z języka łacińskiego na ojczysty przetłómaczył, przypisami objaśnił, poczet rzeczy i osób dodał Mikołaj Malinowski. 8ka. Tom 1szy. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart napisowych 2 i str. 491. Z prenumeratą na 4 tomy złp. 60.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

„O monetach z czasów Piastowskich i o sztuce menniczej z tegoż okresu,” dzieło opatrzone kilkuset drzeworytami wśród tekstu i tablicami na miedzi rytymi, wypracowane przez znanego w literaturze Kazimierza Stronczyńskiego, w bieżącym miesiącu, zacznie się drukować. Prenumerata na tę ważną z wielu względów pracę w właściwym czasie ogłoszoną zostanie.

Księgarz Orgelbrand ukończył już druk dzieła, „Historya Zgromadzeń prawodawczych, Konwencyi narodowej i Dyrektoryatu.

U tegoż w drukarni znajdują się następujące dzieła pod prasą, które własnym nakładem wyda: 1. Dziadek i czterej wnukowie, czyli początkowe nauki i wiadomości do czytania dla dzieci. 2. Obrazy przyrodzenia Humboldta, tłumaczył Antoni Koźmiński, 2 tomy. 3. O'Donnel, powieść Irlandzka, przez Lady Morgan, tłumaczył z ang. Ant. Koźmiński. 3 tomy. 4. Rady, przestrogi i nauki dla pannień. 5. Wieczory domowe, zbiór zabawek, opisów i powiastek dla nauki i rozrywki dobrych dzieci, przez Paulinę Kraków. 6. Wspomnienia wygnanki, przez Paulinę Kraków, wydanie drugie.

Wydawca Tygodnika Petersburskiego zapowiedział, iż w tegorocznym Tygodniku będzie ogłoszony nowy utwór pani Sztjrmer pod tytułem „Cioteczno rodzone siostry.” Jestto romans obyczajowo-filozoficzny i dzieli się na trzy epizody, dające razem poznać miejscowość odbywających się wypadków. Tytuły tych epizodów są: Kutno, Rozalia, Warszawa.

WILNO.

„Kollokacya” powieść oryginalna Józefa Korzeniowskiego we 2ch tomach wyszła z druku: wkrótce tegoż autora wyjdzie na widok publiczny: „Młoda Wdowa,” komedia we 3ch aktach, znana ze sceny Warszawskiej.

Księgarnia i drukarnia Zawadzkiego, która powyższe dzieła wydaje, przygotowała wydanie drugie „Powieści Nieboszczyka Pantoffla” i nową pracę ks. Ig. Hołowińskiego pod tytułem: „Powieści z podań gminnych,” którą wkrótce wyda.

Kazimierz Bujnicki, wydawca pisma zbiorowego Rubon, ogłosił prospekt na 4tą seryą tegoż pisma, czyli na tom VII i VIII, które ma wydać w Wilnie u Zawadzkiego.

T. Glücksberg w Wilnie ma wydać: „Pomysły o wychowaniu człowieka,” przez Floryana Bochwica.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Styczeń 1847.

Styczeń 1847.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				WILGOTNOŚĆ na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1	☉	759.01	759.95	760.91	763.04	— 9°.1	— 8°.1	— 7°.3	— 7°.0	100.
2		762.64	762.64	760.21	759.26	— 6.9	— 6.5	— 7.6	— 5.7	96.0
3		757.31	757.70	756.90	758.22	— 4.3	— 4.0	— 5.4	— 6.8	97.5
4		759.60	760.71	761.53	762.47	— 7.4	— 6.5	— 8.0	— 6.2	96.2
5		762.71	763.30	763.53	765.09	— 5.5	— 4.8	— 5.6	— 7.9	69.0
6		766.31	767.30	766.52	765.74	— 10.7	— 8.1	— 5.0	— 4.8	99.0
7		763.95	764.38	762.56	761.30	— 6.6	— 6.8	— 8.0	— 8.6	100.
8		760.48	761.05	761.71	763.26	— 7.8	— 6.9	— 5.1	— 3.6	100.
9	☾	766.49	768.38	769.42	769.89	— 5.3	— 6.0	— 6.0	— 7.0	99.5
10		768.11	768.35	766.21	765.48	— 8.9	— 8.3	— 9.9	— 10.5	100.
11		764.84	763.13	764.11	763.23	— 10.5	— 10.2	— 10.0	— 11.8	100.
12		761.55	761.81	759.63	759.16	— 15.8	— 14.2	— 9.6	— 10.1	100.
13		759.04	759.85	759.48	760.54	— 9.7	— 7.0	— 7.6	— 11.6	100.
14		760.38	760.87	760.04	760.39	— 10.4	— 10.6	— 10.0	— 12.0	100.
15		760.53	761.20	760.36	760.52	— 15.8	— 14.8	— 11.1	— 12.8	100.
16		760.19	760.50	759.17	759.00	— 13.9	— 13.1	— 10.2	— 11.0	100.
17	☉	758.61	759.08	759.34	759.12	— 11.6	— 11.0	— 10.5	— 13.8	100.
18		758.42	758.62	757.97	757.72	— 16.6	— 15.0	— 11.9	— 14.8	95.2
19		757.22	757.49	756.85	756.44	— 16.7	— 14.8	— 10.4	— 14.7	92.2
20		755.12	754.82	753.53	753.06	— 17.5	— 16.1	— 12.3	— 10.5	96.5
21		753.46	754.38	755.17	756.17	— 7.5	— 6.6	— 5.0	— 6.3	95.7
22		757.33	757.72	757.31	758.17	— 5.9	— 6.0	— 4.9	— 9.3	93.2
23	☾	757.87	758.13	757.38	757.87	— 8.9	— 8.1	— 8.2	— 11.8	96.2
24		758.01	758.13	756.93	754.94	— 14.9	— 12.9	— 7.2	— 9.2	97.2
25		753.52	752.86	751.50	750.92	— 11.6	— 9.1	— 3.5	— 6.7	95.7
26		749.97	750.52	750.52	751.06	— 4.0	— 2.7	— 1.3	— 2.2	100.
27		749.52	749.24	746.29	744.64	— 3.7	— 3.7	— 4.2	+ 1.0	93.5
28		743.59	743.79	742.52	740.80	— 1.2	+ 2.2	+ 0.5	+ 1.4	96.0
29		739.52	738.43	741.28	742.23	+ 1.6	+ 2.5	+ 3.5	+ 0.0	93.7
30		740.11	739.18	738.43	738.75	— 0.2	+ 1.3	+ 2.4	+ 2.2	97.7
31	☉	737.15	737.40	736.63	734.73	+ 2.2	+ 2.6	+ 3.5	+ 2.7	91.5
Śre.		756.85	757.13	756.59	756.56	— 8°55	— 7°53	— 6°32	— 7°40	97.4

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. $52^{\circ}13'5''$, długość w czasie $1^{\text{h}} 14^{\text{m}} 45^{\text{s}}.7$
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	W.		3.2
pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	W.	W.	W.	W.		2.8
pochmurny	pochmurny	śnieg pruszy	śnieg	W.	W.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	W.	W.	W.		
pochmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	W.	W.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
pochmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	—	PdZ.	Pn.	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	W.	PdW.	PdW.		
pochmurny	poch. mgła	poch. mgła	mgła	Pd.	PdZ.	Z.	—		
mgła	poch. mgła	poch. mgła	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	lek. zachm.	—	—	Pd.	—		
mgła	pochmurny	pochmurny	pogodny	—	PdW.	W.	W.		
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	W.	W.		
pogodny	napót pog.	napót pog.	pochmurny	W.	W.	W.	PdW.		
pochmurny	napót pog.	napót pog.	pochmurny	W.	W.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	—	PdW.	PdW.	—		
pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	W.	—		
pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	W.	W.	PdW.	Pd.		
pogodny	pogodny	smugi	pochmurny	W.	W.	PdW.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdW.		
pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	smugi	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	śnieg	śnieg drob.	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		4.0
pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	napót pog.	smugi	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	5.9	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Pd.	W.		
pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	napót pog.	PdW.	PdW.	Pd.	PdW.		
								5.9	10.0

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	756.78	27	11.477
Najwyżej barometr dochodził d. 9 o g. 10 r.	769.89	28	5.29
Najniżej barometr dochodził d. 31 o g. 10 w.	734.73	27	1.70
Średnia zmiana dzienna barometru	2.47		1.09
Największa zmiana dzienna d. 8—9 o g. 4 w.	7.71		3.42
Średnia wysokość barometru jest o wyższa od stanu normalnego z 21 lat poprzednich	5.89		2.81
Średnia temperatura Stycznia wynosi: i ta jest o niższa od stanu normalnego z 21 lat poprzednich	750.893	27	8.868
	-7°45 C.		-5°96 R.
	2.26	„	1.81
	- 5.19	„	- 4.16
Największe ciepło dochodziło d. 29 i 31 o g. 4 w.	+ 3.5	„	+ 2.8
Największe zimno dochodziło d. 20 o g. 6 r.	-17.5	„	-14.0
(Termometrograf wskazał Maximum: d. 31 + 4°0 R. Minimum: d. 20 — 14°4 R.)			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.55	„	2.04
Największa zmiana dzienna d. 20—21 o g. 6 r.	10.0	„	8.0

Średnia wilgotność powietrza wynosi 97.4; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; czyli 3.32 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 6; napół pogodnych 10; pochmurnych 15.

— deszczu 1 (d. 29).

— śniegu 3 (d. 1, 3, 26).

— mgły 6 (d. 6, 7, 8, 10, 11, 13).

Wody z deszczu spadło wysoko 5,9 millim. czyli 2,66 linij par., z śniegu 10,0 millim. czyli 4,43 lin. par., razem z deszczu i śniegu 15,9 millim. czyli 7,09 lin. par. to jest o 4,88 lin. par. mniej, jak zwykle wody w Styczniu spada.

Grudzień r. b. był mroźny, suchy, mało w śnieg obfity; pogodniejszy jak zwykle; blisko o 2 stopnie R. zimniejszy niż w stanie normalnym. Środek miesiąca był znacznie zimny, osobliwie d. 15, 16, 17, 18, 19, 20; przeciwnie, ostatnie cztery dni t. j. d. 28, 29, 30, 31 były ciepłe. Powietrze było spokojne, bez wichrów i zadymek śnieżnych.

Wiatry panujące były: Wschodnie i Południowo-Wschodnie.

D. 13 i 14 o godzinie 7 wieczór zorza Zodyakalna wyraźna.

D. 22, 25 na słońcu plamy widzialne.

	Stron.
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném Warszawskiem:	
za miesiąc listopad r z.....	217
— — grudzień r. z.....	443
— — styczeń b. r.	675
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum Warszawskiem w roku 1846 robionych.	
Ostrzeżenie.	
Sprostowanie.	

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

<i>Stron.</i>	<i>Więrsz.</i>	<i>Zamiast.</i>	<i>Czytaj.</i>
355	2	z wewnętrznego	z zewnętrznego.
366	7 od dołu	otworzył radosném przestołów spojrzeniem	otworzył radosnym prze- stołów spojrzeuiom.
372	8 od dołu	osłojni	ostojni.
549	9	serce	słońce.
668	7	krzywdę	krzywdą.



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

PISMO POSWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, I PRZEMYSŁOWI.

1847.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XXVI.



P
11715

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1847.

OBRAZ WIEKU PANOWANIA ZYGMUNTA III

KRÓLA POLSKIEGO I SZWEDZKIEGO

CZYLI

OBRAZ STANU, NARODU I KRAJU WYSTAWIAJĄCY.

PRZEZ

Ks. Franciszka Siarczyńskiego ().*

Rozdział IX.

Rękodzieła, rzemiosła (o) i sztuki. Stan budownictwa i ogrodów.

TREŚĆ.

Opieką króla i możnych, kwitną w kraju rękodzieła, rzemiosła i sztuki. Początki ich wzięliśmy od Niemców.

(* Ks. Franciszek Siarczyński umierając, zostawił rękopis pod tytułem:

Obraz wieku panowania Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego, czyli obraz stanu, narodu i kraju wystawiający w rozdziałach: I. Religia. II. Obyczaje. III. Nauki. IV. Prawo i prawodawstwo. V. Przewaga możnowładzców. VI. Wojsko. VII. Duchowieństwo. VIII. Rolnictwo. IX. Rękodzieła, rzemiosła i sztuki. X. Handel i kupiectwo. XI. Pobory, dochody państwa i króla, moneta. XII. Ludność i rozległość krajów polskich. XIII. Wiadomość o kopalniach krajowych za Zygmunta III. XIV. Związki z państwami obcemi. XVI. Osobiste przymioty i czyny króla, dwóch królowych i ich potomstwa. XVII. Znaczniejsze zdarzenia fizyczne za panowania Zygmunta III.

Dzieła tego Nowa księgarnia wydała w 1843 r. tom pierwszy w 8ce, mający XI i 337 stron, i ten obejmuje tylko pięć rozdziałów podług powyższego podziału. Następne zaś tomy, dla niewiadomej przyczyny, dotąd nie wyszły. Z drugiego tomu, mając sobie udzielony ze Lwowa w odpisie z autografu rozdział IX, zawierający rękodzieła, rzemiosła i sztuki, przesyłam go Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, aby raczyła umieścić go w swém piśmie, i uważać za artykuł dotąd nigdzie niedrukowany, a pod względem naukowym, za godny do ogłoszenia go drukiem.

D. 10 lutego 1847 r.

C. W.

(o) Niewiele baczni na właściwe znaczenie, często w używaniu jeden wyraz za drugi bierzemy, lub téż jednemu wyrazowi daje-

Starania rządu, aby rozmnożyć rękodzieła ryzsztunków wojennych. Rękodzieła sukienników, złotników i kuśnierzów były najcelniejsze. Wyobrazenie rzemiosł, z wiadomości cechów znajdujących się podówczas w Krakowie, ich wyliczenie. Król wspiera sztuki, rozkrzewia i darzy, zaprowadza w Polsce lepsze budownictwo przejęte od Włochów. Zachęceni przykładem króla, panowie możni wznoszą znamienite budowle. Ślady mianych dobrych malarzów, i biegłych w rzeźbie mistrzów. Wspomnienie bitych za Zygmunta III medalów. Wypisanie

my kilka znaczeń, chociażbyśmy na oddzielne ich oznaczenie osobne mieć mogli wyrazy. To nam wielce utrudnia mowę naszą, osobliwie gdy z całą dokładnością odróżniającą, rzeczy zbliżone do siebie, tłumaczyć chcemy. Tak, co łacinnicy zwali *fabrica*, *ars*, *artificium* lub *opificium*, czytamy w dawnych, a nawet świeższych pismach, że jednem słowem *rzemiosło* tłumaczą. Przydaliśmy później wyraz *rękodzieło*, a do znaczenia *fabrica*, utworzyliśmy wyrazy *rękodzielnia*, *wyrobnia*, chociaż wyrazy na *nia* zakończone, służą pospolicie do znaczenia miejsca jakiego, i raczejby znaczyły to, co w łacinie *opificina*. Potrzebujemy zaś wyrazów oddzielnych, aby oznaczyć najprzód rzemiosło, które jeden człowiek z pomocą narzędzia ręcznego wyrabia, naprzykład szewstwo, krawiectwo, ciesielstwo. Powtóre *rękodzieło*, które prócz różnych narzędzi, wymaga *dzielnic*, z niemieckiego *warsztat* zwanych i wielu rąk do wyrobienia dzieła jakiego, jako: sukiennictwo, tkactwo, stolarstwo i t. d. Rękodzieło, wyklada wyraz łaciński *manufactura*. Potrzebie *sztuka*, w której przemaga więcej umysł, jak w rękodzielach, i lekką pracą się wykonywa, przeto po łacinie *ars liberalis*, u nas *sztuką wyzwoloną*, a z francuzkiego *piękną* jest zwana, jako: *malarstwo*, *rzeźba* i t. d. Pożyczony od Niemców wyraz *kunst*, toż u nas znaczy co *sztuka*, lubo niekiedy i *rzemiosła* znaczenie zastępuje, lecz zupełnie niewłaściwie, bo *sztuka* jest wolna, i ustawom cechowym niepodległa. Płody rękodziel i rzemiosł, dobrze nowym wyrazem *wyrób* się zowią. *Linde* uważa, iż zakończenie *stwo*, właśnie służy do wyrażenia rzemiosł, np. ślusarstwo, szklarstwo i t. d., lecz mylna to zdaje się zasada, gdyż więcej bez porównania mamy słów na *stwo* zakończonych, które żadnego nie mają związku z rzemiosłami, jak: księstwo, duchowieństwo, gospodarstwo, krasomówstwo, myśliwstwo i t. d.

porządkiem lat wzniesionych w tym wieku zamków, kościołów, klasztorów, pałaców, i założonych celniejszych ogrodów, zwierzyńców.

* * *

Lubo co do tego względu, ani w tym wieku, ani w innych podobno niewiele się pochwalić możemy, przecież panowanie Zygmunta III ma niejaką w téj mierze zaletę i zasługę. I król i możniejsi, rękodzielom, rzemiosłom i sztukom opiekę swą i pomoc dawali. Zbytek i przepych wiele potrzeb utworzył, które je zasilają, mnożyły, podnosiły, i do kwitnącego stanu przywiodły. Przyznajmy, iż od Niemców pierwszą wszelkich rzemiosł wzięliśmy naukę. Sam język rzemieślniczy, jest i będzie na zawsze téj prawdy świadectwem i dowodem. Naród nasz na dwa prawie tylko stany od wieków się dzielił (a): rolniczy i wojenny. Ziemią lub orężem zajęci, obcym rękóm rzemiosła oddaliśmy. Przyjmując do kraju naszego Niemców, nagrodzeni zostaliśmy, iż nam wprowadzili rozmaite rzemiosła, ku potrzebie i wygodzie życia. Jeszcze w wieku XV wypędzeni Hussyci, osiadłszy w miasteczkach naszych, wkrótce przerobili się na Polaków. I za panowania Zygmunta III, ościenne religijne wojny, zaludniły przybyszami miasta nasze. Spokojność, łatwość wyżywienia się, pewność zarobku, przywabiły ich do nas. Przybysze Niemcy, wyłącznie prawie aż do wieku XVII wiedli handle, sprawowali rzemiosła, trudnili się w kopalniach polskich górnictwem, a stając

(a) Na dwie części szlachtę i rolników dzielimy. Wiejskie osady, składają po większej części przybysze, kupcy i rzemieślnicy, a ci są: Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy, Ormianie, Rossyanie, Grecy, Holendry, Węgry, Żydzi, Persowie i Szkotowie. Naszyńcy zaś Sarmaci, w małej liczbie, bo oddanym Bellonie i Gererze, nie sprzyja Merkury, tak mówi: *Starowolski contra Obtrectatores C. l. St.*

się pożytecznymi w każdym rodzaju dla nowy ojczyzny obywatelami, grzeczniejszymi byli w Polsce, niżeli u naszych sąsiadów (b). „Cobyśmy poczęli? pisze *Górnicki*, gdziebyśmy wzięli koncyrze, szable, zbroje, pancerze, rusznice, tarcze, drzewca, siodła, munsztuki i inne rzeczy, gdyby nam ich nie dostarczali Niemcy? Oni rzemiosła i mury w Polsce rozmnożyli.”

Sejm r. 1607 postanowił, aby z przyczyny potrzeb i niebezpieczeństw Rzplitej, stan szlachecki w ryszunki wojenne opatrzony został, o które w te czasy, w województwie mazowieckim bardzo trudno było; aby *Warszawa*, *Łomża*, rzemieślniki do ryszunków wojennych sposobne miały, i zawsze chować powinny były, a to pod winami. Sejm r. 1611, dodał miasto *Lublin*. Roku 1613 ustawa mówi: że gdy wiele Rzplitej jako i na innych rzemieślnikach do ryszunku wojennego, tak niemniej na płatnerzach (c) zależy, o co miasta nasze główne staraćby się miały: gdyż na to i na pomnożenie innych ozdób miejskich, dochody pewne i niemałe, z łaski przodków naszych i naszej nadane sobie mają. W czém iż są niedbali, nakazały stany miastom *Wilnu* i *Kownu*, aby płatnerze do tych miast najdalej do skoń-

(b) Naprzykład w Węgrzech tak opanowali Niemcy handle i rzemiosła, iż do żadnego cechu Słowian przyjmować nie chciało, dopiero r. 1608, pozwolono mocą uchwały Słowianom różnych praw i swobód z Niemcami w bractwach cechowych używać; w Czechach także obwarowanem było, że tylko krajowiec, który z niemieckich i wolnych rodziców był zrodzony, mógł być do cechu przyjętym. Słowianie zaś, czyli Winnidy, równie jako i ludzie nieprawego łoża, na zawsze byli wyłączeni. *De contrib. Gorn. Reus. 1. 2.*

(c) Zbroja pancerna, składa się z blach żelaznych, które w złej łacinie zwaly się *plata*; ztąd wyrabiający je rzemieślnik, *płatnerz* nazwany.

czenia r. 1613 z wszystkimi do tego rzemiosła potrzebami sprowadzono, tak, iżby zaraz zbroje, i szyszaki nowe robione były. Dla tych płatnerzów siofarnią i mieszkanie zbudować i opatrzyć powinni mieszczanie. Ustawy te nie były bez skutku, pozostały w wielu miastach rękodzielne zbroje. Pożytkami zwabieni *rusznicarze, płatnerze, mieczniki, pancerzniki* w miasteczkach nawet osiedli (d). Słynęła w tym wieku zbrojarnia w *Samsonowie*, i utrzymywał ją w kwitnącym stanie Hieronim *Caccia Włoch* z Bergamu rodem, i podczas wojny moskiewskiej, *rusznic, szabel* i wszelkiej innej zbroi królowi dostawiał, za co r. 1613 przywilej dla swój rękodzielni pozyskał. Wyrabiano téż wiele dobrej broni w *Korczynie* i we wsi *Świątnikach* pod Krakowem, gdzie Jerzy Radziwiłł biskup krakowski, rusznicarzów osadził. Tych potomki, w ślusarskich robotach znajdują korzystne dotąd utrzymanie. Rękodzielnie broni wszelkiej, założone dawniej przez *Dziboniego*, nie celowały dobrocią i kształtem roboty. Do potrzeb ważnych w kraju, rękodzielnie *sukiennicze* należą: kwitnęły oddawna w *Krakowie, Toruniu, Poznaniu, Lwowie, Wilnie, Sandomierzu, Warszawie* i innych miejscach. Nowe w tym wieku założone zostały w *Łukowie (e), Radomiu, Korczynie,*

(d) Naprzykład miasteczko w Galicyi *Korczyna*, miało wielu niegdyś pancerzników, którzy druciane misiury i inne pancerze wyrabiali. Gdy tych z odmianą zbroi i wojen sposobu potrzeba ustała, upadło i rzemiosło.

Pancernicy przemienili się w druciarzów, którzy stłuczone skorpury, garnki, miski i t. d. drutem łatają. Liczą ich dotąd w tém jedném miasteczku 70 lub więcéj. Nie mogąc zaś w miejscu pomieszkania mieć dostatecznej roboty, rozchodzą się po kraju i za granicę. Zachowują jednak pamięć tego, czém byli ich ojcowie, w nazwie dotąd trwającej cechu *pancerniczego*.

(e) Starowolski w książce: *Reformacya obyczajów*, wspomina o jedném miasteczku w *Podgórzu*, nie wyrażając nazwy jego, któ-

Kaliszu, Łowiczu, Lublinie, i indziej; klasztory téż mni-
chów same dla swój potrzeby sukna wyrabiałały. Przycho-
dnie rzemieślnicy z Niemiec, Flandryi, Włoch i Fran-
cyi, oblekali się w suknie zakonne, i z pożytkiem do
tój rękodzielni użyć się dawali. Lecz obce sukna *Luń-
skie, Falendysze, Karazye* (f) zyskowniejszy przecie od
krajowych pokup miały. *Morawskie* za najlepsze lud po-
spolity poczytywał. *Szląskie* były tańsze, ale i podlejsze
i krótsze dziesięcio łokciami postawy, niżeli morawskie.
Polskie podług prawa trzymały łokci 30 wzdłuż, a 2
łokcie wszerz bez krajki.

Złotnicy, dostatkiem i zaletą swych robót odznaczali
się, i mnogie w Polsce wieku tego znajdowali zatrudnie-
nie. Niemcy zawsze w tém rzemiośle celowali. Szmel-
cowane roboty, lepiej i drożej nad inne się płaciły, lubo
więcej oszukaniu podlegały. Zyskowne bardzo było to
rzemiosło, jako rzeczy należącój do zbytku. *Złotnicy*
z drogiego kruszcu, przez przymieszki podlejszego, po-

re 32 sukienników miało. Dziś ich tyle żadne tam nie ma. Erazm
Domaszewski, koniuszy koron., sukienników z Niemiec do *Łukow-
ca* sprowadził, pewny grunt dla nich kupił zwany *Ciezkowszczy-
zna*, który, stany użyteczne przedsięwzięcie wspierając, od pobo-
rów uwolnił r. 1609.

(f) *Luńskie*, czyli *Lundysz*, zwały się sukna holenderskie, ze-
psutym podobno przez żydów wyrazem, którzy Holandya, języ-
kiem swym *Lunden* nazywali. Zwały się téż flamandzkie, czyli
flamskie, od prowincyi Niderlandów Flandryi, jako i mechelskie,
od miasta *Mechelen* w Niderlandach, po łacin. *Mechlinia*, po fran.
Malines, zkąd rzeką *Skaldą* wypływały na morze okręta, tu su-
knami ładowane. Przednie zaś sukno, z słów *fein* i *läudisch*,
utworzył się wyraz *Falendysz*. Nie były zaś te sukna wszystkie *ho-
lenderskie*, ale w większej części angielskie, zwano je zaś dlatego
holenderskiemi, iż przez Holandya do nas przychodziły. *Karyzya*,
był gatunek podłego sukna, może z dwóch wyrazów *kir* i *rasa*
złożone; były to grube tkaniny wełniane. *Szląskie* najlepiej
płaciły.

żytki ciągnęli, i najłatwiej zwodzili kobiety, z którymi najczęściej do czynienia mieli. Ale i polskich i obcych złotników, mówi Miczyński (g), żydzi w tych robotach ubiegli. Lubo ustawa Zygmunta III r. 1600, handlu złotem i srebrem, mianowicie robotę nową, pod karą konfiskaty, kupować żydom zabroniła, mieli oni przecie sposoby oszukania prawa i ludzi; że zaś *brant* olkuski (h) wystarczać nie mógł, który zakupowano na złotnicze roboty, ztapiali przeto czerwone złote, talary, półtalarki, potrójne i poszustne grosze, w czém ani co do próby złota i srebra, ani co do ceny urządzenia pewnego nie było, lubo dozór robót złotniczych, do urzędu podskarbiech należał. Dochowane do czasów naszych z wieku tego roboty złote lub srebrne, okazują wielką pilność, pracowitość, i biegłość złotników naszych. Sam Zygmunt III znał się dobrze na tém rzemiośle, i z pomocą *Redura*, Weneccyana, nadwornego złotnika, jego były dziełem: *monstrancye, kielichy, lampy, lichtarze*, którymi kilka kościołów obdarzył.

Kusnierskie rzemiosło, jedno^o było z najzyskowniejszych w tym wieku, godne, jak pisze o niém Miczyński, przednie nad innemi zajmować miejsce, jako to, które koronie, miastom i stanom wszelakim jest najpotrzebniejsze. *Kusnierze* byli zawsze zamożni w wielkie bogactwa, z znacznym Rzplitej pożytkiem, czego świadkami w Krakowie *Sukiennice, cekauzy i smatruz* (i), które za ich powodem stanęły. Futra dawały zysk największy, bo na

(g) Zwierciadło korony polskiej, Seb. Miczyńskiego, 61 stron.

(h) Kruszec czysty, wytopiony, *brantein* się nazywał, lecz gdy się mówi *to brant olkuski*, srebro oznaczał. Inaczéj téż zwato się *czarne srebro*, jakie z topienia wychodziło.

(i) *Smatruzy* zwano budy kupieckie wystawione wśród rynku krakowskiego, w których najczęściej drobne *kupie* sprzedawano.

jednym futrze, pisze tenże, po kilkanaście złotych, a na sobolich, które są jak klejnoty drogie, po kilkadziesiąt zarabiają, zwłaszcza sprzedając futra gotowe, i po jarmarkach w kraju i za granicę rozwożąc. U nich zawsze znajdziesz gotowe *delie*, *kirye*, czapki męskie i białogłowskie z bobrami; kupczyli oni futrami do Niemiec, Francji, Turku i innych krajów, i ten bogaty handel, był podówczas prawie cały w rękach polskich kuśnierzów.

Wyobrażenie dokładniejsze rzemiosł, jakie w tym wieku u nas kwitnęły, da nam wiadomość opisanie cechów, które za panowania Zygmunta znajdowały się w Krakowie. Cechy, czyli bractwa rzemieślnicze, rządziły się u nas w większej części podług ustaw i zwyczajów niemieckich. Listy nawet wyzwolenia, i mistrzowstwa, pospolicie niemieckim językiem pisane były. Obcato była ustawa przyjęta u nas, że człowiek z nieprawego łoża zrodzony, w cechu miejsca nie miał. Prócz trzech powyższych cechów, *sukienniczego*, *złotniczego* i *kuśnierskiego*, były następujące: cech *krawiecki*, w którym różniono tych, co sprzedają robotę, i tych, co prostą sporządzali odzież, od partaczów, którzy z parcia (k), podłe odzienia szyli. Cech *pasamoników* bardzo był liczny; używaną bowiem była ich robota do strojów męskich i kobiecych, i rzadko kto bez niej się mógł obejść. Zajmował tenże cech *szmuklerzów* i *haftarzów*.

Konwisarski (1), znaczyl wiele przez używanie pospolicie naczyń cynowych, gdyż naczynia gliniane, fajanse

(k) *Paré* lub *Part*, grube płótno, którego lud pospolity na odzienie używał, zwał się ztąd *partacz*, *partolié* *portki* i t. d.

(1) Wyrazy *konwisarz*, przerobiony z niemieckiego *Zinngiesser*, tak jak *lodwisarz*, z niemieckiego *Glockengiesser*, służyć mogą za dowód, jak daleko słowa z obcego języka w naszym przekształcone być mogą.

i farfury jak i porcelana mało jeszcze były używane. Mielśmy zaś podostatek cyny krajowej, przeto obcej wprowadzać nie było wolno.

Kotlarski, od roboty kotłów miedzianych wzięli nazwę kotlarze; miedziane nawet pieniądze kotliną były zwane. Prócz miedzi krajowej, przywożono wiele miedzi węgierskiej czarnej, której kopalnie dzierżał tam dom *Fuggerów*; z niej kuto blachy w Krakowie, i dopiero do obcych krajów wysyłano.

Rusznicarski, dzielił się podług wielkich i małych rusznic; roboty téj Włochom, Moskwie i Turkom dostarczał, przeto w czasie wojny z temi sąsiady, wywóz do nich rusznic zakazany był. Liczono w ten cech *puszkarzów*, którzy lali działa i osadzali rusznice, i *lodwisarzów*, którzy dzwony, lichtarze, i rzeczy mosiężne odlewali.

Ryngmacherowski, sama nazwa wydaje, z jakiego rodu rzemieślników się składał. Pierścienie, sygnety, spiniki, manele, kanaki, naszyjniki i podobne rzeczy, w których drogie kamienie osadzano, co dziś do *jubilerów* należy, pierścienników było wówczas zatrudnieniem.

Pasnicy, od roboty pasów zwani, ale to nie były pasy miękkie, jedwabne, złotem lub srebrem przetykane, które dopiero później w używanie weszły, tylko rzemienne, okryte blachą, lub guzami, pospolicie ze srebra, albo też z drutu spajanego w ogniwa, na przodzie na zamczek się zapinały.

Nożownicy, *szabelnicy* i *mieczniki*, nie tylko wyrabiali noże, do pospolitego użycia krawacze, kosy ręczne, szable, miecze, koncerze i t. d. ale i *kandziary*, które przy boku zturecka za pas zakładano.

Ślusarski cech, obejmował rzemieślników, tak czarnej jako i białej roboty, nadto *szychterzów*, *zegarmistrzów* i t. d.

Kaletnicy, do tego rzemiosła należały *ładownice*, *szablastasy*, *trzosy*, *juki* i t. d.; mieli miejsce uprzywilejowane w Krakowie *Smotrycz*, do przedawania swój roboty. A że *kalety*, czyli worki skórzane, mieszkami zwano, przeto *kaletnicy* niekiedy *miesznikami* i *miechownikami* się zowią.

Szkatulnicy i *introligatory* jeden cech składali, bo tak jedni jak i drudzy deszczulek używali do swych robót. Za Zygmunta III nie znano innych introligatorów, jak tylko żydów. Dlatego cechów swych nie mieli, prócz *Krakowa* i *Warszawy*, gdzie byli chrześciance, ale i ci obwiniali żydów, że im przeszkadzali; zajeżdżając w góry, drożyli deski do oprawy potrzebne.

Perukarze pociągani byli do cechu, lubo się nie przyznawali do rzemiosła, ale do przedniej nad inne sztuki. Zatrudnienie ich było bardzo zyskowne.

Czapnicy w wielkich miastach oddzielali się od kuśnierzów, mając sami do czynienia z robotą czapek, które były rozmaite, jakoto: *szyki*, *kołpaki*, *kapuzy*, *kuuczmy*, *mycki*, *rogate*, *skrzydlate* i *kończate czapki*, zawsze okładane futrem, marmurkowe, sobolowe, bobrowe, krzyżakowe, barankowe, lisiurki i t. d.

Stolarze, w których cechu dzielili się rzemieślnicy, jedni co wyrabiali drobne, wykładane, i kwieciste roboty, drudzy byli którzy grubiej roboty pilnowali. Mieli zaś składy robót gotowych, ram, drzwi, stołów, listew i t. d. W tymże cechu mieścili się *tokarze* i *snycerze*, których, izby właściwie zwać po polsku *obraźnikami* należało, już Mączyński w Słowniku swoim ostrzegał.

Szewski cech był prawie zawsze najliczniejszy. Szewcy co skóry *kordybanowe*, *safianowe żółte*, *czerwone* i *czarne*, jako i *czemsze* raczej *zamsie* (z tą *zamsikami* ich zwano) wyrabiali, za przedniejszych poczytani byli, i *szafiannikami* zwali się (1). Włoskiemi téż nazywano tych, co robili trzewiki *blawatne*, *kordybanowe*, *skorzenki*, *kunowe pantofelki*, *muletki*, *papucie z safianu*; pospolitszych były robotą skornie, albo buty do pasa, inne do kroku albo do kolana, jako i *czoboty* z obwisłą lub krytą cholewą. Do szewców należał i handel skór i obucia; skarżyli się więc w tym wieku, że przywożono z Gdańska gotowe buty, trzewiki, mulety i pantofle, że żydzi przeszkadzali im w handlu safianów, capów, kordybanów i t. d.

Siodlarzski, dostawiał pospolite kulbaki, łęki miękko okryte po tatarsku, i siodła droższe polskie, hiszpańskie, tureckie, włoskie, brunświckie. Siodlarze sprawowali nietylko całe siedzenie, ale cały rzed ubioru konia, który jak bywał bogaty, świadczy przysłowie tego wieku w zbiorze *Rysińskiego* dochowane: *Przedał imienie, a kupił siedzenie*.

Stelmachski. Lubo rzemieślnicy byli sami Niemcy, jednak powozy robione były w kraju, i nie potrzebowano je sprowadzać z zagranicy. *Kolasy*, *kocze*, *rydwany*, *bryki*, *kolebki*, *karoce*, *wózki* w samych nazwach zbytku

(1) *Kordyban*, lub *korduan*, nazwę bierze od miasta hiszpańskiego *Korduby*; dlatego w instruktarzu celnym, po łacinie *pellis Cordubensis* ten gatunek skóry się zowie. Tam Maurowie niegdyś w wyprawie tych skór najdoskonalszemi byli; *safianu* zaś nazwa i sposób wyprawy, od Persów jest wzięty. *Zamsza*, którą wymawiano téż *czemszciemiec* lub *cynieć*, a dziś pospolicie zowiemy *ircha*, jest skóra barania, na miękko wyprawna. W miastach większych, szewcy cech swój uzacniają dotąd nazwą *safianniczego* cechu.

dowodzą. Stelmachy, których Mączyński po polsku *kołasknikami* zowie, wspólny cech z *kołodziejami* mieli.

Rymarze, do których wszelakie z rzemienia roboty należały, a szczególniej do użytku jezdnego, tak powszechnego rycerstwu polskiemu (m).

Garbarze, których po polsku *skórnkami kazemiakami* zwano, różnili się w tém rzemiośle. Inni byli *białoskórnicy*, przeto *zamesznicy* lub *ircharze* zwani; inni *garbarze czerwoni*, którzy *skóry czerwone*, inni *kordybanicy*, którzy *kordybany* wyprawiali. Przywileje ostatnich, nie dozwalały przywozić kordybanów z zagranicy, pod utratą połowy na Rzplity, połowę na cech.

Piekarze wypiekali chleb polski i niemiecki; powszednim chleb był pszenny, białym pospolicie nazywany, którego jeżeli kształt był okrągły, *buła* lub *bochen*, jeżeli podługowaty, *kukla* czyli *kukielka* się mówił. *Miejski* albo *kupiecki* zwał się, gdy był z mąki *pytlowanej*, gdy z mąki na raz zmełty, *grysowy*. Pieczono prócz tego chleby *żytnie* i *jęczmienne*, *kwaśne* i *praśne*. Chleb pszenny z przyprawą jaką, *kołaczem* się nazywał, a piekarze od ciast takich *kołaczniki*; ci co pierniki i miodowniki rozmaite na sprzedaj robią i pieką, *kichlarzów*, *piernikarzów* i *miodowników* nazwę mieli.

Rzeźniki, jedni bili duże bydło, i ci w jatkach mięso swe składali i przedawali, inni drobne, jakoto: cieleta, barany i t. d., o których mówi ustawa poborowa, iż na *sochaczki* bili, to jest, iż na *soszkach* ku sprzedaniu wieszali. W cechu rzeźniczym, żydzi wolni byli mieć na sprzedaj mięsa swego ośm jatek, lecz nie mogli chrze-

(m) Rzemień do pierwszych potrzeb odzieży ludzkiej służący, i ręki ludzkiej robotą, wprzód pewnie surowy, jak wyprawny, nie byłże i wyrazu i znaczenia rzemiosła początkiem?

ścianom sprzedawać, pod winą 5 grzywien i utraceniem mięsa; nie mogli zaś rąbać wielkiego bydła, jak na 8, a najmniejszego, jak na 4 ćwierci, i tak sprzedawać.

Piwowarski cech, albo *karczmarzski*, zawierał *niedowarów*, *pomocników browarnych*, *wodociągów*, *drażników*, *szynkarzów* i t. d. Słynęły w tym czasie z dobroci piwa *krakowskie*, ale za najlepsze miane były *proszowickie*, które szły na stół króla i Anny królowej wdowy po Stefanie. Chwalono téż piwa *grojeckie*, *wareckie*, *przemyskie*, *piątkowskie*, *sandeckie*, *brzezańskie*, *drzewieckie*, *piotrzkowskie*, *garwolińskie* i t. d.

Kowalski, używał do robót swych żelaza, stali krajowej, i wiele ich do obcej ziemi wywożono.

Tkacki cech składał się z tkaczy płóciennych.

Barchaników co z przędzy bawełnianej i lnianej tkali. *Dreliszników* i t. d., także tych, co przędzy do roboty swój używali, jako *sieciarzów*, *powroźników* i t. d.

Mularski cech, podzielony na majstrów i towarzyszków mularskich, obejmował także *kamieniarzów*, wyrabiających różne potrzeby z kamienia, i *kamienników*, którzy w górach łamią kamienie i one obciosują. *Garncarzów* czyli *zdunów*, *strycharzów*, *piecowników*, *kominiarzy* i t. d.

Ciesle, którzy także w swém rzemiośle uczeni być byli powinni, ustawom cechowym podlegali.

Rybacki cech nietylko zawierał *rybitwów większych*, co z *sieciami*, z *włokiem*, i *mniejszych*, co z *małym niewodem*, *sakiem* lub *wędami* ryby łowią, ale i tych, co rybami przekupczą, do czego oddzielną ulicę w Krakowie wyznaczoną mieli.

Drukarze. Gdy Kraków w tym wieku miał razem 10 drukarni, dostateczną była liczba czeladzi, do utworzenia drukarskiego cechu. Prócz tych byli jeszcze: *mydla-*

rze, blacharze, bednarze, iglarze, grzebienicy, kartownicy i papiernicy: rudnicy, dziegciarze, smolarze, popielarze, szmelcarze, węglarze, dymarze, kuźnicy, płukarze i t. d. (n). Nie zbywało więc wiekowi Zygmunta III na wszelakich rzemiosłach, owszem starano się rozmnażać je i wydoskonalać. Założone r. 1629 w Warszawie bractwo ś. *Benona*, miało obowiązek utrzymywania domu miłosierdzia i pracy, ku ćwiczeniu się w różnych rękodzielnach.

Od rękodziel i rzemiosł, które opatrują potrzeby, przechodzimy do sztuk, które służą więcej zbytkowi, wygodzie, oraz i ozdobie.

Wiek panowania Zygmunta III, przewyższył w tym rodzaju zalety wieków poprzednich. Wystawia nam dokładnie stan rzeczy, obraz jego przez *Possela* kreślony. Król Zygmunt zamek krakowski r. 1604 powiększył i wspaniale przyozdobił. Łobzów, pałac letni królewski, chłodnikami i ogrodami upiększył. Warszawę znaną dawniej jako miejsce sejmów, nie tylko mieszkaniem królewskim, ale i wielą budowlami okazalszą sprawił, tak, iż zastawszy miasto drewniane, w murowane, czyli raczej w marmurowe je przemienił, a choć pożarem zeszpecone zostało, jednak powtórnie ją odnowił. Za niego Warszawa, mówi tenże, tyle w ludność wzrosła, iż się mieszkańcami prawie zacieśnia. Nigdy w taką ludność Polaków, Włochów Francuzów, Niemców, Ormianów, i innych narodów nie obfitowała Warszawa. Przydać do tego dwór królewski, wojsko, gwardye nadworne i polne, panów, rycerstwa i dworzan znakomite orszaki, to wszystko panowaniu

(n) *Barwierze*, czyli *cyruliki*, tudzież *łaziebniki* nie mieli swego cechu, nawet niżej rzemieślników poczytani byli, kiedy łaziebnicznych i barwierskich dzieci, w rzemiosło przyjmować nie chciano.

Zygmunta zaszczyt przynosi. W tymto czasie powstało wiele miast, zamków, pałaców, kościołów, klasztorów, szpitalów, iż królestwo polskie ozdobną wcale postać przybrało. Nie zbywało krajowi na przednich rękodzielniach, na *posążnikach*, którzy posągi z miedzi lub mosiądzu odlewać, a z marmuru kować umieją. Mamy *malarzy, budowniczych, złotników*, i rozmaitych wytwornych sztukmistrzów tyle i tak doskonałych, jakich nigdy dotąd kraj nie miał. Królowi to winniśmy, iż i sam biegły wytwornych sztuk znawca, wiele je wspierał, mistrzów szanuje i dobrze płaci, młodzież zachęca i utrzymuje. Szczególniej zaś sztuki piękne ma w swój opiece, uczonych względami zaszczyca, nagrodami i chwałą pociąga. Świadkiem są tego akademie *krakowska, zamojska i poznańska*, okazują to wspaniałe Jezuitów domy i szkoły, dowodzą pyszne kościoły w *Krakowie, Wilnie, Warszawie i Lwowie*, wszędzie w marmur, alabaster, i w ciosy z kamienia obfite, a których odkrycie, temu królowi kraj jest winien. Cóż mówić o bogactwach domu królewskiego, o drogich sprzętach, pysznych ozdobach, obiciach, pojazdach, a w tych wszystkich ledwie który panujący w Europie zrównać się może. *Budownictwo* w Polsce lepsze, trwalsze, i ozdobniejsze, od Zygmunta III przykład zachęcenia i pomnożenia wzięło. Sprowadziwszy biegłych budowniczych Włochów, pierwszą myśl obrócił ku ozdobie stolicy i mieszkania królów. Pisząc o tém Petrycy (o) tak się wyraża: „Kościół z pięknie ciosanych kamieni OO. Jezuitom buduje; zamek także królewski subtelnie malowanemi obrazami, pokoje rzezaniem kwiatów wiele możnie ozdabia, i odnawia.

(o) Petrycy: *Oeconomia Arist.* str. 68. *Nakielski Miechov.* str. 927.

Wieżę wielką przy *kurzej nodze* postawił. Kaplicę także w kościele katedralnym z szczerego marmuru, godną królewskiego budowania zakłada; zamek w Warszawie wszystek znowu porządnie, rozrzuciwszy stare mury, znacznym kosztem buduje." Za tym przykładem poszli moiniejsi, i tak liczne budowy nowe, piękne i okazałe dźwignęli, iż podług świadectwa Opalińskiego (p), znamienity budowniczy Włoch to o Polsce powiedział: „*że jeżeli dalej tak się ciągnąć będzie, nietylko wyrówna, ale i przeniesie kraj włoski.*” Że zaś ówcześni budownicy nasi ze szkoły włoskiej być musieli, widzimy trwające dowody w budowlach wieku tego: domy tak miejskie, jako i wiejskie, dachy mają pospolicie płasko kryte, choć wcale dla kraju naszego niestosowne, okna wielkie, i częstokroć ku północy dla chłodu, na którym nam nie zbywa, obrócone, izby wysokie, drzwi ogromne i t. d. Błony pecherzowe zamiast szyb szklanych używano do okien, ztąd i dzisiaj jeszcze szklarzów *bloniarzami* lud pospolity nazywa. Domy murowane na wsiach, nie zwano jeszcze pałacami i zamkami, jak później, ale kamienicami. Też nazwę i domy w miastach wzięły, co dowodzi, iż naprzód z kamienia stawiane być musiały. Zamki powinny były być obronne okopami, basztami, oblane wodą i t. d. Pycha możnych, ledwie nie kurniki nazwiskiem zamków potém ochrciła. Godne są pochwały, i panów możnych w tym rodzaju zasługi. *Jan Zamojski* kanclerz w. k. wiele pięknych pamiątek zostawił. Twierdza obronna *Zamoysć*, wspaniałe akademii collegium, domy dla nauczycielów, i kościół tamże, zamek w *Szarogrodzie*, wzniesione miasto *Tomaszów*, jego są dziełem.

(p) *Polonia defensa contra Barclaium* p. 55.

Mikołaj Wolski marszałek w. k., mistrzów biegłych w rozmaitych sztukach i rzemiosłach do Polski sprowadził, wspaniałe pałace w *Krzepicach*, *Kłobucku*, *Olkuszu*, *Rabsztynie* wystawił, a w *Bielanach* dla Kamedułów pierwszy dom w Polsce i kościół wielkim nakładem wyniósł. *Myszkowski Zygmunt* marsz w. k., ściągnął także umiejętnych mistrzów z Włoch, Francyi, Niemiec i Anglii. Dom jego w Krakowie, był składem najwyborniejszych dzieł ludzkiej ręki, napełniony towarzystwem znakomitych mężów, sławnych z biegłości w naukach i sztukach. Książąt *Radziwiłłów* domy i zamki, ozdobami, wspaniałością i wytwornością sztuki, cudzoziemców nawet dziwiły. Oni pozakładali w Polsce, mówi Possel, najpiękniejsze ogrody, obfite w zagraniczne rośliny i wyborne owoce, jakie mało gdzie widziane być mogą. *Stanisław książę Lubomirski*, wojewoda krakowski, prócz wielu wspaniałych kościołów i klasztorów, niezmiernym nakładem wystawionych, wznosił pyszne co do swój wielkości, a warowne i ryszunkiem wojennym opatrzone zamki w *Wiśniczu*, w *Połonnem* i *Łancucie*. Dotrwały naszych czasów i wielu innych dzieł podobnych pamiątki; ale nie doszły nas imiona budowniczych, których umiejętność te gmachy wywiodła. Podały nam przecie dzieje, imiona sławnych w tym wieku budowniczych wojennych, jakimi byli: *Wilhelm Barbier* Francuz, *Teofil Schomberg* Niemiec, *Jan Deban* Wielkopolanin z Leszna.

Nie czytamy ani wzmianki o *malarzach* Polakach, lubo ani wątpić można, że byli; gdyż sam król znał się na tej sztuce, lubił piękne malowania, drogo je płacił, i miał nadwornych malarzów. Na Kalwaryi, założonej w *Zebrzydowicach* przez *Zebrzydowskiego*, wojewodę

krakowskiego r. 1608, dają się widzieć trzy wielkie obrazy przedniej sztuki, wystawiające: *przybicie do krzyża Chrystusa pana, podniesienie krzyża, i skonanie na krzyżu*, które malowane być miały przez jednego braci-szka Bernardyna, a ten zwał się *Leksicki Krakowianin*. Obraz *ś. Jacka Odrowąza*, który *Zygmunt III* przez kardynała Maciejowskiego biskupa krakowskiego posłał w darze Grzegorzowi XIV pap., w Polsce był malowany, i tak wybornie, że przedni malarze włoscy, z podziwieniem sztukę chwalili.

I rzeźba miała tego wieku w Polsce w téj sztuce mistrzów. Król sam na kamieniu trafnie twarzy swój obraz wyrzynać umiał, i swą robotą ludzi znakomitych obdarzał. Zręcznie i ze złota łańcuchy, drobne ozdoby, i kwiaty wyrabiał. W Gdańsku wyrabiano rozmaite sztuki z białego i żółtego bursztynu, które drogo płaciły. Król te roboty na dary dla dworów i posłów obcych zakupywał. Tak legat papieżki *Cajetano*, krucyfix, tackę do ampulek i inne do ołtarza sprzęty z bursztynu otrzymał. *Książę Zbaraski*, dał *sultanowi* i *wezyrowi* zwierciadło w ramach bursztynowych, szachy, miednicę i nalewkę z białego bursztynu.

Liczne medale bite z różnych powodów za panowania *Zygmunta III*, umiejętności rzeźby są świadectwem. Wspomnę o tych, które nam czasy z tego panowania w istocie lub opisie zachowały.

Pierwszy medal bity r. 1587, wyrażał z jednej strony twarz króla młodego, z drugiej miecz obrócony końcem ostrym do góry, z napisem *pro jure et populo*. Oznaczał zaś pamięć szczęśliwie otrzymanego wyboru króla, i gotowość jego do bronienia go mocą oręża. Oddany

był Zygmontowi w Gdańsku, gdy piérwszy raz dnia 1 paździer. 1587, ze Szwecyi do Polski przybył.

Drugi r. 1592, w Krakowie bity, z powodu poślubienia Anny arcyksiężniczki, miał po jednéj stronie dwie gałązki pochylone ku sobie, i wierzchołkami się stykające, lubo wodą przedzielone od siebie, i napis: *Amor distancia jungit*, miłość rzeczy odległe łączy. Po drugiéj dwa orły cesarski i polski, i te słowa: *Ast animos sociasse iuvabit*, zjednoczenie umysłów, wiele dobrego sprawia.

Trzeci z tegoż powodu miasto Gdańsk wybiło, wyraża on z jednéj strony twarz króla i królowej, z drugiéj strony herby miasta i oznakę jego wierności: zwyczajem zaś swoim, jaki oddawna w okolicznościach wielkich zachowywało, ofiarowało królowi w puharze złotym sto sztuk takowych medalów, które fenikami złotymi zwano, a każdy z nich dziesięć czerwonych złotych ważył.

Czwarty medal, którego wiele złotych i srebrnych sztuk wybito, gdy po śmierci ojca 1593 objął Zygmunt koronę szwedzką, wystawiał dwie niewiasty: z tych jedna miała na głowie okręt, i w jednéj ręce trzymała trójzęb, a drugą wylewała wodę z naczynia, o które się delfin przy jej nogach wspierał. *Druga* niewiasta miała w prawej ręce róg obfitości, w lewej snop, a na głowie wieże. Napis: *Crescit geminatis gloria curis*, gdzie się trośka podwaja, tam i chwała rośnie. Obie oznaczały morze i ziemię, czyli Zygmunta panem Szwecyi i Polski.

Piąty z okoliczności powtórnie zawartego ślubu z Konstancyą królową, która zmarłej Anny siostrą była; na jednéj stronie dwie synogarlice zbliżone ku sobie, na drugiéj imiona i herby rodu obojga wyrażał, z napi-

sem: *Regnorum securitas*, bezpieczeństwo królestw. Takowe pieniądze, w mieście Krakowie, w dzień ślubu hojnie między pospólstwo rozrzucane były.

Szósty r. 1605, poświęcony był pamiętce założonego przez króla kościoła OO. Jezuitom, pod wezwaniem ś. Piotra w Krakowie r. 1597. Jedna strona medalu wyrażała twarz króla, druga napis w języku łacińskim, a który znaczył: że *Bóg Zygmunta królestwem obdarzył, król wdzięczny Bogu kościół wystawił* i t. d. Medal pod kamieniem węgielnym złożony został.

Siódmego przecznicą okręgu medalowego 8 calów zawiera, a 370 czerwonych złotych waży. Były i pomniejsze medale z tegoż powodu bite, lecz w odmiennym kształcie.

Ósmy imieniem miasta Gdańska r. 1614, ofiarowany królowi; na odwrotnej stronie obraz twarzy króla, świadczył wierność i przywiązanie do tronu, miasta tego mieszkańców. Były to raczej pieniądze fenikami zwanymi zwane, złożone w podarunku królowi, z powodu narodzonego w tym roku królewicza Aleksandra.

Dziewiąty medal, bity był z powodu odniesionego nad Turkami zwycięstwa r. 1621, czyli raczej szczęśliwie odpartej ich potęgi, co nasi za wielkie poczytali zwycięstwo, i słusznie, bo odpór ten wielką klęskę od Polski odwrócił. Nie miał zaś ten medal znaku zwycięstwa, bo właściwie z obudwóch stron, niepokonane wojska rozeszły się. Albertrandy, jeden z najbieglejszych numizmatyków mniema, że znaczna tych medalów liczba bitą być musiała, gdyż były przeznaczone na nagrodę zasłużonym, i w 180 lat później, wiele ich jeszcze dochowanych oglądał. Jedna sztuka sto czerwonych złotych ważyła.

Dziesiąty miał ten powód, iż gdy w czasie wojny przez Gustawa Adolfa króla szwedzkiego w Prusiech toczonój, miasto Toruń zdradzić obowiązków swój wierności dla króla polskiego nie chciało, obleżone będąc od *Wrangla* wodza szwedzkiego, ogniem zniszczone zostało. Jedna strona wystawia pożar miasta z przedmieściami, i napis: *Fides et constantia per ignem probata*, wierność i stałość, doświadczona ogniem. Druga, herb miasta, z napisem: *Torunia hostiliter oppugnata, et Dei auxilii fortiter a civibus defensa*, Toruń obleżony od nieprzyjaciół, a za pomocą Boską, mężnie od mieszkańców obroniony r. 1629.

Nie było wieku, ani przed panowaniem Zygmunta III, ani później, w którymby Polska w liczniejsze budowle zakwitnęła. Co tylko znaczniejszych zamków, kościołów, klasztorów, domów, i teraz jeszcze kraj polski zdobi, są one po większej części wieku Zygmunta III dziełem. Przykład króla stawiającego wspaniałe gmachy, zachęcił i możniejszych, aby potomnym trwał swych imion pamiątki zostawili. Ile mogłem zebrać wiadomości lat, jak stawiane były, porządkiem tu je wymienię.

Roku 1589, Jan *Zamojski* kanclerz, hetman w. k., twierdzę *Zamość* dokończył, murem i okopami opasał; w dziele samém dowodzi, iż w napisie oświadczenie pobudki swego przywiązania ku ojczyźnie zostawił.

R. 1590, Bernard *Maciejowski* biskup krakowski, dom z kościołem zgromadzeniu Jezuitów w *Lublinie* wystawił. *Zamojski* mury swój akademii założył.

R. 1591, *Sieniński* wojewoda podolski, dwa zamki ku obronie Rusi w dobrach swych *Pomorzanach* i *Monasterzyskach* wzniósł i umocnił.

R. 1592, *Gostomski Hieronim*, wojewoda poznański, starosta sandomiński, dom i kościół *Jezuitorów*, a *Elżbieta z Sieniawskich Gostomska* marszałkowa w. k., kościół OO. Benedyktynów w *Sandomierzu* wystawiła. Tam córka jój pierwszą księżną, drugie dwie zakonnicami były.

R. 1593, w *Jazłowcu*, *Jazłowiecki* starosta śniatyński, klasztor *Dominikanów* założył. W *Krokowie*, blisko *Zarnowca* w Prusiech, *Krokowscy* wspaniały zamek zmurowali, i w nim wracającego ze Szwecyi *Zygmunta*, przez dni kilka przyjmowali. Przez wdzięczność, król nadał *Krokowski* wolność łowienia ryb w morzu, o co była kłótnia z klasztorem panien *zarnowieckich*, mających dawniejsze prawo wyłącznego przy tychże brzegach połowu.

R. 1594. W *Piaskowej Skale* stanął piękny zamek, nakładem *Stanisława Szafranca*, wojewody sandomińskiego.

R. 1595. Miasto *Tomaszów* na Rusi, *Jan Zamojski* w mieście zwaném niegdyś *Rogoźna* założył, które od herbu swego *Jelitów*, ale później od imienia syna swego *Tomasza z Barbary Tarnowskiej* zrodzonego, *Tomaszów* nazwane zostało.

R. 1596. Reformatorów dopiero sprowadzonych do Polski, król w *Wieliczce* osadził w tém miejscu, gdzie podług powieści gminu, ukazywało się widmo dwóch mnichów z koszturami chodzących (q). Pogorzały zamek *krakowski* król tenże podniósł, odnowił, i rozszerzył, dach blachą miedzianą z kopalni *kieleckiej* pobił.

(q) Pierwszy raz zaprowadzone do Polski zakony za *Zygmunta III* są: Reformaci, Bonifratrzy i Karmelici bosci.

R. 1597, kościół ś. Piotra w *Krakowie*, na wzór tego, jaki ciż Jezuitci mieli w Rzymie, król założył; kamień węgielny kładł z Jerzym [księciem Radziwiłłem biskup. krakow.; złożył w. nim i świadectwo przychylności Zygmunta III Jezuitom okazywane.

R. 1598. W *Latyczowie*, Jan Potocki starosta kamieniecki wymurował zamek, na który uczynionego nakładu powrót, Rzplita zapewniła mu na témże starostwie, które mu w przyznanéj summie 12,000 złp. na lat 50 wypuściła. W *Kaniowie* postawiony był zamek przez sługi księcia *Ostrogskiego Janusza*, kasztelana krakowskiego, starosty kaniowskiego, nakładem Rzplitej, która w tym celu na to zezwoliła, aby kupcy wszelakiego narodu, pieniądze gotowe za granice koronne do Moskwy przez granice województwa kijowskiego wywożący, opłacali cła po groszy 6 polskich od 10 złp. przez lat 12. W *Barze*, zamek *Stanisław Konięcpolski* potem hetman w. k. wznosił i obwarował; w *Gdańsku* Jezuitów, w *Bydgoszczy* Franciszkanek, Hieronim *Rozrażewski* biskup kujawski domy i kościoły z muru wystawił.

R. 1599. Król na miejscu zamku drewnianego, nowy z muru i ciosu stawiać począł w *Warszawie* nad Wisłą, przenosząc do tego miasta stolicę państwa z *Krakowa*, w którym mu nieprzychylna szlachta, a po większej części nowowiercy, mocno dokuczali. Bliżej téż miał z *Warszawy* do *Szwecyi*. Tegoż roku we *Lwowie*, za przyłożeniem się *Solikowskiego* arcybiskupa lwowskiego, panny zakonne są fundowane.

R. 1600. Klasztory w *Janowie* Dominikanów *Gomułńskiego* biskupa chełms., w *Dąbrownie* lit. *Chlebowicza* nakładem stanęły.

R. 1601. Założono miasto i twierdzę *Szarogród*, od Saryusza przydomku *Zamojskich* nazwane, wśród obszer-nych stepów, które dawniej należały do biskupa kamie-nieckiego, a które Białobrzesci biskup, z pozwoleniem sto-licy rzymskiej, za inne dobra pod Warszawą przy Pradze leżące zamienił. Najpiękniejszą przestrzeń niższém Pod-olem zwaną, przez tę zamianę nabytą, zajmowały włości Zamojskich. W tymże roku Ludwik *Mortęski* wojewoda pomorski, zamek warowny ku obronie kraju z pochwałą uchwały sejmowej, tegoż roku w *Pokrzywnie* wystawił.

R. 1602. W *Paniowcach*, Jan *Potocki* wojewoda bra-cławski, zamek obronny sztuką, murem i wodą wzniósł, który, jak *Piasecki* pisze, Turcy z podziwieniem oglądali i próżno się o niego kusili. W *Wilnie* kościół ś. Ka-zimiérza *Zygmunt* założył i wystawił, a Lew *Sapieha* kanclerz w. ks. lit. wielce go przyozdobił. Później król *dzwon* wielki dobyty w *Smoleńsku*, temuż kościołowi da-rownął.

R. 1603. W *Sokalu* Bernardynów *Gomuliński* biskup chełmski, w *Łęczycy* Norbertanki *Szczawiński*, w *War-szawie* Dominikanów *Abraham Bzowski* tegoż zakonu, mąż z nauk teologicznych słynny, fundowali.

R. 1604. *Zygmunt* letnim pałacem *Łobzów* ozdobił. *Stefan Potocki* klasztor Dominikanów w *Potoku* wymu-rował.

R. 1605. W *Barze* temuż zakonowi *Golski* wojewo-da ruski klasztor i kościół wystawił.

R. 1606. Stały domy i szkoły Jezuitów w *Kro-żach* na *Żmudzi*, przez *Chodkiewicza* het. w. ks. lit., w *Łucku* przez *Marcina Szyszkowskiego* biskupa, w *Brze-ściu* litewskim przez *Wołuckiego* biskupa łuckiego wy-prowadzone i nadane.

R. 1607. W *Szarawie*, stanął klasztor Dominikanów fundacyi *Pretficza*, wojewody podolskiego.

R. 1608. W *Busku* Dominikanów, przez Jerzego ks. *Wisniowieckiego*, kasztelana kijowskiego; w *Józefowie* Bernardynów, przez *Potockich* dziedziców, klasztory i kościoły wystawione były.

R. 1609. Zamki obronne w *Lubowli* w ziemi Spiskiej, iż na nim obrona granic od Węgier polega, w *Mozyrzu* w księstwie litewskim, iż jest na wstępie każdemu nieprzyjacielowi Rzplitej; nakładem skarbu publicznego wzniesiono i opatrzone; w *Żółkwi* hetman *Żółkiewski*, w *Krzepicach* Mikołaj *Wolski* marszałek w. k. zamki porządne i ochędźne wywiedli.

R. 1610. Tenże *Wolski* w *Bielanach*, czyli na *Srebrnej górze* o milę od Krakowa, wspaniałe gmachy dla Kamedułów postawił. W *Jezupolu* Dominikanów Jakób *Potocki* wojewoda braclawski osadził. Król powiększył zamek warszawski i w nim mieszkać zaczął.

R. 1611. W *Wierzbowcu* na Ukrainie w dobrach królewskich, zamek warowny ku obronie porządnie wmurował i osadził żołnierzem Stanisław *Gorecki*, za co wdzięczna Rzplita, w nagrodę dziedzictwo téj włości mu nadała. W *Chęcinach* zamek staraniem i nakładem Stanisława *Branickiego* dźwigniony został, a Rzplita koszt uznany powróciła. W *Krakowie* kościół i klasztor *Karmelitów bosych* przez *Tylickiego* biskupa krakowskiego, w *Leżajsku* Bernardynów przez *Opalińskiego* marszałka w. k. przyprowadzono do skutku.

R. 1612, w *Prusiech* zamek *Gziński* przez Stanisława *Kostkę* wojewodę chełmskiego, w *Tylicy* przez *Tylickiego* kasztelana kijow. założone są. W *Krakowie* Bonifratrzy piérwszy raz do Polski wprowadzeni, przy kościele

ś. Urszuli, w *Latyczowie* i *Kamieńcu* Dominikanie *Potocki* wojewodziny braclawskiej, w *Lachowcach* ciz *Krzysztofa Sieniuty*, osadzeni są.

R. 1613. *Maciej Konopacki* biskup chełmiński, w *Konopatach* włości dziedzicznej, pałac wymurował, który herbami *Borgezych*, nadanemi domowi swemu od Pawła V. pap. ozdobił. W *Krasiczynie*, *Marcin Krasicki* wojewoda podolski, o milę od Przemyśla nad rzeką Sanem zamek warowny wystawił, o którym, sławny *Marcina* potomek *Ignacy* biskup warmiński napisał: „*Tego się znamieniem zwali, ci którzy go budowali.*”

R. 1614. W *Zalinie*, *Maciej Zaliński* kasztelan gdański, pałac ochędzyny, a *Mikołaj z Kwocza Wysocki*, w *Bohatynie*, klasztor Dominikanów z muru wywiódł.

R. 1615. W *Czemiernikach*, *Henryk Firléj* biskup płocki pałac, a kościół i klasztor OO. Dominikanom w *Jaworowie* zbudował.

W r. 1616 w *Łyszkowicach*, *Uniejowie*, *Chróślinie*, pałace prymas *Wojciech Baranowski* jedne wzniósł na nowo, drugie naprawił.

W r. 1617, domy z kościołami, w *Bydgoszczy* *Jezuitor*, przez *Kuczborskiego* biskupa chełmińskiego, a w *Usiatynie* OO. *Benedyktynom* przez *Andrzeja Potockiego* założone zostały.

W r. 1618, w *Nowogrodzie siewierskim*, *Dominikanów Zygmunt III*, a w *Szczebrzeszynie* tychże *Tomasz Zamojski* osadził.

W r. 1619, we *Lwowie* zakonnice *Dominikanki* pobożność kilku osób fundowała; zaś w *Szklowie* *Aleksander Chodkiewicz* wojewoda trocki.

W r. 1620, *Krzysztof* zamek, wziął początek i nazwę od *Krzysztofa Ossolińskiego* założyciela, a któremu tę

dał Puffendorf pochwałę, iż był jednym z najmożniejszych i najwspanialszych w Polsce. Kalwarya w *Zebrzydowicach*, od Mikołaja *Zebrzydowskiego* wojewody krakowskiego, licznemi kapliczkami i domkami podług rozmiarów w Ziemi Świętej wziętych stawiona była, jakoby tą pobożnością mógł zgładzić winę sprawionego niecnym swym rokoszem zgorszenia, i tylu nieszczęsnych szkód zrzadzonych krajowi.

W r. 1621, twierdza *Kamieniec*, z rozkazu i nakładem króla, przez Teofila *Szemberga* nowemi murami zmocniona. Klasztory Dominikanów w *Stopcach*, *Aleksander Słuska*, a w *Ostrowie*, *Sapieha*, starosta orszański fundowali.

W r. 1622, w *Zakliczynie* Jan *Tarło* kasztelan sandedcki Reformatów osadził, w *Brodach* Stanisław *Konieczpolski* dziedzic, zaprowadził szkoły.

W r. 1623, *Andrzej Lipski*, biskup kujawski, w *Wolborzu* pałac, w *Chodczu* i *Wrocławku* Bernardynom klasztory wystawił.

W r. 1624, Stanisław *Lubomirski* wojewoda krakowski, pełniąc ślub uczyniony Bogu pod *Chocimem*, nie tylko Karmelitów w *Wiśniczu* wspaniale fundował, ale tenże i w *Połonnem* kościoły farne, w *Krakowie* na *Żłobku* Bernardynów, w *Gródku* panny zakonne, w *Lublinie* Karmelitów, w *Łancucie* Dominikanów osadził, przytém w domy i kościoły opatrzył; nadto zamki w *Wiśniczu*, *Łancucie*, i *Połonnem*, działami po 80 w każdym obronne, puszkarzami i ludem zbrojnym po 400 w każdym osadzone, wszystkie zasobione na lat 3 w żywność, tegoż *Lubomirskiego* są dziełem.

W r. 1625, domy klasztorne Dominikanów w *Lu bartowie*, Reformatów we *Wrocławku* przez prymasa *Lipskiego* wystawione były.

W r. 1626, w *Warszawie* król *Zygmunt* na pamiątkę odniesionego nad Szujskim zwycięstwa przez hetmana *Żółkiewskiego*, klasztor z kościołem z muru wyprowadził, Dominikanom oddał, i tamże zwłoki kniaziów Szujskich pogrzebać kazał.

W r. 1627, w *Zborowie* Bernardyni dom i klasztor od *Jerzego ks. Zbarazkiego* otrzymali.

W r. 1628, *Agnieszka z Firlejów Tęczyńska*, wojewodzina krakowska, w *Czerny* o 3 mile od *Krakowa*, *Karmelitom bosym* klasztor, eremitarzem, czyli pustelniczém mieszkaniem zwany, tak wspaniały i obszerny wystawiła, iż mury jego na milę się rozciągały, jak twierdzi *Pruszc*, który sporządzony na blasze rys jego oglądał.

W r. 1629, w *Łomży*, *Nowodworski* bis. poznański, w *Jarostawiu* u *Panny Maryi* w polu *Anna z Kostków ks. Ostrogska*, w *Przemysłu Sieciński* biskup przemyski, domy z kościołami hojnym nakładem zbudowali.

W r. 1630, w *Tysmienicy* od *Mikołaja Potockiego* kasztelana krakowskiego, w *Śniatyniu* od *Jana Potockiego*, w *Siemianowie* od wdowy z *Tarłów Potockiej* założone zostały klasztory Dominikanów, przez co wielce rozmnożył się ten zakon na Rusi. Tegoż roku w *Brzeżanach* *Mikołaj Sieniawski* krajczy koronny, zamek umocnił i kościół wymurował.

W r. 1631, dom *Jezuitorów* w *Krośnie*, *Bał* podkomorzy sanocki dokończył. *Eustachy Wołowicz* biskup wileński Augustyanów do *Wilna*, *Czerleńkowski* podczaszy braclawski Dominikanów do *Winnicy*, tychże *Chodkiewicz* wojewoda wileński do *Nowogródka*, *Słuszcza* kasztelan miński do *Rzeczycy*, zaprowadził.

W r. 1632, *Stanisław Warszycki* wojewoda mazowiecki, zamek w *Dankowie* wzniósł, opasał i osadził.

Także w *Zbąszynie* Abraham *Ciswicki* kaszt. Szrem. pod sprawą budowniczego wojennego *Dekana* wystawił.

W tym wieku, w którym włoszczyzna była najlepszego smaku wytworem i wzorem w budownictwie, trzymano się kształtu włoskiego.

Zygmunt, jako się wyżej mówiło, nie innych jak tylko Włochów miał budowniczych; przez nich stawiane w Polsce budowle, zachowywały podobieństwo włoskich. Tak zamek królewski krakowski, przetworzono na wzór zamku ś. Anioła w Rzymie, kościół ś. Piotra w Krakowie, jak kościół OO. Jezuitów rzymskich i t. d. Dostyc jest widzieć stawiane w tym czasie gmachy, aby w nich dostrzedz smak włoszczyzny w wysokich izbach, drzwiach, i oknach wielkich; ledwie piecom niepotrzebnym we Włoszech, w domach polskich miejsca pozwolono. Nigdy te mieszkania wygodnemi co do ciepła być nie mogły. Od Włochów przejęliśmy oraz smak zakładania ogrodów, włoskiemi pospolicie, a wytworniej *dziardynami* zwanych. Powiem o niektórych, ile mi się w piśmiech współczesnych doczytać o nich zdarzyło.

W *Przemysłu* na Rusi, był wielki i rozległy ogród i zwierzyniec królewski, napełniony zwierzem wszelkiego rodzaju (r); dziś ani ślad miejsca nie pozostał.

W *Radłowie*, mieszkanie Opalińskiego marszał. w. k., było zachwalone z przyjemności położenia przez Stan. Sarnickiego; był tu dom i ogród ozdobiony najwytworniejszej sztuki pięknościami, iżbyś mniemał, mówi on: że to jest ogród *Lukulla* (s).

(r) *Hortus ingens regnis omni terrarum genere refertus.* Gwagnin.

(s) *Locus amoenus et refertus omni genere elegantiarum et Luculli hortum putes.* Sarnicki.

Nieporęt, wieś blisko Warszawy, miała dom królewski drewniany, postawiony od Zygmunta III, ozdobny, kształtny i tak obszerny, że cały dwór królewski i przybywających panów, wygodnie mógł mieścić, nie biorąc wygody z teraźniejszego wieku znaczenia. Przy nim była kaplica i ogród włoski, z którego możniejsi brali wzór do zakładania swych wiejskich ogrodów. Ale nic równego w Polsce widzieć nie można było, jak ogrody w *Nieświeżu* książąt Radziwiłłów, którzy w nich przepychem bogactw, wytwornością sztuki, naśladowujących to, co w obcych krajach najpiękniejszego widzieli, tu razem połączyli. Obfitowały one w zagraniczne rośliny, najznakomitsze owoce i w rozliczne ich odmiany, i już znane były szklarnie, ogrodowe cieplice i zimowe przechówki. Nieświeżkie ogrody były najpiękniejszymi ogrodami na Litwie. W *Stupi* znajdował się najpyszniejszy dom i ogrody tak kształtne i obszerne, iż zdaniem Sarnickiego, z najpiękniejszemi ogrodami w tym wieku równać się mogły. W *Krzepicach*, w Sieradzkim, prócz pięknego zamku, w którym Władysław IV czasem przesiadywał, były ogrody, a przytém przyległy zwierzyniec założony przez Mikołaja Wolskiego marszał. w. k., co prócz rozmaitego zwierza, samych danielów 1600 zawierał. Rozciągał się wzdłuż na trzy ćwierci, a wszérz na pół mili; wokoło otoczony był wysokim parkanem, do którego utrzymania, za pozwoleniem króla Zygmunta, wyznaczeni byli zagrodnicy z wsiów starostwa krzepickiego, jakiemi były: Iwanowice, Złochowice, Opatów i Dankowice, którzy podług podziału w latach przepisanych *przesła* stawiać powinni byli. Piękność położenia nad rzeką Liswartą, gaje drzew rozlicznych, rozkoszne łąki, przerzynające i wilżące je strumienie, kształtne domki, altany, strzelnice, przyczy-

niały się wiele do ozdoby tego wielkiego ogrodu. Również rozkosznym musiał być ogród Sieniawskich w *Brzeżanach* za Lwowem, czego samo nazwisko *Raju* jest dowodem. Wszystko tu przyrodzenie i sztuka połączyły, co do przyjemności ogrodu należy. Gaje, wytryski wód, szumne ich spadki, chłodniki i spoczynki, przyozdobiono posągami rozlicznemi, a między temi pierwszych rodziców, aby usprawiedliwić dane mu *Raju* nazwisko. W *Białej* na Podlasiu, zwierzyniec książąt Radziwiłłów do 1000 jeleni, łosiów, sarn i danieli utrzymywał. Nie było możnego domu, któryby zwierzyńca swego, czyli jak Petrycy wyraża: *obory zwierząt nie miał*. W *Rembielicach*, niedaleko od Krzepic, słynął w tymże czasie dom i ogród Stan. Warszyckiego wojewody podlaskiego, który dla przyjemności i wygody wykopać kazał rów długi dla wprowadzenia weń wody z rzeki Liswarty; był również i drugi ogród tegoż w *Dankowie*, wielkimi drzewami wspaniały. W *Falentach* blisko Warszawy, zalecony był dom Opackich dziedziców téj włości, z wygody, ozdób i ogrodów, które przyjemnością położenia, wesołością gajów i łąk, wielością strumieni, zwabiały z stolicy lubowników wiejskiej rozkoszy. W *Łobzowie*, ogród upiękniony łąkami kwiatów, gajami drzew, rozmaitemi kamieniami chodnikami i wodami, Zygmunta III był dziełem. Tu lubił sam cieniowe i owocowe drzewa sadzić, siać kwiaty, rozmnażać rośliny, pielęgnować melony i t. d.

Zabawa w letniej porze, najprzyjemniejszą tu była dla niego rozrywką.

MAHMUDEK.

Powieść

PRZEŁ

Władysława Strzelnickiego.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Nocny wędrownik. Dwaj bracia.

W roku 1841, Szamacha została podniesiona do godności generalnego miasta. Przez to i handel jój się ożywił, i ludność wzrosła, i stosunki z Rosyą, z Europą nabrały większej siły. Cechy azyatyizmu, zaczęły jedna po drugiej ściérać się i ginąć. Surowa przedtém Muzułmanka, przybióra postać zalotną, przykrzy sobie w tajemnicy i wstydzie, odchyła czadrę; ściany swoje, te ściany co tak jeszcze niedawno, szare, nieme, ślepe, stały jak zagadki przed okiem cudzoziemca, bieli i mnóstwem okien dziurawi; dachy maluje, drzwi od ulic robi! Wkrótce jój nie poznasz; na starém tle przyjęły się stubarwne cętki obczyzny, cętki się powiększą, tło zaginie!

Cóż wtedy będzie? Oto teatra, przechadzki publiczne, bale, ożywią gród Szyrwan-Szachów, oto córki proroka, zamiast tych nieznośnych czader, pokazywać nam będą swoje śliczne buziaki, wyzywające oczy i obnażone ramiona; zrodzą się miłości jednodniowe, ściskania rączek, pokątne szepty, szczęśliwe gachy, małżonkowie zdradzeni.... Oto w przybytkach poświęconego Bogu (moślemina), zabrzmie huczna orkiestra, i długobrody Chodzi, stanie do mazura z żoną pierwszego Achunda...

Ani wątpić, że cywilizacya wiele wygra na tém. Bo naprzód, pozbędzie się swojej odwiecznej nieprzyjaciółki, — tajemniczości; powtóre, z wyzwoleniem kobiet, świeży, mocny prąd wpłynie w jezioro społeczne, jezioro tym prądem poruszone, nabierze jakiegoś życia. Potrzebie...

Ale czy wygra poezya?

My, bajarze i rymokleci, mamy dziwne gusta. Jeden mędrzec nazwał nas uszczypliwie niedoperzami umysłowego świata, niby dlatego, że my podobamy sobie w ciemnościach. Moznaby mu odpowiedzieć, naśladowując jego jarmarkowy sposób tłumaczenia się, że w jasny dzień lada kiep pójdzie i nie zbłądzi, albo, że kwiat paproci, który posiadaczowi swemu szczęście zapewnia, o północy tylko się zbiéra..... Ale jako żywo, my nie lubimy ciemnoty. Niemowlęctwo ludzkie, czas, kiedy syn Adamowy nie wyrosł jeszcze z bydlęcia, jest nam szpetny i niepoetyczny. Prawda, że z drugiej strony i światło lipcowe szkodzi oczom naszym. Kiedy trawa żółknie, zdroje wysychają, a kłos dojrzały upada pod sierpem tłustej żniwiarki, poezya wówczas chroni się pod krzak róży omdlewającej, z kwiecica już ogołoconej, która jej jednak przypomina rozkosze maju.

Gdybyście wy zdobyć się mogli na wyrozumiałość, panowie arcyrabini téj arcymądrój synagogi, i nam profanom, do waszych drzwi niecisnącym się wcale, nieuczonym w talmudzie ani w kabbali, dali święty pokój! To co się u was cywilizacją zowie, ma aż nadto dosyć poganiaczy w was samych, w damach, w machinistach, publicystach i t. d.

* * *

Zostawiwszy terażniejszość i przyszłość tym wychowawczym potęgom, cofniemy się w owe czasy tak niedawne jeszcze, a tak niezwrotnie ubiegłe, kiedy Szamacha była miastem ściśle prawowierném i wschodniém.

Nie widziałeś wówczas tych tysiąca okien o dużych szybach, tych drzwi gotowych otworzyć się na oścież przy piérwszém zapukaniu, nie słyszałeś na ulicach tego turkotu powozów; domy głuche i bez okien, wyglądały jak pudła z herbatą zewsząd szczelnie zamknięte, a tak były kształtem podobne i połączane, że włączszy na jeden, mogłeś sobie bez żadnych skoków użyć długiej przechadzki. Ulice prawie puste, bazar tylko szumiał, kipiał i pienił się jak kocioł na ogniu. Powiedziałbyś, że wszystka krew téj śpiącej niedźwiedzicy zlała się razem do serca.

To w dzień. A jakież były nocy? – Wonne, srebrzyste jak teraz, ale nie tak gwarliwe jak teraz. Ludzie spali albo tonęli w rozkoszach, a marzenia z pod tronu Dżin-Padiszacha (króla duchów), rojami spływały na nich, bo ich żaden hałas nie płoszył. Świateł nie rzesisto: tam gwiazda spadająca biały szlak wypaliła na niebie, tu latarnia mignęła w ręku spóźnionego wędrowca, albo luna z ognia rozłożonego na dachu, wiatrem podsycona buchnęła i położyła się milczkiem na ziemię... Samotny

przybysz błędził po ulicach, i nic nie widział, jak cień swój, nic nie słyszał, jak tętent swoich własnych kroków, i pytał zdziwiony: gdzie są czary Wschodu?

Ale jeżeli z nim była jego wyobraźnia, ten śmiały nurk co wszędzie dna dostanie, ileż rzeczy mógł widzieć i słyszeć!..

* * *

W jedną z takich nocy, rozbójnik Harun wchodził do Szamachy. Miał na sobie zebraczą sukmanę, zpod której jakby z ciekawości, wyglądały dwie główki źle zakrytych pistoletów i rękojeść kinżala, w ręku niósł dwie długie kule, na których się jednak nie opierał. Wstąpiwszy na wzgórek gdzie stoi cmentarz, zatrzymał się, spojrzął na miasto oblane światłkami niezakrytego nieba, i zwiesił głowę. Spokój sumienia, spokój pożycia, nocy rozkoszne po dniach nieburzliwych, w jasnym, pełnym przynęty obrazie stanęły przed nim.

Poszedł dalej. Zstąpiwszy z pagórka, zaczął się przemykać po wyższych i ciemniejszych uliczkach. W jednej już miał się spotkać z obchodem nocnym, a to groziło kordygardą, bo nie mając latarni, tego koniecznego paszportu wędrowników nocnych, mógł łatwo wpaść w podejrzeń. Przyłgął do ziemi w załamie muru, wziął w rękę pistolet, odwiódł kurek: niebezpieczeństwo minęło. Trzeba było przejść koło skarbowego budynku. „Kto idzie!” zawołał sztyldwach. Nie odebrawszy odpowiedzi, powtórzył zapytanie, a za trzecim razem dodał groźbę: „mów, strzelę!” Ale nie było do kogo strzelać, postać mignęła i przepadła, żołnierz ziewnął, zażył tabaki i ciągnął dalej swoje długą przechadzkę.

Na dachu jednego domu, przy ogniu, siedziało kilku ludzi zajętych rozmową; któryś z nich zobaczył Haruna i nachyliwszy się powiedział:

— Zaczekaj tam na mnie, ja nowinki przyniosę.

* * *

Zpomiedzy siedzących na dachu, dwóch prowadzi dosyć ozywioną rozmowę, inni rzadko im przerywają. Patrzą na płomień i zdają się drzymać, choć oczy mają otwarte. Chrapliwy kalijan (*), z rąk do rąk, z ust do ust przechodzi, jak kolejna czasza; jego dymek siwy, to lekko ochmurzy brodate twarze, opromienione luną ogniową, to się rozkłębia i ginie bez znaku.

— Ej, Kyzyl-Begu, rzekł jeden z rozmawiających, ty jak ja widzę drwisz sobie z naszych bród; gdyby to prawda była, to i do rajy niéma po'co śpieszyć: wraju tego nie znajdzie co w twojój Warszawie. A też panny! Ja-bym za parę takich oddał wszystkie Huri białe, różowe, żółte i zielone. I jeszcze mówisz że przepadały za tobą?

— No, dosyć już o téj Warszawie, przerwał znajomy nasz derwisz Mustafa. Co o niéj mówić? Dzięki Allachowi, że cię widzimy Kyzyl-Begu, bo tu wszyscy mieli cię za zabitego pod Gandzą. Powiedz nam, jak się to stało żeś ożył?

— Wiécie, że byłem topczy (artylerzystą) w wojsku Abbas-Mirzy. Biliśmy się pod Gandzą. Ja dostałem ranę z samego początku, więc jako niezdatny do boju, chciałem odejść i położyć się gdzie w chłodku między ciurami. Topczy-Baszi, widząc że umykam, kazał mię zawrócić. Powiadam że jestem raniony. Opatrują ranę, krwi niéma. A trzeba wiedziéć, że to najcięższe rany, z których krew nie ciecze. Ale nie uwierzyli temu, nazwali mię tchórzem, mnie, Kyzyl-Bega! i dla zapewnienia się nadal że będę mężniejszy, przywiązali mię sznurem do ar-

(*) Narzędzie do kurzenia tytoniu, u spodu napełnione wodą, przez którą dym przechodzi bełkocąc.

maty. Niebawem nasi zaczęli uciekać: ja chcę za nimi, sznur nie puszcza. Targam się, skaczę, wszystko daremne, trudno było urwać sznur, a armatę pociągnąć jeszcze trudniej. Musiałem zostać i zazdrościć innym, osobliwie konnicy, co tak żwawo, tak lekko przemykała po stepie, niby stado dżejranów (antylop). Obejrzałem się jakoś za siebie — aż tu las ruskich bagnatów. Targam znowu sznur, natężam siły i padam bez zmysłów. Kiedym się ocucił, byłem już jeńcem. Wielu téż innych ta kolęj spotkała. Byliśmy pewni, że jeżeli nam głów nie poodcinają, to przynajmniej nosy, ale nadspodziewanie dobrze się z nami obeszli, nawet po kilku dniach niektórzy odzyskali wolność, i ja z nimi.

Otóż powiem wam otwarcie, że nic mię nie nęciło do Szamaehy: sprzedałem tu dom przed wyjściem, innego majątku nie było. Brat mój w koczowisku mógł się obejść bezemnie; cóż miałem robić? zwłaszcza że grosiwo moje zakute w obcasie prawego buta i w talizmanach pozaszywane, ocalało podczas niewoli. Powąłęsałem się jakiś czas po świecie, byłem w Tyflisie i w Achalcychu, ktoś mi powiedział że zbierają pułk do Warszawy, nie wiele myśląc kazałem się zapisać.

— A tu w twoim domu coś go sprzedał, tyle teraz odmian, tyle przepychu że ani poznasz, powiedział derwisz, Musi to być wielki bogacz ten Mahmud-Beg. Czy nie zechcesz go odwiedzić?

— Ja prawie nie znam tego Mahmud-Bega. Kiedym mu dom sprzedawał, kto inny robił ugodę i płacił pieniądze. Był to, jeśli pamiętam, jakiś Ali-Aga.

— Jednakowoż, odwiedź Mahmud-Bega, odezwał się ktoś inny, kto wie czy nie poznasz w nim Ali-Agę. Między nimi jest jakaś płatanina.

— Coś to mi o tém dzisiaj prawili na popasie w Ach-su. Ale po co się mam wikłać w cudze sieci. Jutro o świcie wyjadę do brata.

Derwisz wstał, zapalił latarnią, poleciał całe grono opiece proroka, i zląwszy po drabinie na ulicę, poszedł śpiesznym krokiem do domu Ali- Agi.

* * *

Harun dostał się bez wypadku pod mur otaczający jakieś obszerne mieszkanie. Chciał zastukać w furtkę, ale postrzegłszy szczelinę przez którą przekradało światelko z podwórza, stanął; przyszła mu chętka zobaczyć naprzód co się wewnątrz dzieje.

Oko ludzkie w każdym obrazie przedewszystkiém dostrzeże ludzi. Harun zobaczył dwoje: kobiéta w pąsowych z białemi kolorach, siedziała na murawie u brzegu małej, krągłej sadzawki, oblewającej kolumnę wodotrysku, mężczyzna leżał i głowę miał opartą o jéj kolana. Nad nimi strzępiły się różeczki gęsto nasadzanych krzewów, stulistej róży, akacyi, berberysu o drobnych kędziorach. Tu i owdzie migotały pozawieszane na gałęziach latarnie z różnobarwnych szkiełek; ich połysk pieszczony, w pół przygasły, podobny był do spojrzenia dziewczyny omdlewającej w rozkosznym uścisku. Wietrzyk kołysał latarnie, i kulki rosy zdmuchiwał z liści i bukietów, i pieścił szklane łono sadzawki, to marszczył, to wygładzał. A liście szemrały półgłosem, jak rozmowa miłosna, i wodotrysk szemrzał, rozpryskując wokoło dészczyk mieniących się kropli.

Patrzył na to rozbójnik, jak patrzy kot na ptaszynę przez zagrodę klatki. Krew w nim kipiała, serce biło gwałtownie, pragnieniem i zazdrością. Miał on przed sobą obraz rozkoszy, jakiej sam nigdy przez sen nawet nie

doznawał; w tym obrazie latały przed nim duchy pokusy, czepiały się gałęzi, pływały w falach powiewu, migotały w kroplach wodotrysku, z łudzącym podszeptem o zapomnieniu się, o szczęściu, o miękkim łożu Hurysek, a on tymczasem musiał stać u furtki, w żebraczych łachmanach, on, odrzutek ludzi, skazany na wieczne tułactwo, pośród dostatków nabytych krwią i niepokojem duszy!

Ile razy kobiéta z czulszym giestem nachylała się do mężczyzny, albo nurzając bielutkie palce w kędziorach jego brody, zaczynała cichą rozmowę, Harun marszczył brwi, ścisnął pięści, i zbierał się do stukania w furtkę, potem znowu rękę spuszczał i patrzył. Ale cierpliwość podobnych mu ludzi, niedalekie ma granice, i im dłużej dotrzymywana, tém gwałtowniejszym kończy się wybuchem. Mężczyzna wstaje, odpowiada umizgiem na umizg, obwija ręką kibić swojej Huri. Harun uderza w furtkę z taką mocą, że aż sąsiedzi, co spali twardo na swoich dachach, budzą się i pytają jeden drugiego, zwiesiwszy głowę na ulicę: *bu kim diur?* Kto to?

Odaliska pierzchnęła jak spłoszona jaskółka, mężczyzna zerwał się, postąpił do furtki i nie otwierając zapytał: — Co ty za jeden?

Zamiast odpowiedzi, Harun podwoił szturm pięściami i nogami.

— Stój, stój, otworzę, wołał gospodarz, widząc że niéma innéj rady. Ale nim otworzył, prysnęły zawiasy i zamek, furtka wysadzona z trzaskiem upadła na niego,

— Harun-Aga zapomina, powiedział spokojnym głosem poznawszy gościa, że nad nim stryczek buja, i lada chwili może się ściągnąć na jego szyi, i o tém zapomina, że w jego brata wpatruje się tysiąc ocz szpiegujących.

Harun-Aga słynie z przezorności i rozumnej odwagi, a postępuje jak dziecko.

— Harun-Aga? czemu nie powiesz Harun pies, twój pies legawy, co nie ma prawa zajrzeć ci w oczy kiedy ty bankietujesz. Wiész co Ali-Aga?

— Ja się nazywam Mahmud-Beg, prosiłem cię już tyle razy.

— Wiész co Ali-Ago, jedno nas łono nosiło, nośmyż jedną dolę. Zostań rozbójnikiem.

— Ja, rozbójnikiem?

— Zostań rozbójnikiem, mówię ci, morduj kogo spotkasz, jak ja morduję, przepędzaj nocy bezsenne, jak ja przepędzam, nie między temi kwiatami, ale w puszczy, na słocie i zawieruchach przepędzaj nocy Ali-Ago. Bój się własnego głosu, uciekaj przed własnym cieniem, nie miej komu powiedzieć dobranoc, dzieńdobry. Na dzieńdobry słuchaj płaczu ludzkiego, a przekleństw na dobranoc. Zostań rozbójnikiem Ali-Ago!

— Nie rozumiem ciebie Harunie!

— Nie rozumiesz? o ty nie rozumiesz! Tyś poczciwy i niewinny człowiek! A ja ciebie rozumiałem, kiedyś mi dawał polecenia: tego tam sprzątnij Harunie, tę karawanę obedrzyj i przywieź łupy, jam ciebie rozumiał, kiedyś napadnięty od straży zawołał, ratuj!..... Teraz kolój na ciebie, zostań Kanly-Harunem..... A ja zostanę Ali-Agą; wezmę postać nabożną, będę dni trawił na gawędzie z przyjaciółmi, a nocy na pieścotach.

— Powtarzam ci bracie, że nie rozumiem twojej mowy. Ty, coś tak lubił swoje życie najezdnicze, coś nieraz mówił, że nie oddasz swoich stepów za dworzec chana, ty mi teraz prawisz o gawędzie i pieścotach. A, domyślam się: wrogów, co na zemstę czyhają, na-

mnożyło się, czujność wszędzie podwójna, niebezpieczeństw coraz przybywa, a odwaga nie kamień, uprzykrzyła sobie w sercu Harun-Agi i poleciała jak wróbel.

— Milcz gadzino! nie drażnij mię, nie zapominaj z kim mówisz, bo jak ja się zapomnę, to twoja Maleka téj jeszcze nocy będzie musiała Szach-Hussejna (*) wzywać.... Słuchaj Ali, wszystkom utracił z twojój łaski, i serce, i rozum, i spokój, zostało mi jednak to przekonanie, że mój włos jeden więcej wart od ciebie i tobie podobnych....

Ali chciał zarzutem tchórzostwa odwrócić brata od jego marzeń idyllicznych, ale spostrzegłszy że za mocno ugodził, odmienił ton, postanowił wysłuchać go cierpliwie do końca, a tymczasem w myśli zbudował inną taktykę. Zaczął poufalej i łagodniej.

— Ej bracie, ja zażartowałem, a ty się już srozysz. Uspokój się, powiedz o co ci idzie. Siądźmy sobie ot tu na murawie. Hej kalijan!

Przybiegło dwóch nukierów, jeden przyniósł kalijan i tytuń, drugi wodę i węgle, nałożyli i podali.

— Co masz na sercu, dżaném, moja duszo? zapytał Ali pociągnawszy i oddając bratu. Bądź otwarty. Przecie wiesz, że Ali-Aga kocha brata nad wszystko.

— Ali-Aga miał brata jastrzębia, powiedział Harun spokojniej, trzymał go na pałeczce, w kapturze, wypuszczał na łowy kiedy chciał, a karmił odrobinami jego własnej zdobyczy. Tak było dotąd, prawda Ali-Ago?

— Nie, wszystko mieliśmy wspólne. Tyś mi przynosił część swojego zarobku, a ja za to zasłaniałem cię

(*) Szyici przy pogrzebach wzywają Szach-Hussejna, bijąc się w piersi.

w dywanie. Kto wie coby z tobą było bez moich wpływów.

— Mnie się zdaje, że ty z swemi wpływami prędkiej odemnie wpłyniesz na szubienicę. Ale mniejsza o to. Mówię ci, że miałeś brata jastrzębia, co sobie szpony krwawił dla twojej usługi. Teraz okoliczności muszą się odmienić.

— Może mój śmiały jastrząb sprzykrzył sobie te miejsca, i chce jeszcze gdzieindziej pobujać, w Persyi, albo w Dagestanie? Będzie czas.....

— Nie, chcę mieć spokojne gniazdo. Krótko mówiąc, ja myślę odmienić życie.

— Odmienić? Niepodobna, niepodobna!

Harun zerwał się z ziemi.

— Niepodobna? Nie powtarzaj mi tego słowa, w tém słowie jest śmierć moja i twoja.

Zaczął chodzić wzdłuż muru, rumieńce na bladych zwykle policzkach, trudny oddech i kroki nierówne, dawały poznać, że w tym momencie przynajmniej, nie jest idyllicznie usposobiony. Tak przeszło kilka minut. Ochłonnawszy stanął przed Ali-Agą, skrzyżował ręce na piersi i powiedział prawie spokojnie:

— Utrzymujesz że niepodobna? Mnie, twemu bratu niepodobna już być szczęśliwym? Więc mam na całe młode życie wyrzec się nadziei osiągnięcia tego, co innym tak łatwo przychodzi? Więc twoja rzecz używać, a moja służyć tobie, nurkować we łzach i we krwi za złotem dla ciebie, za perłami dla twojej Maleki? Być wiecznym tułaczem, nędzárzem, straszidłem gościńców?

— Szachem gościńców! Tak siebie sam nazywałeś dotąd, taki obrałeś zawód Harunie. Wilk nie może podłém jagnięciem zostać.

— Ani jaszczurką podobną do ciebie. To prawda, a jednak....

— A jednak, gdybyś się lepiej wpatrzył w to co nazywasz mojem szczęściem, pewniebyś mi nie pozazdrościł. Przeciwnie, iluż jest takich co zazdroszczą tobie, tobie, wolnemu jak jelen, groźnemu jak wichur stepowy! tobie, co masz dwudziestu zuchów gotowych sto razy rzucić się na śmierć za piérwszém twojém skinieniem! Ktoby nie zapragnął mieć w swoich żyłach choć jedną kropelkę krwi Harunowój, kipiącój, bujnój, odważnój!

— Ja téż ci mówię, zostań tém czém ja jestem. Będą i tobie zazdrościć.

— Alboż możesz powiedzieć lampie łojowój: zostań dniem i świeć całemu światu? Ile razy słyszę jak opowiadają sobie nasze mieszczuchy o twoich dzielnych nabięch, serce we mnie rośnie, ale wzdycham, dlaczego mi los nie pozwala pochwalić się przed nimi, że jestem twoim bratem; wzdycham i ledwo nie płaczę, dlaczego sam nie jestem tobą? Ale kiedy tak podobało się Bogu, zlać na ciebie wszystkie swoje dary, a mnie ukrzywdzić! Z jednego pnia wyrosły dwie gałęzie, jedna wybujała w górę, zakwitła, druga pozioma i sękata, czołga się po ziemi....

Godny braciszek zapłakał rzewnymi łzami. Harun patrzył na niego jakiś czas z dziwném uczuciem, mieszaną wstrętu i politowania, potem usiadłszy zaczął:

— No, słuchajże po co przyszedłem.

— Mów, niechaj wiem, w czém będę mógł dopomóc memu Harunowi, panu duszy mojej.

— Początek wiész z opowiadania Mustafy na bazarze.

— Wiem, co za śmiałość rzucić się na całe koczo-
wisko, i to gdzie, o jeden dzień drogi od Szamachy!

— Otóż, wpadłem za Bała-Begiem do jego namiotu...

— Pamiętam, musiałeś go już uderzyć, cóż cię wstrzy-
mało?

— Ta dziewczyna.

— Cha, cha, cha!

— Śmiejesz się?

— Jakże się nie śmiać, dziewczyna go wstrzymała,
dziewczyna! Cha, cha, cha!

— Wiész co, Ali, nie śmieję się nigdy ze mnie. Ja nie
lubię twojego śmiechu, bracie. Słuchaj, ile razy idę do
ciebie, taki miewam natłok myśli, tak mi wesoło, i nie
wiem dlaczego, ale zawsze wracam ze ściśnioném ser-
cem. Ty musisz być wielki niegodziwiec, Ali. Co? spoj-
rzyj mi w oczy... nie, dobrzy ludzie tak nie patrzą. Pra-
wda że i ja niegodziwiec, ale ja nie muszę mieć takiego
wzroku. Mnie coś ciągnie do ludzi. Jabym chciał, żeby
mnie ściskali za rękę, nazywali bratem, zapraszali w go-
ście i do mnie przychodzili, chciałbym żeby mnie prosili
o co, potem dziękowali. A przecież, jestem wrogiem
wszystkich. Nie mam do kogo przemówić po ludzku. Ty,
ty jeden mógłbyś mi dobrze życzyć. Ja dlatego tylko
wypełniam wszystkie twoje żądania, żeby choć z tobą
jednym żyć w zgodzie....

— Ty mię nie zgadujesz Harunie, ty nie widzisz, jeden
Bóg widzi, ile ja łez wylewam nieraz nad tobą. Odda-
łbym wszystko co mam, żeby cię widzieć dalekim od nie-
bezpieczeństwa. Ale cóż, kiedy to być nie może. Nam
trzeba bogactwa, wielkiego bogactwa, wiész jakiego je-
steśmy pochodzenia. Dorabiajmy się, ty po swojemu, ja
po swojemu, byleby takimi drogami, żeby się nie spo-

dlić, bo zapewne sam to czujesz, że nam nieprzystoi trudnić się handlem, albo rolą, a tém mniej jakim rzemiosłem. Kiedy zbierzemy dosyć, przeniesiemy się w inne strony i będziemy żyli przyzwoicie. Spuść się na mnie w tém wszystkiém; ty jeszcze dziecko, ja dwa razy starszy od ciebie, i wiem co masz robić dla swojego własnego dobra. Potém mi sam podziękujesz. Tymczasem kończ swoje powieść.

— Dziewczyna wstrzymała mię, kiedym miał zarąbać Bała-Bega. Była to jego córka, jak mi potém powiedzieli. Chciałem ją odepchnąć i skończyć, wiesz że nie lubię cofać się, ale sił nie stało. Kinzał ręki nie słuchał, a ręka nie słuchała woli. Bała-Beg spostrzegłszy to, rzucił się na mnie, byłby mię zgniółł bez oporu, i dziewczyna zawisła na jego ramieniu, i ja żyję z jój łaski, ja, com się skąpał we krwi jój pokolenia, com niósł śmierć jój rodzonemu ojcu.

— Widać, że piękna Peri umiała się poznać na swoim Rustemie. Bo téz walny z ciebie chłopak; każda inna to samoby zrobiła. Ale mów dalej, porwałeś i uniosłeś.

— Gdzie tam, zgłupiałem przy niój. Długo, długo staliśmy oboje patrząc jedno drugiemu w oczy, a Beg trzeci, patrzył to na córkę, to na mnie i nie wiedział co robić. Wtém z za namiotu dał się słyszeć jęk konających, ona skinęła, wyskoczyłem, wstrzymałem swoich od rabunku, potém na koń i dalej w góry.

— I na niczém się skończyło, nie uniosłeś jój, nie zabrałeś zdobyczy?

— Nie.

— To źle, to bardzo źle, tém gorzej, żeście zapewne dużo straty ponieśli?

— Sześciu mi zostało z dwudziestu.

— Otóż masz! Szczęściu tylko, i ci zapewne zniechęceni?

— Ej mniejsza o to. Ale dlaczego jój nie porwał?

— Nie rozumiém.

— Mówię ci żem zgłupiał....

— Cóż teraz zamýślasz?

— Nic nie zamýślam. Przyszedłem do ciebie żebyś mi poradził. Ty taki rozumny, Ali, ty na wszystko wynajdujesz sposoby, poradźże mi co mam robić. Gdyby chodziło tylko o porwanie, nie radziłbym się ciebie, ale ja nie śmiém; boję się żeby mię znowu nie odurzyła, przytém, jój ojciec mógłby w obronie jój zginąć, a ja nie chcę żeby on zginął, płakałaby. Ja chcę się ożenić i żyć jak porządni ludzie, jak ty ze swoją Maleką....

— Ależ uważaj....

— Znowu uwagi. Ja nic nie uważam, ja ci tylko mówię, że tak musi się stać koniecznie. Rozumiesz? Prędzój stepy nasze porosną górami, a góry w ziemię zapadną, prędzój ty zginiesz i twoja Maleka, nim ja odstąpię od swego postanowienia. Rozumiesz? Miěj to sobie za pewne, że brat twój Harun ożeni się i zaprzestanie rozbojów. Jeżeli ty nie poradzisz, to ja sam sobie poradzę. Ale kto na tém najgorzej wyjdzie?...

Zapukano do furtki, i cicho, bez gwałtu, wszedł derwisz; pociągnąwszy kalijanu, opowiedział o przybyciu Stanisława i jakie słyssał powątpiewania względem osób Mahmud - Bega i Ali - Agi. Łatwo się dorozumić, jak przyjął wiadomość tę Ali. Chodził, zacierał ręce, bił się po głowie, mruzczał sam do siebie, tysiączne plany snuł i odrzucał. Zatrzymał się wreszcie na jednym.

— Nie, innego środka niéma. Ty tylko Harunie możesz mię wypłatać, w tobie jedyna nadzieja.

— A, teraz i ja mogę się przydać. A dawnoż mi powtarzałeś: niepodobna, niepodobna. Otóż i ja mówię że niepodobna. Niech cię wieszają, mnie nic do tego.

— Jeszcześmy sobie potrzebni, Harunie.

— Ja się obejdę bez ciebie.

— Oj nie wiem! a twój interes?

— Poradzisz?

— Poradzę.

— Pewnie?

— *Wallah billah!* (dalibógzie). Zrobię ze się połączysz ze swoją piękną, zamieszkaś gdzie sam zechcesz, i nikt cię nie zaczepi.

— Z nią się połączyć!... Z nią dni i nocy przepędzać!...

— Aż póki ci się nie sprzykrzy. Ale trzeba sprzątnąć....

— Całować ją w oczy, w usta, w piersi, tulić do serca, mocno, mocno....

— Mówię ci że to wszystko nastąpi. Ale słuchaj jakiego warunek podaję. Trzeba zasiąść na drodze, gdzie ten Kyzyl-Beg będzie przejeżdżał....

— Zasiadał ja już nieraz. Przrzekasz mi, że będę miał taki dom jak twój, z ogrodem, z fontanną, że mię nikt już nie zaczepi ani ja nikogo, że Bała-Beg odda za mnie córkę, że moły przestaną obwoływać z meczetów: oto tyle a tyle za głowę Kanly-Haruna?

— Słuchajże waryacie! Wszystko to nietrudno, bylebym ja ocalał, a ocalenie moje od ciebie zależy. Ten Kyzyl-Beg musi zginąć, i Mahmudek także.

— Tyle szczęścia za życie dwóch błaznów! A ileżto ich darmo z mojej ręki przepadło!...

— Więc zgoda?

— Jakiżto Kyzyl-Beg i jaki Mahmudek, żeby się nie pomylić?

— Mustafa derwisz pokaże ci obu. Dobrze Mustafu?

— Ja cały należę do ciebie, Mahmud-Begu, odpowiedział derwisz. Do kogoż mam należeć? albożem nie twój niewolnik? Ma się rozumieć że dopóki płacisz. Jutro o świcie bądź Harun-Ago na połowie drogi do Kazdyczaju, właśnie tamtędy Kyzyl-Beg ma przejeżdżać. A Mahmudka sam już widziałeś.

— Możem i widział, ale nie znam. To ten zapewne, co mię o niego dawno już Ali dokucza?

— Ten sam, powiedział Ali-Aga. Szkoda żeś z nim nie skończył piérwój, dopóki jeszcze nie był sługą policyjnym. Niktby się nie spostrzegł.

— Przypomnij sobie essaula, co dziś na rynku upadł z osła. Sam mu strzemię przytrzymawałeś.

— A, ten siedzi w worku, z tym nietrudno będzie.

— W jakim worku?

Harun opowiedział swoją podróż z Mahmudkiem.

— Doskonale się rzeczy składają, powiedział Ali-Aga ściskając brata, nie można lepiej. Harunie, będziesz szczęśliwy. Ale przedewszystkiēm pamiętaj o Kyzyl-Begu; ten niebezpieczniejszy.

Pomówili jeszcze trochę i rozeszli się, każdy pełen projektów i kontent z siebie, nie wyłączając derwisza, który w swojej roli pośrednika, faktora i szpiega, umiał z podobnych okoliczności drogi kruszec wyciskać. Byłto prawdziwy alchemik, ten derwisz Mustafa.

IX.

Mahmudek djablem.

Wróćmy do Mahmudka, któregośmy zostawili w tak przykrych interesach.

Wiemy z jego pięknej improwizacji, jaki obiecywał sobie nocleg w pierwszej wsi do której miał dojechać, i jak ostrzył apetyt na miskę tłustego płowu; ale niestety, kiedyż się sprawdzają marzenia ludzkie! za całą wieczerzę napolykał świeżego powietrza, a czy nocleg miał wygodny, niechby ten osądził, komu się zdarzyło kiedy w ciasnym worku, jak on, przenocować.

Kiedy go zdjęto z wielbłąda, odzyskał przytomność, i niezadługo uczuł że się podnosi wysoko, wysoko..... Dorozumiewał się w czyjém jest rękę i coto za jeden ten Harun, młodszy brat Naiba, który go nibyto ratował od pogoni; ale dokądże mię oni windują, pomyślał sobie, pewnie że nie do rajy? Może windują na skałę i ztamtąd zepchną jak to robili nasi chanowie z winowajcami... Na tę myśl znowu zemdlał.

O! jakże byłby szczęśliwy, gdyby w tym stanie zupełnej niewiadomości o sobie mógł pozostać, dopókiy go trąba Izrafila nie przebudziła na sąd ostateczny! Ale inaczej było napisano: miał wrócić do zmysłów, dlatego, żeby cierpieć męki gorsze od piekielnych, dlatego, żeby poznać całą ciasnotę swojego worka!

Przyszedłszy powoli do siebie, nieprędko jeszcze upamiętał się gdzie jest i co się z nim dzieje; w długim omdleniu stracił pamięć przeszłych wypadków. Czuł tylko że mu bardzo ciasno, słyszał śmiech i głosy gdzieś daleko w dole, potem i to umilkło, nastąpiła cisza, tajemnicza, grobowa..... Mahmudek myślał, rozmyślał, zgadywał, dlaczego nie może ruszyć ani ręką ani nogą? Co to za głosy pod nim? Przyszło mu do głowy, że zapewne umarł i leży w grobie. Ale nie przypomniał sobie żeby go chowano?



Tymczasem chłop, właściciel burki, worów i wielbłąda, zwijał się po stepie i lamentował. Po długich poszukiwaniach znalazł przecie wielbłąda, daleko od miejsca na którym go był zostawił odchodząc, i jeden wór, ho drugiego wyszukać nie mógł. Polecił go tedy Allahowi, razem z burką która także przepadła, wrócił, zapalił fajkę i już się miał położyć na spoczynek, wtém księżyc wychodzi z za obłoku, oświeca drzewo, i chłop spostrzeżga że jego zguba wisi na gałęzi. Sądził, że to musi być figiel jakiego pastucha z okolicy, włazi na drzewo i dobięra się do worka żeby go spuścić na ziemię; wtém i burkę swoją spostrzeżga z wierzchu, ciekawa rzecz na coby oni wór z mąką okrywali i okręcali sznurem? czy nie włożyli tam jeszcze czego: rozsuwa sznury, wkłada rękę pod burkę i znajduje głowę ludzką.

Tego było dosyć, żeby najśmielszemu z chłopów szyrwańskich krew w żyłach zamrozić! Właściciel worka rzuca się nazad, zeskakuje z gałęzi na gałąź, dopada ziemi i zmyka, wrzeszcząc z całej mocy: Szejtan! Szejtan!

* * *

Syn Abdullę miał się za zgubionego, kiedy uczuł rękę na swojej twarzy, ale przestрах chłopca obudził w nim trochę myśli, a szeleszczące gałęzie, nasunęły mu różne obrazy jeden po drugim, tak, że powoli wyszedł z odurzenia. Przypomniał sobie drzewo, koło którego przejeżdżał, dalej pasł się wielbłąd, przy tym wielbłądzie leżały owe przeklęte worki.... Otóż i jest w domu! Teraz wie wszystko! A ten co go macał po twarzy? Tu już nietrudna była konkluzya, że to nie mógł być kto inny, jak właściciel worka; chciał zapewne dowiedzieć

się co w nim jest, włożył rękę, i nastraszył się, sądząc że namacał Szejtana.

Ta okoliczność wlała nieco otuchy w serce Mahmudkowe. Poznał że nie jest strzeżony od rozbójników, i że niema przyczyny lękać się o siebie, kiedy owszem sam komuś takiego strachu napędził. Zaczął więc wołać że się nazywa Mahmud-Beg, że jest synem Abdułły-Bega i essaulęm szyrwańskim a nie djabłem. Wołał i przedstawiał kilką nawrotami. Potém naprężył się ze wszystkiój siły, chciał wór rozerwać; gdyby był wiedział jaki wątły ma grunt pod sobą, zapewneby tego nie robił, ale jemu się zdawało, że jest na ziemi. Cały oddany mocowaniu się z upartym worem nie uczuł nawet, że pływa po powietrzu jak wahadło zegaru. Widząc że tak niczego nie dokaże, spróbował przynajmniej zrobić okienko w worze, użył zębów i palców i dopiął swego.

Jakże się rozrzewnił, spojrzawszy na boży świat, osrebrzony promieniem nocnym, połyskujący od świeżój rosy, a taki wielki, taki wygodny! Obłoczek płynął gdzieś po podniebiu, po ziemi wietrzyki bujały, a nikt ich nie zatrzymywał i w wór nie pakował! Mahmudek westchnął, był on poetą w téj chwili; zajrzał naturze jój swobody, zatęsknił w worze swoim. Lecz ach! cóż to za przepaść widzi przed sobą, i co za liście naokoło? Poznaje okropną prawdę że wisi na gałęzi, że usiłując rozsadzić wór, sam sobie gotował zgubę! I jeszcze Bóg wie jaka gałąź, może tak cienka że ją najmniejszy powiew wiatru przełamie! Przyczajają się, nie śmie się ruszyć, nie śmie całą pierśią odetchnąć!

Przed rankiem wiatr powstał, z początku mały, potém coraz silniejszy i silniejszy; syn Abdułły rzucany z je-

dnęj strony na drugą, co moment uderzany o gałęzie, w mękach bólu i strachu resztę nocy przepędził.

O świcie nowy przedmiot nawinął się oczom jego: był to jego osiołek szczęśliwszy od swego pana, nawet szczęśliwszy od wiatrów i obłoków; miał oprócz bezwarunkowej swobody, tuż pod nogami obfity zapas pokarmu, téj głównej podniety życia dla osłów i ludzi. Mahmudek z niewymówną tęsknotą patrzył na niego, jak się to zbliża, to oddala, wybierając sobie na śniadanie co pożywniejsze łądygi, i płonął zazdrością. Nakoniec zawołał przeciągłym, płaczliwym, gdzieś aż z pod duszy wydobyłym głosem:

— Allach! alikper Allach! czemużem i ja osłem się nie urodził!

X.

Bała-Beg i jego rodzina.

Koczowisko Czyndar, od napadu Kanly-Haruna, nie wyruszało znad Kazdy-Czaju. Niestawało bydłat pod ciężary, ludzie także dużo ucierpieli; rzadki namiot zachował cało wszystkich swoich mieszkańców, trzeba było zająć się pogrzebem kilku poległych, i ranionym dać pomoc. Te przeszkody nie pozwalały taborowi posuwać się dalej, a z drugiejj strony samo miejsce nęciło do zostania; miało podostatkiem wody i pastwiska niezgorsze, czegoż więcjj trzeba dla nomadów. Bała-Beg postanowił odbyć *ejlach* (letnie koczowanie) nad Kazdy-Czajem.

Ale zaraz po zniknięciu Haruna i jego bandy, ludność czyndarska o niczém nie myślała, jak tylko żeby się postawić w możności odporu przeciwko nowemu napadowi, którego téj jeszcze nocy spodziéwano się. Tłusty Ba-

ła-Beg dawał rozkazy, krzątał się i sapał więcej niż kiedykolwiek w życiu swoim. Kazał rozbić namioty tak gęsto, że jeden o drugi się ocięrał, naokoło wał wysypać, a że kamieni, najwłaściwszego na to materiału nie można było zebrać tyle naprędce, to ich miejsce zastąpił różny sprzęt: bebecchy, kociołki, juki napakowane, konie i osły zabite i t. d. Nie jedna stepowa dama patrzyła na to ze smutkiem, jak ze szczegółów jęj sypialni, pozbijanych nielitościwie w jedną masę, rośnie forteca; nie jedna była przymuszona spędzić noc bezsenną na rozpamiętywaniu wczorajszych wygódek.

Ale ta mała niedogodność nocna, niczém była w porównaniu do tego, co ucierpiały nazajutrz po owym dniu pamiętnym, żony, siostry i córki poległych. Musiały z przenikliwym wrzaskiem powtarzać imię Szach-Hussejna, i bić się w piersi, targać włosy, drapać policzki!

Czy wszystkie przejęte były tak wielką rozpaczą? nie wiadomo, ale zwyczaj każe rozpaczać i koniec. Zwyczaj każe więcej za mężem rozpaczać, jak za ojcem lub bratem; biada wdowie, która po skończonym pogrzebie, nie będzie miała poranionęj twarzy, piersi zsiniałych, od uderzeń i pełnęj garści włosów natarganych: stanie się celem pogardy, ofiarą obmów i szyderstwa. To tęcz żony najpięrszą grały rolę w tęcz tragikomedyi. Łez żadna nie wylewała, bo zwyczaj tego nie wymaga.

Mężczyźni nie rozpaczali, ale zato całą noc przepędzili na czuwaniu i robotach koło warowni, a z rana grzebali ciała i oczyszczali obóz z zabitego bydła. Ku południowi obawa napadu zmniejszyła się znacznie, nad wieczorem znikła zupełnie, zwłaszcza kiedy kilkunastu zbrojnych przybyło na pomoc z Szamachy; koczowisko

Czyndar odzyskało swój rodzinny popęd do niedbalstwa i pewność siebie. Zrujnowano okop, wypędzono bydło na dalsze ugory, ludność zaczęła się rozlać jak mrówki po dészczu. Mężczyźni pozasiadali sobie tu i owdzie na wolném powietrzu i zajęli się ulubioném swoim nierobieniem, a choć żywszej rozmowy nie usłyszałbyś między nimi, z niewielu słów rzucanych przypadkowo na pastwę nieuwadze, z krótkich conceptów co jeszcze krótszy śmiech wywoływały, można było poznać, że pamięć klęski przeszła. Jój ślady zostały na długo, to prawda, ale cóż robić? widać że tak było napisano, a co jest napisano, mówi przysłowie, tego i nożem nie wyśkroćiesz i językiem nie zliziesz. Nikt nie myślał w koczowisku o wczorajszych wypadkach i nikt nie rozprawił, chyba jaki śmiałek odezwał się czasem z utyskiwaniem, że rozbójnicy nie powtórzyli napadu, boby ich można było do reszty wytępić.

Najwięcej rozprawił o tém stary wążacz Mehti, który cały czas potyczki przepędził w betach swojej żony. Inny junak upewniał, że niczego tak bardzo nie pragnie, jak spotkać się jeszcze z tym synem Szejtana, Harunem, oko w oko, tak jak piérwszą razą. Temu ktoś z boku przypominał, jak się we wczorajszej bitwie stoczył w jar, kiedy Kanly-Harun naciérał na niego.

Kobięty nie dzieliły kiejsu. Te co należały z rana do pogrzebu, szwędały się tylko z kąta w kąt, smutne, blade, podrapane, żywe pamiątki nieszczęścia, ale za to inne skoczne, wesolutkie, poiły słodyczą oczy i uszy synów stepu, nie przestając także pracować za nich: one i koło gospodarki się krzątały, i koło robót ręcznych. Małobyś tam znalazł regularnych twarzy z białą cerą, z pieszczonym zarysem, ale dużo oczu czarnych, pełnych, ognistych.

Nie zakrywały się tak jak mieszczki, nie stroniły od mężczyzn, owszem, były ich duszą i życiem. Dziwne bo to stworzenia te kobiety! Prawda że się często uprzykrzają, osobliwie stare, jednakowoż zdaje się, że bez nich świat nie miałby przyjemnego kiejfu, kto wie nawet, czyby na wieki wieków nie zasnął! Muzułmanie koczujący śmieją się z mieszczan, którzy zamknęli swoje żony w haremach, bo, jak mówią, nic to nie pomoże, zdrada przecisnie się przez dziurkę od klucza. Przytém mniemają, że zamknięcie kobiet sprowadza mieszczanom dwie straty: pozbawieni są ich pomocy w robotach, i nigdzie za ścianami swoich domów nie słyszą ich pustej paplaniny, co tak rozwesela i śmieszy. Kobiety w koczowiskach, od obcych tylko powinny stronić; jak się która spotka z mężczyzną nienależącym do koczowiska, a szczególnie z giaurem, musi odwrócić się od niego, przysiąc do ziemi, ukryć głowę między kolana i tak przeczekać, aż nim dobrze nie odejdzie. Stare i brzydkie zachowują ten zwyczaj jak najświętsze prawo, co do młodych, wiemy z doświadczenia, że niema takiej kobiety, któraby przy pierwszej lepszej okazji nie przymiliła się cudzoziemcowi i nie pokazała mu ząbków.

Ale dosyć tych szczegółów. Przydamy tylko, że powierchowność taboru, nic pociągającego w sobie nie miała, nawet dla miłośników patryarchalnej prostoty. Ludzie podobni do Faunów greckich, kobiety w pozszywanych bez ładu różnej barwy łachmanach, tu i owdzie roje dzieciaków obojęd płci, bosych, w krótkich po pas koszulach i bez spodeniek, nakoniec szałas, te przybytki nędzy przestającej na swoim, czarne, okopcone, oto jest, co na pierwszy rzut oka daje się postrzegać, jak w czyndarskim, tak i w innych koczowiskach.

Trzeba jednak z tego, co tu w ogóle powiedziano, zrobić wyjątek. Jeden namiot, stojący w pewnym oddaleniu, celował przed innemi i rozmiarem swoim, i schludniejszą powierzchownością, a wewnątrz miał dosyć porządku, nawet, według miejscowych środków, przepychu. Było to mieszkanie Bała-Bega, jego żony i dzieci. W członkach téj rodziny, wszystko, od pantofli do głów, napiętnowane było jakąś wyższością, co zdradzała jéj arystokratyczne położenie względem reszty. Sam pękaty Bała-Beg, którego fizycznie na trzech zwyczajnych begów możnaby łatwo rozdzielić, był niby punktem stałym, osią całego koczowiska; każdy, najmniej trafny postrzegacz, od razu mógł poznać, że ten brzuch straszny jak beczka Danaid, te rumiane policzki jaśniejące zdrowiem i wyrazem szczęśliwéj obojętności, nie mogą należeć do kogo innego, jak do człowieka, dla którego jedyném zadaniem życia, jest pożywać i trawić dary boże. Jego połowica nazywała się Fatima-Chanym. Była osoba chuda, z dużym garbatym nosem, z oczami wypukłemi, niby gwałtem proszącemi się na wierzch, pomarszczona, zgoła brzydka jak większa część starych Muzulmanek. Ani pstry ubiór, jaki zwykła nosić, złożony z błękitnej w pasy katanki, pasowéj koszuli i żółtych szarawarów, ani policzki bogato umalowane, ani mnóstwo muszek po twarzy, nie mogły zastąpić tych powabów, które zacna Chanym utraciła razem z wiosną swoją. Wszystkich to dziwiło, że Bała-Beg nie bierze sobie innéj żony, albo nawet dwóch innych, przy takiej zamożności i środkach wykarmienia; ale Bała-Beg w powtórne związki nie wchodził przez lenistwo, a stare cierpiał z nałogu. Przymięt był jeszcze silny węzeł, który łączył to stadło i mógł służyć za rękojmnię, że się nieroz-

złączy do grobu, — najśłodszy węzeł rodzicielskich uczuć; mieli kilkoro dzieci, między któremi piętnastoletnia Nizza, owoc ich pierwszych zapałów, zwracała na siebie oczy i hołdy wszystkich stepowych Amadysów z okolic. Jeden z nich, jak widać człowiek dobrego tonu, nie próżny światowości perskiej, nazwał Nizzę cukierkiem swojego serca; inny jeszcze lepiej, bo pestką w jagodzie duszy swojej: napróżno jednak kołatali o jej rękę, ani ten pestki, ani tamten cukierka nie dostał. Gdyby chodziło tylko o zezwolenie Bała-Bega, Nizza mogłaby już dotąd dwa razy wyjść za mąż i dwa razy owdowieć; ale Fatyna-Chanym, dama miejskiego pochodzenia, ułożyła sobie nie prędzej wydać córkę, aż kiedy się zjawi jaki pretendent z miasta. Miała zaś przewagę nad mężem, więc się stawało według jej woli.

Nawiedziny zbójców większą zrzędziły rewolucją w jedném sercu Nizy, niż w całym koczowisku. Odmieniły się obejście jej i humor; zauważali to wszyscy i każdy tłumaczył jak umiał, ale prawdy nikt podobno nie doszedł. Nawet stroje Nizy, nigdy nie były tak świetne i tak starannie ułożone, jak nazajutrz po tym wypadku. Kibić jej wysmukłą jak derbencka topola, obcisłał parczowy archałuch ze złotą lamówką naokoło, u piersi wycięty, tak, że dwa pączki białej róży i jedna koszulka z białego atlasu, zakrywała ją od motyli — oczu ludzkich. Obłoczek ciemnej gazy, upstrzonej w gwiazdeczki ze srebra, od warkocza spadał na ramiona, szyję zdobiły dwa sznurki dukatów. Poczciwa matka nie posiadała się z radości patrząc na to; chciała jeszcze namówić Nizzę do różu i bielideł.

— Pozwól, mówiła, niech cię pomaluję, czoło bielidłem, policzki i koniec nosa czerwoną farbą, brwi połą-

czę nad nosem, a z wierzchu pododają błękitne listeczki, żeby z nich na czoło wychodziły niby z girlandy; w rzęsy napuszczę *surmy*, to oczy lepiej się zaiskrzą, gdzie niegdzie muszki ponakalam, oj to toż będziesz śliczna! jak te woskowe Chanym, co to jakiś Freng pokazywał w Szamasze za pieniądze, szesnaście lat temu.... pozwól!

— Nie chcę, nie chcę, powtarzało uparte dziecko.

— No, to i nie trzeba tymczasem. Ale przyjdzie do tego, że będziesz musiała malować się, bo w mieście inaczej nie można, a ja cię wydam za mąż do miasta, Nizzo, chcę żebyś była szczęśliwą tak jak ja byłam za młodu. Urodziłam się i wyrosłam w Szamasze, a nie znałam ani jednej ulicy szamachańskiej. Nikt mię nigdy nie widział za wrotami Saralu; chodzę, bywało, od zwierciadła do zwierciadła, to coś nowego przyczepię do sukien, to nową muszkę wykolę na twarzy, to włosy poprawię, i o nic nie dbam. Ktoby mi był wtenczas przepowiedział, że kiedyś mam wałęsać się, chodzić wolno po świecie z odkrytą twarzą, jak ostatnia chłopka!...

Wychowanka stepów nie zrozumiała miejskiego szczęścia, i nie zazdrościła matce tych wspomnień; podług jej sposobu widzenia, ściany haremu były bardzo smutnym pobytem. Nie robiła jednak zarzutów, milczała ciągle.

Co też się z Nizzą zrobiło od wczorajszego wypadku! Przedtém, wesolutka i zwinna jak młoda sarneczka, a gadatliwa jak.... jak młoda dziewczyna, napełniała sobą całe koczowisko, a teraz, z kąd u niej ten statek, gdzie jej figlarny uśmiech, swawola oczu, gdzie wyraz twarzy zawsze pogodny, jasny, szczęśliwy jak niebo? O czém ona teraz bez przerwy duma tak poważnie, czy nie o losach Szyrwanu? Dlaczego Nizza nie przewraca koziółków z małemi braciszkami, nie harcuje z nimi na capie?

Wszystko dlatego, żeby pięknych sukien nie pomic, tak sobie tłumaczyła Fatyma. Ojciec zaś uważał, że Nizza bezustanku wypatruje czegoś na górach, a zawsze w jednej stronie. Nie był on z rzędu tych ludzi, co to lubią każdą rzecz odnieść do jakiegoś początku, na ten raz jednak zrobił wniosek, że lękliwa dziewczyna dotąd jeszcze nie ochłonęła z przestachu, i patrzy czy znowu rozbójnicy nie nadszkodzą.

— Nie bój się, moja dziewczko, my im na wieczne czasy dali pamiątkę. Teraz żaden nie będzie śmiał o dwa agacze zbliżyć się do nas.

Tak perswadował Bała-Beg, ale Nizza nie wiedziała sama, czy pragnie, czy się lęka nowego napadu. Domyślała się ona zapewne, dlaczego to jój serduszko bije tak żwawo; może nawet tajemnie wyglądała gościa, bo cóżby znaczyły te stroje? ale gdyby nagle pożądany gość ukazał się przed nią, tak piękny i straszny jak pierwszą razą, podobnoby ona nie była ostatnią do ucieczki, i chyba z najgłębszej kryjówki namiotu, przez szparę ośmieliłaby się spojrzeć na niego. Wczoraj trzymała go za rękę, patrzyła mu w oczy, wtenczas co innego, jój chodziło o życie ojca, a teraz.... o, niech już nigdy nie przychodzi, to jakiś zły człowiek....

Więc na cóż ta parca ze złotemi pługami, i ta powiewna obsłonka, i ten atlas srebrzysty? Skinęłaś ręką, Nizzo, i krwawy gość ustąpił z namiotu, dlaczegoż nie skiniesz żeby i z serca ustąpił?

XI.

Warszawianin. Trudna sprawa z djabelem.

Bała-Beg wstał o świcie podług zwyczaju. Kiedy wyszedł z namiotu, jeden z nukierów zbliżył się do niego i powiedział oddawszy zwyczajny ukłon:

— Ago, twój sługa dziwne rzeczy widział téj nocy.

— A ?

— Twój sługa widział djabła.

— Kłamiesz, jész glinę....

— Co ja za pies, żebym kłamał przed moim panem. Ale źle mówię żem widział, ręką go namacałem.

Nukier opowiedział ze szczegółami, jak wracając z Szamachy chciał zanoćować na połowie drogi, więc puścił wielbłąda na paszę, a sam poszedł po wodę, jak przyszedłszy nie znalazł jednego ze swoich worów, gdzie go potem odszukał i jak się przekonał, że w nim djabeł obrał sobie mieszkanie.

— Bach, bach! (patrzaj, patrzaj), to go trzeba było wyrzucić, a wór odwiązać.

— Djabła wyrzucić!

— A tak, wyrzucić na ziemię żeby sobie wszystkie kości połamał. Niechby się dowiedział syn piekła, jak to kraść kosze nukierom Bała-Bega.

— Ależ to djabeł, Ago. Gdybym go był sprobował wyrzucić, tobym swojemi kośćiami za to zapłacił.

— Ej, tchórz z ciebie jak widzę. No, kiedy się sam boisz, to weź z sobą kilku ludzi i zrób jak powiedziałem. Gdyby się nie dawał, to drzewo podpalić, zobaczymy jak sobie podoba w płomieniach. Niechaj i mołła idzie z wami, on, co o djabłach więcej wie jak ja o swoim rodzonym bracie, da i temu rady.

Wysapawszy się po takiem rozporządzeniu, patriarchy Czynaru odbył krótki namaz nad rzeką, potem zasiadł sobie na grubo wyścielonych kobiercach u wejścia do swego namiotu. Niebawem i cała rodzina przyłączyła się do niego, bo wieść o niebezpiecznej wyprawie na diabła, gruchnęła zaraz po całym taborze i wszystkich pobudziła. Słońce tylko co weszło, mgła z dolin piętrząc się coraz dalej, kłębami zalegała wąwozy, na bokach gór rozstrzępiła się jak kaszemirskie runo. Wierzchołki sterczały jeszcze jakiś czas, potem znikły, został tylko jeden wyższy od innych, cały w purpurze od słonecznych promieni, i bujał wśród tumanów jak korab' nad potopem. Na nim wisiała jakaś plamka czarna, ruchoma. Było to daleko, dalej niż oko zwyczajne dosięgnąć może, nikt też jęj nie widział oprócz Nizzy. Ruchoma plamka nie mogła mieć żadnych zarysów w takiem oddaleniu; może to był orzeł albo zwierzę drapieżne, jednak Nizza spostrzegłszy ją, dostała żywych rumieńców. Ona przeczuciem patrzała.

Plamki nie stało, szczyt góry osamotniał i wkrótce nakrył się tumanem. Ale w tęg samej stronie dało się słyszeć echo wystrzału, potem kilku razem. Nizza pobladła.

— Co tobie takiego?

— Tam strzelają, odpowiedziała niespokojnie.

— Ej, wstydz się być taką przepiorką. Ani znać po tobie żeś moje dziecko. Cóż z tego że strzelają, zapewne nasi zwierza gdzie wytropili.

Ledwie tego Bała-Beg domówił, spostrzegł sam, że jakieś niewyraźne postaci przez tuman się przedziérają, i pędzą prosto na koczowisko. Raz, dwa, trzy, trzech

jeźdźców. Do broni! zagrzmiął i z lekkością tancerza drapnął w głąb' szałaszu.

Wkrótce jednak dano mu znać, że jeźdźcy nie mają złych zamiarów, o czém sami uprzedzili machając zdaleka czapkami. W jednym z mniemanych najeźdźników, Bała-Beg poznał rodzzonego brata, dwaj inni byli jego nukieri.

— Zbliżaliśmy się już, opowiadał Kyzyl-Beg po skończonych przywitaniach, do téj wysokości góry, gdzie się wąwóz zakręca i na równinę wychodzi, patrzymy, aż z wierzchołka zjeżdża do nas jakiś zuch na koniu; podjechawszy pozdrawia i zapytuje kto ja taki? Ledwie wymówił swoje imię, syn grzechu chwytą za pistolet, pstryk, nie spaliło mu na panewce. To szczęście, bo byłby mię na miejscu położył.

— Cóż się z nim stało? zapytała żywo Nizza.

— Z nim? z trzech kul cośmy mu w odpowiedzi posłali, musiała choć jedna do serca się dopytać, bo się zachwiał i nie mógł już drugiego pistoletu dobyć.

— Ja potem widziałem najwyraźniej, że koń pobiegł bez jeźdźca, odezwał się jeden z nukierów.

— Dziękiż Bogu! zawołał Bała-Beg, a jak ten rabuś wyglądał?

— Z twarzy młody i piękny, zbroja cała w srebrze, koń karabadzkiej rasy.

Z tego opisanja wszyscy zaraz poznali, że to był sam Kanly-Harun, dusza rozbojów, postrach i nieszczęście okolic. Trudno sobie wystawić, jakie ukontentowanie wieść o jego śmierci wzbudziła w całym koczowisku. Mężczyźni powtarzali *Alla szekiur* (dzięki Bogu). Baby biegały od namiotu do namiotu, udzielając sobie radosnej nowinki, nie było bahora coby nie skakał i nie klaskał

w ręce. Jedno tylko serce nie dzieliło powszechnej radości.

Kiedy to ucichło, Kyzyl-Beg opowiadał rodzinie swoje przygody warszawskie, jak się bawił, jak wszystkich zachwycał rozumem i udatnością swoją, ile miał kochanek między żonami Agów, Chanów i Sultanów tamtejszych, i jak wyjeżdżając ledwie się od nich odpędził; chciały bowiem jechać z nim i zamieszkać w taborze Bała-Bega. Potém kazał rozpakować juki, i rozdał gościńce. Bała-Beg otrzymał zegarek z kukułką, pierścień grający i kilka szali na kuszaki; Nizza zdjęła z szyi dukaty, a natomiast zawiesiła granatki i korale. Fatyma-Chanym między innymi drobiazgami otrzymała słoiczek rózu; ten dar kosztowny pogodził ją z Polkami, o których przedtem niebardzo pochlebne miała wyobrażenie.

— Widzę, rzekła, że i te poganki mają rozum, kiedy to wymyśliły.

I o dziatwie nie zapomniano, zgoła, każde z rodzeństwa miało udział w jego darach.

* * *

Trochę z boku od drogi po której Kyzyl-Beg nadszedł, kilku chłopów na niezmiernie długich postronkach wlekli za sobą ogromne drzewo. Jakże się zdumiał Bała-Beg, poznawszy między gałęziami worek, zapewne ten sam, co o nim była mowa przed kilką godzinami.

— Aj wy głupcy, krzyknął do zbliżającego się orszaku, kto wam kazał sprowadzać go tutaj? Jeszcze mi tego nie stawało do moich kłopotów, żebym się z djablami za łby miał wodzić. Precz z nim natychmiast. Mówiłem strącić na ziemię, albo podpalić.

— Bylibyśmy zrobili jak kazałeś, odpowiedział skrobiąc się w głowę właściciel worka, ale Kerim-Mulla nie pozwolił, bo to jakiś prawowierny djabeł.

— Jakto prawowierny, wy sobie drwicie z mojej brody czy co?

— Słyszeliśmy jak wzywał Allaha, narzekając że nie jest osłem.

— Co ty nam powiesz mollo?

— Ja mówię, odezwał się molła wystąpiwszy naprzód, że w jednym Bogu jest siła i mądrość, i wiedza skrytych rzeczy. Nie tajno jemu co się kryje w łonie matki i co się ma narodzić. On stworzył siedm nieb i siedm ziem. On urównoważył dwa morza, i oddzielił przegrodą z ziemi, żeby się nie mieszały. On jest panem. Muhamed prorokiem jego, Muhamed pieczęcią proroków.

— Dajże nam pokój z tą arabszczyzną, rzekł Kyzyl-Beg, my chcemy się dowiedzieć o tym djable czy osle, czy jak go tam uważasz.

— Co uszy moje słyszały, to rozum mój rozumiał. Ja nie prosty molła, ja się djablów nie lękam. Po narodzeniu Muhameda, potęga ich upadła. Jeden tylko przyleciał był do nieba i podsłuchał rozmowę między aniołami, ale Allah rzucił na niego ogniste pociski. Nie masz Allahów nad jednego Allaha. Umié on rzucać pociski z ognia bez dymu i z dymu bez ognia. Skończyłem.

— Ale cóż twój rozum zrozumiał?

— Że ten co siedzi w worku jest tylko potępieńcem a nie djablem; prawdziwy zaś ojciec grzechu, w postaci osła, pasł się niby, nie opodal od niego. Tamten skazany będąc na męki wieczne, zazdrościł losowi swojego prześladowcy; taki jest tajemniczy sens wyrazów słyszanych z worka: „o daczegoż ja nie osłem jestem!” Kto przeliczył głoski w nieomylnój księdze, przed tym żadna zagadka nie ukryje się.

— Po cóż ci było wtrącać się w te djable interesa?

— Poszedłem z rozkazu Bała-Bega, żeby drzewo, na którym wór wisiał, podpalić. Ale tajemny głos proroka przemówił do mnie: Kerim, molło, wydrzyj szejtaniwi jego ofiarę, każ podciąć to drzewo jak najostrożniej, tak, żeby pochyliło się zwolna i gałęzi z worem nie uderzyło o ziemię; potem każesz zaciągnąć to wszystko do taboru i oddasz pod rozporządzenie Bała-Bega, mojego sługi. Tak się też stało. Kiedy drzewo podcinali, ja w dogodnym zaciszu o kilkaset kroków odmawiałem modlitwy i wzywałem proroka. Skutek uwieńczył pobożne chęci. Szatan, osioł, nie mógł się nam sprzeciwić, bośmy byli silni pomocą Muhameda, strzygł tylko uszami ze złości, i z oczu jego całe piekło buchało.

Poczytujemy sobie za obowiązek uprzedzić czytelnika, że prorok bynajmniej się nie mieszał do tej sprawy, i nie myślał dyktować molle jak ma postąpić z worem. Molła tchórzył, żeby djabeł nie wyskoczył ze swego ukrycia i nie obrócił zemsty na niego, jak go zrzucą na ziemię, albo podpalą; chciał odpowiedzialność za wszystko oddalić od siebie a skierować na Bała-Bega, i w tym celu, kazał podcięte drzewo razem z worem na długich sznurach przyciągnąć do taboru.

— Dajcieno pokój tym bredniom, przerwał Kyzyl-Beg zniecierpliwiony, lepiej zobaczymy co tam jest. Hej, wy, odwiążcie postronki.

Od samego początku tej sceny, większa część ludności czyndarskiej znikła, i tylko z mnóstwa nosów i oczu wyglądających przez dziury namiotów, można było poznać że w ziemię nie zapadła. Rozkaz Kyzyl-Bega i resztę wypłoszył, tak, że ci tylko co przyciągnęli drzewo, jako więcej już oswojeni z niebezpieczeństwem, pozostali.

stali na placu, ale i oni nie śpieszyli z wykucaniem rozkazu; każdy spojrział tylko na kosz i poskrobał się w głowę.

— Daléjże do roboty, słyszeliście com powiedział? Molło, ty powinienes mieć więcéj odwagi, przecież ty z Allahem i prorokiem masz dobre zachowanie. Weź kinzał i poobcinaj postronki.

— A kto modlić się będzie? zarzucił przestraszony molła, i odszedł, odmawiając w głos: *La elah ella Allah, u Muhamed rasul Allah*. Sąto słowa skuteczne przeciw sile złego ducha.

Kyzył-Begowi nie zostawało, jak samemu wystąpić i zabrać się do roboty, ale i on nie więcéj od innych miał odwagi. Kyzył-Beg był ateistą w całym znaczeniu tego wyrazu; długoletnie obcowanie z gjaurami, zrobiło go obojętnym na przepisy koranu, przestał wierzyć w Allaha i jego proroka, w modlitwy, jałmużny, post Ramadanu i pielgrzymkę do Mekki, jednak djabeł zachował moc swoją nad jego umysłem. Jestto choroba wspólna wszystkim niedowiarkom, że łatwiej im przychodzi wyrzec się tego co istotę wiary stanowi, niż duchów ciemności i ich podziemnego orszaku. Wszakże sam Wolter, ten wielki mistrz wszystkich *mocnych głów* naszego planety, ku końcowi życia miał miéwać wizyty z piekła, możnaż mieć za złe Kyzył-Begowi, że się nie ośmielił przystąpić do worka?

Mahmudek znajdował się w niebezpieczeństwie zostania w worku aż do końca świata. Nieborak ani wątpił, że jest w ręku rozbójników; milczał więc od samego początku swojej podróży, pełen najokropniejszej obawy i niepewności. Z głosów, których słyszał takie straszne mnóstwo przed sobą i za sobą, niczego dowiedziéć

się nie mógł, bo w drodze szelest gałęzi trących się o ziemię głużył wyrazy, a potem rozmawiający stali w znaczném oddaleniu.

Szczęściem, Kyzyl-Beg wynalazł plan łatwiejszy do wykonania, przez co i synowi Abdudy oszczędził dłuższej męczarni, i sam wyszedł zwycięzko ze swojej roli, bo na niego patrzano jako na jedyną osobę zdolną rozwiązać ten ciekawy dramat.

— Włźcie, rzekł, na ten przyskałek, wzięwszy z sobą dwa końce postronków, i windujcie worek do góry; jak się podniesie do pewnej wysokości, dosyć będzie wstrząsnąć parę razy, żeby ten djabeł, czy kto w nim jest, wypchnięty własnym swoim ciężarem, na ziemię wyleciał. Czyście mię tylko zrozumieli, gliniane głowy? No, nie zwlekać.

Jak powiedział, tak zrobiono. Skała choć nie wysoka ale stroma i na wierzchołku dużemi kamieniami okryta, dawała ciągnącym sznury jakąś rękojmią bezpieczeństwa od piekielnej siły, przynajmniej na pierwszym razie.

Po pierwszym zaraz wstrząśnieniu, rogoża i tak już znacznie osłabiona przez tarcie się o ziemię, zaczęła pękać; na spodzie zrobiła się dziura, przez którą wypadły Mahmudkowe pantofle. Cisza, śmiertelna cisza zalegała koczowisko, we wszystkich piersiach, wzdętych oczekiwaniem i trwogą, oddech nawet zaniemiał, i nie dziw: za jedną chwilę miał się ukazać rogaty nieprzyjaciel ludzkości....

Po drugim wstrząśnieniu, Mahmudek po pas wyzwolony z worka, zaczął nogami w powietrzu wypisywać różne kabalistyczne cyfry; na ten widok szmer powstał

w namiotach, ale głuchy jeszcze i stłumiony, niby zpod ziemi.

Po trzeciém, syn Abdullę wyskoczył już cały. O, jakiż go hałas powitał! Kilkaset głosów grubych i piskliwych, męzkie Allah! i kobiéce *aj budzi!* zlały się w jedną tajemniczą nutę przestachu, psy odpowiedziały jój choralném wyciem i szczekaniem. Chłopi; stojący na skale, rzuciwszy sznury jéli co tchu uciekać.

Wprawdzie mniemany djabeł stuknął się o ziemię tą częścią ciała, której rany nie bywają śmiertelne; jednakże z jednej strony ból, z drugiej odurzenie i przestach, pozabawiły go przytomności.

— To nie djabeł, zawołał Kzyż-Beg, patrzcie jaki biały!

— Jaki biały! rozeszło się po taborze i ludność zaczęła wylazić ze swoich kryjówek.

— E, i rogów nie ma.

— I rogów nie ma, powtórzyły znowu różne głosy.

— To trup, nie rusza się i nie krzyczy, zauważali niektórzy.

— Tak, teraz trup, rzekł Kzyż-Beg opatrując już zblizka przedmiot domysłów, ale byłby żył jeszcze długo, gdyby nie wasze głupie zachody. O wy barany, synowie i wnucy baranów, zabiliście człowieka! Jeszcze oddycha. Hej, wody, wodą go polać.

Jedni przed drugimi na wyścigi przybieżeli z cebraми. Polany obficie Mahmudek otworzył oczy.

— No, dosyć już dosyć, ożył dzięki Bogu. Teraz porywajcie z niego te łachmany.

Posadzono chorego na murawie, oparłszy plecami o kamień. Przyszedł hakim (lekarz), obłożył mu stłuczone części ciała gorącym ciastem, a w gardło wpakował

ogromną jak kartacz pigułkę. Zaczęły się sypać zewsząd pytania, kto on taki, z kąd, jak się nazywa, ale Mahmudek sam nic nie wiedział o tém. Wpatrywał się to w jedną to w drugą z otaczających twarzy, z wyrazem największego zadziwienia, a na każdej długo i nieruchomie wzrok zatrzymywał, i milczał.

— On niemy i głuchy, zapewniał lekarz.

— A pewnie głupi, wtrącił ktoś inny.

— Zobaczymy, powiedział Kyzyl-Beg. Może ja potrafię przy pomocy Allaha przywrócić mu słuch, mowę i rozum. Hej nukieri, dostać mi z juków czworogranną flaszę.

Czworogranna flaszka mieściła w sobie płyn wyklęty od proroka. Jak go tylko zakosztował syn Abdully, uchwycił flaszę oburącz i byłby do dna wychylił, gdyby mu pozwolono.

— Dysyć tymczasem. Teraz powiedz, co ty za jeden?

— Dobra wódka, wyśmienita! te były pierwsze słowa Mahmudka.

— A, odzyskałeś mowę. Powiedzże jak się nazywasz? to dam więcej.

— Jak się nazywam? Mahmudek. Dajże wódki.

— Na, ale się nie upij. Oho, ty widzę ciągniesz jak pompa. Hola, hola, zostaw na potém.

— Nazywam się Mahmud-Beg, rzekł po drugim haucście Mahmudek, wstając. Przewyborna, czysta kizlarka. Jestem essa... Ale gdziez mój papier? O proroku! gdzie mój papier?

— Czy nie ten, zapytał jeden z gawiedzi, był w spodniach twoich.

— A, ten sam. Aj, aj, cały mokry i podarty! Patrzajcie kto ma oczy.

Kyzył-Beg wydobył list z koperty, i przebiegłszy oczami pierwszą stronicę, dalej czytał w głos co następuje:

„Obiecałeś mi udzielić winogradu, dobrze zachowanego przez zimę, posyłam poń dwa osły, jednego na drugim; możesz oba objuczyć, albo jednego, który ci się wyda mocniejszy do niesienia ciężaru. Zostawiam także na twój wybór, który z nich ma z powrotem drugiego pilnować, bo oba równie głupi.”

Zamiast podpisu pieczęć szamachańskiego naiba.

— Pieczęć naiba! zawołał wzięwszy się pompatycznie pod boki Mahmudek.

— Mniejsza o to, rzekł Kyzył-Beg oddając mu list, mnie się zdaje że ja ciebie kiedyś widziałem, Mahmudku czy Mahmud-Begu. Na, wypij resztę, to ci się lepiej język rozplącze.

— Ja jestem, zaczął syn wymiatacza śmieci, trzęsąc wypróżnioną flaszą, ja jestem Mahmud-Beg, syn Abdułły-Bega, najlepszy essaułi pierwszy faworyt naiba, a ten pies jest Ali-Aga a nie Mahmud-Beg.

— Ali-Aga? czy nie ten co u mnie kupił dom przed wojną perską?

— U ciebie? To ja kupiłem, to mój dom a nie Ali-Agi. Śmiesz temu zaprzeczyć? Co? Kto powie że Ali-Aga jest Mahmud-Begiem a nie Ali-Agą, temu łeb tą flaszą roztrzaskam i skalam mogiłę jego pradziadów.

— Oho, tu się coś ciekawego odkryje.

Skutki czworogranniej flaszki coraz widoczniejsze się stawały. Mahmudek przestał odpowiadać na zapytania, złorzeczył Ali-Adze, wyśpiewywał różne trele i skakał ile pozwalały nogi, które niemniej od głowy uczuły wpływ lekarstwa. Potem zażądał płowu i czureków, ale idąc do szałas, gdzie go miano ugościć, potoczył się, upadł na ziemię i w ten moment zasnął.

XII.

Potomek Szachów.

Ali-Adze nie przychodziło do głowy, żeby zasadzka na Kyzyl-Bega mogła się nie udać. Mądry potomek Szachów, po tylu trafnie obmyślanych i szczęśliwie dokonanych przedsięwzięciach, tą razą trochę zanadto swojej gwiazdzie zaufał. Upatrzył zwierzynę, wziął na cel, wypuścił brata jak strzałę z łuku i podobny do myśliwego któremu setne tryumfy nadały niezachwianą pewność siebie, widział w myśli krew i śmiertelne drganie swojej ofiary. Układał już sobie, jak po usunięciu tego jednego cienia który mu tak przykrym sposobem przyszłość zasłaniał, innych się pozbyć? Do liczby zaś innych należeli ci wszyscy, co albo wiedzieli o jego łotrswach, albo czynny udział w nich mieli, mianowicie derwisz, nukierzy... a brat? ten będzie tymczasem narzędziem przeciwko tamtym, a potem kolój i do niego dojdzie. Zostanie jedna jeszcze istota, na tych ruinach zostanie jeden obelisk, pomnik całej smutnej przeszłości, ulany ze zbrodni i fałszu, a uzłocony urodą niebianek. Ale piękny obelisk ma serce żyjące, w które może się wcisnąć zgryzota sumienia, ma nadto język niewieści. Czy nie lepiej będzie jeżeli i on legnie, jeżeli ta ostatnia pochodnia, zdolna prawdę wyświecić, zgaśnie także na wieki wieków? Co za szczęście, nie mieć kogo się lękać, pewnym być siebie, trawić życie w niedbałej spokojności, głuchej i ciemnej jak noc? Ali spojrział na Malekę. Śliczna jak palma wychowanka szyrwańskich ogrodów, oczy ma do gwiazd majowych podobne, a łono, białe, pełne, wydymające się lubieżnie, do morskiej piany, co się pięści wybrzeżem.

Ale gdzie idzie o dokonanie wielkiego zamiaru, czy się godzi powaby kobięce kłaść na szali z potrzebą? Potrzeba długo potrwa, a te powaby..... Teraz nawet, połysk tych oczu, nie jest taki, jak był przed kilką latami, widoczny zmarszczek! Tak jest Maleko, jużś stara, ten jeden ledwie dostrzeżony zarys daje świadectwo przeciwko tobie, sprawa twoja, o życie lub śmierć, wzięta dziś pod rozbiór, a lekkiego wyroku spodziewać się nie możesz, bo sędzią twoim przesył. Umrzesz Maleko!

Na tych rozmyślaniach, Ali-Aga spędził resztę nocy po rozstaniu się z bratem. Już poranek zazierał w stubarwne okienka jego sypialni, już mołlowie z meczetów nucili swoje *alikhper Allah*, budząc do modlitwy tych co spali, kiedy znużone jego powieki zaczęły się kleić. Po takich marzeniach na jawie, jakież sny mogły nastąpić? Zdawało się Ali-Adze, że widzi przed sobą wzgórek, nie wysoki, ale skalisty i stromy, i że na tym wzgórku znajduje się jakiś przedmiot niewiadomy a ciekawy, rozwiązanie zagadki całego jego życia. Zaczął się gramolić, a kiedy doścignął wierzchołka, wszystek we krwi i w pocie, pierwsza twarz co go tam z *selam-alejkium* spotkała, była złowróżba twarz Kyzyl-Bega. Jakto, zawołał przejęty zadziwieniem i trwogą, czy ty żyjesz jeszcze Kyzyl-Begu? Żyje, odpowiedział tamten. Prorok zachował mię dotąd, zebym cię na tém miejscu powitał, i zebym ci przewodniczył w dalszej drodze twojej. Chodź ze mną, pokażę ci twoje nowe mieszkanie, przestronne jest, niezakryte od słońca, niezamknięte od wolnego powietrza. Otośmy przyszli. Czy widzisz? Ali-Aga zobaczył dwa wysokie słupy, złączone wgórze poprzeczną belką, na której wisiał postronek długi, i u końca w kółko zwinięty.

Słupy i postronek przetwarzając się w coraz dziwniejsze obrazy, znikły, a z nimi Kyzyl-Beg i cały świat urojeń.

Ale przed otwarciem powiek, Ali miał inne widzenie. Śniło mu się, że leży w jakimś ciasnym, ciemnym, duszącym ukryciu. Ratunku! zawołał poznawszy że jest w grobie; niktze mi nie da ratunku? niktze nie przyjdzie żeby przynajmniej twarz moję ku stronie Mekki obrócił? O! gdzież są moje bogactwa. Bogactwa przeszły do prawego posiadacza, odpowiedział wchodząc munkir, (anioł śmierci, z postaci i ubioru zupełnie podobny do derwisha Mustafy), teraz nic nie masz, oprócz tych łachmanów co okrywają twoje grzeszne ciało, nim cię pożą gady. Tymczasem powiedz mi *jaki był twój Bóg, twój prorok, twoja wiara?* Milczysz? Złoto było Bogiem twoim, rachuba zysku prorokiem, a wiarą szalbierstwo; wszak prawda? Prawda, odpowiedział grzesznik. Odbierze nagrodę. To rzekłszy, sędzia umarłych odwinął rękę, miał mu dać tęgi policzek. Ali-Aga otworzył oczy.

O dwa kroki od niego stała też sama postać.

— Czy ja śpię jeszcze? rzekł przecierając sobie oczy, o, jaki ciężki sen!

— Nigdy Ormianin nie czuwał lepiej licząc pieniądze, odpowiedział derwisz.

— A, to nasz Mustafa. No, mów jak wam poszło?

— Pojechało na koniu *dżanym*, i to galopem.

— Więc dobrze. Bogu dzięki.....

— Nie dziękuj póki nie dostaniesz. Pojechało twoje nieszczęście.

— Zmiłuj się mów jaśniej.

— Mówię ci, że twoje nieszczęście w postaci Kyzyl-Bega, pojechało całe i nieuszkodzone tam, gdzie zamierzyło sobie jechać, a my z Harun-Agą zjedliśmy błoto.

— Ha, oblicze proroka odwróciło się na ten raz odemnie, wiernego sługi. Ale co się dziś nie udało, to jutro może udać, mój Harun znajdzie sposoby. Wiész co, trzeba mu powiedzieć...

— Ale.....

— Słuchajże! trzeba mu powiedzieć, że Kyzyl-Beg pojechał do koczowiska w zamiarze ożenienia się z tą jego kochanką, jak się ona nazywa? to chłopak góry poprzewraca, żeby go dostać i zgładzić. Co, jak myślisz?

— Myślę że łatwiej jest poprzewracać góry, niż Harun-Adze powiedzieć teraz coś takiego, coby zrozumiał. Leży bez pamięci z ogromną raną w boku.

— Otóż masz! Może śmiertelna rana? Czy niéma już środków?

— Środki sąto jaja wiezione na bazar. Jeżeli się nie potłuką w drodze, to się przedadzą.

— Mustafa, moja duszo, niech nie umiera! Och, jeszcze nie teraz! trzeba go wyleczyć, trzeba zwołać wszystkich lekarzy!....

— Wszystkich? jednego będzie dosyć, jeżeli chcesz braciszka z łoża boleści przenieść na szubienicę. Ale powiadasz że jeszcze nie teraz, to jest, że ci jeszcze potrzebny?

— Prawda, lekarz mógłby wydać.

— Właśnie. Więc jak nie będzie już potrzebny, to niech sobie umiera?

Derwiszowi przyszło na uwagę jego własne położenie. Dopóki wścibstwem swoim pomaga Ali-Adze, póty jest w łasce u niego, ale potem kiedy Ali wydobędzie się z przykrego położenia, czy nie zechce obrócić oręza przeciw człowiekowi, który wie o wszystkiém i wszystko odkryć może?

Nie, derwisza nie w ciemię bito, da on sobie rady.

— Wiész, że ja się znam na lekarstwach lepiej, niż wszystkie wasze hakimy. Trzeba ich tylko dostać, a dostać nie można bez pieniędzy.

— Na brodę proroka, dostawaj wszystkich ziół jakie tylko rosną w Szyrwanie i w Iranie, ja kieszeni nie zamknę.

— Hm, a moje zarobki? Co dzień zarabiam po kilkanaście abazów od głupców co im plotę androny o Iskenderze, Rustemie i Nuszyrwanie; ziółka z Meszedi i Kerbelaju, które za czyste pieniądze pobożnym rozdaje, przynoszą mi drugie tyle, dodaj do tego talizmany i różne inne przedmioty..... Zresztą, ty wiész co to jest być derwiszem, przecież sam wykręcałeś młynka na jednej pięcie zamłodu, przypomnij to sobie Mahmud-Begu..... Wtenczas nie przychodziło ci jeszcze do głowy zostać Mahmud-Begiem i wielkim panem..... Owoż teraz, jeżeli zacznę chodzić koło chorego, wszystkie moje zarobki upadną.

— Odemnie dwa razy więcej dostaniesz.

— To dobrze, ale któż mię zapewni, że ty nie umrzesz tymczasem, albo nie stracisz swoich pieniędzy? Na jutrze nikt ryżu nie sieje, to niepewna rola.

— Któż ci mówi o jutrze, bierz dzisiaj, natychmiast. Ali z ukrytej w ścianie framugi, wy dobył garść złota.

— Czy dosyć?

— Tymczasem.

— Śpiesz do chorego i staraj się żeby wyzdrowiał, o resztę nadzieja w Bogu. Niemasz Boga oprócz niego. Co napisano to się stanie. Ty rób swoje.

XIII.

Narieczony.

We dwa tygodnie potém, kilku konnych wjeżdżało do Szamachy po bakińskiej drodze. Dwóch jechało na przedzie, jeden w mundurze konno-muzułmańskiego pułku, a drugi w zwyczajnej narodowej czusze. Ostatni był najznakomitszą z całego pocztu figurą, przynajmniej tak potrzeba było wnosić i z jego czuchy, obramowanej szerokim srebrnym galonem, i z butnej miny, która mówiła wyraźnie każdemu: dlaczego mi się nie kłaniasz, marny prochu! Nawet jego rumak, duży, biały, z grzywą i ogonem ufarbowanym czerwono, zdawał się być przejęty godnością swojego pana, bo wyżej nad inne głowę zadziérał i szerzej stąpał.

— Ślicznie mi wyglądasz, odezwał się do niego tamten, całe miasto wytrzeszczy oczy na ciebie, jak na zamorskie zwierzę.

— Całe miasto?

— Oprócz ślepych i tych co będą spali.

— A Ali-Aga?

— Ali-Aga skurczy się ze strachu, jak wypróżniony bordiuk. Wiész, co mi przychodzi do głowy, trzeba będzie i jego zaprosić.

— I jego? Ma się rozumieć że trzeba, ja o tém dawno myślałem, tak trzeba i jego. Ale na co?

— Zobaczymy czy przyjmie zaprosiny.

— A jeżeli przyjmie? Jeżeli przyjdzie? Oj, Kyzyl-Begu, to zły człowiek, ty jego nie znasz. Żeby czego nie nabroił.

— Naprzykład, żeby nie połknął ciebie żywcem? Nie bój się, Ali-Aga ścisły muzułmanin, a twoje mięso zakazane w koranie.

Wjechali do miasta. Syn wymiatacza śmieci (czytelnik musiał go poznać), oglądał się pompatycznie naokoło, wyszukiwał oczyma znajomych, i darzył każdego leciuchnym ukłonem. Chciałby szczerze pogadać z nimi, oznajmić im swoje obecną wielkość, oddałby za to czuchę i galony, ale nie mógł żadną miarą pospolitować się tak przy Kyzył-Begu. Oni patrzyli na niego z osłupieniem, ale żaden nie śmiał przystąpić i zacząć rozmowy. Przyjaciele Mahmudka należeli do téj klasy, która z galonami nie miewa zażyłości.

Wśród bazaru, Kyzył-Beg zatrzymał się, żeby spojrzeć na walkę dwóch zapamiętałych kogutów. Tłum ludzi otaczał miejsce potyczki, koniec był ciekawy, bo chodziło o wielki zakład. Tymczasem Mahmudek spostrzegłszy starego piekarza Jurifa, siedzącego z czurekami na tém samém miejscu, gdzie i on miał zwyczaj z nim razem przesiadywać, kiedy jeszcze przedawał winograd, popędził do niego kłusem.

— *Selam alejkium.*

— *Alejkium selam.*

— Słuchaj stary, ja się żenię. Bała-Beg oddaje mi córkę, Bała-Beg ma rozum, nie oddałby córki lada komu, Kyzył-Beg wziął na siebie żeby odebrać dom mój, ten narożny, od Ali-Agi, będę miał żonę, dom i pieniądze. A ty, jak wychodzisz na swoich czurekach? Rób lepsze, to i ja będę kupował, my panowie nie lubimy takich czarnych. Bądź zdrów.

— Stój stój, niechże się napatrzę na ciebie. Co ty pleciesz o jakimś Bała-Begu i jego córce? Powiedz prawdę, czy nie zwaryowałaś znowu.

— Jak się ty ważysz mówić takie rzeczy, gołyszu! Kyzył-Beg porozumiał się już z mirzami względem mego in-

teresu, i nawet był u komendanta, ale to jeszcze sekret. Bała-Beg chciał wesele odłożyć na potem, ale Fatyma-Chanym uparła się żebym się piérwój ożenił. Stara także niegłupia, myśli że kiedy dom odbiorę, to jój córki nie zechcę, i dlatego przyśpiesza wesele, boi się stracić takiego zięcia, a wie, że drugiego takiego nie znajdzie w całym Szyrwanie. Przyjechaliśmy z Kyzyl-Begiem sprosić gości i nakupić czego trzeba; wesele u nich będzie, bo ja nie mam jeszcze domu, to jest mam, ale Ali-Aga w nim mieszka. Kyzyl-Beg chce Ali-Agę także zaprosić, niech sobie sam do niego idzie, ja nie pójdę, nie dlatego żebym się bał, o, wcale nie, ale nie dowierzam sobie, mógłbym zapomnieć się i wleń mu wypalić.

— Nic nie rozumiém. Ale na wszelki wypadek, i mnie zaprosisz nie prawdaż? przypomnij sobie żeśmy byli kiedyś przyjaciółmi, nieraz darmo zjadałeś moje czureki, jak nie było czém płacić.

— Ciebie zaprosić? prostego chama?

(Dokończenie nastąpi).



DYMITR I MARYA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH WIERSZEM.

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

(Dokończenie).

AKT III.

(Pokój w domu Maryi; z lewej okno, nieco dalej zbroja, hełm, pałasz na ścianie zawieszony, z prawej obrazek Matki Boskiej).

SCENA I.

OJCIEC i MARYA.

Marya (wchodząc).

Co każesz ojcze?

Ojciec.

Nie mam téj śmiałości.

Cóżbym rozkazał żonie mego pana?

Marya.

Ojcze! ja cierpię, a tyś bez litości.

Ojciec.

Córko! ty cierpisz w taką cześć odziana?

Tego nie pojmie nigdy moja głowa!

Marya.

Nie z serca twego płyną twoje słowa;

Znasz swoje dziecię. Wiész zem nie pragnęła

Jego znaczenia, jego pańskiej dłoni:

Tkliwość mię jego, i dobroć ujęła,

Miłość miłością serce me natchnęła.

Ojciec.

Czegoż się troszczysz? Czy ten dziedzic młody,

Dając ci rękę, dał zaszczytu mało?

Chcesz, by siwe czoło wojewody,
 Przed tronem wdzięków twoich się schylało?
 Aby z synowskim godząc się wyborem,
 Przyszedł cię uczyć z całym swoim dworem?
 Nie troszcz się próżno. Wkrótce tu przybędzie,
 I orszak jego przyjdzie pod tę strzechę;
 Za honor syna mnie dziękować będzie,
 Mnie serca swego wynurzy pociechę,
 Wkrótce usłyszysz jego słodką mowę. *(Zbliża się do niej
 i mówi cicho)*
 Lecz słuchaj córko! nie przejmuj się strachem,
 Gdy u nóg jego ujrzysz moją głowę,
 I płomień wzbity nad ojcowskim dachem.

Marya.

Ojcze! miej litość!

Ojciec.

Z jego szczodrej ręki
 Inszych nie czekaj darów i podzięk.

Marya.

Biada mi!....

Ojciec.

Płaczesz?

Marya.

O! dlaczegoż muszę
 Z ust twoich ojcze, takie groźby słyszeć?
 Ty, cobys umiał wzmocnić moją duszę,
 I trwogi moje uspić i uciszyć,
 Ty je rozbudzasz o mój sen niedbały,
 By w dzień i w nocy dziecię twe szarpaty?

Ojciec.

Cicho! coś słyszę, jakiś tętent zdała,
 Może Tatarów tuman najezdnieży;
 Już ich dłoń naszej łakoma 'zdobyczy,
 Jeńców krępuje i dachy zapala.

Damyż się niszczyć, jak bezsilne stado,
 I czekać będziem, aż nam na kark wjadą? *(Zdejmuje
 zbroję która na ścianie z lewej strony wiszi)*
 Pójdź dawna zbrojo! Wdzieję cię choć stary,
 Aby pierś młodszych równa chęć przebodła;
 Posłucham jeszcze, jak szumią sztandary:
 Koń mój odwykły wędziła i siodła,
 Udźwignie przecież żelaza ciężary.
 Żonę i dzieci pierśią swą zasłonię,
 Im się obrona odemnie należy,
 Dom ten ocale nim w pożarach spłonie,
 Nim nieprzyjaciel na próg jego wbieży.
 Wołę na placu głowę swą położyć,
 Niż hańby żony, wstydu córek dożyć.

Marya.

Ojczy mój drogi! co się tobie stało?
 Drży twoja ręka, mocy pozbawiona;
 Hełm już za twardy na twą głowę białą.
 Pancierz do twego nie przystanie łona;
 O! zostaw młodszym tę mężką ochotę,
 Bo wiek i siły zdradzą twoję cnotę.

Ojciec.

Czekaj, coś mi się pomieszało w głowie;
 Ach! zapomniałem że już nie mam żony,
 Żem słaby starzec. Ona mię w połowie
 Drogi odbiegła, a ten rój pieśczoney
 Córek i synów, burza rozsypała.
 Tyś mi podobno, ty jedna została —
 I ty nie moja!

Marya.

Biada nędznój! biada!

Ojciec (*patrzy w okno*).

Uciesz się, przybył, ale cały zbrojny.
Ja się gotuję, on gotów do wojny.

Marya.

Kto ojciec?

Ojciec.

Wróg mój, ty mu będziesz rada.

Marya.

Kogoż tak zowiesz?

Ojciec.

Niewiniątko! proszę!

To jeszcze nie wiesz kto mi sen odebrał?

Kto mi dał kamień, co mi serce ciśnie?

Za czyją sprawą tak do ziemi noszę

Głowę schyloną, jakbym grobu żebrał?

Zaraz przed tobą jego pancierz błysnie. (*Zaczyna opatry-
wać zbroję*).

SCENA II.

MARYA, DYMISTR, OJCIEC.

Dymitr.

Cóż ci to Maryo? Tyś łzami zalana?

Marya.

Ty uzbrojony? i z twojego czoła

Nie zeszła trwoga....

Dymitr.

Nie, Maryo kochana!

Marya.

Rzucasz mię?

Dymitr.

Idę, powinność mię woła.

A chmurę, którą moja skroń oblana,

Czas tylko jeden zdjąć i rozwiać zdoła.

Co robisz ojcze? na co ci ta zbroja?
Nie do oreża pierś i ręka twoja.

Ojciec.

Od dzid pogańskich zbroja mię zasłoni;
Ta twarda ściana szable ich odbije;
Ale są wrog, przeciw których broni
Tarcza za słaba, pancierz nie okryje.
Uśmiech układny, mowa gładka, śliska,
Ostrze zatrute i pod zbroję wciska.

Dymitr.

Słuchaj mię ojcze! córka twa niewinna,
A ty ją trapisz, wzruszasz tak głęboko;
Łza którą otrzeć ręka twa powinna,
Z twojej przyczyny jój zalewa oko.
Nie mścij się ojcze w ciosach dolegliwych,
Ześ nam pozwolił kilka chwil szczęśliwych.
Idę na wojnę, nie wiem co mię czeka;
Może nie wróce: jutro nam nieznane;
Na cienkim włosku wiszą dni człowieka,
Ustawną burzą ciągle kołysane.
Chwila radości późna i leniwa,
Na skrzydłach orlich nieszczęście przybywa.
Wiész o tém dobrze starcze doświadczony!
Nie trujże bardziej godzin pożegnania;
I gdy ze drzeniem ściskam rękę żony,
Niech wiem przynajmniej, że gdy głowę skłania
Na twoje łono, ty ojcowskim głosem
Uspisz jój boleść, zgodzisz ją z jój losem.

Ojciec.

Ja mam ją bronić? ręka moja drżąca;
Każda godzina z siły mię wyzuwa.

Widzisz tę chmurę? ciężka i grożąca,
 W czarnych się kłębach nad mój dach nasuwa.
 Ty ją przeżegnaj; przez ciebie ściągniona,
 Przeciw jój gromom niech ją pierś twa broni.
 Strzała do mego serca wymierzona
 Nie chybi celu, wiem że mię dogoni.
 Ja was ratować, cieszyć was nie mogę,
 Idźcie gdzie chcecie, znacie waszą drogę. (*Wychodzi*).

SCENA III.

MARYA, DYMISTR.

Marya.

O mój Dymitrze! to nad siły moje.

Dymitr.

Nie miękcz mię żono! mężstwa nam potrzeba.
 O! nie wiesz jeszcze jakie niepokoje
 Dręczą mię, jak nas doświadcniają nieba!

Marya.

Czy jeszcze mało? nie mówże mój drogi!
 Teraz przynajmniej nie mów co mię czeka.
 Na czole twojem czytam wyrok srogi:
 Niech ta godzina długo się odwleka,
 W której się dowiem zem cię utraciła.
 Zawsze ten piorun zbudzi mię zawczasie;
 O! jeśli można, pozwól umrzeć we śnie.

Dymitr.

Maryo! patrzaj jak mi głowa pała.
 Przez ten mur lśniący słyszysz serca bicie,
 Pod tém żelazem troska zamieszkała,
 Tu weszły trwogi co mię trawią skrycie,
 Tyżbyś mi jeszcze ich przyczyniać chciała?

Ja?

Marya.

Dymitr.

Dni twych pokój, serca twego ciszę,
 Radbym połową godzin mych opłacić.
 Znasz mię, niech przeto próżnych skarg nie słyszę:
 Nie mów mi nigdy, byś mię mogła stracić —
 Z życiem mię stracisz; póki duch w mém łonie,
 Bronić cię będę i pewno obronię.

Marya.

Daruj Dymitrze! ciężkom wykroczyła;
 Wina to serca, serce niech przebaczy.
 Niestety! wszelka mię odbiega siła,
 Gdy widzę ojca we łzach i rozpaczy;
 Jak mię on czasem dziwi, jak mię trwoży!
 Zwątlony umysł słyszę w jego głosie.
 Moim cierpieniom kiedyś kres położy
 Śmierć lub cierpliwość; ale w jego losie,
 Widzę dla siebie karę zasłużoną.
 Ach! on mię nie chciał widzieć twoją żoną.

Dymitr.

Słuchaj mię Maryo! Chwile rozliczne,
 Każą być krótkim. Miałem dziś rozmowę
 Z ojcem, i długą. Już sobie synowę
 A mnie przeznaczył bez méj wiedzy żonę.

Marya.

Pewnie bogatą.

Dymitr.

Jakakolwiek, mniejsza.

Niech żadna trwoga myśli twój nie truje;
 Może być dobra, zacna, najpiękniejsza,
 Śmierć tylko jedna ręce me rozkuje!
 Ty jesteś moja.

Marya.

Więc twój ojciec nie wie?

Powiedz otwarcie.

Dymitr.

Cóż powiedzieć mogę?

Rozprowiał długo, mówił mocno, w gniewie,
I dziwną czasem dał mi uczuć trwogę.

Wię że cię kocham. Lecz i to widziałem,
Że coś ukrywał. Nieraz groźne lice
Błysnęło dziwnym ogniem i zapalem,
Ilem czuł, jakież usta wytłumaczają!

Marya.

Nie mów Dymitrze! Ach! i tak się czuję
Blizką rozpaczy.

Dymitr.

Precz mi, precz z rozpaczą!

Jeszcze pierś moja dosyć sił znajduje;
Chcę, muszę walczyć. Gniów mnie nie zachwieje,
Upór i duma męztwa nie odbiorą.
Dzisiaj mi ojciec wszystkie wziął nadzieje,
Jutro méj duszy hartem i pokorą
Da się zwyciężyć. Jesteś, będziesz moja
Póki te oczy dojrzą tkliwość twoją.
Lecz wprzód nim rękę zajmie inna sprawa,
Nim tarczą piersi ziemię tę zasłonię,
Spełnię powinność drogą mi jak sława,
Droższą niż życie — ciebie wprzód ochronię;
Aby twój nie przelekła lica,
Naglego gniewu, nagła błyskawica.
Tu nie zostaniesz. Dom ten niedaleki
Gdzie matka moja w samotności żyła;
Gdzie świat i syna zegnała na wieki,

I na nieludzkość męża się żaliła,
 Co jój nie kochał, choć aniołem była.
 Moja to własność. Ściany te umieją
 Chować co dla mnie najdroższe na ziemi;
 A jeśli wichry od zamku powieją,
 Cień mojej matki skrzydły potężnymi
 Pęd ich zatrzyma. Tam będziesz spokojna.
 Mój ojciec nie śmie tych przestąpić progów;
 Tam on występny, tam go czeka wojna
 Z własném sumieniem.

Marya.

Mam ja innych wrogów:
 Łzy mego ojca i zgryzoty moje.

Dymitr.

Zgryzoty? Maryo!

Marya.

Nie dziw się mój luby.
 Miłości naszej gorzkie to jest żniwo.
 Mnie nie zastraszy wyrok mojej zguby,
 Ale mój ojciec! Oni ręką mściwą
 Pomiatać będą jego głowę siwą.
 Biédnego starca nic ztąd nie oddali;
 Najpiérwsza burza w jego próg uderzy;
 Jego spytają, gdzieście mię schowali.
 Któż jego słowu, jego łzom uwierzy?
 Wiek jego słaby, rozum już mdlejący,
 On umrze z bólu, Boże Wszechmogący!

Dymitr.

Czegoż chcesz? powiedz, mamże oręż rzucić,
 Zdjąć to żelazo, zdeptać swoje imię;
 Podłością syna pierś ojca zasmucić,
 Sprawdzić wyrzuty że w gnusności drzymię?
 Pragniesz — zostanę.

Marya.

Nie, mój mężu drogi!

Ja pragnę tylko końca téj niedoli.
 Niestety! samiż dręczym się nawzajem?
 Czyliż nam dzisiaj niezgody przystoją?
 Idź, ale powróć. Trwogi ukojone,
 Zamknięte w sercu znikną z ust i czoła.
 Ani się gniewaj że się ojca losem
 Za nadto zajął umysł mój złąkniony.
 Już nie przemówię więcéj córki głosem,
 Obaczysz tylko posłuszeństwo żony.
 Każ, wszystko zrobię, na wszystkim gotowa.

Dymitr.

Maryo! Maryo! nie bądź tak surowa,
 Srogo mię karzesz.

Marya.

Téj nie miałam chęci.

Dymitr.

Wybacz mi krótkie żalu uniesienie;
 I niech na zawsze zatrze się w pamięci,
 Téj smutnéj chwili obraz i wspomnienie.
 Wszystko cię czeka w mojej matki domu.
 Dzisiaj cię z Anną przeprowadzić każę;
 Wychodź ztąd w nocy, cicho, po kryjomu,
 Ja wszędzie czujne porozstawiam strażę,
 Aby ta droga smutna i konieczna,
 Była niestraszna, krótka i bezpieczna.
 Bądź zdrowa. Gdzież jest Anna? Jój powierzę
 Całe staranie o podróży twojéj;
 Ona ci smutek, ona strach odbierze,
 Przeczucia twoje zniszczy i ukoi.
 I ojca twego chcę uściskać dłonie,

I zgasła ufność zatlić w jego łonie.
 Bądź zdrowa Maryo! Przebóg! cóż to znaczy?
 Zbladłaś tak mocno? Milczysz, cała drżąca?

Marya.

Bądź zdrów mój drogi! Ta boleść milcząca,
 Jest tylko żalem, niema w niej rozpaczy.
 Chciałam coś mówić, ale nikną słowa,
 I lepiej, możeby cię zasmuciły,
 Jam spełnić każdy rozkaz twój gotowa.
 Nie bój się mężu, ja mam dosyć siły,
 I teraz tylko w pożegnania chwili
 Daruj mi... tak nas wcześniej rozdzielili.....

(Dymitr odchodzi do drzwi. Marya zostaje na miejscu, płacząc. Dymitr nagle wraca, ściska ją i spiesznie się oddala. Marya powoli idzie przed obraz, klęka i modli się cicho, po chwili wchodzi Anna).

SCENA IV.

MARYA i ANNA.

Anna.

Maryo! Maryo! O niewierna żono!
 Łzami wygaszasz ognie twego oka,
 Smutkiem wysuszasz twoją twarz pieszczoną.
 Tożeś przyrzekła? I cóż mąż twój powie
 Gdy cię tak znajdzie?

Marya *(przybliża się)*.

Ach! czy już odjechał?

Anna.

Alboż nie musiał?

Marya.

A ojciec spoczywa?

Anna.

Twój ojciec poszedł.

Marya (*strwożona*).

Dokąd?

Anna.

Nieszczęśliwa!

Cóż ci odpowiem? Mogłazem wybadać?
Nieraz pytałam, nie chciał odpowiadać.
Z posepną twarzą, z nachylonym wzrokiem,
Poszedł powoli nie patrząc przed siebie,
Wkrótce znikł z oczu, skryty nocy zmrokiem.
Pewnie gdzie w lesie smutek swój zagrzebie.

Marya.

O! zła to przyjaźń, która ciesząc zwodzi.
Powiedz, czy udał się ku Bugu stronie?

Anna.

Co za myśl!

Marya.

Żadna myśl mi nie przychodzi.
I patrzaj, serce nie drży w mojem łonie.
Powiedz mi przecież, by oczy zroszone
Wiedziały, w którą się obrócić stronę.

Anna.

Zabijasz siebie.

Marya.

Ufaj mojej sile,
Mów.....

Anna.

Wierz mi, inszą on się udał drogą.

Marya.

Dosyć już Anno, zostaw mię na chwilę.
Wkrótce przybędę. (*Anna odchodzi*).

Marya (*sama po chwili*).

Muszę więc porzucić,
Twoje nízkie progi, domku ukochany!

Pójdę samotna, pójdę, by nie wrócić,
 Obca, nieznana, pod dach zakazany.
 Lecz na cóż łzami całą żalność cucić?
 Dość łez widziały te rodzinne ściany,
 Wśród których niegdyś słodkie pieśni brzmiały,
 Co do mych powiek sen przywoływały.
 Czas ten upłynął; dziś okropnie, srogo
 Mścisz się fortuno za twój umizg lichy;
 Chciałaś ozłocić tę strzechę ubogą,
 A zgubę niesiesz z górnych siedlisk pychy.
 Byłam spokojną, wiek mi płynął błogo,
 Jak strumień skromny i jak strumień cichy;
 Teraz zaledwieś ręką mię dotknęła,
 Jużes mi radość, już i pokój wzięła.
 Gdziekolwiek spojrzę, chmura niedaleka,
 Gdziekolwiek stąpię, wszędzie grunt tak śliski;
 Tam duma na mnie z grotty swemi czeka,
 Tam zemstą krwawą gotuje pociski.
 Kochanek w boju rzuca mię, ucieka
 Ojciec w rozpacz i już grobu blizki.
 Samą zostawia niepewności, trwodze,
 I błogosławić nie chce mojej drodze.
 Stało się przecież. Czas mi, czas pośpieszać.
 Czém mię obdarzysz moja chatko miła?
 Ty, Matko Boga, ty mię racz pocieszać,
 Do ciebie matka moja się modliła,
 Zła myśl nie śmiała jej modlitwy mieszać,
 Gdy na twe lice wzrok swój podnosiła.
 Tu cię na sercu moja dłoń położy,
 Ty mię zasłaniaj gdy mię wróg zatrwoży *(zdejmuje obra-*
zek Matki Boskiej i chowa).
 Bywaj zdrów ojcze, puszczasz swoje dziecię,

Nie pewne życia i zalane łzami;
Wy kwiaty moje, jak wy cicho śpicie!
Oblane jutro słońca promieniami
Próżno do okna pani swój zajrzycie;
Już mnie nie będzie, ja się żegnam z wami.
Wy wszystkie świadki smutków i wesela,
I wzrok i dusza z wami się rozdziela. (*Odchodzi*).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT IV.

(Las).

SCENA I.

DYMITR (*leży pod drzewem*), DWORZANIN i ŻOŁNIÉRZ, (*później*)
CYGANKA i INNI ŻOŁNIERZE (*w głębi*).

Dworzanin.

Słońce już zeszło, a nasz wódz spoczywa.

Żołniérz.

Strudził się drogą i zbroja mu cięży.
Młody to kosarz; gdy przyjdzie do żniwa,
Odzyska siły: trud i sen zwycięży.

Dworzanin.

Nie wiem jak prędko użyje ramienia.

Żołniérz.

Miałeś nam wskazać ślad nieprzyjaciela.
Tyś nasz przewodnik.

Dworzanin.

Może się wymknęli.

Któż wie, gdzie teraz są nieprzyjaciele.

Żołniérz.

Na cóżeś straszyl?

Dworzanin.

Wiedzieć chcesz za wiele.

Jutro zapewne rzecz usłyszysz nową.
Teraz powstrzymuj język niespokojny,
Bo lepszy Tatar niż za prędkie słowo.

Żołniérz.

Więc już nie będzie zdobyczy ni wojny?

Dworzanin.

Często wieść płonna umyślnie się szerzy;
Mądry z niéj zysk ma, a głupi jéj wierzy. (*Cyganka
zbliża się*).

Lecz patrzno. Któż to do nas się przybliża?
Jeszczem takiego nie widział straszydła.
Braknie jéj tylko skrzydeł niedoperza.

Żołnierz.

Mów ciszej, może jaka czarownica.

Dworzanin (*do Cyganki*).

Jak przeszłaś czaty? Czego chcesz przebrzydła?
Ustąp! w dzień swego nie pokazuj lica.

Żołnierz.

Piekielne oczy! jakby dwa ogniska.

Dworzanin.

Idź i przepadnij na rozstajnych drogach.
Tam wódz spoczywa, nie przystępuj zblizka.

Cyganka.

Gdy człowiek we śnie, wtenczas złe na nogach.
Żołnierz spać może, wódz niech nie zamyka
Bacznój powieki.

Żołnierz.

Na wskrós' mię przenika.

Rozumnie mówi.

Dworzanin (*do niéj*).

Czy ty umiesz wróżyć?

Cyganka.

Jeżeli pragniesz, mogę ci usłużyć.

Dworzanin.

Zbliż się a cicho; abyś nie zbudziła
Młodego pana.

Cyganka.

Za długo spoczywa.

Lecz jeszcze chwila jego nie wybiła.

Daj rękę.

Żołnierz.

Śmiało Cyganko kłamliwa.

Dworzanin (*daje rękę*).

Jeśli przed tobą jutro niezamknięte,

Powiedz co widzisz? (*Cyganka przypatruje się i potrząsa głową*).

Żołnierz.

Coś zła tajemnica.

Cyganka.

Mój przyjacielu, już te sosny ścięte,

Z których dla ciebie będzie szubienica.

Dworzanin (*wyrywa rękę*).

Zgin i przepadnij....

Żołnierz.

Na moje sumienie,

Zna dobrze jutro jak ja swe kieszenie.

Dworzanin.

Precz czarownico! nie ujdiesz mi kary.

Cyganka (*podnosi się*).

Milcz! nie do ciebiem przyszła.

Żołnierz.

Patrz, na Boga!

Co to za postać wyniosła i sroga.

Cyganka (*przystępuje do Dymitra i potrąca go nogą*).

Pcwstań rycerzu! sen za nadto długi,

Ciężko jak ołów spadł na tve powieki.

Dymitr (*zrywa się*).

Tyżeśto wróżko? po co po raz drugi

Stajesz przedemną?

Cyganka.

Wróg już niedaleki,
Tys wódz i we śnie?

Dymitr.

Gdzieżeś go widziała?

Cyganka.

Tam gdzie myśl twoja i dusza została.

Dymitr.

Proroctwo klęski w oczach twych jaśnieje.
Czego się wleciesz za mojemu kroki?

Cyganka.

Czyja dłoń wiedzie zdroje przez opoki,
By tam wytrysły gdzie wędrowiec mdleje?
Kto niesie chmurę gdzie spragniona niwa
Bez sił żywotnych rosy niebios wzywa?
Znasze tę rękę?

Dymitr.

Chcesz być mym aniołem
Stróżem? weź postać godniejszą ufności.

Cyganka.

Nie gardź młodzieńcze! pooraném czołem.
Zima lat siwych matką jest mądrości.
Ty mi nie wierzysz, że znikły powaby,
Co niegdyś także lice me zdobiły;
Głos mój chrapliwy, chód złamany, słaby,
Lecz moje oko pełne orięż siły.
Widzę twe serce od trwogi szarpane,
I twoje ręce w sidła uplątane.
Gonisz za wiatrem który zgina łany,
I sen nieczynny oczy twe zamyka;
A strzała leci, już jój cel wybrany,
Swiszcząc w powietrzu serca już dotyka. (*Wskazuje na Dworzanina*).

Patrz, jak ten zdrajca blady i zmieszany,
W nim otrzymałeś zguby przewodnika;
On chytrym głosem z drogi cię sprowadza,
I nie on jeden zwodzi cię i zdradza.

Dymitr.

Co się tu dzieje? Czemu tak drzysz cały?
Prawdęz ogłasza ten szatan wcielony?
Gdzież nieprzyjaciół ognie i zagony?
Odpowiedz, gdzie ich oczy twe widziały?

Żołnierz (występuje naprzód, Cyganka cofa się).

Bądź co bądź panie! ja się tu odważę
Mówić. Coś złego knuje jego głowa.
Dziś gdyśmy razem odbywali strażę,
Z jego ust wyszły obosieczne słowa,
Z których ja widzę że zdrada gotowa.
Tatarów niéma, to mi sam powiedział.

Dymitr.

Zdrajco! tyś skłamał? Milczysz? głos ci wzięła
Podłość i bojaźń?

Cyganka (w głębi).

Wracaj, wracaj, wracaj! (*Uchodzi.*)

Dymitr.

Słyszę cię, słyszę; gdzieżeś się wymknęła?... (*Po chwili*)
Zpod ziemi wyszła, pod ziemią zginęła.
Konia!— Wy, idźcie gdzie się wam podoba.
Niéma już wojny, choć dzień będzie krwawy.
Iana was czeka klęska i żałoba,
I wódz wasz inne przedsięwziął wyprawy.
On tam śmierć znajdzie, lecz nie znajdzie sławy.
Konia! Gdzie koń mój? (*Wybiega, inni za nim.*)

SCENA II.

(Ogród w domu Dymitra).

ANNA i MARYA.

Marya.

To nasza twierdza.

Anna.

O! dziękujmy Bogu,
 Ześmy stanęły w tym bezpiecznym progu.
 Wkrótce twój Dymitr okryty laurami,
 Powróci z wojny i złączy się z nami.

Marya.

Jakże się łatwo serce twoje ludzi!
 Lecz tyś niewinna. Ja inaczej czuję;
 Mnie grozi niebo, grozi zemsta ludzi,
 I rozpacz ojca zgubę mi rokuje.

Anna.

Pomnisz Cyganke?

Marya.

Drzę na jej wspomnienie;
 Jeszcze ją widzę, wróżba jej sprawdzona.
 Źle człowiekowi znać swe przeznaczenie;
 Zgubne to światło gdy wejdzie do łona,
 Radość umiera i nadzieja kona.
 Przeczucie samo daje dość cierpienia.
 Wierzysz w przeczucie?

Anna.

Nigdy nie wierzyła.

Marya.

Szczęśliwa! nie wiesz co to głos sumienia.
 Nigdy cię trwoga ze snu nie budziła;
 Gdziekolwiek stąpisz, ziemia ci rozkwita,
 I cisza niebios w łonie twém odbita.

Ja tylko mieszam twoją młodość błogą.
 Anno! ty dobra i wspaniała duszo!
 Zostaw mię samą, nie idź moją drogą.
 Wyroki moje dopełnić się muszą,
 I twoja przyjaźń, lzy twe nie pomoga.

Anna.

Wstydź się że muszę płakać z twój przyczyny.

Marya (bierze jej rękę).

Daruj mi, daruj moja Anno miła!

Anna.

Także cię prędko ufność opuściła?

Marya.

Niech o mnie nisko serce twe nie trzyma.
 Wiem ja na jakim mię postawił szczybie;
 Już ziemia dla mnie miłszych darów nie ma,
 I nic wyższego już mi nie da życie.
 Czuję kto jestem, i byłabym zdolną,
 Stracić to dobro jedyne i drogie,
 Byle ta strata była dobrowolną,
 Bylem rzec mogła: „zatrzymać go moge,
 „I sama spełniam obowiązki święte,
 „Wracam go ojcu.” Lecz gdy sen tak miły,
 Być rozbudzoną, by oczy ocknięte
 Na gwałt, na wzgardę i na śmierć patrzyły,
 Z ich wzgardą zginać, to nad moje siły.
 Lecz na cóż próżną chlubię się ochotą
 Gdy już zapóźno? Wtenczas pora była,
 Okryć się chwałą i poszczycić cnotą,
 Gdy miłość pierwszym kwiatem mię wabiła,
 I słodką czarę podając mi zdradnie,
 Gorzki ostatek utaiła na dnie.

Przestrogi ojca wyszły mi z pamięci.
 O! gdybym była kratą się zamknęła,
 Murami własne ogrodziła chęci,
 W okowy wiary serce swe ujęła,
 Byłoby lepiej. Teraz przeminęła
 Chwila wielkości, pora poświęcenia,
 Przyszedł czas kary, smutku i cierpienia.
 Cóż to za tętent? co za krzyk się wzmaga?
 Czy słyszysz Anno?

Anna.

Słyszę i drzę cała.

Marya.

Zbladłaś? gdzież twoje męztwo i odwaga?
 Potrzebaż, abym ja cię umacniała?

Anna.

Nie o mnie idzie. Tobie grożą. (*Wybiega na prawo i po chwili
 i wpada przestraszona*). Uchodź!

Tam wojewoda. Dom twój otoczony.
 Ratuj się! ratuj!

Marya (*spokojnie*).

Niéma już obrony.

Tak być musiało.

Anna.

Uchodź nieszczęśliwa!

Marya.

Dokąd? do Bugu! już nas okrążają.
 Tam dzidy błyszczą, tu miecze błyskają.
 Wzniosła się ręka szybka i surowa,
 Ołtarz już gotów, ofiara gotowa.

Anna (*pogląda na prawo*).

Patrz, on tu idzie.

Marya (*z trwogą chwyciła rękę Anny*).

Pójdźmy więc ztąd, pójdźmy. (*Wychodzą na lewo*).

SCENA III.

WOJEWODA, (potém) STEFAN.

Wojewoda (wchodzi zwolna).

Nigdy pod zbroją wśród krwi i płomienia,
 Pierś moja równiej burzy nie doznała.
 Dawniejsze walki wyszły z odretwienia,
 I dawna zbrodnia z swój mogiły wstała.
 Ja tu oddycham powietrzem więzienia,
 Tu z mojej winy tyle lat wzdychała
 Najczystsza dusza! ztąd wyprawiam inną,
 Może jak tamta piękną i niewinną,
 Dziki to zamiar dręczy mię i trawi,
 Prędko poczęty, prędko się dokona;
 Lecz długie ślady w sercu mém zostawi,
 Silnie się wryje w głąb mojego łona.
 Któż mój przeciwnik? — bezbronna kobiéta
 Tarczą niewinnych uczuć osłonią,
 Zbroją skromności i prośby okryta.
 Teraz ją ujrzę w postaci anioła,
 Z rękami kornie na krzyż złożonemi;
 Wkrótce ją inszą sumienie wywoła,
 Wkrótce zjeżona wężami mściwemi,
 Jak groźna furja wyjdzie do mnie z ziemi.
 Niewdzięczny synu!

Stefan.

Panie! co rozkażesz? (Ukazuje na lewo)

Synowa twoja.....

Wojewoda.

Precz mi z tym wyrazem.

Na co goracém budzisz mię żelazem,
 Jeszczem nie zdrzymał....

Stefan.

Panie! ja ci radzę,
Nie patrzaj w oczy téj kobiécie.

Wojewoda.

Czemu?

Czy już o mojej zwątpieś odwadze?
Czy twarz jéj groźna będzie sercu memu?
Nie bój się. Droga moja przepaścista,
Żadna mié ręka na niéj nie zatrzyma.
Niech będzie piękna i jak anioł czysta,
Próżno, słabości w sercu mojem niéma.
Jużem się zniził, a od poniżenia
Blizko do zbrodni. Dzięki twéj pomocy,
Dni me skazane na pastwę sumienia,
A na bezsenność nieskończone nocy.
Cóż więcéj stracé? Jeszcze jednéj straty
Móglbym się lękać. Lecz to płonna trwoga.
Gdybym wszelako, obarczony laty,
Został sam jeden... O! wtenczas, na Boga!
Drżyj ty doradzco! Żaden kraj na ziemi
Skryć cię nie zdoła. Ale dość, niech przyjdzie.
Zostaw nas samych.

SCENA IV.

WOJEWODA, MARYA, ANNA, (potém) STEFAN.

Marya.

Anno! ty mié wspieraj.
Ziemia się chwieje pod stopy mojemu.

Wojewoda (spójrzawszy nagle, odwraca się).

Drzysz, czujesz wielkość swego przewinienia.

Marya.

Przed tobą panie! wielka moja wina,
Lecz nie przed Bogiem i sądem sumienia.

Wojewoda.

Mówią że jesteś żoną mego syna,
Jaki masz dowód?

Marya.

Ten, że się znajduje
Pod jego dachem.

Wojewoda.

Twojéjto niecnoty
Może być sprawa.

Marya.

Przemoc twoje czuje.
Życie i los mój trzymasz w ręku swoim,
Lecz nie ponizaj bezbronnéj sieroty.
Twój syn nazwiskiem mié przyodział twojém,
Szanuj je we mnie, jeszcze niesplamione.

Wojewoda.

Nie może zdoić dobro ukradzione.

Marya.

Dał mi je syn twój.

Wojewoda.

Mój ci skarb nieprawnie
Oddał. Występném wzięłaś go nabyciem.

Marya.

Wzięłam przed Bogiem i utracę z życiem.

Wojewoda.

Niech i tak będzie.

Marya.

Umrę więc?

Wojewoda.

Niebawnie.

Gotuj się na śmierć.

Maryja.

Dawnom już gotowa.

Jestem niewinna.

Wojewoda.

Nadzieja jedyna

Mojego serca, mego domu głowa,
 Mój syn jest twoim. Wydarłaś mi syna.
 Zdeptałaś prawa przez naturę dane
 Ojcu nad dzieckiem; na mój wiek niepomna,
 W sidła rozpusty skromnie nawiązane,
 Ujęłaś młodość jego. Wiarołomna!
 Oblicz się z sobą. I ten żebrak stary,
 Niechaj się także z sercem porachuje.
 Dotąd znał tylko ręki mojej dary,
 Teraz jój ciężar i jój moc poczuje.

Maryja (*przystępuje śmiało*).

O! nie dotykaj jego starój głowy,
 Nie on mię oddał w ręce twego syna.
 Moja to wola, moja to jest wina.
 Nieszczęsny starzec miał jedyne dziecię,
 I to mu wydrze pocisk twojej dłoni.
 Włos jego biały, krótkie jego życie;
 Niech nad mym grobem resztę łez wyroni.
 Dość go ukarze przewinienie moje,
 Pohamuj zemstę, zamknij groty twoje.
 Tyś także syna jednego wychował.
 Gdybyś ze łzami, okryty żalobą,
 Skarb swój najdroższy w łono ziemi chował,
 Któżby się wówczas mógł pastwić nad tobą?
 Syn twój śmiertelny! O! pomyśl nad sobą. (*Kłeka*)
 Niechaj cię wiek mój i niewinność wzruszy,
 Nie szukaj we mnie zbrodni której niéma;

Pomnij, że prośba ukorzonej duszy,
Przebije niebo i zemstę otrzyma.
Najczystsza miłość całą zbrodnią moją,
Jam nie pragnęła być synową twoją.

Wojewoda (*nagle*).

Ale nią jesteś, i to cię zabija. (*Wychodzi*).

Marya (*zrywa się z rozpaczą*).

O! niechże śmierć już skrzydła swe rozwija,
Niech mię porywa i unosi z ziemi,
Gdzie ojciec pastwi się nad dziećmi swemi!

Anna.

Maryo! Maryo!

Marya (*chwyla jej rękę*).

Anno ulubiona!

Nie waz się płaczem męztwa mi odbierać;
Wiosna dni moich zwiędła, już skończona,
Reszta jest zimą, czas mi, czas umierać.

Anna.

O dniu okropny!

Marya.

Słuchaj Anno miła!

Jeśli go kiedy oko tve zobaczy,
Powiedz mu, powiedz, zem męźnie skończyła.
Niech i on grzesznej chroni się rozpaczy.
Wspomnij mu także, lecz nie w pierwszej chwili,
Nie Anno! wtenczas gdy już w jego łonie
Obraz mój zniknie, boleść się przesili,
Wspomnij o wiosnie którąśmy przeżyli,
O mój miłości i o moim zgonie.
Teraz bądź zdrowa. (*Ściskają się*).

SCENA V.

MARYA, ANNA, STEFAN i DWORZANIN.

Dworzanin (do Anny).

Skóńczcie pożegnanie.

Pójdź panno!

Anna.

Dokąd?

Dworzanin.

Z ludźmi cię innemi

Odeślę.

Anna.

Na śmierć?

Dworzanin.

Czy ci pilno z ziemi?

Pójdiesz do zamku, nic ci się nie stanie.

Anna.

Biédna ofiario!

Marya (cichym głosem):

Idź już! bądź powolna.

Anna (z rozpaczq).

O! czemuż z tobą umierać nie mogę! (Wychodzi z Dworzani-
nem).

Marya.

Żegnam cię ziemio! wkrótce będę wolna. (Do Stefana)

Zabij mię teraz, skróć już moję drogę.

Stefan.

Ja cię ratować myślę, chcę, i mogę.

Maryo! słuchaj, jeszcze w mojem łonie

Dawna chęć żyje, dawny ogień płonie.

Marya (odstepuje).

Szalony!

Stefan.

Prawda, miłością szaloną.

Kocham cię, możnaż kochać cię inaczej?

Marya.

Wspomnij zuchwalczel z czyją mówisz żoną.

Stefan.

Daremny gniew twój, próżny krzyk rozpaczy.

Tu jesteś moja, tu mnie poślubiona.

Tam już nie żyjesz. Tam już Bugu woda

Szumi nad tobą falami bystremi.

Tam jest zabójcą twoim wojewoda,

Taki się odgłos rozlegnie po ziemi.

Ty uchoź ze mną.

Marya.

Wole śmierć, niż ciebie!

Stefan (bierze ję rękę).

Nie truj pogardą serca uniesienia.

Pomnij, że dość mi słowa lub skinienia,

A w zimnych nurtach rzeka cię zagrzebie.

Nad głową twoją zamkną się ję koła,

Ztamąd cię żaden anioł nie wywoła,

Ani twój Dymitr.

Marya.

On mię znajdzie w niebie,

A ty mię zabij...

Stefan (puszcza ję rękę).

Niechże i tak będzie.

Oddaj się Bogu. Tyś sama szalona

Wydarła całą miłość z mego łona.

I nie masz po co przebywać na ziemi.

Twój mąż w dalekiem polu się ugania.

A ten dym widzisz co kłęby czarnemi

W chmurę się zbiera i nad lasem zwija?

On się nad głową ojca twego wzbija,

I nagie reszty waszych ścian pochłania.

(Marya patrzy przez chwilę, wyduje jęk głęboki i pada bez zmysłów przy nogach Stefana. Stefan patrzy na nią dziko i w milczeniu).

Cyganka (w głębi).

Zbliża się chwila! Złoczyńco bez duszy,
 Wkrótce gdzieindziej spotkamy się z sobą.
 Tam dzięki furji prośba nie poruszy,
 Tam się na wieki nie pożegnam z tobą.
 Tymczasem dokończ, u nóg twych ofiara,
 Niechaj i twoja się dopełni miara.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT V.

(Miejsce nad brzegiem Bugu. Noc. Grzmi i błyska).

SCENA I.

CYGANKA, (potem) DYMTR.

(Cyganka siedzi na skale; słychać śpiew oddalony).

Piękne serce ją zdobyło,
Śliczne lice miała,
Każde oko ją wielbiło,
Każda dusza ją kochała,
Nim na wieki z ziemi,
Poszła z wdzięki swemi.

(Dymitr w chęlmie wchodzi szybko i staje słuchając).

Dymitr.

Zdawało mi się że tu głos słyszałem!
Nie, własnej głowy płonne przywidzenie,
Nadaję życiem i okrywam ciałem.
Wszędzie ruina, pustka i milczenie.
Czegoż się jeszcze błąkam? jakim głosem,
Jakięj nadziei daję się uwodzić?
Byłoby godnięj walczyć niż uchodzić,
Ależ z kim walczyć? Stwórco! jakim ciosem
I czyjęj ręce dałeś mię ugodzić? (Odpina szyszak i odrzuca).
Precz z tém żelazem, już mię nie obroni;
Nikt mojęj głowie mieczów nie gotuje.
Tu nieprzyjaciel co za sercem goni,
I ziarno życia wypija i psuje.
Od jego żądła zbroja nie zasłoni.
A ty pójdź ze mną mieczu nieużyty,
Zwróćę cię rękóm które mi cię dały.

Groźny w méj dłoni i krwią wrogów zmyty,
 Dałbyś mi wieniec honoru i chwały.
 Dzisiaj niestraszny, rdzom na łup oddany,
 Pójdiesz ozdabiać ojca mego ściany. (*Spostrzega Cygankę.*)

Cyganka (która się zbliżyła).

I cóż młodzieńcze? Prawdem ci mówiła.

Dymitr.

Oh! tak, w twych słowach gorzka prawda była.

Cyganka.

Więc niéma wojny?

Dymitr (z goryczą i ironią).

Tam? tam ciche niwy

Kwitną, i wioski brzmią wesolém pieniem.

Tam rolnik w polu, a pastérz szczęśliwy

Pod starym lasów odpoczywa cieniem.

Na bujnych łąkach zboża dorastają,

I w miastach ludzie śmiało się krzątają.

Tam wszędzie pokój, nigdzie śladów trwogi (*z mocą*)

Bo wróg, odwiedził tylko moje progi.

Mój dom w ruinach, i przy grobie matki,

Dymią się jeszcze smutnych ścian ostatki.

A ich siedliska napróżno szukałem.

Pustka gdzie był ich ogród, gdzie był domek,

Gdziem ją obaczył, gdzie ją pokochałem.

Żaden gruz, żaden nie poświadczy złomek,

Że tam mieszkanie dobrych ludzi było,

Że tam kto płakał, że tam serce biło.

Dom, wieś i ogród z wiatrami rozwiane,

I głucho leży pole poorane.

Coś tam się widać bezbożnego stało. (*Chwyła Cygan-*

kę za rękę)

Co? czemuż milczysz? los mój już spełniony
Widzę: lecz powiedz, gdzie grób mojej żony?

Cyganka.

Gdziekolwiek stąpisz, wszędzie grób być może.

Chcesz więcej wiedzieć, idź zapytaj dalej;

Ztąd niedaleko płynie Bugu łoże.

Przemów do jego nieujętą fali,

Może tam dobro twoje pochowali.

Dymitr.

Tam mówisz? Słuchaj! wczoraj ją widziałem,

Na jawie, we śnie, nie wiem. Ale wdzięki

Jéj lica, bladeść okryła grobowa;

Wzrok jéj był zimny i postać surowa;

Od serca białej nie odjęła ręki,

I tak patrzała niema, niewzruszona.

Oh! co się działo w głębi mego łona! *(W tej chwili daje się słyszeć pieśń za sceną, w głębi przesuwa się postać Maryi w bieli z twarzą ku Dymitrowi obróconą).*

Lecz cóż to? *(Obraca się, postrzega cień żony i cofając się z przerażeniem chwytą rękę Cyganki).*

Patrzaj, taką... taką była

Gdy mi się wczoraj na chwilę zjawiła. *(Postać uchodzi)*

Znika. O! Boże! cóż się ze mną dzieje? *(Patrzy znowu ku tej stronie. Po chwili)*

Niema cię! byłaś snem, widziałem drogiem!

Próżno umarłą ozywiasz nadzieje!

Tys poszła z ziemi, ty przebywasz z Bogiem!

O! idź, za tobą i ja spieszyć muszę! *(Wchodzi ojciec Maryi, Cyganka ukazuje go Dymitrowi).*

Cyganka.

A tegoż widzisz?

Dymitr *(po chwili).*

Tę zboląłą duszę

Jam rozdarł. Torba, kij, ten łachman szary,

Moje to dzieło, moje to są dary,

Lecz nie chęć moja i nie moja wina.

Występek ojca jest przekleństwem syna.

I on jęj szuka; dalej starcze! dalej!

Tam wspólne dobro nasze pochowali. *(Ochodzi na bok, opiera się o drzewo i tak słucha).*

SCENA II.

DYMITR, CYGANKA, OJCIEC.

Ojciec.

Znowu śpiew słyszę, czy się znowu zwodzę.

Tu las samotny, tu szumiąca rzeka.

Już po raz drugi w to miejsce zachodzę,

Zawsze z tym głosem ucho się spotyka.

On jak płacz dziecka do méj duszy wnika.

Cyganka *(z boku).*

O! jak płacz dziecka!

Ojciec.

Któż tu? któż tu mówi?

Czy ty straszliwa? twojeż to są czary?

Cyganka.

Nie ja śpiewałam.

Ojciec.

Twojemu głosowi

Pieśń nie przystoi: już on nadto stary.

Cyganka.

Po coś tu przyszedł?

Ojciec.

Czegoż się mam wstydzić,

Powiem ci prawdę, ja do zamku idę.

Ty z mojej nędzy nie powinnaś szydzić;

Na tobie także widać wiek i biędę.

Pójdź, tam nas hojnie szczodry pan obdarzy.
 Dom mój téj nocy napadli Tatarzy.
 Wszystko co miałem, w gruzach i perzynie,
 Jeszcze się reszta mojej pracy żarzy,
 Jeszcze się można ogrzać przy ruinie.
 Wczoraj ostatnie mi umarło dziecię!
 Płakałem długo, i zasnąłem z płaczem.
 Płomień i łoskot zbudził mię o świcie,
 Ległem sierotą, powstałem tułaczem.

Cyganka.

Idź ztąd, tu cmentarz.

Ojciec.

Dokąd? w jakie strony
 Udam się? żebrak wszędzie uprzykrzony.
 Wieśniak da mało, a do łaski nieba
 Odeśle możny. Tyś żebraczka biedna,
 Nędza u nędzy niech litość wyjedna.
 Nic dziś nie jadłem, daj mi trochę chleba.

Cyganka.

Mnie już oddawna pokarmu nie trzeba,
 Żyje pamięcią i karmię się jadem.
 Uchodź ztąd starcze.

Ojciec.

Jakąś dziwną siłą
 Dwakroć w to miejsce wracam własnym śladem!
 Tu mi tak dobrze i tak sercu miło.
 Tu mi o dzieciach słodko się marzyło.
 I jam był ojcem, i ja dzieci miałem.
 Teraz już nie mam! Dziś o rannéj porze,
 Usiadłem drżący na tym pięknym brzegu,
 Myślałem, jakto musi szumić morze,
 Gdy mała rzeka w jednostajnym biegu,

W pianę się zmaca, bijąc o swe łożę.
 Wtém coś ciężkiego do wody rzucono
 Ztąd niedaleko. Wstrzęsło się jój łono,
 Aż do mnie srebrne krople jój bryznęły,
 Aż do mnie przysły koła rozpierzchnięte.
 Wkrótce spokojne fale się zamknęły,
 Odbiły niebo w czysty kryształ ścięte;
 A z moich oczów gorzkie łzy płynęły.
 Miałaś ty dzieci?

Cyganka.

Miałam.

Ojciec.

Gdzież są?

Cyganka.

W grobie.

Ojciec.

Któż ci je wydarł?

Cyganka.

Tenże sam co tobie.

Ojciec.

A dom?

Cyganka.

Zniszczony ogniem i żelazem.

Ojciec.

Pójdź biędna matko! będziemy płakać razem.
 Ale tam nie idź gdzie zbójcy zuchwali,
 Siedlisko moje objęli płomieniem;
 Tam pożar grozi śmiercią i zniszczeniem.
 Słyszysz jak belki trzeszczą, dach się wali?
 Za chwilę runie w gruzach i popiele.
 Tędy uciekaj; tam nieprzyjaciele,
 Patrz, jak ich wiele! (*Ucieka*).

Cyganka.

Błąkaj się starcze nad brzegi własnemi!
Wkrótce ten pożar co w twój głowie płonie,
W tych nurtach zgaśnie, na ich dnie ochłonie.
Tam znajdziesz pokój, jakiego na ziemi
Nie znajdzie nigdy dobry między złemi.

Dymitr (*podnosi głowę*).

Ha! to okropnie. (*Zbliża się*) Słyszysz jak tu głucho!
Ten starzec poszedł, zgasły jego kroki,
I znikł rozpaczy jego jęk głęboki,
A przecież jeszcze słyszy moje ucho
Prośbę daleką. Prośba to straszliwa,
Głos upomnienia co mię z ziemi wzywa. (*Bierze jej rękę*)
Cyganko! pomnisz, tyś mi kiedyś rzekła:
„W gorszej się jeszcze obaczym godzinie.”
Gorszej nie będzie chociaż wiek przeminie.
Gdzież jest ten balsam któryś mi przyrzekła?
Ran moich bóle wielkie, niewymowne;
O! daj lekarstwo; ale niechaj będzie
Jak gniew ojcowski prędkie i gwałtowne.

Cyganka.

Pójdź za mną. (*Odchodzi szybko*).

Dymitr.

Idę, prowadź mię szatanie,
Gdzie mię ostatnie czeka pożegnanie. (*Wychodzi*).

SCENA III.

(Ciemna sala w zamku wojewody).

WOJEWODA, (*potém*) CYGANKA.

Wojewoda (*siedzi przy stole*).

Unikam siebie i jak zwierzę raniony,
W skrwawionej piersi ból i grot unoszę. (*Odsuwa pułkar*).

Od ciebie nawet trunku przechwalony,
 Strudzonym myślom ulgi nie wyproszę;
 Łzę w tęskném oku ogień twój osuszy,
 Na lekkie rany wielka twoja siła;
 Ale nie umiesz ukołysać duszy,
 Którą na wieki zbrodnia rozbudziła.
 Z rąk mych zginęła niewinna kobiéta.
 Któż stłumić zdoła to serca wołanie?
 Zetrze te słowa, które oko czyta
 Na każdej twarzy i na każdej ścianie?
 Czemuż się dręcze? Kto wie co zasiéwa,
 Wié także jaki plon mu się urodzi.
 Jam z swego ziarna już doczekał żniwa.
 Daléj rolniku! niech cié zysk twój cieszy;
 Nie szuka życia, kto na bój wychodzi,
 Nie zaśnie więcéj, kto do zbrodni spieszy.

Cyganka (w głębi).

Nie zaśnie więcéj....

Wojewoda.

Któż tu mówi do mnie?
 Kto jesteś? po coś przeszła moje progi?

Cyganka (zbliża się).

Także to prędko zapomniałeś o mnie?
 Przypatrz się lepiéj.

Wojewoda.

Zetrzyj śmierci piętno
 Z twojego lica. Zamknij wzrok ten srogi.
 Precz, znam cié....

Cyganka.

Pomnisz tę chwilę pamiętną,
 Tę chwilę zgrozy, płaczu i zniszczenia,

Gdy prośba matki była ci natrętną,
Kiedy krzyk siwych starców pokolenia,
Nie mógł się przedrzeć do twojego ucha?
Teraz pierś moja nieczuła i głucha.

Wojewoda.

Widmo bez ciała! serca w tobie niema,
Twoje się życie oręza nie boi;
Weź inną postać, przybierz kształt olbrzyma,
Odziej się murem nieprzebitej zbroi,
Rzucę się śmiało na pociski twoje.
Lecz precz z tym wzrokiem.

Cyganka.

Pomnisz prośbę moje?

Wiatr ją unosił. Jęk mój nie oddalił
Razów, co we krwi naszej się pławiły;
Nie stłumił ognia który domy palił,
I trawił starców pozbawionych siły,
Których do reszty różgi nie dobiły.

Wojewoda (*rzuca się w krzesło*).

Okropnie!

Cyganka.

Chwila zemsty się zbliżyła.

W domu, przy tronie i u stóp ołtarzy,
Wszędzie mię znajdziesz; i na mojej twarzy
Tę łzę ognistą, co daremną była.
Będiesz samotnym. Ruina zeszepeci
Ten gmach, na którym klątwa już wryta.
Gdy jęk puszczyka uszu twych doleci,
Pomnij to głos mój który cię zapyta:
Dumny zabójco! gdzie są twoje dzieci? (*Znika*).

Wojewoda.

Byłaż to prawda? byłoż to marzenie?
 Czuję krew ściętą, serce ledwie bije,
 I głowa swemi myślami nie włada.
 Krzywda nie ginie. Ciężkie to nasienie,
 Ciężko, głęboko w rolę swą zapada.
 Choć pogrzebane w utajeniu żyje,
 Choć drobnym listkiem zwolna się wykrada,
 Gdy się raz wzmoże, gdy się w kłosa zwije,
 Grad je nie zniszczy, burza nie rozwieje,
 Zrodzi truciznę, temu co go sieje.
 „Będziesz samotnym.” Straszna przepowiednio!
 Zbudziłaś trwogę, co więcej nie zaśnie;
 Czém ją utulę, gdzie się skryję przed nią?
 Więc ten blask cały zamgli się i zgaśnie,
 I syn mój, nieba! mam jednego syna!
 I ten w rozpaczy, i to moja wina!

SCENA IV.

WOJEWODA, STEFAN, (później) DYMISTR.

Stefan.

Panie!

Wojewoda.

Tyś pobladł? prędzój, cóż się stało?

Stefan.

Spojrzyj w to okno.

Wojewoda.

Światła nad brzegami.

Co znaczą?

Stefan.

Pogrzeb.

Wojewoda.

Czyj?

Stefan.

Synowój twojój.

Wojewoda.

Czy łoże Bugu przyjąć jój nie chciało?

Stefan.

Śmierć dumnych chęci sercu jój nie wzięła.
Po zgonie dążąc do własności swojój,
Pod mury zamku twego wypłynęła;
Chciałem by w grobie ciaśniejszym spoczęła.

Wojewoda.

Żaden grób dla niój nie jest dość głęboki.
Przenikła wodę i ziemię przebije,
Rozłamie ścianę warownój opoki,
Która jój ciało zamknie i okryje.
Ciało jój schowasz, lecz jój pamięć żyje.

Stefan.

Nie teraz pora myśleć o tém panie,
Już syn twój....

Wojewoda.

Gdzież jest?

Stefan.

Spotkał żony zwłoki.

Wojewoda.

Cóż dalej? przedzój!

Stefan.

Lice miał wybladłe,

Czoło okryte nieporządnym włosem,
Oczy zmienione i pod brew zapadłe.
Długo w nią patrzył; potem cichym głosem
Kazał nieść dalej i przy matki grobie
Schować. Spieszyłem, aby cię uprzedzić.
Bądź gotów panie, ujrzysz go przy sobie,
I ujrzysz wkrótce....

Wojewoda.

Cóż mi radzisz?

Stefan.

Panie!

Chwila to będzie ciężka. Jakaż rada,
Jaka obcego namowa lub zdanie
Nauczy ojca co czynić wypada?
W swém sercu panie, znajdziesz myśl gotową.

Wojewoda.

Mam więc dokończyć moją własną głową
Coś swoją zaczął? Dobrze, tak się stanie. *(Klaszcze, dwóch
ludzi wchodzi).*
Tego złoczyńcę wtrącić do więzienia
Skoro ztąd wyjdzie. Idzie tu o życie.
Jeśli się wymknie, głową odpowiecie.

Stefan.

Cóż to ?

Wojewoda.

Zuchwałczel! tyś mię rady swemi
Skłonił, zem kłamstwem spodlił mą siwiznę;
Tyś mi dał chciwość, kazał grzebać w ziemi,
Przyrzekłeś złoto, znalazłem truciznę.
Teraz umywasz ręce, teraz skrycie
Chcesz mię odstąpić? Do zysku połowy
Musisz należeć. Los nasz jednakowy.
Gdy mój szczep zwiędnie, ty utracisz życie.
Precz, zejdz mi z oczu.

Stefan.

Pięknie i wspaniale

Płacisz zasługi. To jest wdzięczność wasza.
Lecz jeszcze słowo nim się ztąd oddalę
I pójdę na śmierć, co mię nie zastrasza. *(Dymitr wchodzi
z głębi i słucha).*

Czy rozumiałeś żem ja tobie służył?
 Starcze bez serca! gruby błąd cię zwodził.
 Tyś był narzędziem, jam twój mocy użył,
 Abym swój krzywdzie, zemście swój dogodził.
 Już jad rozpaczy syna twego truje,
 Com ja czuł on już doznaje i czuje.
 Za moje trudy on mi już nagroził.

Dymitr (*rzuca się na niego z orężem*).

Złoczyńco! teraz płacę ci raz drugi! (*przebija Stefana*).

Stefan.

Ostry masz oręż lecz mię on nie boli.
 Słodko umierać sprawcy twój niedoli.
 Próżno twe ucho czuwa na me jęki,
 Dzięki ci, dzięki! (*Kona*).

SCENA V.

DYMITR, WOJEWODA. *

Wojewoda.

Synu mój!

Dymitr.

Ojcze!

Wojewoda.

Nikczemnego sługi
 Życie, niewarte było twojej ręki.
 Wyrok był dany, na coś go uprzedził?

Dymitr.

Ojcze! wiesz dobrze, nie moja to wina,
 Żem próżno innych nieprzyjaciół śledził.
 Tatarów niéma. Moje tylko progi
 Zniszczył, spustoszył wróg mściwy i srogi.
 Znasze go ojczy?

Wojewoda.

Ja tym wrogiem byłem,
Który to mówię; ja ci wziąłem żonę,
Własnymi usty śmierć jej wymówiłem.
Mścij się swój krzywdy; ojciec twój bezbronny,
Twój oręż we krwi i do mordy skłonny.

Dymitr (*odrzuca oręż*).

Do tegoż przyszło? ciężka to godzina!
Czemuż twe serce o mnie zapomniało?
Lecz już cię niebo srogo ukarało.
Spojrzyj mój ojcze na twarz twego syna. (*Wojewoda od-
wraca się zakrywając twarz*)
Nie możesz? nie śmieiesz? wierzę; moje lice
Ma w sobie napis wyryty głęboko:
Jego myśl twoje zrozumiało oko.
On jak dym gorzki wcisnął się w źrenicę. (*Wlewa w pu-
har truciznę*)
Zetrzeć go trzeba! Ojczy! ojczy! wspomnij
Na żonę twóję. Piękność i dostatki,
Imię i dobroć, wszystko posiadała.
Byłeś szczęśliwym obok mojej matki?
A ona wielez dni pogodnych znała?
Wiele bezsennych nocy przeplakała?
Chciałżeś, mój ojczy, los i szczęście moje
Zdać na niepewne? Chciałżeś, bym po tobie
Zabrał w puściznie wszystkie walki twoje,
I twe dni w chmurnej spędzone żałobie?
I po toś stanął przy twój żony grobie,
Byś zabił moję? Więc te święte szczątki,
Pocisku z ręki twój nie wytrąciły?
Więc twych przewinień echa i pamiątki,
Ust nie zamknęły, serca nie zmiękczyły?
Miałżeś mój ojczy! miałżeś tyle siły?
Żegnam cię, żegnam!

Wojewoda.

Jakież masz zamiary?

Dymitr.

Zamiary? na to potrzeba rozumu,
 A w mojej głowie śpi ten sternik stary.
 Łódź myśli zbita falami dzikiemi,
 Błądzi samopas wśród głuchego szumu.
 Nie wiem doprawdy jakie mam zamiary.
 To wiem, że w domu i w ojczystej ziemi
 Zostać nie mogę, tu mi serce pęka.
 Wrócę tu może, jeśli czasu ręka
 Ślad okrucieństwa zetrze z twego czoła,
 A z mojej piersi tę boleść wywoła.
 Nie broń mi ojczyzny dłoni uściśnienia.
 Byłeś okrutnym dla twego imienia;
 Nim więc ztąd pójdę gdzie mi serce bije
 Ciężko i w bólu, żegnam cię i piję,
 Piję za zdrowie twego pokolenia! (*Wypija*).

Wojewoda.

Wzrok twój okropny! Synu! coś uczynił?

Dymitr.

Ten puhar ojczyzny wychyliłem do dna.
 Każ go postawić w dawnych sprzętów rzędzie;
 Już żaden wnuk twój z niego pić nie będzie.

(*Chwieje się i pada*)

O wróżko! jakżeś wierna i prawdziwa! (*Kona*).

Wojewoda.

Synu! o synu!

(*Cyganka wchodzi, staje przy Dymitrze patrząc na Wojewodę*).

Wojewoda.

Tyżes to straszliwa!
 Nie patrz tak; jasna twoich oczu mowa.
 O! nadto prędko dotrzymałaś słowa!

Wspomnienie

ALEXEGO NENDZYŃSKIEGO.

Mężowie charakteru prawego, niezachwiani w cnocie, wierni przyjaciele, światli przewodnicy, jakież żal zostawialiby po zgonie, gdyby przykład ich życia nie był bogatym spadkiem dla następców, którym sama wdzięczność z chlubą wspominać każe te szanowne imiona, i pamięć ich w najpóźniejsze wieki przenosić. W poczet tych imion zapisać należy Alexego Nendzyńskiego, którego tak prywatne jako i publiczne życie było prawdziwie wzorowém, i który jako autor, przy sprzyjających sobie okolicznościach, z nauką którą posiadał, zająłby był w literaturze naszej miejsce znakomitego filologa.

Urodził się Alexy Nendzyński dnia 14 lipca 1800 roku, w majątności rodzinnej Nendza w W. Ks. Poznańskim, powiecie ostrzeszowskim. Odebrawszy początkowe nauki pod okiem rodziców, w r. 1814 zapisany został w poczet uczniów owoczesnej szkoły departamentowej w Kaliszu, w której, po zamianie jój na wojewódzką, złożył examen dojrzałości w r. 1820, i w której przez rok następny pełnił obowiązki pomocnika uczących. Naczelna władza oświeceniem w kraju kierująca,

chcąc dopomóc Nendzyńskiemu do wyższego udoskonalenia się w nauczycielskim zawodzie, następnego roku ułatwiła mu sposobność korzystania z filologicznego wydziału w uniwersytecie warszawskim. W ostatnim roku swojego pobytu w uniwersytecie, wypracował on obszerny komentarz do mowy Cyncerona za Marcellem (*Commentarius perpetuus et plenus in orationem M. T. Ciceronis pro M. Marcello*), dotąd w rękopisie zostający, niżeli dnia 10 lipca 1824 roku, zdawszy z trzechletniego biegu słuchanych przedmiotów publiczny examin, jako magister nauk i sztuk wyzwolonych, ten tak uśmiechający się życiu przyjaciela oświaty uniwersytecki zawód opuścił, ażeby do trudów pełnego nauczycielskiego powrócić.

Ale Nendzyński już w młodym wieku nie miał odpowiedniego swoim przedsięwzięciom zdrowia. Z przyczyny słabości uwolniony na lat dwa od obowiązków służby które tylko co objął, poświęcił ten czas dwom ważnym naukowym pracom. W roku 1825 wydał przypisami i postrzeżeniami własnymi udokładniony, znany atlas do geografii starożytniej, pod tytułem: *Atlas orbis antiqui constans decem et quatuor tabulis geographicis, additis observationibus et tabulis historicis, secundum quintam editionem e Germanico Latinus factus*. W roku 1826, na zadanie wydziału nauk i sztuk pięknych król. warsz. uniwersytetu: „*Colligantur et illustrentur singulis locis propositis observationes interpretum de stylo Livii,*” odpowiedział z godłem: „*Facilius est apta dissolvere, quam dissipata connectere;*” a ta praca jego na publiczném posiedzeniu uniwersytetu, dnia 15 lipca 1826 roku, złotym medalem większym uwieńczoną została.

Od końca roku 1826, Nendzyński pełnił z najprzekładniejszą gorliwością obowiązki nauczycielskie w różnych tutejszych instytucjach publicznych. Jako zastępca profesora w liceum warszawskim, ogłosił w programie téj szkoły na rok 1829, swoją rozprawę *O przy mierzu Rzymian z Sabinami* (*).

Władza rządowa nad oświeceniem w kraju czuwająca, pragnęła męża tak odznaczającego się w swojej hierarchii nauką, odpowiednio użyć, zachęcić go, podwyższyć. Nendzyński w roku 1833 mianowany był inspektorem szkoły w Wieluniu, ale nauce jedynie oddany, tylko spokojności dla niej szukając, wołał powrócić do stopnia profesora gimnazjum w Warszawie. Jakoż niedługi nawet czas ubiegł, a okazało się, że rada i bliższa pomoc ludzi, tak jak Nendzyński doświadczonych i światłych, były potrzebą téj władzy. Nendzyński wezwany do udzielenia uwag nad wartością dotychczasowych ksiązek elementarnych, dopełnił tego w sposób najchlubniej stwierdzający przekonanie powszechne o głębokości nauki jego i prawości zdania. Objawił je tak co do samych ksiązek dotąd w instrukcyi szkolnej używanych, jako i co do sposobu dopełnienia dawniejszych, poprawienia ich lub zastąpienia innemi. Tegoż roku dokończył przekładu na język polski historyi rzymskiej Eutropiusza (*Eutropii breviarium historiae Romanae*), z bogaciwszy tę ze wszech miar ogłoszenia godną pracę, objaśnieniami historycznymi i grammatycznymi.

(*) Professor Szwaynic w swojej *Historii narodu i państwa rzymskiego*, powołuje się na tę Nendzyńskiego rozprawę. Wyznalezioną między papierami autora, z poprawami jego i dopełnieniami, ogłaszamy w piśmie naszym tém chętniej, że program szkolny, którą ją w stanie pierwotnym obejmował, dziś mało jest znany.

Gdy z mocy upoważnienia Rady Administracyjnej Królestwa z d. ^{24 kwietnia} 1834 r. ustanowiono w Warszawie Komitet Examinacyjny do oceniania uzdatnień osób ubiegających się o posady nauczycielskie w szkołach publicznych obwodowych lub gimnazyach, Nendzyński powołany był na członka stałego w tym Komitecie. Od 1837 professor literatury łacińskiej i języka greckiego w otworzonych wtedy, tak nazwanych Kursach Dodatkowych, a razem professor gimnazyum, Nendzyński i wśród tego zbiegu pracowitych obowiązków, nie rzucił trudu literata: wygotował pod wpływem możolnej praktyki grammatykę łacińską, zastosowaną do użycia w szkołach krajowych, którą dotąd w rękopisie zostaje.

Po zamianie Kursów Dodatkowych na Pedagogiczne, powierzono Nendzyńskiemu w roku 1842 wykład pedagogiki w tych ostatnich, dodając w rok później obowiązek wykładania tamże języka łacińskiego, w zamian za ulżony trud przez uwolnienie go od obowiązku profesora gimnazyum.

Zbogacony doświadczeniem i postrzeżeniami w ciągu przeszło dwudziestoletniej pracy nauczycielskiej zebraniem, Nendzyński wzięwszy w pomoc dzieła Niemeyera, Schwarza, Benekego, Fritza i innych znakomitych pedagogów tak niemieckich jako i francuzkich, nie przywiązując się jednak do żadnego z nich niewolniczo, ale za własnym przekonaniem idąc, wygotował zupełny kurs pedagogiki, odznaczający się doskonałym układem, gruntowną znajomością rzeczy i jasnym jej przedstawieniem. W upłynionym roku zaczął ten kurs na nowo przerabiać, dopełniać w zamiarze ogłoszenia go drukiem, gdy choroba a następnie śmierć, pracę jego przerwały i może pozbawiły nas dzieła, które mogłoby być najdo-

kładniejszym między stanowiącemi ten oddział w literaturze naszój.

Nendzyński odznaczał się nadewszystko prawością charakteru jako człowiek, a najsurowszą akuratnością w dopełnianiu obowiązków jako nauczyciel. Zalety te, trudne zaiste do połączenia, nie uchodziły też bacności rządu. Nendzyński otrzymywał reskrypta pochwalne, wynadgródzenia szczególne; był zaszczycony tytułem radcy honorowego. Umarł d. 9 grudnia 1846 roku. Prócz wyżej wymienionych prac naukowych, zostało jeszcze po nim mnóstwo przygotowanych materyałów do przekładu na język polski dzieł Horacyusza, Wirgiliusza, Sarbiewskiego i niektórych Cycerona.

A. W.



O PRZYMIERZU RZYMIAN Z SABINAMI.

Przypis do księgi I, rozdz. 13 Historji Rzymskiej Liwiusza.

PRZEZ

Alecego Mendzyskiego.

Chcąc dostatecznie wyjaśnić okoliczności wojny, którą Rzymianie za panowania Romulusa prowadzili z Sabinami pod dowództwem T. Tacyusza, warunki przymierza, które jój koniec położyło i sposób, jakim oba ludy w jeden połączyły się naród; osądziłem być rzeczą potrzebną zasięgnąć samego początku historyi pierwszego z tych ludów. Jeżeli bowiem jakiego narodu, tedy zapewne Rzymian, pierwiastkowe dzieje tak są ważne, iż nie zgłębiwszy ich należycie lub mylnie powziąwszy o nich wyobrażenie, ani kroku prawie nie można dalej uczynić bez popadnięcia w najgrubsze błędy. Prawdę tego twierdzenia aż nadto udowodnioną, znajdujemy w większej części dzieł późniejszych o historyi rzymskiej.

A gdy początki Rzymian są tak ważne we względzie poznania ich dalszych dziejów, dziwić się prawdziwie przychodzi, iż dotąd nie są dostatecznie wyjaśnione, zda-

je się nawet, iż dalekimi jesteśmy jeszcze od stanowczego w téj mierze rozwiązania. Rozmaite były i są może po dziś dzień przyczyny, które należytemu rozwinięciu stały na przeszkodzie. Krytyka o pisarzach historyi rzymskiej, mówi uczony Eggo, jakiej się trzymał wiek zeszły, odnosi się bez wątpienia więcj do ówczesnego stanu rzeczy, aniżeli do historyi Rzymian (1). Wiek dziewiętnasty nie rozwinął jeszcze należyte dążności i prac swoich. Wiadomo atoli, iż na początki Rzymian gruba zasłona rzuconą została przez usunięcie pierwiastku albańskiego, a przyjęcie opinii, jakoby Rzymianie od Etrusków pochodzili. Mamy zaiste najpiękniejsze prace, które zalecając się niepospolitą krytyką i całej starożytności rzymskiej prawdziwie mistrzowskim zgłębieniem, okazują dowodnie zupełną mylność nowj hipotezy: ztémwszystkiem widzimy, jak trudno jest wyrzec się swoich pomysłów, jakkolwiek bezzasadnych, ale raz utworzonych i od wielu skwapliwie przyjętych. Chociaż bowiem zasady, na których opierała się hipoteza w piérwszém wydaniu, w części sam jej autor rozrzucił i zniszczył w drugiem, nie mógł się przecież ulubionj swojjej myśli zupełnie pozbyć. Chociaż *Caere*, miasto etruskie, któremu Rzymianie mieli być winni swoję liturgiã religijnã czyli ceremonie, nie ma już tego, co dawniej, znaczenia; chociaż Tarkwiniusz Stary nie wyprowadza już rodu swojego od Etrusków, ale od Latynów; chociaż wszystko, zaczãwszy od najdrobniejszych szczegółów aż do wspaniałego Kapitolium, nie nosi już na sobie cechy etruskiego pochodzenia: mimo to jednak nie znajdujemy w tэм powtórném wydaniu (r. 1827), aby pospolita

(1) *Der Untergang der Naturstaaten*. Berlin, 1842, na str. 176.

i dawna opinia przywróconą była. Czytamy owszem na str. 183: „Gdyby badanie we względzie osady trojańskiej w Lacyum miało na celu rozstrzygnąć z historycznym do prawdy podobieństwem podług świadectw i znaków, czy ona w rzeczy samej usadowiła się na tém pobrzeżu, rozsądny badacz uchyliłby się od niego (1).” Nierozsądny więc jest zdaniem autora każdy, który usiłuje wybadać pochodzenie Rzymian! Alić jak można, bez przyzwoitego poprzednio wysłędzenia i rozwinięcia początków jakiego narodu, rozprawiać o jego instytucjach, charakterze, cywilizacyi, prawodawstwie tak religijném jako i cywilném? Niepodobna jest wtenczas dostrzedz cechy prawdziwie narodowej, ani téż pojąć i zrozumieć czyny i postęпки znakomitych mężów. Odmiany polityczne w państwie rzymskiém i cała jego historia, jak najściślejszy mają związek z charakterem pokoleń czyli pojedynczych ludów, z których się utworzył naród rzymski. Nie postrzegł tego autor hipotezy i nie postrzeże, jeżeli, jak to właśnie uczynił, odrzuci najważniejszy pierwiastek. „Zpomiedzy pisarzy rzymskich, mówi on (na str. 216), którzy nas doszli, jeden tylko Sallustyusz niewątpliwie i wyraźnie idzie za tém zdaniem, które początki Rzymu aż do czasów trojańskich odnosi, zapewne dlatego tylko, aby wystawić Romulusa i bajeczną cudowność. Charakterystyczném jest, iż on z tego powodu równie niehistoryczną osadę Eneasza za rzeczywistą uważa.” Wiele uchybił autor, że frygijski pierwiastek wyrugował: niéma bowiem pokolenia albo

(1) Römische Gesch. Berlin 1827. — Hätte die Untersuchung über die troische Colonie in Latium zur Aufgabe, mit historischer Wahrscheinlichkeit, nach Zeugnissen und Kennzeichen, zu entscheiden, ob jene wirklich sich an dieser Küste niedergelassen habe, so würde ein besonnener Forscher sie ablehnen.

raczej narodu, któryby tę przerwę zapelniał. Etruskowie odpadli. Sabinowie mają historyczną ważność, niekiedy nawet zdają się być narodem, który wraz z innym jakimś dał początek Rzymianom. „Jeżeli powstanie Rzymian z Sabinów i innego ludu można uważać za podanie godne wiary, tedy dawne rozumienie, iż po złączeniu się obywatela obu miast przeszli do dwóch *tribus*, ma przeważające do prawdy podobieństwo (1).” Według tego zdaje się, iż Sabinowie byli najgłówniejszą częścią narodu rzymskiego. Ale zważywszy znowu, co autor mówi na inném miejscu (2): „Dalej, że *tribus* odpowiadały okolicom (*regiones*) rozumieć należy i o tych miastach, które musiały przyjmować osady, i gdzie jaka okolica zaginęła, tam i odpowiadające jej *tribus* zniszczone zostało. Podobną zagubę sprawić mogła osada sabińska. Rzym mógł już przedtém być kolonią, złożoną z jednego panującego *tribus* i dwóch pomniejszych; zgasłe mogło być jedno z tych ostatnich:” zważywszy to mówię, sądzić wypada, że Sabinowie byli tylko podrzędnymi. Jakóż dowodzi tego i nieco później mówiąc (3): „Pierwsze pokolenie musiało mieć koniecznie jakąś wyższość, i to zgadza się z powszechnym biegiem historii. Tak w Kolonii (*Cölln*) piętnaście rodzin miały większe od innych znaczenie. Nazwisko *decem primi*, które w senacie Latynów, jeszcze przed wielką wojną i we wszystkich osadach i municypiach natrafiamy, okazuje bardzo naturalnie komitet z dziesięciu, z których każdy był pierwszym w swojej dekuryi. Tacy dziesięć pierwsi znajdowali się w senacie rzymskim. Byli oni zapewne ci sami, którzy po jednemu z każdej dekuryi, tworzyli *decem-*

(1) Na str. 308. (2) Na str. 310 i 311. (3) Str. 315 i 316.

wirat bezkrólewia. Wspominają także, iż przedtém sądy kryminalne były przy najczystszej pokoleniu: i jakkolwiek się istotnie ma i z tą ciemną rzeczą, bo że Tacyensowie, chociażby nawet nie mieli żadnego udziału w sądzie kryminalnym niższych rodzin, nie mogli być bez niego we względzie swoich własnych towarzyszków, o to nie masz pytania; było nawet, o czém już napomknąłem, dwóch sędziów kryminalnych: nie można jednak w tém nie upatrywać podania o pierwszeństwie wyniosłych Ramnensów.” O wyższości innego narodu nad Sabinami czytamy i na str. 340: „Między prawami pierwszeństwa, których Ramnensowie przeciw innym patrycyuszom domagać się mieli, według powieści, która zapewne wykrywa stosunek Lucerów, jest i to, ażeby obcych przyjmować jak klientów (1).” Wreszcie na str. 354, gdzie autor mówiąc o bezkrólewiu po Romulusie, tak się wyraża: „Podanie Liwiusza ściąga się do pierwszeństwa Ramnensów, i okazuje *decem primos*, dziesięciu, z których każdy był pierwszym w swojej dekurji; możemy bezpiecznie pójść za niém.” W takim położeniu rzeczy, gdy Sabinowie zdają się być raz główną i zasadniczą częścią ludu rzymskiego, drugi raz niższą i niejako podwładną; gdy dalej inny jakiś naród (którego nazwiska wcale nie znajdujemy) ma sobie przyznaną wyższość i pierwszeństwo; nie pozostaje tylko szukać tego narodu, abysmy mogli rozbroić dziwne takiego wykładu sprzeczności i przystąpić nakoniec do objaśnienia owego miejsca Liwiusza (2): „Ta okoliczność wzrusza żołnie-

(1) Dionys. Halic. II, 62, p. 123 b. θεραπεύεσθαι προς τῶν ἐτηλίδων.

(2) Liv. lib. I. 13. Movet res tum multitudinem, tum duces. Silentium et repentina fit quies. Inde ad foedus faciendum duces prodeunt: nec pacem modo, sed et civitatem unam ex duabus fa-

rzy i wodzów: następuje uciszenie i nagle spokojność. Potém wodzowie występują do zawarcia przymierza; i czynią nietylko pokój, ale i z dwóch miast jedno: łączą królestwo i wszelką władzę przenoszą do Rzymu. Gdy tak Rzym podwojony został, aby się jednak Sabinom coś dostało, nazwano ich *Kwirytami* od miasta *Kures*."

Jakiz więc może być ten naród? Chcąc go odkryć należałoby zapewne zgłębić piérwój instytucje religijne Rzymian, podać główne ich rysy, wystawić chociaż krótki, ale treściwy obraz zwyczajów i obyczajów tego ludu, nareszcie wspomnieć przynajmniej o przeświadczeniu, jakie sami Rzymianie mieli o pochodzeniu swoim i odległym podali potomkom.

Wszelkie instytucje religijne Rzymian i połączone z niemi urzãdzenia polityczne, dwojaki mają charakter. Jedne cechuje jakowaś ostrość i surowość połączona z nadzwyczajną stałościã w przedsięwzięciach, pewna dążność arystokratyczna, niczém niepohamowana, i wszystkim obrzędem religijnym towarzyszy wielka okazałość, wystawa, przepych, i że tak powiem, szumność; drugie wystawiają obraz łagodniejszy. Odznakã ich jest umiarkowanie, większa wyrozumiałość i powolność tak w zaprowadzeniu, jak i przyjmowaniu odmian w rzeczypospolitej, większa skłonność do zrównania członków całego narodu w obliczu prawa i pomoc w dźwiganiu plebejuszów. Rzućmy tylko okiem na pole historii rzymskiej, a ujrzymy na niem stałych i niezgiętych Romulów, Tulłów, Appiuszów, Horacych, obok łagodnych i łatwych Numów, Anków, Serwiuszów, Publikolów. Każdy z nich

ciunt: regnum consociant, imperium omne conferunt Romam. Ita geminata urbe, ut Sabinis tamen aliquid daretur, Quirites a Curibus appellati.

miał właściwy sobie charakter, i ten starał się wycisnąć na reszcie mieszkańców w czasie swojego urzędowania. Cecha ta polityczna każdego w szczególności, była dziełem osobnych instytucyj religijnych, obrządków, do których się poczuwał i w których był wychowany. Wiadomo jest dostatecznie, iż łagodność była główną oznaką religii sabińskiej, i że zpośrodku tego narodu Numa na tron rzymski powołany, uchodził za wychowanka Pytagorasa, który przecież później dopiero naukę swoją rozkrzewiał. Sabinowie jednem słowem, kto tylko z uwagą przebiegnie wszelkie ustawy i odmiany, jakie bądź pod rządem królów, bądź w czasach rzeczypospolitej, za ich wpływem zaprowadzone zostały, postrzeże, iż okazywali szczególną dążność do coraz większej łagodności i do zrównania praw, swobód i przywilejów. Gdy zaś obok tych charakterów widzieć się dają inne z popędem zupełnie przeciwnym, z skłonnościami wcale różnemi i odwrotnemi, przychodzi naturalnie pytać się: jakiej religii i jakich zasad byli ci, którzy ten drugi pierwiastek stanowili? Nie byli nim Etruskowie, gdyż ci, stosownie do zapatrywania się samego autora, dopiero od czasów panowania Tarkwiniusza Starego zaczynają mieć polityczne znaczenie w państwie rzymskiem. I w rzeczy samej nie byli oni tym pierwiastkiem; ich bowiem sława i wielkość zniknęły już oddawna, gdy tymczasem Rzym wznosił się z małych swoich początków. Już oni byli niedołącznym i zniewieściałym narodem, gdy Rzymianie w całej sile czerstwości i wieku występowali na scenę polityczną: już Mars nie zagrzewał Etrusków do boju, gdy Rzymianie cześć mu składali, i jego ożywieni duchem, przeciw ludom sąsiedzkim obracali zaczepny swój brzeź.

Niémasz, krótko mówiąc, ani cienia podobieństwa między Etruskami a owymi mężami rzymskimi, których imiona przytoczyliśmy wyżej.

Przebiegając baczniém okiem dzieje rzymskie widzimy, iż królowie ich co rok składali ofiary bogom w Lavinium; widzimy, iż i po zmianie zaszłej w kształcie rządu, obowiązek królów w tym względzie pełnili konsulowie, pretorowie i dyktaturą zaszczytzeni (1). Podobną cześć oddawano także wielkim bogom, *magnis diis*, i bogini ognia, Weście, która między bóstwami rzymskimi zajmowała jedno z miejsc głównych (2).

Podróże te religijne królów i najpiérwszych urzędników państwa, nie były bez wątpienia odbywane w celu przejechania się tylko i sprawienia sobie przyjemności; lecz raczej wykazują one związek religijny, jaki zachodził między jednym a drugim narodem, wykrywają powinowactwo obu tych ludów i wspólność ich pochodzenia. Czyliż te pielgrzymki roczne i ofiary składane przez naczelników rzeczypospolitój przy obejmowaniu urzędów nie są dostatecznym dowodem, iż rozpoczęcie wszelkich czynności urzędowania poprzedzić było powinno złożenie czci bogom ojczystym? Nie jest więc pónne podanie Warrona: „W mieście Lavinium, mówi on, które było piérwszym zakładem szczepu rzymskiego w Lacyum,

(1) Dionys. Halicarn. II. pag. m. 115. Non multo post, cum Romulo (ut ferunt nonnulli) profectus (Tatius) Lavinium sacrorum causa, quae reges oportebat diis patriis pro salute Urbis facere, coortis in eum caesorum legatorum amicis ac cognatis, ante aram cultrorum et veruum ictibus confectus est.

(2) Et Vestam, quam de numero Penatium aut certe comitem eorum esse, manifestum est, adeo, ut et Consules, Praetore seu Dictatores cum adeunt magistratum, Lavinii rem divinam faciunt Penatibus pariter ac Vestae. *Macrob. Sat. III, c. 4.*

są nasi penatowie (1). Jakim zaś sposobem te opiekuńcze bóstwa Samotracyi i Rzymu do Lawinium sprowadzone zostały uczy Festus. „Krytolaus powiada, iż Saon z Samotracyi razem z Eneaszem, który bogów penatów do Lawinium wprowadził, ustanowił Saliów (2).” Rozpatrując się dalej w dziejach i obrządkach religijnych Rzymian; rozbiérając ich obchody uroczyste, ich modły i ofiary publiczne; zastanawiając się nad obrzędami pogrzebów i zaślubin i nad ofiarami sprawianemi przez pojedyncze familie widzimy, że te są takie same, jakie w Lawinium, Albie i w Rzymie. Powinowactwo tych trzech ludów jest tak wielkie i oczywiste, iż nie można ich nie uważać za jeden ród rozgałęziony w tych plemionach. Są zaś nim bez wątpienia Frygijczykowie, którzy już wcześniej bardzo usadowili się byli w Italii, czego niewątpliwe ślady znajdujemy w Serwiuszu. „Powiadają, mówi on, że Korybantes jakiś przybył do Italii i osiadł w tych miejscach, pośród których jest teraz miasto Rzym, i że ludy, które od niego wywodzą swój początek, nazwano Sakranami, to jest, poświęconymi, dlatego, iż Korybanci byli poświęceni, *sacrati*, matce bogów (3).” Pomnożenie téj osady nastąpiło później przez frygijskich Trojan pod dowództwem Eneasza, którego

(1) Varro lib. IV de LL. Oppidum, quod primum conditum in Latio stirpis Romanae, Lavinium, ibi penates nostri.

(2) Festus pod wyrazem *Salios*. Critolaus Saonem ex Samothrace cum Aenea deos penates, qui Lavinium transtulerit, Saliare genus instituisse, a quo appellatos Salios.

(3) Servius ad VII. v. 796 Aeneid. *Sacrae acies*. Dicunt quemdam Corybantem venisse ad Italiam, et tenuisse ea loca, quae nunc urbi vicina sunt, et ex eo populos ducentes originem Sacranos appellatos: nam sacrati sunt matri deum Corybantes.

przybycie do Italii zaświadcza cała starożytność religijna Rzymian, a pieczęcią niejako tych świadectw jest owa powszechna wiara w narodzie, iż Trojanie dali początek miastu Lawinium, Albie i Rzymowi (1). Zwracając następnie uwagę na dążność i ducha religii i obrządków frygijskich przekonywamy się słusznie, iż jój wychowawcy co do charakteru i postępowania swojego w sprawach publicznych nie mogli być innymi, tylko takimi, jakimi nam historia wystawia Romulusów, Tullusów, Horacych i tych wszystkich, którzy pochodzili z rodu albańskiego.

„Kto tylko wolny od uprzedzenia, powodowany jedynie miłością prawdy, szczerze pragnie wysledzić pochodzenie ludu rzymskiego, ten znajduje zawsze niezliczone dowody, zdolne utworzyć w nim owo niemyślne przekonanie, iż panującym pierwiastkiem w historyi i narodzie rzymskim są Albanie. Oni stanowią ową główną część ludu rzymskiego, której Niebuhr do Rzymu, jak niegdyś Juno Eneasza i towarzyszków jego do Italii, przypuścić nie chce, i woli błądzić w ciemnościach zamętu, który raz sobie utworzył z początków Rzymian, wywodząc ich pochodzenie od Etrusków i zaprzeczając przybycie Trojan na brzegi lawińskie. „Pasterze, mówi on na str. 227, ich (Romulusa i Rema) dawni towarzysze, byli pierwszymi ich obywatelami; o Albanach, którzy się do nich przyłączyć mieli, a nawet o szlachcie trojańskiej, dawna powieść zapewne nic nie wiedziała: Juliuszowie i tym podobne familie zjawiają się dopiero po zburzeniu Alby.” Moglibyśmy tu już wyrzec nasze

(1) Gruntowną rozprawę o przybyciu Eneasza do Italii napisał dr. i prof. Szwaynic. Znajduje się w programacie Szkoły Wojewódzkiej ks. Pijarów z roku 1827.

ostateczne zdanie o jednorodności Rzymian i Albańczyków, sądząc, iż nas do tego upoważniło owo zadziwiający podobieństwo trzech ludów we względzie religijnym, któreśmy nieco wyżej przedstawili: lecz wstrzymujemy się jeszcze dla okazania piérwój, że i podanie bynajmniej nie milczy o Albanach i piérwszój klassie Trojan, którzy byli uczestnikami przedsięwzięć i zakładów Romulusa. I tak mamy naprzód niewątpliwe podanie o wychowaniu bliźniąt, Romulusa i Rema. Odebrali je w Gabiach od kapłanów latyńskich: ćwiczano ich we wszystkich naukach, które teokratom do kierowania sprawami religijnymi i politycznymi są użyteczne i potrzebne (1). Postępując dalej, podanie robi Rzymian *Wernami*. *Vernae*, mówi Festus, *qui in villis vere nati..... Romanos-vernias appellant.....* Porównawszy z tém słowa Noniusza, który powiada, iż *vernias* byli właściwie tylko ci, *qui vere sacro nati essent*, łatwo do rozumiéć się można, jakiego rodzaju był ten zakład Albańczyków w Rzymie (2). Przyczyny i okoliczności jego podaje Dionizyusz z Halikarnassu (3). „Skoro tylko Numitor po śmierci Amuliusza odzyskał naj-

(1) Zobacz *Corradini Vetus Latium, lib. I. cap. 12.*

(2) Kto chce powziąć dokładne wyobrażenie, co było *ver sacrum*, niech czyta pod tym napisem rozprawę dr. i prof. Szwaynica, umieszczoną w programmacie Szkoły Wojew. ks. Pijarów roku 1828.

(3) Dionys. Halicarn. lib. I. pag. m. 72. Defuncto Amulio Numitor quam primum instauravit imperium, vitiatamque diutina tyrannide formam reipublicae in pristinam integritatem restituit: mox cogitavit de paranda juvenibus propria ditione, novaque urbe in hoc condenda: simulque urbanam multitudinem vehementer auctam numero, minuendam censebat, semotis potissimum adversae factionis hominibus, ut liber a suspitione degeret. Itaque communicato cum juvenibus consilio, postquam et ipsi idem placuit, dat eis agros ubi educati fuerant in pueritia: populi

wyższą władzę i rzeczpospolitą z stanu bezprawia, w którym poprzednio zostawała wydobył i na dawny sposób urządził, zaraz począł myśleć o osobném dla młodzieńców (Romulusa i Rema) państwie, i o założeniu w tym celu nowego miasta. Sądził oraz, iż należało zbyteczną ludność Alby zmniejszyć przez oddalenie tych szczególnie, którzy należąc do przeciwnego stronnictwa, budzili w nim podejrzenie. Otworzywszy więc młodzieńcom swój zamiar, gdy i onym się podobał, dał im owe pola, na których się w dzieciństwie chowali i tę część ludu, która mu była podejrzaną, aby znowu kiedy nie pokuśliła się o zmianę i nowości. Pozwolił oprócz tego przyłączyć się do niej wszystkim ochotnikom, między którymi było wielu z pospólstwa, jak zwyczajnie w mieście poruszoném, i podostatkiem przedniejszych obywateli: z Trojańskiego zaś pokolenia wszyscy, którzy szlachetnością i urodzeniem celowali. Niektóre z nich familie, w liczbie około pięciudziesiąt, były jeszcze za moich czasów. Opatrzył młodzieńców w pieniądze, broń, żywność, niewolników, bydło juczne i w to wszystko, co tylko do budowania miasta było przydatne. Młodzieńcy wyprowadziwszy lud z Alby i połączywszy się z pozostałymi na górze Palancyum i około Saturnii krajowcami, podzielili cały ogół na dwie części.”

quoque suspectam partem, ne quando res novas moliretur, et si quibus sponte migrare libebat, eis attribuit. In his erat magna plebis pars, ut fieri solet in migrationibus; non pauci etiam ex optimatibus nobiles; Trojani quoque generis nobilissimi quique; ex quibus aliquot gentes ad nostram aetatem supersunt, quinquaginta ferme familiae. Acceperunt autem juvenes pecuniam, arma, frumentum, mancipia jumenta deportandis oneribus, et si quid aliud ad urbis aedificationem erat accommodum. Educto ex Alba populo miscuerunt quotquot circa Palantium et Saturniam reliqui erant indigenae, divisa in duas partes omni multitudine.

Obok tych apodyktycznych dowodów, wzięwszy na uwagę ówczesny stan polityczny Alby, który już i w przytoczoném miejscu Dyonizyusza dostatecznie wykryty widzimy, łącząc z tém podaniem inne, jakie znajdujemy porzrucane w autorach starożytnych, a mianowicie w Plutarchu o życiu Romula i w Liwiuszu, gdzie ten historyk trafny daje obraz Alby w opisie przygotowania jęj do wojny z Rzymianami i samęj wyprawy, gdy naród, a podobno samo tylko wojsko po śmierci Kluliusza obiera dyktatorem Fuffecyusza, z kąd wyraźnie się okazuje, iż panowanie kapłanów w Albie ustało; zastanawiając się dalej nad wypadkami, które zaburzyły dom panujący, i nad wydzieraniem sobie tronu przez Amuliusza i Numitora: zważywszy, mówię, to wszystko, bezstronny czytelnik i znawca nie może nie przyznać, iż w takim położeniu rzeczy, teokracya straciwszy zupełnie swoje znaczenie w Albie, musiała myśleć o nowém dla siebie panowaniu. Początkiem jego było niezawodnie założenie Rzymu pod naczelnictwem Romulusa i Rema.

Posłuchajmy także, co uczony Feodor Eggo mówi przeciw opinii Niebuhra (1): „Mniemanie Niebuhra, są słowa jego, jakoby podług dawnęj poezyi ludu żadni Albańczykowie nie przenieśli się do Rzymu, jest zupełnie dowolnie przyjęte, nie mające żadnęj zasady, oparte li tylko na podobieństwie do prawdy, które sobie sam utworzył, jest przeciwne najoczywistszym świadectwom, które każdemu są znane i których ci przypominać nie potrzebuje. Najlepięj je zaś zbijają poezye o pochodzeniu niektórych familij i pewnych rodzajów obrządków religijnych.”

(1) *Der Untergang der Naturstaaten* str. 178 i następ.

„Być to zaiste może, iż później wymyślone zostały niektóre szczegóły o pochodzeniu pewnych rodzin, mimo to jednak żadnym sposobem przypuścić nie można, iżby myty o przodkach szlachty, które w czasie, kiedy już jasne przeświadczenie zostało obudzone, i gdy zwłaszcza nie wierzono już w exystencją dawnego szlachectwa a nawet i w bóstwa, mogły zasługiwać na powszechną wiarę, były płodem saméj tylko imaginacyi i zmyślenia. Tém bardziej zaś, nie przypuściwszy zarazem, iż życie ludzkie i cała historya są tylko próżnemi marami i czczych cieniów igraszką, nie mającą w gruncie odpowiedniej prawdy rzeczywistej, nie można przyjąć tego podobieństwa, iżby opinia narodu względem najściślejszych stosunków życia mogła być zwodniczą i błędną. Dlatego ani mnie, ani tobie, przyjacielu, stosownie do naszego sposobu myślenia, poema o famalii Nautyuszów, której przodkowie, jako towarzysze Eneasza, mieli przynieść do Lacyum posąg Minerwy i za to odziedziczyć kapłaństwo téj bogini, żadnym sposobem nie może nam się wydawać płonną baśnią, nie mającą za podstawę historycznej myśli (1). Tak to, jak inne rozmaite poemata o wczesnej czci bóstw albańskich w Rzymie, do których należała i Westa, najwyższa bogini, uczą, że już najdawniejsze podania musiały mówić o założeniu Rzymu przez Albańczyków, i że właśnie dlatego już za czasów Romuła pierwiastek albański znajdował się w życiu Rzymian (2).”

Bynajmniej się także nie sprzeciwia pochodzeniu Rzymian od Albańczyków owo twierdzenie, jakoby Alba od chwili założenia Rzymu zupełnie zniknęła w historyi.

(1) Dionys. Halicarn. 1. 6. c. 69.

(2) Livius I. I. c. 7. 20. Dionys. Halicarn. 1, 2. c. 64, 65, 66.

Gdyby nawet tak było, naówczas to samo zniknięcie przemawiałoby jeszcze za tém, iż Rzym Albie winien jest swój początek. Ale i tu inaczej rzeczy się mają i Niebuhr walczy znowu przeciw wszelkim w téj mierze podaniom starożytnych.

„Jeżeli autor utrzymuje, mówi uczony Eggo (1), iż Alba zniknęła z historyi w chwili, kiedy Rzym założony został aż do czasów Tulla Hostyliusza, tedy twierdzeniu jego sprzeciwia się wprost zeznanie źródeł. W naglącej potrzebie Rzymu, dla wojny z Sabinami, Albańczykowie przysłali posiłki w ludziach, a co się tyczy losu Alby po wygaśnięciu rodziny królewskiej, to wszakże mamy dochowane w téj mierze podania, które co do istoty rzeczy wcale nie są przeciwne duchowi najdawniejszego życia politycznego miast włoskich, podług którego, jak w Grecyi każde miasto tworzyło osobne dla siebie wolne państwo, tak téż naturalnie i Alba nie zależąc od Rzymu, zostawała pod rządem obieranych przez siebie dyktatorów. Ze zresztą pod spokojnym panowaniem Numy, Alba nie ukazuje się w historyi, nie ma nic dziwnego, gdyż Rzym mało się natenczas mieszał do stosunków zewnętrznych.”

Mając takie źródła i dowody, nader zadziwiająca jest rzeczą słyszeć wołającego dotąd Niebuhra (2). „Kto szuka prawdy historycznej a przeto i związku w historyi pierwszego wieku rzymskiego, temu здаwać się musi rzeczą zupełnie niepojętą, iż Alba w chwili założenia miasta całkowicie znika. Wszakże podanie nie wspomina o pomocy miasta macierzyńskiego w grożącym niebezpieczeństwie Rzymu, ani jakim spo-

(1) *Der Untergang der Naturstaaten* str. 181 i nast.

(2) *Römische Geschichte, I. Th. 2. Ausg. Berlin 1827* str. 359.

sobem Romulus po wygaśnięciu na Numitorze rodziny Eneasza, od tego tronu został usunięty. Tu mowa i milczenie potwierdza, jakiego rodzaju jest to, co nam historją nazywają. Alba i Rzym były dla siebie zupełnie obce; w podaniu o upadku owego miasta nie panują tam żadni Silwiuszowie, tylko K. Kluliusz jako dyktator, pretor albo król.”

Że Alba i Rzym bynajmniej dla siebie obcemi nie były, wiadomo już dostatecznie. Nie podpada także wątpliwości, iż Albańczykowie posiłkowali Rzymian w wojnie ich z Sabinami. Dłuższe rozwodzenie się nad tém byłoby z ubliżeniem dla prawdy. Pomijając przeto dalsze w téj mierze uwagi, choć kilka słów powiedzieć nam koniecznie wypada, dlaczego Romulus po śmierci Numitora nie starał się o objęcie najwyższej władzy w mieście macierzyńskim.

Rozwiązanie tego zagadnienia nie jest trudne i dalekie. Aby usunąć wszelką pod tym w gładem wątpliwość, dosyć jest zwrócić uwagę na ówczesny stan Alby, na zamieszanie wynikłe ze wstrząśnienia teoarystokracji, na nową formę rządu (czego dowodem jest ów Kluliusz z niepewnym niby tytułem dyktatora, pretora czy króla), na dążność teoarystokratów, którzy w takiem rzeczy położeniu woleli już sprzyjać zupełnie ulubionemu Rzymowi, anizeli wyrodzonej Albie. Nie wypadało oczywiście Romulusowi sięgać zaraz wówczas po tron albański, bo tym sposobem byłby się zdawał uchylać zpod władzy i polityki teoarystokratów, a przeto w samym zawiązku niszczyć ich dzieło. Wszakże Alba, obaliwszy dawne formy rządu, chwiejąca się i niepewna, przedstawiała i tak niechybną z siebie zdobycz dla Rzymu, co téż w rzeczy samój nastąpiło po urządzeniu wewnętrzném

miasta i dostatecznym ustaleniu jego bytu. Dla Tulla Hostyliusza zostawionem było jęj zwycięztwo i zburzenie.

Wszystko więc za tém mówi, że pierwiastek albański jest nietylko owym szukanym i pożądanym w historii rzymskiej pierwiastkiem, ale nadto Albanie są najglówniejszą częścią narodu rzymskiego. Nie należy także powątpiewać, iż Sabinowie stanowią drugą część glówną, a trzecią ludy znane w rocznikach Rzymu pod nazwiskiem *Luceres*.

Wypada i tu odrzucić wszelkie hipotezy, które jako bezzasadne utrzymać się nie mogą, i wrócić do pospolitej opinii, której napastować nie przystało. Bądźmy więc z uczonym Eggo jednego zdania, który na str. 181 tak mówi: „Widzimy się więc koniecznie zmuszeni zostawić dawną opinią przy swojej godności i powadze, według której trzy różne pokolenia, albańskie, sabińskie i etruskie złąły się w jedno życie za Romulusa, i tym sposobem państwo Rzymskie zostało utworzone,” i t. d. Wszelkie podania są rękojmią prawdziwości tej opinii. Gdyby jednak przyszło wykazać szczegółowo okoliczności i środki, które sprawiły połączenie tych trzech pokoleń; należałoby piérwój wysledzić i oznaczyć z pewnością topograficzne położenie każdego z osobna ludu, którego były częstkami; roztrząsnąć dokładnie wszelkie wiadomości, jakie nas o nich doszły; rozgatunkować rozmaite drobne osady, zamieszkałe około góry Palancyum i Saturnii; zgłębić nareszcie myty i podania religijne. Lecz to nie wchodzi do zamiaru naszego, ten bowiem ogranicza się tylko wykazaniem ściślejszego zjednoczenia się Albańczyków z Sabinami.

Dostrzedz można, że te dwa ludy w albańskim Rzymie wcześniej już bardzo dążyły do utworzenia jednego na-

rodu; ale stosunki, w jakich jeden względem drugiego zostawał, nie są bynajmniej oznaczone i trudno w tym razie odezwać się głosem wyroczni. Jeżeli zaś z jednej strony niełatwo jest odgadnąć i rozwiązać węzeł, który je później łączył, tedy z drugiej śmiało twierdzić można, iż widoki jakie nam autor w ostatnim swoim rezultacie przedstawił, wcale nie są zaspokajające. Opinia, jakoby Sabiniowie mieszkali w *Quirium*, Rzymianie (czy jakby ich tam nazwać) w Rzymie (*Roma*), nie ma żadnej zasady i pewności: jest przeciwna podaniom i świadectwom starożytnych, które wcale co innego wskazują.

„Nierównie ważniejszém od Rzymu,” mówi autor na str. 299 i nast. „było miasto na wzgórku, który dawniej agoniskim zwano, bo *arx* jego uważać można za kapitolński... Jeżeli szukać będziemy właściwego nazwiska tego miasta, tedy sądzę, iż bez namysłu przyjąć można, że niem było *Quirium*, gdyż obywatele jego nazywali się *Quirites*. Wywód od *Cures* idzie źle, a od *quiris* wcale nie; późniejsze nazwisko góry *Quirinalis*, poszło od imienia miasta.”

Wolno jest tworzyć domysły w rzeczach ciemnych i zawikłanych: wiemy o tém i znawcy chętnie je przyjmują. Ale czyliż znaczenie samo wyrazu nie okazuje, iż to, czego chcemy, ma być wyprowadzone z pewnego, że tak powiem, fundamentu i materiału, a nie zaś czystym tylko utworem imaginacji i zmyślenia? A wszakże hipoteza Niebuhra o mieście *Quirium* ma właśnie ten ostatni charakter. Dlatego téż wątpić należy, aby pozyskała jakich zwolenników. Zgodzą się zaiste wszyscy, iż *Quirites* ani od *Cures*, ani od *quiris* wywodzić nie należy, bo nazwania te mają początek wyższy i źródło daleko szlachetniejsze, niż wielu dotąd mniemało. Ale na to

podobno nie tak łatwo przystaną, iż późniejsze nazwisko góry *Quirinalis* poszło od *Quirium*. Dosyć jest otworzyć *Festa*, aby się przekonać o mylności tego zdania; a lubo i on przytacza pospolite mniemanie, zaraz przecie dodaje i drugie, które odpowiada zupełnie i duchowi owych czasów i wyobrażeniom religijnym, o ile starożytni lubili nadawać miejscom imiona bóstw, którym szczególną cześć wyrządzali. Sam nawet skład wyrazu jak jest przeciwny tamtemu zapatrywaniu się, tak zupełnie odpowiada drugiemu źródłosłowowi, który *Festus* przytacza: „Pagórek Kwirynalski (1), mówi on, dlatego tak nazwany, iż Sabinowie, którzy przybyli z miasta *Kures*, na nim osiedli: chociaż inni mniemają, iż nazwisko to wzięt od świątyni Kwiryne.” *Festus* więc zupełnie jest przeciwny mniemaniu *Niebuhra*, a jak odrzucić należy to, co przytacza o Sabinach z *Kures*, tak znowu przyjęt trzeba drugie zdanie, które jedynie jest prawdziwe. Jeżeli tak, miasto *Quirium*, dowolnie utworzone, w żaden sposób utrzymać się nie może, tém bardziej wniosek, który czytamy na str. 301: „*Roma* i *Quirium* były dwa miasta zupełnie osobne, jak greckie i hiszpańskie *Emporiae*, oddzielone jako narody i murem: jak Fenickie *Tripolis* Sydończyków, Tyryjczyków i Aradyów, jak w średnich wiekach Stary i Nowy Gdańsk i trzy niepodległe miasta Królewca, które stykając się murami, wojnę między sobą prowadziły: jak Getulickie *Gadames*, od dwóch nieprzyjaznych sobie pokoleń, przedzielonych wprawdzie, ale w obrębie tych samych murów zamieszkałe.” Że taka podwójność istnieć nie mogła, okazał już dostatecznie

(1) *Festus*. Quirinalis collis dictus est, quia in eum commigraverunt Sabini Curibus venientes: quamvis alii a templo Quirini dictum putent.

uczony Eggo (1). I inne domysły Niebuhra nasunięte w miejsce dowodów nie są tego rodzaju, aby mogły za sobą pociągnąć przekonanie znawców. Ważniejsze z nich są: „Gdy oba miasta równością połączone zostały, na ulicy od Kwirynalu do Palacyum wybudowały niejako bramę podwójnej granicy, przedzielającej ich terytorya, podwójnego Janusa, ku każdemu miastu jedną bramą obróconego. Stał otworem w czasie wojny, ażeby jedno od drugiego pomocy zasięgać mogło; zamknięty w pokoju, bądź dlatego, aby nie dopuścić zbytniego z sobą przestawania, zkąd mogły wynikać kłótnie i utarczki, bądź jako symbolum połączonej rozdzielnosci. Oddzielność obu miejsc należało oznaczyć przez *viam sacram*, która spuszczać się z pagórka Welia, idzie między Kwirynalem i właściwym Palatynem, a potem nieco w bok między tą i Kapitolińską górą aż do świątyni Westy, zkąd obracała się w poprzek przez *Comitium* ku bramie Palatynu. Zdaje się, iż była przeznaczoną do zobopólnych ofiar.”

„Przypomnieniem dwoistego królestwa był podwójny tron, który Romulus zatrzymał po śmierci Remusa (2). Jako symbolum dwoistego państwa można tak-

(1) *Feodor Eggo. Der Untergang der Naturstaaten* p. 192. Dass nämlich die alten Hetruscer und die Sabiner noch lange Zeit hindurch zwei verschiedene Staaten gebildet hätten, für diese Vermuthung wird auch nicht der geringste Schein eines erfahrungsmässigen Beweises aus Zeugnissen der Geschichtschreiber durch Niebuhr geliefert, noch lässt sich ein solcher Beweis überhaupt führen. Beispiele von Königsberg hergenommen, können aber natürlicherweise auf das alte Rom keine Anwendung finden. Da also weder irgend eine Begründung jener Ansicht dargeboten wird, noch auch sich anderswoher findet, so ist nichts vorhanden, wogegen man streiten kann.

(2) Servius ad Aen. I. 276.

że uważać, jak już starożytni czynili (1), głowę Janusa, wytłaczaną od najdawniejszych czasów na assach rzymskich, gdzie okręt odnosi się do tyreńskiego panowania na morzu (2).”

Lubo już dla tego samego, iż dwoiste królestwo w dwóch oddzielnych miastach nie istniało, powyższe domysły upaść muszą, nie zawadzi jednak rzucić jeszcze kilka uwag względem Janusa, drogi świętej, owego podwójnego tronu, który Romulus po śmierci Remusa zatrzymał.

Janus był jedném z najdawniejszych bóstw italskich; był współnikiem rządów Saturna, i w nim wielka liczba narodów Italii uważała swojego prawodawcę. Był zaś szczególnież bogiem Lacyum. „Pierwszego dnia stycznia, mówi Korradyn (3), obchodzono w Lacyum uroczyste

(1) Servius ad Aen. l. 294.

(2) Niebuhr Röm. Gesch. 2te Ausg. pag. 302 sq.

(3) *Corradin.* Vetus Latium. T. 1. pag. 329. Hujus (Januarii) Calendis solemne fuit in Latio Jani festum, in quo erant vetustissimae Jani aedes Laurenti et Albae.— Verumtamen et Bifrontem Janum priscos Latinos in aedibus laudatis coluisse constat, et meminit Virgilius lib. 7 Aeneidos his versibus:

Mos erat Hesperio in Latio, quem protinus urbes
Albae coluere sacrum, nunc maxima rerum
Roma colit, quum prima movent in proelia Martem:
Sunt geminae belli portae (sic nomine dicunt)
Religione sacrae, et saevi formidine Martis.

His carminibus Poëta prodidit Laurenti fuisse aedem Jano Bifronti sacram. I na str. 331. Quin Virgilius eodem lib. 7 Aeneidos Regiam Pici Latinorum Regis describens, ejusque Progenitores, ita canit:

Quin etiam veterum effigies ex ordine avorum
Antiqua ex cedro, Italusque, paterque Sabinus,
Vitisator, curvam servans sub imagine falcem,
Saturnusque senex, Janique bifrontis imago,
Vestibulo adstabant, aliique, ab origine reges,

quo fit eundem, uti Donatus ibidem perhibet, Janum bifrontem Laurenti cultum putasse.

święto Janusa, którego najdawniejsze świątynie były w Laurencie i w Albie.... Dawni Latynowie czcili go w tych świątyniach z dwiema twarzami, o czém wspomina i Wirgili w księdze VII Eneidy, mówiąc:

Był zwyczaj w hesperyjskiém Lacyum przyjęty,
Czcili albańskie miasta ten obrządek święty:
Dziś Rzym, pan świata, przyjął za prawo swoje.
Czyto, gdy Getom niesie opłakane boje,
Czy Hyrkanom, Arabom, czy mężne orszaki
Wiedzie na Wschód, i Partom każe wrócić znaki.
Dwoiste są drzwi wojny, otacza je trwoga,
Którą świętość i groźba technie straszne Boga.

Dmochowski.

W tych wierszach okazuje poeta, iż w Laurencie miał świątynią Janus z dwiema twarzami.

W téj saméj księdze VII Eneidy, Wirgiliusz opisując pałac Pikusa, króla Latynów i posągi jego przodków, tak śpiewa:

Z cedru posągi dziadów w przysionku świątnicy:
Italus, ojciec Sabin, zaszczepca winnicy.
Luba mu kosa w życiu i w obrazie dana,
Stary Saturn, i postać dwuczelnego Jana.

Dmochowski.

Był przeto i Wirgili, jak Donat uważa, tego rozumienia, iż w Laurencie czczono Janusa z dwiema twarzami. Gdyby więc Janus podwójny, jak go Niebuhr nazywa, który był i poczwórny (1), miał mieć polityczne

(1) Servius ad lib. VII. Aeneid. v. 607. *Sunt geminae belli portae.* Sacrarium hoc Numa Pompilius fecerat circa imum Argiletum, juxta theatrum Marcelli, quod fuit in duobus brevissimis templis. Duobus autem propter Janum bifrontem. Post ea captis Faliscis civitate Thusciae, inventum est simulacrum Jani cum frontibus quatuor. Unde quod Numa instituerat, translatum est ad forum transitorium et quatuor portarum unum templum est institutum. Janum sane apud aliquos bifrontem, apud aliquos quadrifrontem esse non mirum est: nam alii eum diei dominum volunt, in quo ortus est et occasus. Hortat. *Matutine pater seu Jane libentius audis.* Alii anni totius, quem in quatuor tempora constat esse divisum. Anni autem esse Deum illa res probat, quod ab eo prima pars anni nominatur: nam a Jano Januarius nuncupatus est.

znaczenie w Rzymie, musiałby je mieć dla téj saméj przyczyny i w Laurencie i w Albie i w całym Lacyum. Nikt przecież nie śmiałby utrzymywać, iż każde z tych miast składało się z dwóch państw oddzielnych, dlatego, że Janus z dwiema twarzami miał w nich swoje świątynie.

Nie ma téż podobieństwa do prawdy owo mniemanie, jakoby droga święta stanowiła mur przedzielający te dwa miasta i ludy, bo to, co nam Festus w téj mierze podał, ma wcale inne brzmienie, i okazuje właściwie czém ona była i dlaczego ją tak nazywano (1). „Jedni utrzymują, mówi on, iż droga święta od tego była nazwaną, że na niéj zawarte zostało przymierze między Romulem i Tacyuszem: inni dlatego, iż kapłani udawali się nią do Kapitolium dla sprawienia Jowiszowi ofiar zwanych *idulia*. Nietylko więc ta jéj część, jak pospólstwo rozumie, ma być nazywana świętą, która idzie od pałacu królewskiego do domu króla nad ofiarami, lecz i ta, która od domu króla do kaplicy Strenii i znowu od pałacu królewskiego aż do Kapitolium. Nie powinna się téż nazywać, jak twierdzi Werryusz złącznie, ale rozłącznie, tak, jak inne drogi, Flamińska, Appijska, Latińska, tak dalece, iż nawet nie należy mówić Nowa-droga, ale nowa droga.” Mamy więc w najdrobniejszych

(1) *Festus*. Sacram viam quidam appellatam esse existimant, quod in ea foedus ictum sit inter Romulum ac Tatium: quidam, quod eo itinere utantur sacerdotes, idulium sacrorum conficiendorum causa. Itaque ne eatenus quidem, ut vulgus opinatur, sacra appellanda est a regia ad domum regis sacrificuli, sed etiam a regis domo ad sacellum Streniae et rursus a regia usque in arcem. Nec appellari debere ait Verrius, sed disjuncte, ut ceteras vias, Flaminiam, Appiam, Latinam, ut ne Novamviam quidem, sed novam viam.

nawet szczegółach opisane znaczenie drogi świętej. W tym jednakże opisie nie znajduje się nic takiego, co by mogło służyć na poparcie opinii Niebuhra.

Tów tron podwójny Romulusa nie ma téj myśli, jaką autor do niego przywiązuje: niepodobna téż wydobyć ją z przytoczonego podania Serwiusza (1). Tron ten jest, albo allegoryczny, o ile Romulus i Remus były dwa indywidua, do których wiążą się wyobrażenia astronomiczne, albo historyczny, uważając, że Romulus i Remus, wychowani w Gabiach, założywszy miasto Rzym, mogli rzeczywiście panować razem. Znajomi starożytności nie znajdują tego bezprzykładném w rzeczach pospolitych teoarystokratycznych, w których często widzieć można rządy dwóm królom powierzone, a nawet i w Rzymie później tak było, iż dwaj konsulowie na wzór Romulusa i Rema najwyższą władzę sprawowali. Ale trudno jest oczywiście dzielić autora zdanie względem Romulusa i Rema. „Remus i Romulus, mówi on, są tylko dwie formy jednego imienia: Grecy na odgłos powieści o bliźniętach, wybrali pierwsze imię zamiast mniej brzmiącego Remus (2).” Romulusa i Rema brać historycznie za dwie formy jednego imienia, sprzeciwia się wszelkim w téj mierze podaniom starożytnym, jakie tylko czasów naszych doszły. Moznaby ich wprawdzie uważać za jedno indywiduum, ale naówczas trzeba się z nimi odnieść

(1) Servius ad Aeneid. I. v. 276. *Romulus excipiet gentem. Remo scilicet interemto: post cuius mortem natam constat pestilentiam, unde consulta oracula dixerunt, placandos esse manes fratris extincti. Ob quam rem sella curulis cum sceptro et corona et ceteris regni insignibus semper juxta sancientem aliquid Romulum ponebatur, ut pariter imperare videretur: unde, et Remo cum fratre Quirinus Jura dabunt.*

(2) Niebuhr *Römisch. Gesch.* str. 304.

do wyobrażeń astronomicznych, biorąc *Roma* czyli *Re-*
ma za słońce zimowe zawarte w Romulusie, słońcu ca-
 lego roku. Jednak nie należy w ten sposób tłumaczyć
 ów tron podwójnego królestwa. Wszelkie zatem domy-
 sły, podane przez autora dla utrzymania hipotezy (jeżeli
 się tak nazwać godzi) o oddzielném mieście *Quirium*
 ostać się w tym charakterze nie mogą; służą one raczej
 do poparcia dawnéj opinii, i ta jest jedna, za którą idąc,
 można zrozumieć i objaśnić zlanie się różnych pokoleń
 głównych w jeden naród rzymski.

Choć zaś przeciw *Quirium* Niebuhra wszystko mó-
 wi, nie idzie jednak za tém, żeby połączenie Sabinów
 z Rzymianami nie miało nastąpić; a jeżeli historia tego
 połączenia więcej podpada wątpliwości, niż inne poda-
 nia owych czasów, to pochodzi ztąd, iż zapewne mniej
 była połączona z podaniami religijnemi (1). Mówimy tu
 o zjednoczeniu, które nastąpiło za porwaniem Sabineek.
 Znaleźli się autorowie, którzy ten cały wypadek do wąt-
 pliwości policzyć chcieli. Jest bowiem podanie, jakoby
 wojna ta była pośrednim skutkiem niedostatku kobiet.
 Nie można przecież sądzić, żeby familiom rzymskim pa-
 trycyuszów odmówioną była wolność zawierania zwią-
 zków małżeńskich z podobnymi sobie w Lacyum, Albie
 i między Sabinami. Dowodem jest mowa Fuffecyusza,
 dyktatora albańskiego, który u Dyonizyusza z Halikarnas-
 su tak mówi (2): „Ród Albańczyków, jaki był pod zało-

(1) *Histoire Romaine* par A. E. de Zinslerling. pag. 113.

(2) Dionys. Halicarnas. III. pag. m. 146 sq. Albanorum genus
 quale olim sub Urbis conditoribus fuit, tale usque ad nostra tem-
 pora permansit, nec ulla ostendi hominum natio potest, praeter
 Graecos et Latinos, quae jus civitatis apud nos adeptae sit. At vos
 exquisitum reipub. genus apud vos corrupistis, Etruscis et Sabinis
 in eam receptis, aliisque multis barbaris sine lare vagantibus:

życielami miasta, takim do naszych czasów pozostał, i niemasz żadnego pokolenia, prócz greckiego i Latynów, którebyśmy prawem obywatelstwa nadali. Wy zaś najprzedniejszy rodzaj obywateli skaziliście przyjęciem do siebie Etrusków i Sabinów i bardzo wielu innych wygnańców i tułaczów obcych, tak dalece, iż mało jest u was rodowitych Alban, którzy od nas wyszli; liczba zaś cudzoziemców i przychodniów jest nierównie większa. Jeżeli więc ustąpimy wam pierwszeństwa, podejrzanego urodzenia nad szlachetnymi, cudzoziemcy nad greckim pokoleniem, przybysze nad krajowcami panować będą. Nie możecie albowiem powiedzieć, żeście usunęli przychodniów od urzędów publicznych, i że sami tylko rodacy władacie rządzoną: owszem wy nawet królów obieracie z pomiędzy cudzoziemców i większa część senatu waszego z przychodniów jest złożona. Ale rzeczenie zapewne, iż to wszystko dzieje się mimo woli waszój; któryż bowiem dobry pozwala chętnie przewodzić nad sobą gorszemu? Wielkiem zaiste byłoby szaleństwem i niegodziwością, gdybyśmy sami dobrowolnie przyjęli to co wy, jak powiadacie, jesteście przymuszeni znosić.

ita ut germani generis nostri exiguus apud vos sit numerus, multipliciter superantibus exteris et adscititiis. Itaque si vobis principatum cesserimus, germanis praeerunt supposititii, Graecanicis barbari, indigenis adscititii. Non enim potestis dicere, quod advenarum turba exclusa ab administratione reipub., ipsi indigenae retinueritis civitatis gubernacula: imo etiam reges creatis peregrinos, et senatus major pars constat ex advenis: quorum nullum dicatis contigisse vobis volentibus. Quis enim potior sponte ferat deterioris imperium? Magnae igitur insaniae et improbitatis fuerit, quae non potestis negare vos pati coactos, ea nos sponte admittere. Postrema ratio est, quod in Albana civitate, nulla civium pars in reipub. forma quidquam mutat; sed jam per octodecim aetates, ex quo condita est urbs, patrias consuetudines omnes decenter observat.

Ostatnia nareszcie przyczyna jest ta, iż w rzeczypospolitej albańskiej żadna część obywateli bynajmniej się nie kusi o zmianę w formie rządu; ale przez ośmnaście już wieków, jak miasto założone stoi, wszystkie zwyczaje ojczyste należycie zachowuje." Mowa ta jakkolwiek ma charakter krasomowski, wykrywa jednak dowodnie jakimi byli Albańczykowie w udzielaniu obcym praw obywatelstwa, i że nie wolno im było zawierać ślubów małżeńskich ze zbiegami i tym podobnym rodzajem ludzi. Ten zwyczaj i to prawo wspólne im było z innymi narodami, a tém samém i z Sabinami. Sami nawet rodowici Rzymianie nie spokrewniali się z temi, którzy im pochodzeniem a przynajmniej prawami obywatelstwa nie byli równi. Mając na uwadze te okoliczności, łatwo jest pojąć, dlaczego naród, który, oprócz Alban pochodzących z krwi trojańskiej, był wreszcie mieszaniną ludzi różnego gatunku, których do niego zwabiło utworzone *asylum*, w zawieraniu związków małżeńskich doznawał trudności a nawet i zupełnego odmówienia. Nic przeto dziwnego, iż Rzymianie udali się w téj mierze do gwałtu, i czego prośbami nie mogli, tego przemocą dokazali. Nastąpiło porwanie kobiet; i zdaje się być rzeczą niezawodną, że porwane były właśnie z owych narodów, które Liwiusz wymienia. Wypadek ten potwierdza szczególnie owa różność pokoleń składających ludność Rzymu. Upada tu wszelki zarzut, jakiby mogli uczynić ci, którzy w Rzymie nie chcą widzieć, tylko jaskinię łotrów. Powyższe rzeczy wystawienie dostatecznie, jak nam się zdaje, wykazało, komu właściwie Rzym winien swój początek i od kogo istotnie zależał jego kierunek. Wszakże, gdyby ich zdanie było prawdziwe, Rzymianie nie mieliby

uroczystości religijnych; nie obchodziliby Konsualiów, a przeto nie byłaby nastąpiła i owa pielgrzymka ludów. W starodawnych wiekach podobne uroczystości były wspólne wielu narodom. Ze sąsiedzkie ludy mimo gniów Rzymian przeciw sobie, nie obawiały się jednak udać na ogłoszone igrzyska, to pochodziło ztąd, iż pod tarczą opiekuńczego bóstwa na którego uroczystość przybyły, sądziły się bezpieczne od wszelkiej krzywdy. Atoli potrzeba zgwałciła prawa narodów i świętej gościnności. Ztémwszystkiém zemsta i zadosyć uczynienie, jakich za ten postępek na Rzymianach poszukiwano, zdają się usprawiedliwiać owo zdanie, że wojna ztąd wynikła nie była wojną całych narodów przeciw narodowi, ale iż raczej obrażone tylko familie, uniesione pierwszém wrażeniem niesprawiedliwości, porwały się do oręża. Dlatego też niéma jedności w ich planie i działaniu. Wysuwają się naprzód Ceninowie, potem Antemnaci, następnie Krustuminiowie a nakoniec Sabinowie. Ztąd owe łatwe nad nimi zwycięstwa Romulusa. Z ostatnimi tylko trudną była rozprawa, zktąd wnosić wypada, że i uraza była większa i liczba porwanych Sabineek znaczniejsza. Być nadto może, iż i ci Sabinowie, którzy już przed tém zdarzeniem połączeni byli z Rzymianami, nie mając jeszcze zadowalającego uczestnictwa w sprawowaniu rzeczypospolitej, podzegli w tém przedsięwzięciu obrażonych ziomków, aby potem, gdy nadejdzie czas pojednania i połączenia się dwóch ludów w jeden naród, mogli uzyskać dla siebie pomnożenie przywilejów i większe znaczenie w senacie. Zdaje się albowiem, iż niektórzy patrycyuszowie sabińscy należeli już przed rozpoczęciem téj wojny do senatu, i że nawet jak z jednej strony przypisać należy téj okoliczności bój zacięty

i niepewny, tak z drugiej ścisłejsze związki między temi dwiema pierwiastkami. Jakoż po obustronném wysileniu, po wielkich niebezpieczeństwach dla Rzymu, stanął nareszcie pokój pod warunkami wyżej z Liwiusza przytoczonymi, które potrzebują jeszcze objaśnienia.

Że pierwiastek sabiński nabrał odtąd wiele znaczenia, wątpliwości nie podpada. Dowodem tego pomnożenie jego członkami senatu rzymskiego (1), przypuszczenie T. Tacyusza, ich wodza, do uczestnictwa rządów i ofiar; dowodem cześć bogów sabińskich, która teraz publicznie do Rzymu zaprowadzoną została (2).

Atoli jakkolwiek te dwa ludy więcej się teraz do siebie zbliżyły i mocniejszym spoity węzłem, nie można przecież rozumieć, iżby Sabinowie mieli już odtąd zupełnie zrównoważyć pierwiastek albański. Są bowiem dowody, że jeszcze i po tym wypadku byli ludem podrzędnym. Bezkrólewie po Romulusie i panowanie Numy

(1) Dionys. Halicarn. II. pag. m. III. Jamque ordinatis rebus visum est regibus, quando turbae multitudine magnopere crevisset civitas, duplicare patriciorum numerum, aequali numero e novis incolis ad priores familias illustres adlecto, quos patricios vocarunt. Atque ita ex his centum viros curiarum suffragiis electos ad veterem senatorum numerum adscripserunt.

(2) Dionys. Halicarn. II. pag. m. 114. Exstructis quoque templis aras consecraverunt diis quibus in pugna voverant; Romulus, Jovi Statori, apud portam Mugoniam, quae in Palatium e via sacra ducit, quod Deus exauditis ipsius precibus, exercitum fugientem stare fecisset, et uti viribus: Tatius vero, Soli et Lunae, Saturno et Rhaeae, praeterea Vestae et Vulcano, Dianae et Quirino, aliisque diis quos nominare Graecis non est facile. In omnibus etiam curiis mensas Junoni Quiritiae posuit, quae ibi sitae sunt nostro quoque tempore. Ofr. et S. Augustinus *de Civitate Dei*, IV. 23. Ut quid ergo Romulus constituit Romanis deos, Janum, Jovem, Martem, Picum, Faunum, Tiberinum, Herculem et si quos alios? Ud quid T. Tatius addidit Saturnum, Opem, Solem, Lunam, Vulcanum, Lucem, et quoscunque alios addidit. etc.

zdają się potwierdzać tę podrzędność, a Serwiusz niewątpliwie zachował nam o niej podanie w przypisie do Eneidy Wirgiliusza, księgi VII w. 709: „Po porwaniu Sabine (1), mówi on, i zawarciu przymierza między Romulusem i T. Tacyuszem, Sabinowie przyjęci zostali do miasta, pod tym jednak warunkiem, aby używali wszelkich praw obywatelstwa rzymskiego, oprócz głosowania: albowiem nie należeli do wyboru urzędników wyższych.”

Podanie to jest nader ważne: rzuca ono wielkie światło na ówczesne stosunki między temi dwiema pierwiastkami, wykrywa w jakim stopniu nadane było Sabinom prawo obywatelstwa rzymskiego. Taka zaś podrzędność nie sprzeciwia się bynajmniej, aby z pomiędzy Sabinów nie mieli być wybierani członkowie senatu, jeżeli tylko zechcemy dostatecznie zrozumieć attrubucye i władzę tego zgromadzenia. Z podaniem Serwiusza połączyć należy i drugie, które nam przekazał Plutarch w życiu Romulusa: „Królowie, mówi on, nie zaraz wspólnie się z sobą naradzali, ale w początkach każdy z swoimi stoma osobne miewał narady, potem dopiero wszyscy razem się zgromadzali (2).” W żaden zaś sposób z wyrazów tych nie można tworzyć domysłu o oddzielném mieście *Quirium*, jak to zrobił Niebuhr, ani téż, „że każde miasto miało swojego króla i swój senat ze stu mę-

(1) *Postquam in partem data Roma Sabinis. Hoc de alia traxit historia. Nam post Sabinarum raptum et factum inter Romulum et T. Tatium foedus recepti in urbem Sabini sunt, sed hac lege, ut in omnibus essent cives Romani, excepta suffragii latone, nam magistratus non creabant. Servius.*

(2) Plutarch in Vita Romuli Ἐβουλεύοντο δὲ οἱ βασιλεῖς οὐκ ἰθὺς ἐν κοινῷ μετ' ἀλλήλων, ἀλλ' ἑκάτερος πρῶτον ἰδίᾳ μετὰ τῶν ἑκατῶν, εἶτα οὕτως εἰς ταυτὸν ἅπαντας συνήγον.

zów (1).” Chociaż bowiem Plutarch czyni wzmiankę ni-
by o radzie stu, to wiadomo już, jak ją rozumieć trzeba;
ale nigdzie nie znajdujemy skinienia, aby obok Rzymu
drugie miasto exystowało, o co właściwie idzie. Że
stosunki Sabińczyków względem Rzymian nie były je-
szcze dostatecznie rozwinięte, i polityczne ich znaczenie
jeszcze niezupełnie umocowane, dowodem owo długie
bezkrólewie po zejściu Romulusa, spory i utarczki dwóch
pierwiastków względem wyboru nowego króla (2), któ-
re wreszcie na tém się skończyły, iż oba ludy wezwały
do tronu tego, który był więcéj, aniżeli tém, czego stro-
ny życzyć sobie mogły, bo był zwolennikiem nauki Py-
tagoresa i za ucznia jego uchodził. Numa przez bezinte-
resowne swoje pośrednictwo, i jako mniemany uczeń
Pytagoresa, zjednoczył wyraźnie te dwa pierwiastki, jak
świadczy Festus. *Vernae*, są słowa jego, *qui in villis ve-*
re nati, quod tempus, duce natura, faecture est: et hunc
rem divinam instituerit Marti Numa Pompilius, pacis
concordiaeve obtinendae gratia inter Sabinos Romanos-
que, ut vernae vincerent. Romanos enim vernas appella-

(1) Niebuhr. Röm. Gesch. pag. 301.

(2) Dionys. Halicarn. II. pag. m. 123. Post Romuli obitum cum
per integrum annum penes senatum esset potestas publica, ipsi
inter se patres dissidere coeperunt ac de praerogativis et aequa-
litate contendere; dum Albani generis patres, ex iis qui cum Ro-
mulo coloniam deduxerant electi, tam in sententiis dicendis, quam
in capiendis honoribus praerogativam sibi usurpant, et obsequium
a noviciis postulant; nihil concedentibus iis qui posterius in pa-
trum ordinem e novis colonis adscripti erant, et par honorum ac
ceterorum commodorum jus sibi vindicantibus, praecipue vero
Sabinis, qui ex foedere inter Romulum et Tatium inito, civitatem
sibi ex aequo cum antiquis urbis habitatoribus communicatam
esse dictitabant... *Numa* patricium ordinem pacavit, dum priori-
bus nihil ademit eorum quae a condita urbe fuerant adepti, et no-
vellis colonis alios honores attribuit *ἐτέρας τινας ἀποδοῦς τιμάς*.

bant, id est, ibidem natos, quos vincere perniciosum arbitrium Sabinis, qui conjuncti erant cum populo Romano. To tak ważne miejsce stanie się zagadką niepodobną do rozwiązania, jeżeli przypuścimy, że Sabinowie już pod panowaniem Romulusa zrównali się zupełnie w znaczeniu z Rzymianami. Widać usiłowania czcicieli Wulkanu, widać dążność i zwolenników Marsa: i lubo równość praw dwóch pierwiastków już od Numy datowaćby można, supremacya przecież Albańczyków i tu się jeszcze postrzegać daje. Sam Numa przez ofiarę (o której prosta tylko mamy wzmiankę) sprawioną dla Marsa, przyznał pierwszeństwo temu pokoleniu, któremu jedynie Rzym winien był swoje powstanie.

Jeden nam jeszcze punkt pozostaje do objaśnienia: tym jest, iż Rzymianie, po złączeniu się z nimi Sabinów, nazwani zostali *Kwirytami*, od *Kures*, miasta sabińskiego.

Gdyby w rzeczy samej tak było, niepospolity zaszczyt spłynąłby na rzymskich Sabinów, zaszczyt, który musiałby być od razu pociągnąć za sobą i przewagę ich w Rzymie, której przecież, że nie mieli, wątpić nie można. Taka powolność w przyjęciu obcego nazwiska jeżeli we wszystkich, tedy szczególnie w starożytnych czasach byłaby nader uderzającą i podobno bezprzykładną. Daleki więc jesteśmy od tego rozumienia, iż nazwisko Kwirytów przez Sabińczyków narzucone było Rzymianom. Urosło już w nas to przekonanie, iż Rzymianie jeszcze przed porwaniem Sabineek nosili imię Kwirytów, ale nie Rzymianie pospolici, nie plebejuszowie, tylko ci, których patrycyuszami zwano, którzy byli w posiadaniu świętości, którzy mieli prawo sprawiania ofiar i obrzędów religijnych. Twierdzenie to nie jest bez zasady, opiera ono

się na dowodach, których dostarcza historia. I tak wiadomo dostatecznie, że Janus miał imię Kwiryna, że Romulus, jako słońce, był Kwirynem, Romulus jako król, był kapłanem Kwiryna, Mars czczony w obrębie miasta nazywał się Kwirynem, Salii byli kapłanami Kwiryna. Miejsca publicznych narad, ponieważ miały charakter religijny, nazywały się kuryami albo kwiryami. Nie są to dostateczne dowody, iż Rzymianie piérwój niż Sabinów do miasta przyjęli, byli już Kwirydami? Próżną byłoby rzeczą okazywać mylność owego rozumienia, iż kurye od porwanych Sabineek otrzymały nazwiska: bo i pochodzenie mają świętsze i podanie niesie, iż kurye były i miały już swoje nazwiska przed zawarciem przymierza. Krótko mówiąc, Kwirytes sąto czciciele słońca; takimi mogli być i byli w rzeczy samój Sabinowie. Wzmianka więc tego nazwiska nie co innego ma znaczyć tylko to, iż Sabinowie we względzie religijnym zostali takimi, jakimi byli przedtém, i że w tój mierze z Kwirydami rzymskimi równe im służyły prawa.

KRONIKA LITERACKA.

Moje wędrówki po obczyźnie. Paryż, przez Kajetana Niepowie.

Jestto ostatnia praca Kajetana Niepowie, albo raczej Karola Frankowskiego, bo już dziś pseudonim niepotrzebny, gdy mamy ocenić płody literackie zmarłego zawczasie dla literatury pisarza. Ostatnia praca drukiem ogłoszona, ale najpierwsza z porządku w czasie. Zanim wskażemy jakie miejsce zająć miał i być powinien Karol Frankowski w piśmiennictwie naszym, wspomnimy pokrótce i przebieżmy karierę życia jego. Żadne dotąd pismo nie poczuło się do obowiązku ogłoszenia choć w kilku ustępach biografii Frankowskiego; a przecież to przedmiot nader obfity, a przecież zasługi, prace i zdolności zmarłego liczne są, dosyć znaczne i nie bez owoców dla kraju. Trzy ważne i odmienne epoki znamienują jego życie pełne trudu i ruchu. Od roku 1811 po koniec roku 1831, służył wojskowo, od 1842 do 1846 w wydziale naukowym, w służbie cywilnej. W kilku wreszcie ostatnich latach życia, wolne chwile od obowiązków urzędu poświęcał literaturze. W zawodzie wojskowym, męstwem i odwagą zdobył stopień pułkownika, szybko przebiegając stopnie niższe aż do sztabs-oficerskiego. W zawodzie cywilnym przyjmując kierunek nowo rodzącej się szkoły Realnej, umiejętnie, gorliwie i z zamiłowaniem spełniał i roz-

wijał plany władzy edukacyjnej, która w utworzeniu téj instytucyi, najzupełniej odpowiadającej potrzebom kraju, próbowała nadać nowy zwrot wychowaniu, albo raczej wykształceniu młodzieży, potrzebującej natychmiast po odbyciu kursów, urzeczywistnić zdobyte w szkole usposobienia i zbierać z niego owoce. Gimnazyum realne osiąga prawdziwie cele, jakie mu władza naznaczyła: przygotowuje bowiem krajowi ludzi specjalnie wykształconych i co rok stóm młodzieży podaje trwałe i obfite środki utrzymania i zapewnienia bytu. Frankowski zrozumiał dobrze cele i zasady realnych zakładów i z największym zamiłowaniem i znajomością rzeczy, pomagał szybkiemu wzrostowi szkoły. Publiczne sprawozdanie jego z 1845 roku w Bibliotece Warszawskiej ogłoszone, najlepiej dowodzi jak pojął znaczenie specjalnych zakładów w Europie i zastosowanie ich w naszym kraju. Nie miejsce tu dziękować władzy za jęj opiekę i inicjatywę. Władza ma nagrodę i dziękczynienie w owocach swoich starań, my nadmienić tylko mamy mówiąc o Karolu Frankowskim, ile gorliwość jego i światło przyłożyły się do podniesienia i szybkiego rozwinięcia realnego gimnazyum. Wysłany kosztem rządu za granicę wspólnie z professorem chemii Zdzitowieckim, tak chlubnie znanym naukowemu światu, starał się poznać gruntownie organizacyą gabinetów w zakładach specjalnych, i zaszczerpić ją u nas. Stanowcze środki i hojne pomoce postawiły zakład na tym stopniu, że po kilku latach istnienia, kraj zbogacony został instytutem jednym z najlepiej urządzonych i najbogatszych przy doborowym składzie nauczycieli, których imiona albo już znane były na polu naukowym, albo dopiero poznane być mogą, wnosząc z usposobień i zdolności rozwiniętych gruntownie na uniwersytetach. Kierunek takięj szkoły, potrzebował praktycznego i wielostronnie ukształconego przewodnika.

Przy zakładzie realnym, techników po większój części usposabiającym, szkoła sztuk pięknych była konieczną do uzupełnienia instytucyi, i tę poruczono Frankowskiemu. Wszy-

stko co kraj znakomitszego i w talent wzbogaconego posiadał, weszło w skład nauczycieli, i dziś wydziały malarstwa szczególnie i rzeźbiarstwa, należą do najcelniejszych, jakie kiedykolwiek w kraju naszym istniały. Dostyc wspomnieć imiona Kaniewskiego, Piwarskiego, Hadziewicza i innych, aby nie wątpić o téj prawdzie, która wkrótce w owocach zapewne najświetniej się objawi.

Zaszczytne było położenie Frankowskiego. Uwaga rządu i ważność instytucyi, upomniały go jakby nieustannie do czuwania i ruchu. Umysł jego był rzeczywiście pełen ruchu; znajomość skarbów naukowości i stopnia oświaty, do jakiego cudzoziemcy przyszli już na téj drodze, wspomagały go i podnosiły wzmagając energią i zamiłowanie. Światła zaś instrukcyja przy troskliwej opiece kuratora okręgu JW. generała-lejtnanta Okunewa, ta główna i silna podstawa wzrostu i pomyślności zakładu, znajdując w Frankowskim gorliwego i umiejętnego tłumacza i wykonawcę zasad i planów do specjalnych instytucyj, musiała wydać owoce pożądane i spodziewane.

Potrzebowaliśmy słów kilka powiedzieć o realnych zakładach w Królestwie, już dlatego, że one dziś coraz niezbędniejszymi i użyteczniejszymi się stają, już wreszcie dlatego, że pierwszego i najcelniejszego w tym rodzaju zakładu przewodnikiem bezpośrednim i zręcznym był autor Wędrówek, którego prace literackie oceniając, nie mogliśmy pominąć naprzód zasług jego na drodze prawdziwej użyteczności bezpośrednio korzyść krajowi przynoszącej.

Najpiérwsza praca w zawodzie literackim Frankowskiego ukazała się we francuzkim języku. Mała broszurka pod tytułem: *Paris*, była próbą pod dwoma względami zajmującą: raz, jako dowód i przepowiednia żywej zdolności, postrzegawczego umysłu i obfitój imaginacyi, drugi raz, jako dowód wielkiej łatwości tłumaczenia się w obcym języku. Wprawdzie język francuzki był prawie dla Frankowskiego jakby jego własnym językiem; w nim się wyrażał samodzielnie, swobodnie, i z całą pewnością, jaką grunt znajomości nadaje; przecież uczył go się, jak wszyscy prawie

uczmy się, dopiero w młodzieńczym wieku i kształcił nie za granicą ale w liceum *Richelieu*, w Odesie. Odbywszy kampanie za granicą w 1811, 12, 13 i 1814 roku, które zatarty prawie zupełnie używalność własnego języka, Frankowski za powrotem do kraju, służąc w pułku gwardyi ułanów, na nowo po polsku uczyć się zaczynał. Dzienniki francuzkie o stylu Frankowskiego mówiły z największemi pochwałami. Nie zdradzał tam żaden frazes charakteru i ducha tego języka; był to styl francuzki, a jednak różny co do formy i zwrotów przy największej swobodzie i wybitnej oryginalności, od toku mowy Dumasów, Balzaków i t. d. Żywość umysłu i imaginacyi Frankowskiego i zawód wojskowy, w obozach i kampaniach rozwinięty, nadały ten charakter energii, i że tak powiemy, gwałtowności w wyrażeniu myśli.

Drugą pracą na polu literackim, była jeszcze książka francuzka i jeszcze o tym Paryżu, pod tytułem: *Fizyonomia wielkich stolic Zachodu*, których szereg *Paryż* otwierał. Tu widać talent na większą skalę rozwinięty, umysł badawczy, dostrzegający często bardzo szczęśliwie i trafnie, a zawsze z zupełną oryginalnością w wyrażeniu myśli. I o téj książce, duży *in octavo* tom składającej, najzaszczytniej wspominały dzienniki francuzkie, a między innymi *Journal des Débats*, poważny i najlepiej redagowany. *Jules Janin*, jedyny felietonowy krytyk energicznie wystąpił z pochwałą dla naszego ziomka, przyznając mu talent niezwykły i w rzędzie lepszych po francuzku piszących autorów zamieszczając. Tak tedy pierwsze wystąpienia Frankowskiego w literaturze, odbyły się na polu najobszerniejszym, gdzie tyle znamienitości pisarskich dobija się o sławę, i jeśli ją zyska, ta sława europejską się staje.

Już odtąd Frankowski wyrzekł się obczyzny, bo się usposobił tyle w języku ojczystym, że mu nie brakło odwagi wejść na pole obfitego dziś bardzo i najznamienitszemi talentami rozwiniętego piśmiennictwa. Pierwszy krok uczynił w dramacie pod tytułem: *Gra namiętności*, którego rozbiory podały ówczesne czasowe pisma: *Biblioteka Warszaw-*

ska, *Przegląd Naukowy i Dziennik Krajowy*. Jakiegokolwiek były zdania krytyków, żaden przecież nie odmówił Frankowskiemu wyższych zdolności, które czas i dłuższe doświadczenie, byłyby bez wątpienia najkorzystniej dla piśmiennictwa naszego rozwinęły. Myśl do dramatu wzięta z romansu francuzkiego słynnego naówczas p. t. *Matylda*, wdzięcznie przez panią Ludwikę Szymańską na język polski przełożonego. Myśl obca w charakterze, musiała i w rozwinięciu zachować wszystkie te cechy nieswojskości. Jeszcze znać było niewprawne pióro do obrotów w polskim języku, ale wprawna myśl w przebiegu i wyrazie namiętności, które główne miały stanowić zadanie dramatu. Rozległy rozmiar nie pozwalał przedstawić dramatu tego na scenie, który przecież w zastosowaniu większym do perspektywy teatralnej, mógłby silnie sprawić na słuchaczach wrażenie.

Po tém wystąpieniu, zachęcony przychylném przyjęciem, pisał Frankowski wiele artykułów do pism czasowych w różnych przedmiotach i językach. Zawsze treść tych artykułów była z użytecznym połączona celem, a obrobienie pełne życia i barwistości. Pole dramatyczne na tak obszerłą skalę uprawiane we Francyi, najbardziej drażniło i podniecało jego zdolności i dumę pisarską. Pojmujemy ten pociąg, bo kto rzeczywiście w dramatycznej formie, zdolnie potrafi myśl swą rozwinąć, dla tego trudności wszystkie wszystkich form w poezyi już są przełamane i dostępne. *Upadek wielkiego domu w Polsce*, dramat w pięciu aktach w rękopiśmie dotąd zostający, miał przedstawić w zupełném rozwinięciu talent Frankowskiego i zdecydować o możliwości jego służenia scenie krajowej. Przedmiot dramatu z żywiołów własnych, okazuje w autorze wyraźną dążność do uprawy ojczystej tylko, umysłowej niwy. Nie oceniamy tego utworu, bo sędzią opinii naszej nie mogłaby być powszechność; wszakże na własną odpowiedzialność oświadczyć możemy, że język i użycie jego, dotąd najgłówniejszą zawadę stanowiące dla autora w rozwinięciu jego talentu, zyskały wiele bardzo na swobodzie i łatwości w obrotach, zyskały nawet na przyswojeniu niektórych form dotąd mu

obcych a jednak koniecznych, w miarę jak postępują wyobrażenia, kształcą się umysły i nauki.

Ostatnia praca w języku polskim na świat wydana, o której właśnie kilka słów powiedzieć mamy, nie jest zupełną nowością w literaturze, lubo po raz pierwszy ukazała się po polsku. *Wędrówki po obczyźnie* są po większej części z niektórymi zmianami, przekładem z francuskiej książki, o której na początku wspomnieliśmy, po francuzku wydanej przez Frankowskiego. Zmieniony tytuł, zmieniony układ; lecz w wielu ustępach barwa i dążenie okazują zawsze tegoż samego *Kajetana Niepowie*, pseudonima pochlebnie przyjętego od żurnalistyki paryżkiej. Przekładem i przerobieniem obyczajowo-filozoficznego zarysu o Paryżu, mógł się zająć tylko sam autor. Oryginalność i rzadka kwiecistość na śmiałych często przenośniach oparta, stanowi odrębny i Frankowskiemu tylko właściwy sposób pisania. Przekład czykolwiek bądź, choćby najdokładniejszy i najrzęczniejszy, zatarłby niewątpliwie tę cechę stylu i wyrażenia, które główną prawie stanowią wartość książki obyczajowo-filozoficznej, jakieśmy ją nazwali. *Moje wędrówki po obczyźnie* dwie księgi zawierają, czyli dwa główne poglądy na Paryż z różnych dwóch stanowisk do jednego zawsze prowadzących wypadku. Pierwsza księga nosi tytuł: *Paryż w grzechu*, druga: *Paryż w stanie łaski*. Oba tytuły malują jasno zapatrywanie się autora na tę stolicę najruchliwszą, i najczynniejszą w świecie. *Paryż w grzechu przedstawiony* odbija w sobie wszystko to, co główną stanowi ponętę dla podróznika. Jestto Paryż w całej swój żywości i zmienności, szale, lekkości, rozrywkach i wreszcie egoizmie, wyrodzonym z przemysłu na niezmierną skalę rozwiniętego. W tej księdze autor najszczęśliwszym jest postrzegaczem obyczajów, znawcą ich głębokim i wielostronnym. Może nie zawsze zgodzilibyśmy się z jego opinią i widokami, może nie zawsze Frankowski sprawiedliwym jest sędzią błędów i grzechów Paryża; niezgodność ta spoczywa w różności usposobień autora i czytelników. To jednak co przedstawia, jest wierne, nadzwyczaj żywe i pełne trafności. Wnioski z obra-

zu tak wiernie przedstawionego, należą do czytelnika. Autor nie zniewala, nie narzuca swojej opinii; w wyrażeniu jej wszakże jest stanowczym i energicznym. Na opinie jego wpływały nadzwyczaj różnorodne okoliczności: to niepomiarowane uwielbienie dla Francji, to znowu zwrot i przychyłność do domowych naszych zagród. Nigdy nie mógł się postawić w oderwaném, samoistném stanowisku, bo pamięć to sławy Francji, to klęsk wielkich, to wpływu jej cywilizacji na ostatnich czasów cywilizacją naszą, to nakoniec antagonizm jako żołnierza w przeciwnych szeregach walczącego, niszczyły wyraźną nieraz chęć wyzwolenia się z tych wpływów, aby uważać Paryż niezależnie od osobistych wrażeń i wypadków strategiki wojennej. *Paryż w grzechu* z całą sympatją i przejęciem się autor maluje; wyrażając jednak na każdej niemal karcie wstręt i odrazę do tej rozhukaniej społeczności, która w samych błędach i rozwolnieniu obyczajów, objawia dziwne umysłu zdolności, niepojętą wytrwałość przy znamiennej i nieodłącznej od charakteru lekkości; głębokość i filantropią przy egoizmie i zobojętnieniu we wszelkich domowych i publicznych stosunkach. Pod względem tej różnorodności, najwybitniej malującej Paryż i Francją, Frankowski jest wybornym szkicownikiem, choć często nadto śmiało, ufny w moc siły, wyrokuje o dziś i o jutrze, które jakkolwiek dostępne w badaniu dla każdego, wyrokom stanowczym i śmiałym podlegać nie mogą. *Paryż w stanie łaski* ma przedstawiać dobrą, moralną stronę tej stolicy. Przecież jak w złém umysł badawczy potrafi i dobre dojrzyć, tak w dobrém i złego nie pominie. W księdze moralną stronę Paryża przedstawiającej, maluje autor z największym zapalem siłę intelligencji umysłowej Francji, maluje w uniesieniu, które nie zwyczajne wyrazy i wytarte zwroty pochwalne objawiają, ale język pełen świeżości, barwy, ognia i gwałtowności. Gwałtowność huraganiczna, to cecha jedyna stylu autora i najwyższa zaleta książki. Cenimy tu formę wyrażenia, oddzielając od myśli, często spaczonej, i oryginalnością tylko zalecającej się. Uważny czytelnik, potrafi w chemiczno-kry-

tycznym, że tak powiemy, rozbiórze, odosobnie myśl od jęj szaty. Myśl-czasem trafna, śmiała, świeża, czasem jednostronna i powierzchowna: szata jednak zawsze świetna, zawsze barwista, śklniąca, a słowo gorące, palące. Karabiny, ciągły ogień, zdajemy się słyszeć, czytając głośno *Wędrówki Frankowskiego*. Ta oryginalność i żywość, zwrotność i śmiałość, wyradzają się nieraz w przesadę, rzadko jednak niesmaczną i odrażającą. Brak ostatecznego wyrobienia i swobody języka, psuje często harmonię stylu i zaciemnia obrazy. Jestto błąd nie myśli, ale braku używalności mowy z natury swęj najzdolniejszej do jasnego i energicznego zarazem tłumaczenia myśli i kręślenia obrazów. *Wędrówki po obczyźnie* tę główną noszą cechę, że jeszcze w nich nie widzimy ostatecznie zdecydowanej sympatii lub antypatii, czy do obczyzny czy do swojszczyzny; opinia tam nie zawsze jedna i nie zawsze na jednych oparta zasadach. Pochodzi to z późnego wzięcia się do pracy czysto umysłowej, która wymaga przedewszystkiem wyrobionego, krytycznego sądu o zasadach, których naturę i fizyonomię autor chce malować. Niedostateczności te nie niszczą wcale zajmującej, pełnej różnaitości, prawdy i żywości w opisach książki, owszem czytamy ją z prawdziwą przyjemnością, do której często i korzyść łączyć się może. Zawsze umysł czytelnika doznaje roztargnienia i wzruszenia. Zawczesna śmierć pozbawiła nas dobrego, oryginalnego w przyszłości pisarza, którego głównej zasługi jako pierwszego szkoły realnej przewodnika, niepamięć nasza ogarnąćby nie powinna.

K. W.

Odpowiedź autora na artykuł umieszczony w Przeglądzie Naukowym pod napisem: Pedagogika, czyli Nauka Wychowania, ułożona przez Teodozega Sierocińskiego.

W nrze 2gim tegorocznego *Przeglądu Naukowego* (str. 56—60), wydawca i redaktor H. Skimborowicz umieścił

ze swoim podpisem *recenzyjkę* wydanęj przezemnie w roku zeszłym *Pedagogiki* czyli *Nauki Wychowania*. Na taką recenzją nie miałem odpowiadać, ale miłość prawdy i słuszności, przeważyła wszystkie inne względy i zniewoliła mię do oczyszczenia mojego dzieła z narzutów przeglądacza. Czuję, jak we mnie, zabiérającym się do odpowiedzi, sprawiedliwe oburzenie i ledwo nie boleść serca ustępują zwolna spokojnéj i zimnéj rozwadze.

A naprzód wiernie przywiodeę częściami (nie fałszując przywodzeń, jak to uczynił recenzent), cały wstęp do recenzyjki, zajmujący stronicę 56, i załączę nad tym wstępem moje uwagi.

„W wieku naszym, gdzie się tak szybko tworzą i przesilają wyobrażenia, niéma zapewne żywoćniejszego i bliżéj społeczność dotykającego przedmiotu, jak nauka wychowania.”

Prawda, że wyobrażenia szybko się tworzą, albo raczéj roją się szybko i przesilają w słabych głowach, ale w możliwych zwolna się tworzą i wzmacniają i krzewią, nie podlegając zgubnemu przesileniu: tu recenzent miał na myśli, aby wiek nasz pochwalić, a zgańił go, sam o tém nie wiedząc, wrzuconém na los szczęścia wyrażeniem: *szybko się przesilają*. Nie mogę także pominąć błędu językowego w tym piérwszym peryodzie: wyraz *gdzie* niewłaściwie użyty, jest zfrancuzka zamiast *gdy* albo *kiedy*, jako wyraźnie ściągający się nie do miejsca ale do czasu.

„Pojęcia pedagogiczne, będąc wynikłością ogólnego postępu społeczności dzisiejszéj, muszą iść spólem i w równi ze wszystkimi teoryami; inaczéj zostaną po za wiekiem.”

A jeżeli nie *wszystkie* teorye w dziełach pedagogicznych podane zgadzają się z sobą, jakże w takim razie nasze pojęcia pedagogiczne mogą *iść spólem i w równi ze wszystkimi teoryami*? tu recenzent wymaga rzeczy niepodobnéj, albo raczéj sam nie wie, czego chce, aby nie zostać *poza wiekiem*. Nie mogę téż pominąć podwójnego błędu pisarskiego w wyrazie *teorijami*: po *r* nigdy się u nas nie pisze *z*, nawet w wyrazach z cudzoziemskiego języka przy-

branych bez żadnej zmiany zakończenia, a wyrazy *Julia*, *historia*, *teoria* i t. p. najpewniej z łacińskiego nie z rosyjskiego wzięte, nie mogą się kończyć na *ja*. Czemuz mamy wprowadzać w naszą polską pisownią nowe cudzoziemczyzny, albo raczej błędy zasadzone na zwyczaju przyjętym u postronnych?

„Pojmuje dziś każdy, że po człowieku wymaga się wyższej wiekowi odpowiedniej doskonałości, zamiłowania szczęścia bliźnich.”

• Tu podług wyrażenia recenzenta, mowa jest nie o autorze dzieła pedagogicznego, ani o *przewodniku dzieci*, ale ogólnie o człowieku i o jego *doskonałości* moralnej, jaką jest chrześcijańska miłość bliźniego wyrażona dziwacznie przez *zamiłowanie szczęścia bliźnich*; ten więc środkowy peryod ani z poprzedzającym ani z następującym żadnego nie ma związku. Owoż gruby błąd przeciwko logice. Nie mogę też pominąć błędu w wyrazie nieokreślonym *każdy*, bo tylko każdy zdrowo myślący to pojmuje, żeśmy powinni miłować się i wspierać nawzajem: owoż drugi błąd przeciwko logice w jednymże peryodzie.

„Tłumaczem wymagań społeczeństwa jest przewodnik dzieci. Z ciekawością więc i upragnieniem oczekujemy wszelkiego zjawiska piśmienności pedagogicznej, tém bardziej zjawiska ogarniającego całą sferę téj nauki, która obecnie stała się tak żywym przedmiotem powszechności myślącej.”

Między temi dwoma peryodami, chociaż połączonemi przymuszonym spójnikiem *więc*, znowu niemasz żadnego związku logicznego; bo *przewodnik dzieci*, nie zawsze być może i jest autorem dzieła pedagogicznego: a recenzent te dwie często odrębne osoby za jedną tu bierze: jeszcze fałszywie powiada, że przewodnik dzieci jest tłumaczem *wszystkich wymagań społeczeństwa*. W drugim też peryodzie źle są użyte wyrazy *z ciekawością i upragnieniem*, bo z recenzyjki widać, że *ciekawość* była może i wielką w przeglądaczku, ale *upragnienie* wcale nie wielkie. Toż w wyrażeniu: *z upragnieniem oczekujemy wszelkiego zjawiska pi-*

śmiennosci pedagogicznej szumu wiele, a prawdy ani krty; bo wyraz *wszelkiego* zadaje fałsz temu oświadczeniu.

„Pedagogika p. Sierocińskiego, samą nazwą zapowiedziała nam rozwinięcie tak ważnego przedmiotu, w sposób odpowiedni jego naturze, zwłaszcza gdy wychodzi z pod pióra autora, który sam w myśl oświaty ogólnej to wielkie uskutecznia dzieło.”

Jaką nazwą? czyż ja dałem mojej Pedagogice jakie nazwanie albo *epitet*? wszak w samym tytule czyli napisie dzieła jest po prostu wydrukowano: *Pedagogika* bez żadnego przydatku *nowa, oryginalna, dzisiejsza*. Czemuż utrzymuje recenzent, że samą nazwą swojej Pedagogiki *zapowiedziałem rozwinięcie tak ważnego przedmiotu w sposób odpowiedni jego naturze*? A niedawno dał mi poznać myśl swoją bez żadnego zapewne przekonania, że wbrew naturze przedmiotu, najwięcej się gruntującego na doświadczeniu zbyt okrzyczaném w naszych czasach pod wzgardliwém *empiryi* nazwaniem, powinienem był cudownie zgodzić moją Pedagogikę ze wszystkimi *teoryami*. Niechże nam raczy objawić pojmowaną przez siebie osobliwszą jakąś *naturę* pedagogiki i jój przedmiotu. Nie pojmuję téż, co myślał recenzent o Pedagogice i o jój autorze, pisząc: *zwłaszcza gdy wychodzi z pod pióra autora, który sam w myśl oświaty ogólnej to wielkie uskutecznia dzieło*. Mnieżto chwali, przyznając że *w myśl oświaty ogólnej to wielkie uskuteczniam dzieło*? powiedzmy raczej, jak jest w istocie, że tu piszący co innego myślał, a co innego napisał; bo miał na myśli, że chciałem uskutecznić to wielkie dzieło, a nie potrafiłem tego zrobić. Unikając tedy grubiaństwa, napisał nieprawdę przeciwko własnemu nawet pomyśleniu. Tak zwykle bywa, kiedy kto naosłep sądzi i biedzi się sam z sobą i ze swojemi myślami bez żadnego przekonania: co się jaśniej jeszcze pokaże w dalszym ciągu mojej odpowiedzi, a nawet przy rozbiorze tuż zaraz następującego peryodu.

„Pomijając jego własne przyznanie się do eklektyzmu, który dziś *pod żadnym względem* w piśmiennictwie miejsca miećby nie powinien, pomijając, że autor szanowny cu-

dzą pracą (Bronisława Ferdynanda T.) większą część dzieła swego kompilacyjnego zapełnił i wiele ważnych poczynił opuszczeń, przystępujemy do króciutkiego poglądu na jego utwór, i mielibyśmy, zdaje się, prawo wymagać, aby sam korpus systematu (do str. 174) był jeżeli nie *samodzielnym*, to przynajmniej w ostatnim razie składnie i harmonicznie ułożonym."

Oświadczyłem się być eklektykiem otwarcie, głośno, publicznie, w przedmowie do mojej Pedagogiki, bo uważałem eklektyzm w nauce najwięcej na doświadczeniu zasadzonej za rzecz najlepszą i najstosowniejszą, zwłaszcza gdy kto ma na głównym względzie cel powszechniejszego użytku; a recenzent moje oświadczenie publiczne, nazywa *przyznaniem się do eklektyzmu* niby do jakiej winy skrycie popełnionej; i powiada półdyktatorskim tonem, że dziś *pod żadnym względem* w piśmiennictwie eklektyzm miejsca *miełby nie powinien*. Nie dość na tém, zarzuca mi przywłaszczenie cudzego dzieła, z którego obszernie wypisy załączyłem osobno i nawet odmiennym drukiem, na co czcigodny autor sprawiedliwie posiadający europejską sławę, dotychczasowém milczeniem swoim oczywiście przyzwolił. Nie dość jeszcze i na tém, recenzent w sprzeczności sam z sobą, tylko, co powiedziałszy, że zapełnił cudzą pracą większą część mojego dzieła *kompilacyjnego*, poczytuje mi za złe, że w wypisach *wiele ważnych poczyniłem opuszczeń*, jak gdybym mógł bez braku wypisywać i to, co nie wchodziło w plan dzieła. Zarzuca mi nareszcie brak systematyczności w układzie, z czego się pokazuje, iż nawet nie przeglądał spisu umieszczonego zaraz na początku dzieła. Abym się oczyścił z zarzutu o eklektyzm, dość mi przywieść słowa poważnego autora umieszczone w wypisach na stron. 170.

Pierwsza część dyktatyki trudniąca się zewnętrzną osobą nauczyciela czyli nauczycielem, to jest, stosunkiem jego do społecznego świata, obowiązkami jego powołania i t. p. jest od pedagogów niemieckich szczególnież od Niemajera tak wyczerpana, że nam tu nic innego prawie nie pozostaje, prócz skrócenia rzeczy i lepszego uporządkowania przygoto-

wanych nam materyałów. Tu całą naszą zasługą będzie szczęśliwa kompilacya. Czynimy więc tę kompilacyą, a czytelnik niechaj nam tego za złe nie bierze, bo my tu mamy na celu jedynie jego pożytek. Pod tym względem mniejsza o to, kto piérwszy to lub owo uczynił spostrzeżenie, dość że je przytaczamy. Wszakże pod względem umiejętności i sztuki, wszystko za mało znaczące, lubo z innéj strony nader pożyteczne fraszki. W pedagogice nie zawsze można być oryginalnym, bo to umiejętność, którą wieki budują, nie rujnując dawniejszój pracy ludzkiéj, ale ją pomnażając i coraz więcéj doskonaląc. Gdybyśmy tylko filozofowali nad pedagogiką, byłaby rzecz inna; lecz my wykładamy pedagogikę istną, a tém samém mnóstwo starych przestróg i spostrzeżeń. Wreszcie i tu nawinie się niejedna sposobność do oryginalnego wystąpienia.

„Autor rozkłada *swą myśl* na dwa główne działły, biorąc za zasadę dwie panujące strony doskonałości ludzkiéj, serce i rozum, czyli jak sam nazywa 2 cele, umoralnienie i uzdatnienie. Dział 1szy nazywa kształceniem się, dział 2gi nauką.”

Uroił sobie chyba recenzent, że ja nie naukę wychowania, ale *myśl swoją* rozkładam na dwa działły, biorąc za zasadę podziału dwie strony doskonałości ludzkiéj: *serce i rozum*, czyli dwa cele, umoralnienie i uzdatnienie; że nareszcie nazywam dział 1szy *kształceniem się*, a drugi *nauką*. Na dowód nierzetelności recenzenta przywiodę tu dosłownie, com napisał o podziale Pedagogiki. „Gdy główny cel wychowania, jakim jest umoralnienie i uzdatnienie wychowawca osiągnąć się daje w zupełności przez kształcenie i naukę, ztąd wynikają dwa wielkie działły pedagogiki, z których piérwszy obejmuje kształcenie, a drugi naukę.”

Czyliż podług słów dopiéro tu przywiedzionych biorę za zasadę podziału *serce i rozum*, albo *umoralnienie i uzdatnienie*? Albo, czy uważałem gdzie za *dwie strony doskonałości ludzkiéj serce i rozum*? Godziłoż się tak pofalszować przywodzenia, aby pokazać, że niemasz systematyczności w układzie wydanego dzieła?

Pomijam pofalszowane na str. 57 oznaczenie *kształcenia i nauki*, lubo recenzent, udając ścisłość w przeglądaniu, umieścić między nawiasami liczbę stronic obejmujących dział 1szy i 2gi, w czém jednak pomylił się o dwie stronnice. Nie mogę zaś pominąć podjazdowych uwag przeglądacza o *ukształceni*u zamiast o *kształceni*u, gdzie znowu fałszywie bez ładu i składu wspomniawszy o *dziwacznych* podług niego nazwach *dorostek* zamiast *podrostek* i *wyrostek*, tudzież o łączeniu wychowania umysłowego z fizyczném, i o tak zwanój przez siebie *teorii zmysłów*, wnosi z tych pofalszowanych przywodzeń, że to są *najempiryczniejsze przestrogi*, *nie dla nauczycieli, ale dla piastunek*, i że dział 1szy właściwiej nazwałoby można *teoryą nianczenia*; lubo dział ten rzeczywiście obejmuje cały system nauki o wychowaniu fizyczném i umysłowém, z której piastunki nasze ledwie tysiączną część mogłyby pojąć i zrozumieć, gdy zachodzi mowa o pokarmach, odzieży, pomieszkaniu, śnie i ruchu. Fałszywie téż powiada autor, że ja *podaję za nowość przepisy oddawna znane i dowiedzione*; jednakże ich opuścić nie mogłem bez nadwerężenia całości organicznój dzieła, obejmującego nie samo tylko wychowanie umysłowe, ale i fizyczne.

Pomijam znowu na téjże stronnicy umieszczone płaskie koncepta i drwinkowania, podające w pośmiewisko ważne przestrogi o kształceniu zmysłów wzięte z dzieł najslawniejszych pedagogów niemieckich. Pomijam podjazdowe wspomnienia na str. 58mój o kształceniu władzy poznawania; lecz nie mogę pominąć, jak przeglądacz zarzuca mi, że *wyjąłem żywcem wiele myśli z dzieła Bronisława Ferdynanda T. i z innych pisarzy, których nazwiska przepomniałem wymienić*, co wszakże wyraźnie i otwarcie ogłosiłem w przedmowie. Na domiar wszystkiego powiada przeglądacz, iż *w rozbiórze władz umysłowych, jestem bezwzględny Kizewettera naśladowcą, od niepamiętnych czasów w pedagogice już zapomnianego*, a Kizewetter, o ile mi wiadomo, żadnego dzieła pedagogicznego nie wydał. Następnie wykrzykuje: „I godziź się przywłaszczać miano eklektyka temu, co za-

dnęj nowęj teoryi, ani psychologii, ani logiki nie zbadał? co żadnego z dzieł od lat kilku w wychowaniu przyjętych nie zbadał? Najlepszym tego dowodem są grube błędy i niewiadomość w rzeczach dotyczących organizacyi pojęć. Gdzież szanowny nasz autor wyczytał, że w dzieciach tworzą się najprzód pojęcia, potem sądy, a nakoniec wnioski? Czyż można mniemać, że umysł dziecka jest to logika Kizewettera?"

Mamże odpowiadać na te prawdziwie dziecinne i napaśtliwe wykrzykiwania? uczynię to chyba dla nauki i przestrogi, jakiej potrzebują u nas pisarze i autorzy dzieł osobno wydrukowanych, u których *postęp, wyższe pojęcie rzeczy, samodzielność, a nawet bezstronność, bezinteresowność, zamitowanie szczęścia bliźnich*, są tylko w ustach albo na końcu pióra. Zkądże mój recenzent mógł wiedzieć, że *żadnego z dzieł od lat kilku przyjętych w wychowaniu nie zbadał*, a których nawet nie wymienia, bo sam ich najpewniej nie czytał. Prawda, że wszystkich dzieł nowych nie miałem i nie mogłem mieć pod ręką przy najszczerzej chęci czytania. A jeżeli nie głosił w przedmowie o czytanych przez siebie dziełach i nie podał żadnych przywodzeń w przypiskach do mojej książki, nie jest to żadną winą, owszem zasługą: bo unikałem samochwalstwa, i oszczędziłem drogiego czasu swoim czytelnikom. Po tém szczerem i sumiennem wyznaniu, z którym nie widziałem potrzeby występować w przedmowie ani w przypiskach, niechaj czytelnicy sami osądzą, czy mógł autor umieścić na str. 59 fałszywe twierdzenie jak następuje: „Dział 2gi o *naukach* jest częścią przepisany z Kizewettera (jak dział 1szy z Br. Ferd. Tr.), częścią zawiera dość mierne, a wszędzie empiryczne uwagi o naukach czyli uczeniu.”

Co do wytkniętej przez Kizewettera drogi albo raczej wskazanego porządku, jakim idą po sobie działania rozumu, że nie tylko *w dzieciach* ale i w ludziach dojrzałych i zdrowych na umyśle tworzą się najprzód pojęcia, z pojęć zaś powstają sądy, a z sądów dopiero wyprowadzają się wnioski: tego recenzent nieszczęśliwie sam na sobie do-

świadczył, gdy nie pojawiwszy należycie tego o czém chciał wyrokować, fałszywie osądził i z mylnych sądów błędne wyprowadził wnioski: nie wiem także, czy można policzyć pomiędzy *wady przeciw polszczyźnie* użyty przezemnie wyraz *rozumkowanie*? A co do przyrównania umysłu dzieciniego do logiki Kizewettera, to koncept jałowy, o którym pewnie i wspomnieć nie warto.

Dalej znowu na str. 58 tak pisze recenzent: „Któż zapewni pisarzowi zyskanie sobie zwolenników do takiej estetyki, gdzie (§ 49) zamiłowanie porządku, ochędóstwa, należy do uczucia estetycznego? I ową *wzniostą* człowieka *częstkę*, co go porywa w *górne nadzmysłowe sfery*, Szan. Autor zowie *uczuciem przyjemności*, albo *obietującym przyjemność*. Więc chwila zamknięcia *bramy szkolnej* jest estetyczną, bo dzieciom *obietuje przyjemność*.” (Jak gdyby dzieci dziećmi wychodzili ze szkół)!

Tu zamiast odpowiedzi na zarzut, tak szumnie wydany, przywiode z mojej książki dwa oddzielne peryody, które pofalszował recenzent i konceptem jałowym znowu zakończył. Tak napisałem na str. 81: „Trzeba téż jak najwcześniej przyzwyczajać dzieci do zamiłowania ochędóstwa i porządku, a przytém chronić je od wykwinności i przysady, które są przeciwne naturalności wykształconej.” A na str. 83: „Pod uczucie estetyczne podciągnąć się dają wszelkie uczucia, sprawujące nam lub tylko obietujące jaką przyjemność, które po większej części należą do uczuć zmysłowych: trzeba je wszystkie trzymać na wodzy, a pozwalając sobie niewinnych na wolną chwilę uciech, chronić się najmniejszego w nich nadużycia.”

Pomijam téż umieszczone na całej prawie stronnicy 59tej przy urywkowych przywodzeniach drwinkowania, któremi recenzent, nie wiedząc o tém, wyszydza najzawołanych pedagogistów niemieckich: bo z nich właśnie wyjąłem życiem postrzeżenia i uwagi chociaż dość powszechnie znane, ale należące do całości ograniczonej dzieła. Przywiode tu jedynie wstęp do owych we środku i na końcu pofalszo-

wanych przytoczeń. Oto są właśnie słowa mojego recenzenta: „Następnie rozwija pan T. S. myśli swoje o *uksztalceniu woli*, ale nie wiemy czyli *swoje myśli*, bo to wszystko znane, jak mówi stary Horacy, *lippis et tonsoribus*.”

Wreszcie zarzuca mi recenzent *styl przeciągły i bez najmniejszego smaku*, powiedziawszy piérwój jakby na śmiech, że *mój styl w miejscach zkądinąd przepisanych czysty a nawet wzniosły*: na dowód czego przywodzi jeden peryod wyrwany ze środka dzieła i tak kończy: „jakiż cel takiego pisma i takiego rozumowania, kiedy ludzie najpospolici nieobeznani z naukowością tak samo rozumują?” Wymaga więc po mnie oczywiście, abym był wydał pedagogikę nie *ulożoną* skromnie przez siebie jako nauczyciela, ale *utworzoną* z własnych moich genialnych pomysłów, pedagogikę zupełnie *nową, oryginalną* choćby i *szaloną*. Ten wyraz *szaloną*, przejąłem od poważnego u nas niegdyś krytyka M. Gr. który tak nazywa dzisiejszą, albo raczej wczorajszą, czyli niedawną literaturę francuzką (extravagante).

Nie mogę pominąć zarzutu, jaki mi czyni recenzent, że w jednym peryodzie przez niego, bez sfalszowania przecież przywiedzionym, niemasz związku pomiędzy myślami, bo mówię razem o *utworach dowcipu i imaginacyi*, o *rodzaju satyrycznym i wzniosłym*, jak gdyby nie można było mówić razem o dwóch rzeczach całe od siebie odmiennych, a różnie użytecznych lub szkodliwych.

Com napisał o wprawie stylu, że ta rozwija w wychowawcu nietylko dar wynależenia, ale go oraz sposobi na dobrego czytelnika, mam za prawdę niezaprzeczoną, z którą publicznie wystąpiłem w osobnej rozprawie o *oryginalności* jeszcze r. 1818, w jedném ówczasowém piśmie peryodyczném wydaném, a w długoletnim zawodzie nauczycielskim, miałem czas na moich uczniach o tém się przekonać: niepotrzebny tedy znak zapytania umieszczony obok słów przywiedzionych.

Nie mogę i tego pominąć, że recenzent sfalszował urywkowy wypis ze stron. 84, kładąc wyraz *uczucie* zamiast *uznanie*. Aby tu odeprzeć napastliwy zarzut, przywiodę ca-

ły i niesfałszowany wypis ze str. 84: „Na równaż pieczołowitość zasługuje uczucie honoru, wcześniej i częściej objawiające się w młodzieży męskiej niż w żeńskiej, a które daje początek żądzy znaczenia i sławy. Uczucie to zasada się na sprawiedliwem uznaniu własnej godności i zasługi, a skoro uznanie jest mylne, tak zaraz sprowadza nas na drogę fałszywego honoru.”

Mamże nie wspomnieć, że recenzent, zarzucając mi *wady przeciw polszczyźnie*, wymienia tylko wyrazy jakby niepolskie: *zachcenie, rozumkowanie, gadatliwcy, lakotliwość, przeceniany, samochętny* i wyrażenie z ostatniej potrzeby użyte *wprawa stylu*; a sam tak nielogicznie i źle pisze po polsku, jak się to pokazało w recenzyjce.

Jeszcze przy końcu swojej recenzyjki nie dość mając na tém recenzent, że zadawał mi już fałszywie, jakobym „*zapełnił* moje dzieło *cudzą pracą* (Br. Fr. T.) i *wiele ważnych poczynił opuszczeń*, zarzuca znowu *przedruk* tegoż *cudnego dzieła*. Zarzut ten chociaż zgodny z prawdą, jednak jest niesprawiedliwym. Bo czyliż można poczytać mi za winę, że dzieło autora wielkiej zasługi i sławy, dla samej już obszerności swojej i innych względów, nie będzie w rękę naszych czytelników, o którym z rozbioru ks. Hołowińskiego każdyby powziął bardzo niedokładne wyobrażenie, dałem bliżej poznać w osobno załączonych wypisach? Miałem ja załączyć dla użytku czytelników wypisy z wszystkich najcelniejszych pedagogistów niemieckich; ale, widząc w nich wielką odmiennosc i co do rzeczy i co do stylu, wolałem wybrać jednego, który innych przeczytał i osądził.

Tak się kończy recenzyjka; „To wszystko cośmy w krótkości powiedzieli o *wadach dzieła*, zupełnie nie ma dotykać szanownego ze wszech względów autora, i jego indywidualności w żaden sposób uwłaczać nie może: (jakże to nielogicznie; wszak z dzieła autor się poznaje). Autor *niezawodnie* o tym przedmiocie, w którym dzieło wypracował, ma pojęcia *wysokie i postępowe*, o tém *nie wątpimy*: szkoda tylko, że ich w piśmie swém *nie starał się wyrazić*.” Bo nie miał na względzie próżnej chluby, ale powszechniejszy użytek.

Poprzestając na tém, rad będę oczekiwał światłego recenzenta, któregoby postrzeżenia i uwagi posłużyły mi do drugiego wydania mojej *Pedagogiki*.

Teodozy Sierociński.

Mappografia dawnéj Polski, przez Edwarda barona Rastawieckiego. Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda. 1846 roku. 8ka. X. dwie karty i 159 stron.

Dopóki nie będziemy mieli uzupełnionej bibliografii, mianowicie co do dzieł drukiem ogłoszonych, opisu pódów sztuk pięknych w kraju polskim dokonanych, jakoto: dzieł pędzla, dłuta, tudzież gmachów architektonicznych dawniejszych, tak publicznych jak prywatnych, jako téż dziejów muzyki kościelnej i światowej, teatrów, niemniej losu i położenia społecznego osób temi przedmiotami zajmujących się, równie jak wszelkich okoliczności okazujących ogładę narodową i wpływ nań wywierających, dopóty o dziele podajacém wierny obraz nietylko stanu piśmiennictwa, ale i całej cywilizacji krajowej pomyśleć trudno. Obrobienie pojedynczych gałęzi należy do właściwych znawców, których prace od mniej więcej troskliwie nagromadzonych i opisanych materyałów zawisły. Wszelkie więc starania w zebraniu i objaśnieniu tych drobniejszych materyałów podjęte, są chwalebne i użyteczne, jako przyczyniające się do wzniesienia z czasem całkowitego gmachu, czyli wystawienia w rezultacie stanu nauk i oświecenia krajowego w różnych epokach.

Co u nas, a nawet za granicą uczyniono we względzie geografii, a raczej samych kart geograficznych dawnéj Polski, zamierzył p. baron Rastawiecki przedstawić w spisie mapp krajów dawną Polskę składających, bądź w ogóle, bądź w szczególe co do pojedynczych prowincyj.

Za poprzedników w tego rodzaju poszukiwaniach, miał autor *Chromińskiego* w *Dzien. Wil.* z r. 1806, *Bentkowskiego* w drugim tomie *Hist. literat.*, a nadewszystko *Janockiego* *Spis mapp księgozbioru Załuskich r. 1775* sporządzony.

Opisawszy w przedmowie rękopism Janockiego, wziął go p. R. za zasadę swego spisu i odznaczył go w ciągu dzieła odmiennym drukiem od wiadomości przez siebie zebranych. Tym sposobem okazuje się widocznie, o ile szperania p. R. pomnożyły spis Janockiego, nie tylko po roku 1775, ale i w czasach dawniejszych ważnymi odkryciami. Nie wiemy dlaczego p. R. spis Janockiego nazywa (na k. III) spisem krytycznym, kiedy prócz tytułu każdej mappy, rzadko w całym spisie znajdujemy ocenienie lub zdanie o jej wartości wewnętrznej, częściej zaś tylko o zaletach zewnętrznych. Opowiada także autor w przedmowie, co w kraju uczyniono dla wygotowania mapp bądź całej Polski, bądź prowincyj pojedynczych. Następnie w jedenastu oddziałach, wylicza ryciną upowszechnione mappy, a mianowicie:

W oddziale I Sarmacyi europejskiej, przytacza mapp	20.
W II oddziale, Polska cała, mapp.....	176.
III, Wielkopolska.....	17.
IV, Prusy.....	45.
V, Małopolska.....	14.
VI, Ukraina.....	43.
VII, Litwa.....	31.
VIII, Inflanty, Kurlandya.....	31.
IX, Mappy kościelne.....	10.
X, Mappy geologiczne i plany kopalniane.....	26.
XI, Mappy wodne.....	11.
	<hr style="width: 10%; margin-left: auto; margin-right: 0;"/> 424.

Nie sądziłem wcale, aby tak znaczna ilość mapp, zwłaszcza oddziału drugiego czyli dawniej Polski (przed 1771 rokiem), do liczby 176 doprowadzić się dała. Widoczna jest, jak troskliwie badał p. R., aby spis swój uczynić jak najzu-

pełniejszym. Jednakże postrzegamy, że niektóre uszły przed jego poszukiwaniem, jakoto:

1) Mappy do Naruszewicza Hist. Nar. Pol. tomu II należące. Wystawiają one, pierwsza, *Polskę za Mieczysława I*, druga z napisem *Mappa objaśniająca panowanie Bolesława Chrobrego*. Obie te mappy (a zwłaszcza druga), jako rezultat głębokich badań, są bardzo nauczające, ponieważ zawierają nazwę okolic i ludów, krainy ówczasnie polskie i sąsiednie zamieszkujących, gdy tymczasem wszystkie mappy, które podług Ptolomeusza tak zwaną Sarmacją europejską wystawiają, prócz kilku rzek i Kalisza, nie mają nic polskiego, ani geögraficzno-historycznego.

2) Mappa Bern. Zajdlera, którą wygotował według opisu poddania przez Mieczysława I swojej krainy opiece stolicy apostolskiej, i do wykładu tej donacyi (w Pamiętniku Warszaw. Bentkowskiego z r. 1820, T. XVII, 387) dołączył wylitografowaną.

3) Do dziełka *Historia Polska* potocznie opowiadana, w Warsz. 1829, przyłączony jest atlasik z 12 mapp w ćwiartce małej, z oznaczeniem kolorami granic Polski w różnych epokach. Mappy tego rodzaju objaśniają i ułatwiają wielce naukę samej historii. Szkoda tylko, że obecne, skrócone są na skalę bardzo drobną.

4) *Kriegstheater oder neueste Karte von Polen und Lithauen, sammt den österreich. russischen und preuss. Antheilen und den übrigen angränzenden Ländern. Anno 1792*. Wielki arkusz. Prócz tego tytułu, wewnątrz ramek jest napis u góry nad ramkami: *Theâtre de la guerre, ou Carte générale et nouvelle de toute la Pologne...* u dołu zu finden in Wien bei Artaria Comp. *Kunsthändlern auf d. Kohlmarkt*. A pod ramką u dołu *F. Müller fecit in Wien*. Mappa ta musiała być w r. 1793 uważana za jedną z lepszych, jak wnoszę z tej okoliczności, że ją widziałem w aktach dyrektoryalnych berlińskich, dołączoną przy odezwie drukowanej króla pruskiego do mieszkańców polskich z d. 25 marca 1793, oznajmującej wcielenie do Prus tej części Polski, jaka przez wkraczające wojska pruskie pod wodzą ge-

nerała Möllendorfa miała być zajęta, a której granice na téj mappie kolorem oznaczone były, i nasejmie grodzieńskim d. 25 września 1793 zatwierdzone zostały.

5) *Polens Umwandlungen von 1772 — 1809. Leipzig in der Dyckschen Buchhandlung.* Prócz tego napisu, wewnątrz następujący tytuł: *Das Herzogthum Warschau errichtet und mit dem Königreich Sachsen verbunden im J. 1807.* Oznaczone są na téj mappie wielkoarkuszowej rozgraniczenia z r. 1772, 1793, 1795, 1807 i 1809. Może należała ta mappa do dzieła *Sirisy*, u p. R. pod nr. 170 przytoczonego, tylko że księgarz na blasze, w miejsce dawnego tytułu wykrobanego, położył ten nowy, jak to częstokroć z mappami księgarze robią.

6) Wejmarski instytut geograficzny pod kierunkiem Bertucha i Zacha około r. 1790 utworzony, wydawał w księgarni wejmarskiej (*Industrie Comptoir*) mappy i atlasy, w których zapewne i mappa całej Polski z lat różnych, a mianowicie z r. 1795 znajdować się musiała, tu niewymieniona, gdy z wejmarskich mapp jedną tylko pod nr. 169 przytoczoną znajduję. Lecz nazwisko wydawcy *Grüssefeld* poprawić trzeba na *Güssefeld*.

7) *Atlas historique de la Pologne, accompagné d'un tableau comparatif des expéditions militaires dans ce pays, pendant le XVII, XVIII et XIX siècle, par le Comte Stanislas Plater. Posen 1827. Imprimerie de Guil. Decker, in fol. obl.* Jest tu 10 mapp Polski, czyli raczej jedna tylko podług różnych granic illuminowana, a mianowicie jaka była Polska w roku 1625, 1655, 1683, 1701, 1757, 1792, 1794, 1806, 1809 i 1812.

Zapewne i w geograficzno-historycznym atlasie Sprunera (*K. v. Sprunor's historisch-geographischer Handatlas zur Geschichte der Staaten Europas vom Anfange des Mittelalters bis auf die neueste Zeit. Gotha b. Perthes. 1846, fol.*) z 73 kolorow. mapp złożonym, znajdują się mappy wystawiające dawną Polskę podług jój granic w różnych epokach.

Mając ten spis mapp o ile można zupełny, idzie teraz o ocenienie ich wewnętrznej wartości. Bardzo zmaleje

wówczas ich liczba, upadną bowiem proste księgarskie przedruki czyli przeszytychy dla prostego zysku przedsiębrane. Odpadnie i mappa kapit. Folino z czterech dużych arkuszy składająca się (u p. Rast. pod n. 139 przytoczona), jako uformowana z dróźników wojskowych, gdzie reszta położenia miast, równie jak południki i równoleżniki na oko tylko, podług chybił trafił pomieszczone.

Żadna z mapp dawnéj Polski nie zbliża się do pewnéj przynajmniej doskonałości, gdy trygonometryczny pomiar kraju nie służył żadnej za podstawę. Dlatego téż i najobszerniejsza ks. Józ. Jabłonowskiego, pospolicie mappa Zanoniego zwana, więcéj niż wszystkie inne jako na mniejszą skalę rysowane mappy, obejmuje widocznych uchybień, które zwłaszcza przy demarkacyi 1775 roku najjawniej się okazały. (Ob. Siarczyńskiego traktaty europ. w Warsz. 1789. T. IV. 307).

Król Stanisław August pełen najlepszych chęci i chwalebnych dla kraju zamiarów, chciał téj gwałtownej potrzebie zaradzić. Jakoż pułkownik Karol de Perthes z polecenia i nakładem jego, przygotował mapę całej Polski pojedynczemi województwami rozłożoną i wydawaną od r. 1784. Zdaje się, iż pomiary tylko topograficzne służyły do sprostowania pomyłek mappy Zanoniego, gdyż śladu nie ma żadnego, aby pomiar trygonometryczny przez Perthesa miał być przedsiębrany, a dodać także należy, że Czacki i Śniadecki w r. 1790, wystąpili z projektem do trygonometrycznego pomiaru jako rzeczy wcale nowéj, przez p. Rastawieckiego obszernie wyłożonéj. Lecz projekt Czackiego dla czasowych okoliczności nie przyszedł wcale do skutku. Tym czasem rysunki mapp Perthesa przenosił rylcem na miéżdź sztycharz Tardieu w Paryżu, i mappy te u p. Rastawieckiego przytoczone są w dziale III. nr. 15, 16, 17, w dziale IV, nr. 11 do 14. Po roku zaś 1795, rysunki Perthesa dalszych województw, jako téż blachy nieukończone i pozostałe w Paryżu u sztycharza Tardieu, z polecenia N. Cesarza Alexandra zostały nabyte, i wykończone w Petersburgu.

Zadziwia prawdziwie, iż między mappami duchownemi, niéma żadnej przedstawiającej podział kraju kościelny na dyecezye, dekanaty i t. d. Żaden więc arcybiskup gnieźnieński jako prymas Królestwa, lub biskup krakowski, oba tak hojnie uposażeni, nie zdobył się na wydanie takowej mapy w ciągu trzech wieków od upowszechnienia sztycharstwa. Mappy zaś takowe z różnych epok, byłyby częstokroć ważną pomocą historyczną. Przytacza p. Rastawiecki tylko mappy pojedynczych zakonów śgo Franciszka, Karmelitów, Trynitarzy i t. d.

Powstaje teraz pytanie, jak dalece spis samych mapp krajów dawniej Polski, bez przytoczenia dzieł geograficznych, zaspokoić może miłośnika dziejów ojczystych? Mappy i pisma geograficzne i topograficzne, objaśniają i uzupełniają się wzajemnie. Po tak staranném więc przygotowaniu materiałów przez p. Rastawieckiego, wypadałoby aby jakowy miłośnik dziejów ojczystych, zajął się wygotowaniem *Historji geografii dawniej Polski*, nie przepominając korzystania z dzieł *Büschinga* geografii powszechniej.

Może sam p. R. dziełem takowém się zajmuje, które niniejszym spisem uprzedził, aby dalszemi ziomków wiadomościami uzupełnić materiał. Jeżeli tak jest w istocie, niech w przedsięwzięciu swoim nie ostygnie, a do wdzięczności rodaków nowego nabędzie prawa. F. B.

*Lettre à Mr le docteur Enoch à Varsovie sur le traitement des maladies chroniques par la purification du sang et le rétablissement des organes digestifs au moyen d'un procédé inventé et mis en pratique par Jean Schroth à Lindewiese près de Freiwaldau dans la Silésie autrichienne par ***. Varsovie 1847. 8vo maj. (List do doktora Enocha w Warszawie o leczeniu chorób chronicznych oczyszczeniem krwi i wzmacnianiem organów trawienia według metody Jana Szrota w Lindewiese przy Freiwaldau w Szlązku austriackim. Przez *** Warszaw. 1847, 8ka więk.).*

Niémasz w dziedzinie nauk przedmiotu większej liczbie sędziów poddanego, nad teorye leczenia chorób. Mnogość tych teoryj i powstawanie jednej po drugiej, niezaprzeczo-
nym są dowodem niepewności wielu prawd składających podstawę nauk lekarskich. Która z nich jest lepsza, która gorsza, o tém cały świat rozprawia z takim ożywieniem i zajęciem, jak o polityce lub o wydarzeniach w domu sąsiada. I nie sprawiedliwszego nad to. Jak leczącym pozwolilibyśmy wszelkimi sposobami leczyć byleby wyleczyli, tak nie możemy wzbraniać leczonym mówić co tylko chcą o leczeniu, bo to idzie im o życie. Lecz i ci i tamci działają z dobrem społeczeńści. Tamci wymysleniem nawet najdziwaczniejszej teoryi taką przynajmniej korzyść przynieść mogą sztuce, jaką alchemia przynosiła chemii; ci utrzymują interes przedmiotu, niedozwalając mu nigdy obojętnością zaledz. Jeżeli nawet z tych ostatnich obiorą się ludzie zdolni myśleć i myśli wyrażać, pojęcia ich o sposobie leczenia nowo objawionym, wyłożone zrozumiale, udzielają się światu uczonemu, i albo nową przydają gałąź drzewu naszych wiadomości, albo ożywiają starą.

Mówimy to z okoliczności nowój metody leczenia, zaczynającej wstawiać imię Jana Szrota w Lindewiese koło Freiwaldau w Szlązku austriackim, a bardziej z okoliczności drukiem ogłoszonego u nas listu do dra Enocha w Warszawie, jasne dającego wyobrażenie o tój metodzie. Autorem

listu jest jeden ze znakomitych urzędników tutejszych, który udawał się do Szrota i na miejscu jego sposób leczenia poznał. Z pisma tego dowiadujemy się, że Szrot jest prostym włościaninem, ale oraz człowiekiem u którego zdrowy rozum osiągnął najwyższy może wykształcenia stopień. „Moralny i religijny (mówi autor Listu, str. 16) mocą rozważy doszedł on do zadania sobie najoderwańszych pytań, do wyobrażeń których wierność i głębokość podziwiać trzeba i zdumieć się słysząc je wykładane językiem, który nie utracił z wiejskiej ziemianina prostoty.” Wyjątek ten dostatecznie podaje nam wyobrażenie jakim jest Szrot między kapłanami Eskulapa (*). Autor Listu, zajmującego 25 stron. in 8vo maj. w druku, wyklada wcale nie profana lecz umiejętnego fizyologa językiem, zasady jego leczenia, sposoby jakich w swoim leczeniu używa, wymienia naostatek wiele osób, między którymi są znakomite, wyleczonych przez Szrota z ciężkich i zadawnionych chorób. Łatwo się domyślić, że wyobrażenia mało uczonego wieśniaka, nie zawsze się zgodzą z przyjętymi w umiejętności. Tak, gdy Szrot swoje postępowanie z ciałem człowieka którego leczy, objaśnić chce przez analogią z tém co dzieje się z ziemią, wyobraża sobie o tej ostatniej, że *gdy rozgrzana ciepłem dnia, wystawi się potem na chłoność wieczora, wilgoć którą ma w sobie, przyciągniętą zostaje do jej powierzchni i t. d.* (str. 6), i nie poznaje, że ta wilgoć spada wtedy z powietrza.

Książeczkę obejmującą list do dra Enocha, na której końcu są jeszcze dodane w języku niemieckim świadectwa osób znanych i wiarogodnych, jako tą metodą uleczonemi zostały, z przyjemnością przeczyta każdy dla kogo ważną jest rzeczą odzyskanie zdrowia. Nikogo więc nie potrzebujemy zachęcać do jej przeczytania, tém bardziej, że została wydana w celu dobroczynnym, i sprzedaje się na korzyść ubogich gminy ewangelickiej w Warszawie. A. W.

(*) Poniżej czytamy, że Szrot ma przeciwnika w znanym Pryśnicu w Grefenbergu, lubo niegdyś byli kolegami szkolnymi w wiejskiej szkółce.

ROZMAITOŚCI.

Pieśni ludu weselne.

(Z muzyką).

Jeśli w ogóle po całej Słowiańszczyźnie pieśni i obrzędy weselne z wyłącznym zamiłowaniem bywają obchodzone, to przede wszystkim w Polsce stanowią one najcenniejszą epokę uroczystości familijnych włościanina. Wielokrotnie już opisywano obrzędy weselne u nas; w każdym niemal zbiorze pieśni ludu jaki się pojawił (*), znajdujemy znakomitą ilość tego rodzaju śpiewów, do żadnego jednak tyle tu potrzebnej muzyki nie dołączono. A wszakże każdy chętnie przyzna, że ta ostatnia jest niejako koroną godnie wieńczącą dzieło; bez niej, tekst jest jakoby ciało bez duszy; z nią, całe bogactwo poezji sielskiej tak prostej a tak silnej, pełnej ułudy i niewysłowionego uroku, zawsze świeżej, bo niepodlegającej zmianom mody, i może niegdyś przy kołysce słyszaniej, odradza się w naszej wyobraźni. Zatem, gdy muzyka jest tu z tekstem nierozdzielna (bo bez niej żadne wesele nie ma miejsca), przedsięwziętem skreślić pieśni weselne z melodyami, jakie mi się w różnych okolicach kraju naszego słyszeć zdarzyło, oraz wykazać (ile można) ich warianty, przerabiania, wyskoki, różnorodne napływy, nawet zwichnienia. Przekształcenia takowe spowodowały tysią-

(*) Zbiory Wójcickiego, Żegoty Pauli, Wacława z Oleska, Lipińskiego, Konopki, Przegląd Naukowy z r. 1843 i t. d.

do. № 5.

Allegro non troppo.

M. M. ♩ = 100. 1

Z tam-tej stro-ny mły-na zie-to-na ol-

Podale.

tempo 1^o.

wa-dra tyl-ko trzeba czę-sto - wać Na pierwo.

da - dra sami od-pro - wa - dra tyl-ko trzeba czę-sto -

ja weselu chny ja we seluchny a ty smutna sie ron

do. N^o 5.

All. M. r = 100.

Allegro non troppo.

piu vivo.

Z tam-tej stro-ny mty-na zie-lo-na ol-szy-na trze-ba by-ja wy-ra-bac Dada ci ja dada sa-mi od-pro-

Pedale.

tempo 1^o.

Vivo.

wa-dac tyl-ko trzeba czę-sto - wać Na pierwsze sa-lo - ty prze-pi-tem tam sto - ty i tak mi jej niechca dać. Dada ci ja

da - da ci sami od - pro - wa - da ci tyl - ko trzeba czę - sto - - wać do. N^o 9.

Adagio. M.M. r = 80.
A już do-branoe oj moja Marys mi-jam twoje wro - - ta /

Pedale.

ja weseluchny ja wo seluchny a ty smutna sie ro ta. A już do-branoe o moja Marys mi-jam twoje szy-by jado ciebie tagodnym stoweczkim

3
a ty do mnie przez zęby
 Ped. Len.

do N^o 10.

All^o non troppo
 3
Zabieraj ze się Marys' moja zabie - raj niech się twoja kampa -
 Ped.

3
nija po podmórzcu nie te ra nie te ra Już się ja moi dobrzy ludzie wybra - ta tylko od matki jeszcze błogosławieństwa nie miała nie miała

do N^o 13.

A sin daj ze na mór, warchołce se zaton cregoi będziesz pta - ka - ta od oj - ca od matki zabiorzesz do - statki cregosx będziesz pta - ka - ta

do N^o 14.

Andante

Pod ko-rem so - sna pod nią to - po - - la nie chodźże tam moj - ja Ma-rys' boć tam nie ma - la.

Pod.

Nie wo-łać by - ta sa - ma po - trze - ba i to - bą ci się moj Woj - ty - siu do - ra - biać dle - - ba.

do № 22. Allegro.

Dzię - ku - je - mi Pa - nu Bo - gu da i to - bie pa - nie gos - po - da rzu i pa - nię gos - po - dy - nię po o - bie - dzie po do - brym toć tam by - ty

sto - ty toć to wszystko ci - so - wo Dzię - ku - je - mi Pa - nu Bo - gu da i to - bie pa - nie gos - po - da rzu i pa - nię gos - po - dy - nię

no o - bie - dzie po do - brym toć tam były o - - bru - - sy toć to wszystko bie - lo - - ne

do № 23.

Vivace.

M.M. ♩ = 116.

Oj chmielu chmie - lu ty buj - ne zie - le nie będzie bez cie - bie ka - dnie we - - se - - le

Red.

na chmielu no nie boże to na dół to po gorze chmielu nie bo - że Oj chmielu chmie - lu ty roz - boj -

ni ku roz - bi - ter wieńcę na pastę roni - ku no chmielu no nie boże to na dół to po gorze chmielu niebo że.

ce okoliczności i stosunków, których drobiazgowo śledzenie, mozolną, niewykonalną, wreszcie niepotrzebną byłoby pracą. Oddaję je przeto jakimi są ludowi, od którego je wzięłem; a rozwijając jedne po drugich obrzędy weselne z różnych miast oddalonych od siebie stron, najlepiej przez porównanie ich między sobą, rozróżnić co w nich pierwotnego a co było napływowego z innych pieśni lub okolic, odgadnąć wzajemny wpływ jaki na siebie wywierały, i ocenić ich wartość poetyczną będziemy w możności.

I.

Z powiatu Opoczyńskiego. Wsie Rdzuchów, Sady, Przystałowice, Nieznamierowice, Rusinów, Sulgostów, Potworów, Kłudno, Grzmiąca, Piastów, i t. d. a raczej okolice miast Drzewicy, Przysuchy, Przytyka, Odrzywoła i Nowogomiasta nad Pilicą.

Kiedy się młody wieśniak zamyśla żenić, a wysłana wprzódy (w tym celu) na wywiady baba, czyli dziewczosłębina, wróżyła mu pomyslnie przyjęcie, udaje się we czwartek wieczorem lub nocą w towarzystwie dziewczosłeba i swatów do chaty swojej kochanki, do której, stanąwszy podedrzwiami, samych tylko wpuszcza dziewczosłębów; ci na progu odśpiewują:

- (1) 1. Oj! przyjechali starsi swatowie zdaleka,
I przywieźli oni chorągiewkę ze złota;
A na téj chorągiewce pisanie,
Jakież to będzie Maryś z matulą rozstanie?
2. Oj! przyjechali starsi swatowie zdaleka,
I przywieźli oni chorągiewkę ze złota;
A na téj chorągiewce pisanie,
Jakież to będzie Maryś z tatulem rozstanie?
I jakież będzie z całą rodziną rozstanie?

Wchodzą do izby uzbrojeni we flaszkę wódki, kłaniają się czapkami do kolan, i powitawszy dom zwykłym: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, po odpowiedzi gospodarstwa: „Na wieki wieków amen”, proszą o podanie kubka.

- (2) A dajcie nam tu kubeczka,
Podobała nam się wasza dziewczeczka.
Prawą nóżką przez próg,
Będzie szczęście dalibóg.

Dawajcie nam—a nie zwlekać,
Nie dajcie nam długo czekać.

Jeżeli dziewczyna wezwana o podanie kubka długo takowego szuka, ale znaleźć go nie mogąc znika wreszcie z chałupy, jest to znak odmowny (co wszakże nader rzadko się zdarza, rzecz bowiem bywa już poprzednio ułożoną); w przeciwnym zaś razie, podaje lub stawia kubek na stole, a sama umyka za piec. Wtedy ukazuje się jej przyszyły, wita rodziców i odbiera wzajemne pozdrowienie; swatowie piją wręce rodziców, na co ciż dziękując odpowiadają. Dziewosłab wyprowadza gwałtem z za pieca pomieszana i zapłonioną dziewczkę, zmusza ją niejako do przyjęcia i wychylenia kubka, czego taż w kącie obróciwszy się plecami do towarzystwa, niby od niechcenia dopełnia; poczem starszy swat wynurza się i prosi o rękę ich córki dla obecnego tu młodziana, na co rodzice przystają i zobopólna ugoda ma miejsce. W następującą niedzielę pan młody albo któren z dziewosłębów daje do kościoła na zapowiedzi, sprasza przyjaciół i kumów do chaty rodziców panny młodej lub do karczmy, gdzie się odbywają zaręczyny. Goście zasiadają ławy, biesiadują; starszy swat wiąże chustką lub wstęgą ręce narzeczonych i przemawia do nich stosownemi słowy; dalej tańce, śpiewy i żarty, kraszają powszechną ochotę. Pan młody chciałby co najrychlej swoją lubkę wyściskać, i w tym celu daje się słyszeć z następującemi żalami, na które swachny śmiejąc się chórem odśpiewują:

- (3) 1. Z tamtęj strony młyna — zielona olszyna,
Trzebaby ją wyrąbać.
Spodobała mi się — u młynarza córka,
Żeby mi ją chcieli dać.
 Dadzą ci ją dadzą — pięknie odprowadzą,
 Nie trzeba się frasować,
 Tylko trzeba częstować.
2. Na pierwsze zaloty — przepiłem tam złoty,
I tak mi jój nie chcą dać.
 Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
 Nie trzeba się frasować,
 Tylko trzeba częstować.
3. Przepiłem i drugi — to nie wielkie długi,
I tak mi jój nie chcą dać.

- Przepiłem i trzeci — to nie wielkie rzeczy,
Jeszcze mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.
4. Przepiłem i talar — kęs'em nie oszalał,
I tak mi ją nie chcą dać;
Przepiłem i dukat — kęs'em nie ogłupiał,
Jeszcze mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.
5. Przepiłem i woły — co chodziły w roli,
I tak mi jój nie chcą dać.
Przepiłem i konie — co chodziły w bronie,
Jeszcze mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.
6. Przepiłem i ciele — dyć tego za wiele,
I tak mi jój nie chcą dać.
I dwie owce składne — dyć ja ich nie kradnę,
Jeszcze mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.
7. Przepiłem i trzode — a za jój urodę,
I tak mi jój nie chcą dać,
I trzode i pługi — i zabrnąłem w długie,
Jeszcze mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.
8. Przepiłem sukmanę, — w koszuli ostaną,
I tak mi jój nie chcą dać;
Przepiłem ci i wóz, — na tyłkum się przywiózł,
Jeszcze mi jój nie chcą dać.
Dadzą ci ją dadzą — sami odprowadzą,
Tylko trzeba częstować.
9. A na święty Jacek — we Skrzynnie jarmacek,
Dali mi ją wiezie mać.
A ja jój téż nie chcę — wedle innój drepce,
Wtenczas mi ją było dać.

Po dwóch lub trzech tygodniach, w poniedziałek poprzedzający dzień ślubu (który się w niedzielę zwykł zawierać), państwo młodzi w towarzystwie kilku parobków i dziewcząt, obchodzą od chaty do chaty imieniem rodziców, zapraszając przyjaciół i družbę do domu lub karczmy na gody weselne; zapro-

siny te powtórzyć należy później jeszcze po raz drugi we czwartek, do czego następująca służy oracya:

4. Przyśliśmy tu do jéjności prosić o druchenczki,
 Ażeby się przygotowały,
 Spodniczki wyfałdowały,
 Fartuszki wymaglowały,
 Trzewiczki wysmarowały,
 Pończoszki popodwiązywały.

Żeby w akcie weselnym panu młodemu i pannie młodéj
 wstydu nie narobiły.

A my się téż będziemy znać,
 każemy grac,
 w szalamaje i dudy,
 aż się będą trzęsły kolana i udy.
 Niemasz-ci to nie ma jak starszemu družbie;
 Pójdzie se do kuchni i pieczeni urznie;
 i do komory się wtłoczy,
 i piwa utoczy.

Teraz prosiemy państwa na te parę kokoszy
 jeśli ich jastrząb nie rozpłoszy,
 i na parę kuropatw
 co pan młody pannie młodéj we fartuszku dopadł.
 Przepraszamy państwa teraz,
 przepraszamy drugi raz,
 bośmy się tego nie uczyli w szkole
 tylko u ojca cepami w stodole.

W sobotę rano, to jest w wigilią ślubu, pan młody w towarzystwie družby i wesołka czyli skrzypka, po raz trzeci zaprosiny wznawia; tymczasem zaś panna młoda z rodzicami zajmują się przygotowaniami na przyjęcie gości. Ci téż niebawem schodzą się, zbierają w gromadki, gawędzą, i biorą potem posiłek wśród gwaru i oświadczyn życzliwości; wesołość wzrasta, grajek przygrywa, a przy muzyce i śpiewach družbów, druchen, swatów i swachen, zabiérają się do rozplatania warkocza pannie młodéj. Wtedy starsza druchna zaczyna w jéj imieniu:

5. Oj nieskutecznie mój mocny Boże na świecie,
 Któż mi teraz złoty warkoczyk rozplecie?

Inna odzywa się:

Da chodzi ono starszy družebka po sieni,
 Oj nosi on szczotkę, grzebyczek w kieszeni.

Starszy družba odpowiada:

A ja-ci to moja Maryś służka twój,
Da rozpletę ja, rozczesę ja warkocz twój.

Na co starsza druchna w imieniu panny młoděj:

Nie będziesz ty go starszy družebko rozplatał,
Oj da boś ty się mego tatula nie pytał.

Starszy zaś družba zwracając się ku rodzicom:

A czy z wolą tatuleńka czy nie z wolą,
Da czy rozpleść, czy rozczesać pannę młodą?
Oj czy z wolą matuleńka czy nie z wolą,
Da czy rozpleść, czy rozczesać pannę młodą?
Oj czy z wolą wszystkã rodzina czy nie z wolą,
Da czy rozpleść czy rozczesać pannę młodą?

Ojciec na to mówi:

Da usiądź-że moja Maryś na dzieży,
Oj niechże ci się złoty warkoczek rozpierzy.

Poczém starszy družba zbliża się do panny młoděj, sadza ją na dzieży, rozplata jēj warkocz, czesze i wiąże wstążką a matka wśród tego przyspiewuje:

6. Powoli ją rozplatajcie,
Warkoczka jēj nie targajcie,
Wam się nudzi że powoli,
A Marysię główka boli.

Dalėj zaś jedna z druchen śpiewa:

7. Usiadła Maryś na białym kamieniu,
I rozpuściła warkocz po prawém ramieniu.

Starsza druchna:

Ładno ci mój Wojtysiu na mój warkocz patrzyć,
Będzie ci jeszcze milėj jak go przyjdzie płacić.

Po odbytych rozplecinach następuje wieczerza. Kiedy się już towarzystwo nabawiło i posiliło do woli, przed rozejściem się do domu wszystkie druchny śpiewają chórem:

8. Hej zaśpiewajmy se o tēj dobrej przygodzie,
A siła nas jutro do kościoła pojedzie?
Oj pojedzie nas koni dwanaście, wozów sześć,
Będzie miała panna-młoda z druchniczkami kędy sieść
(usiąść).

Oj pojedzie nas koni dwadzieścia, sto wronych,
Wszystko to pana młodego w zieleni (zielono ubrani).
Oj tętniały kowane wozy, tętniały,

Kiedy one z panną młodą do kościoła jechały.
 Oj zarżały kare koniki, zarżały,
 Kiedy one z panną młodą do kościoła jechały.
 Oj nie rzyjcie kare koniki, nie rzyjcie,
 Popasiemy was na Klwowskiém polu, na życie.
 Da pomale wy Sadowianie pomale,
 Oj powieźną wam kare szkapiny na kale.
 Da Rdzuchowianom dobrym ludziom nasielnikami brząkają,
 Oj da bo ony goły owiesek jadają.
 Da już-ci czas panno młoda do dom spać,
 Bo ci już czas twoją głowiczkę fryzować.
 Da już-ci czas panie młody do dom spać,
 Bo ci już czas konikowi obrok dać.
 Da już-ci czas wy druchniczki do dom spać,
 Bo wam się trza o różowe wstążeczki postarać.
 Oj już my się u pani starościny starały,
 Żebyśmy se różowych wstążeczek dostały.
 Da już-ci czas wy družebkowie do dom spać,
 Bo wam się trza o siwe czapeczki postarać.
 A już my się u pana starosty starali,
 Żebyśmy se siwych czapeczek dostali.
 Da już-ci czas wy swatowie do dom spać,
 Bo wam się trza o tabaczkę postarać.
 A już my się u pana starosty starali,
 Żebyśmy se proszkowej tabaczki dostali.
 Da już-ci czas wy swachniczki do dom spać,
 Bo wam się trza o czépeczki postarać.
 A już my się u pani starościny starały,
 Żebyśmy se ładnych czépeczków dostały.
 Da już-ci czas panie wesoły do dom spać,
 Bo ci trza jutro raniusko pannie młodéj ładnie grać.

Rozchodzą się. Pan młody pozostaje niekiedy w tyle i w towarzystwie kilku z drużby i wesołka, podchodzi pod okienko swojej lubéj, gdzie jeszcze na dobranoc rodzaj serenady wykonywają w tych słowach:

9. O już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
 Weź-że se pana Jezusa na pomoc.
 O już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
 Weź-że se Matkę Najświętszą na pomoc.
 O już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
 Weź-że se wszystkich świętych na pomoc.
 O już dobranoc moja Maryś — mijam twoje wrota,
 Ja weseluchny, ja weseluchny — a ty smutna siérota.

O już dobranoc moja Maryś — mijam twoje szyby,
Ja do ciebie łagodném słówkiem — a ty do mnie przez zęby.

Da i wyszła sobie — stanęła sobie

Da i pod jaworem w chłodzie.

Wygląda Wejtysia — wygląda Wojtysia,

Da z którój strony przyjedzie.

Oj jedzie jedzie — mój kochaneczek,

Da i po moście od bora.

Da i rozpuścił-ci — te strusie piórka,

Co mu je dałam z wieczora.

Nie tak-ci mi żal — strusich pióreczek,

Da i com ci ich rozpuścił,

Da jak mi ciebie — moja Marysiu,

Da com cię marnie opuścił.

Cóżeś za tęgę — cóżeś za tęgę,

Do siebie Maryś miała,

Coś ty odemnie — coś ty odemnie,

Da i podarunki brała.

Wierniem ci służył — na ciebiem się dłużył,

I podarunkim kupował;

Wiedzieli ludzie — i sam Pan Jezus,

Żem ciebie wiernie szanował.

Cobym ja wiedział — cobym ja wiedział,

Którędybyś chodzić miała,

Kopałbym dołki — stawiałbym stolki,

Ażebyś szczęścia nie miała.

Nazajutrz w dzień ślubu, gdy już goście zebrani, druchny ubierają pannę młodą w białą lub jasną sukienkę. Uczesawszy jęj głowę, zdobią ją wstążkami i kwiatami, wplatają we włosy rozmaryn i rutę, panu młodemu przypinają do boku równiankę z rozmarynu związaną białemi i czerwonemi wstążkami, a drużby stroją swe czapki w kogucie lub pawie piórka. Przed samym wyjazdem druchny śpiewają:

10. A zabiérajże się Maryś moja, zabiéraj,

Niech się twoja kompania po podwórzu nie téra.

Już-ci ja się moi dobrzy ludzie wybrała,

Tylkom od matki jeszcze błogosławieństwa nie miała.

A upadnijże już Maryś moja przez progi,

A obejmijże już twoję matuleńkę za nogi.

A zabiérajże się Maryś moja, zabiéraj,

Niech się twoja kompania po podwórzu nie téra.

Oj pieją kury, pieją kapłony,
 da i wysoko na śliwie,
 Oj prowadźże nas, mój mocny Boże
 do kościoła szczęśliwie:
 Do kościoła do Bożego
 I do stanu małżeńskiego.

Tak się prosi o błogosławieństwo jeżeli są rodzice, jeżeli ich nie ma, tak:

12. Pozna sierotę — pozna,
 Bo ojca, matuli nie ma;
 Ona chodzi kole płota,
 Płacze, krzyczy bo sierota.
 Powstańże ojciec z grobu,
 Błogosław dzieciom do ślubu.
 Ciężko mnie ciężko z grobu wstać,
 Błogosławieństwo dzieciom dać.
 Są ci tam ludzie na świecie,
 Pobłogosławią sierocie.

Podczas tych pieśni, państwo młodzi padają do nóg rodzicom i przepraszają ich, ci zaś im błogosławią; wtedy wszędzie pełno płaczu i łkania. Drużbowie dają znać że już czas w drogę.

13. A siadajże na wóz — warkoczki se załóż,
 czegoż będziesz płakała?
 Od ojca od matki — zabierzesz dostatki,
 czegoż będziesz płakała?

Potém sadzają pannę młodą z druchnami na wóz, muzyka rozpoczyna marsza lub wesołą przygrywkę (14), drużbowie wsiadają na koń, i cała gromada ewałem do kościoła pogania. Starszyzna niekiedy pozostaje w domu oczekując powrotu młodej pary. Obrzęd ślubny powinien się koniecznie przed ukończeniem nabożeństwa rannego odbyć; jeśli się bowiem spóźnią, kapłan odkłada ceremonią na następną niedzielę. Nim wejdą do świątyni, druchny śpiewają a drużbowie im odśpiewują:

15. Pod borem sosna, pod nią topola!
 Nie chodźże tam moja Maryś, bóg tam niewola.
 Niewola była, sama potrzeba,
 Z tobą-ci się mój Wojtysiu, dorabiać chleba.
 Powiedz-że mi raz, powiedz drugi raz,
 Ten wianeczek, ten ruciany, komuż ty go dasz?

Tobie Wojtysiu, tobie najmilszy,
 Jak klękniewa przy ołtarzu w kościele przy mszy.
 Tam nam będą grać i ślub nam dawać,
 Tam będziewa moja Maryś, nad sobą płakać.
 Powiedz jeszcze raz, powiedz drugi raz,
 Ten wianeczek, ten ruciany, jeśli mnie go dasz?
 Dam go Wojtysiu, dam go najmilszy,
 Jak klękniewa przy ołtarzu w kościele przy mszy.
 Moje družbeczki, dajcie chusteczki,
 Da skoczę ja, da otrę ja, Marysi oczki,
 Będiesz ucierać, ja płakać będę,
 Bo jużci się i na wieki, wianka pozbędę.
 Kiedy przed wiankiem, organy grają,
 Już-ci się go i na wieki dziewczki zbywają.
 Bodajże bodaj być dziewczką sobie,
 Niżli służyć mój Wojtysiu, niż służyć tobie.
 Moje družbeczki, dajcie chusteczki,
 Da skoczę ja, da otrę ja, Marysi oczki.
 Ja jój ucieram, ona wciąż płacze,
 Da jużci ja moja Maryś wianek zapłacę.
 Toć pójdę za cię, toć Boska wola,
 Pod borem sosna, pod nią topola!

Po otrzymaniu błogosławieństwa kapłańskiego i wyszedłszy z kościoła, rzucają orzechy laskowe dzieciom na pamiątkę. Jeżeli się panna młoda wezwana do spowiedzi z wyjściem ociągala, druchny zaczynają nucić:

16. A gdzież nam się panna-młoda podziała?
 A w kościele za ołtarzem została.
 Do koła starszy družebko, do koła,
 Wyrowadźże pannę-młodą z kościoła.
 Żałować ją druchenecki żałować,
 Złożyć jój się na war piwa, darować.

Wracają jak przyjechali, szumno i gwarno. Przed wrotami zatrzymują się. Nim swachy puszczą do karczmy lub do chaty gdzie się rozpoczęło wesele, gromada śpiewa prośbę o wpuśczenie. Warstwę (strofę) śpiewają, warstwę wesolek gra.

17. Prowadź-że nas Panie Boże,
 Oj do dworu na podwórze,
 Bo tam pięknie podmiatają,
 Bo się gości spodziewają.
 Nie tak gości, byle gości,
 Ale samego Boga z wysokości.

A mój ojciec wyjdź-że do nas,
Jak nie wyjdiesz, cóż-że po nas.

Wyglądasz mnie pani matko,
Wyglądasz-ci mnie z kościoła;
Cóż po twojem wyglądaniu,
Da kiedy ja już nie twoja.
Szeroki liść na kalinie,
Moja młodość marnie ginie,
Jeszcze szerszy na jaworze,
Wspomóż-że nas mocny Boże!

Oj-że jeno rozmaryonie,
Siewałam cię po zagonie,
Któż cię teraz siewać będzie,
Kiedy Maryś za mąż idzie?
Jest-ci jeszcze siostra młodsza,
Da ta ona nie dorosła,
Da ta ona siewać będzie,
Kiej Marychna za mąż pójdzie.
Ostań z Bogiem i ty progę,
Idę za mąż chwała Bogu,
I wy stoły i wy ławy,
Gdzie siadały grzeczne damy.

Pomaga Bóg! matko moja,
Kędyć-że to córka twoja?
Ona stoi przede wroty,
Rozczesuje warkocz złoty.
Pomaga Bóg! matko moja,
Kędyć-że to córka twoja?
Ona stoi przede wroty,
Opłakuje swojej cnoty.
Pomaga Bóg! matko moja,
A kędy-że córka twoja?
Ona siedzi za stołami,
Pije piwko z pacholkami.

Puszczają ich. „Niech będzie pochwalony” i t. d.

Stąp prawą nogą na progę,
Będzie szczęście chwała Bogu.
Czyście nam radzi czy nie radzi,
Kłaniamy całej czeladzi.

Całej kompanii!
Całemu domowi!

W czasie powitań, starszy swat przyjmuje państwa młodych u progu chlebem i solą, poczem wprowadza ich do komory, gdzie oboje skosztować winni jaglanej kaszy z mlékciem i sérem umyślnie dla nich przyrządzonej, a to jak powiadają baby dlatego, żeby dzieci mieli białe. Dalej idzie gawęda, tną żarty i w płasy aż do obiadu; gdy zasiądą do stołu, starszy družba niosąc barszcz przemawia.

18. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Łaskawi przyjaciele,
Jadę do was śmieie,
Nie kolasą nie wozem,
Ale z darem Bożym.
Żebyście radzi pożywali,
Głodu nie zamierali.
Bo jak jeść nie będziecie,
Wszystkiego pozbędziecie.
Bo dziad stoi za drzwiami,
Z cielećcami torbami,
Będzie zabiérać przed wami.

Siada wtedy wraz z innemi i zaczynają jeść barszcz (lub rosól), różne mięsiwa, jako flaki, kielbasy, gęś, drób, prosięcinę i t. d. do tego kaszę jaglaną lub jęczmienną; wreszcie druchny wnoszą ogromną misę grochu, do którego (posługując godownikom) przyśpiewują:

19. Rośnie nam groszek przy drodze,
Co się nam płacze po nodze.
Koło niego swatuszkowie jechali,
I ku niemu czapeczek uchylali.
Tylko jeden nie uchylał,
Bo on w tym groszku przebywał,
A w tym groszku słonina,
Dla panny-młodéj nowina;
Będzie miała groszek ze słoniną,
Białe łóžeczko z pulchną pierzyną.
A w tym groszku jagły w nim,
Boże go rozmnażaj, jedzmy w nim.
W stadole go mlóć, na stole go jedzą,
Trzeba go i tym dać co za piecem siedzą.

Resztki chleba i grochu dają dzieciom i ubogim, wtedy družbowie powstają i wnoszą kołacz upieczony przez pannę-młodą, dzielą go między obecnych, a druchny siadając śpiewają:

20. A witajże z nami,
 Kołaczu rumiany,
 Od Pana Jezusa i Najświętszj Panny,
 Do starszj swachny zesłany.
 Swachny go pokrajcie,
 Gościom go rozdajcie,
 Niech go pożywają,
 Panu Jezusowi i Matce Najświętszj
 Cześć i chwałę dajcie.

Po skończonym obiedzie, starszy swat wzywa śpiewem do powstania:

(21) Powstańcie druźbowie z za stoła,
 Podziękujcież Panu Bogu i Matce Najświętszj z obiada.
 A druźbowie i swatowie powstali,
 Panu Jezusowi i Matce Najświętszj cześć i chwałę oddali.

Teraz druchny i druźbowie intonują:

- (22) 1. Dziękujemy panu Bogu — da i tobie panie gospodarzu
 Z panią gospodynią po obiedzie — po dobrym.
 Toć tam były stoły — toć to wszystko cisowe,
 Toć tam były ławy — toć to wszystko dębowe.
2. Dziękujemy panu Bogu — da i tobie panie gospodarzu
 Z panią gospodynią po obiedzie — po dobrym.
 Toć tam były obrusy — toć to wszystko bielone,
 Toć tam były i szklanki — toć to wszystko zielone.
3. Dziękujemy i t. d.
 Toć tam była gorzałka — toć to sama majchlarka,
 Toć tam były i piwa — toć to wszystko z jęczmienia.
4. Dziękujemy i t. d.
 Toć tam były łyżki — toć to wszystko cynowe,
 Toć tam były chleby — toć to wszystko pytlowe,
5. Dziękujemy i t. d.
 Toć tam były młski — toć to wszystko gliniane,
 Toć tam były placki — toć to pszenne nie inne.
6. Dziękujemy i t. d.
 Toć tam była cébula — toć to wszystko z Torunia,
 Toć tam była pietruszka — toć to wszystko ze Gdańska,
 Toć tam były przyprawy — toć to wszystko z War-
7. Dziękujemy i t. d. szawy.
 Toć tam były pieczenie — toć to wszystko jelenie,
 Toć tam była kapusta — toć tam była rozpusta,
 I za stoły i za ławy,
 I za przepyszne potrawy,
 Za wszystko wam dziękujemy,
 Tylko jęszcze piwka chcemy.

Teraz do tańca pójdziemy,
Dalej panie wesoly!

Obracając się do starszego družby, który taniec z panną-
młodą powinien rozpocząć:

Oj nie rażny starszy družba — nie rażny,
Bo druchniczki za stołem pomarzęły.
Sam se starszy družba, sam se rad,
Ono chodzi po zapiecku kieby dziad.

Wtedy rzucają się rzeżko w taniec mężczyźni nasunawszy
czapki na ucho, dobiierają sobie pary i kręcą się ruchem wiro-
wym wkoło naksztalt walca, lecz w odwrotnym kierunku, czy-
li na lewo; jestto obertas z miejscowemi modyfikacyami. Nie-
kiedy tańczą krakowiaka a starzy poloneza. Polonez ten je-
dnak zwany tu *pieszkim*, albo *wielkim*, inaczéj się nieco tań-
czy jak w zgromadzeniach szlacheckich, bo tancerz jedną ręką
objąwszy kibić tancerki, drugą wolną podnosi do góry i tak
przed siebie sunie się potupując i podrygając. Wśród tańca,
ten i ów wrywa się z ucinkiem lub dwóznacznym konceptem
do muzyki. Panuje tam gwar powszechny, żarty, śmiechy, uści-
ski, oświadczenia, pijatyka. Ochota przeciąga się późno w noc,
poczém przystępują do oczepin panny - młodéj. Wówczas
druchny i družba zaczynają znaną piosnkę o chmielu.

(23). Oj chmielu, chmielu, ty bujne ziele,
Nie będzie bez ciebie, żadne wesele.
No chmielu, no nieboże,
To na dół, to po górze,
Chmielu nieboże.
Żebyś ty chmielu na tyczki nie laźł,
Nie robiłbyś ty z panienek niewiast.
No chmielu i t. d.
Ale ty chmielu na tyczki włazisz,
Nie jedną pannę wianeczka zbawisz.
No chmielu i t. d.
Oj chmielu, chmielu, ty rozbójniku,
Zdradziłeś pannę na pastewniku.
No chmielu i t. d.
Oj chmielu, chmielu, na tobie rosa,
Nie jednego ty wytrząsniesz glosza:
Czyto chłopek — czyto panek,
Lubi wypić piwa dzbanek.
No chmielu i t. d.

W ciągu owego śpiewu, zasadzają pannę-młodą na stołku. Kiedy ją druchny rozbiérają, swachna starsza wziąwszy siatkę, obchodzi towarzystwo, prosząc gości o jaki datek pieniędzy na czépek, do czego druchny przyśpiewują:

24. Moje miłe sąsiadeczki,
 Nie żałujcie téj siateczki.
 Wyjadłyście, wypityście,
 Na czépeczek nie dałyście.
 Maryś siedzi między wami,
 Jako kolek ociosany,
 Trzeba jój dać na czépeczek,
 Bo straciła swój wianeczek.
 Trzeba jój dać na garnuszek,
 Bo jój się stłukł bębełuszek.
 Trzeba jój dać na łyżeczkę,
 Trzeba jój dać na miseczkę,
 Trzeba jój dać nie żałować,
 Trzeba się nad nią zlitować.
 Trzeba jój dać na sitko,
 Trzeba jój dać na wszytko.

Starsza druchna imieniem panny-młodéj śpiewa rzewnie:

25. Moja matulu, moja kochana — biorą mi wianeczek;
 Moja matulu, moja kochana — kładą mi czépeczek;
 Moja matulu, moja kochana — biorą mi ruciany,
 Moja matulu, moja kochana — kładą mi niciany.

Nie chciałaś chodzić moja Marysiu w wianeczku,
 Oj chodźże teraz moja Marysiu w czépeczku.
 Nie chciałaś chodzić moja Marysiu w rucianym,
 Oj chodźże teraz moja Marysiu w nicianym.

Oj dalekoż mnie moja matulu,
 da i od siebie wydajesz,
 Oj niedaleczko — oj przez poleczko,
 oj da i tylko za wieś.
 Obiecałaś mnie moja matulu,
 da i w daleki kraj wydać;
 Zapowiadałaś — upominałaś,
 żeby u ciebie nie bywać.

Potém druchny do panny-młodéj obróciwszy się:

26. Jużto precz Marysiu — jużto precz!
 Porzuć wstążki na gałązki — wdziej czépiec.
 Oj zrobię ja swój matuli uciechę,
 Porzucę ja swój wianeczek na strzechę.

Otóż tobie pani matko uciecha,
Nachodzi się w moim wianku i strzecha.

Po oczepinach, wykręciwszy się w tańcu ze swachną, družbą, dziewosłębem i innemi, dostaje się nareszcie do rąk pana-młodego, którego dotąd starannie unikała; lecz wtedy nie mogąc się wymknąć, udaje kulawą i opór stawia; on zaś rozdąsany nie uznając jęj za swoją i utrzymując że to jakaś szkaradna baba a nie jego Maryśka, oddaje ją swachnie i ustępuje na stronę. Druchny śpiewają:

27. Gdzież się podział nasz pan-młody,
Obiecał nam ceber wody,
Oj nie wody, gorzałeczki,
Nie damy mu Marysieczki.
A gdzieżeś ty niezdarzony,
Nie godzienieś takięj żony,
Daj nam gorzały z baryły,
By ci się chłopcy darzyły.

Scena ta kilka razy się powtarza: pan-młody udobruchany chciałby wykupić swoją lubą, szuka jęj, lecz swachna moeno ją trzyma śpiewając:

Póty Marysi nie wydám,
Póki piweczka nie zyskam;
A ja to mówię nie na żart,
Bo to Maryś toć to skarb.

Pan-młody pije w ręce swachny, oddaje jęj flaszkę i szklan-kę, a sam odbiera pannę-młodą, i wtedy już w najlepsze z nią bez żadnej przeszkody wywija. Taniec trwa do białego dnia.

Na trzeci dzień, gdy zeszedł cały czas na biesiadach, tańcach i śpiewach (niemających wszakże bezpośredniej styczności z weselnemi), kiedy radanierada wyprowadzoną bywa nowo-zaślubiona z mieszkania rodziców celem udania się do mężow-skiego, towarzyszące druchny śpiewają jeszcze w progu na odchodném następującą pieśń:

28. Dobranoc ci panie ojcze,
Wydałeś mnie w cudze ręce;
Kogóźci wydawać będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?
Dobranoc.
Dobranoc ci pani matko,
Chowałaś mnie zawsze gładko,

Kogóż teraz chować będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?

Dobranoc.

Dobranoc ci miły bracie,
Nieraz się na mnie gniewacie,
Na kogóż się gniewać będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?

Dobranoc.

Dobranoc ci młodsza siostró,
Coś mi się stawiała ostro,
Komuż tak stawiać się będziesz,
Kiej Marysi już pozbędziesz?

Dobranoc.

Dobranoc wam miłe ściany,
I ty piecu malowany,
Któż cię tam malować będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?

Dobranoc.

Dobranoc wam i wy stoły,
Com was myła co wieczory,
Któż was teraz mywać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?

Dobranoc.

Dobranoc i wy podwoje,
Wspiérały się ręce moje,
Któż się teraz wspiérać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?

Dobranoc.

Dobranoc wam i wy progi,
Co chodziły moje nogi,
Któż tu teraz chodzić będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?

Dobranoc.

Dobranoc wam i wy łyżki,
Jadały tu towarzyszki,
Któż tu teraz jadać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?

Dobranoc.

Dobranoc wam wy talerze,
Jadały tu kawalerze,
Któż tu teraz jadać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie?

Dobranoc.

Dobranoc ci i ty dzbanie,
Byłeś u mnie na wydanie,

Po piweczko do karczemki,
Już tu niéma Marysienki,
Debranoc.

W imieniu rodziców śpiewają na zakończenie wszyscy pieśń pożegnania, polecając pannę-młodą opiece Boskiej:

A już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weźże se Pana Jezusa na pomoc.
A już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weźże se Matkę Najświętszą na pomoc.
A już dobranoc moja Marysiu dobranoc,
Weźże wszystkich świętych na pomoc.

Na tém się kończy obrzęd weselny w tych stronach.

(d. c. n.)

Oskar Kolberg.

Der Starost und sein Nachbar i Die Reise ohne Ziel, powieści Fr. hr. Skarbka, niemiecki przekład Edwarda von Lossow. Berlin. 1845.

Piśmiennictwo krajowe, wzbogacane od pół wieku dziełami, którym powszechnie przyznano wartość i postawiono obok najcelniejszych, jednak nie doszło jeszcze tego rozwinięcia wszechstronnego, jakim literatury narodów produkujących w sprawie cywilizacji odznaczają się; nie posiada ono tyle zasobów źródłowych i żywotnych, aby niemi obcych, nie mówię, zasilać mogło, lecz przynajmniej nie tak wiele od nich brać potrzebowało. Jak więc za rzecz zwyczajną uważa się u nas widzieć przekłady dzieł obcych, tak przeciwnie za osobliwą i rzadką poczytują się przekłady dzieł naszych na którykolwiek z zachodnich języków. Dlatego każde obznajamianie zagranicznych czytelników z polskimi dziełami, jest rzeczywistą i nieobojętną dla nas przysługą. Zdoła ona z czasem postawić nas w wyobrażeniu obcych pisarzy na tym znakomitym stopniu postępu, do jakiego czujemy już mieć prawo, pomimo odzywającego się jeszcze gdziegdzie zaprzeczania lub niechętnego przyznawania.

Niemiecka czytająca publiczność, lubo nam sąsiednia, należy przecie do najmniej z pismami naszymi obeznanych. Z przyjemnością więc przychodzi nam donieść o powziętém przed parą laty w Berlinie przedsięwzięciu wydawania niemieckich z polskiego tłumaczeń, pod napisem: Biblioteki tłumaczeń pism wyborowych tegoczesnej polskiej literatury (*Uebersetzungs-Bibliothek ausgewählter Schriften der modernen polnischen Literatur*). Ze zbioru tego, mamy pod ręką tłumaczenia wyszłe w r. 1845 dwóch znanych i oddawna cenionych powieści Fr. hr. Skarbka, pod napisem *Pan Starosta* i *Podróż bez celu*. Cieszymy się że, tłumacz niemiecki p. Edward von *Lossow*, obrał sobie za przedmiot pracy dzieła pisarza, który przez łatwe, prawdziwe a zarazem obrazowe malowanie krajowych położень towarzyskich, zyskał nader zasłużone imię jednego ze znakomitych naszych powieścio-pisarzy. Niedawno ogłoszone przez hr. Skarbka *Pamiętniki Seglasy*, dostatecznie utwierdziły publiczność czytającą w zdaniu, że pochwylenie charakterów wieku i społecznych wydatności, główną, prawie wyłączną jego zaletą zawsze pozostanie; prowadzi ona do przekonania, że nie należy za konieczny warunek dobrej powieści, uważać dramatyczności położень lub rażącej jaskrawości wypadków; bo i owszem, skoro zadanie powieści polega na oddaniu w mocnych i śmiałych rysach najwydatniejszych cech pewnego stanu społeczeństwa w czasie oznaczonym, potrzeba tylko uchwycenia i nakręślenia obrazu tego wypadkami prawdziwemi i pełnemi życia, przeplatając je niekiedy głęboko pomyślanemi uwagami nad społecznością, która jest przedmiotem powieści. Wiemy, że co do tego zdania, można liczne napotkać zaprzeczenia, oparte na przykładach obcych romanso-pisarzy, w innym zupełnie kierunku postępujących; niemniej jednak znajdujemy tę pociechę, że niemiecki *Pana Starosty* i *Podróży bez celu* tłumacz, zapatrywał się na powieści hr. Skarbka ze stanowiska dopiero przez nas oznaczonego. W przedmowie bowiem do pierwszego tomu swego wydania mówi: „Gdyby czytelnik szukał w téj książce (*Pan Starosta*) natłoku naprężonych idei i nienatu-

ralnych obrazów, jakie w dzisiejszych romansach zbyt często napotyka się, ten w oczekiwaniu swém zupełnie byłby zawiedziony..... Tu przedstawiają się tylko wypadki ze zwykłego pożycia ręką mistrzowską i z prawdą, wybornie przez hr. Skarbka skręślone, i dlatego każdy, kto nie ma zepsutego lub spaczzonego smaku, pewnie bez zupełnego zadowolenia dziełka tego z ręki nie wypuści.” Poprzednio już w r. 1844, wyszło niemieckie tłumaczenie, wzorowej tegoż autora powieści: *Życie i przypadki Faustyna na Dodoszach Dodosińskiego* przez p. A. Mauritius; zapowiedziane oraz było drugie dzieła tego tłumaczenie przez pastora Gizewiusa. Gdybyśmy radzić mogli niemieckim tłumaczom dalszy wybór w powieściach hr. Skarbka, zaleciłibyśmy im wspomniane wyżej *Pamiętniki Seglasa*. Malując doskonale Warszawę i część kraju w czasie gdy pod panowaniem rządu pruskiego zostawała, dla czytelników niemieckich podwójne nastreczyłyby zajęcie. O tłumaczeniu samém powiedzieć można, że jest łatwe i wierne; a niektóre usterki gdzieśniedzie natrafiające się, po większej części pochodzą z niedostatecznego znania miejscowości. Zawsze jednak od miłośników polskiego piśmiennictwa należy się wydawcom niemieckim wdzięczność, za przeniesienie do zachodnich sąsiadów naszych, cenniejszych płodów lekkiej tutejszej literatury.

Ig. S.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Często się trafia, że konduktory elektryczne na domach urządzane, w czasie burzy zawodzą a nawet przyczyniają się do większych zniszczeń. Przyczyny tego szukać należy, albo w pierwotnym niestosownym ich ustawieniu, albo w nadpsuciu niektórych części wchodzących w skład całego łańcucha metalowego, wyprowadzającego elektryczność z ziemi. To ostatnie mniemanie poparte zostało ściślejszym wyśledzeniem drogi jaką przebiegała iskra piorunowa, spadła na gmachy złemi konduktorami zabezpieczone. Po większej części iskra spływając po prętach i dachach metalowych, jeżeli w skutek wyżarcia przez rdzę, napotka w pewnym miejscu konduktora silny opór, wtedy przeskakuje do przyległych we wnętrzu gmachu znajdujących się metalowych części, zapalając napotkane na drodze drzewa lub inne łatwo palne ciała. Taki nieszczęśliwy przypadek miał niedawno miejsce przy zapaleniu Ausgari wieży w Bremen.

Opiszemy tu nowe urządzenie konduktorów, projektowane przez p. Wagner dla zakładu głuchoniemych w Frankforcie nad Menem. (Niedawno piorun uderzył w ten gmach odosobniono stojący i znaczne w nim porobił zniszczenia). Ta nowa budowa konduktorów tém się szczególniej zaleca, iż z łatwością pręty mogą być poddane próbie sprawdzającej możność ich działania w czasie burzy.

Oprócz zwykle praktykowanej kombinacji żelaznych prętów i ich osadzenia, znanych pod ogólną nazwą konduktorów, na wspomnianej budowli, pod pokryciem dachu (w téj budowli dach jest płaski), znajduje się drut miedziany, łączący dwa przeciwległe rogi dachu. Te druty osadzone są w mosiężne (na 3 cale) grube, smołą powleczone pręty, które następnie blisko muru spuszczać się, zakończają się w ziemi podwójnym krzyżem poziomym z walcowanego ołowiu. Chcąc poznać, czyli koło między temi podwójnemi konduktorami, u góry przez zlutowania, u dołu zaś przez pośrednictwo ziemi utworzone, nie przedstawia przerwy dla przepływu iskry, wykręca się mała część pręta nie wysoko nad ziemią będąca i naumyślnie opatrzona śrubami z obu stron. Końce tak przerwanego konduktora, łączą się z biegunami stosu galwanicznego; biegun ujemny z częścią w dół idącą, a dodatni z częścią do góry wznoszącą się. Następnie z dwóch innych prętów wchodzących w skład konduktora gmachu, łączy się jeden z spiralną obwijającą kawał żelaza, drugi zaś służy do tego, aby przez zbliżenie do spiralnej, żelazo w elektromagnes zamienić. Igiełka magnetyczna zawieszona w pobliżności powyższego elektromagnesu, skoro jest przyciąganą przez niego w chwili zamykania stosu, świadczy o przepływie strumienia elektrycznego po całej kombinacji drutów składających konduktor gmachu. Jeżeli bowiem strumień galwaniczny w skutek wielkiego oporu np. rdzą zjedzonego druta krążyć po konduktorze nie może, wówczas i igielka magesowa niezboczy: ztąd łatwo wniesć, że piorun spływając po podobnym konduktorze, stopi miejsce opór jego przepływowi stawiające i przeskoczy do blisko leżącego dobrego przewodnika w wnętrzu gmachu. Proste to doświadczenie ze stosem galwanicznym wypada powtarzać co wiosna, aby się przekonać czyli w czasie zimy przez słoty nie nastąpiło przerwanie komunikacji z ziemią. (*Annalen der Physik und Chemie. Poggendorf. 1846 n. 12.*)

* Od chwili gdy w meteorologii oceniono ważność dokładnie, regularnie, w pewnych epokach dnia czynionych obserwacyj klimatologicznych, poznano zarazem wielką ulgę

jakaby pośrednio dla tój nauki spłynęła z urządzenia aparatu zdolnego do zapisywania niektórych zmian stałych w naszej atmosferze. Liczne téż były podobnych instrumentów próby. W Warszawie pod zegarem w gmachu bankowym, daje się widziéć wielka tablica stanowiąca zewnętrzną część registratora klimatologicznego, podobno tylko zaczętego przez sławnego w dziejach przemysłu inżyniera-mechanika Girarda.

Przed podaniem wiadomości o zbudowaniu nowego instrumentu tego rodzaju, wspomnę parę słów o celu, warunkach i głównej korzyści dla nauki z tych aparatów.

Same nazwiska meteorografów, atmosferycznych registratorów i t. p. (niéma dotąd ustalonego nazwania, bo i brak dokładnego instrumentu), wskazują, że celem tych instrumentów, ma być zapisywanie ciągłe zmian niektórych pojavów atmosfery, jakoto: ciśnienia powietrza, temperatury, wilgoci, kierunku i siły wiatru, mocy parowania wody i t. d. Naturalną jest rzeczą, że im większą liczbę zmian podobny instrument może notować, tém odpowiedniejszym jest swemu przeznaczeniu. Zwykle przy tych instrumentach znajduje się zegar, tak dla uzupełnienia obserwacyi, jak i dlatego, że jego mechanizmu najlepiej użyć można do obrotu cylindrów, z których jedne odwijają a drugie na siebie nawijają ciągłe arkusze papieru. Na przesuwającym się papierze, ołówek krésli linie krzywe lub kropki wytyka.

Jak wiadomo, żaden mechanizm, nawet najdokładniejszy, nie jest w stanie z ścisłością wymaganą dziś od obserwacyj klimatologicznych zapisywać zmian różnych fenomenów. Oko i uwagę obserwatora trudno bardzo zastąpić sztucznym mechanizmem. Każda więc zanotowana przez meteorograf obserwacya, jest złączona z błędem, będącym głównie wynikłością dość skomplikowanego mechanizmu. Idzie tylko o to, żeby meteorograf przedstawiał wypadki zanieczyszczone błędami stałemi, te bowiem przez kilkakrotne porównanie z dokładnemi instrumentami właściwemi do każdego pojavu, łatwo poznanemi, a następnie do rachunku wprowadzonemi być mogą. Rozpoznana zaś w po-

kazaniach instrumentu bytność błędów przypadkowych, odejmując zaufanie w wypadkach, czyni tém samém instrument mało pożytecznym w nauce. Taki błędny aparat służyć za ledwie może do przybliżonego oznaczenia w pewnej chwili różnych pojavów atmosfery; przynajmniej do dziś dnia (o ile nam wiadomo), zapisywanie zmian w atmosferze przytrafiających, zwykle na obserwatoryach czynione, przez żaden meteorograf zastąpioném być nie może.

Są przypadki, w których na powyższy sposób mechanicznie czynione obserwacye, mają pierwszeństwo przed obserwacyami zwykle w podobnych razach przez interpolacyą branemi. Przytrafiają się różne chwilowe np. ogniowe lub inne meteory w czasach środkujących pomiędzy raz przyjętymi na obserwatoryach epokami; takie fenomena nie posiadają tém samém jednoczesnych obserwacyj innych pojavów lub może raz zanotowane. Meteorograf w tym razie wskazując odpowiedni stan barometru, termometru i t. d. może podać zarazem, co najważniejsza, raptowne ich zmiany w ciągu trwania całego zjawiska zachodzące. I to stanowi główną zaletę tych instrumentów. Dowiadujemy się, iż p. Dolond urządził meteorograf zapisujący aż ośm pojavów atmosferycznych; notuje barometr, termometr, hygrometr, elektrometr, udometr, ilość wyparowanej wody, siłę i kierunek wiatru, i czas. Następujące szczegóły o swym instrumencie podał towarzystwu angielskiemu:

Barometr, termometr mają zapisywać swe zmiany ciągle; hydrometr wskazuje wielką zmianę od największej suszy do największej wilgotności; elektrometr złączony z kondukto-rem gmachu, notuje wszystkie błyskawice i najmniejsze pojawy elektryczne; udometr ma wskazywać każdą kroplę dészczu, i mierzyć ilość wody spadłej na każdy cal powierzchni, przytém tak jest urządzony, że gdy woda wzniesie się w naczyniu do wysokości cala, wtedy aparat się wypróżnia i zaczyna swe działanie dla innego cala wysokości. Mierzenie wyparowanej wody ma miejsce na wolném powietrzu, i odbywa się proporcjonalnie do pewnej powierzchni, nadto tak jest zabezpieczony, że żadna kropla dészczu

wniknąć weń nie może. Siła wiatru oznaczoną jest za pomocą ciężarów, od jednej uncyi do 30 funtów, wyobrażających parcie powietrza na deszczułkę powierzchni stopy kwadratowej. Kierunek wiatru najtrudniejszy do ciągłych obserwacyj, okazywanym jest na papierze przez koła, które na pierwsze wejrzenie wszelkie zmiany przedstawiają; np. gdy wiatr zmienia się z północnego na południowy lub z wschodniego na zachodni, chwila w której zaszła zmiana, oznaczoną jest punktem zwrotu, w którym ołówek kręślący koła z jednego kierunku w drugi się zwraca. Zapytany o cenę swego instrumentu (jeden podobny już ukończony działa w Camberoell) p. Dollond odpowiedział, iż każdy kosztować będzie około 6,000 złp. (150 f. szter.). (*L' Institut n. 678. 1846 Decembr.*).

* Prof. Schonbein (w Bazylei), przyrządza papier łatwo przez potarcie elektryczność wzbudzający. To odkrycie z wielką korzyścią użytém zapewne będzie przy robieniu maszyn elektrycznych, i elektroforów; zniknie potrzeba wielkich tafli i walców szklanych, kosztownych a prędkiemu zepsuciu podległych.

Papier elektryczny datuje swe istnienie od połowy zeszłego wieku; wykryto bowiem, iż optyk i mechanik w Bern nazwiskiem Mumenthaler, w roku 1778 zbudował maszynę elektryczną, w której tafla szklana zastąpioną była przez inną z papki papierowej stosownie przyrządzonej, nie wymagającej ani amalgamatu, ani innych pomocniczych środków do wzbudzenia elektryczności. (*Annalen der Phy. Poggendorf. 1846, n. 12*).
S. P.

CHEMIA.

Przed kilku laty zwracał uwagę publiczną Gmelin, na niebezpieczeństwa wynikające z używania papieru zielonego, zafarbowanego solami arsenikowemi i miedzianemi. Nowsze spostrzeżenia udzielone przez powyższego uczone-

go profesora, kommissyi zdrowia W. ks. Badeńskiego, przywodzą się do następującej treści:

Już Liebig w r. 1836 zastanawiał się nad szkodliwym wpływem na zdrowie, rzeczy kolorem zielonym pomalowanych. Gmelin zaś teraz przytacza przykłady niebezpieczeństwa, wynikłego z sypiania w pokojach wyklejonych papierem zielonym, któreto niebezpieczeństwo dla zdrowia ustało, ze zmianą sypialnego pokoju. Nadmieniam nadto, że w pokojach z ścianami pięknym kolorem zielonym pomalowanymi, czuć się częstokroć daje woń odrażająca, która niezawodnie pochodzi od wyziewów arsenikalnych, może nawet połączonych z istotami organicznymi. Radzi więc nadawać kolor zielony ścianom pokojów wystawionych jedynie na południe, oprócz tego należy je przewietrzać i w właściwym czasie ogrzewać; przy omytaniu zaś ścian zatykać sobie nos i usta.

Jakkolwiek zaś wydawca pisma z którego niniejsza wiadomość jest wzięta, zdaje się powątpiewać o niezawodności powyższych skutków; oświadcza jednak, że to tak nadzwyczajnie ważne dla zdrowia zagadnienie, oczekuje jeszcze stanowczego rozwiązania, zwłaszcza po następnym zawiadomieniu p. Louyet, utwierdzającym doniesienie Gmelina. Chemik powyższy (p. L.) sądzi, że woń wydobywająca się w pokojach wybitych papierem zielonym, pochodzi od szczególnego wodoródka arsenikowego gazowego, zapach wydającego; myśl swoją popiera on doświadczeniem, które jakkolwiek nie stanowcze, zawsze przy rzeczy tak ważnej, zdrowie ludzkie obchodzącej, na uwagę zasługuje. (Treść z pisma *Journal de Chimie Médicale. Novem. 1846 r.*)

* P. K. Hermann znalazł w minerale syberyjskim zwanym Itro-tantalitem, kwas szczególnego kruszcu, bardzo podobnego do tantalu, i ten metal nazwał Ilmenem (Ilmenium), od nazwiska góry Ilmen niedaleko Miaska leżącej, w której minerał odkryto. (Toż samo pismo *Decem. 1846 r.*)

* *Ogólna przeciwtruczizna przy otruciach istotami mineralnymi i sinnikowemi.* P. Duflos wiele razy miał sposobność przekonać się o skuteczności siarczyku żelaza wo-

dnego (sulfure de fer hydraté), w otruciach przez istoty metaliczne; jednakowoż ta przeciwtrucizna nie robi skutku przy otruciach sinkiem merkuryusza. Przez dodanie jednak magnezyi, niszczy się działanie trujące i téj soli; niniejsza wszakże mieszanina nie wstrzymuje skutków kwasu pruskiego: potrzeba przeto jeszcze do niej dodać wodanu niedokwasu piérwszego żelaza (protoxyde de fer hydraté). P. Duflos zaleca więc jako przeciwtruciznę ogólną, w przypadkach otrucia przez związki sinnikowe lub metaliczne, mieszaninę zrobioną z siarczynu żelaza, niedokwasu 1go żelaza i magnezyą; wszystko razem zawieszono w wodzie. (*Journal de Pharmacie et de Chimie. Janvier 1847*).

* W dniu 23 listopada 1846, czytał p. Louyet w akademii umiejętności w Paryżu rozprawę pod napisem: nowe poszukiwania tyczące się wydzielenia fluoru, składu fluorków i wagi atomicznój fluoru: w pracy powyższej wspomina autor o usiłowaniach pp. Davy oraz G. Knox i Th. Knox, tyczących się wydzielenia fluoru. Powtarzając doświadczenia pp. Knox, używał p. L. suchego chloru dla rozłożenia fluorków, następnie zaś do tego celu zastosował jod. Oba dwa rzeczono ciała dały mu wypadki podobne otrzymanym przez pp. Knox. Na mocy niniejszych doświadczeń sądzi p. L. że fluor jestto gaz bezkolorowy, woniejący, niebielący kolorów organicznych, rozkładający wodę w temperaturze zwyczajnej, przy przystępie światła słabo działający na szkło, a wtenczas tylko na złoto i platynę, gdy świeżo się wywiązuje. (Treść z pisma *L'Institut n. 673 z r. 1846*).

J. B...a.

Obecność miedzi i arszeniku w rudach żelaza, w źródłach mineralnych i w gruntach.

(Journal f. prak. Chem. Erdmanna i Marchanda z 1847 r. Heft. 2).

Prof. Walchner, członek dyrekcji górniczej w W. ks. Bawarskim, z obowiązku swego rozbiórał wiele rud żelaznych,

które huty tamtejsze wytapiają. W badaniach tych, oprócz poznania bogactwa (gehalt), i topliwości rudy, zwracając uwagę szczególnie na domieszkania obce, których pierwiastki mogą przejść do żelaza i dobroci jego szkodzić, przekonał się z licznych doświadczeń w długim ciągu lat zebranych, że miedź i arsenik, uważane za pierwiastki w rudach żelaza rzadkie, i do niektórych tylko miejscowości przywiązane, są w nich nadzwyczaj upowszechnione. Każda ruda żelaza zawiera je w małej ilości; niektóre zaś są tak bogate, że do wyrabiania żelaza stają się nieprzydatne, albo tylko przy zachowaniu właściwego postępowania, mogą być użyte.

Bytność obu ciał łatwo się wykrywa, gdy przez roztwór rudy w kw. solnym, strumień wodorodu siarkowego tak długo będzie prowadzony, że chlornik żelaza ($\text{Fe}_2 \text{Cl}_6$) zamieni się w chlorek (Fe Cl_2), i rozciek po kilku dniach spoczynku, wyziewa silny zapach wodorodu siarkowego. Osad przez to strącony, brunatny albo żółty, badany środkami których się używa do odkrycia miedzi i arsenu, wydaje niewątpliwe ich reakcje.

Walchner wykrył miedź i arsenik w rudzie żelaza brunatnej (Brauneisenstein), i szpatowej (Spatheisenstein), następnie w żelazie bobowém (Bohnerz) formacyi Jura, które uważać należy za osady dawnych źródeł, obficie zlewających ziemię w rozmaitych peryodach jój geologicznego wykształcenia; nakoniec w rudzie darniowej (Raseneisenstein) która ciągle, pod naszym okiem i widocznie z wód źródłowych osiada. Wypadki te doprowadziły go do badania osadów okrowatych, rozmaitych źródeł mineralnych. Przy użyciu wszelkich ostrożności, w badaniach tego rodzaju koniecznych, przekonał się, że osady źródeł Griesbach Rippoltsau, Rothenfels i Steinbach w Schwarzwaldskiem, źródło Lamschied przy Hundsrücken, Brohlthal, Cannstadt, Ems, Schwarzbach, Wiesbaden i Pymont, niezaprzeczenie bytność miedzi i arsenu okazują. Wszystkie te źródła, między którymi znajdują się oddawna znane i głośne z działań lekarskich, zawierają miedź i arsenik, lecz w tak małej ilości, że zapas ich porównać można z homeopatyczném roz-

cieńczeniem do cząstek milionowych. Dlatego nie można mieć obawy szkodliwego ich działania; przeciwnie, ze znacznej skuteczności lekarskiej obu ciał, na pewne choroby użytych w najmniejszych ilościach, należy przyznać, że skuteczne działania tych źródeł, pochodzą od obecności miedzi i arszeniku.

Lecz dlaczego nie znaleziono ich w źródłach tylokrotnie badanych? Dlatego że ich nie szukano, albo działano na bardzo małych ilościach wody. Osady okrowate, ile wiadomo, nie były w tym względzie badane.

Ponieważ miedź i arszenik poznaliśmy jako stałych towarzyszy żelaza, należało więc spodziewać się ich obecności w gruntach żelazistych, z powodu obfitości rud żelaznych na powierzchni ziemi, ich łatwości wietrzenia, a przez to zamiany na ziemię gliniastą i orną. Pierwsze doświadczenia z gruntem żelazistym z okolic Wiesloch i Nussloch przy Heidelberg, okazały niewątpliwą obecność miedzi i arszeniku. Znaleziono je także w rozbiorze gliny w żelazo bogatej, w żelazie Pallas, i w kamieniach meteorycznych. Obecność miedzi i arszeniku w rudach żelaza, zasługuje na uwagę hutników; bytność w wodach mineralnych jest ważną dla ich działania lekarskiego; nakoniec upowszechnienie w glinie żelazistej, w marglu i w gruntach, nie powinno być bez znaczenia w badaniach sądowo-lekarskich.

Podania Walchnera zwróciły uwagę chemików; wiele osadów źródeł mineralnych badano; w jednych arszenik znaleziono, w innych zaś nie. Wspomnieć tu należy, że w osadach tych arszenik zapewne jest w stanie kwasu arsenicznego ($\text{As}_2 \text{O}_5$), dlatego może być łatwo pominięty, jeżeli przez kw. siarkowy (SO_2), lub inne środki, poprzednio nie był na kw. arsenikowy ($\text{As}_2 \text{O}_3$) zredukowany. Flandin badał wodę żelazną z Passy około Paryża, i nie otrzymał miedzi ani arszeniku.

Figurier i Mialhe, znaleźli go w wodach mineralnych niemieckich. W pozostałości od dobrowolnego odparowania wody Wiesbaden, Figurier odkrył arszenik sposobem Marsha, i za pomocą wodorodu siarkowego. Sądzi, że w niej jest

w postaci kw. arsenikowego z sodą połączonego; że kwasorodek żelaza ($F_2 O$) opadając w stanie wodnianu kwasorodniku ($Fe_2 O_3$), zabięra z sobą kw. arsenikowy. Chcąc ściślej oznaczyć ilość arseniku w wodzie Wiesbaden, przypuszczał, że pozostałość na brzegach źródła w dobrowolnym parowaniu osiadająca, jest jednakowa z pozostałością, którą przez odparowanie otrzymał, i wodą wrzącą wylugował. Sam jednak uważa to za niezupełnie ściśle; pierwsza bowiem jest bogatsza w kwasorodnik żelaza, a uboższa w krzemionkę.

Woda mineralna źródła Karlsbrunnen w Wiesbaden z 1 litra zostawia 0,557 gram. materji w wodzie wrzącej nierozpuszczalnej. W 200 gramach tój pozostałości, wyobrażającej 353 litrów wody, znalazł Figuier 0,124 gram. arseniku = 0,165 kw. arsenikowego ($As_2 O_3$); a zatem 100 litrów wody zawierają 0,045 kw. arsenikowego. Pytanie, czy te 45 miligram. w 100 litrach wody zawarte, mogą mieć działania lekarskie? Płyn arsenikalny Boudina, używany w febrach, zawiera tyle arseniku, że go chory dziennie 5 miligr. zażywa; ilość ta odpowiada 11 litrom wody Wiesbaden. Kto więc ją codziennie pije i w niej się kąpie, może połowę tój ilości zażywa. Wątpić zatem nie można, że działania terapeutyczne wody Wiesbaden, zależą od małej ilości arseniku. Działania innych wód, w których bardzo mały stosunek części stałych znaleziono, może także od powolnego zasobu arseniku pochodzą.

* *O Saturacyach.* Pod nazwiskiem saturacyi, rozumieją roztwory kwasem węglanym nasycone. Dr. Mohr z Coblenz zwraca uwagę, że zwykły sposób ich wyrabiania jest dalekim od celu, jaki ma lekarz osiągnąć w ich przepisywaniu; ponieważ zamiast napoju musującego który ożywia i rzeźwi, dostaje się choremu napój mdły, papierami lakmusowemi, i mieszanem w moździerzkach wymęczony. Lekarz i farmaceuta z całą sumiennością przykładają się do chybienia celu; lekarz przez to, że na recepcie żąda: *saturetur exacte*, aptekarz, że sumiennie chce temu zadosyć uczynić (*). Głó-

(*) Annal. der Chemie u. Phar. z r. 1847 nr. 1. czyli Tom 61 k. 81.

wny cel saturacyi został tyle z uwagi spuszczone, że niektórzy lekarze powzięli przekonanie, iż w gruncie rzeczy jest obojętnym, czyli saturacją albo *kali aceticum* zapisują. Jestto niezawodna prawda, jeżeli lekarz nie poda dokładnego objaśnienia, jak ma być lekarstwo zrobione; jeżeli wymaga doskonałego zobojętnienia, czasami zobowiązuje do badania papierem lakmusowym; gdy nakoniec niewiadomo czy saturacja ma być filtrowana lub nie? Z tego powodu Mohr w aptece swojej, wprowadził za wiedzą lekarzy nowy przepis robienia saturacyi z takim skutkiem, że ci co ten środek lekarski zarzucali, uważając go za bezskuteczny, teraz chętnie do niego powracają.

Zasady przyjęte są:

1) Każda saturacja, powinna być bez pomocy moździerza i filtru wyrobiona w tém samym naczyniu, w którym ma być do użycia oddana, ażeby wywiązujący się kw. węglany całkowicie albo w największej części przez rozciek został połknięty. Dlatego kwasy i alkalia używane, powinny być znane co do wartości acidometrycznej i alkalimetrycznej.

2) Przy saturacyi niecała ilość alkali ma być rozłożona; lepiej jest, gdy zamiast kwasu wolnego, nieco dwuwęglanu przemaga. Już używano ze skutkiem dwuwęglanu potazu zamiast napoju musującego. Ponieważ lekarstwo w téj formie, przepisują przeciw osłabionej działalności żołądka i przewodze w nim kwasów, przeto dwuwęglan alkali, dwojakiemu celowi odpowiada, to jest, usuwa kwasy żołądka, i wywiązuje w nim kw. węglany.

Na tych zasadach, przyrządzanie saturacyi wykształciło się w sposób następujący:

Naprzód odważa się w fiolce aptecznej czysty roztwór alkali (węglan potazu, sody lub amoniaku) wiadomój tęgości. *Liquor Kali carbonici* zwykle w aptekach używany, zawiera $\frac{1}{3}$ węglanu potazu; *Liquor amonii carbon.* ma $\frac{1}{6}$ węglanu amoniaku. Pierwszego więc odważa się 3 części, drugiego 6 cz. ażeby mieć 1 cz. alkali. Węglan sody odważają w czystych kryształach, i w całej ilości wody rozpuszczają. Po węglanie dodają się inne ingrediencye przepi-

sane np. *Aq. Amygd. amar.*, i syrop. Jeżeli przepisano krople np. *Tinct. opii*, te przedewszystkiém odlicza się do naczynia. Następnie dodaje się całą ilość wody, i wszystko przez kłócenie miesza. Naczynie (flaszeczka do lekarstw) ze wszystkiém co zawiera, umieszcza się na 5 minut w wodzie świeżej dla ochłodzenia. Korek już dobrany powinien być pod ręką. Kwas (zwykle dobry ocet winny), poprzednio dokładnie odmierzony dodaje się do flaszeczki, tę natomiast zatyka korkiem i obwiązuje szpagatem, podobnie jak butelki wina szampańskiego. Po umocowaniu korka, stawia się flaszeczkę w zimną wodę i lekko porusza, co należy powtórzyć po jakimś czasie, ażeby się rozcieki zwolna zmieszały.

Tym sposobem postępując, można bez niebezpieczeństwa taką ilość kw. węglanego w wodzie uwięzić, jakaby przy mocném kłóceniu flaszeczkę rozsadziła. Zawsze jednak flaszeczki do saturacyi użyte, powinny być ze szkła mocniejszego; w braku takich najwłaściwiej użyć kamionek. Przy otwarciu naczynia, korek z mocnym hukiem wyskakuje; rozciek wrze, wydaje delikatną mgłę, jak wino szampańskie. Na łyżce srebrnej osadza obficie i wielkie perelki powietrzne. Przy odnoszeniu lekarstwa, należy ostrzegać, ażeby naczynie w zimnej wodzie trzymano, bez mocnego wstrząsania. Dobrze jest flaszeczkę grubo obłożyć bibułą i w zimną wodę wstawić.

W końcu Mohr podaje doświadczenia, które w szczególnych przypadkach mogą być i dla lekarzy przydatne. Jeżeli za wiele materyi przepisano, a za mało wody, kw. węglany w znacznej części odejdzie. Jedna drachma węglanu potazu daje 6 uncyi roztworu, z którego nic nie uchodzi kw. węglanego. Węglanu amoniaku dosyć 2 skrupuły, na 6 uncyi rozcieku. Pomiędzy wodami pędzonymi (*aq. destillatae*), najlepszą jest do saturacyi *Aq. menth. piper.*; łatwiej bowiem niż woda czysta przyjmuje kw. węglany, zapewne dlatego, że powietrza nie zawiera.

Jakim sposobem saturacya ma być przepisywana, posłuży wzór następujący:

Rp. *Tinct. opii crocat. gut. decem.*

Syrupi simpl. Unc. semis.

Liquoris kali carb. Dr. tres.

Aq. ment. pip. Unc. tres.

hoc ordine in vitro mixtis adde

Aceti crudi Unc. duas.

Vitrum ex templo obturatum sensim agitetur.

albo:

Rp. *Tincturae* (jakiejkolwiek) *Dr. semis.*

Syrupi simplicis.

Liquor. Am. carb. ana. Un. tres.

Aquae melissae Un. tres.

Aceti crudi Unc. unam.

hoc ordine caute in vitro forti misce, cavens ne gaz evolet.

W tym wzorze umyślnie zostawiono mały nadmiar węglanu amoniaku, ażeby zarazem diaforetycznie działał.

albo: *Potio Piverii.*

Rp. *Syrupi saccharati Unc. semis.*

Liquor. kali carb. Dr. tres.

Aquae comm. Unc. quatuor.

Mixtis in vitro adde

Acidi citrici pulv. grana quinquaginta, ante in

Aqu. comm. Unc. una soluta.

Oznaczenie ilości kwasów i alkalów wzajemnie się nasycających, byłoby łatwém, gdyby materiały używane były zupełnie czyste i z właściwym zasobem wody. Lecz nawet *sal. tartari*, jeżeli nie jest świeżo żarzona, nie przedstawia 100% węglanu potażu, ponieważ odparowana w naczyniach żelaznych lub porcelanowych, jeszcze część wilgoci zatrzymuje. *Kali carb. depuratum* z natury swego pochodzenia, zawiera materye obce, mianowicie sól kuchenną, chlorek potassium i siarczan potażu; potrzeba więc wagę equivalentu téj soli przy użyciu powiększyć o ilość wyrównywającą materyom obcym i wilgoci. Przypuśćmy, że węglan potażu zawiera tylko 80% czystej soli, to jest ma $\frac{1}{5}$ domieszkań obcych; jeżeli więc odważam 5 gram. téj soli, mam w nich tylko 4 gr. czystego węglanu, potrzeba więc ilość téj soli nieczystej wziąć $\frac{5}{4}$ razy, ażeby w niej mieć

5 gram czystego węglanu potażu; czyli na 100 gr. węgl. potażu czystego, potrzeba użyć 125 gr. materiału nieczystego. Ilość materji nieczystej, potrzebną do zastąpienia materiału chemicznie czystego, Mohr nazywa equivalentem farmaceutycznym, w ogóle nazwać go można equiv. technicznym. Equivalent taki musi być zmienny; widocznie bowiem będzie tém większy, im mniej jest czystym materiały używany, to jest waga jego będzie w stosunku odwrotnym czystości. Jeżeli więc oznaczono stopień czystości materiały używanego, można wynaleźć jego equivalent techniczny.

Objasniemy to przykładem:

Dajmy, że 5 gr. węglanu potażu, otrzymanego z potażu handlowego, sposobem Freseniusa i Willa probowane, wywiązuje 1,276 gram. kw. węglanego, a zatem 100 gr. wydałyby go 25,52 gr. Według tablic stechiometrycznych, powinnyby wydawać 31,91. Ilości kwasu węglanego są w stosunku ilości węglanu potażu; ponieważ ilość kw. węglanego wywiązana jest $= \frac{25,52}{31,91} = 0,7997$, a zatem materiały probowany w 100 cz. zawiera 79,97 czyli 80,0 czystego węglanu; ztąd wynika, że gdy w 100 cz. materiały probowanego znajduje się 80 cz. czystego węglanu, a zatem na 100 cz. tej soli, potrzeba $\frac{100 \times 100}{80} = 125$ materiały probowanego. Mnożąc przeto equivalent chemiczny przez $\frac{125}{100} = 1,25$, otrzymamy equivalent techniczny, ponieważ $100 : 125 = \text{equiv. chem.} : \text{equiv. technicznego}$. Taki sam wypadek otrzymamy, dzieląc equivalent chemiczny przez czystość procentową (ilość materji czystej w 100 cz. materiały nieczystego). W powyższym przykładzie ilość czystego węglanu potażu $= 0,80$. Equivalent chemiczny wodorodowy węglanu potażu jest $= 64,42$, a zatem $\frac{64,42}{0,80} = 86,7750$. Pierwszym sposobem będzie $64,42 \times 1,25 = 86,7750$.

Z doświadczeń przez Mohra robionych, okazały się następujące wypadki:

Nazwisko materyi.	Formuła.	Czysta procentowa.	Equiv. chemicz. (H=1)	Equiv. techniczny.
<i>Kali carb. depuratum.</i>	KO, CO ₂	80	69.42.	86.77.
<i>Natrum carb. cryst.</i>	NaO CO ₂ +10 Aq.	90.7	143.61.	159.3.
<i>Natr. bicarbonicum.</i>	NaO CO ₂ + Aq.	94.7	84.64.	89.37.
<i>Acidum tartar.</i>	C ₈ H ₈ O ₁₀ + 2 Aq.	94.	151.18.	80.4.
			2	
<i>Acidum citricum.</i>	C ₁₂ H ₁₀ O ₁₁ +3 Aq.	88.67	193.60.	72.7.
			3	
<i>Amon. carbon.</i>	2/3 i 3/4 węgl.	—	—	94.45.

Liczyby te wykazują jakie ilości wzajemnie się nasycają całkowicie, albo bardzo blisko. Saturacya nie może być nigdy zupełnie obojętną, dopóki zawiera kw. węglany; dlatego użycie przy nich papieru lakmusowego, jest niepotrzebną igraszką.

Z powyższej tablicy obliczono na 1 drachmę następujące stosunki:

1. Drachma *Kali carbonicum depuratum*, nasycza:

55 granów kw. winnego

50 gran. kw. cytrynowego

2 uncye *Acetum crudum*

3 uncye *Acetum destillatum* albo *succus citri*.

1. Drach. *Natr. bicarb.* nasycza:

54 gr. kw. winnego

48 gr. kw. cytrynow.

15 1/2 drach. *Acet. crud.*

23 drach. *Acet. destil.* lub *suc. cit.*

1. Drach. *Natr. carb. crystalisat.*

30 gr. kw. winnego

27 gran. kw. cytrynow.

9 drach. *Acet. crud.*

13 Dr. *Ac. depill. v. succus citri.*

1. Drach *Amon. carb.*

53 gr. kw. winnego

46. gr. kw. cytrynow.

14 1/2 dr. *Acet. crud.*

21 1/2 dr. *Acet. destil.* lub *suc. citr.*

1. Drach. kw. winnego, nasycyca:

65 gr. Kali carb. depur.

66 gr. Natr. bicarbon.

70 gr. Amon. carb.

119 gr. Natr. carb. cristal.

1. Drach. kwasu cytrynowego, nasycyca:

71 gr. Kali carb. dep.

75 gr. Natr. bicarbon.

78 gr. Amon. carb.

131 gr. Natr. carb. cristal.

3 Uncye Succ. citri. albo Acet. destil. lub 2 un. Ac. crudum, nasycycają:

60 gr. Kali carb. dep.

62 gr. Natr. bicarb.

69 gr. Amon. carb.

110 gr. Natr. carb. cristal.

Wszystkie materye powyżej wspomniane, przyjęto w czystości zwykłej, wyrobione według farmakop. pruskiej.

S. Zdz.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1843.

KRAKÓW.

320. Grammatyka praktyczna języka polskiego przez Józefa Muczkowskiego. Oddział pierwszy. 8ka. Kraków. 1843. W Uochni Uniwersyteckiej. Kart IV i 76. Złp. 2.

321. Groby i pomniki Królów oraz sławniejszych mężów Polskich w świątyniach Krakowskich zebrane i odrysowane przez Alexandra Płonczyńskiego, wydane nakładem Józefa Cypcera w Krakowie. 1843. Zeszyt 1. zawiera 3 pomniki litografowane u Santera we Wrocławiu z arkuszowym tekstem, zeszyt II także 3 ryciny i arkusz textu. Złp. 26 gr. 20.

POZNAŃ.

322. Ułatwiona grammatyka Angielska zawierająca w sobie najpotrzebniejsze reguły z dołączeniem obszerniejszych ćwiczeń, napisana i wydana przez Konstantego Jarnowskiego, byłego Profesora w Heriot's-Hospital w Edyburgu. 8ka. Poznań. 1843. Druk Walentego Stefańskiego. Kart 2 i str. 104. Poprawek na końcu kart 2. Złp. 5.

1845.

WARSZAWA.

436. Historya Zgromadzeń prawodawczych, Konwencyi narodowej i Dyrektoryatu, czyli Francya od 1789 do 1800 roku. Z francuzkiego przez Leona Rogalskiego. 8ka. 4 tomy. Warszawa 1845 i 1846. Tom I str. 555. II. 415. III. 377. IV. 454. W każdym kart napisowych 2 i rejestru kart 2. Na okładce rok 1847. Złp. 60.

W I L N O.

437. Pisma Michała Krasuskiego. 8ka. Wilno. 1845. Druk T. Glücksberga. Str. 178.

1846.

WARSZAWA.

167. O stanie narodu Polskiego od epoki jego przyłączenia do Cesarstwa Rossyjskiego, kilka słów pod względem moralnym, a-

zycznym i ekonomicznym. (Autor Ludwik Jamiołkowski). 18ka. Warszawa. 1846. Nakład autora. Druk A. Krethlow. Str. 60.

STRASBURG.

Do nru 77 Kroniki z r. 1846.

Powieści dla dzieci w trzech częściach i t. d. przez Karolinę z Potockich Nakwaską. Część II str. 168, i karta I. III. str. XVI i 157. Trzy części ztp. 16.

1847.

WARSZAWA.

41. Bajki i przypowiadki dla dzieci Tymoteusza Rodziszewskiego. Wydanie trzecie poprawne i znacznie pomnożone. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład i druk Orgelbranda. Str. 100. Napisów i rejestru kart 4. Ztp. 1 gr. 15.

42. Emilia Rzewuskiego Studya filozoficzno-literackie. Z go-
dłem:

Myslenie jest rzeczą najwyborniejszą, myslenie jest wszystkiem.
Arystoteles.

8ka. Warszawa. 1847. Druk Strąbskiego. Nakład Henryka Natan-
söna. Str. XVIII i 229. Kart napisowych 2. Z oprawą ztp. 8.

43. Małe powieści dla dzieci z dzieł J. Ks. Kanonika Szmidt, dla użytku szkół powiatowych elementarnych i odpowiednich im instytucyj naukowych, przełożył z niemieckiego K. L. b. J. S. P. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Strąbskiego. Nakład Merzbacha. Str. 389. Ztp. 4.

44. Zabawne zdarzenia pani Wesółowskiej i jój pieska. (Po polsku i po francuzku). 16ka. Warszawa. 1847. Druk Strąbskiego. Nakład Merzbacha. Str. 33. (Z 16 kolorowemi rycinami). Ztp. 5.

45. Wybór powieści dla dzieci tłómaczonych z pisma francuzkiego: *Journal des enfans*, przez J. P. 12ka. Warszawa. 1847. Druk Józefa Unger. Str. VI i 323.

WILNO.

46. Odpowiedzi x: Stanisława Chołoniewskiego na dwa pytania: 1. Co znaczy słowo postęp ludzkości w duchu uauki Chrystusowej?? 2. Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim?? Z dodatkiem Legendy Wschodniej Słowik i Róża. 8ka. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 4, str. III i 240. Rejestru karta I.

47. Oltarzyk nowy, czyli zbiór nabożeństwa katolickiego, mieszczący w sobie nabożeństwo poranne, mszalne, nieszporne i wieczorne; nabożeństwo na wszystkie przedniejsze uroczystości całego roku; do Najświętszej Panny, do świętych i Aniołów Pańskich; nabożeństwo o wszystkich Sakramentach ŚŚ; modlitwy

stosowne w różnych potrzebach; nabożeństwo kompletne za umarłych; także różne nauki duchowne, jako: rady do życia pobożnego.... z różnych ksiąg krajowych i zagranicznych przez Kościół Ś. potwierdzonych.... Wydanie drugie, znacznie pomnożone. 12ka mała. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Str. XXVII i 762.

48. Pomysły o wychowaniu człowieka, przez Florjana Bochwicę, autora Obrazu myśli mojej. 8ka. Wilno. 1847. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart 5, str. VII i 134.

49. Zamek w Czarnokozincach, powieść narodowa, przez Władysława Chadźkiewicza. 12ka. 3 tomy. Wilno. 1847. (tom I r. 1846). Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. 290. II, 241. III. 255.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. Korzeniowski napisał nową komedią pod tyt: „Majster i czeładnik” która już kilkakrotnie była przedstawioną na scenie tu-tejszej.

Nakładem księgarni Ię. Klukowskiego, wyszedł tom Iszy zapowiedzianego dzieła p. t. „Litwa—Starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania” i t. d., przez J. I. Kraszewskiego. Tom IIgi wkrótce prasę opuści.

(Z listu z Krakowa). Na powszechną uwagę zasługuje nowo zaczęte wychodzić tu dzieło p. t. „Starożytności Krakowskie,” pod redakcją Józefa Łepkowskiego. Jestto prawie dalszy ciąg dzieła Alexandra Płonczyńskiego „Groby i Pomniki” nie w takim wprawdzie formacie, nie takiej ceny, lecz téjże saméj treści. Piszący, a raczej zbierający starożytności krakowskie, założył i oparł pracę swoją jak to z tytułu sądzić można na tém wszystkiém, co nosi na sobie piętno starości; wybrał przedmiot trudny lecz i dostępny. Tu bowiem co krok napotyka oko rzecz jakąś, która zajmuje każdego, bądźto swoją starożytnością, bądź pochodzeniem historycznym. Nie wątpimy, że w drodze którą sobie obrał młody zbieracz starożytności, znajdzie wiele przeszkód, szczególnie dla braku prenumeratorów, których liczba dotychczas jest zbyt ograniczoną; lecz spodziewamy się, że pod tym względem troszczyć się wiele nie powinien, bo cena dzieła jest zbyt mała w porównaniu z nakładem. Pismo to wychodzić będzie miesięcznie zeszytami, każdy zeszyt zawierać będzie arkusz druku z dołączeniem je-

dnój ryciny, rysowanej przez Cerchę, litografowanej przez Balińskiego, krakowianina. Roczna prenumerata wyniesie złp. 12.

Niemniej ważnem będzie dzieło: „*Liber promotionum Universitatis*,” które professor tutejszego uniwersytetu Józef Muczkowski wyda wkrótce z rękopisu znajdującego się w tutejszym księgozbiornie akademickim. Będzie to pierwsze dzieło, które wyjdzie kosztem uniwersytetu krakowskiego.

Szukiewicz, autor dzieła. „Odgłos pieśni czeskich,” napisał dramat historyczny wierszem, p. t. „Jadwiga.”

Autor Listów z Krakowa Józef Kremer, pracuje nad dziełem treści filozoficznej, które poprzedzi drugi tom Listów.

Żegota Pauli, znany wydawca „Starożytności Galicyjskich, Pieśni ludu ruskiego i polskiego,” ma znakomite materyały do historii artystów polskich. Pan Kraszewski który ma wydać podobno dykcyonarz artystów w Polsce, i który dopiero zbiera szczegóły potrzebne do tego dzieła, nie wytrzyma konkurencyi z bogatym zapasem materyałów Żegoty Paulego. Niech nikt nie sądzi abym chciał odstraszać innych od postępowania na tój samój drodze, owszem, chciałem tylko powiedzieć, że p. Pauli ma nierównie większe zapasy jak pp. Rastawiecki i Smokowski, lecz jeszcze uważa pracę swoję jako rzecz niewykończoną, i w tym przedmiocie dalej pracuje.

P. Macewicz obywatel tutejszy zakupił wszystkie materyały do „Historyi Literatury Polskiej” Michała Wiszniewskiego, i zacznie wydawać następane tomy.

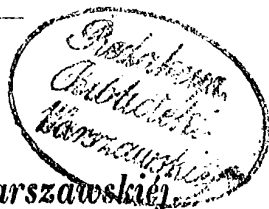
Tenże p. Michał Wiszniewski przygotował do druku swą: „Podróż do Włoch, Sycylii i Malty” którą ma wydać jeden z księgarzy warszawskich.

U Czecha drukuje się powieść autora Reja z Nagłowic pod tyt: „Zamek Ogrodzieniec.”

Alexander Płonczyński, po dość długiej przerwie, zacznie znowu dalszy ciąg swoich „Grobów i Pomników.”

Rocznik literacki przestał wychodzić dla braku funduszków.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Luty 1847.

Luty 1847.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				Wielkość na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1		734.81	736.14	739.46	743.02	+ 0°2	+ 0°3	+ 1°7	— 0°4	96
2		744.93	745.92	745.94	746.89	— 2.9	— 0.4	+ 2.9	— 1.5	92
3		747.07	747.76	747.51	747.49	— 1.5	— 0.7	+ 0.3	— 0.4	97
4		747.23	747.71	748.13	749.59	— 0.4	— 0.2	+ 0.1	— 1.3	97
5		750.60	751.21	751.63	750.78	— 2.9	— 1.9	— 1.3	— 1.1	95
6		747.52	746.38	742.09	736.77	— 1.3	— 0.5	— 1.3	— 4.1	82
7		727.84	726.03	725.11	728.56	— 7.9	— 5.2	— 0.0	— 3.8	97
8	☾	728.90	730.16	732.78	736.30	— 3.7	— 3.3	— 3.1	— 3.9	78
9		738.88	739.74	737.51	735.54	— 7.2	— 4.5	— 3.0	— 5.3	76
10		735.01	736.31	738.49	739.26	— 4.4	— 4.2	— 5.7	— 6.5	89
11		739.51	739.50	738.70	739.16	— 6.8	— 6.9	— 4.8	— 6.7	95
12		739.54	740.82	742.30	743.05	— 8.1	— 8.2	— 8.0	— 10.4	97
13		743.51	744.52	746.05	746.89	— 10.5	— 7.6	— 7.5	— 7.4	94
14		746.96	747.72	747.42	744.69	— 7.7	— 7.2	— 5.4	— 5.5	96
15	☉	739.05	736.77	735.12	734.55	— 4.2	— 1.8	+ 0.8	+ 0.3	95
16		732.90	732.88	734.80	740.31	— 0.2	+ 2.4	+ 1.9	+ 0.1	90
17		743.42	743.36	742.17	743.54	— 0.4	+ 1.3	+ 1.4	+ 0.2	96
18		747.68	749.51	752.02	752.35	+ 0.3	+ 1.7	+ 1.1	+ 0.7	92
19		749.02	747.92	743.65	742.67	+ 3.2	+ 4.3	+ 5.0	+ 4.8	90
20		744.29	744.57	743.38	744.36	+ 2.0	+ 2.2	+ 3.4	+ 2.3	86
21		748.36	750.79	753.79	753.50	+ 1.1	+ 1.3	+ 3.1	+ 0.5	87
22	☾	746.16	745.92	745.08	744.39	+ 2.9	+ 3.2	+ 3.3	— 0.4	81
23		743.38	743.13	746.78	750.01	— 2.7	— 3.1	— 3.9	— 7.1	89
24		751.28	751.50	751.17	751.58	— 8.6	— 6.9	— 7.1	— 9.1	92
25		751.70	752.65	752.41	752.87	— 10.7	— 7.9	— 4.9	— 6.4	88
26		752.94	752.63	755.57	755.78	— 6.4	— 4.8	— 3.6	— 7.9	95
27		755.41	755.76	754.85	755.41	— 11.8	— 6.4	— 4.8	— 5.3	87
28		755.58	757.08	757.41	759.39	— 5.8	— 2.6	— 2.3	— 6.4	82
Śre.		744.058	744.478	744.654	745.310	— 3°80	— 2°42	— 1°49	— 3°29	90

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5'', długość w czasie 1^h 14^m 45,^s7
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczy	śnie- gu
pochmurny	mgła	lek. pochm.	lek. zachm.	—	Z.	Z.	Z.		
pr. pochm.	mgła	pogodny	pochmurny	Pd.	Pd.	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	mgła	W.	W.	PdW.	PdW.		
pochmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Pd.	Pd.		
napół pog.	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		2.80
pochmurny	chm. podz.	pr. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pr. pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdW.	PdW.		
śnieg	chm. podz.	napół pog.	pochmurny	Pd.	Z.	Z.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	śnieg	śnieg	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		1.80
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	—		
pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Z.	Z.		5.20
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdW.	W.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	Pd.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Pd.		
dészcz	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PdZ.	PdZ.	Pd.	Z.		1.40
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	napół pog.	napół pog.	śnieg drob.	Z.	PnZ.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PdZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
pochmurny	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		1.80
pochmurny	pogodny	śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnZ.		
napół pog.	napół pog.	pochmurny	śnieg drob.	Pn.	PnZ.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	napół. pog.	pochmurny	Z.	Z.	Pn.	—		
smugi mgła	pogodny	śnieg drob.	pochmurny	—	PdZ.	Pn.	W.		
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	W.	PdZ.	Z.	Z.		
								1.40	11.60

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	744.624	27	6.089
Najwyżej barometr dochodził d. 28 o g. 10 w.	759.39	28	0.735
Najniżej barometr dochodził d. 7 o g. 3 w.	725.00	26	9.390
Średnia zmiana dzienna barometru	4.74		2.09
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 10 w.	20.35		9.20
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzednich	6.092		2.699
Średnia temperatura Lutego wynosi:	750.716	27	8.788
i ta jest wyższa o	— 2.75 C.		— 2° 20 R.
od stanu normalnego z 21 lat poprzednich	0.68 „		0.54 „
Największe ciepło dochodziło d. 19 o g. 4 w.	— 3.43 „		— 2.74 „
Największe zimno dochodziło d. 27 o g. 6 r.	+ 5.0 „		+ 0 „
(Termometrograf wskazał Maximum: + 4° 0 R. d. 19; Minimum: — 9° 5 R. d. 27 r.).	— 11.8 „		— 9.4 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.20 „		1.76 „
Największa zmiana dzienna d. 22—23 o g. 4 w.	7.2 „		5.8 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 90.7; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 4.13 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło 1.4 millim. czyli o 62 lin. z śniegu 11.6 millim. czyli 5.14 lin.; razem 13.0 millim. czyli 5 lin. par.

Dni pogodnych było 0; napół pogodnych 9; pochmurnych 19.

— deszczu 3 (d. 19, 20, 22).

— śniegu 12 (d. 4, 7, 10, 13, 14, 15, 21, 22, 23, 24, 25, 27).

— mgły 5 (d. 1, 2, 3, 4, 27).

— krup. 1 (d. 20).

Luty r. b. był niepogodny, suchy i mało w śnieg obfity; o pół stopnia cieplejszy jak zwykle; pierwsze sześć dni były dość łagodne; w drugiej połowie miesiąca, siedm dni, od d. 16 do 23 były tak ciepłe, jak w porze wiosennej; ostatnie sześć dni mroźne, wszelako mrozy nad dziewięć i pół stopni, nie przechodziły.

D. 19 wieczór przy ciepłe 4 stopnie R. wynoszącem, powstał gwałtowny wicher Zachodni. Wody z śniegu i deszczu w Lutym spadło o 5,5 lin. par. mniej jak zwykle.

Wiatry panujące były: Zachodnie.

Wichrów było 7; t. j. Z.=5; PnZ.=2.

Wykład artykułu 64 kodexu handlowego, czyli o przedawnieniu odnoszącém się do wspólki likwidacyjnej.

Zaczawszy od zaprowadzenia kodexu handlowego fran. w roku 1808, literatura nasza co do prawa handlowego ogranicza się: na trzech rozprawach w Temidzie umieszczonych; na wydanych w r. 1845 w Warszawie przez J. Ro(zenblat) uwagach nad tłumaczeniem tegoż kodexu przez ś. p. Majewskiego w r. 1808; na tłumaczeniu tegoż kodexu w r. 1845 przez Rzesińskiego w Krakowie; na rozbiorze i krytyce obudwóch tych tłumaczeń, jako téż pomienionych uwag, przez Jana Chryz. Sławianowskiego, w Bibliotece Warszaw. w r. 1846 w poszycie z miesiąca lutego umieszczonój.

Tylko w dziele Flor. Alex. Zubelewicza pod tytułem: *Rachunkowość handlowa*, w r. 1846 wydaném, znajdują się jeszcze nocye do prawa handlowego należące, zwłaszcza w rozdziałach: VI, o rachunkach co do towarów, w VII, o wexlach i VIII o handlu wexlów.

Lubo rozbiór p. Sławianowskiego i wykład o wexlach przez p. Zubelewicza szczególniejsię odznaczają, jednak-

że wszystkie te ułamki prac literackich handlowych, zaiste żadnej jeszcze literatury prawniczo-handlowej nie stanowią. Zapewne ona wywołaną będzie z czasem przez potrzebę praktyczną, gdy ożywiający się coraz więcej ruch i postęp przemysłu i handlu, stanie się udziałem okolic tutejszych.

Zawsze jednak dziwić się przychodzi małemu krzątaniu się około wytłumaczenia artykułów kodexu handlowego, skoro w praktyce sądowo-handlowej, liczne nawijają się kwestye prawne, i to częstokroć w punkcie stanowczych pryncypiów.

Kwestye, czy wątpliwości te, pochodzą nieraz z braku dobrego tłumaczenia, a nawet z zadawnionej rutyny, na mylném tłumaczeniu opartej.

Otóż potrzebaby literaturę prawa handlowego rozpocząć od wyrobienia i wydania lepszego przekładu textu. Jakoż p. Sławianowski w rozbiorze swym nadmienił o spodziewanych nowych tłumaczeniach kodexu handlowego, nader pożądanym, gdy dotychczasowe pomimo oddawanych im słusznie zalet, zbyt wiele do życzenia pozostawiają, tak pod względem istotnej myśli prawa, jak pod względem wystowienia.

W tłumaczeniu kodexu handlowego fran., oprócz zwyczajnych, szczególne zachodzą trudności, a mianowicie: że kodex ten w oryginale, z wielkim pośpiechem był zredagowany; że w nim znajduje się niemało *przystosowań* prawniczo-handlowych, które z natury swój jako przysłowia, i nie tak łatwo zrozumieć, i nie tak krótko i zwięzle jak brzmią w textcie, przełożyć się dają; że nakoniec u nas techniczne wyrażenia w przedmiocie interesów handlowych mało są wyrobione, gdyż stan ku-

piecki, w wielu wypadkach obywa się wyrazami niemieckimi lub francuzkiemi.

Największa jednakże trudność polega na tém, że prawnicy z powołania, zwykle nie są dostatecznie obznajomieni z różnego rodzaju stosunkami i operacyami handlowemi, do których przepisy prawa handlowego się odnoszą: a tém samém i tych przepisów dostatecznie nie pojmują.

Wielekroć razy, przy czytaniu i zastanowieniu się nad pojedynczemi, a prawie urywkowemi przepisami kodexu handlowego, nasuwa się oczywista potrzeba historycznego badania pierwotnych początków tychże przepisów, lub poznania postępowania, że tak powiem mechanicznego, handlujących, lub osób w jakimkolwiek bądź względzie do handlu wpływających, lub przy nim użytych. Słowem, obok ubóstwa wysłowień polskich, przemysłu i handlu dotyczących, chcąc jako tako kodex handlowy francuzki przełożyć, potrzeba nietylko mieć dobrze w pamięci teorię prawa cywilnego, ale nadto umieć prawo handlowe tak ze strony historycznej, jak i mechanicznej.

Z powodu spodziewanych tłumaczeń, przedsięwziąłem wyjaśnić przewidziany w artykule 64 kodexu handlowego stosunek handlowy, jako téż sam przepis prawa w nim objęty, zwłaszcza, że dotychczasowe tłumaczenia tegoż artykułu ciemne są a nawet mylne, i że również uwagi nad niemi poczynione nie zaspakajają.

Przedewszystkiém nadmienić przychodzi, odnośnie do tłumaczeń Majewskiego i Rzesińskiego, jako téż do uwag nad niemi poczynionych, że parafrazowanie wyrażen tekstowych trudnych do przepolszczenia, nader jest niebezpieczne, i że w artykule 64 wedle oryginału wyraz *non-*

liquidateur wcale nie oznacza współnika handlowego czyli raczej stowarzyszonego, obowiązane do rachowania się ze spółką, ani też tego który rachunków i wypłat nie uzupełnił.

Z dwóch tłumaczeń niemieckich najlepszych, z których jedno używane jest w prowincjach nadreńskich pruskich, drugie w bawarskich, jedno tak brzmi:

Alle Klagen wider Gesellschafter, die nicht zu liquidiren haben, und ihre Wittwen i t. d.

Drugie zaś:

Alle Klagen gegen Gesellschafter, die nicht Liquidatoren sind, und gegen ihre Wittwen i t. d.

Pierwsze z tych tłumaczeń także jest ciemne; tylko drugie dosłowne, zupełnie z oryginałem francuzkim się zgadza.

O tém przekonamy się z poniższego wywodu, po zamieszczeniu wprzód następującego tłumaczenia artykułu 64:

„Wszelkie sprawy przeciwko stowarzyszonym *nielikwidatorom*, jako też przeciwko pozostałym po nich wdowom, spadkobiercom, lub wstępującym w ich prawa, przedawniają się pięcią laty od ustania lub rozwiązania spółki, skoro tylko kontrakt spółki jój trwanie oznaczający, albo akt rozwiązania, stosownie do artykułów 42, 43, 44 i 46 był wywieszonym i do właściwych ksiąg wciągniętym, i skoro, po dopełnieniu téj formalności, przedawnienie nie uległo przerwie względem nich przez jakie poszukiwanie sądowe.”

Artykuł ten dzieli stowarzyszonych *ustalęj* spółki, na stowarzyszonych, *likwidatorów* i *nielikwidatorów*. Różnica ta polega na następującym stanie rzeczy: Każda spółka handlowa istnieć przestaje albo przez upływ

czasu na który zawartą była, lub przez wcześniejsze jej rozwiązanie, albo przez ogłoszenie jej za upadłą.

W ostatnim przypadku, spółka znajdując się w stanie upadłości, ulega przepisom księgi III kodexu handlowego o upadłościach i bankructwach. W poprzedzających zaś przypadkach, spółka ustała lub rozwiązana zostawać będzie *w stanie likwidacyjnym*; skutkiem tego, wszelkie pozostałe interesa spółki ulegną likwidacyi w celu zupełnego ich ukończenia, tak przez zaspokojenie wierzycieli czyli każdego trzeciego, jako téż przez zrealizowanie wszelkiego rodzaju aktywów i towarów, przez wzajemne obrachowanie się stowarzyszonych i podzielenie się resztą korzyści.

Taka likwidacya ułatwia się i odbywa przez jednego lub kilku stowarzyszonych *liquidateurs*, likwidatorami zwanych, których stowarzyszeni do téj czynności, bądź w akcie spółki, bądź później ustanowili, albo gdyby się na wybór zgodzić nie mogli, wywołany przez nich sąd polubowny, bądź z liczby stowarzyszonych, bądź nawet z osób obcych żadnego udziału w spółce niemających, mianował.

Ustanowieni lub mianowani likwidatorowie, odbierają *w swe zachowanie i do użytku likwidacyjnego wszelkie księgi i papiery ustalój lub rozwiązanej spółki*, podług inwentarza; uważani są za pełnomocników spółki w stanie likwidacyjnym będącej, w celu ukończenia wszelkich interesów, w sposób powyżej wytknięty.

Ustanie czyli rozwiązanie spółki *w niczém praw wierzycieli zmieniać nie może*, i dlatego wolno każdemu trzeciemu należności swych poszukiwać nie tylko przeciwko likwidatorom, ale i bezpośrednio przeciwko innym

byłym stowarzyszonym, którzy nie są likwidatorami, którzy nie trudnią się czynnościami likwidacyjnymi.

Atoli stowarzyszeni, którzy nie będąc likwidatorami, ksiąg i papierów ustalej spółki w ręku swych nie mają, nazbyt długo w takim stanie likwidacyjnym, w niepewności względem poszukiwań osób trzecich pozostawieni być nie powinni, ile że im niepewność ta może tamować swobodne przedsięwzięcie nowych działań handlowych, nowych stowarzyszeń.

Nadto, według zwyczajnego biegu i obrotu interesów handlowych, przypuszczać należy, a ztąd domniemywać się można, iż w pierwszych kilku latach po ustaniu spółki, stowarzyszeni nielikwidatorowie, wszystko to co od nich dla ustalej spółki przypadło, w ręce likwidatorów uścili.

Z powodu trzech tych przyczyn, to jest: że stowarzyszeni nielikwidatorowie ksiąg i papierów spółki nie posiadają; że zbyt długo w niepewności względem bezpośrednich poszukiwań osób trzecich pozostawieni być nie powinni; i że za nimi po upływie kilku lat przemawia domniemanie zupełnego wywiązania się względem ustalej spółki: kodex handlowy w artykule 64 zaprowadził na ich korzyść przedawnienie *pięcioletnie* przeciw poszukiwaniom bezpośrednim osób trzecich, skoro tylko te osoby trzecie, o ustaniu lub rozwiązaniu spółki, w miarę przepisów artykułem tym objętych, zawiadomione były.

Przedawnienie to wszakże nie służy stowarzyszonym likwidatorom, i ci tylko na przedawnienie zwyczajne kodexu cywilnego powoływać się mogą.

Jeżeli po ustaniu lub rozwiązaniu spółki nikt likwidatorem ustanowiony lub mianowany nie był, wszyscy

stowarzyszeni ustaleń spółki, za likwidatorów, za trzudniących się sami czynnościami likwidacyjnymi uważani być powinni, i w takim razie, żaden z nich przedawnieniem z artykułu 64 zasłaniać się nie może.

Taż sama konsekwencja miejsce mieć powinna, jeżeli nikt z stowarzyszonych spółki ustaleń lub rozwiązanej, tylko osoba obca likwidatorem ustanowioną lub mianowaną została: bo prawo w artykule 64 dozwoliło jedynie przedawnienia pięcioletniego, gdy stowarzyszeni rzeczywiście podzielili się na stowarzyszonych likwidatorów i nielikwidatorów.

Przedawnienie to pięcioletnie zaczyna bieg swój od dnia, w którym spółka istnieć przestała, skoro akt ustanowienia spółki w swoim czasie był wywieszony; albo w przypadkach rozwiązania spółki, od dnia wywieszenia aktu spółkę rozwiązującego, chyba sama należność trzeciego zawisła była od warunku lub jakiego wypadku, w którymto razie przedawnienie dopiero od dnia spełnienia się warunku lub wypadku bieg swój poczyną.

Poszukiwanie przez trzeciego w jakiegokolwiek bądź formie przeciwko stowarzyszonym likwidatorom przedsiębiorane, za przerwanie przedawnienia pięcioletniego stowarzyszonym nielikwidatorom służącego, uważanym być nie może, gdyż inaczéj artykuł 64, stanowiąc wyjątek od zasady kodexem cywilnym w artykule 2249, w ustępie pierwszym objawionéj, utraciłby całą swą moc, całe swe znaczenie. Przerwa przedawnienia pięcioletniego, przywiązana jest jedynie do aktu bezpośrednio i wprost przeciwko stowarzyszonym nielikwidatorom wyniesionego.

W spółkach do uczestnictwa w zysku i stracie *en participation*, artykuł 64, żadnego zastosowania mieć nie może, dlatego, że spółki te nie ulegają formalnościom w artykułach 42, 43 44 i 46, przepisanych.

Objaśnień w materji téj udzielają: *Rogron* w notach do artykułu 64; *Bravard de Veyrières* w *Manuel de droit commercial* nr. 28 *liquidation*; nadewszystko zaś *Pardessus: Cours de droit commercial* w tom. II, pod nrami 1090, 1073 i następnymi.

Aug. Heylman,



MAHMUDEK.

Powieść

PRZEZ

Władysława Strzelnickiego.

(Dokończenie).

XIV.

Kyz-Kała.

Tuż pod Szamachą są dwie góry, słabe odrostki Kaukazu, podobne do niego jak gołębie jaja do strusich; na jednej sterczy wśród burzanu kilka zapomnianych grobowców, druga, po krajowemu Kyz-Kała (dziewicza twierdza), dźwiga na sobie ciekawe zwałiska, ostatki twierdzy, w której jakaś Szachówna, nie pamiętam imienia, miała siebie i tron swój od natrętnych zalotników ukrywać. Zpomiedzy gruzów, wysokim chwastem obrośłych, tu i owdzie wyglądają ciemne otwory. Według powszechnego mniemania, miały to być wejścia do podziemnych kryjówek, które później piasek zasypał i gruzy przywalily, ale podobniejsza jest do prawdy,

że to są samolówki na przyszłych antykwaryuszów; przeto radziłbym każdemu, co chce wzbogacić naukę odkryciem i opisem ciekawości historycznych téj góry, użyć za przewodnika którego z okolicznych czabanów (pastuchów). Ci ludzie w rozwalinach Kyz-Kały nie widzą nic jak kupę kamieni, depcą je z wandalską obojętnością, ale za to nie skręcają sobie karków, nie łamią nóg, bo wszystkie dziury tak im są znajome jak własne kieszenie.

Jest wszakże jedna, do której i czabanowie boją się zaglądnąć, obchodzą ją nawet zdaleka, jak gdyby była kamieniem piekła. Ma ona prowadzić do jaskini ze szczerzego złota, w której na łożu dyamentowém spoczywa od kilku wieków królewska dziewczica, dziedziczka twierdzy. Milion lamp oświeca jaskinię, a każda z jednej perły. Bogactwa te razem ze swoją właścicielką mają przejść w posiadanie pierwszego śmiałka, co wlezie po nie i stoczy walkę z duchami, którzy je strzegą. Pokusa wielka, to prawda, ale czabanowie szyrwańscy z łaski Ałłaha nie są tak głupi, żeby dla jakichkolwiek zysków narażać się mieli na zajścia z diwami (duchami).

Ku końcowi zdarzeń któreśmy opisali, dziwne pogłoski zaczęły krążyć o dziewiczej jaskini. Słyszano w niej jakieś nie ludzkie wołania, byli tacy, co widzieli ślady w pobliżu, że ktoś wchodził i wychodził. Ślady miały formę prawowiernych pantofli, zkąd niektórzy wnosili, że i wołania musiały być téjże natury, to jest prawowierne; ale mędrsi z uśmiechem słuchali tych rozumowań i wzruszali ramionami. Wiedzieli oni bardzo dobrze, że to sprawa duchów. W ich przekonaniu, pantofle niczego nie dowodziły; każdy co chodzi nogami, a kopyt lub pazurów nie ma, nosi pantofle, taki jest porządek na-

tury, więc i duchy wędrując po ziemi, muszą tegoż prawa się trzymać. Co do owych głosów, te były dowodem, że ospała księżniczka nie doczekawszy się oblubieńca, który ją miał pocałunkiem obudzić, przebudziła się sama.—Zdarzenie ważne i oddawna oczekiwane! Przebudzenie się Szachówny, miało być epoką w dziejach Szyrawanu; do góry nogami przewrócić cały istniejący porządek rzeczy. Derwisz Mustafa mniemania takie najmocniej popierał, ale nie radził nikomu zaglądać do niebezpiecznej jaskini, ani nawet rozprawiać o niej. Podług niego, najlepiej było milczeć i czekać końca, spuściwszy się we wszystkiem na Ałłacha.

Sam jednak uchylał się od własnego przepisu; co noc przychodził do Kyz-Kały, opatrywał naprzód górę dokoła czy kto nie szpieguje, i potem wlaził w jamę tak śmiało, jakby to były drzwi meczetu. Zkąd tyle odwagi w derwiszu? miałżeby mieć zachowanie z dziewicą i duchami? Nie, derwisz nie sięgał tak daleko, przedmiot który go sprowadzał do jamy, był nie inny, jak jego pacjent Harun.

Zdrowie najezdника polepszało się co dzień. We dwa tygodnie przechadzał się już bez trudności po zakrętach swego podziemnego mieszkania. Troskliwy derwisz nie wypuszczał go jeszcze na wolne powietrze, chociaż i Ali-Aga nastawał na to, i sam chory tracił cierpliwość; ale zaszedł taki obrót rzeczy, że Harunowi niepodobna było dłużej być nieczynnym.

* * *

Nigdy grzesznik nie dozna takiej boleści spadając w wieczysty ogień z mostu Syrath, przez który będzie wędrował do nieba, jak Harun, kiedy mu derwisz oznaj-

mił, że nie dalej jak nazajutrz Nizza ma zostać małżonką Mahmud-Bega.

— Konia! zawołał zerwawszy się z pościeli, gdzie koń mój, gdzie moi ludzie!

— Konia ci przyprowadziłem, a co do ludzi...

Harun nie słuchał. Wyskoczył z jaskini, znalazł konia i dosiadł o swojej mocy z niemalém zadziwieniem derwisza, który nie rachował jeszcze tyle na jego zdrowie.

— Zaczekaj szalony! mam do pomówienia, stój mówię ci!

Krzyczał do głuchego. Puścił się w pogoń powtarzając, że ma do pomówienia, ale przebiegłszy kilka kroków, zaplątał się w zarośli, której ciemna noc nie pozwalała mu postrzedz, i upadł. Rozbójnik tymczasem zniknął mu z oczu, słyhać tylko było szelest kamieni, usuwających się pod nogami końskimi.

— Lecze na złamanie karku. Ale cóż ja powiem Ali-Adze?

Wsiadł na osła i miał już wracać do miasta, kiedy usłyszał mocniejszy turkot kamieni i krzyk Haruna.

— Otóż go masz, jak życzyłem tak się stało, powiedział wracając w tę stronę. Aj, Harun-Ago! odezwij się przynajmniej gdzie są twoje kości, żebym pozbięrał i osieroconemu bratu odniósł na pociechę.

— Tędy, tędy! Patrz dobrze czy nie zobaczysz konia, bo mi się wymknął. O jak ciemno!

— Więc żyjesz? Chwałaż Bogu, szubienica nie straciła oblubieńca. Słuchaj, trzeba żebyś się widział z bratem, on ci poradzi.

— Idź do piekła z bratem i z jego radami. Ja sam poradzę sobie. Ale koń mój... Otóż jest; nogę musiał złamać; na trzech skacze.

— To nic, Ali-Aga da drugiego, siadaj ze mną.

Osiół derwisza, stały nieprzyjaciel szybkiego ruchu, témbardziej zwolnił kroku, kiedy drugi jeździec usadowił mu się na grzbiecie. Ale Harun dobył kinżała, zaczął go bez litości szpikować; flegmatyczne zwierzę wbrew przyjętemu raz na zawsze prawidłu, pobiegło trochę kłusem, potem, kiedy i ten środek przestał skutkować, Harun jednym zamachem ręki strącił derwisza na ziemię, a sam podwoił razów.

Pieszcy i jezdny razem prawie przybyli na miejsce schadzki, do jednego z ogrodów pod miastem.

Skutek narad był taki: Rozbójnik miał nazajutrz czatować przy drodze wiodącej z miasta do koczowiska, bo według wiadomości powziętych przez derwisza, Mahmudek z Kyzył-Begiem zamierzali sobie o świcie powracać.

— Jeżeli ich nie zgładzisz, mówił Ali-Aga, Mahmudek ożeni się, i ty choćbyś potrafił potem wydrzeć swoje piękną, cóż ci po niej będzie! Dostaniesz kwiat bez zapachu, owoc nadgryziony. Wystaw sobie tę śliczną Peri, odpowiadającą na pieszczoty Mahmudka. Niedołęga Mahmudek, ma nastawić swoje czerwone pękate policzki na jój piérwszy pocałunek!... Zgroza mię przenika kiedy myślę o tém. Mahmudek musi umrzeć, jeżeli ty chcesz być szczęśliwym; Kyzył-Beg także. Resztę ja biorę na siebie.

— Jakże ty reszty dokazesz?

— Nic łatwiejszego: za kilka dni potem, pojedę do Bała-Bega i poproszę jego córki dla siebie. Bądź pewny że on, dziedzic kilku dziurawych szałasów, z ukontentowaniem przyjmie mię za zięcia. Ożenię się, wezmę tę..... jak jój imię?

— Nizza.

— Wezmę Nizzę z taboru i przywiozę tobie dokąd sam zechcesz.

— Nie zadawaj sobie téj pracy. Ja będę czekał na drodze i zaraz ją od ciebie odbiorę.

— To jeszcze lepiej. Albo zaczekaj..... przychodzi mi inna myśl... Wybornie! jutrzejszego jeszcze wieczora będziesz Nizzę posiadał, ma się rozumieć, że jeżeli ci się uda wyprawa. Przyjeżdżaj tylko do mnie natychmiast po skończeniu z Kyzyl-Begiem tu, do tego ogrodu, przyjeżdżajcie oba z derwiszem. Przebierzcie się jakkolwiek żeby was nie poznali na drodze, a tu już niema niebezpieczeństwa; odkryję wam mój plan, o, jaki plan, że téż mi piérwój do głowy nie przyszedł! Wszystko się ułatwi za jednym razem, ja będę spokojny, a wy dostaniecie co się wam należy. No, pamiętajciez przyjechać....

XV.

Ur z ę d n i k.

Wracając do siebie, Ali-Aga spotkał Kała-Bega (rządzącę miasta). Ukłonił mu się niziutko z ręką na sercu, i po zwyczajném pozdrowieniu, rzekł ściskając z uszanowaniem rękę, którą długobrody dygnitarz raczył mu podać:

— Wzrok mój rozjaśnił się kiedym spojrział na was Ismail-Begu.

— Dawnośmy się nie widzieli Mahmud-Begu.

— Serce moje widuje was w każdój chwili.

— Jak ci idzie kiejf?

— Dobrze z łaski Ałłaha. Niespokojny tylko jestem o pomyślność mojego pana. To mię jedynie zajmuje, czy czuwam, czy zasypiam, czy się budzę.

— A twój dom?

— Dobrze z łaski Allaha. Dom mój do was należy. Cóż ja posiadam takiego coby nie było wasze? Alboż sam nie jestem waszym niewolnikiem?

— Czy nie słyszałeś czego?

— Którędy się obróczę, wszędzie mówią o was. O czémże więcéj mają mówić? Wy jesteście światłem Szyrwanu, nigdy Szamacha nie miała takiego Kała-Bega.

— Nie byłeś u Naiba?

— Alboż ten pies wart zebym u niego bywał? Co on znaczy w porównaniu do was?— Nic. Słysząc że robi zasadzki na Kanly-Haruna, ale daremnie suszy sobie głowę. Powiedźcie swoim ludziom, żeby nas samych zostawili.

Kiedy świta odeszła, potomek Szachów zaczął po cichu:

— Tyś moim panem, Ismail-Begu, nigdy wierniejszy odemnie niewolnik nie rzucał pantofli w przedsionku twojego domu. Nic mię tak nie obchodzi jak twoje dobro. Myślałem długo, czémby się tobie przysłużyć; dni i nocy trawiłem nad tém, aż nakoniec Allah wskazał mi właściwą drogę. Gdybyś naprzykład mógł przyjść jutro do komendanta i powiedzieć: oto jest trup Kanly-Haruna?

— Trup Kanly-Haruna? Co ty mówisz! zabiłeś Kanly-Haruna? tu w mieście czy gdzie? O duszo moja Mahmud-Begu!

— Jeszcze nie zabiłem, ale jutro, nie daléj jak jutro, trup Kanly-Haruna będzie w twojém ręku.

— Oj, czy tylko pewno?

— Najniezawodniéj. Mahmud-Beg nie pokaże się przed swoim panem z czarną twarzą. Robiłem już parę zas-

dzek, a ilem się narażał, ile kosztów poniosłem.... wszystko to dla twego dobra, Ismail-Begu, bo mnie same-mu śmierć rozbójnika nic a nic nie przyniesie. Ale jutrzejszy zamiar nie może się nie udać.

— Ja ci dam kilku essaulów do pomocy.

— Jedno słowo twoje u mnie więcej znaczy, niż ty-siąc essaulów. Obejdę się bez nich; mogliby rozpaplać w mieście jak się rzecz stała, a ja chcę żebyś ty mógł powiedzieć komendantowi, żeś własną ręką wybawił świat od téj poczwary.

— Własną ręką? kochany Mahmud-Begu, bądź pe-wny moich względów. Ha, Naib pęknie ze złości.

— Pluję ja w brodę Naibowi. Ale jest okoliczność którą muszę poddać pod twój wyrok: derwisz Mustafa ma ciągle konszachty z Kanly-Harunem, co dzień się widują i jutro będą razem. Jeżeli i on mi się nawinie, co robić w takim przypadku? Powiedz, niech uszy twe-go niewolnika wypiją słodycz mądrości twojej.

— Zabij derwisza.

— A co powiedzą o tym w dywanie? przeciwko nie-mu dowodów jasných nie mamy.

— Zabij derwisza, ja odpowiedzialność biore na sie-bie; przyznam się nawet tobie, że mam na niego chrapkę oddawna. Jestto oszust nad oszustami; co dzień bez li-tości obdziéra moich mieszczan, to tym, to owym spo-sobem, a kiedym go poprosił o pożyczanie niewielkiej summy, cóż ty na to powiesz, ani szaja nie dał!

— Ani szaja? To być nie może, to niepodobna! Żar-tujesz Ago czy co?

— *Wallah, billah* nie żartuje.

— A taki to derwisz, ten pies, ten poganin, syn giaura, syn Ormianina, nie chciał dać pieniędzy Kała-Be-

gowi naszemu? Niechże umiéra kiedy tak. Dziesięć kul w niego wpakuje, wyrzucę wronom na pożarcie, skalam mogiłę jego pradziada. Proszę, jaki syn grzechu! Ktoby się był tego spodziewał!

XVI.

Nizza.

Po rozejściu się z bratem, Harun miał wrócić na noc do jaskini. Wsiadł na konia Alego, i ufając ciemnemu wieczorowi, pojechał najkrótszą drogą przez miasto. Na rynku przy jednym duchanie (szynkowni), zajęła następująca rozmowa dwóch Ormian:

— Widzę, powiedział jeden, że to niechrzczone by-
dło zna się także na słodyczach; kilka butelek najlepszego zagranicznego wina, jakie było w sklepie, zabrali. Jaki zuch ten Kyzyl-Beg, niedaremnie tak długo ocięrał się o chrześcian; mówi, że gdyby był Muhamed skosztował tego wina, pozwoliłby niém upić się każdemu wierzącemu w alkoran. Ale i ten drugi wykosztował także podwójną butelkę.

— Który ma się żenić?

— Ten drugi.

— Alboż ja wiem kto drugi a kto piérwszy?

— Ten co miał siwego konia. Alboż nie znałeś Mahmudka? On to ma się żenić. Ale nie wiem jak dojedzie do swojej narzeczonej; ledwie go na konia wsadzili.

— Czy już wyjechali, zapytał Harun skwapliwie, gdzie, w jaką ulicę?

Rozmawiający zdziwieni nagłym zapytaniem spojrzeli na niego, Harun zaciął konia i cwałem pomknął przez

miasto. Pędził nie zatrzymując się nigdzie aż do Kazdy-Czaju; psy czyndarskie przywitały go swoim szczekaniem, widział jak nukiery prowadzili nierozsiodłane jeszcze konie, które przywiozły pana młodego i Kyzył-Bega. Pogoń była daremna! Rozbójnik pojechał do rozwalin Karawan-Saraju, gdzie zwykle przechowywała się jego banda i tam nikogo nie znalazł. Krzyczał, gwizdał, strzelał z pistoletu, echa tylko odpowiadały, odbite od sklepień pustego gmachu.

— Wszystko przepadło! zawołał rwąc odzież na sobie.

Wschodzące słońce zastało naszego dzigita na jednym wzgórku nad Kazdy-Czajem, o parę wystrzałów od koczowiska. Zatrzymał konia, zwrócił oczy w tę stronę, gdzie przebywał główny, wyłączny cel jego życia, otoczony tysiącem przeszkód trudnych do zwyciężenia, a w obecnym stanie rzeczy niepodobnych prawie. Tam wszystko się krzątało i biegało; jedni rozbijali opodal od namiotu dwa duże namioty, dla oczekiwanych gości, inni trzepali kobierce i poduszki, kilku znosiło gałęzie na stos kuchenny, koło którego ogromny kocioł, mający naładować ulubionym płowem sto głodnych żołdaków, stał w poważnym milczeniu i wyglądał ryżu. Tuż niedaleko lały się zdroje krwi baranięj. Fátyma-Chanym, czynna, troskliwa i krzyżąca jak wszystkie stare Chanym wydające za mąż córki swoje, przebiegała z kąta w kąt; tu dawała rozkazy, owdzie biła służące. Mołła przechadzał się sam jeden między szałasami i dumiał głęboko, zapewne o kabinie (ślubnej intercyzie); on jeden z całego koczowiska, posiadał rzadki talent pisania. W tłumach kobiet i mężczyzn, krzyżujących się bez ustanku wzdłuż i w poprzek taboru, Harun spostrzegł

dwie nieruchome postaci—Mahmudka z Bała-Begiem. Oba siedzieli na ziemi, ciągnęli kilijan po kolei i spoglądali jeden na drugiego w milczeniu. Ale nie tego wypatrywał rozbójnik; oczy jego z gorączkowym ruchem biegały po twarzach kobiecych, póki nie spotkały jednej.

* * *

Cóż Nizza robi wśród tych przygotowań, które się jój tak blisko dotyczą? Mileczy i patrzy na wszystko obojętném okiem. Nie pytano jój o zgodę przy wyborze małżonka, nie radzono się względem wyprawy i wesela; w tych rzeczach dziewczyna głosu mieć nie może. Niezadługo zostanie wszechwładną panią swoich czterech ścian, ozdobionych mnóstwem zwierciadeł i zakratowanemi oknami; wtenczasto ona królować zacznie, będzie się stroić podług swojego gustu, będzie mogła krzyknąć na służące, rozkazywać, bić nieposłuszne, tymczasem matka wszystkiemu zaradzi. Nizzie nic do tego, kto ma jój mężem zostać. Wiadomo jój, że wkrótce osiedzie w smutnym haremie, widzi nieznośną czadrę co ją ma okrywać w niedługich chwilach przechadzki, widzi surmę, róż i bielidła które matka dla niej przygotowała na ten dzień weselny, i nie sprzeciwia się już i milczy. Ale czy milczy jój serce?

Stała nad strumieniem, oparła rękę o duży kamień nadbrzeżny, twarzyczkę położyła na dłoni, i utonęła w dumach głębokich. Rzekłbyś, żywiutkie myśli z główkami i nóżkami, uwijają się jak mrówki po tém białém i wyniosłém czole, po tych oczętach półprzymrózonych, po tych usteczkach podobnych do dwóch nitek pąsowego jedwabiu, że ot ot, nastaw rękę i zgartuj....

Jestże co trudniejszego, jak zrozumieć marzenia poetów i młodych dziewcząt! Zaiste, łatwiej wędrowniko-

wi stepu dostać się na nocleg do oazy albo grodu fatymorgany....

Jakże wam powtórzę, o czém marzyła narzeczona Mahmud-Bega na kilka godzin przed swoim ślubem? Naturaliści, przenosząc w księgi swoje ten Boży świat, rozmaite a przemieszane z sobą cząsteczki jego dzieła, jednoczą, klasyfikują, porządkują; porządek jest u nich wszystkiém; prawda, piękność i życie, to rzeczy mniej ważne i w księgach nie powtarzają się. Pozwólcież i mnie tak postąpić.

Nizza wywołała przed siebie postaci dwóch oblubieńców; tego co mignął jak błędny ognik żeby zaręczyć się na zawsze z jej duszą i zniknąć, i tego, co dzisiaj jeszcze ślubnym mężem miał zostać.... Zobaczymy jak każdy z nich sprawę swoją przed nią wytaczał.

— Ja rozbójnik, mówiło widziadło Haruna, mnóstwo plam na sukniach noszę od krwi niewinnój, chandzał mój z wielu piersi życie wypędził. Nigdy ludzkie oko nie spojrzało na mnie przychylnie. Jedni mię przeklinają, drudzy drżą przedemną. Gorzkie jest życie moje, puste i znojne jak stepy Muhanu, a jednak umierać nie chcę, bo cóż mię czeka po śmierci? Nie wniknę do ogrodu rozkoszy, nie spocznę na łożu ze złota i drogich kamieni, ani mię czarnookie Huri przyjmą w swoje objęcia. Wszystko to przeznaczone dla tych, co na ziemi byli szczęśliwi; kto był w piekle za życia, ten będzie w piekle i po śmierci. Ty jedna, o ziemsko Huri, mogłabyś los mój osłodzić! na twojem łonie perłowém, zapomniałbym o zbrodniach przeszłych, zacząłbym kochać ludzi i spełniać ustawy proroka!

Przypatrz mi się Nizzo, jestem młody i piękny! Widzisz u mnie ten płomień w źrenicach, na twarzy; przyłóż rę-

kę do serca, jak mocno bije, ile tam płomienia! Wszy-
stek mój płomień przelałbym w ciebie, wpiłbym się
w usta twoje długim, nieskończonym, wiecznym poca-
łunkiem, splotł me ramiona z twojemi, wcielił się piersią
w pierś twoją, i omdlał od uroku! Dusze nasze, myśli,
czucia, całe życia nasze, zlane w jeden oddech rozkoszy,
przeleciałyby do siódmego nieba!...

Przy ostatnich słowach widziadła, lica Nizzy oblał ży-
wy rumieniec. Dlaczegożes mię z sobą nie uniósł, za-
pytała z gniewem prawie, ale odpowiedzi nie było.

— Co do mnie, zaczęło występując naprzód widzia-
dło Mahmudka, powierzchowność moja niewiele obie-
cuje. Jestem bardzo daleki od miłosnego zapału, jestem
sobie niewinny i spokojny człowiek, co okazuje i wzrok
mój, ciężki, leniwy, jak zimowy sen niedźwiedzia. Posta-
wę mam dorodną, ale niestety, co do udatności kształ-
tów, każdy wielbłąd twojego ojca, Nizzo, lepiej odemnie
wygląda. Nie będziesz miała z czém się cackać, ale za
to uważ, ile zkaładnęd zyskasz, dostawszy za męža takie-
go bogacza, a przytém urzędnika! Znajdziesz u mnie na
każde zawołanie cukry, szerbety, o jakich nie słyszano
u was w koczowisku. Nóżki twoje, przywykłe do ka-
mieni i cierni stepowych, stąpać będą po chorazańskich
kobiercach. Żony moich podwładnych, mieszczi szama-
chańskie, na tacach z czystego srebra znosić ci będą
peszkesze, a gdzie się spotkasz z niemi, w łaźni czy
w ogrodzie, każda z uszanowaniem ustąpi ci miejsca i po-
wie sąsiadce: oto jest żona Mahmud-Bega, ach, jak bo-
gato ubrana! cała błyszczący od złota!

Takięto ja słodycze przynoszę tobie w zamian urody
młodości; poprzestań na nich, bo cóż ci mogę ofiaro-
wać więcj? Wywiędłe umizgi, uściski leniwe....

Nizza nie dała dokończyć brzydkiemu widziadłu. Przeszła marzyć i poszła do namiotu.

— Ostrożnie, ostrożnie, uprzedziła wchodząca matka; nie stąpaj po materacach. Przypatrzyć się im, widzisz że z czystego dżdżimu, a jakie mięciutki! weź w rękę, a co, miękko będzie? Powiesz mi co ci się przysni pierwszej nocy.....

Nizza odwróciła się. Wyraz wstretu zmarszczył jej malinowe usteczka, oczy łzami zabiegły.

XVII.

Kanly-Harun.

Dopóki Harun patrzył na Nizzę stojącą nad strumieniem, cały pochłonięty tym widokiem, sam siebie nie widział; kiedy odeszła, przyszedł do pamięci, obudził się, i znalazł pod sobą łoże z rozżarzonych węgli. W duszy rozbójnika zjawilo się uczucie nowe, tłoczące do ziemi: męka jelenia z nogą wyłamana, orła z podstrzeloném skrzydłem, uczucie własnej niemocy. A jak straszne ono musiało być dla człowieka, który przez całe życie swoje chylił się za każdym powiewem namiętności! giętki jak trzcina, i nigdy szwanku nie ponosił, który gonił i chwycił każdy dziwotwór własnej żądy, słuchał każdego podszeptu imaginacyi, dzikiéj, ognistéj, nieobeznanej z hamulcem, wykarmionéj niepodległą tułaczką bez żadnego celu! Żądza i niemoc, jak dwa ciała które trąca się jedno o drugie wydają ogień, paliły mu serce, burzyły krew, mąciły myśli! Byłyto pierwsze w życiu preludya rozpaczy.

Spojrzał naokoło, zaciął konia, i prędko jak kamień rzucony wprawną ręką, stanął u podnóża najwyż-

szej góry. Podwaja razy, rzuca się naprzód; po kilku posuwistych skokach, dościga znacznej wysokości, ale nie znalazłszy stałego gruntu, usuwa się, ścigany powodzią piasku i kamieni. Znowu się wspina, znowu też same przeszkody, oto je przebył, wspina się dalej, coraz dalej, i wyżej, przepada w mętach tumanu, wynurza się wkrótce i staje na szczycie góry.

Wstrzymał konia, odetchnął całą pierś. Nad nim nic nie było prócz czystego nieba, przy nim sępy z gniazd wypłoszone, a pod nim nisko, bardzo nisko, ludzkie mrowiska. Uczuł się na chwilę jakby szachem potężnym; pogoda nadgórnej strefy, czy jakieś nierozumiejące siebie uczucie dumy i wyższości, rozjaśniło mu twarz, w źrenicach się odbiło, ale nie było nikogo, ktoby dawał oklaski. Im wyżej, tém samotniej na świecie!

Wewnętrzna wojna znowu go rozbudziła; wybrał bok góry najspadzistszy, i zaczął zjeżdżać. Mnóstwo kamieni usuwających się jeden przed drugim, poprzędziło go nim stanął na dole, inne tuż za nim leciały w pogoń, i nad nim kreśliły warczące półkola. Przez środek wąwozu pieniała się rzeka, szumna jak wodospad, bijąc gwałtownie w kilka dużych odłamów co jęj pęd tamowały. Harun wskoczył w rzekę, czy tam nie znajdzie ochłody; tonie, wypływa, rozpiéra fale, co chwila zawadza o kamienie rozrzucone po krętym łożysku, co chwila walczy ze śmiercią.... Już przeciwny brzeg niedaleko: wysoki, spadzisty, opiera się wszystkim usiłowaniom konia i jeżdżca, odrywa się kawałami i spycha ich nazad do rzeki. A rzeka szumi i pryska, otwiera paszczę, chce czémprędzej pochłonąć swoje ofiary, trąca je, podmywa ze spodu, obsypuje z wierzchu kłębami mokrego żwiru. Koń

płynie dalej, gdzie wstęp na ziemię łatwiejszy, jeździec uporczywie skręca cugle na to samo miejsce.....

Już są na brzegu. Koń ledwie stoi na nogach, chwieje się, drży, robi bokami, para z niego tumanem bucha, jak z kotła. A jeździec? —kołuje oczami i szuka nowych niebezpieczeństw. Postrzega podróżnego w znaczném odдалeniu, na ścieżce łączącej się z Kazdy-Czajską drogą, Ha, to może gość zaproszony na wesele, niechaj ginie!

Ów podróżny miał niepoczesną minę, i zapewne nie większe usposobienie do bitwy jak spokojny osioł co go dźwigał na sobie. Jakże się zdumiał zobaczywszy, że ktoś pędem leci na niego, z cuglami w zębach, z pistoletem w lewém i szablą w prawém ręku! Sądził, że to jakiś żartowniś chce go nastraszyć tylko, bo któżby chciał nastawać na życie takiego jak on obszarpańca, i to w biały dzień, niedaleko od wielkiej drogi? Ale na wszelki wypadek, roztropność radziła ubezpieczyć się; zeskoczył z osła i przyległ za dużym kamieniem, żeby sparaliżować przynajmniej pierwszy impet najeźdźnika. Wybieg okazał się skutecznym. Harun przeleciał po ścieżce, i byłby dalej pomknął, ale tamten, przypatrzwszy mu się ukradkiem z za swojej warowni, wstał i zawołał:

— Stój stój! Takżeto sobie żartujesz z przyjaciół? Dobrze żeś nie trafił na tchórza. Komu innemu byłbyś tego strachu napędził.

— A, pokój z tobą. Nikt nie wątpi żeś odważny ile trzeba derwiszowi. Czy nie powiesz mi czego nowego? Mów prędzej.

— Nowego niewiele, jednak powiem ci coś starego, o czém ty podobno nie wiesz.

— Mówże, bo nie mam czasu.

— Właśnie po to wybrałem się w tę drogę, żeby cię znaleźć i powiedzieć, że twój braciszek Ali-Aga, wierutny *haram-zada*; niegodziwiec większy niż my oba.

— Kłamiesz.

— Nie wierz mi, nie wierz, ufaj jemu, to cię wywinduje dziś jeszcze na wieczerzę do nieba, tak, że ani się spostrzeżesz. Bądź zdrow.

— Stój i wytłumacz się, albo....

— No, no, dosyć tych żartów; wytłumaczę się, ale schowaj pistolet. Myślisz mię nastraszyć, czy co? Alboż nie pamiętasz, ilem się narażał, i to dla kogo? dla ciebie, zawsze dla ciebie! Bo co się tyczy Alego, oby się zapadł o sto łokci w ziemię; temubym w niczem nie dopomógł, owszem mam nadzieję nakarmić go błotem przy pomocy bozkięj, jak się tylko zręczność nadarzy....

— Tracę cierpliwość!

— Zaraz, zaraz, przystępuję do rzeczy.... Po wczorajszej schadzce, Ali-Aga udał się do swoich pałaców, ja poszedłem za nim, chociaż zdaleka, bom w rękę prowadził mego osiołka, któremu chciałem dać ulgę po biczowaniu, jakie odebrał od ciebie. Biędne bydlątko! porobiłeś mu rany kinzałem! zobacz, nie prędko się zagoją. O! znowu marszczysz brwi, wracam do Alego. Zatrzymał się na ulicy i zaczął rozmawiać, zgadnij z kim i o czém?

— Nie zgadnę.

— Z Kała-Begiem, o nas. Obiecał mu pod przysięgą, że nie dalej jak jutro, to jest dzisiaj, przyniesie nas obu zarzniętych jego psom na strawę.

— Kłamiesz, kłamiesz! krzyknął rozbójnik chwytając derwisza za ramię. Jakim sposobem podsłuchałeś?

— Z ostrożnym, bezpieczeństwo sypia na jednej poduszce. Zobaczywszy że Ali-Aga rozmawia z Kała-Begiem,

przyczołgałem się ostrożnie, rzuciwszy osła na wolę losu, pod mur, z kąd wszystko było słychać. Kiedy się rozeszli, dopędzam Alego, kłaniam mu się grzecznie, i mówię, że Mustafa derwisz ma uszy równie dobre jak on język.

— Cóż on na to?

— Zapłacił, cóż miał robić! Jedną garść abazów dał na przeprosiny, drugą, żebym nie wydawał jego jako twego brata i współnika, trzecią, żebym ciebie nie uprzedał.

— Bądź zdrow Mustafo. Jadę do Szamachy.

— Stój, po co?

— Zapłacić starszemu bratu za dobre zamiary. Zajadę prosto do dywanu, i wszystko wyznam.

— Cha, cha, cha! Miałem mego osła za najgłupsze zwierzę, ale pokazuje się, że są jeszcze głupsze, bo on nigdy z dobrej woli nie polezie na szubienicę. Czy ci życie obmierzło?

— Obmierzło, bracie. Szkaradna bo to rzecz, raz wraz mieć do czynienia z takimi oszustami jak ty i Ali-Aga, a dobrych ludzi obdzierać i mordować. Pojadę do dywanu. Nie będę zebrał łaski dla siebie, poproszę tylko, żeby Alego przedemną, w moich oczach powiesili.

— I mnie także?

— Na ciebie szkoda postronka. Żyj sobie, praw duby i wykręcaj młynka na bazarze, jak dotąd, albo zacznij żyć po mojemu, jeżeli ci w mieście niebezpiecznie teraz. Będiesz wojował z wronami po górach, bo ludzie to za gruba zwierzyna dla derwiszowskiej broni.

— Lepiej zrobię, przyłączę się do karawany Chadzi-Jusufa, która jutro wyrusza do Mekki. Czas téż i o zba-

wieniu pomyśleć. Ale jeżeli tam będą wymagali, żebyś odkrył wszystkich swoich, gdzie się przechowują?

— Ja sam nie wiem.

— A to co innego. Dobrze żem się nie wymówił. Szkodaby było takich zuchów; z nimi możnaby jeszcze wiele dokazać... Co o tém myślisz Harunie?

— Czy nie wiesz ty gdzie oni? Zmituj się, mów!

— Zkąd mam wiedzieć? Allah wie, wiedzą prorocy i anieli w niebie.

— O! ty nie prorok i nie anioł, ale do braci swoich djabłów przeniesiesz się natychmiast, jak ci wpakuję kulę pod samo serce....

— Zaczekaj! Tobie, jak widzę, nic odmówić nie można. Ale nie pojedziesz do Szamachy?

— Nie.

— Więc powiem. Wczoraj na rynku słyszałem, jak chłopci z Kunach-Kendu rozpowiadali komuś, że rozbójnicy przechowują się teraz niedaleko od tego miejsca, gdzie Tenga przerzyna dwie góry, w jakiś tam dziurze pod skałą. Wymienili nawet Jarym-Sakała. Ty lepiej odemnie znasz dziury szyrwańskie i kubińskie, to szukaj ich sobie, ja więcj nic nie wiem.

Myśl o wpraszaniu się na szubienicę ustąpiła z głowy Haruna, kiedy powziął niejaką pewność, że się ze swoimi połączy.

— Bądźże zdrów Mustafo! rzekł wesoło, dzisiaj jeszcze dowiesz się o mnie. Hasło, dwa wystrzały.

— Stój, jeszcze ci coś powiem. Ali-Aga zaproszony na wesele, i pewnie będzie, żeby nie dać poznać, że się czego boi. Ja jego znam!

— Bądź i ty, kto wie czy mi się nie przydasz.

— Będę, będę. Wy myśliwi na cudzą własność, zostawujecie zwykle okruszyny ze swego połowu; może i derwiszowi jaki abaz da się ukroić.

Harun nie słyszał już ostatnich słów derwisza.

* * *

Podwładni, a raczej niewolnicy Kanly-Haruna (był on w swojej sferze małym wschodnim despotą), nie odbierając o nim żadnej wiadomości przez kilka dni, sądzili, że może zginął, albo co gorsza, dostał się w łapy którego z naibów. W ostatnim razie mógł ich wydać, więc odmienili kryjówkę; z rozwalin, w których jak wiemy, Harun nadaremnie ich szukał, przenieśli się w okolice Kunach-Kendu. Żyd z kubińskiego przedmieścia, Jarym-Sakał (pół-brody); tak nazwany od dużej kosmatej brodawki którą miał na lewej szczęce, kiedy reszta twarzy leniwo obrastała, objął dowództwo nad całą zgrają; tę zaś składali trzej Muzułmanie, drugi żyd kubiński i jeden zbiegły doboz. Wszystkich to cieszyło, że się nakoniec uwolnili od Haruna; oddawna karmili niechęć ku niemu, a ostatnia sprawa przy Kazdy-Czaju, gdzie tyłu ich swojemu kaprysowi poświęcił, najwięcej bandę oburzyła. Nie śmieli jednak sarkać, dopóki był między nimi; przebieglejszy rozum, odwaga wściekła i ślepa, właśnie taka jakiej potrzeba w podobnym zawodzie, a nadewszystko wewnętrzna pewność siebie, zdradzająca się w postawie, w ruchu, w mowie, w każdym uczynku, zjednywała mu strach i posłuszeństwo niesforniej hałastry. Za to nad nieobecnym, długo tajona nienawiść mogła się pastwić bez miary. Jedni żartowali z Haruna, drudzy mu złorzeczyli. Najwięcej zaś piorunów ciskał na niego następca jego władzy; upewniał nawet, że gdyby Kanly-

Harun jakim cudem zjawił się znowu między nimi, to on, pół-brody, posłałby go niezwłocznie do piekła.

Chłodny, świszczący wiatr wciskał się do jaskini i zmiatał mech po ścianach; grad szumiał na dworze, zlany w jedną muzykę z hukiem pianistej Tengi. Zaczne zgromadzenie ogarnawszy się w burki, zasiadło około mangu, dużej misy napelnionej zarzuceniemi się węglami, i grzało ręce. W takim położeniu zastał je Harun.

— Aaaa! powiedział Jarym-Sakał, i nie ruszył się z miejsca. Aaa! powtórzyli inni wstając opieszale.

— Ilu was jest? zapytał Harun.

— Pięciu, a Jarym-Sakał szósty, odezwał się jeden z Muzułmanów.

— Pięciu? szósty? czemuż nie sześciu razem?

Nikt nie odpowiadał.

— Ty byłeś tu starszym bezemnie, Jarym-Sakale, co?

— Byłem, powiedział tamten głosem, w którym się przebijało, że coś innego miał na języku.

— To dobrze.

— Dobrze czy niedobrze, nie twoja rzecz o tém sądzić, wtrącił drugi żyd; Hassan biały, śmielszy od samego herszta.

Harun spojrział na niego, potem na Jarym-Sakała, potem na innych, i wszystko zrozumiał. Odwrócił się ku wchodowi.

Chwila milczenia. Jarym-Sakał prowadzi walkę z sobą, niepewny czy sam ma scenę zakończyć, czy dać rozkaz. Inni spoglądają na herszta, i nie mogą z jego twarzy zaczerpnąć żadnej myśli stanowczej; spoglądają na Haruna, sądzą że zmieszany, i nabierają otuchy, że się opierać nie będzie.

Harun obrócił się do nich. Wlepił w Hassana białego oczy żelazne, nieruchome jak gardła pistoletów, i powiedział zimno nie okazując żadnego poruszenia.

— Wypal mu w łeb.

Hassan zatrząsł się cały i machinalnie sięgnął ręką po pistolet.

— Wypal mu w łeb! powtórzył Harun nie zmieniając postawy.

— K... ko... komu? wyjąknął potomek Abrahamów i Dawidów.

— Jarym-Sakałowi, a potem sobie.

Ściany jaskini odbiły grom wystrzału. Jarym-Sakał zwiesił głowę, pochylił się i upadł. Hassan biały stał jakiś czas w piekielnej niepewności czy ma wykonać drugą połowę rozkazu, ale Harun nie nastawał na to; skinął ręką jednemu żeby wyniósł trupa, drugim giestem pozwolił reszcie usiąść przy mangale, sam zaś obwinawszy się w burkę, upadł na słomę w kącie jaskini. Po krótkim milczeniu zawołał:

— Opatrzyc broń, i być w pogotowiu.

XVIII.

Weselne gody.

Nigdy smutne wybrzeża Kazdy-Czaju nie widziały takiej gali, jak w owym dniu pamiętnym, kiedy syn wymiatacza śmieci, miał się skojarzyć z córką Bała-Bega. Nie zbywało tam na niczém, co tylko mogło zaspokoić apetyt, uradować serca, słowem, odpowiedzieć wszystkim oczekiwaniom sproszonych grandów Szyrwanu. Gosposia, dama jak to wiemy światowa, chciała żeby wesle jej córki odbyło się miejskim obyczajem, a ten

wymagał zupełnego rozdziału dwu płci; pomieszczono więc gości zacniejszych w dwóch oddzielnych szałasach. Zajrzyjmy do tego, który mieści w sobie pleć brodatą, bo drugi niedostępny jest dla nas, chyba, żebyśmy chcieli zgwałcić wolę gospodyni, grzeczność muzułmańską, a nawet przepisy koranu, od czego niech nas Allah zachowa.

Ściany szałasu wyplecione z tałszyńskiej wzorzystej trzciny, obejmują przestrzeń owalną. Zamiast sufitu, pręciki w półkoła wygięte, końcami umocowane do ścian przeciwległych, przecinając się między sobą, kształcą plecionkę, która podtrzymuje zewnętrzne pokrycie. Przecięcia pręcików poprzecznych z podłużnymi, spięte są sznurkami, od których wiszą kutasy, kutasiki, węzłki różnej wielkości, ze srebra i czerwonego jedwabiu. Zamiast posadzki, kobierce.

Liczni goście, z założonemi pod siebie nogami, jak u nas mówią, *po turecku*, dokoluteńka obsiedli tę salę, jeżeli się godzi tak ją nazwać, i kształcą jakby wieniec jaki: wieniec bród, wąsów i czapek baranich. Wszyscy jednakowo ubrani, ale to się rozumie co do kroju tylko, bo co do materiału, prowadząc od którego z szarych końców coraz wyżej, rażące stopniowanie spostrzegać się daje. Tam naprzeciw drzwi, na honorowém miejscu, zajętem przez gospodarza, Mahmudka, Kyzyl-Bega, Ali-Agę i jeszcze kilku magnatów i kinzały bogaczej oprawione, i więcej srebra na czuchach, i czapki dwa razy wyższe; tam każda broda ufarbowana z dziwnym gustem w czerwone z czarnemi smugi, każde dziesięć palców płące się niedbale w sznurku koralu, albo w bursztynowych paciorkach!

Siedzą nieruchomie, patrzą przed siebie, przytaili języki i zdają się iść w zawody kto kogo przemilczy. Je-

den Kyzył-Beg śmieje się i gada za wszystkich; ci do których swoje żarty obraca, ledwie półgębkiem odpowiadać raczą. Najwięcej mu dostarczają materyi do ucinków dwaj Mahmud-Begowie, udany i prawdziwy; Ali-Agę nazywa czasem przez omyłkę jego właściwém imieniem, i grzecznie przeprasza, ale ten nie rumieni się i nie okazuje gniewu.

Nukiery przynoszą coraz świeże kilijany i milcząc odchodzą. Przynoszą także słodkie napoje w głębokich pozlaczanych miseczkach, podają znaczniejszym z gości, a ci, odwilżywszy cokolwiek usta, wręczają miseczki sąsiadom. Za każdym razem, kolój obchodzi całe zgromadzenie, i za każdym razem, miseczki do połowy ledwie wypróżnione, wracają do nukierów. Ta tylko, którą Kyzył-Beg piérwszy odbiera, chociaż głębsza od innych, do dna się osusza. Kyzył-Beg oddaje ją Mahmudkowi, a ten jeszcze jednemu z begów. Inni nie wiedzą co się kryje w głębszej miseczce, domyślają się jednak, patrząc na tajemnicze mrugania i uśmiechy trzech osób które z niej piją, że to jest jakaś farmazonia.

Przy czwartój czy piątój kolei, Kyzył-Beg oddał zagadkowy napój molle, ominąwszy Mahmudka, który już był rękę wyciągnął. Molla po jednym łyku zarumienił się od ucha do ucha, postawił miseczkę na ziemi i powiedział uroczyście:

— Koniec grzesznika straszny będzie; wrota rozkoszy nie otworzą się dla niego. Biada jemu!

— Biada mu, biada! rzekł Kyzył-Beg naśladowując głos i powagę molły. Nie zobaczy owocu w którego pestkach Huri mieszkają, ani tego źródła z kąd wiecznie wino wytryska.

— Ja nie prosty mołła, ja mówię to com wyczytał w księgach. Ten, co stanie na lewicy w dzień sądu, biada jemu!

— O biada, biada! To się do ciebie stosuje Mahmud-Begu. Mówilem, nie zaczepiaj Kerim-Mołły, ani jego żony.

— Co? zarzucił niewinny Mahmudek, chcesz na mnie zwalić?

— Wino jestto napój wymyślony od szatana, prowadził dalej kapłan z rosnącym zapalem. Przeklęty kto się upił; przez czterdzieści dni Allah odwracać będzie od niego oblicze swoje, a przez drugie czterdzieści nie zechce słuchać modlitwy jego!

Zabrzmiała muzyka.

Skwirujące zurny (*) otworzyły orkiestrę; było ich kilka, a każda z innego tonu zaczęła. Potem odezwały się kamancze (**) i napełniły powietrze piskiem stu gryzących się szczurów. Nie myślano o żadnej zgodzie, każdy zurnista dał po swojemu, każdy smyk inne trele wycinał. Ale wkrótce z tej ogólnej kłótni wywiązały się dwie nieprzyjacielskie partye i zaczęły sobie wzajemnie wydziierać panowanie nad uszami słuchaczy; i tak, ilekroć zurny ucichały, kamancze podnosiły się natychmiast do najwrzaskliwszych tonów, jak gdyby wojsko tryumfujące na rozwalinach zburzonego miasta; ale tryumf niedługi, partya zagłuszona na chwilę, wypocząwszy sobie, umiała znowu zmusić tamtę do lamentu, a sama zahuczyć całą mocą szumnego allegro.

(*) Dudy podobne do klarnetów.

(**) Rodzaj skrzypców.

Która którą przemoże? Która otrzyma plac pötyezki? Żadna! Padnijcie na twarz dzieci harmonii, oto występuje wasz mocarz i prawodawca, groźny bęben!

Kiedy uszy gości czyndarskich karmiły się urokiem tój wojny muzycznej, ich żołądkom także nie dano próżnować. Opłukawszy ręce, zasiedli koło kilku ogromnych tac, dymiących się ledwie nie wszystkimi wyziewami królestw zwierzęcego i roślinnego. Trudno wyliczyć, a jeszcze trudniej ocenić przysmaki jakie tam były. Na środku każdej tacy, narodowy *plow* wznosił się majestacyjnie jak Elbruz między górami; przy nim w mniejszych naczyniach, mieściły się mleczywa, mięso rozmaicie przygotowane, słodycze z mąki, miodu i łożu i t. d. Garści i palce biesiadników miały nad czém pracować.

Niektórzy porozumieli się z Kyzyl-Begiem względem głębszej miseczki: zakazany szербet coraz większą kolój obchodził. I sam Kyzyl-Beg i ci co się przyłączyli do jego cechu dostali rumieńców, żywszej wesołości, płynniejszej wymowy, ale syn wymiatacza śmieci wszystkich zakasował swoim słodkim humorem, nawet z uroczystych ust mołły potrafił uśmiech wywołać. Przestał się lękać Alego, często zaziérali sobie w oczy; oczy Alego okazywały spokojną powagę, Mahmudkowe bezczelność pijanego winowajcy.

Przywołano tancerki. Najemne piękności weszły i stanęły; niepewne która ma balet rozpocząć. Ale jakież współzawodnictwo może mieć miejsce tam, gdzie się Badyz-Chanym znajduje? Owa gwiazda Sadowej ulicy w Szamasze, przedmiot tylu westchnień i zabiegów, przyczyna i skutek nie jednej pötyezki nocnej, celniejsza ozdoba wszystkich biesiad.

Tyś więc zaczęła, o Szyrwańska Taglioni! tyś pierwsza zjednała huczne oklaski! Gdzież jest pióro, coby opisało nieporównane ruchy twoje, łamania się i grymasy! To prawda, że stopki twoje trzymały się ziemi i nie tańczyły bynajmniej, ale za to inne członki w jakiej były robocie! Żadnemu nie dałaś próżnować, ani biodrom, ani zebrom, ani plecom..... Rączki twoje opatrzone w małe sztukadełka (*) rozcinały powietrze z niewymównym wdziękiem. I nie przestając na tém, tańcowałaś jeszcze nosem, głową, uszami, brwiami, oczami....

Muzyka huczała bez przerwy, widzowie klaskaniem w ręce takt wybijali, ale i to i owo nagle ucichło, kiedy baletniczka otworzyła usta. Było to znakiem że ma śpiewać, jakoż odkaslnąwszy zaczęła:

„Nie rzucaj na mnie kamieniem,
„Bo ja cię kocham i bez tego” i t. d.

Jestto najulubieńsza w Szyrwanie piosenka.

Po Badysz popisywały się inne, to solo, to w parach, ale żadna jój nie wyrównała. Widzowie zaczęli poziewać.

— Precz kuropatwy, zawołał podnosząc się Mahmudek, ja lepiej od was umiem tańcować. Precz za drzwi.

Bajadery wyszły jak zmyte. Mahmudek zajął ich miejsce na środku namiotu i stanął w pozycyi do tańca.

— Zaczynajże, kiedyś się pochwalił, rzekł Kyzyl-Beg, ale szykownie, lekko, żebyś mi wstydu nie narobił. Na jednej nodze!

Syn Abdullę podniósł ręce do góry, jedną nogę wyciągnął prawie horyzontalnie, a na drugiej podrygując zwolna, zaczął się kręcić koło siebie.

— Wyzéj noga, wyzéj noga! wołał Kyzyl-Beg. Tancerz usiłował być posłusznym, ale w miarę jak podnosił

(*) *Czeng*, ztąd i tancerka *czengi*.

nogę, głowa i reszta budowy podawała się w tył; byłby niebawem stracił równowagę i upadł, czego właśnie chciało się Kyzył-Begowi, wtém z nadworu wbiegł pędem kuli jakiś małecki chłopaczek, wdrapał się z niewypowiedzianą szybkością na Mahmudka i usiadł mu na czapce.

— *Ne-Dyr?* (co to jest), krzyknął Mahmudek stając żwawo na obie nogi.

* * *

Motłoch i plebeje stepowi bawili się na dworze. Nie zbywało tam także na niczém; były i tace obficie zastawione chociaż z mniejszym wykwintem, były i widowiska zajmujące. Tancerz męskiego rodzaju, związał się do upadłego, inny figlarz wykonywał różne powietrzne susy, trzymając w obu rękach kinzały, których końce przykładał sobie do oczu, do serca, w uszy wtykał, tak, że najmniejsze uchybienie śmiercią groziło. Barany i koguty staczały nieustanne walki. Ci, których to nie bawiło, przewracali sobie koziołki, przeskakiwali w pędzie jeden przez drugiego, albo grali w kości. Słowem, duch biesiady swobodniej i lepiej rozwijał się na czystém powietrzu, między gminem, niż między panami, ścieśnionymi obrębem szalasu. Wśród powszechnego gwaru nikt nie postrzegł, jak derwisz Mustafa zbliżył się na swoim nieodłącznym osle.

Derwisz miał z sobą jakiegoś małego koleżkę, tulił go mocno do siebie i okrywał burką, jak gdyby z bojaźni żeby mu się nie wymknął. Kiedy zląził z osła, koleżka wydobył się z jego objęć i odbiegł. Byłto chłopczyk w muzułmańskim ubiorze, jak najzgrabniej przystosowanym do jego wzrostu: małecka czucha z wylotami, przepasana kusaczkiem złotolitym, wdzięcznie obciskała fi-

gure, głowę zdobił barani papaszek, sine wzorzyste pantofelki, przymocowane do nóg rzemykami, wyglądały spod pąsowych szarawarek. Na twarzy miał maskę.

— Rustem, Rustem! wołał derwisz, sam tu mały psotniku, zaczekaj! A, damże ja tobie!

Ale Rustem nie zważał na jego wołania. Derwisz chciał łapać zbiega, wtém usłyszał dwa wystrzały z za bliższej góry. Zatrzymał się nie wiedząc co ma począć, czy iść za hasłem, czy Rustema dopędzać; powtórzony dwa wystrzały skłoniły go tamtędy. Wskoczył szybko na osła i pojechał kłusem, zostawiwszy za sobą okrzyki ciekawości, zadziwienia i przestachu.

Rustem nie zaniedbał korzystać z chwilowej swobody. Zaczął się wywijać po różnych kątach taboru, tu naczynie z mlekiem wywrócił, tam potłukł miseczki z szербetem, ówdzie zagrzązł nogami w płowie i zaraz wyskoczył, i ani chwili nie zatrzymywał się nigdzie, dopóki przez drzwi szalasu nie spostrzegł tańczącego Mahmudka.

* * *

— *Ne-Dyr?* wołał wciąż syn Abdully, a wszyscy obecni toż samo powtarzali. Jął ze strachu miotać się, kręcić, skakać, wybiegł za drzwi i upadł. Nieprzyjaciel musiał opuścić swoje stanowisko.

— *Ne-Dyr,* powiedział znowu Mahmudek podnosząc głowę ostrożnie.

Niedaleko stało naczynie z płowem, Rustem nabrał dwie pełne garści i rzucił mu w twarz.

— *Ne-Dyr?* powtórzył jeszcze raz Mahmudek spluwając i ocierając sobie oczy.

Molla wystąpił z tłumu, i zagaik:

— Allah wie, co to jest. Jeden tylko jest Allah żywy i wieczny. Nie skryje się przed nim czarna mrówka

na czarnym kamieniu wśród czarnej nocy. On początkiem i końcem.

Tymczasem swawolnik Rustem wdrapawszy się z lekkością wiewiórki na wierzch namiotu, zdarł maskę z twarzy, i spojrział tryumfalnie na dół.

— To małpa! krzyknął jeden z gości.

— Małpa? tak małpa, potwierdzili inni; ja to zgadłem zaraz, i ja także, i ja także, któż tego nie wiedział że to małpa.

— Albożem nie powiedział zaraz że to małpa, rzekł Mahmudek. Prawda Kyzyl-Begu?

— Sameś małpa nieboże. Pozwolić na to, żeby ci siadła na papachu i tłukła po pysku podkówkami swoich pantofli!

— Kto pozwolił, ja? Nie, jako żywo, bez pozwolenia tłukła. Ale dam jój; przynieście mi tam karabin!... Ha, córko pogańska!

— Dajno pokój, ty i trzeźwy nie umiesz strzelać, a teraz to i do tej góry spudłujesz. Ot, lepiej łyknijmy sobie!

— Zgoda.

Kobięty widziały całą tę awanturę przez szpary swojego szałas, i śmiały się wszystkie do łez. Nizza chciała zobaczyć zblizka psotnicę, co tak ślicznie zabawiła publiczność kosztem jój małżonka; na jój rozkaz, rzucili się nukiery z kijami i stryczkami, a po długich obrotach, już mieli schwytać, kiedy nadjechał derwisz. Małpa znalazła ratunek w jego objęciach, z których potem poszła do kobięcego namiotu.

— Ta małpa, powiedział derwisz pozdrowiwszy begów, ma sama jedna więcej rozumu, niż wszyscy astro-

logowie i mędry Szyrwanu. Nikt takich dziwnych sztuk nie umiał od czasów wielkiego czarnoksiężnika Sulejmana syna Dandowego.

— No, no, zobaczymy co ona umie?

— Właśnie w tym celu ją przywiozłem, żeby uprzyjemnić kiejf zgromadzonych w tém miejscu wysoko znanych begów i mirzów, a osobliwie wasz, Bała-Begu.

— To pokazujże sztuki.

— Nic jeszcze dziś nie jadłem, Ago!

Zastawiono mu półmiski na dworze; derwisz usiadł i jął zajadać, ale tak powolnie, z takimi przestankami, jak gdyby nigdy skończyć nie myślał, i co moment oglądał się w tę stronę, dokąd jeździł na hasło wystrzałów. Tam były zarosłe gęste choć nie wysokie, począwszy od niewielkiego jaru o parę set kroków od koczowiska, ciągnęły się nieprzerwanie pod same góry, i ginęły z oczu okrążywszy jedną nagłym zawrotem.

— Słuchaj Mustafa, co ty zamýślasz? spytał po cichu Ali-Aga. Ze mną żartować nie można.

Derwisz szepnął mu coś do ucha.

— Tu, na tém miejscu, Rustem nie może się popisować, rzekł do przechadzających się begów. Jemu trzeba miękkiej ziemi, murawy, ten żwir poraniłby mu nogi.

— To pójdziemy pod krzaki.

— I ja tak myślałem. Każe się zebrać, Bała-Begu, gościom i czeladzi, a ja tymczasem małą odbiorę.

Idąc po małą, zbaczał to w prawo to w lewo, i jednych podniecaniem ciekawości, drugich zmyślonym rozkazem Bała-Bega, nęcił na widowisko. Do służącej Nizy, która mu na spotkanie wyprowadziła małą na sznureczku, rzekł po cichu:

— Powiedz swojej pani, że ja mój Rustem najlepiej zabawi, niechże go z oka nie spuszcza.

Lud wysypał się rojem ze wszystkich kątów taboru. Derwisz z małpą szedł na czele. O pół wystrzału od lasku, zatrzymał się.

— Rustem, ukłoń się begom. Dobrze; teraz zosobna Bała-Begowi. Tak. Kyzyl-Begowi. A, Kazył-Bega nie widzę?

— Kiedy on nie chciał, chory, coś mu niedobrze... jedném słowem, leży jak trup.... wyjąkał zafrasowany Bała-Beg.

— A, to co innego. Ali sultanowi — tak; Mirza-Jusufowi — tak; Mahmud-Begowi — wybornie. Drugiemu Mahmud-Begowi.

Pierwsze rozkazy wyuczony Rustem ściśle wykonał, ale kiedy go obrócili do Mahmudka, zamiast ukłonu zrobił mu szkaradny grymas.

— Ha córko Ormianina! krzyknął syn Abdudy zniecierpliwiony do reszty, zabiję, na miejscu położę! i dobył kinżała.

— Daj pokój, przecie to małpa, nie człowiek, perswadował chwytając go za rękę Bała-Beg.

— Co mi do tego że małpa! Plunę ja w brodę téj małpie, matkę jój znieważę, skalam mogiłę jój pradziada i wszystkich przodków aż do dziesiątego pokolenia!...

— Zaczekaj, przynajmniej niech nas zabawi, potem się zemścisz.

— No, to czekam.

Zawzięta nieprzyjaciołka Mahmudka drugi raz ocalała od śmierci. Derwisz dał jój w rękę swoje żelazną pałeczkę i przywiązał do pieńka, a widzów rozsadził tak, że krzaki mieli za plecami.

— Patrzcież z uwagą. Jeżeli choć jeden z was odwróci się, siła moich czarów przepadnie.

Zebrał kilkanaście kinżałów, powtykał je w ziemię naokoło małpy, wydobyl z kieszeni i rozłożył jakieś narzędzia niewiadomego nikomu użytku, potem jął krzesać ogień kręcąc się i odmawiając tajemnicze wyrazy. Małpa patrzyła na wszystko okiem zupełnie obojętném; trafniejszy postrzegacz zrozumiałby zaraz z jój miny, że nie ona będzie w tych figlach działającą osobą, ale obecni, znając derwisza Mustafę jako arcysztukmistrza i człowieka jedyne go do conceptów, nie podejrzewali zdrady. Derwisz w ciągu swojej roboty bez ustanku rzucał okiem na krzaki.

XIX.

Nieproszeni goście.

Krzaki zaszeleściały, i pomiędzy rozsuwających się gałęzi wystąpił człowiek we zbroi. Słaby okrzyk *aj badi!* dał się słyszeć w kobiecym namiocie.

— Pokój z wami, powiedział człowiek we zbroi do zgromadzonych. Jak się masz Bała-Begu, poznajesz mię? przyszedłem odnowić z tobą znajomość, rozpoczętą przed kilku tygodniami. Jak się masz Mahmud-Begu! kto ci pozwolił wyłazić z worka? A? odbierzesz karę.

Bała-Beg znajdował się w położeniu człowieka uderzonego w ciemię; kilka minut przeszło nim się zebrał z myślami. Ci z jego chłopów, co poznali Haruna, także nieprędko przyszli do siebie. Rozbójnik tymczasem wlepił oczy w kobiecy namiot.

Tu i owdzie dobyto kinżały, ale każdy patrzył na sąsiada, i trącał go w łokieć; rozpocząć nie było komu.

— Precz kinzały, powiedział stanowczo Kanly-Harun, straszcie niemi barany swoje! Ja mam więcej kinzałów, mógłbym was na *kabab* posiekać, dzięki głupiej ciekawości, co was na to miejsce przywiodła. Spójrzycie za siebie, a co, straszno? Słuchajcież, kto pierwszy zrobi poruszenie do odporu albo do ucieczki, sto kul go osadzi.

Lasek był w niezwykłej dekoracyi; mnóstwo czapek wystawało z pomiędzy gałęzi, tu i owdzie widać było długie szyje gwintówek! Szyrwańczycy słynęli niegdyś z odwagi, ale niestety, trudno potokowi wrócić do źródła, trudno dzisiejszym ludziom odzyskać cnoty staroświeckie!.... Każda czapka podwoiła się w ich oczach, w każdej gwintówce widzieli dziesięć.

— Hej nukiery! krzyknął rozbójnik, pięciu z was na przód, wziąć na cel i strzelać za pierwszym znakiem. Inni niech na miejscach czekają.

Pięć czapek podniosło się z zarośli, pięciu drabów wystąpiło na czyste miejsce. Stanęli i wymierzili do skamieniałej tłuszczy.

Ali-Aga nie mógł pojąć jakim sposobem Harun zebrał tyle bandy. Zbliżył się jednak do niego i rzekł po cichu:

— Kończ prędzój, bracie. Każ dać ognia, niechby kilku legło, to reszta pójdzie w rozsypkę, a tabor pusty przy nas zostanie. Kończ.

— A, Ali-Aga! byłbym zapomniał o tobie. Z tobą ja skończę najpierw. Mów, jakiej chcesz śmierci?

Potomek Szachów cofnął się zdziwiony.

— Mów, jakiej chcesz śmierci, bo jedną śmiercią zginiesz, choć jednej mało dla ciebie! Tyś wart tysiąca! wartes po jednemu tracić krew, ciało, duszę; umierać

i nie umrzeć, tarzać się po ziemi, w mękach skonania rok, dwa, bez końca!..

Ali-Aga milczał. Harun dobył pistoletu, wymierzył, spuścił rękę. Znowu wymierzył i znowu spuścił. Bratobójstwo nie mogło się pogodzić z nadzieją posiadania Nizy.

— Żyj sobie, rzekł po krótkim milczeniu, jeżeli ci, od których będziesz odtąd zależał, pozwolą na to. Słuchajcie, to mój rodzony brat!..

— Milcz! krzyknął Ali rzucając się na niego z kinżalem.

Jeden z rozbójników wystrzelił, Ali raniony w nogę, przysiadł.

— To mój rodzony brat, powtórzył Harun, nazywa się Ali-Aga a nie Mahmud-Beg. Jedne piersi wykarmiły dwa grzechy wcielone. Dwa grzechy prowadziły wojnę z ludźmi i między sobą. Ten, co pierwój zaczął, powinien pierwój skończyć. Bała-Begu i wy wszyscy możecie zaświadczyć w dywanie, że co tylko miał Ali-Aga, dom, majątek, nawet żona, należy do tego błazna..

— *Saoł, aga, saoł*, (dziękuję) powiedział Mahmudek kłaniając się aż do ziemi.

Ali przyczołgał się do Haruna, chciał ugodzić kinżalem, ale nie miał siły. Harun odepchnął go nogą. Potém znowu podniósł głos:

— Tymczasem żebyście mi tu nie przeszkadzali, wiążcie jeden drugiego. No, zwawo do roboty. Słyszysz Mahmud-Begu? Zdejm kuszak i wiąż sąsiada. A, ociągacie się? strzelać do nich.... albo nie: zaczęli.

Rzeczywiście zaczęto wykonywać rozkaz; strach ma wielkie oczy. Ale nikt się tak gorliwie nie krzątał, jak Mahmudek. Rzucił się na pierwszego Bała-Bega, i jął

krępować ze wszystkich sił swoich, pomagając sobie nogami i kolanami.

— *Aj kepe-ogły* (psi synu) mówił, jaż się tu zwiążę! Oto tak, i tak; a co boli? to nic; jeszcze tak... No, teraz się nie ruszysz bawole mięso.

Bała-Beg sapał i stękał jak żydowski koń.

Po nim Mahmudek wziął się do Ali-Agi, który od silnego upływu krwi omdlał i nie robił oporu.

Za kilka minut wszyscy leżeli skrępowani oprócz Mahmudka, derwisza i małpy. Derwisz przyległ do ziemi i zataił się; syn Abdudy w zapale gorliwości swojej natarł na małpę, chcąc i nad nią wykonać wyrok. Małpa dała mu policzek.

— Ten się wzbrania, zawołał, strzelajcie.

Harun skinął na swoich żeby mu podali konia, zostawionego w krzakach, oddał go Mahmudkowi i kazał zaprowadzić przed kobiecy namiot. Ludziom swoim zalecił pilnować jeńców, i jeżeli się nie będą buntowali, żadnego gwałtu nie robić.

Grobowa cisza panowała między kobietami. Tuliły się jedna do drugiej i drżały jak rószczki jaśminu. Ale kiedy rozbójnik stanął między niemi, zapewne nie wydał się takim strasznym. Jego blada twarz, oczy mdłe i wilgotne, świadki niedawniej choroby, niedospanej nocy, a może i wzruszenia, nic odpychającego w sobie nie miały. Za pierwszym rzutem oka, bez trudności poznał najpiękniejszą kryjącą się w kącie szałasu na łonie matki. Zbliżył się powoli, spojrzał nieśmiało jak winowajca, i powiedział niepewnym, drżącym, ledwie dosłyszonym głosem: — jedźmy.

Nizza podała rękę.

Wsiadł na konia. Usłużny Mahmudek podniósł i oddał mu drogą zdobycz. Fatyma wybiegła z namiotu, krzyknęła raz tylko i padła zemdlona.

Koń uderzył z kopyta, poleciełi jak wicher.

Wyjechali z gór. Miesiąc wyrzwał i rozwidnił obszary stepu. Głucho! na całym stepie dwa duchy ulatujące w szczęśliwsze kraje!...

Nizza płakała w kochanych objęciach. A co się z Harunem działo? Niepojęte rzeczy! Gdzie to pragnienie palące? gdzie ten ogień którym płonął cały kiedy był daleko od Nizzy, kiedy marzył tylko o niej? Śladu nie zostało! Harun był szczęśliwy, niewypowiedzianie szczęśliwy; cały raj Mohammeda tulił do piersi, i jakiś smutek ścisnął jego piersi. I on także gotów był zapłakać! Wstrzymał konia.

— Wrócimy jeżeli ci żal.

Zamiast odpowiedzi, Nizza obie ręce zarzuciła mu na szyję.

* * *

Pięciu rabusiów wpadło do koczowiska, jak tylko Harun zniknął im z oczu. Zabrali co znaleźli droższego i lepszego; Mahmudka, który jeden tylko chodził wolno, skrępowali także, objuczyli kilka koni swoją łupieżą, i odjeżdżając powiedzieli głośno do przytających w zarośli:

— Pilnujcież ich dobrze, a który się ruszy albo piśnie, strzelajcie bez miłosierdzia.

Na drodze żyd Hassan-biały zrobił uwagę:

— Nie ma co mówić, zuch nad zuchami ten nasz Harun. Nieprędko Szyrwan będzie miał drugiego takiego *Deri-Basza*.

* * *

Pierwój jeszcze, nim derwisz wyprowadził publiczność na miejsce widowiska, Kyzyl-Beg, który częściej od in-

nych zaglądał do głębszej miseczki, spity bez pamięci położył się na ustroniu i chrapnął jak w dobre czasy. Szczęście zdarzyło, że rabusie nie znaleźli go brodząc po taborze. Takim sposobem on jeden ocalał od zelżywych więzów, będzie mógł tryumfować i drwić sobie z innych. Ktoby się był spodziewał, że zakazany szербet, takie zba-wienne skutki poprowadzi za sobą!

Przebudziwszy się około północy, uczuł ból głowy, pragnienie i niesmak. Był on w podobnych zdarzeniach zwolennikiem Hannemana, lubił klin klinem wybijać. Krzyknął na nukierów, żeby mu podali madery. Odpowiedzi nie było. Wstał, spojrział do kilku namiotów i nigdzie nikogo nie znalazł. Zdziwiony, zaczął krążyć naokoło taboru, i nakoniec znalazł i swoich gości leżących pod laskiem.

— Osobliwszy nocleg obrali sobie, rzekł. Aj! wstawajcie! Popiliście się czy co?

— Pssst! odezwał się Mahmudek.

— A! ty nie śpisz? Powiedźże gdzie są nukierzy, mam do nich interes. Ale co widzę! kto ciebie związał? Inni powiązani, i ty, i ty, wszyscy powiedźcie co to jest? Mów Bała-Begu.

— Pssst! odpowiedział Bała-Beg.

— Nie rozumiem, głowa mi się kręci. Nie musiałem się jeszcze wytrzeźwić. Zmiłujcie się, powiedźcie co się z wami stało, ale głosem, nie psykaniem.

Wszyscy milczeli. Zaczął jednego targać za brodę.

— Ty mi powiesz, albo ci brodę oderwę. Kto was powiązał?

Zagabnięty skinął ostrożnie palcem ku zarośłom. Kyzyl-Beg zrobił kilkanaście kroków we wskazanym kierunku; rozpatrzywszy się wrócił i zawołał:

I tego nie rozumiem. Kto tam tyle czapek pozawieszał na gałęziach, i na co? Widoczna rzecz, że muszę być jeszcze pijany. Trzebaż się znowu położyć.

* * *

Przed świtem, dał się słyszeć huk wystrzałów, daleko gdzieś za górami. O wschodzie słońca nadszedł niewielki poczet jezdnych, poprzedzony od oficera milicji. Za oficerem, pięciu nukierów wiozło trofea ze świeżej potyczki: pięć krwawych głów. Byłyto głowy współników Kanly-Haruna. Rzeczy zabrane przez nich wróciły do taboru.

Jeńcy natychmiast odzyskali wolność, oprócz Ali-Agi, z którego w ciągu nocy krew i dusza wyciekła. Mahmuddek stanął nad trupem i długo, długo przypatrywał mu się; nakoniec wymówił głosem poważnym i pociągłym:

— *Alla aszekiur!*

XX.

Przejeżdżając przez Szyrwan na wiosnę 184...roku, byłem u Mahmudka w jego wiosce Kiczik-Kend, którą niedawno kupił. Zastałem i Kyzyl-Bega. Siedzieli przy kominie i ciągnęli grzane winko.

— Aa, *W..aga!* zawołał podnosząc się gospodarz; jakżeśmy się dawno nie widzieli! jeszcze nie byłeś u mnie na wsi; siadaj, dajcie poduszek, ot tu, koło komina. Podać herbaty, pamiętać o koniu. No, jakże ci idzie kiejś?

— Wybornie.

— Wiész co, smutno na wsi. Co za życie bez bazaru! To jeszcze moje szczęście, że Kyzyl-Beg u mnie przesiaduje, bez niego i bez téj zielonój Huri (t. j. butelki) oszalałbym.

— Musisz żałować żeś sprzedał dom w mieście?

— Ej nie, tego nie żałuję. Ten przeklęty dom dał mi się dobrze we znaki! Niechno się ożenię, to i tu weselej będzie. Ale, ale, czy wiesz co się stało z Maleką?

— Nic nie wiem.

— Przysłała do tancerek, to jest wróciła do dawnego stanu; bo jak się teraz pokazuje, przed wyjściem ni byto za mnie, była tancerką!

— A Nizza?

— Moja synowica? odezwał się Kyzyl-Beg, mieszka przy ojcu z mężem.

— Z mężem? Ej Kyzyl-Begu, tyś zawsze lubił żartować z przyjaciół.

— Bynajmniej! krwawy Harun pasie teraz stada Bała-Bega, a Nizza doi krowy Fatymy-Chanym.

— Coż na to policya?

— Nic a nic. Wkrótce po twoim wyjeździe, ogłoszono nam rozkaz Sardara (wielkorządcy), że każdy rozbójnik i włóczęga, który w ciągu miesiąca powróci i zamelduje się zwiérzchności, otrzyma przebaczenie. Do Haruna to się niezupełnie stosowało, bo na nim ciążyło za wiele grzechów, ale wzięto na uwagę lata Bała-Bega, moje zasługi jakie takie, a przytém porękę naszą i kilku jeszcze begów; krótko mówiąc, Harun powrócił, ustatkował się i siedzi cichutko jak kania z podstrzeloném skrzydłem.

— Zobaczmy jak to długo potrwa, mruknął z widoczną niechęcią Mahmudek. Mam ja nadzieję, że temu waszemu Harunowi prędzej czy później nos i uszy obetną; *enszallah*, jeżeli się to Bogu podoba.

— Widzę, rzekłem, żeś mu jeszcze nie przebaczył swojej urazy, Mahmud-Begu. Prawda że ci niemałego figla wyplatał; drugiej Nizzy nie znajdziesz.

— Hm, właśnie że nie znajdę, przynajmniej tu w Szyrwanie nie znajdę. Ale jeżeli gdzieindziej poszukam, na przykład u was w Warszawie?

— O, to co innego. Alboż się zbierasz do Warszawy?

— Na parę lat. Zapisalem się do konno-muzułmańskiego pułku i wkrótce wyjadę. Słyszałem już od wielu, że wasze *panny* ładne jak słońca, szkoda tylko że nie można kilku żon pojąć, po naszymu. Kyzyl-Beg utrzymuje, że Polki i jednej za wiele.

— To trochę za ostro — a jednak sprzeczać się nie będę.

— Wiészże co, bracie, napisz do nich list. Napisz, że oto tak i tak, Mahmud-Beg, syn Abdullę-Bega, słuszny człowiek, ma Kierik-Kend i dobry wór gotówki.....

— Więcej zrobię, całą książkę napiszę.

* * *

Ostatniej jesieni wracając z gór dagestańskich, byłem znowu w Szyrwanie, ale Mahmudka jużem nie zastał. Powiedziano mi, że już od kilku tygodni jest w Warszawie. Wyjeżdżając, zalecił jednemu ze wspólnych naszych znajomych przypomnieć mi o książce.

Obietnica spełniona; dzieje Mahmud-Bega, skrócone sumienném i bezstronném, chociaż przyjacielskiém piórem, wychodzą na widok świata. Nie pozostaje mi nic, jak polecić go względem waszym, moje piękne rodaczki! Niech was bynajmniej nie zraża te kilka przywar, których tu przemilczéć nie mogłem; syn Abdullę ma i dobrą stronę: znajdziecie w nim dwa przymioty które podobno najdrożej cenicie w małżonku: niezazdrosny i bez trudności daje się za nos wodzić.

Z niecierpliwością wyglądam listów od niego. Boję się żeby go tam znowu nie spotkało jakie nieszczęście. Jest on widocznie pod wpływem szalonej gwiazdy, a wiadomo, że nikt nie uciecze od swego przeznaczenia. Alboż nie napisano:

Człowiek nosi los swój na karku swoim? ()*

(*) Alkoran, rozdz. *Ezdra*.



Wspomnienie
O JERZYM BOGUMILE PUSZU
I PRACACH JEGO NAUKOWYCH.

Mąż, którego powołaniem stało się zbadanie kraju w przedwiecznych jego kształtach, i który śledził martwą przyrodę jego we wszelkich kierunkach i odcieniach, a nawet właściwą ziemi téj roślinność i żyjące na niej istoty; nabył bez wątpienia przez zasługi swoje niezaprzeczonego prawa obywatelstwa, a pamięci jego, kilka słów poświęcić się godzi.

Jerzy Bogumił Pusz, urodzony 15 grudnia 1791 r. we wsi Kohren w Miśni, kraju niegdyś słowiańskim, z kąd téż w końcu Koreńskiego przybrał przydomek, umarł w Warszawie w d. 2 października 1846, nabywszy przez ciąg pracowitego żywota swego w uczonym świecie sławy, jako znakomitego rzędu geolog i badacz natury; mianowicie zaś przez opisy ziemioznawcze kraju polskiego i liczne dostrzeżenia nad klimatem, aerologią i własnościami roślin i zwierząt tutejszo-krajowych.

Zaledwie w r. 1806 młody Pusz skończył nauki gimnazyalne w ojczystej swojej Saxonii, gdzie górnictwo, jedną z najważniejszych gałęzi przemysłu i bogactwa na-

rodowego stanowi, wszedł do tamecznej akademii frejbergskiej, słynnej wówczas wykładem nauk twórcy geologii Wenera, uczonego Herdera, oryktognosty Frejleslebena i chemika Lampadiusa, oraz prawnika górniczego Koehlera, którym przypisać należy świetny ówczesny stan téjże szkoły górniczej.

Jako uczeń, odznaczał się nietylko pilnością w naukach, ale nadto rozwijający się umysł i nadzwyczajne zamiłowanie w wyjaśnianiu głębszych pomysłów, uczyniły go wkrótce pierwszym ulubieńcem Wenera, który odznaczając go między innymi współuczniami, do śmierci niezmienną zachowywał dla niego życzliwość i względy.

Professor Lampadius wybrał także Pusza z pomiędzy innych, powierzwszy mu, oraz drowi filoz. Chryst. Berchtowi, ułożenie przez nich w roku 1809 na 1810 wykładu chemii doświadczalnej, który téż pod ich imieniem został wydany.

Po ukończeniu akademii górniczej w r. 1810, udał się Pusz na uniwersytet do Lipska, gdzie zapisany w poczet uczniów wydziału prawa i górnictwa, słuchał nauk pod Wielandem, Wenckem, Hauboldem, Junghausenem i t. p.

Zaledwie ukończył te nauki, powstała dla Germanii owa chwila, w której z przewidywanym upadkiem Napoleona, Niemcy nową przyszłość sobie obiecywali. Młodzież uniwersytecka szła pod sztandary nowoformowanych wojsk różnych królów i książąt. Wtedyto Pusz zaciągnął się do kompanii saperów saskich, i odbył kampanią przeciw Francji.

Za przywróceniem atoli pokoju w roku 1815, opuściwszy szeregi wojskowe, wrócił do zawodu górniczego,

a przeznaczony do kopalń i hut w kraju sasko-turyngskim, niedługo potem do Prus odpadłym, dał dowody swęj praktycznej znajomości górnictwa i hutnictwa.

Gdy w r. 1816 w Kielcach założoną została szkoła górnicza przy Dyrekcyi Głównej Górniczej, na wezwanie rządu Królestwa, z wyboru akademii górniczej frejbergskiej i naczelnictwa górnictwa saskiego, zalecony na profesora chemii i hutnictwa, powołany został Pusz do szkoły kieleckiej z tytułem profesora i asesora Głównej Dyrekcyi Górniczej.

W instytucie tym wykładał Pusz nietylko chemią i hutnictwo, ale też w następnych latach kopalnictwo i geologią.

Akademia górnicza w Kielcach zwinięta w roku 1826, a wraz z Główną Dyrekcyą Górniczą przeszedł Pusz jako asesor wydziału do Warszawy, gdzie zastępując czasowo, to naczelnika oddziału kopalń, to naczelnika oddziału hut, nareszcie w roku 1832 mianowany został radcą górnicznym, naczelnikiem oddziału hut; potem w początku r. 1834 przeniesiony na posadę intendenta mennicy warszawskiej, a w roku zaś 1842 powierzono mu naczelnictwo sekcji technicznej w wydziale górnicznym przy Komissyi Rządowej Skarbu.

Pomijając w zupełności prace jego w urzędowym zawodzie, które mu względy rządu i czdobę orderową zjednały, zwróćmy się do właściwych mu zatrudnień czysto naukowych.

Kraj polski, według dawniejszego stanu nauki geologii, zaledwie powierzchownie tylko opisany, niedość szczegółowo, a tém mniej krytycznie poznany, dłużej anizeli reszta Europy oczekiwał badacza, któryby go ziemioznawczo rozpoznał i określił. Prace Staszica, po

mniej dokładnych opisach Guettard'a, Karozego, Fichtla i innych, w swym czasie tak słynne, a przedewszystkiem dzieło pierwszego „O Ziemiorodztwie Karpatów i równin polskich”, przy postępie nauki geologii i potrzebie dokładniejszej pracy, stawały się coraz niedostateczniejszemi.

Uczeń ulubiony Wenera, na polskiej ziemi poszedł za popędem swego zamiłowania ku badawczej nauce ziemi, aby brak ten zapłacić.

W krainie po obu stronach Wisły rozciągającej się, i dalej za kierunkiem Karpat zapędzając się aż do ich kończyn, Pusz w kilkunastu kilkumiesięcznych podróżach i w wielu krótszych wycieczkach, badał naturę i własności pokładów pokrywających królestwo polskie i kraje z niem graniczące, które z górutworami Królestwa nieprzerwany zachowują związek, następstwo lub odpowiedniość.

Licznym tym jego wędrówkom po kraju, jużto po większej części umyślnie przedsiębranym, już też przy spełnianiu urzędowych zleceń dokonanym, winniśmy jako owoc niezmordowanej pracy i wytrwałości Pusza, dzieła, jedne wydrukowane, inne w rękopiśmie dotąd pozostałe.

Prace te jego wychodząc na widok publiczny, zjednywały mu coraz ogólniejszą wziętość i poważanie pomiędzy uczonemi Europejskiemi.

Prócz zjazdów na narady zgromadzeń badaczy natury, na które wzywany kilkakrotnie przybywając, chlubnie dał się poznać, liczne towarzystwa uczone zapraszały go do grona swego, a mianowicie:

W r. 1818 towarzystwo mineralogiczne w Dreźnie;
w r. 1819 towarzystwo farmaceutyczne w Petersburgu;

w r. 1820 towarzystwo nauk przyrodzonych w Bonie; w r. 1823 tow. szląskie postępu krajowego w Wrocławiu; w r. 1824 tow. badaczy natury w Altenburgu; w r. 1829 tow. cesarskie ciekawości natury w Moskwie; w r. 1830 tow. geologiczne Francji w Paryżu i tow. przyjaciół nauk w Warszawie. Później jeszcze kilka innych, a w końcu w r. 1841 towarzystwo geologiczne Londyńskie, stanowiące najwyższy dowód rozprzestrzenionej sławy Pusza w świecie uczonym.

Zakończając krótkie to wspomnienie o Jerzym Bogumile Puszu, które mu winniśmy jako w kraju i nauce zasłużonemu mężowi, przytoczymy spis dzieł jego wydanych w porządku chronologicznym, i ważniejszych po nim pozostałych rękopisów, które są niestartą pamiątką jego głębokiej nauki, rzuconego na poznanie utworów tej ziemi światła, i niezmordowanej, ciągłej pracy ku obszernemu przyrodzonych stosunków krajowych poznaniu i opisaniu.

I. Dzieła drukowane Pusza.

1. *Erläuterende Experimente über die Grundlehre der allgemeinen und Mineral Chemie welche in dem freiberger akademischen Lehrkurse von 1809 auf 1810 durch den Professor Lampadius angestellt wurden, gesammelt und herausgegeben von Dr. Christ. Bercht und G. G. Pusch.* Freiberg bei Cranz und Gerlach. 1810. 8, stronic 592.

2. *Geognostischer Katechismus, oder Anweisung zum praktischen Geognosiren, für angehende Bergleute und Geognosten, von G. G. Pusch.* Freiberg bei Cranz und Gerlach. 1819. 12, str. 212 z 2 tablicami.

3. *Geognostisch bergmännische Reise durch einen Theil der Karpathen, Ober und Nieder Ungarn, angestellt im Jahre 1821, von G. G. Pusch. Leipzig bei Barth. 1824. 8, str. 386 z 10 tablicami.*

4. *Jerzego Bogumiła Puscha krótki rys geognostyczny Polski i Karpat północnych, czyli opisanie zewnętrznego ukształcenia i wewnętrznego składu ziemi tego kraju, z rękopismu niemieckiego przez A. M. Kitajewskiego. (Rzecz wyjęta z Sławianina tomu I i II). Warszawa, nakładem tłumacza. 1830, 8, str. 104, z 3 tablicami przecięć kraju.*

5. *Geognostische Beschreibung von Polen und der übrigen Nordkarpathen Laender, von Georg Gottlieb Pusch, w dwóch tomach. Tom I, Stuttgart bei Cotta 1831. 8, str. 338. Tom II tamże. 1836, str. 695.*

Do tego atlas in folio max., z mapą geognostyczną opisanych krajów w czterech sekcyach i czterema mapkami szczegółowemi gór sandomirskich, olkuskich, Krzeszowie i doliny Nidy, oraz dwiema tablicami różnych przecięć geognostycznych.

6. *Polens Palaeontologie oder Abbildung und Beschreibung der vorzüglichsten und der noch unbeschriebenen Petrefakten aus den Gebirgsformationen in Polen, Volhynien und den Karpathen, nebst einigen allgemeinen Beiträgen zur Petrefaktenkunde, und einen Versuch zur Vollstaendigung der Geschichte des Europaeischen Aurochs, von G. G. Pusch. Stuttgart bei Schweizerbart's. 1837, 4, str. 218, z 16 tablicami rycin skamieniałości.*

II. Artykuły głównejsze w pismach czasowych przez Pusza zamieszczone.

1. *Ueber die neuesten Aenderungen in Werners Mineralsystem* (w Leonhard's Taschenbuch für Mineralogie z r. 1816, na str. 272 sq.).

2. *Bemerkungen über das Mineralsystem von Berzelius* (tamże z r. 1818 str. 3. sq.).

3. *Ueber Schulzes Beitraege zur Kenntniss des Oberschlesischen Gebirges* (tamże z r. 1818 na str. 291 sq.).

4. Opis 16 nowych lub mało znanych minerałów, po większej części w Polsce znalezionych (tamże w zeszytach z r. 1821).

5. *Ueber die geognostische Konstitution der Karpathen und der Nordkarpathenlaender. Eine geognostische Skizze* (w Karsten's Archiv für Mineralogie, Geognosie, Bergbau und Hüttenkunde. Tom I z r. 1829, str. 29); rozprawa czytana w Berlinie, na posiedzeniu badaczy natury i lekarzy niemieckich, dnia 18 września 1828.

6. W Pamiętniku górnictwa i hutnictwa, którego pierwszy poszyt wyszedł w Warszawie w r. 1830: *Historycznie statystyczny obraz stanu i produkcyi górnictwa i hutnictwa polskiego, obejmujący opis kopali węgla kamiennych, galmanu i hut cynkowych*, stronnic 76.

7. *Ueber die geognostischen Verhaeltnisse von Polen, nach neuen Beobachtungen und Aufschlüssen* (w Karsten's Archiv für Mineralogie, Geognosie, Bergbau und Hüttenkunde z r. 1838. Tom XII str. 154).

8. *Neue Beitraege zur Erlaeuterung und endlichen Erledigung der Streitfrage über Tur und Żubr (Urus und Bison)*; w Wiegman's Archiv für Naturgeschichte. 1840. 8, stronnic 137. Obszerna, ciekawa i ważna rozprawa.

9. *Uebersicht der auf Bergbau Hütten und Salzwerkskunde bezüglichen Abhandlungen und Aufsätze, welche sich in verschiedenen periodischen Schriften zerstreut befinden, von 1740 bis 1830.* Skorowidz ten nader dokładny i użyteczny, znajduje się w Karsten's Archiv für Mineralogie, Geogn. Bergbau u. Hüttenkunde z roku 1841. Tom XV, str. 228.

10. *O temperaturze źródeł okolicy Warszawy* (w Bibliotece Warszawskiej z r. 1844. Tom III, str. 1).

11. *Uwagi nad rozprawą o temperaturze źródeł Tatrów* (w Bibl. Warsz. z r. 1844. Tom IV, str. 389).

12. *Wiadomość o nowo odkrytych ogromnych pokładach soli kamiennój pod Stebnikiem w Galicyi wschodniej* (w Bibl. Warsz. z r. 1844. Tom IV, str. 205), i toż samo po niemiecku w Leonhard und Bronn: Neue Jahrbücher für Mineralogie z r. 1845, str. 286.

13. *O pomiarach wysokości miejsc przez uważanie spółczesnych stanów barometru* (w Bibl. Warsz. z roku 1845. Tom II, strona 637).

14. *Jeszcze kilka uwag o temperaturze źródeł i powietrza w Krakowie* (w Bibl. Warsz. z r. 1845. Tom II, str. 647), i wiele innych pomniejszych artykułów.

III. Dzieła do druku przygotowane, znajdujące się w rękopisie.

1. *Wykład geologii* przygotowany w języku niemieckim dla użytku szkoły górniczej, pisany może około roku 1830.

2. *Ueber die Sündfluth und die von ihr abgeleiteten sogenannten Diluvial Gebilde, nach den Sagen der heiligen Mythen der Voelker und den Ergebnissen geologi-*

scher Forschungen. Ein Versuch zur Schlichtung eine alten Streits von G. G. Pusch. Rozprawa ta o potopie dość obszerna, pisana zapewne między rokiem 1832 a 1836.

3. *Systematik und Physiologie der metallführender Lager und Ganggesteine, oder die natürlichen Erzniederlagen* (rozprawa).

4. *Allgemeine Palaeontologie oder vollstaendige Versteinerungskunde.* Dzieło wykładające systematycznie całą paleontologią czyli naukę o wszelkich skamieniałościach właściwych wszelkim górotworom. Nadzwyczaj obszerna praca, wystarczyć mogąca na 4 wielkie tomy, z mnóstwem tablic porównawczych i wykazami wszystkich gatunków zwierząt i roślin zaginionych, oraz tablicami synchronistycznymi, wykazującymi okresy do których należą i które cechują.

5. *Polens Aërometrie*, dzieło dwutomowe, opisujące własności ziemi, gruntów, wód, źródeł, klimat, temperaturę, pory roku, roślinność i jej granice, właściwe zwierzęta temu krajowi, szczególniej dzikie, leśne, polne i w ziemi żyjące, ptastwo i t. d. słowem, wszystko to, co na powierzchni Królestwa Polskiego pod względem historyi naturalnej i fenomenów meteorologicznych spostrzedz się daje. Do dzieła tego należą bardzo liczne tablice oddzielny tom stanowiące, a mianowicie spostrzeżenia meteorologiczne w Polsce, czynione codziennie przez Pusza kilka razy na dzień, od chwili przybycia jego do kraju, aż do śmierci, to jest od r. 1816 do 1846, w Kielcach i w Warszawie przez ciąg lat 30, i inne.

6. *Neue Beitræge zur Geognosie von Polen von Georg Gottlieb Pusch.* Dzieło ostatnie Pusza. Są to uzupełnienia i zmiany odnoszące się do jego opisu geognostycznego Polski, które stanowią oddzielną całość i w ogólności

dzieło wielkiej wagi, obejmujące 7 rozdziałów czyli rozpraw (*Abhandlungen*) o różnych górotworach, a mianowicie: 1, o utworze szląsko-polskim wapienia muszlowego kruszconośnego; 2, o kejprze w górach sandomirskich i Olkuskiém; 3, o utworze węgla kamiennego; 4, o ogniwach jura czyli ikrowcu (oolit) w Krakowskiém aż do Warty, i w Sandomierskiém; 5, o płycie ikrowcowym bałtyckim; 6, o składach soli galicyjskich; 7, porównanie układów geologicznych w Polsce i Rossyi.

Jakże jest do życzenia, aby trzy ostatnie prace jak najprędzej na widok publiczny wyjść mogły! Wątpićby nie należało, iż pozostała po Puszu rodzina, nie omieszka wywiązać się z téj ostatniej przysługi dla pamięci zasłużonego ich ojca, a tyle dla ogółu kraju, użytecznej.



CHARAKTERYSTYKA TAŃCÓW.

PRZEZ

Karola Czerniawskiego.

Spoglądając na rozliczność tańców tak naszych, jako téż innych narodów; wpatrując się w ich charakter tak odmienny, odbijający nieraz całą indywidualność stanu, prowincyi, lub narodu który je u siebie wyrobił i w ciągłym ma użyciu: nasunęła się nam myśl bliższego zgłębienia początku, natury i znaczenia tańców.

Początek tańców ginie w pomroce wieków; w najdawniejszych pismach o nich wspominają (1); sam zresztą wyraz *taniec*, jednobrzmiący we wszystkich niemal językach, świadczy o ich dawności (2).

Zdawałoby się napozór, że pierwsza gwałtowna radość wywołała skoki; co zresztą tak jest przyrodzonym

(1) Pismo święte w kilku miejscach o tańcu wspomina.

Starożytni utrzymywali, że taniec jest wynalazkiem Minerwy, która tańczyła z radości po porażce Tytanów; inni znowu utrzymywali, że ta chwała należy Kastorowi i Polluxowi.

(Dict. Univ. de Trevoux).

(2) Nietylko w europejskich językach ten wyraz jest jednobrzmiący (ob. Dykc. Lindego), ale nawet w najdawniejszych: po arabsku bowiem zwie się *tanca*, po hebrajsku *duc*.

(Dict. Univ. de Trevoux).

człowiekowi, że i dziś zdarza nam się widzieć, nietylko w dzieciach co tańca nie znają, ale i w dorosłych ludziach, podobne wybuchy radości, objawiane w klaskaniu i skokach. Ztąd może i drugi nasz wyraz *plasy*, a w starosłowiańskim *plaska*, bierze początek, i oznacza wesołą zabawę połączoną z plaskaniem czyli klaskaniem, służącym za przyrodzoną muzykę, lub wybijanie taktu w skokach i tańcu. Wpatrzywszy się jednak głębiej w niektóre tańce, bacząc iż one nie są wymysłem pojedynczych ludzi, ale utworem całego stanu, prowincyi lub narodu; ujrzymy, iż one osnuły się na obszerniejszej myśli, i że do nich prócz wesołości wspólnej wszystkim ludom, weszły i inne jeszcze czynniki.

Czynniki te są: 1) *pierwiastek religijny*, 2) *miłość* i 3) *pierwiastek wojenny*; które w miarę tego jak wpłynęły, łącznie lub oddzielnie, pośrednio lub bezpośrednio do tańców, wycisnęły też na nich odpowiednie swój naturze piętna, i stosownie je wyrobiły.

1. *Pierwiastek religijny.*

Okazywanie czci Bóstwu w poruszeniach ciała, jest wrodzonym człowiekowi: padanie na twarz, pokłony, zginanie kolan, wyciąganie i składanie rąk, jest najpięrszym widomym językiem uwielbienia i wdzięczności dla Stwórcy, i dotąd jeszcze towarzyszą modłom człowieka. U wielu też narodów ruchy ciała, skoki i tańce wchodziły do obrzędów religijnych, i były przedmiotem wielu ustaw dawnych prawodawców. Platon uważał muzykę i taniec jako ważną rzecz w ceremoniach religijnych, uroczystościach narodowych i ćwiczeniach wojennych: w swój księdze o Rzplitej przepisuje im grani-

ce, których przekraczać nie powinny, by miały cechę obrzędową i w karbach przyzwoitości się utrzymywały. Egipcyanie, Hebrajczycy mieli tańce religijne; takim był taniec koło złotego cielca dawnych Izraelitów; na cześć bogini Venus u Greków; tańce Druidów u Gallów; u Słowian zaś tańce na cześć *Łady*, bóstwa miłości, zgody i związku małżeńskiego (1), kiedy na *dziewiczych górach* zbierali się gromadnie w tak zwane *Boże stada*, i tańcem *korowod* (może od *koło* i *wódz*, *wodzić* zwanym) biegli ku *horodyszczom*, gdzie składając bóstwu ofiary, śpiewali religijne pienia i w gromadnym tańcu cześć bóstwu oddawali (2); oraz tańce tychże Słowian na cześć *Kupały*, bóstwa zbiorów przy ogniach sobótki (3). Tańce

(1) Ob. Kronikę Strykowskiego, Prawdę Ruską Rakowieckiego, Hist. P. Naruszewicza.

(2) Ślady tych obrządków i tańców, dotąd na Rusi i Litwie się przechowują, gdzie od końca maja do końca czerwca, ojcowie i mężowie na gościńcach lub w karczynie, a żony, córki i młodzież na ulicach i po gajach pobrawszy się za ręce pływają i śpiewają: *Oj Łado, Łado, Dejdis Łado*, albo *Łado, Łado, Łado, Dejdis mussu Dewie!* (wielki nasz bożku Łado)!

(3) Ślad tych tańców pozostał również i zachowuje się dotąd u nas po wsiach, gdzie wieczorem w wilią świętego Jana, około ognia sobótki roznieconego słomą, bylicą i innymi ziołami, za wsią przy drodze zazwyczaj, dziewczęta pobrawszy się za ręce tańczą, śpiewając rozmaite pieśni. (Zobacz niektóre pieśni sobótki w zbiorach pieśni gminnych, tudzież w Gołębiewskiego *Gry i zabawy*). Z tańców tych, jakby przy ofiarach Westalek, wyłączeni są mężczyźni i kobiety zamężne; tańczą tylko dziewice; chłopaki zaś małe rozpędzając się, przez ogień jakby na psotę przeskakują.

W opisie sobótek przez Kochanowskiego Jana, widzimy także, iż same tylko dziewczęta i małe chłopaki w tańcu tym udział miały:

Dwanaście dziewczek jednakowo ubranych,
Bylicą opasanych,
Śpiewać nauczone,
W tańcu niezganięne,
Ogień napalono na dworze,
Czekano rannéj zorze.

czysto religijne znajdziesz dotąd u ludów w stanie natury żyjących, lub od cywilizacji jeszcze oddalonych: i tak, tańce ofiarne dzikich, wróżbitów i zażegnawczy, kręcenie się derwiszów i taniec wirowy Braminów na cześć Budy, są czysto religijnymi tańcami. Historia starego zakonu naucza nas, że Dawid tańczył przed arką na chwałę Boga i okazania mu swój radości z przybycia arki do Syonu. Chrześcijaństwo również wcierając się do życia bałwochwalczych ludów, dając im światło boskiej nauki, musiało nieraz dla jej uzmysłowienia przejmować do swych obrządków i tańce ofiarne, do poważnych wszak-

Od matek miały,
 Że na dzień śgo Jana,
 Sobótką palana.
 Niećmy ogień do świtania,
 Nie bez pieśni, nie bez grania,
 Skokiem taniec najsmadniejszy,
 Kiedy w bęben przybijają.
 Wystąp ty, coś ciągnął kota,
 A na chwilę puść się płota.

Ostatnie dwa wiersze zapewne do malców się ściągają, którzy przypatrując się z płotów tańcom dziewcząt, śpiew ich podrzeźniali ciągnąc kota za ogon.

Wszakże wyłączenia starszych mężczyzn nie zawsze i nie wszędzie ściśle przestrzegano, jak to widzimy z drugiego opisu sobótek przez Twardowskiego Kaspra p. t. *Bylica* z r. 1630.

„Wszyscy na rozpust jako wyuzdani
 Idą, bylicą w poły przepasani.
 Swierkowe drzewa zapalone trzeszczą,
 Dudy z bąkami, jak co złego wrzeszczą.
 Dziewki muzyce po szelągu dali,
 Ażeby skoczniej w bęben przybijali.
Włodarz, jako wódz, przed wszystkiemi chodzi,
On sam przodkuje, on sam rej zawodzi.
 Za nim, jak pszczoły, drużyna się roi,
 A na murawie beczka piwa stoi.
 Co który umie, każdy dokazuje,
 Ten skacząc wierzchem płomienie strychuje,
 Ow pożar pali, drudzy huczą, skaczą,
 Aż ich dzień zdybie, to wzdry się obaczą.”

(Upamiętają się nareszcie).

Snadź nie była to czysta sobótką, tylko z jakimeś weselem połączone, jak to widać po *włodarzu co rej wodził*.

że ruchów tylko ograniczone i z zastosowaniem ich do pamiątek założyciela kościoła. W początkach chrześcijaństwa, widzimy tego ślady w przewodniczeniu biskupów tańcowi dzieci choralnych w czasie wielkich uroczystości, który to zwyczaj ciągnął się aż do XII wieku w krajach południowych (1); niedawnymi zaś czasy w południowej Ameryce używano tańców przy processyach i innych obchodach kościelnych, tak, iż nawet zakonnice w wilią Bożego Narodzenia ukazywały się publicznie z poza krat klasztoru, i w tańcu objawiały swą radość z powodu narodzenia syna Bożego (2).

W krajach katolickich tańce towarzyskie są liczniejsze i piękniejsze; w krajach zaś protestanckich, których kościół zamyka wrota swoje ozdobom sztuk pięknych, processyom, pielgrzymkom, słowem wszelkim oznakom czci na zewnątrz w ruchach objawianej, powierzając uczczenie Stwórcy samej tylko myśli, tańce albo już ni kną jak w Anglii (3), lub zupełnie ich niéma, jak w Ameryce północnej, gdzie zawiązkiem społeczności byli purytanie i kwakrzy (4). Jednakże i tu zdarzają się wyjątki, bo ostateczności czasem się stykają. Jest w Szkocyi jedna sekta kwaków, która właśnie całe nabożeństwo w śpiewie i tańcu odbywa. Jój członkowie zowią się *szekry* (Chaikres). Zbiierają się oni w domu nabożeństwu poświęconym, gdzie śpiewając hymny i nabożne pieśni, płcią gromadnie na dwie strony rozdzieleni, podchodzą wzajem ku sobie, cofają i całe nabożeństwo w ciągłych

(1) Dict. Encycl. de Charles Saint-Laurent.

(2) Obacz: Manuel de la danse p. Blassis.

(3) Podróże Lacha Szyrmy.

(4) Dém. en Amérique p. Tocqueville.

ruchach, drzeniu i tańcu odprawiają. Niemcy przewali ich *die Zitterer*, od drżącego ruchu, który ich pobożnym tańcom towarzyszy.

Pierwiastek więc religijny z obrządków wpłynął i do tańców towarzyskich, i w miarę tego jak gdzie był obfitszym, tam też silniej sprzyjał rozwinięciu się tańców, i tam one są daleko rozmaitsze, piękniejsze i w większej nierównie liczbie.

2. Pierwiastek miłości.

Drugim i najgłówniejszym pierwiastkiem tańca jest miłość, zaczepki i wzajemne ubieganie się młodzieży płci obojga; gonitwa zresztą wspólna całemu jestestwu, magnetyczny pociąg wszech rzeczy, powód ruchu w naturze.

Wszędzie gdzie tylko kobiéta ma wolną wolę oprzec się mężczyźnie, gdzie tworzy równą połowę społeczeństwa, tam wzajemną gonitwę, tam i wspólny taniec znajdziesz; i przeciwnie: gdzie kobiéta nie ma swój woli i znaczenia w społeczeństwie, tam i tańca wspólnego niéma. U Turków, Tatarów, u wszystkich ludów wielożennych są tylko *samotne* kobiet tańce; tańce zaś *samotne* mężczyzn, mające w sobie przewagę pierwiastku wojennego, znajdziesz znowu u ludów ciągłej bójce oddanych, i z ustaw swych, lub zatrudnień od kobiet oddalonych.

Tańce wchodzą do obrzędów ślubnych prawie wszystkich ludów jednożennych, i są dotąd nieodłączną częścią skojarzanych małżeństw. U nas dawniej, każde zaślubiny obchodzono kilkodniowemi ucztami i tańcami; co lud nasz dotąd zachowuje; zwało się to wesele: tak,

że wyraz *wesele*, brany jest dotąd za jednoznaczący z zamęciem.

Cóż zresztą i dzisiejszych zabaw, tańców, jest pobudką i celem? Oto zbliżenie młodzieży płci obojga, łatwiejsza sposobność wzajemnego zapoznania się i kojarzenia małżeństw.

Czasami do tych celów łączą się inne pobudki, natchnione prawdziwie chrześcijańską miłością: tém są bale publiczne, za opłatą na korzyść ubogich i różnych instytucji po wielkich lub okręgowych miastach dawane. Takiemi są np. zabawy w Warszawie w resursach i salach teatralnych; gdzie zarząd balów przyjmując na siebie najdosłojniejsze matrony i najpiękniejsze niewiasty, łącznie z gronem nadobnych dziewic i dorodnej młodzieży, nadają niezwykły urok tym świetnym i z dobroczynnym celem połączonym zgromadzeniom.

3. *Pierwiastek wojenny.*

Trzeci pierwiastek tańca jest wojenny. Obchody radośne zwycięstw, tryumfalne marsze, turnieje, igrzyska, wszystko to wywołało i tańce wojenne. Były one znane starożytnym, i w Europie niegdyś powszechne. Opisy niektórych, jak niemniej wykazanie wpływu pierwiastku wojennego, i śladów jego w wielu tańcach, znajdziemy poniżej.

Łagodne urządzenie społecznych stosunków, dobry byt, gościnność i myśl wesoła od trosków wolna, są także koniecznym warunkiem towarzyskich tańców, i na wyrobienie ich silnie wpływają.

Obrządki więc religijne, społeczny zarząd, klimat, stosunki jednej płci z drugą, ich zbliżanie się do siebie,

miłość, zwyczaje przy oświadczeniach i zaślubinach, charakter ludu mniej lub więcej wojenny, jego główne zajęcia; wszystko to wpłynąć musiało na wyrobienie tańców narodowych, odpowiednio religii, instytucjom, charakterowi i zwyczajom ludów. Dlatego tańce narodowe mają głębsze znaczenie, niż napozór się zdaje; a przedstawiając obszerne pole do myślenia, zasługują, aby im się gruntowniej przypatrzeć, i odkryć powinowactwo jakie mają z całą indywidualnością narodu, który je u siebie wyrobił.

Każda niemal większa prowincya jakiegoś kraju, różniąca się położeniem geograficznem, pochodzeniem, sąsiedztwem, ma oddzielne sobie tańce. Są wszakże i takie, które są treścią, zlewkiem doskonałym różnych tańców kilku prowincyj, naród cały tworzących; albowiem tańce jednej prowincyi, przeważnej wpływem lub znaczeniem, gdy wyrobił ducha, charakter, wspólne całemu szczepowi lub stanowi w narodzie, staje się wówczas albo narodowym, albo też wyłącznym pewnego stanu, pewnej klasy ludzi tańcem. I tak: *kadryl* we Francyi, *walc* w całych Niemczech, *galopada* u wszystkich górali, lub z pobliza gór mieszkańców: *mazur* u całej szlachty naszej, *obertas* u ludu, stały się powszechnymi. To też tylko nad tańcami powszechnymi zastanawiać się będziemy; w tańcach wszakże narodu naszego i szczególne tańce przejrzymy.

* * *

Tańce pod względem rozwinięcia w ogóle dzielą się: na tańce *samotne kobiet*; *samotne mężczyzn*; tańce *parzyste*; i tańce *gromadne*; a to w miarę jak ten lub ów pierwiastek, wchodził albo wyłącznie, albo w połączeniu.

I. Tańce samotne kobiet.

W krajach, gdzie ustawy lub zwyczaje wyłączają kobiety z towarzystwa, a zepchnąwszy ją do rzędu zwierząt domowych, uważają za rzecz, za własność; gdzie odmówiwszy jej praw, zaprzeczywszy duszy, trzymają w zamknięciu do posług i zabawy; słowem, gdzie tylko jest wielożeństwo, tam wspólnej gonitwy, wspólnego tańca nie znajdziesz. Gromada kobiet, kupiona jak inwentarz na targu, zamknięta w haremach i strzeżona przez eunuchów, ma jednego tylko pana. Jego więc łaskę zyskać, podbić go li ciała wdziękami, jest wielkiem i jedynem zadaniem kobiet Wschodu; to téż i taniec ich jest samotny i zmysłowy.

Spojrzyj na Wschód: — kiedy mężczyzna z fajką w ustach oddaje się błogiemu Mahometan kejfowi, i drzymiąc na sofie, przymrużonemi na wpół oczyma, spogląda z przesytem na setki swoich niewolnic; one wówczas, jedna przed drugą ubiegają się ściągnąć na siebie uwagę pana, i owładnąć choć na chwilę, nie serce, bo to za wiele, ale fawor jego. Patrz na tę córę Kaukazu, której wiotką kibić, wydatne powaby, i cudne rysy twarzy, przykrywają bogate zasłony: gdy drugie bijąc takt w *dzele* i *tamburiny*, czekają aż na nie kolej przyjdzie: ona podchodzi ku swojemu władzcy, i ze złożonemi na krzyż rękoma, głęboki pokłon mu oddaje; szczęśliwa, jeżeli nie dbałem skinieniem głowy tańczyć jej przed sobą pozwoli. Zaczyna więc. W zwinnych ruchach, powaby ciała rysują się niewyraźnie zpod szerokich fałdów tureckich oponczy, i nikną jeszcze prędej: to niecierpliwi pana; zrzuca więc zasłonę z twarzy i wszystkie jej wdzięki, naprzemian mu pokazuje. — Patrz władzco. Oczy moje—to

gwiazdy co świecą na niebie Allaha; i oczy jęj się mienia jak gwiazda Saturna. Usta moje—korale, a zęby—to perły twego oceanu; i dzwoni zębami, a usta uśmiechem roztwiera. Lica moje—to róż i lilij kwiaty; i splotnie jutrenką, poblednie porankiem. Szyja moja—to szyja łabędzia; i gnie nią jak łabędź. Piersi moje—to jabłka białe z raju Mahometa; ramiona moje, ręce i palce—są to gałęzie drzewa proroka!... Splotami wonnemi ja cię otoczę, ustami memi miód w duszę wleję, spojrzeniem mojem rozjaśnię ci czoło, i ogniem lica serce rozgrzeje!...

I tańcząc roztwiera ręce; to wpół się zgina, to ręce krzyżem na piersiach składa, i pierś odsłonią przed nim ukrywa, to jedną rękę nad głową wznosi, jak łuk pałasza albo półksiężyc; to się na miejscu jak wiatr zakręci, jak gdyby chciała wzlecić w niebiosy: to znowu skoczy jak hyena lub tygrys, to się układa jako łasica, albo téż igra jak kotka mała.

Tak lub podobnie tańczą wszystkie kobiety Wschodu; rzucona chustka jest jęj nagrodą i zwycięstwem; biędne kobiety!

Hiszpańska *kaczuczka*; taniec również samęj kobiety, jest zabytkiem panowania Maurów, tańcem kobiet Wschodu, złagodzoną europejską cywilizacją. Ma on swoje odcienia; raz namiętny, znów wesoły, czasem poważny, pełen smętnego powabu. Raz jest zabytkiem Maurów haremu, znowu radosnym wybuchem świeżego powietrza, to tęsknotą rozłączonęj od kochanka dziewicy. *Kastaniety*, to może urywek maurytańskich więzów co jęj obecnie za muzykę służą.

Smutna jest dziewczica Andaluzyi, bo jęj oblubieniec ginie może pod murami Grenady lub na polach Tariffy.

Tańczy, lecz taniec jój ma barwę żaloby. Czemuż nie przybywa drogi Alonzo, pod cieniem wonnych pomarańcz zatańczyć rozkoszne fandango? Wszak dla niego uśmiech i łza w oku; dla niego serce, co pryska iskrą w czarnej źrenicy; dla niego powaby dziewiczego ciała, i duszy ognistej rozkoszne pieśczoły... Gdzie jesteś Alonzo! czy słyszysz grzechotki? jam w piersiach Araba sztylet utopiła i siłą miłości pęta rozerwała!—I raz w tę, drugi raz w owę stronę się zwróci, szuka go wszędzie, szuka go na wschód i południe... Pochyliła się ku ziemi, jakby jój ziemia kochanka wydarła; to znowu w górę ręce podnosi, jakby go chciała z nieba przywołać, i przyjąc w swoje objęcia pragnęła.

Zasadą więc główną *samotnego* tańca kobiet, jest miłość jednostronna. Jeżeli u kobiet niewolnych przeważa w miłości strona zmysłowa, to nic dziwnego: bo przywiązania serdecznego, miłości duchowej tam być nie może, gdzie duszy odmawiają kobiecie, i kształcenia téj strony zaniedbują; gdzie o jój przychylność nie stoją, o uczucie nie starają się, całą jój wartość zasadzając na powabach ciała i strzeżonej przez eunuchów cności.

III. Tańce samotne mężczyzn.

Jak w samotnych tańcach kobiet jednostronna miłość wyłączną gra rolę, tak znowu w tańcach samych mężczyzn pierwiastek wojenny przeważa.

Tańce wojenne znane były starożytnym, i wielu pisarzy o nich wspomina. Spartanie i Kretończycy szli do szturmów tańcząc; tych ostatnich miał wyuczyć tańca wojennego Neoptolemus syn Achillesa; zwano go *Pyrrichia armata saltatio*. Numa ustanowił taniec wojenny

dla Salaryuszów ofiarników bożka wojny Marsa, *Saltatio Saliaris* (1). Dawniej tańce wojenne w Europie były powszechniejsze. W Polsce naprzykład, kiedy posłannictwem narodu było zasłaniać piersiami Europę od napadów azyatyckiej tłuszczy, i strzedz kłujące się w niej światło od pokuszeń Omarowej dziczy, miałeś dość wojennych tańców, i tak: *sejdak* o którym wspomina Raziwił Sierotka w swojej Podróży do Egiptu, mówiąc, że tańce egipskie są do niego podobne, całe w łamaniach, skokach i pochyleniach, jakby harce na koniu i bitwę przedstawiały. Taniec *hajduk* zwany, o którym napomyka *Światowa rozkosz* z r. 1630:

„Włoch o galarę prosi; żołnierz o hajduka,
„Ale i tego skoczyć grzecznie, sztuka.”

Takim również był może taniec *wyrwany*, który z opisu Paska, zdaje się być podobny do mazura, z cechą wszakże czysto-wojenną; dawniej nawet polonez i szlachecki krakowiak snadź były wojennemi tańcami, przez samych tylko mężczyzn używanemi. Kozak, i do niego podobne tańce czerkieskie i norweskiskie, jak powiada Jan Potocki w Podróży do Astrachanu w r. 1797 odbytej, są niemniej tańcami wojennemi. Było ich u nas więcej, lecz opisy ich i nazwy nawet do nas nie doszły; o istnieniu wszakże których, ogólne napomknienia naszych pisarzy domyślać się każą.

Tańce wojenne znajdziesz dotąd u dzikich wyspiarzy, Indyan, Azyatów, w ogóle u ludów, którym promień nauki Zbawiciela nie stał jeszcze z serca zawiści Kaina, i noża z ręki nie wytrącił. W Europie wszakże, gdzie nienawiść ras znika, gdzie duch chrześcijańskiej cywilizacji wnikając coraz bardziej w życie i stosunki ludów,

(1) Dict. Univ. de Trevoux.

rozbraja dłoń niegdyś zawsze gotową do bójki, i do bratniego uścisku ją nakłania, z gasnącém życiem obozów, niknie i taniec wojenny. Śladów jego łatwiej dopatrzysz w tańcach tych ludów, których zbroje pierwszą dopiero rdzą się pokryły, u ludów, którzy bojowe posłannictwo niedawno co zakończyły; nizeli u tych, co z położenia swego, sąsiedztwa lub zatrudnień, oddawna już broń swoje do pochew schowały. Częstki zaś narodów, do obrony własnego kraju, w stan wojskowy zorganizowane, mają rewie, manewra i mustry, które chłoną w sobie pierwiastek, jaki się dawniej w tańcach objawiał.

Z tańców wojennych, moglibyśmy powtórzyć opisane w podróży Cooka lub Arago, albo opisać tańce dzikich Indyan, które Paryż oglądał na swoich teatrach, przez dwóch dzikich z Luizyany przybyłych wykonywane; gdy wszakże nie mają one wielkiego dla nas znaczenia, odsyłamy więc ciekawych do wspomnionych podróży i do dziełka p. Blassis (1), a sami opiszemy taniec kozacki, jako bliżej nas obchodzący.

Gdy ustawy wymagały od kozaków odosobnienia od kobiet, ażeby w czasie *potrzeby* nie wstrzymywały ich miłe uczucia i obowiązki rodziny, albo głos lubéj *mołodycy* serca nie miękczył i nie rozżalał; kiedy odosobnieni od kobiet obozowali ciągle w *Siczach*, i tylko za urlopem do żon i rodziny w *futory* odjeżdżali; więc téż treścią ich tańca nie mogła być miłość, ale odbicie w ruchach ich obozowego życia, ich napadów i zwycięstw, zdobyczy lub porażek.

(1) Manuel de la danse p. Blassis. Jest tam opis tańców wojowników indyjskich, wyjęty z pisma czasowego: *Mercure de France*, vol. II.

Nuta kozaka smętna i dzika, ale pełna życia i znaczenia. On tańczy i smutny jest, bo nie tańczy ze swą czarnobrewą; obraz jój tylko, w myśli mu się przedstawia i rodzi smutek w duszy. Kozak staje naprzeciw kozaka, o kilkanaście kroków od siebie. Naprzód jeden zaczyna: wzięwszy się pod boki, w drobnych skokach, z nogi na nogę, raz prawym, drugi raz lewym bokiem pomyka się do swego towarzysza, jakby się zalecał do kochanki, jakby sądził, że to jego luba: ale spostrzega pomyłkę i w tył się cofa, — już znikło marzenie! Poznaje, że to towarzysz broni, i zaraz napady na myśl mu się nasuwają. Patrz jak się ku ziemi przychylił w *prysiudy*, i nogami to w jedną, to w drugą stronę wyrzuca: — to wiosła! on płynie przyczajony na czajkach przez dniewprowe porohy. Czasem skoczy nagle w górę i jeszcze prędzej przykucnie do ziemi, jak gdyby chciał tylko ujrzyć, daleko tam jeszcze półksiężyc i meczety. Nareszcie zrywa się z krzykiem wojennym, lub przeciągłym gwizdem, i w nagłych, zwinnych, trudnych do podziwu skokach, doskonale wydaje napad na pohańca. Tu już oba tańczą, naśladując nagły napad, bitwę, rabunek i ucieczkę.... Znów na czajki! płyną, płyną, pieśń wojenną woda niesie, smętną, dziką i radosną. To ze śmiechem w dłonie klaska: piękna zdobycz, to dla Hanki! méj bohdanki! albo z groźbą pięść wyciąga poza siebie: to, dla ciebie wraży synu!—Ej ha-ha, ha, hur-ra ha! — Sicz, koli, riż, wraha!

Anglicy mają także samotny mężczyzn taniec *matlotem* zwany; taniec marynarzy, których ciągle podróże również od kobiet odosobniały. Przejeli go od Holendrów. Jest on wizerunkiem ich życia, wojennych i żeglarskich obrotów na okręcie; trochę podobny do koza-

ka, ale ma więcej daleko kombinacyi i płataniny, choć nie tyle ognia.

Taniec samotny Hiszpanów *guaracha* z gitarą w ręku, jest zabytkiem miłości platonicznej, błędnych rycerzy półwyspu.

III. Tańce parzyste.

Głównym pierwiastkiem tańców parzystych jest miłość, w jej fazach, przechodach i dojrzaniu. W tańcach parzystych, nie napotkasz już upokarzającego łaszczania się kobiety: tu już ubieganie się wspólne dwóch płci, w stosunkach swoich i wyborze swobodnych. U jednych ludów jestto miłość kochanków, co się wzajem o uczucie dobijają, niepewnych wszakże wzajemności; dlatego taniec ich wyobraża miłość w związku, uczucie dręczone niepewnością, podsycane nadzieją, pełne ognia, niespokojnych chęci i marzonych rozkoszy: jak w parzystych ale *nie łącznych* tańcach hiszpańskich, włoskich i greckich. U drugich znowu, jestto miłość zaręczonych oblubińców, pełnych radości, upojenia i młodzieńczej poezyi: jak w tańcach parzystych już *spojonych* galopujących górali, krakowiaków, mazurów i prawie wszystkich tańców słowiańskich. U innych nareszcie, jestto miłość spokojna, pewna, *zespoleonych* już w rodzinne *kółko*: jak w niemieckim walcu, lub w oberku ludu naszego.

Przejdźmy po szczególe te tańce, a wspomniane cechy i odcienia, jaśniej zobaczymy.

a) Tańce parzyste niełączne.

Tańce hiszpańskie.

Hiszpan uwolniony od rządu Maurów, w stosunkach wszakże z płcią żeńską długo zostawał pod wpływem

wyobrażeń synów Mahometa. Krewkość zmieszanej rasy, rozgrzewana palącym promieniem afrykańskiego słońca, łatwe stosunki z kobietami ziem odkrytych i zawojowanych, awanturnicze wyprawy, wszystko to skłania Hiszpanów do wolniejszych i we własnym kraju z kobietą stosunków, i jest powodem, że miłość w kwiecie, miłość w pierwszym swoim pojawie z zmysłową przewagą, ma największy dla nich powab i znaczenie. Innę miłości nie pojmują, innę tam niema: przechodzi ona tylko rozmaite fazy i stopniowania, od zmysłowych popędów jakiego *metysa*, do platonicznej miłości błędnego rycerza, od ognistych umizgów pasterza merynosów lub *majosa* Andaluzji (1), do wykwintnych zalecanek jakiego *novio querido* (2), lub miejskiego *Corteho* (3); stopniuje się tylko i cieniuje, w miarę pochodzenia, zatrudnień i ukształcenia kochanków.

W tańcach téż hiszpańskich widocznie się to przejawia; mają oni mnóstwo tańców, wszystkie jednak noszą wybitną cechę miłości w pierwszym jej peryodzie; wszystkie téż są parzyste, ale niełączne. Hiszpan w tańcu nie prowadzi dziewczycy za rękę, z nieśmiałością dla oblubionej poszanowaniem; nie trzyma jej w pół, z pozwoleń za-

(1) *Majos* to samo znaczy co *le lion* albo *le tigre* francuzki, z tą tylko różnicą, że on jest wiejski, nie miejski.

(2) *Novio* jestto kochanek, *novia* kochanka. Obowiązkiem *novio* jest służyć swój pannie, robić miłe niespodzianki, i wyprawiać gitarowe serenady pod oknem, na co mają techniczne nazwania *rascar el jamon*, co znaczy dosłownie *skrobać szynkę*; zapewne przez podobieństwo gitary do szynki. (Obacz podróż po Hiszpanii: *Tra los montes* p. T. Gautier).

(3) *Corteho*, to błądny zabytek dawnych rycerzy błędnych; dziś oni nadskakują mężatkom i znaczą prawie to samo co *czyczysbej* włoski. Hiszpanie mają wiele innych jeszcze nazwań kochanków, co dowodzi ich mnogości i rozliczności.

ręczonych poufałością; ani ją oburącz obejmuje, jako swojego życia towarzyszkę; bo go w miłości nie zajmuje myśl obszerniejsza rodzinnych stosunków, małżeńskiego pozycia, i obowiązków chrześcijańskiej rodziny; on na kobietę spogląda jeszcze okiem na wpół ucywilizowanego Araba lub Indyanina, przelotnym spojrzeniem ruchliwego wędrowca i zdobywcy, albo platonickým wzrokiem błędnego rycerza. Jeżeli po długiej w tańcu gonitwie, złączy się z nią nareszcie, będzie to uścisk nieprawdy dwojga rozognionych i obłąkanych kochanków, nie zaś połączenie uświęcone błogosławieństwem rodziców i kościoła.

Tańce hiszpańskie nie wymagają gromady, owszem, odosobnione mają więcej dla tancerzy i dla widzów powabu: zgadza się to z naturą tajemnej miłości. We wszystkich tańcach Iberyjskiego półwyspu znajdziesz tylko wzajemną gonitwę, napaść i obronę, namiętne zalecanki dwojga młodych i dorodnych kochanków, ale nic więcej.

Młodzieniec napastuje, — dziewczę się wzbrania; ona ucieka, — a on ją goni; on znów się zaleca, — a ona się wzdraga lub wzajem zeczepia. Oboje ciągle na baczności, oboje gotowi do polotu, wyciągają ręce jak skrzydła, a trzepocząc grzechotkami, febrycznym ich drżeniem zdają się wzajem elektryzować. Drganie grzechotek to termometr dla ucha, ukazujący co chwila napięcie i gręmiotającego uczucia, co zmysły ich rozgrzewa i topi. Po długiej gonitwie i walce, rzucają się w objęcia: jestto koniec dramatu i tańca.

Rozkoszne są tańce hiszpańskie, jak rozkoszna miłość dwojga kochanków. Narodowy ubiór pełen smaku i rozmaitości; wyraziste twarze Hiszpanów, lekkość i zgra-

bność ich dziewic, sławnych na całą Europę z małości nóżek, dusze pełne poezji i ognia, miłość namiętna i prześliczne melodye towarzyszące a raczej tworzące ich tańce; wszystko to podnosi piękność plastyczną hiszpańskich tańców, i czyni je pełne życia i niewypowiedzianego powabu.

W największém użyciu'są: *fandango* i *bolero*. Piérwszy z nich więcéj zmysłowo-namiętny, afrykańskiego pochodzenia (1), cieniuje się stosownie do prowincyi i charakteru ludu; w południowych stronach tańczą go z większém obłąkaniem; w północnych zaś ma więcéj osłony i przyzwoitości. Tańczy go jedna para uzbrojona w kastaniety. Muzyka dzieląca się rytmicznie na 3, nadzwyczaj szybka, drzenie grzechotek, poruszenia nóg, ramion i ciała, zgadzają się z sobą doskonale. Wszystko jest życiem i ruchem w *fandango*: krok jego, to sama lekkość, wdzięk i giętkość; w ruchach maluje się charakter Hiszpanów, wyniosłość, duma i miłość; rozkoszne grupy i pozy, spadki i charakter muzyki, wszystko to upaja patrzących Hiszpanów i w zachwycenie ich wprawia.

Bolero jest tańcem szlachetniejszym i skromniejszym; jestto miłość sfery bardziéj duchowéj. Bolera śpiewane z towarzyszeniem gitary, nazywają się *seguidillas boleras*. Jest tam jeszcze mnóstwo innych tańców jakoto: *El zapateado*, *El zorongo* ulubiony taniec tamecznych cyganów; *Tripili tripola*, *Malague'na*, *jota*, *el jaleo* i t. p., wszystkie parzyste, *nielączne*, z cechą miłości goniących się kochanków.

(1) Pochodzi od tańca Murzynów zwanego *szika*. (Man. de Blassis).

2. Tańce włoskie.

Sąsiedztwo i stosunki Włochów ze Wschodem i Hiszpanią, obowiązkowy celibat wielu mężczyzn, zatrudnienia i klimat, które ich po pracy w kółko rodzinne nie skupia, a ztąd i uczucie rodzinnego pożycia nie tak głębokie jak w krajach północnych; wszystko to przy boskiem Włoch niebie sprawia, że miłość jako tylko kochanków, wyłącznie Włocha zajmuje i jest jedynem u niego uczuciem. Miłość taka, pomimo małżeństw, zyskała nawet w niektórych Włoch prowincjach, uświęcenie zwyczajowe w znanym powszechnie czczyzbejanie (1) i kawalerach serwantach.

Tańce włoskie mają te same cechy i charakter, co hiszpańskie: są parzyste, ale nie łączne i nie gromadne. Kółka rodzinnego, ani koła stanu w nich nie dopatrzysz. Tenże sam romans dziewicy z młodzieńcem, zalecanki przeprowadzone przez wszystkie fazy.

Oczarować zmysły, skrzesać ogień w skalistém sercu dziewicy, by buchnął wulkanem miłości i gorącą lawą zniszczył co się kryło wewnątrz, co wzrosło na jego powierzchni; sprawić by wyłącznie gorzał dla jednego, a hukiem i grzmotem przerażał śmiałków coby go stłumić chcieli, i był zarazem pogrózką dla samego pana: to usiłowanie jednej strony; ---stawiać tysiące przeszkód, mrozić lodem, straszyć podziemnym gniewem, a ciągle wabić słowiczym głosem, ognistym wzrokiem i przelotnym błyskawic uśmiechem; z zaciętością bronić serca

(1) Czyczysbej jest trzecią osobą w małżeństwie, dopełnieniem męża. Genua jest stolicą tego dziwnego zwyczaju i małżeńskiej tolerancyi, tak napozór przeciwnej, znaniej powszechnie Włochów zazdrości.

krateru, w którym tli się ogień Westalki, a wysnuwać z niego czarowne tumany by owionąć niemi podstępnego kochanka; — to taktyka z drugiej strony.

Znasz-li ten brzeg, gdzie po skalistych górach,
Strudzony muł, swój drogi szuka w chmurach,
Gdzie w głębi skał, płomieniem wrą opoki,
A z wierzchu skał, w kaskadach grzmią potoki?

Znasz li ten kraj?
Ach tam, o moja miła!
Tam będzie raj,
Byleś ty ze mną była!

Tańce włoskie są powabne i wesołe: tak powabne, jak miłość dwojga dorodnych kochanków, obecną tylko chwilą zajętych, których uczucia niepewna przyszłość nie zachmurza, obowiązki nie straszą; a wesołe jak plusk złotych rybek pławiących się w kryształowym wód przeczocz.

Pierś ich oddycha wonnym powietrzem; oko się kąpie w czystym błękicie, w rozkosznych widokach, lub w rozkoszniejszym jeszcze spojrzeniu kochanka; spoczywa na dalekim wulkanie, lub śledzi ognia w spojrzeniach wzajemnych; słuch pieści śpiew ptasząt, szum wonnych gajów, łaskoty kaskad, szmer fontan, i cudna muzyka rzewnych *mandolin*, brzękliwych *tamborinów*, a bardziej jeszcze magnetyczny chrzęst grzechotek i dźwięczny śmiech lubej. Gdy więc przyroda wszystkie zmysły tak rajsko upaja, czyż sięgnąć po jabłko kochankom się nie godzi?

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?
Pomarańcz blask, majowe złoci drzewa,
Gdzie wieńcem bluszcz, ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur, i cyprys cicho stoi?

Znasz-li ten kraj?
Ach tam o moja miła!
Tam był mi raj,
Pókiś ty ze mną była.

Każde państwo Włoch dawnych, każda prowincya ma swoje tańce, podobne wszakże sobie charakterem i znaczeniem: powszechniej jednak znaną jest neapolitańska *tarantella*. Początek jój niewłaściwie wywodzą od ukąszeń pająka tarantulą zwanego, które miało być zabójczém, a jedyném na nie lekarstwem taniec; dowiedziono bowiem, że zjadliwość ta jest bajeczną (1). Zaprawdę, taniec ten jest zdolniejszym przyprawić raczej o szaleństwo tancerzy i widzów nawet, aniżeli ich wyleczyć z niego. Jest tam wiele innych tańców jakoto: *sartarella* taniec prowincyj rzymskich, *furlana* ulubiony taniec weneckich gondolierów i t. p. mniej więcej podobnych do tarantelli, z temiż samemi co ona cechami.

b) Tańce parzyste złączone.

Tańce górali.

W krajach bardziej na północ posuniętych, w górzystych zwłaszcza, napotkasz już tańce obszerniejszej myśli i znaczenia. Tu tańce parzyste już *złączone*; niemasz jednak gromady ani *rodzinnego kółka*: bo prace górali wymagają wydalenia się ich na czas długi z domu; więc społeczność i życie rodzinne nie tak ściśle uorganizowane. Wraz z topniejącym śniegiem spuszczają się szybkim krokiem górale, a raczej zsuwają się galopadą w doliny i zalewają całe pola podgórne i dalsze równiny; koszenie siana, sprzęt zboża, wymłótko i tym podobne roboty, zajmują im całą wiosnę, lato i jesień; na zimę dopiero

(1) Doświadczenia wieloliczne lekarzy Neapolu pp. Claritio i Serrao.

zebrawszy nieco grosiwa, zakupiwszy soli i mąki, wracają z radością do swój ubogiej siedziby, gdzie ich z tęsknotą oczekują: tu matka, tam żona, tu *narzeczona!*

Góral nie ma czasu na umizgach tracić; niebo zresztą temu nie sprzyja: wichry, śniegi, trzymają w chałupach te jednokwartalne rodziny. Stosunki wprawdzie i tu zawiązują się; ale odwiedziny rzadkie, sposobność zaleceń nie częsta; dlatego też gdy młody góral sokolim wzrokiem zoczy dziewoję, co mu oko zaprószy i serce poruszy, wnet wysyła orła starostę w dziewosłęby do dziewy; a gdy dziewczę mu nie krzywe, rodzice przychylni, toć wnet i zrękowiny. A ślub? a wesele? Oho ho! za lat kilka, bo rodzice zdrowi—dzieci jak mrowi— a chałupka ciasna — więc musi być własna! Góral tém się nie zraża; z wiosną, ze śniegiem, znów się zsuwa w doliny; od chaty rodzinnej wpół ujęty ze swą narzeczoną, w szybkiej galopadzie staj kilka ją uprowadza..... ale obowiązek i miłość ich rozłącza; tak, miłość rozłącza! Gdy ona smutna wraca do domu, on smutniejszy spuszcza się głębiej; on smutniejszy—bo rzuca zaręczoną i własny kraj swój opuszcza. Oboje czas długi zdala od siebie ciałem, lecz sercem i myślą bliżcy, w uczuciu czerpią energią do pracy; ona przedzie, on kosi, tnie lub młóci; i tak powoli zbierają razem zosobna, zasitek na przyszłą chudobę i własną swą chatkę. Zima nadchodzi, zima na ziemi, a wiosna w ich duszy: co wieczór dziewica, po śniegu się zsuwa, a on co rano pnie się na góry, i tak codziennie. Aż jednego ranka, dziewica spostrzeżga swojego kochanka! Oboje więc razem, ujęci pospołu, znów się spuszczają w szybkiej galopadzie. I tak co roku! z wiosną w doliny, ze śniegiem w góry, aż póki kalętka pełną nie będzie.

Miłość górali, zawczasu uświęcona błogosławieństwem rodziców, ma dużo napozór poufałości; lecz oparta na wzajemném zaufaniu, choć nie ma udręczeń niepewnej wzajemności i wybuchów wrzącego uczucia mieszkańców stron południowych, jest wszakże więcej duchową i głębszą, bo przyszłość obejmująca; ona jest dźwignią moralną w pracy górala i cnotliwym go czyni. Na górach, bliżej nieba, wśród uroczyстых widoków wspaniałej przyrody, myśl mimowoli staje się wznioślejszą, uczucie czystsze, szlachetniejsze. Znana téż jest powszechnie skromność dziewic, czystość obyczajów tamecznych; wierność Szwajcara, poczciwość naszego górala poszły w przysłowie. Góral tęskni za swym ubogim krajem, bogactwa nizin go nie ułakomią; a nawet jeśli potrzeba zarobku zmusi go długo pozostać w dolinach, jeżeli go tam wiatr górzysty owionie i piosnka ojczysta doleci, a obowiązek lub przeszkody wrócić do domu nie pozwolą, to niknie widocznie i śmiercią przypłaca tęsknotę do kraju. . .

Tańce górali, wypełnione uczuciem tak poetyczném, miłością w drugim swym peryodzie, niebędącą ani walcą, ani posiadaniem zupełném, mają téż dużo w sobie poezyi i uroku. Wpół ujęci narzeczeni, szybują jak swobodne ptaki przez górne przestworza; uczucie ich potrzebuje przestrzeni, nieskończoności, pierś swobodnego powietrza. W szybkiej galopadzie, góral zsuwa się z lubą w doliny, jakby chciał mówić: nie mamy domu, nie mamy chleba, lećmy w doliny, znajdziem co nam trzeba! ale ta miłość, złączona z inną, zwraca ich znowu, w siedzibę swoich.

Galopada jest powszechnym tańcem górali. W całym rozgąłęziu Karpat i u jego podnóży ją znajdziesz; nasz krakowiak jest także galopadą.

Polka.

Taniec *polka*, nie wziął swój nazwy od niewiasty polskiej, ale od pola; na polu bowiem przez lud czeski jest tańczony. To analogiczne jednak pochodzenie i jej nazwa, być może iż dużo wpłynęło na urok jaki ma ten taniec. Polka jest tańcem Czechów, zamkniętych w okół górami, mających wszakże dosyć równiny. Zarobek łatwiejszy i większy, chleb tańszy, pozwalają Czechowi myśleć wcześniej o małżeństwie; dlatego polka jest także galopadą, ale już w niej *kółko rodzinne* walca się błąka. Oblubieni w pół ujęci szybkim biegiem ślizgają się tam i nazad; to znów spojeni oburącz, kółkiem wirowém wkoło się obracają, krokiem wszakże szybkim i posuwistym. Kółko rodziny tam już silniejsze, a raczej mniej przerywane potrzebą zarobku; wpływ zresztą germanizmu, gdzie życie rodzinne tak jest rozwinięte i wyłączone, brata pozycyjną miłość Gotów, z poetycznym uczuciem Słowian górali. Śpiew, nieodłączną jest częścią tańców góralskich, a jakby nawoływanie się po górach, echuje się w powtarzanych zwrotkach i melodyi.

Ani galopada, ani polka, nie są bynajmniej nowymi tańcami; znane one były oddawna między ludem słowiańskim. Jeżeli puszczane przez Czechy, przednią straż Słowian, przelatują całą Europę, i z zapalem są wszędzie przyjmowane, to znak: że żywioł słowiański, idea jego, elektryzuje zdrętwiałe życie Rzymian, Gallów i Gotów. Wszakże żywioł słowiański wprowadzony gieniuszem Szopena w europejską muzykę, zrobił ogromne wrażenie w świecie muzycznym i napoił dusze nieznaną dotąd, pełną świeżości i potęgi melodyą. Jednak

w utworach Szopena niewszędzie się to pojawia; sąto tylko błyskawice, próbki bogatych zasobów słowiańskiej muzyki, której zhiorem tak skrzętnie dzisiaj się zajmują.

Pieśni gminne to piasek złoty, w którym są i większe samorodki, ale jest dosyć i ziemi. Należycie przepłukane i przesiane, dostarczą one bogatych materiałów gieniuszowi, co stopi je w swój duszy i wyda pieśń jednolitą!

I w innych tańcach Słowian *miłość narzeczonych*, największą gra rolę: bo u jednych potrzeba zarobku, u drugich ciągle bójkki wydalają młodzież na czas jakiś z kraju; a zaręczyny łącząc tylko duchowo młodą parę, czyniły i miłość ich poetyczniejszą. Zaręczyny są chwilą uniesień, radości, więc i tańców; były one i są dotąd bardzo ważnym u Słowian obrządkiem.

c) Tańce parzyste zespolone.

Tańce germańskie.

Tańce germańskie, a raczej jedyny ich taniec *walc*, jest ostatecznym rozwojem i zwojem tańców, zasadą których, wyłącznie jest miłość. Nie ma on faz tańców hiszpańskich i włoskich; bo to nie walka uczucia, i nie wrzenie fizycznej miłości; nie ma tak poetycznego polotu tańców słowiańskich; ale skupia w filozoficznej całości miłość kochanków, narzeczonych i małżonków, i tworzy *kółko rodzinne*; spokojniejszy jak tamte, bo miłość pewna i śluby zawarte; jestto *matrimonium consumatum*. Ma on wszakże swoje poezyą i jest na granicy tańców gromadnych, równie jak tańce górali: bo jak tu, tak i tam, w jawnej miłości spoczywa myśl przyszłych obowiązków rodziny, a więc społeczności w związku; mogą zatem być tańczone pojedynczo lub gromadnie.

W walcu, młodzieniec opasuje kibić dziewczycy prawą ręką, ona zaś lewą opiera na jego ramieniu; drugie ręce mają wzajem splecione. Tak ujęci, złączeni z sobą ciałem i duszą, walczą, to jest dwojaki ruch odbywają, wirując koło siebie, pomykają się coraz dalej, dalej, w przestrzeni. Młodzieniec zamawia jedną dziewczycę na cały taniec, jak każdy, w swoim narodowym tańcu: tak więc ujęci i zajęci wyłącznie sobą, dają doskonały obraz rodzinnego kółka, które dla Niemca prawie jest wszystkiém. Sto par walczących, oddzielonych od siebie, zajętych sobą jedynie: to sto kółek rodzinnych; to kołonie; to cały naród niemiecki. Lekko się oni z miejsca na miejsce przenoszą, nie puszczając się nigdy: na koniec świata zalecą, i tam im będzie dobrze: byle we dwojgu, byle w kółku rodzinném. Niéma téż ludu, któryby łatwiej z ojczyściej ziemi wychodził, jak Niemiec; w każdym narodzie, w każdej części świata ich znajdziesz. Wytaczają się ze swego kraju w parach, z taką łatwością, z jaką walczą; nie troszcząc się o to, czy zalecą na prawo, czy na lewo, na wschód czy południe; byle dwojgu się nie puścić, a będzie im dobrze. Walc upowszechnił się wszędzie; z taką łatwością przyjęto go we wszystkich krajach, z jaką przyjmują samychże Niemców; jest on tańcem kosmopolitycznym.

Cudne są walce Lannera! Grają *Werber-walc*. Jaka tęskna, poetyczna melodia je zaczyna! Rzędem siedzą familie koło siebie: ojciec, matka i córki. Synowie wyszli już z koła rodzinnego, tworzą oddzielną korporację; zebrałi się na środek sali: to koledzy! Trzymając się pod ręce, jedni słuchają profesora, co im tłumaczy metafizykę tego walca, drudzy paląc sigara, gonią

dym oczyma, i czynią psychologiczne z niego wywody; inni przyspiewują na nutę tego walca jakąś pieśń rubaszną, i drwiąc z francuzkiej etykiety, gotują się do tańca; inni przysłuchując się tym boskim melodyjom wpadają w ekstazę; inni znowu obejmując cały obraz dokoła obwiany dymem, w Hoffmanowskie widzenia. Patrz na tego, co się wysuwa z grona téj młodzieży: młody ideolog opuszcza już kolegów, żegna ich ściśnieniem ręki, i posuwa się ku jednej rodzinie. Pod poważną niedbałością i powierzchowném opuszczeniem, ukrywa on duszę do marzeń metafizycznych i uniesień poetycznych skłonną; pierwsza część Werber-walca, tak tęskna i poetyczna, rozkołysała serce, rozbujała duszę; myślą goniąc brzmienie głosu, już jest w nadziemskich sferach: widzi jak planety krążą, posuwają się w przestrzeni, widzi tysiące słońc i tysiące planet, wszystko krąży, gra, i wszystko gdzieś biegnie. Gdzież mistrz, pyta, co wzniosłszy się nad światy, wyciągnie swe dłonie i zagra nam na gwiazdach cudne walce Lannera?... I młody zarozumialec z bladém czołem, ze świecącym wzrokiem, zbliża się do dziewicy, wpół ją bierze i mówi: Dziewico! żegnaj ojca, matkę, siostry i braci; żegnaj rodzinną ziemię, ja ci stanę za wszystko! Wpół się weźmy, tak ujęci, wmieszaemy się w taniec światów. Będę ci słońcem, ty moją planetą, księżycem i satellitą.... znajdziem dosyć dla siebie miejsca w przestrzeni, tylko się trzymajmy, tylko się nie puścimy, a będzie nam miło i dobrze! I młoda dziewica żegna spokojnie swoje rodzinę, której była częścią, bo wie, że będzie połowicą, dopełnieniem drugiej. Z ufnością wsparta na ramieniu młodzieńca, który wpół ją opasuje, słucha z rozkoszą zapewnienia miłości; jego poufałość w ujęciu, nie obraża ją wcale, bo

ona zna prawość germańską. Czas jakiś idą zwolna w tej romantycznej przechadzce, nareszcie dziewczica; przez ramię towarzysza, jeszcze raz zasyła pożegnanie dawniej swój rodzinie, wznosi oczy w niebo, i oddaje swą rękę szczęśliwemu młodzieńcowi. Już złączyli się na wieki, złączyli ciałem i duszą; utworzyli kółko. Wir walca uniósł ich daleko!

Taniec węgierski, jest walc z hołubcami, połączenie tańca wojennego madziarów, coś naksztalt mazura szlachty naszej z niemieckim walcem. Wpływ germanizmu widoczny, a nawet przeważny.

IV. Tańce gromadne.

W tańcach gromadnych, przejawia się wyraźniej układ społeczny; bo wchodzą do nich wszystkie trzy pierwiastki; łączą się one, zlewają i tworzą całość; jakby kłębek, na którym się osnuła cała cywilizacja i historia narodu. Mamy już nitkę, bo mamy pierwiastki: może więc po niej do kłębka dojdziemy, i kłębek ten łatwiej rozwiniemy.

1. Tańce francuzkie.

Zanim przejdziemy do rozbioru tańców francuzkich, musimy koniecznie rzucić choć pobieżnym okiem na cywilizację tego narodu; bo ona i w tańcach jako utworach narodowych, odbić się koniecznie musiała.

Żaden naród nie zwił się tak mocno w jeden punkt, jak Francya w swojej stolicy. Paryż, to Francya. Dlatego też życie intelektualne tam ogromne, ze szkodą strony serdecznej cywilizacji. I nie może być inaczej: na wsi pośród przyrody, pośród cudownych dzieł Stwórcy, dusza cała mimowoli wznosi się do źródła, z którego

wszystkie te cuda wzięły początek; wiara tam jest głębsza, uczucie rodziny, społeczeństwa silniejsze, miłość poetyczniejsza. W stolicy i w miastach przeciwnie: wiara, rodzina, społeczność jest więcej abstrakcją, myślą; człowiek zamknięty w murach, nie może swęj myśli i serca wznieść w przestrzeń nieskończoną, ani ich zatrzymać na dziełach Stworzyciela; wzrok jego mimowoli spoczywać musi na ludzkich utworach, które, jakkolwiek wielkie, wzbudzają tylko podziw czasowy, nie wypełniają jednak całej duszy tém ciągłym uwielbieniem, jakiego wśród przyrody doznajem. Wspaniałość świątyń i obrządków, budzi na chwilę roztargnione uczucie religijne; ale nie wszczepia téj głębokiej wiary, jaką ma wieśniak, otoczony Boskimi dziełami, żyjący pośród rodziny, obok parafialnego kościółka i wiejskiego cmentarza, na którym kości ojców jego spoczywają i jego własne spoczywać będą. W stosunkach towarzyskich miast i stolicy, szybka tylko zamiana potrzeb i myśli: ztąd bogactwo materyjalne i umysłowe wielkie; podział zaś uczucia rzadki: ztąd życie moralne ubogie; ludzie i wypadki przesuwają się jak w kalejdoskopie, który, jak w Paryżu, wrodzona żywość Francuzów co chwila obraca; imaginacja więc tam wielka i ona jedynie przejawiać się może w utworach narodowych, w sztukach pięknych, w literaturze, we wszystkiém.

Stolica, jest głową narodu; wieś, jego sercem: a miasta rozdrobnionemi władzami umysłu. We Francyi niéma należnego między niemi stosunku: ona prawie wyłącznie, stolicą swą i miastami żyje. Tę przewagę miast i stolicy przygotowali samo chcąc Ludwik XI, Richelieu, Ludwik XIV i Colbert; samo chcąc, bo rzeczywiście

chcieli oni tylko zaprowadzić równowagę stanów. Lecz że fakt ten dopełniony został, nie podniesieniem mieszczan do godności praw i bogactw szlachty — wieśniaków, ale zniżaniem tych ostatnich do podwładności pierwszych, i ciągłym stawianiem obudwóch żywiołów w nieprzyjaznej ku sobie postawie; to téż smutne dla narodu wyniknęły skutki. Z przewagi wiejskiej Francya wpadła w przewagę miejską. W chwili oscyllacyi zajaśniała ona pod Ludwikiem XIV, blaskiem zachodzącego szlachty słońca, a pod Napoleonem gwiazdą wschodzącej mieszczan jutrzemki; ale jak po zachodzie nastąpiła noc burzliwa, co zagrzmiała światu całemu okropnościami rewolucyi francuzkiej; tak po świetnej jutrzni, nastąpił dzień zasnuty mdławemi chmurami, dzień bezbarwny i smutny: widny on to prawda, ale nie złoci przyrody Francyi tym poetycznym urokiem, jaki rozlewa czysta pogoda, i jaśniejące w całym blasku słońce.

Przeważny wpływ mieszczan w narodzie, i górujące życie miejskie, przytłumiło żywioł poetyczny we Francyi; w życiu więc i utworach tego narodu znajdziesz dużo rozumu, ale poezyi tam niema. Bo naród jak człowiek: jeżeli władze i przymioty swój duszy podzieli, jeżeli jedne kształci z pogwałceniem lub zaniedbaniem drugich, jeżeli umysł swój kształci i podnosi choćby do najwyższej potęgi, a o sercu zapomni; nie będzie poetą. Poeta bowiem, jestto wielkie serce i wielki rozum w jedni, w pełni, w twórczej sile i mocy; najpodobniejszy wizerunek Boga, który jest wszechmądrym i wszechmiłującym: dzieła jego będą nosiły cechę Boskich utworów; przejrzą z nich rozum i serce, dusza cała. Poezya, to duch, co w zespoleniu myśli i uczucia, przez materją przegląda: ona jak promień niebieskiego słońca, przez

łzawą chmurę ziemi do nas się przedziera, i siedmio-barwną tęczę, zakreśla nam bramę do nieba! Poezya jest córą głowy i serca: w głowie bowiem mieszka rozum, bogaty w pomysły, wynalazczość, promieniejący wyobraźnią, błyszczący dowcipem; lecz co chwila zmienny i rozszerzający się jak kręgi na wodzie, coraz to większą przestrzeń obejmujące; w sercu zaś, mieszka wiara, miłość i nadzieja, uczucia wrodzone, objawieniem Boskiem uświęcone, i są stałe, niezmienne, jako środek koła. Kiedy więc czyn, lub utwór, nie będzie kołem rozumu, promieniem z serca wybiegłym zakreślony; wówczas taki czyn, nie będzie czynem bohatera, a utwór nie zabłyszczyc gwiazdą gieniuszu — poety!

Francya skupiwszy swe życie w czworokątnych murach stolicy, rozbratawszy się ze wsią, z sercem narodu, do smutnych doszła wypadków; zatraciła bowiem Boską figurę koła, gdyż odrzuciła punkt środkowy: oś około której wszystko obracać się winno, i życie duchowe skoncentrowała w czola kwadracie. I do jakichże doszła rezultatów? Cóż nam dała w miejsce wiary? — filozofią, nieśmiertelność duszy trującą! W miejsce chrześcijańskiej miłości? — filantropią, co gilotynie i dziurawym statkom chłonać tysiące ludzi pomagała! W miejsce kojącej nadziei? — dręczącą niepewność, szukającą ulgi w pijanstwie materyalnego użycia, i życie dla obecnej tylko chwili! Wszystko to są pomysły rozumu, co nie jest kołem opasującym serce, ale kwadratem, ułomną figurą koła, którego punkta obwodowe nie są w równej od środka odległości. Kwadrat jest symboliczną figurą cywilizacji francuzkiej. We Francyi wszystko byle kwadrowato, jest dobre, piękne i wielkie; wszak oni i przyrodę chcieli

skwadrować; cięte w ogrodach drzewa, strzyżone szpalery, były próbką tego pokuszenia.

We Francyi niéma poetów, bo niéma żywiołu poetycznego; niéma tam również wybitnej narodowości, bo ona jest także kołem. Brak kardynalnych przymiotów serca, nie spaja węzłem miłości braterskiej wszystkich warstw narodu; tam znajdziesz klasy, ale nie naród; koterye, nie towarzystwo; niéma tam zwyczajów, tylko moda; niéma obyczajów, tylko przestrzeganie pozorów i bojaźń śmieszności. Dlatego też Francuz jest kosmopolitą większym jak Niemiec; bo ten przynajmniej w ognisku domowego życia, oddaje cześć swoim narodowym bóstwom, i w obcym nawet kraju, nagiąwszy się z łatwością do tamecznych praw i instytucyj, w kółku rodzinném nie przestaje być Niemcem; Francuz zaś przylgnie całkiem do nowój ojczyzny, i z łatwością zostanie Turkiem, Arabem lub Polakiem, od koszuli do sukmany z łatwością przejmie ich zwyczaje i obyczaje, bo nie ma swoich własnych; ale przejmie je samym umysłem, przejmie same formy; będzie to łupina, której napozór nie odróżnisz między orzechami. Wychowaniec miasta nawykłszy wędrować z kamienicy do kamienicy, nie ma on przywiązania do miejsca; coraz to nowe sąsiedztwa, nowe stosunki, nie przywiązują go do ludzi, czynią go tylko dla każdego grzecznym. Przyjmując w stolicy swojej ludzi wszystkich narodów i wszystkich części świata, z interesu i grzeczności giętki umysł z łatwością nachyla do zwyczajów swego gościa; a że ich zawsze pełno i różnorodnych, więc sam żadnych stale nie zachowuje i co dzień w inną suknię się przebiéra. Tam i w ubiorze, kroje i barwy wszystkich narodów się przewijają i migocą, ale stale narodowego francuzkiego niéma.

Rozum z całym swoim przyborem jest dla Francuza wszystkiém, on drwi z nagany obrażonego serca, a boi się szyderstwa i śmiechu; dla myśli téż, poświęci uczucie; dla systemu, instynkta serca. Wszak on Stwórcę dociekał myślą, i wpadł w ateizm, bo mu w przeświadczeniu nie pomagało serca przecucie. Francya objęła myślą ludzkość całą, lecz serce niedorosłe czyż mogło ją ukochać? — Nie. To téż Francuz jest tylko obywatelem świata. Miłość i chrzest što *Jański* poezyi, nie zmył jeszcze grzechów ojców jego, i nie przygotował duszy do pańskiego przybytku. Francyi potrzeba wielkich poetów, wieszczów: potrzeba samego twórcy, bo potrzeba miłości, nadziei i wiary, wielkiej i czynnej jak jest jój rozum, by została prawdziwie chrześcijańskim narodem.

Brak ten uczucia, brak żywiołu poetycznego, widoczny jest i w narodowych Francyi utworach; zobaczymy go i w tańcach.

Kadryl, kontredans, czyż wyszedł z ludu wieśniaczego, i uszlachetnił się w światlejszych warstwach narodu? — Nie. Ojcem jego stolica: ztamtąd rozsypał się on po miastach, miasteczkach i do wsi się dostał (1). Spójrzjmy na jego układ. Z iluzto on kroków, poz, figur się składa! Wszystko jest pomyślane i ułożone systematycznie, rozumnie, imaginacyjnie nawet; ale czy jest tam poezya? — Nie. Tancerz nie może iść za swoim natchnieniem, formy go kępują; wszystko tam naprzód przewidziane i ułożone; tworzyć tam nie można, tylko ściśle wypełniać przepisy. Do tego tańca potrzeba metrów: nauczyć

(1) *Quadrille* jest skarlatém dzieckiem dawnych turniejów, ztamtąd wziął on swą nazwę i układ, do zabaw stolicy za czasów Ludwika XIV. Obacz wyraz *Quadrille* w *Dict. Encycl. de Charles Saint-Laurent, édit. de Paris 1845.*

się na pamięć i pamięcią się kierować. To jest sztuka klasyczna, ale nie utwór poetyczny! Niema w nim poezji, bo i pierwiastki jego są bez poezji.

Mnóstwo kroków, ruchów, figur, to tysiące intryg. Młodzieniec tańczy z jedną, ale musi mieć naprzeciwko drugą, z boku trzecią i czwartą; z wybraną chwilę tańczy, wnet ją puszcza, by ścisnąć za rączkę drugą; do trzeciej się obraca i szepcze jej na ucho miłosne wyznanie, a w przechodzie wsuwa może słodki bilecik czwartej. Jakażto miłość? oblubionych, narzeczonych, czy małżonków? — Nie. To galanterya dla kobiet, popęd bez względu na związki, uczucie kapryśne, przelotne; coś mahometkańskiego, hiszpańskiego i włoskiego razem, w dziwnej mieszaninie, pokryte poblakłą dworskością dawnego rycerstwa Francuzów. Kawaler bierze się do męzatkki, mąż bałamuci dziewczyny; to nie jawny czyszbejat włoski, ani jawny harem turecki, to Sodoma, na której powiewa chorągiew z napisem: *Sauvez les apparences!* Dlaczegoż to? Bo tam i miłość jak wszystko jest bez poezji; brak w niej prawdy i serca; brak celu na ziemi, brak wiary kochanków w wieczność uczucia i byt miłości pozagrobowy.

Wchodzi do tego tańca i pierwiastek wojenny, ale prawie zatarty; bo z kądże on wpłynął? Nie z życia obozowego dawniej szlachty francuzkiej, ale z paradnych igrzysk, które się skończyły świetnymi turniejami w samych początkach panowania Ludwika XIV, i więcej się nie podniosły; gdyż dawne zbroje rycerzów Francyi, za ciężkie już były dla zmieszczaliej szlachty, i dziecinna szpadka zastąpiła miejsce dawniej broni Franków. Pierwiastek więc wojenny, jako z drugiej ręki, jest prawie dziś niedostrzeżony, i marsowym ogniem nie podnosi tańca.

Wchodzi do niego również pierwiastek towarzyski: napozór zdaje się on być tańcem gromadnym, ale jestże to koło, co obejmuje naród cały, albo cały stan jego? — Nie. To kwadrat. W kadrylu szlacheckim, to partya jakiego możnowładzcy: w kontredansie miejskim, to kraniec lewy lub prawy; w towarzystwie, koterya; to przywilój nie prawo, to opinia, nie zaś przeświadczenie.

Zasadniczą figurą kadryla jest kwadrat, cztery pary; kontredansa, także kwadrat, tylko rozszerzony, obejmujący większą liczbę uprzywilejowanych: zwiększyły się wymiary jego boków, ale figura zasadnicza nie zmieniła się wcale; nie się nie zmieniło tylko nazwa, którą od Anglii pożyczono (1); w rzeczy zaś samej kadryl i kontredans jest jedno i to samo. Ma on 16 kroków, 16 poruszeń, i 6 lub 12 odmian czyli figur. Sama ich liczba szesnaście jest kwadratem z kwadratu. Ileżto kombinacyj z tego wszystkiego! Zapewne. Ale każde poruszenie nóg i rąk, ciała całego, jest naprzód ułożone, przepisane, w niezmiennie prawidła zamienione i pod karą śmieszności zachowywane. Kroki i poruszenia mają wiele gracyi; nie przeczę; ale gracyą trzeba do formy naginać, nie formę do gracyi; tu duch nie tworzy, lecz w dane formy wlewać się musi; niéma więc poezyi, bo niéma twórczości. A figury, mająż poezyą? Są-li one symbolicznym wyrazem narodowej myśli, obrazem zdarzonego wypadku, lub pomnikiem zagasłych zwyczajów? Wątpię bardzo: bo czegoż obrazem może być np. figura le *pantalon* albo *la poule*? Dziwnie prozaiczne nazwy, niczego domyślić się nie pozwalają; układ ich, domysłu

(1) *Contredanse* pochodzi od wyrazu angielskiego *Country-dance*. Ob. *Dict. Encycl. de Saint-Laurent*.

nie wspomozę; sąto hieroglify, którychby sam Champolion nie przeczytał.

Kontredans został tańcem kosmopolitycznym, i znalazł gościnne przyjęcie we wszystkich częściach świata, u wszystkich narodów; ale tylko w warstwach, co się na manier francuzki ucywilizowały. U nas jest on chwilą wypoczynku po hucznym mazurze, lub poetycznej polce, i zastępuje potrosze miejsce dawnych polonezów. To pogadanka i spacer więcej, niżeli taniec; gdyż u nas, nikt prawie ściśle prawideł się nie trzyma, i ledwo piąte przez dziesiąte coś z przemian i kroków się przejawia; figury wszakże są ściślej zachowane, chociaż i tu często ostatnią figurę kończą polką, krakowiakiem i słowiańskim wielkim kołem; i takie zamezcia nierzadko się przytrafiają.

Cancan jest zmysłowem tylko połączeniem słowiańskiej galopady z figurami kontredansa. Francuzi czują gwałtowną u siebie potrzebę poezyi, i nawzajem w naszą stronę się zwracają; ale źle biorą się do rzeczy. Poezji nie stworzą zmysłowem przedrzeźnianiem, bo ona nie ze zmysłów bierze początek; nie przywabi jej młodzież, co w epikurejskich excentrycznościach szuka do niej natchnienia; bo ona jest w blizkiem pokrewieństwie z wiarą, i w krynicach serca, nie zaś w grze zmysłów ma Boskie swe źródło.

2. Tańce polskie.

Żaden może naród nie ma tak pełnych myśli i poezyi tańców, co nasz; bo téż w nasze tańce wpłynęły wszystkie ich pierwiastki i kolisto je wytoczyły. Używanie onych do obrządków religijnych dawnych Sło-

wian w *Bożych stadach*, przy świętach *Łady, Kupały*, któregoś pierwiastku religijnego gromadne processye, pielgrzymki i obrzędy naszego kościoła nie zatarły wcale; dużo pierwiastku wojennego; stosunki płci swobodne, ale pełne wzajemnego poszanowania i powagi, miłość żywa, prawdziwa, z duchową przewagą: wszystko to bezpośrednio i w harmonijnej proporcji wpłynęło do naszych tańców, i wyrobiło je tak liczne, pełne powabu, znaczenia i poezyi.

Tańce u nas od niepamiętnych czasów były w wielkiem użyciu. Oprócz tańców słowiańskich z obrzędami połączonych, o tańcach dworskich za Popiela II wspomina Bielski. Strykowski powiada, że królowa Anna, żona Kazimiérza Wielkiego, tak się kochała w tańcach, iż gdziekolwiek jechała, zawsze koło siebie gromady tancowników wozila. Za Elżbięty, matki Ludwika, brzmiał zamek muzyką i tańcami. Królowa Jadwiga z fraucymerem i dworzany do klasztoru Franciszkanów przybywszy, z Wilhelmem i Niemcami, tudzież poufalszymi z Polaków, w refektarzu piasów i tańców sobie dozwalała (1). Olbracht i Zygmunt August lubili tańce; nawet Stefan Batory na weselu swoim trochę tańcował (2). Za następnych panowań, zwłaszcza przy królowiach francuzkich Maryi Ludwiki (3) i Maryi Kazimiéry tańce były jeszcze liczniejsze, a najbardziej za Sasów (4).

Polonez dawniej *wielkim, pieszym* lub *polskim* zwany (5), krakowiak, kujawiak czyli obertas, szumka, ko-

(1) Hist. Pol. Narusz. T. VII.

(2) Pam. Niemc. tom II.

(3) Laboureur o poselstwie p. Guebriah.

(4) Gry i zabawy Gołębiowskiego.

(5) Obacz niżej przy polonezie.

zak, okrągły; — i wiele innych prowincjonalnych, z użycia wyszłych, lub pochłoniętych ogólnemi tańcami. są to nasze rodzime tańce. Ujrzysz je pod strzechą ludu naszego i po dworach szlachty: tu więcej oglądy i wdzięku, więcej rozwinięcia i powabu: tam więcej prostoty, więcej wrzawy i kurzawy; ale tu i tam jedrność i życie, zwinność i ruch: utwory prawdziwie poetyczne.

Charakter i zwyczaje narodu, układ społeczny i jego dzieje, odbiły się w tańcu.

Gromadność w tańcu (nieograniczona liczba par) to *gromada* Słowian. Przodkowanie jednego (przywileje pierwszej pary) to *głowa* w gromadzie (1). Razem to pszczoły i matka, mistycznej historii; to lud i wojewoda dawnych Słowian; koło rycerskie z hetmanem; to wieś i dwór, to państwo młodzi z weselem.

Cywilizacja rolniczych Słowian tak przeważna uczuciem i serdeczną wiarą, karty swęj historii zapisała szlachetnymi uniesieniami nieogłędnego serca i głębokiej wiary; i symboliczną jęj figurą jest koło od serca wiarą rozpromienione.

Wielkie koło znajdziesz tylko w gromadnych tańcach Słowian; i naszych tańców zasadniczą figurą jest oś i koło (w przodkującym i gromadzie).

Kiedy posłannictwem naszego narodu było, być przedmurzem Europie od napadów Tatarów, i w obronie Chrystusowej wiary, ciągłe boje zwierać, wówczas pier-

(1) *Przodkowanie jednego* w tańcu, zawsze u nas miało miejsce. Rej z Nagłowic powiada także: „patrzayże na pieszczoszki paniey forthuny, a oni się ubiegają ktho ma *pirwszy w tanku poskoczyć*.” (Ob. Żywot poczciwego człowieka, Reja) i w wielu innych autorach widzieć to możem np. w Twardowskiego Bylicy, któregośmy już na początku cytowali; w Pamiętnikach Paska obacz niżej przy krakowiaku i t. p.

wiastek wojenny i w tańcach górował: często bowiem sami tylko mężczyźni tańczyli, jeden drugiemu służąc, jak na wojnie szeregowy rycerzowi (1). Niewiasty jednak nie były całkiem wyłączone z tańców; dzieliły one wspólnie zabawy, jak dzieliły nieraz wojenne trudy i niebezpieczeństwa swych braci i mężów (2). Szlachta przywykła do gonitw za niewiernymi, co także tańcem zwała (3), ruch zamieniła w potrzebę życia. Polowanie,

(1) Widzimy to ze wspomnień niektórych pisarzy naszych, i tak Rej powiada: „Przyszli raz *panięta* w maszkarach przed króla, także czyniąc swój taniec parami; obaczy ktoś średnią parę, w której był pan Wolski miecznik z *drugim* nie pomnę *kim* bardzo *małym* i rzecze: by wiedzieć prawi, co to za para tak bardzo nierymowna; a drugi stojąc podług niego rzekł: zgadnę ja którzy są; a gdy ten za się jął prosić, aby mu powiedział: atoli, prawi, to jest roch, a to piesek” (Wieża i piesek w szachach, albo może kiernos i pies, dwuznacznik ucinkowy; rochą bowiem nierogaciznę zowią).

Pasek zaś w Pam. pisze: „Po wieczery poszedł Szembek w taniec; Żelecki mówi do mnie: *pójdźno mu służyć*.” (Obacz niżej w krakowiaku obszerniejszy wypis z Pam. Paska).

(2) Górnicki w Dworzaninie tom II, k. 419, dając obraz niewiasty jaką być winna, mówi że jęj nie przystoją zabawy męzkie jakoto: robienie mieczem, konna jazda i polowanie (widać, że i do tego niewiasty nasze rękę przykładały). O tańcu tak powiada: „Ale téż w taniec kiedy pójdzie (które jest jedno przystojne białej głowie ćwiczenie) nie zda mi się, aby ochotę zbytnią, żartkim skokiem, pochutnywaniem z sobą pokazować miała: ale niechaj tak tańcuje, iżby znać było niedużość jęj i jakąś przyrodzoną pieszczotę, téj ptci bardzo przystojną.”

Tenże sam na k. 477 opisując miłość dwojga osób powiada: „Owo młodzieniec nie mógł jęj dalej wyciągnąć, chyba jeśli mu się czasem z okna widzieć dała, albo iż na weselu (zabawie) szła z nim, jako i z kim *drugim* w taniec.”

(3) Jakób Sobieski kasztelan krakowski, wysyłając za granicę dwóch synów Jana (potém króla) i Marka pod dozorem Orchowskiego, w swojej instrukcyi na piśmie tak mówi: „Doskonalcie się we wszystkiém, co jest pożyteczne; prócz tańca, którego się w kraju z Tatarami nauczycie.” (Obraz wieku Zygmunta III przez Siarczyńskiego).

festyny, zabawy, kuliki, taniec gromadny, wesoły, huczny i pełen życia, były dla niego chwilą wypoczynku i miłej sercu zabawy (1). Taniec i zabawy zastępowały u nas miejsce teatru. W nich jak w zwierciadle nieraz wiernie odbijały się obyczaje i zwyczaje, i zdarzone w kraju wypadki, tém snadniej, że ramy tego zwierciadła były obszerne i co chwila zwiększać się mogły jak okrąg koła, w miarę wielkości promienia. Ponieważ w sprawach narodu, całe koło szlachty wpływ miało; więc i w tańcu, który jest także gromadnym i nie cierpi określenia liczby osób, w jego figurach, wariantach, każdy wypadek, zdarzony czyto na wojnie, czy w radzie, dawał się łatwo uobrazić. I tak gonitwy za Tatarami, odbijanie brańców, wojny z bisurmanami za wiarę: obrona jednego prawowiernego obsaczanego nieraz chmarą niewiernych, zasadzka na nich i tym podobne zdarzenia, powtarzały się w tańcu jak w zwierciadle (2). Ujrzałeś tam również skromne zalecanki młodzieńca do dziewicy, ich wzajemne przekomarzanie się, swobodę w wyborze, zaręczyny, ślub, obrzędy, pożycie i tym podobnie. Tu z każdym rokiem, miesiącem, można było bądź w samym tańcu, bądź w jego odmianach, figurach, odbić zaszły wypadek szybko i dotykalnie; dlatego też teatr sprowadzony przez królów z zagranicy, niechętnie był przyjmowany przez szlachtę (3), która zresztą nie

(1) „Tam albo wieńce wijem, albo tańczujemy,

Trąfi się czasem z Dyaną polujemy.

To są nasze zabawy..... ..

mówi Jan Kochanowski do króla w pieśni XXVIII Dryas Zamiechska.

(2) Ślady obrazów takich widzimy jeszcze dotąd w niektórych mazura figurach i czysto polskich nazwach jakoto: krzyż, odbijany, goniony, młyniec i t. p. jak to bliżej przy opisie mazura obaczymy.

(3) Obacz w Pamiętn. Paska przyjęcie aktorów francuzkich.

skupiała się w stolicy, lecz będąc w niej tylko sejmowym gościem, w czasie zapust od dworu do dworu hucznym kulikiem się zjeżdżała (1).

Kto zna dobrze wszystkie nasze tańce, ich warianty, figury, kto głębiej w nie się wpatrzy, ten i dziś jeszcze znajdzie dużo w nich myśli, i dużo obrazów pyłem czasu trochę zamglonych, z historii i życia naszych ojców i dziadów.

1. Polonez.

.....
 Malowaniem proporzec taki ozdobiony,
 Wziął natenczas od króla Olbrycht przereczony:
 Za tym w trąby i w głośnie bębny uderzono,
 A zarazem i strzelbę ogromną puszczoneo.
 Jako więc piorun trzaska w niepokodne czasy,
 A niebo chmurne huczy, i wruszone lasy;
 Łyskawice z obłoków czarnych wynikają,
 A śmiertelne narody gromu się lękają;
 Taki huk wstał natenczas;—a kiedy król potym,
 Ruszył się z majestatu swego w płaszczu złotym,
 Ruszyli się z nim wszyscy:—tam jako więc rany
 Zefir, na cichym morzu podnosi bałwany,
 Na pierwszym słońca wschodzie, które póki czują
 Łaskawy wiatr, leniwo naprzód postępują,
 Potym za duższym duchem coraz gęstsze wstają,
 A płynąc przeciw słońcu daleko błyskają:
 Tym kształtem ludzie wtenczas z miejsca się ruszali,
 A ku swemu mieszkaniu społem pochodzali.
 Ostatek dnia, biesiady sobie przywłaszczyły,
 I tańce i myśl dobra i dźwięk lutni miły.

(Jan Kochanowski — wyjątek z opisu holdu Olbrychta księcia pruskiego, Rzplitej i Zygmunтови Augustowi na rynku Lubelskim w roku Unii Korony z Litwą 1569 składanego).

Polonez jest bardzo dawnym tańcem; musiał on kiedyś wyjść z ludu, tak jak sama szlachta nasza wyszedł-

(1) Obacz piękny i wierny opis naszych kulików w dziele szan. Ł. Gołębiowskiego p. t. *Gry i zabawy*.

szy z korzenia słowiańskiego ludu, w potężne konary się rozrosła. Poloneza zwano dawniej tańcem *wielkim, pieszym* (1), później *polskim*, wreszcie *polonezem*. Znajdziesz w nim układ słowiańskiej społeczności, wspólną wszystkim naszym tańcom: to jest gromadę i przodkującego. Dawniej pierwiastek wojenny w nim przeważał; tańczyli go naprzód sami mężczyźni: było pochod tryumfalny styranych w boju i sędziwych w radzie mężów, z wspaniałością processyi wiedziony. Później i kobiety do niego wchodziły, ale tańczyły osobnemi parami; w końcu dopiero, gdy taniec ten całkiem się rozwinął i wsiąknął inne swe pierwiastki, mężczyźni tańczyli w parach z kobietami.

Tam już statek; jestto taniec mężów już dojrzałych, senatorów; to też rozmowa jako wizerunek obrad wchodziła do niego i zastępowała pieśni w tańcach młodziej braci. Poloneza zaczynała osoba najpoważniejsza; potem szła para za parą po starszeństwie lub nie; tu wszyscy poważni i równi. To król,—za królem senat. To wielki wąż mądrości, co się wił w rozmaite zwroty, zygzagi, pierścienie! Cudny to był widok: sto par! Pod pachą czapka, w tył wyloty, głowa siwa, podgolona, często porąbana; szli poważnie, posuwisto, jednak nieraz usłyszałeś brzęk szabli, stuknięcie podkówki; ujrzałeś na wpół zgięte przed matroną kolano, a na zawrocie, kiedy w tańcach młodzieży, wpół się biorą i kółkiem wirowym je kończą, tu tylko robili półkole, jakby przypomi-

(1) A gdy koniec półmisków zymą i obrusy,
Znowu bąk z miejsca swego młodzików poruszy,
Z których każdy do swojej ochotnie pośpieszy,
Żeby zaś ponowili wszyscy taniec *pieszy*,
czyli *Polski*, mówi Kasper Miaskowski: Zbiór Rytm.

nek lat młodszych; matrona z prawej strony na lewą przechodziła, i szli dalej prowadząc stateczną rozmowę; aż któryś z braci pomnąc na owo przysłowie o zagrodzie i wojewodzie, kłaśnięciem ręki dobijał się przodkowania, odbijał matronę pierwszej parze, i prowadził *nieskończoność* (1). Poprzednik przechodził do drugiej pary, to jest zchodził w ogólne szlachty bractwo, i tak dalej, aż ostatni wychodził całkiem z koła, jako wdowiec bez towarzyszki, jeżeli nie miał śmiałości odbić pierwszą parę i sam stanąć na czele. Kto zna naszą historią, ten pojmie znaczenie dawnego poloneza; tego wyobraźni niech pomoże piękny wiersz Kochanowskiego, na czele za dewizę położony.

Dziś prawdziwego poloneza już niéma; skosmopolityzował się, i jest tańcem zagranicznych dworów, rozpoczynającym wielkie zgromadzenia i festyny.

Z tańcem poloneza, zaginęła i muzyka jego; znajdziesz ją jeszcze rozsianą w pieśniach ludu naszego, jako złote okruchy dawnych bogactw. Proch wrócił do tej samej ziemi, z której ciało powstało. Jedne tylko polonezy Ogińskiego, choć pełne głębokiego smutku, i Kurpińskiego na marsze wojenne zakrawające, mogą nam dać wyobrażenie dawniej muzyki polskiego tańca.

3. Krakowiak.

Po polonezie co do starszeństwa idzie *krakowiak*. Był on kiedyś tańcem wielkim; tańczył go lud krakow-

(1) Brodziński mylnie utrzymuje, że odbijanie pierwszej pary zjawiało się później i było echem owego *nie pozwalam*; gdyż odbicie pierwszej pary nie zrywało poloneza ani go kończyło. (Ob. art. o tańcach Brodz. w Melitele Odyńca).

ski i szlachta całej Polski. Wyszedł on również z ludu, a przez szlachtę ukształcony, stał się jój ulubionym tańcem; z temiż samemi cechami społeczności słowiańskiej co i polonez, to jest gromadą i jednym przodkującym: był on tańcem młodziej braci szlachty, i między nimi nabrał z czasem charakteru wojennego; tańczyli go bowiem często sami mężczyźni, jeden drugiemu służąc w parę jak szeregowy rycerzowi.

Krakowiak był kiedyś tak powszechnym jak dzisiaj mazur, i zwano go *wielkim*; początku wszakże jego między szlachtą trudno oznaczyć; być może, iż on wszedł do niej i rozpowszechnił się za Kazimiérza Wielkiego, tego króla chłopków, ale nie zdarzyło się nam czytać o tém żadnych napomknień. Pewniej już możemy twierdzić, że go tańczyła szlachta za Jagiełłów. Rej bowiem powiada: „patrzajże na pieszczoszki paniey forthuny, a oni się ubiegają ktho ma *pirwszy* w thanku *poskoczyć* (1).” Wyraz *poskoczyć* nie może się stosować do poloneza, gdyż taniec ten nie był skoczny ale poważny, i zwano go téż *pieszym*; wyraz zaś *piérwszy*, to jest w piérwszą parę, wnioskować każe: iż to nie był żaden z tańców zagranicznych, które za Bony u nas wprowadzono; ale jako mający cechę słowiańską nie był czém inném, jedno krakowiakiem. W drugim miejscu tenże Rej także użył tego wyrazu *poskoczyć*, ale może to ściąga się już do zagranicznych tańców (2). Wyraźny wszakże opis kra-

(1) Żywot poczciwego człowieka cap. VIII.

(2) W żywocie poczciwego człowieka cap. V opisując: *jakięgo ćwiczenia mają życzyć poczciwy rodzice dziatkom swoim*, powiada: „Po tym gdy już téż owa młodość podraść będzie, nie wadzi mu téż podczędzy (poczytawszy) sobie czego potrzeba, nauczyć się y konika osieść, y jako sobie na nim poigrać, a jakoby gi (go) theż czasu potrzeby (w wojnie) obrócić. A jeżeliby mógł i drze-

kowiaka znachodzimy dopiero w Pamiętnikach Paska, który opowiadając iż przeniósłszy się z Mazowsza w Krakowskie, musiał znosić nieraz docinki szlachty co go przybyszem zwała, aż póki kilku nie porąbał w pojedynku, — tak mówi:

„Po wieczerzy poszedł Szembek w taniec; Żelecki mówi do mnie: „pójdźno mu służyć,” (*w parę zamiast niewiasty*). — Odpowiem „dobrze.” Tańczymy tedy aż skoro już Wielkiego poczeli tańczyć, ów (*Kordowski*) stojąc na trakcie (*w pierwszej parze przed muzyką*) począł śpiewać:

Mazurowie naszy
Po jaglanój kaszy
Słone wasy mają
W piwie je maczają.

i tak ową piosnkę kilka razy powtarza; mnie téż już gniewno się uczyniło, wezmę owego Żeleckiego na ręce, tak jak dzieci noszą, bo chłopek był mały (goście rozumieli, że ja to czynię z kochania) i idę z nim, a pomijając Kordowskiego śpiewającego tę piosnkę, uderzę go w piersi Żeleckim; ten padł w znak, a że był chłop srogi jak dąb, dosięgnął jakoś ławy głową, uderzył się w tył i zemdlał; Żelecki téż, bom nim o drugiego ze wszystkich sił uderzył, nie mógł potém wstać i t. d.”

Cały opis tańca i zwrotka śpiewana, jest wyraźnie krakowiak. Pasek nazywa go tańcem *wielkim*; bo on

weczko (drzewce kopija) znieść, thedy y to nie wadzi z nim sobie pcigrać, ręką uważać do pierścionka (w pierścień kopija trafić), albo do czapeczki pomierzyć, a poduczać się z młodu, co by się i na potym przygodziło. Theż mu nie zawadzi czasem z poćciwym a nie z opitym towarzystwem posiedzieć, pomówić, pożartować; bo ztąd y ćwiczenie y zachowanie na potym y znajomość roście. Nie wadzi mu theż czasem pouczyć się y poszyrmować y *poskakać* y na luthence pograć: *wszystko to są pocziwe zabawki*.

wówczas jeszcze był takim, to jest głównym tańcem całej szlachty; zresztą tańce nie brały u nas, jakieśmy to wyżej powiedzieli swęj nazwy od prowincyi ani od kraju. W tym opisie widzimy również, iż pierwiastek wojenny wówczas jeszcze przeważał, gdyż Pasek służył w parę Szembekowi zamiast panny. Z tego również widać, że krakowiak, pomimo przeniesionęj już stolicy do Warszawy i przewagi Mazowsza, długo z mazurem o pierwszeństwo walczył. I dziś jeszcze, chociaż taniec ten ustępując wieńca mazurowi, znikł z dworów szlacheckich, jednak w Krakowskiem i Sandomiérskiem jako w swojęj kolehce, a czasem i w innych prowincyach mieszsa się on do zabaw dworskich, choć pierwszeństwa nie trzyma. W kulikach jednak zapustowych, dotąd jeszcze innym tańcom przodkuje; zwłaszcza gdy kulik weselem krakowskiem do dworów zajężdza.

Prześliczny ubiór krakowski męzki i niewieści, podniesiony wykształconym smakiem i sztuką, śpiewki, wesołość i zjazd gromadny szlichtadą, nadaje kulikowi niezwykłe życie i poezyą.

My sobie jedziem kulikiem;
 I w noc i we dnie,
 Wesole, szalone, przednie.
 Maska nas kryje, a kto chce wiedziéc
 Zkąd my i czyje, to odpowiedziéc
 Śmiechem i krzykiem.
 Szczéra ochota,
 Otwiéra wrota;
 Bo Krakowianki, i pielgrzym stary,
 Żydz, cyganki, uderzą w pary;
 Wrózki, djabli, nie oszusty,
 W puhary.
 Lecim saniami,
 I jadą z nami,
 Wrzawa, śmiech pusty;
 Czy znasz ty polskie zapusty?

Krakowiak jak z ludu wyszedł, tak znowu w lud stopiony, zachowuje się dotąd u wieśniaków krakowskich, z całą swą krasą ubiorów, śpiewek i ochoczego Krakowian życia, szlacheckim wyrobieniem dużo podniesiony.

Co to za życie w tym tańcu! Kilkadziesiąt par, bogato i gustownie ubranych z przodkującym na czele, zawsze zuchem, co to:

Czy to w karczmie, czy w domu,
 Czy to taniec, wesele;
 Nie da bruździć nikomu,
 Zawsze piérwszy na czele!

wali się po odbytych ślubie do karczmy, albo izby ojca nowożeńców. Każda para w pół ujęta splecionemi rękoma, trzyma się szczerze i mocno, jakby z góry galopadą lecąc, obawiała się upadku, i wzajem sobie pomocy udzielała. Cała drużyna świeci się bogactwy krakowskiej ziemi i jej poetyczną strojnością. Słychać zdala śpiew całej gromady w jeden ton zlany (1): jacy, tacy—tacy, jacy, coraz to bliżej i głośniej, aż we drzwiach huknął głos: Wzdycma Krakowiacy! cerwoná cápecká — na cal podkówecká. — Cerwona cápeckaa — na cal podkóweckaa!

Z samėj harmonii słów: *jaccy-taccy — taccy-jaccy* odgadniesz Krakowiaka suto kóleczkami obwieszonogo, który na dobitkę krzesząc podkówkami, szczęk, brzęk wydaje. Ubiór krakowski jaki bogaty i strojny! co za rysunek w wyszyciu, co za rzeźba na pasie, co za krój sukmany, jaka zuchowatość w czapce na bakier z pawiem

(1) Nawet w śpiewach zbiorowych naszego ludu znajdziesz słowiańską zasadę, to jest gromadę i jedność; lud bowiem nasz czyto w kościele, czy na zabawie, nigdy nie śpiewa chórem rozdzielonym na głosy, ale śpiewa *unisono*.

piórkiem, jaka fantazyja i smak w całym ubraniu! A dziewczę? jakie hoże! Czoło wieńcem otoczone, włosy w kosy zaplecione, a w tych kosach co za wstążki! co za barwy na spodniczkach, co za hafty na koszulkach, a gorsety, a buciki!

Któż nie zna krakowskiego wesela, jeśli nie z natury, to przynajmniej z ślicznego baletu: *Wesele w Ojcowie?*

My się wstrzymamy od jego opisu, bo go skrzyłło wymowniejsze w Wiesławie pióro. Nie możemy lepiej wypełnić krakowiaka, jak kończąc nasz opis następującym wyjątkiem z Wiesława:

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi,
Gdy wracał Wiesław z końmi kupionemi.
Z przydrożnej wioski rozlega się granie,
Słychać wesołe pąsy i śpiewanie.
Parskając konie, biegną po gościńcu,
Widać dziewczę przy rucianym wieńcu,
Biją drużbowie w podkówki ze stali;
A gdy wędrowca mile powitali,
Tak rzekł starosta zarządca wesela:

„Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela!
Witajcież do nas wy z proszowskiej ziemi!
Nie chcecie gardzić dary ubogiemi,
Pożyjcie z nami, czém tu gospodarzy,
Wdzięczna prac rola i dobry Bóg darzy.
Napatrzycie się krakowskim dziewczęjom,
Wymyślnym tańcom i precudnym strojom;
Wreszcie i w tany sunąć nie zaszkodzi,
Bo choć strudzeni, widzę żeście młodzi.”

Na to Halina przystępuje młoda,
W całym weselu najpiérwsza uroda;
Wstydzi się, wstydzi, jednak przed nim staje,
Ciasto z koszyka i owoc podaje:

„Obcy wędrowcze! jużci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!”

A przytém uśmiech jakiś uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy;
I zwrócił tyle, że odtąd jedynie,
Okiem i duszą został przy Halinie.

Wchodzi do izby na wesołe tany,
Z kubkiem od družbów Wiesław powitany;
Potém starosta, zarządca wesela,
W te słowa družbom porady udziela:

„Jużci pierwszeństwo zostawcie obcemu,
Niech idzie w tany, niech téż po swojemu,
Skrzypkom zanuci, dziewoję wybierze,
Bo z obcym trzeba uczciwie i szczerze.”

I wybrał druchnę, której wdzięk uroczy,
Zwrócił na siebie wędrownika oczy.
Naprzód wychodzi, przed muzyką staje,
Halina w płasach rękę mu podaje;
Za nim się w koło młodzieńcy zebrali,
Nuca i biją w podkówki ze stali;
Wiesław się za pas ujął ręką prawą,
Zagasił wszystkich poważną postawą;
W skrzypce i basy sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie.
Halina płasa z miną uroczystą,
Oburącz szatę ujawszy kwiecistą;
On tupnął, głowę nachylił ku ziemi,
I zaczął nucić słowy takowemi:

„Niechże ja lepij nie żyję
Dziwczę! skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje.
Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy,
Serduszko do ciebie!”

Bierze Halinę, i tak wokoło,
Przodkując družbom, tańczy wesoło;
A gdy ku skrzypkom znowu powróci,
Staje i w płasach tak dalej nuci:

„Czemuż ja w proszowskiéj ziemi
Małe zznał dziecię,
Byłbym między krakowskiemi,
Najszczęśliwszy w świecie.
Krew nie woda ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi.”

Halina w płasach przed nim ucieka,
On w ręce pleszcząc goni daleka;

A gdy dogoni, z ujętą wróci,
 Staje i w płasach tak dalej nuci:
 „Nie uciekaj ptaszku luby,
 Moje sto tysięcy!
 Dogonię ja mojej zguby,
 I nie puszcze więcej.
 Krąży słowik w szumnym lesie,
 Gałązek się czepia,
 Aż dognany piórka niesie,
 Gniazdeczko ulepia.”

Sam teraz w płasach przed druchną stroni,
 A ona za nim poskocznie goni,
 I dogoniony, gdy znowu wróci,
 Staje i w płasach, tak przed nią nuci:
 „Gospodarzu nie dasz wiary,
 Jak konie opłace,
 Wydałem ja twe talary,
 Moje serce tracę.
 Grajcie skrzypki! bo się smuce,
 W oplakany stanie,
 Z konikami ja powrócę,
 Serce się zostanie.”

Dłoń mu podała, a on wokoło,
 Przodkując družbom tańczy wesoło;
 A gdy do nowej piosenki stanie,
 Skrzypek drzymiący zakończył granie.

Na to Halina zapłoniona cała,
 Między teścine za stół uciekała;
 Wiesław staroście i matkom się kłania:
 Słychać wokoło pokątne szemrania.

Długo się Wiesław gościnnie weselił,
 Już się też dzionek nad górami bielił;
 Pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie,
 Wciąż mając w uszach i śpięwy i granie;
 W sercu niepokój, a myśli jedynie,
 Krążą niewolnie przy pięknej Halinie.

Muzyka krakowiaków jest wesoła, żywa, strojna i bogata, tak jak lud pełen życia i zasobów; jak ziemia krakowska ze swemi górami, kopalniami, żupami, pszenicą i stolicą. Lud się stroi w kruszce, bo je ma w licznych kopalniach; w cienką wełnę, bo ją ma w pięknych

owcach; wdzięczna ziemia obdarza go sławną na całą Europę pszenicą. Ma on dosyć roli i soli, łąki i mąki, są tam ryby i grzyby; czegoż więcj trzeba? Więc nie dziw, że góruje nad ludem innych polskich prowincyj życiem i wesołością w swoich zabawach i śpiewach.

Nie jedna nuta krakowiaków sama z siebie tak piękna, posłużyła wykształconej muzyce, za osnowę do prześlicznych utworów; symfonia Dobrzyńskiego, krakowiaki Wysockiego, są dowodem, co z niej zrobić można.

3. Mazur.

Mazur jako taniec szlachty naszój, zdaje się nie sięga dalszych czasów, jak panowania Zygmunta III; to jest epoki, w której stolica Rzplitej do Warszawy przeniesioną została; wówczas bowiem Mazury, jak niegdys Kra-kowiacy górę w narodzie trzymać zaczęli. Od ludu wyszedł ten taniec (1), ale między szlachtą wyrobiony i dojrzały; szlacheckiego życia, historyi i zwyczajów stał się odbiciem. Tańczono go już za Jana Kazimierza jak można wnosić ze słów Paska (2); wówczas jednak

(1) I dziś po wsiach Mazowsza można napotkać taniec do mazura podobny; lud go zowie *drobnym*, a w Płockiem *wyrwasem*; w ogóle jednak rzadko on bywa głównym ludu tańcem; rozpoczyna tylko obertasa.

(2) „To téz jako owo Mazurowie śpiwają: cztery dzieweczki, za korzec sieczki.” Może to był *wyrwany*, który z opisu Paska, podobny jest do mazura; krésłąc bowiem jedną bitwę ze Szwedami, tak się odzywa: „a że im nasi faldów mocno przyciskają, i coraz z lasa wymknie się chorągiew, właśnie jak kiedy owo *wyrwanego* tańczą, poczęła starszyzna uciekać, a wojsko téz poszło w rozsypkę.” Oprócz podobieństwa opisu tego z mazurem, mniemanie nasze potwierdza i to jeszcze: że dotąd w Płockiem między Kurpiami jest taniec zwany *wyrwas*, zupełnie do mazura podobny; oraz że tańce nasze nie brały swój nazwy od prowincyi, ani kraju.

jakeśmy to wyżej widzieli, krakowiak pierwszeństwo w tańcu trzymał.

Dawniej i w mazurze śpiewki zastępowały miejsce dzisiejszych figur, które jako pomysł francuzki, co sam wyraz pokazuje, zdaje się iż dopiero za królewien francuzkich Maryi Ludwiki (1) i Maryi Kazimiéry (2), do tańca wpłynęły. Gallicyzm wszedł więc i do naszych tańców, tak jak wszedł do zwyczajów i wyobrażeń; tu i tam zwichnąwszy samodzielność naszą, pchnął jednak na drogę postępu i obszerniejszego myśli rozwoju.

Mazur pochłonąwszy poloneza, krakowiaka, trochę gallicyzmu, dziś na nowo wsiąka w siebie w obertacie pierwiastek ludowy; widać to nietylko w samym tańcu i figurach jego, ale nawet w muzyce, której część druga była niedawno tęskna, żalosna; dziś zaś ma w sobie dużo obertasa. Żywioł więc ludowy, znacznie go teraz podsyca, a karmiąc go na nowo rodzimymi sokami, rodmuchuje w nim ogień, który topi wszystkie pierwiastki i wydaje taniec jednolity. Mazur dziś nawet słusznie już może nazwać się wielkim tańcem; tańczy go bowiem szlachta wszystkich prowincyj i tańczy go lud po wsiach.

Cudzoziemiec nie odda go dobrze; bo krok mazura nie cierpi ścieśnień prawidłowych; on potrzebuje swobody: trzeba go improwizować, tworzyć, więc trzeba mieć ducha miejscowości, trzeba być synem i wychowawcem tej ziemi naszej, by pięknym tchem piękną formę utworzyć.

(1) Marya Ludwika Gonzaga, żona Władysława IV później Jana Kazimiέρza.

(2) Marya Kazimiéra z domu markizanka d'Arquien de Bethune wdowa po Zamojskim, żona Jana III.

Do mazura wchodzą wszystkie tańca pierwiastki. Dużo w nim jest pierwiastku wojennego; sam krok jego przedstawia nam dobitnie jeźdźca hasającego na koniu: tupanie nogą,—to bicie niecierpliwego rumaka; hołubce,—to spinanie ostrogą; a żywy, więcej skoczny jak posuwisty krok tańczącego,—raz cwał, drugi raz kłusa, to znowu stępo, oznacza; poruszenia głowy, to jest toczenie rumakiem. Jeździec raz zręcznie zawraca, to znowu rozbieżony na miejscu osadza, zatrzymując się nagle podkówką w takt palnąwszy.

Młodzieniec trzymając dziewczę prawą ręką, lekko ją za sobą unosi, jakby na koniu uprowadzał; ona zaś trochę się ociąga, tocząc walkę miłości z przyrodzoną kobiét naszych wstydlivością; nareszcie po niedługiej podróży, rycerz wpół ją chwyta i zakończy kółkiem wirówóm,— znak połączenia, — dokonanych ślubów, — to kółko rodzinne! Jest więc w nim i pierwiastek miłości w trzech przechodach: jako oblubieńców, narzeczonych, i połączonych; z wyraźną wszakże przewagą poetycznej Słowian miłości narzeczonych.

Gromadne zacęcie, wielkie koło, przodkowanie jednego, to pierwiastek towarzyski, zasada społeczeństw słowiańskich. To są także *korowody* i tak zwane *Boże stado* religijne dawnych Słowian pogańskich.

Figury mazura mają nieraz symboliczne znaczenia, i są wizerunkiem: bądź zdarzonego w narodzie wypadku, szyku bojowego, stoczonej walki; bądź pochłoniętą częścią dawnego lub obcego tańca; przypominkiem wygasłych już obrzędów lub zwyczajów; wzajemném przekomarzaniem się młodzieży płci obojga, czasem trudnym hieroglifem do przeczytania, albo téż tylko pięknym rysunkiem tańca.

W mazurze, jak poruszenia młodzieńca płyną z natchnienia i są odbiciem indywidualnego charakteru, tak również figury, nie są jak w francuzkim kadrylu naprzód ułożone i konwencyjonalnie przestrzegane, ale są zostawione woli przodkującego; tu i tam poezya i twórczość. Może on dowolnie dawne figury wskrzesić, albo nowe utworzyć, zmienić co, lub dodać; swoboda najzupełniejsza; inne tylko pary muszą ściśle przestrzegać przetańczonę przez wodza figury; gdyż inaczej ubliżyłyby prawu i obowiązkom. Ten jedyny przymus, jeżeli go tylko tak nazwać się godzi, łagodzony jest tém zazwyczaj: że rej w tańcu wiodący, bywa naprzód za zgodą powszechną obrany z młodzieży pełnej ducha i najlepiej tańczącej; albo téż kiedy kto poczuwając się na siłach, śmiałością i szybkością, sam dobije się tego przywileju, co się rzadko dawniej zdarzało; to wówczas biorąc na siebie odpowiedzialność dobrego poprowadzenia mazura, dogadza jednak wszystkim, w ołmyśleniu ochoczych i do smaku figur. Taki zazwyczaj, dla złagodzenia szemrań, zamawia sobie naprzód do tańca: bądź gospodynią domu, bądź mężatkę jak teraz, albo téż najpiękniejszą dziewczę.

Od przodkującego dużo zależy; on nadaje życie i barwę tańcowi.

Jeżeli gospodarstwo szczerzy i gościnni, muzyka dobra, dziewice ładne, a przodkujący zuch, to się taki mazur wali, że aż dusza rośnie:

Hejże chłopcy, hejże ha!
 Póki wiosna życia trwa,
 Hopa, hopa, hopa dalej,
 Patrzenie jak się mazur wali:
 Bo mazury krzeszą z góry,
 Aż patrzeć nie żal!

Muzyka urzęła mazura. Tu wszyscy od razu zbiegają się do koła. Wielkie koło wszystkich obejmuje. W kole niema szczebli, niema początku ni końca. Wszyscy trzymają się za ręce jedną pieśnią ozywieni. To koło rycerskie.

Koło się kręci, kręci, aż rozprysnie się na sto kółek osobnych; każda para wiruje; rzekłbyś słońce na tysiąc planet się rozbiło, a każda planeta krąży w przestrzeni; albo téż pszczoły, co świeżo z ula się wyroiły i na matkę swą czekają! Gdzie słońce? gdzie matka? Słońce i matka to pierwsza para!

Któż dowodzi? To pan Szczepan z panną Anną, córą zacnych gospodarzy. No Szczepanie, dalej w tany! Szczepan pędzi, tnie podkówką, w ziemię wali, za nim Jasio i drużyna, ale jaka! Leca, pędzą, robią *koła, wielkie łuki, różne wieńce i koszyki* (1).

Potém Jan z Maxymem tańczą, i *krakowską* tną figurę; chociaż każdy miał dwie panny, lecz o jedną się sprzecają, w srodku sali je rzucają; sami młynćem się probują, kto mocniejszy. Jasio przemógł. Wziął Maxyma, lecz by czyny swe uwieńczyć, więc go krasnej stawiał pannie; dwoje dziewcząt oddał innym, a sam z czwartą rej prowadził.

Potém Karol ze Stefanem, cuda w tańcu wycinali; to *goniony!* to *zwodzony!* Potém znowu Jan z Kazimierzem wielkim *krzyżem* taniec wiedli. Aż nareszcie pan Tadeusz brat rodzony gospodyni, taniec skończył *wielkiem kołem*, bo wieczerzą mieli dawać: ale jaką? we trzech daniach!

* * *

(1) Znane figury w mazurze. Figury w mazurze często nazwy nie mają, ale je każdy z tańczących zna, lub szybko pojmie.

Opisane wyżej figury, jak z samej nazwy wnosić można, są: powtórzeniem wybiegów i sztuk na wojnie używanych, chociaż dziś w wielu miejscach skrzywiono ich znaczenie.

W mazurze, charakter każdego jak oliwa na wierzch wychodzi. Przypatrzyć się jak tańczy, a odgadniesz czy on żwawy, czy niemrawy, czy ma ducha, lub czy tchórzem podszyty. — A dziewice? wszakże znacie!

Bo i cóż to tam za żywość,
 Młodych Polek i uroda!
 Tam wstyd szczery, tam poczciwość,
 Tam po Bogu dusza młoda!
 Boć to w cnocie i szczerocie,
 W wiejskim domku uchowane;
 Wypieszczone, umuskane;
 Niby dumne i dostojne,
 A potulne jak trusiątka!
 Niby dworne a pokorne,
 Jakieś takie bogobojne,
 Jakby jakie niebożątka!
 Myśl ich cicho w życiu świeci,
 Lubią pieśni, tańce, dzieci...
 Gdy wesole, istne trzpiotki,
 I wiewiórki i szczebiotki!

W mazurze choć jedna muzyka, każdy pędzi jak na harce, jak mu się spodoba, byle żwawo, byle w takt. Jeden pali hołubce, drugi tnie podkówką, trzeci pędząc na miejscu osadza. To Mazowska równina, na równinie rumak sadi!

A jakie to koperczaki pali chłopak do dziewczyny! Wziął ją z koła: lewą ręką, prawą trzyma, podkówkami ogień krzesze; spojrzysz w oczy: miłość w sercu, ogień w duszy! Biegną—pędzą—ona za nim się ociąga—niby nie chce—niby żąda; na zakręcie tamten staje—mru-ga—prosi—o serduszko ładnej Tosi: ona nie chce—czy udaje—na paluszkach się wykręca, koło toczy na-

około,—to obwódka czarodziejska! Stój zaklęty! Sta-
nął wryty. Tańczy z drugim: drugi prosi i zaklina; oj!
filutka to dziewczyna! — rzuca rękę, klęczyc każe — pa-
jęczyną go osnuwa; od pająka zmykaj mucho! O! już
nie czas. Ona biegnie do trzeciego, biegnie — stawa —
czegoż stawa? Wodzi zwrokiem — napotkała łązą zabie-
głe oko Jasia. Cóż ci Jasiu? wzrokiem pyta. On na brań-
ców okiem rzuca — jakby wyrzut chciał jój czynić. O! nie
zazdrość tego drogi! porzuć żale, porzuć trwogi! i z uśmie-
chem rękę daje: on z radością rączkę chwyta, i hołubca
tnie z kopyta. Radość w oczach, śmiech na usta — wy-
wołuje Tosia pusta. Ach ósemkę my zrobimy! Bie-
gną — pędzą — w pół się wzięli; lecą wirem, i wirują na-
około stojącego — naokoło klęczącego. Przystanęli. Do-
syci męki! i dotknięciem małej ręki — uwolnienie brańcom
daje. Ten się wzrusza; tamten wstaje — lecz choć wolny,
losy łaje! Nie dla Stasia ani Wosia — krasna, luba, miła
Tosia!....

* * *

Znowu mazur! Basia w kole, — naokoło wieniec młodzi.
Cudny widok! Najpiękniejsze dziewczę stoi, żywą tęczę
opasane; raz poblednie — znowu spleonie. Nie wypuścim!
nie wypuścim! aż wybierzesz z nas jednego, i wesoło da-
lój wkoło! Ona oczy swe podnosi — nic nie widzi — tyl-
ko muru czarne ściany, tak się koło rozpędziło. Ha!
przepiórko, i tyś w klatce! No! wybiéraj z nas jednego;
wszystkich dręczyć już nie można. Weź jednego, wów-
czas w parkę, wylecicie przez tę szparkę. Spięte ręce
w górę wznoszą, i znów szybko je spuszczaają. Basia pa-
trzy — nic nie widzi; widzi wszystkich i żadnego — ani
Stasia — ani Jasia.... co tu począc?... O! poczkajcie! Kie-
dy zginąć, to już z chwałą.... i wyrzuca rączką małą —

chustkę w górę. „Kto ją złapie, z tym ja biegnę.” Jakby laską czarodziejską—koło przysło—podskoczyło—nad jej głową łuk zrobiło. Zaczém Basia chyłkiem w nogi! Na sto koni nie dogoni—o! pogoni i dogoni—lotem orła Stasio drogi!

* * *

Mazur, to taniec młodzieży: tu ani mówić można, ani nawet śpiewać; czasem tylko daje się słyszeć okrzyk: hop! hop!—hu ha! W polonezie rozmowa była wizerunkiem obrad; lud zaś w tańcach śpiewa, bo zajęty wyłącznie rolą i życiem rodzinném, zawodząc piosenkę przy pługu, zawodzi ją i w tańcu; lecz z mazura pieśń usunięto: tu już nie dźwięk słowa jest ciałem myśli, ale figury—więc czyn—działanie.

Pieśń wszakże z nutą mazura, choć się od tańca odzieliła, przecież nie zginęła; owszem stała się ulubioną formą naszych śpiewów i uczuć skarbcem. W nucie mazura wylewa się miłość oblubieńców i nadzieja połączenia; żale i troski; z niej także płynie balsam pociechy i powiewa wsi rodzinnéj miłe powietrze....

Mazurki Szopena choć bez słów, nie są jednak do tańca. Jestto śpiew bez wyrazów, lecz nie bez myśli i uczucia. To apoteoza czysto szlacheckich mazurów. Drugie zaś, jako mające dużo obertasa w sobie (wprowadzenie pierwiastku ludowego do mazura, Szopenowi się należy) są raczej pieśniami wieszczego marzenia, niż nutą pod słowa lub taniec.

W tymże samym rodzaju przesłiczne są mazury księcia Lubomirskiego, Dobrzyńskiego i niektóre Kolberga.

Z mazurów do tańca najlepsze są Nowakowskiego, Łodwigowskiego i Kurzątkowskiego; zamykają one szereg czysto-szlacheckich mazurów do tańca. Obertas, do-

piéro od lat kilku wpływa silnie do nuty mazura; lecz jeszcze nie wywołał prawdziwie pięknego utworu.

4. Obertas.

Pomylił się Brodziński utrzymując (1), że lud nasz obertasa przejął od Niemców, i że ten wyrodził się w rodzaj niezgrabnego walca. Brodziński który pierwszy dopatrywał głębszej myśli w tańcach, a raczej jako piewca ludowy, przeczuwał w nich piętna historyi, cywilizacji i społecznego układu, snadź nie zadał sobie należytej pracy by rzecz tę gruntowniej zbadać. Lud nasz nie bardzo sympatyzuje z Niemcami. Obertas z walcem mają chyba to tylko wspólnego, że jako odosobnione kółko, jest obrazem rodzinnego tylko koła, gdyż i on duchowe swe życie skupił w ciasnych granicach rodzinnego uczucia i w pracy około roli; ale się wszakże ogromnie różni od walca, samoistną muzyką; charakterem tańca, a nawet jego układem. W obertasie bowiem jest ta sama, co i w innych naszych tańcach, zasada słowiańskiej społeczności: to jest gromada i przodkujący, tylko nie tak wybitna i wyraźna. W oberku nigdy jedna para nie puści się osobno w taniec. Zawsze jakiś Bartek staje na czele i czeka na gromadkę, lub gromada na Bartka; który wpół ujęty ze swoją dziewczoją, prowadzi cały taniec jakby mazurem, którego lud *drobnym* nazywa. Obszedłszy w polonezowej processyi całą izbę, lub obiegłszy ją skoczniejszym krokiem mazura, nachyla głowę z zadumą jakby sobie coś przypominał, i mijając grajka co wyrzyna na skrzypcach, wykrzykuje dopiéro he ha! i puszcza się młynkiem w oberka na lewo, a cała drużyna za nim;

(1) Ob. Melitele, pismo czasowe przez Odyńca wydawane.

potém nagle przed muzyką stawa, dawszy około swéj dziewy ogromnego susa, i całą gromadę zatrzymuje. Czasem jak w krakowiaku coś zaśpiewa np.

Oj zwracaj od komina,
A uważaj której niéma,
Jest tu Kachna i Maryna,
Tylko twojej Basi niéma!

He ha! i znowu dalej młynkiem w tany. Często znowu, w samym tańcu nagle z lewéj w prawą stronę się zwraca, a cała gromada tym zwrotem nieraz potężnie uderzona, czas jakiś się miesza, przystaje, i dalej za Bartkiem na prawo; ale nigdy żadna para nie opuści gromady w środku tańca, choćby się na śmierć miała zatańczyć.

Obertas nietylko tém się różni od walca; różni on się także samym wirem: w walcu bowiem mężczyzna z kobietą razem się wkoło obracając, posuwają się po linii prostéj, owalnéj lub kulistéj, i mężczyzna zawsze i wszędzie kobietę prowadzi, zawsze jest osią i słońcem, ona kołem i planetą; w obertasie zaś odbywającym najczęściej drogi koliste, raz kobiéta obraca się koło mężczyzny, drugi raz mężczyzna koło kobiety; raz on jest osią, drugi raz ona. Doskonałe pojęcie wzajemnych praw i obowiązków! Tu władza między małżonkami podzielona: on jest panem w robotach gospodarczych, ona zaś panią w zarządzie domowym.

W obertasie ludowym błakają się wszystkie nasze tańce; boć to źródło z którego one wypłynęły; przeważa zaś rodzinne tylko kółko dla wiadomych już przyczyn.

Muzyka obertasów jest jędrna, ognista i pełna skupionego życia; jest ona obszerniejszą od mazura, bo po nucie obertasa doskonale tańczyć tamtego, po nucie zaś mazura nie zatańczysz oberka, chyba gdy w niej przeważa jego pierwiastek i charakter.

Schwycono téż te skarby do oświeceńszéj muzyki, i są one podstawą i wątkiem do prześlicznych utworów. Pieśni ludu są tém dla miejskiéj {muzyki, czém mléko z piersi matek ludu dla dworskich i miejskich dzieci.

Szopen, Dobrzyński, Miączyński i wielu innych, a najwięcéj Kolberg, szczęśliwie użyli obertasa za osnowę swoich utworów. Obertasy wszakże Kolberga (1) są najpiękniejsze, bo najbliższe źródła. I nie dziw: niezmodowanemu zbieraczowi muzyki ludowéj, łatwiéj przyszło niż komu innemu przejąć się jéj duchem i stworzyć coś prawdziwie pięknego i porywającego. Nam, co muzykę samém tylko sercem pojmujemy, pieśni i obertasy ludu mają niewypowiedziany powab. Tak tam wszystko oddycha wiosenną świeżością i wiejskim powietrzem, życiem pełném serdecznój szczéroty, i zwięzłego ognia: ze radzi nadstawiamy ucha, tym prostym ale pełnym poetycznego natchnienia, acz nieraz szorstkim utworom, i przekładamy je często nad kompozycyę oklaskanych mistrzów. Jako więc miłośnicy muzyki, choć nie jéj znawcy, możemy tylko oddać hołd wdzięczności tym, co jak Kolberg czystą i wiernie ujętą pieśnią, albo zwawym w większe koło rozpromienionym oberkiem, do naszych serc przemówią, i przypomnieniem wiejskiego życia, hałas miasta i sztucznie pogmatwaną muzykę, choć na chwilę z ucha nam oddalą.

* * *

Oprócz opisanych wyżej tańców naszych, są jeszcze inne w użyciu, tak po dworach jako téż u ludu; między

(1) Wyszło ich trzy zeszyty pod tytułem: *Kujawiaki*, nakładem Spiessa i komp. w Warszawie. Krytyczny ich rozbiór przez Sikorskiego, znajdziesz w Bibliotece Warszawskiej, tom I, z r. 1846.

innemi taniec *okrągły*, w którym się zbiegają wszystkie nasze tańce. Zaczyna się on polonezem, dalej idzie krawkowiak, mazur i obertas, wkońcu znowu polski. Lecz taniec *okrągły* jeszcze mało gdzie pojęty i w życie wprowadzony, choć z pięknym zarodkiem myśli, jako dotąd nie wyrobiony, nie może być przedmiotem naszego rozbioru i opisu; jestto bowiem płód niedonoszony i jedną duszą nie ożywiony; w wielu zaś miejscach w samym zarodku skrzywiony i sparodyowany.

Drabant, zaczyna się poważnym marszem, jakby dla dosadniejszego wydania wybryków wesołości, które się w następstwie okazują; idzie potem obertas ze wszelkimi popisami zuchowatej i w czubku mającej młodzieży, pod koniec zabawy zwykle go tańczącej. Prócz samej nazwy, ma on w sobie coś wojennego i hulaszczego, jakby on taniec, o którym mówi Dyalog (1):

Ey! tożby rad poskoczył by nie ludzkie oczy;
 Hoyże, bre, bre, tała, drysz drysz brezylia,
 Głowa w czapce, noga w bucie, na sukni delia!

Na tém kończymy naszą charakterystykę tańców.

Niebogaty plon, lecz własną choć niewprawną ręką zebrany, i w jeden kul jako tako związany, chętnie niesiemy w darze tańczącej młodzieży płci obojga, w przekonaniu: że wesoła drużyna z życzliwością go przyjmie, zmrużonym okiem licznego kąkolu nie dostrzeże, i pożytek nawet z niego wyciągnie. Bo jeżeli ze snopka tego młodzież czyste ziarno wybierze, na żarnach je zmięle i weselny sobie korowaj z niego upieczę, słomę na koszyki i przewiąsła do lepszych snopów wplecie, a resztą chwastu w czasie święta sobótki ogień podpali i wesoło wkoło niego wieńcem weselnym zatańczy; to klasnę w ręce i powiem sobie: i mój snopek na coś się przyda!

(1) O Stacyi. Dyalog żołnierza z Teologiem z r. 1624. Ob. Hist. Lit. Wiszniewskiego. Tom VII, k. 161 i 162.

O ŻYCIU

I PISMACH DOMINIKA LISIECKIEGO.

Jest w literaturze naszój okres, lat trzydzieści zawierający, który same tłumaczenia i naśladownictwa zapelniają; a jeżeli zjawi się jaki utwór oryginalny, to i ten ze swego ducha i kształtu, tak jest naśladowniczym, iż prawie nie stanowi wyjątku.

Starsi pisarze naśladowali i tłumaczyli poetów łacińskich; młodszy czerpali wyłącznie z literatury francuzkiój; dwóch lub trzech tylko, i to dopiero przy końcu okresu, przekładać zaczęło Anglików i Niemców. Okres ten, zakończył się między rokiem 1824 a 1825. Wtenczas powstały i wykształciły się nowe talenta; literatura otrzymała nowy popęd i dążenie: owocześni pisarze i tłumacze, prędko zeszedli z widowni literackiój, a płody kilku znakomitych wieszczów, świetniejszy blask rzuciły na odrodzenie się poezyi polskiój.

Ten okres naśladownictwa i tłumaczenia, obejmuje pisarzy, może zanadto uwielbianych z początku, a teraz skutkiem zwyczajnej reakcyi, zanadto zapomnianych, a nawet niesprawiedliwie ocenianych przez terażniej-

szych krytyków, którzy, w chwalebnej może, ale wzbytecznej gorliwości, uważają tę epokę za straconą dla naszego języka; a zamiast przyznać, że ona była nieuchronną wynikłością kolei i stanu kraju naszego, że była epoką przejścia do wyższej sfery, gniewają się na pisarzy ówczesnych, za złe im poczytują, że byli tłumaczami i naśladowcami, a nawet ich obwiniają, że przez te prace swoje, opóźnili postęp literatury ojczystej.

Im bardziej oddalamy się od téj epoki, tém bliższa jest ta chwila, w której znajdzie się bezstronny i żadnymi względami niehamowany sędzia, który naszym autorom zasłużone miejsce naznaczy. On wskaże, że wszystkie wypadki w życiu narodu, czyto jego dziejową, czy naukową stronę uważać będziemy, są w ścisłym i nieuchronnym związku z przeszłością; tak dalece, iż można by nawet z matematyczną pewnością obrachować ich następstwa. Takito bezstronny sędzia, nie odrzuci z pogardliwém milczeniem, albo z jaką szyderską wzmianką prac tych pisarzy, którzy przez długi czas zastępowali przekładami, brak oryginalnych tworców; skarby obcych narodów przystępnymi czynili dla współziomków swoich, a czystym i harmonijnym wiérsem, wykonywając tę pracę, zachęcili może i wywołali, z grona ówczesnej młodzieży, nie jednego z następnych oryginalnych poetów.

Już przy końcu tego naśladowczego okresu, żył i pisał zmarły w roku przeszłym, Dominik Lisiecki, którego pamięci i pracom literackim ten artykuł poświęcamy. Głównie zajmował się tłumaczeniami. Przekład Nieszporów sycylijskich, tragedyi Kazimiérza Delavigne, i Dumania poety Lamartina, ogłoszone drukiem. Dał na scenę warszawską, tłumaczenie komedyi Delavigne: „Szkoła Starców” i komedyą przełożoną z francuzkiego „Niestaly.”

W rękopismach zostawił przekład tragedyi „Śmierć Cezara” Woltera, na teatrze Wileńskim, w r. 1821 grany, i Polieukta tragedją Kornela. Oprócz tego, był tłumaczem i naśladowcą kilku pomniejszych sztuk teatralnych, zalecających się dowcipnemi i lekkimi śpiewkami. Należał w czasie między rokiem 1819 a 1821, do wydawania peryodycznych pism: „Tygodnik Polski” i „Wanda”, pospołu z Brunonem hr. Kicińskim, redagowanych. Dowcipny i zabawiający w owym czasie Warszawę „Momus” Żółkowskiego, w sposobie dodatku, przy obu tych pismach wychodził.

Przekłady: Nieszporów sycylijskich, Dumań poety, i Szkoły starców, stanowią główną Dominika Lisieckiego zasługę, i mieszczą go wrzędzie znakomitych naszych pisarzy; wierność tłumaczenia, czystość języka, moc połączona z gładkością, są ich znamieniem. Temi zaletami, szczególnież odznacza się przekład Lamartina. Dumania poety, zrobiły wielkie wrażenie we Francyi, i były pierwszym hasłem, do przejścia w literaturze tego narodu, z dawnych form i rutyny ośmnastego wieku, do nowych idei i nowój szkoły. Styl ich świetny, polotny, pełen niezwykłych a zawsze trafnych i pięknych wyrażen i zwrotów. Myśli filozoficzne i religijne, poetyckim oddane językiem, niemałe trudności tłumaczowi stawiały. Lisiecki zwalczył je szczęśliwie. Ta jego praca, już dawno w księgarniach wyczerpana, mało jest znaną tegoczesnym czytelnikom. Przytaczamy z niej obszerniejszy wyjątek, jako dowód pięknego talentu tłumacza.

WIARA.

O niezglębna nicości, ty jedyny Boże!
Którego śmiertelnika rozum pojąć może:

Czemu twa otchłań, ludzi wieczyście nie chłonie?
 Jak mocnym snem na twojém spoczywałem łonie!
 Jeszczebym się z wiecznego uspienia nie zbudził,
 Ni światłem nienawistnym oczy moje trudził.
 Długiéj nocy spokojne kryłyby mię cienia;
 Szczęśliwy! snu bym nie znał, nie znał przebudzenia!
 Lecz żyję—Niebo chciało..... naprózno bym przeczył,
 Tak jest, żyję, niestety!—bym życiu złorzeczył!
 Ta jednak pierwsza zorza, ten jéj promień złoty,
 To niepewne ocknienie wątpliwéj istoty,
 Ten przestwór obcym dla mnie będący widokiem,
 Niebo, które ciekawém zapytuję okiem,
 To próżne zachwycenie, te nadziei zdroje,
 Jeszcze w progu istnienia rażą oczy moje.
 Świecie! w którym żyć będę z przeznaczenia woli,
 Witaj świadku przyszłego szczęścia lub niedoli!
 Witaj święta pochodnio! matko przyrodzenia
 Słońce! pierwsza miłości wszelkiego stworzenia;
 Świetne niebo! mieszkanie Stworzyciela świata:
 Ziemi! kolébko ludzi, w rozkosze bogata,
 Śmiertelny, mnie podobny! ty miłsza z widoku,
 Droższa sercu mojemu, przyjemniejsza oku!
 Witajcie! przez was poznam chwil ziemskich rozkosze,
 Pełnijcie przeznaczenia, serce wam przynoszę.

Jakże ten sen jest świetnym, lecz jest snem, niestety!
 Niedawnom począł zawód, już dobiegam mety;
 Boleść grób mi otwióra, i życie umniejsza:
 Witaj chwilo ostatnia, chwilo najpiękniejsza!

Tak jest, żyłem, przetrwałem doli méj niestatek.
 Zawsze pod krokiem moim każdy zwiędnął kwiatek,

Zawsze igrając ze mną nadzieja niestała,
 W niepewnych mi przestrzeniach szczęście wskazywała;
 Zawsze okrutnej śmierci gorejące tchnienie,
 W ustach moich żywotne niszczyło strumienie.
 Niech inny gdy go w żalu opuści odwaga,
 Chwil zbiegłych, od przeszłości zwrotu się domaga;
 Na zwiedłe kwiaty wiosny niech z żalem spogląda,
 Niechaj życiem powtórném, żyć na nowo żąda.
 Ja zaś, chociażby niebo obdarzyć mię chciało
 Tronem świata całego, gieniuszu chwała,
 Choćby mi los bogactwa z mądrością przeznaczył,
 I w niezmiennej młodości utrzymywać raczył;
 Nie chcę o dzień być młodszym, owszem kończyć wolę
 Pielgrzymkę na tym świecie, na tym łez padole:
 Na tym świecie, gdzie wszystko zniknie i przeminie,
 Gdzie wszystko, pamięć nawet, omdleje i zginie,
 Gdzie wszystko jest niepewném, znikomém, niestałem,
 Gdzie dla dnia pomyślności jutra już nie miałem!

Raz zdradzony istnieniem, w dniach w nieszczęścia pło-
 dnych,

Nazawsze się nadziei wyprzysięgam zwodnych;
 To znów, gdy burzom siły strudzone nie starczą,
 Umysł mój zimnej cnoty zastawia się tarczą.
 Znów go zajmuje mądrość Zenona wątpliwa.
 Wtenczas płaszczem stoickim niemoc swą okrywa;
 Czasem już obojętny, gdy los się nie zmienia,
 By uzyskać spokojność wzywa zapomnienia....

Czém jesteś duszo? ogniu dręczący człowieka!
 Czyli cię dalsze życie i męczarnia czeka?
 Tajemnicza istoto! gdy to ciało rzucisz,
 Do wielkiej dnia pochodni nazad-li powrócisz?

Może jest twojém źródłem silny słońca płomień?
 Możeś ty iskra jego, lub zbłąkany promień?
 Może téż umierając razem z śmiertelnemi
 Czystszy tylko niż oni jesteś płodem ziemi?
 Jesteś gliną myślącą, ożywionym pyłem!
 Lecz co widzę? tą mową znów cię zatrwożyłem.
 Niezdolna zniesć nicości, losom się opierać,
 Niestety! żyć się lękasz, lękasz się umierać!—

Któż cię zdoła odgadnąć straszna tajemnico!
 Tak wielką przenikłością mędrce się nie szczycą.
 Każdy z nich z ułomnością człowieka się rodzi,
 Wysoki więc ich umysł wątpliwość uwodzi.
 Gromadząc iskry światła starożytnych wieków,
 Sokrates chciał ją zgadnąć w wiosnie chwały Greków;
 Nie pokonał trudności i umysł Platona,
 Choć tysiąc lat ubiegło i mój nie pokona: —
 Tysiąc jeszcze ubiegnie, téjże nocy mrokiem,
 Przed późnej potomności kryć się będziesz okiem.
 Trudną prawdę wieczyste zasłoniły cienie,
 Sam Bóg tylko połączy rozpierzchnięte promienie.

Jako! gdy szybkim krokiem ku grobowi spieszę,
 Żadną się już przyszłości nadzieją nie cieszę,
 Duch mój, bez przewodnika, światła i pomocy,
 Przejdzie w ciemną noc grobu, z tego życia nocy?
 W drugi świat, przed najwyższą poniesie istotę,
 Nieszczęścia bez nagrody, bez nadziei cnotę?
 Odpowiedz Boże srogi! jeżeli jesteś w niebie!
 Mam-li nieszczęsne prawo narzekać na ciebie?
 Wyrobnik za trud dzienny, za staranną pracę,
 Spocznie w chłodzie wieczorem i odbierze płacę;

A ja że ciągle walki z nieszczęściami wiode,
Kończąc dni oplakane, w śmierci mam nagrodę!

Lecz gdy tchnący bluźnierstwem, okryty żałobą,
Z okiem na grób zwróconém, łzy leję nad sobą;
Jakby słodkie wspomnienie wiara się ocuca,
Na bladą przyszłość moję blask nadziei rzuca:
Ziębłego w cieniu śmierci ożywia, zagrzewa,
I w ciało wiekiem słabe młodość duszy wlewa.
W blask téj boskiej pochodni cofam się radośnie,
Od jesieni dni moich, -ku jój miłej wiosnie.
Przeglądam bez trudności przyszłość świata ciemną.
Wszystko ścisłym porządkiem łączy się przedemną.
Wskazując mi obecność, cień przyszłości znika;
Za mną bramę nicestwa nadzieja zamyka;
A otwarłszy widokrąg przed okiem zdumioném,
Trudną życia zagadkę rozwiązuje zgonem.

Wiara na mnie niestety, czekała przy grobie!
Pamiętam: w progu życia już ją czułem w sobie.
Nieśmiertelne dziedzictwo, obiecaną ziemię,
Wiek podaje wiekowi, plemieniowi plemię.
Odbiera ją natychmiast z piérwszém tchnieniem dziecię,
Jako błogi dar nieba, jak światło, lub życie.
Ten ogień w serce jego, gdy na świat się rodzi,
Jako pokarm dla duszy z ust matki przechodzi.
W życia jeszcze poranku przejmuje człowieka
Blasku jego pochodnia; rozumu nie czeka.
Drobne dziecię, probując zdolności mówienia,
Już święte hasło wiary wczesnie wyszeplenia;
A chowane przy matce w niewinnój prostocie
Czuje, że wzrasta równo tak w wierze jak w cnocie.

O! gdyby prawda ziemi udziałem być miała,
 Bez wątpienia te proste cechy odebrała,
 Bez wątpienia winnaby, gdy w każdym widoku
 Od młodości naszemu przedstawia się oku,
 Niebieskiego płomienia podobna iskierce,
 Od przedmiotów przejść w umysł, a z umysłu w serce.
 Winnaby duszy naszej zewsząd się udzielać,
 Połączać się z wspomnieniem, w obyczaje przelać;
 Winna jak płodne ziarno, które zima chłonie
 Długi czas, wprzód nim zejdzie, w naszym wzrastać łonie.
 A gdy przebędziem lato, płodne w burze, troski,
 Nieśmiertelności naszej wydać owoc boski.

O słońce które światu jaśniejesz wyższemu!
 Tajemniczego światła użyzyc oku memu!
 Zstąp od Boga, promyku darzący pokojem,
 Gwiazdo ożywiająca wznieś się w sercu mojem!
 Tobie już tylko ufa nad grobem stojący.
 Opuszcza mię w ciemnościach rozum bledniejący,
 Rozum niegdyś tak dumny! Siły pozbawiona
 Blasku jego pochodnia, razem z życiem kona.
 Jasności! która niebios oświećasz podwoje,
 Zastąp ją, dniem pogody oblój oczy moje!
 Jako gwiazda wieczoru na niebios błękiecie,
 Lub jak słońce przyświecaj kończącemu życie!

Przekład Szkoły Starców, z oklaskami był przyjętym na teatrze warszawskim. Rzecz sama, może nie dość komiczna, liczy się przecież do pięknych tworów tegoczesnej literatury, a tłumaczenie odznacza się poprawnością, wiernością i gładkim wiérszem. Z téj pracy Lisieckiego, dotąd w rękopiśmie zostającej, przytaczamy wyjątek:

SZKOŁA STARCÓW.

Komedia. Akt pierwszy. Scena pierwsza.

DANWIL, BONAR.

Bonar.

Ach! jaką czuję rozkosz, gdy po latach wielu,
Znów cię mogę uściskać dawny przyjacielu!

Danwil.

Skorom wczoraj tu przybył, natychmiast znać daję...

Bonar.

Danwilu!

Danwil.

Już w Paryżu na zawsze zostaję.

Bonar.

W Paryżu! z jakich przyczyn i w jakim zamiarze?
Nie pojmuję, żartujesz sobie.

Danwil.

Nie, Bonarze!

Bonar.

Ty morski przedsiębiorca, znacznych dóbr właściciel,
Hawru, gdzieś się urodził, nieodmienny czciciel,
Czy przestałeś go lubić?

Danwil.

O! miasto swobodne!

Było moją kolebką: powietrze łagodne,
Rozkoszne okolice, piękne położenie!
Jeden Konstantynopol z nim zarówno cenię.

Bonar.

Z jakiego więc powodu w Paryżu osiedzisz?

Danwil.

Oto!... wprzód daj mi słowo że się śmiać nie będziesz.

Bonar.

Mów śmiało.

Danwil.

Oto...

Bonar.

Cóż więc?

Danwil.

Otom się ożenił.

Bonar.

Widziałem żeś się wahał, żeś się zarumienił:
I zgadłem; druga żona!

Danwil.

Przykro żyć samemu.

Bonar.

Lat sześćdziesiąt!

Danwil.

I więcej, — nie zaprzeczę temu.

Bonar.

Powinieneś był, jako przyjaciel otwarty,
Donieść mi.

Danwil.

Tak, ażebyś stroił sobie żarty.

Bonar.

Żona ma lat czterdzieści zapewne?

Danwil.

Nie tyle.

Bonar.

Przynajmniej ze trzydzieści?

Danwil.

Jeszcze nie.

Bonar.

Więc ile?

Danwil.

O! jój cnoty, powaby jakże ci określę!
Dość, że młodszym się czuję kiedy o niej myślę.
Ojciec jój, owdowiawszy opuścił ojczyznę,
A po najdroższej żonie, jedyną spuściznę
Aniele, wychowała pani Senkler, wdowa,
Blizka krewna; kobieta przystojna, światowa,
Wesoła, nieco żywa; mimo swoje lata
Niezdolna się oderwać od powabów świata.

Wreszcie, zbyt uprzedzona córki wielbicielka,
 Jeśli miłość jój zalet, może być zbyt wielka.
 Skorom poznał Aniełę, mych uczuć przedmiotem
 Stała się. Odwiedzam ją często, częściej potem,
 Nawet co dzień, i zwawo kończę rzecz zaczętą.
 Drzałem, aby lat moich pod krédkę nie wzięto.
 Lecz dostrzegłem, że próżna trwoga mię uwodzi,
 Że z wdzięczności, z szacunku i miłość się zrodzi;
 Że hymen trwozę moję w trwałe szczęście zmieni,
 Łącząc kwiaty wiosenne z kłosami jesieni.
 Zaślubiłem Aniełę. Krewna mojej żony
 Czuje do samotności jakiś wstręt wrodzony.
 Mój dom stał się jój domem; zgadłem tajemnicę,
 Że obiedwie pragnęły odwiedzić stolicę,
 Że powietrze nadmorskie zdrowiu ich nie służy.
 Usilnemi prośbami skłaniam do podróży.
 Skłoniłem. Jadą obie. Mnie przez kwartał cały,
 Jak na złość, różne sprawy w Hawrze zatrzymały.
 Przecież wczoraj przybyłem; zaledwie przywitać,
 Zaledwie czas znalazłem o zdrowie zapytać,
 Żona bowiem na dworski teatr miała lożę;
 Mógłbym jój zabawom przeszkadzać? broń Boże!
 Była więc na teatrze; ja gdy sam zostałem,
 Dla rozrywki mieszkanie nasze oglądałem.

Bonar.

To jest dom księcia Delmar?

Danwil.

Tak.

Bonar.

Wiedzieć wypada,
 Iż w Ministerjum Skarbu jego stryj zasiada,
 Dziedzic w moim obwodzie: pewno świadom będzie,
 Żem jest dziekan poborców, najstarszy w urzędzie.
 Książę ma znaczne wpływy, jest człowiekiem modnym.

Danwil.

W domu tym, bardziej wielkim niżeli wygodnym,
Zajął na pierwszym piętrze wspaniałe pokoje.
Ja, filozof, na drugim dosyć niezle stoje.

Bonar.

Świetnością i zbytkami jesteś otoczonym;
Małom cię nie powitał „Jaśnie Oświeconym”.
Ale... jakżeś zostawił syna?

Danwil.

Od jesieni,

Tak, od jesieni przeszłej, żyjem rozłączeni.
Jego żona jest młoda, i moja jest młoda:
A nawet młodsza nieco; mogłaż zostać zgoda?
Mogłyż wspólnie zamieszkać, wspólnie rządzić obie?
Dom powinien na jednej polegać osobie.
Aniela lubi... ja sam lubię świetne życie,
Syn mój, nad wszystko, ciche przenosi ukrycie.
Dziś żyje jak zamknięty. Lecz kocham go stale.

Bonar.

Jednak go nie widzisz? tego nie pochwałę,
Nie pochwałę; bo skoro przestałeś mu radzić,
Może go los zdradliwy w nieszczęście wprowadzić.
Nie dobrze gdy o synu ojciec zapomina!
Ja właśnie znam twojemu podobnego syna,
Którym się, jak ty, ojciec mało opiekował.
Cóż ztąd? zabrakło w kassie, bo syn źle rachował.
Dziś go czeka niesława; w tak ciężkiej przygodzie
Znalazłby wsparcie w ojcu, gdyby z nim był w zgodzie.
Ale gdy ich domowa poróżniła zwada,
We mnie tylko ostatnią nadzieję pokłada.
Czyli tysiąc dukatów możesz mi pożyczyć?

Danwil.

Sama ci żona moja zechce je wyliczyć.
Przy niej kassa.

Bonar.

Wybornie. Wcześniej to wyrobię,
 Że jej oddam w obwodzie następstwo po sobie.
 Twoja żona! O! kiedyś z tobą się rozstawał,
 Tyś mi się przyjacielu rozsądniejszym zdawał.
 W cieniu drzew rozłożystych, na rodzinnej ziemi,
 Zajmowałaś się wtenczas włościami twojemi.
 Przededniem już na nogach; ciągle cię dręczyła
 O dobro gospodarstwa niespokojność miła.
 Przyjąć kogo, odwiedzić, nigdyś nie był łatwy;
 Zjeść smaczno, wypić dobrze, strzelać kuropatwy,
 Wieczorem grać w pikietę, gdy złe karty miałem,
 Było twoją uciechą, twojém szczęściem całym.
 Dziś mieszkaniem stolicy, otoczony zbytkami!
 Spasły szwajcar na straży stoi przede drzwiami!
 I po co? tak się twojej żonie spodobało.

Danwil.

Anieli? Przy mnie władzę pozostawia całą.
 Lecz mniema, że powinien mieć w świecie znaczenie.
 Że mogę, do zdatności łącząc dobre mienie,
 Jeśli już nie najwyższe osiągnąć zaszczyty,
 To przynajmniej sprawować urząd znakomity.
 Może ta jej nadzieja w skutek się zamieni,
 I rad jestem, że tyle zdatność moję ceni.
 Cóż ty na to?

Bonar.

Nic.

Danwil.

Przecież?

Bonar.

Ja wynurzam zdanie
 Wtenczas, kiedy rzecz jaka jeszcze się nie stanie.
 Taki jest mój systemat; lecz gdy się co stało
 Przez systemat, rzecz każdą mam za doskonałą.

Usłudni przyjaciele zawsze się nadarzą,
 Co chociaż nie proszeni małżeństwa kojarzą.
 Oni i dla mnie żonę wynaleźli młodą,
 Tak uczoną jak książka: z majątkiem, z urodą,
 Nawet krewną ministra. Przyznałbyś, iż ona
 Jak gdyby naumyślnie jest dla mnie stworzona.
 Odmówiłem.

Danwil.

I jakie miałeś w tym powody?

Bonar.

Bo jest młoda, bo piękna.

Danwil.

Odkądże wiek młody
 Między odstręczające policzasz przywary?

Bonar.

Od czasu, jak poznałem że jestem już stary.
 By dobrane małżeństwo uwieńczyła stałość,
 W mojej żonie chcę znaleźć poważną dojrzałość.
 Zbyt stara, nie ma dla mnie ponęt; a wzajemnie
 Młoda, żadnychby ponęt nie znalazła we mnie.
 Cóżby do ślubnych związków przywieść mię zdołało?
 Bezzeństwo moją drugą naturą się stało.
 I co dzień się utwierdzam w zamiarze niezmiennym:
 Życ bezzennym jak dotąd, i umrzeć bezzennym.

Danwil.

Nie wiesz, że i małżeństwo ma słodczyce swoje!

Bonar.

Lecz ma i mnogie troski, tych właśnie się boję.
 Nie jestem z owych liczby, co chętnie z rozkoszą,
 Zgryźliwego ojcostwa słodkie trudy znoszą;
 Co długo wśród dostatku cierpiąc niedostatek
 Chełpią się, że to czynią dla szczęścia swych dzieciak:
 Z liczby tych, co blednieją, kiedy ma na oku
 Lada młodzik, siedzące żony przy ich boku.

Tych, co więzając świętoszki zdradzić ich gotowe,
 Nieustanną zazdrością suszą sobie głowę.
 Nigdy snu nie opóźnię, lub nie śpię za mało,
 Że się żonie do świtu tańczyć spodobało.
 Nie trwonię zbiorów moich na wymysły mody,
 I zawsze od wydatków, większe mam dochody.
 O drugiej jadam obiad; to utwierdza zdrowie:
 A tak żyjąc jak nasi żyć zwykli przodkowie,
 Cztery razy jem na dzień. Nie czekam zgłodzony
 Na córki toaletę, lub na rozkaz żony.
 Wszechwładnie w ręku moim trzymam rządu wodzę;
 Kiedy chcę idę z domu, kiedy chcę przychodzę.
 Ja sam jestem dla siebie panem, przyjacielem,
 Kochankiem, starań moich sam mogę być celem.
 O beżeństwo, beżeństwo! z tym swobodnym stanem
 Cóż w hymenie mogłoby słusznie być równaném?
 Godzien jestem zazdrości żem nie pojął żony;
 Słowem, czy to mieszczanin świeżo uszlachcony,
 Poeta co laur zyskał, generał co pobił,
 Bankier który na giełdzie w dwójnasób zarobił,
 Każdy próżno odemnie szczęśliwszym się mniema,
 A nawet i sam cesarz, chyba żony nie ma.

Danwil.

Ja zaś biorąc na siebie małżeństwa obronę
 Twierdzę, że najszczęśliwszy kto poślubił żonę:
 Kto wprzód w smutném beżeństwie długo zagrzebany,
 Słodkie, których się lękasz, przyjmuje kajdany.
 Kocha,—powstaje z grobu; wraz z chwilą godową,
 Pochodnia życia mego zabłysła na nowo.
 Nie żyłem; z martwém sercem, z zasepioném czołem,
 Wiodłem byt odrętwiały: teraz żyć począłem.

Ileż przyjemnych rozmów, ile starań, względów?
 Zbłądzi i ona; powiesz: któż wolny od błędów?
 Rozumiész ze przyjaciół dawnych postradałem?
 Mam ich dwa razy więcej, niżli pierwój miałem.
 Przeciw zbytkom Anieli słyszę głos potwarczy:
 Gardzę nim, mój majątek na większe wystarczy.
 A wiedząc że tajemnie ociéra łyzy nędzy,
 Nie żałuję wydanych na stroje pieniędzy.
 Żona moja jest żywa, i ja jestem żywy:
 Choć do gniewu da czasem powód sprawiedliwy;
 Rozbroi go dobrocią; a tak jest wesoła,
 Że w największym zmartwieniu pocieszyć mnie zdoła.
 Jestem sam, wnet przybiega. Gdy chodzimy oboje
 Bawi mnie i mdlejące wspiera siły moje.
 Mam przecie kogoś w domu, co w troskliwej pieczy
 Dręczącej mnie podagrze wraz ze mną złorzeczy.
 Mam przecie kogo w domu, co z sercem ochoczym
 Zawsze mię słuchać gotów, gdy rozprawiam o czém.
 Dumny jestem z jój wdzięków: kogoż nie zachwyca
 Urok jój pięknych oczu, i świeżość jój lica?
 Gdy mi rano ta gwiazda przyświeca wesoło,
 Już potem do wieczora mam pogodne czoło.
 Nie pomnę że czas zwykły zrządził we mnie szkody;
 Kocham, ona mię kocha, jestem znowu młody.

Bonar.

Jaki ogień!

Danwil.

Dziś w wieczór przy wspólnej rozmowie,
 Musisz ze mną Bonarze spełnić mężów zdrowie.
 Przymuszę cię do tego; wszak jadasz wieszczę?
 I ten zamiar staraniu Anieli powierzę.
 Wyszło z mody wieszczę; szkoda, wielka szkoda:
 Od niój nowa wieszczę rozpocznie się moda.

Miło przy nich rozmawiać w przyjacielskiem kole.
Aniela między nami usiądzie przy stole.
Skoro poznasz jój wdzięki, jój postać przyjemną,
Należne uwielbienie dzielić będziesz ze mną.
Obojętnością serca naprózno się chlubisz,
Bonarze, tak Bonarze i ty ją polubisz!

Lisiecki Dominik, wolne tylko chwile od obowiązków swoich, poświęcał literaturze. Pochodził z rodziny oddawna w Podlasiu zasiedziałej. Urodził się w dniu 6 stycznia 1801 r. W domu rodziców, a później w liceach sejneńskim i warszawskim, pierwiastkowe ukształcenie przyjąwszy, w r. 1818 przeszedł na uniwersytet warszawski. Pozyskawszy w tej głównej szkole stopień magistra prawa i administracyi, w r. 1821 rozpoczął zawód służby publicznej. Przez lat trzynaście, był urzędnikiem w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu. Dosłużył się stopnia naczelnika wydziału w Dyrekcyi Generalnej Kontrolli, i na tej posadzie lat kilka zostawał. Wykładał chwilowo kurs nauk administracyjnych, w byłej szkole leśnej; odznaczając się wszędzie znakomitą zdolnością, pracą, gorliwością, nieskazitelnym charakterem i znajomością przepisów służby skarbowej. Oddają mu to świadectwo wszyscy dawni kolledzy. W r. 1833 usunąwszy się od prac biurowych, osiadł na wsi, w majątności własnej; lecz i w tym nowym, może nieodpowiednim sobie, zawodzie rolnika, nie przestawał być użytecznym. Zaufanie współobywateli, powoływało go przez lat 14, do urzędów w głównych władzach Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego, to jest w dyrekcyi i komitecie. Brał czynny udział przy odnowieniu w r. 1838, prawa, o Stowarzyszeniu Kre-

dytu Ziemskiego; a poprzednie oznajmienie się z administracją i skarbowością kraju, sprawiło, że był przez długi czas, jednym z najpracowitszych i najgorliwszych w tém stowarzyszeniu członków.

A tak, zmarły Dominik Lisiecki, czyto jako pisarz, czy jako urzędnik i obywatel, zasłużył na żal i piękne wspomnienie. W dniu 15tym kwietnia r. z., zgasł za-wcześnie, przeżywszy lat 45. Zwłoki pochowane w kotakumbach powązkowskich.

F. S. D.



WSPOMNIENIE

o dwóch odrębnych malarzach Kopeckich, jednym
rodem Węgrze, innym Polaku.

PRZEZ

Edwarda bar. Roastawieckiego.

Jan Kopecki czyli raczėj *Kupecki*, a jak go Niemcy piszą *Kupetzky*, przyszedł na świat roku 1666 w Węgrzech w Pössing. Ojciec jego był tkaczem, i syna do swego rzemiosła przeznaczal; lecz piętnastoletni młodzian uciekł od warsztatu, i puścił się w świat zebrząc na życie, dopóki się nie dostał w Lucernie do malarza Klaus. Wkrótce uczynił w sztuce niezmierne postępy, tak, że o wiele mistrza swojego przeszedł. Ztąd udał się do Wiednia, potem do Wenecyi, wkońcu do Rzymu, celem doskonalenia się dalszego. Głównym przedmiotem prac jego były portrety, z których znakomitėj wziętości i sławy dostąpił. W Rzymie zatrudniał go wiele królewicz polski Alexander Sobieski; między innemi robił portret króla Jana III. Po 22letnim pobycie w Rzymie, na zaproszenie księcia Adama Lichtensteina, wyjechał do Wiednia. Wielce ceniony przez cesarzów Józefa I,

Karola VI i Piotra W., mnogie obstalunki od nich i różnych panów niemieckich otrzymywał, a mając niezwykłą łatwość, bo w jednym dniu do dziewięciu głów był w stanie odrobić, znaczne z prac swych odnosił korzyści. Będąc gorliwym wyznawcą sekty braci czeskich, z tego zaś powodu prześladowany w Wiedniu, wyniósł się z rodziną do Norymbergi. Tutaj osiadłszy ciągle pracował, mnóstwo otrzymując coraz nowych obstalunków. Ku schyłkowi życia, doznał nieszczęścia w stracie syna Jana Chrystyana Fryderyka, młodzieńca 17 letniego, pełnego nadziei i już w malarstwie przy ojcu usposobionego. Ten cios tak mu był dotkliwym, iż od zmysłów niemal odchodził, a w lat kilka potem sam na podagrę umarł r. 1740, złożony w ziemię prawie kryjomo, bo jako brata czeskiego, nie chciało go duchowieństwo za członka kościoła uważać. Był przecie człowiekiem prawnym, w ostatniej zaś woli, dla biędnych i uczącej się niezamożnej młodzi, hojne zapisy poczynił. O życiu jego bardzo wielu pisało; między innymi Fuessly, Dlabacz, Jäck, a ostatecznie za tamtymi G. H. Nagler (*Neues allgemeines Künstler-Lexicon. München, 1839, VII, 214—216*). Z powyższego treściwego zarysu jego żywota, okazuje się, iż rodem będąc z Węgier, ciągle we Włoszech i Niemczech bawił i tamże pracował; iż w Polsce ani był urodzony, ani nigdy nawet czasowo nie przebywał: tyle tylko, że dla polskiego królewicza w Rzymie malował. Chęć przeto przywłaszczenia go sobie jako Polaka, tak dalece byłaby nam niewłaściwą, jak jest dla Niemców śmiesznością wywodzenie iż Kopernik był Niemcem.

Pierwsza pani Hofmanowa z Tańskich, w Podróżach po Niemczech dla dzieci napisanych, wspomniała, że Ko-

pecki jest Polakiem w Korsuniu urodzonym. Powtórzył tę wiadomość pan S. w Przeglądzie Naukowym warszawskim, z r. 1845, II, 577, twierdząc, że *Jan Kopecki* jest nasz współziomek, w Korsuniu, przedtém miasteczku, dziś wsi nad rzeką Rosią leżącej, r. 1667 urodzony. Żałować przychodzi, iż tak pani Hofmanowa jak pan S., nie wskazali źródła, z kądby o tém pochodzeniu *Kopeckiego* dowiedzieli się, gdyż przez to wątpliwość dzisiejsza byłaby może od razu rozjaśnioną.

Atoli w galeryi króla Stanisława Augusta znajdował się bardzo pięknie wykonany portret, słynnego wówczas jubilera Dinglingera w Warszawie, przez malarza nazwiskiem *Kopeckiego* malowany. Przedstawiony jest w sukni ciemnej, futrem wyłożonej, i czapce futrzanej. Kiedy po elekcyi król Stanisław miał być koronowany, ów Dinglinger otrzymał polecenie zrobienia do tego obrzędu korony, braknące zaś do niej elektowi klejnoty, własnymi na czas zastąpił. Król lubiący posiadać wizerunki osób bliżej mu znanych, lub którym był obowiązany, kazał odmalować portret jubilera, i takowy w galeryi swój zamieścił. Później przeszedł on na własność księcia Józefa Poniatowskiego, i w galeryi jego przez starego dworskiego bywał okazywany, jako dzieło krajowego malarza *Kopeckiego*, który mu był osobiście dobrze znany. Następnie portret ten nabyty został przez generała Xawerego Kosseckiego, i obecnie w szacownym jego zbiorze obrazów znajduje się. W galeryi kasztelana Józefa hr. Ossolińskiego był inny przez tegoż artystę malowany portret, równie pięknie wykonany, jakiegoś rzeźnika z Pragi, z którym pozostawał malarz w stosunkach przyjaźni, i u niego nawet miał na Pradze mieszkanie. Ma na głowie dużą futrzaną czapkę, a z ogromnej fajki ty-

tuń pali. Portret ten takż nabyty został przez gen. Kosseckiego, i do celniejszych obrazów jego zbioru należy. Wiadomości powyższe w pamięci osób współczesnych przechowane, i z ust ich pochodzące, zdają się dowodzić, że w początkach już panowania Stanisława Augusta, był w Warszawie artysta wielce znamienity, nazwiskiem *Kopecki*. Że to nie mógł być ów Węgier *Jan Kupecki* widoczną jest rzeczą, gdyż tamten roku 1666 zrodzony, w późnej starości, roku jeszcze 1740 zszedł był z tego świata. Musiał być więc inny, Polak, może urodzony w Korsuniu, bo wszakże i rodzina imienia Kopeckich osiadła jest w kraju naszym. Gdy tedy dwa jego dzieła w Warszawie dziś widzialne, niepośledniego odznaczają artystę: godną byłoby rzeczą wykrycie dalszych wiadomości o jego życiu, gdzie i pod kim tak się usposobił, co się z nim dalej stało, i jakie inne wykonywać mógł obrazy. To co o nim i jego pracach dowiedzieć się zdołałem, z opowiadania jedynie współczesnych było wyczerpane; gruntowniejszych trzebaby jeszcze dowodów. Ogłaszając com wyszedził, wynurzam życzenie, ażeby kto wiadomość tę uzupełnić zechciał; a tak dziedzina sztuk pięknych krajowych wzbogaconą zostanie o jedno znakomite, lubo niewiadomo dlaczego, w ukryciu dotąd zostające imię.

Pisałem w Warszawie 8 marca 1847 r.



KRONIKA LITERACKA.

Codex diplomaticus Poloniae quo continentur privilegia Regum Poloniae Magnorum Ducum Lithvaniae, Bullae Pontificum, nec non jura a privatis data illustrandis domesticis rebus gestis inservitura, adhuc nusquam typis exarata, ab antiquissimis inde temporibus usque ad annum 1506 editus studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczowski Adjutoris Varsaviensis Tabularii Publici Regni Poloniae notis adornatus usque ad Num^{um} CVII ab Antonio Sigismundo Helcel Juris utriusque Doctore. Tomus I. Varsaviae. Typis Stanislai Strąbski. 1847, in 4to. XXIII et 367. Regesta LXXII. Addenda et corrigenda. 1—8.

Już niemal w swój połowie będący wiek XIXty, przedstawiając z każdym prawie upływającym rokiem wielkie i nadzwyczajne wynalazki i odkrycia, tak szybko po sobie idące, że gdy zaledwie potrafimy myśłą ogarnąć ich ważność i skutki, gdy jeszcze pozostajemy w osłupieniu, już nam nowe i bardziej zdumiéwające nastęrcza; zdaje się, że i w dziedzinie nauk historycznych odrębną od innych wieków obrał sobie drogę. Zdążając ku spełnieniu swego zadania, pracuje najbardziej około tego, jakby sobie uobecnić i ogarnąć prace upłynionych wieków, ażeby zbadawszy przeszłość, jak najdokładniej oparty na pewnych zasadach, prowadził ludzkość do coraz wyższego udoskonalenia, jakie jój Opatrzność na-

znaczyła. Ztąd téż zwracając się do zjawisk jakie się nam okazują we względzie badań historycznych, widzimy dwa główne punkta, które w terażniejszym wieku najbardziej się przedstawiają wydatnie: rozumiemy tu skrętne poszukiwanie i wydobywanie w ukryciu jeszcze zostających kronik, i ogłaszanie już prawie rozsypujących się aktów urzędowych czyli dyplomatów. Jakoż są to dwa najważniejsze źródła, z których daje się wyczerpnąć czyste i wyraźne pojęcie przeszłości; oba mogą ugasić gorące pragnienie badacza. Wszakże lubo tak jedno jak drugie prowadzi nas do jednego celu, to jest do wyświecenia stanu przeszłości, każde jednak z nich oddzielną w tym względzie postępuje drogą. Różnica i stosunek, jakie między niemi zachodzą, jest (jeżeli się tak powiedziéć godzi) prawie ten sam, jaki dostrzegamy między romansem historycznym a historią, czyli dziejami. Jak romans historyczny przedstawia nam zdarzenia pod rozmaitymi względami, wdając się w opisanie drobnych szczegółów, tak również kronika opisując dzieje udziela je w związku z licznemi jój towarzyszącemi okolicznościami. Poważne zadanie historyi, nie dozwala jój zapatrywać się w szczegółach; dlatego pomija ona drobne wypadki, zbierając samą treść najważniejszych dziejów, które wpłynęły na polepszenie lub pogorszenie bytu ludzkości. I akt urzędowy mający podać do potomności zwykle tylko jedną chwilę, jeden odrębny wypadek, nie wyłuszcza ciągu zdarzeń, nie przedstawia ich związku i następstwa. Suchą zatem jest osnowa aktu urzędowego i ogołocona ze wszelkiej ozdoby, gdy tymczasem kronikarz opowiadając wypadki, może je barwić i krasić według zdolności swojej. Nie podobna z gołej treści jaką widzimy w dyplomatach, utworzyć sobie jasny obraz upłynionych wieków; kiedy przeciwnie uboczne okoliczności, błahe napozór wzmianki, zawarte w kronikach, są jakby pochodnią oświecającą zapałdą przeszłość. Ale w tych, mamy wyobrażone zdarzenia historyczne według zapatrywania się i sądu pojedynczej osoby. Jeżeli przy opowiadaniu potocznych wypadków życia, rzadko poprzestajemy na świadectwie jedném, doświad-

czeniu nauczeni jak częstokroć jest niedostateczne, i jak w zupełnie odmienném świetle okazuje się nam wypadek opowiedziany przez kilka osób; to również i powieść w kronice zawarta może się wydać stroniczą, a tém samém niezgodną z prawdą. Kronikarz uniesiony zbytnią przychylnością lub też pałając nienawiścią, mąci nieraz czyste źródło wypadków. Nie tak się rzecz ma z aktami urzędowemi czyli dyplomatami. Do układu takowych, używani bywali mężowie posiadający wysokie ukształcenie; spisywanie ich odbywało się w przytomności kilku lub kilkunastu osób piastujących godności i urzędy, lub odznaczających się swemi zdolnościami. Wypadki więc objęte i uwiecznione w aktach urzędowych nie są spisane według indywidualnego zapatrywania się pojedynczej osoby, ale układane przy świadkach (praesentibus testibus fide dignis), po zasiągnięciu światłego zdania najznakomitszych osób i za zgodą tychże (communicato consilio cum principibus, praelatis, baronibus, proceribus et deliberatione praehabita), lub też całego zgromadzenia (cum consensu capituli), przedstawiają czystą i nieomylną prawdę. Nie można w rzeczy samej zaprzeczyć, że dyplomata mając pewną przepisaną formę, będąc niejako ulane na jeden kształt, dają fałszerzom wypadków historycznych łatwość podrobienia podobnych aktów; a to tém bardziej, że zamknięte w szczupłych granicach, opisują tylko fakt pojedynczy. Są to niejako podobizny (*fac similia*), które bez wielkiego móżołu naśladować się dadzą. Trudniejsza w tym względzie rzecz co do fałszowania kronik. Obszerność podobnego dzieła, różnorodne okoliczności, na które baczyć powinien jój układacz, tworzą większą przeszkodę we względzie zmyślenia tychże, i dlatego nie tak łatwo może się ktoś pokusić i puścić na drogę fałszowania kronik.

Pominąć tu nie można, że przy fałszowaniu dyplomatów zwykle mógł zachodzić jakiś interes, korzyść jakiego zgromadzenia, lub też pojedynczych osób; kiedy przy fałszowaniu kroniki może grać rolę tylko chęć popisywania się z erudycją lub niewłaściwym dowcipem. Fałszowali więc dyplomata Benedyktyni, fałszowali Bazylianie, czyniąc to *ad*

majorem Dei gloriam et ob conventus sui commoda, jak o tém niewątpliwe ślady zaświadcza (a). Być może, iż uwiedzeni przewrotną maxymą, że dla osiągnięcia dobrego celu mniej na środki zważać należy, przy niskim stopniu oświaty wieków średnich, nie robili sobie wielkiego skrupułu z tak ohydneho postępku. Śmieszna chluba okazania starożytności swego rodu, stała się także powodem fałszowania dyplomatów (b). I właśnie téż takowe wywołały naukę dyplomatyczną, podającą sposoby, za pomocą których można odróżnić prawdziwe akta od podrobionych. Próżną więc byłaby obawa tych, którzyby mniemali, że łatwość fabrykacyi dyplomatów osłabia i podkopuje wiarę tychże aktów; albowiem nauka i długoletnia wprawa, zawsze potrafią zerzść maskę ohydnej ramocie, która, podobnie jak wszelki występki, zostawia po sobie ślady prowadzące badawcze oko do wykrycia fałszu. Kraj nasz może się słusznie chlu-

(a) Znalzł się transumpt dyplomatu kardynała Idziego, pochodzący z czasów Bolesława Wstydlwego, z którego widać, że Szczygielski drukując akt z oryginału r. 1105 sporządzonego, po-falszował go w interesie klasztoru.

(b) Posłuchajmy co napisał dotychczas niedość oceniony, a nawet wyszydzony ś. p. Wal. Skor. Majewski, naczelnik archiwum głównego królestwa, od chwili uformowania tegoż aż do roku 1835, w rozprawie swój: „O sztuce dyplomatycznej” czytanej na posiedzeniu publiczném Tow. Król. Warsz. Przyj. Nauk, na stronicy 37 we względzie fałszowań dyplomatów. „Kraj dawniej Polski, a mianowicie prowincya Ziem Pruskich, jak dzieła: *Historisch-diplomatische Beiträge* przez *Konrada Oelrichs* w Berlinie 1770 roku wydane karta 82; Konstytucya sejmu 1649; Vol. leg. IV, fol. 272. Titulo: Reces, i akta publiczne poświadczają, miały podobnych podrabiaczów, ale tylko nadań i przywilejów klasztorom i prywatnym służących, w czasie krajowych zakłóceń w latach 1645 do 1652, a to w osobach Stenzla, Janikowskiego obywatela ziemi Pomorskiej, Krzysztofa Unger, Kupnika, Korneliusza Wright i innych téjże ziemi mieszkańców, w Gdańsku połączonych. Janikowski wszystkiém kierował, Wright z powołania miecznik i obywatel gdański wyrzynał pieczęcie, Unger udawał starożytne głoski postaci, inni się trudnili tłumaczeniem i rozgłaszaniem wiadomości, o znalezionej, jakoby przez książąt Pomorskich dawniej do Szczecina uwiezionej, a w roku 1569 przez kilku szla-

bić, iż we względzie pomienionych wyżej dwóch źródeł historycznych, to jest kronik i aktów urzędowych, bogate posiada zasoby. Pomijając kronikarzy o których już „w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy” str. 547 wynurzyliśmy nasze zdanie, zwracamy się do aktów urzędowych. Nie zbywało Polsce na dyplomatach, bo ona była czasami nader piśmienna. Miały już być za Mieczysława I, jak twierdzi Paprocki; że były za Chrobrego nie ulega wątpliwości, bo Galus mówi o umowach przez tegoż króla z cesarzem na piśmie zawieranych. Te poginęły aż do XI wieku: znajdują się w transumptach w Pradze, o czym wspomnieliśmy już w Pierwotnych dziejach str. 542. Począwszy od XII wieku, napotykamy już wielką liczbę aktów urzędowych tak w oryginałach jako i w kopijach, transumptach, i w rozmaitych dziełach historycznych rozproszone. Ich zebranie, uporządkowanie i ogłoszenie drukiem, uważać należy za przedsięwzięcie najważniejsze w przedmiocie wyjaśnienia nplynio-

chty do zamku Mitterschein sprowadzonej skrzyni, z samymi dyplomatami i przywilejami, którą Janikowski w piwnicy i zwaliskach tegoż zamku miał znaleźć. Wszyscy zaś do stosownego należeli zysku.

Dla nadania starożytnej postaci pargaminom, papierowi, pieczęciom, sznurkom, użyto rozmaitej do nacierania mniemanych dyptomatów mieszaniny; wędzono je w dymie i t. d.

Takowym sposobem podług zamówienia lub okoliczności ukute dyplomata i wszelkiego gatunku nadania, korzystając z powszechnej nieznamomości sztuki dyplomacyjnej i przywiązanej wiary do wszelkich bez braku starożytnych szpargałów, samym nawet do znania tej umiejętności z urzędu obowiązany, drogo sprzedawali, z bogacili prywatne archiwa i pomnożyli spory sądowe. Później nastąpione badania i ważne rozpatrzenia się w mniemanych pomnikach, fałsz odkryły. Okazał się świeżo wyrobiony pargamin, dostrzeżono pod warstwą okopconych sznurów nowości tychże; oznaki ówczesnych papierni na papierze, którego za materyał do odwiecznych dokumentów użyto: niezgodność postaci głosek z postaciami, które w wiekach odpowiadających istniały. Naostatek zeznania sądowe ujętych współników, wyjaśniły resztę.

Nie masz śladu o ukaraniu Janikowskiego; ówczesne zamieszania krajowe, rzecz tę pokryły niepamięcią.”

nej przeszłości. Z pociechą więc powitaliśmy świeżo wyszły Kodex dyplomatyczny, w tytule na początku niniejszego artykułu przywiedziony. Nie pierwsze to zjawisko w naszej literaturze. Już w środku zeszłego wieku bo w r. 1754, książk pijar Maciej Dogiel przejęty ważnością podobnego dzieła, przedsięwziął olbrzymią pracę, której owoce n są trzy tomy in folio pod tytułem: *Codex diplomaticus Regni Poloniae*. Po nim, prawie po całowiekowym upływie czasu, zjawily się znów dwa dzieła tego rodzaju, oba wydane staraniem ś. p. Edwarda hr. Raczyńskiego t. j. *Codex diplomaticus Majoris Poloniae, Posnaniae*, 1840 i *Codex diplomaticus Lithuaniae*, 1845; a w tym roku opuściło prasę drukarską dzieło wyżej powołane.

Rozpatrzywszy się oddzielnie w każdym z tych dzieł i porównawszy je z sobą, nie wahamy się przyznać pierwszeństwa Kodexowi staraniem Leona hrabi Rzyszczewskiego ogłoszonemu. Okażemy to przy rozbiorze osnowy zawartych w tym dyplomatarjuszu aktów urzędowych. Dyplomata objęte w Kodexie hr. Rzyszczewskiego, poczynają się od r. 1145 i idą do roku 1506. Ilość wszystkich wynosi 200 sztuk, a między temi większa liczba z oryginałów braua. Liczba aktów z wieku XIIgo dochodzi do liczby 6; większa jest zatém niż w jakimkolwiek innym kodexie; z wieku XIIIgo sztuk 86, z wieku XIV 58, z XV 45, z XVI sztuk 5.

Przy wszystkich dyplomatach obok podania treści, wskazane jest miejsce, gdzie się oryginał wydrukowanego dyplomu znajduje; nadto opisane są zewnętrzne znaki dyplomu, a mianowicie: czy jest opatrzony pieczęciami, lub czy téż takowych niedostaje; jakie są sznurki na których téż wiszą, czy pargaminowe czy téż jedwabne? jaki воск, jakie pismo? zgoła są tu wszystkie cechy stanowiące i dające poznać wiarogodność dyplomu. Przy dyplomatach z XII, XIII i początku XIV wieku, załączone uwagi historyczne, prawne, krytyczne lub téż wskazane bliżej położenie miejsc w dyplomatach nadarzających się, usuwają trudności, jakie zwykle akta urzędowe z owych wieków nastroczają. Komentarze te wypracowane przez Z. A. Helcla

Dra O. P., nie są to owe uczonością przesadzone uwagi, jakie napotykamy w dziełach niemieckich, a które zamiast objaśnienia textu, utrudniają jego pojęcie; ale są to odwoływanie się do naszych kronikarzy i historyków, zawierające w sobie objaśnienia lub sprostowania tychże, nadto krótkie cytaty z statutów i praw krajowych, niemniej postrzeżenia zwracające uwagę badacza na najważniejsze okoliczności, niedość jeszcze wyjaśnione w dziejach krajowych pierwszych wieków. Przy dalszych dyplomatach wieku XIV, XV i XVI, nie widzimy już obszernych komentarzy; ale zdaniem naszym takowe mniej tu już okazują się potrzebniemi. Dostateczną jest rzeczą, kiedy tylko dyplomata skrupulatnie i z wszelką starannością są wyczytane, treść ich gruntownie pojęta, a następnie interpunkcyje należyte pokładzione, i korekta druku jak najściślej przestrzegana: i w tymto względzie niniejszemu dziełu najzasłużeńsze musimy oddać pochwały. Kodex ten więc uważamy za najlepszy ze wszystkich dotąd u nas drukiem ogłoszonych, a nawet i tych, które traktując o rzeczach słowiańskich, w znacznej liczbie zjawiły się w Niemczech: rozumiemy tu: *Codex diplomaticus Prussicus Voigta*; *Codex diplomaticus Pomeraniae Dregera* w nowém wydaniu; kodexa dyplomatyczne śląskie *Stenzla*; kodexa dyplomatyczne Brandeburskie przez *Raamera* i *Riedla* wydawane, tudzież *Codex diplomaticus et epistolaris Moraviae*, *Antoniego Boczka*. Zawiera nasz Kodex wiele nowego i nieznanego dla dziejów. Z pomiędzy wielu innych okoliczności przytoczymy niektóre. Z dyplomatów *ner XII* z roku 1223 i *ner XX* z roku 1231, dowiadujemy się o księciu *Ziemomyśle*, synu *Konrada* księcia mazowieckiego, o którym dotychczas w dziełach historycznych nie mogliśmy się niczego doczytać. Ciekawą i nieznaną czytamy wzmiankę o księciu *Oświecimskim*, a to pod rokiem 1278 w dyplomacie *ner LIX*. Jestto najwcześniejsza wzmianka o tém księstwie. Niewspominane dotychczas przez żadnego z naszych historyków układy i rokowania zachodzące pomiędzy *Władysławem Łokietkiem*, a *Wacławem III* królem czeskim w latach 1305 i 1306, występują

na jaw w dyplomacie nr XCIX z roku 1306. Lecz nietylko pod względem historycznym znajdujemy w naszym dyplomatarjuszu ciekawe materyały: bo szczególnie ważnym jest ten zbiór dla prawodawstwa. Na poparcie naszego twierdzenia przytoczymy niektóre okoliczności.

Tadeusz Czacki w dziele: O Litewskich i Polskich Prawach, w tomie II, na stronnicy 62 wydania warszawskiego, mówiąc o testamentach wspomina, że najdawniejszy testament prywatnej osoby jest z r. 1272, zachowany w składzie kapituły kujawskiej. Dawniejszy nierównie, bo z roku 1190, a zatem blisko o wiek różnicy, znajdujemy w niniejszym Kodexie dyplomatycznym. (Ob. przywilój nr. VI, str. 15). W tym testamencie, Dyrsko brat Wita biskupa płockiego, zapisuje pewne wsie leżące w ziemi sandomierskiej klasztorowi buskiemu. Dokument ten uważamy za nader szacowny zabytek, bo najstarożytniejszy pomnik dotychczas znany we względzie testamentów. Pociąga on nas silnie swoją prostotą, jaka jest po nim rozlana. Osobliwie téż zajmującymi wydały nam się wyroki sądowe, jakie piérwszy raz w takiej liczbie, i to z najdawniejszych czasów, bo z XII, XIII, XIV i XV wieku zebrane tu widzimy. Z nich obznajmiamy się z dawném postępowaniem sądowem, które nam przypomina niejako czasy patryarchalne, tak odmienne od dzisiejszych przedstawiając widoki. Wszystkie obudzają wielkie zajęcie. Tak w roku 1187 Kazimiérz Sprawiedliwy w własnej osobie zasiada na trybunale, i otoczony piérwszymi dygnitarzami, rozstrzyga spór o kaplicę ęgo Benedykta, zachodzący między katedrą Płocką z jednéj, a Krzywosądem i Cetegiem z drugiéj strony, i przysądza ją kościołowi katedralnemu w Płocku. Wyrok krótki, prosty, treściwy i zrozumiały. Dalej z wieku XIII pod rokiem 1220 (dyplom. nr. VI str. 21) widzimy Marka wojewodę krakowskiego, słuchającego sporu o własność wsi Plewa. Strona sama czując, że sprawa jój nie bardzo słuszna, godzi się z swoim przeciwnikiem. W roku 1251 (dokument nr. XXXVII, str. 58) Kazimiérz książę łęczycki i kujawski, mając wyrokować w processie toczącym się o wieś Łęczne

między zakonem Cystersów sulejowskim a Myśluborem, pilnie roztrząsa przywileje przed sądem pokładane, i dopiero po należytem zgłębieniu i wyrozumieniu takowych, wydaje wyrok stanowczy. Również w roku 1261, (akt nr. XLIX str. 84), Kazimierz książę łęczycki i kujawski w sprawie tegoż klasztoru sulejowskiego odracza sprawę o wieś Baldrzychów, i nakazuje komportacją dokumentów; a dopiero w nowym terminie po zadosyć uczynieniu woli swój, spór ostatecznie załatwia. Z wieku XIV dwa są zamieszczone wyroki sądowe; a mianowicie nr. CXIV z roku 1348, i nr. CXXVII z r. 1364. W pierwszym Jarosław arcybiskup gnieźnieński występuje jako sędzia polubowny, i wyrokuje w sprawie między Władysławem księciem łęczyckim i Klemensem biskupem płockim o wieś Ruś i Trambino: w drugim dokumencie, sprawę wytoczoną przez siebie o własność wsi Tłuchowy, król Kazimierz rozstrzyga. Z wieku XV znajduje się sześć wyroków, t. j. z lat: 1402 nr. CLXX i z roku 1484 nr. CLVI; z 1408 nr. CLVII i CLVIII, z r. 1424 nr. CLXX i z 1484 nr. CXL. Wszystkie powołane wyroki nader ważne obejmują okoliczności, służące do wyjaśnienia stopniowego rozwijania się procedury sądowej krajowej.

Słuszna wdzięczność należy się redakcyi Kodexu, że w zbiorze swoim starała się zamieszczać dyplomata rozmaitej treści, a obok tego zwracała bacność na to, ażeby dyplomata tyczyły się rozmaitych okolic dawnego kraju, przez coby uwaga badaczów mogła czynić postrzeżenia nad różnicami, jakie częstokroć w tej samej rzeczy w odległych stronach Polski zachodziły. We względzie religijnym postrzegamy od najdawniejszych czasów liczne fundacye rozmaitych klasztorów. I tak zaraz dyplomata nr. I, obejmuje założenie i uposażenie przez Mieczysława Starego klasztoru Łędzkiego z r. 1145, i reszta następnych 5 z XII wieku, tyczą się samych klasztorów. Hojnie uposażali klasztory nie tylko książęta i monarchowie polscy, ale i znakomitsi obywatele. Powstawały w różnych okolicach kraju znacznie od siebie odle-

głych liczne zakony Benedyktynów, Cystersów, Premonstrantów, Augustyanów, Dominikanów, Franciszkanów, i inne. Wśród ciemnoty i dzikości obyczajów średnich wieków, były to siedliska religii, moralności i oświecenia. Tak więc zakładanie i bogate uposażenia klasztorów, są najdobitniejszym dowodem, jak gieniusz krajowy co rychlej pojmował drogę, którą mu wypadało postępować, chcąc dojść do ulepszenia stanu ludzkości przez religią, oświecenie i dobre obyczaje. Dziwnie tkliwe i silnie do duszy przemawiają zwykłe wstępy do podobnych fundacyi lub uposażeń duchowieństwa, świadcząc o uczuciu religijném i o obudzonej duchowości narodu. I pod względem geograficznym i statystycznym znajdujemy nie jeden ciekawy szczegół, ty czący się licznych wsi i miast, z kąd nieraz badacz powezmie potrzebne wiadomości o starodawnych osadach. Śmiało rzec można, że w całym tém dziele złożony jest okwity plon, mogący dostarczyć wątku do rozumowych i stanowczych poszukiwań, i wyprowadzania z takowych korzystnych wniosków i postrzeżeń nietylko dla historyka i prawnika, lecz i dla pracujących na inném wcale polu nauk. Tu albowiem i powieściopisarz byleby umiał w tych aktach czytać, może upatrzeć dla siebie żywo obudzające wyobraźnią przedmioty. Wszak Walter Szkotowi owemu najświetniejszemu tego rodzaju pisarzowi, wiele podobno dopomogły do układu powieści ciągle szperania i wertowania akt urzędowych, i zatrudnienia archiwalne, przez dwadzieścia i kilka lat sprawowane. Również i badacze przyrody mogą wynaléć nie jedną okoliczność obudzającą ich ciekawość. Często nader przychodzą wzmianki o bębrach, o sokołach, o turze i o kwiczołach. Kopalnie soli w Wieliczce i Bochni, stanowiące wielkie bogactwo kraju od najdawniejszych czasów, bywają wspominate.

Być może, że nie jeden wzięwszy to dzieło do ręki, wyczytawszy pokwitowanie Mikołaja Szaksza rotmistrza, zeznającego jako król Władysław wypłacił mu żold przynależny (dokument nr. CLXIV), lub téż znajdując rękojmią, jaką pan z Wisznicy, Mikołaj z Balin i Czyran stawili królowi

Kazimiérzowi w przedmiocie arędy cła lwowskiego przez Natkona żyda na dwa lata zawartej (dyplom CLXXXVI rok 1452), zdziwi się, jak w tak poważném dziele można było zamieszczać te akta błahe i mało znaczące? Wszakże my zgadzamy się zupełnie z tém, co wyrzekł tyle zasłużony i nieodżałowany ś. p. Edward hr. Raczyński w przedmowie do dzieła już pogrobowego t. j. Kodexu dyplomatycznego litewskiego, że: „w kodexie dyplomatycznym wszystko jest ważném; dziejopis jak biegły architekt powinien z niego wybierać potrzebny dla siebie materiał, niepotrzebny mu albo przezeń odrzucony, może się przydać do skromniejszej budowy:” bo przekonani jesteśmy, że niema przedmiotu któryby się napozór wydawał mało znaczącym, a któryby nie wpłynął na objaśnienie zapadłej przeszłości. Jeżeli w biografii pojedynczych ludzi skrzętnie szukamy najdrobniejszych szczegółów ich sposobu życia, a te dopiero uzupełniają nam pojęcie opisanej osoby; tak również w badaniu dziejów kraju całego, najmniejszy szczegół przyczynić się może do złożenia całkowitego i prawdziwego ich obrazu.

Zwracając się do powierzchownej formy rozbieranego przez nas dyplomatarjusza, uważamy za najwyższą zasługę rejestra z wielką pracą i skrupulatnością wygotowane; za podjęte około tego, głównie przez hr. Rzyszczewskiego trudy, poczuwamy się do winnej wdzięczności. Atoli winniśmy zwrócić uwagę na to, że trzeci oddział rejestrów, wyrazy techniczne wykazujący, winien być w następnych tomach dokładniej wypracowany. Wiele bowiem takowych nie mieści registr niniejszy, a przy wielkiem ubóstwie pomników naszego języka najdawniejszych, błogo jest znaleźć choć pojedyncze wyrazy po dyplomatach porozpraszane, które troskliwie zebrać właśnie do wydawcy należało, czego on nie uczynił (ob. str. 194 wyraz *styża*). Co do korekty, wyjąwszy parę niewielkich usterków, jakoto: str. 256 w. 23 *Casimirus* zamiast *Vladislaus* i innych mniejszych, nie przekształcających myśli dyptomatów, a które nadto wytknięte są w korrygendzie, musimy wyznać, że jak najstaranniej była utrzymywana. Nie napotykamy na rażące błędy, jakie tak

często zdarzają się w innych dziełach tego rodzaju. *Corrigenda* w końcu zamieszczane nie są to omyłki, ale raczej warianty. Nikt więc nie może tego przypisywać nie dość starannemu utrzymywaniu korekty. Wartość dyplomatarjusza polega jedynie na skrupulatném wyczytaniu, należy-tém pojęciu, a następnie na wierném wydrukowaniu wyczytanych aktów. Najściślejsza akuratność dyplomatyczna, najwierniejsze oddanie aktu ogłoszonego, jest najwyższém zadaniem, jakiemu przy wydawaniu kodexu zadosyć uczynić należy. Otóż właśnie tego warunku najskrupulatniej dopełnili wydawcy, i za to słusznie największa im się wdzięczność należy.

Po tak chlubném wywiązaniu się z przyjętego na siebie wydawnictwa dyplomatarjusza, można nader pomyślnie wyprowadzić wróżby we względzie następnych tomów. Jakoż zważając na to, że jeden z redaktorów t. j. Leon hr. Rzy-szczewski, przy swém niezawisłém położeniu, kilkanaście godzin dziennie z najwyższém zamiłowaniem poświęca tój mozolnej pracy; tudzież że drugi, t. j. Antoni Muczkowski ukończywszy szkoły i uniwersyteta w Prusiech, znający gruntownie język łaciński, a obecnie już przeszło od 12 lat będąc urzędnikiem przy Archiwum Główném królestwa polskiego, obeznawszy się z łaciną średnich wieków i z czytaniem starych charakterów (któreto zatrudnienie należy do jego codziennych obowiązków), posiada jak największą wprawę w wyczytywaniu starych charakterów, możemy mieć najpewniejszą rekojmią, że dalsze tomy dzieła tak ważnego i pomnikowego znajdą zasłużone pochwały.

Kończąc nasze sprawozdanie o powyższém dziele, prosimy wydawców mieć zawsze na pamięci, że praca ich ma dać o nas w obliczu uczonego świata najsumienniejsze i najpewniejsze, bo wolne od uprzedzeń i stronności świadectwo. Poznawszy nas w swych głównych i ogółowych znamionach i cechach, obce ludy zapragną pewno dowiedzieć się o szczegółach przeszłego naszego życia; będą chciały badać w naszych historykach i kronikach, ażali zgadzają się ci z szczegółami niniejszém dziełem o nas objętymi. Lecz

niechaj badają i porównywają z tém co tu się podało; pewni bowiem jesteśmy, że znajdą w nich niewątpliwie poparcie na to, co tu wyrzekliśmy.

W. A. Maciejowski.

List o Pedagogice i odpowiedzi p. Sierocińskiego.

Smutneto położenie wydawców pism czasowych! Każdy redaktor zwykle zawieszonym bywa pomiędzy oczekiwaniami publiczności, a niechęcią sądzonych pisarzy. A do tych sądów jakieżto *dane* jeszcze są warunki? Powszechność nasza chce sprawiedliwości czyli bezwarunkowego wyrzeczenia; pisarze pragną bardzo często samych kadzideł, lub wawrzynów nie zasłużonych. Tymczasem człowiek w dzisiejszym społeczeństwie składzie, żyć musi prawie *tak i tam, jak i gdzie* powołanie go ciągnie; zmuszonym bywa krążyć po największej części w kółku, do którego przez coś wyższego, albo chęć, lub téż losy wtrąconym został. Tak więc literat, redaktor, professor i t. p. zniewoleni są w biegu codziennego życia spotykać współpracowników, towarzyszy, braci, z którymi ich wiążą rozmaite węzły. Dobry i blizki znajomy A.— przyjaciel B.— towarzysz uniwersytecki C.— poświęcający się D.— prawy człowiek E.— pełen nadziei w przyszłości F.— przepelniony zasługami przeszłymi G.— biędny lub nieszczęśliwy H.— zobowiązał nas I.— przemożny stosunkami lub znaczeniem K.— dawali lub nadal dawać nie będą artykułów L. Ł. M. N. O. P. i t. d. i tak dalej aż do Z i Ż! Cóż dopiero powiedzieć o płci pięknej, o literatkach pełnych talentu i nerwów drażliwych? A tymczasem powszechność niecierpliwie czeka sądów, wyroków, zdania. Wydawcy przeto, jak prokuratorowie, powinni koniecznie podać swe bezwzględne wnioski. Lecz tu tyle zawał, tyle niemożności, tyle niepodobieństw! Ztąd wynika, że jedne pisma wcale nie dają zdań o najważniejszych zjawiskach w piśmiennictwie, drugie

bez końca chwałą i chwałą; trzecie obchodzą jak mogą aby prawdy nie powiedzieć, inne rozbiérają lada dziełka, i broszurki pewnej tylko kasty i t. d. i t. d. Cóż pocnie w tym chaosie barw ludzających ten, co wzięwszy za nazwę swego pisma miano *Przeglądu naukowego*, chcąc nie chcąc musi przeglądać naukowe i pozbawione nauki pisma, pisemka, twory, utwory i potwory? Obrawszy godło: „*Mów prawdę o więcej nie pytaj*” powinien postępować raz obranym torem. Opponent wszelkiej niedorzeczności i nieprawdy, musi mieć przeciwników. Jednakże, mimo ciągle spotykanych zaporów, i tysiąca (z którymi nieraz walczyć przychodzi) trudności, dopóki mu tylko sił wystarczy, zawsze w obronie bezwzględnej słuszności stanie. Lecz aby dojść do tego, ileż przykrości, ile trudów! Wy zacni współzawodnicy wiecie najlepiej! *Dać zdanie*, gniéwa się literat i wciśka na cię całą koronę cierniową, której każdy kolec czém inném zaprawny, wszystkimi rodzajami jadów, wszelkimi gatunkami obelg, ledwo nie całym arsenałem strzał rozmaitych. A jeżeli redakcja, zmodyfikuje lub osłabi pociski tych grotów, to zdania ustne między twemi znajomemi i obcemi rozsiewane, dopełnią mowy pisanéj. Boć przecie znana i *nie grammatykom* Grammatyka Kopczyńskiego: „*Dwa są rodzaje mowy, ustna i pisana*” i t. d. Otóż los dających zdanie! Gdy chcąc uniknąć tego, *nie dasz żadnego zdania*, wtedy pismo twoje stanie się bezbarwném, bezpożyteczném, zbiorem tylko nowinek, które i Famulus Żółkowskiego umiał nawet nosić. *Nie powiesz prawdy*, a wnet cię pognębą (i słusznie) że nie wypełniasz swych obowiązków, że nie chcesz prostować błędów, że niczego w twém piśmie dowiedzieć się nie można i t. d. i t. d. krzyczą i krzyczą. Po cóż więc wydawać pismo, kiedy ono nikomu żadnego nie przyniesie umysłowego pożytku, niczyjego sądu nie sprostuje, ani jednéj prawdy nie wypowie! Lecz jakąż znowu trzeba mieć odwagę cywilną, aby w tę otchłań, gdzie ciągle jamy kopia i truciznę podsuwają, śmiałą wstępować nogą? A wstąpić trzeba, bo lepiej znieść krzywdę od kilku braci, jak ubliżać powszechności i samemu sobie nie-

wypełnieniem dobrowolnie raz na się włożonych obowiązków; lepiej ściągnąć obrazę *kilku*, niż *cały* (po największej części i w najczęstszych razach słuszny) *głos powszechny* obruszyć.

Oświadczamy najsumienniejsz, iż tego wstępu, czy tam *ustępu* do nikogo nie stosujemy osobiście, bo, żebyśmy powstając przeciw osobistości, sami w nią wpadali, byłibyśmy podobni do tego, co napisawszy dzieło przeciw pijaństwu, sam w rynsztoku życia zakończył. To, cośmy w tym liście powiedzieli, jest wyrazem najszczerzego przekonania naszego, jest wynikiem przeszło ośmioletniego redaktorstwa, w którym spełniliśmy już nie jeden kielich goryczą zatruty, a mimo to zawsześmy się chłodzili wodą z rzeki zapomnienia: na tyle odpowiedzi literackich i nie na jedną krytykę, nigdyśmy nie odpowiadali i teraz odpowiadać nie chcemy. Wyjaśnimy tylko powód nieporozumień jakie spowodowały odpowiedź p. T. S. w kwietniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej. Te jednak objaśnienia, w niczem nie mają osłabiać raz przez nas wyrzeczonego w Przeglądzie zdania, ani bynajmniej nie mają nigdy wpływać na dane kiedykolwiek przez nas sądy, ani też naostatek nie są powodem do dalszych sporów lub odpowiedzi, choćby najdrażliwszych.

Nie znamy wcale szanownego pedagoga, nie mieliśmy z nim żadnych stosunków, nie jesteśmy jego współzawodnikami, bośmy nigdy ani grammatyki, ani pedagogiki, ani żadnych podobnych mu *przekładów*, nie drukowali, nie pisali, i najszczerzej zaręczamy, że nigdy pisać ani wydawać nie będziemy. Jeżeli więc pan T. S. z żółcią zwykle i octem powstaje na swych współzawodników, to nas, bezstronnych sędziów, przynajmniej złym miodem traktować powinien. Zkądże to niegościnne, niestaropolskie przyjęcie? Oto ztąd, że przed siedmią laty, redaktor wydając *Gazetę Poranną* i *Piśmiennictwo krajowe*, umieścił w nich wyjątki z listów, a niekiedy i całe listy Michała Wiszniewskiego i profesora Ż. w których był zarzut, iż *Pamiętka po dobrym ojcu* i tłumaczenie p. t. *Próby wojny Katylinowskiej* nie są

pióra szanownego pedagoga (1). Wszakże nie moje pismo rzuciło tę kwestyą, ale Magazyn Powszechny jeszcze w roku 1837 (2). U mnie toczyła się tylko polemika i to w parę lat później. Ziem tych listów nie pisał, wie o tém dobrze szanowny pedagog. Owszem odpowiedź p. Sierocińskiego (jakkolwiek niewiele przekonywającą) natychmiast po jój przyniesieniu umieściłem; co więc, kilkakroć nawet pisałem dla wyjaśnienia tych zarzutów do M. W. i jeden z listów nieco przychylniejszych dla p. Sierocińskiego umieściłem. Ale najsprawiedliwszy i najdelikatniejszy obrońca drażliwej sprawy, zawsze niechęć poszkodowanego zyskać musi w udziale nagrody. Tak się stało i ze mną. Szermierstwa ustały, gladiatorowie się zmęczyli, a na arenie gdzie była walka, ślad głęboki pozostał. *Przegląd Naukowy* powinien teraz nie mieć racyi, bo pod krytyką Pedagogiki są głoski H. S.—a ten H. S. wydawał *Gazetę i Piśmiennictwo*; musi więc być winien, jak ów baran w bajce. A choćbym mógł przekonać szan. odpowiadacza, że on nie zna dobrze społecznej literatury peryodycznej polskiej, bo jest dzisiaj 5 podpisów oznaczonych głoskami H. S. z których każdy inną osobę znamionuje, a wszystkich pięciu artykuły od lat kilku mieszczą się w pismach czasowych polskich; jednakże mniejsza o to; nie tu miejsce popisywania się z bibliografią. W piśmie mojem był rozbiór Pedagogiki, ja więc odpowiadać winienem za zdanie *Przeglądu*. Bardzo rzecz słuszna. Ale czyż autor zbił zdanie *Przeglądu*?—*Nie! wcale nie!*—Bo z góry zaraz, jako grammatyk z professyi, jakby poprawiacz ćwiczenia, zaczyna od wyszukiwania błędów grammatycznych w recenzji, zaczyna od strony najmniejszej wagi, bo w piśmie, które co 10 dni *koniecznie* wyjść musi, przez pośpiech zecera lub korektora, nie jeden błąd literalny, a często i całowyrasowy niepostrzeżenie wśliznąć się może. Lecz jakże wielkiej wagi są te błędy? Oto po *r*, jest *i*; zamiast *gdy*, *gdzie!!!* (3). Uwiadamia nas tak-

(1) Patrz Nr. 29 oddziału I Piśmiennictwa krajowego z r. 1840.

(2) Magazyn Powszechny Nr. 16 str. 127, pod red. L. Rogalskiego.

(3) Najbardziej błahe zarzuty są co do pisowni. Ale żeby przekonać, że szanowny pedagog i tu nawet błędnie utrzymuje,

że autor *Grammatyki*, iż *teorya* pochodzi z *łacińskiego* języka, o czém ja, nazwany od autora przeglądaczem, mam nie wiedzieć. Pokazuje się jednak, że, aby znać pisownię i źródłosłowy nie koniecznie wydać *grammatykę*, *słownik*, lub być uczącym, bo można i bez tego dowiedzieć się, że *teorya* nie z *łacińskiego*, ale z *greckiego* pochodzi! Zresztą, dziś każdy prawie *grammatyk* polski, innéj trzyma się *pisowni*. Kto więc ma za sobą J. N. Kamińskiego, F. Żochowskiego, T. Kurhanowicza i t. p. może nie mieć T. Sierocińskiego lub z nim jednéjże *pisowni* używających. Jestto spór bardzo ważny, oddzielnéj potrzebujący rozprawy, a we wszystkich recenzjach i odpowiedziach, wyglądający na sprzeczkę *de lana caprina*. Pomijając więc to, równie jak i uszczypliwe odcinania się, które w każdym okresie p. Sierocińskiego spotykamy, bo nigdzie się nie godzi, a tém bardziej w piśmiennictwie postępować według zniesionych już praw starego zakonu: *oko za oko*, *ząb za ząb*, powinniśmy tu zwrócić uwagę na kilka przekręceń lub złych zrozumień, jakich się zwykle skrytykowani w obronach chwytają. I tak p. Sier. pisze, zdając się wątpić, że *Kizewetter* „*ile mu wiadomo, żadnego dzieła pedagogicznego nie napisał.*” Myśmy zaś powiedzieli, że p. Sier. żywcem wziął z *Kizewettera* *Rozbiór władz umysłowych* i część II działu o naukach. Przecież o *władzach umysłowych* bierze się podobno z *logiki*? Czy autor nam zaprzeczy teraz? Gniéwa się sz. peda-

kilka słów o tém, choć w przypisku powiemy. Pan Sieroc. sądzi, że wyrazy *Julia*, *Historyja*, *Teoryja*, na wzór języka rosyjskiego, Żochowski i inni jego *pisowni* się trzymający, piszą *Julija*, *Historyja*, *Teoryja*. Zapomina jednak, że żadnego niéma wyrazu prawdziwie polskiego, w którymby dla utworzenia oddzielnéj zgłoski z litery *i* przed samogłoską znajdującéj się, nie trzeba było dodać *j*. Naprzykład: *mija*, *szyja*, *zabija*, *sprzyja*, *pijak* i t. d. Jakkolwiek więc nie przeczymy panu Sierocińskiemu znajomości języka rosyjskiego, do której lubi się odwoływać, jednakże wyznać musimy, że wniosek jego o *pisowni* przytoczonych wyrazów, opartéj na naturze języka polskiego, mylnie został przezeń odniesiony do naśladowania mowy rosyjskiéj. (Przyp. aut. art.).

gog że powstajemy na eklektyzm, i powiada że nie jest winien, bo sam się do tego przyznał. Czyśmy już wtedy niewinni, swobodni, kiedy złęgo dość nabroimy i do winy potem się przyznamy? A cóż dopiero rzucać błędy w oczy całemu światu, z dewizą: *wiemy o tém że to złe!* Czyto jest piękna zasada a zwłaszcza w pedagogu? — Zarzucaliśmy autorowi, że jak niektóre części swój Pedagogiki tłumaczył zkadinał, tak znowu *większą część swego dzieła*, toż samo powtarzamy *większą część dzieła przez siebie wydanego*, zappełnił przedrukiem cudzej pracy, Ferd. Bronisława T.— P. Sierociński temi wyrazami usprawiedliwić się myśli: „Zarzuca mi przywłaszczenie cudzego dzieła” (str. 173). „Zarzut ten chociaż zgodny z prawdą, jednak jest niesprawiedliwym (str. 179). Na to czcigodny autor (to jest F. Br. Tr.) *dotychczasowém milczeniem swoim oczywiście przyzwolił.*” Więc mając pożyczyc cudzą własność, nie pytajmy się czy nam posiadacz pozwoli, nie wchodźmy z nim w żadne ugodny apryoryczne, ale poprosto weźmy sobie co nam potrzeba, a jeśli w pewnym przeciągu czasu, prawy właściciel się nie upomni, lub dla jakichkolwiek powodów nie może się upomnieć, tośmy wtedy sobie słusznie postąpili, a ten, co nam to *a posteriori* wykrywa, **zarzuca zgodnie z prawdą ale jednak niesprawiedliwie.** Tę zasadę którą autor chciał uczynić prawną, pod sąd prawych oddajemy czytelników.—Kto inny broniący np. prawa własności literackiej lub powstający na przedruki bruxelskie, możeby na to odrzekł: „A jeśli tamtej strony byłoto jedyném utrzymaniem, *jedyną* w życiu ostoją? a jeśli pokrzywdzony otoczony jest żoną i biednemi dziećmi? a jeśli dla wydzwignięcia się z tego stanu niedostatku materyalnego i męczarni umysłowych, miał zamiar właśnie inne skutecznie wydanie swój pracy mozolnej, (może kilkoletniej), któraby nie miała tego zarzutu, jaki pan T. Sier. kładzie, iżby z powodu swój obszerności i innych względów nie mogła się znajdować w ręku naszych czytelników? i t. d. i t. d.” I więcej możnaby tu podobnych uczynić objaśnień; ale nie do nas to należy. Wcale nie myślimy występować tu w charakterze obrońcy trybunału,

i nasuwać myśli, któreby goryczą zaprawić mogły czyn już dokonany; ale tylko odwołujemy się, jakoby prokuratorowie literaccy, do zasady, wyżej o 17 wiérszy przez nas odmiernými głoskami przytoczonój. Chcielibyśmy skończyć te uwagi zdaniem naszój przeszłój recenzi, którego szanowny pedagog nie zrozumiał widać, lub nie chciał zrozumieć. Lecz ponieważ p. Sierocińskiego jak to widzimy z odpowiedzi, gniéwa nasz domysł, że powinienby, czyli mógłby coś lepszego wypracować, przeto będziem się starali podobny sąd, dla autora niemiły, z przekonania naszego wygluzować.

Zostaję na zawsze etc. etc.

Hipp. Skimborowicz Red. P. N.

O kosztorysach w budownictwie cywilném, czyli przewodnik obliczania kosztów na budowle lądowe, dla budowniczych, inżynierów, rękodzielników i wszelkich przedsiębiorców budowania, służący, przez Stanisława Gołębiowskiego budowniczego w Krakowie.

Pomimo licznych prac literackich, nader rzadkiemi są u nas dzieła, do rzędu ściślo naukowych należące; ukazanie się więc dzieł tego rodzaju, powinno budzić tém większe zajęcie i zniewalać do tém większój wdzięczności autorom, którzy usilną pracą i wytrwałością przyczyniają się do zbogacenia zasobów umiejętności nie tylko pożytecznych, ale nawet i koniecznych w obecnym stanie wszechstronnego postępu. Do tego rzędu słusznie policzyć należy dzieło w mowie będące przez budowniczego Gołębiowskiego wydane. Obejmuje ono w obszerności zasady obrachowania ilości potrzebnych do budowli materyałów, jako téż ich ceny i wszelkie koszta praktykowane w Krakowie. Autor w tym celu rozpoczyna dzieło swoje przez porównanie w krótkości miar długości, powierzchni, objętości i cięża-

ru czyli wagi. Porównanie to nader jest użytecznym i wygodnym, ale żałować należy, że do zasad obliczeń, autor przyjął miarę sążnia wiedeńskiego, który w Krakowie jest tylko używanym; a tym sposobem dla królestwa uczynił w pewnym względzie użycie swoich zasad niedogodnym, gdyż każdy artykuł czyli szczegół na miarę wiedeńską rachowany, dla oznaczenia go w wymiarach królestwa, musi być piérwój redukowanym, co z powodu ułomków przy współmierności wymiarów, przedłużać musi i utrudniać rachunek. Z tego względu dzieło autora dla królestwa ma więcej zalety naukowe, jak użyteczności podręcznej w praktyce. Dalej następuje sposób obliczania wymiarów liniowych, powierzchni najpospolitszych figur, jako téż ich wymiaru sześciennego. Wskazanie to może być użytecznym dla wielu szczególnie, rzemieślników, którzy nie posiadają rozleglejszych wiadomości matematycznych. W części traktującej o materiałach budowlanych, starannie objętymi są wszelkie okoliczności potrzebne do ocenienia i obrachowania ilości. Znajduje się bowiem przy każdym materiale nie tylko cena miejscowa i koszt dostawy, ale nadto waga pewnych wymiarów, jako téż potrzebna ich ilość. Nie byłoby tu stosownym wykazywać każdego w szczególności materiału różnicy ceny krakowskiej od warszawskiej; dodać tylko możemy uwagę, iż w ogólności materiały budowlane w Krakowie znacznie tańszymi są od materiałów warszawskich, a szczególnie kamienie, marmury, gips i wapno. W szeregu materiałów objętych w dziele znajdują się: kamienie dzikie, kamienie wapienne, ciosowe, kamień piaskowy ciosowy, marmury, łupek, cegła, dachówka, drzewo w rozmaitych gatunkach i wymiarach, wapno, piasek, gips, glina, cement, kity, żelazo kute i lane, ołów, cyna, miedź, cynk, mosiądz, szkło, farby, trzcina i słoma.

W drugiej części dzieła zamieszczone są zasady obliczenia robót i materiałów budowlanych. Autor posunął tu pracę swoją do najmniejszych nawet szczegółów, wykazując w każdym przypadku ile potrzeba materiału na pewien wymiar, i o ile potrzeba użyć ilości dni pracy w robocie każ-

dego rzemieślnika także na pewien wymiar. Oznaczenie robót na ilość dni, stanowi właściwie umiejętność naukową obliczania kosztorysów, a część ta pracy pomimo odmiennej miary przyjętej w dziele, posłużyć jednak może i w królestwie do zastosowania do praktyki: bo chociaż pospolicie nie rachujemy na dni robót, lecz oznaczamy wynagrodzenie od pewnych ilości, czyli od jedności wymiarów, oznaczenie jednakże ceny tychże robót łatwiej da się ustanowić, mając pewną zasadę potrzebnej ilości dni pracy. Jak obszernie przedmiot ten autor traktuje, dosyć jest nadmienić, iż sama robota murarska obejmuje zasad obliczenia różnych szczegółów stronic 72. Podobnie i inne roboty bardzo szczegółowo są wymienione. Umiejętność budownictwa składa się z licznych gałęzi wiadomości naukowych i praktycznych, a pominąwszy tu część estetyczną, czyli część jako sztuk pięknych, sama technika wymaga od budowniczego wielostronnych wiadomości z nauk przyrodzonych i matematycznych; i téjto ostatniej strony jest częścią umiejętność wyrachowań, tak potrzebnej ilości materyałów, jako téż rozlicznych robót stosujących się do zamierzonej planem budowli. Umiejętność ta wszakże nie jest prostym użyciem, lub zebraniem pewnych danych ilości stosownie do zasady; oznaczyć je pierwój musi nietylko plan, ale nadto biegłość budowniczego we wczesnym przewidzeniu wszelkich trudności właściwych kombinacyom planu, miejscowości i rodzajowi użyć się mających materyałów. Dlatego budownicz przed rozpoczęciem tak planu jako téż wykonania, poznać winien dokładnie to wszystko, co wpływać musi do składu wzniesć się mającej przez niego budowli. Dzieło budow. Gołębiowskiego jest bardzo użytecznym w téj części, a byłoby jeszcze daleko korzystniejszym, gdyby wymiary, jak już wyżej powiedzieliśmy, były rachowane na miarę królestwa.

W zasadach wyliczenia kosztów budowli dwie oddzielne mieszczą się części, to jest: jedna jest znajomością naukową, jaką jest wiadomość potrzebnych ilości materyałów na pewne wymiary, oznaczenie potrzebnych dni pra-

cy i t. p. drugą część stanowi znajomość cen od pewnych wymiarów. . Znajomość ta jest tylko lokalną, to jest właściwą miejscowości, i w tym razie robiąc obliczenia kosztów budowli, należy piérwój zebrać dokładne wiadomości, jakie ceny są praktykowane robót szczegółowych w tém miejscu gdzie budowa ma być wzniesioną. Pod piérwszym względem dzieło p. Gołębiowskiego obejmuje dostateczne wskazania dla każdego trudniącego się obrachowaniem kosztów budowlanych i służyć może za przewodnika naukowego, w drugim widzimy ceny miejscowe jak zwykły być praktykowanemi w Krakowie. Cała praca p. Gołębiowskiego jest nader staranną i może zarzucićbyśmy mogli tylko zbyteczną niekiedy szczegółowość niektórych artykułów, które z ogólnych zasad są tylko prostym wypadkiem, a nie odrębnemi zasadami. Lecz łatwiej jest w tym razie do darowania zbytek, aniżeli gdybyśmy przymuszeni byli obwiniać dzieło o niedostateczność. Co do nazwań szczegółów czyli wyrażań technicznych, p. Gołębiowski nie wprowadza przesady w tworzeniu nazwisk, lecz używa albo pospolicie znanych, albo miejscowych, a jeżeli niekiedy daje nowe nazwisko spolszczone, to wyrazy jego nie są dziwaczne, jak to niektórzy czynić zwykli. Sprawiedliwie więc należy się wdzięczność autorowi, który tak ważną i tak pożądaną pracą przyczynił się do rozszerzenia w naszym języku wiadomości i umiejętności budownictwa, w części technicznój. W dziele tém bowiem upatrywać należy jego korzystne zastosowanie dla praktycznego użytku, ale nadto można powziąć nadzieję, iż jeżeli autor więcej podobnemi pracami trudnić się zechce, te zostaną korzystnemi dla części technicznój sztuki budownictwa.

A. Idzkowski.

Geografia p. Mikołaja Pawliszczewa, członka Rady Wychowania w Królestwie Polskiem. W Warszawie, w druk. St. Strąbskiego. 1847 r.

Dziełko to, które na początku b. r. w języku rossyjskim wyszło, składa się z 179 str., i obejmuje wszystkie państwa Europy, oprócz Rosyi. W tak małej objętości książeczka ta zamyka wszystko, co do dokładnego obeznania się z krajami, które opisuje, nieodbitcie potrzebne. Zastosowana zupełnie do programmatu, według którego nauka geografii wykłada się w szkołach, z wielką korzyścią i ułatwieniem pracy dla nauczycieli i uczniów użytaby być mogła. Komu wiadomo z doświadczenia, ile zadaje trudu, ile zabija czasu wyszukiwanie tego, co istotne a co niepotrzebne, w książkach elementarnych obszernych i zamykających mnóstwo szczegółów; ten właśnie w dziele które mamy przed sobą, potrafi ocenić rozsądny wybór oparty na gruntownej znajomości rzeczy i słuszném ocenieniu zdolności dzieci, którym nic tak nieszkodzi, jak zbytek, które nienależy uczyć nadto, aby się mogły czegokolwiek nauczyć dobrze.

Ta uwaga kierowała autorem, i pod tym względem jeszcze jedno znajdujemy w książce jego ułatwienie. Text dzieła, zamykający że tak powiem, rzeczy obowiązkowe dla każdego ucznia, wybity jest drukiem większym; szczegóły zaś bądź statystyczne, bądź handlowe, bądź historyczne, któremi uzupełnia się wiadomość zawarta w texcie, wydrukowane są przy każdym artykule drobniej, w tym celu, aby je nauczyciel zostawił ochocie uczniów pilniejszych. Wybieg ten pedagogiczny podnieci ich emulacją, i poda im łatwy i korzystny sposób pokazania, że do pilniejszych należą. Dodać tu jeszcze wypada, że wiadomości w tych dodatkach zawarte, a wyrażone zwięźle i krótko, są ciekawe, same przez się zajmują i podają nauczycielom materią do obszerniejszych objaśnień, których dzieci zawsze z taką uwagą i chciwością słuchają.

Co do samego textu powiemy tylko to, że opisanie pojedynczych krajów gruntuje się na najnowszych wiadomo-

ściach i zmianach, jakie zaszły w politycznym układzie Europy; że autor starannie unikał drobiazgów, obciążających pamięć, a obszerność opisów stosował do ważności, siły, wpływu i znaczenia państwa. Między innemi rzeczami, które nam się zdają wydatniej i z innego punktu pokazane niż gdzieindziej, jest opisanie Hiszpanii, rzut oka na Rzym, i charakterystyka państw Włochy składających; jest wykazany gruntownie i wsparty liczbami słowiański charakter Austrii; jest uzupełnienie nowemi poszukiwaniami wiadomości o Turcyi, o Serbii, o Mołdawii, i wzmianka dokładna o patryarchalnej Rzplitej Czarno-Góry, o której w żadnej geografii niéma, a która, chociaż liczy tylko 100 tysięcy ludności, bez zaprzeczenia jest ważniejsza i ciekawsza, niż Monako i tym podobne kraiki.

Wszystko co powiedziano o przemysłowości różnych krajów, wyczerpnięte z dobrych źródeł i wyrażone jasno i do pojęcia dzieci. Szczególniej autor zastanowił się nad przemysłem Anglii, i w ciekawym dodatku wykazał jej siły morskie, które, jak tam liczbami stwierdzono, przewyższają siły wszystkich innych państw europejskich, które mają marynarkę, razem wziętych.

Ludność, a szczególniej miast, starannie według najnowszych wiadomości wyliczona. Ludność państw wyrachowana nietylko w ogóle, ale w szczegółach co do plemion i wyznań, składających ciało polityczne jakiego kraju. A jeżeli w skład jego wchodzi Słowianie, wszędzie są oddzieleni co do liczby i pokoleń, na jakie się między sobą dzielą.

Równie w texcie jak i w dodatkach, gdzie są nazwiska które język rossyjski inaczéj niż polski przyswoił, stoi oraz nazwisko polskie, lub właściwe słowiańskie, jeżeli się opisuje słowiańszczyzna. Oprócz tego, na początku dzieła są dwie tablice, z których jedna zamyka nazwiska miast, rzék, mórz i t. d. przez inne języki, a szczególniej niemiecki, wykręczone i zmienione do niepoznania, i obok nazwania właściwe ruskie, polskie, czeskie, iliryjskie i t. d.; druga zamyka też same nazwiska słowiańskie porządkiem alfabety. Za tę niełatwą pracę i tę restytucyą słowiańszczyzny, pokazu-

jąca jak ona daleko i w jakich kierunkach sięgała, należy się wdzięczność autorowi.

Zakończymy chlubną wzmianką jeszcze o jednej tablicy, znajdującej się na samym początku dziełka. Jestto wykaz statystyczny wszystkich państw Europy, wraz z ich posiadłościami w innych częściach świata. Wykaz ten zrobiony pracowicie i oparty na najnowszych badaniach i obliczeniach, ma tę szczególność, że w jednej z siedmiu kolumn swoich, zamyka wyrachowanie lat, w przeciągu których podwaja się ludność jakiego kraju. Praca ta podaje ciekawe i niespodziane wypadki. Naprzykład: że we Francyi podwaja się ludność w przeciągu 190 lat, kiedy w Niemczech mniej więcej w przeciągu 70—90; że we Włoszech, w państwie Papieżkiem na podwojenie się ludności potrzeba 164 lat, gdy tymczasem o ścianę w Toskanii tylko 70 i t. p. Liczby te nasuwają ciekawą kwestyę dlaczego tak? Za pośrednictwem téj tablicy, część geografii najbardziej ruchoma, t. j. ludność, zamienia się na stale oznaczoną. Jakkolwiek bowiem wyrachowania te, jak wszystkie cyfry statystyczne, są przybliżone, mając jednak znajomą liczbę lat do podwojenia się ludności potrzebnych, można na-przód wyrachować, jaka będzie ludność jakiego kraju w danym czasie.

Taką jest książeczka p. Pawliszczewa, którą uważamy za pracę nierozległą i obszerną, ale sumienną, a przez trafność i wybór rzeczy użyteczną i bardzo interesującą.

J. Korzeniowski.



ROZMAITOŚCI.

Historya starożytnéj rossyjskiéj literatury, przez profesora uniwersytetu w Moskwie S. P. Szewyrewa.

P. Szewyrew, jest zaszczytnie znany w świecie naukowym jako professor odznaczający się zajmującym wykładem, pełnym życia i głębokiej znajomości obranego przez siebie przedmiotu, i jako autor dwóch znakomitych dzieł: *Historyi poezyi* (Moskwa, 1835), zawierającej historyą poezyi indyjskiej i hebrajskiej, z dodatkiem dwóch wstępnych prelekcij o charakterze kultury i poezyi głównych narodów nowéj zachodniéj Europy, i *Teoryi poezyi w historycznym rozwoju u starożytnych i nowych narodów* (Moskwa, 1836). Nadto jeszcze głęboki ten krytyk najcelniejszych utworów literatury rossyjskiej, przepędziwszy wiele lat we Włoszech, gruntownie zna język i literaturę włoską, jak pokazuje się z jego badań nad *Boską komedią Danta*.

W roku akademicznym 184¹/₃ w Moskwie p. Szewyrew miał publiczne prelekcye o historyi literatury rossyjskiej. Z pism peryodycznych wiadomo, że lekcye te licznie były uczęszczane i przyjęte z wielkim zapętem. Szanowny professor wykladał je ustnie. Brak w Rossyi stenografów, był przyczyną, że prelekcye te nie mogły być natychmiast oddane na piśmie i w druku, przez co zapewne, utraciły cechę ożywionego ustnego wykładu; dlatego p. Szewyrew wydając je na widok publiczny zapewnia, że główna ich

treść i myśli pozostały te same, chociaż sposób wyrażenia się musiał stracić na dokładności. Tytuł tych prelekcji jest: *Historya Literatury Rossyjskiej, w szczególności starożytniej. XXXIII prelekcye Stefana Szewyrewa zw. profesora Uniwersytetu Moskiewskiego* (Moskwa, 1846 r., 2 tomy, w 8ce). Kurs ten głównie zajmuje starożytną rossyjską literaturę; jednakowoż, ostatnie dziesięć lekcji, mają za przedmiot okres nowo-europejski, począwszy od pieśni ludu ruskiego, które stanowią przejście od epoki starożytnej do nowój. Gdy druk téj pracy będzie skończony, wydaną zostanie inna praca Szewyrewa, obejmująca głównie nowszą rossyjską literaturę.

Rzućmy okiem na te dwa tomy prelekcji uczonego profesora. Niepodobna w ścisłym zakresie artykułu, przeznaczonego dla pisma peryodycznego, dokładnie objąć całą treść dzieła; zatrzymajmy naszą uwagę przynajmniej na niektórych wyjątkach, aby dać wyobrażenie czytelnikom o sposobie wykładu profesora.

Na wstępie do swoich prelekcji p. Szewyrew mówi:

„Miałem do wyboru dwa przedmioty, które w równym stopniu mnie zajmują: z jednej strony wabiły mnie głośnie imiona i powszechne znaczenie świetnej literatury zachodu, z drugiej, skromna literatura naszego kraju, na którą niedawno, i że tak powiem, od śmierci Puszkina dopiéro, zwróciła słuszną uwagę Europa zachodnia, i nakoniec przyznała jój istnienie. Obratem krajową literaturę. Powiem tego wyboru przyczyny. Piérwsza jest bardzo prostą, opowiem ją otwarcie: w jakimże oświeconym wieku ktokolwiek wahał się wyznać przed innemi, że lubi swoją rodzimość? wiedziałem że w naszej mowie jest nasze życie, nasza myśl, duch naszego ludu; że to my sami, że to nasze niewidzialne ciało i krew. Lecz w nauce, uczucie zamiłowania chociaż może obudzić przywiązanie do przedmiotu (bo bez miłości nie poznać nie można, jak to już uznawały ludy starożytne w nazwie *filozofii*), jednakowoż powinno ustąpić myśli rozumnej. Nauka wymaga ofiary. Jakaż myśl mnie natchnęła do tego wyboru? — myśl następna:

„Każdy zapewne spostrzeże w społeczném dążeniu umysłów naszego kraju, że nauka, przeniesiona do nas z obczyzny, zaczyna u nas panować. Ustalenie nauki, jest najznakomitszym wypadkiem w naszym współczesnym życiu. Nad świątynią pogańskiej mądrości był napis: „poznaj samego siebie.” Co zastosowano tam do człowieka w ogóle, można zastosować do narodu, w szczególności, który szuka wiedzy. Naród nieznający siebie, nie może zupełnie znać innych narodów; odwrotnie, nie znając innych narodów, nie może znać siebie. Jedno dopełnia się drugim. W konieczności narodowej samowiedzy, wszyscy mniej więcej zgadzają się, lecz wypada tu wskazać różnicę dwóch ostatecznych zdań, których trzymają się u nas ludzie myślący. Jedni myślą, że samowiedza ludu powinna wpoić w nas pychę i doprowadzić do narodowego odosobnienia; inni przeciwnie, wystawiają sobie, że samowiedza ta, powinna przyczynić się do własnej zagłady naszej, w obec innych narodów. Nie trzymam się pierwszego zdania; jeszcze mniej wierzę w drugie, bo podług ruskiego przysłowia: „Unieżenie siebie więcej znaczy jak pycha.” Nie sądzę, aby narodowa samowiedza, będąc zastosowaną do nauki, mogła nas doprowadzić do ograniczonej pychy; tém mniej do rozpaczki i do jakiegoś duchowego upadku. Przeciwnie, zdaje mi się, że samowiedza powinna w nas obudzić jasne, rozumne uznanie naszej narodowej siły, a z nią razem wywołać otwarte zeznanie naszych narodowych wad, bez czego, ani w człowieku oddzielnie, ani w całym narodzie, niepodobnym jest chrześcijańskie udoskonalenie (*).”

(*) Bez wychwalania się możemy wyznać, mówi w przypisku p. Szewyrew, że niema na świecie narodu, który tak otwarcie gotów jest wypowiadać przed całym światem swoje wady, jak naród rossyjski. Z tego stanowiska usprawiedliwiamy nawet tych Rossyan, którzy zapatrując się tylko na samą czarną stronę naszego życia, przysposabiają cały naród do takiego zeznania własnych wad. Oby tylko to zeznanie czyniono z zupełną miłością narodu, z gorącym życzeniem poprawienia tych wad, lecz nie dlatego, aby usprawiedliwić swoje odpadnięcie od narodu! Zresztą, z tego źródła może wyniknąć tylko bezczelne kłamstwo na naród, lecz nie pełne, rozumne zeznanie jego wad.

„Co rozumiemy pod imieniem narodowości? Często używamy tego wyrazu, trzeba go określić. Według mego zdania, jestto połączenie wszystkich duchowych i fizycznych sił, danych od Opatrzności jakiemu narodowi dlatego, ażeby spełnił na ziemi swoje ludzkie powołanie. Naród więc jest tylko naczyniem dlatego, ażeby w niem wrzało wszystko co jest pięknem w ludzkości; tak samo, jak ludzkość znowu jest naczyniem Boskości. *W narodowości ludzkość i w ludzkości Boskość*, to jest ideał ziemskiej doskonałości, to jest cel naszego dążenia. Myśl, że Opatrzność ciągle prowadzi człowieka do tego, ażeby stał się podobnym Bogu, często daje się napotkać w naszych dawnych dziełach. Narodowość, jako naczynie, koniecznie jest potrzebna; bez niej ludzkość nie miałaby w czém rosnać i objawiać się przed Boskością. Lecz rzecz jasna, że im naczynie jest obszerniejszem i głębszem tém jest lepszem; w zetknięciu się zaś narodów całego świata, ten naród stanie wyżej od innych, który więcej jest zdolnym okazywać współluczucie innym, i przyjmować w siebie co jest powszechnem, oczyszczając go w Boskości.”

P. *Szewyrew* tłumacząc dalej, jak w mowie wyradza się i wyraża duch narodu, objaśnia słuchaczom, że miejscowe przyczyny powodowały go do obszernego wykładu historii literatury ojczystej z dawnych czasów; potem wskazuje jeszcze inne ważniejsze przyczyny, które zawierają się w najnowszym zapatrywaniu się na przedmiot nauki, a więc i na samą naukę. „Okres literatury wyłącznie pięknej, skończył się, mówi p. *Szewyrew*. Niemcy, kraina wyobrażeń oderwanych, utworzyła dawniej poezją zupełnie odłączoną od życia, i wkrótce potem taką samą naukę. Lecz obydwie uczuły swoje odosobnienie, a następnie swoje nietrwałość. Poezja i w Niemczech przyjmuje charakter, jużto religijny, jużto polityczny. We Francji i Anglii ona porusza kwestye religii i życia społecznego; ten stan przejścia, bez wątpienia niedogodny, jest nader ważnym. Pokazuje on, że oddzielne żywioły człowieczeńskiego bytu, w rozłączeniu z sobą będąc rozwinięte, dążą do wzajemnego połączenia i chcą prze-

niknąć się jeden drugim. Człowiek europejski szuka bytu całkowitego i zupełnego. Co jest rozłączone nie może go zaspokoić. Od drobnej analizy, już chciałby przejść do ostatecznej syntezy; w każdym zaś zjawisku życia swego uznawać całkowitość swego bytu.”

„Takiemu zapatrywaniu się na literaturę we względzie praktycznym, odpowiada a nawet dopomaga zapatrywanie się na nią w nauce. Wyłączne estetyczne zapatrywanie się przeminęło. Nasz pobratymiec M., niedawno jeszcze na paryzkiej katedrze wykrywając przed zdziwionemi Francuzami skarby literatur słowiańskich, obejmował cały zakres życia narodowego, o tyle, o ile się wyraża w mowie; i nawet załączał tu pomniki prawodawstwa. Niemieccy krytycy obwiniali go, że zbyt mało zwracał uwagi na literaturę kościelną. Gerwinus w swoim kursie historii niemieckiej literatury, chociaż ogranicza się na poezyi, jednakowoż ciągle ją łączy z religijném, uczoném i społeczném rozwinięciem się narodu niemieckiego. Ampère, E. Quinet, Filaret Chasles, w najobszerniejszym zakresie wykładają historią literatury ojczyznej i cudzoziemskiej.”

„Taki sposób zapatrywania się na literaturę, który można spostrzedz i w jej pojawach i w samej nauce, wyraża myśl głęboką, zadanie współczesnej ludzkości: — wystawić całość bytu ludzkiego, tymczasowo w mowie, nim zostanie wyrażoną w czynie. Wszystkie narody postępujące naprzód, biorą teraz udział w wielkiem ubieganiu się o to, kto najdoskonalej wystawił ideał ludzkości?”

Z tego wyjątku czytelnicy mogą sądzić, z jakim światłym europejskim poglądem na rzecz, przystępuje uczony profesor do wykładu historii swojej ojczyznej literatury. Prelekye jego są owocem długoletnich, niezmordowanych prac, i nie można dość podziwiać, z jakim niepospolitym talentem p. *Szewyrew* umiał połączyć badawczą i mozolną pracę nad obrobieniem suchych faktów, z pełnym życia i zajmującym dla słuchaczy wykładem.

Zrobiwszy podział historii literatury ruskiej, p. *Szewyrew* zastanawia się nad mową ustną i piśmienną i mówi:

„Wykładając historią literatury jakiegobądź narodu, trzeba nasamprzód poznać charakterystyczne rysy języka, którym mówi. Będę się starał dopełnić tego zadania nad językiem ojczystym w trzech względach; ma się rozumieć, ze stanowiska historycznego. Naprzód wystawię jego stosunek uniwersalny w rzędzie tych języków Indo-Europejskich, z którymi stanowi jedną wielką całość; podrugie: jego stosunek plemienny w tój rodzinie słowiańskiej, z którą ma najbliższe pokrewieństwo; potrzenie: jego stosunek domowy, jego zetknięcie się z językami plemion, które wywarły na naród nasz wpływ polityczny.”

„Od mowy ustnej przejdziemy do piśmiennój. Dlatego musimy przenieść się do naszych południowo-zachodnich braci: Bołgarów, Serbów, Morawów i Czechów, do tych oddalonych wieków, kiedy przyjęliśmy za ich pośrednictwem piérwsze nasiona nauki chrześcijańskiej, w języku rodzimym i zrozumiałym, i żyliśmy razem z nimi w styczności z duchem i słowem Bożém. Powinniśmy wznosić w wdzięcznej pamięci ten najdawniejszy związek z plemionami, który tak niesłusznie zapomnieliśmy. I przejdą przed nami w pokornej wielkości, święci apostołowie ludów słowiańskich, Cyryll i Methodysz; skarb odebrany przez nich od tych apostołów, Opatrzność przeznaczyła nam do wiernego zachowania. Zobaczymy tu stosunek języka słowiańsko-kościelnego do ruskiego: zobaczymy jak w samym początku mowa piśmienna oddzieliła się u nas od ustnej, lecz nie utworzyła żadnego sprzecznego, tamującego żywiołu, owszem, zawierała w sobie wewnętrzną, duchową siłę; która stale działała na żyjącą mowę ludu, i służyła za przewodnika skarbów, które za jój pośrednictwem wpływały do nas od innych słowiańskich plemion, wyznawających jedną wiarę z nami.”

„Od mowy piśmiennój przejdziemy do pieśni ludu. Pieśń ruska będzie nam towarzyszyła przez cały starożytny okres, odzywając się o wszystkich najważniejszych jego wypadkach. Jak daje się słyszeć *nieskończona*, podług wyrażenia Gogola, po całej przestrzeni ruskiego państwa, tak samo

przenika w głąb' naszego historycznego życia, mieszcząc w sobie warstwy rozmaitych epok. Pieśń ta zabrzmiała nam na początku i w końcu starożytnego okresu, przed epoką Piotra, odzywając się jeszcze dziś w odłączonej części prostego ludu, jako dźwięk już prawie miniony. Bohaterskie podania o walce z dzikimi ludami, które ciągle uderzały na nas z Azji; o zniszczeniu pogaństwa i czarnoksiężstwa; dadzą się słyszeć w naszych historycznych pieśniach. Pierwotny ich rząd sięga czasów Włodzimierza. Po pieśniach bohaterskich, które wystawiają dosyć ciemną stronę dawnego narodowego życia, nastąpią wzniosłe, światłe pieśni duchowne, gdzie odbije się pierwszy spokojny pogląd na świat i człowieka, natchniony narodowi przez pierwotne chrześcijaństwo. Pieśń, jako ogólne wyrażenie narodowego ducha, obejmuje w jednym momencie wszystkie czasy i losy narodu; nauka ma zadanie: oznaczyć w niej epokę, i w każdym wiecznym jej brzmieniu wskazać cechę czasu."

Wskazawszy główne piśmienne pomniki dawniej Rusi, p. *Szewyrew* tłumaczy się, dlaczego największą część swojej pracy poświęcił starożytnemu okresowi literatury ruskiej. Zupełna nieznanostwo starożytniej epoki Rusi, która prawie całkiem zasłonięta została nową reformą Piotra W., powodowała uczonego profesora z prawdziwym zamiłowaniem, wziąć się do tego ciekawego i ważnego przedmiotu. Prace Kałajdowicza, Tymkowskiego i Wostokowa, nakoniec Kommissyi Archeograficznej, przyczyniły się do obznajmienia z wielu pomnikami; jednakowoż te pomniki dotąd nie stały się jeszcze własnością nauki. Drugim ważnym powodem do tego, jest związek kwestyi naukowej z kwestyą życia społecznego, ponieważ piśmienne pomniki dawniej Rusi dotychczas należą do tej części ludu, której, jak się wyraża p. *Szewyrew*, należy się prawo, cześć i chwalebnie nazywać się narodem ruskim.

Co do nowego okresu literatury ruskiej, szanowny professor mówi: „Historia literatury ruskiej w jej nowszym okresie od Piotra aż do naszych czasów, nie będzie dokładnie objęta w moim kursie, w terażniejszym akademickim

roku, z powodu braku czasu. Przedstawię ją w skróceniu. Jednakowoż czasy Piotra, tak ściśle połączone z epoką poprzedzającą, będę się starał oznaczyć w zarysach dokładniejszych. Pisarze z tych czasów, przez swoje ukształcenie jeszcze należą do dawnego okresu, jeszcze dalej prowadzą wielką sprawę starożytnej Rusi. Lecz sam Piotr już stoi na czele nowój epoki. W jego charakterze i czynach, widzimy zarody tego, co się rozwinęło później. Poznamy go jako pisarza. Prawda, treść jego dzieł, stosuje się do życia wojskowego i politycznego; lecz ważne ma w nich znaczenie styl ruski, w którym wybitnie maluje się indywidualność Piotra.”

„Czasy Anny, wystawią nam nieszczęśliwą ostateczność jednej strony w panowaniu Piotra: — wpływ cudzoziemszczyzny. Cały rozwój naszej literatury od Łomonosowa do Puszkina włącznie, wystawimy w jednym ogólnym obrazie, i ześrodkujemy wszystkie szczegóły naokoło głównych idei, rozwijanych w całości. Lecz szczególną uwagę zwrócimy na znaczniejszych jego reprezentantów. Każdy z pomiędzy nich uosobił dla nas ogólną myśl, naokoło której srodkują się wszystkie jego działania. Łomonosów i w swojej biografii, i w akademicznych czynnościach, i w poezji, wyraził dla nas myśl o nauce; — Derżawin prawnik i poeta, — myśl o prawie politycznym; Karamzin — współuczucie do powszechnej ludzkiej oświaty, połączone z głęboką miłością swego ludu; Żukowski — ideał czystej duchowej piękności; Puszkina — myśl artystyczną w całym rozkwicie mowy. Tak nasza literatura, w nowo-europejskim okresie, pomimo niedawnego swego istnienia, już zdołała w swoich reprezentantach, szlachetnie wyrazić te ogólne ludzkości myśli, które powinny poruszyć nowe ukształcenie Rusi, przy współdziałaniu dawniej duchowej siły. Nienapróżno chwała narodowa okryła imiona najcelniejszych wyobrazicieli naszej mowy: w mowie tej błyszczy nieśmiertelna myśl, bez której opinia powszechna nie uwieńczyłaby ich chwałą. Wszyscy razem, przez swoje utwory, już mogą

godny przyjmować udział w wychowaniu strony ludzkiej ludu rosyjskiego; a te myśli, które każdy z pomiędzy naszych pisarzy uosobił w swojej mowie, powinny teraz stać się własnością całego rosyjskiego ludu, i być zaszczerpione w tym twardym, niezachwianym gruncie, który sam naród przysposobił sobie w starożytnym życiu. Oto jest stosunek, który mieszczę między nowym a dawnym okresem naszego życia i naszą mową, a z nim razem zadanie przyszłego rozwinięcia się Rosyi.”

Przytoczę tu zakończenie wstępnej prelekcji p. *Szewyrewa*, pełne wzniosłej i pięknej wymowy:

„Nie utaję przed wami zadowolenia, jakie czuję na myśl, że na mnie wypadła kolej wykładania wam historii starożytniej naszej mowy, tu, w Moskwie, przed świętymi murami Kremla, poza którymi niegdyś wrzało życie narodowe i dawała się słyszeć też sama mowa. Teraz, z niepojętym uszanowaniem patrzemy na nasze pomniki; lecz jeszcze większe znaczenie będą miały dla nas, kiedy z każdego ich kamienia wydobędzie się dźwięk dawnego życia w nich zatajony. Dźwięki te nie umarły: jeszcze żyją w nas, i tylko drzymią, oczekując przebudzenia się. I zapewne, przyjdzie ten czas, być może wkrótce, kiedy te wymowne odgłosy życia obudzą się jak dzwony w czasie naszej nocy na Zmartwychwstanie Zbawiciela, i otoczą niewidzialną siecią miłości z początku nas wszystkich, pomimo niezgody w zdaniach, a potem razem z nami wszystkie narody świata”...

Czytając prelekcję p. *Szewyrewa* i przeglądając z nim razem piśmienne pomniki starożytniej Rusi, nie wiesz czemu się dziwić: czy niezmordowanym badaniom uczonego profesora, czy też interesowności samego przedmiotu. Odsyłając czytelników do samych prelekcji, przytoczymy tu jeszcze niektóre z nich wyjątki. Szczególniej wiele nowych rzeczy powiedział p. *Szewyrew* o klechdach i pieśniach. Jest jedno cudne podanie o tém, dlaczego na Rusi znikli bohaterowie (*). Podanie to uosobia wielką myśl, jakim sposo-

(*) *Bohater* po rosyjsku: *Witjaż*; w polskim języku wyrazy: *zwycięzca, zwyciężać.*

bem siła materyalna na Rusi, z wolna ustąpiła miejsca sile duchowej. Podanie musi być starożytne: dotychczas jeszcze żyje w ustach mieszkańców Syberyi. Trudno w tłumaczeniu polskim zachować narodową cechę języka, w którym opowiedziane podanie; jednakowoż będziemy się starali o ile można spolszczyć je, i uczynić przynajmniej treść jego zrozumiałą:

„Przy zachodzie pięknego słońca, wyjechało na rzekę Safat siedmiu walecznych ruskich bohaterów, siedmiu krzepkich braci, a w ich liczbie: Alesza Popowicz młody, Dobrynia junak i zawzięty kozak Ilja Muromec.”

Rzeka Safat bardzo często wspominaną bywa w pieśniach ruskich, które opiewają walkę ludu ruskiego z hordami azyatyckimi. Jestto niby granica ruskiego państwa, a na niej odbywają się wielkie bitwy.

„Przed bohaterami zaległo czyste pole: na niém stoi rozłożysty dąb. Idą od niego trzy drogi: pierwsza do Nowogrodu, druga do Kijowa, trzecia do modrego morza.”

„Zatrzymali się bohaterowie na rozdrożu, postawili biały płócienny namiot, puścili konie, aby bujały po szerokiem polu. Chodzą konie po jedwabnej trawie, wyrrywają zieloną trawę, brzęczą złotem wędzidłem; w namiocie zaś bohaterowie spoczywają.”

„Tak było przy wschodzie pięknego słońca; wstał junak Dobrynia wcześniej od innych, wyszedł do rzeki Safat, umył się zimną wodą, otarł się cienkiem płótnem, modlił się obrócony na wschód.... Za rzeką Safat spostrzega Dobrynia biały płócienny namiot; w tym namiocie leży Tatarzyn, złośliwy Tatarzyn bisurman: nie przepuszcza ani jeźdźca, ani pątnika. Osiodłał Dobrynia swego dzielnego konia, wziął dzidę bułatną i wsiadł na konia.”

„Przeskoczywszy rzekę, Dobrynia pierwszy wyzywa Tatarzyna, aby się z nim bił: Tatarzyn przystał na to. Zjechali się razem; dzidy się połamały, miecze pokruszyły, bohaterowie zsiadli z koni i wszczął się między nimi ręczny bój.”

„Dobrynia został zwyciężony i padł na ziemię. Tatarzyn wskoczył mu na piersi, rozszarpał je i wyrwał serce.”

„Wstał drugi bohater, Alesza Popowicz. Widzi za rzeką konia Dobryni. Stoi dzielny rumak osiodłany, ale jest smutny; spuścił jasne oczy w ziemię, snadź stęsknił się za swoim panem.”

„Wsiadł Alesza na koń: koń sroży się, wzbija się od ziemi, przeskoczył za rzekę Safat. Wdali widać biały namiot. Alesza zbliża się do Dobryni, ten śpi głębokim snem; Alesza wyzywa Tatarzyna do boju. I Tatarzyn padł zwyciężony; chciał Alesza rozszarpać mu piersi i wyrwać serce; lecz nie wiedzieć zkąd ukazał się czarny kruk. Uwija się koło Aleszy, prosi, aby nie szarpał piersi Tatarzynowi i obiecuje mu przynieść z za morza martwój i żywój wody. Alesza usłuchał. Kruk dotrzymał słowa. Alesza skropił Dobrynię martwą wodą, a pozostało jego ciało, zagoiły się krwawe rany; skropił go żywą wodą, a obudził się bohater ze snu śmiertelnego. Puścili wolno Tatarzyna.”

„Trzeci, Ilja Muromec, wyszedł z namiotu. Widzi, że przez rzekę Safat przeprawia się niezliczona bisurmańska siła. Ilja Muromec zwołuje bohaterów. Stawili się na skienienie, wsiedli na dzielne konie, rzucili się na siłę bisurmańską. Nie tyle bohaterowie rąbią, ile dzielne ich konie deptają wroga. Bili się trzy godziny i trzy minuty; porąbali siłę pogan.”

„Zwyciężywszy ją, bohaterowie zaczęli się pysznić i przechwalać w następnym sposobie:

„Nieutrudzone jeszcze w bitwie nasze silne ramiona, niezmęczone nasze dzielne konie, niestępione nasze bułatne miecze!” I piérwszy Alesza Popowicz oszalał z dumy i mówi: „Stawcie przed nami siłę Nieba, a my, bohaterowie, podolamy walczyć z tą siłą!”

„Zaledwie wymówił nierozsądne słowa, przybiegło dwóch wojowników z nieba, i powiedzieli głośno: „Wstępujcie bohaterowie z nami do boju, chociaż jest nas tylko dwóch, was zaś siedmiu.” Zapalił się Alesza Popowicz po tych słowach, puścił dzielnego konia, napadł na wojowników niebieskich, i porąbał każdego na dwoje z całej mocy. Z dwóch zrobiło się czterech i wszyscy żywi! Napadł na nich

junak Dobrynia, porąbał każdego na dwoje z całej siły. Stało ośmiu i wszyscy są żywi! Napadł na nich Ilja Muromec, porąbał każdego na dwoje z całej siły; dwakroć stało więcej i wszyscy są żywi. Rzucili się na siłę wszyscy bohaterowie, zaczęli siłę rąbać; siła zaś rośnie a rośnie, coraz więcej naciągając na bohaterów.”

„Bili się bohaterowie trzy dni, trzy godziny, trzy minuty; strudzone były ich silne ramiona, zmęczone ich dzielne konie, stępione ich bułaty; siła zaś rośnie a rośnie, coraz więcej naciągając na bohaterów.”

„Przestraszyli się waleczni bohaterowie, pobiegli do kamiennych gór, do ciemnych pieczar. Ale jak tylko bohater podbiegnie pod górę, skamienieje: podbiegnie drugi i skamienieje, podbiegnie trzeci i skamienieje.”

„Od tego czasu już niema więcej bohaterów na Rusi.”

Tak naród ruski, w tém głębokomyślném podaniu, objaśnił sobie, jak w dawném jego życiu, siła cielesna, uosobiona w bohaterach, zwyciężywszy hordy azyatyckie, ustąpiła miejsca sile duchowej, która powoli rozszerzyła się po wszystkich krańcach ziemi ruskiej. Lecz poezya ludu w przeszłości przepowiada przyszłość: więc i w tém podaniu przeszłości, naród ruski uznaje swoje przyszłe duchowe przeznaczenie, uznaje że siła ducha powinna w nim zwyciężyć wszelką siłę cielesną.

W ogóle badania p. *Szewyrewa* nad pieśniami i klechdami ludu ruskiego, rzucają wielkie światło na ten przedmiot. Co się tyczy wyjaśnienia piśmiennych pomników, szanowny professor nie szczędził mozolnej pracy, i śmiało można powiedzieć, że pierwszy z uczonych rossyjskich obszernie i z głęboką nauką tego przedmiotu dotknął. Jakże, np. są ważne i szacowne jego uwagi nad *Słowem o pulku Igora!* Albo pogląd na piśmienny pomnik z początku XII wieku, p. t. *Pątnik, czyli Pielgrzymka do ziemi świętej Daniela, zakonnika ziemi ruskiej* (*). Na zakończenie naszego artykułu, przytoczymy tu jedno miejsce z tego pięknego pomnika:

(*) W wieku XII pielgrzymki pątników ruskich do Jerozolimy były bardzo częste.

Opisując przygotowanie lamp na grobie Pańskim w Wielki Piątek, pieczętowanie samego grobu i gaszenie wszystkich świec w kościołach jerozolimskich, *Daniel* opisuje w następnym sposobie swoje widzenie się z Balduinem i swój ostatni czyn w Jerozolimie:

„Wtedy ja nędzny i nieznaczący, poszedłem w Wielki Piątek w pierwszej godzinie dnia do księcia Balduina, i ukloniłem się mu do ziemi. On zaś widząc to, zawołał mnie do siebie z uprzejmością i powiedział:

„Czego chcesz zakonniku ruski?” Poznał mnie dobrze i bardzo mnie lubił, ponieważ było małż dobry, bardzo łagodny i nie dumny. Ja zaś odpowiedziałem mu: *„Mój książę, Panie! błagam cię w imieniu Boga i w imieniu książąt ruskich; chciałbym i ja postawić moją lampę na świętym grobie Pańskim od całej ruskiej ziemi i wszystkich książąt naszych, i wszystkich chrześcijan ziemi ruskiej.”* Wtedy książę z radością pozwolił mi postawić moją lampę, i posłał razem ze mną swego człowieka, najlepszego sługę, do ekonoma przy kościele Zmartwychwstania, i do tego, który pilnuje grobu Pańskiego. I obydwaj, okonom i zakrystyan grobu Pańskiego rozkazali mi przynieść ze sobą lampę z oliwą. Ja zaś ukloniwszy się im, poszedłem na targ z wielką radością i kupiłem oliwy czystej bez wody i przyniosłem do grobu Pańskiego, już był wieczór, i prosiłem zakrystyana, aby szedł ze mną. On zaś otworzył drzwi grobu Pańskiego, kazał mi zdjąć obuwie, i bosy zaprowadził mnie samego do grobu Pańskiego z lampą, którą niosłem, i kazał mi postawić ją w nogach, własnymi grzesznymi rękoma; w głowach zaś stała lampa grecka, a na środku z wierzchu Pańskiego grobu, lampa wszystkich klasztorów; i na tymże środku postawiłem i ja, grzesznik, lampę ruską.”

Postawiwszy lampę swoją na grobie Pańskim, zakonnik ze łzami ucałował to święte miejsce, gdzie leżało najczystsze ciało pana naszego Jezusa Chrystusa, i wyszedł z grobu tego z wielką radością, i poszedł do swój celi.

Na siódmy dzień, książę Balduin poszedł do grobu Pańskiego razem ze swoją drużyną; wszyscy bosy i pieszo. Opat

św. Sabby z bracią, i w téj liczbie pątnik Daniel, znajdowali się pod ochroną Balduina, który postawił ruskiego pielgrzyma obok siebie. Wojsko rozsunęło tłumy ludu dla wolnego przejścia. Pielgrzymi przeszli do kościoła do samego grobu świętego, pod przewodnictwem Balduina, który sam kazał umieścić Daniela wysoko, nad samemi drzwiami grobu, przeciwko wielkiego ołtarza. Długo oczekiwano na zjawienie się światła świętego. Biskup i dyakon dwa razy wychodzili od ołtarza i chylali się przede drzwiami grobu, czy nie zobaczą światła? Oczekiwania były daremne. Wtenczas wszyscy przytomni ze łzami zawołali: *Kirie eleison*. Gdy zaś zaśpiewano: *Panu śpiewamy*, nagle przysła od wschodu mała chmurka i zatrzymała się nad otwartym wierzchem kościoła; lekki deszczyk spadł nad świętym grobem i skropił wszystkich obok stojących. Wtedy w mgnieniu oka zajaśniało światło na grobie Pańskim i powstał z niego blask nadzwyczajny. Biskup i czterech dyakonów zbliżyło się do grobu i otworzyli drzwi. Wziąwszy świecę od księcia Balduina, biskup wszedł do grobu i zapalił ją od tego świętego światła, potem wyniosłszy ją z grobu, oddał samemu księciu do rąk. Wszyscy potem zapalili swoje świece u świecy księcia.

Otrzymałszy światło, wszyscy poszli do swoich kościołów, aby zapalić tam świece i dokończyć nabożeństwo. Nazajutrz, opat św. Sabby wyniósł z grobu swoją zapaloną lampę. Pokazało się, że tylko trzy lampy stojące nad grobem zapaliły się wtedy; w ich liczbie była lampa Daniela. Po trzech dniach, pątnik ruski wziął swoją lampę którą postawił na grobie Pańskim w imieniu ziemi ruskiej, wszystkich jój ksiąząt i wszystkich chrześcian, wtedy, kiedy wrzały niesnaski między ksiązętami, kiedy Połowcy niepokoili kraj, i własne dzieci szarpały członki swój matki!...

Warszawa 28 marca 1847 roku.

P. Dubrowski.

Wspomnienia koncertowe.

Ze wszystkich rodzajów kompozycji czysto instrumentalnej, najtrudniejszym jest niewątpliwie ten, który orkiestrę ma za tłumacza. Samo bogactwo środków wymaga i każe się domyślać głębokiego opracowania przedmiotu, wyczerpania go prawie ze stanowiska kompozytora; a im wszechstronniejszym ma być obraz, tém więcej szczegółów, sprzeczności i podobieństw zawierać powinien, tém trudniejszym jest wybór barw instrumentalnych, mających niedwuznacznie odcienia przedstawiać: ztąd sztuka instrumentowania tylko przez długą praktykę da się osiąść. Z drugiej strony możność i potrzeba nawet równoczesnego rozwijania rysów najsprzeczniejszych czasem, a niemożność przekonania się, jakim to lub owo zespolenie części udaruje efektem, niemniejszych trudności jest źródłem. I często zdarzyć się może, że dzieło na orkiestrę podobne jest do obrazu nieznanym nam osób, jaki nam przedstawia imaginacja budująca na niedostatecznym opisie, jednostronnej znajomości charakteru, przywidzeniu nawet. I znów samo wykonanie może myśl w nową przybrać suknię. Dobroć narzędzi muzycznych, stosowne ich obsadzenie w miarę naznaczonej im roli i potęgi innych, w miarę natury lokalu, pomieszczenie ich nawet, sąto wszystko szczegóły, na które bez względu na zmienne okoliczności, kompozytorowie i dyrektorowie orkiestry nie przywykli uważać, choć niemi wiele dowodzi ów głośny dziś w orkiestracy Berlioz. Cóż mówić o zdolności indywidualów, technicznej i niemniej ważnej zdolności poddania się życzeniu autora, trafnym pojęciu i wiernym przedstawieniu jego myśli, tém zaparciem się samych siebie dla usłużenia jednemu? Tak więc biedny kompozytor na orkiestrę wiele przewidzieć musi, by ile można najmniej ucierpiał. Myśli te nasuwają się mimowolnie po przesłuchaniu drugiej uwertury na orkiestrę p. Maxymiliana Einert, na koncercie pana Dietrich wykonanej. Mamy powody mniemać, że uwertura ucierpiała prawie ze wszystkich wyżej wymienionych szczegółów, a przywiedliśmy je

tutaj raczej jako usprawiedliwienie nie zarzut. Wiadomo zresztą, że świetny i stosowny koloryt nie stanowi jeszcze obrazu, choć doń pociąga; ważniejszym jest pomysł i rysunek, i biédnato być musi muzyka, którój nie nie pozostaje po odjęciu instrumentacyi, jak się to dzieje z kompozycjami tego samego Berlioza. Mają brzmieć olbrzymio i suto w orkiestrze, nieznośne są w samym tylko rysunku; to tak zupełnie jak z wieloma ludźmi, wierzebnim błyszczącemi przyborem. Co się tyczy pomysłów muzycznych w uwerturze pana E. zawartych, prawie zupełnie brak im oryginalności, bo nie mają wybitnego charakteru; prawie zawsze wątpliwym do nas przemawiają językiem, bo im brak dążności; autor nie miał zapewne celu do któregoby zmierzał ciągle, nie miał ideału który jak słońce, gdziekolwiek posunie twarz swoją, zawsze ku sobie zwraca tarczę krzewiny chciwój jego promieni. Sąd ten tém twardszy zdawać się może, że go tu tylko odwołaniem się do pamięci słuchaczów poprzeć możemy, i dodaniem krótkiego objaśnienia, co wedle pojęć naszych jest w muzyce oryginalnością, charakterem, celem. Przedewszystkiém jednak zamieszczamy tę uwagę, że gdybyśmy chcieli zniżyć się ze stanowiska raz za jedynie godne sztuki w sądzie o niej uznanego, powiedzielibyśmy dosyć zwykłym recenzentom językiem, że: trochę więcéj swobody w formie, a nadewszystko więcéj praktyki umiejacój drobiazgi do posłuszeństwa przywieść, a pan E. dobrym będzie kompozytorem. Ale wtenczas byłby kompozytorem jak tylu innych, co to powiazawszy mniej więcéj zręcznie różnorodne kawałki, pysznie kompozytorami nazywać się każą; pochlebny głos niemyślącego tłumu usypia ich po kilku krokach na niezmiernój drodze ledwie co rozpoczętój, a historia sztuki puchnie mnogością nazwisk, z których ledwie kilka doczeka się echa w sercach przyszłych pokoleń. Bo zawsze znajdują się ludzie, dla których świętym jest obowiązkiem wszystko notować i głośno krzyczéć ku większej chwale narodowój, jak są kompozytorowie, dla których w tańcu puzon koniecznie potrzebny! Zdaje im się,

że co ryczy i nerwy wstrząsa już tém samém dobre być musi, i że byle głośno wrzeszczéć, to już ludzie uwierzą że to prawda. Ale gdy przyjdzie sąd ostateczny dla sztuki, a czekać nań długo nigdy nie trzeba, ileżto imion brzmiających oklaskami głupców w proch upadnie! Takiego losu nie obawia się nigdy głębokie rzeczy pojęcie, i ten święty zapal, co ze szczerością ludzkie serce dla ludzi odkrywa. „Miéj serce i patrzaj w serce” to jest godło artysty.

Dzieło sztuki niéma być owym bawiącym dzieci kalejdoskopem, w którego przelotnych obrazkach nic podobnego nie bywa, a cały związek na tożsamości materiału się kończy. Dzieło sztuki musi mieć cel, a jest nim myśl jedyna z przymiotami dla których ją ideałem zowiemy. Uwertura jako obraz instrumentalny ma coś przedstawiać; niekoniecznie treść dramatu, i w takim razie nazwa, tylko swobodę formy a nie treść pokazuje. Symfonie Bethowena *héroïque* i *pastorale*, instrumentalne wstępy do oddzielnych części w oratoryach Hajdena i t. p. są albo obrazem jakiego szczegółu natury, albo (i przedewszystkiém) pewnego usposobienia duszy tamtemi wywołanego. A uczucia wywiązujące się ze stosunku ludzi z luźmi, ileż przedstawiają obrazów ciągle nowych bo zmiennych w odcieniach niezliczonych? Bogactwo więc nieprzebrane i wybór przedmiotu łatwy, jeśli z całą szczerością ducha zechcemy słuchoać wewnętrznego głosu i wiernie go na głos powtórzemy. Taki jeden pomysł, jest ciągłym przewodnikiem w pracy; ciągle zagrzewać będzie, choć przerwa ostudzi. Da charakter, bo wszystko jedną odzieje barwą; da oryginalność, bo spowoduje wpatwienie się głębokie w przedmiot własnym okiem i zmusi do wypowiedzenia własnych spostrzeżeń własnym językiem. Ztąd gdzie oryginalności niéma, tam niéma wrodzonych zdolności do samodzielnego pojmowania przedmiotu, tam niéma wydatnego charakteru w sztuce, tam niéma myśli choć są zdania. Ale oryginalność jeszcze inaczej pojmowaną bywa choć mylnie. Jeśli nie umiemy powiedzieć, gdzieśmy już tę myśl lub to zdanie słyszeli, nazywamy je oryginalnym, choć treść jego dawno nam już jest

znaną. Wybaczamy mu jednak, jak przebaczamy tylokrotnie powtarzanym odwiecznym zdaniom w książkach, bo rozsądnych rzeczy szukamy. Wtenczas tylko one dla nas powab nowości mają, gdy do niezwykłych prowadzą wypadków. Taką oryginalność jednak bez ostatniego przymiotu panuje w uwerturze w mowie będącej. Większa jej część zdaje się być zdaniem egzaminu z tego, cośmy sobie przez długie studia przyswoili; własnymi wyrazami wypowiedziane, ale nie własnym pojęciem, bo nie nowe. Taką była pierwsza uwertura tegoż autora; żeśmy jej motywa oryginalnymi nazwali, to tylko w duchu ostatnim, wiedząc, że niepodobna prawie oprzeć się mnogim trudnościom, z którymi pierwszy raz walczyć przychodzi. Ale dziś widząc siły autora wzrosłe, mamy sobie za obowiązek przypomnieć mu, że naśladować nie jest tworzyć. Bądźto świeże jeszcze studia, bądź zamiłowanie dobrze skierowane, z prac pana E. wieje przedewszystkiém duch Meyerbeera i Rossiniego (niekiedy jak i w pierwszej uwerturze Aube-
ra). Duch to dwóch gieniuszów, który naśladowcy może zaszczytne miejsce między kompozytorami zapewnić, jeśli będzie pochwycony w chwili najpotężniejszego działania. Ale p. E. naśladował słabsze miejsca których gieniuszom nie brakuje, i lękać się należy, by zamiast ich wzniosłością, maniernością nie przesiąkł. Wtenczas przecież są oni najmniej sami sobą, i tylko nadzwyczajną zręcznością w przyborze pokrywają niedobór. Od tego wszystkiego chroni ciągły zwrot ku założonemu celowi, on wybiera i szykuje myśli, daje więc treść i formę. Szczęśliwy, kto samoistnie patrzeć umie.

O panu Dietrich fortepianiście niewiele umiemy powiedzieć; ani pokazał mechanizmu któryby go upoważniał do dania koncertu, ani pamiętał że ma przed sobą ludzi, mających nie tylko uszy, ale i serce. Jako kompozytor, dalej niż tylu innych posunął żarty z publiczności; nie zna widać polskiego przysłowia: jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg.

Od czasu jak zagraniczni artyści mniej na nas łaskawi, zostawili więcej sposobności do przedstawiania się domo-

wym talentom, nie mieliśmy prawie nikogo do równie pięknych upoważniającego nadziei jak pannę Winnen. Natura obdarzyła ją pięknym głosem altowym, którego niskim tonom przybędzie jeszcze zczasem potęgi. Nauka wiele jeszcze ma do zrobienia, chociaż wiele już zrobiono nie zaszczerpiwszy początkującej śpiewaczce owych niezdolnych narowów, które powszechnie za metodę uchodzą. Własności dynamiczne w głosie p. Winnen mało są wyrobione, ale nie ma owego szarpania piersi przejściem gwałtowném z idyllicznego *piano* do wojennego *forte*; téj zgubnej manieri, która zdaniem Fetisa (*) zrujnowała od pół wieku wszystkie głosy na scenach europejskich. Protektorem téj manieri za naszych czasów jest a raczej był Rubini, a jakże nie naśladować Rubiniego? W głosie p. Winnen niema owéj nieopisanéj czułości, która na rozkaz śpiewaka kamienne serca porusza, ale niema téj przesadnej i udawanéj namiętności niby, co to przy każdym podniesieniu uczucia drżącym odzywa się głosem; rzekłbyś że to z przeziębnięcia; bo czy gniew, rozpacz, żal, radość lub rozkosz gra w sercu, trzęsienie głosem zawsze dobre. Ach wierzcie mi hipokondrycy! duet w tym rodzaju niemylnym dla was będzie lekarstwem, do łez was rozśmieszy, a wdzięczność za to chowajcie dzisiejszemu metodzie włoskiej; dawniejsza której tradycya nawet już zaginęła, przepadła szczęściem na długo, i nie szkoda; wprawdzie ona także łyzy wyciskała — ale wzruszenia; mogliżbyście się wahać w wyborze? I już dzisiaj nikt prawie inaczej nie śpiewa. Ale za to śpiewają z małym wyjątkiem po włosku; przynajmniej słuchacz niezdolny ocenić muzyki po wyrazach, nie może zarzucić śpiewakowi niestosowności *expressyi*; a śpiewający choć sami najczęściej nie rozumieją, (bo cóż to ich obchodzi?) łatwo budzą przekonanie o niezmiernym czuciu swoim. Obrawszy już raz dosyć zapewne dziwny sposób polecenia panny W. wyszczególnianiem wad których nie ma, nie możemy pominąć owego niby *portamento* (przejście z tonu w ton tak zręczne, że

(*) *Révue et Gazette musicale* 1845. Sur la décadence du chant.

nie znać gdzie się jeden kończy a drugi zaczyna) z góry na dół, tak podobnego do głośnego ziewania, że nerwowi słuchacze mimowolnie się odzywają: *superbe!* dowodząc zarazem że po włosku nie rozumieją. Panna W. śpiewała po polsku romans ś. p. Sandmana, dzięki jój i za to; wyznajemy przecież, choćby to ktoś chciał położyć na karb niezdolności języka naszego do śpiewu, że ten właśnie romans najmniej się jój udał. Jużto sama kompozycja nie jest z najszcześniejszych Sandmana, a jako obrona ze wszystkiego co prostotę śpiewu zaciéra, wymaga nadzwyczajnej zdolności w głosie do cieniowania. Wielki brak tego przymiotu w śpiewie panny W. wydaje, że mało się zajmowała ćwiczeniem w *messa di voce* (wzmacnianie i zciszenie tonu stopniowe). A jednak ono tylko samo uczy śpiewaka nieznanym nagięciem głosu wielki wywoływać efekt, przedłużać oddech, przymiot tak konieczny do dobrego frazowania. Ono to gładzi szorstkość tonów piersiowych zwykłą w głosach altowych, pomnaża masę tonów falsetu piersiowym przyległych i do tego stopnia jest ważne w nauce śpiewu, że dało powód do zmyślenia, jakoby Porpora ów sławny twórca neapolitańskiej szkoły śpiewu, przez pierwsze trzy lata nauki, samego tylko *messa di voce* uczniom swoim dozwalał, zanim rozbiegli się po Europie zdobywać śpiewem serca, złoto, ministerstwa i mitry książęce.

J. Sikorski.

Bertha z Düsseldorfu.

Czemuż najczęściej szukamy szczęścia tam gdzie go niéma, wtedy gdy rzuciwszy okiem w siebie albo obok siebie, pewniebyśmy go znaleźć mogli? Czemuż go szukamy w odmęcie wielkiego świata, w przynętach miłości własnej, w dumie, pochlebstwach? a nie pytając własnego serca, patrzymy oczyma błędnej wyobraźni, albo słuchamy niewolniczo rozważki i rachuby? W każdym stanie, w każdym wieku, szczęśliwym być można, gdy powściągną nasze chęci, zmniejszając

życzenia, przestajemy na małym, umiemy mieć dosyć! A jeżeli to szczęście, które sobie wyobraźnia tworzy, które serce przeczuwa, które się gruntuje na połączeniu dwóch istot dla siebie stworzonych, co się od dnia swojego urodzenia szukają, a często do dnia śmierci napotkać nie mogą; jeżeli to szczęście mówię, jest tak rzadkiem, może dlatego, iż gdyby tak było, byłoby tutaj nadto dobrze, abyśmy mogli przypuszczać że tam lepiej będzie! Najczęściej nie osiągamy celu życzeń naszych, nie dobijamy do brzegu, gdyż nie umiemy przewyciężyć przeszkód, uchylić zawad, rozegnać przesady, zatrzymujemy się w drodze, siły nasze wątłeją, odwaga nas opuszcza, przedsięwzięcie słabieje, a wola ustaje, gdyż umiemy pragnąć, chcieć nie umiemy.

I.

Ponad brzegami Renu, o pół mili od Düsseldorfu, mały domek otoczony ogrodem, na wyniosłym pagórku, zdawał się panować nad czarującą okolicą.

Te wsie jakby umyślnie rozsiane, te wieże pobliskich kościołów, te szczątki starożytnych zamków, te mury obszernego miasta, te nurty wspaniałej rzeki, w zachwycenie wprawiały! I któż się nad temi pięknościami nie zdumiał? któren wędrownik nie zwrócił kroki swoje tam, ponad brzegi Renu?... Szedł uprzedzony pochwałą, a znalazł jeszcze więcej aniżeli oczekiwał. Tameczny tylko mieszkaniec, nie czuje piękności kraju w którym żyje; oswoił się oczy jego z tém co drugich uderza, co się drugim podoba; ich zadziwieniu się dziwi, bo nie widząc tego co oni widzą, czuć nie może tego co oni czują. Niechże opuści na czas niejaki domową strzechę, wtedy dopiero powaby rodzinnej ziemi, tęsknotą wzniecone, przed oczyma mu staną, wtedy dopiero zaczyna spostrzegać, rozbiierać, oceniać! Nie widział tego co miał, czuje to co utracił!

Wdowa po niegdyś bogatym kupcu, którego fałszywe spekulacye zrujnowały i o śmierć przyprawiły, pani Schmidt, z całego majątku uratowawszy szczupły i zaledwo do życia wystarczający fundusz, niemogąc się w miłości utrzymać,

osiadła na wsi. Z dawnych dostatków, z przeszłego szczęścia, została jej siedmnastoletnia córka Bertha! Jej poświęcić wszystkie chwile życia, czuwać nad nią, zajmować się jej wychowaniem, marzyć o jej przyszłości, było codziennym zajęciem, jedyną rozkoszą dobrej matki. Pielęgnowała, chroniła, zasłaniała tę młodą roślinę i od północnych wichrów i od południowej burzy. W spokojnym zaciszu Bertha pędziła życia swojego poranek, każdy dzień dodawał jej nowych wdzięków, bogacił ją nową cnotą. Serce jej było czyste, tak jak czyste niebo! Lecz i niebo chmura czasami zasłoni, niepokój czasami serce zakłócił! Wychowana bez zbyteków, Bertha umiała przestawać na małym, bo nie знаła co to jest mieć więcej, a myśl jej nie sięgała poza krańce możliwości. Kto ją raz widział w tej orzechowej sukience, opiętej czarnym fartuszkim, w tym białym staniku z krótkimi rękawkami, z temi gładko uczesanymi włosami, z tym złotym krzyżykiem na czarnej wstążeczce na szyi; kto się raz z jej spojrzeniem spotkał, ten ją długo, ten ją zawsze pamiętał.

Skołatane zdrowie pani Schmidt, nie dozwalało jej często odwiedzać sąsiadów, a szczupły majątek zabraniał przyjmować u siebie. Bez krewnych, bez przyjaciół, żyła tylko z córką, dla córki! Bertha nie znała świata, nie znała ludzi; starannie wychowana, odebrała nauki; na doświadczenie czekała! Wychowana w wierze katolickiej, wierzyła i ufała! Co niedziela z matką do miasta na nabożeństwo chodziła: gorąco Boga prosiła, o co? może sama jeszcze nie wiedziała.

Czyli o wschodzie, czyli o zachodzie słońca, najulubieńszą były jej przechadzką nadbrzeża Renu. Patrząc na to tak piękne przyrodzenie, pojąc się wonią kwiatów, przyszele te życie stroiła wyobraźni farbami; marzenie trwało jeszcze, trwał sen na jawie!

Razu pewnego wracała z matką z Düsseldorfu. Słońce nachylało się już ku zachodowi. Przy zakręcie góry, pod cieniem rozłożystej lipy, siedział nieznajomy; badawczym okiem całą przestrzeń przebiegał, teka z papierami leżała przed nim, ołówek trzymał w ręku. Szelest nadchodzących

przerwał jego dumanie, powstał z miejsca, odwrócił się, chciał kilka kroków zrobić, nie mógł, chciał coś wyrzec, ale mu słów zabrakło; stał jak wryty, jakby zjawiskiem jakim nagle uderzony! Wtém pani Schmidt zbliżywszy się do nieznajomego:— „Pan jesteś jak widzę malarzem”, rzekła do niego, „przynęcony naszą okolicą rysujesz to co twe oko zachwyca.”— „Tak jest” odpowiedział, ukłon za ukłon oddając, „od kilku tygodni mieszkam w Düsseldorfie. Od najmłodszych lat życia mojego, mając nieco skłonności do rysunków, przyjechałem do tutejszego miasta doskonalić się w szkole, która tylu sławnych mistrzów wydała. Miłość własna nie zaślepią mnie do tego stopnia, abym mógł przypuszczać, że im kiedykolwiek wyrównam. Naśladować dobre wzory było moim celem, zbliżyć się do prawdy, usiłowaniem; teraz ze smutkiem tylko wkoło siebie spoglądam!”— „Dlaczego? przerwała pani Schmidt, czyli oczekiwanie pana zawiedzione zostało?”

— „Nie, lecz przekonałem się, że sztuka, piękności przyrodzenia nigdy oddać nie zdoła”,— rzekł i spojrzał na Berthę.

Ta tymczasem, rzuciwszy okiem na rysunek nieznajomego,— „patrz, zawołała z radością, odwracając się do matki, to nasza okolica, nasz domek, nasz ogródek, ławeczka pod jabłonią.” Dosyć jeszcze długo rozmawiali z sobą; malarz zebrawszy swoje papiery szedł z niemi, a doprowadziwszy do progu domu, prosił o pozwolenie nawiedzania ich czasami, gdyż właśnie z tego punktu spostrzegał nowe i coraz piękniejsze widoki, które życzył sobie rzucić na papier.

II.

Adolf Brown urodził się ponad brzegami Elby. Ojciec jego przez lat kilkanaście służąc w wojsku pruskiem, w roku 1807 pod Fridlandem zginął. Zostawił po sobie wdowę i sześciolatniego syna, który po ojcu prócz dobrego imienia nic więcj nie odziedziczył. Do dwudziestego roku życia swojego Adolf wychowany przez matkę, przy niej przemieszkiwał, utraciwszy ją, został sam jeden na ziemi. Młody, pełen wyobraźni, zapału i życia, rzucony sam

jeden w odmet świata, bez przewodnika, bez pociechy, bez rady, kochał i był zdradzony, szukał przyjaciela, przyjaciela nie znalazł. W całej namiętności, w całym szale żądź młodzięcych, doświadczywszy niewiary, doznawszy zawodów, zaledwo się poił wonią wiosny, jużci czarę goryczy do dna wychylić musiał!

Straciwszy to wszystko co przywiązuje do życia i rzeczywistość i urok, nie ufając nadziei, nie niewierzący w szczęście, rozumiejąc że zbolałe serce już kochać nie zdoła, sztukom pięknym życie swoje chciał poświęcić. Posiadając wiele zdolności do malarstwa, malarstwu się oddał. Naśladować piękność przyrodzenia, zdawało mu się przedłużeniem tego snu, z którego tak się zawcześnie obudził. Przepędziwszy lat kilka w Berlinie i Dreźnie, przybył do Düsseldorfu.

Adolf miał lat trzydzieści. Jeżeli ślady nieszczęść wyryły na nim swoje piętno, moralne cierpienia fizyczną siłą odpięrał. Gęste ciemne włosy spadały na pociągłą a bladą twarz jego; wejrzenie słodkie, ale pełne ognia, obrazem było serca, które wiele ucierpiało, ale czuło jeszcze! Wysokiego wzrostu, trochę pochyło się trzymał, jak gdyby się pod ciężarem uginał, jak gdyby szukał na ziemi tego, co się tylko znajduje w niebie. Słodkiego charakteru, łatwego pożycia, szczéry i otwarty; jakim był dzisiaj, takim i jutro, takim zawsze. Dobry może aż nadto, może za słaby, najczęściej ulegał, bo się oprzec nie mógł, szczególnież tym, co mu do serca trafiali. Często omamiony, łatwo oszukany, mimowolnie jeszcze wierzył, jeszcze ufał, bo po sobie o drugich sądził.

Nie minął miesiąc, a Adolf z początku rzadko, potem częściej, nakoniec co wieczór odwiedzał mały domek pani Schmidt. Już całej okolicy widoki pokończył, już rysunkami swojemi pokoik Berthy przystroił, a jeszcze co dzień przychodził! Co wieczór przed zachodem słońca Bertha przed domem czekała na niego, a spostrzegłszy zdaleka, białą go chustką witała. Po zachodzie słońca, to po ma-

łym ogródku, to ponad brzegami rzeki przechádzali się z sobą. Znużeni przechádzką, siadali na ławce pod jabłonią. To miejsce ulubioném od nich było, tam nieraz Adolf na Berthę czekał, tam Bertha o Adolfie myślała.

Pani Schmidt słabego zdrowia, rzadko kiedy towarzyszyć im mogła. Bertha i Adolf oddani sami sobie, już bez siebie tęsknili. Przybliżał ich wzajemnie ten pociąg dwóch serc, któren z upodobania do miłości wiezie, któren tak łatwo w namiętność wtrąca!

III.

Minęła wiosna, minęło lato, a jesień pożółciła już liście. Jednego wieczoru Adolf z Berthą szli razem, szli daleko, szli długo w milczeniu. Adolf był smutny, Bertha zamyśloną. — „Adolfie, rzekła nakoniec z niejakiem wahaniem, już oddawna chciałam z tobą mówić z tą szczerością, z tą otwartością, na którą tak zasługujesz. Adolfie, już znamy się dobrze, już się rozu niemy nawzajem, a usta nasze nie jeszcze dotąd nie wyrzekły! Dobrze w twojém sercu czytam, a nie chcąc ciebie w błąd wprowadzić, wolę piérwsza zacząć mówić, aniżeli czekać aż będzie za późno!... Zamilkła, aż będzie za późno wyrzekłszy. Biédna, nie wiedziała że już było za późno!

Przybliżył się do niej Adolf, wziął za rękę, wzniosł oczy w niebo, a zwolna potrząsnąwszy głową, spojrzął na Berthę, jak gdyby chciał powtórzyć: — za późno!

— „Adolfie! rzekła dalej, ty mnie kochasz? Nie taję przed tobą że i ja wielki pociąg mam do ciebie, lecz może czas jeszcze; zastanówmy się nad sobą; wstrzymajmy się nad samą przepaścią. Jużeś był tak nieszczęśliwym, nie chcę abys z mojej przyczyny jeszcze więcej cierpiał!

— „Bertho! zawołał Adolf, z twojej przyczyny cierpieć? tak jest cierpieć! Ale odbierz mi raczej życie, niż to cierpienie! Bertho! kocham ciebie z całej duszy, z całą namiętnością, kocham ciebie zanadto, bo ty nigdy nie pojdziesz ile ciebie kochać można! Bertho! bardzo byłem nieszczęśliwy, ale przyzwyczaić się można nawet do tego co boli. Nakoniec zdawało mi się, że tak być musi, że cierpieć jest prze-

znaczeniem mojem! Odreptwienie do którego doszedłem, ta obojętność na wszystko, ten letarg duszy, w którym człowiek wie że żyje, lecz życia nie czuje, powoli mię wtrącał do grobu; ujrzałem ciebie, serce na nowo bić poczęło. Jak to drzewo, które czasami w jesieni nową się zielonością okryje, uczucia moje na nowo odżyły, uśmiechem nadziei wzniecone! Bertho! spojrzysz na mnie, i ty mnie kochasz? Ubogą jesteś, ja majątku nie mam; odpowiedz, chcesz być moją? Żyć będziemy pracą rąk moich. Bertho! czy pojmujesz to szczęście, żywić przedmiot swojej miłości pracą rąk własnych? Odpowiedz, chcesz być moją?”

— „Nie mogę”, odpowiedziała Bertha.

— „Więc mnie nie kochasz?”

— „Adolfie! czyż niedosyć dla ciebie że nieobojętnym mi jesteś? twoją zaś nigdy być nie mogę. Jest między nami nieprzewyciężona przeszkoda, jest tama, która nas na zawsze, a może na wieki rozdziela. Adolfie! mara twoja nie jest moją!”

— „A czyż nie w jednego wierzymy Boga? z zapalem zawołał Adolf. Nie, ty musisz być moją; już za późno, już się cofnąć nie mogę. Ty nie wiesz Bertho jak ja kochać umiem! Twoje ku mnie przywiązanie może litością wzniecone, ożywia twoje jestestwo, wdzięku twojemu życia dodaje! Nie, ty mnie nie kochasz!” Przeszedł mówić, spojrzawszy na Berthę, zalaną była łzami, a głębokie westchnienie było jedynym wyrzutem, który z jej ust usłyszał. Porwał się z miejsca, rzucił się na ziemię wołając przebaczenia!

— „Przebaczam tobie, odpowiedziała, bo wiem że mię bardzo kochasz! Teraz wystuchaj mię, ale spokojnie, ale cierpliwie. Jeżeli do ciebie może już za późno przemówiła, czemużes czekał, aż pierwsza mówić będę? czemużes czekał tak długo! czemużes wtenczas nie wyrzekł, gdy czas był jeszcze usłuchać rozsądku nie rozdzierając serca? Gdybyśmy się nie byli na tym świecie spotkali, nie byłbyś z mojej przyczyny cierpiał, a teraz Adolfie, jakżeś nieszczęśliwy przezemnie! Teraz ja przebaczenia żebrzę, abys nigdy Berthy nie przeklinał!”

— „Ja ciebie przeklinać? prędjebym się wyrzekł siebie! Bertho! ponieważ spadła zasłona, ponieważ już głośno czytasz w sercu mojem, o jedną tylko proszę ciebie łaskę, nie odbieraj zupełnie nadziei. Nie zastanawiajmy się jakimby to sposobem być mogło, lecz myślm, że to być może. Niechaj dzień będzie dniu podobny, a kaźden upłyniony, jeżeli nas do szczęścia nie przybliży, przybliży przynajmniej do grobu.” Księżyc już był zaszedł, miliony gwiazd błyszczały; szli powoli ku domowi, oczy mając wlepione w niebo jakby tam przeznaczenia swego szukali!

Pani Schmidt najlepsza i najprzywiązańsza z matek, spostrzegła od niejakiego czasu, że Bertha coraz smutniejszą się stawała. Czasami zapadała na zdrowiu. Szukała przyczyny, szukała napróżno. I któż potrafi czytać w sercu dziewicy, kiedy tajemnicę swoją ukryć pragnie? nawet matka w sercu córki czytać nie zdoła! Już od dawna pani Schmidt życzyła sobie córkę za mąż wydać, bo któraż matka nie pragnie widzieć ustaloną przyszłość swojego dziecięcia! Bogaty kupiec z Düsseldorfu wymówił się przed znajomemi swemi, iż chętnieby pojął Berthę za żonę. Ale nie bywał w domu pani Schmidt, a gdy ta o nim wspominała córce, — niechże go wprzódny poznam, odpowiadała matce, — nie, ja nigdy za mąż nie pójdę, odpowiadała sobie.

On mnie kocha, trochę, bardzo..... razu pewnego głośno powtarzała Bertha wyskubując stokrotkę. Szalenie!... dodał Adolf wyskakując z zakrzaków. Bertha radzi się kabały, radzi się losu jak widzę, kiedy swój los i mój razem w rękę swoim trzyma.

— „Adolfie, nie mówmy o tém, proszę, odpowiedziała Bertha.

Szli razem w milczeniu. — „Czy wiiesz, rzekła po niejakiem przestanku, że matka chce mię za mąż wydać.”

— „A Bertha cóż na to? mamże powinszować tobie?

— Nie lękaj się dodała, przymusić mię nie przymusi; jeżeli do ciebie należć nie mogę, do innego należć nie będę. Mój los już napisany w niebie! Lecz ty Adolfie posłuchaj mojej rady. Oddal się z Düsseldorfu, czas zatrze kie-

dys to co cię boli dzisiaj; ty możesz być jeszcze szczęśliwym, bo ja za ciebie będę Boga prosić. Ożenisz się, będziesz dobrym mężem, ojcem, cichym dodała głosem.

— „Wstrzymaj się! przerwał jój Adolf, niechaj usta twoje nie bluźnią. Nie, ty nie myślisz o tém coś powiedziała! Ja miałbym do innej należeć? inną kobietę do serca mojego przyciskać? Na popioły matki mojej przysięgam ci moje wiare do śmierci!

— „Odwołaj wyrok, zawołała Bertha, abys tego nigdy nie żałował!” Powiedz mi, po jakim czasie zapytała, czy byś wolał mię widzieć zaślubioną innemu, lub umarłą?

— „Widzieć, nie miałbym dość siły, lecz słyszeć żeś innemu zaślubioną, żeś z nim szczęśliwą wolałbym, gdyż śmierci twojąbym nie przeżył!”...

Już zima koryto Renu lodem okryła, wichur północny w całej swój sile panowanie swoje rozpościęrał, a Bertha między matką a Adolfem przy małym kominku wieczory swoje pędziła. Rozmowa bez wymusu, bez przesady, szła łatwo; każdy mówił co mu przez myśl przechodziło, a jeżeli czasami Adolf niewszystko to co czuł głośno powiedział, spojrział na Berthę i ona go rozumiała. Skoro dziesiąta wybiła, Adolf odchodził do miasta, aby nazajutrz powrócić. Od kilku dni Bertha spostrzegała jakąś zmianę w Adolfie; mało mówiący, zamyślony, smutny, gdy się go o przyczynę pytała:—jestem cierpiącym, odpowiadał, ale to przejdzie. Inną przyczynę przeczuwała Bertha, ale nie śmiała się o nią pytać nawet samęj siebie. Jest ptak któren przepowiada burzę; człowiek przeczuwa nieszczęście! Ósmęj jeszcze nie było, gdy nagle wstał Adolf.—„Zapomniałem, rzekł do Berthy, oddać pani pugilares, któren mi do naprawy dałaś; oto jest. Wziął ją potém za rękę, trzymał przez kilka chwil, oczy miał w ziemię wlepione, jak gdyby się lękał aby w nich nie wyczytała co się w duszy jego działo.—„Już późno, zawołał raptem, porwał za kapelusz, spojrział na Berthę, westchnął i prędko wyszedł z pokoju. Bertha jeszcze stała na miejscu, a jego już nie było; trzymała pugilares, któren przed kilką chwilami na jego sercu spoczy-

wał, przycisnęła go do ust i zaledwo weszła do swego pokoju, zalała się łzami. Czemu? sama nie wiedziała. Zdawało się jój, że wyrok swój w ręku trzyma; otworzywszy go nakoniec, na piérwszój kartce te słów kilka przeczytała: — „Bertho, na parę dni odjeżdżam; wnet powrócę, pamiętaj o mnie, za mnie proś Boga!

Od dni kilku Adolf był powrócił; nie wspominał o swéj podróży, nikt go się o niéj nie pytał. Od jakiegoś czasu pedzle, ołówki na bok odrzucone. Adolf nie rysował, już rysować nie mógł. Coraz większy smutek ogarniał jego duszę, coraz większa bladość okrywała jego lica. Dzień był pochmurny, śnieg gęsty padał; Bertha przy oknie siedziała, otwarta książka leżała przed nią, ale Bertha nie czytała!

Adolf zamysłony po pokoju chodził. Przybliżywszy się do okna, spojrzał na Berthę, długo na nią patrzył, jakby w niéj szukał téj odwagi, na którój mu brakło. Wziął ją nakoniec za rękę i z témi odezwał się słowy. — „Różność wiary nas rozłącza, onato jest tą niepokonaną przeszkodą, która dwa serca stworzone dla siebie, od siebie odpycha. Bertho, stało się! wyrzekam się wiary ojców moich, na twoję przejść pragnę.” Rzekł i zalał się łzami. Widać było ile ofiara uczyniona miłości, kosztowała jego sumienie. — „Czyż i teraz odrzucasz rękę moję? dodał po niej jakim czasie.”

— „Adolfie! z rozrzewnieniem odpowiedziała Bertha, wyrzekasz się twojój wiary dla mnie; gdybyś to uczynił z natchnienia, z przekonania, dzisiajbym za ciebie poszła. Ofiara którą czynisz miłości, jakimże ciężarem dla ciebie będzie, gdy miłość ostygnie, albolit też przeminie; wtenczas, to przeklinać może mię będziesz! Adolfie! z miejsca wstając dodała, pokazując na niebo okryte chmurami, — tam zapadł nasz wyrok, wyrok niecofniony! Życ z sobą dla siebie nie możemy; szczęście na téj ziemi nie dla nas! Oddal się ztąd, może na czas niejaki, może na długo, może na zawszel! Adolfie, zaklinam ciebie, zebrzę łaski twojój, uczyn to dla siebie, uczyn to dla mnie! Może kiedyś, może późniéj, może tylko tam... ale się zobaczymy! Teraz Adolfie wysłuchaj próby mojęj, miéj dla mnie odwagę!” To rzekłszy spoj-

rzała na niego tém przenikliwém, tém długim spojrzeniem, w którém była walka, zwycięstwo, pożegnanie! Chciała coś jeszcze mówić, nie mogła, i śpiesznie z pokoju wybiegła.

Adolf stał jak wryty; i jak uderzony piorunem, serce w piersiach bić przestało, tchu mu zabrakło! Jak i kiedy do Düsseldorfu się dostał, jak go nazajutrz pierwsze promienie słoneczne zastały siedzącym na krześle, z opartą głową na rękę, tego nie pamiętał, tego sobie nigdy przypomnieć nie szukał.

IV.

W roku 1834 pokój w całej Europie panował, w Portugalii tylko krwawa toczyła się walka. Don Pedro walczył o prawa własnej córki. Mnóstwo ochotników garnęło się pod sztandary młodej królowej, w ich liczbie widziano Adolfa, i zdumiéwano się jego mężstwem. Gdzie największe niebezpieczeństwo groziło, tam on był najpiérwszym, tam drogę wskazywał, a za nim szli drudzy. Pod Alanteio gdy zdobycie mostu stanowiło zwycięstwo, Adolf na czele garstki odważnych z bagnetem w rękę rzucił się naprzód: otoczony, przemocą znękany, przeszyty kilkoma razami poległ!

Lat parę minęło! Widywano Berthę ponad brzegami Renu, nie w żałobie, bo się żałoba po kochanku tylko w sercu nosi, ale w téj orzechowój sukience, okrytéj czarnym fartuszkim, w tym białym staniku z krótkimi rękawkami, z témi gładko uczesanemi włosami, z tym złotym krzyżykiem na czarnej wstążeczce na szyi; widywano ją smutną, z tęsknotą w sercu za nim, z tém uśmiechem nadziei: wnet się tam zobaczymy! Widywano ją kiedy przechodząc obok ławki pod jabłonią, zatrzymywała się na chwilę, ale nigdy nie siadała na niéj. Widywano ją, gdy co ranek otwierała okienko, już całkiem ubrana splatała swoje włosy, a trzymając warkocz w rękę, spoglądając na niego, powtarzać się zdawała: już niemasz dla kogo! Dobroć anielska malowała się w jéj twarzy, niebo odbijało się w jéj oczach, ale już nie w tych farbach pełnych życia, farbach wiosennych; byłoto niebo późnej jesieni, blade, przedwczesną zapowiadające zimę. Patrząc na te piękne rysy twarzy, jeszcze nie

zmienione, na tę pleć, kędy życie już się zdawało stygnąć, na te usta przez które nigdy skarga lub narzekanie z jęj serca nie wyszły, patrząc na tę szlachetną postawę, na te giętkie i pełne wdzięku ruchy, na tę istotę którą smutek przykuł do życia, której nagroda w niebie; kaźden w nięj znajdował miłość, cierpienie, ofiarę!

Na początku 1837 roku w Düsseldorfie pytano o Berthę: odpowiedziano, od kilku miesięcy umarła. Na cmentarzu prosty kamień pokrywał szczątki tęj, której życie było przejściem anioła! na nim czytano napis:

Tu leży Bertha, biędna przeżyła Adolfa!

W 1838 roku, wystawa sztuk pięknych w Warszawie wabiła znawców i ciekawych. Przechodząc się po obszernych salonach, przypatrując się pięknym tworum naszych mistrzów—, „to Bertha”! zawołałem zatrzymując się przed obrazem wystawiającym dziewczynę w orzechowęj sukience, czarnym fartuszkim przykrytęj, z gładko uczesanemi włosami, trzymającą w ręku już spleciony warkocz, zdającą się mówić: *Już niemasz dla kogo!* Jak i kiedy młody nasz malarz (*) ten obraz odmalował, dowiedziéc się nie mogłem; codzien na wystawę chodziłem, codzien odwiedzałem Berthę!

Leon Potocki.

(*) *Paszkowski.*



KRONIKA ZAGRANICZNA.

Pisma czasowe u Słowaków.

Sąsiadujący z nami Słowacy, mieszkańcy północno-zachodniej strony Węgier, od kilku lat starają się mowę swoją, tyle zbliżoną do naszą, ustalić, wykształcić i podnieść do godności piśmiennego języka.

Ludność Słowaków rozmaicie podają: Fenyés, statystyk węgierski i Szaffarzyk; pierwszy na 1,687,256, drugi na 2,753,000. Chociażbyśmy przecież mniejszą z tych cyfr za prawdziwą przyjęli, zawsze słuszne wzbudzi podziwienie, iż ludność tak znaczna, jednym językiem mówiąca, tego języka za środek do wzajemnego porozumienia się w piśmiennictwie użyć nie ośmieliła się.

Rzut oka na stan ludności słowackiej wskaże nam przyczyny takiego zaniedbania mowy krajowej.

W słowackiej ziemi wyższe stany częścią zarzuciły rodzinny język, przemieniając go na węgierski lub niemiecki, częścią też pierwotnie już mową i pochodzeniem od massy ludności się różnią. Aż do ostatnich czasów język łaciński był urzędowym na Węgrzech, teraz jest nim węgierski; w szkołach nie uczą po słowacku; gdzież się miał język wykształcić?

Lud tylko prosty pozostał wiernym rodzinnej mowie. Lud ten jest pracowity i zabiegły; ziemia którą zamieszkał

górzysta i niepłodna często wyżywić go nie zdoła, więc góral lubo do niej mocno przywiązany, rzuca ją i za lichym zarobkiem spieszy w obce kraje. Znani w całym kraju naszym druciarze np. są synami téj ziemi.

Lud ubogi i od klass wyższych oddzielony, mało ma pojęć, mało téż czuje potrzeby ich wymiany. Ztąd dotychczas niewiele pisali Słowacy, a i ci z nich, którym okoliczności lub powołanie pióro w rękę podało, obcym winni będąc swoje ukształcenie, obcego zwykle używali języka. Czapłowicz pisał po niemiecku, Kollar po czesku.

Czeski szczególnie język do słowackiego bardzo zbliżony, a więcj od niego wykształcony, stał się piśmiennym u Słowaków. Od lat 300 w kościołach ewangelickich (do tego wyznania należy $\frac{1}{2}$ miliona Słowaków), kazania i nabożeństwo odbywały się po czesku. Literatura czeska była jedyną, do której Słowak obcego nieznający języka miał przystęp. Ztąd Czesi nawykli uważać Słowaków za gałąź swego rodu, a przy zupełném zaniedbaniu mowy słowackiej, samo nawet jój istnienie podali w wątpliwość. Lud zamieszkujący północno-zachodnią stronę Węgier, według nich, mówił różnemi narzeczeniami, tyleż prawie między sobą, co od czeskiego języka różniącemi się. Narzecza te pozbawione wszelkich cech wspólnych, za jeden język uważane być nie mogły.

Nietylko przeciej Czesi, z językiem nieobeznani, i w ściśnionych naturą granicach zamknięty obręb swojej narodowej działalności rozszerzyć pragnący, rozsiewali te uprzedzenia przeciw mowie słowackiej; sami nawet Słowacy, ci zwłaszcza, którzy do czeskiej przyłączyli się literatury, podzielali niechęć przeciw samoistnemu wystąpieniu słowackiego języka. A przeciej czeszczyzna nie poszła na użytek Słowakom.

„W czeszczyznie” mówi jeden Słowak, lud nasz nigdy nie żył; nie ma ona w nim żywota ani on w niej. Nic tu nie pomoże powoływać się na to, że czeszczyzna w kościołach naszych, i to tylko w ewangelickich, od wieków panowała. Prawda, mowa ta przeszło już od 300 lat panuje

w kościołach ewangelickich, ale téż od tych lat trzystu naród nasz gnił tylko i wegietował. Cóż czeszczyzna u nas dobrego sprawiła, czy podźwignęła nas, czy przywiodła ku lepszemu? Czyż na polu literackim lub społecznym, czy w życiu kościelnym w którym weszła w używanie, nie panowały przez wszystkie te czasy oziębłość i odrętwienie?

Naród nasz dziwił się czeszczyźnie, lecz pozostał dla niej, jako obcej sobie, chłodnym. Kto z nas nie pomni, gdy będąc dzieckiem odmawiał zadaną sobie lekcją, jak ustami dość się napracował, a do serca nie przylgnęło? Tak było z nami w dziecinnym wieku; a ktoby chciał przeczyć, że i naród nasz w dziecinnym stanie zostaje, że jeżeli go pociągnąć za sobą chcemy, tak doń przystąpić, tak z nim sobie poczynać winniśmy, abyśmy do serca jego przeniknąć mogli? Lecz i w owych ewangelickich kościołach jakażto, prosimy, była czeszczyzna? Kaznodzieja nie dobrze byłby na tém wyszedł, gdyby chciał przemawiać czystym czeskim językiem, który zresztą znacznej części kaznodziejów powierzchownie był tylko znany; najczęściej więc mowa ich była płataniną słowackiego języka z czeszczyzną. Taki stan rzeczy zaiste jest do niezniesienia; miejsce jego musi zająć coś pewnego, istotnego, wyraźnego. Tém zaś może być tylko mowa krajowa, którą i my doskonale znamy i którą lud nasz najłatwiej pojąć zdoła. Ani nam co pomoże, że literatura czeska już na znacznym stopniu doskonałości zostaje, że przyjmując ją za swoją do gotowego niejako przystąpilibyśmy. Co jest czeskie to nie jest nasze, a kto sam na co nie zasłużył, ten i użyć tego nie umie. I my prawda zapomagaliśmy czeską literaturę, lecz to od nas innym odpłynęło korytem; na powierzchni tylko nieco się zostało, do wnętrza nic nie przeniknęło; żywot pozostał taki jak za dawnych czasów. Jeśli chcemy być czemsiś, musimy sami coś począć, sami się zasłużyć, inaczéj nigdy wegietować nie przestaniem i nie podźwigniemy się z nicości. Jeśli nigdy nie zaczniemy, nigdy téż nie nie zdziałamy, a zdziałać coś chcemy, aby nam do oczu nie wyrzucano, jak to czynią przeciwnicy nasi, że nic własnego nie mamy, że wszystko u nas jest czeskie. To ubó-

stwo i nędzę naszą chcemy raz pokryć, a że teraz do tego czas najstosowniejszy, każdy łącno widzi. Jak sami czegoś dokażemy, ustanie ta czezość i pustka którą nam przeciwnicy nasi wyrzucają, ustanie wegietacya i żywot nasz czerstwiejszym puści się biegiem. Pracy bać się nie trzeba, bo tylko w pracy rozwija się życie; jeśli pracować nie będziemy, nikt nam na świecie nie pomoże, bo ten tylko żyje, kto pracuje i działa.”

Nieodzowną jak widzimy była reakcyja przeciw czechyźnie. Zaczęto pisać po słowacku, lecz w braku pewnych prawideł, gdy każdy z piszących dyalekt swój rodzinny za czystą mowę słowacką uważał, język ustalić się nie mógł.

Dopiero p. Ludwik Sztur, rodem z trenczyńskiego komitatu, stał się założycielem nowego, czysto słowackiego piśmiennictwa. Zbijając upowszechnione mniemanie o istnieniu rozlicznych dyalektów słowackich (których Kollar np. siedm naliczył głównych, nie wspominając już o pomniejszych odmianach) wykazał on, że język słowacki w całej krainie przez Słowaków zamieszkaną jest jeden i ten sam, że tylko na granicach kraju, przy zetknięciu się z innymi plemionami słowiańskimi, z mowy ich cokolwiek zaczerpuje. W zachodniej części Nitrańskiego np. i w dolnej części Trenczyńskiego mowa słowacka morawczeje; bliżej Polski w północnym kącie Orawskiego i Liptowskiego, a więcéj jeszcze na Spizu i w Šaryszu polszeje, na pograniczu węgierskiej Rusi rusinieje. Odmiany te nie stanowią przecież osobnych narzeczy; zachowują owszem wszystkie cechy odróżniające język do którego należą, od innych. W środku krainy mowa słowacka utrzymała się w nieskażonej czystości; tęto mowę wprowadził p. Sztur do piśmiennictwa, dając jój pierwszeństwo nad narzeczem, czyli raczéj odmianą rodzinną swoją okolicy, trenczyńskiego komitatu.

Odrębne znamiona słowackiej mowy p. Sztur w następnym wykazuje sposób:

„W całym narzeczu słowackim z jego odmianami”, mówi on „znachodzą się głoski *f*, *g*, *dz*, *dź*, wyróżniające narze-

cze słowackie od czeskiego, nigdzie znowu nawet w odmianach polskiej i morawskiej niema *rz*, głoski cechującej mowę polską i morawską, ani głosek *z*, *ẓ*. Jednostajnie mówią Słowacy: *czrep, czrewo, lisica, reczjem, klesnuw, zhasnuw, pachnuw, tjekou, wimreli, widreli.*

Czesi: *strzep, strzewo, lzice, rzknu.*

Polacy: *kleśł, zgaśł, pachł* (*), *ciekł, wymarli, wydarli.*

Mowa słowacka ma wszędzie głębsze i pełniejsze głoski, zachowała stare pełniejsze zakończenia we środku kraju, równie jak na pograniczu.

Słowak mówi np. *dusza, kusza, niediela, djetia, djewcze, prasa, kura, pijem, wijem, hiniem, piju, wiju, lamu.*

Czech i Czecho-Morawiec, *dusze, kusze, nedele, dite, dewcze, prase, kusze, piji, wiji. piji, wiji, lami.*

Polak: *dzięcię, kurze, pije, wije, ginę, piją, wiją, giną, łamią i t. d.*

Tę pełnodźwięczność i głębsze samogłoski, zatrzymuje język Słowaków ze wszystkimi swemi odmianami, w przypadkowaniu imion i innych formach grammatycznych; gdy tymczasem czesko - morawska mowa cieńsze polubiła dźwięki.

Słowacki język ma wszędzie: *holuboch, duboch, duszu, duszou, duszam, duszach, słowach, kurata, kuratu, ljetanja, ljetaniu.*

Czesko-morawski zaś: *holubich, dubich, duszi, duszi, duszim, duszich, słowich, kurzete, kurzeti, litáni, litani i t. d.*

Używamy (my Słowacy) we wszystkich odmianach naszej mowy tych samych wyrazów, zaledwie gdzieniegdzie jeden drugim zamieniając; używamy ich w tém samym znaczeniu; składnią mamy tę samą, i też sposoby mówienia; któż obok tego wszystkiego odważy się przeczyć jedności naszego narzecza? czyliż te same formy nie rządzą wszędzie naszym językiem? czy odmiany jego nie zgadzają się z nim w gło-

(*) Myli się tu cokolwiek p. Sztur, biorąc skrótowiec w mowie polskiej używane za formę pierwotną: nikt nie mówi *pachł*, ale *pachnął*.

wnych znamionach, i nie wyróżniają się przez te znamiona od polskiego i czesko-morawskiego języka?

Na pograniczu Moraw, język nasz naśladowując w tém czesko-morawszczyznę, stracił pierwotne swoje silne dwugłoski, i obyczajem sąsiedzkim zamienił je na zwyczajne samogłoski; przy zetknięciu się z Polską, język nasz stracił długość syllab zamieniając je przykładem polskim na krótkie; te właśnie dwie odmiany słowacko-morawska i słowacko-polska najdalej od pierwotnego narzecza odstępują, a przecież wykazaliśmy, że są tylko odmianami i bynajmniej jedności narzecza nie psują. Ci którzy Bóg wie, ile różnych narzeczy słowackich liczą, okazują tylko nieznamość, zupełną nieznamość słowackiej mowy."

W dalszym ciągu artykułu swego dowodzi Sztur, że język jego ziomków więcej dochował cech staro-słowiańskiej mowy niż czeszczyzna. „Charakterem ogólnym słowackiego języka, mówi on, są głębsze głoski, pełniejsze stare zakończenia, dwuzgłoskowość i niełączenie się miękkiej spółgłoski z miękką samogłoską (*).”

Wprowadzając w życie pomysły swoje, p. Sztur zaczął wydawać w Presburgu dwa pisma czasowe: jedno literackiej, drugie politycznej treści. Pierwsze z nich Orzeł Tatrański wychodzi co dni 10, arkusz in 4to, we dwie kolumny. Każdy numer rozpoczyna się od poezyi (w N. 36 jest tłumaczony wiersz hr. Dunina Borkowskiego p. t. Pieśni Słowiańskie). Potém idą powieści, opisy miejsc, rozprawy w przedmiotach to języka krajowego to dobrego bytu mieszkańców dotyczących. Gdziekolwiek pojawi się oznaka ruchu umysłowego, zaraz ślad jego w Orle się odbija. Tu założono towarzystwo wstrzemięźliwości, tam szkołę, tam czytelnia, tu księgarnia, o wszystkiém Orzeł donosi, starając się rozbudzać życie umysłowe, zachęcać, zgoła uczucie własnej godności w Słowakach wskrzeszać.

W takim zakresie wydawane pismo, niewątpliwie społeczeństwu dla którego jest przeznaczone pożytecznie słu-

(*) Orzeł Tatrański Nr. 39—40.

ży. Lecz jak społeczeństwo to nie zajęło jeszcze samoistnego miejsca w gronie wielkiej rodziny ludów, tak i pismo będące życia jego objawem, raczej do zachęty, niż do uznania rościć sobie może prawo.

Oprócz współczucia przecież które każdemu szlachetnemu usiłowaniu się należy, Orzeł Tatrański, z innej jeszcze strony zajęcie nasze wzbudzać winien. Już sam fakt utworzenia się a przynajmniej ustalenia się nowego piśmienne-go języka, o granicę od nas, już samo zapowiedzenie nowej literatury, wyciąga po nas baczną uwagę, bo okazuje u ludu w którym się objawiło, podniesioną umysłową działalność i uznanie siebie, do wyższych prowadzące go przeznaczeń. Lecz nadto Orzeł wychodzi w kraju, z którym liczne mie-waliśmy stosunki, którego historia wiąże się z naszą, gdzie się przechowały podania dziejów naszych dotyczące. Ztąd zawarte w piśmie tém wiadomości bezpośrednio nas nieraz obchodzą.

Abym na przykładzie okazał rzeczywistość twierdzenia, przytoczę tu wyjątek z opisu miasta Żyliny (po niem. *Sil-lein*) nad rzeką Wag, w komitacie trenczyńskim położonego, przez ks. Gerometta (N. 37).

„Żyлина nasza w 11 wieku czyli już wówczas gdy w pa-
nońskiej ziemi węgierscy królowie panowali, należała do Ma-
łopolski z całą Kisucą, gdzie wtedy po większej części nie
oprócz samych gór nie było, bo do owego czasu ściąga się
„*donatio Zdenko Comitum*, który dostał, jak w dokumencie
stoi, *civitas Krakowa una cum omni regione adjacente ad*
Vaghum.” Wskazuje nam to i wcielenie Żyliny do dyecezyi
pragskiej w tych czasach, gdy wodzowie czescy królom pol-
skim całą Małopolskę z województwami, cieszyńskiem,
opawskiem i raciborskiem odjęli. Musiała tedy Żyлина na-
leżać do krakowskiej dyecezyi, z którą razem dostała się
pod zwierzchnictwo pragskiej, wówczas, gdy Małopolska
Czechom uległa. Lecz to długo nie trwało, bo kraje po-
mienione Czechom odebrane zostały, a co do krajów nad
górnym Wahem, rozgraniczenie (metacia) nastąpiło, tak, że
Żyлина przypadła do Węgier i została wcieloną nie do ni-

trańskiej, lecz jako nowy nabytek do ostrihomskiej diecezji. Znajdujemy o tém wzmiankę w archiwum kapituły ostrihomskiej. Że granice między Polską a Węgrami w owych czasach nie były te same co teraz, tego dowodzi, iż naprzeciw napadom Polaków (jak to wzmiankuje Anonymus, *Belae Regis Notarius*, zresztą w historyczne nieprawdy obfitujący), został wysłany Borszod ku Zwoleniowi, gdzie na granicy *wirchów* (*), za Starym Zwoleniem (Alt Sohl) zamek postawił dla bezpieczeństwa. Granica więc musiała iść od wirchów zwoleńskich aż do Żyliny. Wiele zamków stało na tym pasie, a między niemi są i takie, które od wieków w rozwalinę poszły i bez ochyby sięgają najdawniejszych czasów naszej krainy. Na teraźniejszej granicy niema wcale zamków.

Bitwa stoczona między Bolesławem Chrobrym królem polskim a Stefanem królem węgierskim, zaszła zapewne pod Żyliną, bo o bitwie téj aż do dnia dzisiejszego krążą u nas podania. Mówi lud, że koń króla Stefana w owéj bitwie stracił złotą podkowę, która głęboko w ziemię się zaryła, i że gdy tę podkowę ludzie znajdą, będą wojny okrutne.

Jest także podanie, że kościół należący do Żyliny przy Zawodziu, na pamiątkę téj bitwy został wystawiony z rozkazu Stefana króla węgierskiego. W rzeczy saméj przecież, kościół ten jest tylko poświęcony ś. Stefanowi."

Drugie pismo wydawane przez p. Sztur p. t. *Nowiny Słowackie*, politycznej treści, wychodzi dwa razy na tydzień, we wtorek i w piątek. Każdy numer rozpoczyna się jakim artykułem rozumowanym, po większej części wewnętrznych ekonomicznych stosunków dotyczącym. Dalej następują wiadomości krajowe, do czego życie publiczne, tak bujne na Węgrzech, zawsze obfitego materiału dostarcza.

Każdy komitat, czyli po słowacku stolica, jest małym niejako państwem; w każdym ściągają się z sobą przeciwne partye; a lubo w tych burzliwych nieraz sporach, Słowacy,

(*) Wyraz ten jako i z téj strony Karpat miejscowy zachowujemy.

jak już powiedzieliśmy z samój prawie nieszlachty złożeni, udziału czynnego nie biorą, a przynajmniej osobnej partyi nie stanowią, przecież niegodzi im się pozostać obojętnymi widzami walki, wywierającej wpływ przeważny równie na stan kraju z którym natura i dzieje ich złączyły, jak na ich własne domowe stosunki. Jedna bowiem strona w Węgrzech wszelkieni siłami do przemadziarzenia ludności niemówiącej węgierskim językiem dąży, druga w téj mierze więcej względności i umiarkowania okazuje.

Ostatnią i najmniejszą część numeru zapełniają nowiny zagraniczne, mniej widać niż krajowe u Słowaków wzbudzające zajęcia. Taka przewaga treści krajowej nad obcą, jest według nas główną zaletą dziennika. Pisma czasowe zapełnione tłumaczeniami, nigdy rzetelnego nie mają znaczenia, a tém samém i wiele pożytku przynieść nie są zdolne.

F. Z.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

ASTRONOMIA.

*N*owyy sposób oświecania nitek mikrometrów w lunetach astronomicznych. Narzędzia astronomiczne przeznaczone do mierzenia czasu i łuków, w ogniskach swych lunet, mają siatki ułożone z nitek pajęczych, któremi przedziały czasu i wielkość łuków na drobniejsze części dzielić można. Lunety i narzędzia ustawione na płaszczyźnie południka, mają mikrometra złożone z jednego włoska poziomego, i z trzech albo pięciu lub siedmiu włosków pionowych, równoległych względem siebie i zwykle w równych odstępach naciągniomych. Włoski pionowe, służą do oznaczenia czasu przejścia gwiazdy przez południk, włoski poziomy w kierunku którego bieg dzienny się odbywa, służy do wskazania położenia gwiazdy na kole, względem poziomego miejsca lub równika niebieskiego. W innych narzędziach, mogących się poruszać podług biegu dziennego gwiazd, mikrometra zwykle składają się z dwóch włosków pajęczych na krzyż pod kątem prostym w ognisku przecinających się, jednego w kierunku równika, a drugiego w kierunku południka niebieskiego; niekiedy dodany jest i trzeci włoski ruchomy, który za pomocą śruby mikrometrycznej można równolegle zbliżać lub oddalać od włoska stałego równikowego. Podczas obserwacji w dzień odbywanych, w powyższych narzędziach włosków mikrometru oświecać nie potrzeba, gdyż

światło dzienne, aż nadto czyni je widzialnemi; w obserwacjach nocnych, oświecenie mikrometru jest koniecznym, gdyż bez oświecenia w polu ciemnym lunety widzieliby tylko można samą gwiazdę, a nie moglibyśmy jej odnosić do środka pola lunety, to jest do przecięcia się włosków. Dlatego dawniej dla oświecenia mikrometru ocznego, używano zwierciadeł stawianych z boku narzędzia, albo też umieszczonych przy końcu lunet naprzeciw szkła przedmiotowego, pod kątem 45 stopni; światło od lampy z boku padające, odbite od zwierciadła obrączkowego, wpadało do lunety i oświecało włoski i całe pole widzenia. Sposób ten był w tym niedogodny, iż w miarę poruszenia lunety, i położenie lampy zmieniać należało. Dzisiaj oświecenie mikrometrów odbywa się dogodnie, za pomocą zwierciadła metalowego, mającego kształt pierścienia eliptycznego, umieszczonego w środku narzędzia pod kątem 45 stopni do kierunku lunety. Oś metalowa poziomo leżąca, około której narzędzie ruch odbywa, jest wewnątrz pusta czyli wydrążona; światło od lampy na końcu téżże osi umieszczone, przechodząc przez oś, pada na obwód gładki zwierciadła, od niego się odbija i oświeca włoski mikrometru i całe pole widzenia. Ten sposób oświecania powszechnie dziś używany, przy obserwacjach gwiazd, jest bardzo dogodny, gdyż światło od lampy niewiele zmienia blask gwiazdy, gdy przeciwnie komety i gwiazdy obłoczkowe mające bardzo słabe światło, przez sztuczne oświecenie zupełnie w polu lunety znikają; przypadek taki pokazał się widocznym na komecie odkrytej w r. b. przez astronoma Hind w Anglii, a uważanej w Paryżu. Okoliczność ta dała powód znakomitemu astronomowi i fizykowi Arago, do wrócenia się na nowo do swego pomysłu przed 25 laty powziętego, oświecania nitek mikrometrów tak słabo i chwilowo, jak tego potrzeba wymaga, zostawując przytém pole lunety w zupełnej ciemności. Arago z początku użył do tego nitek szklanych bardzo cienkich i przezroczystych, oświeconych z boku światłem lampy; doświadczenia jednak w tym celu czynione, nie odpowiedziały oczekiwaniu. Później tenże uczoney powziął myśl

przystosowania elektryczności do oświecania nitek platynowych w mikrometrach lunet, a to w owym czasie, gdy fizyk angielski Wollaston zrobił narzędzie, w którym nitka platynowa bardzo cienka, za pomocą jednego tylko ogniwa stosu Wolty, rozgrzewała się i świeciła niejako w sposób mikroskopowy. Od tego czasu Arago często wracał do swego pomysłu już to przy wykładzie publicznym swych lekcji, już to na posiedzeniach towarzystwa geograficznego; przytém robił uwagę, że prócz sposobu za pomocą którego można dowolnie zmniejszać natężenie światła, należało jeszcze zapewnić się, czy obrazy przedmiotów malujące się w ognisku lunet, blisko nitki rozgrzanej nie doznają falowania, czyli undulacyi. Sposób mocniejszego lub słabszego rozgrzewania nitki platynowej do czerwoności za pomocą stosu, znany teraz w wielu narzędziach Wheatstona, czynił nadzieję pomysłnego wykonania doświadczeń z oświecaniem nitek mikrometrów. Mechanik Froment, któremu Arago powierzył wykonanie stosownego aparatu, okazał w zrobioném przez siebie narzędziu to wszystko, czego się można było spodziewać po artyście biegłym i razem uczonym. Nitki metalowe przechodzą prawie nagle z ciemności do rozgrzania świecącego i to z równą prędkością jak i łatwością. Sprężynki stosownie połączone z nitką, utrzymują tę ostatnią w wytężeniu i nadają jój położenie zawsze proste, pomimo wielkiej zmiany temperatury. Doświadczenia wykonane na lunecie małego powiększenia, okazały, że obrazy w ognisku blisko nitki rozgrzanej, nie doznawały falowania i zboczenia od osi optycznej. Narzędzie wykonane przez Froment, przedstawioném było akademii umiejętności w Paryżu przez Arago, przyczém uczony ten zapowiedział, że inną razą pokaże, jak narzędzie to można stosować do wielu ważnych zadań fotometrycznych.

W czasie gdy Froment zajmował się wykonaniem nowego narzędzia, zegarmistrz Breget, zamierzył doprowadzić do skutku rozwiązanie innego zadania przedstawionego mu przez Arago. Znakomity ten astronom chciał użyć dróćnika platynowego rozgrzanego do czerwoności za pomo-

cą stosu, dla oświecenia włosków pajęczych mikrometrów zwyczajnych; dróciak oświecający bardzo cienki, miano umieścić w osadzie ocznej lunety, tak, żeby oświecał nitki mikrometru od strony obserwatora i tym sposobem wprowadzić światło elektryczne w miejsce światła od lampy tak trafnie zastosowanej przez Fraunhofera do mikrometrów wielkich lunet. Breget zrobił zmianę w urządzeniu tego oświecenia, to jest przeciął rurkę oczną lunety wzdłuż kierunku osi optycznej, nad tém przecięciem, pomiędzy szkłem ocznym a nitkami mikrometru, umieścił dróciak oświecający; środek ten zupełnie się udał, przytém można dowolnie powiększać lub zmniejszać natężenie światła dróciaka bez najmniejszej przeszkody dla obserwatora. Z tego wnosić można, iż stos Wolty, którego już do wielu ważnych i pięknych użyto zastosowań, stanie się użytecznym środkiem przy narzędziach astronomicznych. (*Comptes rendus* 1847 n. 9).

* *Położenie Warszawy względem pięciu miejsc, których długość geograficzna najdokładniej jest oznaczona.* Różnica południków dwóch miejsc, czyli różnica ich długości geograficznej, jest pierwiastkiem w astronomii i geografii bardzo ważnym, ale zarazem trudnym do dokładnego wyznaczenia; dlatego niewiele jest punktów na powierzchni ziemi, którychby położenie co do długości na dziesiątą część sekundy pewnym było. Miejsca czyli obserwatoria astronomiczne, których położenia najściślej za pomocą chronometrów w ostatnich latach wyznaczone zostały są: Pulków, Greenwich, Paryż, Altona, Berlin, Warszawa; położenia względne tych miejsc są następujące:

Obserwatorium w Pulkowie pod Petersburgiem leży na wschód w czasie:

względem obserwatorium Greenwich	o	28	1 ^m	18.567
„	„	Paryża.	1 51 57. 07
„	„	Altony.	1 21 32. 52
„	„	Berlina	1 7 43. 00
„	„	Warszawy.	..	0 37 11. 32

za pomocą tych wypadków otrzymamy:

Położenie obserwatorium warszawskiego:

względem Greenwich na wschód w czasie	1 ^s	24 ^m	7. ^s 35
„ Paryża	„	„	1 14 45. 75
„ Altony	„	„	0 44 21. 20
„ Berlina	„	„	0 30 31. 68
„ Pulkowa na zachód.	0	37	11. 32

Warszawa leży względem południka

paryzkiego na wschód w łuku o . . . 18° 41' 26."25

względem południka Ferro. 38 41 26. 25.

J. B.

CHEMIA.

Doświadczenia tyczące się nawozów. Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu, czytał p. Kuhlmann w miesiącu grudniu r. z. rozprawę o teorii nawozów, której rzecz przywodzi się do następującej treści:

Autor nasamprzód zdaje sprawę z doświadczeń podjętych w celu przekonania się, jakie mogą być następstwa z przedłużonego użycia nawozów wyłącznie usaletrorodnionych czyli azotowych. Wypadki tych doświadczeń przekonywają, że zastosowanie wyłączne ciał usaletrorodnionych do łąk, pobudza zbyt silnie roślinność kosztem zbiorów następnych, ztąd wyprowadza się wniosek, że wielką stratę ponosi rolnik, skoro przejdzie pewne granice stosunków nawozu usaletrorodnionego do ziemi, gdy jedno nawiezenie może służyć dla wielu po sobie następujących zbiorów. Inna część tych doświadczeń tyczy się wpływu na roślinność istot solnych mineralnych, a szczególności soli kuchennój. Wypadki doświadczeń w tym celu przedsiębranych przekonywają, że sole mineralne, a szczególności sól kuchenna, tylko do gruntów wilgotnych korzystnie użyć się dają.

Również p. Kuhlmann zajmował się wyjaśnieniem, jaki zachodzi związek pomiędzy usaletrzeniem (nitrification) i użyźnieniem ziemi. Z tego zaś, że istoty zwierzęce dopięro wtedy skutecznie wpływają na roślinność, gdy przez rozkład utworzy się z nich węglan amonii; p. Kuhlmann

wywodzi, że saletrany użyte za nawóz wówczas widocznie działają, gdy w skutek odkwasorodnienia przez fermentacją zgniłą, ich kwas zmieniony zostanie na amonię. Oto są niektóre doświadczenia popiérające ten sposób widzenia rzeczy.

„Włóżywszy kilka kawałków saletry w mieszaninę cynku lub żelaza i kwasu siarkowego, albo jeszcze lepiej kwasu solnego rozcieńczonego, gaz wodorodny dotąd nie będzie się wydobywał, lub téż tylko słabo się wywięzuje, aż wszystkie kwas saletrowy saletranu, zostanie zmieniony na amonię. Świeżo powstający wodoród siarkowy tworzy także podobną zmianę przy osadzaniu się siarki. Jeżeli do mieszaniny cynku z kwasem solnym dodamy takiego saletranu, którego metal może być strącony przez cynk, np. saletranu miedzi, wtedy na 1 równoważnik (aequivalent) rozpuszczonego cynku idzie 1 równoważnik osadzonej miedzi: i 1 równoważnik kwasu saletrowego z saletranu, zmieniony został na 1 równoważnik amonii, a to wszystko bez wydobywania się gazu wodorodnego. Przepuszczając strumień kwasu siarkowego wodorodnego, przez roztwór chlorku antymonu zmieszany z saletranem, kwas z téj ostatniej soli zmienia się na amonię. Podobne przemiany spostrzegają się przy zetknięciu saletranów z roztworem siarczku arsenu w potażu, lub z niedokwasem lym cyny, albo niedokwasem lym żelaza, wodnemi.”

Po przywiedzeniu powyższém, p. K. dodaje, że podług jego zdania, jeżeli w ogólności saletrany dopiero wtedy działają jak nawóz, skoro w pewnej głębokości gruntu ulegną rozkładowi, w skutku którego powstanie węglan amonii; również i żyzność ziemi polega także na oddziaływaniu przeciwném, sprzeciwiającém się ulatnianiu amonii, czyli inaczej, na przemianie soli amoniakalnych w saletrany; przemiany, która zachodzi w części zwierzchniej gruntu posiadającego stosowny skład chemiczny, i zupełnie właściwą temperaturę oraz ilość wilgoci.

„Co się zaś tyczy przeistoczenia amonii w kwas saletrowy, okazałem (mowi p. K.) w r. 1838 dostatecznie przy

moich doświadczeniach z platyną gąbczastą, że w tej przemianie szukać należy tłumaczenia najprostszego i najbardziej zadawalającego powstawania utworów saletrzanych. Widoki moje w tym względzie przez wielu chemików są dziś przyjęte; a jeżeli w nich znajdują się jakie wątpliwości, następne wypadki zaradzić temu potrafią. Ogrzewając w retorcie mieszaninę dwu-chromianu potażu, kwasu siarkowego stężonego i siarkanu amonii, przechodzi do odbieralni znaczna ilość kwasu saletrowego. Rozgrzewając mieszaninę dwu-niedokwasu manganu lub dwu-niedokwasu ołowiu, z kwasem siarkowym rozcieńczonym, i siarkanem amonii, amonia z siarkanu również zmienia się w kwas saletrowy, który przechodzi do odbieralni. Uważając przemianę gazu amoniackiego w kwas saletrowy, przy zetknięciu tego gazu w temperaturze podwyższonej z niedokwasem ostatnim manganu, przekonałem się, że powyższy niedokwas może być uważany za wyborny działacz do nieograniczonego udzielania kwasorodu z powietrza, amonii. Porównywając teraz powolność usaletrzania w strefach północnych, z gwałtownością w której się to uskutecznia w okolicach południowych, łatwo okazać o ile więcej zużywa się amonii lub nawozów usaletrorodniowych w stronach północnych od w południowych.

Rozprawę swą tak kończy p. Kuhlmann. „Zapewne akademia zwróci uwagę na wypadki doświadczeń przemnie wykonanych, w przedmiocie wpływu jaki wywiera zsaletrzanie, na użyźnianie gruntu: może i przyzna mi, że w skutek ułatwionej przemnie przemiany amonii na kwas saletrowy, Europa może się pozbyć zależności morskiej dla zaopatrzenia się saletranami lub kwasem saletrowym; i że gdyby w skutek wojny, ląd stały został zamknięty, można by się wszędzie obejść bez Indyi i Chili, gdzie tylko znajdują się istoty zwiérzące i niedokwas manganu. W innych znowu okolicznościach przez działanie odwrotne, znajdziemy w saletranach Indyi i Chili obfite źródło amonii, użytkowawszy wodoród, a w szczególności gaz siarkowy wodorodny, dzisiaj bezużytecznie w niektórych fabrykach

tracący się, i w skutku tego szkodliwie na zdrowie działający.

„Kończąc nadmienię tylko, że oddziaływania rozmaite, których wypadki opisałem, naprowadziły mię na dwa następne zastosowania, będące naturalnym wpływem prawideł ogólnych przezemnie ustanowionych: 1. Ugruntowałem nowy sposób stosunkowania (dosage) kwasu saletrowego i saletranów, na téj własności powyższych ciał, że one zmieniają się zupełnie na amonię lub sołę amoniakalne pod wpływem świeżo wydobywającego się wodorodu. 2. Wystawiając na działanie świeżo tworzącego się wodorodu, rozmaite związki podwójne, lub solne, metaliczne, z wielu z nich czyto rozpuszczalnych w słabych kwasach, czyto nierozpuszczalnych, straciłem metal w zupełności. Wiadomo, że do tego czasu tylko z chlorku srebra tym sposobem otrzymywano metal. Starając się uogólnić ten wypadek, spodziewam się zrobić przysługę przemysłowi metalurgicznemu.” (*L'Institut* 9 Decembre 1846).

* Według spostrzeżeń Dumasa, otrzymać można bardzo prędko kwas 3ci saletrowy (serwasser), jeżeli na kręgę ługiem potażowym zwilgoconą, w temperaturze 100° C., przepuszcza się strumień powietrza atmosferycznego zmieszanego z gazem amoniackim. Po pewnym czasie utworzy się znaczna ilość saletranu 3 potażu. (*Journal für praktische Chemie* N. 3 z r. 1847).

J. B...a

Kwas fosforyczny i metafosforany. Wiadomo, że Gregory podał sposób wyrabiania kw. fosforycznego z kości, wolego od wapna i magnezyi, co dotąd tylko za pomocą alkoholu osiągnano. Sposób jego na tém polega, że po oddaleniu wapna kwasem siarczanym, paruje rozciek do gęstości syropu, i dla wypędzenia nadmiaru kwasu siarczanego, pozostałość lekko żarzy. Kwas fosforyczny tym sposobem w postaci szkła otrzymany, rozpuszcza się w wodzie wrzącej, roztwór ten na nowo paruje, i przez $\frac{1}{4}$ — $\frac{1}{2}$ godz. utrzymuje w temperaturze $+ 315$, w której kwas zaczyna z parą wo-

dy uchodzić; nagle oddziela się proszek biały który rozciek zamąca. Gregory uważa go za niezwykły fosforan magnezyi. Kwas fosforyczny w czasie stygnięcia foremnie krystalizuje; łatwo się rozpuszcza w wodzie, zostawiając sól magnezyi, chociaż przed odparowaniem wszystko było rozpuszczalne. Kwas na nowo rozpuszczony jest zupełnie czysty, jeżeli jeszcze nieco soli magnezyi zawiera, można go powtórnie odparować i w $+ 315$ wypalić. Postępowanie to ma tę korzyść, że po pierwszym zarzeniu wydaje kwas czysty zupełnie bezbarwny, ślady bowiem materji organicznej, ukwasoradniają się kosztem kwasu siarczanego.

Postępowanie to do otrzymania kw. fosforycznego dlatego przytaczamy, że wyrobienie go tą drogą, wydaje kwas czysty do użycia w laboratoryach i aptekach. Jednak pozostań w nim ślady magnezyi i sody. Sól magnezyi oddzielającą się, bliżej badał Maddrell w laboratoryum Liebiga.

Robiąc kw. fosforyczny według przepisu Geigera (*Handbuch der Pharmacie*), w temp. $+ 316^{\circ}$ otrzymał materję taką samą jak Gregory, lecz znalazł w niej 22,47% magnezyi, to jest tyle, ile rzeczywiście potrzeba do utworzenia metafosforanu magnezyi = $MgO P_2O_5$. Kwas powtórnie rozpuszczony, odparowany i do $+ 316^{\circ}$ przez $\frac{1}{2}$ godz. ogrzewany, osadził powtórnie metafosforan magnezyi i dopiero w 3ciem powtórzeniu téj operacyi, otrzymał sól Gregorego, z której otrzymał prawie tyle co Gregory, to jest: 16,28% magnezyi i 75,25% kw. fosforycznego. A zatém okazała się strata więcej niż 8%. Maddrell będąc pewny dokładności swój analizy wnosil, że się inna zasada razem z magnezją znajduje, i wykrył 8,15% sody. Sól więc Gregorego nie jest niezwykłym fosforanem magnezyi, lecz solą podwójną złożoną z metafosforanu magnezyi, i sody = $3 (MgO P_2O_5) + NaO P_2O_5$. Sól ta jest prawie nierozpuszczalna w wodzie, w kw. solnym i w wodzie królewskiej; lecz rozpuszcza się w kwasie siarczanym.

Rozbiór wykonał Madrell drogą następującą. Sól rozpuścił w kw. siarczanym stężonym; roztwór rozlał wodą; amoniakiem strącił fosforan magnezyi i amoniaku, z które-

go przez żarzenie oznaczył ilość magnezyi. Do roztworu odfiltrowanego, dodał roztworu soli magnezyi dla strącenia nadmiaru kw. fosforycznego, i tym sposobem w summie obu osadów, miał cały zasób kw. fosforycznego. Do oznaczenia sody użył nowój ilości soli, rozpuścił ją w kwasie siarczanym, rozlał wodą, nadmiarem amoniaku strącił; w rozcieku odcedzonym kw. fosforyczny oddalił octanem ołowiu; nadmiar ołowiu strącił wodorodem siarkowym, nakoniec sodę w stanie siarczanu oznaczył. Rozbiór okazał:

	I.	II.	
magnezyi	16,28	16,12	16,37.
kw. fosforycznego	75,25	75,69	75,38.
sody	8,14	8,05	8,25.
	<u>99,68</u>	<u>99,86</u>	<u>100,00.</u>

Błąd przez Gregorego popełniony, pochodził z metody w analizie użytój; ponieważ oznaczył zasób magnezyi, a zę straty obliczył kw. fosforyczny; przyczém nie zważał na zasób sody w kościach.

Kwas fosforyczny sposobem Gregorego otrzymany, z solami metalicznymi wydaje metafosforany, do których składu wchodzi soda. Z siarczanem niklu daje metafosforan podwójny $6(\text{NiO}, \text{P}_2\text{O}_5) + \text{NaO}, \text{P}_2\text{O}_5$. Z solą kobaltu, $6(\text{CoO}, \text{P}_2\text{O}_5) + \text{NaO}, \text{P}_2\text{O}_5$. Lecz czysty kw. fosforyczny z fosforu przez kw. saletrzanym wyrobiony, z solami metalicznymi wydaje metafosforany zwykłego składu to jest: $\text{RO} + \text{P}_2\text{O}_5$ albo $\text{R}_2\text{O}_3 + 3 \text{P}_2\text{O}_5$. (*Annalen der Chem. und Phar.* 1847 r. Heft. 1).

S. Zdz.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1845.

KRAKÓW.

438. Rozmaitości historyczne i bibliograficzne, napisał Józef Muczkowski, Prof. i Bibl. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 8ka. Kraków. 1845. Druk Uniwersytecki. Str. 216. Złp. 6 gr. 20.

1847.

WARSZAWA.

50. Grammatyka Polska ułożona przez Teodozego Sierocińskiego, profesora języka polskiego i literatury w Instytucie Alexandryńskim. Część 2ga, z załączeniem nauki o postaciach retorycznych, o wierszowaniu i o stylu. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład Henryka Natansona. Druk Strąbskiego. Str. 160 i kart 3. Dodatków do stylu str. 166 i kart 2. Złp. 5.

51. Kommandor Maltański, przez Eugeniusza Sue, tłumaczył K. T. P. 3 tomy. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład Merzbacha. Druk Ungra. Tom. I str. 226. II. 220. III. 215. Złp. 12.

52. Nowy Komeniusz czyli pierwiastki konwersacyi francuzkiéj i niemieckiéj, obejmujące 1. Zupetny zbiór wyrazów i wyrażen najużywańszych w stosunkach towarzyskich. 2. Wzory potocznej konwersacyi. 3. Grammatyczne początki trzech wymienionych języków; ułożył i wydał W. Zieliński. Wydanie trzecie. 12ka. Warszawa. 1847. Nakład G. Sennewalda. Druk J. Ungra. Str. 358. Złp. 6 gr. 20.

53. Skorowidz monet Polskich z trzech ostatnich wieków, szeregiem lat wykazanych..... Ułożony przez I(gnacego) Z(agórskiego) autora dzieła: O Monetach Dawnéj Polski. 8ka podłużna. Warszawa. 1847. Druk Banku Polskiego. Str. 62. Złp. 3 gr. 10.

KRAKÓW.

54. Hidrografia miasta Krakowa i jego okręgu, skrócił w celu otrzymania stopnia Doktora medycyny w Uniwersytecie Jagiellońskim Franciszek Marczykiewicz. Wyciąg z rozprawy uwiecznionej nagrodą przez Wydział lekarski w Uniwersytecie Jagiellońskim. 8ka. Kraków. 1847. Druk Uniwersytecki. Str. 103. Złp. 5.

55. Oltarzyk Złoty, czyli zbiór nabożeństwa dla Chrześcian, Katolików, z przydaniem pieśni nabożnych z ksiąg przez Kościół Święty potwierdzonych, dla użytku wiernych ułożony i za zezwoleniem Cenzury Duchownej i Rządowej do druku podany. 16ka. Kraków. 1847. Nakład i druk St. Gieszkowskiego. Str. 672. Złp. 4.

56. Zamek Ogrodzieniec. Powieść historyczna z XII wieku, przez X. X. 12ka. Kraków. 1847. Nakład i druk Józefa Czecha. Str. 216 i kart 2). Z ryciną wyobrażającą ruiny Ojcowa. Złp. 6 gr. 20.

WROCLAW.

57. Pamiętniki Seglasy, przez Fryderyka hr. Skarbka. Drugie wydania (e). 2 tomy. 16ka. Wrocław. 1847. Nakład Z. Schlettera. Druk L. Freunda. Tom 1, str. 164. II, 168. Złp. 7.

L I P S K.

58. Kirgiz. Powieść przez Gustawa Zielińskiego. Z pięciu litografiami i drzeworytami rysunku Hr. Alex(andra) R(zyszczewskiego). Wydanie J. N. Bobrowicza. 8ka wielka. Lipsk. 1847. W księgarni zagranicznej. Druk F. A. Brockhousa. Str. 72, i napisów kart 2. Złp. 13 gr. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Józef Ig. Kraszewski pracuje obecnie nad wykończeniem drugiego tomu „Litwy.” Materiały jakie zebrał do słownika artystów polskich, stanowią już teraz mogą do dwóch sporych tomów.

Znany z wielu prac uczonych prawnik August Heylman, wydaje przekład *Kodexu Handlowego* z przypisami. Druk już się rozpoczął.

P. Wacław Alexander Maciejowski wyjechał w podróż naukową, celem zwiedzenia znakomitszych bibliotek, i dopełnienia dzieła nad którym od lat kilku pracuje p. n. „Historja literatury polskiej.” Obecnie wykończył drugie wydanie zupełnie przerobione i znacznie powiększone: Historji prawodawstw słowiańskich. Między najważniejszymi pomnikami które dotęcza w piątym tomie, jest Statut Mazowiecki w narzeczcu mazowieckiem pierwsiestkowie spisany, a o którego bytności domyślał się tylko Tadeusz Czacki.

Z zapowiedzianych przez nas, a wydawanych w Krakowie staniem J. Łepkowskiego: „Starożytności i pomniki Krakowa” otrzymaliśmy już dwa zeszyty. Do każdego przydana jest rycina

litografowana. W pierwszym zeszycie jest opis historyczny kościoła ś. Katarzyny na Kazimiérzu przy Krakowie, i rycina grobowego pomnika Wawrzyńca Jordana Spytka. W drugim: Ogrojec, płaskorzeźba w kamieniu Witta Stossa, tudzież wiadomość o dziełach tego mistrza w Niemczech dokonanych, pióra znanego w literaturze naszej Ambrożego Grabowskiego. Piękne to przedsięwzięcie zasługuje na współczucie i wsparcie liczną prenumeratą. Wydanie staranne i bardzo przystępne skromną ceną: jeden bowiem zeszyt z ryciną i textem kosztuje tylko złp. 1 gr. 15.

Także wydano już w Krakowie u Józefa Czecha powieść z czasów Bolesława Krzywoustego p. n. „Zamek Ogrodzieniec” zalecającą się i myślą i obrobieniem. Piękna rycina ruin zamku Ojcową ozdabia to dziełko.

Tamże w drukarni uniwersyteckiej Franciszek Marczykiewicz wydał napisaną przez siebie: „Hidrografią miasta Krakowa i jego okręgu,” w celu otrzymania stopnia doktora medycyny w uniwersytecie Jagiellońskim. Jestto wyciąg z większego pisma uwiecznzonego nagrodą przez Wydział Lekarski przy uniwersytecie Jagiellońskim.

L W Ó W.

W Galicyi w r. 1847 wychodzi pism czasowych politycznych dwa, niepolitycznych sześć.

Pisma politycznej treści:

1). *Gazeta Lwowska.* Wychodzi trzy razy co tydzień, we wtorek, czwartek i sobotę. Mieści w każdym numerze z dwóch lub trzech kartek składającym się: a) Wiadomości krajowe i zagraniczne. b) Nowiny. Cokolwiek ciekawego lub pochwały godnego we Lwowie lub na prowincyi zdarzy się, wchodzi w tę rubrykę; jakoto: recenzye teatru, muzyki, balów, uroczystości, wesel, nowych sklepów, cukierni, przechadzek, i t. d.; po czém następują c) *Korrespondencye handlowe.*

Przy *Gazecie Lwowskiej* wychodzi oraz *Dodatek* z kilku arkuszy składający się, w którym następujące rubryki: a) *Dostrzeżenia meteorologiczne we Lwowie czynione.* b) *Kto z honoratorów przyjechał do Lwowa lub odjechał.* c) *Kurs na giełdzie wiedeńskiej i wexlowy.* d) *Kurs lwowski złota, srebra, i listów zastawnych.* e) *Spis osób zmarłych we Lwowie.* f) *Doniesienia sądowe.* g) *Dziennik urzędowy politycznej administracji kraju, w kohecu* h) *Rozmaite obwieszczenia prywatne.* Redaktorem *Gazety* jest Jan Nepomucen Kamiński, a właścicielem spadkobiercy *Kratera.*

2) *Lemberger Zeitung* (*Gazeta lwowska*). Wychodzi w niemieckim języku trzy razy na tydzień po pół arkuszyka. Zawiera wia-

domości krajowe i zagraniczne, kurs wiedeński i lwowski. Redaktorem jest Max. Reinau, a właścicielem Schnejder.

Pisma niepolitycznej treści.

1) Biblioteka zakładu Ossolińskich. Dotąd wychodziło tego pisma cztery tomy rocznie. Od stycznia roku 1847, ma wychodzić co miesiąc jeden zeszyt. Będzie mieścić w sobie już nie jedynie artykuły historycznej treści, lecz i beletrystykę. Prenumerata roczna 10 zł. reń. m. k.

2) Rozprawy Galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego. Mają od r. 1847 wychodzić w czterech sporych tomach co roku i zawierać obszerniejsze rozprawy o handlu, przemyśle i rolnictwie. Roczna prenumerata wynosi w redakcyi 10 zł. reń. m. k.

3) Tygodnik rolniczo-przemysłowy. Wychodzi arkusz co tydzień. Dawniej redaktorem był T. Kochański, Dziś nowa jest redakcyja. Zapelniony bywał po największej części tłumaczeniami z pism niemieckich. Nowa redakcyja przyobiecła same oryginalne, praktyczne rozprawy zamieszczać w Tygodniku. Na tak rozległy rolniczy kraj jak nasz, mało by było i trzech pism rolniczych, z którychby każde do pewnej klasy gospodarzów stosowało się. U nas, dla braku prenumeratorów i piszących w tym zawodzie, dotąd zaledwie jeden Tygodnik wegiętować mógł. Roczna prenumerata tego pisma w redakcyi wynosi 8 zł. reń. 24 kr.

4. Rozmaitości. Pismo dodatkowe do Gazety Lwowskiej wychodzi arkusz jeden co sobota. Zawiera w trzech pierwszych kartkach powieści, na czwartej kartce wykaz treści każdego numeru Tygodnika rolniczo-przemysłowego, Dziennika mód, i rozmaite krótkie wiadomości z rozlicznych zawodów nauki i życia. W końcu mieści anegdota.

5. Dziennik Mód Paryzkich. Wychodzi arkusz co dni czternaście. Do każdego numeru dołączone są ryciny mód i rysunki krojów. (Wydawca Tomasz Kulczycki).

6. *Leseblätter* (kartki do czytania), pismo dodatkowe do *Lemberger Zeitung*, wychodzi co tydzień trzy razy pół arkuszyka. Zawiera krótkie powiastki, dalej jest rubryka *różności* (*Miszellen*) podobnych do rozmaitościowych, na ostatniej kartce zamieszczanych. W końcu utrzymuje kronikę lwowskiego teatru niemieckiego, opery niemieckiej i koncertów. Redaktor Max. Reinau. Podobnoby więcej interesu to pismo obudziło, gdyby zajęło się przekładami, rozbiorem i wiadomościami z literatury polskiej.

Donoszą z Paryża, że nasz ziomek Szopen coraz mocniej zapada na zdrowiu; publicznie nie występuje nigdzie, czasem tylko w prywatnych domach słyszeć go można. Bolesne wrażenie sprawia wtedy elegijna gra mistrza obładęj twarzy i gasnących siłach.

W koncercie, który Thalberg dawał w Tours, wielkie oklaski odbierała panna Witkowska, której śpiew doskonały oddawna podziwiany był w salonach paryzkich.

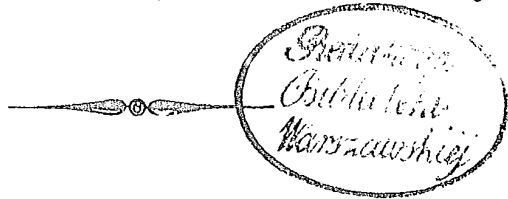
Znany powszechnie kompozytor warszawski Ignacy Felix Dobrzyński osiadł w Berlinie. Jego kompozycje wielki mają rozgłos w Niemczech. W dawanych w Berlinie koncertach gra jego chwalona była powszechnie.

W Lipsku ma dawać koncerty na gitarze Stanisław Szczepanowski wraz z żoną pianistką. Przybył tam z Anglii, a angielskie i niemieckie dzienniki mówią o nim, że jest bez wątpienia najznakomitszym dzisiaj wirtuozem na gitarze. Również chwalą celującą grę na fortepianie pięknej żony jego.

W Dreźnie i w Lipsku występowała temi czasy w koncertach jako śpiewaczka pani Okólska. Podobał się jęj glos silny, czysty i metoda doskonała. Kształciła się w Paryżu i we Włoszech.

Po Niemczech odprawia teraz podróż artystyczną młody skrzypek Wasilewski. Dawał koncerty w Wrocławiu, Gdańsku, Berlinie, Królewcu, Lipsku i Kolonii. Jednogłośnie wszystkie dzienniki bardzo zaszczytnie wspominają o grze jego.

(Z Dziennika Mód Paryzkich).



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIÉM.

Marzec 1847.

Marzec 1847.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżycy.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		759.43	759.92	758.54	757.43	-10.2	-5.0	-0.7	-4.5	80
2	☉	755.18	755.61	754.84	755.75	-5.3	-1.8	-1.6	-2.4	94
3		757.46	758.35	758.70	759.45	-2.1	-0.6	+0.8	-0.2	92
4		758.62	758.64	757.40	756.94	-2.4	-3.6	+0.3	-2.2	92
5		755.75	756.28	755.99	756.37	-1.1	+1.3	+2.0	+0.3	94
6		754.98	754.64	752.03	750.84	-0.2	+1.1	+2.4	-0.5	80
7		748.86	748.61	747.48	746.98	-1.2	-0.5	-0.2	-1.9	88
8		745.11	744.81	742.79	743.04	-2.1	-0.2	-2.2	-6.6	92
9		742.16	741.63	739.35	735.56	-6.4	-4.1	-1.9	-2.1	89
10	☾	736.31	737.50	739.86	743.50	-5.4	-4.5	-7.5	-11.2	96
11		748.58	750.44	752.73	754.57	-11.7	-8.5	-6.5	-11.2	84
12		755.59	756.23	755.77	754.83	-9.6	-6.8	-2.8	-8.5	86
13		750.75	749.91	751.09	752.72	-7.1	-4.5	-0.0	-1.0	90
14		754.20	755.09	757.10	759.87	-1.4	+2.2	+1.3	-0.3	86
15		760.91	761.02	759.98	759.28	-2.2	+1.4	+3.6	+2.9	81
16	☉	758.51	759.43	759.78	760.00	+0.9	+3.4	+7.5	+1.6	81
17		761.74	761.98	761.42	761.00	-0.2	+2.7	+10.1	+3.2	77
18		760.26	760.18	758.29	759.58	-2.0	+4.3	+11.7	+3.1	79
19		757.16	756.75	755.09	754.56	-1.4	+6.7	+12.5	+3.2	76
20		734.27	754.21	752.87	753.06	-0.9	+5.2	+13.6	+2.0	74
21		753.26	753.22	751.43	750.92	-1.0	+2.0	+10.4	+3.4	83
22		750.21	750.10	749.20	749.84	-0.3	+5.4	+12.6	+3.7	73
23	☾	750.04	750.41	750.54	751.72	-1.5	+3.4	+12.2	+5.2	71
24		751.71	751.86	750.62	751.46	-0.9	+3.7	+12.2	+5.0	78
25		750.91	750.92	750.13	750.74	+0.5	+8.8	+11.2	+7.1	78
26		750.81	751.03	751.01	751.10	+3.3	+5.6	+3.6	+1.9	80
27		751.24	751.68	750.77	749.29	-0.4	+1.0	+0.7	+1.4	88
28		747.71	747.95	746.65	743.71	+1.8	+4.4	+6.2	+1.3	84
29		738.43	737.57	736.01	738.36	+2.5	+11.6	+9.7	+5.0	82
30		738.13	735.87	735.68	738.12	+0.8	+6.2	+2.2	+0.0	89
31	☉	740.53	741.25	740.28	738.08	+1.1	+1.3	+5.5	+1.7	81
Śre.		751.575	751.713	751.078	751.248	-2.13	+1.34	+4.15	-0.08	85

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. $52^{\circ}13'5''$, długość w czasie $1^{\text{h}} 14^{\text{m}} 45^{\text{s}}.7$ względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A

KIERUNEK WIATRU

wysokość
wody
spadłej
w milim.
z

6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pogodny	pogodny	napótł pog.	pr. pochm.	PdZ.	—	—	—		
pochmurny	śnieg	śnieg rzad.	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	—		
mgła lek.	napótł pog.	pochmurny	dészcz b. dr.	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	napótł pog.	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
pochmurny	napótł pog.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
mgła lek.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
pochmurny	śnieg pruszy	pochmurny	pr. pochm.	PnW.	Pn.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	PdZ.	Z.	Pn.	Pn.		
pochmurny	pr. pogodny	śnieg pada	śnieg pada	W.	PnW.	PdW.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.		3.60
pogodny	pr. pogodny	napótł. pog.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
pochmurny	napótł pog.	napótł. pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
pochmurny	śnieg	napótł. pog.	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	Z.		3.20
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	lek. zachm.	napótł pog.	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	napótł pog.	pr. pogodny	lek. zachm.	PdW.	Pd.	PdW.	PdW.		
pr. pogodny	napótł pog.	smugi	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—		
pr. pogodny	pogodny	smugi	smugi	PdW.	PdZ.	Pd.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pr. pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		1.20
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	PdW.		
chm. podz.	pr. pogodny	pochmurny	dészcz rosi	PdW.	Z.	Z.	Z.		
pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Pd.	PdW.	Z.	PdZ.		1.00
pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	W.		1.60
								3.80	6.80

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.403	27	9.093
Najwyżej dochodził — d. 17 o g. 10 r.	761.98	28	1.783
Najniżej dochodził — d. 9 o g. 10 r.	735.56	27	2.072
Średnia zmiana dzienna	3.20		1.42
Największa zmiana dzienna d. 10—11 o g. 10 r.	12.94		5.74
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzedzających	2.48		1.10
Średnia temperatura Marca wynosi:	748.921	27	7.993
i ta jest wyższa o	+ 0.84	C.	+ 0 ^o .67 R.
od stanu normalnego tego mie- siąca z 21 lat poprzedzających	0.22	„	0.18 „
Największe ciepło dochodziło d. 20 o g. 4 w.	+ 0.62	„	+ 0.49 „
Największe zimno d. 11 o g. 6 r. (Termometrograf wskazał Maximum: + 12 ^o .7 R. d. 23; Minimum: — 9 ^o .5 R. d. 11).	+13.6	„	+ 10.9 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	—11.7	„	— 9.4 „
Największa zmiana dzienna d. 9—10 o g. 10 w.	2.40	„	1.92 „
	9.1	„	7.3 „

Średnia wilgotność miesięczna wynosi 85.5; biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 4.63 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Wody z deszczu spadło 3.80 millim. czyli 1.68 lin. par.; z śniegu 6.80 millim. czyli 3.02 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 10.40 millim. czyli 4.70 linii paryzkich.

- Dni pogodnych było 9; napół pogodnych 5; pochmurnych 17.
- deszczu 5 (d. 3, 25, 26, 29, 30).
 - śniegu 8 (d. 2, 3, 7, 8, 9, 10, 13, 15).
 - mgły 2 (d. 3, 6).
 - gradu 1 (d. 29).
 - grzmotów i błyskawic 1 (d. 29).

Marzec r. b. był dość pogodny, suchy i prawie bez śniegu; w pierwszej połowie mroźny, w drugiej łagodny i tak ciepły jak w porze letniej; dni 18, 19, 20, 23, 24, 25, były tak ciepłe, iż ich temperatura po południu do 12 stopni R. dochodziła; w ogóle miesiąc ten cieplejszy był o 0.18 stopni R. jak zwykle. Wody z deszczu i śniegu spadło trzy razy mniej niż lat innych.

Wiatr panujący był zachodni; w drugiej połowie miesiąca częste były wiatry Południowo-Zachodnie.

Wichrów było 6; t. j. Z.=5; PnZ.=1.

D. 22 przed zachodem słońca, widziano dwa słońca boczne.

D. 22, 29 wieczór koła białe otaczały księżyc.

D. 29 po południu błyskawice i grzmoty połączone z gradem pierwszy raz tego roku dały się słyszeć w Warszawie.

ALEXANDER HUMBOLDT

I JEGO KOSMOS.

PRZEZ

Józefa Sapalskiego.

Dzięki nadzwyczajnej czynności umysłowej, która cechuje obecny wiek. Ze wszystkich stron liczni i czynni robotnicy garną się do dzieła, i przynoszą ciągle nowe materiały do wspólnego ogniska. Niepodobna w naszych czasach dzielić nauki, jak niegdyś czyniono, na różne części zupełnie od siebie niezależne; albowiem dzieła, które mają być przeznaczone do uporządkowania tysiąca faktów, jakie dostarcza nieprzerwana praca uczonych, stają się coraz więcej konieczne; powinny zatem mieścić w sobie wszystkie przedmioty chociaż różnorodne i powikłane. Zebrać prace wielu badaczy, ocenić każdy szczegół, ogarnąć cały ogół, pogodzić wypadki napozór sprzeczne, uzupełnić je poszukiwaniami, wyjaśnić związek ukryty między niemi; przechodzić drogą wniosków do prawd, nakoniec sprostować błędy za-

szłe w obserwacjach, powinno być usiłowaniem tych, którzy mają dopełnić przeznaczenia prawodawców dzisiejszej nauki.

Układ téj pracy w miarę zwiększania się liczby faktów, staje się coraz trudniejszy. Czyż nie pojmujemy, że jeśli zechcemy ogarnąć cały świat zjawisk, usiłując przytém uchwycić prawa ogólne, które rządzą tysiącem cząstek niezmiernéj całości w czasie i przestrzeni stanowiącej jedność, jest zastraszającym przedsięwzięciem, lecz razem takim dziełem, do którego umysł ludzki zdaje się być silnie pociągany? Filozofowie starożytni wyłącznie byli kosmologami; u nich właściwie mówiąc, był jeden tylko cel bezwarunkowy: ażeby rozwiązać zapytanie *co jest świat?* U ludów Wschodnich czyli przodków Zachodu, aż do średnich wieków, których jesteśmy spadkobiercami, widzimy zadania tylko powierzchownie dotknięte, i rozwiązane za pomocą hipotez prawie zawsze mylnych. Wieki nowe, na zasadzie obserwacji i doświadczeń, obaliły rusztowanie fałszywej nauki upłynionych wieków, i uznały za konieczny warunek do wytłumaczenia zjawisk, potrzebę nabycia znajomości nauk ścisłych. Tak wielkie przedsięwzięcie podzielone zostało między astronomów, fizyków, chemików, zoologów, botaników, fizyologów; każdy z nich wziął się do dzieła, każdy z nich niezważając na postęp dokonany, myślał ażeby posunąć naprzód swój przedmiot. Tu więc możemy śmiało powiedzieć: tu rozprysły się zupełnie ogniwa, które spajały pojedyncze nauki dawnéj filozofii. *Jedną umiejętność wieków ubiegłych, zastąpiła wielka liczba nauk tegoczesnych.*

Uczeni wyszedłszy z rozmaitych punktów w celu zbadania zjawisk napozór od siebie niezależnych, nad spo-

dziewanie zesli się w wspólnej krainie wiedzy. *Fizyk* i *chemik* zapatrywali się przedtém ze swego stanowiska każdy z osobna, według swego pojmowania rzeczy; lecz działacze które władają materją, jakeimi są: światło, ciepłik, elektryczność, magnetyzm, zmusiły ich, że tak powiem, do połączenia swych przedmiotów nauki. *Geolog* zasięga pomocy z *fizyki* i *chemii* dla poznania bliższego kształtu skał i ich pierwiastków; on nawzajem dał im swe kryształy, których szczególne własności rzuciły zupełnie nowe pomysły na prawa polaryzacji magnetycznej, elektrycznej i światła. Trzy te gałęzie umiejętności, jedynie przeznaczone na zbadanie materji martwej, łącznie zetknęły się z nauką o istotach żyjących. *Botanika* i *zoologia* dawniej walczyły z sobą o całe klasy istot wątpliwych; teraz podały sobie ręce na polu *fizjologii*, ażeby iść razem drogą tak mało znaną jaką jest *biologia*. *Paleontologia* zaś, która dziś tak wysoko wzrosła, przez zbadanie wykopanych roślin i szczątków zwierzęcych w różnych pokładach ziemi, odsłoniła *fizjologii* nieznany dotąd związek między dwoma królestwami świata organicznego. *Astronomia* długo odosobniona, wspierała się wyłącznie na wiadomościach matematycznych; najwięcej wszakże zbliżyła się do *fizyki* przez użycie z jęj oddziału narzędzi optycznych; ale nie koniec na tém; żąda ona jeszcze od tęg nauki sposobu poznania zmian zawisłych od światła, przez co przychodzi do wniosków prawdopodobnych o naturze ciał w przestrzeni. *Astronomia* widzi w księżycu ślady wstrząśnień podobnych do tych, jakie wskazuje *geologia* na naszej planecie. *Astronomia* tłumaczy i przepowiada naprzd poruszenia wód, które pod nazwiskiem podnoszenia się i opadania znane są światu.

W dzisiejszém stolecu, którego są godłem: *odkrycia, wynalazki i zastosowania*; w dzisiejszych mówię czasach, wszystkie gałęzie nauk przyrodzonych wspierają się wzajemnie, i nie tracąc na swój właściwej mocy i charakterze, ciągle jedna od drugiej potrzebują pomocy, coraz więcej ważnej, coraz więcej koniecznej. Zapatrując się z tego punktu widzenia rzeczy, nikt nie może być specjalnym w wykładanym lub obrabianym przez się przedmiocie; nikt nie może pojąć i nie pojmie dokładnie przedmiotu tego, któremu się oddaje, jeśli nie jest obeznany, chociażby ogólnie, ze wszystkiemi gałęziami nauk przyrodzonych. Ograniczając się ściśle na jednym przedmiocie, pomimo usiłowań, nie dojdzie do położenia zasad pewnych, do zasad, któreby stanowiły niezaprzeczoną rzeczywistość rzuconej teoryi.

Jeśli jest nauka która potrzebuje prawie uniwersalnych wiadomości, to bez wątpienia ta, która wzięwszy całą kulę ziemską za przedmiot do badania, usiłuje zdać rachunek ze wszystkich zjawisk codziennie wyrabiających się w ogromném jęj laboratorium. Mówię tu o *ogólnej fizyce kuli ziemskiej*. Nauka ta, zawsze jako ulubiony przedmiot teoryków, długo opierała się na czystych hipotezach, ulegała powszechnym prawom. Teraz zaś, lubo pojmujemy iż postęp jęj nie może być tak szybki, wszelako opierając się na obserwacyach i doświadczeniach, ciągle postępuje naprzód. Czynność tu i wynalazczy gieniusz, mają wytknięte sobie granice; czas zaś jest jeden z koniecznych warunków dla zebrania faktów pewnych i niepowikłanych. Nakoniec dodamy, że od początku naszego stolecia, *ogólna fizyka kuli ziemskiej* zrobiła dość znaczny postęp. Nieustannie rozprzestrzeniając swe, że tak się wyrażę, podboje, przeszła prawie za

granicę naszej planety, i przygotowała drogę do nauki rozleglejszej: nauki o *ogólnej fizyce wszechświata*.

Z zaślepieniem wyznajemy, iż dotąd nie pomyślano o zebraniu materyałów, dotyczących się téj nauki, w jedną całość. Rozrzucone po rozmaitych specjalnych dziełach, po pamiętnikach uczonych towarzystw, po opisach podróży, różnorodne, różnolicowe przedmioty, wiele traciły na powadze, związku i wartości, jedynie przez swe rozzerwanie; ztąd więc oddawna dała się czuć potrzeba, ażeby jeden z uczonych zebrał je i uporządkował harmonijnie i systematycznie; ale dla wykonania takowego przedsięwzięcia, potrzeba zdolności niepospolitych, a przytém wielkiego poświęcenia się mozołom i pracy.

W takim przypadku, głęboka nawet nauka staje się niedostateczną, jeśli nie jest tyle wielostronna, ile uzasadniona; w takim mówię wypadku, należy koniecznie być fizykiem, chemikiem, astronomem; słowem, naturalistą. Z pomocą mnóstwa znajomości szczegółów i rozmaitych odcieni nauk ścisłych, należy posiadać umysł wszystko obejmujący; przytém umiejący zręcznie i z łatwością schwycić i zastosować taki fakt, któryby służył za pewnik niczém prawie niezachwiany. Nakoniec do podobnego utworu dzieła, potrzeba iżby autor mówił w imię swych osobistych badań, ażeby wykladał wypadki, fenomena, jako badacz, jako gabinetowy experymentalista; ażeby swemi oczyma widział i pojmował wielkie fenomena, których historiją chce opowiadać. Tak więc, kosmolog winien mieć umysł obdarzony świetnymi przymiotami, a do tego wyłącznie być usposobionym przez systematyczne pobieranie nauk. Tylu trudnym i różnolicowym warunkom, nikt zdaje się nie mógł lepiej zadość uczynić jak Alexander Humboldt; o czém niektóre szcze-

góły życia tego znakomitego uczonego, mogą nas dostatecznie przekonać.

Życie Humboldta.

Fryderyk Henryk Alexander Humboldt, urodził się w r. 1769 we wsi Tegel, położonej o dwie mile od Berlina. Rok wspomniany szczególnie pamiętnym jest przyjściem na świat: Chateaubriand'a, Cuvier i Napoleona. Ojciec Alexandra należał do liczby téj szlachty pruskiej, która poświęcała cały swój majątek Fryderykowi II na pokrycie kosztów wojny siedmioletniej, a matka jego była rodem Francuzka z owych pamiętnych osad francuzkich, które powstały w Niemczech w skutek zmiany edyktu w Nantes i prześladowań religijnych we Francyi. Koloniści ci chociaż w obcym kraju na zawsze osiedli, święcie wszakże zachowywali rodzinny swój język. Tym więc sposobem, młody Alexander mówił po francuzku jak i po niemiecku; co właśnie wyjaśnia, dlaczego Humboldt mógł pisać w obu tych językach z największą i jednaką łatwością.

Pierwsze lata młodości Humboldta, upłynęły na zajmowaniu się nauką w przedmiotach rozmaitych. Po ukończeniu nauk szkolnych pod przewodnictwem Forstera naturalisty i współtowarzysza podróży morskich Cook'a, łącznie z bratem starszym znakomitym filologiem, poznał teoretycznie i praktycznie górnictwo, przytém zajmował się fizyką, chemią, mineralogią, technologią i astronomią. Wszedłszy do akademii górniczej w Frejbergu, celował nad innych w naukach, tak, iż mając za ledwie lat 23 wieku, wysłano go na naczelnika górnictwa w Góry Sosnowe (Fichtelgebirg), gdzie po upływie

roku wydał dzieło o *roślinach skrytoptłociowych* znajdujących w pokładach podziemnych, przy wykonywaniu robót pod jego dozorem.

Ale zajęcia podobnego rodzaju, nie podobały się wcale uczniowi współtowarzysza podróży morskich Cook'a. Pociągany jakby tajemną siłą do podróżowania, objechał więc i zwiedził szybko Holandya, Francya i Anglię, i wydał w dwóch tomach dzieło pod tytułem: *Wycieczki za Ren.* Po powrocie do kraju, udał się do Getyn-gi; tam zaś pod przewodnictwem Soemmering'a zajął się praktycznym poznaniem anatomii, ćwiczył się w analizach chemicznych, i już po zastosowaniu tych różnorodnych nauk, przeszedł do trudniejszych zagadnień: ogłosił *badania o wegetacyi i oddychaniu roślin; o analizie powietrza; o drażliwości nerwowych i muskularnych włókien w skutek działania galwanizmu.* Ostatnie to dzieło szczególnie zwróciło na siebie uwagę uczonego świata. Ażeby nadać swoim badaniom i wypadkom większą pewność, autor nie lękał się robić doświadczenia na samym sobie: zdejmował on za pomocą wezykatoryi zwierzechnie warstwy skóry, by tym sposobem czułe części ciała organizmu, stykały się bezpośrednio z powietrzem.

Wszystkie te zajęcia i praca, służyły tylko Humboldtowi za środek przygotowawczy do wykonania zamiaru, który był jego jedynym celem w życiu. Opowiadania Forstera podsycaly w nim nieograniczoną chęć do dalekich podróży. Rozmowy z bratem, wystawiały mu południową Azyę, jako kraj najwięcej mogący wynagrodzić trudy i niebezpieczeństwa dalekiej podróży, bogatym żniwem odkryć. Młody naturalista i badacz niecierpliwie oczekiwał chwili, w której będzie mu można

przeniknąć i zbadać tajniki starożytnej kolébki rodu ludzkiego. Wojna która podówczas pustoszyła Europę, stawiała ciągle nieprzełamane przeszkody w wykonaniu jego zamiarów; jednakże zdawała się mu nasuwać porę, z której powinien korzystać.

W czasie oblężenia Moguncyi, walczące strony prowadziły między sobą układy, a Humboldt zostając wtenczas w stopniu sekretarza przy baronie Hardenberg'u, wysyłany był codziennie z poleceniami do armii francuskiej pod dowództwem generała Moreau. Poznał się tu Humboldt z generałem Dessaix szefem sztabu armii, który odróżniał się wśród nieokrzesanych i szorstkich obrońców Rzeczypospolitej, uprzejmością i łagodnością charakteru w obejściu się. Odtąd obaj młodzieńcy serdecznie zaprzyjaźnili się. Dessaix powierzył swemu przyjacielowi w tajemnicy będący jeszcze zamiar Bonapartego wyprawy do Egiptu. Dostać się do Indyi przez ziemie Faraonów, dotąd Humboldt nie považył się nawet pomyśleć! Teraz zaś bez namysłu postanowił opuścić niemiecki obóz; poczem pojechał do Paryża i podał prośbę do dyrektoryatu o pozwolenie należenia do wyprawy egipskiej. Po długim oczekiwaniu, otrzymał odmowną odpowiedź. Bynajmniej nie zrażony taką przeszkodą, pospieszył z drugą prośbą do tego, który pierwszy powziął i ułożył plan tak sławnej w dziejach państwa francuzkiego wyprawy; śpiesznie więc udał się do Marsylii, ale Bonaparte ażeby omylić Anglików, przyspieszył dzień odbicia. W chwili kiedy Humboldt przybył nad brzeg Śródziemnego morza, flota unosząc na swych barkach orężnych rzplitej francuzkiej, kryła się za poziom widnokregu. Humboldt ze smutkiem udał się do Hiszpanii, w nadziei że wsiądzie na okręt w Korunnie, zkąd

podług poprzednio ułożonego planu, przybije do brzegów Barbaryi, a ztamtąd złączywszy się z karawanami idącemi z Trypolis do Kairu, połączy się z armią francuzką. Lecz i tu jego zamiary spelzły na niczém.

Kto inny gdyby widział tyle przeszkód, wyrzekłby się zupełnie swego przedsięwzięcia; ale te przeszkody wzbudziły w Humboldtzie jeszcze więcej chęci i energii. Śródziemne morze, Azja, Afryka, były dla niego zamknięte; postanowił więc dostać się do swych ulubionych Indyj oceanem Atlantyckim i przez Amerykę. Przez starania i zabiegi brata swego, będącego w wielkiem poważaniu, pozwolił król hiszpański Humboldtowi zwiedzić osady hiszpańskie. Humboldt chciał tylko przejechać przez Amerykę, dostać się do portu Acapulho na Spokojnym oceanie, a ztamtąd odpłynąć na okręcie co rok wyprawianym do wysp Filipińskich. Tym sposobem przebiegłszy $\frac{3}{4}$ części świata, dostać się do dawno oczekiwanych Indyj. Ale jak stąpił na ziemię nowego świata i został otoczonym nieznanemi mu dotąd skarbami, na chwilę zapomniał o Indyi, a podróż którą zamierzył doprowadzić do skutku, zamienił na pięcioletni pobyt w Ameryce. Od roku 1799 do 1805, zajmował się Humboldt zbadaniem olbrzymich wierzchołków i strasznych wulkanów pasma gór Kordillerów; zwiedził równiny rozciągające się u stóp tych gór, poznał kierunek i wielkość rzek, których źródła biorą swój początek w głębokich przepaściach. Zwiedził także znaczniejsze wyspy zatoki Meksykańskiej. Nakoniec korzystając z neutralności Stanów Zjednoczonych, po tylu trudach i znojach, młody podróżny wrócił do Europy, i przywiózł z sobą mnóstwo zadziwiających materyałów, jako owoc tyloletniej podróży.

W epoce powrotu Humboldta do Europy, to jest około r. 1805, znaczenie polityczne Prus zostawało w najsmutniejszym położeniu. Państwo utworzone przez zręczność i biegłość Fryderyka II, po bitwie Austerlitzkiej i klęsce pod Jena zamieniło się chwilowo w prowincją francuzką. Wszystko więc co się ścigało podczas téj klęski do wewnętrznej oświaty, wcale rząd nie zajmowało. Z drugiej strony, taż sama epoka opanowaną była złowieszczym gieniuszem oświaty niemieckiej; napłodziła ona wiele głów, które ćwiczyły się wyłącznie w dogmatach metafizycznych. Ażebymy mieć powagę w świecie uczonym niemieckim, ażebymy mieć pewne znaczenie w społeczeństwie, należało być koniecznie abstrakcyjnym, wyrzec się towarzystw, pisać i gadać w sposób taki, by go nikt nie pojmował. Z takimi tylko przedmiotami, każdy miał prawo dobijać się o przywilój na najwyższy stopień godności literackiej; imię takiego tylko mędrca głoszone po wszystkich rogach szczepu germańskiego. W pośród takiego usposobienia umysłów, czego się mógł spodziewać Humboldt po pięcioletniej przykrój, uczonej podróży? Humboldt jako wyłączny badacz ogólnej fizyki kuli ziemskiej? Humboldt który o transcendentnej filozofii niemieckiej ledwie z opowiadania słyszał? Naturalnie przyjęto go obojętnie, sam król nawet nie raczył udzielić mu posłuchania. Udał się więc natychmiast z całym zapasem wiadomości, oraz ze znacznym zbiorem botaniki, zoologii i geognozyi do ogniska cywilizacji i oświaty, to jest wyjechał z Berlina do Paryża.

Obrawszy więc Paryż na miejsce odpoczynku, ogłaszał plody swych badań i pracy. Miasto to rzeczywiście było dla niego drugą ojczyzną. Laplace, Berthollet, Jus-

sieu, Cuvier, Arago, Biot, Brogniart, Gay-Lussac, Thénard, wszyscy ci znamienici ludzie przyjęli go do swego grona jak brata, jak przyjaciela. W dowód zasług, które uczynił dla nauki i ludzkości, przyjętym został na członka towarzystwa d'Arcueil, odznaczającego się więcej od innych towarzystw, że członkowie byli razem i uczonymi i przyjaciółmi. Humboldt wkrótce usprawiedliwił, iż godnym jest szacunku kolegów swoich. Przepędzając czas naprzemian, to w gabinecie Cuvie'go, to w laboratorium Gay-Lussac'a, ogłosił wiele ważnych rozpraw o przedmiotach różnorodnych, a między innymi: *Anatomiczne postrzeżenia nad krtanią u ptaków; o języku i sercu krokodyla; o analizie chemicznej gazów zamkniętych w pęcherzu ryb; postrzeżenia nad oddychaniem w wodzie; cyanometryczne badania nad przezroczystością atmosfery, zebrane na wyniosłościach gór Pichincha i Chimborazo, 19,000 stóp nad powierzchnią morza, i opis zwierząt i roślin do jego czasów nieznanych.*

Obok tych rozpraw, Humboldt wydał kilka dzieł, to jest: *Opis historyczny nowej Hiszpanii*, który poświęcił królowi pruskiemu, podówczas będącemu jeńcem wojennym cesarstwa francuzkiego; *opis historyczny podróży*; tu zebrane są rozmaite i najtrudniejsze pytania, to jest: o geografii roślinnej, o prawach magnetyzmu i ciepła wewnętrzném kuli ziemskiej, o pochodzeniu plemion amerykańskich, oraz zdania archeologiczne o ich pomnikach; nareszcie dzieło pod tytułem: *Obrazy natury*, w których stylem pięknym i krasomówskim przypominając Buffon'a, starał się uczynić je przystępnymi i zrozumiałymi dla ogółu, a przytém obznajmić nas z płodami międzyzwrotnikowemi.

Azeby uporządkować wielką liczbę materyałów przywiezionych z Ameryki, nie byłyby dostateczne ani najobszerniejsze wiadomości Humboldt'a, ani niezmordowana jego czynność. Wezwał więc w pomoc ludzi specjalnych, i z rzadką szlachetnością oddał im swe zbiory botaniczne i zoologiczne. Towarzysz jego podróży Bonplan powtórnie odpłynął do Ameryki (1), w miejsce którego wybrał Kunth'a, jednego z najznakomitszych ówczesnych botaników. Znamienity Latreille, ojciec nowój entomologii, podjął się opisać owady; Valenciennes wówczas tylko co wystąpił w świat uczony, otrzymał na swoją część ryby i mięczaki; niektóre zaś najzawilsze i najmniej znane przedmioty dotyczące się zoologii, poruczone były sławnemu Cuvier, który przez swe badania anatomiczne nad wątpliwemi płazami, pierwszy szczegółowo dał poznać dziwną organizacją *Syrena*, *Proteusza* i *Aksolota*, któreto istoty łączą w sobie cechy organizacyi innych klas zwierząt (2). Każdemu z tych naturalistów, oddana była słuszna pochwała za trudy i poświęcenie się dla dobra powszechnój oświaty. Humboldt nie-

(1) Bonplan godny współtowarzysz Humboldta, również uczony, również śmiały jak on, który przedsięwziął nową wycieczkę, postanowił posunąć się aż do Paragwai. Wykonał w istocie swój zamiar, lecz zaledwie tam przybył, schwytyany na rozkaz dyktatora Francia, i osadzony w więzieniu. Wiele lat upłynęło nim Francia dozwolił Bonplanowi wrócić do Europy.

(2) *Syren*, ciało ma podobne do węgorza, głowę do suma, oczy małe, farbę czarną. Mieszka w Ameryce mianowicie w Karolinie, przebywa w wodzie i na lądzie, karmi się owadami i płazami, węże jednak najlepiej lubi. Głos wydaje podobny kaczemu. *Proteusza* ciało długie, wysmukłe, nagą skórą pokryte, trzy dychawki na bokach szyi, nogi bardzo małe. Mieszka w pieczarach wodą zalanych, mianowicie w Karniolii. Największy ma długości 13—15 cali; kolor blado-cielisty. Oprócz płuc, postrzegają się u niego skrzele jak u ryb, lecz te są na wierzchu, z obu stron

tylko że nie chciał przyswajać sobie cudzą pracę na wzór tych, którzy mają znaczenie i wiarę w opinii publicznej, ale nadto oznaczył wyraźnie przy każdym rozdziale, co wyłącznie należy do niego, a co do współpracowników.

Jednakże w pośród tak czynnego życia, Humboldt nie zapominał o pierwszych zamiarach powziętych jeszcze w młodości. W towarzystwie Valenciennes (ponieważ Kunth został w Paryżu), udał się do Anglii, ażeby wyjednać pozwolenie koniecznie potrzebne dla wycieczki do Indyj. Ale przeszkody, których istoty zapewne w owych czasach nie domyślał się, zmusiły go jeszcze raz odłożyć na później swój zamiar. Kiedy był kongres w Akwisgranie, Humboldt pośpieszył do tego miasta w nadziei, że pomoc tam obecnych panujących usunie nakoniec wszelkie przeszkody. Fryderyk Wilhelm III przyjął Humboldt'a ze szczególném zadowoleniem i względami, oraz przyrzekł ponosić wszelkie koszta przedsięwziętej przez niego wyprawy; ale ówczasowa polityka angielska lękała się na samo wspomnienie, że tak znakomity badacz zobaczy część kuli ziemskiej, którą

szyi, farby krwistej. *Aksolotus* czyli *dychawkowiec*, którego są trzy gatunki, znajdujące się tylko w Ameryce. O ich sposobie życia nic dotąd nie wiemy. Głowę mają dużą, pysk krótki, oczy błoną powleczone, dychawek po trzy na obu stronach szyi; ciało grube, długie, grzebień na grzbiecie skórzany, niski, z ogonowym złączone; nóg krótkich cztery, palce bez pazurów. Niektórzy naturaliści utrzymywali, że te zwierzęta są poczwarkami dotąd nam nieznanymi wielkich płazów jaszczurkowatych. Mieszkańcy zaś Ameryki utrzymują, że to są zwierzęta ukształcone. Największy z tego rodzaju gatunek żył niegdyś w Europie, jak dowodzą szkielety wynoszące po 3 stopy długości, znajdowane w *łupku pisarskim* w kopalni eningskiej, na granicy szwajcarskiej. Byli tacy pisarze, którzy upatrując podobieństwo tych szkieletów do szkieletu ciała ludzkiego ogłosili, że znaleźli kości człowieka przedpotopowego (*homotestis deluvii*); ale zapomnieli zwrócić uwagę, że szkielet *Aksolota* miał wyraźny długi *ogon*.

ona uważa za swą własność. Po tylu bezowocowych zabiegach, Humboldt ostatecznie widział się przymuszonym, wyrzec się zamiaru, którego doprowadzenia do skutku, żądał z upragnieniem uczony świat.

Humboldt w czasie bytności swój w Ameryce, odesłał z Guadelupy rzadki zbiór geognostyczny, zawierający mnóstwo minerałów i kamieni zebranych na wierzchołkach Andów. Anglicy w drodze przemocą takowe zabrali i odesłali do Londynu. Część tego zbioru zdobi dziś galerje muzeum brytańskiego, reszta zaś leży w pakach w składzie, gdzie przed kilku jeszcze laty można je było widzieć.

Humboldt po przybyciu powtórném do Berlina, powszechnie był lubiony i poważany, jako uczony, jako naturalista i znakomity podróżny. Fryderyk Wilhelm oddając należny hołd uczonemu, osypał go dobrodziejstwami i zaliczył w poczet swoich przyjaciół. Szczególnie ulegając powszechnym życzeniom, postanowił Humboldt zapoznać publiczność z owocami swój pracy z poświęceniem i mozolem zebrane. Nierównie obszerniej wykladał w Berlinie swój przedmiot, jak w Paryżu, przez co dawał poznać bliżej słuchaczom, wiadomości dotyczące się ogólnej fizyki kuli ziemskiej. Wszystkie stany Berlina tłoczyły się około profesora kiedy mówił głosem pełnym wdzięku, powagi i słodyczy, w imię nauki niezaprzeczonej, w imię osobistych doświadczeń; a opisując wielkie fenomena natury na obu półkolach, mógł powtarzać co chwila: *ja to widziałem*. Lecz w tych samych dniach uroczystych i chlubnych dla siebie, dotknięty został ciosem nieopisanego smutku i boleści. Utracił on brata rodzzonego Wilhelma, który dzieląc z nim prace

naukowe, umiał być jednocześnie mężem stanu, filozofem, poetą, filologiem, i historykiem.

Przy wykładaniu na prelekcjach publicznych przedmiotów, dotyczących się ogólnej fizyki kuli ziemskiej, szczególnie fizyki nowego świata, Humboldt powtarzał z żalem, iż nie miał sposobu osobiście zwiedzić kraje międzyzwrotnikowe starożytnego świata. W roku 1820 zdarzyła się mu sposobność przerwać spoczynek, który zaczynał go nudzić, i nakoniec wejść do Azji jakby uciekającej od niego. W Rosyi około tego czasu rozpoczęły się badania naturalistów, którzy odkrywali coraz nowe nadspodziewane bogactwa, nieznanne przedtém, i ukryte w łonie rozległego jój wladztwa. Naturalnie, Syberya nie mogła mieć dla Humboldta takiego zajęcia jak Indye, główny jego przedmiot, jedyna myśl całego jego życia. Tam znalazłby obszérne pole porównania krajów międzyzwrotnikowych obu półkuli. Kiedy więc Anglia nie chciała go wpuścić od południa do Azji, postanowił spojrzeć na tę część świata od strony północnej. Rząd rossyjski przyjął na siebie wszystkie koszta téj wyprawy, i ustanowił Humboldta na jój czele. Humboldt usprawiedliwił zaszczytnie powierzone mu dzieło, jak niemniej trafnie wybrał sobie współtowarzyszy podróży, godnych poszanowania i znanych w uczonej świecie; mianowicie Ehrenberga jako wojażera po nadbrzeżnych okolicach morza Czarnego, którego podziwiamy mikrograficzne odkrycia; drugiego Gustawa Rose sławnego podówczas mineraloga. Owoce zatém téj ważnej podróży przyniosły szacowne skarby dla Rosyi i oświaty. Przystém Humboldt miał sposobność porównania, chociaż w części, Azji z Ameryką, stepy Obi z pampasami Brazylji, a wyniosłości rozległych gór Altai z głę-

bokiemi pieczarami Kordillerów. Poczém wróciwszy do Europy wydał dzieła: *Wspomnienie o Azyi, i o środkowej Azyi*, w których przytacza i objaśnia mnóstwo faktów dotyczących się geologii i klimatologii, przytém rzuca nowe światło na wiele zadań ważnych z ogólnej fizyki kuli ziemskiej.

Odtąd Humboldt, zostawując młodemu uczoneму pole do rozprzestrzenienia wiadomości nabytych przez niego w podróżach, wyrzekł się napozór dalekich wycieczek, a całą znajomość nauki poświęcił na nauczanie młodzieży. Przyjaciel teraźniejszego króla pruskiego, jak dawniej Fryderyka Wilhelma III, stanąwszy u tronu podał rozmaite projekta dotyczące się narodowej oświaty. Za jego wstawieniem się, profesorowie dla zachęty otrzymali podwyższenie pensyi, które wynagradzając upłynione trudy, utrwała na przyszłość poświęcenie się swemu zawodowi. Wyjednał summy znaczne urzędu pruskiego na kosztą przedsięwziętych i ukończonych budowli. W Prusach powstały bogate instytucye. Berlin posiada zwierzyniec pozakładane umiejętnie i z gustem; założono także ogrody botaniczne. W Szarlottenburgu wzniesiono obserwatorium magnetyczne, w którym żelazo i stal zastąpiła miedź, zupełnie usuwająca błędy w obserwacyach.

Dobroczynny wpływ Humboldta nietylko rozciąga się na jedne Prusy. Cała Europa patrzy dziś na jego niezmordowaną czynność umysłu, której winniśmy wielkie przedsięwzięcia wykonane w celu zbadania tajemnic nadzwyczajnych fenomenów. Od r. 1806 Humboldt szczególnie zajmował się magnetyzmem ziemskim. Nieprzerwane obserwacye wielu dni i wielu nocy, zmieniły system obserwacyj oddzielnych i przerywanych; spostrzegł on w igle magnetycznej drgania czyli niezwykle ruchy.

Następnie w r. 1820 Arago dowiódł przez porównanie obserwacji paryzkich z kazańskimi, że ruchy te igły magnesowej w kierunku i w czasie równe są sobie, chociaż różnica odległości miejsc jest niezmiernie wielka; przekonał się nadto, że na podobne ruchy jej, wyraźny wpływ wywierają zjawiska zorzy północnej. Odkrycia Oerstedt'a które stwierdziły zupełny związek magnetyzmu z elektrycznością, nadały nowy kierunek tej nauce, wzbudziły w uczonym świecie chęć do dalszych poszukiwań, i naprowadziły na nieznane przedtém odkrycia. Jednocześnie robione obserwacje w Paryżu i Berlinie przez Arago i Humboldta, powtórnie stwierdziły pierwsze wypadki i dowiodły, iż wiele się można spodziewać od ścisłych i systematycznych obserwacji rozpoczętych na całej kuli ziemskiej. W r. 1829, Humboldt w czasie podróży po Azji północnej obrał stosowne punkta na założenie obserwatoryów magnetycznych, co rząd rossyjski uskutecznił (3). Nakoniec Francya, Szwecya, Włochy, Niemcy, czyniąc zadosyć wezwaniom znakomitego naturalisty, utworzyły towarzystwo magnetyczne, i za punkt środkowy obrały Götyngę; wyjąwszy tylko Anglii, która do r. 1836 nie miała w tém przedsięwzięciu uczo-ném żadnego udziału; jednakże na wstawienie się listowne Humboldta do księcia Sussex prezesa towarzystwa królewskiego w Londynie, życzenia towarzystwa magnetycznego zostały wykonane w zupełności. Poruczono kapitanowi James Clark Ross zebrać obserwacje w południowych krajach, i przytém założono obserwatorya magnetyczne w Kanadzie, na wyspie stój Heleny, na Przy-

(3) Obserwatorya te magnetyczne zajmują linie począwszy od Mikołajowa. Ekaterinenburgu, Barnaul, Nerczyńska aż do Pekinu.

ładku Dobrój Nadziei w Kapsztadzie, w Ile-de-France, w Cejlan i Nowej Holandyi. Tym więc sposobem cała kula ziemska, że tak powiem, została pokrytą siecią, której każde oko związane jest ręką Humboldta.

Humboldt liczy dziś lat 78 życia, i zadziwiająca rzecz, że sławny patryarcha oświaty zawsze jest czynny, zawsze dąży do nabycia wiadomości jak w wieku młodym, zawsze szuka prawdy i nigdy nie lęka się wyjść na jej spotkanie. Jakby na przekor dumnym reprezentantom oświaty, którzy nie są przystępni w celu nadania sobie większej wagi w opinii publicznej, z upodobaniem przyjmuje każdego któryby mógł udzielić mu chociażby mały, lecz jemu nieznanym fakt z dziedziny nauk.

Następujące zdarzenie przekona lepiej nad wszystkie dowody, o ile Humboldt pragnie widzieć wszystko swemi oczyma i porównywać, co w najwyższym stopniu znamionuje jego umysł. W czasie pobytu swego w Ameryce, oglądał on niezmierne wulkany w Andach, przyczem uważał liczne trzęsienia ziemi; z uczonych zatem europejskich, żaden zapewne nie mógł gruntowniej mówić o tych przerażających fenomenach nad niego, który osobiście je widział; wszelako nie ogłaszał nic w tym przedmiocie, dopóki piérwej nie zwiedził i nie porównał wulkanów europejskich. Dalój, łowił w jeziorach Gujany surynamskiego drętwnika elektrycznego, a robiąc na nim doświadczenia przez dotykanie go rękoma, doznawał silnych wstrząśnień, z których jedno jest dostateczne, ażeby na kilka godzin sparaliżować człowieka, a nawet silnego konia: jednak nim objawił publicznie o nadzwyczajnych przymiotach téj ryby, chciał piérwej porównać je z podobnemi przymiotami niektórych ryb w morzach europejskich. Jakoż w roku 1805, wkrót-

ce po przybyciu do Francyi, umyślnie wyjechał do Neapolu w celu naocznego zbadania wezuwiusza i zrobienia doświadczenia nad drętwikiem elektrycznym.

Z opisu biograficznego widzimy charakter osobisty Humboldta jako uczonego. Nie postrzegamy w nim wyłącznie ani fizyka, ani chemika, ani geologa, ani zoologa. Jeśli w przeciągu wielu lat zajmował się on fizyką, chemią lub astronomią, to przedmioty te służyły mu tylko za wstępne, przygotowawcze ćwiczenia. Od młodości myślał szczególnie o dalekich podróżach; chciał być podróźnym w całym znaczeniu tego słowa. Żądał on, jak sam wyznaje, objąć umysłem cały świat zjawisk i sił fizycznych. Dla dopięcia tak szczytnego, tak wielkiego celu, który chociażby nawet w stosunku znizonym, zawsze będzie trudnością dla umysłów podrzędnych; powtarzam dla dopięcia tak wielkiego celu, należy być uniwersalnie uczonym, jakim jest Humboldt; bo bez fundamentalnej nauki, gruntownych i licznych wiadomości, każde badanie w niezmiernym rozmiarze przyrody, każde objaśnianie faktu, doprowadzić może do rezultatów mylnych lub chymerycznych, nakształt tych, które w przeszłości łudziły i utrzymywały w błędzie nasze pojęcia.

Z takiego punktu zapatrywania się, uczoność Humboldta na pierwszy rzut oka zdaje się być chwiejąca, niepewna; jednakże występuje w zadziwiającym charakterze jedności takiej, jaka cechuje tylko wyższość zdolności tego, który w przeciągu lat 60 myślał o wszystkich naukach, badał wszystkie jej odcienia napozór niezależne od siebie. Uczony w gabinecie, i uczony podróźny, mają zupełnie oddzielne obowiązki. Prace umysłowe które żądamy od uczonych w miejscu pracujących,

niezależnie od zewnętrznych wrażeń, nie mogą równać się z temi, które potrzeba, że tak rzekę, podbijać za cenę ciężkiej pracy, za cenę wielu niebezpieczeństw grożących życiu; bez straży, bez żadnej obrony zapuszczać się w krainy nieznane pomiędzy ludy dzikie, ażeby zmierzyć wysokość gór, lub głębokie przepaście, albo uważać jakie zjawiska natury. Zostawmy uczonym domatorom wykończenie tworów, dopełnienia, monografie, które z każdym dniem nabierają większej wartości. Od podróży żądamy wcale innych warunków. Z zapasem ciężko nabytej nauki, wysyłamy go, jak się zwykło mówić, *na przepadłe*, ażeby uutorował drogę ludziom specjalnym którzy mają iść jego śladem. Dla dopięcia takowego celu, potrzeba mocnego postanowienia i wielkiego zamiłowania nauk, by się narażać jedynie dla wyjaśnienia jakiego zjawiska, lub stanowczego oznaczenia jakowego punktu na powierzchni ziemi. Powinien przytém z nadzwyczajną szybkością pojmować wrażenia i wiernie je opisać; być przenikliwym w objaśnieniu jednego faktu za pomocą drugiego; posiadać nade wszystko umysł wielostronny, który umie wykryć z małej liczby obserwacji, długi szereg zasadniczych pomysłów. Zapewne, znajdując się ciągle pod wpływem razem wielu zewnętrznych wrażeń, może się czasem omylić w swoich wnioskach; ale za to wykazując fakta uderzające, wskaże je swym następcom, którym nawet błąd jego może posłużyć na korzyść nauki, jeśli zwrócą uwagę na dobrze określone fakta.

Wszystkie te przymioty, Humboldt posiada w wysokim stopniu. Zasługi położone przez niego, ściągają się prawie do wszystkich nauk. Ale to mało jeszcze. On w wielu a w wielu przedmiotach naukowych stał się

specyjalnym, a mianowicie: powiększył ogólną fizykę obserwacyami co do podziału temperatury kuli ziemskiej, i wzbogacił botanikę geografją roślin. To są dwa wielkie twory umysłu jego, które niewątpliwie wywarły wpływ na odkrycie zupełnie nowój zasady, nowój drogi; to jedno już może uczynić sławnym autora. Jeśli od czasu wyjścia na świat tych dzieł należałoby zmienić niektóre w nich ustępy, jeśli przytoczone wnioski zbaczają od przyjętój ogólnej formy znamionującej stan nauki w roku 1815 lub 1817, to dlatego, jak widzimy, że w naszej epoce massa odkryć, wynalazków, zastosowań, wzrasta z nadzwyczajną szybkością. Nareszcie jeżeli Humboldt był kiedy i wyprzedzony, to przez tych tylko, którzy idąc jego torem, równali i rozprzestrzeniaли szeroką i wspaniałą drogę wytkniętą przez niego.

Ze współczesnych Humboldta ludzi sławnych o których wspomnieliśmy, Napoleon uniesiony wichrem politycznym, znikł; Cuvier umarł; Chateaubriand wylewając gorzkie łzy po Burbonach, umilkł; jeden tylko Humboldt jeszcze wznosi swój głos, którego uczony świat nie tylko słucha z uwagą ale z poszanowaniem, oczekując nowych owoców jego pracy i rozumu. Tak zaszczytne znaczenie i wielki szacunek, nabyte są przez niego prawnie i dostatecznie usprawiedliwione. Jeżeli Newton odkrył siłę przyciągającą, ową duszę świata, *myśląc o niej nieustannie*; można powiedzieć, że Humboldt wzbogacił nauki *nieustannie poświęcając się*. Jeżeli w naukach tych którzy przed nim zajmowali się, są wyżsi uczeni od niego; jeżeli w chemii, botanice, geologii, zoologii ustępuje miejsce Lavoisier'owi, Jussieu'rom, Buch'owi, Cuvier'owi; to jako sławny podróżny, jako fizyk kuli ziemskiej

zajmuje niezaprzeczone miejsce obok wspomnianych władców uczonego świata.

Ogólny obraz dzieła Kosmos.

Humboldt zdaje się chciał wyrazić, odmalować całe swe życie w ostatniem swém dziele, które nazwał *Kosmos*, to jest: *Opis Wszechświata* czyli całego *universum*. Ułożyć w należyty system fenomena, przeniknąć władzę siły i ruchu, wyrazić wielkość stworzenia, napisać żywym językiem żywy obraz ruchu powszechnego, zebrać nieskończenie różnorodne żywioły, z których utworzony rys wspaniałej przyrody nie psułby bynajmniej harmonii i jedności tego ostatniego przymiotu o jaki powszechnie ubiegają się pisarze, poeci i malarze; taki był plan Humboldta, taki ogólny duch jego dzieła.

Skupiając, że tak powiem, w jedną całość nasze pojęcia, autor zmuszony był czerpać materiały z licznych utworów wielu pisarzy, a w tém drażliwém położeniu, zawsze się trzymał w granicach szlachetnych uczuć. Sam chociaż znamienity podróżny, z upodobaniem jednakże odstępował pierwszeństwo swym współpracownikom, ukazując się zawsze w cieniu. Z uwielbieniem powtarza ciągle imiona Ross'a, Franklina, Bornes'a, Darwin'a. Francuzi, Anglicy, Szwedzi, Niemcy, wspomnieni w texcie i dopiskach bezstronnie, co mówię... wspomnieni z pewnym rodzajem słodyczy, która daje się postrzegać przy oddaniu im należnej czci i sprawiedliwości w zasługach.

Nie powołując się na świadectwo czynnego swego życia, kiedy ogłosił Humboldt swą kosmografią, zdaje się że się lękał, ażeby ją nie przyjęli z jakimś niedowiarstwem.

Nie od rzeczy tu można nadmienić, że Niemcy od początku bieżącego stulecia, napłodzili umysłowych wiele niedorzeczności; jednakże dzięki usiłowaniom kilku wybranych, którzy mają wpływ na młode pokolenia, spodziewać się można, iż wyrzekną się z czasem scholastyki średnich wieków. Humboldt mógł się lękać zaciętej walki ze złośliwymi i uprzedzonymi prozelitami szkoły niemieckiej; dlatego w samym wstępie spowiada się szczerze, i wyznaje przytém, że w dziele swém trzyma się zupełnie zasady *empirycznej*. Widoczném tu jest, iż chce przez to uniknąć zaczepek. Nareszcie z rodzajem żartu połączonego ze skromnością oświadczył, że zamierzył iść torem *wyższych umysłów*, które umiały zbudować świat *a priori z liczb i form*. Należy życzyć z całego serca, by słowa Humboldta, znakomitego ich ziomka, były słyszane w całych Niemczech, i żeby autor takiego zdania, zadał ostatni cios szkole filozofów niemieckich, i tak już potężnie zachwianej przez szkołę Müllera i Ehrenberg'a.

Na samym wstępie Humboldt widział potrzebę postąpić stosownie do ducha charakteru i znaczenia dzieła. Kosmos powinien przedewszystkiém wystawić obraz wszechświata. A żeby nie zniżyć przymiotu znaczenia tego wyrazu, wypadało autorowi opisać niebo, które jest dla nas wspaniałym widokiem. System nasz planetarny, pomimo ogromnej swój rozciągłości, jest tylko częścią uniwersalnej całości. Słońce nasze jest jedną z tych gwiazd niezliczonych, które lśnią cudowném światłem nad naszemi głowami, lub kryją się w bezdennych głębokościach przestrzeni. Humboldt zatém znalazł na wstępie taką gałąź ludzkich pojęć, która posuwa się bardzo powolnym krokiem.

Jeśli astronomia matematyczna bez sprzeczki jest najwięcej nauką udoskonaloną; jeśli dzięki gienialnemu Newtonowi; mozołom geometrów; doskonałości optycznych instrumentów; sposobom obserwacyj za pomocą których, że użyję wyrazu, wykradliśmy przyrodzie tajemnicę biegu ciał niebieskich; jeśli powtarzam za pomocą tego wszystkiego podziwiamy dokładność rezultatów, to wcale nam inny stan rzeczy przedstawia astronomia fizyczna.

Między nami i ciałami krążącymi w przestrzeni absolutnej, jest odległość którą może tylko pośrednimi drogami pojmować rozum ludzki. Światło przebiega 77,000 lieues (4), czyli 41,518 mil geograficznych na sekundę. Nie wchodźmy w szczegóły téj cudownej szybkości; zwróćmy raczej uwagę na promienie światła wychodzące z trzech gwiazd, których odległość zdołano wymierzyć. Naprzykład gwiazdy *Centaura* przebiega światełko do naszego wzroku po latach trzech; *Łabędzia* po latach $9\frac{1}{4}$; *Liry* po latach dopiero 12. Wyobraźnia ludzka lęka się pomyśleć o podobnych odległościach, gdzie mile liczą się nie na tysiące, lecz miliony milionów. Jednakże nauka umiała je opanować i przebiedz; poważyła się nawet zapytać u tych bezdennych przepaści tajemnicy stworzenia świata.

Teorya obłoczkowa.

William Herschel, jeden z najznakomitszych astronomów zeszłego wieku, któremu astronomia fizyczna winna znaczny postęp, śmiało przystąpił do rozwiązania

(4) Zwyczajna mila francuzka, których liczy się ua stopień 25.

w tój materyi wiele zadać. Uzbrojony najdoskonalszym teleskopem jakiego przedtém nie mieliśmy, zmierzył rozległość przestrzeni w której błyszczą napozór nieruchome gwiazdy, i przekonał się, że forma systemu planetarnego podobna jest do soczewki, czyli jaśniej mówiąc, do ziarnka soczewicy. Sięgnął wzrokiem za *sklepienie niebios*, dowiedział istnienie wielu innych systemów, jeśli można powiedzieć, podobnych do naszego; czyli innemi słowy, w pośród tych ciał błyszczących własném światłem, odkrył drugie światy. Wyjaśnił uderzające różnice w obserwacyach swych poprzedników. Wskazał *pojedyncze gwiazdy*, niezawodnie słońca bardzo podobne do tego, które nas oświeca. Określił ze szczególną dokładnością: *obłoczki planetarne*, olbrzymie ciała, których średnica zawiera miliony mil, a światło nierównie słabsze od światła naszego słońca; *gwiazdy obłoczkowe*, których jądro błyszczy jakby świecąca atmosfera, z obwo-dem mniej lub więcej wyraźnym; *obłoczki rozdzielne*, owe w grupach niezliczone roje gwiazd zamknięte w pewnej przestrzeni, dla rozróżnienia których potrzeba użyć silnych teleskopów; nakoniec *obłoczki nierozdzielne*, uderzające przedmioty, które podobne są do fosforescencyi, czyli jaśniej mówiąc, do oświeconej mgły lub pary zgęszczonej. Dają się one niekiedy postrzegać w nieokreślonych formach i niejednakowej rozciągłości, jak na przykład rozerwana wiatrem w kawalki chmura; niekiedy znów przedstawiają *sferę* lub *elipsoidę* mniej więcej podłużną. Blask zaś ich postępując od brzegów ku środkowi, stopniowo się wzmacnia.

Podług wniosku Williama Herschel, ciała czyli raczej charakterystyczne mgły, podobne do pary lub obłoku,

o których dopiero mówiliśmy, zdają się być stopniowém przejściem postaci tworzących się gwiazd czyli słońc. Materya kosmiczna rozlana w przestrzeni, ulegając prawom grawitacyi czyli powszechnego ciężenia, dąży stopniowo do skupienia się środkowego, i daje początek bryłom, to pojedynczym, to zgrupowanym, czyli innemi słowy, połączonym w jeden system, którego części mniej więcej zależą od siebie. Od tych różnych położen brył, od mniejszego lub większego skupienia się ich masy, zależą rozliczne formy, które widzimy naszymi oczyma; naprzykład rozdzielne lub nierozdzielne grupy gwiazd obłoczkowych, planetarne obłoczki, gwiazdy obłoczkowe, gwiazdy pojedyncze. Słońce nasze wraz z planetami ma takż sam początek. Powstały one stosownie od zgęszczenia się lub skupienia materyi kosmicznej, albo poprostu materyi pierwotnej, której cząstki przed skupieniem się w jedną zbitą masę, przedstawiały chaos, przedstawiały mgłę lub parę, i zajmowały daleko większy obszar od tego, w którym dziś porusza się i krąży nasz cały system.

Myśl Herschla zamknięta w tych słowach, znana jest pod nazwiskiem: *Nebular theory* (teorya obłoczkowa). Na pierwszy rzut oka zdaje się niepewna; wszelako nie zapominajmy, że za osnowę ję służą niezliczone jego obserwacye, powtarzane z rzadką stałością przez kilkanaście lat z rzędu. Nadewszystko dotąd za pomocą tę tylko teoryi wyjaśnia się wiele fenomenów, które bez nię nie miały między sobą żadnego związku i bez żadnego w świecie fizycznym znaczenia. Dlatego powiadam, teorya Herschla ma pierwszeństwo przed wszystkiemi hipotezami, a przynajmniej jest jedną z tych tegoczesnych prawd, o których już mówiliśmy; jest jedną

z tych zaśmiałych, fantastycznych hipotez, których korzyści przepowiadał sam Bakon.

Potrzeba tu także dodać, że pomysły Herschla otrzymały, jak niżej zobaczymy, zupełne potwierdzenie uczonego świata. Dowodzą one, że skład ciał należących do jednego systemu jest jednakowy, że stan połączonych żywiołów przybiéra tylko zewnętrznie rozmaity charakter, że wreszcie te same żywioły są jednego pochodzenia, jednym pierwiastkiem, jak liczne doświadczenia przekonują nas.

Aerolity.

Wiadomo dziś każdemu chociażby z opowiadania, że bryły kamieni lub żelaza, podług wyrażenia gminnego, *spadają z nieba* i przebiegają naszą atmosferę z łoskotem podobnym do grzmotu, lub hurkotu jadącego powozu po drewnianym bruku. Historycy odległej starożytności spominają o deszczach kamiennych. Niektóre z tych podań sięgają aż do XII, a nawet XIV wieku przed Chrystusem; późniejsza cokolwiek wzmianka znajduje się ma u Chińczyków, według której w prowincyi Hanan, na lat 664 przed Chr. spadło pięć kamieni. Livius o takichże zjawiskach mówi przytaczając, że kamienie spadły na górze Albańskiej, senatorowie umyślnie chodzili oglądać. Plinius i Plutarch piszą, że około roku 462 przed Chr., spadł kamień nadzwyczajnej wielkości blisko Aegos-Potamos we Francyi. W wieku VI, Izydorus widział spadające kamienie na górach Libańskich. W roku 1492, dnia 4 listopada, po okropnym grzmocie i strasznej burzy, w Alzacyi w obecności Maxymiliana cesarza spadł kamień wazący 3000 funtów, który zawieszono w kościele. W państwie mogolskiem za panowania Ihangira

cesarza w r. 1652 d. 26 grudnia dał się słyszeć nadzwyczajny grzmot, poczem spadła bryła żelaza, wryła się w ziemię, i wypaliła trawę na 36 stóp naokoło. Machmud Seida przytomny temu wypadkowi, kazał je wydobyć z ziemi i zrobić z niego szablę, nóż i sztylet, które za dodaniem żelaza zwyczajnego w małej części (gdyż samo było kruche), były wyborne.

Opuszczamy podobne zdarzenia nierównie liczniejsze w szeregach następnych wieków; znajdzie je czytelnik w wielu tegoczesnych dziełach. Nadmienimy tu tylko, że fizycy XVIII wieku przez niemożność wytłumaczenia, jakim sposobem tworzą się aerolity w atmosferze, zeszedli na drogę niedowiarstwa, a nakoniec zupełnego zaprzeczenia; przynajmniej powinni byli tylko powątpiewać, lecz dalecy od umiarkowania, woleli stanowczo zaprzeczyć czego pojąć nie mogli, i z uporem odrzucali to wszystko, cokolwiek w tym przedmiocie przedstawiano im. Chladni w r. 1794 ogłosił rozprawę, w której usiłował dowieść, że wszystkie podania o spadaniu aerolitów są rzetelną prawdą, jak równie utrzymywał, że są drobnymi planetami krążącymi w przestrzeni naszego systemu słonecznego: „Lecz to moje twierdzenie (są słowa Chladniego), długo za niedorzeczne uważano; dopiero Pictet we Francyi zwrócił na nie uwagę, jednakże jeszcze wierzyć nie chciano.” We dwa lata po nim Vauquelin ośmielił się ogłosić na posiedzeniu akademii nauk, że kamienie w Bènarés są rzeczywiście spadłymi z nieba na naszą planetę; znalazło się jednak i tu wielu powątpiewających. Dopiero w r. 1803 kiedy spadł grad kamieni nad wioską l'Aigle w Normandyi, i kiedy Biot wysłany przez akademią na miejsce, zdał o tym wypadku szczegółowy raport, uczony świat przekonał się nareszcie o rzeczywistości tego zjawiska.

Dziś już nikt nie powątpiewa o istnieniu aerolitów; przeciwnie wszyscy naszych czasów badacze, skłonni są uważać za jedno: kamienie meteoryczne, kule ogniste czyli holidy, i spadające gwiazdy. A więc bryły te, jak starożytni utrzymywali przez bogów utworzone, odrzucone w przeszłym stuleciu, a w naszym przez długi czas utrzymywano, że tworzą się w atmosferze w skutek połączenia żywiołów będących w stanie gazu; lub jak mniemali Laplace i Biot, że są odłamkami skał wyrzuconych przez wulkany księżycowe na ziemię; są bez wątpienia planety w miniaturze, które przebiegają orbitę naokoło słońca według praw powszechnego ciężenia. Niekiedy jako oddzielne, to znów połączone w nieobjętej liczbie, stanowią rodzaj pierścienia. Drobne te asteroidy czyli planetki zapalają się wtenczas, kiedy w niezmiernie szybkim swym biegu, zetknąwszy się z ostatnią warstwą naszej atmosfery, przedstawiają świecące pasy, które podczas widnych nocy jedne po drugich przecinają błękit nieba, lub tworzą deszcz spadających gwiazd, których peryodyczny powrót jest dziś dowiedzionym. Te to właśnie asteroidy kiedy zanadto zanurzą się w atmosferę ziemską, zamieniają się w aerolity: nakoniec zwolnione w swym biegu siłą oporu powietrza, spadają na ziemię.

Jeśli zastanowiwszy się z uwagą, teorią o aerolitach znajdziemy prawdziwą; teorią która do rzędu swych żarliwych stronników liczy Arago i Humboldta, to skład chemiczny tych ciał tém więcej zasługuje na uwagę. W każdym przypadku są one bez wątpienia ciałami obcemi naszej planecie; mogą być wszakże uważane za istotne resztki tych światów, których poznanie poczytywano długi czas za przystępne tylko z pomocą narzędzi optycznych i wyrachowań matematycznych. Spadające ciała,

sprawiedliwie mówi Humboldt, są jedyną materją kosmiczną wiążącą planetę naszą z drugimi częściami wszechświata. Najdokładniejsze analizy wielokrotnie powtarzane przez biegłych chemików dowiodły, że skład aerolitów zawsze jest prawie jednakowy; że w żadnym zdarzeniu nie miały one nigdy w sobie nieznanego dotąd, lub obcego naszej planecie pierwiastku (5). Z tego punktu widzenia rzeczy, fakt ten czyż nie zawiera w sobie wielkiego znaczenia? czyż nie potwierdza on hipotezy Herszla?

Humboldt wcale nie wahał się przyjąć w całości i bez żadnego ograniczenia teorią astronoma angielskiego. Niektórzy robili zarzut Humboldtowi, że tym sposobem zmienił swój program; że dla śmiałej hipotezy, wyrzekł się czystego empiryzmu, którego szczególnie postanowił trzymać się w swém dziele. Zarzut ten zdaje się nie jest uzasadnionym, ponieważ teoria Herszla, jakęśmy poznali, nie jest pozbawioną do tego stopnia zasady, ażeby nie można było jęj wierzyć. Zjednała ona sobie wielu stronników. Między innymi, Arago znakomity tegoczesny uczoney i autor wielu prac tyczących się astronomii fizycznej, potwierdził ją nowemi dowodami; szczególnie w sławnej rozprawie poświęconej na uczczenie zasług Wiliama Herszla. Nadewszystko teoria wspomniona dała sposobność Humboldtowi zebrać w jedną systematyczną całość fakta, i sprowadzić do jednej głównej zasady małą liczbę przyczyn drugiego rzędu, z których wypływają kolejno wszystkie prawie zjawiska

(5) Podług rozbioru znakomitego chemika Berzeliusza, pierwiastki aerolitów są następujące: metaliczne: żelazo, cyna, nikiel, kobalt, mangan, chrom, miedź, arsenik; ziemne: sól roślinna czyli soda, siarka, fosfor, węgiel, potaż.

świata fizycznego. Teorya obłoczkowa jest, że tak powiem, *duszą Kosmosa*. Wiąże ona wszystkie części z sobą, i nadaje całemu utworowi, niewchodząc w różnorodność przedmiotów, doskonałą jedność i harmonią.

Częstokroć zbyt idealne hipotezy unosily nas w nieznanne krainy, i były powodem wielu błędnych zasad. Wszelako nie powinniśmy odrzucać wszystkie bez różnicy; inaczej poszukiwania w wyższych poglądach, ograniczyłyby się na samych faktach, a zatem nie potrafilibyśmy wcale wytłumaczyć tego związku, tego porządku, który charakteryzuje różnorodne zjawiska otaczające nas; nie zrobilibyśmy przez to najmniejszego postępu. Każda teorya jeżeli obejmuje wszystkie wypadki znane i spaja je w jedno ogniwo, powinna być przyjęta z wdzięcznością; mylność jej, nie robi, w naszych szczególnie czasach, wielkiej przeszkody; albowiem po odegraniu dłużej lub krócej roli prawdziwej teoryi, musi koniecznie upaść. Widoczny tego przykład daje nam chemia, w której wszystko polega na miarze i wadze. Kilkowiekowa praca alchemików, chociaż niebezpośrednio, wpływała jednak na postęp chemii, dopóki w pośród tego ruchu nie podał Stahl nowej teoryi, teoryi flogistycznej. Odtąd zaczęło się wszystko w chemii porządkować; pomysły jedne zrodziły drugie; liczba faktów powiększyła się tak, że w krótkim czasie w miejscu bezładnych i pomieszanych materyałów, stanął wspaniały gmach. Teorya Stahla przez cały wiek prawie wystarczała wszelkim potrzebom w umiejętności i postępie chemii; jednakże pokazało się później, że była zupełnie mylną; w połączeniach bowiem chemicznych gdzie podług jej zasady następował ubytek, rzeczywiście zachodziło zwiększenie. Wykryto więc jednocześnie i wypadki wielce

ważne, i błędy teorii Stahla. Wszelako znakomity ten chemik zrobił niemniej ważny krok: teoria jego zrodziła Bertholleta, Sheela, Priestleya, a nadewszystko, niech nam wolno będzie powiedzieć, zapowiedziała przyjście nieszczęśliwego Lavoisiera.

Gdybyśmy nawet surowo oceniali teoretyków pomysły, to nienależy przecie bezwarunkowo odrzucać je. Wrzająca wyobraźnia teoretyków w polocie swym może się częstokroć zwichnąć, może ominąć prawdę; ale mimo to jednakże zbliża do niej następne pokolenia. Niech tylko teoretycy będą wiernymi zasadom nauki, niech biorą za punkt oparcia się obserwacje i doświadczenia, niech nigdy nie pomijają zjawisk, odgrywających najważniejszą rolę w przyrodzie, a pod takimi warunkami usiłowania ich będą przyjęte, i staną się godnymi powszechnego uwielbienia. W innym razie byłyby nauki, jak już powiedziałem, wiecznie w stanie dzieciennym, lub stałyby się bezowocnymi. Rzucona teoria w celu wyjaśnienia trudnych pytań, których bezpośrednio rozwiązać niepodobna skutkiem niezmierniej przestrzeni wiążącej różnorodne zjawiska, chociażby była najśmielszym pomysłem, powinniśmy, jeszcze powtarzam, przyjąć i zgłębić ją gruntownie. Działać przeciwnie, byłoby to przytłumiać jedną z najpiękniejszych, jedną z najwznioślejszych zdolności rozumu ludzkiego; oznaczyłoby to, że tak powiem, obciążać skrzydła gieniuszowi.

Początkowe tworzenie się kuli ziemskiej.

Przyjmując za podstawę teorię Herschla, zobaczymy jakim sposobem utworzył się system nasz planetarny, którego jest punktem środkowym słońce, a ziemia jedną

cząstką jego, zobaczymy jakim sposobem można wyjaśnić przeszły stan, i porównać go z terażniejszym stanem naszej kuli ziemskiej. Materya kosmiczna rozproszona niegdyś w przestrzeni pewnej, skupiwszy się w momencie danym, przez szczególne wzajemne przyciąganie się, utworzyła naprzód *mgłę* czyli *obłok*, następnie *obłoczko-wą gwiazdę*, nakoniec *gwiazdę*, to jest słońce oświetlające nas. W czasie tego stopniowego ruchu skupiania się, taż sama materya jakby opadające morze, które wraca do swego normalnego łożyska, i zostawia na brzegach w liniach prawie równoległych rozmaite ciała pochodzące z jego łona; taż sama, powtarzam, materya została za sobą należące do głównej masy cząstki, które skupiły się około drugiego stopnia punktów środkowych, a utworzywszy te same zjawiska, dały początek asteroidom o których mówiliśmy, i planetom jużto niezawisłym od siebie, jak na przykład Palas, Cerera, Juno, Westa, Astrea, których orbity krzyżują się między orbitami Marsa i Jowisza; to oddzielnych jak Merkury: to nareszcie otoczonych księżycami jak ziemia, Saturn, Jowisz i Uranus.

Nasza kula ziemska z początku jako mgła, przeszła przez stopniowe zgęszczenie się do stanu płynnego, jak dowodzą nam oczywiste ślady w jej zewnętrznej formie, usprawiedliwionej wymiarami geometrycznymi. Tak więc teoria Herschla bardzo naturalnie prowadzi drogą obserwacji i badań do pewnych rezultatów. Stan płynny, będący skutkiem wysokiej temperatury, był tylko przechodnim czyli przemijającym stanem; bo kula ziemska odosobniona w przestrzeni wyrzucając w około siebie promienie ciepła, którego napowrót inne ciała nie przy-

syłały jój, musiała stopniowo ostygnąć, a najpiérwój powierzchnia; przez co uformowała się twarda skorupa, i pokryła ognisty ocean wypełniający jój wewnętrzną część. Od téj chwili między powłoką a lawą ognistą wewnętrzną, wszczęła się straszna walka, którój niezatarte ślady napotykamy wszędzie. Wszystkie geologiczne zjawiska, wyraźny mają związek z działaniem i oddziaływaniem wewnętrznego stanu płynnego ziemi na zewnętrzną twardą powłokę. W skutek więc takiéj walki, zmieniły się łożyska wód, powstały góry, uformowały się doliny. W naszych nawet czasach, wzburzenia wewnętrzne wstrząsają niekiedy cienką powłoką przez nas zamieszkałą, sprawiają trzęsienia ziemi i wulkaniczne wyziewy ognia, na które śmiertelni patrzą z wielkiém zadziwieniem i przestraczem. Tu dopiéro teoria Herschla podaje przyjazną dłoń teorii Fourier'go o wewnętrzném cieple ziemi, i wielkim pomysłem geologicznym Buch'a i Eliasza Beaumont.

Na téj zasadzie możemy śmiało wnosić, że nasza ziemia jest ostygłe i na powierzchni skrzepte słońce. Hypoteza o istnieniu wewnętrznego ognia, która zmieniła się przez liczne obserwacye w pewnik, tak jest uzasadnioną, jak następstwa teorii obłoczkowój. Dowody zebrane w kopalniach, obserwacye czynione przy wierceniu studni artezyjskich, potwierdzają w zupełności, że temperatura ziemi zwiększa się w miarę zagłębiania się wewnątrz; na każde zaś 26 lub 30 metrów, temperatura podnosi się o jeden stopień. Przypuszczając wraz z Cordier'em, że przyrost ciepła przybywa w stosunku zagłębiania się, wypada więc wnosić, że na 19 mil geograficznych w głąb', najtwardsze kamienie znajdują się w stanie płynnym. Podług najpewniejszych wyrachowań

geometrów i ścisłych obserwacyj fizyków, warstwa ziemi na której mieszkamy, ma tylko $\frac{1}{120}$ część całej średnicy kuli ziemskiej. Warstwa ta zatem, poprostu mówiąc, jest skórą której grubość w stosunku rozciągłości kuli ziemskiej, ledwo można porównać do grubości skórki pomarańczowej.

Biorąc za podstawę takie wypadki, musimy przyznać, że rozpalona masa, od której nas przedziela tak cienka przegroda, bez wątpienia ma wielki wpływ na temperaturę powierzchni kuli ziemskiej; o czém myśleli także uczeni przeszłego stulecia. Mairan, Buffon, Bayli, wnosili, że wewnętrznego ognia ciepło, powiększa summe ciepła otaczającego nas latem o $\frac{28}{29}$, a zimą o $\frac{39}{400}$ części jednego stopnia. Przypuszczali nadto, że ziemia stopniowo stygnie. Buffon utrzymywał, że podług doświadczenia nad rozpaloną kulą, można wyrachować w jakim przeciągu czasu cała organiczność zniknie z powierzchni ziemi, w skutek stopniowego oziębiania się jój. Fourier dowiódł mylność tego zdania. Znakomity ten fizyk wykazał, że przy mało znaczącem przewodnictwie mass stałych cieplika wewnętrznego, przez twardą powłokę która stanowi skorupę ziemi, dosyć grubości jój kilka mil, by niedopuszczyć na 20,000 lat ostygnięcia silnego ognia. „Nadto”, mówi dalej Fourier, „do temperatury atmosferycznej wychodzi ciepła z ziemi tylko $\frac{1}{30}$ część jednego stopnia: ubytek ten jest tak mały, że jeślibyśmy wystawili bryłę lodu objętości 9 stóp kubiicznych na stopienie pod bezpośredni wpływ wewnętrznego ciepła, potrzeba na to nie mniej jak całego stulecia.” Zatem podług energicznych słów p. Arago: wszystkie przemiany którym powierzchnia ziemi mogłaby uleżeć pod względem temperatury, skończyły się na $\frac{1}{30}$ część

jednego stopnia; zlodowacenie zaś naszej planety przewidziane przez Buffona za lat 93,291 od dnia jak o tém pisał, jest urojeniem, które nigdy do skutku nie przyjdzie.

W miarę zmniejszania się temperatury ziemi, albo innemi słowy, w miarę jak ogień wewnętrzny jój coraz więcej ściskany twardą powłoką, począł wpływać słabiej na powierzchnię naszej planety, działanie niegdyś tak potężne, zamieniło się w innego rodzaju zjawiska. Słońce, gwiazda centralna, matka naszego systemu, która utworzyła się z największej części mgły, owój materji kosmicznej, z każdym dniem rozpościérała swoje wszechwładne panowanie; i teraz możemy powiedzieć, że słońce panuje bezwarunkowo nad kulą ziemską, która przedtém jakby uchylić się chciała od jego potężnego wpływu. Ono massą swoją utrzymuje ziemię na jój orbicie. Ono jest jedyne źródło światła i ciepła. Ono wszystkiemu daje ruch i życie. Cała prawie meteorologia ogranicza się na pośredniém lub bezpośredniém działaniu słońca. Organiczna zaś przyroda w życiodawczej sile jego promieni, ciągle przypomina mitologiczną bajkę o Prometeuszu.

Linie równych temperatur.

Meteorologia zawsze była ulubionym przedmiotem pracy Humboldta. Wzbogacił on ją mnóstwem obserwacyj, rozprzestrzenił jój granicę, wykazał związek jój z geognozyą i geografją fizyczną. On piérwszy uporządkował rozrzucone fakta, odkrył prawa empiryczne którym one ulegają; a nadewszystko posunął niektóre gałęzie tyczące się meteorologii do stopnia uzasadnionych

nauk. Z tego względu część Kosmosu poświęcona przez autora działowi podobnych fenomenów, jest jedną z najciekawszych i najwięcej nauczających. Podział słonecznego ciepła, opis klimatów pod względem ich najczęściej normalnego stanu, szczególnie zwracały uwagę Humboldta. Możemy powiedzieć śmiało, iż nikt o tych przedmiotach nie mówił z większą dokładnością od Humboldta, jako autora poszukiwań o *liniach równych temperatur* czyli *isotermicznych*.

Humboldt dał tę nazwę liniom idealnym łączącym liczne punkta na kuli ziemskiej, gdzie temperatura średnia roku jest jednakowa. Przedsięwziąwszy naprzód wszelkie konieczne ostrożności, w celu usunięcia działań miejscowych wpływów, wniósł za pomocą obserwacyj, że można oznaczyć średnią temperaturę pod równikiem na 27,5 stopni Cels. wyżej zera. Przy biegunach zaś, ponieważ obserwacje bezpośrednie są niepodobne, p. Arago drogą porównań średnich wypadków wykonanych w Ameryce i Europie, w celu otrzymania średniej temperatury u biegunów, przyznał prawdopodobnie, że temperatura średnia bieguna północnego wynosi 25⁰ Cels. niżej zera. Między temi dwoma granicami temperatur, których przedział wynosi 52,5 stopni Cels., można wynaléć i oznaczyć wszystkie punkta pośredniej temperatury.

Gdyby powierzchnia kuli ziemskiej wszędzie była jednakowa, gdyby warstwy powietrza otaczające ją, były wiecznie nieporuszone, natenczas ciepło słoneczne rozlewałoby się wszędzie w jednym stopniu; można byłoby nakręślić na karcie szereg linii równoległych do równika, których wszystkie punkta dałyby poznać średnią temperaturę. Lecz powierzchnia ziemi wcale nie jest równa

i jednostajna. Ziemia i woda wzajemnie walczą z sobą o lądy. Góry, doliny i równiny dzielą między siebie półsferza, które będąc pokrajane na nierówne części, mają kraje wewnętrzne i nadbrzeżne, to jest oblewane poruszającymi się ciągle wodami. Nakoniec samo powietrze jest w ciągłym poruszeniu. Od wszystkich więc pomienionych przyczyn, pochodzi wielka niejednostajność w podziale ciepła. Z temito wypadkami panującymi w podród mniemanego nieporządku, obznajmia nas Humboldt.

Opiszemy tu więc niektóre ogólne wypadki badań Humboldta. Linie isotermiczne do 30° szerokości północnej, są względem siebie i względem równika prawie równoległe: przeszedłszy zaś za tę granicę na północ, równoległość linii niknie, i zdaje się coraz bardziej zagiętą. Zgięcia te posuwając się od równika ku biegunowi północnemu, dają się postrzegać znaczniejsze na starożytnym lądzie, niż na nowym; z czego wynika, że zmniejszanie się temperatury nierównie jest większe na nowym lądzie jak starożytnym; czyli innymi słowy: skutkiem wpływu miejscowych okoliczności, średnia temperatura dwóch punktów, to jest jednego w Europie a drugiego w Ameryce, chociaż położonych pod jedną szerokością geograficzną, jest nierówna, albowiem pierwszego punktu widzimy temperaturę wyższą, kiedy drugiego jest niższa. Dla łatwiejszego pojęcia powyższego objaśnienia, dołączona tabliczka jaśniej da poznać takową różnicę.

Temperatura isotermiczna nad zero.	Punkta przez które przechodzi linia isotermiczna.	Szerokość geograficzna.	Różnica szerokości.
0° Cels. {	Na starożytnym lądzie: <i>Ulea Enontikes</i> w <i>Laponii</i>	67°	13°
	„ nowym lądzie stałym: <i>Tabl-Bay</i> w <i>Labradorze</i>	54°	
50 „ {	Na starożytnym lądzie: <i>Stokholm</i> ...	60°	12°
	„ nowym lądzie: <i>Baie Saint-George</i> w <i>Nowej Ziemi</i>	48°	
100 „ {	Na starożytnym lądzie: <i>Belgia</i>	51°	9°
	„ nowym lądzie: <i>Boston</i>	42°	

Na półkuli południowej, postęp zmiany w ubywaniu temperatury blisko równika, jest prawie ten sam jak na półkuli północnej; wszelako ubywanie to w miarę zbliżania się ku biegunowi południowemu, stosunkowo znajdziemy pędsze; wypada ztąd, że z dwóch linii isotermicznych odpowiadających sobie na obu półkulach, północna linia więcej jest oddalona od równika. Nierówny ten podział ciepła na obu półkulach łatwo tłumaczy nam przyczynę, dłaczego pod 71° szerokości południowej ocean pokryty jest lodem, kiedy na półkuli północnej nie zamarza morze aż do 80° szerokości północnej; co wynosi 10° naokoło bieguna północnego. Wprawdzie niektóre wyspy na półkuli południowej okazują wypadki przeciwne, lecz tę pozorną sprzeczność, tłumaczy wpływ okoliczności miejscowych.

Dotąd uważaliśmy linie isotermiczne jako odniesione do poziomu morza; lecz wiadomo także, że ciepło zmniejsza się w miarę wznoszenia się nad poziom. Wznoszenie się to coraz wyżej w górę, sprawia podobne skutki, jak naprzykład kiedy zbliżamy się ku biegunom. Doświadczenia nawet bezpośrednio wykonywane, uzasadni-

ły związek łączący te dwa wypadki. I tak, Humboldt po wejściu na Kordyllery dostrzegł, że zniżenie termometru na 1° Cels., odpowiadało wysokości 180 metrom. Ten sam wypadek otrzymał Gay-Lussac w czasie swęj sławnej nadpowietrznej żeglugi odbytej w Paryżu dnia 16 sierpnia 1804 r., gdzie na dole termometr jego okazywał $27,7^{\circ}$ Cels. wyżej zera, a po wzniesieniu się do wysokości 6,980 metrów, nieustraszony naturalista widział jak ten sam termometr spadł na $9,5^{\circ}$ Cels. poniżej zera. W tak krótkim przeciągu czasu, bo kilka minut wynoszącym, Gay-Lussac doświadczył zmiany w temperaturze na $37^{\circ},2$ Cels.

Jeśli rzucimy okiem na kartę wyobrazającą linie isothermiczne, przekonamy się, że linie te na półkuli północnej wznoszą się ku biegunowi na brzegach wschodnich. Zmiany podobne pochodzą głównie od wielkich poruszeń dwóch oceanów oblewających wokoło lub częściowo skorupę kuli ziemskiej; jak niemniej od prądów powietrza, które powstając ze zmiany temperatury, ciągle przerzynają wody oceanu i atmosferę. Wiadomo nadto, że wiele wpływa na temperaturę lądów zachodniej Europy, wielki prąd wody ciepłej, która płynąc od stref afrykańskich, uderza o brzegi Ameryki, a ztamtąd wraca ku Europie przez cieśninę Bahama i ginie około wysp Wielkiej Brytanii. Podobne wypadki postrzegać się dają na oceanie Spokojnym. Bez wątpienia prądy te nie mogą płynąć do któregokolwiek punktu oceanu bez poruszenia masy wód stykających się z niemi; przez co tworzą się prądy zimne, które oblewają i chłodzą pobraża. Takimto sposobem z okolic bieguna północnego wychodzą istne rzeki wody zimnej, które płynąc w pośród morza Południowego, dochodzą do brzegów Chili i Peru

i sięgają na południe Poyta, zkąd zboczywszy wychodzą w końcu na pełne morze. Między zwrotnikami temperatura wód takowych prądów wynosi tylko $15,5^{\circ}$ Cels. gdy tymczasem stykające się z niemi wody oceanu, pokazują gorąco na 27° a czasem na 28° . Różnica ta jak widzimy wynosi 12° . Żeglarze płynąc z południa na północ, gdy nagle wypłyną z wody zimnej do ciepłej, postrzegają z łatwością owę różnicę znaczną a razem uderzającą.

Atmosfera ziemiska niemniej podobne przedstawia zjawiska. Wprawdzie wyjaśnienie takowych zjawisk staje się trudniejsze, jednakże postrzeżenia w tym celu robione, lubo zaczęte dopiero od niewielu lat, doprowadziły do ważnych rezultatów. Różnica temperatury między strefami zwrotnikowemi a strefami biegunowemi, daje początek dwóm wielkim przeciwnym sobie prądom wiatru. Powietrze pod równikiem przez wielkie gorąco rozrządzone, stawszy się lżejszém, wznosi się do góry, gdzie dochodzi prawie granic oceanu atmosferycznego; zkąd rozlewając się ku biegunom, ciśnię ich warstwy powietrza. Następnie powietrze biegunowe ciśnione ku ziemi, dąży odwrotnie do równika gdzie miejsce przestrzeni rozrządzonej zajmuje. Ponieważ chyżość obrotu ziemi pod równikiem jest większa od chyżości obrotu przy biegunach, dlatego jedynie, że obwód jój pod równikiem jest większy od obwodu około biegunów; a zatem prądom tym bieg obrotowy ziemi niejednakowy w dwóch okolicach, jak mówiliśmy, pod równikiem i około biegunów, sprawia pewny rodzaj uderzania bocznego; albo innemi słowy: prąd powietrza równikowego porwany obrotem ziemi, dążąc górą w strefy biegunowe, nagina się ku zachodowi i daje początek wiatrom

południowo-zachodnim; prąd zaś biegunowy płynąc przy samej ziemi ku równikowi, zbacza w kierunku wschodnim i stanowi rodzaj wiatrów północno-wschodnich. Tym więc sposobem prądy powietrza wraz z prądami morza wpływają na zagięcia linii isotermicznych, oraz biorą kierunek taki o jakim dopiero mówiliśmy.

Linie isotermiczne pokazują nam wprawdzie średnią temperaturę całego roku, lecz ona pochodzić może ze zrównoważenia największej i najmniejszej temperatury dwóch pór rocznych często bardzo odmiennych, szczególnie w punktach mających tę samą roczną temperaturę. Weźmy na przykład Węgry i Irlandyę; leżą pod isothermą 9,5^o a jednakże w Budzie temperatura miesiąca sierpnia dochodzi do 21^o, gdy tymczasem w Dublinie nigdy nie przechodzi 16^o. Przeciwnie, zima w okolicach Dublina jest nadzwyczaj łagodna. W miarę więc coraz większego posuwania się w głąb' starożytnego ładu, różnice te między porami letnią i zimową stają się znaczniejsze, przez co powstają klimata bardzo zmienne, które Buffon słusznie nazwał *klimatami zbytecznymi* (excessive). W środkowej Azji: Tobolsk, Barnaul, Irkuck, mają podobną temperaturę letnią jak Berlin, Münster, Cherbourg. Tam podczas lata termometr wskazuje niekiedy przez całe tygodnie 30—31^o nad zero, ale zato po gorących latach następują zimy tak ostre, że temperatura ich średnia podług Humboldta dochodzi od 18 do 20^o niżej zera; co większa, czasem nawet tak nadzwyczajne mrozy bywają, że żywe srebro zamarza; z czego można wnosić, iż zimno wynosi w owych okolicach przynajmniej 40^o Cels.

Jeśli będziemy uważać oddzielnie lato i zimę na wszystkich punktach kuli ziemskiej, oraz weźmiemy każdą

z osobna średnią temperaturę i złączymy wszystkie punkta gdzie wypadną takowe temperatury sobie równe, natenczas otrzymamy wcale odmienne linie, które Humboldt nazwał, jedne: *liniami równych temperatur lata* (lignes isothers), drugie: *liniami równych temperatur zimy* (lignes isochimènes). Wypada ztąd, że linie te nie mogą się schodzić z liniami isotermicznymi czyli równych temperatur rocznych. Nie są one nawet równoległe do nich; przeciwnie, przecinają je w różnych punktach przez swe zagięcia czyli falistości. Różnica temperatury między latem a zimą nie przechodzi nigdy pewnych granic we wszystkich punktach linii isotermicznych, a linie równych temperatur lata, i równych temperatur zimy, nigdy nie przecinają dwóch isotermów oddalonych od siebie niewięcej jak na 5^o Cels.

Kiedy zastanowimy się na chwilę nad ogólnymi prawami ciepłika ziemskiego, i dochodzić będziemy temperatury największego zimna i największego ciepła na powierzchni kuli ziemskiej, znajdziemy między temi dwoma skrajnemi stanami wielką i nadspodziewaną różnicę. Wprawdzie żaden z podróżnych nie doszedł jeszcze do samych biegunów; jednakże możemy wnosić, że podczas ciągłej sześciomiesięcznej nocy, temperatura przy biegunach powinna być prawie równa temperaturze przestrzeni świata między planetami, i wynosić jak Fourier twierdzi, około 60^o Cels. niżej zera. Kapitan Parry podczas przepędzania zimy na wyspie Melville był świadkiem, jak żywe srebro przez pięć miesięcy marzło na otwartém powietrzu. Kapitan Franklin w porcie Au Port Entreprise doświadczał zimna prawie 50^o Cels. Chociaż trwa tam tak niska temperatura z którą nasze zimy nie mogą iść w porównanie, może być przecież znośną dla

człowieka zdrowego, dobrze odzianego; nawet okolice te puste zamieszkują Eskimowie. Kapitan Parry zapewnia, że Europejczycy na 46° stopni mrozu, przy zupełnej ciszy powietrza, mogą przechadzać się pod gołym niebem: kiedy przeciwnie przy najmniejszym powiewie wiatru, doznają szczypania w twarzy i gwałtownego bólu głowy.

Doświadczenie uczy, że w naszych strefach umiarkowanych, największe ciepło latem, prawie tyle stopni wynosi co i zimno. Arago roztrząsając wielką liczbę spostrzeżeń licznych badaczy przekonał się, że lubo termometr nie przechodzi nigdy 46° Cels. nad zero, ma się rozumieć wtenczas, kiedy jest wystawiony na otwartym powietrzu i na kilka stóp nad ziemią, przytém zasłonięty od promieni odbijających się, jednakże okoliczności wpływające z położenia miejscowego mogą zrządzić jeszcze wyższy stopień ciepła. Jakoż w Kairze uważano, że ciepło dochodzi do 50° Cels. Ruppel, znakomity tegoczesny podróżny zapewnia, że na brzegach morza Czarnego, w czasie pochmurnego nieba doświadczał ciepła na 42° Reaumura, równych $52,5^{\circ}$ Cels. Nakoniec uczeni należący do wyprawy egipskiej widzieli w Philae powyżej katarakty Nilu, jak termometr wystawiony na bezpośrednie działanie słońca, pokazywał 70° Cels. A zatém temperatura naturalna, którą człowiek i zwierzęta mogą znosić, zajmuje przestrzeń na podziałce Cels. 120° , to jest 20° więcej nad przestrzeń objętą punktem lodu topniejącego i wody wrzącej.

Przydając niektóre szczególne wypadki liczebne do tych wypadków, które są objęte *Kosmosem*, chcieliśmy przez to dać poznać jaśniej jedną z najpiękniejszych prac Humboldta. Ktoby pragnął poznać wypadki główne,

wyprowadzone jedynie z owych faktów zasadniczych, uważanych jako dane pierwotne, odsyłamy go do samego dzieła Humboldta. Ze wszystkich części składających dzieło, skręślony obraz klimatów przez Humboldta daje jasno poznać, że w miarę postępu naszych wiadomości, takowe odkrywają nam stosunki skrycie powiązane między zjawiskami napozór sprzecznymi. Gdybyśmy na przykład chcieli wytłumaczyć, dlaczego na wyspach małych bretańskich, śnieg rzadko kiedy leży przez 24 godzin, potrzeba szukać przyczyny tego fenomenu w położeniu lądów i gór, w prądach morskich równikowych, i w poruszeniach atmosfery które słońce sprawia. Dalej jeszcze potrzeba szukać w kształcie ogólnym ziemi i jej obrocie dziennym.

Geografia zoologiczna i botaniczna.

Humboldt poświęcił tylko kilkanaście stronnic w swém dziele dla organicznej przyrody, reprezentowanej na powierzchni kuli ziemskiej przez królestwo zwierzęce i królestwo roślinne. Wielu poświęcających się fizycznym zjawiskom, okazują rzeczywistą lub urojoną pogardę dla tej nauki, która stara się zgłębić tajniki organizacyi zwierzęcej i roślinnej. Jednakże Humboldt byłby w stanie zerzrzeć zasłonę niesłusznym uprzedzeniom; albowiem zajmując się wyłącznie naukami przyrodzonymi, potrafił dla siebie zjednać wysoką wziętość między uczonymi, którzy obrali za przedmiot swych poszukiwań *ogólną fizykę kuli ziemskiej*. Geografia botaniczna jest jedną z najpiękniejszych prac Humboldta, która nadaje mu prawo do sławy: i gdyby był więcej kart poświęcił w swym Kosmos dla tej nauki, której słuszenie może się nazwać ojcem; gdyby jeszcze przytém dodał swoje po-

mysły o geografii zoologicznej, jako szczerze oddany swemu powołaniu głównemu, okazałby przez to dla tych dwóch nauk nową usługę.

Humboldt przypuszczając, że rośliny i zwierzęta podlegają wpływowi téj samej siły co i ciała martwe, wnosi, że w żyjących istotach siła ta działa podług warunków dotąd nam nieznanych. Czyliż nie są te tajemne warunki działaniem wyłącznej siły nazywanéj życiem?... Nie mylmy się tylko w znaczeniu tego wyrazu.... Rzecz tu idzie nie o *źródło życia* Barthez'a; nie o *pierwiastek życia* Van Helmont'a; nie idzie tu powiadam o jakieś jestestwo obdarzone *samowolnością, własną wolą*, która częstokroć kieruje ciałem niezręcznie: słowo *życie*, użyte tu tylko dla określenia nieznanéj nam przyczyny widomego fenomenu. Życie to ma takie samo u nas znaczenie, tak samo je pojmujemy, jak na przykład fizycy wyrażenia: *światło, ciepłik, elektryczność, magnetyzm*, które po znanych odkryciach Oerstedta, Melloni, Faradaya, zapewne nikt nie zechce utrzymywać, ażeby każdy z tych działaczy oddzielnie istniał i oddzielną był siłą w naturze; a wszelako w każdym zdarzeniu, ich przymioty także nie są wiadome, ich sposób działania także jest tajemniczy jak *życia*. Humboldt wyraźnie wyznaje, iż uważa je za mythy; a jednakże na każdej prawie stronie wzywa je, jednakże fizycy ciągle tłumaczą nam o zjawiskach *elektrycznych, magnetycznych i światła*. Proszę mi teraz powiedzieć: czy jest w tém co dziwnego i niewłaściwego, jeśli fizyologowie mówią o życiu jako *tajemniczym fenomenie*?

Z czasem może być, iż przedmiot ten zupełnie się zmieni; lecz przy terażniejszym stanie wiadomości naszych, niepodobieństwo zdaje się nie odróżniać życia od

innych działaczy. Patrzaj na tę żyjącą istotę sprzeciwiającą się połączonemu wpływowi ciepła i wilgoci... ona żyje?... zabijcie ją, to jest pozbawcie ją jakimkolwiek sposobem *czegoś* co ją ożywia, wnet materialne jej elementa wróciwszy do stanu naturalnego, rozłożą się i utworzą inny rodzaj kombinacji: po kilku dniach pozostanie tylko szkielet z trupa. A przecież gdyby ta sama istota zachowaną była przy życiu, mogłaby jeszcze istnieć wiele lat. To wszakże nie stanowi, iżby w trakcie tego czasu, taż sama istota nie podpadała wpływowi siły fizycznej. W każdej żyjącej istocie, czynność siły działającej, łączy się nieustannie z siłą życia w celu zachowania jej lub zniszczenia. Bez wątpienia poznanie podobnych kombinacji i podobnej walki, zajmować powinno wyłącznie fizyologów, jednakże i geograficzny podział roślin jak i zwierząt, może udowodnić nam, jakim sposobem i jak dalece wpływa zewnętrzny świat na istoty organiczne, do których należy także i człowiek. Spodziewajmy się, że z czasem odkrycie to zdejmie zasłonę, która pokrywa wiele tajemnych związków między przyrodą żywą a przyrodą martwą.

Ledwie upłynęło lat 30 jak Humboldt wydał geografiją botaniczną z dodaniem do niej ważnych spostrzeżeń o liniach isotermicznych, wnet nowy ten przedmiot nauki doprowadzony został do wysokiego stopnia przez Roberta Brown, de Candolleów (ojca i syna), Schow, i Falemberga. Nie tak się dzieje z geografiją zoologiczną. Buffon zajmąwszy się wyłącznie prawie zwierzętami ssącymi, przeniknął swym genialnym poglądem niektóre ogólne fakta podziałów, których większą część potwierdzili: Geoffroy, Saint-Hilaire, Desmarests, Geoffroy Izidor. Inni zaś naturaliści rozprzestrzenili rodzaj ten po-

szukiwań, a między innymi: Fabrycius, Latréille, Makleay, Spens, Kirby, Lacorder o *owadach*, Deshayes o *mięczakach*, a szczególnie Milne-Edwards o *skorupiakach*.

Godne jest uwagi, że prawie wszyscy ci naturaliści przyszli do podobnych, co mówię, w niektórych wypadkach do zupełnie tych samych rezultatów, jakie ogłosił nieśmiertelny ich poprzednik. Obeznali oni nas z wieloma oddzielnymi faktami i fenomenami, stanowiącymi niejako rzeczywisty podział istot żyjących na powierzchni kuli ziemskiej. Ale dotąd nikt jeszcze nie przedsięwziął zebrać w jedną systematyczną całość, rozrzucone w tym ważnym przedmiocie materiały. Słowem, geografia zoologiczna dziś jeszcze nie może się nazwać nauką uzasadnioną.

Botanika więc jest przejrzaną i rozwiniętą od zoologii; o czém możemy się przekonać, jeśli zwrócimy uwagę na wszystkie gałęzie obydwóch tych przedmiotów. Nie powinno to nas wcale zadziwiać. Rośliny jakby przykute do ziemi która ich żywi, nie są w stanie jak istoty żyjące, uniknąć naszej ręki; dlatego katalog roślinny można było prędzej zbogacić, tém więc, że przechowywanie ich i przewożenie, mniej kosztuje zachodu i pracy (6). Wcale się inaczej dzieje z gatunkami zwierząt, które nierównie są liczniejsze, a co większa, nie wszystkie nam znane. Między ssącami mało dotąd zbadano. Wszakże jeśli w dzisiejszych czasach zostaną ukończone dzieła o *rybach* przez Valencienna, a o *ptakach*

(6) Lineusz opisał roślin gatunków 8000. W dzisiejszych czasach botanicy liczą przeszło 75,000. Co do klas królestwa zwierzęcego dotąd nic stanowczego powiedzieć nie można. Najbogatszy gabinet zoologiczny paryzki zawiera ptaków gatunków 3000, kiedy za czasów Buffona rachowano tylko 800.

zach przez Dumérila i Bibrona, będziemy mieli obie te klasy przejrzane i uporządkowane. Ale co się tyczy ptaków, może być że jeszcze długo nie doczekamy się pewnego i na wiarę zasługującego wykończenia; w rzędzie zaś bezpacierzowych, ledwie niektóre gatunki powierzchownie przejrzane, a co większa, podróźni dotąd nie zwracają na nie uwagę. Teraz pojmujemy, z jakiej przyczyny każdy prawie okres geografii zoologicznej widzimy niedostatecznym. Wszakże praca uczonych o których mówiliśmy, rokuje nam pewniejsze rezultata, a do tego zgodne z zasadą panującą w kosmografii Humboldta, o której tu niepodobna zupełnie zamilczć.

Dosyć zastanowić się z uwagą dla upewnienia się, że podział istot żyjących na powierzchni kuli ziemskiej, zależy szczególnie od dwóch przyczyn; to jest: od natury właściwej każdemu gatunkowi, i od wpływu świata zewnętrznego. Obie te przyczyny są z sobą w rzeczywistym związku. Druga może tylko zadosyć uczynić co do środków utrzymania i rozmnożenia gatunków. Tu właśnie napotykamy uderzający przykład zależności, wiążącej różnorodne rodzaje istot. Wiadomo, że jedne zwierzęta karmią się mięsem, drugie roślinami. Gatunki mięsożernych pożerają gatunki roślinożernych, które żywią się stosownemi do klimatu płodami, lecz trzeba i o tém pamiętać, że mięsożerne zwierzęta nie pożerają bez różnicy wszystkie roślinożerne; a zatem pewne gatunki ich mogą tylko tam przemieszkiwać, gdzie znajdują się takie gatunki roślinożernych, które służą im za stosowny pokarm. Następnie roślinożerne przymuszone są także z kolei robić wybór w królestwie roślinnym, i dlatego niektóre ich gatunki mieszkają w tych tylko stronach, gdzie dla

siebie znajdują stosowne pożywienie. W ogólności zaś podział roślin zależy także od wielu okoliczności, między którymi własność gruntu gra wielką rolę. Tak więc za pośrednictwem królestwa roślinnego, królestwo mineralne ma niezaprzeczony wpływ na geograficzny podział istot żyjących.

Wpływ ciepła tak jest widoczny, iż zdaje się usuwać wpływ wszelkich innych działaczy, nawet przywykliśmy uważać je za jedyną przyczynę geograficznego podziału istot organicznych. „Rośliny i zwierzęta ciepłych krajów, lub krajów zimnych;” sposób ten wyrażenia powtarzany codziennie, zdaje się być fałszywy przez upowszechnienie swe bezwarunkowe, bo między zwierzętami krajów międzywrotnikowych, naprzykład są takie, które mieszkając na wysokich górach w bliskości wiecznych śniegów, znoszą temperaturę nierównie niższą od temperatury naszych umiarkowanych stref. Nareszcie zgodzili się zoologowie razem z botanikami przypisywać tylko wpływowi ciepła niektóre najwięcej ogólne fakta zależne od geograficznego podziału istot organicznych, dlatego właśnie zwrócimy na nie szczególną uwagę.

Nie znamy dotąd ani jednego zakątka na ziemi, gdzieby nie było ani istot żyjących, ani płodów roślinnych w skutek wielkiego gorąca lub nieznośnego zimna. Im większe ciepło, tém więcej sprzyja rozwinięciu się organicznego życia; rozumié się, aby tylko dostateczna wilgoć uśmierzała działanie gorąca. Pod palącym niebem zwrotnikowem, królestwo roślinne jest niezmiernie bogate; podobnież i gatunki istot żyjących tak są liczne jak i gatunki roślin. Przeciwnie, wielkie zimno, jeśli nie zupełnie może zniszczyć źródło życia, to przynajmniej je osłabić. Jeśli wieczne śniegi są nieprzełamaną przeszkod-

dą dla wegetacyi roślin doskonałej budowy, jeżeli krzewy nie mogą rósć pod lodami, to bez wątpienia powierzchnia ich jest zasiana miryadami żyjątek mikroskopijnych, znajdujących dla siebie stosowne pożywienie. Różnobarwne śniegi widziane przez wielu podróżnych w stronach przybiegunowych, lub na wysokich górach, sąto mchy, które można uważać za ostatni rząd grzybów lub za wymoczki (infusoria). Kapitan Parry w czasie podróży swój około bieguna północnego, dalej za 82° szerokości, znalazł żywą mszycę czyli owad wysysający liście, zapewne przyniesiony wiatrem z brzegów oddalonych prawie na 30 mil. A kiedy przepędzał zimę ten sam podróżny na wyspie Melville, gdzie merkuryusz ciągle był zamarznięty, myśliwi z Hekli i Gripery w okolicach Winter-Harbur upolowali: pizmowców 3, (7) reniferów 24, zajęcy 68, gęsi 53, kaczek 59 i jarząbków 144. Nakoniec owady, szczególnie z rodziny komarów, zdaje się że są daleko rozprzestrzenione ku biegunom. Lodowate te kraje mają także swe owady skrzydlate; przez co tłumaczy się bardzo dobrze krótkość życia komarów. Zarodki ich jeszcze będące w jajach nierównie są drażliwsze na zimno, od istot mieszkających w nadzwyczajnie zimnych strefach; jednakże za najmniejszym promieniem słońca, wykluwają się one, i w krótkim lecie przybiegunowych okolic, doskonale przekształcają się w różne postaci krótkotrwałego życia.

Pomińmy sprzeczności o których dopiéro mówiliśmy, a zwróćmy uwagę na takie klasy zwierząt, które tylko

(7) Pizmowiec pizmorodny bez rogów, żyje samotnie na górach Altajskich Syberyi rozciągających się do Chin i Tybetu. Wielkością równa się młodej sarnie; sierć brunatna, krucha, uszy długie, nogi tylne dłuższe od przednich, a zaledwie ślad ogona. Koło pępka jest worek od 2—3 cali, w którym znajduje się pizmo.

żyją w pewnych okolicach i strefach. I tak: kiedy koza dzika, lub kozioł skalny (8), płodzą się tylko między lodami gór Pirenejskich lub Alpejskich; kiedy orły, sępy brodate (9), kondory, (10) szybują nad ostatnimi wierzchołkami Alpów i Kordyllerów, to ryby zatrzymują się daleko jeszcze od źródła rzek, biorących początek swój u podnóża wierzchołków tych gór. W jeziorach Pirenejskich położonych wyżej o 2,240 metrów nad powierzchnią morza, Ramond nie znajdował wcale ryb. Na wysokości téj, temperatura jest $1\frac{1}{2}$ stopnia wyżej zera. Jeziora te, ponieważ przez 9 miesięcy w roku pokryte są lodami, a zatem nie może powietrze odświeżać się w wodzie zamkniętej pod lodem. Zasadzając się na tym fakcie, naturalista francuzki twierdzi, że jedynie dlatego, ryby nie mogą tam przemieszkować. Humboldt zwrócił

(8) Przebywa on na najwyższych górach Włoch, Szwajcaryi, Kandyi, Syberyi; wspina się po najstromejszych i dla człowieka niedostępnych skałach. Kozioł ten większy od pospolitego, sierć ma żółto-brunatną, na głowie popielatą; a chociaż w starości do kilku centnarów waży, z niewymowną lekkością ze skał jednych na drugie, przepaścistemi wąwozami rozdzielonych, przeskakuje. W nocy tylko pasie się. Młodo złowiony łatwo się oswaja.

(9) Nazwisko ma od cechy, to jest od twardej szczeci kasztanowatej na podbródku, która mu głowę zlekka najeża. Mieszkaniec ten Alp Szwajcarskich i Tyrolskich, gór Kaukazkich i Altajskich, jest największy ze wszystkich ptaków europejskich, gdyż rozpostarty skrzydła, do 10 stóp wszérz zajmuje. Gnieździ się w najniebezpieczniejszych ustroniach. Pastwą jego są kozy, owce, cielęta i t. p.; dzieci nawet ma porywać, i dlatego w Szwajcaryi głowa jego jest oceniona.

(10) Nazywają go także sęp gryf. Żyje w Ameryce południowej; rozpostarte skrzydła zajmują 12 stóp wszérz. Wznosi się do dwóch mil w górę i ztamtąd upatrzywszy zdobycz, uderza na bydło, jelenie, sarny; rybami wyrzuconemi z morza nie pogardza. Taką ma siłę w szponach i dziobie, że spore ciele, wydarty mu wprzódy oczy, łatwo pokonywa; mniejsze zwierzęta unosi, a nawet są podania, że kilkoletnie dzieci porwał.

tu słuszną uwagę, że gdyby była prawdziwa przyczyna przez Ramonda wskazana, należałoby znajdować ryby w Andach na wysokości 4,730 metrów, gdzie średnia temperatura ciągle jednaka, sprawia także następstwa. W skutku wszakże inaczej się dzieje. Na Kordyllerach nikną już ryby w rzekach i jeziorach na wysokości 2,700—3,000 metrów. Średnia temperatura tych stref zawiera około $9\frac{1}{2}$ stopni, przez co źródła nigdy tam nie zamarzają. Potrzeba więc w innej przyczynie szukać tego fenomenu. Być może, iż zależy on od znacznego zmniejszania się ciśnienia atmosfery.

Temperatura pewnej okolicy działa na istoty organiczne dwoma ostatecznemi kresami, od których głównie zależy podział roślin i zwierząt. Gatunki niektórych roślin tém więcej rozwijają się posuwając się ku biegunom, im gorętsze lato. Roczna średnia temperatura nierównie jest wyższa w Szerburgu jak w Budzie; jednakże wina ledwie rosną w Normandji, wtenczas kiedy pagórki Tokajskie wydają je wyborne. Zwierzęta w wędrówkach swych, dają nam także poznać podobne wypadki. Humboldt mówi, że latem tygrys królewski zbliża się w północnej Azji do téj szerokości, pod którą położony jest Berlin i Hamburg.

Przytém wysoka temperatura ciągle będąc w połączeniu ze światłem, może być że wywiera znaczny wpływ na organizacyą zwierzęcą. W gorących nadewszystko strefach, widzimy powierzchowność niektórych ssących i ptaków, przedstawiającą szczególne odmiany; naprzykład sierć jest zastąpiona ruchomą łuską (11), a piórze

(11) Pangolin czyli łuskowiec, którego kościste, ruchome łuski okrywają grzbiet, boki i wierzch ogona, i zachodzą na się nawzajem jak łupiny na szyszkach jodłowych; brzegi zaś mają ostre i szpecinowatym rzadkim włosem poprzedzielane. Ojczyzną jego są Indyje i wyspy przyległe.

ptaków włosami jak u kazuara. Pod równikiem tylko i między zwrotnikami, ptaki, ryby i owady odznaczają się że tak powiem pięknym ubiorem, którego kolorom nie mogą wyrównać nawet drogie kamienie. W miarę zaś zbliżania się ku biegunom, szczególnie północnemu, barwy rażąco oslepiającym blaskiem, stopniowo zmieniają się w odcienia spłowiałe i ciemne. Różnicę tę widzimy szczególnie na ptakach. W Europie tylko dzięcioł zielony (12), klesk (13), pełzacz (14) i zimorodek (15) mają ładne pióra, ale czyż mogą one iść w porównanie ze swą rodziną mieszkającą za morzami, w gorących kli-

(12) Wielkością nie przechodzi drozda. Z wierzchu jest żółtawo-zielony, ze spodu białawy z tą różnicą, że samiec ma wierzch głowy karmazynowy gdy samica jest całkiem zielona. Karmi się owadami, mrówkami; szczególnie pszczoły są mu ulubione.

(13) Pochodzi on z gatunku łuszczaków. Piękny ten ptaszek krajom północnym właściwy, niektórych zim i do nas zalatuje. Pokarmem jego są nasiona drzew szyszkowych. U samca głowa, szyja, piersi i kuper są pięknie czerwone, lotki zaś i stérówki czarne. Samica oliwkowa mało ma czerwoności. Jest jeszcze łuszczak kardynał; ojczyzną jego jest Syberya, przelotem jednak z jesieni pokazuje się i u nas. Wierzch głowy, podgarle, piersi i kuper purpurowo-czerwone, grzbiet i skrzydła brunatne potyskujące się różowo.

(14) Pełzacz zwany także pomornik wielkości zięby; w Europie, Chersonезy i cieplejszych krajach Kaukazu, trzyma się murów, wież i t. p. Barwy jest sino-popielatój, z dużą, bardzo piękną różową plamą na skrzydłach a czarną na podgarlu. Lot ma cichy a przylém lekki, jak motyla. W dziurach murów ściele sobie gniazda, a czasem w wyschłych czaszkach głów ludzkich i zwierzęcych.

(15) Zimorodek, zwyczajny na całym prawie dawnym lądzie; ponad stawami, strumieniami i rzekami zimą nawet przemieszkawa. Jest on wielkości skowronka, z wierzchu na skrzydłach lazurowy a głowa zielona, ze spodu żółto-brunatny z przepaską na skroniach żółtą, ogon pięknie błękitny. Karmi się wodnymi owadami. Zaszuszonym w całości zimorodkom, dawniej urojone przypisywano własności, które dotąd utrzymują się między Tatarami i Ostiakami.

matach, lub kolibrami, ptacho-muchami, których cudownie kolorowane pióra (16), odbijają od siebie promienie równikowego słońca?!

Sądząc z rezultatów bezpośrednio opartych na licznych obserwacjach, wpływ ciepła gra tu najgłówniejszą rolę. Niektóre miejsca około biegunów tak są zamieszkałe, jak i odpowiednie im pod równikiem. Morza północne mają tyleż mieszkańców, ile morza międzyzwrotnikowe, lecz przypatrzwszy się bliżej temu faktowi, wnet przekonamy się, iż uderzająca zachodzi różnica. Między zwrotnikami liczba gatunków nierównie jest znaczniejsza, ale zato w morzach północnych wynagradza się ona wielkiem rozmnożeniem się pojedynczych indywiduów. Nietylko widzimy między rodzajami różnicę bez porównania liczniejszą i większą pod równikiem, ale nadto rozciąga się ona i na szczegóły organizacyi, tém więcej godne uwagi, im dalej posuwamy się w kraje cieplejsze.

Milne-Edwards w zajmujących swych badaniach co do geografii skorupiaków, piérwszy zwrócił uwagę na organizacyą zwierzęcą; przez co naturalista ten przyszedł

(16) Rodzaj ten obejmuje najdrobniejsze i nadzwyczaj piękne ptaszęta właściwe Ameryce, Kalifornii i przyłądkowi Dobrej Nadziei. W różnych odmianach mają kolory: czerwony, zielony, błękitny, złocisto-połyskujący. Pokonywają je snadnie pająki zwane ptasznikami. Do zabicia ich bez uszkodzenia piór, najdrobniejszy śróć służyć nie może, ale tylko tryskanie wodą. Pięknością barwy celują samcy; żadna z używanych dotąd farb, podobnego połysku jak mają kolibry nie wyda. Dawni Peruwianie układali z ich piórek mozaikowe obrazy, a kobiety nosiły te ptaki zamiast zausznice. Przeszło 70 już gatunków poznano ich, które się dzielą na *kolibry właściwe* i *ptako-muchy*. Niektóre z nich zowią się *kolibry topazowe*, *kolibry rubinowe* i *kolibry najmniejsze*, mają bowiem tylko od 16 do 17 linii długości i nie przechodzą wielkości trzmiela. Wysuszony waży gran. 30. Znajduje się na wyspach Antylskich i Gujanie.

do nierównie ważniejszych rezultatów. Przekonał się on, że skład organizmu wyrabia się jednakowym sposobem, lecz do pewnego tylko stopnia; to jest, w stosunku ilości ciepła i światła; albowiem w miarę oddalania się od biegunów ku równikowi, machina zwierzęca stopniowo się kształci, i dlatego w gorących tylko morzach znajdują się skorupiaki doskonalszej organizacyi. Możemy ztąd wnosić, że poznanie i zbadanie innych klas żyjących istot, okażą nam podobne rezultata. Dotąd tylko ssące, ptaki i płazy potwierdzają zdanie tego sławnego naturalisty. Małpy naprzykład, które zoologowie kładą na czele ssących, mieszkają tylko w lasach między zwrotnikami, i różne ich gatunki nigdy nie wydalają się za umiarkowane pasy. Na skałach gibraltarskich widzimy tylko w małej liczbie małpy bezogonowe magoty, lecz i te podejrzanego są pochodzenia. Czwororęczne zaś małpy, jak naprzykład orangutany i szympany inaczéj zwane wielkogłowami, zbliżające się najwięcéj organizacyą swą do organizacyi człowieka, żyją wyłącznie w najgorętszym klimacie starożytnego świata.

Fakta powyżéj przytoczone, zdaje się zależą jedynie od połączonej natury istot z wywieranym na nie wpływem przez otaczające je żywicy; z czego na pierwszy rzut oka można wnosić, że geograficzny podział roślin i zwierząt jest skutkiem pomienionych przyczyn. Ale w istocie tak nie jest. Nie można wnosić, ażeby dane miejsce zupełnie zadość czyniło potrzebom dla utrzymania jakiegobądź gatunku roślin lub zwierząt; niekoniecznie ażeby ten lub ów gatunek był w tém tylko miejscu, a nie w inném. W krajach od nas odległych, lubo własność gruntu po największej części jest jednakowa, lubo klimat jest ten sam, jednakże flora i fauna, bywa bardzo

często różnorodna; przynajmniej w tém znaczeniu różnorodna, że gatunki jęj są niejednakowe; wszelako dają one z łatwością nam poznać analogią i zarówno ulegają wpływow zewnętrznym okoliczności.

W istocie, rzeczywisty ten fakt wprowadza do geografii organicznej bardzo ważny element, który zależąc jedynie od obserwacyi, odkryje z czasem zadziwiające wypadki. Przypuśćmy naprzykład, że zoolog obeznany z fauną europejską zwiedzi następnie południową Amerykę, Madagaskar i Nową Holandya; wnet postrzeże on, że zwierzęta w każdej z osobna okolicy, przedstawiają odrębne piętno charakteru; pozna następnie, że niektóre rodzaje, jakby zamknięte były w małej przestrzeni kraju: nakoniec przekona się, że cała fauna w niektórych rozleglejszych miejscach zasadza się na specjalnym typie, który bardzo mało, albo zupełnie nie ma w swym obrębie podobnego sobie wzoru! I tak naprzykład: małpa długorąk, mnoży się tylko na wyspach Moluckich; w Madagaskarze zaś lubo graniczącym z jedną stroną z krajem obfitującym w małpy, jednakże niemasz tam wcale wspomnianego gatunku, ale znajdują się małpozwierze (17), których znowu trudno spotkać w innych okolicach. Nakoniec Nowa Holandya i sąsiednie jęj wyspy są wyłączną ojczyzną torbonosiów (18), stanowiących

(17) Rodzaj ten składa się z kilku gatunków, które różnią się prawie tylko ubarwieniem. Ojczyzną wszystkich jest wyspa Madagaskar. Zręczne są w łażeniu i skakaniu po drzewach. Żyją owocami, owadami, jajami, zwierzętami małymi i rybami. Młodo złapane dają się łatwo ugłaskać i są bardzo łagodne i pieśczołliwe. Twarz u nich jest siercią pokryta, oczy naprzód zwrócone, cyce na piersiach dwa, ręce pięciopalczaste, na palcach paznogie, dłoń krótsza niż łokiec, ogon znacznie długi.

(18) Torbonosiów wyłącznie jest ojczyzną Nowa Holandya. Naturaliści, a między innymi F. Jarocki dzieli je na *workowate* rę-

w téj części świata prawie zupełny rząd ssących, z których tylko dwa lub najwięcej trzy gatunki znajdują się w starożytnym i nowym świecie.

Taki podział zwierząt nie jest dziełem terazniejszego geologicznego peryodu. Owen, którego słusznie można uważać za pierwszego paleontologa ze współczesnych, potwierdził ten fakt tyle ważny pod względem historii kuli ziemskiej. Znakomity ten anatomik angielski po zbadaniu mnóstwa wykopanych kości, wniósł, że w upłynionych geologicznych peryodach, gatunki zwierząt w każdym z osobna kraju lub części świata, przedstawiały rysy charakterystycznych gatunków dziś tamże istniejących; że jak pierwsze tak i drugie należały do jednego typu. Naprzykład, wszystkie kości ssących wykopane lub znalezione na powierzchni w Nowej Holandyi, należą wyłącznie do oryginalnej grupy torbonosiów (dydelfów). Owen robi tylko jeden wyjątek. Mammut którego przedstawia dzisiejszy słoń, zdaje się być rzeczywistym kosmopolitą, ponieważ szczątki jego znajdują w Ameryce, Indyi i Europie, a nawet znajdowano je w Nowej Holandyi. Wszakże widoczném jest, że ów wyjątek w niczém nie nadwiera dowodów Owen'a.

Zupełnie nie można wytłumaczyć powyższy fakt przez założenie, że wszystkie gatunki zwierząt utworzone zostały w jednej tylko danéj przestrzeni, z której nastę-

kate, workowate skaczące i workowate latające. Na szczególną tu uwagę zasługuje znajdujący się u samicy worek na brzuchu, który za pomocą muszkułów może otwierać się i zamykać. Na spodzie tego worka leżą mleczniki, które zjawiają się po pierwszym wyjściu na świat młodych. Potomstwo rodzi się zbyt drobne; chroni je więc matka natychmiast do worka, gdzie póty się młkiem karmi, póki zupełnego nie nabędzie ukształcenia, i niby powtórnie na świat nie wyjdzie. Wszakże i później zabiéra je matka do worka ilekroć grozi niebezpieczeństwo, i ratuje się z niemi ucieczką.

pnie rozeszły się po całej powierzchni kuli ziemskiej. Na takiej bowiem zasadzie nie pojęlibyśmy, jaką drogą mogły one przejść wielką przestrzeń, nie zostawując po sobie najmniejszego śladu; nadewszystko nie wytłumaczylibyśmy, jakim sposobem szczątki wykopane w jednym obrębie, należą do jednego wyłącznie typu, którego gdzieindziej wcale nie znajdujemy. Naturaliści więc zmuszeni byli przyjąć za zasadę: że każdy w szczególności gatunek, od samego początku powstania swego utworzony został przez Stwórcę w okolicy najwięcej sprzyjającej rozwinięciu się jego, i że ztamtąd dopiero rozszedł się na wszystkie części świata; wszelako do granic tylko zakreślonych na pewnych warunkach. Milne-Edwards, który w rozprawach swoich o *geografii skorupiaków* rozwinął wyższy pogląd, jak świadczy tu rys przez nas dany, piérwszy nazwał miejsca na kuli ziemskiej, które zdają się być kolébką wielkiej liczby gatunków oddzielnych, *ogniskami stworzeń* (*centres de création*). Wykazał on przez to wiele faktów ciekawych co do podziału geograficznego zwierząt, wytłumaczył między innými szczególne odosobnienie kilku gatunków; nadto objaśnił przewagę pewnych typów w okolicach, gdzie miejscowe okoliczności przeszkadzają im do wędrówek dalekich, lub napływowi innych gatunków z drugich krajów.

Ze wszystkich faktów najwięcej uzasadniających teorią ognisk stworzenia jest ten, że gatunki zwierząt, należące do dwóch zoologicznych okolic odpowiednich sobie, aklimatyzują się bardzo łatwo, jeśli przeniesiemy je z jednego miejsca na drugie. Codzienne i liczne tego przykłady, przedstawia nam historia osad amerykańskich. Koń, wół i pies wierne i przywiązane służy człowieka

nie istniały w Ameryce przed odkryciem jęj. Kilkanaście sztuk bydła przywiezionych do tęg części świata i puszczonych na wolność, stały się początkiem dzikich gatunków, których niezliczone stada ożywiają dziś równiny, bagna florydzkie i nieprzerwane łąki Stanów Zjednoczonych. Pszczoły podobnież nieznanę były w Ameryce północnej w epoce, kiedy w skutek prześladowań religijnych pozakładano osady, z których utworzyły się dziś potęg państwa. Teraz jednak znajdujemy je tam w stanie dzikim, począwszy od brzegów morza Atlantyckiego aż w głąb' kraju. Podług słów Warden'a, w roku 1797 jeszcze nie było pszczół na zachodzie Missisipii, dopiero w r. 1811 przeleciały one przez tę przegrodę i rozprzestrzeniły się w górę Missisipii i Missiury na przestrzeni wzdłuż 200 mil. A zatém rojenie się ich powiększało się corocznie prawie na 14 mil. Pograniczni Anglo-Amerykanie prowadzą dziś obszerny handel dzikim miodem.

Gdyby kula ziemską zamieszkałą była przez istoty kierowane bezpośrednio samym instynktem, w takim razie podział ich gatunków, zależałby niezawodnie tylko od trzech jedynych przyczyn już wyszczególnionych przez nas. Od ich to mniej lub więcej energicznego działania, od ich wzajemnego wpływu powstałaby równowaga, która mogłaby tylko być naruszoną przez wielkie zmiany, zmiany burzące cały świat. Ale człowiek przez swą umysłową czynność, pośród tych elementów gra rolę, której wpływ częstokroć zmienia stan geografii zoologicznej. Rozmnożył on gatunki pożyteczne, wyniszczył wiele szkodliwych; te nawet, które nie mogły służyć mu do użytku. W XVI i XVII stuleciu, na wyspach Ile-de-France i Bourbon mnożyły się w znacznej ilości ptaki

wielkości łabędzia, które nie mogły z łatwością ani pływać ani latać; ale kiedy wyspy te zostały zaludnione, *dronty* do tego stopnia wyniszczono, iż niektórzy naturaliści, nawet sam Cuvier, powątpiewali o ich istnieniu. Przez jakiś dziwny wypadek unikły pożarcia od owadów dwie łapy i dziób zaginionego dronta, które dziś z wielką troskliwością konserwowane są w gabinecie zoologicznym oxfordskim.

Wszędzie gdzie tylko ukazał się człowiek, widzimy go otoczonym różnym rodzajem zwierząt, albo z potrzeby, lub dla przyjemności. Wszędzie dla tych użytecznych sług wyniszczył gatunki dzikie i szkodliwe. Koń i pies ukazały się z nim we wszystkich częściach świata. Byk i baran na przykładu Dobrej Nadziei zmieniły się w bawoła i antylozę, w Ameryce północnej w bizona i jelenia, w Polinezyi w kangurę i inne gatunki należące do rzędu dwukopytnego. Ale ten sam człowiek przesiedlając się choćby w najodleglejsze strony, prowadzi za sobą także wiele szkodliwych istot, od których nie może uniknąć. Myszy plenią się w składach okrętowych. Zośmiu gatunków szczurów dziś znajdujących się w Brazylii, pięć jest tamtejszych, a trzy przyniesione przez handlujących. Robaki okrętowe dawniej zupełnie nieznanne w naszych morzach, dziś stały się plagą budowli drewnianych w wodzie; a nadewszystko tocząc groble w Holandyi, ciągle grożą krajowi zalaniem. Drugi wróg, może jeszcze szkodliwszy, zagnieździł się we Francyi; od kilku lat zjawily się *thermity* w Rochefort, nierównie jeszcze straszniejsze. Żadną miarą nie można wstrzymać ich rozmnażania się, a razem zapobiedz wyrządzonemu przez nich spustoszeniu.

Tak więc, czynność człowieka częstokroć wpływa na znaczne zmiany w geograficznym podziale istot organicznych, lecz potrzeba dodać, że i w tych zmianach są pewne, zakreślone granice, gdzie w całej potędze widzimy wpływ zewnętrznego świata. Dla przyswojenia jakiegobądź gatunku na innym punkcie ziemi, potrzeba iżby natura zwierzęcia uległa nowym warunkom, w skutek przemiany miejsca. Sam człowiek, władca ziemi, nie jest w stanie uniknąć wpływu fizycznego świata; i gdybyśmy więcej zwrócili uwagę na ten przedmiot, moglibyśmy bez wątpienia wykazać, do jakiego stopnia może rozciągać się jego panowanie. Zapewne znaleźlibyśmy, jak twierdzi Humboldt, że pierwsze źródło zwyczajów, charakteru, zasad moralnych, urządzeń politycznych, słowem wszelkich okoliczności stanowiących byt towarzystwa, częstokroć zasadza się na położeniu czyli miejscowości kraju i jego klimacie. Naprzykład, mieszkańiec okolic leśnych z konieczności jest myśliwym; mieszkańcy zaś stepowi, zajmują się chowem bydła, kiedy zamieszkali nad brzegami jezior, rzek i mórz, trudnią się połowem ryb. Wszyscy ci trzej w swoim zawodzie, zostawieni samym sobie, niezawodnie przyjdą do mniej lub więcej wyższych pojęć o przedwiecznej istocie, która kieruje ich losem, wyznacza w przyszłości nagrodę za dobre uczynki, a za złe karę. Wytłumaczy każdy z nich ogólną tę zasadę, stosownie do położenia swego i stanu życia. Każdy z nich zegnije kolana z uwielbieniem lub trwogą przed Fetyszami, utworzonymi przez niego na wzór otaczających go przedmiotów. Zaiste!.. uderzające zespolenie przyczyn i skutków!.. Ażeby zadość uczynić warunkom istnienia, łączą się wszystkie odćienia świata organicznego, począwszy od największych aż do naj-

mniejszych zjawisk; od cywilizacyi aż do ostatniego wy-
moczka łączą się, powtarzam, z całą przeszłością naszej
planety i terazniejszymi prawami kształcaćemi światy!

Dzieło Humboldta niepodobna nie czytać z uwielbie-
niem dla autora. Jest ono systematycznym rysem ogrom-
nej liczby faktów i uczonych rezultatów. Ażeby dać
o niém bliższe pojęcie, powinniśmy byli wybrać z niego
niektóre ustępy dla lepszego pokazania idei całego utwo-
ru. Każdy rozsądny człowiek czyto z powołania uczo-
ny, czy jako lubownik dzieł poważnych i gruntownych,
powinien czytać *Kosmos* Humboldta. Dzieło to w ma-
lowniczych obrazach, daje nam poznać trudne zadania
tyczące się kosmologii, do których autor przyszedł drogą
szczegółowego zapatrywania się na naturę; a wreszcie
zdania, wnioski i twierdzenia w niém zawarte zdają
się tém pewniejsze, że są oparte na rzeczywistych obser-
wacyach (*).

(*) Winniśmy tu dodać jeszcze, iż w całej powyższej rozpra-
wie, trzymaliśmy się ściśle zdania p. Quatrefages o życiu Hum-
boldta i jego dziele ogłoszonego w *Revue des deux Mondes*. Uwa-
żaliśmy tylko koniecznym nieco obszerniej powiedzieć o *teoryi*
obłoczkowej, aerolitach i liniach równych temperatur jako o przed-
miotach bardzo mało u nas upowszechnionych. Co zaś do *geo-*
grafii zoologicznej i botanicznej w niczém nie odstępowaliśmy od
wniosków i twierdzeń p. Quatrefages, dodając tylko przypiski,
do tych szczególnie gatunków zwierząt, które są mniej znane.

J. S.



PANNA POSTĘPOWA.

OPOWIADANIE

PRZEZ

Józefa Korzeniowskiego.

There are more things in heaven and earth, Horatio,
Than are dreamt of in your Philosophy.
Hamlet.

Z téj strony Chełma, postrzega podróżny na lewo obszerną dolinę zarzuconą wioskami, których ogrody i dwory okazują jeszcze podolską i wołyńską zamożność. Jak tylko oko sięga, widać tam pokrzyżowane drogi, po większej części wysadzone drzewami, tu i owdzie wysokie i białe kościołki, wieńcem starożytnych lip otoczone, a na polach wszędzie staranną uprawę, żywszą wegetacją, liczne trzody bydła i owiec, i gdzieniegdzie przesuwający się powóz, który dzielna czwórka od jednego dworu do drugiego przenosi. Okolica to gościnna, obfitująca w dorodne panny, co jak dokwitające róże pochylają zamysłone główki, przeczuwając ową chwilę, w której ręka śmiała je zerwie i do wieńca społecznego życia zapłącze.

W jednym z najokazalszych dworów téj pięknej doliny, mieszkała rodzina złożona z ojca, matki i córki jedynaczki. Major S* dawny wojskowy, bez wielkiej nauki, z wychowaniem niewykwintnym, ale z rozsądkiem i dobrą sercem, był owym zwyczajnym obywatelem, jakich mamy jeszcze po wsiach, i jakich liczba, nie powiem że z dobrem rodzin i kraju, coraz się umniejsza. Prowadził on gospodarstwo z akuratnością szwadronową; polował chętnie, marząc na stanowiskach o młodych latach, które mu przeszły na placówkach i wedetach; lubił czasem puścić się w opowiadanie dawnych czasów w gronie przyjaciół i z kieliszkiem w rękę: od kart nie stronił, ale dobrą polską książkę, dobrą dykteryjkę, przynosił nad wszelką zabawę. Pani S* była to tak nazwana prosta i dobra kobieta, co u nas w dziwnym wykręceniu wyrazów, w dziwniejszym jeszcze rozbiciu głów naszych na różnych kopytach, jest prawie ubliżającym epitetem. Wprawdzie nie lubiła ona mówić po francuzku, nie ubierała się modnie, nie wprowadziła do domu wieczornych obiadów, płukania ust w ciemno-błękitnych szklaneczkach; nie zrobiła ze swojej sali labiryntu mebli, i nie kazała sobie na wsi anonsować przybywających gości; ale miała niewyczerpaną uprzejmość dla wszystkich, kochała męża, obchodziła się po macierzyńsku ze sługami, i co oszczędziła czasu nieczytając francuzkich romansów, to łożyła na gospodarstwo, co zostało z wydatków przez nieprzeplacanie wykwinnych strojów, to szło na obfite, przystojne i staropolskie ucztowanie przybywających w dom jej sąsiadów. Z tych kilku rysów łatwo czytelnicy wniosą, że dom taki miał przyjaciół, że gościnność tak szczerą, tak niezmordowaną, tak wylaną, napełniała go często licznym gronem, tém bardziej, że pod tym

dachem, gdzie każdego czekało serdeczne powitanie, rozwijał się i jaśniał kwiat pełen powabu i nadziei. Była to owa córka jedynaczka, dwudziestoletnia panna, obdarzona od natury śliczném ciałem, okiem dużém, błękitném, pełném wyrazu; uśmiechem cudnym, chociaż najczęściej ironicznym i wzgardliwym, głosem dźwięcznym, który objawiał serce pełne mocy i postanowienia. Ciemne jój włosy, lśniły się silnym kasztanowym reflexem na czole białém i gładkiém, z którego jaśniał rozum i wybijała myśl mężka i energiczna. Nosila zwykle długie loki, których cień padał na jój szyję nadzwyczajnej białości, i z któremi ręka jój sformna, przy słuchaniu mówiących, zwykle igrała. Wysoka, giętka, nadawała ciału swemu powabne pozy w staniu i siedzeniu; szczególniej umiała chodzić z gracyą, co rzadko umieją kobiety. Taką była p. Salomea S*: która do téj piękności tak głośniejszej, tak powszechnie uwielbianej, żadnej nie przywiązywała ceny, i przez ten brak próżności, wcale nieudany, tém się niebezpieczniejszą stawała.

Rodzice z miłością i podziwieniem patrzyli na to cudne stworzenie. Ojciec rozważał, rozmyślał, komuby skarb taki oddać; matka w poddaniu się religijném kłęcząc i modląc się prosiła Boga, aby przyprowadził do domu dobrego człowieka, w którego rece złożyłaby nadzieję i cel swego życia. Ale i ojciec i matka postrzegali z trwogą, że w głowie p. Salomei zagnieździły się myśli, które mogły ich plany zniweczyć i nawet modły dobrej kobiety zrobić nieskutecznymi. P. Salomea była filozofka, która w nic prawie nie wierzyła, tylko w sylogizm; była owa dzisiejsza filantropka, której się zdawało, że w ewangelii jest myłka, i że miłość bliźniego inaczej, niż tam wypisano, rozumieć należy; było

śmiała argumentorka, która nawet w tém żądała postępu, co nie należy do ziemi, co nie jest wyrobem rozumu. Słowem, było prześliczny potworek, który najstosowniej panną postępową nazwać można. Wprawdzie chodziła ona do kościoła, czytała na książeczce ładnie oprawnéj; ale jéj dusza zapomniała szczeréj, dawniejszój modlitwy. Nie byłato już bowiem owa śliczna i marząca Salunia, która nieraz po godzinie całej kłęczała w swoim pokoiku, białe rączki złożone trzymała przed koralowemi ustami, i oczy błękitne, uperlone łą poetyczną, wlepiała w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Byłato dumna rozumem p. Salomea, mająca pełną głowę argumentów przeciw wszelkim przesadom, wszelkiéj wierze w związek nasz ze światem zamysłowym, śmiejąc się z wszelkiego cudu, z każdego zjawienia, którego wyrozumować nie mogła. Admirowała ona wprawdzie wielkość stworzenia, rozprawiała nawet o Bogu; ale w zadziwiającym ruchu światów pojmowała tylko siłę ciężkości, a na niebie, rozjaśnioném milionami słońc, widziała tylko iskry elektryczne. Ta przesadzona ufność w rozum, odjęła jéj sercu poezją religii, i zmniejszyła nawet jéj cześć i wiarę w rodziców, co jest drugą religią na ziemi. Gdzie umysł jéj nabrał tego kierunku, wyszczególniać nie będę. Czytelnicy, znający historią omackowych wędrówek głów naszych, łatwo się domyślą. Powiem tylko, że przez rok cały nie była w domu, i wróciła tam z nowemi myślami, z sercem zupełnie odpocytzowaném. Wszystko téż wydało się jéj nie takiém, jakim było wówczas, kiedy ukończywszy pensyą, pod dach rodzicielski weszła. Ojciec teraz tłumaczył się jakoś nielogicznie; matka nie zdawała sobie sprawy z miłości swéj dla męża i córki; słudzy bez żadnéj podstawy ko-

chali swoich panów, których, według ścisłego wyrozumowania, powinni byli nienawidzić. Pierwszego kawalera, który jój oświadczył swoje uczucia, zapytała: dlaczego pan mię kochasz? jaką masz zasadę? Objawiła rodzicom pół żartem, pół seryo, aby jój nie narzucali nikogo, aby sobie nad tém bynajmniej nie łamali głowy, gdyż minęły te czasy, kiedy ojciec i matka mogli wiedzieć, co do szczęścia ich córek potrzebne; że ona sama sobie wybierze wyższą inteligencyą, co z jój własnego stanowiska spojrzy na terażniejszy stan rzeczy, i na ten ważny fakt życia, osnuty jeszcze w dawniejsze przesady. Ojciec żartował sobie z tego rozumowania, ale matka skrycie płakała. A chociaż szczęściem, p. Salomea nie miała sposobności poprzec czynem swoich oświadczeń, ale rozumek jój gotów był do buntu, i leżał w nim zgromadzony cały arsenał argumentów, które w razie potrzeby, do stanowczego oporu posłużyć jój miały.

Jednego rana, na początku czerwca, stała p. Salomea w otwartém oknie, i chciała sobie zdać sprawę z tego szczęścia, z téj radości, z tego że tak powiem zdrowia duszy, które czuła w swém łonie na widok okrążającej ją natury. Okno to wychodziło na dziedziniec obszerny, usłany murawą, na którego środku stało kilka lip starożytnych, obsypanych kwiatem. Z lewój strony widać było gazony, kwieciste bukiety i klomby pięknego ogrodu, który się daleko rozciągał. W środku sztachtów, oddzielających ogród od dziedzińca, stał niewielki murowany kościółek z wychodzącą naprzód wystawą. Wprost przed oknami na drugiem podwórzu, szły budynki gospodarskie i stajnie majora. Na prawo była brama wjazdowa, ubrana prześlicznemi topolami, a wychyliwszy się cokolwiek z okna, można było widzieć drogę

széroką, równą, ciągnącą się przez wieś; dalej groble z huczącemi młynami i wielkie zwierciadło wody, nad którą stały wiérzby i młode topole. Świeżość ranku, ciepło ożywiający lata, czyste jak szafir niebo, śliczna, zielona, pełna darów bożych ziemia, wciskały gwałtownie w jój serce fale szczęścia, które p. Salomea powoli przez filozoficzne *dlaczego*, jakby przez służę jaką wpuszczała. Wszakże wrażenia, które odbierała, były silniejsze od téj nienaturalnej zapory i już ją rozerwać miały, bo p. Salomea czuła, że się jój łyzy zakręcają w oczach, gdy weszła matka blada, strwożona i zapłakana.

— Co to mamie? zapytała córka całując ją w rękę.

— Ach! moja Saluniu! odpowiedziała pani S*, jeszcze drzę na wspomnienie snu, który mię zdręczył nad ramię.—Uśmiéchnęła się p. Salomea, co widząc matka dodała: Uśmiéchasz się moje dziecię! Postrzegam ja to z żalem od niejakiego czasu, że ty w nic nie wierzysz.

— W sny nie wierzę, moja mamó, jak nie wierzę w strachy. Ale cóżto się mamie śniło? niech mama powie, to ja mamie wytłumaczę, co znaczy ten sen, i dlaczego go mama miała.

— Żle to moje dziecię, że zaraz sobie wszystko chcesz wytłumaczyć, i te twoje nieszczęśliwe *dlaczego* często mię trapi.

— Czyż na to mamy rozum, aby go nie używać? Cóżby można powiedzieć o człowieku, gdyby oczy, które mu dano do patrzenia zamknął, i tak chodził omackiem?

— Nie chcę ja z tobą rezonować, boś ty rozumniejsza odemnie, odpowiedziała matka smutno, ale to wiem, że teraz ze strachem zasypiać będę, bojąc się snów no-

wych. O ciebie w nich idzie moja Saluniu, i nie dziw się, że mię widzisz strwożoną i zapłakaną.

— Cóż tedy mamie się śniło? niechno mama powie! Pytanie to było skutkiem dobrego serca p. Salomei; wiedziała ona, że to matce ulży, gdy się wygada.

— Śniło mi się, moje życie, rzekła pani S*, żeś chodziła z tobą po łące, gdzie było mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Tyś je zrywała, ale wprzód nim miałaś się niemi ozdobić i ucieszyć się ich wonią i barwą, odginałaś listki i śpilką szukałaś tam czegoś we środku. Zrobiłam ci uwagę, że tym sposobem psujesz tylko kwiatki, któremi Bóg tak cudnie ubrał łąkę. Ty wtenczas uśmiechnęłaś się tak, jak teraz się uśmiechasz. Mnie to obraziło, a raczej zasmuciło: zadrżałam w głębi duszy nie wiem dlaczego, i zdobywszy się na odwagę, zaczęłam ci mówić dużo i głośno, ale już teraz nie pamiętam o czém. To tylko wiem, że słowa moje płynęły bystro jak fala, a w sercu i w głowie zawsze było pełno, chociaż wylewały się potokiem. Widać jednak, żeś musiała coś niedorzeczy powiedzieć, boś ty parsknęła ze śmiechu.

— Ach! moja mamó! zawołała p. Salomea zmieszana i zawstydzona.

— Ale zaledwie rozległ się odgłos twego śmiechu, gdy go odbiło jakieś szydercze echo; z ziemi gdzieśmy stały podniosła się zjadliwa i gęsta para; okrążyła cię, objęła, osłoniła—znikłaś mi z oczu. Gdym zaczęła krzyżać, wołać cię po imieniu, wyciągać do ciebie ręce, biedz za tobą, nogi moje były splątane, głos tłumił się w pierśsiach, tylko łzy płynęły swobodnie—i tak obudziłam się splakana. Saluniu droga! jutro sobota, pójdźmy obie do spowiedzi, dodała matka tuląc w objęciu ukochaną córkę i płacząc rzewnie.

— Niechno mama będzie łaskawa siądzie, rzekła p. Salomea całując jój ręce. — Usiadły więc obie w otwartém oknie, a córka filozofka, z smutném okiem, z uśmiechem na przesłicznych ustach, tak mówiła do matki strwożonej i zapłakanój: Teorya snów, moja mammo, i wszystkich naszych przywidzeń jest następująca. W głowie naszój jest warsztat, w którym każda władza, jaką obdarzeni jesteśmy wykonywa swoje funkcją. Czeladź ta póty wszystko robi sformie i w porządku. póki dozorca tego warsztatu, rozsądek, czuwa i szykuje właściwie rezultata ich pracy. Dlatego moja mammo, kiedy człowiek pijany bredzi, to znaczy, że wyziewy trunku afektują za silnie rozsądek, odbierają mu działalność i pozwalają bujać imaginacyi i pamięci. To samo się dzieje w gorączce, to samo w pomieszaniu zmysłów. W tym ostatnim stanie nie imaginacya słabnie, nie pamięć; owszem, są one niezmiernie silne i w ciągłym ruchu, ale niéma regulatora, któryby obrazy w nich złożone i na nowo cisnące się uszykował i każdy z nich w następstwie logiczném umieścił. — Ze spuszczoną głową, ze splecionemi na kolanach rękami słuchała matka téj analizy, a p. Salomea odchrząknawszy tak dalej mówiła: Otóż widzi mama, sen jest nietylko odpoczynkiem ciała, ale i odpoczynkiem głowy i zatrzymaniem całego w niej warsztatu myślenia. Póki czuwamy, rozsądek ciągle krząta się i pracuje, dlatego téż najwięcej znużony, najpierw ustaje i spoczywa; później pamięć, a na końcu dopiero imaginacya, władza najsprężystsza, najrzeźwiejsza ze wszystkich. Przy obudzeniu ona znowu najpierw się zrywa i swawoli, póki nie ocknie się rozsądek i nie przyprowadzi jój do porządku. Ztądto, moja mammo, sny przychodzą nam tylko przy zasypianiu i przy

ocknieniu; ztąd one nie są niczém inném, jak niesformém i nielogiczném powtórzeniem i zmieszaniem obrazów, które już były w głowie; ztąd wszystkie wizje zdarzają się tylko w takim stanie pół snu, pół czuwania, lub po gwałtowném jakiém wysileniu uwagi i nadzwyczajném znużeniu rozsądzającej w nas władzy. Widzi tedy mama, czy można do snów i przywidzeń przywiązywać jaką wagę, jakie znaczenie, kiedy one są wypadkiem naturalnym naszej organizacyi? kiedy tak poprostu wytłumaczyć się dają? Cudów niéma moja mamo, a w przyszłości to tylko jest prawdą, co rozum może wyrachować.

— Więcej nic? zawołała matka podnosząc na nią oczy, z których łzy płynęły.

Zaledwie p. Salomea otworzyła usta, chcąc matce stanowczo odpowiedzieć, gdy powstał krzyk na dziedzińcu. Ludzie od bramy uciekali przestraszeni; za bramą zaś, na ulicy rozlegał się tentent straszliwy i hurkot rozpędzonego powozu. Matka i córka porwały się z miejsc swoich, wyjrzały w okno i obaczyły wpadającą na dziedziniec parę rozhukanych koni, które ciągnęły kocz otwarty. Rumaki były kare, okryte potem; dym buchał z ich nozdrzy rozognionych; piana bryzgała z pysków, które już nie czuły wędzidla. Uprząż była także ciemna, kocz podróżny takiegoż koloru, ale dyszel złamany odbierał możność kierowania. Mimo to, stał w nim młody człowiek ze śmiałą postawą. Jedną ręką trzymał się lekko kozła, drugą ściągał cugle, które mu się co moment wrywały. Jak łódka na falach, tak powóz bez dyszla rzucał się na prawo i na lewo. Młodzieniec jednak nie chwiał się bynajmniej. Na twarzy jego pięknej, ale nadzwyczajnie bladłej, nie widać było ani zmie-

szania, ani przestradchu. Czarne tylko i bujne włosy od wielkiego pędu rozwiewały się z wiatrem, a ciemne wąsy, zapięta pod szyję czarna suknia, odbijały jeszcze mocniej marmurową bladość téj spokojnej i wyrazistej twarzy. Gdy przelatywał koło okna, w którym stały obie kobiety, obrócił się nagle i p. Salomea ujrzała jego oczy, co jak dwa rozjarzone węgle ku niej błysnęły. Przysiadła mimowolnie i dziwne zimno przeszło po całym jéj ciele. Ale była to tylko chwila, krótka jak błyskawica. Kocz poleciał dalej rzucany na prawo i na lewo. Niosły go konie prosto ku owemu kościolkowi, o którym wspomnieliśmy wyżej. Raptem, postrzegłszy taką przed sobą zaporę, zwróciły się na prawo. Tym gwałtownym obrotem powóz zatoczył się silnie, całym impetem uderzył się o wystawę kościółka i rozleciał się w kawałki. Reszty, które się jeszcze trzymały, pociągnęły konie na drugi dziedziniec, z kąd im już wyjście zamknięto, a ów młodzieniec wyrzucony pod powóz, został na miejscu bez zmysłów.

Krzyknęła matka, ale silniej, głębiej, przenikliwiej krzyknęła córka. Gdy się upamiętały, wybiegły obie i zaczęły wołać ratunku. Już na drugim dziedzińcu ludzie ujęli rozhukane konie. Stały one teraz przy sobie ciche, potulne, drżące jakby się téj swawoli i wyrządzonej szkody wstydzily. Był tam właśnie major. Kazał je wziąć do stajni, i napatrzeć się nie mógł na te cudne stworzenia, których piękność przechodziła wszystko co dotąd widział: a byłto stary kawalerzysta i wielki znawca.

Tymczasem trzeźwiono zemdlonego młodzieńca; opatrywano jego ręce i nogi, i chociaż nigdzie nie było śladów złamania, napróżno jednak wszelkich używano spo-

sobów, aby go przyprowadzić do przytomności. Leżał on na ziemi na wznak przy wschodach od kaplicy, o które się widać silnie uderzył. Matka krzątała się tam jak mogła, a córka stała z zaciśniętymi wargami, wpatrując się z wyteżeniem w jego twarz bladą i piękną, i oczekując niecierpliwie aż się otworzą oczy, których chwilowe mignienie tak ją mocno przejęło. Otworzył je nareszcie, spojrział prosto na p. Salomeę i znowu je zamknął, a pierś jego podniosła się ciężkiem odetchnieniem.

— Będzie żył, szepnęła jakby sama do siebie, a na twarz jej wystąpił delikatny rumieniec i znikł w téjże chwili.

Nadszedł i major, kazał go podnieść i tak wpół przytomnego, otwierającego oczy i zamykającego je co moment zaniesiono do pokoju. Nim przybył lekarz, za którym w téjże chwili posłano, ojciec, matka i doświadczeni słudzy starali się ocucić młodzieńca z tak nadzwyczajnego zemdlenia, do którego ciągle powracał. Przez cały ten czas p. Salomea siedziała w témże samym oknie z założonemi rękami, z okiem wyteżoném ku bramie wjazdowej, nadstawiając ucha, czy się nie da słyszeć hurkot powozu. Nareszcie, w półtorej godziny po owém dziwném zdarzeniu zabrzęczały kółka i dzwonki krakowskich chomątów, bryczka wbiegła na dziedziniec i twarz panienki zakwitła jak róża na widok lekarza, który z nięj szybko wysiadał. Porwała się więc z miejsca, i tą razą nie zdając sobie bynajmniej sprawy, dlaczego serce jęj biło, dlaczego twarz pałała, z szybkością łani wbiegła do sieni i pochwywszy za rękę zdziwionego eskulapa, zawołała:

— Ach! mój drogi panie! chodź pan, chodź pan prędzej! To okropny wypadek!

Poszli więc. P. Salomea ukazała mu pokój, gdzie leżał chory i nie śmiała tam wejść sama, ale wpuściwszy lekarza, usiadła przy drzwiach. Tak czuwając na każde skinienie, przyspieszała skutek dawanych ztamtąd rozkazów.

Stan młodzieńca nie był zdesperowany. Uderzenie gwałtowne wprawiło go w te ciągłe mdłości, z których powoli powracać zaczynał, ale wzburzenie silne całego organizmu, przytém irytacja, której doznał i którą widać siłą woli pokonywał, gdy się konie zhukały i niosły go nie tam gdzie pragnął, były przyczyną mocnej gorączki połączonej z delirją.

Użył lekarz stosownych środków, został przy chorym do wieczora, ale nakazał zupełną spokojność i zabronił wszelkiego wybadywania, wszelkiej z nim rozmowy. Gdy wieczorem, już prawie o zmroku wyjeżdżał, uspokoił troskliwą panią S* i jej męża, że jeżeli jutro nie rozwiną się symptomata jakiej złej gorączki, to chory za kilka dni przyjdzie do siebie i będzie mógł wychodzić z pokoju.

P. Salomea nie śmiała mu żadnych robić pytań; słuchała tylko z największą uwagą, co mówił. Gdy po odjeździe medyka, rodzice siedzieli obok siebie i rozmawiali o tém szczególném zdarzeniu, ona chodziła ciągle po pokoju ze schyloną głową niespokojna i zamyślona. W uszach jej tętnił bez przestanku bieg rozpedzonych koni, a imaginacja przedstawiała żywo, z całą okropną prawdą to gwałtowne uderzenie, które zgruchotało powóz i wyrzuciło z niego śmiałego i pięknego młodzieńca. Wszakże i teraz nie przyszło jej na myśl zapytać siebie, dlaczego była niespokojna? dlaczego o niczém inném myśleć, innego obrazu przedstawić sobie nie mo-

gła? Zbliżyła się wreszcie noc głębsza, i rodzice urządziwszy pilny dozór nad chorym, udali się do spoczynku.

Położyła się i p. Salomea, i długo, długo zasnąć nie mogła. A gdy nareszcie ciało wzięło górę nad myślą i zamknęły się jej powieki, sprawdziła się jej teoria snów, i znowu te same obrazy z niezbędnymi przydatkami i w dziwném zmieszaniu dręczyły pochwyconą tak zniecierpliwioną argumentatorkę. Widziała ona te same karekonie niesione pędem wichru; ale już nie para, lecz płomień buchały z ich nozdrzy i otwartych pysków; widziała tego samego młodzieńca stojącego w powozie, kierując nimi podług woli; ale na ustach jego był jakiś szyderski uśmiech, a oczy błyszczały jakimś dziwnym ogniem. Widziała tenże powóz rozpędzony, ale z pod kół jego warkoczających przeraźliwie, sypały się potoki iskier, i przerywały się jak błyskawica chmury dymu, który się za nimi podnosił. I wszystko to nie działo się na rodzicielskim dziedzińcu, ale gdzieś na dzikich bezdrożach, wśród skał i nagich kamieni. Konie pędziły nie do owéj miłej kapliczki, ale leciały prosto nad jakieś strome i straszne urwiska, nad przepaść, która dna nie miała. Przerazona tym ich kierunkiem, rzuciła się ku nim p. Salomea, i wtenczas znalazła się w powozie obok młodzieńca, który ją objął, uderzył lejcami po rozognionych rumakach i razem z nią rzucił się w przepaść. Tak lecieli długo, zawsze na dół, na dół, bez końca: i nic nie było słyhać wokoło, tylko świst gwałtownego ich pędu; nic nie było widać, tylko przestrzeń bez granic w pół jasną, w pół ciemną, bez światła, bez koloru. Zmęczona tym snem okropnym p. Salomea, z głuchym jękiem otworzyła oczy, i obaczyła przed sobą matkę ze świecą, w jednéj koszuli, z twarzą przelękną i bladą.

— Co to jest mamó? zapytała siadając i cisnąc serce dłonią. Czy on umarł?

— Kto? moje dziecię.

— Ale ten chory, rzekła spuszczać oczy. Miałam sen okropny.

— Nie kochaneczko! on usnął. Ale ty jęczałaś bardzo. Przestraszyłam się i przyszłam cię obaczyć. Co ci jest mój aniołku?

— Nic mamó, odpowiedziała zawstydzona, jakąś duszność czuję. Niech mama się położy, dodała całując matkę, ja pójdę trochę do okna, na świeżém powietrzu będzie mi lepiej; tu strasznie gorąco.

— Odzież się przynajmniej i nie siedź długo.

— Nie mamó tylko trochę się odświeżę.— Matka poszła do sypialnego pokoju. P. Salomea narzuciwszy na siebie szlafroczek, wsunawszy białe i śliczne nóżki w miękkie pantofelki, zrzuciwszy czépeczek z głowy i rozgarnawszy gęste swe włosy na czole białém i zamysłoném, poszła do drugiego pokoju, otworzyła to samo okno, w którém siedziała rano, i patrzyła na świat piękny i szeroki. Niebo było błękitne i głębokie; księżyc płynął sobie spokojnie i w milczeniu, gwiazdy rzadko drgały gdzieniegdzie brylantowém światłem na tém polu bez granic. Ciepło było, świeżo, spokojnie w naturze całej. Cichość zupełna była na ziemi, tylko lipy szumiały zlekka, tylko żabki w dalekim stawie przerywaną między sobą prowadziły rozmowę. Usiadła tam p. Salomea, podparła głowę na dłoni, patrzyła na ten uroczy widok, i widziała kare konie rozpędzone, bladą twarz młodzieńca i oczy jego ogniste ku niéj zwracające się. Dlaczego nie widziała nieba, księżycy, gwiazd? dlaczego nie słyszała szmeru lip tak blizkich, i nie zaję-

ła się melancholicznym gwarem skrzeczących zdaleka żabek? także tą razą nie zdawała sobie sprawy.

Na drugi dzień nowy wypadek powiększył jeszcze zamieszanie tego domu. Za ledwie major oczy otworzył, gdy mu dano znać, że owe cudne rumaki, te karosze, które wczoraj tak admirował, za które byłby chętnie całą swą stajnię oddał, takiej były rasy, tak piękne i dorodne, w nocy nie wiedzieć gdzie się podziały. Pobiegnął major pędem do stajni, i obaczył tylko przy żłobie kawałki powrozów od uzdeczek gładko oderznięte. Szarpał uprzejmy gospodarz włosy na głowie, tak mu było żal koni, i tak mu było przykro, że w jego domu, gość niespodziewany, gość nieszczęśliwy, który leżał bez przytomności, który utracił swoich ludzi niepojętym wypadkiem, którego powóz zdruzgotał się, jeszcze i tak dotkliwą stratę poniósł. Stajenni płakali, zaklinali się że żaden z nich do téj kradzieży nie wpływał, że nic nie słyszeli, tylko nad ranem straszne wycie psów na dworze i we wsi. Zaczęto szukać śladów, i znaleziono znaki kopyt końskich prowadzące do bramy, która jak zwykle dawniej po wsiach naszych, nie była na klucz zamknięta. Rozesłał natychmiast major ludzi po wioskach okolicznych dla wyszukania dalszych śladów, a zastępcę wójta posłał do Krasnegostawu z uwiadomieniem o przypadku, który się w jego domu zdarzył, o przybyciu nieznanego, o zaginięciu dwóch ludzi, z których jeden na polu gdzieś przepadł, a drugi na grobli jego, gwałtownem uderzeniem powozu wyrzucony z kozła, wpadł w wodę, utonął, i mimo największe natychmiast czynione poszukiwania, znalezionym nie był. Szczególniej zaś prosił znajomego sobie dobrze p. naczelnika powiatu, aby w śledzeniu owych nieocenionych koni ściśle zarzą-

dzieć kazał poszukiwania. Wydawszy te dyspozycje, wrócił smutny i zamyślony do pokoju z ciężkiem przeczuciem, że ten wypadek jest dopiero początkiem, od którego zacznie się pasmo przykrych zdarzeń, które miały dom jego dotknąć.

Przybyły z powiatu urzędnik nic nowego nie odkrył. O ludziach żadnego nie znaleziono śladu. Przejeżdżający wieśniacy z drugiej wsi, wówczas gdy konie unosiły powóz po zagonach, zeznali, że rzeczywiście widzieli rozpedzony kocz i dwóch ludzi na kozle; że jeden z nich nachylił się z kozła mocno, spadł pod konie i pod koła. Ale czy roztratowanym został czy nie, o tém wieśniacy nic nie umieli powiedzieć, gdyż to był powóz pański, a zatem nie czuli się w obowiązku niesienia mu pomocy, i pojechali sobie dalej poświstując. P. Salomea przytomna temu zeznaniu, zarumieniła się cokolwiek, chociaż wieśniacy w rezonowaniu swoim na mocnej opiérali się zasadzie. Ponowione przy urzędniku poszukiwania w stawie nie odkryły także trupa drugiego człowieka, którego właśnie gdy wpadał do wody, widzieli ludzie przy młynie stojący, i którego kapelusz z szeroką taśmą czarną, oznaczoną czarną stalową cyfrą W. B. złapali. O koniach słuch i ślad zupełnie przepadł.

Ponieważ chory z polecenia lekarza nie mógł być za-
pytywanym, gdyż gorączka nie ustawała, i ciężki ból
głowy dręczył go gwałtownie, widział się przeto zmu-
szonym urzędnik kazać otworzyć jego walizę i szkatułkę
z papierami, przy uproszonych do tego świadkach. Pié-
niądze w wielkiej liczbie oddane zostały za rewersem
gospodarzowi domu do schowania, w papierach zaś
oprócz rozmaitych notat, wyciągów z różnych dzieł, o któ-
rych ani nasz gospodarz ani p. urzędnik nigdy nie sły-

szeli, a których ojciec nie chciał pokazać córce; oprócz kilkunastu książek po większej części angielskich, nic nie znaleziono. Paszport był wydany w Wiedniu d. 1 maja 1846 r. p. Władysławowi B* obywatelowi cyrkułu tarnowskiego, do Królestwa i do Rosyi, wizowany przez posła naszego rezydującego w Austrii, a podpisany z największą akuratnością na wszystkich urzędach celnych i na granicy naszej. Nie miał więc p. urzędnik nic do nadmienia, ale opieczetowawszy papiéry i paszport swoją pieczęcią, oddał gospodarzowi do schowania, prosząc aby dał znać p. naczelnikowi powiatu, gdy stan chorego poprawi się tak, że można będzie z nim samym się rozmówić.

— Idzie szczególnie, rzekł wyjeżdżając, o tego drugiego człowieka, który nie wiezieć gdzie się podział na czystém polu; co jest rzeczą cokolwiek nienaturalną.

— I o te konie panie urzędniku, dodał gospodarz; wolałbym, żeby mi moich dziesięć skradziono.

Po téj wizycie, zwyczajny bieg rzeczy wrócił do domu pana majora S*. Chory miał się coraz lepiej; lekarz przyjeżdżał akuratnie i coraz bardziej pocieszających udzielał zapewnien. Pani S* z całą troskliwością dobrej gospodyni czuwała nad wypełnieniem wszystkich jego przepisów. P. Władysław chociaż nie wiedział jeszcze gdzie się znajduje, chociaż nie mógł wiele mówić, kilku słowami pełnemi znaczenia i ściśnieniem ręki dziękował zacnej kobiecie za jój czułość i starania. W ciągu tego czasu, sen okropny który tak udręczył p. Salomeę pierwszej nocy po owym wypadku, powtórzył się raz jeszcze. Porwała się przełęczona i odziawszy się naprędce, poszła do tego pokoju, który poprzedzał pokój młodzieńca. Siedziała tam klucznica posadzona dla straży przez pa-

nią S*, i chrapał służący dodany do usługi. P. Salomea uprosiła starą Urszulę, żeby weszła do pokoju chorego i zobaczyła czy śpi, i czy mu nie gorzej. Uczyniła starszka zadość prośbie panienki, otworzyła drzwi i poszła na palcach. P. Salomea stanęła przy drzwiach cokolwiek rozwartych, i z bijącym sercem, z półotwartymi ustami i wyteżonym wzrokiem patrzyła na młodzieńca, który całą jej myśl zapełnił, całą duszę ogarnął i opanował.

Łóżko jego stało naprzeciw pod ścianą, a lampa z prawej strony na kominku płonąca, lekkie światło rzucała na twarz jego bladą i oczy zamknięte. Przystąpiła Urszula do łóżka; a choć krok jej był lekki, chory jednak obudził się natychmiast. Ale nie spojrzał na starą kobietę zbliżającą się do łóżka. Oczy jego zwróciły się prosto ku drzwiom i tamże wyciągnęły się ręce. Postrzegła p. Salomea ten sam blask w jego wejrzeniu, który ją uderzył i na wskrós przeniknął wówczas, gdy go pierwszy raz przelatującego przed jej oknami ujrziała. Przestraszona, cofnęła się od drzwi, i usiadła drżąc na krześle klucznicy. Wkrótce wyszła Urszula z pokoju, uspokoiła ją, że chory ma się lepiej, i że spał smaczno. P. Salomea całą mocą swęj woli pokonawszy swe trwogi, udała spokojność i wróciła do siebie, ale zaledwie się położyła, lzy obfitym strumieniem puściły się z jej oczu; pochwyciło ją potem spazmatyczne szlochanie, które biedna tłumiała w sobie jak mogła, okrywszy się z głową, aby nie zbudzić i nie zatrwożyć matki śpiącej w przyległym pokoju.

Tymczasem w sąsiedztwie rozeszła się pogłoska o tém zdarzeniu, i przechodząc z języka na język, urosła w najpotworniejszą banialukę. Jeden z młodych utrzymywał, że p. B* przyjechał z Prus i że to jest ksiądz nowego

kościół; że reputacya p. Salomei jako filozofki, przyjaciółki światła i panny postępowej doszła i tam, i że dlatego właśnie chciał ją pociągnąć do téj missyi, aby jako kobiéta piękna i mowna była organem nowych wyobrażeń w naszej okolicy. Upewniał słowem honoru, że wie o tém z pewnością; wątpiących zaś o powołaniu nowo-sacerdotalném p. Władysława B* przekonywał tém, że p. B* przyjechał karemi końmi, w czarnej uprzęży, w takimże koczku: że na kapeluszu człowieka była takż taśma z czarną cyfrą, i że sam był czarno ubrany i miał czarne włosy. W innym znowu domu, młody jakiś panicz, z zaczesaną na tył czupryną, szeptał zebranym w kółko sąsiadom, o innym wcale posłannictwie p. Władysława; twierdził on, że p. B* zupełnie nie tak się nazywa jak w paszporcie napisano; że on, narrator, wraca takż z zagranicy i wie o tém wszystkiém doskonale. Rozpędziwszy się w sekretném zwierzeniu się swoim, dodał, że p. B* temi samemi karemi końmi powrócił niedawno z Nowego Yorku, dokąd miał tajemną misyą. Gdy obecni parsknęli od śmiechu, zapyrzony młodzieniec upewniał słowem honoru, że widział to na własne oczy w Marsylii, jak p. B* z okrętu na brzeg wysiadłszy, tymż samym powozem, który tam już na niego czekał, pojechał dalej. Panny w okolicy nie mogły się uspokoić, i kazały sobie opowiadać o cudownie pięknym młodzieńcu, który tak nadzwyczajnem zdarzeniem zjawił się w domu majora, i z p. Salomeą pewnie się ożeni. Rozpytywały najtroskliwiej czy on hrabia czy nie, a romantyczne jego zemdlenie i zniknienie ludzi tłumaczyły sobie każda po swojemu. Ta utrzymywała że wpadł tak raptem na dziedziniec aby zafrasować; tamta mówiła, że schował ludzi aby zaintrygować, inna znowu

twierdziła, że rozbił sobie umyślnie głowę o schody kaplicy, aby się stać bardziej interesującym, aby go p. Salomea pilnowała i pielęgnując chorego, zakochała się w zdrowym. Starsi znowu sąsiedzi nie mogli pojąć tak nagłego zniknięcia owych przeslicznych koni. Ten dowodził, że to niepodobna, aby złodziej wkradł się do tak porządnego i militarnie utrzymanego domu; drugi rzucił uwagę, że złodziej musiał mieć kocie oczy, kiedy pociemku właśnie najpiękniejszą parę wyprowadził; inny znowu napomknął, jakto musi niezmiernie boleć majora, który jest takim znawcą i amatorem; inny nareszcie zakonkludował, że się konie pewnie znajdą, jak skoro p. B* wyjedzie; potem niby od niechcienia zaczął mówić o pięknej i ustronnej pasiece majora, do której przystęp wszystkim obcym jest zabroniony, a na ustach słuchających pokazał się domyślny uśmiech, pełen miłości bliźniego i przychylności sąsiedzkiej. Słowem, cała okolica była w ruchu i wszystkie języki w robocie. Przejeżdżano się z jednego domu do drugiego, a wszędzie rozmowa toczyła się tylko o majorze, o p. Salomei, o czarnej cyfrze na czarnej taśmie, o karych koniach, o zaręczynach i rychłym ślubie; od ślubu przyszło naturalną koleją do balu, a od balu jeszcze naturalniejszą do wypisywania materyj na nowe suknie i do składek na generalny transport z Warszawy trzewików i białych rękawiczek. Wszakże to silne zajęcie nie przeszkadzało zwyczajnym odwiedzinom w domu majora; dokąd, oprócz znanej gościnności, obfitego ucztowania, wdzięków p. Salomei, ścigała jeszcze sąsiedztwo ciekawość, chęć poznania interesującego młodzieńca, a może tajemna nadzieja krążąca w głowie niejednej matki, i sze-

pcząca cicho w serduszku niejednej panienki, czy też nie uda się odciągnąć go od kochanej sąsiadki—do siebie.

Gdy p. Władysław wyzdrowiał i wychodzić zaczął, podziękował z wyrazem pełnym powagi za przytułek, który mu dali i za starania których doznał. Na wymówki, na uzalania się gospodarza domu, że stracił tak piękne konie, odpowiedział obojętnym uśmiechem, i prosił na wszystko majora, aby o tém nie myślał wcale.

Ułożenie jego było pełne godności i dobrego tonu. Ubiór zawsze czarny, ale nadzwyczajnie staranny; głos dźwięczny, rozmowa łatwa ale seryo, wyraz téj bladéj twarzy pełen surowéj melancholii. Nie widać w niéj było miękkiejj tkliwości, ale przebijał się jakiś skoncentrowany i głęboki smutek. Czasem tylko gdy oczy jego zbiegły się z oczami p. Salomei, błysnął w nich nagły, niepojęty, przenikający ogień, który przeszywał ją boleśnie jak iskra elektryczna, a ciągnął ku sobie jak magues. P. Salomea zrobiła się dziwnie skromna, milcząca i zamyślona. Bała się rozpocząć z nim ulubionych dawniejj dysput; nie śmiała złożyć swych ślicznych ustek do owego ironicznego uśmiechu, który był im zwyczajnym, a przecież nie mogła się oprzeć niepojętemu pociągowi, który ją porywał ku niemu gwałtownie, boleśnie. Bała się go, drżała jak listek na tę myśl, że jéj przyjdzie kiedyś oprzeć się na téj ręce, oddać jego objęciu, puścić się w świat szeroki z człowiekiem nieznanym, dziwnym, niepojętym. A przecież czuła, że inaczej być nie może, że będzie posłuszną jego skinieniu, że pójdzie gdy każe, że z zamiérającą duszą uchwyci się jego szyi i rzuci się z nim choćby w tę przepaść, którą w śnie piérwszej nocy widziała. Kochała go biédna nadzwyczajnie; ale nie było owa święta, spokojna tkli-

wość, owo wylanie myśli szczére i ze dna duszy; owo bezpieczeństwo zobopólne kochającój się po bożemu parry, wierzącój w siebie i w przyszłość, pewnej że Bóg łączy ich ręce, że nad ich zbliżonemi do siebie głowami skrzydła aniołów jego czuwają. Jój przywiązanie było silnym, bolesnym, nieprzewyciężonym pociąganiem, niepodsycałym z jego strony żadnemi zabiegami, nie karmioném żadném staraniem. P. Salomea czuła się niezmiernie nieszczęśliwą; drżała gdy do niój mówił, bladła gdy się do niój zbliżał; ale gdy na nią spojrział, gdy postrzegła w jego oczach ten blask niepojęty, szła ku niemu sama, tuliła się w myśli na jego łonie, i gdyby był tego zażądał, w obliczu rodziców, w obec stu świadków byłaby się rzuciła w jego objęcia.

Tak gwałtownój namiętności nie mogli nie postrzedz rodzice, nie mogli nie widziéć odwiedzający dom ich goście. Państwo S* nie mieli wprawdzie nic do zarzucenia p. Władysławowi; tak poważném, tak pełném godności było jego postępowanie, tak ujmujące, tak światłe jego rozmowy. Unikał on widocznie zejścia się sam na sam z ich córką, żadnych jój nigdy nie prawił grzeczności, a przecież w sercach tych prostodusznych i religijnych ludzi tkwił jakiś nieprzewyciężony wstręt do człowieka, którego całe zjawienie się było tak tajemniczym, tak nadzwyczajném, którego bytu i jestestwa nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie mógl. Wszyscy jednak łamali sobie nad tém głowy. Ta tylko, co dawniej każdą rzecz rozbiérała i szukała zasady: czemu drży serce przy majestatycznym zachodzie słońca, czemu dziecko wyciąga rączki z kolébki przy zbliżeniu się matki, ta tylko nie rezonowała wcale, nie dochodziła zkąd on, dokąd idzie, ale ślepo bez żadnego zastanowienia, posłuszna była je-

go skinieniu; jak okruszyna żelaza lgnie do magnesu, tak ona lgnęła do jego twarzy, i całą duszą, całą swą istotą powodowała się jego magicznemu wejrzeniu.

— Saluniu droga, ty się gubisz, rzekła raz matka.

— Dlaczego moja mamó! jam szczęśliwa.

— Ale patrz, jaki on dla ciebie zimny, jaki obojętny, dodała matka.

— To nic, mamó, tém więcej go kocham.

— Ale on ciebie nie kocha wcale.

— Mniejsza o to, ja powinnam mu być posłuszną, odpowiedziała córka drżąc i blednąc.

— Czegóż tak drzysz i bledniesz moje dziecię; ty się go boisz.

— Boję się go mamó bardzo.

— To ja mu powiem, żeby sobie jechał.

— Nie mów droga matko, bo ja umrę, dodała panna Salomea tuląc się na łonie matki.

— O! nieszczęście jakieś dotknęło nas, zawołała pani S* ściskając córkę i mocno płacząc.

Tak przeszło parę tygodni do zupełnego wyzdrowienia p. Władysława, który żadném słowem nie zdradził swojej tajemnicy, nigdy się nie wymówił dokąd jechał, po co tu przybył, gdzie się dalej uda. Chociaż widział jaką ma władzę nad sercem p. Salomei, ani rodzicom nie wyjawił swoich względem niej zamiarów, ani jój, biédnej, żadném słówkiem nie odkrył swoich uczuć. Czasem tylko wlepił w nią na chwilę wzrok przenikający, i wówczas wszelka wola słabła w tém sercu, niegdys tak energiczném. W życiu p. Władysława nie było nic szczególnego. Rano pracował, potem przychodził na śniadanie, rozmawiał z ojcem, z matką, rzadziej z p. Salomeą; dał jój czasem jaką angielską książeczkę, bo ten język

bardzo lubił; objaśnił czego nie rozumiała, bo nie bardzo jeszcze była w nim biegłą.

W wieczór tylko gdzieś znikał na samotnej przechadźce, i to zastanawiało wszystkich, dawało powód do rozmaitych domysłów, i przypominało owe nadnaturalne zniknięcie ludzi i koni.

Szczególniej ta okoliczność uderzała każdego i majora i w okolicy, po której się to już rozeszło, że chociaż wiedziano, iż go w domu niéma, nikt go nigdzie i nigdy w tych samotnych przechadzkach nie spotkał.

W tym właśnie czasie p. Władysław, który już wyzdrowiał zupełnie i którego kocz był wyreperowany, wspomniał coś o wyjeździe. Państwo S* nie mówili ani słowa; radzi że spadnie z ich serca ten ciężar, który jak kamień ich przygniatał. Ale p. Salomea na samą wzmiankę jego wyjazdu czuła się blizką rozpacz. Błada, ze ściśnioném sercem chodziła w pół żywa. Nie śmiała sama zacząć z nim rozmowy; a on żadném słowem nie pocieszył jój, nie zachęcił do otwartego wylania się; nic ani o żalu swoim że ją opuszcza nie powiedział, nic o powrocie nie wspomniał. Miał wyjechać w nocy 19 czerwca w sam dzień imienin pani S*, na który dużo z okolicy zjechało się gości.

Po dość późnym obiedzie, gdy wszyscy zebrani byli w ogrodzie, całe niebo zaciągnęło się nagle chmurami, dalekie odezwały się grzmoty, dęszcz zaczął padać i burza nadchodziła. Schronili się więc goście do pokoju, pozamykano okna, i cała kompania usadowiwszy się w różnych grupach, bawiła się rozmową. Tymczasem chmury coraz gęstsze zakrywały horyzont; nasuwały się jedna na drugą mieniając straszne swe oblicze i przybiérając groźne kolory. Huk jakiś głuchy rozlegał się zdaleka

kiedykolwiek błyskawica przesywała ciemne i wzburzone obłoki. Gdy rozmowa prawie ustała pod wpływem téj mimowolnéj trwogi, jakiej doznaje słaba ziemska istota patrząc na zagniewane niebo, dał się słyszeć tentent na dziedzińcu i wpadł konno jeden z młodych sąsiadów majora, uciekający widać szybko przed nadchodzącą burzą. Gdy wszedł do pokoju i spojrzał na p. Władysława, stanął jak wryty i na twarzy jego wyraził się jakiś przestach i zadziwienie.

— Czy pan mię pierwszy raz widzisz? zapytał zimno p. Władysław, żeś się tak zadziwił.

— Dziwi mię to, odpowiedział młodzieniec, że pana tu widzę. Przed kwadranssem widziałem pana o pół mili ztąd, pędzącego przez pole, na karym koniu, w stronę zupełnie przeciwną temu domowi.—Wszyscy przytomni spojrzeli po sobie; jedni się uśmiechnęli z niedowiarstwem, inni dziwną przejęcią trwogą, odsunęli się z krzesłami, a pani S* uchwyciła za rękę p. Salomeę i trzymała ją przy sobie.

Rzeczywiście, przed kwadranssem p. Władysław oddalił się był z kompanii do swego pokoju, z kąd przyniósł angielskie album z portretami najpiękniejszych kobiet Anglii. Obecne damy żądały to widzieć; gdyż jedne spodziewały się tam znaleźć jakieś podobieństwo do siebie, inne bały się czy nie ma jakiego podobieństwa do sąsiadek. Nieobecność ta jednak p. Władysława nie trwała więcej jak dziesięć minut.

— Przywidziało ci się kochany Augustcie, rzekł gospodarz, p. Władysław nie wychodził dziś nigdzie.

— Musiałeś jakiego żyda galopującego widzieć zdaleka, rzekł jeden młody człowiek.

— Niekoniecznie potrzebnym tu był żyd, odpowiedział z powagą p. Władysław. Są w naturze rzeczy nadzwyczajne, które zwykle w stanie wzburzonej atmosfery objawiają się ludziom. Bo nie jestto próżny i teatralny wymysł, że wszystkim widzeniom nadprzyrodzonym towarzyszy grzmot i błyskawica. Porządek zwykły, codzienny, naturalny, zmienia się tylko dla przestrogi śmiertelnych, zbyt zaufanych we własne siły i zapominających, że ziemia tajemnemi niemi powiązana jest ze światem zamysłowym i zarozumowym. Przestróg tych udziela natura niechętnie, z musu, a zatém z gniewem i groźbą; a najwidoczniejszym dla ludzi wyrazem jój gniewu jest hurza, przed którą najzuchwalszy śmiałek na twarz upada. Dlatego nie mam panu za złe, żeś się strwożył i zardziwił. Twierdzę tylko to, żeś był w domu i nigdzie się nie oddalał; ale nie zaprzeczam bynajmniej, żeś pan mnie widział. To być bardzo może.

Te słowa wymówione z mocą, jak iskra elektryczna rozbiegły się po obecnych i niejedna twarz pobladła. P. Salomea zadrzała w głębi duszy, nie śmiała się odezwać, nie śmiała na niego oczu podnieść. Wszystkie jój dawniejsze argumenta, jak broń pordzewiała i połamana, leżały bez użytku. Wszakże niektórzy z młodych, nie pokonani tak jak nasza ex-filozofka, ze zwykłą nam chęcią argumentowania na wiatr, wszczełi o tym przedmiocie dysputę. Znaleźli się przeciwnicy, zwłaszcza między starszemi co ich zbijali faktami. Taką drogą od sporów, przeszła rozmowa do opowiadań wypadków nadzwyczajnych, w które nibyto nie wierzymy dla mody, z których uśmiéchamy się dla pokazania rozumu, a które w głębi duszy znajdują interes i jakieś niewytłumaczone i niepojęte echo.

— Gadajcie sobie panowie młodzi co chcecie, rzekł gospodarz, przyjaciel wszelkich dykteryek, ale w tém nikt mnie nie przekona, żem wtenczas spał, gdy mi się zdarzyło, co powiem. W r. 1809 pułk nasz został w Hiszpanii; tylko szwadron jeden odkomenderowano do Niemiec. W tym szwadronie byłem i ja. Wychodziłem bardzo smutny. Nie żał mi było hiszpańskiego nieba i czarnych oczów Hiszpanek, bo niebo nas piekło, a czarne oczy patrzyły nie z miłością, ale z groźbą. Lecz żał mi było przyjaciela jedynego, serdecznego, który zostawał w drugim szwadronie. Był to człowiek śmiały i dobry, ale zawsze smutny, jakby coś złego przeczuwał. Ten jego stan tém bardziej mnie trwożył, że to nie był religiant, niezupełnie wierzył w miłosierdzie Boże, i nie szukał pociechy w modlitwie. Gdyśmy przyszli do Niemiec, rozłokowano nasz oddział niedaleko od Erfurtu, a mój szwadron i mnie w małej wiosce, gdzie był zamek niezamieszkały, chociaż jeszcze w dobrym stanie i z całkowitem staroświeckim umeblowaniem. Miałem trzy ogromne pokoje z marmurową posadzką, z wysokimi krzesłami, ze stołami pokrytymi marmurem. W kolosalnych kominach marmurowych szumiał wiatr, a portrety na ścianach zdały się wytrzeszczać na mnie wielkie i jaskrawe oczy. Mój wiarus układał się sobie w pierwszym pokoju w najutulniejszym kącie, podłożył ładownicę pod głowę, obwinął się płaszczem, i zaczął w najlepsze chrapać; ja zaś, zamknąłem wchodowe drzwi na klucz, przymknąłem dwoje drzwi za sobą, i udałem się aż do trzeciego pokoju, gdzie stało wielkie łóże. Położyłem się także, postawiwszy świecę na stole i pod ręką mając pałasz i pistolety. Ale gdzie tam! sen ani brał się do

moich powiek. Oprócz przypomnień różnych powieści o opuszczonych zamkach, o których kiedykolwiek słyszałem, przeszkadzało mi jeszcze chrapanie mojego wiarusa, rozlegające się najdziwniejszém echem po pustych pokojach, i łączące się w jakąś dziwną oktawę ze świstem wiatru, który grał sobie w kominach. Na takiej męczącej bezsenności przeszło mi godzin więcej niż dwie. Już noc była głęboka, gdy nagle zdało mi się, że słyszę stuk zamka we drzwiach wchodowych. Usiadłem na łóżku, i chwyciłem pistolet odwiódłszy oba kurki. Po chwili, usłyszałem wyraźnie w pierwszym pokoju chód ciężki i silny, dzwonienie ostróg i brzęk sunącego się po posadzce pałasza. Porwałem się z łóżka, i po chwili namysłu, wniosłem, że to zapewne mój ułan musi sobie wędrować pościemku. Dla przekonania się zbliżyłem się do drzwi średniego pokoju, i usłyszałem harmonią jego nosową, rozlegającą się zawzięcie i dochodzącą najwyższych tonów. Wówczas dreszcz mimowolny przejął mię. Chód i brzęk już był w średnim pokoju, i widocznie ktoś inny się przybliżał. Nie było czego czekać. Otwarłem raptem drzwi, gotów do odparcia napastnika. Ale jakież było moje podziwienie, gdy obaczył na środku pokoju — mojego przyjaciela. Twarz jego była blada, ale spokojna, i uśmiech na ustach. Widziałem go tak wyraźnie, jak widzę panów. Zapomniałem się na chwilę, rzuciłem pistolet, i z wyciągnionemi rękami chciałem biedz ku niemu. On mi dał znak abym się zatrzymał. Stałem jak wryty, i zimno niepojęte zatrzymało bieg krwi w moich żyłach. Mój przyjaciel położywszy rękę na sercu podniósł ją w górę, jakby ukazując niebo, potem przezeгнаł mnie zdaleka, odwrócił się i poszedł. Nie słyszałem już jego kroków gdy odchodził, ani brzęku szabli

po posadzce, ani stuku zamka we drzwiach wychodowych. Gdym się opamiętał, wszedłem do pierwszego pokoju; drzwi były na klucz zamknięte, jakem je zostawił, mój wiarus chrapał, a wiatr świstał w kominie. Wróciłem nazad; zastałem swój pistolet na ziemi. Podjąłem go smutny i zamyślony, i klękawszy przy łożu, długo, długo modliłem się gorąco. We trzy miesiące odebrałem list z Hiszpanii od innego kolegi, do którego zaraz nazajutrz pisał, że mój biedny przyjaciel téjże samej nocy, w jakiejś zasadzce okrutnie zamordowanym został.

— Ale wtenczas, gdyś pan miał to widzenie, nie grzmiało wcale, odezwała się z przekąsem do p. B* jedna z młodych inteligencyi.

— Teraz grzmi, rzekł surowo p. Władysław, spojrzawszy dziwnie na młodzieńca.

Jakoż huk głuchy rozległ się po powietrzu, i grzmot silny, przeciągły, przeraźliwy zdawał się zbliżać ku domowi i nad samym jego dachem przesuwac. Młodzieniec spuścił oczy w ziemię, wszyscy przytomni zsunęli się bliżej, panienki chwyciły jedna drugą za rękę, a pani S* objęła tulącą się do siebie p. Salomeę, jakby ją chciała macierzyńskiem skrzydłem przed bliżkiem nieszczęściem osłonić.

Pomimo wrażenia, jakie opowiadanie to majora sprawiło, zwłaszcza przy towarzyszących mu okolicznościach, powab tego rodzaju legend jest tak wielki, że jedna zwykle wywołuje drugą. Gdy ten i ów wypowiedział swoje, pułkownik T* człowiek poważny i nie lubiący płochy powtarzać bajeczek bez treści, rzekł:

— Czy uważacie państwo, że niema żadnej powieści o zjawieniach nadzwyczajnych, któraby się nie łączyła

z jakimś poważnym uczuciem przyjaźni, miłości, czci dziecińskiej, któraby nie zawierała w sobie kary za niedowiarstwo, za nieuczczenie woli rodzicielskiej, za złamanie przysięgi, za zgwałcenie tych świętych przepisów, które natura tajemniczym palcem w sercach naszych wypisała. I dlatego one znajdują tak jawną wiarę w prostaczkach, tak głęboką, choć starannie tajoną w mędrkach, bo w każdej jest coś świętego, jest jakieś echo i wyraz sumienia.

— Masz racją, masz racją pułkowniku, przerwała jedna z dam, 60-letnia staruszka, ale jeszcze żywa i mowna. Jako potwierdzenie twojej uwagi, opowiem państwu co się zdarzyło mojemu znajomemu hr. Ch.* i co mi sam lat temu kilkadziesiąt opowiadał. Byłam wówczas bardzo młodą, ale wrażenie zostało. Widzicie tedy państwo, że to czasy dawniejsze, ale niedowiarstwo, że wszystkimi jego konsekwencyami nie jest rzeczą nową. W młodości hr. Ch.* czytywał tylko same francuzkie książki i miał się za wielkiego filozofa. *Le bon sens* był jego Bogiem, i naturalnie sprowadzał go z drogi ewangelii i niektórych punktów dziesięciorga przykazań. Hr. Ch.* miał matkę, starą kobietę niezmiernie pobożną, cnotliwą, dobroczynną; słowem, wzór matron, ostatek owych dawnych i świętych kobiet, które panowanie Stanisława Augusta wyplenilo z Polski, a które jeszcze gdzieś kryły się po zakątkach prowincyi. Otóż zacna ta pani, znając zasady i widząc życie swego jedynaka, niezmiernie się martwiła, i upominała go często słowem i łzami; ale gdy to nic nie pomagało, gdy syn filozof chciał jeszcze starą matkę nawracać, gdy z przekąsem, z ironią jój odpowiadał, i zarzucał ją argumentami, na które zadrzała w głębi duszy, opuściła go, udała się do

innego majątku koło Sokala, i tam zamknąwszy się w domu, zabroniła do niego wstępu synowi. Nie żyła ona z nikim, oddawszy się całkiem dobrym uczynom i modlitwie gorącej, macierzyńskiej, za to dziecię, które tak zawiodło jej nadzieje, i taką boleścią serce jej napęliło. Trwało to lat blisko dziesięć. Po upłynieniu tego czasu hr. Ch.* czy tknięty sumieniem, o czém bardzo wątpię, czy dlatego że się miał żenić, i dla formy chciał zyskać błogosławieństwo matki, czy że się bał aby go nie wydziedziczyła, co najpodobniejsze do prawdy, przez przyjaciół i przez listy zaczął ją błagać o przebaczenie; pisał szeroko o swoim nawróceniu, cytował ewangelią, na znak że ją czyta, i wszelkich używał sposobów, któreby tknęły serce matki i wyjednały mu pozwolenie oglądania jej oblicza. Długo nie odbierał żadnej odpowiedzi. Nareszcie odpisała mu, że przejeżdżając do Lwowa, d. 5 czerwca wieczorem zajedzie do jego domu i tam przenocuje. Uradowany syn przygotował się stosownie do przyjęcia tak pożądanego gościa; powyrzucał z pokojów obrazy i kopersztychy, któreby mogły staruszkę zgorzzyć, a których było pełno; w bibliotece swojej książki podejrzane pozasuwał w głąb, a niektóre nawet na strych kazał wynieść; nad łóżkiem swoim powiesił krucyfiks i położył na gotowalni ewangelią i jeden tom 5go Augustyna; uprzedził swego proboszcza, że matka przyjedzie 5go czerwca, i prosił aby 6go rano był gotów ze mszą. Starzec ten był przyjacielem i spowiednikiem hrabiny. Ona była jego kollatorką na to probostwo, i nieraz z nim razem użalała się i płakała nad obłąkaniem syna. Radość więc jego była wielka, i w kościółku i na probostwie, którego dom leżał nad szeroką drogą, prowadzącą tylko do dworu, czyniono także wielkie przygo-

towania. Nadszedł nareszcie 5ty czerwca, zbliżył się wieczór, i hr. Ch.* wyglądał co moment przez okna swego domu, z którego widzieć można było tę drogę. Dziwny jakiś niepokój go ogarnął, gdy minęła naznaczona godzina. Wybiła wreszcie dziewiąta, dalej dziesiąta i jedenasta, a nikt nie przyjeżdżał. Utrudzony ciągłym oczekiwaniem hrabia, i zmęczony moralnie, wyglądając tak stanowczą dla siebie minuty, kazał otworzyć bramę dziedzińca i pilnować przybycia matki; kamerdynerowi polecił aby siedział w otwartém oknie, aby nie spał, i zbudził go natychmiast. Sam zaś udał się do sypialnego pokoju, rzucił się na łóżko, jak był ubrany, i zasnął. We trzy godziny, bo właśnie była druga, zerwał się równemi nogami, usłyszawszy hurkot powozów, klaskanie z biczów, szczekanie i wycie psów na dziedzińcu. Wybiegł więc do sali. Kamerdyner oparty na oknie spał jak zabity. Zbudził go hrabia i z nim razem pobiegł pędem ze schodów, aby jeszcze w przysionku spotkać przybyłą matkę. Ale w przysionku było cicho, przed ganikiem pusto i na dziedzińcu głucho milczenie. Stróże przy bramie spali, żadnej żywej istoty nie było widać, żaden pies nie szczeknął, żaden listek nie ruszał się na topolach dziedzińca. Zdziwiony i uderzony tém hrabia, wrócił na górę, usiadł w otwartém oknie i patrzył smutny i zamyślony na drogę, która szła koło domu proboszcza i ciągnęła się w prostéj linii przez wieś wielką i porządną. Ranek już powstawał, i daleko widno było na drodze. W kwadrans dopiero obaczył hrabia idącego ku pałacowi proboszcza. Spieszył jak mógł starzec, i białe jego włosy rozrzucał wietrzyk, który powstawał także z dniem rozbudzonym.

— Co tu robisz tak rano, księżu proboszczu? zapytał go hrabia z okna.

— Moją dobrodzika przyjechała, odpowiedział ksiądz, dawnom jój nie widział i przyszedłem powitać, nim się położy i odpocznie z drogi.

— Ale mojej matki niéma księżu proboszczu; słyszysz jak tu pusto i głucho.

— Słyszałem przecież, odpowiedział z uśmiechem proboszcz, jak przejeżdżała koło moich okien. Nie widziałem wprowadzie karęty, bom się właśnie wówczas zdrzymał długo czekając, ale słyszałem wyraźnie hurkot i trzaskanie z bicia, a przecież ta droga prowadzi tylko do pałacu. — Zastanowiło to niezmiernie hrabiego. Poprosił proboszcza na górę, usiedli oba w témże samym oknie i rozmawiali o tak nadzwyczajnym zdarzeniu. Już blisko godziny trwała ich rozmowa, już dobrze dzień zaczynało, gdy nagle usłyszeli tentent, i na drodze za probostwem ujrzeli kogoś wiérzchem w całym galopie rozpędzonego konia. Nie mogli jeszcze rozpoznać ktobyto był taki, bo go otaczała chmura kurzawy, ale widocznie pędził ku pałacowi, i serce hrabiego dziwną ścisnęło się trwogą. W parę minut jeździec stanął pod oknem, i postrzegłszy w niém wychylonego hrabiego, zeskoczył z konia. Byłto kozak hrabiny, dawny wierny sługa.

— Gdzie moja matka, Harasymie? krzyknął hrabia.

— Pani, odpowiedział kozak obciérając oczy siwym wąsem, ztąd o półtory mili przed godziną—umarła.

Proboszcz ukląkł i modlić się zaczął, a hrabia upadłszy na krzesło, zakrył twarz rękami i rzewnie i głośno zapłakał.

Umilkła narratorka i wszyscy milczeli tylko niebo grało. Nowa, straszliwa naciągnęła chmura i coraz silniej

błyskać zaczęło, po krótkiej chwili uroczystego milczenia, rzekł niespodzianie p. Władysław:

— Teraz pozwólcie mi państwo, moje własną opowiedzieć wam historią.

Na ten głos wszyscy mimowolnie zadrżeli, ale niepohamowaną ciekawością zdjęci, zsunęli się jeszcze w cieśniejsze kółko, i z natężeniem słuchali. P. Władysław podniósł twarz bladą i surową, spojrział w okno na chmurę coraz bliższą, i coraz groźniejszą, rzucił jeszcze raz okiem na p. Salomeę, która z głuchym jękiem przytuliła się do matki, i odezwał się temi słowy.

— O siedm mil od Tarnowa...

Ale zaledwie to wyrzekł, gdy błyskawica tak silna oświeciła pokój, że wszyscy z krzykiem zakryli sobie oczy; w téjże samej prawie chwili huk gwałtowny dał się słyszeć, wszystkie szyby zadzwoniły, i połowa obecnych kobiet upadła na kolana. Jeszcze zgromadzone w pokoju osoby nie przyszły do siebie, jeszcze nawet najzuchwalsi mężczyźni nie opamiętali się zupełnie, gdy nagle blask jaskrawy, czerwony, uderzył w okna i zalał pokój. Krzyk powstał na dziedzińcu między zgromadzonymi tam ludźmi; hurkot uciekających z dziedzińca powozów obił się o uszy, a odgłos za domem i w domu: pożar! pożar! dopełnił tego obrazu zgrozy i zamieszania.

Rzucili się wszyscy do okien i naprzeciwko nich; za klombem lip, których ciemna postać odbiła się na tle ognistém, ujrzeli dach stajen majora w płomieniu. Na ten widok mężczyźni wypadli pędem na dziedziniec, zaczęli wołać ratunku, i biédz na pomoc majorowi. Pani S* upadła na kolana i modlić się zaczęła; w całej grupie kobiet panowało milczenie i osłupienie, a p. Salomea, na którą wychodzący p. Władysław ostatni jeszcze raz

spojrzał, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się za nim ku drzwiom.

Napróżno wszystkie kobiety zastąpiły jej drogę i puścić nie chciały. Jak lwica rozszrożona, która miała stracić co jej było najdroższém na ziemi, rozerwała ich słaby zastęp i z bladą twarzą, z obłąkanym wzrokiem wypadła na dziedziniec. Tam schwycił ją pułkownik i gwałtem koło lip przytrzymał.

Tymczasem p. Władysław wyprzedził wszystkich, porwał topór który leżał koło stajni, i grzmiącym głosem, którego brzmienie pokryło huk płomienia, krzyk i wrzawę zgromadzonych tam ludzi, zawołał:

— Precz od stajni. Odcinajcie komunikacją innych budowli. Tu niechaj nikt nie waży się wchodzić, za chwilę cały ten budynek runie w popiele.

Tój komendzie nikt się oprzec nie śmiał. Wszyscy poskoczyli rozrywać dach sąsiedni, o on sam jeden, podniósłszy w górę topór, rzucił się do stajni, z której drzwi i okien dym i płomień buchał potokiem. Po krótkiej chwili z pucinanemi od uzdeczek powrozami, konie ze stajni wybiegać zaczęły, i na przekor swojej naturze ciągnącój ich do ognia, z rzeniem i przestraczem uciekały przez dziedziniec na ulicę. Wtenczas na ścieli budynku obnażonego już ze słomianego pokrycia, wśród płonących krokiew, pokazał się p. Władysław. Jak duch jaki w czarném nietkniętém odzieniu, z rozwianemi włosami, widny był i straszny. Stał tak czas niejaki nieporuszony i patrzył w to miejsce, gdzie p. Salomea do niego wyciągała ręce. Raptem ogarnął go zewsząd płomień, i niepojęty ów człowiek, zsunął się w głąb, a na głowę jego zwałił się dach potrzaskany, i legły ściany płonące. Puł-

kownik krzyknął przeraźliwie, a u nóg jego leżała biedna p. Salomea zimna i bez ruchu.

Zaniesiono ją do pokoju, i dzielny ratunek przyprowadził nieszczęśliwą do zmysłów. W godzinę potem rozjechali się goście i wyjaśniło się niebo. Zaraz po zapadnięciu się i zniknięciu p. Władysława, dészcz gwałtowny lunął i przygasił prawie pożar.

Strata więc majora była niewielka, ale boleść ogromna; témbardziej, że mimo największych usiłowań, ani wyratować młodzieńca, ani ciała jego odszukać nie zdołano. Na rozpacz córki, biedny ten ojciec patrzeć nie mógł. O matce cóż powiedzieć? tylko modlitwa ją utrzymywała, tylko korne uchylenie głowy przed wyższą, niepojętą władzą krzepiło nieszczęśliwą. Po p. Władysławie żaden ślad nie został, tylko na jego stole Szekspir otwarty, i te słowa Hamleta, któreśmy w dewizie umieścili, czerwono podkreślone. P. Salomea wzięła do siebie i zachowała tę jedyną pamiątkę.

Przy końcu października tegoż samego roku, karéta sześciokonna ciągnęła się zwolna za Radomskiem po drodze złej i piaszczystej. Wieczór już był dość późny, ale pogodny i miły.

Na zakręcie drogi, gdy karéta minęła las i na czyste wyjechała pole, lokaj i furman krzyknęli razem: Jasna góra! Jasna góra! i zdjęwszy czapki, zaczęli się żegnać i modlić.

— Stój! stój! zawołano z powozu, który się w téjże chwili zatrzymał. Trzy osoby z niego wysiadły i poszły na prawo pod krzyż, który stał samotnie o kilkanaście kroków od drogi. A wprost przed niemi we mgle wieczoru wznosiła się wysoka massa świętych murów, a na szczycie wieży zaczęło migać światelko, przyzywające

rozbitków życia do tego portu ulgi i pociechy. Panna szła naprzód blada i schorzała, za nią ojciec z ubieloną głową prowadził słabą i znękaną matkę. Gdy przyszedli pod krzyż, wszystko troje rzucili się na kolana i gorąco modlić się zaczęli. Panna pochyliła korną głowę aż do ziemi, ojciec ufném wejrzeniem wzywał pomocy, a matka z serdeczną wiarą wyciągnęła ręce do téj opiekunki wszystkich matek, która wśród chwały niebios pomna swego macierzyństwa, czuwa ciągle nad ziemią, gdzie sama bolała i traciła.



O PRZESILENIU HANDLOWÉM I FINANSOWÉM

W ROKU 1847.

TEUMACZYE

H. L. Wolicki.

Pzesilenie handlowe i finansowe objawiające się od niejakiego czasu, zajmuje mocno umysły. Jakie są przyczyny małych zasobów gotowizny w głównych bankach europejskich? przyczyny te czy są przypadkowe lub téż stałe? jaką część wpływu na stan takowy przypisać należy kupnom zboża, wykonaniom wielkich robót i przedsięwzięć, oraz ograniczeniu kredytu? jak długo potrwa ten stan rzeczy? jakie przedsięwziąć środki, aby mu jak najspieszniej koniec położyć? oto są pytania, które każdy czyni sobie z niepokojem. Dziennik angielski *Ekonomista* rozbiórał przedmiot ten z wielką zręcznością, a zdanie objawione przez niego, oświeśla ten ważny przedmiot; może więc z zadowoleniem przyjęty tu będzie ten rozbiór.

Aby zrozumieć dokładnie przyczynę zmian częstych, zachodzących w stanie monetalnym kraju (monais Marchet), należy, mówi dziennik ten, przedewszystkiém wy-

jaśnić pewne punkta. Punkta te z natury swój zbyt są oderwane, aby ludzie zajęci szczegółami swych codziennych czynności, mogli w czasie zwyczajnym zastanawiać się nad nimi i one zrozumieć. Jedyna chwila zwrócenia na nie uwagi publicznej jest ta, w której trudne okoliczności czynią je bezpośrednio interesującemi i łatwiejszemi do pojęcia przez ogół. Chwila ta właśnie teraz nadeszła: niepodobna więc ażeby gdy w niej wskazują się powody głębokich wstrząśnień zagrażających kapitałowi i finansom krajów, ażeby mówię wtedy, gdy zamierza się okazać, iż powody te nieszczęsne może jeszcze nie wywarły wszelkich swych szkodliwych skutków, rozbiór ich nie miał żywo zająć tych wszystkich, których interes zawisł od powodzeń handlowych i finansowych kraju. Trudności tego przedmiotu zbyt sobie wielkimi przedstawiono; żeby go więc uczynić przystępnym i zrozumiałym dla wszystkich, użyjemy mowy najprostszej do wyjaśnienia przyczyn wpływających na położenie monetarne kraju.

Trzy są wiadomości zasadnicze, które o ile można, najjaśniej wyłożyć trzeba, ażeby dać dokładne wyobrażenie o wszelkich kwestyach dotyczących banków, obiegu i zmienności monetarnej. Wiadomości te są następujące:

1. Co stanowi kapitał krajowy?
2. Jaka zachodzi różnica między kapitałem stałym a obiegowym?
3. Jaka jest różnica między kapitałem a obiegiem monetarnym?

Naprzód: *Co to jest kapitał?*

Wszyscy ekonomiści zgadzają się teraz na to, że kapitałem jest ta część dochodu z pracy ludzkiej, która się

oszczędza i zbiera, aby ułatwić nią przyszłą produkcją. Człowiek dziki zajmujący się łowami, sposobem wskazanym mu od natury, aby zaspokoić konieczne swe potrzeby, nie posiada żadnego kapitału. Od chwili, w której łoży część swego czasu na zrobienie niezgrabnych narzędzi dla ułatwienia sobie polowania lub rybołówstwa i otrzymania większej ilości pożywienia, narzędzia te tworzą kapitał, którego wartość jest stosowną do pomocy, jaką przez niego otrzymuje w zebraniu większej ilości żywności. Przypuśćmy, iż ten kapitał składa się z sieci; będzie on miał dwojaką wartość: jedną odpowiednią czasowi i zręczności łożonym na jej zrobienie, a walor ten stanowi cena, jakąby osoba inna za nią dać chciała; drugą zostającą w stosunku do zysku przez użycie sieci otrzymanego, i wartość ta stanowi cenę, jakąby kto inny za jej pożyczenie dać był gotów. Pierwszy rodzaj wartości stanowi cenę sprzedażną, drugi zaś, stanowi dochód czyli procent od kapitału.

Gdyby w tym zarodku towarzystwa znalazł się tylko jeden człowiek, któryby umiał zebrać kapitał, to jest któryby się wystarał o wszelką żywność do utrzymania swego potrzebną, i nadto jeszcze robił sieci; rzecz jasna, żeby ich sprzedać nie mógł, gdyż sąsiedzi jego posiadając li tylko niezbędną ilość żywności do swego utrzymania, nie mieliby je za co kupić, ale mogliby je wydzierżawić, płacąc za to część zwiększonej żywności, którąby przy ich pomocy otrzymali. W końcu, jeżeli ten nadrostek żywności zwiększy się nad potrzebę ich tak, iż przez to pozostanie im czas i możność robienia sieci lub ich kupienia, wtedy zostaną właścicielami tego kapitału, zamiast bycia jego dzierżawcami; a w ten sposób kapitał każdego indywiduum zwiększy się w stosunku

przewyżki jego produkcji nad zużycie, a walor kapitału tego byłby w stosunku łatwości, jaką praca taka zbierana i odkładana nastreczyłaby produkcji przyszłej.

Gdyby człowiek poświęcił rok czasu na zrobienie maszyny, któraby się w niczem nie przyczyniła do przyszłej produkcji, wrazie tym, nie zwiększałby on swego kapitału; lecz gdyby praca jego ulepszyła ziemię, lub przyrobiła narzędzi zdolnych tą samą pracą uprodukować większą ilość żywności lub odzienia, wtedy o tyle zwiększyłby on swój kapitał. Ziemię tak użyźnioną i narzędzia tak sporządzone, mogłyby być przez niego sprzedane lub wynajęte.

Co jest prawdą względem pojedynczego człowieka, jest nią i względem towarzystwa całego. Naród który produkuje więcej aniżeli zużywa, a nadto obraca nadrost swych płodów do ułatwienia przyszłej produkcji, zwiększa tém samym swój kapitał. Od dzieciństwa aż do najwyższego szczebla jego ukształcenia, wszelki kapitał przedstawia pracę nagromadzoną; a miarę waloru jej stanowi łatwość, jaką nastrecza przyszłej produkcji. W dzieciństwie społeczeństwa, wartość sieci jest w stosunku łatwości nastreczanej przez nią w rybołówstwie; w czasie obecnym, maszyny, drogi żelazne, okręta i owe tysiące narzędzi w których skupia się praca narodu, zwiększają kapitał jego w stosunku dokładnym łatwości nastreczanej przez nich produkcji następnej, i taniości, która z niej wypływa. Ta to łatwość stanowi cenę, którą publiczność gotowa jest dać za jej nabycie, lub dochód, który może płacić za jej użycie. Rzecz więc jasna, że kapitał narodu składa się:

1. Z ulepszeń dokonanych we wszelkich elementach naturalnych produkcji.

2. Z narzędzi ułatwiających produkcją.

3. Z wszelkich przedmiotów do życia potrzebnych, które lubo są przeznaczone do użycia przyszłego, jednak posiadającym je przynoszą dochód.

Tak więc ulepszenia rolnicze, których skutkiem jest otrzymanie przy małej pracy plonów obfitszych, udoskonalenie biegu wód, budowa portów, kanałów, dróg bitych, kolei żelaznych, ułatwiających obieg i zamianę rzeczy potrzebnych do życia; budowa okrętów, maszyny i narzędzia ułatwiające reprodukcją; wszelkie przedmioty do zużycia jakoto: suknie, zboże, cukier, złoto, srebro, żelazo i t. d. które się produkuje na sprzedaż, a które znów reprodukowane być mają pracą zużywającego takowe, gdy posiadacz tych plodów zużywa tylko dochód od nich; to wszystko stanowi kapitał narodu. Wszystko co pomnaża siłę jednego z elementów produkcji, zwiększa i kapitał narodu; jak naprzykład: zastosowanie pary w żegludze, w maszynach, w kolejach żelaznych i t. d. Wszystko co niweczy lub osłabia tę siłę, umniejsza także kapitał narodu. Powodzie wydarzone we Francyi, zmniejszyły jój kapitał ilością równą pracy, potrzebnej do naprawienia szkód. Takież szkody kapitałowi narodowemu zrządza wpływ pór roku na produkcją zboża, bawełny, cukru, jedwabiu i t. d. W latach obfitości, wszelka nadwyżka plodów pozostająca od potrzeb bieżących, zwiększa kapitał; w latach nieurodzaju o tyle on się zmniejsza, o ile niedostaje na zużycie zwykłe, i o ile z zasobów lat poprzednich dodać potrzeba na pokrycie potrzeb bieżących.

Drugim przedmiotem do rozważenia jest:

Jaka różnica zachodzi między kapitałem stałym, a obiegowym?

Jestto zadanie otoczone większą mgłą i ciemnością, aniżeli to o którym dopierośmy mówili: a lubo mało jest ważniejszych w zastosowaniu, przecież dotąd nie objaśniono go dostatecznie, ażeby ludzie praktyczni, byli w stanie dokładnie oznaczyć różnicę zachodzącą między temi dwoma rodzajami kapitałów w wielu zdarzeniach, w których znajomość różnicy téj stałaby się nieskończenie pożyteczną.

Wyobrażenia zmacone, istniejące dotąd jeszcze w umysłach pod tym względem, pociągnęły za sobą w ostatnich latach stratę kilku milionów funtów szterlingów dla kraju, w zobowiązaniach lekkomyślnie na siebie przyjętych, któreby nie były nastąpiły, przy dokładnej znajomości różnicy między kapitałem stałym a obiegowym. Starac się będziemy wyjaśnić ten nader ważny punkt.

Każde uzbieranie kapitału nastęrcza możność wykonania pewnej ilości pracy: kapitał nie może inaczej stać się produkcyjnym, jak przy połączeniu się jego z pracą. Praca użytą być może do tworzenia dwóch rodzajów płodów: albo do robienia narzędzi, ulepszenia ziemi, budowy domów, dróg bitych, to jest rzeczy przeznaczonych do ułatwienia przyszłej produkcyi, albo téż do wyrabiania przedmiotów konsumpcyi bezpośredniej, za które dochód ogólny towarzystwu płaci i te znów reprodukuje. W razie pierwszym, skutek pracy nabiera cechę charakteru stałego, a zysk z niego wypływający albo się składa z powiększenia łatwości do przyszłej reprodukcji, albo téż z dochodu jaki osoba trzecia byłaby skłonna zapłacić za użycie téj zwiększonej łatwości; w tym razie kapitał nie reprodukuje się sam i nie wraca do rąk swego właściciela. W drugim przypadku, cały kapitał wraca

do rąk swego właściciela zwiększony otrzymanym zyskiem, któryto zysk opłaca fundusz stanowiący dochód ogólny społeczeństwa.

Objaśnijmy to przykładem:

Ktoś zakłada fabrykę i zastawia ją machinami potrzebnymi. Ta fabryka i maszyny następczą mu sposób wyrabiania łatwiej sukna albo téż płótna. To zwiększenie łatwości stanowi dla niego zysk, tworzący procent od kapitału użytego w ten sposób przez niego. Może on zadzierżawić tę fabrykę z machinami, a dochód ztąd przedstawiać będzie jego zysk, który w obu razach przybięra charakter dochodu lub procentu; czyli w innych wyrazach: procent tylko pobierany jest z przychodu rocznego społeczeństwa. Tak więc ile razy kapitał użyty nie reprodukuje się pracą społeczeństwa, ile razy społeczeństwo z dochodu swego rocznego tylko ma do płacenia procent za użycie kapitału, ten mieści się w rzędzie kapitałów stałych; takimi są: domy, ulepszenia rolnicze, okręty, koleje żelazne, maszyny i wszelkie inne przedmioty, które tylko ułatwiają produkcją przedmiotów zużycia ogólnego.

Przeciwnie ktoś bierze w dzierżawę fabrykę z maszynami, używa część swego kapitału na opłacenie téj dzierżawy, nadto kupuje wełnę i płaci robotników, wszystko w nadziei, iż cena sukna wróci mu naprzód wyłożony kapitał i prócz tego da mu zysk, do którego ma prawo za użycie kapitału i swój pracy; w tym razie cały użyty kapitał i zysk powinien się zwrócić z ogólnego dochodu rocznego społeczeństwa. Fabrykant powinien odebrać cały swój kapitał z tego ogólnego dochodu społeczeństwa, aby go na nowo użyć do takiegoż samego przedsięwzięcia i do opłacenia nowój pracy; kapitał taki na-

leży do obiegowych kraju, a składają go wszelkie płody rolnicze i przemysłowe, rzeczy wszelkie wprowadzone z zagranicy na użycie wewnętrzne, zgoła wszystko co się winno zwrócić z dochodu rocznego kraju. Tak tedy co do kapitału stałego, społeczeństwo ma tylko do płacenia od niego procent ze swego dochodu rocznego, cen zaś za przewozy opłacona przez publiczność kolei żelaznej, stanowi procent od kapitału w koleje włożonego i nadwyżkę za ich zużycie; kapitał ten nie wraca się z rocznego dochodu społeczeństwa. Przeciwnie, cena opłacona przez publiczność z dochodu swego rocznego za sukna na swój użytek, za cukier, zboże i t. d., powinna zwrócić cały kapitał użyty na produkcją tych płodów, tak, ażeby znów mógł być użyty na produkcją podobną.

Różnica zachodząca między kapitałem stałym a obiegowym zależy na tém, iż wszelkie przedmioty i ulepszenia, za których użycie płaci tylko dochód ogólny kraju, czyli w innych wyrazach: od których właściciele procent tylko pobierają z dochodu ogólnego kraju, stanowią kapitał stały kraju; zaś wszelkie przedmioty, na których uprodukowanie zrobiony wydatek zwróconym być winien z rocznego dochodu kraju, stanowią jego kapitał obiegowy. Kapitał stały w jednej stoi mierze i przynosi tylko procent, kapitał zaś obiegowy ciągle z ręki do ręki przechodzi, szukając swego zajęcia, bo ciągle zwraca się z dochodu ogólnego kraju, i reprodukuje. Dwie główne cechy odróżniające kapitał stały od obiegowego są następujące: naprzód kapitał stały składa się z przedmiotów których przeznaczeniem wyłącznym jest ułatwienie produkcji; zaś przeciwnie, kapitał obiegowy produkuje bezpośrednio płacąc pracę robotników.

Powtóre, kapitał stały, nie ma przeznaczenia ożywiania i trzymania w biegu produkcji; przeciwnie, kapitału obiegowego celem jedynym jest, skoro się tylko zwraca z ogólnego dochodu kraju, służyć do produkowania nowych płodów. Prace fabryczne, uprawa roli poprawnej, mogą zwiększyć przychód kapitalisty; lecz kapitał użyty na budowę fabryki i na ulepszenie uprawy, nie może posłużyć do opłaty nowych prac i nowój produkcji z wyjątkiem przecież tego, coby się dało oszczędzić z powiększonego dochodu kapitalisty.

Przeciwnie, kapitał użyty do produkcji bezpośredniej zboża, sukna i t. d. winien całkowicie zwrócić się rolnikowi i rękodzielnikowi, ażeby mógł znów być użytym do tworzenia nowych płodów, opłacania nowych prac niezbędnych do téj produkcji. Pokazuje się z tego widocznie, iż naród bez narażenia się na niedogodność, wielkie kłopoty i trudności, nie może zwiększać kapitału swego stałego nad tę ilość, którą oszczędził na swój pracy, po zaspokojeniu potrzeb swego utrzymania.

Kapitał więc stały narodu, tylko o tyle zwiększonym być powinien, ile wynosi oszczędność pozostała po opędzeniu jego potrzeb.

Ważny ten punkt, tém się widoczniej wykaże, gdy zważemy, iż w gruncie zapłata za pracę lubo uiszczona pieniędzmi, rzeczywiście składa się z pewnej części żywności i innych przedmiotów robotnikom potrzebnych w ciągu ich pracy. Czyli robotnicy otrzymują pewną kwotę pieniędzy, lub téż pewną ilość żywności i odzienia, skutek dla nich zawsze będzie jeden i ten sam.

Praca użyta do produkcji płodów do spożycia codziennego potrzebnych, bez względu, czyli to na potrzebę wewnętrzną posłużą, lub téż za granicę wyprowa-

dzzone zostaną w zamian za cukier kawę i t. d., powinna zwrócić przedsiębiorcy kapitał cały wyłożony na urobienie tych płodów, tak, aby ten znowu do podobnej czynności mógł być użyty. Tkacz naprzykład, nie tylko zarabia to co na swe utrzymanie potrzebuje w kraju lub w płodach z zagranicy sprowadzanych, lecz nadto i to, co ma posłużyć do zwrotu kapitału przez fabrykanta wyłożonego, który go zatrudnia. Dochód ze sprzedaży płótna zamieni się na przedmioty inne, czy to w kraju lub zagranicą produkowane.

Przypuśćmy dla wyjaśnienia rzeczy, iż fabrykant urabia rocznie tysiąc sztuk kartonu (calicot). Gdyby zamiast płacenia gotowizną swych robotników, rozdzielał między nich stosowną ilość chleba, mięsa, cukru i innych płodów im potrzebnych, owe 1000 sztuk kartonu zamieniłyby się z rolnikiem, rękodzielnikiem i kupcem za pewną ilość zboża, sukna, cukru i innych rzeczy. W ten sposób, kapitał wyłożony na wyrobienie 1000 sztuk kartonu, odebrałby fabrykant, i mógłby go użyć znowu do wyrobienia następnych 1,000 sztuk kartonu. Tak tedy praca każda reprodukuje kapitał na utrzymanie jój w biegu potrzebny, i służyć mający do prowadzenia pracy przyszłej. Zaprowadzenie pieniędzy lub papierów kredytowych, jest tylko środkiem ułatwiającym te czynności.

Wszystko pójdzie dobrze i bez przerwy, dopóki praca użytą będzie do urabiania płodów do zużycia potrzebnych, bo zużycie codzienne wspierać będzie produkcją stosunkową: czyli w innych wyrazach: wszystko pójdzie dobrze tak długo, jak długo kapitał narodu pozostanie obiegowym. Lecz od chwili w której zaczyna się budować domy, drogi bite, okręty i t. d. wtedy zużyte zboże, sukno, cukier i inne przedmioty przez robotników

do tych czynności obrócone, nie są zastąpione produkcją bezpośrednio takichże samych płodów lub innych zdolnych do zamiany. Z tego wszystkiego okazuje się widocznie, że prace i przedsięwzięcia takowe powinny się tylko wykonywać za pomocą oszczędności narodu, pozostałej od niezbędnych potrzeb zwykłej produkcji. Ta oszczędność powinna wskazywać zakres, do którego kapitał stały narodu może być zwiększony, a którego to zakresu bez niebezpieczeństwa przekroczyć nie można.

Kapitał obiegowy kraju jest ten, który służy do produkcji przedmiotów do zużycia potrzebnych, lub z zagranicy na zużycie sprowadzonych. Ogół tych przedmiotów do zużycia jakiegokolwiek te być mogą, przedstawia ten kapitał. Odradza on się ustawicznie z dochodów ogólnych kraju, czyli te wypływają z pracy, z dzierżaw ziemskich, lub téż z zysku czyli procentu od kapitału. Kapitał zaś stały, składa się z téj części pracy, która nie będąc potrzebną do produkcji płodów zużycia bezpośredniego, zajmuje się tworzeniem przedmiotów zdolnych przynieść procent, przez następczenie nowych ułatwień w pracy produkcyjnej, i przez zwiększenie siły kapitału obiegowego. Nie trudno więc teraz pojąć, że stanowczym warunkiem rozwijania pomyślności kraju jest, aby kapitał obiegowy, ten bezpośredni działacz wszelkiej produkcji, ten nagradzacz prac codziennych, nie był odwracany od zwykłego swego przeznaczenia, i nie był zamieniany w kapitał stały nad miarę, ale tylko o tyle, o ile oszczędności kraju pozwalają. Przesadzona zmiana kapitału obiegowego na stały, ten nieuchronny wyrze skutek, iż fundusze tak uwięzione nieprodukując ani płodów do zużycia wewnętrznego, ani do zamiany zagranicznej posłużyć mogących, kapitał staje się rzadkim i drogim,

a fundusz przeznaczony na opłacanie pracy zmniejsza się. Osoby które w ten sposób zamieniły swój kapitał obiegowy na stały, są zniewolone do ścieśnienia swęj produkcji. A jeżeli ją w jednej mierze siłą się utrzymywać, brak obiegowego kapitału wystawia ich na wielkie kłopoty i niedogodności, jakkolwiek znaczny otrzymują dochód czyli procent z nieruchomości, w którą swój kapitał obiegowy włożyły.

Prawda, iż przez przeciąg czasu w którym się dzieje zamiana kapitału obiegowego na stały, społeczeństwo przedstawia wielką pozorną pomyślność: gdyż produkcya przedmiotów do życia potrzebnych bywa mniejszą od zużycia, skutkiem zwiększenia ceny wszelkich towarów, a przywóz z zagranicy zwiększa się; ale że kraj nie wyrabia tyle płodów aby niemi mógł zaspakajać zagraniczne, trzeba więc płacić co niedostaje kapitałem obiegowym, który tém bardziej się uszczupla. Wkrótce to przesilenie daje się czuć wszystkim z wielką szkodą całego kraju, a szczególnie robotnikom, którzy widzą w ten sposób niknący fundusz, przeznaczony pierwsiastkowo na opłacenie ich przyszłej pracy.

Pozostaje nam jeszcze trzecie zadanie do rozwiązania:

Jaka zachodzi różnica między kapitałem, a obiegiem monet?

Mało jest zadań mniej zrozumianych jak niniejsze, ściągające się do różnicy zachodzącej między kapitałem a monetą, owym działaczem (agent) samego obiegu. Zamieszanie panujące w tym względzie jest najobfitszym źródłem błędów tak w prawodawstwie, jako też w praktyce.

To co się wyżej powiedziało o naturze kapitału i o różnicy do zrobienia między kapitałem stałym a obiego-

wym dowodzi dostatecznie, że kapitały istniały dawno już przed zaprowadzeniem systemu monetarnego. Przed wynalazkiem monet, kapitał kraju składał się jak i teraz z téj części rzeczy użytecznych, które społeczeństwo tworzy nad swe zużycie i potrzeby. Zamiana ich między różnemi producentami odbywała się wtedy bezpośrednio, nie zaś jak dziś pośrednio przez użycie monety. Wynalazek jój był tylko środkiem ułatwiającym i przyspieszającym zamiany. Rzeczami temi użytecznemi do życia było wszystko, co tylko praca ludzka mogła wyrobić; jakoto: żywność, tkaniny, metale i t. d. Ich względny walor ustanawiała ilość pracy potrzebnej do ich wyrobienia. Jeżeli równój pracy wymagało urobienie uncyi złota i beczki żelaza (beczka 20 cent. ang.), te dwa przedmioty zamieniano jeden na drugi. Jakie zaś przedmioty żądane i więcej kupowane były, ku wyrabianiu takowych praca skwapliwiej się zwracała.

Lecz walor zamienny przedmiotów do życia potrzebnych, mógł podlegać nagłym przypadkowym zmianom. W roku obfitym, w którym żniwa wydały plon dwa razy większy od średniego, korzec zboża przedstawia tylko połowę pracy, jakiej potrzeba w czasie miernego plonu. Producent zboża, mając go dwa razy więcej, przy współubieganiu się innych, będzie zniewolony odstąpić go za ilość złota, srebra, żelaza, dwa razy mniejszą jak w roku średniego urodzaju. W czasie zaś nieurodzaju, skutek będzie zupełnie odwrotny. W ten sposób, walor każdej rzeczy podlega zmianie stosownie do jój produkcji, podług tego jak mniej lub więcej pracy jój urobienie wymagać będzie, czyli to będzie skutkiem wpływu pór roku, czyli téż skutkiem wynalezienia nowych na-

rzędzi, bo praca jest jedynym regulatorem wartości wszelkich płodów.

Liczne niedogodności wynikające z położenia, w którym zamiana jest jedynym środkiem obiegu, zbyt są widoczne. Wcześniej daleko od wynalazku monet złotych i srebrnych, narody więcej ukształcone od innych, wybrały już metale drogie za sposób porównywania, za miarę wartości wszelkich płodów i za pośrednika zamian ich między sobą. Niemasz prawie przedmiotu, któregoby wyrób zależał od pierwiastków tak mało zmiennych, jak złoto i srebro; któregoby walor był jednostajniejszy a tym samym dogodniejszy do służenia za miarę wartości wszelkich przedmiotów. Nadto złota i srebra najmniej upada przez użycie, jest najłatwiejsze do przewozu, zawiera znaczną wartość w małym objęciu, łatwo się dzieli, krótko mówiąc, posiada najwięcej zalet, ażeby służyć za miarę wszelkich walorów.

Początkowo metale te zamieniano na wagę. Wołu, sztukę płótna, oddawano za pewną ilość uncyj złota lub srebra. Wkrótce uznano dogodniejszym dzielić metale na części pewnej oznaczonej wartości i próby, i ztąd wyrodziło się bicie monet. Byłoby nowe ulepszenie, ułatwiające wszelkie zamiany, ale zasada pierwotna regulująca zamiany, dlatego się nie zmieniła. Dopóki zamiany działały się w naturze, walor względny płodów ustanawiała ilość pracy na ich urobienie potrzebnej: obecnie w sprzedażach, ilością złota lub srebra dawanego za każdy przedmiot, ocenia się ilość pracy zawartej w tym przedmiocie, w stosunku do ilości pracy potrzebnej do wyrobienia metalów tych za cenę służących. Jakoż wszelkie postępy odróżniające zamiany najnieokrzesane i najprostsze, od obiegu najdoskonalszego monet, są tyl-

ko łatwościami nastreżonemi zamianie płodów między sobą. Ponieważ drogie metale mogą i do czego innego służyć, a nie jedynie za pośrednika zamian, rzecz jasna, że i społeczeństwo tyle ich tylko na cel ten używać powinno, ile konieczna potrzeba wymaga. Ilość ta tworzyć będzie część kapitału narodowego, która sama przez się przestaje być produkcyjną, lecz ułatwi produkcją reszty. Wystawmy sobie kraj, pragnący przejść z zamian w naturze do systematu monetarnego; jeżeli cała ilość metaliów drogich jaką posiada, jest mu potrzebną do ozdób i użytków domowych, będzie on zniewolony wyprowadzić za granicę pewną ilość swych płodów, ażeby za nie dostać dodatkową kwotę srebra lub złota, potrzebnego na obieg monet. Metale te na monetę przebite, nie będą tworzyły kapitału produkcyjnego, ale posłużą za ułatwienie produkcji reszcie kapitału. Tak więc metale drogie przebite w monety, są częścią kapitału obiegowego, odwróconą od swego przeznaczenia bycia bezpośrednio produkcyjnym, aby ułatwiać zamiany. Rzecz zatem jasna, iż każdy powinien się starać tyle tylko tego kapitału nieprodukującego posiadać, ile go do zamian potrzebuje; tylko mieć go tyle w skrzyni, ile na wypłatę bieżącą koniecznie mu potrzeba. Albowiem gdy summa pieniędzy w obiegu będąca żadnego nie przynosi procentu, takowa strata rozdziela się na każdego po szczególne, w miarę ilości gotowizny którą posiada. Niezmienną zatem zasadą być powinno, nie trzymać więcej gotowizny nad niezbędną potrzebę. Wynalazek banków, dozwala do ostateczności zmniejszać zasób gotowizny przeznaczonęj do leżenia w skrzyni bez produkowania. Wynalazek biletów bankowych, jeszcze więcej przyczynia się do zmniejszenia części kapitału narodowego, służącej

za ułatwienie obiegu, gdyż bilety te zastępują złoto i srebro.

Zasada więc ograniczająca użycie monety do najmniejszej kwoty niezbędnej do bieżących wypłat, ogranicza również i obieg biletów kasowych. Bankier nie daje swych biletów ani gotowizny, tylko za przyjęty w zamian inny walor; a ktokolwiek w skrzyni swój posiada więcej takich biletów jak wymaga istotna potrzeba, traci od nich procent. Tak tedy ilość ogólną biletów w obiegu, wskazuje potrzeba, a nie ilość ich jaką bankier wystawić może. Bank dyskontując wexle, lub dając zaliczenia na zastawy, może wydać tyle biletów ile zechce; dlatego przecież nigdy ich więcej nie pozostanie w obiegu nad konieczną potrzebę publiczności. Nadwyżka wróci zaraz do banku, albo celem wymiany biletów na brzęczącą monetę, albo w wypłatach rachunków bieżących, albo w kształcie nowego zastawu, aby na niego odebrać nowe zaliczenie. Ztąd wykazuje się, że bilety bankowe nie są niczem inném, jak tylko znakiem łatwo przekazalnym, dającym prawo żądania wypłaty pewnej kwoty złota lub srebra od wystawującego bilety. Dopóki są one na każde żądanie posiadacza płacone srebrem lub złotem, dopóty ich więcej w obieg nie wejdzie nad kwotę, jakąby publiczność potrzebowała, gdyby wszystko monetą płacone było. Zysk otrzymywany przez społeczeństwo z obiegu biletów polega jedynie na możliwości oszczędzenia części metalów, drogich, które przy systemacie monetarnym odwracają się od kapitału produkcyjnego, czyli obiegowego, ażeby stać się działaczem obiegu. Nadto ułatwiają bilety sam obieg przez łatwiejszy ich przekaz i przewóz. Bilety nie mają żadnego wewnętrznego waloru; sąto proste obligacje

do wypłaty na każde żądanie pewnej ilości złota lub srebra. Wypuszczanie w obieg biletów, zależy jedynie od kredytu tego, który je wystawia i od zaufania przez publiczność w nim pokładanego. Bilet bankowy jest rzeczywiście tej natury i cechy jak wexel, z tą jedynie różnicą, iż bilet bankowy będąc wypłacalnym na każde żądanie, nie przynosi procentu, kiedy przeciwnie, wexel mając termin pewny wyznaczony do wypłaty, przynosi nabywcy jego procent.

Tak więc każdy przyjmujący bilet banku na 20 funtów, nabywa tylko prawo do odebrania z banku który go wystawił na każde żądanie dwudziestu monet złotych, zwanych funtami szterlingami (soverein). Każda taka moneta zawiera pewną wagę złota próby oznaczonej, i przedstawia ilość pracy równą tej, jaka się zawiera w różnych innych przedmiotach, których cenę mogą zapłacić te 20 funtów szterlingów.

Ustaliwszy raz te punkta, pozostaje jeszcze wyświecić różnicę między kapitałem a monetą. Pod nazwą zaś monety mieścimy nietylko pieniądze metalowe, ale bilety bankowe płatne gotowizną, i wszystko co służy za działacza obiegu. W opinii publicznej sądy o tych przedmiotach są nader mylne i różnorodne. Istniejące zamieszanie między monetą, papierem kredytowym (bo dla rozwiązania obecnego zadania te przedmioty są jednoznaczne) a kapitałem, ściąga się tylko do kapitału obiegowego, który ciągle z rąk do rąk przechodzi i reprodukuje się bez przerwy. Publiczność wkładając kapitał w jakie przedsięwzięcie, widzi tylko pieniądze, za pomocą których kapitał przechodzi z jednego użycia w drugie, a nieupatrując żadnego zmniejszenia talarów tak umieszczonych, sądzi, iż dopóki takowe nie wyjdą za-

granicę, kapitał natury swój nie zmienia, i że siła jego produkcyjna żadnego nie doznaje szwanku.

Okazało się wyżej, iż kapitał obiegowy narodu składa się z ogółu płodów do życia potrzebnych, które produkcya wyższa nad zużycie dozwoliła nagromadzić, i że kapitał ten odnawia się i reprodukuje ciągle z dochodu ogólnego społeczeństwa. Co do monety, ta przeciwnie jest tylko częścią pewnego płodu (złota i srebra), służącą za miarę wszelkich walorów i za działacza i ułatwiciele obiegu. Posiadanie kapitału nadaje możność jego właścicielowi nabycia wszelkich potrzeb do życia. Przedmioty owe stanowią zasadę każdego kredytu, czy ten otwiera się w gotowiznie lub towarach; stanowią również zasadę, na której polegają depozyta w bankach, dochody rządowe, i zobowiązania osób pojedynczych. Pieniądze są tylko sposobem przelewania szybko z ręki do ręki, owęj możności nabywania przedmiotów do życia potrzebnych. I bez monety istniałyby stosunki między wierzycielem a dłużnikiem, dochody kraju, ruch handlowy; z tą tylko różnicą, że wszelkie czynności załatwiałaby się zamianą rzeczy za rzecz, a nie za pośrednictwem obiegu monet. Płaca zasług, jest rzeczywiście udziałem części przedmiotów potrzebnych do użycia pracownika; gdyby monet nie było, dawanoby mu rzeczy te w naturze. Nawet działania bankowe mogłyby się odbywać bez pieniędzy. Wystawmy sobie kraj, gdzie zamiany tylko się dzieją w naturze. Tam kapitał gromadziłby się zamiast w gotowiznie, jak za dni naszych, w płodach; w tym razie utworzyłaby się koniecznie klasa kapitalistów, których kapitał składałby się z pewnej ilości ubiéranych płodów, zamiast jak się to dzieje teraz, z pieniędzy przeznaczonych do kupna tych płodów. Kapitaliści owi pożyczaliby płodów

tych za opłatą pewną, właśnie tak jak dziś pożyczają pieniądze. Łatwo pojąć i to, iż w takowym stanie rzeczy utworzą się między pożyczającym a wypożyczającym pośrednicy czyli bankierowie. Pożyczający znajdzie dogodniej płody swoje składać u pośrednika czyli bankiera, który mu podpisze zobowiązanie, oddać mu takowe na każde żądanie lub w pewnym oznaczonym terminie, płacąc za użycie pewne wynagrodzenie; bankier znowu pożyczycy je innemu pod warunkami podobnemi wypożyczającemu. I teraz dzieje się zupełnie toż samo, tylko że zaprowadzenie monet ułatwia nieskończenie czynności, uchylając zarazem wszelkie niedogodności wynikające z przechowania i zamiany płodów w naturze.

Tak więc wszelkim czynnościom banku, lubo zależą napozór od kredytu osobistego tych, którzy takowe ułatwiają, służy istotnie za podstawę pewna ilość płodów do życia przeznaczonych. Bilet banku ma tylko dlatego wartość, że przedstawia pewną ilość płodów, która mając być użytą do reprodukcji takichże płodów, zwróci się w końcu z dochodów ogólnych społeczeństwa, które ją chwilowo wypożyczyło celem użyznienia pracy produkcyjnej. Dochód ogólny społeczeństwa jest w gruncie rękojmią wexli, ciągnionych aby niemi płacić cenę płodów do zużycia, sprzedanych akceptującym te wexle. Niezawodność wypłaty z dochodów ogólnych towarzystwa, nadaje w czasie zwyczajnym większą pewność tego rodzaju przekazom, aniżeli zapisy na nieruchomościach ziemskich, kolejach żelaznych lub wszelkich innych przedmiotach, składających stały kapitał kraju, które nie reprodukując się same z siebie opłacają tylko procent roczny. Pożyczka której służy za rękojmię ten rodzaj wpływu, który się pobiera co rok z dochodu ogólnego

społeczeństwa, przedstawia więcej pewności jój odebrania w czasie oznaczonym, aniżeli pożyczka na nieruchomości dana.

Dochód z płodów do użycia pobierany, przydatniejszy jest bankierowi, który przekłada obligacye z krótkim terminem, aby mógł użytkować z kapitałów składanych u niego. Pożyczki dawane na nieruchomości przekłada taki kapitalista, który mieć tylko pragnie przyzwoity procent od swego kapitału.

Pożyczki na ruchomości przedstawiają kapitał obiegowy kraju, gdy przeciwnie pożyczki na nieruchomości zamieniają kapitał obiegowy na stały, a tém samym staje on się niezdolnym do wszelkiej czynności bankowej.

Pokazuje się zatem jasno, iż przez wyraz kapitał, rozumie się ogół płodów przeznaczonych na zaopatrzenie kraju i na jego potrzeby; że zamieniając kapitał obiegowy na stały, przez budowę domów, kolei żelaznych i t. d. pochłania się część tych przedmiotów towarzystwa, bez możliwości odpladniania onych bezpośrednio.

Co zaś do monet i biletów bankowych, których się używa do ułatwienia przejścia z rąk do rąk tych płodów, obieg ten w niczym nie zmienia masy płodów, a użycie działaczy tych i pośredników obiegu, bynajmniej nie wpływa na mniejszą lub większą obfitość.

W innym artykule postaramy się wskazać skutki praktyczne, wpływające z zasad któreśmy założyli i wytłumaczyli, oraz w jaki sposób przesadzone użycie kapitału obiegowego w budowę kolei żelaznych, zwiększając kapitał stały kraju, wpływało na podniesienie stopy procentowej, zniżenie kursów giełdowych zagranicą, i na zawikłania niebezpieczne w czynnościach ogólnych kraju. Jest jeszcze inny ważny skutek wynikający z zasad przez

nas wyłożonych, a tym jest wpływ, jaki wywióra na działalność i walor drogich metalów, konieczność płacenia zobowiązań przyjętych w drogach żelaznych gotowizną w kraju bieg mającą, i sposób w jaki wpływ ten działa na wartość bieżącą płodów, będących podstawążywienia i zużycia ogólnego kraju.

(Dokończenie nastąpi).



HISTORIA

CYWILIZACJI WYSPY MADAGASKAR

I PRZEŚLADOWAŃ JAKICH TAM CHRZEŚCIANIE DOZNALI.

Wyspa Madagaskar położona na południo-wschód Afryki, przeszło 20,000 mil kwadratowych mająca, liczy pięć milionów mieszkańców. Pierwszy raz na nią wylądowali Portugalczycy w 1506 r., we 20 lat po odkryciu przylądka *Dobrej Nadziei* (*), a z nimi misyjonarze, którzy wkrótce jednak powrócili ztamtąd, gdyż im się zdało, że Malgachowie (**), tak zwani mieszkańcy Madagaskaru, żadnej skłonności do nawrócenia nie okazywali. W roku 1640 Richelieu założył tam osadę, która się

(*) Odkrył go w r. 1486 Portugalczyk Barthelemy Dias, i nazywał *Przylądkiem Burzy*. Powtórnie w r. 1497 dostał się tam Vasco de Gama, który pierwszy popłynął morzem do Indyi Wschodnich.

(**) Malgachowie, albo Madekassowie składają znaczną ludność Madagaskaru, i należą niewątpliwie do wielkiego szczepu malajskiego, ciągnącego się od jednego do drugiego końca Oceanii. Przybycie zaś tego szczepu na tę wyspę, przechodzi czasy historyi.

rozmaicie utrzymywała przeszło wiek cały. Dominikanie próbowali nawracać tamtejszych mieszkańców, lecz po kilku missyach niepomyślnych, zaniechali przedsięwzięcia. Odtąd zdawało się niepodobieństwem nawrócić Malgachów na religią chrześcijańską, i kiedy lat temu 27 angielscy missjonarze przybyli do Madagaskaru ogłaszać znowu słowo Boże, cała Europa wołała: „że to próżne usiłowania, gdyż to są bydłeta prawdziwe, z których nic zrobić nie można.” Zastanawiać się nad tém zdaniem nie będziemy, lecz nim przystąpimy do tych missyj, należy obeznać czytelnika z mieszkańcami Madagaskaru.

Mnóstwo osad rozmaitego pochodzenia i koloru, od oliwkowego do czarnego, zamieszkiwało tę wyspę do początku tego wieku. Jedna z tych osad pokolenia Howasów przemogła nad innemi. Naczelnik jój człowiek śmiały, zagarnął wiele innych jeszcze pod swoje panowanie, a pod *Radamą*, synem owego wodza, stała się możném państwem, któremu prawie cała wyspa hołdowała. *Tananariwa* (*Tanane-Arrivou*), czyli co dosłownie znaczy: *Tysiąc miast*, obejmująca blisko 30,000 ludności, była stolicą państwa i tam missjonarze rozpoczęli swe prace.

Radama ostatni król Malgachów, który wstąpił na tron r. 1810 mając lat 18, genialny młodzieniec, obdarzony rzadkiemi zdolnościami i nienasyconą chęcią kształcenia się, był jedném słowem człowiekiem z sercem i głową; na dowód czego przytoczymy tu zdarzenie z lat jego dziecińczych. Kochał on bardzo swą matkę, i gdy tę pewnego razu w chwili uniesienia ojciec z domu wypędził, niezmiernie zmartwił się młody Radama. Nazajutrz korzysta z nieobecności króla i ojca, łapie kurtkę i przywiązuje za nogę do stolka; ojciec wszedłszy do

pokoju, słysząc pisk kurczęcia trzepoczącego się w swych więzach, pyta zdziwiony syna co to ma znaczyć? „To nic,” odpowiada dziecie, „to kurczątko piszczy za swoją matką.” — Król zrozumiał myśl, i tego samego dnia wygnana matka powróciła do domu.

Żyjąc wśród najrozpuśtniejszego w świecie ludu, młody Radama skromny, mając dużo mocy nad sobą, wzdychał do wyższych pojęć. Ojciec nie był w stanie go rozumieć, a młodzieniec bez namiętności, wydawał mu się niezdolnym do panowania. Widząc zbliżającą się starość, a nie mając podług swego wyobrażenia komu powierzyć rządów państwa, którego był założycielem i pogromcą, przybiecał wielkie nagrody urzędnikom, którzyby potrafili skłonić Radamę do rozpusty. Długo opierała się szlachetna natura Radamy rozmaitym ponętom; lecz skoro raz im uległ, zbłąkanie jego było okropne, a śmierć przedwczesna Radamy, dowiodła zgubnych rad pomyślny skutek.

Pierwszém staraniem tego nieszczęsnego młodzieńca, gdy po śmierci ojca objął rządy państwa, było wejść w stosunki z Anglikami, posiadaczami wyspy *Maurycyusza* o sto mil od Madagaskaru odległej. W tym celu wysłał tam dwóch młodszych braci, aby pobierali nauki na wzór ucywilizowanych narodów. Ztąd wkrótce ciągle stosunki zawiązywały się pomiędzy temi dwoma krajami, a *Sir Farquhar* rządca wyspy *Maurycyusza* starał się korzystać z dobrych skłonności Radamy, aby go nakłonić do zniesienia handlu niewolnikami, który się rozciągał wzdłuż brzegów Madagaskaru.

Malgachom trudno było oswoić się z tak nieludzkim handlem. Z początku potrzeba było długich nalegań ze strony kupców europejskich znajdujących się w portach,

i rozmaitych środków aby ich do tego skłonić; raz bowiem uspięte sumienie, raz wszelkie skrupuły przeciężone, a to samo stało się z handlem niewolników co i z Radamą, który z najszlachetniejszymi uczuciami oddał się w końcu rozpuście za usiłowaniem ojca. Malgachowie téż tak się później zajęli tym handlem, iż przeszli oczekiwanie europejczyków, i mieli tym sposobem pole czynić zadość wszelkim namiętnościom, zemście i oszukaństwu. Ktokolwiek miał jaką osobistą urazę lub nienawiść, tysiączne robił zasadzki, aby schwytać nieprzyjaciela swego i sprzedać kupcom cudzoziemskim. Nieraz pośród wesołej uczty, sala biesiad przybierała nagle zupełnie odmienną postać; chwymano towarzyszków zabawy, wiązano ich i wywożono nocą do najbliższych wybrzeży. Rodzice sprzedawali własne dzieci, ogólna niewiara i nieufność rozszerzyła się po kraju. Byłoto panowanie okrucieństwa, które kupcy chrześcijańscy do Madagaskaru wprowadzili; słusznie więc, aby inni ludzie godniejsi imienia chrześcian, zajęli się zniweczeniem tego złego.

W tym celu wysłał do Madagaskaru *Sir Farquhar* pana *James Hastie*, nauczyciela dwóch młodych książąt, którzy pobiérali nauki na wyspie Maurycyusza. Przybywszy do Radamy, znalazł w nim prostotę dziecinną, właściwą dzikim, połączoną z wyższém usposobieniem i szczególniejszą chęcią cywilizacyi. *P. James Hastie* nie mógł wyjść z podziwienia patrząc na Radamę, który śmiał się do rozpuku z zegara który mu przywiózł w darze, i skakał z radości gdy bił godziny, a przytém wchodził z prawdziwą filantropią i rzadką objętością umysłu w widoki rządcy angielskiego.

Zwołano wielki *khabar* czyli zebranie, w celu przedstawienia wniosku tego ludowi, i pomimo burzliwych rozpraw, rzecz rozwiązano i układ podpisano w ten sposób: iż król obowiązywał się ze swój strony znieść zupełnie w swém państwie handel niewolnikami, a rządca *Farquhar* miał natychmiast wyliczyć znaczną sumę pieniędzy, i dostawić rozmaitych zapasów wojennych. Poczém Radama kazał ogłosić w całym kraju, iż chociaż niewolnicy istnieć będą zawsze w Madagaskarze, bo niewola ich nie jest zniesioną, jednak handel nimi jest zakazany, i ci którzyby się poważyli przekroczyć to prawo, zasłużą na karę, która ich samych wróci do stanu niewolniczego; każdy zaś ktoby się ważył mówić przeciw niemu, karze śmierci podlegnie. Kara ta zasadzała się na strąceniu winowajców w przepaść, a pod tym względem, Tannanariwa smutne przedstawia podobieństwo ze skałą Tarpejską starego Rzymu. Dzieci skłonne do nierozmyślnych rozrywek, bawiły się nieraz rzucaniem kamieni na roztrącone trupy, i p. Hastie z żalem poglądał na dwóch młodych książąt których wychował, z jakim oni ukontentowaniem oddawali się téj okropnej rozrywce.

Radama chociaż bałwochwalca, wiernie dochowywał przysięgi, inaczej bowiem działało się z mniemanym sługą prawego Boga. Gdy Sir Farquhar przymuszonym był oddalić się na niejaki czas z wyspy, zastępca jego vice-rządca zerwał układ zrobiony, jak nazywał, z *naczelnikiem dzikich*. Odwołał natychmiast pana Hastie, nie chciał płacić należnej summy, zachęcając znajdujących się tamże Europejczyków do rozpoczęcia handlu na nowo. Smutny obraz, który nam jednakże nieraz chrześciance w stosunkach z dzikimi przedstawili! Patrząc na

takie postępowanie, więcéjby nas dziwić powinien pomyslny skutek wpływu missyonarzy, aniżeli wszelkie trudności jakieby napotkać mogli, i jeżeli udają im się ich przedsięwzięcia, to li z woli Boga samego. Radama był w najwyższym stopniu rozdrażniony, a gdy ze wszech stron nastawali na niego kupcy angielscy i francuzcy, kazał nakoniec powtórnie ogłosić, iż handel niewolnikami odtąd znowu upoważnia.

Podówczas dwóch missyonarzy wysłanych przez Tow. Londyńskie przyplłynęło do Tamatawy na wyspę Madagaskar, i pp. Jones i Bowens z familią założyli tam szkołę, do której powoli zaczęli uczęszczać tameczni mieszkańcy; złém jednakże okiem patrzyli na to europejczycy, bo odgadli w panu Jones i Bowens nieprzyjaciół handlu. Wkrótce po osiedleniu się dotyka nieszczęście p. Jones; traci dziecko i żonę wśród cierpień podobnych zupełnie do zatrucia. W parę tygodni później, panu Bowens umiera córka na taką samą chorobę. Niedługo potem, sam na taką kończy, a w kilka dni później, cierpiący pan Jones odprowadza do tego samego grobu zwłoki pana Bowens! Taki był początek missyj do Madagaskaru!

Nieszczęśliwy p. Jones sam pozostał; sam, w całym znaczeniu wyrazu, bo nawet pozbawiony wszelkiego współczucia, dręczony cierpieniem moralnym i fizycznym, narażony na różnorodne prześladowania; wyśmiewali się z niego, drwili, kradli, napadali, i tysiącznemi sposobami dokuczali, bądź sami europejczycy, bądź ludzie przez nich podnieceni do tego. Wielka była wiara jego kiedy nie zwątpił! Im więcéj nawet widział się opuszczonym na téj ziemi, tém bardziéj zbliżał się do Tego, który daje opiekę i rodzinę sierocie. Wiara jego i ufność nie zawiodły go. Zdrowie powróciło, a ze zdrowiem przyszła

wiadomość, że Radama życzy sobie go widzieć. Zamieszany w naukach, skoro tylko dowiedział się o przybyciu do Madagaskaru dwóch nauczających ludzi, wysłał natychmiast wywieźć się o nich, ofiarując im swą przyjaźń; lecz kupcy czatowali ustawicznie na wszystko coby mogło szkodzić niegodziwemu ich interesowi, i kazali oznajmić Radamie, że obydwaj nauczyciele umarli.

W tym czasie, szanowny Farquhar powraca na wyspę Maurycyusza; serce jego miłością chrześcijańską przejęte zakrwawiło się, gdy się dowiedział o zwałczeniu umowy. Wysłał natychmiast p. Hastie do Madagaskaru, i poleca aby wynurzył Radamie żal jego, oraz wszelkich dołożył starań do przywrócenia dawniejszych układów. Przybywszy do Tamatawy (*), p. Jones z nim się łączy, i udają się razem do Tannanariwy rezydencji królewskiej. W ciągu téj podróży, codziennie prawie napotykali nieszczęśliwe ofiary; po dwóch ludzi związanych i prowadzonych na targ na wybrzeża. Opodal ztamtąd jest pagórek, nazwany w malowniczym języku Howasów: *Pagórek łez*; ztamtądto biędni więźniowie rzucają ostatnie spojrzenia na swój kraj i rodzinę, i patrzą na to groźne morze, które ich na zawsze od swoich oddziela.

Jakkolwiek Radama nie mógł być zadowolony z Anglików, przyjął jednak naszych podróżnych ze zwykłą mu uprzejmością; z początku jednak ani chciał słuchać o traktacie, lecz skoro mu przedstawili i wytłumaczyli jakim się to stało sposobem, rzekł: „To co innego, ja to pojmuję, ale poddani moi tego nigdy nie zrozumieją.

(*) Miasto to było rezydencją małych królestw Madagaskaru; jest to najgłówniejszy punkt wyspy z powodu najbezpieczniejszej przystani.

Opinia w Madagaskarze nie tak łatwo się odzyskuje. Dlaczegożście nie dotrzyмали słowa? Czyliż nie wiecie, że „*falszywy jak Anglik*” weszło u nas w przysłowie? W dwóch zebraniach umyślnie w tym celu zwołanych, lud i naczelnicy głośno się odzywali przeciw odnowieniu traktatu, widząc więc panowie, rzekł Radama do deputowanych angielskich, że ja z méj strony jestem przychylny téj sprawie, lecz czyliż dziś mogę stawać w sprzeczności z całym narodem?” poczem dodał głosem nieco cichszym i z niejakim strachem. „Słyszałemci ja o postępowaniu Francuzów z jednym z ostatnich królów.” Lecz na trzecim zebraniu, panowie Hastie i Jones zabrawszy głos, sami dali do zrozumienia, że dopóki tylko istnieć będzie handel niewolnikami w Madagaskarze, nikt im nie zechce przynieść oświaty. Uwaga ta dzielniejszą była nad wszelkie inne, a traktat na nowo uchwalony stanowił: że 20 młodych Malgachów wyślą do Anglii, w celu pobiérania tamże zupełnego wychowania.

P. Jones zachęcony przez Radamę, założył szkołę w Tannanariwie d. 3 grudnia 1820 r. Z początku ze wszęch stron dawały się słyszeć zdania temu przeciwnie; tak ograniczeni ludzie znajdowali się pomiędzy Malgachami, że nie mogli pojąć, aby można za pomocą pewnych znaków nadać mowę papierowi, i posądжали misjonarzy o czarodziejstwo.

Jednakże do téj szkoły popiéranej przez samego monarchę uczęszczała pewna ilość dzieci, tak, że z końcem roku mógł p. Jones ogłosić popis publiczny. Wielu bardzo ciekawych, a szczególnie ludzi w wieku podszłym, pośpieszyło tamże; między innemi pewien sędzia, który był niezmiernie przeciwny szkole. Rozkazawszy

zblizyć się do siebie najmłodszemu z uczniów z tablicą i z szyfrem, powiedział mu te kilka wyrazów pocichu „*Falszem jest ażeby pismo mogło zastąpić mowę.*” Dziecko napisało natychmiast to zdanie, i gdy sędzia kręcił głową przypatrując się tym dziwnym znakom, innego ucznia przywołał z końca sali, wręczył mu tabliczkę, a gdy ten przeczytał wdzięcznym głosem: „*Falszem jest ażeby pismo mogło zastąpić mowę.*” *O solombara tokoa!* (o zastępczyni języka!) krzyknęli wszyscy przeciwnicy, i odtąd pismo znane jest w całym kraju pod nazwiskiem: *zastępczyni języka*. Po czytaniu przyszła kolej na rachunki. Malgachowie doszli do rozwiązywania niektórych zagadnień arytmetycznych, używając do tego kamieni rozmaitej wielkości; lecz najłatwiejsze zadania wymagały dla nich wielkiej pracy. Sędzia ów, starzec uparty i uprzedzony, przygotowywał się powoli i do tego zapytania i zawołał nakoniec: „No dzieci, jeżeli poślę do Tamatawy 100 baranów, z tych przedadzą 60 po 4 dolary, 20 po 3, a 20 po 2 dolary, ileż mi niewolnik powinien oddać pieniędzy?” — Zaledwie skończył zadanie, mała dziewczynka mająca szczególnie rozwinięte władze umysłowe, i która wyścignąć drugie dzieci odpowiedzią chciała, krzyknęła: „340 dolarów.” — Tak, tak, 340, 340 powtarzały inne dzieci, a starzy egzaminatorowie wyznali sami, że to jest coś cudownego, i szkoła się utrzymała.

Nie upowszechniły się jednakże szkoły tak prędko. Ojcowie i matki Malgachów, doświadczeniem nauczani nieułać Europejczykom, mieli podejrzenie którego pozbyć się nie mogli, że dzieci mogą być ztamtąd wzięte, powiązane i wysłane w dalekie strony za morza. W takim usposobieniu umysłu, ledwie nie powstało zaburzenie w skutek bardzo prostej i niewinnej okoliczności.

Pewnego dnia przyprawiono do szkoły dziewczynkę około 7 lub 8 lat mającą. P. Jones powiedział, że jój zaraz przyjąć nie może, gdyż czekać musi dopóki więcej dzieci tego wieku w jeden oddział nie zbierze. Uczniowie którym się postać dziewczynki podobała, zebrali się bez wiedzy p. Jones, poszli w rozmaite strony Tannariwy ściągać dzieci do tego oddziału. Pogłoska o tém zbieraniu dzieci przez Anglików, jak mówiono, z ust do ust przeszła. Ludzie massami szli uskarżać się na to przed władzą rządową, a władza wezwała do wytłumaczenia się pana Jones, który sam nie domyślał się o co rzecz idzie; lecz gdy mu ją przedstawiono, zaledwie zdołał lud uspokoić.

W końcu roku 1820, znowu dwóch missyjonarzy wyjechało z Londynu do pomocy panu Jones. Radama przyjął ich mile; a gdy go na piśmie prosili o pozwolenie założenia nowej szkoły, odpowiedział: „Radama mówi: przyjaciele moi życie długo w pokoju! Jeżeli możność moim poddanym pozwoli, wystawię taki dom jakiego żądacie. Tak mówi wasz dobry przyjaciel.” Podpisano: Radama.

Powoli znikaly przesady, a na trzeci rok było przeszło 1000 uczniów w 14 szkołach, któremi kierowali najzdolniejsi uczniowie pana Jones. Panujący coraz więcej niemi się zajmował, i przesyłał niekiedy swoim poddanym następujące rozkazy: „Odtąd ci tylko którzy czytać i pisać będą umieli, mogą mieć prawo do urzędów;” i znowu: „Młodzież wyszła ze szkół powinna się ćwiczyć w nabytych wiadomościach, gdyż tych którzy zapomną czego się nauczyli, król napowrót do szkół odeśle;” albo: „Król zachęca poddanych, aby posyłali swe dzieci do szkoły gdzie dobrych nabiorą zasad, nauczą

się tam pisać, i tym sposobem będą mogli powierzać myśli swoje papierowi, tak dalece, że odtąd oszukaństwo stanie się niepodobnym, a w familiach ani sprzeczek, ani kłótni nie będzie.” — Śmiejąc się z tój prostej illuzyi przeciwnego króla Malgachów przypomnijmy sobie, że nie on jeden łudził się dobrodziejstwem oświaty i budował zamki na lodzie! Z jego rozkazu, szkoły Tannanariwy zebrano w jeden gmach główny, gdzie kształcili się nauczyciele, których potem rozsyłano po wsiach na zakładanie innych szkólek. Tak szybki postęp robiła oświata, iż w r. 1828 było w państwie 90 szkół, do których uczęszczało 4,000 dzieci. Corocznie w marcu były tak nazwane promocyje Tannanariwy, odbywały się egzamina, na których sam Radama rozdawał nagrody, okazując wtenczas największą uprzejmość i względność dla missyonarzy. Ci zaś korzystali z tego, aby ułatwić wszelkie trudności dotyczące głównego ich celu, to jest zbliżenie im królestwa Bożego. Tym sposobem, jednego roku uzyskali pozwolenie rozszerzania biblii w języku krajowym, a w następnym wzniesienie kaplicy.

Radama wprzód jeszcze kazał sobie wytłumaczyć co to jest religia chrześcijańska, i nigdy nie sprzeciwiał się, aby jój nie udzielano ludowi; ale podobny w tém do niejednego z ucywilizowanych ludzi, jakkolwiek ją przyjął powierzchownie, nie postępował jednakże podług jój zasad. Gdyby może ojciec jego nie był okropnym wpływem swoim skłonił go do obyczajów narodowych, serce jego nie byłoby głuche na głos ewangelii; lecz podówczas był on już niewolnikiem namiętności, które zupełną sprzeczność z religią Chrystusa stanowią.

Opatrzność chciała, ażeby missyonarze nawrócili kilku z tych młodych ludzi, których Radama wysyłał jako

nauczycieli do odleglejszych wiosek, przez co ewangelia rozszerzała się z niepojętą szybkością. Bałwany poszły w zapomnienie, jak z wielu miejsc skargi o tém dochodziły do króla. Gdy jednego z tych bałwanów, którego lud stroił w kosztowne suknie, zupełnie zaniedbano, kapłan zmartwiony spieszy do monarchy prosząc go o płaszcz dla swego Boga, na co mu w ten sposób odpowiada Radama: „Jako? on jest tak biédny że sobie płaszcz sprawić nie może? jest Bogiem i poradzić sobie nie potrafi?”

Gdy tak upadała wiara, kapłani starali się ożywiać ją w narodzie przez rozmaite cuda. Od niejakiego czasu w poblizkiej jaskini Tannanariwy dawał się słyszeć głos szczególniejszy; lud spieszył tłumem w owe strony z tém przekonaniem, że Bóg się tam schronił na mieszkanie, i każdy chciwie chwycił wyrazy jego. Radama uciążąc się tam także z wielką okazałością, wchodzi do straszliwej jaskini i zaczyna rozmawiać z bożkiem; poczem przerywając mu, rzecze: „Oto masz trochę pieniędzy, które ci przynoszę.” Zaledwie to wymówił, jakaś ręka wysuwa się ku niemu bez zastanowienia; król z ręcznie ją schwyciwszy wychodzi z groty, ciągnie za sobą i pokazuje zdziwionemu ludowi biédnego człowieka, któremu kapłani taką rolę odegrać kazali.

Innego dnia znowu, król napotkał na ulicy człowieka trzymającego na ręku bożyszcze, i biegającego z niém tu i owdzie jak opętany. „Cóżto ci jest mój przyjacielu?” zawołał, widząc że lud przypatrywał mu się z religijną bojaźnią. „Bóg mnie tak popycha, Bóg mnie tak popycha”, odpowiada człowiek biegając ciągle w kółko. „Szczególniejsza rzecz w istocie,” rzekł Radama głośno: „radbym sam tego doświadczyć;” i to mówiąc, idzie prosto do

niego, bierze małą figurkę w rękę i przechadzając się z nią rzuca do owego wysmukłego młodzieńca: „Zdaje się, że jestem za ciężki dla tego bożka, tobie lepiej się to doświadczenie udaje, naści go, ale trzymaj się dobrze na nogach.” Poczém młodzieniec szedł z niém równie spokojnie jak król, a lud którego to bawiło, nie myślał po dług woli kapłana.

Przytaczamy tu te wypadki jako cechujące naród; nie bowiem nie widzimy pocieszającego w obojętności Radamy dla swoich bożków, skoro serce jego równie dalekie było od słowa Bożego.

Chcąc aby w kraju kwitnęły sztuki i kunszt europejskie, udał się Radama do missyonarzy o radę, jakby sobie w tym względzie postąpić. Na ich żądanie Towarzystwo Londyńskie wysłało do Madagaskaru ludzi utalentowanych i rzemieślników rozmaitego rodzaju, których król przyjął z wielką radością; ci nakłonili do przyjęcia słowa Bożego wielu młodych oddanych im na naukę. Nie będziemy wchodzić w szczegóły dalszych działań missyonarzy w Madagaskarze, a nadmienimy cośkolwiek o obyczajach i stanie duchowym tamtejszego ludu.

Malgachowie są w ogólności bardzo gościnni, uprzejmi i usłużni. Ze wszystkich wad, samolubstwo jest tą którą się najbardziej brzydzą. Bajki i przypowieści jakie rodzice dzieciom opowiadają, najczęściej zawierają treść jakiego brzydkiego czynu, spełnionego przez egoizm, co ma być przykładem i wpływać na znienawidzenie samolubstwa. Bardzo są przywiązani do kraju, i skoro go na długo mają opuścić, uwożą z sobą na pierśiach trochę téj ziemi, na której się zrodzili, i z żalem często jęć się przypatrują i pieczą tym widokiem. Dźwięk

Valha (*), ich ulubionego instrumentu, jeżeli im się obije o ucho, płaczą i dostają *choroby krajowej*, tak, jak Szwajcarowie gdy na obcej ziemi swoje *Ranz de Vaches* posłyszają. Powracając do kraju, nie idą ale skaczą i tańczą z radości. Obok tego są mściwi, oszukańcy i tak niedołęzni, jak zwykle najdzikszy ludzkie. Rozwiążność ich szalona, przypomina biednych Taitów przed nawróceniem; przytępia ona szybko zdolności, które rozwinięte dawałyby im wyższość nad wszystkimi kolorowemi ludźmi w ogólności.

Dzieciobójstwo jest rozgałęzione, lecz powody jego są mniej ohydne jak u wyspiarzy na morzu Południowém. Skoro tylko dziecko się urodzi, ojciec spieszy oznajmiać narodzenie i płeć kapłanowi, który po pewnym wyrachowaniu wyrokuję, czy to dziecko żyć może, czyli zaraz ma być stracone, lub też na próbę skazane. W ostatnim przypadku kładą niemowlę na drodze przy wejściu do obory, w czasie kiedy bydło powraca z pola. Pastuchowie dochodząc do tego miejsca, a wiedząc już o tém, pędzą raptem bydło przed sobą; czasem, instynktem ominą dziecko, i wówczas ojciec porywa je i zanosi z tryumfem do matki i ze łzami żalu. Najczęściej jednak bydło przestraszone traktuje najokropniej niewinną ofiarę, a rodzice starają się pocieszać myślą, że gdyby dziecko było żyło, byłoby nieszczęśliwe i pod wpływem złego ducha; ocalone zaś od śmierci, jest z tém większą czułością pielęgnowane przez matkę, która go karmi najchętniej do 4ch lub 5ciu lat, i nosi z sobą na plecach w najodleglejsze strony, gdzie ją zatrudnienia powołują.

(*) Rodzaj gitary jednotonnój, zrobionój z samego bambusu, z którego nawet i struny są wyrobione.

To téż pierwszą sztukę piénieźną, którą to dziecię później zapracuje, oddaje matce, co nazywają: *Fo-damosina* czyli *przypomnienie plecowe*. Wielożeństwo jest dość upowszechnione w Madagaskarze, i niéma bez wątpienia języka, w którymby dokładniej określone było. Nazywają je *Mamporasy*, to jest *przyczyna niezgody*.

Sprawiedliwość wymierzają, jak w Europie w średnich wiekach, przez próbę niewinności. Dają wypić obwinionemu trochę soku z owocu zwanego *tanghena*, co działa stosownie do natury winowajcy, albo jak emetyk, alko jak trucizna. W pierwszym przypadku ogłaszają niewinność przestępcy, w drugim nieszczęśliwy ginie pod razami strzał. Ponieważ są rozmaite gatunki *tangheny* i różnej działalności, łatwo pojąć można, że sędzia naprzód wie jakiego skutku spodziewać się może.

Co się dotyczy wiary religijnej Malgachów, nic niéma ciemniejszego i trudniejszego do określenia. Istnieje u nich nazwa Boga, ale to imię nie budzi w nich żadnego wyobrażenia. Zapytany o objaśnienie odpowiada: „nie wiem.” Zdaje się, że tam jest owa dawna zapomniana religia, która tylko imię zostawiła po sobie, i której niepewne wyobrażenia zespoliły się z materyalizmem i zabobonami, które w końcu zastąpiły jój miejsce. Co się tyczy nieśmiertelności duszy, przedstawiają szczególniejszy i niepojęty przykład. Utrzymują, że wierzą iż dla ludzi również jak i dla zwierząt wszystko się kończy ze śmiercią, a przy téj wierze, pozostali wierni dawnemu zwyczajowi *modlić się do swych przodków*. Wyobrażenie zupełnego zniszczenia sprawia, iż choremu nigdy o niebezpieczeństwie życia nie mówią; owszem, starają się otaczać go przyjemnościami, i łudzić do ostatniej chwili. To przypomina podobny zwyczaj upowszechniony

u innych narodów, tylko Malgachowie są loiczniejsi. Mają obrząd obrzezania, zresztą mniej religijnych obowiązków jak u wielu pogan. Wielką cześć oddają bogom, którym przypisują władzę zsyłania dëszczu, piorunów, i których kapłani są albo wyrocznią, albo astrologami, albo czarownikami. Nie mają żadnego podania o stworzeniu świata, upadku pierwszego człowieka, potopu i t. d. Szanują prawa ludzkie, ale nie czują się być im obowiązani; strzegą się jednak rzeczy, prawem Bożém zakazanych; słowem, we wszystkiém okazuje się uderzająca sprzeczność w ukształceniu umysłowém Malgachów z ich stanem religijnym. Następujące strofy wzięte z pism angielskich, mogą dać o tém wyobrazenie. Jakiś bard wędrujący śpiewał je na placu Tannanariwy, gdzie go słyszał missyjonarz, który nam tę pieśń przechował.

Człowieku próżny, zwróć uwagę na umarłych,
 Niéma już dla nich ciepła, niéma pracy, ani radości,
 Nie napotkają już miłych przyjaciół.
 Widzę wprawdzie u grobu drzwi wejścia,
 Lecz nie spostrzegam wyjścia.
 Niestety! któż mi powie, co się dzieje z umarłemi!..

Czytając strofy poety Malgacha, przypomina się tém żywiej hymn p. *Vinet*:

„Oni nie zaginęli, oni nas tylko poprzedzili.”

Takie było pojęcie wiary ludu, pośród którego missyjonarze rozpoczęli działania swoje. Przez szkoły torowali sobie drogę do nawrócenia, a najpierwszy przeszedł na wiarę chrześcijańską kapłan, który w celu przypodobania się królowi, posłał syna do szkoły. Pewnego wieczora, dziecko z całą prostotą duszy mówi do ojca, że już teraz wie, iż Bóg nie jestto ktoś taki, o kim potrzebaby mieć staranie, lecz to on sam ma opiekę nad nami wszystkimi. „Jako nędzniku? to ty nie wierzysz w *Rakemalasa*?”

(byłoto nazwisko bożyszcz). Dziecko nic nie odpowiedziało. W kilka tygodni prosi ojca aby go ze szkoły odebrał; „a to dlaczego?” zapytał ojciec; „dlatego, iż nie chcę uczyć się dalej tego wszystkiego w co ty nie wierzysz ojcze.” „A w cóż ja nie wierzę?” „W to, com ci dawniej powiedział, a coby ci taką radość jak i mnie sprawiło;” potem coraz więcej się zapalając rzekło dziećcie: „Ojcze! jest inne niebo i inna ziemia z wiecznym życiem dla tych co wierzą w Boga; ich odzienie nigdy się nie zużyje, będzie zawsze błyszczało jako słońce.”—Wyrazy te i zapal syna zwróciły uwagę ojca, zaczął badać go coraz więcej, kazał sobie czytywać biblią, i wkrótce wynalazł przyczynę do opuszczenia godności którą sprawował.

Król nie był bynajmniej przeciwny rozszerzaniu się ewangelii; dzień, w którym biblia opuściła prasę drukarską był dniem uroczystym. Uprzejmie przyjął biblią którą mu ofiarowali misyjonarze, a skoro go prosili aby nie uważał na lichą jej powierzchowność, odpowiedział: „Nie obchodzi mnie powierzchowność człowieka, patrzę tylko na przymioty jego serca, i wasza książka spodobą mi się, jeżeli prawdę będzie w sobie zawierać.” Piękneto były słowa, lecz niestety nic w życiu jego nie dowodzi, aby przedarła się do jego serca prawda ewangelii! Pod jego opieką wzniosły się kaplice nie tylko w Tanuanariwie, ale i w dalszych wioskach. Zgromadzenia pobożne zaczęły się tworzyć po domach niektórych nawróconych Malgachów, i chociaż tam czasem bywali misyjonarze, przewodzili im ludzie miejscowi. Prawdziwy duch modlitwy, prawdziwa miłość bliźniego panowała między temi nowymi chrześcianami; nie zaniedbywali najmniejszych środków kształcenia się i rozszerzania biblii. Radama głuchy był na skargi jakie go ze

wszech stron dochodziły, iż wiara bożków upada. Wiedział jak oświata i kunszta rozszerzały się w państwie, co było przedmiotem jego życzeń; pozwolił więc ludowi chrzczyć się i żenić podług obrzędu missyonarskiego, i mniej go pracy ten edykt kosztował, jak dotyczący pisowni jaką mają przyjąć Malgachowie. Ważne to prawo nakazywało, aby używać w pisowni spółgłosek angielskich, lecz co się tyczy samogłosek, pisać się mają francuzkie; dlatego, jak się sam król wyrażał: „ażeby *a* było zawsze *a*, a nie, raz *o*, a drugi raz *e*.

W końcu roku 1826 umarł p. Hastie, który robił układy względem zniesienia handlu niewolnikami, i ścisłym był przyjacielem Radamy. Żal króla był prosty i rozrzewniający. Przez szczególniejszą delikatność, obawiając się aby rządca wyspy Maurycyusza Sir Farquhar dowiedziawszy się o téj nowinie nie był niespokojny o dochowanie traktatu, król list swój do niego temi słowy zakończył: „P. Jones Hastie umarł, ale ja Radama który zniósłem handel niewolnikami żyję zawsze.” Biędny król ufał w długie lata; był wprawdzie młody, bo miał lat 30, a w 18 miesięcy później, zbytek i rozwiązłość wtrąciły go do grobu! Smutny widok, tym smutniejszy, że to własny ojciec gotował tę przepaść synowi.

Dość już powiedzieliśmy o tym księciu, aby okazać co Madagaskar w nim stracił; lubo moglibyśmy tu jeszcze wiele praw przytoczyć, które świadczyłyby o jego mądrości i ludzkości. Czytelnik przypomina sobie zapewne to biędne dziecko, które los ślepy rzucał bydlu pod nogi. Radama wydał więc rozkaz, że wszystkie dzieci przeznaczone na podobną próbę, zostawały jego dziećmi, i jeżeliby którekolwiek straciło życie tak okrutnym sposo-

hem, ci którzyby je wystawili na śmierć, uważani będą jako zabójcy dzieci królewskich i odpowiednio karani.

Również okrutny zwyczaj względem tych, którzy ospy naturalnej dostawali, został zniesiony. Był zwyczaj, że skoro tylko gdzie początki ospy okazywały się, wyrzucono chorego z domu daleko od wszelkiego zamieszkania, i kamienowano go, albo częściej jeszcze zagrzebywano go żywcem, ażeby się nie rozszerzyła zaraza.

Radama tworzył prawa i czuwał nad ich wykonaniem. Często wychodził wieczorem z pałacu przebrany jako kalif *Harun al-Raszyd*, i przechadzał się po mieście słuchając co o nim jego lud mówił. Szło mu bardzo o to, aby gościnność z całą swobodą i sercem była wykonywaną. Mówiono, iż jedna z odleglejszych wiosek stolicy wzorową zaleca się gościnnością. Udaje się tam przebrany w nędzne ubranie, i prosi o przytułek. Powierzchność domu była bardzo przyzwoita; przyjmują go tam grzecznie, opatrują we wszelkie potrzeby, lecz bez najmniejszej uprzejmości, nawet z pewną cierpkością. Wyszedłszy ztamtąd, udał się do drugiego sąsiedniego domu w tymże samym celu. Tu znowu każdy śpieszy mu w pomoc, i dziękuje jeszcze bogom, że mu gościa w dom przysłali. Serce, odpowiadało przyjęciu. Naza jutrz Radama daje się poznać tym ludziom. Posyła im królewskie podarunki, ale napomina zarazem, aby ojciec pierwszej rodziny był nadal z większą uprzejmością w przyjmowaniu swych gości.

Wszystkie te zmiany o których mówiliśmy, i wiele jeszcze innych praw cywilnych z niechęcią przyjęto; trzeba było mieć wiele odwagi, aby tak w brew iść przesądom narodu, będąc nawet jego panem. Wśród tych wprowadzonych nowości, te które miały na celu zniesienie han-

dlu niewolnikami i które nakazywały noszenie włosów po europejsku najwięcej doznały trudności w przyjęciu, a ostatnia smutne skutki pociągnęła za sobą. Szemranie i oburzenie powstało pomiędzy kobietami, nakoniec 5,000 z nich zgromadziło się w jednej wiosce niedaleko Tannariwy, i posłało do króla dość śmiałe poselstwo. Tu natykamy najokrutniejszy czyn Radamy przy końcu prawie jego życia. Zdaje się, że się obraził, i że do gniewu swego ze zmienionego zwyczaju wynikającego, kobiety dołączyły inne spostrzeżenia swoje o mocnych napojach, których używał. Król kazał schwytać pięć najenergiczniejszych, powiedział im ostro że potrafi zaradzić temu, ażeby układ ich włosów nie przeszkadzał im nigdy, i tego samego dnia wydał na nie wyrok śmierci; potem otoczył resztę buntujących się na płaszczyźnie gdzie się były zebrały, i dopóty je trzymał obwarowane bez schronienia i żywności, dopóki nie błagały o przebaczenie.

Uknuła się intryga w pałacu królewskim; ukrywano troskliwie śmierć Radamy, głoszono tylko, że był bardzo słaby, i zwołano wielkie zebranie dla uznania następcy którego on sam wskaże. Tym sposobem wybrano na króla *Ranawalonę*, jedną z kobiet, dla której nie okazywał był monarcha żadnej szczególniejszej przychylności, i w tydzień dopiero ogłoszono że umarł Radama, i nakazano dziesięciomiesięczną narodową żałobę. Przez ten czas, tak mężczyźni jako i kobiety powinni byli mieć głowę ogoloną; niewolno było ani tańcować i śpiewać, ani grać na żadnym instrumencie, ani się witać, ani używać koni i lektyk, ani nawet łóżek i stołków; siedzieć i leżeć na ziemi należało do żałoby. W ogóle ubiór im brudniejszy, tém był większą oznaką smutku; lecz ponieważ Radama lubił czystość, więc królowa nie wymaga-

ła tego ostatniego szczegółu. Według zwyczaju, wiele przedmiotów chowano razem z ciałem królewskim, jakoto: po kilka tuzinów rękawiczek, pończoch, spodni, butów, zegarków, broni, sprzętów; przytém 10,000 piastrów i tablicę, która mu naprózno nakazywała wierzyć w nowe życie.

Zwyczaj ten u ludu, który nie przypuszczał żadnego istnienia po śmierci, był równie uroczysty i upowszechniony jak uczta z okoliczności pogrzebu. Wiele rodzin aby uczcić swoich umarłych, musiało częstokroć sprzedawać wszystko co posiadały i narobić długów, które nawet sprowadzały je ze stanu wolnego do niewolniczego. Missyonarze zadali tym zwyczajom cios okrutny, otrzymawszy od Radamy prawo, które uznawało za nieprawny i niewymagalny dług, zaciągnięty z tego powodu.

W ciągu pierwszych lat swego panowania, Ranawalo-na zdawała się chętnie wstępować w ślady swego małżonka. P. Jones i jego towarzysze doznawali od niej względów, i nigdy missya nie szła pomyślniej. Drugą i obszerną kaplicę wzniesiono w Tannanariwie, i królowa potwierdziła edykt Radamy, upoważniający sakrament chrztu i pokuty, pozwalający oraz żenić się podług obrzędu chrześcijańskiego.

W przeciągu kilku miesięcy, kilkadziesiąt Malgachów przyjęto na łono kościoła, a gorliwość ich, czystość i miłość bliźniego potwierdzały wiarę. Urzędnik wyższego stopnia otworzył u siebie rodzaj szkoły, gdzie wykładał biblią wieczorami, w czasie kiedy niewolnicy, najmniej mieli zatrudnienia, aby i ci biedni ludzie mogli mieć także udział w dobrodziejstwie słowa Bożego. W dzień targowy, dom missyonarzy bywał jakby obleżony przez

ludzi ze wsi przybywających, którzy prosili o objaśnienie miejsc niezrozumiałych biblii; niektóre bowiem miejsca tłumaczyły się im przez własne ich zwyczaje, i tak: przypowieść o talentach w biblii bardzo jest dla nich jasna, gdyż u nich jest w zwyczaju, że panowie gdy się wydalają z domu, zostawiają niewolnikom pieniądze, i żądają ich z procentem za powrotem. Wszystkie miejsca, które mają podobieństwo bałwochwalstwa, za bobonu względem zachowywania pewnych dni, wywierają na Malgachów wpływ szczególniejszy; pismo święte ponieważ jest równie dla pogan jak i dla nas chrześcian pisane, miejsca więc te, które nam zdają się mniej potrzebne lub dziwne, są to może właśnie te, które otwierają oczy niejednemu bałwochwalcy, i nawrócą go.

Biblia stała się powoli tak niezbędną i tak szacowną dla nowo nawróconych wszystkich klas, że prosili czyby nie można zrobić mniejszego wydania, tak, ażeby można zawsze książkę mieć przy sobie i brać ją na częste wojenne wyprawy. Drukarz missyi uczynił zadość temu życzeniu; wkrótce wszyscy żołnierze chrześcijańscy mogli zamieniać wielkie wydania na kieszonkowe, i gdy nastąpiła wyprawa przeciw hordom południowym, 50 ludzi znajdowało się w szeregach, którzy mieli z sobą świętą księgę. Drwili z nich, sztydzili towarzysze; nie przeszkadzało to jednak do zgromadzenia się każdego wieczora na czytanie i modlenie się razem. Ich wytrwałości błogosławiła Opatrzność! Za powrotem z wyprawy nie 50, ale 600 żołnierzy było nawróconych, i prosiło o nauki missyonarzy.

Tak pomyślny stan nie mógł trwać długo. Trzej bracia, ludzie pod każdym względem zepsuci, z których je-

den był jawnym ulubieńcem królowej i stał na czele rządu państwa, nienawidzili chrześcian, i światło ewangelii raziło ich, bo ich czyny złe były. Wylądowanie Francuzów do Madagaskaru (w któreto szczegóły wchodzić tu trudno), wielką obudziło w nich niespokojność, ale dopóki to się nie skończyło, niezdawało im się w porę narażać sobie Anglików; lecz skoro tylko nie mieli się już czego obawiać z téj strony, nie zaniedbali ażeby poburzyć królowę przeciw nowonawróconym; charakter zaś jój krwi pragnący, sprzyjał aż nadto ich zamiarom. Naprzód najlepsze rozkazy Radamy zniweczono, a w téj liczbie prawo o dzieciobójstwie. Handel niewolnikami na powrót ustalony, a rezydent angielski odesłany. Ponieważ niedość prędko według życzenia królowej wyjeżdżał, kazała zapełnić w nocy dziedziniec węzami, które są tam uważane jako sługi jednego z bożków najokrutniejszych, a nad rankiem lud nie wątpił już, że Bóg ich kazał Anglikowi wyjeżdżać, i musiał rzeczywiście opuścić Tannanariwę pośród mocnego i zabobonnego rozruchu. Wówczas dopiero, zaczęły się zatargi i prześladowania z chrześcianami. I tak: powrócili prawo ojca Radamy, mocą którego używanie wina zakazane było w całym państwie, i zastosowali to do sakramentu ciała i krwi Pańskiej, tak, że odtąd wodą komunikować musiano.

Skoro nowa wojna wybuchła z południowemi hordami, nienawiść rządu miała porę wyrzucić się w zupełności na żołnierzy nawróconych. W wigilią dnia potyczki, wielką ceremonię bałwochwalską ogłoszono w celu otrzymania błogosławieństwa bogów. Chrześcianie prosili aby byli od niej wyłączeni; uczyniono zadość ich prośbie, dodając, że to bożyszcze mściwe i wszechwładne, potrafi ich za tę wzgardę ukarać. Ażeby pogroźki tém pe-

wniej się ziściły, każdy z nich nazajutrz został naznaczony na najniebezpieczniejsze miejsce boju, lecz szczególniejszym trafem, żaden z nich nawet rannym nie został.

Missyonarze przeczuwając zbliżającą się burzę, rozszerzali jak najspieszniej słowo Boże we wszystkich częściach państwa. Wśród téj trwogi, wypadek jeden do wytrwałości siły dodał: byłato śmierć jednego z nowonawróconych krajowców, śmierć spokojna i prawdziwie chrześcijańska. Biędny młody niewolnik, który towarzyszył swemu panu do szkoły, został tam nawrócony; skoro przy chrzcie zapytano go o imię, odpowiedział: „*biędny murzyn,*” i pod tém imieniem znany jest w raportach missyonarskich. Nie dlatego tak się nazwał że był czarny, ale przeczytawszy małą biografią pod tytułem: *biędny murzyn*, serce jego tak się tém obrazem rozczuliło, iż pragnął zawsze być podobnym do skręślonego wzoru. Później został nauczycielem szkółki w jednej wiosce, i wiele robił dobrego. Umarł bardzo młodo, powtarzając ustawicznie: „nie boję się śmierci, nie boję!”

Siostrzeniec tych trzech wielowładnych braci o których wspomnieliśmy, nawróciwszy się i niechcąc składać ofiar bożkom, tak gniew wujów zapalił, iż podał królowej prośbę w styczniu 1838 r., zawierającą w sobie najgłówniejsze punkta zawiści przeciw chrześcianom. Przytoczemy tu z nich te, które tém mocniej okażą, jak szybki wzrost wziął chrystyanizm w Madagaskarze.

1. Bożków naszych już nie szanują; wiara w czary niknie.

2. Chrześcianie ustawicznie modlą się, nawet przed i po jedzeniu.

3. Uczą czytać swoich niewolników.

4. Kobięty chrześcianki są skromne, a nawet i mężczyźni zmieniają swoje obyczaje.

5. Nięma rodziny w państwie, któraby nie miała kogoś z krewnych nawróconego.

To podanie przyjęła bardzo dobrze Ranawalona. W parę dni później, gdy ją niesiono podług zwyczaju po mieście, skoro przybliżyła się do kaplicy, w której właśnie wówczas śpiewano pieśni nabożne, z gniewem zawołała: „Nie uciszą się jak widzę, dopóki kilka głów nie spadnie.” W tym czasie także jeden z wysokich urzędników przybył do pałacu i żądał aby się mógł widzieć z królową; uzyskawszy posłuchanie rzekł: „Przychodzę tu prosić Jęj Wysokość o dzidę, dzidę bardzo ostrą.” — Będzie na wasze żądanie, ale cóż chcesz z nią robić? zapytała królowa. „Przebić się. Słyszę już brzęk hroni wojska europejskiego prowadzonego przez ich wszechwładnego naczelnika Jezusa, którego missyonarze teraz zawezwą aby im przewodniczył, odwróciwszy lud od miłości królowej monarchini i ich bogów.” Po tych słowach, królowa widocznie wzruszona, długo milczała; nakoniec zawołała: „Nie, chrystyanizm musi być zniszczony, chociażby połowa moich poddanych padła tego ofiarą.”

Tak jak gdyby się przygotowywano do ważnej jakiej sprawy tajemniczęj, bo milczenie panowało u dworu, przez całe dni 15, muzyka i wszelkie zabawy ustały. Nakoniec 26 lutego we czwartek r. 1838, w chwili kiedy bracia chrześcianie rozmyślali właśnie nad temi wyrazami: „*Panie broń nas bo giniemy,*” urzędnik policyjny wszedłszy do kaplicy, przeczytał głośnie edykt królowej adresowany do missyonarzy, i który tu w części przytaczamy:

„Dziękuję wam za staranie jakie mieliście w kształceniu mego ludu, życzę nawet sobie, abyście go i dalej uczyli kunsztów i nauk, które mogą mu być użyteczne. Upoważniam was, abyście w zupełności zachowywali religijne zwyczaje przodków swoich, ale moi poddani powinni także zachować swoje; uprzedzam więc was, że ci wszyscy, którzy zgwałcą prawa religijne krajowe, będą surowo karani.”

Edykt ten był pełen umiarkowania, lecz wszelkie usiłowania misjonarzy zmienić go nie mogły. Zwołano wielkie zebranie, gdzie przeszło 150,000 osób się znajdowało. Cała siła zbrojna była na stopie wojennej w czasie téj okoliczności, i pośród wystrzałów z dział, ogłoszono wolą królowej w tych wyrazach:

„Howasy! wieǳcie że nie jestem królową, która oszukuje. Zmieniać zwyczaje przodków, pogardzać bogami, drwić z wyroczeni, tego Ranawalona nie ścierpi, i ukarze niezawodnie tych, co tak działać będą. Chrzcic się przez chrześcian, zachowywać ich święta, zbierać się na modlitwy w domach swoich i t. d. Ranawalona nie cierpi, nie chce tego wszystkiego, i niezawodnie ukarze tych, którzy tak robić będą. Howasy! tym którzy przyjęli te zwyczaje, zostawiam miesiąc czasu, aby przyszli wyznać winy swoje; jeżeli zaś sami z siebie nie przyjdą, a będą przez drugich oskarżeni, Ranawalona śmiercią ich ukarze. Pamiętajcie, że nie jestem królową, która nie dotrzymuje słowa.”

Wysłano posłańców aby ten rozkaz w najodleglejszych częściach państwa ogłosić. Po téj odezwie, pewien wojskowy wysokiego stopnia, który nie był sam chrześcianinem ale miał zdanie proste i zdrowe, odezwał się mówiąc: iż ci którzy przyjęli nową religię zrobili to bez

chęci obrażenia swego rządu, i że prawo każde może obejmować przyszłość a nie przeszłość. Zgromadzenie przyznało słuszność i poleciło mu, aby w tym rodzaju przedstawił prośbę królowej; ale Ranawalona rozgniewana, odpowiedzieć kazała, że nagania podobne uwagi, i że zamiast 15 dni, 8 dni tylko przeznaczają na uniewinnienie się.

Obawa niejednego wówczas odwagę zachwiała; jeden mówił: przez ciekawość chodziłem na zgromadzenia, lecz przekonawszy się, że tam niema nic dobrego, więcej nie uczęszczałem. Inny znowu tłumaczył się, że zachowywał niedzielę ale chrztu nie przyjął; nie wierzył nigdy temu co mówiono, i chodził tam dlatego, że szli i drudzy. Wielu z tych co najlepsze robili nadzieje, mówiło: „Ponieważ Bóg nas już nie wspiera, musimy sami sobie radzić, i sami wypierali się wszystkiego, chociaż ich nikt o to nie badał.

Inni znowu, przychodzili wyznawać wiarę swoją spokojnie i z wytrwałością; byli gotowi znieść wszystko dla niej. „Jakże jest słodko”, pisał z odległej wioski chrześcianin do misjonarzy, „jak jest słodko pomyśleć, że władza nieprzyjaciela ma przecież granice, i że żadna siła nie potrafiłaby zmusić chrześcianina do odwrócenia uczuć swoich od Boga, aby na martwy kamień przynieść.” Pewien starzec, człowiek bardzo godny, poważany między współobywatelami, zapytany o liczbę swoich modlitw, odpowiedział: „Nie wiem sam jak mam odpowiedzieć; gdyż przez te trzy ostatnie lata, nie przepędziłem dnia jednego bez modlitwy, nie prosiłem o złe dla nikogo, lecz tylko o to, abyśmy wszyscy stali się pocziwami ludźmi.” Sędziowie żądali, aby im dał próbę tej modlitwy, co spełnił natychmiast w obec zgrom-

madzenia. Wyznawał swe grzechy Bogu, prosił go o przebaczenie i pomoc aby mniej grzeszył na przyszłość, i aby dostał nieba, bez którego niema szczęścia wiecznego. Prosił także o błogosławieństwo dla swój rodziny, przyjaciół, królowej, jój poddanych, i to wszystko w imię Chrystusa syna Bożego, który umarł za grzesznych i jedyną jest drogą łaski. — Modlitwa twoja, rzekli sędziowie, dobrą nam się wydaje, ale ponieważ królowa tego nie chce, trzeba jój zaniechać. — Ten rodzaj rozmowy trwał jeszcze czas niejaki; przytomni tam chrześciance zapewniali, że nigdy rząd tamtejszy nie mógłby słyszeć silnie wykładanej ewangelii, jak kiedy poczciwy starzec wierny swój wierze, mówił im o stanie ich zatracenia, i o Zbawicielu. Później tenże sam starzec, zebrawszy z niebezpieczeństwem życia wielu braci, musiał z nimi uciekać do lasu.

Po wsiach nie wiedziano jaki los czekał tych, którzy szli się oskarżać do Tannanariwy, i w wielu rodzinach wielka była trwoga. W Zarainie kobiety czuwały razem, czekając powrotu swych mężów, którzy wyjechali dla uzupełnienia tego smutnego obowiązku. Gdy nie wracali, oczekiwanie kobiet zamieniało się w trwogę. Ah! rzekła jedna, często myślałam sobie, że jak przyjdzie czas prześladowania, nie będę miała siły znieść go; czémże jest nasza wiara, jeżeli to wszystko jest prawda co słyszeć? — Towarzyszki przywtórzyły jój, i mówiąc to, ujrzały wchodzącego przyjaciela zamieszkującego w poblizkiej chacie, i wynurzyły mu myśli swoje z wątpliwością połączone. — „Takżeście zrozumiały słowo Boże? rzekł im na to; biedne siostry! czyście przynajmniej stale walczyły modlitwą?” — O! próbowałyśmy bardzo polecać się Bogu, odpowiedziały, ale trwoga przemogła i nie miały-

śmy siły modlić się. „Dziwić się więc nienależy, że wam brakło na odwadze, odrzekł starzec, a wyjąwszy biblią z kieszeni, odczytał im wiérse z psalmu 46: „*Bóg jest ucieczką i siłą naszą, ratunkiem we wszelkim ucisku najpewniejszym*. Potém wszyscy padli na kolana prosząc Boga gorąco, aby uwolnił ich od trwogi która ich ogarnęła. Kobiety te zapewniały, iż odtąd nie doznawały nigdy żadnej trwogi, bo jak tylko przeczuwały najmniejszą obawę, odczytywały psalm 46, i spokojność wstępowała w ich duszę. Jedną nawet z nich sprzedano później jak niewolnicę za wytrwałość w wierze.

Chrześcian którzy przychodzili sami się oskarżać, na kilka klas dzielono stosownie do wielkości winy, jakoto: ci którzy tylko chodzili do kościoła, ci którzy odebrali chrzest i t. d., ale najwinniejsi w oczach sędziów byli ci, których życie zgadzało się najwięcej z ewangelią. Nic szczegółowo nie obudzało bardziej wściekłości, jak czystość kobiet nawróconych. Chrześcianie, którzy chrztem odrodzeni często pozwalali brać górę chuciom swoim, uchodzili za wytłumaczonych; 400 osób piastujących najznakomitsze urzędy, potraciło z téj okoliczności miejsca swoje. Wskazano na karę pieniężną tych wszystkich, których w ten sposób osiągnąć nie można było; a na przyszłość śmierć, po której następowało zajęcie dóbr i własności wszelkiej, oraz sprowadzenie do niewoli całej rodziny, była już nieodwołanie zawyrokowaną przeciw każdemu, ktoby jakikolwiek akt chrześcijańskiej religii wykonał. Późniejszy rozkaz wzbraniał używać imion *Jehowy* i *Jezusa*, i nakazywał zapomnieć tego wszystkiego, czego europejczycy uczyli.

Ciężkieto były próby dla wiernych Malgachów, lecz jeszcze nie uważali wszystkiego za stracone. Missyona-

rze byli jeszcze pośród nich, i szkoły istniały pod ich kierunkiem, chociaż wszelki rodzaj nauki religijnej był zupełnie zakazany. Odbierali przytém dowody współczucia, które krzepiły ich dusze; i tak np: pewien pan ze dworu królewskiego, który bywał w kościele nie robiąc żadnego aktu wyznania chrześcijańskiej wiary, przyłączył się do nich otwarcie mówiąc: że niesprawiedliwość której doznawali, obudziła całe jego współczucie, i że tyle dobrego zrobili chrześcijanie, iż chce aby Bóg ich, był odtąd jego Bogiem. Żona wkrótce poszła za jego przykładem, i oboje byli wielką pomocą cierpiącym braciom. Zebrania chwilowe miały miejsce albo w nocy po domach, albo na szczycie jakiego wzgórza oddalonego, z kąd widać było kraj cały i gdzie chrześcijanie mogli śmiało dać popęd głosowi, i śpiewać chwałę Boga wtórując na swoim krajowym instrumencie. I nigdy więcej nie doznawali spokoju duszy!

W kilka tygodni nowy znowu wyszedł rozkaz z dodatkiem, ażeby pod karą śmierci przynosić do pałacu królewskiego wszystkie książki europejskie. Smutek tych nieszczęśliwych ludzi był rozrzewniający. Parę dni właśnie przedtém, pewien człowiek chcąc koniecznie nabyć biblią, 30 mil odprawił drogi aby ją mógł dostać, pomimo że tylko co wyszedł był z ciężkiej choroby. Skoro ta święta księga stała się jego własnością, przycisnął ją do serca mówiąc: „oto są słowa szczęśliwości wiecznej, pielęgnować je będę jak życie swoje.” Nie wszyscy i nie wszystkie śmieli składać księgi; jeden testament zachował, drugi psalmy, lub inną książkę nabożną. Królowa odesłała to wszystko missyonarzom, którzy pozostali jeszcze zaledwie kilka miesięcy, bo w r. 1838 w miesiącu lipcu, odebrali razem ze wszystkiemi rzemie-

ślnikami rozkaz opuszczenia państwa. Pozostała trzódka pocieszała się przesyłając im listy swoje na wyspę Maurycyusza, i wielbili Boga więcej jak kiedykolwiek że pisać umieli. Oto są niektóre wyjątki z tych listów:

„Ukochani przyjaciele! Bardzo się smucimy, ale niech to was nie martwi, bo my kochamy Chrystusa i Chrystus nas kocha. Czyliż nie powiedział Paweł 1sty, że *przez wiele cierpień trzeba przejść do Królestwa Bożego?* Zresztą, liczba nasza powiększa się, i zdaje się, że razem z nią i pobożność nasza.... Kiedy przechodzę koło kaplicy, smutny jestem bardzo, kiedy mi dają w niedzielę robotę której odmówić nie mogę, smutny jestem także; ale Chrystus mnie kocha i któż nas potrafi od miłości Chrystusa odsunąć?” — I rzeczywiście ani prześladowania, ani głód, ani nędza, ani niebezpieczeństwo, ani nawet i męczarnie nie mogły ich od miłości Chrystusa oderwać.

Niedaleko Tannanariwy, mieszkała znakomita i bogata kobieta energicznego charakteru, nazwana Rafarawawy, gorliwa czcicielka bożków. Silne na nią zrobiły wrażenie następujące słowa Izajasza, które usłyszała przypadkiem: (Izaj. r. XLIV. w. 14, 15, 16, 17.) *Narąba sobie cedrów, i bierze cyprys i dąb, albo to, co jest najmocniejszego między drzewem lesnem, i używa tego do palenia: część jego pali ogniem, przy drugiej części jego mięso jé, piecze pieczenią, i nasycony bywa; także rozgrzewa się i mówi: Hej rozgrzałem się, widziałem ogień; a z ostataka jego czyni boga, bałwana swego, kłęka przed nim, kłania się i modli mu się, mówiąc: Wybaw mnie, boś ty bóg mój!!* Od tego czasu jéj fałszywy pokój został zamieszany; pragnęła koniecznie poznać się z missyjonarzami, i wkrótce została najgorliwszą służką Chrystusa. Przez wzgląd na swego starego ojca, nie poszła oskarżyć

się do Tannanariwy w oznaczonym czasie. Jój niewolnicy wydali ją, jako pozwalającą domu swego na zgromadzenia do modlitwy. Porwana i wtrącona do więzienia, nic nie mogło z niój wydobyć imion braci. Jój wytrwałość nie zachwiała się ani chwili, całą ufność położyła w Bogu, i tak do p. Jones pisała:

„Przejdę może przez dolinę cierpień, ale ich się nie zleknię. Bóg jest ze mną, każda śmierć tych, których Bóg ukochał, jest drogą w oczach jego.”—Dobra jój zabrano, i dziesiątą część oddano urzędnikom czuwającym nad spokojnością, ale żaden z nich nie chciał mieć ztąd korzyści. Pocieszającą jest rzeczą, co i dalej tego znajdziemy dowody, że prześladowań tych nie podzielał lud Madagaskaru. Jednakże niedługo Rafarawawy była na śmierć skazaną. Wyrok ten nic ją nie zastraszył, a list który natychmiast do p. Jones napisała, tchnął wielkim pokojem duszy. Poprzedniej nocy, przed wykonaniem wyroku, najokropniejszy pożar wybuchnął w Tannanariwie. Powodowana może zabobonną obawą, królowa odwołała wyrok, ale w kilka tygodni potem, szlachetna i bogata Rafarawawy była wystawioną na targ publiczny, i sprzedaną jako niewolnica.

Niektórzy z jój braci i sióstr w Chrystusie, zebrali się na owym *pagórku łez*, o którym wspominaliśmy, ale spostrzeżeni i schwytni przez stronników królowej, dali się związać bez oporu, i zaprowadzić do miasta, gdzie także zostali sprowadzeni do stanu niewoli jak i ich rodziny, w liczbie więcej jak sto osób.

Znajdowała się pomiędzy niemi młoda *Rasalawa*, siostrzenica jednego z sędziów, który się szczególniejszym względem niój okazał. Zniewagi jego spowo-

dowały odpowiedzi tak śmiało ze strony młodej dziewicy, że wskazano ją za karę na różgi, a ona jednak wśród téj dotkliwój próby, śpiewała hymny dla wzmożenia ducha. Wówczas myśleli wszyscy, że ją missyonarze oczarowali i ogłoszono wyrok śmierci, na którą szła z równym spokojem duszy, jak Rafarawawy. Gdy żołnierze przysli po nią aby zaprowadzić na stracenie, podwójny szereg widzów opasywał drogę; lizące wyrazy bałwochwalców które dochodziły ztamtąd jój uszu, wzruszyły ją cokolwiek, nogi drząc zaczęły; lecz skoro spostrzegła kościół, to święte miejsce w którym przysięgała wierność Bogu do śmierci, nabrała sił nowych, i pewnym krokiem postępowała na miejsce wykonania, kośćmi trupów pokryte, gdzie psy zgłodniałe oczekiwały niecierpliwie świeżój zdobyczy, którą im na placu zostawić miano, albowiem uważano za świętokradztwo pochować winowajcę. Na ten widok dreszcz przeszedł dziewicę; prosiła o pozwolenie aby klęknąć mogła i polecić Bogu, siebie i braci swoich; pozwolono na to, ale zaledwie dokończyła ostatniej modlitwy, żelazo kata spadło, i pierwsza krew męczeńska skropiła ziemię Madagaskaru.

Patrzył na to zdaleka młody chrześcianin nazwiskiem Rafaralahy, i wiara jego bardzo mu się słabą wydała w porównaniu z odwagą téj męczenniczki; jakaś święta się w nim zazdrość obudziła, i odtąd modlił się goręcej, wyszukiwał nieszczęśliwych aby ich pocieszać i ducha wzmacniać wzajemnie; dom swój ofiarował na schadzki, i wszyscy wierni zbierali się tam potajemnie ze wszech stron Tannanariwy czytać biblią, której tylko jeden mieli egzemplarz, i cieszyli się jój światłem. Pierwszy który rozmawiał o wierze Chrystusa z Rafaralahy, podniecony chci-

wością, wydał go władzy, a szlachetny młodzieniec wolał znieść najsrozsze tortury, aniżeli wydać któregokolwiek z braci; i chociaż nie był ochrzczony, szedł na śmierć jak na uwolnienie od wszelkich cierpień, i śpiewał pieśni zwycięskie mając oczy w niebo wlepione, jakby patrzył na niewidzialnego Boga. Nie miał jak lat 25. Żonę jego, która pierwój od niego została chrześcianką, wyrwano z domu żałoby, i zmuszano wyznaczyć osoby, które się w nocy zbierały na ogólne modlitwy; długo stale wytrzymywała głód i męczarnie wszelkie, lecz okropne tortury zachwiały ją; w strachu zapomniała o Bogu, myśląc o sobie tylko, o tych łamiących członki i zwolna zabijających narzędziach, i wydała nakoniec wszystkich przyjaciół. Listy z Madagaskaru często o niej wspominały, o jój żalu, wyrzutach sumienia, i głębokim smutku, skoro jój życie darowano. Bóg jój może odpuścić, ale ona sobie przebaczyć nigdy nie może, że życie swoje tyłą ofiarami okupiła.

Ewangielia tak się upowszechniła w Madagaskarze, że wszędzie można było znaleźć jój wyznawców, ukrytych lub nieznanych jeszcze. Słyszało wielu o tém, jakim sposobem wydała imiona braci wdowa Rafaralahy (*); jedni drugich uwiadamiłi i uprzedzali o tém, doszło to i do Rafarawary owój wdowy, która przez pożar uwolniona od śmierci niewolnicą została. Znajdowała się ona wówczas z dwiema innymi kobietami chrześciankami, które równie jak ona odważne były. Piérwszą ich myślą było cierpieć i cieszyć się nadzieją męczeństwa, aby prędzej złączyć się z Bogiem. Udały się więc same do Tannana-

(*) Imiona Malgachów bardzo są sobie podobne, co zasługuje na uwagę, i nienależy je mieszać.

riwy, lecz napotkawszy kilku braci w podobnym położeniu, rozmawiając razem i zastanowiwszy się trochę, osądziły, że było raczej ich obowiązkiem starać się ocalić swe życie aby mogły być siostram i braciom pomocą, i postanowiły uciekać. Było nieszczęściem czas, w którym ryż dojrzewa i pilnują go ustawicznie kręcący się ludzie; lecz opatrność czuwała nad niemi, a dnia następnego znalazły schronienie w domu przyjacielskim, daleko od miasta. Wkrótce ztamtąd wypłoszyli je zbliżający się żołnierze, błąkać się znów musiały cierpiąc głód i zimno; mogli je byli nieraz wydać pastuszkowie lub węglarze, ale ci poczciwi ludzie, starali się o ile można los im słodzić, bo jak już wspomnieliśmy wyżej, prześladowanie w Madagaskarze nie szło od ludu. Wielu z otaczających królowę niechętnie popiérali jój stronę, i gdy nieszczęśliwych wydanych przez męczeństwo Rafaralahy schwytano, królowa rozgniewana tém mocniej ucieczką wielu, chciała wszystkich od razu na śmierć wskazać. Starsi urzędnicy prosili sami za niemi i wyjednali, że znaczna liczba została ogołoconą tylko z własności wszelkiej, i sprzedana jako niewolnicy.

Ci jednakże co się ratowali ucieczką, narażeni na różnorodne cierpienia, mieli jedyną pociechę schroniwszy się do jakiej jaskini, modlić się i powtarzać jedni drugim wyjątki z biblij, błogosławiąc missyonarzy. Słowa Pawła do Hebrajczyków z roz. XII przyszły im na myśl: „Byli w niedostatku, w ucisku, w niewczasie, których nie był świat godzien, tułali się po pustyniach i jamach ziemi.”

W pięć miesięcy później, w miesiącu lipcu, jeden z przyjaciół nazwiskiem Jones, także missyonarz, ale nie ten co założył szkoły, dowiedziawszy się o smutnym położeniu

zeniu chrześcian, przybył na wyspę Maurycyusza, pragnąc ich ocalić i czekał w porcie Tamatawy. Po długim niebezpieczeństwie życia i trudach ustawicznych, dostali się chrześcianie do tego miasta. Trudno opisać ich radość; krótko zabawiwszy na wyspie Maurycyusza, wsiedli na pierwszy okręt jaki płynął do Anglii, gdzie spodzielali się tymczasowy znaleźć przytułek.

Okręt wylądował na brzegi Afryki, a tam rozczulającym było powitanie biednych wygnańców przez chrześcian Hotentotów. Nie mogąc się rozumieć wzajemnie za pomocą języka, chcieli porozumieć myślami, i wynaleźli na to sposób bardzo prosty, pokazując sobie wzajemnie ustępy z biblii, które każdy czytał w swym języku. W dzień odjazdu, modlili się oni wzajemnie, polecali Bogu i śpiewali hymny różnym językiem, ale na jedną nótę. W Anglii przyjęto Rafarawawy i jej towarzyszków z szczególniejszym współczuciem. Wszyscy razem żyli niedaleko Londynu na łonie pewnej pobożnej rodziny, i odpoczywali słodko po trudach i długich cierpieniach. Nie mogli jednak pozostać bezczynnymi i żyć w próżniactwie; chcieli poświęcić się Bogu czynnie, przez coby mogli mu wdzięczność swoją okazać. Wyspę Maurycyusza obrali sobie za najwłaściwsze miejsce do pracy, lecz że łatwiej im było cierpieć jak nauczać, musieli się przygotowywać do nauczania. Łagodni i pokornego serca, nabyli wkrótce głębokości prawdy, i mogli dobrze usposobieni odjechać z końcem r. 1841 jako missyonarze na wyspę Maurycyusza, straciwszy jedną z siostr Razafi, która będąc wątłego zdrowia, byłaby może pod cieplejszym niebem jak Anglia przyszła jeszcze do siebie, lecz tam zaledwie 8 miesięcy przeżyła. Była to dusza prosta, więcej miłości jak nauki mająca. Krótko przed śmiercią,

gdy jednéj niedzieli zebrani byli wszyscy koło jéj śmiertelnego łoża, przyniesiono list od p. Jones z lipca 1840 r. gdzie im tak pisze: „Szesnastu chrześcian potrafiło ująć przez dwa lata ręki prześladowców, lecz w chwili gdy byli blisko brzegu, zkąd mogli dostać się na wyspę Maurycyusza, schwytano ich i zaprowadzono do więzienia, gdzie ich rozłączono, aby szczegółowo lepiej badać; ale jakkolwiek pozbawieni byli wzajemnéj rady, nie ich przecież nie wzruszyło w przedsięwzięciu. Dziewięciu z nich skazano na stracenie, i 5 lipca wśród wystrzałów z armat i wyprowadzeniem na plac uzbrojonego wojska dla tém mocniejszego na lud wrazenia, poniosło śmierć z rąk katowskich.” Gdy to przeczytano, niebieski uśmiech rozjaśnił twarz umierającéj; cieszyła się ze stałości i wiary braci, i że już jest tak blisko chwili złączenia się z niemi. Wkrótce skończyła na ręku Rafarawawy mówiąc te słowa: „Jezu! Jezu! bierzesz mnie do siebie!

Z powrotem na wyspę Maurycyusza, chrześcianie nasi dowiedzieli się, że zamiast ustawać, wzmaga się prześladowanie. Ranawalona widząc że wszelkie usiłowania nie dosięgały celu, obawiając się poniekąd aby chrześcianie nie użyli jakich czarów, nie kazała prowadzić ich do Tannanariwy. Żołnierze dostali rozkaz, ażeby skoro tylko złapią chrześcianina, wykopać dół głęboki, zakopać nieszczęśliwego nogami do góry, i nalać na niego wrzącej wody. Znudzeni sami wykonywaniem takiej woli królewskiéj, tysiąc żołnierzy postanowiło uciec na wyspę Maurycyusza. Zdradzeni, byli za to dziesiątkowani, i blisko 100 zginęło w płomieniach. Tymczasem dwieście chrześcian błąkało się w górach pełnych wiary i odwagi. Znajdowali jednakże sposób pisywania do swych przyjaciół na wyspę Maurycyusza, i kilka listów

tam doszło; lecz nie zawierały one żadnego szczegółu, albowiem biędni ludzie bali się zdradzić, jeżeliby listy zostały przejęte. Prosilili usilnie o biblią, i podpisywali się *mała trzódka*. Rozczuliła ta nowina p. Jones, i wyjechał sądząc, iż będzie mógł dać błakającym się owieczkom jaki środek do uciezki. Naprózno przebiegł część wyspy nie należącą do Ranawalony, nie mógł ich napotkać; starał się jednakże przez ten czas zająć się tém, aby uprzedzić pochlebnie względem nich naturalnych nieprzyjaciół Howasów, aby u nich znaleźli schronienie, jeżeliby oszukali czujną straż, która pilnuje granicy.

Król małej wyspy *Nosimitzio*, położonej o kilka mil od Madagaskaru ku północy, szczególnież dobrze przyjął p. Jones, i żądał aby jego lud nauczał słowa Bożego, i otworzył szkoły na wyspie. Missyonarz powrócił uszczęśliwiony na wyspę Maurycyusza, chwając Boga za to nowe pole, które się otwierało przed nim. Znalazł tam właśnie Rafarawawy i towarzyszków, którzy tylko co przybyli z Anglii, pragnąc wrócić pośród swoich krajowców. Rafarawawy szczególnież prosiła, aby ją wziął z sobą. „Patrz rzekła, tu niebrakuje chrześcian, aby głosić ewangieliją; pozwól mi jechać z sobą chociaż jestem tylko biędną kobiętą.” — P. Jones wziął ją, i drugiego brata który był imieniem Józef ochrzczoney, i gdy powracał na poszukiwanie nieszczęśliwych wystawionych na wściekłość Ranawalony, zostawił ich w *Nosimitziu*.

Wkrótce tam szkołkę urządono, do której matki prowadziły mnóstwo dzieci; wszystko kwitnęło stosownie do życzenia Rafarawawy, wyspa zdawała się przybięrać inną postać, gdy w skutek politycznych wypadków, w których szczegóły wchodzić tu nie możemy, szkołę zamknięto, a missyonarze Malgascy odesłani ztamąd zostali. Ze

łzami opuszczali Nosimitzio, i cofnęli się na wyspę sąsiedzką Nossibe, prosząc Boga, aby im wskazał drogę dokądby się następnie udać mieli.

Działo się to w lutym r. 1843. Podówczas przyszedł list ze smutną nowiną, uwiadamiający przyjaciół misyi Madagaskaru o śmierci p. Jones na wyspie Nossibe, w miesiącu sierpniu tegoż roku, o czém niema żadnych szczegółów. Tłumoczek zawierający jego rzeczy odesłano na wyspę Maurycyusza, lecz nie znaleziono w nim żadnych papierów. Zajęto się natychmiast ich poszukiwaniem, lecz to wszystko jest bardzo trudne, i potrzebuje czasu, tém bardziej, że wyspa Maurycyusza jest bardzo odległą. Dzienniki missyonarskie dotąd nie doniosły skutku tych poszukiwań, a może papiéry zawierały jakie szczegóły dotyczące tych 200 chrześcian, których zostawiliśmy konających w górach państwa Howas. To tylko wiemy z pewnością z gazet, że Ranawalona zawsze panuje, i że ma postanowienie niedozwolić wstępu zupełnie do swego państwa wszystkim europejczykom (*).

Jeżeli wstecz okiem rzucimy, zobaczymy, że missya której skręśliśmy historją, niepodobna jest do żadnej innėj; albowiem to król szczególniej, obdarzony zdolnościami i wyższy nad lud swój, ściąga usilnie do swego państwa oświatę europejską. Missyonarze obok rzemiosł i nauk, rozszerzają tam przez kilka lat ewangelią w taki sposób, że ich nieprzyjaciele mniemają, jak to widzieliśmy, iż niema w całym państwie rodziny, któraby nie miała kogo związanego nową religią. Przecież wycieńczony

(*) Rząd angielski będąc obrażony mocno przez nią w osobie konsula, a nie mogąc mieć satysfakcyi, rozpoczął ogólne zamknięcie jēj portów; skutek tego przedsięwzięcia nie był dotąd wiadomy.

Radama zbyt wczesnie namiętnościami, umiera i pomyslnosc missyi chrześcijańskiej razem z jego śmiercią się kończy. Nic smutniejszego i okropniejszego, jak patrzeć w Madagaskarze na tę królowę, nieprzebłaganą i na tych chrześcian, z którymi się jak z dzikimi zwierzętami obchodzą; lecz zarazem nic nie jest bardziej pocieszającym, jak ta wiara w Boga, przez którą znajdują spokojność, i która ich czyni: „cierpliwymi w strapieniu, a wytrwałymi w modlitwie.”

(Wyjątek z Revue des deux Mondes. 1845).



KRONIKA LITERACKA.

Kollokacya. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego.
Wilno. 1847.

Jednym z kroków do porównania zamożności pojedynczych po społecznościach, jest zwykle potrzebowanie, zrazu moralne, dalej fizyczne (majątkowe) ludzi z pracy żyjących, przez ludzi z urodzenia zamożnych. Potrzebowania takie rodzą zobowiązania, a zobowiązania te kończą się nieraz katastrofą, dla mienia potrzebujących. Na Ukrainie i Litwie, gdzie liczba właścicieli dóbr obszerniejszych (panów) była u nas liczniejsza, i katastrofy te były częstsze. Owe dążenie do równowagi w tych stronach, w nowy nawet sposób się objawiało; zaspokojenie łącznych pretensyj uskuteczniało się tu nie przez rozdzielenie *wartości* odłużonych dóbr, ale samychże dóbr. Rozdział ten (nazywany w Litwie *exdywizyą*, na Wołyniu *rozbiorem*), dopełniał się przez lokowanie wierzycieli na odpowiednich ich pretensyom schedach ziemskich; i tym sposobem kilkanaście głów nowych nietylko do porównania majątków, ale też *przywilejów* wprowadzał.

Jeden właśnie z podobnych widoków (jak opowiada powieść której napis przywiedliśmy, i której tu treść powtórzymy), przedstawiła w roku 1838 *kollokacya* na dobrach Czaplunieckich należących do hr. S. dopełniona. Kilkanaście

głów szlachty bez praw dotąd do tak zwanego państwa i obywatelstwa, przez przyznanie im właścicielstwa na częściach tych dóbr, weszło w te prawa. Wszelki krok ku równowadze stawiony, jestto krok dobry; lecz krok wszelki nie przestaje w sobie być krokiem t. j. dopiero przejściem. Może następcy tych nowych panów, przyszli wreszcie z zamętu w swym losie do pokoju i ustalenia się; ale los samych tych panów przedstawił zamęt. Panowie Czaplincy otrzymali już dziedzictwa większe już mniejsze, ale pretensye równe. Chęć osiągania jedności skutków obok różności środków (chęć jednego pozoru, znaczenia i t. p.) sprawiły: iż *zawiść*, *bezrząd*, *śmieszności* zamieszkały pośród nowych domów i dworów w Czaplincach. Pośród tych domów i dworów jeden był tylko, który jeżeli nie obszernością odziedziczonej schedy, to jednak odznaczał się między wszystkimi porządkiem i dobrym bytem: był to dom pp. *Starzyckich*.

Przy Czaplincach były dobra *Szyszkowce*; dziedzicem ich był p. *Zagartowski* (nazwisko już samém brzmieniem złowróżbe dla schedaryuszów Czaplincyckich). Majątek p. Zagartowskiego był jak milion, a drugi milion ugruntował on na słabości i potrzebach swoich sąsiadów. P. Zagartowski nie miał już żony, i miał tylko jedyną córkę, p. *Kamillę*.

Dnia któregoś, p. Kamilla i panna *Beldeau* jój przewodniczka domowa (a raczej przyjaciółka i prawie sługa), korzystając z pogody przejeżdżały się koło Czaplinc. To korzystanie z pogody oczywiście było po niepogodzie, bo pojazd ich przy wymijaniu którejś wioski zatopił się w błocie. Byłto wypadek niedobry, lecz „złe wszelkie jest przejściem do dobra,” mówi przysłowie. W tymże czasie przybliżył się powóz drugi (*nietyczanka* jak nazywa autor), a młody człowiek, który z niego wysiadł, ofiarował damom swą pomoc. Damy przymuszone były przyjąć nietylko ofiarowaną pomoc, lecz téż i jój warunki, i właściciel powozu sam przeniósł do niego damy, jedną po drugiej. Ten przypadkowy ratownik, byłto pan *Józef Starzycki*, który wracał do rodziców swych (pp. *Starzyckich* z Czaplinc) z Wołynia, gdzie

miał także małą ziemską posiadłość. Jedno rzucenie oka na tego młodego człowieka, było stanowczém dla reszty życia p. Kamilli.

Z drugiej strony Szyszkowiec, sąsiadką p. Zagartowskiego była pani *Włodzimierzowa Podziemska*. Pani Włodzimierzowa Podziemska, była dziedziczką także niemałych wiosek, i matką jedynaka pieściszki, pana *Henryka*. Pan Zagartowski przed jakimś czasem robił propozycją pani Podziemskiej, połączenia majątków przez związek dzieci; ale pani Włodzimierzowa (księżniczka z domu), z niechęcią słuchała téj propozycji od syna komisarza. Pan Zagartowski zniósł to, ale zsumował obligi pani Włodzimierzowej i inne do niej pretensye, w rok czy prędzej do wypłaty przynaglił, i dzisiaj pani Włodzimierzowa (którą komisarz upewnił że w kassie nie mają i grosza) przyjechała sama do p. Zagartowskiego, co do propozycji rzecz kończyć. Czas ten zwłoki, przemienił wiele. Przez ten czas panna Kamilla urosła, i myśl jój była już teraz zajęta młodym sąsiadem. Błady i wyniszczony, bez sił duszy i ciała, p. Henryk śmiech tylko i wstręt obudził w pannie Kamilli. Pan Zagartowski nie sprzeciwiał się jój wstrętowi, nie podzielał jednak wcale i gustu; i owszem, kiedy się o nim dowiedział, zagroził córce wyklęciem, jeśliby śmiała myśleć o związku „z szlachciurą z Czapliniec.”

Obywatele Czaplinieccy odwiedzali jednak Szyszkowce, i odwiedzani byli nawzajem przez pana Zagartowskiego. P. Zagartowski pragnął owszem mieć sławę dobroczyńcy Czapliniec. Obywatele ci byli nieraz w kłopotcie, że na ich nowe potrzeby dochód roczny im nie wystarczał; możeby wreszcie (tak sądzili) wystarczał, ale czuli niedostatek śród chwili. W kłopotcie tym ratował ich zrazu p. Zagartowski, ale dalej znalazł się większy jeszcze niż p. Zagartowski dobroczyńca, t. j. żyd *Mordko*. Żydek ten w samym środku Czapliniec, założył sklep i magazyn wszelkich przedmiotów potrzeb, nawet zbytkowych, i wszystkim WW. obywatelom swoim sąsiadom, dawał (jeśli tego żądali) na *krédkę*. Dnia jednak któregoś, wszyscy ci panowie obywatele otrzymali

o jednej godzinie *pozew*; *pozew* od pana Zagartowskiego, w imieniu własnych i przelanych od żyda Mordki pretenzji. Potrzeby w tym czasie pana Zagartowskiego były nagłe, i każdy z nich musiał się w krótkim czasie pożegnać z swoim dziedzictwem. Tylko dom pp. Starzyckich nie uległ ogólnemu losowi, lecz opór ten tém więcej rozjątrzył pana Zagartowskiego. PP. Starzyccy mieli przy swym domu ogródek z ładnymi drzewkami, a stary p. Starzycki (dziadek pana Józefa), który jak się zdaje nie miał już słabości do niczego, nawet do wnuka, miał słabość do tych drzewek. Dnia jednego ujrzał człowieka który w nich robił szkodę; człowiek ten zamiast ucieczki, począł drażnić staruszka, i p. Starzycki ugodził go młotkiem w głowę. Człowiek ten był ze wsi p. Zagartowskiego, i p. Zagartowski zagroził staremu p. Starzyckiemu procesem już nie cywilnym, ale kryminalnym. P. *Hippolit Starzycki* (ojciec pana Józefa), przybył do Szyszkowiec, i przyrzekał już p. Zagartowskiemu uczynienie wszelkich ustąpień; lecz właśnie na chwilę ich rozmowy nadeszła p. Kamilla, i cisnąwszy tysiąc wyrzutów ojcu, oświadczyła stanowczo: iż jeżeli nie cofnie dobrowolnie procesu, wyrzecz się dziedzictwa, i ucieknie na Wołyń do pana Józefa. Pan Zagartowski cofnął proces, lecz scena ta była przesileniem jego fortuny; odtąd opuściło go szczęście, zaczął miewać niepowodzenia, nawet zapadać na zdrowiu, i w krótkim czasie, po jakiejś nowój katastrofie (którą uważał za karę niebios), tknięty apoplexyą życie zakończył. Panna Kamilla, która się uważała za winną poniekąd nastąpionych cierpień ojcowskich, rozpoczęła pokutę. Zostawiwszy zarząd majątku p. Hippolitowi Starzyckiemu, sama wyjechała do Lwowa do ciotki. Rozsypała jałmużny, ponawiała nabożeństwa żałobne, wyposażyła córki wyrugowanych właścicieli z Czapliniec, i wreszcie ukończywszy czas żałoby i pokuty, wróciła do Szyszkowiec i została panią—*Józefową Starzycką*.

Taka jest treść Kollokacyi, nowój powieści pana Korzeniowskiego. Treść ta, jeżeli mamy powiedzieć prawdę, niepodobała się nam. Kollokacyi nie życzylibyśmy dawać

z łatwością w rękę młodym osobom. Wyrazem jój jest: namiętność, namiętność bez podstawy, bez granic; i rzeczy można, że autor chciał cofnąć powieść do czasów, kiedy jedyném a przynajmniej główném zadaniem było każdój: *podsycać namiętność*.

Treścią główną (t. j. treścią około której reszta obrazów rozwija się jakby dodatkowo) jest w *Kollokacyi*: miłość panny Kamilli dla pana Józefa. Ta miłość, jestto mówiąc najskromniej, miłość ślepa. Młody pan Starzycki (Józef) to postać, której nie zna czytelnik powieści. Autor mówi: iż dom jego rodziców odznaczał się między sąsiedzkiemi rządnością; ale to dom *rodziców*. Pan Józef, powiada autor, po poznaniu p. Kamilli bawiąc w Czaplicach, czytał i uczył się „aby się stać godnym anioła, który do niego zstąpił.” W ostatnim rozdziale powieści powtarza znowu: że bawiąc na Wołyniu „czytał i uczył się”; czyli się jednak czego nauczył, o tém mógł wiedzieć autor, ale nie wie czytelnik; przez cały ciąg bowiem powieści, nie słyszy jednego roztropnego słowa z ust tego pana Józefa. Czytelnik wnieść też nie może, z kąd mogła sądzić inaczej bohaterka. W scenie pierwszego widzenia się z panem Henrykiem, panna Zagartowska aby poniżyć go z góry, zarzuca mu zręcznie zaniedbanie sił fizycznych i sił moralnych; jestto rozdział jeden z celujących sztuką w powieści; czyli jednak pan Józef miał te przymioty, których brak wyrzucała panna Kamilla panu Henrykowi, wiedzieć o tém (wnosi czytelnik) nie mogła, widząc go tylko raz, i to jeszcze w przelocie. Bawiąc w domu rodziców, pan Józef nie zwykle nie mówił, a przyjeżdżając do Szyszkowiec, mówił do panny Kamilli: „mój aniele!” Wyrażenie to „mój aniele!” w powieści, której dialog wszędzie potocznym jest a nie poetycznym, nie skłania nas wcale do uwierzenia w tę mężkość ducha, którą miał celować p. Józef. Jakiż więc był jednak rzetelny powód miłości p. Kamilli? powód czytelnikowi wiadomy?

Czytelniczki *Spekulanta* (poprzednio wydanej powieści przez autora *Kollokacyi*) i *Kollokacyi*, nie będą zapewne autorowi zbyt wdzięczne za wynajdywane powody ich wier-

nój miłości. Te powody, jestto tylko zwykłe jakowaś chwila, jakowys kaprys,—*nic*. W *Spekulancie* np. bohaterka romansu panna Klara, powzięła owę miłość ku p. Augustowi (spekulantowi) że jechała z nim i matką w jednym powozie; panna Kamilla ku p. Józefowi, że ją przenosił z powozu do powozu.

Cobykolwiek mniemano o konieczności lub mniej konieczności celu w powieści, jestto pewném, że czytelnik mimowolnie go szuka, i że z każdój, taki lub inny dla siebie sam wyprowadza. Zarzucano p. Korzeniowskiemu, że w *Spekulancie* matka bohaterki poznawszy iż przedmiot miłości jój córki nie jest jój godnym, zgromiła ją, i przymusiła nagle do związku z kim innym; więcej wszakże zarzuciłby można, że w *Kollokacyi* namiętność p. Kamilli posuwa ją do złorzeczenia publicznie ojcu, że nawet staje się poniekąd przyczyną jego śmierci. *Spekulant* pana Korzeniowskiego, pod względem głównego celu, miał wyraźną przewagę nad *Kollokacją*. Wypadkiem obyczajowym z téj powieści, (jestto wniosek ileśmy słyszeli *powszechny*) było: „Wystrzegaj się spekulacyi,” i „słuchaj doświadczenia rodziców;” z *Kollokacyi* przeciwnie: „opierał się im do ostatka, dla obudzonój piérwszój lepszej miłości”. Być może, iż w istocie autor nie miał tego ostatniego celu w swój powieści, być może, iż przeciwnie miał zamiar w niej rzec: „szlachetność i praca, patrzcie, wyższą jest nad próżnowanie i miętkość”; a także: „posłuszeństwo rodzicom dzieci, ma być zawsze uszanowania pełne, lecz niebezwzględne”; jeżeli tak jest, tém więcej mamy prawo wymówić, iż możemy się tylko domyślać że miał te cele, ale *nie ręczyć*.

Co do akcji, mamy do wyrzucenia szczegół¹, który rani stanowczo powieściowe tło *Kollokacyi*. Autor nie miał oczywiście w pamięci praw perspektywy przy budowie swego obrazu.

Jeżeli w *Spekulancie* (powieści téjże barwy i ręki i dlatego nastęrczającój się nam mimowolnie co chwila do porównania) autor nieraz za wiele pamiętał o sobie i czytelniku, uniewinniając się często z tego albo innego układu,

naginając gwałtownie wypadki, i t. p. w *Kollokacyi* przeciwnie zbyt mało na czytelnika pamięta. Autor przez cały ciąg téj powieści nie chce postawić go tak, iżby był w biegu wypadków, iżby wiedział jak ma patrzeć na obraz, czego życzyć? czego wyglądać? i t. p. Przy poznaniu się p. Józefa Starzyckiego z p. Kamillą, czytelnik dowiaduje się, iż to są sąsiedzi, i nie wie dlaczego dalej płaczą i dręczą się a nie widują się z sobą. Kiedy się dalej widują, i dowiaduje się, iż lubo są nierówni majątkiem, są równi stanem, że panna Zagartowska jest jedynaczką i panią domu, nie wie czytelnik znowu dlaczego się bohaterowie dręczą i męczą; kiedy się dowiaduje wreszcie, że pan Zagartowski gardzi swém żebraczym sąsiedztwem, i że córki swój póki żywy za nikogo nie odda z Czapliniec, następuje téż wkrótce i jego śmierć; już tylko dwie karty do końca, a panna Kamilla i pan Józef tylko się dręczą i męczą, i czytelnik nie wie jeszcze ani powodów, ani rodzajów ich męki. Zajęcie powieściowe w *Kollokacyi* obudzaném jest w nowy sposób; t. j. z pewnym męceniem uwagi; czytelnik od początku do końca czeka w niéj rzecz można nie na *rozwiązanie*, ale na *zawiązanie*; jestto powiedzieć można, widok pejzażu dołem w górę obróconego.

Sprzecząc się wszakże w ten sposób z nową książką pana Korzeniowskiego, wyznajemy, iż mamy przyjemność w téj sprzeczce. *Kollokacya* jak i *Spekulant* to książki. Powieści pana Korzeniowskiego nie są to gadaniny bezkształtne, zbiéraniny obrazków i zdań, kształcenia się i ćwiczenia powieściowe, ale powieści. W autorze ich widzimy wszędzie wytrawną znajomość tego świata towarzyskiego, który ich treścią. Ztąd téż każdy w nich przedstawiany człowiek człowiekiem jest, każdy obraz obrazem, każda rozmowa rozmową i t. p. W *Kollokacyi* o której mówimy, prócz figury bohatera (którego charakter miał autor zepewne tak żywo wyrytym przed sobą, iż za zbyt uczne uważał zaznajamiać z nim czytelnika), wszystkie inne dobitnie znajdujemy skręślone, żywe, miejscowe. Owo zwłaszcza skręślenie różno stopniowych zamożności w domowém pożyciu, przeje-

ścia z bytu tak zwanego szlacheckim do bytu państwa, odcieni charakterów jednostek wśród tego przejścia, wzorowém jest w *Kollokacyi*. (Jako na celujący rozdział w téj sferze, wskazujemy na rozdział opisujący obraz fety u pp. *Plachtów*). Wszystko to nadto, jak w *Kollokacyi*, tak w ogóle w każdym piśmie autora, jest przy towarzyszeniu estetycznych wdzięków słowa i stylu.

Powieści pana Korzeniowskiego należą do tych, które społeczny nam świat towarzyski zatrzymują w odcieniach jego i w jego prawdzie go przekazą. Te szczegółowe odbicia prawdy z życia towarzyskiego nam społecznego (u nas jak i gdzieindziej), będą to źródła dla przyszłych dziejopisarzy wieku XIX, jakich nie pozostawiały nam dawne. Te odbicia idące z prawdy, mają nawet (ze swój natury) dziwne Ignienie do serc i myśli społecznych; każdy np. czytelnik *Spekulanta* lub *Kollokacyi* po przeczytaniu w nich karty piérwszej nie rzuca książki, póki do ostatniej nie dojdzie. I znowu wszakże staje nam w myśli *cel*. Im szczęśliwszych jest posiadaczem środków autor powieści, tém więcej odpowiedzialnym zostanie za ich użycie (*).

T.

Pieśni bez słów na fortepian pp. *Dietrich, Chojnackiego i Jenikego*, w Warszawie. Dwa Nokturna na fortepian przez *F. Miładowskiego*, w Wilnie. Uwertura p. *tegoż* i tamże.

Jeśli dotąd, zdając sprawę z plodów któremi nas darzą coraz liczniejsi pracownicy na polu muzycznym spotykaliśmy mniej udatne, liche nawet; jeśli wypowiadając otwarcie nasze zdanie, najwięcej ganić zmuszeni, wywołaliśmy uśmiech politowania nad biédną sztuką naszą: albośmy w kimkolwiek utwierdzili mniemanie dosyć upowszechnio-

(*). Czytelnicy powieści p. Korzeniowskiego wyżej (w tém piśmie) idącój, razem z nami zapewne będą mu wdzięczni za cel.

T.

ne, że u nas nie dobrego nigdy nie będzie, to dziś spodziewamy się innych naszych wyrazów następstw. Wprawdzie jak z tytułów wymienionych prac widać, są to zawsze mniej więcej drobne rzeczy; ale czyż już z nich nie można pojąć zdolności i nauki? Jeśli jednemu z tych dwóch warunków a szczególnie też pierwszemu uczyniono zadosyć, ileżto miłych nadziei w nas nie wstanie, do których spełnienia tylko szczęśliwych okoliczności potrzeba? Boć przecie i w nas ludzkie biją serca, i naszej ziemi słońce przyświeca, ale niech obojętność publiczna nie zatyka ucha na głos skromnie się odzywający, niech nie będzie chmurą uporczywie przecinającą drogę promieniom, które z czasem, pewni tego jesteśmy, bujny plon wywołać są zdolne ze skiby ojczystej. Obojętność podobna jest do owych roślin wodnych, które zrazu pokrywają dno jeziora przejrzystego, coraz szerzej i szerzej wpijają się że tak powiem w łono wody, wydobywają się na wierzch, i nakoniec piękne zwierciadło w którym się niebo przeglądało, zmienia w trzęsawisko. Obojętność publiczna sroższym jest nieprzyjacielem nad pogardę nawet niesprawiedliwą, bo od wszelkich usiłowań odstręcza tą zabójczą myślą, że praca zła czy dobra nieznaną zostanie. Przed obojętnością nawet gieniusz upadłby, gdyby nie było własnością gieniuszu powszechne zajęcie budzić; ale o gieniusze niełatwo; cóż więc z talentami będzie?

Wymienieni autorowie mają talent; jeden mniej, inni więcej rozwinięty; tak lub inaczéj skierowany; na silnej wspierający się nauce lub chwiejący się bez niej, ale mają talent i to najważniejsza. Nauki, wprawy można nabyć, talentu nigdy.

Talent pana Dietrich błąka się po udeptanych już ścieżkach, i tak wydeptanych, że na ztwardniałym i zaschłym ich gruncie ani źdźbło trawki się nie pokaże. Jego melodia choć dobrze utoczona, nie ma barwy; jego harmonia choć dobrze prowadzona nic nie powiada; nawet forma gładka, wymuskana nie ma życia, bo autor jakby to wnosić należało z jego pracy, uważa odblask za światło, konwersacyą za

mowę przekonywającą, cięń za przedmiot. Jego pieśń bez słów jest tysiączną kopią o coraz bledszym kolorycie, jakby się lękał, by jego obrazek nie raził oczu niezdolnych zniesić światła słonecznego, i przywykłych do zasłon buduaru i lamp astralnych. Dla jego własnej rozkoszy i naszego dobra, radzimy panu D. spróbować przedstawienia własnej myśli; choćby była jak krzemień ostra i twarda, niech tylko jak krzemień iskrę w sercu rozbudzi.

Wydatniejsza w dążności jest pieśń p. Chojnackiego; nie dlatego że ją nazwał „tęsknota”, ale że jest w niej kilka energiczniejszych rysów, żywszych przynajmniej. Czy zaś to jest tęsknota czy nie, nie możemy rozstrzygać; zdaje się nam jednak, że to coś podobniejszego do wspomnienia jakiego walca, wspomnienia może tęsknego, ale napomkniętego tylko. Obraz tęsknoty, jako usposobienia duszy, nie może być nawet tak krótki, albo ma mieć więcej charakterystyki. Na to trzeba sił wyrobionych, umięających się do pewnego celu zwrócić, i znajomości gruntowniejszej swój sztuki we wszystkich jej szczegółach, której u pana Ch. prawie nie widzimy. Jużto rzecz najpierwsza, mianowicie w krótkim obrazku konieczna, łatwa do zachowania—jedność; a p. Ch. zaczyna i kończy z innego tonu; potoczność, a tu wszystko się rwie przesadnym zażyciem *ritenuto* i *accelerando*; to nawet psuje rysy mogące być tęsknemi, bo tęsknota jest płynna, spokojna. *Cadenza*, przypuszczać każe potrzebę wypoczynku po długiej przeprawie, i podobna jest do piany wzburzonego potoku; dlatego też u pana Ch. widocznie jest niepotrzebna, a przynajmniej niezręcznie ułożona po dwakroć. I znajomość dokładna znaczenia terminów w muzyce używanych zdać się może; nie mówi się np. *piu lento* na samym początku, bo to znaczy *wolniej*; od czegoż? To samo się rozumie o *piu accelerando*. Z tego powodu, proponujemy wskazywanie tego rodzaju szczegółów muzycznych polskimi wyrazami; jeśli one nie będą dobitniejsze jak włoskie, to przynajmniej zrozumialsze i od pomyłek uchronią. Już Francuzi, Niemcy zaczynają własnym językiem zastępywać włoski; i u nas to już nie nowina: dlaczegożbyśmy nie mieli

robić jak dogodniej i rozsądniej? I tytuły, jak to zrobił p. Ch., przestrogi i t. p. mogłyby być zawsze po polsku; chyba, że autorowie swe dzieła za granicę wysyłają! Dzieła? nie, dziełka? nie,—cóż więc? na to w naszym języku niema wyrazu, bo powiedzieć: myśli, to już i tak za wiele. Jakto! jedenaście wiérszy, wiérszy powtarzamy, w których część trzecia jest przypomnieniem, mamy nazywać dziełem? Mazurek, a choćby i polka sąż dziełami? Jeśli tak jest, to można w kilka lat milion dzieł napisać. Niegdyś ludzie pisali po trzy symfonie na orkiestrę, po sześć kwartetów, po dwa naście sonat, po dziesięć pieśni na jeden numer dzieła! Niezręczni! sami się cenić nie umieli! Ale zapewne łatwo im wszystko przychodziło; teraz kto się nasmaży, namozoli, ma prawo drobiazg nazywać dziełem!

Dwie pieśni pana E. Jenike są bez zarzutu; proste a udane w melodi, proste jeszcze, a jednak urozmaicone pełną znaczenia harmonią; płynne i miłe, dowodzą dobrego smaku, który umie każdemu rodzajowi właściwe zakreślić granice. Takie utwory jakkolwiek małe, są rękojmią powodzenia w rozleglejszych, jeśli do nich niebraknie autorowi powołania.

Dwa Nokturna przez p. Miładowskiego, należą już do rodzaju formą bardzo jeszcze zbliżonego do pieśni; rozleglejszym przecie rozmiarem, i wydatniejszą treścią, tytułem zapowiedzianą, dosyć się od tamtych różnią. Wyznajemy z pociechą, że są to ustępy pełne prawdziwej poezyi, zapału, smaku i oryginalności; wyższe od wielu tworów tego rodzaju, rozumie się że zagranicznych, bo o tutejszych innego pióra nic nie wiemy. Gdyby nam wolno było wybierać w pomysłach równie pięknych, i ze zdolnością poprowadzonych, powiedzielibyśmy, że drugie Nokturno wyższe od pierwszego: za wyższe rzeczywiście uważamy je pod względem kompozycyi. Potoczystość pierwszego jest mniejszą, i związek peryodów trochę za mały w pierwszej połowie; pochodzi to z kilkakrotnych zakończeń zbyt decydujących i nierównoważności, jaką prowadzi za sobą pomieszanie peryodów rozmaitego rozmiaru, a nadewszystko ryt-

mu pięciotaktowego. Ale Nokturno drugie jakże bogate w szczegóły szlachetne, rysy głębokiego znaczenia dla serca, rozmaitość! Tylko *tremolando* kończące, za mniej szczęśliwe uważamy: wygląda tam ono jak brzęk kluczami sługi kościelnego, wypędzający pobożnych z przed ołtarzy, u którychby długo jeszcze zostać pragnęli. W tém Nokturnie, kilka miejsc brzmi *oktawami*; jestto pomyłka lub roztrągnięcie autora; skutki jednak czuć się dają, bo po przejściu pierwszego Nokturna, nie można było czegoś podobnego w drugim się obawiać, ni szukać umyślnie.

Uwertura tegoż autora, skomponowana na orkiestrę i na fortepian na cztery ręce ułożona, stosownie do odmienności rodzaju i stylem się różni. Do zupełnego jęj ocenienia zbywa nam na wiadomości, na jaki cel jest przeznaczoną? Miarkując po stylu, zbliżającym się do stylu szkoły dawniejszej francuzkiej np. Boieldieugo, i po instrumentacyi (mamy przed sobą partyturę w rękopiśmie), uwertura ta może służyć do rozpoczęcia jakiej wesołej operetki; lekka, zwa-wa i często huczna. Zdaniem naszym, brak jęj jednak w środku jakiego ustępu śpiwnego, chcemy mówić spokojnego, jakby echa wstępnego *andante*; że jednak cała uwertura nie jest długa i szybko się pomyka, łatwiej się jęj obejść bez takiego rysu sprzecznego, o czém znajomość zamiaru, powtarzamy, lepiej wyrokowaćby mogła.

Ciesząc się że nam los przyjazny dozwolił po raz już drugi ogłosić naszemu światu muzycznemu imię zdolnego kompozytora, nikomu u nas nieznanego, ubolewać musimy nad obojętnością naszych księgarń i handlów muzycznych na płody Wilna, Petersburga, a może i innych miast, w których może niejednen piękny talent rodzinny się ukrywa. Gdyby np. nie szczęśliwy przypadek, niebyśmy o Miładowskim nie wiedzieli, nic o Moniuszce, a jednak obadwa zajmują widocznie bardzo zaszczytne miejsce między młodych naszych kompozytorów pokoleniem. Sprowadzają różne bazgroty i niebazgroty z Paryża i Wiednia, Drezna i Berlina i t. d. a o miejscowych pracach nie pamiętają. Nie zrażajcie się tém ludzie serca i myśli, że was wydawcy

owo *h* pierwszym jest krokiem w modulacji z *F* do *C*, a po ostatniem *f* głos znów do góry podnieść się musi, zamiast zgodnie z naturą tego *f* spaść do *e*; tam także *fis* byłoby lepsze. Nie możemy dwóch tych uchybień przeciw naturalności śpiewu liczyć do pomyłek tak starannie poprawnego wydania, i przypuszczamy raczej, że pan T. chciał tym sposobem wprawić uczniów do pokonania trudności; ale to bezkorzystnie, bo nigdy kompozytor wokalny tego sobie pozwolić nie może, nie powinien, co jest przeciwne naturze tak wybitnie czuć się dającą w głosie i słuchu ludzkim; instrumentalny nawetby dwa razy nad tém pomyślał.

Pan Troszel zrozumiał figury Wacława i Maryi w znanym poemacie Malczewskiego w całym jego rozwinięciu, i jak się zdaje, chciał je w całości przedstawić w krótkim obrazku. Tak sobie tłumaczemy owo ciągle ubieganie się za barwą smutną, i gonienie za efektami muzycznymi, mającemi do niej dopomódz. Na krótki romans zbyt wielkie to zadanie; wybrany ustęp poematu kilka tylko daje rysów, a panu T. nieznane są środki muzyczne, mogące prosto do celu poprowadzić; ztąd prawie wszędzie wyszukanie i pokrzywienie naturalnego porządku rzeczy. Autor rozumem nie czuciem rys po rysie dodawał, i dlatego każda chwila pojedynczo uważana jako dobra, w całości źle wygląda. Jego Wacław i Marya, są to figury naznaczone palcem nieszczęścia, nie usiłujące nawet wyłamać się z pod różgi przeznaczenia, jakby przygniecione ciężarem pod którym skonać im przyjdzie, ale się pod nim ruszyć nie mogą, nie chcą raczej. Ociężałość ta całości, bardzo źle wpłynęła na przedstawienie obranej przez autora chwili: „Maryo! czyś ty nie chora” i t. d. Najwięcej tu zawiniła melodia do śpiewu przeznaczona; nie miłość pełna obawy, niepokoju i troski; nie głos serdeczny przeczuwającego nieszczęście serca tam się odzywa, ale jakaś zimna, jakby udawana sentymentalność; snąć autor myślał, ale nie czuł. Sama melodia nie ma kroju wydatnego ani deklamacyi stosownej, a bardzo podobna jest do owych wiecznie powtarzających się zwrotów w dzisiejszych melodyach włoskich, pełnych surrogatu

uczucia, manierności. Harmonia prawie dobra, że jednak poddać się musiała melodyi, ztąd naturalną a więc i dobrą nie jest. Przygrywka nie pewnego powiedziéć nam nie umie, choć się niekiedy z pretensją odzywa. Właśnie téj części kompozycyi autor powinien powierzać wypowiedzenie tego, czego sam śpiew objąć nie zdołał; szczególnież tam, gdzie tyle było do powiedzenia jak przy obranym przez p. T. texcie. Ale cóż np. znaczą owe *tremolanda*, któremi autor zaczyna? Ich głos jest uroczysty, bo massa brzmiających tonów, a jeszcze pedałem fortepianu rozbudzonych, tylko do wielkich i niezmiernych przedmiotów użytą być może. Rozmowa miłosna, jakiegokolwiek byłyby jéj szczegóły jest uroczystą, u Malczewskiego pewnie nie mniej jak gdzieindziej; ma jednak tkliwość, której *tremolando* groźne i srogie nie odmaluje, a jednak p. Tr. podłożył je pod wyrazy: „czy Marya ciebie kocha,” i t. d. I ta to niedołężność przygrywki najlepiej pokazuje nieznamość środków muzycznych. Ułana w formułki wszędzie zastosować się dająca, pozornie a więc jak gdyby nic nieznająca oddzielnie, przygrywka przedstawia tylko harmonią mającą melodyi za wsparcie służyć. Rzadko jednak w ten sposób wystarcza do krótkiej nawet piosnki z wyrazami pospolitej treści, a ileżto wówczas odpowiedzialności na śpiewie ciąży? zaiste daleko więcej, niż cała sztuka śpiewającego podoba: tam trzeba jeszcze melodyi oryginalnej, wyłącznej. Cóż dopiero gdy melodia nie zrobiła co mogła i powinna? W końcu, narzucił p. Tr. przygrywce ustęp melodyi do znanéj powszechnie śpiewki: „Wanda leży w naszej ziemi” i t. d.; mówimy narzucił, bo między tą melodyą a tém co autora jest własnością, najmniejszego związku, najmniejszego podobieństwa niéma. Ale zapewne autor chciał tym sposobem pomysłowi swemu piętno narodowości nadać? jeśli tak jest, to się bardzo zawiódł w wyborze środka. Brać co gotowe choćby najlepsze, a brać żywcem, nie jest tworzyć; ale jeśli kogo niestać na własny pomysł w duchu żądanym, można użyć obcego, urobić go jako temat, jako myśl

przeprowadzić. W temacie najmniejszym, jest treść prawie nieprzebrana, jak w każdej myśli wolumina spoczywają. Niedosyć jest ująć temat narodowy i do przedmiotu swego go nagiąć, należy to jednak uczynić w duchu stosownym, by cechy nie stracił; jeśli jej nie ma, nadać mu ją potrzeba; a więc wiedzieć po szczegółach, jakie są własności zewnętrzne i wewnętrzne tematu narodowego. Myśl przez p. Tr. obrana jestże już narodową dlatego, że niegdyś na scenie posłyszana, zajęła łatwością, prostotą i wyrazami pod nią podłożonemi, i w pamięci utkwivszy popularną została?

Pan Komorowski w sposób odmienny od poprzedniego autora pojmuje ważność śpiewu i przygrywki; ta ostatnia jest u niego znacząca, często trafna, zawsze piękna. Jego śpiew nadzwyczaj prosty, ma wiele wdzięku, ale wkrótce nuży jednostajnością, bo p. K. nie chce mu powierzyć deklamacyi albo tylko bardzo mało, licząc daleko więcej na przygrywkę. A przecież dowodzenia niepotrzeba, że śpiew jako bezpośrednio płynący z piersi człowieka, lepiej niż jakiegokolwiek narzędzie muzyczne oddać może niewypowiedziane tajemnice serca ludzkiego. Przygrywka ma go tylko wspierać o ile jest harmonią, wypełniać o ile jest figurą.

Z dwóch wymienionych wyżej śpiewów, „Gołąbek” niech bliższemu rozpoznaniu ulegnie, jako więcej i rozliczniejszych nastęrczający nam uwag, i zdaniem naszym piękniejszy. Chociaż to jest drobnostka w dziedzinie sztuki, mieści w sobie warunki znakomitsze utwory obowiązujące, a obszerniejszy rozbiór nie tylko uwolni nas na długo od podobnego zachodu przy mniej zajmujących pracach, ale nadto dając poznać stanowisko z którego na podobne utwory patrzymy, będzie niejako usprawiedliwieniem naszego zdania.

Przytaczamy przedewszystkiém wiérsz Lenartowicza, bo na texcie najwięcej opiera się sąd o kompozycyi wokalnój.

Gdy ranek wiosnowy, pogodny majowy,
 Gaj kwiatów po łące rozwija,
 Rój ptastwa skrzydlaty, barw tęczą bogaty,
 Z piosenką do nieba się wzbija.

To pliszka, kukułka, skowronek, jaskółka
 Wybiegłszy z pod liści z ukrycia,
 Świegotem, kukaniem, witają zaraniem
 Wschód słońca i ciepło, znak życia.

I gołąb zbudzony, z pod skrzydeł ochrony
 Swą główkę z srebrzystą koronką
 Nachyli w przezrocze, skrzydłami strzepocze,
 I dalej! pofruwać nad łąką.

Niewinność wesoła, pogoda, blask czoła,
 Są dziewic méj ziemi ozdobą;
 Więc kędy chcesz zajdziesz, to w każdej wsi znaj-
 W swój drodze gołębnik przed sobą. dziesz,

On jeden przez morze, gołąb lecieć może
 Bez żadnych spoczynków wytchnienia,
 On jeden znieść zdolny, bo żółci jest wolny,
 Przygody i różne cierpienia.


Więc ptaszku kochany, bądź zawsze widziany
 Przed oknem méj chatki ojcowskiej,
 Podlatuj do góry, i garnij mi pióry
 Słonecznych promieni blask boski.

Ty skrzydłem ze śniegu, gdy w myśli mych biegu
 Popadnę w bezsilne cierpienie,
 Odpędzaj, ocalaj, od duszy oddalaj,
 Ponure o wszystkiém zwątpienie.

Rzeczą jest kompozytora zastanawiać się nietylko nad wewnętrzną wiersza wartością, ale i nad zewnętrzną jego formą, jeśli chce muzykalnie do niej się zastosować. Zastanowienie się to potrzebuje gotowej już i licznymi pracami doświadczonej nauki, którą tylko natchnienie zastąpić zdoła, a i to do pewnego tylko stopnia, bo natchnienie pierwszego wrażenia się ima, pierwszą myśl wylewa; cóż gdy myśli będzie kilka potrzebnych? A gdy cząstki poezji albo zbliżają się podobieństwem treści, albo jój różnaitością wyróżniają, potrzeba szczegóły dobrze rozpoznać, by podług nich rozumem muzyce plan nakręślić. Niéma się to jednak rozumieć aż do najmniejszych szczegółów, jak np. rytm, metr, albo tempo, jak tego chce jedno z ostatnich u nas dzieł wyższej teorii muzyki poświęconych; bo wtenczas nie byłoby wynalazku, ale obrachowanie, koniecznie zimne.


Pod względem formy, poezya przytoczona jest muzyce jak najdogodniejsza; wiersz jest krótki, bo sześć lub dziewięć-zgłoskowy, a co najważniejsza miarowy. Amfibrachis (◡—◡) panuje prawie bez wyjątku, a gdzie go niema, jak

w metrze trocheicznym: „goł**ą**b' leci**ę**ć mo**ż**e,” innemi wyrazami na amfibrachis zamieniony, albo nawet zostawiony, pod warunkiem przygotowania doń stosownego w mając**ę**j to miejsce uprzedzić muzyce. Takim sposobem przejrzany wiersz w mowie będący, byłby uchronił kompozytora od błędu w prozodyi języka; bo nie byłby dla miłości

przyszłego trocheja powiedział:  bo w wyrazie: *jeden*, pierwsza zgłoska krótką być nie może. Co

większa, byłoby to podobno podjęło autora do urozmaicenia zbyt monotonnego śpiewu, bo niedaremnie jest przyjęte już zdanie, że forma poezyi i muzyce formę narzuca do pewnego stopnia, zostawiając j**ę**j jednak wiele swobody. I tak, amfibrachis tego wiersza, jako mający pierwszą zgłoskę krótką, nie mógł rozpoczynać taktu, i racz**ę**j jako daktylus z anakruzą (◡|—◡) (*), musiał być traktowany, jak to właśnie p. K. zrobił z początku. Gdy jednak zmiana treści w dalszym ciągu wiersza do urozmaicenia muzyki pobudzała, można było zostawić tę samą stopę, ale ją melodyjnie ubarwić, co tak jest łatwe muzykowi, ale nigdy słabego czasu długiej zgłosce nie dawać, jak to p. K. tyle razy zrobił od wyrazów: „niewinność wes**o**ła.”

Rozkład treści na ustępy muzyczne tak jest dobry, jak tego dozwala niejednolitość j**ę**j w wierszach średnich. Od początku aż do wyrazów: „i dalej pofruwać nad łąką,” mamy w poezyi rzeźwy obraz niedawno rozbudzonego ptactwa, jak się szczebiocąc i świegocąc unosi nad ziemią. Widok taki budzi w sercu uczucie błogie, spokojne, otuchę,


(*) Bo w takcie $\frac{3}{4}$ z trzech nut równych  podług akcentu muzycznego zgodnego z akcentem grammatycznym daktyla, pierwsza tylko nuta jest długa, inne dwie krótkie; i tym sposobem nawet molossus na daktyla z anakruzą zamieniony być może.

radość niemal. Dziwnie pięknie oddaje je p. K. mianowicie przygrywką niewyszukaną a pełną życia, spokojną i chylą zarazem, giętką i płynną jak lot ptastwa. Nad prostym nader a wdzięcznym śpiewem, opowiadaniem raczej, przygrywka ta uroczy się unosi jakby radosny hymn skrzydlatego roju, o którym poeta mówi: „leje potoki światła w przestrzenie, strzela promieniami słońca na rozbudzoną wód powierzchnię.” Trzeba było muzykowi poezji zdolnej rozbudzić wyobraźnię, trzeba mu było talentu by podobny obraz utworzył. Pan K. ma talent, ale nie umie uciekającego zapachu zatrzymać. Na tym ustępie skończyło się prawie wszystko co istotnie jest piękne; reszta albo jest powtarzaniem, albo szukaniem. Rzecz uderzająca! nie jestże macaniem reszta poezji Lenartowicza? O tak! poezya nadzwyczaj ważną jest dla kompozytora rzeczą; jój polot i znaczenie podnoszą jego zapach; naciąganie jój, niewierność piérwszój myśli, zawsze go ostudzą. Ztąd często nieudanie się kompozycyi może być winą poety, a zawsze jest winą kompozytora, bo poezya dobra nawet sama w sobie, nie zawsze muzyce jest dogodną. W nierozległej pieśni trudno pomieścić muzykę i rozmaitość barw i uczuć; albo tylko wtenczas to zrobić można, gdy rozmaitość szczegółów do jednego głównego obrazu zawsze się odnosi; taki tylko ma być kompozytorowi celem, szczegóły pominąć należy. Wracamy do przedmiotu. Mówiąc szczerze, piękność wspomnianego wyżej ustępu, tylko do sześciu piérwszych wiérszy (tutaj czterech) wystarczyła, z dodaniem kilku jeszcze taktów. Ale jeszcze przy wyrazach: „to pliszka, jaskółka” i t. d. przygrywka się odzywa, jakby głos zachęcającej rolnika do pracy przepiórki (pójdźcie żąć, pójdźcie żąć:



co lubo z roztoczonym w poezji obrazkiem nie wspólnego niéma, i jest niejako anachronizmem, mogło być z zamiarem przez autora użyte, i mile przypomina jeden ze szczegółów sielskiego życia i naiwną poezję naszego ludu. Tę jednak figurę tak zwawą, nadużycie uobojętnia; za wiele się powtarza. W następującym ustępie, wyrazy: „nie-

winność wesoła” dały panu K. pomysł muzyczny (znów w przygrywce) dosyć szczęśliwy, ale nie długo stosowny, bo zbyt szczegółowy. Czuł to zapewne autor, zmieniając go przy następującym zaraz obrazie gołębia, na smętny; to urozmaicenie nie zrobiło go stosowniejszym, i dlatego pewnie znów opuszczony, ustąpił miejsce skaczącym akkordom; nam się zdaje, że one tam taką grają rolę, jak wyraz obojętny dla liczby zgłosek wepchnięty do wiersza. Powtórzenie ustępu pierwszego, mające tworzyć niejako *trio* muzyczne przy wyrazach: „więc ptaszku kochany” i t. d. lepiej dało się zastosować, i rozciągnięte aż do końca lepiejby się wydało, jak wprowadzenie powtórne użytej raz

już figury . Przynajmniej ten peryod ostatni należało ku końcowi nagiąć do tonu A; byłoby zgodne z charakterem trzeciej części muzyki, i wierniejsze formie muzycznej.

Przeciw dobrej budowie peryodów, wykroczył autor kilka razy; takt np. ostatni wiersza pierwszego na str. 3ciej, nie wypełnia bieżącego peryodu przegrywki. Melodya w ogólności mało znacząca, jakieś to już wyżej mówili, i mało różnaita; zamadto téż się skłania w dolne tony, najpospolitszym głosem jakimi są sopran i tenory niedostępne albo uciążliwe, i często grzeszy kollizją z przygrywką. Nie jesteśmy za ową męczącą gładkością i nieprzerwaną zgodnością tonów; pięknemu wód zwierciadłu, trzeba niekiedy marszczek, to je ożywia; ale do tego trzeba mieć powód, nie losowi nie powierzać. Kompozytor wokalny nigdy nie powinien kończyć śpiewu, ani go nawet zawieszać tak chropowato jak u p. K. na str. 4tej, wiersz 2gi, takt 4ty, bo tam natura przygrywki spoczynku nie dozwala, jako zbyt podżegająca. Prowadzenie harmonii nie jest także bez zarzutu; i tak na str. 2giej, wiersz 2gi, takt 5ty i w odpowiednich miejscach dalszego ciągu, cóż znaczy owa niby modulacja do *Fis* i powrót w następnym także do *A*? Przecież każdy krok harmonii zbyt jest ważną rzeczą, by nie miał być potrzebą wywołany i konsekwentnie poprowadzony! Pomijamy nie-

które jeszcze drobne usterki, z których najważniejszym jest nieład harmonii w ostatnim kompozycji wierszu.

I druga pieśń „Módl się” także z textem Lenartowicza, piękną ma chwilami przygrywkę; ale śpiew rzadko się podnosi do jęj wysokości, i znów brzmi monotownie. Przyznajemy to, że sam text nic trafnego wywołać nie mógł, dla nas przynajmniej jest niezrozumiały, np:

Oto z świata ideału
Gdzie aniołów harfy brzmią,
Tony jasne jak z kryształu
Przezroczystym dźwiękiem drżą.

to są słowa nie myśli. I znów dalej:

Na jęj licach kwitną róże
Pierś marmurem bieli się i t. d.

jestże to obraz niebieskiej dziewicy, do której modły podnosić mamy? Zaiste to nie mogło natchnąć kompozytora stosownym pomysłem, i dało mu bezbarwny, ale piękny; bo to człowiek z talentem.

J. S.



ROZMAITOŚCI.

Życiorys Dominika Estreichera malarza z czasów Stanisława Augusta.

Dominik Estreicher (dawniej Oesterreicher), urodził się w mieście Iglawie (Iglau) w Morawii r. 1750. W ósmym roku życia swego poświęcił się malarstwu, a wysłany będąc od rodziców swoich do Włoch, uczył się niejaki czas w Wenecyi, a później w akademii śgo Łukasza w Rzymie, wreszcie w Neapolu; ogółem lat 10 za granicą przebywał. Zabrał znajomość z różnemi Polakami, żył w przyjaźni z Smuglewiczem, Sierakowskim, a nadewszystko poznał się w Rzymie z Hugonem Kołłątajem podkanclerzym koronnym i reformatorem szkoły głównej krakowskiej, który już to przez osobistą przyjaźń, już to upoważniony od narodu do zbierania talentów i sprowadzania ze wszech stron ludzi zdatnych na nowo wyznaczone posady, tegoż D. Estreicher r. 1778 kosztem skarbu koronnego z Rzymu do Krakowa sprowadził, a to w celu urządzenia akademii sztuk pięknych, na wzór akademii śgo Łukasza w Rzymie. Gdy atoli takie urządzenie dotąd jeszcze nastąpić nie mogło, powołany został od króla Stanisława Augusta do Warszawy, gdzie aż do końca r. 1781 przebywając, użyty był do malowania portretów familijnych królewskich, i do kopijowania malowideł olejnych w zamku i Łazienkach. W r. 1782 odesłany był do akademii krakowskiej z obowiązkiem tymczasowego nauczyciela i dawania lekcyi, aż dopóki nowo wyznaczyć się miane fundusze na budowę i akademię sztuk pięknych, takowej urządzić nie dozwolą. Smutne ckoliczno-

ści krajowe nie dały wykonać tego zamiaru; nastąpił podział drugi i zajęcie kraju przez obce wojska, w której epoce wraz z innemi professorami do emerytury podawwszy się, takową aż do końca życia t. j. do d. 12 marca 1809 r. pobiérał.

Oprócz lekyi i obowiązków professorskich, zajmował się ciągle malowaniem obrazów, portretów i dzieł różnych historycznych, zostawiwszy po śmierci swojej około 60 sztuk malowideł różnego rodzaju i wielkości.

Do celniejszych należą własnego układu i roboty dwie sztuki kościelne wysokości cali 64, szerokości cali 42, wyobrażające na jednym Chrystusa siedzącego w Emmaus wpośród dwóch uczniów Łukasza i Kleofasa i chléb łamiącego. Obraz ten przeznaczono w późniejszych latach do kościoła parafialnego Sandeckiego w Galicyi Austryackiej. Na drugim znajdujemy téj saméj wielkości śgo Hieronima i Augustyna na puszczy, przy którego nogach uspiiony lew spoczywa. Poważna postawa stojącego mędrca w bogatym stroju kościelnym, obok śgo Augustyna w ubogiej odzieży siedzącego z uspiionym lwem przy nogach, wiele dodaje mu wdzięku i przyjemności. Obraz ten umieszczony jest w kościele Archipresb. N. P. Maryi w piérwszym ołtarzu po prawej ręce przy wejściu południową bramą. Również piękny upominek, roboty tegoż samego mistrza jest Matka Boska Niepokalanego Poczęcia, oraz śty Jan Nepomucen téj saméj wielkości, z głową nader pilnie i wdzięcznie wyrobioną, w pomieszkaniu senatora Kopffa na przedmieściu Piasek pod nr. 94 umieszczony. Toż samo dwa téjże wielkości obrazy historyczne u successora syna, wysłużonego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektora muzeów i ogrodu botanicznego w Krakowie przy ulicy Szczepańskiej pod nr. 362 zachowane. Na piérwszym poseł perski z Leonidasem w Termopilach, prowadzący Leonidasa na pagórek i wskazujący palcem na perskie wojska, które już wszędzie na wierzchołkach gór rozpostarte będąc, w każdej chwili garstkę śmiałych obrońców zniszczyć są gotowemi. Na drugim Alexander Wielki z orszakami, na-

przeciw wieszczu w lesie Delfickim pod rozłożystym dębem, głosu wyroczni cały ze drzeniem słuchający. Obraz ten, zwłaszcza co do wieszczu bez sukni, z czarnym włosem, rysią skórą przepasanego, sprawia skutek niepospolity. Pomijam obrazy inne, jakoto: cztery arabeski watykańskie na papierze pilnie malowane i gustownie ułożone, ptakami i kwiatami ozdobione, u spadkobierców pozostałe, równie jak portrety i kopije rzymskie i inne, jakoto: portret papieża, Kollątaja, króla Stanisława, prymasa, śmierć Hannibala, pożegnanie Koriolana, odwiedziny śś. Trzech Króli, pogrzeb Chrystusa, Andromeda do skały przykuta, Polifan i wiele innych są dowodem ciągłej jego pracy i usilności.

Ale nietylko odznaczył się w malarstwie i rysunku; poświęcając życie swoje ciągłej pracy i cierpliwości nadzwyczajnej, wslawił się robotą, której nikt w całej Polsce nie znał i nie umiał, tojest robotą chińskiej mozaiki. Zaprzyjawniwszy się z misyonarzem chińskim, w Rzymie na starość zamieszkałym, poświęcił się tej mozolnej pracy z nieporównaną wytrwałością, i zostawił pamiątki które pod względem doskonałości rysunku, symetrii, proporcji figur i perspektywy, przewyższyły i przewyższają tego rodzaju oryginały chińskie. Już to na miedzi lub na porcelanie, kamienym lakierem czyli tak zwanym chińskim żelaznym pokostem pokrytych, z drobnych kawałeczków perłowej macicy, i różnorakich kruszców wykładał bukiety, widoki i rysunki, które po kilkakrotném pociąganiu wyżej wspomnianym lakierem, wypiekaniu i wyszlifowaniu, przedstawiły robotę nieporównanej wartości i ozdoby. Za pierwszy tego rodzaju stolik, otrzymał od króla Stanisława wielki medal złoty z królewskim popiersiem i uprzejmém podziękowaniem. Stolik ten po największej części metalami tylko wyłożony, dotąd jeszcze w Łazienkach w Warszawie znajduje się. Drugi nierównie kosztowniejszy i okazałszy, na dwa lata przed śmiercią r. 1807 ukończył. Znajduje się on dotąd u spadkobierców. Długość jego wynosi calów 30, szerokość 21, a wysokość 29. Wierzch sam wystawia polowania na tygrysy, strusie, i tym podobne zabawy chińskie.

Tysiące różnobarwnych cząstek perłowej macicy utworzyły obłoki i ziemię. Rajskie figi, cykasy i inne palmowe drzewa, wody ptastwem ożywione, domy chińskie z kolumnadami tak zbliżka jak i opodal rozweselają tę okolicę. Wszystko opasuje szeroka rama, a za nią arabeski Rafaela, których różne postaci, sfinxy, satyry, wyrobione są jak najdokładniej z perłowej macicy, a reszta ozdób z kruszców. Tysiące blaszek, listeczków różnego kształtu i wielkości, z niewypowiedzianą pracą i cierpliwością przygotowane z najtwardszych metali złota, srebra, miedzi, mosiądzu lub z perłowej macicy; każde z osobna w ręku wypitłowane utworzyły dzieło, które tylko w ręku najdoskonalszego artysty w tym stanie pokazać się mogło. Nietylko zaś sam wierzch stołu, ale nawet krawędzie dookoła i boki, tudzież nogi ze wszech stron pełne są téj mozaiki. Do tego należy 12 filiżanek porcelanowych i papierowych, dwa dzbanki, cukierniczka oraz taca, każde w innym guście wyłożone. Wszakże lustr i nadzwyczajna trwałość lakieru do tego stopnia posunięta, iż w naczyniach, nawet na spirytusie gotować można, powiększają nieskończenie wartość roboty, która o ile jest wielka, dowodzi to, że do ukończenia stolika 12 lat potrzeba było (*). Samo wypiekanie, pokrywanie

(*) Dołączamy tu, wynaleziony w papierach Dominika Estreichera opis sposobu, jakim on lakier do téj roboty urządzał, i samą robotę wykonywał:

Rozpuszczają się 3 łuty czystego, przezroczystego i jak najdrobniej potłuczonego bursztynu w naczyniu nowém glinianém. polewaném, na wolnym ogniu lub na węglach. Naczynie musi być wprzód dobrze rozgrzane i wysmarowane białą czystą kalafonią, a nawet i na dno naczynia dla pokrycia trochę kalafonii należy wsypać; poczem nakrywa się, i obsmarowawszy pokrywkę gliną, albo obłożwszy mokrą bibułą, aby dym nie wychodził i bursztyn tém łatwiej roztopić się mógł, ustawiamy naczynie na rozżarzonych węglach przez pół godziny, poczem podnosząc pokrywę probujemy czystém drewnkiem, czyli bursztyn równo jest rozpuszczony, i czyli naksztalt stopionego laku jednakowo do drewna przylegą. Jeżeli jeszcze jest gruzłowaty, zostawia się dłużej na węglach, uważając pilnie aby się nie przypalił, albo nie przyczerniał. Po należytem stopieniu, odstawiwszy grzące na-

lakierem, szlifowanie i polerowanie czternaście razy powtarzane, cały rok zatrudniło artystę. Stolik ten jako najpiękniejsze dzieło w swoim rodzaju, powinien być umieszczony w najcenniejszym muzeum europejskim, bo tam tylko znawcy oglądać go, poznać i prawdziwie ocenić zdołają.

czynnie, dolewamy 1½ funta dobrego malarskiego pokostu ciągle mieszając, a gdy nieco chłodnąć zaczyna, dodajemy ½ funta oleju terpentynowego, precedzamy go przez płótno i przechowujemy w słoiku do użycia. Jeżeli jest nieco gęsty lub później zgęstnieje, może być terpentynowym olejkiem rozrzedzony. Używając go do mozaikowej roboty, gruntujemy czyli pociągamy nim za pomocą pędzla kilka razy przedmiot z porcelany, miedzi, lub inny metalowy, susząc za każdą razą w piecu piekarskim po wyjęciu chleba jeszcze dostatecznie rozgrzanym. Na przygotowany grunt, wkładają się bincetką lub szczypczykami właściwymi przysposobione wprzód części metali perłowej macicy i t. p. pilnikami i zegarmistrzowskimi narzędziami jak najdelikatniej wyrobione, smarując za każdą razą miejsce tym lakierem, aby należycie przylgnąć i przyschnąć mogły; a gdy już cały widok, bukieć i t. p. w ten sposób ułożony i ukończony zostanie, pokrywa się znowu wszystko razem tym samym lakierem, wysuszając za każdym przeciągnięciem w piecu, i to dopóty, póki nic z wyłożonych metali lub perłowej macicy się nie pokaże, to jest, aby wszędzie lakierem było wypełnione. Późem zhięra się lakier czyli szlifuje się pomexem z wodą tak długo, aż dopóki cały bukieć, widok i t. d. na wierzch nie wyjdzie, a nareszcie poleruje się tryplem wodą rozrobionym, cienką szmateczkę w nim maczając. Przy suszeniu w piecu, uważać należy ażeby się lakier nie przepalił, i rzeczy perłową macią wyłożone nie ucierpiały, co łatwo nastąpić może, jeśli piec jest zły gorący.

Lakier ten ze wszystkich jest najtrwalszy, najtwardszy i największe gorąco wytrzymujący; może być użyty do ciemnych kolorów jakoto: na brunatny drzewiasty, szyldkretowy, ciemno-zielony, ciemno-niebieski, a najpowszechniej na kolor czarny, do czego służy kość spalona, albo angielskie sadze, z dodaniem małej ilości indyktu; na kolor brunatny dodajemy nieco cynobru, na drzewiasty i szyldkretowy nieco cynobru i żółtego niedokwasu ołowiu, na ciemno-zielony tegoż z ilością indyktu, na ciemno-niebieski więcej indyktu. Wszystkie te farby z terpentynowym olejkiem jak najdelikatniej na kamieniu roztarte, mieszają się z lakierem.

Do. № 33.

♩ = 120

U-siadła ka-sienka na białym kła mieniu Rozpuści-la włośki po prawem ra-mie-niu A leż-cie mi leż-cie moje wło-te

włośki nie o trzą-saj cie mi po tej wio-sce ro-sy

Do. № 35.

♩ = 108.

Prze-le-ciał ptas-zek przez Dą brow-ki la-sek

piórka na nim zadrza-ty zadrza-ty za - drza - ty Roz-myś-ląc to by-to nadobna Kasień-ku był to czyś nie

ma-ty nie ma ty nie - ma-ty

Do. № 36.

♩ = 116

O dla Bo-ga co takie-go co pochłurny dzień nie wiedziam

się ze Stasiem już drugi ty-dzień Ocz-kim so-bie za-pła-ka-la głowę so-bie sfraso-wa-la wszystko dla cie-bie

Do. № 37. = 104

ped

Andante

Na siedzące moje hochanie nie nie na da twoje płakanie nie niema nie pomoże bo już konie stoję

w moim mo-emy Bo-że A jakże ja będę siadała kiedy się matka nie poręczyła już cię segnam matko skowataś mnie kieby jabłko te

Andante

Andante

raz nie będziesz

Skowronewek śpiewa dzień się rozwiędnie na pomiedzi powiedz pa-ni matko kto u cie-bie by-wo

Do. № 40. = 120

powiedz powiedz pani matko kto u ciebie bywa. Wie by-wa nihi inzy Stasien-ko naj-milszy da przyjezdza o dwunastej od-jezdza o

Loco
Ped

No. 142. 158

piernicy da przyjezdza o dwunastej odjezdza o piernicy

holacza holacza, kto na ciebie waz Stasien-ko Kasienka kiedy ja na mamial

Ped

Stasienka Kasienka kiedy przyjezdza holaczku holaczku kto na ciebie waz Kasienka Kasienka u ojca ich u - czy Stasienka Kasienka a oj-cie ich u czy

No. 143. 159

Oj potoczyła nadobna Kasienka oj swój mianek po sto - le oj zatoczyła się do pa na ojca na tono oj na tono na to - no.

Do. № 44. = ♩ 128

The first system of the musical score for 'Do. № 44.' consists of two staves. The upper staff is a vocal line in G major, 3/4 time, with a tempo of 128. It begins with a whole rest. The lower staff is a piano accompaniment in G major, 3/4 time, starting with a quarter note G4, followed by eighth notes and quarter notes.

The second system of the musical score for 'Do. № 44.' continues the vocal line and piano accompaniment. The lyrics are: *Już to po sprawie po sprawie już to po spra-wie u-to-pi-taś swoj wi-an-czek.*

The third system of the musical score for 'Do. № 44.' continues the vocal line and piano accompaniment. The lyrics are: *u-to-pi-taj-szym sta-wie*

Do. № 45. = ♩ 126

The first system of the musical score for 'Do. № 45.' consists of two staves. The upper staff is a vocal line in G major, 2/4 time, with a tempo of 126. The lower staff is a piano accompaniment in G major, 2/4 time, featuring a rhythmic pattern of eighth notes and quarter notes.

The second system of the musical score for 'Do. № 45.' continues the vocal line and piano accompaniment.

The third system of the musical score for 'Do. № 45.' continues the vocal line and piano accompaniment.

Pod bo - rem sos - na gorzata pod nią dziem - czy - na stoja - ta a is - kry na nią pada - ty e: ona naj to

nie dbata Przyje - chat do niej stary pan i pro sit ci ją o za - pan

o - na nie nie: od - po - wiedzia - ta tyl - ko so - bie za - ptakata.

Do № 47.

♩ = 100

A wiernie ja Pa - nu Bo - gu stu - zy - ta - stu - zy - ta - stu - - zy - ta Kie - dy ja tę jabło - necz - kie

6

sa - dri - ta sa - dri - ta sa - - dri - ta.

Do No 48.

F. 126

Pierwszy: Kurczy pła - ci jeszcze nie był dzień biały jeszcze nie był dzień biały otmórz nadobna Kła - sin do nowej Ko -

mo - ry otwórz na do - bne Kła - sin do no wej ko - mo - ry. Choć bym otwo - rzy - ta kie dy nie mam łaczy wa

kie dy nie mam łaczy - wa a o - twórz że o - twórz choć tak po - siedzie - wa a. o - twórz że o - twórz choć tak po - sie - dzie - wa.

Pieśni ludu weselne.

(Dalszy ciąg.)

Z muzyką.

II.

Z powiatu Łęczyckiego i Gostyńskiego. Wsie Łazin, Orenice, Piekary, Bądków, Ciechosławice, Janków, Orłów, Łęki, Młogoczyn, Krzyżanów, Rustów, Kaszewy. Okolice miast Piątku i Kutna.

Rodzicom swojej lubój, oświadcza się pan młody za pomocą swatów prosząc o jej rękę; nieodzownym do tego wstępem jest wódka, która również otrzymane tychże i dziewczęcia przyzwolenie pieczętuje. Wtedy swat daje na zapowiedzi, i zaczynają robić przygotowania do wesela. Jakoż we dwa tygodnie później wesele to ma miejsce. Podtenczas są zmówiny; w dniu na nie wyznaczonym, pan młody z przyjaciółmi i grajkiem podchodzi podedrzwi narzeczonej, gdzie śpiewają:

29. Otwórz mi otwórz—kochaneczko piérwsza,
Jak mi nie otworzysz—otworzy mi insza.

Przy lub po uczcie, podochociwszy sobie, kilku z towarzyszków pana młodego z niecierpliwością wyśpiewują:

30. 1. Jaworowe kółka—dębowa rozwórka,
Spodobała mi się, karbowego córka

Ale mi ją nie chcą dać.

Adyc ci ją dadzą—do dom odprowadzą

Tylko trzeba poczekać.

2. Jechałem na myszy—teraz ledwo dyszy

Ale mi jej nie chcą dać,

Jechałem na szcurze—uwiążł-ci mi w dziurze,

Jeszcze mi ją nie chcą dać.

3. Jechałem na wole—uwiążł-ci mi w dole,

Ale mi ją nie chcą dać,

Jechałem na koniu—potknął się na błoni, u,

Jeszcze mi jej nie chcą dać.

Adyc ci ją dadzą—do dom odprowadzą,

Tylko trzeba poczekać.

Obchodząc w kilka dni później wieś, zapraszają przy muzyce kumostwo i znajomych na wesele; starszy swat lub druch prawi przy tej okazji w tych słowach:

31. Do tego domu wstępujemy,
Dnia dzisiejszego czwartkowego.
Nie za mnie się poczęło
Nie na mnie się skończy.

Za Adama świętego,
Co nie słuchał przykazania Boskiego,
Jedna gołębica po niebie se latała,
Rozmaitego ziółka szukała;
Tak téż i pan młody szukał pani młodéj
Do siebie podobnéj.

Miał się do ojca sławetnego, do matki sławetnéj,
Nalazł se wreszcie żonkę do siebie podobną.

A wy gospodarze bądźcie honorni, wymowni,
Abyście tych dwojga ludzi do stanu małżeńskiego doprowa-
dzić mogli.

Od stanu małżeńskiego,
Do domu weselnego.
Będziem tam mieli—cztyrech kapeli,
Będziem tam wszyscy weseli.
Będą tam grali skrzypki,
Do tańca hybki,
Drugi na oboi,
Bo się Boga boi.
Trzeci na kobzie,
I ten zagra dobrze;
Czwarty w bas.

Na weselu się naję, napije—pójdzie do dom wczas.

A wy młodzi,
Wiécie co się wam godzi:
Korca owsa odżałować,
I koniczka wypucewać.

Do kościoła droga wążka, długa,
Nie zajdzie kobyła chuda.

A wy druchniczki,
Fałdujcie spódniczki,

Pończoszki podwiązuje tasiemeczkami, grochowineczkami
Abyście przed kościołem państwu młodym wstydu nie zada-

Prosiemy na tego wolcu, wali.

Co wisi na krępolcu:

Drugi chodzi po oborze

Ten nam wiele dopomoże.

Na wieprza trzy lata tuczonego,

Naostatku we weselnym domu miotliskiem zatrąconego.

Prosiemy na parę kokoszy,

Co ich nigdy jastrząb nie rozproszy,

Na parę łabędzi

Co ich nikt do domu nie spędzi,

Na parę kuropatw (*),

Żeby pan młody pani młodej przed ślubem nie dopadł,

A jak pan młody panią młodą dopadnie,

To jój stanik opadnie.

A wy gospodarze,

Jeśli wam się nie udaje (podoba) w tém słowie albo w całej mowie,

Bo my się nie uczyli w nijakiej szkole;

Bo nasza szkoła,

Cepy i stodoła.

Po powtórzeniu kilkakrotném zaprosin, gdy się goście w skutku tychże w sobotę do chaty lub karczmy zebrali, przystępują do rozplecin warkocza. Druchny w imieniu usadowionój na dzieży oblubienicy rozpoczynają śpiew:

32. Uboga ja sieroteczka na świecie,
 A któż mi ten złoty warkocz rozplecie?
 A jestem ja starszy družba służka twój,
 I rozczesę i rozpletę warkocz twój.
 Nie będziesz go marny chłopie rozpletał,
 A bobys mnie złote włosy podrapał.
 O na stronę szpetny chłopie, na stronę,
 Powiadają dobrzy ludzie: masz żonę!
 O na śmieci szpetny chłopie, na śmieci,
 Powiadają dobrzy ludzie: masz dzieci!

Matka: Siedz-że spokojnie na dzieży,
 Niech ci się warkocz rozpierzy,
 A jest-ci tam starszy družka służka twój,
 Co zaczesze i zaplecie warkocz twój.

Wśród rozplatania warkocza i wiązania wstążkami włosów, druchny:

33. Usiadła Kasieńka na białym kamieniu,
 Rozpuściła włoski po prawém ramieniu.
 A plećcie mi plećcie moje złote włosy,
 Niech nie otrząsają po téj wiosce rosy.

(* Łabędzie tu wymienione, kokosze i kuropatwy, nigdy jednakże na stole biédnego chłopka niepostaną.

Nie będę ich pletła ani zakładała,
Co spojrzę na Stasia to będę płakała.

Po rozplecinach, ozdobiwszy głowę panny młodej wiankiem i życząc pozostałym dobrej nocy, rozchodzą się.

Nazajutrz w niedzielę t. j. w dzień ślubu, druchny ubierając pannę młodą śpiewają:

34. Zielona ruta, jałowiec,
Lepszy młodzieniec niż wdowiec;
Bo u wdowca dzieci są
A młodzieniec tylko sam.
Zielona ruta żółty kwiat,
Już-ci Kasiętku trzeba w świat.

Całe grono družbów i druchen stroi się w kwiaty, wieniec, bukiety, wstążki i kogucie lub sójce pióra; podczas tego nuca:

35. Przeleciał ptaszek—przez Dąbrowski lasek
Piórka na nim zadrzały;
Rozmyślać to było—nadobna Kasiętku
Byłto czas niemały.
Nie tera to tedy—kiedy niéma kiedy
Hej Kasiętku moja.
Chodziła Kasiętko po wysokięj górze,
Nosila wianeczek najedwabnym sznurze;
Nosila nosila, aż ci go zgubiła,
Znalazł go Stasięnek jak jechał z Torunia.
Oddaj-że mi Stasiu ubogięj siérocie,
Szukaj sobie takięj co chodzi we złocie.
Gdybyś była Kasiu uboga siérotka
Nie miałabyś wianka ze szczérego złota.

*

A w tym ogródeczku czerwone makówki,
Moja ty Kasiuniu nie psuj sobie główki.
Jak kwiatki oblecą, pręciki zostaną,
Pamiętaj Kasiuniu żebyś była stałą.
A w tym ogródeczku czerwone gwoździki,
Zakładaj, zaprzęgaj, te kare koniki.
Jakże je zaprzęgać kiedy się plątają,
Ciężki żal dziewczynie kiedy jęj ślub dają.
A widzisz Kasiętku tę Orłowską wieżę
Już tam czterma końmi twój wianeczek wiozą.
A bodaj te konie, bodaj pozdychały,
Za mój to wianeczek, za mój to ruciany.

Kiedy wozy zajadą po państwa młodych i całą ciżbę weselną, druchny śpiewają:

36. O dla Boga co takiego co pochmurny dzień,
Nie widziałam się ze Stasiem już drugi tydzień,
Oczkim sobie zapłakała,
Główką sobie sfrasowała,
Wszystko dla ciebie.

Zakładajcie, zaprzęgajcie te siwe klacze,
Niech ja jadę, niech zobaczą jego pałace.

Zaprzęgajcie a czémprędź
Oj nie róbcie sercu ciężej

Matulu moja.

Jak-ci po mnie przyjedziecie, to mnie szukajcie,
A jak-ci mnie nie znajdziecie, matki pytajcie.

Ja wam się będę zdrażała,
Matka będzie prawdę chciała,

Gwałtem mnie bierzcie.

Do kościoła przyjechała, rączkę podała,
Posłuszeństwo i małżeństwo przyobiecała,

Posłuszeństwo aż do śmierci,
Dopomóżcie wszyscy święci,

Sam Panie Boże.

Pocóżesz mnie pani matko za mąż wydała
Kiedy ja się w gospodarstwie nie rozumiała.

W gospodarstwie trzeba robić,
Mało kiedy pięknie chodzić

Matulu moja.

Miło było matuleńce słuchać muzyki,
Kiedy grali pod okienkiem kieby słowiki,

A mnie teraz nic nie miło,
Nie dawać mnie za mąż było

Matulu moja.

Świadomości matuleńce wszystkiego zlego
Że za mężem nie użyje żona nic dobrego,

Tylko biedy i niewoli
Od frasunku głowa boli

Matulu moja.

Wtedy družba i druchny razem podnoszą głos:

37. Da siadajże moje kochanie
Nic nie nada twoje płkanie;
Nic nie nada, nie pomoże,
Bo już konie stoją w wozie
Mój mocny Boże.

A jakże ja będę siadała
Kiedym się z matką nie pożegnała.

Już cię żegnam miła matko
Chowałaś mnie kieby jabłko

Teraz nie będziesz.

Da siadajże moje kochanie
Nic nie nada twoje płkanie;

Nic nie nada, nie pomoże
Bo już konie stoją w wozie

Mój mocny Boże.

A jakże ja będę siadała
Kiedym się z ojcem nie pożegnała.

Już cię żegnam miły ojcze
Wychowałaś dla mnie wołce (wołki)

Teraz nie będziesz.

Da siadajże i t. d.

A jakże ja będę siadała
Kiedym się z siostrą nie pożegnała.

Już cię żegnam miła siostro
Sprawiałaś się dla mnie ostro

Teraz nie będziesz.

Da siadajże i t. d.

A jakże ja będę siadała,
Kiedym się z bratem nie pożegnała.

Już cię żegnam miły bracie
Chowałam ja bata na cię

Teraz nie będę.

Da siadajże i t. d.

A jakże ja będę siadała
Kiedym się z progiem nie pożegnała.

Już was żegnam miłe progi
Bywały tu moje nogi

Teraz nie będą.

Da siadajże i t. d.

A jakże ja będę siadała
Kiedym się z ławą nie pożegnała.

Już was żegnam miłe ławy
Bywały tu moje sprawy

Teraz nie będą.

Rozrzewnienie ogarnęło wszystkich; i wśród przeprosin wsiadają na wozy. Przybywszy na cmentarz kościelny zatrzymują się, a druchy i druchny w imieniu pana i panny młodej odzywają się:

38. Jeszczem ja nie twoja—jeszczem ja jest wolna.
 A jak pójdiesz do kościoła—a tak będziesz moja.
 Jeszczem ja nie twoja—jeszczem ja jest wolna.
 A jak pójdiesz do ołtarza—a tak będziesz moja.
 Przed samém wejściem do kościoła odśpiewują jeszcze:

39. Pod borem sosna—pod nią topola,
 Powieźże mi moja Kasiu czy będziesz moja?
 Nie mogę wiedzieć—ani powieźcieć,
 Bo ja mała niedorostka—nie umiem robić.
 Jest na boru wić—nauczy robić,
 W ogródeczku miotełeczka—na rano budzić.
 Cożeś ty za pan—co cię kochać mam,
 Wszystka twoja krestencyja ten modry żupan.
 Coś ty za pani—co gardzisz nami,
 Wszystka twoja krestencyja wianek ruciany.
 Nad moim wieńcem—winkrate (*veni creator*) grają
 A nad twoją żupaniną wrony krakają.
 Powieź Kasiu raz—komu wianek dasz?
 Tobieć to tobie najmilszy—w kościele przy mszy;
 Tam nam będą grać—tam będą śpiewać
 Tam będziemy razem klęcząc łyzy swe wylewać.
 Drużki, družbeczki—dajcie chusteczki
 Niech ja wezmę, niech ja otrę Kasiuni oczki.
 Ja jój uciéram—a ona płacze
 Dla ciebie ja najmilejszy—swój wianek tracę.

Następuje akt ślubny, potem orszak powraca; niektórzy z gości wstąpili jeszcze na gawędę do karczmy. Starszy družba popędza swego konia, a w czasie kiedy powracającym muzyka przygrywa weselnego marsza, wyprzedza on całe towarzystwo i biegnie cwałem do domu; przybywszy chwytając chleb w jedną a batóg w drugą rękę, i trzymając czeka na progu przybycia panny młodej; za zbliżeniem się tejże, pyta: „Co wolisz, chleb czy pana młodego?” Gdy ta odpowie że chleb, uderza ją batogiem, co dopóty powtarza, dopóki ona nie wyrzeknie:

Chleb i pana młodego
 Żeby zarabiał na niego.

Poczem wpuszcza ją do chaty, a družba z panem młodym wyśpiewuje u wrót:

40. Skowroneczek śpiewa
 Dzień się rozwidniwa.

Powiedz, powiedz pani matko kto u ciebie bywa?

Nie bywa nikt inszy,

Stasieńko najmiłszy;

Da przyjeżdża o pół nocy—odjeżdża o pierwszej.

Z tamtej strony półka

Zieleni się chójka,

Powiedz powiedz pani matko—kiedy twoja córka?

W ogródeczku była

Trzy wianeczki wiła

Jeden sobie, drugi tobie—trzeci powiesiła.

I powiesiła go

W sieni nadedrzwiemi,

A co wejdzie ojciec, matka—zaleje się łzami.

Nie płacz pani matko

Nie żałujcie tego

Jadaliście, pijaliście—za talarki jego.

Otwórz do skrzyneczki

I dobądź chusteczki

Srębrem, złotem haftowane—w drobne litereczki.

Po prześpiewaniu tych zwrotek wchodzi do chaty: Niech będzie pochwalony, i t. d. Śniadają, gwarzą, a niekiedy i tańczą aż do obiadu, który z różnego mięsiwa, jako wołu, drobiu, flaków, kapusty i pasternaku się składa. Najważniejszą wszelako potrawą jest groch; kiedy go dadzą na stół, przyspiewują popijając piwo:

41.

Zasadziłem grochu

Tam przy przełogu;

Przy przełogu—przy dolinie

A w tym grochu wieprzak ryje,

I wyrył-ci złote ziarno,

Już ci pilno moja panno.

W końcu druchny wnoszą ogromny kołacz i rozkrawają go. Drużbowie przy tej okazji wyspiewują:

42. Kołacz, kołacz—kto na ciebie orał?

Stasieńko z Kasienką—kiedy ją namawiał.

Kołacz, kołacz—a kto ciebie włóczył?

Stasieńko z Kasienką—a ojciec ich uczył.

Kołacz, kołacz—kto ciebie podsiewał?

Stasieńko z Kasienką—kiedy się tam kiwał.

Kołacz, kołacz—kto ciebie z pola wiózł?

Stasieńko z Kasienką—popsował się im wóz.

Kołacz, kołacz—kto cię do młyna wiózł?

Stasieńko z Kasienką—popsował się im wóz.

Kołaczu kołaczu—kto cię na kosz nosił?
 Stasiénko z Kasiénką—ojciec o to prosił.
 Kołaczu, kołaczu—kto cię ze młyna wioził?
 Stasiénko z Kasiénką—popsował się im wóz.
 Kołaczu, kołaczu—kto na cię rozczyniał?
 Pani matka rozczyniała—a drożdży nie miała.
 Kołaczu, kołaczu—kto na ciebie palił?
 Stasiénko z Kasiénką—a ojciec ich chwalił.
 Kołaczu, kołaczu—kto z pieca wymiatał?
 Stasiénko z Kasiénką—po brzuszku ją drapał.
 Kołaczu, kołaczu—kto ciebie rozkrawał?
 Starsza druchna rozkrawała—ludziom rozdawała.
 A wy ludzie pożywajcie
 Po kieszeniach nie chowajcie.

Po uczcie towarzystwo podziękowawszy panu Bogu i gospodarzowi idzie w taniec lub rozchodzi się do domów. Nazajutrz w poniedziałek przed lub po obiedzie, zabiérają się do oczepin, czego dopełniają przy śpiewie:

43. Oj potoczyła nadobna Kasiénka,
 Oj swój wianek po stole,
 I zatoczył się do pana ojca na łono
 Oj na łono na łono.
 A weźże go, weźże—mój panie ojcze,
 Oj weźże go, weźże go.
 Oj nie chcęć go,—ty moja córko
 Oj ni ciebie, ni ciebie.
 Oj potoczyła nadobna Kasiénka
 Da swój wianek po stole.
 I zatoczył się do pani matki na łono,
 Oj na łono, na łono.
 A weźże go, weźże—moja pań-matko
 Oj weźże go, weźże go.
 Oj nie chcęć go, nie chcęć—ty moja córko
 Oj ni ciebie, ni ciebie.
 Oj potoczyła nadobna Kasiénka
 Oj swój wianek po stole.
 I zatoczył się do pana młodego na łono
 Oj na łono, na łono.
 A weźże go, weźże—mój panie młody
 Oj weźże go, weźże go.
 Oj wezmęć go, wezmęć—ty moja kochanko
 Oj i ciebie, i ciebie.

Wtedy druchny rozrywają i dzielą między siebie wieniec zdjęty z głowy panny młoděj, i zatykają po kilka kwiatów każda za swój gorset; a przy obcięciu warkocza nuca jēj:

44. Jużto po sprawie po sprawie—już to po sprawie,
 Utopiłaś swój wianeczek w tutejszym stawie.
 A sięgaj-że go sięgaj—prawą rączką do dna,
 A jeśli go dostaniesz—toś go jeszcze godna.
 Dostała, dostała—ale już nie cały,
 Cztery kwiatki rumianeczki z niego wyleciały.

Podczas oczepin, starszy družba a za nim inni sprzeciwiają się panniemłoděj; co który podejdzie to jēj czépek zdejmie z głowy a natomiast swoją czapkę kładzie; ta zaś wśród ciągłych żartów i śmiechów gości zdiéra ją i rzuca o ziemię; poczém (gdy ta igraszka kolejno się odbyła) swachny już ostatecznie i bez przeszkody wdziewają i przypinają jēj czépiec.

Nie chciała chodzić w wianeczku
 Niechajże chodzi w czépeczku.

A starsza swachna obchodzi z talerzykiem w rękę, prosząc obecnych o datek dla panny młoděj.

45. A trzeba dać pani młoděj, trzeba dać,
 Nietrzeba jēj sto talarów żałować.
 Trzeba jēj dać na korytko
 I na sitko, i na wszystko.
 A trzeba dać panimłoděj trzeba dać,
 Nietrzeba jēj sto talarów żałować.

Po oczepieniu i prześpiewaniu znaněj piosenki o chmieľu, starszy družba ująwszy pannę młodą do tańca, przez swawolę porywa z komory prześcieradło ze świeżo usłanego małżeńskiego łóža, obwija się niém w różne kształty, i nie puszczając pannymłoděj, wśród tańca zarzuca na nią ciągle i zręcznie takowe prześcieradło, z którego ona zapłoniona pośród śmiechu obecnych wywikłać się usiłuje. Zadowolenie maluje się wówczas na wszystkich twarzach; tany, pijatyka, gwary i swary wzmagają się; kaźden się bawi, nikt nie hamuje swojěj wesołości. Pan młody nie tańczy tego wieczora ze swoją nowo poślubioną; dopiero koło północy, wykupuje ją piwem i wódką z rąk swachen i druchów.

Po północy, przed wyprowadzeniem panny młodej do komory celem rozebrania jej, druchny nuca:

46. Pod borem sośnia gorzała,
 Pod nią dziewczyna stojała,
 A skry na nią padały,
 Ona na to nie dbała.
 Przyjechał do niej stary pan,
 I prosił ją o żupan.
 Ona na to nic nie odpowiedziała,
 Tylko sobie zapłakała.
 Przyjechał do niej młodzieniec,
 Prosił ją ślicznie o wieniec.
 Jest-ci ich tam w ganku sześć,
 Wybierz sobie który chcesz.

Przy rozbiéraniu panny młodej w komorze, druchny nuca gasząc świeczkę po świeczce:

47. A wiernie ja panu Bogu służyła,
 Kiedym ja tę jabłoneczkę sadziła,
 Sadziłam ją w ogródeczku przy drodze,
 A którejdy mój Stasiénko pojedzie.
 A nie wyszło jabłoneczce godzina,
 Już się moja jabłoneczka przyjęła.
 A nie wyszło jabłoneczce pół roka,
 Już-ci moja jabłoneczka wysoka.
 A nie wyszło jabłoneczce dwie lecie,
 Już-ci moja jabłoneczka biało krzcie (kwitnie).
 A nie wyszło jabłoneczce trzy latka,
 Już na mojej jabłoneczce są jabłka.
 Czerwone mi jabłuszeczka rodziła,
 Zielonemi listeczkami okryła.
 Urwała ich panna młoda dwanaście,
 I zaniosała do komory staroście,
 A starosta, pan starosta, mocny pan,
 Zasadził-ci pannę młodą za swój stół;
 Pan starosta po pokoju wywija,
 Szabeleczką jabłuszeczka rozcina;
 Starościna się dowiedziła,
 I Kasiénkę wyгнаła.

Ledwo to prześpiewali, družbowie z panem młodym odzywają się podedrzwiami komory (na co im druchny wewnątrz będące odśpiewują):

48. 1. Piérwsi kurzy piali,
 Jeszcze nie był dzień biały.

Otwórz nadobna Kasiu, do téj nowéj komory.
Choćbym otworzyła,
Kiedy nie mam łuczywa (*poświecić*).

A otwórz-że otwórz, choć tak posiedziewa.

Stojął Stasio godzinę,
Stójże jeszcze chwilę;

Aże ja tu panu ojcu koszulki doszyję.

2. Drudzy kurzy piali,
Jeszcze nie był dzień biały.

Otwórz nadobna Kasiu— do téj nowéj komory,

Choćbym otworzyła,
Kiedy nie mam łuczywa.

A otwórzże otwórz—choć tak posiedziewa.

Stojął Stasio godzinę,
Stójże jeszcze chwilę,

A jeszcze ja pani matce czépeczka doszyję.

3. Trzeci kurzy piali,
i t. d. i t. d.

A jeszcze ja młodszéj siostrze chusteczki doszyję.

4. Czwarci kurzy piali,
i t. d. i t. d.

A jeszcze ja panu bratu—porteczek doszyję.

—
A przecież się Boga bójcie,
Dyć nas poczęstujcie:
A jeżeli nie gorzałką,
To za plecy pałką.

—
A zasztukaj-że zapukaj,
Do téj nowéj budki,
Przecież się nas użałują,
To nam dadzą wódki.

Wtenczas otwierają i wpuszczają pana młodého i męsz-
czyzn częstując wódką. Panna młoda żegna druchny:

49. Bądźcie zdrowe druchny moje,
Oddaję wam szczęście swoje.
Żeby wam się tak szczęściło,
Jako i mnie panną było.
Bądźcie zdrowi wy swachowie,
Przyjmijcie mnie białogłowie (*zamiast bia-
łogłowy*).

Swaty, swachny, druchy, druchny, i całe grono weselne,
poleciwszy nareszcie nowo-zaślubionych opiece Najwyższe-

go, i łyknąwszy na dobitkę sporą miarkę wódki, opuszcza chatę i rozchodzi się po wsi. Pieśń o jabłoneczce N. 47 śpiewają niekiedy na drugi lub trzeci dzień po ślubie. Wesele trwa jeszcze kilka dni; jednak w kilka tygodni dopiero pan młody wchodzi do swoich praw jako małżonek.

Uwaga. Melodye do śpiewów pod liczbą 30, 34, 38 i 39, znajdują się w dawniejszym zbiorze moim, wyd. w Poznaniu u Żupańskiego pod Nr. 28, 47, 83 i 98. Zobacz również Nr. 59, 121 i 125.

(d. c. n.)

Oskar Kolberg,

Zwyczajna historia.

W dzisiejszej rosyjskiej literaturze romans, szczególnie zaś powieść, zajmuje bardzo wysokie stanowisko, i w ogóle przedstawia głębokie rozwinięcie kwestyj socyalnych i psychologicznych. Wielu znakomitych pisarzy odznacza się niepospolitym talentem w tym ważnym rodzaju literatury (Gogol, Pawłow, książę Odojewski, Weltman, Grebionka, hrabia Sołohub, Panajew, Dal i in.). Pomimo tego, ukazują się czasami autorowie jeszcze nieznanymi i po raz pierwszy występujący z swojemi utworami, które śmiało można policzyć do pięknych zjawisk w literaturze. Niedawno w petersburskiem peryodycznym piśmie p. t. *Współczesnik* (*So-wremennik*, N. 3 i 4, 1847 r.), przeczytaliśmy bardzo zajmujący romans: *Zwyczajna Historia*, w 2ch częściach, przez autora zupełnie dotąd nieznanego, p. *Gonczarowa*. Zastanowiła nas sztuka z jaką napisane jest to dzieło, i wielka znajomość serca ludzkiego. Treść tego romansu nader jest prostą, bez nagromadzenia i zawikłania cudownych wypadków; autor wystawia dwa, że tak powiem typy: młodego człowieka z ukształceniem, wychowanego na prowincyi, który przyjeżdża do Petersburga pełen zapału młodocianej duszy, zachwycony poezją i pragnący poznać świat;

drugi, wuj jego, człowiek ukształcony, jeszcze w sile wieku, człowiek praktyczny i obeznany ze światem. Na starciu się tych przeciwnych sobie charakterów, oparty jest romans, czyli inaczej mówiąc: treścią jego jest walka między porywczym, młodem uczuciem, a silną i doświadczoną wolą. Taka jest podstawa téj *Zwyczajnej Historji*, jak nazwał ją sam autor, a cała zawarta jest w myślach i spostrzeżeniach psychologicznych. Jak np. pięknie oddał autor prawą miłość matki, i w ogóle kobiety, w następującem miejscu:

„Matki nie oczekują nagrody. Oczekuje i żąda nagrody ta miłość, która się nie daje darmo, lecz którą, Bóg wié dlaczego, nazywają bezinteresowną; bo musisz wszystko jéj poświęcić, wsławić się lub poniżyć dla niéj, pracować lub być nieczynnym; musisz dla niéj roztoczyć skrzydła i lecieć lotem orła, lub zwinąć się jak piesek u nóg pięknej kobiety, a w przypadku trzeba oddać i życie. Wszystkie te blade, zamysłone, *wybrane dziewice*, które mówią o tajemniczej *sympatyj* dusz, o *przeczutém naprzód spotkaniu się z kochankiem*, które w tchnieniu wietrzyka i szemraniu strumyków słyszą jego głos; i te ogniste czarnookie brunetki, które w popędliwej zazdrości chwytają sztylet; i te łagodne, wiecznie uśmiechające się piękności, z zamysłonym wzrokiem i jasnemi włosami, wszystkie kochają w swoim przedmiocie blask chwały, rozumu, kształtną powierzchowność, lub przynajmniej blask—pieniędzy. Przed niemi trzeba błyszczyć, wywyższać się nad tłum, dokazywać cudów, ażeby piękna kobiéta mogła być dumna z ciebie; lecz jeżeli tém zaślepić jéj nie podołasz, trzeba zaślepić podarunkami. Wtedy to obsypią cię mirty i zaczarują łaski, łzy; wtedy to zaczną się *przechadzki przy księżycu, rozmowy nie mające związku, lecz pełne powabu*, i wszystkie tajemnice miłości! Gdy zaś nie masz tego wszystkiego i niczém nie błyszczysz, daj pokój: jesteś niepotrzebny; zdradzą cię, zobojetniąją dla ciebie....., wezmą innego, który błyszczy.”

„Tylko miłość matki, nie zmienia się i nie obojętnieje; nie jest w stanie ani zmniejszyć, ani przekupić jéj. Cały wiek jest jedna i taż sama. Matka kocha prostodusznie

i bez zastanowienia się. Czy jesteś wielkim, sławnym, pięknym, dumnym; czy imię twoje przechodzi z ust do ust, czy grzmia chwałą czyny twoje w świecie; głowa sędziwej matki trzęsie się z radości; ta matka płacze i śmieje się, i szepcze: „To mój!” A potem zapali lampkę przed obrazem Zbawiciela i modli się długo i gorąco. Syn zaś po większej części ani myśli podzielić się chwałą ze swoją matką. Czy ubogi jesteś duchem i rozumem, czy natura odznaczyła cię piętnem niekształtności, czy żądło boleści gryzie twoje serce lub ciało, czy nakoniec powszechna wzgarda ciąży nad tobą, czy ludzie odpychają cię od siebie i niemasz między nimi miejsca dla ciebie,—tém więcéj jest miejsca w sercu matki. Jeszcze mocniéj przyciska do piersi szpetne, nieszczęśliwe dziecko, i jeszcze dłużej i gorliwiéj modli się za niego.”

Ażeby czytelnikom dać wyobrażenie, z jakim talentem autor, przejęty postępowym duchem wieku współczesnego, skróślił uderzający swoją oryginalnością charakter p. P*** wuja młodego egzaltowanego człowieka, wystawionego w tym romansie, przeczytajmy następne miejsce:

Pan P*** zastał swego siostrzeńca piszącego list do przyjaciela, w którym ten młody człowiek opisywał swego wuja. Pan P***, przeczytawszy ten list powiedział:

— Myślisz, że napisałeś prawdę?

— O, wujaszku!... Bez wątpienia, omyliłem się... Zmienię ten list... Przepraszam.

— Chcesz? podyktuję ci prawdę.

— Bardzo proszę....

— Siadaj i pisz.

Alexander dostał arkusz papieru i wziął pióro; pan P*** patrząc na dopiéro przeczytany list siostrzeńca, dyktował:

„Kochany przyjacielu!”

— Napisałeś?

— Napisałem.

„Petersburga i wrażeń moich opisywać ci nie będę.”

— Nie będę, powtórzył Alexander napisawszy.

„Petersburg już oddawna jest opisany, co zaś pozostało nieopisaném, trzeba to widzieć samemu; wrażenia moje na nic ci się nie przydadzą. Niewarto napróżno tracić czas i papier. Najlepij zrobię, gdy ci opiszę mego wuja, albowiem to obchodzi mnie osobiście.”

— Wuja, powtórzył Alexander.

— Widzę, piszesz tu, że jestem dobry i rozumny; być może i nie, weźmy lepij środek między tém; pisz.

„Mój wuj nie jest głupim i złośliwym, życzy mi dobrze.”

— Wujaszku! umiem cenić i czuć, powiedział Alexander i chciał go ucałować.

„Chociaż nie wiesz mi się na szyję,” dalej dyktował pan P***. Alexander nie mogąc dostać się do niego, aby go uścisnąć, prędko usiadł na swoim miejscu.

„Życzy dobrze dlatego, że niema przyczyny i pobudki życzenia złego, i dlatego, że za mną prosiła moja matka, która niegdyś i dla niego była dobrą. Mówi, że mnie nie kocha, i to bardzo słusznie: przez dwa tygodnie nie można pokochać osoby, i ja go téż jeszcze nie kocham, chociaż zapewniam go przeciwnie.”

— Jak to można pisać? powiedział Alexander.

— Pisz, pisz:

„Lecz zaczynamy przyzwyczajać się jeden do drugiego. Wuj nawet mówi, że można wcale obejść się bez miłości; nie siedzi przy mnie od rana do wieczora, nie pieści się ze mną, bo uważa to za rzeczy wcale niepotrzebne, prócz tego nie ma czasu.”

— „Nieprzyjaciół serdecznych tłumacz się.” To miejsce w twoim liście można zostawić, to jest dobrze. Czy napisałeś?

— Napisałem.

— Cóż tu napisał: *umysł prozaiczny, zły duch*.... Pisz.

Nim Alexander pisał, pan P*** wziął ze stołu jakiś papier, zwinął go, dostał ognia i zapalił cygaro; papier zaś rzucił i przydeptał.

„Mój wuj nie jest ani złym duchem, ani aniołem, lecz takim człowiekiem jak wszyscy,” dyktował pan P***, „lecz

tylko niepodobny do mnie i ciebie. Myśli i czuje po ziemsku; powiada, że skoro żyjemy na ziemi, nie trzeba odlatać z niej do nieba, dopóki nas tam nie zawołają, lecz trzeba zajmować się ludzkimi sprawami, do których jesteśmy powołani. Dlatego wuj zastanawia się nad wszystkim, co jest ziemskie, a między innymi rzeczami nad życiem, jakie jest, lecz nie takie, jakbyśmy je sobie chcieli wystawiać. Wierzy w dobre i razem w złe, w piękność i szpetność! W miłość i przyjaźń także wierzy, tylko nie myśli, aby one spadły tu z nieba w błoto; lecz utrzymuje, że stworzone są razem z ludźmi i dla ludzi, że właśnie tak je trzeba rozumieć i w ogóle uważać rzeczy zblizka, z prawdziwej ich strony, lecz nie unosić się Bóg wie gdzie. Przypuszcza, że między ludźmi pocziwami może istnieć wzajemna przychylność, która przy częstych stosunkach i przyzwyczajeniach obraca się w przyjaźń; lecz utrzymuje także, że w rozłączeniu się przyzwyczajenie traci siłę, i ludzie zapominają jeden drugiego, i że to wcale nie jest występkiem. Dlatego wuj zapewnia, że ja zapomnę o tobie, ty zaś o mnie. Bez wątpienia, i mnie i tobie zdaje się to być niedorzeczném, lecz on radzi przyzwyczaić się do téj myśli, w skutek czego obydwu nie oszukamy się. O miłości ma także same zdanie z małemi odcieniami: nie wierzy w niezmienną i wieczną miłość, jak nie wierzy w domowych djabłów, i nam nie radzi wierzyć. Zresztą radzi mi jak najmniej myśleć o tém, ja zaś tobie to radzę. Mówi, że to przyjdzie samo z siebie, lecz nie na zawołanie; mówi, że nasze życie nie na tém zależy, że na to, jak na wszystko, jest właściwy czas; cały zaś wiek marzyć o samej miłości, jest głupstwem. Ci którzy jój szukają i nie mogą się ani chwili bez niej obejść, żyją sercem i jeszcze czemsiś gorszym na rachunek głowy. Wuj lubi pracować, radzi mi to samo, ja zaś tobie: należemy do społeczeństwa, powiada on, które nas potrzebuje; pracując, wuj pamięta i o sobie; praca dostarcza mu pieniędzy, pieniądze zaś dostarczają wygod życia, które bardzo mu się podobają: prócz tego może ma zamiary, w skutek których, zapewne ja nie będę jego spadko-

biercą. Wuj niezawsze myśli o służbie i o swojej fabryce; umie na pamięć nie samego Puszkina...

— Jakto, wujaszek? z zadziwieniem zapytał Alexander.

— Tak jest, kiedykolwiek przekonasz się o tém. Pisz.

„Czyta w dwóch językach wszystko, co wychodzi godnego uwagi w rozmaitych gałęziach ludzkiej wiedzy; lubi sztuki piękne, ma śliczny zbiór obrazów flamandzkiej szkoły, jestto jego upodobanie; często bywa w teatrze, lecz nie kręci się, nie rzuca się, nie zżyma, nie wykrzykuje, nie stęka; bo myśli, że to jest dzieciństwem, i że trzeba wstrzymać siebie, a nie narzucać nikomu swoich wrażeń, albowiem nikt ich nie potrzebuje; nie mówi nigdy przesadzonym językiem, co i mnie radzi, a ja tobie. Bądź zdrow, pisz do mnie rzadko i nie trać napróżno czasu. Przyjaciel twój *taki a taki*. Teraz napisz datę.”

— Jakże można odesłać taki list? zapytał Alexander: „*pisz rzadko*,” jak można to powiedzieć człowiekowi, który naumyślnie o 160 wiorst przyjechał, aby powiedzieć mi ostatnie: żegnam! „*Radzę to, drugie, trzecie*.” On nie jest głupszym odemnie; wyszedł z uniwersytetu drugim kandydatem...

— Nic nie szkodzi, zawsze poślij go; być może twój przyjaciel będzie rozumniejszym; to naprowadzi go na różne nowe myśli. Chociaż skończyliście kurs nauk, lecz wasza szkoła dopiero się zaczyna.

— Nie mogę odważyć się, wujaszku...

— Nigdy nie mieszam się do cudzych spraw, lecz sam prosisz, abym uczynił co dla ciebie; staram się wyprowadzić cię na prawdziwą drogę i ułatwić pierwszy krok, a ty się opiérasz. Jak chcesz, powiadam tylko swoje zdanie, lecz zmuszać cię nie będę; nie jestem twoją niańką.

— Przepraszam wujaszku, gotów jestem słuchać, powiedział Alexander, i natychmiast zapieczętował list. Potém zaczął szukać innego listu do Zofii (w której zakochał się będąc na wsi). Spojrzał na stół — niéma, pod stołem — także niéma, w szufladzie — ani śladu!

— Czegoż szukasz? zapytał wuj.

— Szukam drugiego listu... do Zofii...

Wuj także zaczął szukać.

— Gdzież jest? mówił pan P***. Dalibóg nie rzuciłem go za okno.

— Co wujaszek zrobił? zapalił tym listem cygaro! smutnie powiedział Alexander, i podniósł opalone resztki listu,

— Dóprawdy? wykrzyknął wuj, jakim to się sposobem stało? i nie spostrzegłem, no proszę, spalić taki skarb... Zresztą, wiesz co? z jednéj strony nawet jest to dobrze,

— Ach wujaszku! dalibóg z żadnéj strony nie jest dobrze, powiedział Alexander w rozpacz.

— Istotnie dobrze: na dzisiejszą pocztę już nie zdążysz napisać do niéj; na przyszłą zapewne już odłożysz, zajmiesz się służbą, nie będziesz miał czasu, i takim sposobem popełnisz o jedno głupstwo mniéj.

— Cóż ona pomyśli o mnie?

— A co jéj się spodoba! Lecz myślę, że to i dla niéj jest korzystne. Wszak z nią się żenić nie będziesz? Pomyśli, że zapomniałeś o niéj, nakoniec sama o tobie zapomni, i mniéj się będzie rumienić przed swoim przyszłym narzeczonym, gdy będzie go zapewniać, że nikogo prócz niego nie kochała.

— Wujaszku, jesteś człowiekiem zadziwiającym! Dla niego nie istnieje stałość, niéma świętości obietnic... Życie jest tak piękne, tak pełne powabu, rozkoszy; jestto niby gładkie, zachwycające jezioro....

— Na którém rosną żółte kwiaty, czy co? przerwał wuj.

— Jak jezioro, dalej mówił Alexander, pełne jest czegoś tajemniczego, zajmującego, ukrywającego w sobie tak wiele...

— Mułu, mój kochany, dodał pan P***.

— Dłaczegoż wujaszek zaczerpuje muł, dlaczego obala i niszczy wszystkie radości, nadzieje, szczęście.. patrzy z czarnej strony.

— Patrzą ze strony „prawdziwój, i tobie to samo radzę: nie zawiedziesz się. Z twojemi wyobrażeniami, życie jest piękne tam, na prowincyi, gdzie go nie znają; tam nawet nie ludzie żyją, tylko aniołowie...”

O jakże głęboka nauka życia odbija się w słowach pana P***, jakie trafne myśli, jaka znajomość świata!

Posłuchajmy jeszcze ciekawych spostrzeżeń tego rozumującego człowieka. Raz między wujem a siostrzeńcem była mowa o ożenieniu się.

— Jaktó, ty chcesz się żenić? zapytał się pan P***.

— I cóż?

— W twoim wieku!

— Mam 23 lat.

— Sam czas! któż się żeni w tym wieku? tylko wieśniacy, kiedy potrzebują robotnicy w domu.

— Lecz jeżeli jestem zakochany i mogę się ożenić, a więc podług zdania wujaszka, nie trzeba...

— Nigdy nie radzę żenić się z kobietą, w której jesteś zakochany.

— Jaktó wujaszku? to nowość, nigdy nie słyzałem.

— Wieluż to rzeczy ty nie słyzałeś!

— Ja zawsze myślałem, że małżeństwo bez miłości być niepowinno.

— Małżeństwo małżeństwem, a miłość miłością, powiedział pan P***.

— Jakże żenić się? podług rachuby?

— Z wyrachowaniem, lecz nie podług rachuby. Tylko wyrachowanie to niepowinno zależeć na samych pieniądzech. Życie jednemu sprzykrzy się: mężczyzna tak jest stworzony, aby żył w towarzystwie kobiety, a więc trzeba mu zastanawiać się, jakbyto się ożenić; powinien szukać, wybierać między kobietami...

— Szukać, wybierać! z zadziwieniem powiedział Alexander.

— Tak jest, wybierać! Dlatego właśnie nie radzę żenić się kiedy się zakochasz. Wszak miłość przejdzie, jestto już spowszedniała prawda.

— Jestto wierutne kłamstwo i potwarz!

— Teraz trudno cię przekonać; z czasem sam zobaczysz, teraz tylko pamiętaj moje słowa. Miłość przejdzie, powtarzam ci, i wtedy kobieta, która zdawała ci się ideałem do-

skonałości, być może, będzie zdawać się bardzo niedoskonałą, wtedy niema co robić. Miłość zasłoni przed tobą brak przymiotów potrzebnych dla żony; gdy zaś będziesz wybierał, wtedy z zimną krwią zastanowisz się, czy taka a taka kobieta posiada przymioty, jakie chcesz mieć w żonie; oto na czém zależy główna rachuba. Jeżeli znajdziesz taką kobietę, niezawodnie zawsze będzie ci się podobać, bo odpowie twoim życzeniom. Z tego wynikną między nią a tobą blizkie stosunki, które potem tworzą....

— Miłość? dodał Alexander.

— Tak jest..... przyzwyczajenie.

— Żenić się bez pociągu, bez poezyi, miłości, bez czucia; rozumować jak i po co?!

— Ożeniłbyś się nie rozumując i nie pytając siebie po co, tak samo, jak przyjechałeś tutaj, nie zapytawszy siebie po co?

— Więc wujaszek chce ożenić się podług rachuby? zapytał Alexander.

— Wyrachowaniem, odpowiedział pan P***.

— To wszystko jedno.

— Nie; podług rachuby znaczy ożenić się dla pieniędzy, — to nikiemnie; lecz ożenić się bez wyrachowania, — to głupio! Tobie zaś teraz wcale nie wypada się żenić.”

W tym romansie jest mnóstwo podobnych miejsc, które czytając, mimowolnie człowiek zamyśla się, i niby staje doświadczeńszym w trudnej nauce życia. Autor żywemi kolorami odmalował trwożliwą i uczuciową młodość Alexandra; wystawił, jak on kochał i był zdradzony, zapomniany, co go wprowadziło w rozpacz i smutek; nakoniec pokochał się raz drugi, lecz płomienna i silna miłość ze strony kochanki znudziła go i stała mu się ciężarem, i tą razą Alexander sam zdradził. Taką to natura ludzka! Jakże dojmowały go zimne i rozsądne wyrazy nieubłaganego wuja! Zawiedzione nadzieje i niczém niezaspokojone namiętności doprowadziły go do rozczarowania. Alexander postanowił porzucić Petersburg i wyjechać na wieś do matki. Wyjeź-

działając z miasta i wyglądając z okna pocztowej karéty, starał się przybrać na siebie smutną postać, i nakoniec wylał myśli swoje w następującym monologu, gdy karéta mijała perukarzy, dentystów, modniarki, arystokratyczne pałace. „Żegnam cię, mówił Alexander, kiwając głową i biorąc się za swoje przerzadzone włosy:—,żegnam cię, miasto fałszywych włosów, sztucznych zębów, watowanych imitacyj natury, okrągłych kapeluszy; miasto grzecznej pychy, udanych uczuć, bezdusznój próżności! Żegnam cię wspaniałą grobie głębokich, silnych, tkliwych i płomiennych wzruszeń duszy! Tak jest! przez dziesięć lat ubiegałem się tylko za życiem chwilowém; odwrócony byłem od natury, i ona odwróciła się odemnie; utraciłem siły i zestarzałem się w 29 roku życia, jednak był czas....

Żegnam cię, żegnam cię miasto!

„Gdziem cierpiał, gdziem kochał,

„Gdziem serce postradał!”

Do was wyciągam ręce, o szerokie pola! do was, błogosławione wioski i niwy rodzinnego kraju! Przyjmcie mnie na swoje łono: niech ożyję i wskrzeszę moje duszę!”

Na zakończenie przytoczę tu list Alexandra, pisany ze wsi do wuja, w cztery lata po wyjeździe jego z Petersburga. W liście tym po części rozwiązuje się główna myśl romansu.

„Najukochańszy wujaszku i razem jaśnie wielmożny generale!”

„Z jaką radością dowiedziałem się, że wujaszek dostał wyższego szczebla godności; co się zaś tyczy fortuny, ta oddawna z wujaszkiem jest w zgodzie. Wujaszek już został rzeczywistym radcą stanu i dyrektorem kancelaryi! Ośmielam się przypomnieć jaśnie wielmożnemu generałowi uczynioną mi obietnicę, przed moim wyjazdem: „Kiedy będziesz potrzebował posady, zatrudnienia lub pieniędzy, udaj się do mnie!” powiedział wujaszek. Właśnie potrzebuję teraz posady i zatrudnienia, zapewne zbywać mi będzie i na pieniądzech. Biedny parafianin ośmiela się prosić o miejsce i pracę. Jakżeż będzie przyjętą moja prośba?

czy nie tak, jak niegdyś list Zajeżdżałowa, który w swoim prosił interesie? Co zaś do *twórczości*, o której wujaszek nielitościwie napomknął w jednym ze swoich listów, to.... Ale czyżto wujaszek nie boi się Boga, budząc dawno zapomniane głupstwa, wtedy, gdy sam rumienie się za nie?... Aj, wujaszku! aj, jasnie wielmożny wujaszku! Któż nie był młodym i w części głupim? kto nie miał jakiegokolwiek bądź dziwacznego, tak nazwanego *świętego* marzenia, które nigdy nie może urzeczywistnić się? Naprzykład, mój sąsiad, po prawej stronie, wystawiał sobie, że jest bohaterem, olbrzymem.... chciał zadziwić świat swemi czynami, a skończyło się na tém, że wyszedł dymissyowanym podporucznikiem, nie będąc na wojnie: i teraz spokojnie uprawia rolę na kartofle, i sieje rzepę. Drugi, po lewej stronie, marzył, że podług swojej fantazyi przerobi świat cały i Rossyą, sam zaś spędziwszy niejaki czas na przepisywaniu aktów w rządzie gubernialnym, zamieszkał nakoniec w naszych stronach, i dotąd nie może przerobić starego parkanu. Myślałem, że z woli nieba obdarzony jestem twórczym talentem, i chciałem opowiedzieć światu, nowe, nieznanne tajemnice, nie domyślając się, że już nie są tajemnicami i że ja nie jestem prorokiem! My wszyscy jesteśmy śmiesznymi, lecz wyznaj sam wujaszku, kto bez zarumienienia się splami hańbiącym przekleństwem te młodociane, szlachetne, płomienne, chociaż niezupełnie umiarkowane marzenia? Kto kiedyś nie żywił w sobie nadaremne go życzenia, nie widział w sobie przyszłego bohatera świetnego czynu, godnego pieśni uroczystej i powszechnego rozgłosu? Czyja wyobraźnia nie uganiała się za mitologicznymi, bohaterskimi czasami przeszłości? Kto nie płakał, okazując współczucie dla przedmiotów wzniosłych i pięknych? Jeżeli znajdzie się taki człowiek, niechaj rzuci na mnie kamieniem, nie zazdrozczę mu. Ja się rumienie za moje młodociane marzenia, lecz je szanuję: są one poręką czystości serca, oznaką duszy szlachetnej, usposobionej do przyjęcia dobrego. Wiém, że dowody takie nie przekonają wujaszka: bo dla wujaszka jest potrzebnym dowód

stanowczy, ale otóż i jest; proszę mi powiedzieć, jakby mogły być poznane i wykształcone talenta, gdyby młodzi ludzie przytłumiali w sobie te wczesne skłonności, gdyby swobodnie nie marzyli i tylko niewolniczo poddali się wskazanemu kierunkowi, nie próbując sił własnych? Nakoniec, czy to nie jest ogólném prawem natury, że młodość powinna być popędliwą, pełną ognia i zapału, niekiedy nawet szaloną i pustą, i że wszelkie uniesienia z czasem uspokoją się, jak uspokoiły się teraz moje? A młodości wujaszka czyż obce były te grzechy? Proszę sobie przypomnieć. Widzę wyraźnie, jak wujaszek z swoim spokojnym, nigdy niewzruszonym wzrokiem kiwa głową i mówi: bynajmniej! Niechże wujaszek pozwoli przekonać się przeciwnie, choćby mówiąc, na przykład, o miłości..... A co? wujaszek jęć się wyrzeka? ale wyrzec się trudno; *corpus delicti* mam w ręku..... Niech wujaszek sobie przypomni, że mogę zbadać sprawę na miejscu czynu. Teatr miłosnych awantur wujaszka mam przed memi oczyma: jestto jezioro. Na niém jeszcze rosną żółte kwiaty; jeden z nich, wysuszywszy go jak należy, mam honor dołączyć dla jaśnie wielmożnego wujaszka, jako pamiątkę słodkich wspomnień. Lecz jest jeszcze skuteczniejszy oręż przeciwko napaści wujaszka na miłość w ogóle, a na moję w szczególności: jestto dokument..... Wujaszek chmurzy się? i jaki jeszcze dokument! pisany własną krwią wujaszka!!! A co, wujaszku, zbladłeś? Porwałem ten szacowny stary zabytek u ciotki, wyrwałem go z jęć niemniej staręć piersi, i wiozę z sobą, jako wieczny dowód przeciwko wujaszekowi, i jako obronę samego siebie. Niech wujaszek drży! To jeszcze nic; znam dokładnie całą historią miłości wujaszka: ciotka codzien mi opowiada, z rana przy herbacie i przy kolacyi, nim pójdzie spać interesujące fakta, ja zaś wszystkie te nieoszacowane szczegóły zapisuje w osobnym dzienniku, który nie omieszkam osobiście wręczyć wujaszekowi, razem z mojemi rozprawami o gospodarstwie wiejskiém, któremi się już od roku zajmuję. Ja z mojęć strony uważam za obowiązek upewnić ciotkę o niezmiennosci uczuć wujaszka dla nięć, jak ona sa-

ma wyraża się. Skoro odbiorę od jaśnie wielmożnego wujaszka przychylną na moję prośbę odpowiedź, wtedy będę miał zaszczyt stanąć przed nim i złożyć mu w ofierze moje suche maliny i miód, z dołączeniem kilku listów, w które obiecują zaopatrzyć mnie moi sąsiedzi z prośbą o załatwienie ich spraw: prócz Zajeżdżałowa, zmarłego przed ukończeniem swojego procesu.”

P. Dubrowski.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Wspominając dawniej o aparatach przeznaczonych do samodzielnego notowania klimatologicznych obserwacji, mówiliśmy, iż w tych instrumentach na papierze zwolna przesuującym się, zwykle ołówek złączony z barometrem lub innym instrumentem, kręśli linie krzywe przedstawiające oscylacje różnych fenomenów. Ronalds dawniej jeszcze wpadł na szczęśliwą myśl wprowadzenia do meteorografów papieru fotograficznego, na którym samo światło znaki wybija; teraz udoskonalił on swój instrument przez wprowadzenie mikroskopu. Po raz pierwszy użyto takiego instrumentu do zapisywania zmian elektrometru atmosferycznego Volty w r. 1845, a to w taki sposób: Słomki elektrometru stosownie odosobnione, zawieszono były we wnętrzu mikroskopu od strony obiektywy; soczewka zbierająca promienie światła, utwierdzoną była na końcu mikroskopu, a za nią lampa. Światło lampy oświecało tę połowę powierzchni słomek, które były obrócone ku lampie, drugie zaś połowy zupełnie były w cieniu. Ze strony szkła ocznego, do mikroskopu przystawione było pudełko długie na dwie stopy i zamknięte ekramem, mającym wycięty otwór wązki, będący częścią obwodu koła; promień tego łuku był równy długości słomek elektrometru. Nakoniec między elektrometrem i ekramem ustawioną była kombinacya soczewek,

przeznaczonych do tego, aby ognisko chemiczne elektrometru padało za ekramem w miejscu gdzie ustawione były szkła, o których zaraz wspomniemy.

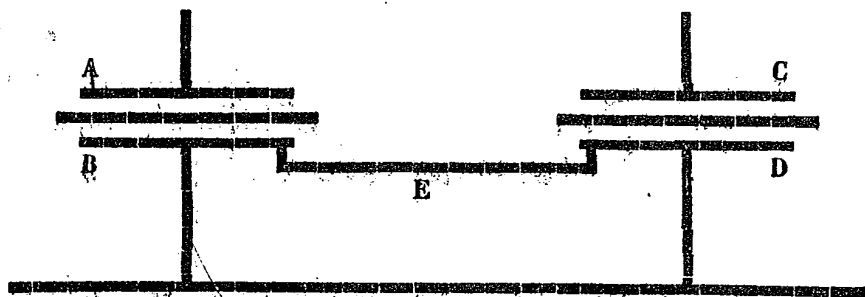
W pudełku czworościennym podłużnym, pionowo stojącym, w połowie jego długości zawieszono były ramki z fugami, w które wsuwały się dwie tafelki szklane ściśle do siebie przylegające. Ramki za pomocą kombinacji sznurów i bloków, złączone będąc z mechanizmem zegara, z wolna podnosić lub opadać mogły. Między wspomniane wyżej tafle szklane, wkłada się papier fotograficzny, i całe pudło pionowo stojące tak się okrywa, aby zewnętrzne światło do jego środka wcale nie przenikało. Po ukończeniu tych działań, ramki wprawiają się w ruch, wówczas papier fotograficzny przesuwał się przed otworem łukowym ekramika, wystawionym jest na mocne działanie światła lampy; papier który doznał wpływu światła, po zmyciu stosownym roztworem, zmienia swój kolor; te tylko miejsca na które padał cień, pochodzący z końców słomek elektrometru, zachowują swój pierwotny kolor jasny.

Niekiedy używano do oświetlenia mikroskopu światła dziennego. P. Airy proponuje zamiast elektrometru Volty, użyć znanego elektrometru złączonego ze stosem suchym; przez to bowiem i napięcie i rodzaj elektryczności na papierze wskazywałyby można. Ronalds powyżej opisane urządzenie zastosował szczęśliwie do notowania stanu termometru, barometru i pochylenia igły magnesowej.

Dodamy w końcu, że wielka liczba fotografów tym sposobem otrzymana i porównana z obserwacjami magnetycznymi i meteorologicznymi w Greenwich czynionymi w oznaczonych dniach, okazała zupełną zgodność. (*L'Institut* nr. 687. *Mars*. 1847.)

* P. Svanberg urządził następujący nowy instrument, nazywany przez niego *kondensatorem multiplikatorem*, który elektrycznością otrzymywaną przez proste stykanie miedzi z cynkiem, może być naładowany do tego stopnia, że wydaje mocne iskry i sprawia silne wstrząśnienia. W skład jego wchodzi dwa zwyczajne kondensatory, mające swe dolne

tafelki połączone drutem miedzianym; pomiędzy taflami każdego, stale utwierdzone są znacznie od nich większe tafle szklane, przeszkadzające zetknięciu się metalowych krawędzi; nadto górne tafle opatrzone są rękojeściami odosobniającymi, a dolne stoją na takichże postumentach.



Usilenie jego działania odbywa się przez taką manipulacyę; Przypuśćmy, że tafľa A pierwszego kondensatora otrzymała małą ilość elektryczności dodatniej, a wtedy podnosząc tafľę A i dotykając jednocześnie palcem górnej części C drugiego kondensatora, tafľa D staje się odjemnie, a C przez wpływ dodatnio-elektryczną. Następnie przenosząc palec na tafľę D, przyłożmy napowrót do szkła tafľę A, która nie utraciła swój pierwotnej elektryczności przez poprzednią manipulacyę. Ponieważ elektryczność na D jest związana z elektrycznością tafli C, przeto przybywająca elektryczność, przez przyłożenie powtórne tafli A, z tafli B, rozejdzie się przez drut E na D, i tam się przez wpływ zwiazuje. Powtarzając kilkakrotnie tę manipulacyę, można przenieść wszelką elektryczność z B na D. Trzy takie działania potroją natężenie elektryczności na D.; całą zaś tę ilość można następnie przenieść na B, podnosząc za rękojeść tafľę C i dotykając się jój palcem. Jeżeli np. takich potrójnych manipulacyj wykonamy n , to ostateczna elektryczność na tafli D będzie $3^n a$.

Taki kondensator multiplikator znajduje się w gabinecie uniwersytetu Upsalskiego, którego tafle są 6calowej średnicy; może być naładowanym elektrycznością otrzymaną przez proste stykanie cynku z miedzią przy pomocy 24 opisanych manipulacyj do tego stopnia, że daje mocną iskrę, i sprawia silne wstrząśnienia aż w łokciu czuć się dające. (*L'Institut*, 682. Jan. 1847.)

* Ponieważ ziemia obraca się na swój osi od zachodu na wschód, przeto każdy punkt jój powierzchni lub wnętrza zakreśla łuk, którego długość jest proporcjonalną do oddalenia tego punktu od środka kuli ziemskiej. Ztąd wypada, że ciała spadające ku środkowi w chwili rozpoczęcia swego biegu, muszą mieć udzieloną większą prędkość ku zdążaniu na wschód, aniżeli punkta ziemi na jednej z nimi pionowej leżące; a zatem ciało wolno puszczone, kończąc swój bieg pionowy, zawsze upadać winno w punkcie leżącym cokolwiek ku wschodowi od pionowej. Zdaje się, iż piérwszy p. Guglielmini w r. 1795 zajmował się zbadaniem téj okoliczności, towarzyszącej spadkowi ciał po pionowej linii z znacznych wysokości.

Uchylenie od pionu w podobnych doświadczeniach są wszakże tak małe, że znaczne wysokości zaledwie parę linii różnicy okazują. Guglielmini odkrywając bytność powyższego zboczenia, znalazł przytém, że ciało wolno spadające, posuwa się cokolwiek i na południe. Laplace te rezultata przypisał niedokładności obserwacyi.

Benzenberg powtarzając doświadczenia z wysokością 240 stóp przekonał, że zboczenie na wschód średnio wyniosło 399 linii, lecz i ten znany z dokładności obserwacyj autor, znalazł oprócz powyższego zboczenia jeszcze uchylenie na południe większe od poprzedniego wschodniego.

Oprócz tych, znane są jeszcze w tym przedmiocie z swój dokładności prace p. Reich, w kopalniach Frejberskich na 540 głębokości czynione; wypadłe z nich zboczenie wschodnie, zgadza się zupełnie z rachunkiem, lecz i ten obserwator znalazł znaczne południowe uchylenie od pionowej linii. Oersted, który powyższe prace nad zboczeniem wschodniém uważa za niezostawiające nic do życzenia, poczytuje je za niedostateczne do pewnego zawnioskowania o bytności i wielkości zboczenia południowego. Godną więc byłoby rzeczą fizyków, zostających w sprzyjających potemu okolicznościach, przedsięwzięcie nowych w tym ważnym przedmiocie poszukiwań. Jedynym środkiem i rękojmią ostateczną

go rozpoznania tego punktu fizyki, podać mogą towarzystwa uczone rządowe. Dlatego Oersted zwrócił swe wezwanie do Towarzystwa Angielskiego (Ass. Brit), a to z tych powodów: że metody podobnych doświadczeń w ostatnich czasach, poczyniły znaczne udoskonalenia większą dokładność zapewniające; że w Anglii gdzie prace mechaniczne słyną ze swęj dokładności, łatwiejszém będzie budowa rury nieprzepuszczającej powietrza, np. metalowój, długiej na kilkaset stóp, dozwalającej powyższe doświadczenia powtórzyć w powietrzu, w różnych gazach i w próżni; nakoniec że jednocześnie poznać będzie można dokładnie prędkość spadku ciał, opór różnych środków &c. Aparata galwaniczne sławnego przez swe pomysły fizyka Wheatstona, dozwolą najmniejsze chwilki czasu wymierzyć. W razie potwierdzenia bytności zboczenia południowego, Oersted podaje następujące jego tłumaczenie:

Wiemy, że strumienie elektryczne krążą po ziemi w kierunkach równoleżników; w ciele poruszającym się w atmosferze strumieni elektrycznych, wzbudza się także strumień elektryczny, z wzajemnego więc odpychania tych strumieni, wyniknie zboczenie ciała spadającego na południe. Gdyby prędkość spadku ciała była jednostajną, odpychanie byłoby chwilowe; ponieważ zaś prędkość spadku wzrasta z czasem, i z większą prędkością biegu rośnie proporcjonalnie siła wzbudzonego w ciele strumienia elektrycznego, przeto i siła odpychająca ciało na południe jednostajnie rosnąć winna. To więc tłumaczenie przypuszcza, iż zboczenie południowe wzrastać winno z wysokością spadku. Obserwacye zawyrokują o prawdziwości tego tłumaczenia. (*L'Institut. Nr. 679. Janvier 1847*).

* Dawniej nadmieniliśmy o sławnym odkryciu Faradaya, wykrywającym nowy związek zachodzący między światłem i magnetyzmem. Polaryzowany promień światła, jeżeli przechodzi przez ciało przezroczyste stałe lub płynne, lecz niezłamujące podwójnie światła równoległe od linii krzywych, przedstawiających natężenie siły magnetycznej, wówczas płaszczyzna polaryzacyi tego promienia bywa zbaczana

w lewą lub prawą stronę, stosownie do kierunku siły magnetycznej. Zjawiska zbaczania płaszczyzny polaryzacji promienia, niebędącego pod wpływem magnetyzmu, jak wiadomo ukazują niektóre ciała, jak np. kryształy kwarcu, olejek terpentynowy i t. d.

Dwa te zjawiska napozór jednorodne, wielce są jednak różne; pierwszy rodzaj zboczenia obserwowanego zawisł jedynie od kierunku siły magnetycznej, drugi zaś wyłącznie od położenia obserwatora względem kierunku promienia.

Roztrząsając przyczyny tych zjawisk, Faraday wniósł, że zboczenie płaszczyzny polaryzacji za pomocą magnetyzmu, zwiększać się winno, skoro zwiększonym zostanie wpływ magnetyzmu na promień światła.

Wniosek ten w zupełności następnie doświadczenie stwierdziło: Równoległocien z ciężkiego szkła, mający za podstawę kwadrat długości 0,7 cali, a za wysokość 2,5 cale, dokładnie wypolerowany, został na obu podstawach posrebrzony, tak jednak, że przy krawędziach przeciwległych dwóch podstaw, pozostawiono przestrzeń szeroką na 0,1 cala. Tym sposobem wewnętrzne ściany równoległocienu, przedstawiały płaszczyzny odbijające światło. Promień puszczony ukośnie przez jedną szparę, mógł więc po kilku odbiciach wewnątrz szkła, wyjść przez drugą szparę przeciwległą.

Gdyby materiał równoległocienu posiadał własność samoistnego zbaczania płaszczyzny polaryzacji, np. kwarc, wtedy promień polaryzowany wpuszczony w środek kryształu przez szparę, przed odbiciem od ściany wewnętrznej doznałby pewnego zboczenia; lecz po odbiciu się wewnętrznym, tenże promień doświadczy także zboczenia co do siły równego poprzedniemu, lecz co do kierunku przeciwnego, tak, że te zboczenia przeciwne wzajemnie się zniszczą. Ztąd np. promień polaryzowany przechodząc ciało pięć razy, posiadać będzie zboczenie zupełnie równe temu, jakie doznaje po jednokrotnym tylko przejściu.

Przeciwnie zjawisko zajdzie, skoro ciało z którego wyrobiony równoległocien będzie diamentyczne, to jest, zdolne

dopiero pod wpływem magnetyzmu zbaczać płaszczyznę polaryzacji promienia światła. W samej rzeczy, ilekolek razy promień odbijając się wewnątrz, przechodzić będzie przez równoległości, zawsze jego położenie względem kierunku linii magnetycznych będzie jednakie; ztąd po dwukrotném przejściu dwukrotne, po trzykrotném trzykrotne i t. d. zboczenie wskaże.

Doświadczenie przekonywa o tém jak najdokładniej. Opisany powyżej co do wielkości równoległości ze szkła ciężkiego, poddany na działanie silnego magnesu, po jednokrotném przejściu zboczył płaszczyznę polaryzacji o 12° ; nachyliwszy go w ten sposób, aby za pomocą odbicia wewnętrznego promień trzy razy przebył odległość podstaw; zboczenie było 36° ; po pięciokrotném 60° i t. d.

To więc doświadczenie jawnie przekonywa, iż kierunek zboczenia przy przejściu promienia polaryzowanego światła, przez ciało diagmetyczne, jedynie zależy od kierunku siły magnetycznej. Jestto więc najważniejsza cecha dla odróżnienia tych ciał od innych, jak np. kwarcu, terpentyny, syropów cukrowych i t. d. obdarzonych sposobnością samostnego zbaczania płaszczyzny polaryzacji światła.

Nadto to doświadczenie naucza, iż wielkość tego zjawiska, jest w ścisłym związku z długością promienia światła wystawionego na działanie magnesu; albowiem różne bywają rezultata, przy jednakowém nateżeniu siły magnetycznej.

Chcąc się przekonać do jakiego działu policzoném być winno powietrze, pod względem sposobności zbaczania płaszczyzny polaryzacji, Faraday na biegunach magnesu umieścił dwa reflektory z wypolerowanych tafelek stalowych, i te bieguny w różnych odległościach ustawiał. Znalazł, że jeżeli między biegunami znajduje się powietrze, to nawet po sześciokrotném odbiciu najmniejsze zboczenie w płaszczyźnie polaryzacji dostrzedz się nie daje. Podobnie przeczące wypadki dały ciała podwójnie łamiące światło, jakoto: kryształ górny, spath wapienny, i t. p.

* Faraday dawniej okazał, że wszystkie ciała podległe są wpływowi magnesu, lecz że w różny sposób objawiają swą zależność; jedne jak żelazo stale przyciągane, inne zaś zawsze odpychane bywają. Drugą gromadę ciał nazwał diamagnetycznymi. Cechą odróżniającą pierwsze i po której najmniejszy ślad tych ciał wykryć można, jest przyciąganie, cechą drugich odpychanie. Bequerel nie przyjmuje podobnego rozdziału ciał, twierdząc, że własności magnetyczne wspólne wszystkim ciałom, są tegoż samego gatunku zjawiska; że zaś igiełki z ciał niektórych, np. niedokwasu żelaza, drzewa, gummilaki, przez magnes nie są przyciągane ale odpychane, gdyż ukośnie lub poprzecznie do niego stoją, uważać należy raczej jako kierunki wypadkowe wielu bardzo sił magnetycznych, kierunki zależne od kształtu ciał i stopnia ich magnetyczności. Faraday zbija to mniemanie dowodząc, że jakkolwiek np. rurka z niedokwasem żelaza (peroxyde de fer) przybióra między biegunami różne poprzeczne położenia, zawsze jednak jest ona przyciągana przez bieguny, albowiem wszystkie jej położenia ukośne są w równowadze niestałej, i za najmniejszym poruszeniem ku biegunom się zwracają. Przeciwnie zjawiska widzimy na ciałach diamagnetycznych; te stanąwszy w kierunku poprzecznym do linii łączącej bieguny magnesu, znajdują się w równowadze stałej, gdyż wyprowadzone z swego ukośnego położenia, po licznych oscylacjach napowrót do niego wracają.

W odpowiedzi Bequerelowi, Faraday na poparcie swój hipotezy, przytacza wiele trafnych i przekonujących dowodów. (*Annalen der Physik, Pogendorf. 1847, nr. 29.*)

S. P.

CHEMIA.

O bytności kwasu krzemionkowego w piórach ptasich, przekonał się Dr. Gorup Besanez. Ilość jego nawet jest dosyć znaczna, a zapewne jest on tam tak potrzebny, jak

fosforan wapna w kościach. Średnio, chorągiewka pióra ma 4 na sto popiołu, w którym jest 30 do 40 także na sto, krzemionki.

W pieńku pióra, znajduje się tak istot organicznych, jak i kwasu krzemionkowego daleko mniejsza ilość.

Wszystkie powyższe popioły zawierały w sobie żelazo, a w szczególności pióra papugi weń obfitowały. Oprócz tego, też popioły miały fosforan wapna, fosforan sody, a brakowało w nich siarkanów i chlorków. (Treść z *Journal für praktische Chemie* N. 19 i 20 z r. 1846).

* Na posiedzeniu paryżkiej akademii umiejętności 21 grudnia r. z. przedstawił p. Pelouze pracę p. Schloesing o nikotynie, i oznaczeniu jój ilości w tytoniu; rzecz ta stanowi część piérwszą rozprawy, o składzie liści tytoniowych i fermentacyi; treść zaś jój jest następująca:

Jakkolwiek starano się oznaczyć główne własności nikotyny, niepoznano jednak, nawet przybliżonym sposobem ilości tego alkali zawartego w liściach tytoniowych; dopełnieniem tego braku zajął się p. S. Samę nikotyne otrzymywał on następnie: Na liście tytoniowe nalewał wody, rozciek parował, i resztę wytrawiał wyskokiem, a po zlanu z wierzchu, znowu ciecz wyskokową parował, wyciąg pozostały mieszał z potażem, a dalej rozcieńczał go eterem, która to ostatnia ciecz, rozpuszcza w sobie nikotyne i istoty obce; te ostatnie oddzielają się, strącając nikotyne kwasem szczawowym. Po przemyciu szczawianu eterem, nalewał na to potażu, rozpuszczał na nowo nikotyne w eterze, i wszystko przepędzał; pozostałość zawierać będzie nikotyne, wodę, eter i amonię. W cieple 140° przez dzień utrzymywaném, z pomocą strumienia suchego gazu wodorodnego, wydzielają się trzy ostatnie ciała w ten sposób, że przy podwyższeniu temperatury do 180°, nikotyne przechodzi czysta i niezafarbowana. Kilogram dobrego tytoniu z departamentu Lot, wydaje 50 do 60 gram nikotyny.

Znamię nikotyny jest $C^{20} H^{14} Az^2$; ciało to jest dzielną zasadą; być może, że w liściach tytoniowych znajduje się ona w postaci soli, ponieważ roztwory wodne, wyskoko-

we i eteryczne téj rośliny, tak się zachowują, jakby były w nich sole nikotyny. Oprócz tego przyciąga ona wilgoć z powietrza.

Ilość nikotyny oznacza się w tytoniu przez wytrawienie, np. 10 gram liści tytoniowych w eterze amoniakalnym; amonią wypędza się przez zagotowanie cieczy nikotynowych, a po wyparowaniu eteru zubożętnia się nikotyna cieczą zakwaszoną wiadomą ilością kwasu siarkowego.

Z doświadczeń robionych przekonano się, że różne gatunki liści tytoniowych, różną także posiadają ilość nikotyny, a im więcej jéj jest, tém liście są właściwsze do wyrobienia tabaki. W departamencie Lot na 100 liści tytoniowych, znajduje się 7,96 nikotyny.

W tabace suchéj, średnio znajduje się 2,04 nikotyny na 100; z czego się pokazuje, że w skutek fermentacyi liści, około $\frac{2}{3}$ nikotyny zniszczonej zostało. Amonia w tabace jest w postaci soli, nikotyna w części także w postaci soli obojętnéj, w części wólna, albolit tóż wszystka w postaci soli zasadowéj. Od tychto przeto dwóch soli nikotynowych, tabaka zapewne nabiera własności drażnienia tkanki szluzowéj nosa. (Treść z pisma *L'Institut z grudnia, 1846 r.*)

* P. Henneberg jeden z uczniów Liebiga, znalazł w krwi kur krzemionkan sody (lub potażu), co objaśnia bytowanie wielkiéj ilości krzemionki w piórach tych ptaków. P. Bensch pomocnik Liebiga przekonał się, że mléko trzech suk żywnionych mięsem przez 12, 15, do 27 dni, zawiera cukier mléczny zupełnie krystaliczny. Naostatek p. Gugelberger także uczeń Liebiga, otrzymał przez przepędzanie twarogu, lub kléju z niedokwasem ostatnim manganu i kwasem siarkowym, aldehyd czysty i olejek migdałów gorzkich; i to obadwa te ciała w takiéj ilości, że można je było jawnie wykryć. (*L'Institut z lutego 1847*).

* P. Dumas zawiadomił akademią umiejętności paryzką, o doświadczeniach p. Louyet tyczących się kwasu fluorowego bezwodnego (*).

(*) Wiadomość o fluorze zamieszczona była w B. W. z m. kwietnia.

* Według tego ostatniego chemika, kwas fluorowy wodorodny bezwodny, jest gazem w temperaturze — 12° i ciśnieniu zwyczajném; i pod tym względem nie różni się od innych kwasów wodorodnych bezwodnych, i od kwasów fluorowo-krzemionkowego, i fluorowo-borowego; oprócz tego gaz fluorowo-wodorodny jest nadzwyczajnie dymiący, z powodu swego wielkiego powinowactwa do wody; mało działa na szkło, a być może, że potrafią go zebrać na merkuryuszu w dzwonek szklany zupełnie suchy; gaz ten jest bardzo gęsty, gdyż pary z niego powstałe są znacznie ciężkie (*L'Institut* z marca 1847 r.). J. B...a



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1844.

WARSZAWA.

337. Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone Naukom, Sztukom i Przemysłowi. Warszawa. 1844. 4 tomy w 8ce, (obejmujące 12 miesięcznych zeszytów). W drukarni pod firmą Juliana Kaczanowskiego przy ulicy Długiej, ner 543. Tom 1szy, kart napisowych 2, przedmowy redakcyi str. VII. i 692. Spisu rzeczy kart 2. Do zeszytu na m. luty dodana jest mappa dróg żelaznych w Europie, nakręslona przez Wilhelma Kolberga, litografowana przez S. Oleszczyńskiego. Tom IIgi kart napisowych 2, i str. 728. Spisu rzeczy kart 2. Do zeszytu na m. kwiecień dodana jest tablica wypadków dostrzeżeń meteorologicznych w r. 1843 robionych. Tom IIIci kart napisowych 2, i stron. 720. Spisu rzeczy i prospektu na Paleontologią Polską L. Zejsznera kart 3. Tom IVty kart napisowych 2 i str. 730. Spisu rzeczy kart 2. Do stron. 162, dołączona jest tablica drukowana: w półarkuszu „Dostrzeżeń ornitologicznych pod względem przylotu i odlotu ptaków wędrujących”, a do str. 388, dwie tablice pomiarów barometrycznych Bieskidów, Tatrów i t. d. Oprócz tego przy każdym zeszycie miesięcznym, dołączona jest tabelka meteorologiczna z dostrzeżeniami robionemi w obserwatoryum warszawskiem w poprzedzającym miesiącu. Do zeszytów na m. wrzesień i grudzień, dodane są 6 tablic lit. Flecka, i arkusz textu: „Paleontologii Polskiej” Ludwika Zejsznera, która miała wychodzić nakładem redakcyi w przerwach kwartalnych po 3 tablic najmniej, ze stosowną ilością ark. textu, i dodawała się bezpłatnie prenumeratom Bibl. Warsz. Cena roczna złp. 60.

338. Gazeta Codzienna. (Pod redakcyą K. Krupskiego. Druk Banku Polskiego.) Warszawa. 1844. 4ka mała. Nr. 1 do 349, czyli od 1go stycznia do 31 grudnia włącznie. Cena roczna złp. 32.

339. *Gazeta Handlowa i Przemysłowa*. (Wychodziła arkuszami dwa razy na tydzień przy *Gazecie Codziennéj*, i była do niej dodawaną bezpłatnie). Warszawa. 1844. 4ka mała. Nr. 1 do 100, czyli od dnia 3go stycznia do 28 grudnia.

340. *Gazeta Warszawska*. (Wychodziła codziennie pod redakcją Antoniego Lesznowskiego w drukarni tegoż, przy ulicy Śto Jerskiej). Warszawa. 1844. 4ka wielka. Nr. 1 do 348, czyli od dnia 1go stycznia do 31 grudnia. (Stosownie do potrzeby, dołączane były dodatki bez nrów z ogłoszeniami rządowemi, na prostéj bi-bule w 4ce małéj). Cena roczna złp. 48.

341. *Korrespondent Handlowy, Przemysłowy i Rolniczy*. (Wychodził dwa razy na tydzień półarkuszem 4wym przy *Gazecie Warszawskiej*, i był dodawany bezpłatnie). Warszawa. 1844. Nr. 1 do 100, czyli od dnia 3 stycznia do 28 grudnia.

342. *Kmiotek*, pismo czasowe do czytania dla wiejskiego i miejskiego ludu przeznaczone, obejmujące: Nauki religijno-moralne, przestrogi i objaśnienia usuwające przesady i zabobony: obowiązki i powinności względem panów i zwierzchności: wiadomości i wyciągi z rozporządzeń i przepisów rządowych, tyczących się wszystkich mieszkańców kraju: naukę zdrowia ludzi i zwierząt i łatwiejsze sposoby jego ratowania: naukę i przepisy dla różnych gałęzi wiejskiego i domowego gospodarstwa, wreszcie powieści, anegdoty i wiadomości nauczyć, zabawić i ciekawość ludzi zająć mogące i t. d. Redaktor E. P. Leśniewski. Rok IIIci. Warszawa. 1844. 4ka mała. Nakład i druk S. Orgelbranda. Nrów 52, str. 208. Napisów i rejestru kart 4. Złp. 8.

343. *Kurjer Warszawski*. (Wychodził codziennie pod redakcją Ludwika Adama Dmuszewskiego, w drukarni tegoż przy ulicy Senatorskiej nr 473 lit. C.) Warszawa. 1844. 4ka mała. Nr. 1 do 349. Stron. liczb. 1668. (Stosownie do potrzeby, dodawany jest jeszcze „Dodatek” nieliczbowany). Złp. 32.

344. *Magazyn Mód. Dziennik przyjemnych wiadomości*, redagowany przez Joannę Widulińską. Rok dziesiąty. 4ka. Warszawa. 1844. Nakład i druk J. Glücksberga. Karta napisowa 1 i rejestru 1. Nrów 50, zawierających 294 str., ze 100 rycinami kolorowanemi. Cena roczna złp. 40.

345. *Pamiętnik religijno-moralny*. Czasopismo ku zbudowaniu i pożytkowi tak duchownych jako i świeckich osób. (Wychodził poszytami miesięcznymi pod redakcją Antoniego Hlebowicza). 12 zeszytów, czyli ogólnego zbioru Tom VI i VII. 8ka. Warszawa. 1844. Druk J. Glücksberga. Nakład redakcyi. Tom VI. str. 576. T. VII, 582. W każdym napisów i rejestru kart 4. Złp. 30.

346. *Pielgrzym*. Pismo poświęcone Filozofii, Historji i Literaturze. (Wychodził miesięcznie poszytami, pod redakcją Eleono-

ry Ziemieckiej). 12 zeszytów, czyli 4 tomy. 8ka. Warszawa. 1844. Nakład redakcyi, druk Banku Polskiego. Tom I, str. 370. II, 334. III. 348. IV. 344. W każdym napisów i rejestru kart 3. Złp. 30.

347. Przegląd naukowy, literaturze, wiedzy i umnietwu poświęcony. Redaktor główny Hippolit Skimborowicz. (Rok 3ci). Warszawa. 1844. 8ka. 4 tomy. Nakładem redakcyi, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego, (teraz S. Orgelbranda) przy ulicy Senatorskiej Ner 463. Tom I, str. 304. II, 304. III, 336, IV, 312. W każdym kart napisowych 2 i rejestru 2. Złp. 30.

348. Roczniki Gospodarstwa Krajowego. (Wychodziły co kwartał, który się zaczynał od lipca), pod naczelną redakcją Kajetana Garbińskiego). Rok trzeci. Tom V, 1844 ner 1. 2. Tom VI, 1845, ner 1. 2. 8ka. Warszawa. Nakładem redakcyi. Druk Strąbskiego. T. V. n. 1. str. 173, n. 2. str. 203. T. VI n. 1. str. 184, n. 2. str. 367. Cena roczna złp. 20.

1847.

WARSZAWA.

59. Daguerotypy Warszawy, romans obyczajowy przez Edwarda Bogusławskiego. 6 tomów. 18ka. Warszawa. 1847. Druk Stanisława Nowakowskiego. Tom I, str. 202. II, 208. III, 229. IV. 173, V. 190. VI. 178. W każdym rejestrze karta I. Złp. 18.

60. Urządzenie szczegółowe o zabezpieczeniu dochodów dożywotnich przez przyjmowanie wniosków częściowych. 8ka. (Warszawa 1847. Druk Strąbskiego). Gr. 10

W I L N O.

61. Pamiętniki o dawniej Polsce z czasów Zygmunta Augusta, obejmujące listy Jana Franciszka Commendoni do Karola Borromeusza. Z biblioteki Barberińskiej zebrał Jan Albertrandi Biskup Zenopolitański. Z rękopismów włoskich i łacińskich wytlómaczył Józef Krzeczkowski. Wiadomość o życiu Commendoniego tudzież potrzebne sprostowania i objaśnienia dodał Mikołaj Malinowski. Tom I szy. 8ka. Wilno. 1847. Nakład Rubena Rafałowicza. Druk J. Zawadzkiego. Napisów kart 2. i str. 268. Z prenumeratą na tom 2gi złp. 24.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

W tych dniach wyszedł z druku nakładem księgarni I. Klukowskiego, tom pierwszy dzieła, które od lat dawnych w języku polskim oczekiwane, spełni nadzieję niejednej rodziny, i stanie się

nierozłącznym pomocnikiem matek i przewodniczek poświęcających się umysłowemu kształceniu dzieci. Dzieło to wydane jest pod napisem: „*Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowym wychowaniu pańien.*” Autorka panna Żmichowska, znana już zaszczytnie w polskim piśmiennictwie pod pseudonimem Gabrieli Z., poświęca czas téj, może mniej wdzięcznej, lecz pełnej zaślugi pracy. Jéj świetne i bogate w ozdoby pióro, zniża się tu do prostoty dziecinnego pojęcia, nie tracąc nic na mocy, ani na gruntowności swoich; to téż imię autorki jest dla nas dostateczną rękojmią, że pismo jéj, nietylko przeznaczeniu swemu odpowie, ale nadto stanie w rzędzie dzieł, które na długi czas użytecznymi pozostaną. Wydany obecnie tom piérwszy dzieła, jest tylko częścią przedwstępną, to jest książką przeznaczoną dla najmniejszych dzieci dopiéro rozpoznawać zaczynających świat zewnętrzny. Im mniejszy zakres, tém trudniejsze, szczęśliwe i trafne onego pojęcie i przedstawienie. Dla dania zaś dokładniejszego czytelnikom wyobrażenia, o celach jakie sobie autorka zamierzyła, i o środkach jakimi przedsięwzięcie swe wykonać usiłowała, przytaczamy wstęp przez nią na początku ogłoszonego piérwszego tomu umieszczony:

„W ręce matek i nauczycielek oddajemy piérwszy tom dzieła, które może im choć cokolwiek ulży w ich świętej a ciężkiej pracy.

Od czasu jak przyjęto i uznano wykształcenie naukowe za część niezbędną do dobrego wychowania kobiety, ciągle daje się czuć w tym względzie brak pomocniczych w domowym wychowaniu książek. Dla zastąpienia tego niedostatku, udawano się do dzieł obcych, francuzkich najczęściej, albo z mozołem, a bez pedagogicznego porządku składano naprędce pozbiérane tu i owdzie w mowie naszej zasoby. Przedsięwzięty *wykład*, ma na celu częściowe przynajmniej tym niedogodnościom zaradzenie. W swojskim języku napisane, obliczone więcéj na gruntowność i systematyczny rozkład, niż na bogactwo i różnaitość przedmiotów, zastępujące znaczną liczbę książek, a tém samém wygodniejsze i przystępniejsze dla wszystkich, — takim jest to dzieło w zamiarach naszych.

Starać się szczególniej będziemy, aby w niém najważniejsze pewniki ludzkiej wiedzy, składały ciągłą, stopniowo rozwijającą się całość; żeby sposób ich wykładu posłużył kiedyś za sposób samodzielnego nabywania dalszych wiadomości, lub za katechizm wystarczający dobrej wierze tych, którzy na nim poprzestać będą chcieli, czytéż musieli. Zawsze albowiem wszyscy zpod wpływów edukacyjnych wychodzący, stosownie do usposobienia indywidualnego, stosownie do różnych towarzyskich okoliczności na dwa rozstępują się działy: na tych, którzy wtedy kończą, i na tych

którzy wtedy właśnie zaczynają się uczyć. Główném przeto zadaniem udzielanej nauki powinno być zawsze to: aby sama przez się jako pewna całość, zaspokoiła najgwałtowniejsze umysłu ludzkiego potrzeby, i aby w miarę zdolności, uczyniła mu przystępném wszelkie dalsze rozwijanie, łatwiejszemi wszelkie późniejsze nabytki; lub krócej mówiąc: aby jój było *dosyć*, i aby mogło zawsze jój być *więcej*.

Odpowiadając dwóm owym na przyszłość względem, chcemy aby w zamierzonym dziele, przewodniczył nadewszystko porządkny rozkład, odpowiedni nieocenionym korzyściom klasowego stopniowania kursów szkolnych, które dziś we wszystkich pedagogicznych zakładach przyjęto. Taki porządek, najlepszym bywa przygotowaniem, podmurowaniem, rzeczy można narzędziem coraz dalszych, coraz wyższych wiadomości: gdy zaś sam sobą ograniczony zostanie, ma na swoją korzyść doświadczenia i tój maksymy powagę: że lepiej mało a dobrze i gruntownie, niż bardzo wiele, a źle, bez ładu, i pozornie tylko.

Jeśli nie wspominamy o żadnym innym celu tój pracy, jeśli nie obiecujemy w niej żadnego do przeznaczenia kobiety zastosowania, to dlatego, że zbiór wiadomości jest sam przez siebie rzeczą zupełnie bezwzględną; że np. nazwiska geograficzne, albo cztery działania w rachunkach, albo chronologia w historii, nie mogą być inne dla kobiety, jak dla mężczyzny; tylko późniejsze ich zastosowanie w życiu innym być powinno, ale to działem jest moralności; my zaś oświadczamy wyraźnie, że przeznaczając tę książkę na pomoc dla tych, którzy z niej uczyć będą, uczenie, bierzemy w jego najściślejszém znaczeniu, jako materiał, nie zaś jako część lub ustęp wychowania. Zresztą, nie odważamy się wcale na utwór stanowczy, na pomysł osobisty, formą nauczania przeprowadzony; jak na ten raz, jestto skromny zbiór i układ faktów stałych, prawd pamięciowych jedynie. Religia z niego jest usuniętą nawet, jako świętość bardziej uczuciu, niż lekcjom przynależna.

Gdyby jednak poszczęściło się zupełnie pracy naszej, toby może nie tylko encyklopedyczne przyniosła wsparcie, ale jeszcze znalazłaby się w niej sposobność do potrzebnej władz młodocianych uprawy. Mówimy tu, li o władzach umysłowych, które są w człowieku sposobami tworzenia dobrego, ale nie samém już dobrem, np. uwaga, pamięć, wyobraźnia i t. p.; przez uprawę zaś rozumiemy władz tych wzmocnienie, zahartowanie, a nie kierunek; bo kierunek, od wpływów moralnych, od nauk żywych zależy.

Część którą dzisiaj przedstawiamy, jest częścią zupełnie przedwstępną; jest tém, co u nas zwykle *Elementarzem* zowią.

Umieściliśmy w niej rys najogólniejszy wiadomości, którym w dalszych tomach, coraz obszerniejsze zakreślać będziemy koła. Obraliśmy pięć przedmiotów jako pięć głównych działów wszechstronnej wiedzy ludzkiej:

Nauki przyrodzone, które tłumaczą naturę.

Arytmetykę, która oznacza przestrzeń i czas.

Geografią, która wskazuje miejsce.

Historią, która wypełnia i naturę i czas z przestrzenią i miejsca wszelkie, a nakoniec:

Naukę mowy ustnej i pisaniej, która tego wszystkiego jest ostatecznym głosem i znakiem.

W książeczce niniejszój zaledwo pierwsze tych ważnych nauk rzucono wyobrażenia; żadnej z nich nawet nie śmiano jeszcze nazwać dziecięciu. Teraz dopiero każda z tytułem swoim ma w osobnym stanąć dziele i w szczegółowym rozwinąć się wykładzie.

Część pierwsza wykładu każdój z tych nauk, powinna dać ogólne zarysy, niby rysunkowe obwody jój. Część druga uzupełni te obwody odznaczającemi się szczegółami, a część trzecia połączy te szczegóły z ogółem w całość pełniejszą i wyższą; np. w Historii zaczniemy najpierw od rysu historii powszechnej, przejdziemy go potem zastanawiając się trochę więcej nad szczegółowymi dziejami tych narodów, które wśród ludzkości ważniejsze zajęły miejsce jakoto: Greków, Rzymian, Niemiec, Francyi i t. p. a w części trzeciej damy historią ogólną, tojest powszechną, w jój zastosowaniu do ogólnych, cały ród człowieczy obchodzących wypadków.

W nauce mowy zaś część pierwsza da grammatykę powszechną czyli grammatykę wszystkim językom wspólną. Część druga da grammatykę właściwą językowi polskiemu, a część trzecia przeprowadzi znajomość kształtu mowy w znajomość treści jego, t. j. w literaturę.

Tym porządkiem wszystkie inne nauki rozwijać się będą, i taki jest rozkład naszej pracy. Jój ogrom przestraszyłby nas samych zapewne, gdybyśmy pod ręką nie mieli ku pomocy wielu jużto w naszej mowie, jużto w obcych językach nagromadzonych zasobów i dzieł tomu podobnych, a nadewszystko gdybyśmy nie mieli nadziei, że światłych osób rada, którój w każdej wątpliwości wezwiemy, dobre chęci nasze wesprze i niedokładność osobistych naszych wiadomości uzupełni."

W drukarni St. Strąbskiego ukończono druk dramatu w pięciu aktach Józefa Korzeniowskiego pod tyt. „Dymitr i Marya."

P. Edward bar. Rastawiecki nie przestaje pracować z całym zamiłowaniem i poświęceniem nad ważnym pomnikiem do historii

sztuk pięknych u nas. Jego „Słownik malarzów Polskich i obcych w Polsce osiadłych,” z którego z wdzięcznością umieściliśmy kilka wyjątków w naszym piśmie, ozdobią wizerunki znaczniejszych artystów, wykonane z najpodobniejszych portretów rylcem P. Piwarskiego. Dotychczas wykończone są następne wizerunki: Marc. Bacciarellego, M. Płońskiego, Plerscha, Zygmunta Vogel, Antoniego Brodowskiego, Fr. Smuglewicza, Szymona Czechowicza, Wojniakowskiego, Alexandra Orłowskiego, i Norblina.

P. Karol Moycho rozpoczął druk: „Rocznika religijnego na rok 1847. Ozdobiony będzie portretem papieża i wizerunkami polskich biskupów.

U Orgelbranda mają wkrótce wyjść: Pamiętniki krajowe p. Karola Milewskiego, i ma także zamiar wydawać od czerwca w tłumaczeniu polskiem poszytami: „Hiszpania i Afryka”, przez Alexandra Dumas.

Księgarz Merzbach nabyty we trzech tomach rękopism ś. p. Tomasza Święckiego: „Historyczne wspomnienia znakomitych rodzin w Polsce,” powiększony znacznie przypisami jednego z literatów naszych, wkrótce zacznie drukować. Ozdobią to dzieło wizerunki znakomitszych mężów i sławniejszych pisarzy.

Zeszyt 5ty dzieła „W Alpach i za Alpami” p. Ł. z G. Rautenstrauch, wydawanego nakładem Fr. Spiess i Spółka, wyszedł w tych dniach z druku.

W drukarni J. Tomaszewskiego wyszło zpod prasy dziełko: Upominek rolniczo-przemysłowy, zebrany przez Teofila Rybickiego.

W Krakowie Wincenty Gorączkiewicz dyrek. muzyki i organista katedr. krak. ogłosił przedpłatę na „Śpiewy choralne kościoła rzymsko-katolickiego, ułożone w harmonii na organy.” Autor trzymał się ściśle w tej pracy głównych źródeł, jakoto: Graduatu, Antyfonarza, Rytuału, Psalterza i t. p. a kilkudziesięcioletnia wprawa, jak mówi, posłużyła mu do tego, że nie odstępując nigdzie od pierwotnych utworów dotąd używanych w kościele rzymsko-katolickim, przecież mógł ułożyć nuty w sposób najłatwiejszy. Gdy zaś w naszym kraju kilka śpiewów w ojczystym języku w powszechnym bywa użyciu, przeto i te umieścić było jego obowiązkiem. Wydaniem zajął się księgarz D. E. Friedlein, i ogłosił przedpłatę na dwie części złp. 20, która w całym Królestwie Polskim zbieraną być może.

W pierwszych nrach z r. b. „Dziennika Mód Paryzkich”, który pod każdym względem nierównie jest wyższym od wszystkich

innych w tym przedmiocie u nas wydawanych, ogłasza Józef Dzierzkowski nową swą powieść p. n. „Salon i ulica.”

Zawadzki w Wilnie już ukończył druk tomu 2go „Listy o Szwecyi” Eust. Tyszkiewicza.

Słusznie przez znawców podziwianego obrazu: Obrona Tręboli w r. 1675, malarza Alex. Lesser, wyszła w wielkim arkuszu litografowana kopia w Monachium w litografii Frejmana. Cena złp. 18.

† Stycznia 31, 1846 roku. W Warszawie: ksiądz Maciej Jeżowski kanonik metrop. warsz. proboszcz w Jadowie. Żył lat blisko 50. Filolog biegły w znajomości stariej greczyzny.

† W lutym t. r. w Niemenczynie: ksiądz Floryan Bobrowski, dziekan, emeryt, proboszcz w Niemenczynie. W młodości wstąpił do Zgromadzenia S. J. i nowicyat odbył w Dynaburgu. Ofiarowanych sobie wyższych godności kapłańskich nie przyjął. Zastużony autor Słownika łacińsko-polskiego, wydanego po dwakroć u J. Zawadzkiego w Wilnie. Żył lat przeszło 70.

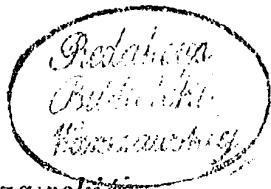
† Marca 12^{1/2} t. r. w Wilnie: Ignacy Szydłowski b. prof. gimnaz. wileńskiego, emeryt. Oprócz wydanych „Przykładów stylu Polskiego”, których tylko część I wyszła, był redaktorem przez lat 11 pisma literackiego p. n. „Wizerunki i roztrząsania naukowe”, a przedtém, głównym współpracownikiem słynnych w swym czasie „Wiadomości brukowych.” W wielu dawnych pismach wileńskich, jakoto: w Dzienniku Wileńskim, Tygodniku Wil. zamieszczał wielką ilość artykułów znakomitej wartości.

† Kwietnia 4 v. s. t. r. w Wilnie: Leon Borowski, wystużony professor b. uniwersytetu wileńskiego. (Obszerną wiadomość o życiu jego i zastugach skreślił Dominik Chodźko w Athenaeum oddział VII, zeszyt 1. z r. 1847).

† Maja 20 t. r. w Warszawie: Floryan Boguszewski urzędnik b. komisyi wojny. Zastużony zbieracz rycin krajowych, których kilka tysięcy zostawił.

† Czerwca 2. t. r. w Warszawie: Juliusz baron Holte von den Brinken, b. Jeneralny Nadleśny, emeryt. Żył lat 54.

† Sierpnia 21. v. s. t. r. w Janowie na Wołyniu: ksiądz Stanisław hr. Chołoniewski prałat katedr. w Kamieńcu Podolskim. Ur. 23 marca 1791 w zamku dziedzicznym w Janowie. (Żywot jego i prace naukowe opisał obszernie Józ. Ig. Kraszewski w Athenaeum na r. 1846, zeszyt 6ty).



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném
WARSZAWSKIEM.

Kwiecień 1847.

Wzrost 1847.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PROMIENNIK wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1		736.26	737.09	739.67	742.90	+ 0°5	+ 1°3	+ 2°5	+ 0°7	94.7
2		742.63	742.35	739.68	735.55	+ 0.8	+ 2.7	+ 8.6	+ 5.0	83.5
3		729.00	727.88	728.99	730.93	+ 5.5	+ 9.4	+ 12.0	+ 4.2	84.0
4		731.29	732.73	736.09	737.87	+ 2.3	+ 3.1	+ 5.6	+ 1.7	73.7
5		737.54	737.41	737.44	737.56	+ 2.3	+ 3.9	+ 1.5	+ 2.1	79.2
6		738.81	739.53	740.24	741.16	+ 0.1	+ 3.4	+ 3.1	- 0.2	93.7
7		741.27	741.75	740.88	739.91	- 0.4	+ 2.8	+ 5.3	+ 2.9	70.7
8	☾	739.83	740.43	741.07	740.11	+ 1.1	+ 4.4	+ 5.3	- 0.2	88.7
9		734.00	729.97	730.02	731.78	- 0.4	0.0	+ 2.3	+ 0.8	98.0
10		731.03	730.80	734.57	741.02	+ 2.4	+ 3.7	+ 3.6	+ 1.8	90.2
11		746.08	747.50	749.20	751.07	- 1.8	+ 0.3	+ 0.8	- 1.7	91.0
12		751.56	751.94	750.28	749.33	- 1.4	+ 1.6	+ 2.9	- 0.9	86.7
13		745.72	743.77	740.48	740.63	- 2.2	+ 4.2	+ 7.3	+ 2.1	78.0
14		742.64	744.29	745.83	745.73	+ 1.3	+ 3.3	+ 2.5	- 1.1	77.2
15	☽	744.05	743.43	741.87	741.19	+ 0.9	+ 2.7	+ 0.6	+ 1.1	86.2
16		740.69	740.93	740.76	743.61	+ 1.8	+ 4.0	+ 11.0	+ 4.0	92.0
17		744.40	743.29	739.47	738.03	+ 2.7	+ 5.3	+ 14.9	+ 14.5	82.7
18		743.48	745.65	747.46	747.85	+ 8.6	+ 10.7	+ 6.7	+ 4.9	80.7
19		749.84	750.80	750.21	750.40	+ 4.3	+ 10.6	+ 14.8	+ 10.4	59.2
20		749.47	749.82	749.00	749.38	+ 7.6	+ 12.7	+ 17.0	+ 9.1	70.2
21		747.93	747.59	745.65	745.55	+ 9.4	+ 15.4	+ 20.2	+ 11.2	64.7
22	☾	745.70	745.70	745.28	746.32	+ 6.1	+ 12.3	+ 15.2	+ 6.7	77.5
23		747.03	747.25	747.25	748.24	+ 5.5	+ 9.5	+ 11.0	+ 4.5	72.5
24		749.24	749.21	748.93	750.18	+ 0.5	+ 4.2	+ 8.0	+ 4.0	54.5
25		750.80	751.15	750.94	751.42	+ 3.4	+ 6.8	+ 12.0	+ 5.6	61.7
26		752.15	752.26	750.26	750.63	+ 4.4	+ 10.4	+ 12.1	+ 5.1	58.2
27		750.56	751.01	749.36	748.43	+ 4.9	+ 10.5	+ 16.4	+ 6.8	62.2
28		746.90	747.21	747.09	748.46	+ 9.4	+ 10.7	+ 15.6	+ 7.8	68.2
29		748.04	747.85	746.02	745.29	+ 8.9	+ 13.9	+ 12.4	+ 10.8	82.5
30	☽	745.56	746.27	746.44	746.43	+ 10.4	+ 14.3	+ 14.4	+ 10.2	79.2
Sre.		743.450	743.556	743.348	743.898	+3°32	+6°59	+3°85	+4°45	78.0

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s 7
względem południka paryżkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
śnieg gęsty	śnieg rzad.	dészcz z śn.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		2.60
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	chm. podz.	pogodny	W.	Pd.	Pd.	PdZ.	2.5	
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		2.00
pochmurny	chm. podz.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	śnieg drob.	pochmurny	pr. pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	—		3.90
napót pog.	smugi	napót pog.	pochmurny	—	PnW.	Pn.	—		
śnieg	napót pog.	napót pog.	pr. pogodny	PdW.	—	—	Pd.		4.00
smugi	śnieg gęsty	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	Z.	Z.		4.00
dészcz	dészcz dr.	dészcz drob.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pn.	PnZ.		
śnieg	śnieg	pochmurny	śnieg drob.	Pn.	PnZ.	PnZ.	Pn.		3.60
chm. podz.	pochmurny	napót pog.	napót pog.	—	PdW.	Pd.	—		
pogodny	napót. pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ.	Z.	3.20	
napót pog.	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
pochmurny	pochmurny	śnieg i desz.	pochmurny	W.	W.	PnW.	PnW.		1.40
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PdW.	—		4.70
pochmurny	dészcz rzad.	napót pog.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PdW.		
napót. pog.	pochmurny	dészcz	pochmurny	Pd.	Z.	Z.	PdW.	4.10	
pochmurny	pogodny	smugi	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PdW.	W.		
pr. pochm.	smugi	smugi	smugi	Z.	—	Pn.	Pn.		
smugi	smugi	smugi	pr. pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	PdZ.		
pogodny	pogodny	napót pog.	smugi	Z.	Pn.	PnW.	Pn.		
smugi	pochmurny	napót pog.	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pogodny	pogodny	napót pog.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
pogodny	pogodny	napót pog.	pogodny	PnW.	PdZ.	Z.	—		
pogodny	pr. pogodny	napót pog.	pogodny	—	—	Pn.	—		
pogodny	napót. pog.	pr. pogodny	pr. pogodny	—	Pn.	W.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	napót pog.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Pd.		
chm. podz.	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
dészcz drob.	chm. podz.	pochmurny	dészcz	Z.	PdZ.	Z.	Z.	7.60	
								6.50	
								28.6	21.5

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	743.564	27	5.620
Największa wysokość — d. 26 o g. 10 r.	752.26	27	9.511
Najmniejsza — d. 3 o g. 10 r.	727.88	26	10.666
Średnia zmiana dzienna wysokości barom.	3.77		1.67
Największa zmiana dzienna d. 10—11 o g. 10 r.	16.70		7.40
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 21 lat poprzedzających	5.261		2.329
Średnia temperatura Kwietnia wynosi:	+ 5.80 C.	+ 4.64 R.	
i ta jest niższa o	1.75 „	1.40 „	
od stanu normalnego tego mie- siąca z 21 lat poprzedzających	+ 7.55 „	+ 6.04 „	
Największe ciepło dochodziło d. 21 o g. 4 w.	+20.2 „	+16.2 „	
Największe zimno d. 13 o g. 6 r.	— 2.2 „	— 1.7 „	
(Termometrograf wskazał Maximum: + 18° 1 R. d. 21; Minimum: — 3° 0 R. d. 13 r.).			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.93 „	2.53 „	
Największa zmiana dzienna temperatury d. 31 Marca—1 Kwietnia o g. 10 r.	13 0 „	10.4 „	

Średnia wilgotność miesięczna wynosi: 78.0 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo 5.85 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza.

Dni pogodnych było 3; napół pogodnych 16; pochmurnych 11.

— deszczu 10 (d. 3, 10, 13, 15, 16, 17, 18, 28, 29, 30).

— śniegu 7 (d. 1, 5, 6, 8, 9, 11, 15).

— mgły 2 (d. 6, 15).

— grzmotów i błyskawic 1 (d. 29).

Wody z deszczu spadło 28.6 millim. czyli 12.68 lin. par.; z śniegu 21.5 millim. czyli 9.33 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 50.1 millim. czyli 22.01 lin. par.; to jest o 6.51 lin. par. więcej od ilości wody, jaka zwykle w Kwietniu spada.

Kwiecień r. b. osobliwie w pierwszej połowie był niepogodny, słotny, śnieżny; zimniejszy o 1.4 stopnie R. jak zwykle; w deszcze i śniegu obfitszy od Marca. Pierwsze dni piętnaście przy częstych wichrach i zadymkach śnieżnych stan pory zimowej przedstawiały. Przy zmianach powietrza osobliwie w dniach w których śnieg padał barometr nadzwyczaj nisko się utrzymywał; dlatego wysokość średnia miesięczna barometru jest o 2.33 linie par. niższa od normalnej.

Wiatry w tym miesiącu były zmienne, w ogólności panującym był Zachodni; częste były także: Południowo-Wschodnie i Północno-Wschodnie

Wichrów było 6; t. j. Z.=3; PnZ.=1; PdW.=1; Pd.=1.

D. 20, 26, 27 wieczór, koła białe otaczały księżyc.

	Stron.
<i>Kronika bibliograficzna</i>	225, 452, 685
<i>Doniesienia literackie</i>	227, 453, 687
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomiczném warszawskiém:	
za miesiąc luty r. b.....	229
— — marzec r. b.....	457
— — kwiecień r. b.....	693

SPROSTOWANIA.

W tym tomie.

<i>Stron.</i>	<i>Więrsz.</i>	<i>Zamiast.</i>	<i>Czytaj.</i>
177	2 od dołu	ograniczonéj	organicznój
179	17	cudnego	cudzego
475	7	1820	1829
485	1	zadać	zadań
507	2 od dołu	Geoffroy,	Geoffroy



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82